

**Biblioteka
Warszawska**

Mf 12450

Warszawa
1855 r.

t. 3-4

poz. Mf 12450

Biblioteka Warszawska

**Warszawa 1855 t.3-4,og.zb.59-60(m-c VII-XII)
sp.rzeczy**

Oryg.:ZNiO sygn.117.152

neg. Mf 12450

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1855.

Tom trzeci.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LIX.

P



117152

WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNÉJ.

—
1855.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

z r. 1855.

	Stron.
Od redakcyi.....	I

Materyały historyczne.

Zapis księdza Piotra Skargi dla ubogich szpitala w Grójcu; objaśnił <i>Leonard Wasiłtyński</i>	1
Krótki rys historyczny miasta Grybowa i starostwa grybowskiego. Przez <i>Alex. hr. Stadnickiego</i>	178, 367
Dyaryusz życia Ignacego Łopacińskiego pisarza skarb. W. K. Lit., brata rodzzonego wojewody brzeskiego.....	393
Szczegóły wyświecające powody zerwania umów małżeńskich króle- wica <i>Jakóba Sobieskiego</i> z księżną <i>Radziwiłłową Branderbur-</i> <i>ską</i> , przez <i>Alexandra Wejnerta</i>	577

Archeologia.

Wycieczka archeologiczna po gubernii wileńskiej, przez <i>Jana ze</i> <i>Śliwina</i>	20
---	----

Opisy i podróże.

	Stron.
Spiż słowacki, przez <i>Ludwika Zejsznera</i>	197, 457
Wycieczka botaniczna w Tatry, odbyta w r. 1854, przez <i>Felixa Berdau</i>	536

Literatura.

Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa powszechna w Paryżu. Otwarcie. Klasyfikacja. Przemysł paryżki.	109
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. I. Wystawa powszechna. Wystawa przemysłowa.— Przemysł francuzki i zagraniczny w wielkiej nawie (ciąg dalszy).— Wystawa sztuk pięknych.— Galerya angielska (ciąg dalszy).— <i>Chants Modernes</i> przez <i>Du Campa</i> .— Wiadomości literackie.....	321
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa powszechna w Paryżu. III. Wystawa przemysłowa: środek wielkiej nawy; galwano-plastyka.— Wystawa sztuk pięknych: Akwarelle angielskie; galerya francuzka; Ingres.— Paryż, dramat <i>Paul-Meurica</i> .— Pani de Girardin.— Wiadomości literackie.....	496

Powieści.

Kłopoty starego komendanta. Pan Marszałkiewicz. Opowiadanie...	47, 286
--	---------

Poezye.

Zamknięcie cyrku. (Scena z początku V wieku chrześcijaństwa, przez <i>Kazimierza Kaszewskiego</i>	16
Pan dwóchset wysp, <i>Walter-Skotta</i> (dokończenie).....	79
Francesca. Ustęp z Komedyi Boskiej Danta, z pieśni V Piekła, przez <i>Gustawa Zielińskiego</i>	215

Dramat.

Edyp król. Tragedya Sofoklesa, tłumaczył z greckiego <i>Kazimiierz Kaszewski</i>	250, 426
Wędrowka ziemiska i apoteoza artysty. Dwa szkice dramatyczne. Przekład z Getego, przez <i>Bolesława—Wiktora</i>	483

Pedagogika.

Wyjątek z rękopismu pod napisem: Wpływ kobiet na duchowy rozwój człowiczeństwa, przez <i>Sabinę z G. G.</i>	137, 218
---	----------

Rozbiory.

	Stron.
Ostatni z Nieczujów. Powieści Zygmunta Kaczkowskiego. 6 tomów. Petersburg i Mohilew. 1855. Przez <i>Leopolda Jakubowskiego</i> .	156
Rajnold Hajdensztajn i Franciszek Bohomolec, pisarze żywota Jana Zamojskiego kanclerza i hetmana wiel. koronnego, przez <i>Alexandra Batowskiego</i> . Lwów. 1854.....	353
Podróż na Wschód przez <i>Maurycego Manna</i> . 3 tomy. Kraków. 1854 — 1855.....	561
Msza Ferdynanda Dulckena. Berlioz.—Muzyka kościelna.—Dulcken.—P. Sikorski i jego artykuł w nrze 116 <i>Gazety Codziennej</i> .—Rozbiór mszy Dulckena.—Pan Sikorski jako krytyk. Przez <i>M. K.</i> .	569

Nauki przyrodzone.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Chemia, przez <i>J. B...ę</i>	187
Przemysł i rękodzieła.....	376
<i>Kronika bibliograficzna</i>	587
Doniesienia literackie.....	189, 384, 589
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiem:	
za miesiąc maj r. b.....	193
— — czerwiec r. b.....	389
— — lipiec r. b.....	593



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1855.

Materyały historyczne.

	Stron.
Północno-wschodnie wołoskie osady, przez <i>J. T. Lubomirskiego</i> ..	1
Mozajka złożona z wiadomości starożytnych, dziejów sztuki, ułamków biograficznych i t. d., przez <i>Ambrożego Grabowskiego</i> .	57
Słówko o przyczynach upadku miast w dawniej Polsce.....	186
Ksiądz Wincenty Santino nuncyusz w Polsce (1722—1728), przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	389
Ustęp z opisu Piotrkowa. (Dominikanie), przez <i>Władysława Wierczorkowskiego</i>	466

Biografie.

Wiadomość o życiu i pismach Konstantego Tyzenhauza.....	205
Samuel Korecki, przez <i>Zygmunta Komarnickiego</i>	258
Jan Lipnicki. (Wspomnienie).....	375
Wspomnienie Juliana Korsaka, przez <i>A. E. Odyńca</i>	563
Wspomnienie o Janie Bazylim Tomickim, przez <i>K.</i>	564

Wycieczka archeologiczna po gubernii wileńskiej, przez <i>Jana ze Świrina</i>	237
---	-----

Literatura.

Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa powszechna. IV. Wystawa przemysłowa: wyroby wełniane, materye lugduńskie, szale indyjskie. — Wystawa sztuk pięknych: Eugeniusz Delacroix. — Wiadomości literackie....	144
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa powszechna. V. Wystawa przemysłowa: rotunda, powozy, zegary. — Produkta Algieryi. Wystawa sztuk pięknych: Ducamps, Couture, Glaize, Gérôme, Cogniet, Rodakowski, Müller.....	313
Kronika zagraniczna literacka naukowa i artystyczna. Wystawa powszechna. VI. Wystawa przemysłowa: Wyroby złotnicze. — Kauczuk i gutta-percha. — Wystawa sztuk pięknych: Chassériau, Iwon, Horacy Vernet, Hamou, Chenavard.....	483

Powieści.

Zosia Żytkiewiczówna. Powiastka ukraińska, przez <i>Tadeusza Padalicę</i>	114, 218
Kłopoty starego komendanta. Pan Marszałkowiez. Opowiadanie (do-kończenie).....	415

Poezye.

Sebastyan Klonowicz.....	81
Pieśni ukraińskie. I. Duma o Piotrze Konaszewiczu Sahajdacznym.	299
Pasterz i rybak (z podań ludowych), przez <i>T. L.</i>	412
Maj. Poemat Karola Ignacego Machy, przełożony z czeskiego przez <i>Bronisława Maleckiego</i>	511
Madrygał, przez <i>Antoniego Edwarda Odyńca</i>	569

Sztuki piękne.

Przegląd muzyczny, przez <i>M. K.</i>	302
---	-----

Rozbiory.

Obraz dworów europejskich na początku XVII wieku, przedstawiony w dzienniku podróży królewicza Władysława, syna Zygmunta IIIgo do Niemiec, Austrii, Belgii, Szwajcaryi i Włoch w r. 1624—1625. Skreślony przez Stefana Paca. Z rękopismu wydał J. K. Plebański. Wrocław. 1854. Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i> ...	173
---	-----

	Stron.
Osann, o fragmentach Troja, wydanych przez Bielowskiego. Przez <i>D. J. Wagilewicza</i>	349
Słownik języka polskiego przez M. Samuela Bogumiła Linde. Wydanie drugie, poprawne i pomnożone staraniem i nakładem Zakładu narodowego imienia Ossolińskich. Tom I. A. F. Lwów. 1854. Przez <i>K. Wł. W.</i>	369
Dziejopisowie krajowi. I. Historya polska od śmierci Władysława IV aż do pokoju oliwskiego, czyli dzieje panowania Jana Kazimierza od 1648 do 1650 roku, przez W. J. Rudawskiego. 2 tomy. Petersburg. 1855. Nakład B. M. Wolffa. Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	537
Jan III pod Wiedniem, przez <i>I. Z.</i>	552
Volkshiederquellen in der deutschen Litteratur, von Kertbeny. Przez <i>I. Z.</i>	555
Kościół warszawskie rzymsko-katolickie, opisane pod względem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. Wizerunki kościołów i cenniejsze w nich nagrobki rytował na drzewie Michał Starkman. Warszawa. 1855. Przez <i>I. Z.</i>	558

Nauki przyrodzone.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:

Chemia, przez <i>J. B. c.</i>	193, 573
Fizyka. Przewietrzanie budowli, przez <i>S. P.</i>	575

Korrespondencya.

Odezwa redakcyi Roczników Gospodarstwa Krajowego do obywateli ziemian.....	190
<i>Kronika bibliograficzna</i>	196, 382
Doniesienia literackie.....	197, 382, 581
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomicznem warszawskiem:	
za miesiąc sierpień r. b.....	201
— — wrzesień r. b.....	385
— — październik r. b.....	585
Uwiedomienie od redakcyi Biblioteki Warszawskiej.....	584

SPROSTOWANIA

w tomie III.

<i>Str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>czytaj.</i>
397	13 <i>od dołu</i>	Szpinowskiemu	Szpiłowskiemu
405	10 <i>od dołu</i>	Rewla	Reszla
406	6 <i>od góry</i>	Syrenia	Syrucia
407	7 <i>od dołu</i>	Syrenia	Syrucia
410	17 <i>od góry</i>	Lonsystorskiego	konsystorskiego
412	20 <i>od góry</i>	samiecki	sannicki
414	7 <i>od góry</i>	w Schowie	w Wschowie.

W tomie IV.

<i>Str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>czytaj.</i>
4	5 <i>od góry</i>	Hubn	Hubin.
18	1 —	Dawne	Danne
25	1 —	nie zostawiło	nie zachowało
46	23 —	niżli znad Dniepru pozor- nie wielcy ludzie	niżli imiona pozornie wiel- kich ludzi znad Dniepru.

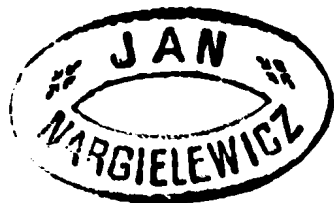


Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury,
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, d. 12 (24) czerwca 1855 r.

Starszy Cenzor,
RADCA DWORU, J. Papłoński.





OD REDAKCYI.

W zeszytcie styczniowym Biblioteki Warszawskiej z roku 1846, jeden z najgorliwszych pracowników około wszechstronnego postępu, wykazawszy uczenie ważne w literaturze nowoczesnej stanowisko i wysokie powołanie romansu społecznego, i wymieniwszy celniejsze początkowe w tym rodzaju piór krajowych próby i usiłowania; zamierzył otworzyć pisarzom naszym chlubny zawód, celem przydania do tytułu i tak znakomitych skarbów piśmiennictwa polskiego, godnej swego nazwania i znaczenia powieści społecznej, z pierwiastków miejscowych utworzonej. Spełnienie za-

miaru tego pragnąc przyspieszyć i ułatwić, oddał do rozporządzenia redakcyi złotych polskich **1000** na uwieńczenie autora, któryby zadanie przyjął i należycie rozwiązał.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej dzieląc myśl zacnego członka swego, oznaczyła bliżej w zeszycie Biblioteki z lutego 1846 roku warunki spółubiegania się do wyznaczonej przezeń nagrody, i zobowiązała się dodać autorowi powieści za najlepszą uznaną po złotych polskich **sześćdziesiąt** za każdy arkusz druku, i oprócz tego pięćset exemplarzy tejże powieści nakładem jej odbitych; niemniej zostawić mu prawo rozrządzenia dziełem swoim po ukończeniu druku jego w Bibliotece Warszawskiej. W końcu zastrzegła: że nowy przeciąg czasu do spółubiegania się byłby oznaczony, jeżeliby do dnia 1 maja 1847 roku, albo jedna tylko powieść była złożoną, albo żadnej ze złożonych nagroda nie była przyznana.

Gdy do dnia 1 maja 1847 roku nikt w szrankach nie stanął; redakcyja w zeszycie czerwcowym Biblioteki z roku 1853, przedłużyła czas dla spółubiegać się chcących do dnia 1 września 1854 roku, z zapowiedzeniem: że jeżeli i ten nowy termin bezskutecznie upłynie, summa złotych polskich **1000** na nagrodę wyznaczona, dawcy jej zwróconą zostanie.

Po tém powtórném wezwaniu, złożono w redakcyi Biblioteki Warszawskiej dwie konkursowe powieści: jedną o pięciu, drugą o dwóch tomach, obie zatem wiele przechodzące najmniejszą objętość w programmacie wymaganą, to jest pięć arkuszy druku.

Gdyby która z nich była została uwieńczoną, a tém bardziej gdyby przyszło było ważyć się w wyborze mię-

dzy obiema; byłaby redakcja poczytała za powinność opowiedzieć obu osnowę, porównać obu zalety i niedostatki co do pomysłu, układu i stylu, wreszcie wytłumaczyć się z powodów przyznania pierwszeństwa jednej nad drugą. Ale od tak szczegółowego rozbioru uwalnia redakcją tą okoliczność: że żadnej z nich nagroda przyznana nie jest; odwodzi zaś wzgląd na to: aby nie uprzedzać sądu publicznego, pod który może spodoba się autorom poddać rzechzone powieści, ogłaszając je drukiem.

Dlatego ogranicza się redakcja na ogólnej uwadze, że jakkolwiek w obu powieściach, w których bezskutecznie usiłowano obcym po największej części tutejszemu, a niekiedy niewłaściwym żadnemu społeczeństwu rysom, nadać rodzinny wyraz, przez kreślenie ich na tle domowém; widocznym jest niepospolity dar łatwego pisania i gładkiego wysłowienia się, a w pięciotomowej jaśnieje oprócz tego osobliwsze bogactwo wyobrażeń i fantazyi, zdające się zwiastować piśmiennictwu krajowemu, po dłuższej wprawie i głębszym stanu naszego społecznego poznaniu, godnego spółzawodnika głośnych na Zachodzie pisarzów, z pod których pióra wyszły *Tajemnice Paryża*, *Żyd wieczny tułacz*, *Monte Christo* i tym podobne utwory:—jednakże ani w jednej, ani w drugiej, zamiar ustanowiciela nagrody nie okazał się ziszczonym w tym stopniu, któryby usprawiedliwił jój przyznanie. Albowiem obu nie mogła redakcja ani z przedmiotu, ani ze sposobu wykonania uznać jak on życzył i jak wszyscy życzyć winniśmy, za dobrze obrobioną część rozłożonej epopei społecznego naszego życia; a oprócz tego autor pięciotomowej powieści, mniej jeszcze jak spółzawodnik jego zachował względu na poważną prze-

strogę ustanowiciela nagrody, daną pisarzowi romansu społecznego w tych wyrazach: „*Niech cię szlachetny geniusz poezyi strzeże od owéj drogi zatracenia, którą jest ROZPUSTA.*”

Po tak bezowocnym wypadku w roku 1846 ogłoszonego, a w roku 1853 ponowionego spółubiegania się; redakcyja Biblioteki Warszawskiej uznawszy konkurs za niedoszły, sumę złotych polskich **1000** dawcy jej zwrócić postanowiła.



ZAPIS

KSIEDZA PIOTRA SKARGI

DLA UBOGICH SZPITALA W GRÓJCU.

OBJAŚNIŁ

Leonard Wasiutyński.

W zeszycie Biblioteki Warszawskiej za miesiąc listopad 1851 r. umieszczoną była krótka wzmianka o zapisie księdza Piotra Skargi na szpital w mieście Grójcu, w dzisiejszym powiecie i gubernii warszawskiej położonóm. Ten pomnik prawdziwej miłości bliźniego, męża będącego zaszczytem narodu polskiego, zasługuje na ogłoszenie drukiem w całości; tém bardziej, iż, jak to już poprzednio wspomniano, w żadném z licznych pism i rozpraw o tym wiekopomnej pamięci mężu i jego dziełach nie zdarzyło mi się napotkać śladu wiadomości tego chwalebnego czynu. Sama nawet fundacya przez lat przeszło dwieście, skutkiem różnych okoliczności w zapomnienie puszczona, niedawno dopiero odgrzebaną została.

Obok oryginalnego tekstu łacińskiego, wypisanego z akt metryki koronnej, z księgi nr. 158, na karcie 86 i następnych, w archiwum główném Królestwa znajdującój się, zamieszczam dosłowne tłumaczenie polskie i stosowne objaśnienia.

Sigismundus III Dei gratia Rex Poloniae, Magnus Dux Lithuaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae, Livoniaeque; nec non Svecorum, Gothorum, Vandalorumque haereditarius Rex.

Significamus praesentibus litteris Nostris quorum interest universis et singulis:

Quod coram Actis Cancellariae Nostrae minoris personae liter comparens Generosus Andreas Bobola de magna et parva Piaski succamerarius Regni, Pilsnensis, Diboviensisque noster Capitaneus, sanus mente et corpore, recedendoque a terris, districtibus, palatinatibus, foris et jurisdictionibus suis quibusvis competentibus, se vero huic Nostrae jurisdictioni quo ad actum praesentem plene incorporando et subiciendo, sponte, palam et expressis verbis, recognovit:

Venerabilem olim Petrum Skarga antea Canonicum Leo-

Zygmunt IIIci z łaski Bożej Król Polski, Wielkie Książę Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflanckie i t. d. i Szwedzki, Gotski, Wandalski dziedziczny król.

Wszem wobec i każdemu z osobna, komu to wiedzieć należy, oznajmujemy:

Jako przed aktami kancelaryi naszój mniejszej, osobiście stanąwszy urodzony Andrzej Bobola, z Wielkich i Małych Piasków, podkomorzy koronny, a nasz pilzneński i dybowski starosta (1), zdrów na ciele i umyśle, zrzekając się sądów, jurysdykcyi, ziemstw, powiatów i województw sobie w jakikolwiek sposób właściwych; owszem do jurysdykcyi naszój kancelaryi co do aktu niniejszego w zupełności się wcielając i jej się poddając, jawnie, dobrowolnie i wyraźnie zeznał:

Jako Wielebny niegdy Piotr Skarga (2), poprzednio kanonik

(1) Zeznawający akt powyższy Andrzej Bobola herbu Leliwa, z wielkich i małych Piasków (pod Lublinem) podkomorzy koronny, starosta pilzneński, dybowski, gniewkowski; było mąż znakomity, dla swych cnót publicznych i prywatnych, ulubieniec Zygmunta IIIgo. O nim pisze Niesiecki „Godzien najwyższych honorów, gdyby się był z nich sobie ofiarowanych nie wylamywał.” A nieco dalej „taką miał opinią o swojej we wszystkich procederach roztropności, że się do niego po radę z Włoch, Francyi, Hiszpanii i Niemiec w interesach publicznych uciekano.” Skarga dedykował mu jedno z ostatnich dzieł swoich o czterech końcach żywota ludzkiego. Umarł roku 1617, przeżywszy lat 72.

(2) Piotr Skarga a właściwie Powęski pochodził z folwarku Skargów pod Grójcem, dziś pospolicie Jeneralskim zwanym, siedziby dziedzicznej jego rodziny. W siedmym roku życia otrzymał stopień doktora filozofii w Akademii krakowskiej, później wszedł do stanu duchownego i miał sobie nadane probostwo rohatyńskie, a dalej kanonią lwowską; następnie udał się do Rzymu i tam wstąpił do zakonu Jezuitów. Powróciwszy do Pol-

poliensem, post vero Societatis Jesu Theologum et Ordinarium seu Concionatorem Nostrum, atque recognoscenti praefato a juventute conjunctissimum cupivisse semper illic substantiam suam collocare, ubi patriam haberet optatissimam, cum non solum Sacerdote, verum et homine Christiano indignum duceret, hic relinquere unde exeundum, et illic non praemittere quo eundum est; ideoque certam pecuniae summam quae ipsi ex patrimonio obvenerat, designasse in perpetuam pauperum (quorum manus gazophylacium Christi sunt) provisionem et sustentationem, Xenodochiumque seu Hospitale oppidi Grodziec in Terra Cernensi et Diocesi Posnaniensi

lwowski, później Towarzystwa Jezusowego teolog i ordynaryusz czyli kaznodzieja nasz, a wyż wymienionego, zeznawającego od młodości najpoufniejszy, pragnąc tam zawsze mienie swoje umieszczać, gdzie jest dla niego najpożądanśza ojczyzna, i nie sądząc to być nietylko kapłana, ale i chrześciana godnem składać majątek tam, z kąd trzeba będzie uchoździć, a tam składania zaniedbać, dokąd podążać należy: z tych pobudek pewną sumę piędźżną, która mu się z ojcowizny została, przeznaczył na wieczne opatrzenie i utrzymanie dla biędnych (których ręce są skarbnicą Chrystusa), i xenodochią czyli szpital miasta Grodziec (3), w ziemi czerskiej a dyecezyi

ski powołany został na kaznodzieję króla Zygmunta IIIgo, któreto obowiązki blisko dwadzieścia pięć lat sprawował. Zostawił po sobie bardzo wiele pism homiletycznych, ascetycznych, polemicznych i do historii kościelnej należących. Z trzydziestu jego dzieł, które wylicza Niesiecki, trzy tylko są po łacinie, wszystkie zaś inne w języku ojczystym, którym tak mocno i płynnie pisał, iż go na czele klasycznych naszych mówców duchownych tak co do rzeczy, jako też co do samejże mowy słusznie umieszczają. Ubóstwo w pomieszkaniu a. w postawie jego pokora, zawsze się wydawały. Na dziełach swoich innego nie kładł napisu jak *ks. Piotr Skarga S. J.* nigdy tytułu kaznodziei królewskiego nie używając. Zwątlony pracą i laty, wyprosił się od dworu i do Krakowa przybywszy, w kilka potem miesięcy umarł 1612 r. mając lat 76; uczczony nagrobkiem w kościele So Piotra tamże.

Jeden z przodków jego często się na Janusza księcia mazowieckiego uskarżający i ztąd od niego *Skargą* przewany, nazwisko to i sam zachował i na swe potomstwo przelał. Wszelako drudzy z tejże linii idący przy dawnym swem nazwisku zostali. (Zob. Bentkowskiego Hist. lit. Polskiej tom I k. 647, Niesieckiego Herbarz tom III k. 714).

(3) Ciekawą rzeczą byłoby dojsć, ile właściwie Skarga zostawił Boboli funduszu na opatrzenie biędnych szpitala grojeckiego, i ile tenże za Sa dków zapłacił.

W wizycie generalnej biskupiej 27 września 1617 przez Pawła Piasieckiego archidyakona warszawskiego sporządzonej, w archiwum kościoła grojeckiego się znajdującej, któraby nas najlepiej poinformować mogła, jako w półtora roku po skutecznionym zapisie, znajdujemy wzmiankę w miejscu, gdzie jest mowa o stanie szpitala parafialnego:

situm, dotare proposuisse; modo autem et ratione huic rei apta sese non offerente, in eventum mortis recognoscenti praefato facultatem id perficendi, summa illa pecuniaria, in ejusdem recognoscentis dispositione relicta dedisse.

Cujus tam pium institutum idem recognoscens Generosus Andreas Bobola Succamerarius Regni ad effectum deducendo, voluntatique ejusdem sese per omnia accomodando, atque commisso sibi officio fideliter satisfaciendo, Bona infrascripta totas videlicet et integras sortes in haereditate Villarum Sadków et Wolka Sadkowska,

Aliud hospitale noviter fundatum ex derelictis Patris Petri Skargae qui reliquit 3500 flor., adjuncta est certa summa ex summis originalibus antiqui Hospitalis civitatis et mutuatu aliquot centena florenorum exempta est sors in pago Sadków cum septem cmetonibus et creverunt hoc anno ibi 150 Cassulae siliginis.

Zaś w aktach *donationum* grodu warszawskiego w księdze 42, fol. 867 w archiwum głównym krajowym zachowanej; 1614 roku Stanisław Rosochowski syn Stanisława, w imieniu swém i żony swój Anny z Jeżewskich zastawił dobra Sadków Andrzejowi Boboli za sumę 6000 złotych ówczesnych. Jest to ta sama transakcja, o której w zapisie wzmiankowano, drugiego tylko aktu z Mikołajem po Zacheuszu i Zuzanną z Wilkowskich Rosochowskiemi znaleźć nie mogłem.

Dziś Sadków po skutecznioném rozgraniczeniu z sąsiednią wsią Rozie, obejmuje włók nowopolskich 16, morg. 19, prę. 220 i nosił nazwę dotąd Duchownego, a właściwie powinien być nazywać się szpitalnym. Nomenklatura Wólka Sadkowska wcale nie istnieje, będąc widać dawniej wcieloną do Saukowa.

Co do wartości dzisiejszej złotego i miary cassula zwanój, patrz dalsze przypiski No 6 i 7.

Grodiec dzisiejszy Grójec, miasto przy drodze bitój krakowskiej o mil sześć od Warszawy położone.

poznaińskiej położonego, uposażyć przedsięwziął. Gdy mu jednak stosowna do tego nie nadarzała się sposobność, dał na przypadek swój śmierci, obecnie stawającemu możność doprowadzenia do skutku swego zamiaru, i sumę przerzeczoną do jego rozporządzenia zostawił.

Któreto tak pobożne postanowienie stawający, urodzony Andrzej Bobola podkomorzy koronny do skutku przywodząc, i do téj woli w zupełności się stosując, a zarazem sumiennie czyniąc zadosyć włożonemu na siebie obowiązkowi, całe dobra niżej wymienione, jakoto: całkowite części na wsiach Sadków i Wolka Sadkowska,

Drugi szpital świeżo uposażony z pozostawionych przez ojca Piotra Skargę 3500 złotych, do których dołączono pewną sumę z kapitałów oryginalnych dawnego szpitala miejskiego, i po dopożyczeniu kilkuset złotych, zakupioną jest część we wsi Sadków z siedmiu kmieciami, gdzie tego roku urodziło się 150 kop. żyta.

Terrae Cernensis et Districtus Grodzensis sitas, per memoratum recognoscentem a nobilibus Stanislaŏ Rosochowski olim Stanislai filio et Anna Jeżewska Conjugibus, nec non Nicolao Rosochowski olim Zachaei filio atque Zuzanna Wilkowska itidem Conjugibus, (mediantibus inscriptionibus binis seorsivis altera coram Judicio Terrestri Grodzensi, altera coram Officio Castrensi Cernensi recognitis) jure et titulo perpetuae ac irrevocabilis donationis in eum finem acquisitas, cum omni ac integro jure, dominio, proprietate, propinquitate, tituloque haereditario ac cum omnibus fundis, areis, aedificiis, structuris, hortis, pomariis, agris, campis, pratis, pascuis, silvis, borris, gais, nemoribus, indaginibus, mellificiis, apisteriis, aquis, stagnis, piscinis, lacubus, molenadinis, tabernis, cmethonibus, hortulanis, inquilinis et subditis quibusvis, eorumque laboribus, censibus, dationibus, emolumentisque, atque fructibus, proventibus, redditibus, commodis, ac utilitatibus universis ex praedictis bonis quoquo modo provenientes, et quaecumque in posterum humana industria adinveniri poterunt; nec non cum omnibus et singulis attinentiis et pertinentiis, ex antiquo ad eadem bona spectantibus, ita late, longe et circum-

w ziemi czerskiej, w powiecie grójeckim położone, przez wspomnionego stawającego od szlachetnych Stanisława, po Stanisławie Rosochowskiego i Anny z Jeżewskich małżonków, tudzież od Mikołaja po Zacheuszu Rosochowskiego i Zuzanny z Wilkowskich także małżonków, za dwiema tranzakcyami: jedną przed sądem ziemskim grójeckim, drugą przed urzędem grodzkim czerskim ze-znanemi prawem i tytułem wieczystej i nieodwołalnej darowizny na ten cel nabyte, z całym prawem opola i tytułem dziedzictwa ze wszelkimi gruntami, placami, budynkami, ogrodami, sadami, polami, rolami, łąkami, pastwiskami, lasami, borami, gajami i zaroślami, barciami, pszczelnikami, wodami, mokradłami, stawami, sadzawkami, młynami, karczmannami, kmieciami, zagrodnikami, komornikami i poddanemi jakiegokolwiek, z ich pańszczyzną, czynszami, daninami, przychodami oraz korzyściami, dochodami, wygodami i wszelkimi użytkami z dóbr wymienionych, w jakikolwiek sposób pochodzącemi, i z tém, cobykolwiek nadal przemysł ludzki mógł w nich wynaléć, jako téż ze wszystkimi przyległościami i przynależnościami do rzeczonych dóbr zdawna należącemi w takiej rozległości, w jakiej

ferentialiter prout videlicet memorati conjuges ea bona tenuerunt et hactenus ipse recognoscens tenet et possidet, ac prout illa in suis metis et limitibus continentur. Hospitali seu Xenodochio recensito Grodzensi, pro victu et sustentatione pauperum per Provisores et Patronos ejusdem Xenodochii infra specificatos conscribendorum et adsciscendorum dedit, donavit, fundavit et resignavit irrevocabiler, perpetue ac in aevum. Presentibusque dat, donat, fundat, inscribit et resignat jure et modo perpetuae ac irrevocabilis donationis, nihil ad ea bona juris, domini, proprietatis ac propinquitatis, nihilque honorum ipsorum seu quorumcunque ex eis provenientium, vel quaecunque provenire poterint utilitatum et fructuum pro se et suis successoribus aliove quopiam reservando seu excipiendo, sed totum et integrum jus suum supra expressum cum paratis evictionibus, prout in iisdem binis supra descriptis, inscriptionibus sigillatim et in specie descriptae habentur, cum aliis omnibus cautelis et ligamentis in hoc idem Hospitale seu Xenodochium Grodzense sive ejus infranominatos Patronos et Provisores plenaliter et in effectum transfundendo in forma transfu-

wspomnieni małżonkowie dobra te posiadali, i jak je obecnie stawający dotychczas dzierży i posiada, a jak się one w granicach swoich rozciągają, szpitalowi czyli xenodochii wspomnionój grojeckiej na żywienie i utrzymanie biednych, przez wymienionych poniżej prowizorów i opiekunów tejże xenodochii zapisać i przyjąć się mających dał, darował, przeznaczył i nieodwołalnie odstąpił nazawsze wiecznymi czasy. Jakoż one aktem niniejszym daje, daruje, przeznacza, zapisuje i odstępuje, a to prawem i sposobem wieczystej i nieodwołalnej darowizny, nie sobie ani swoim sukcesorom, ani komubądź z prawa własności i opola dóbr tych ani z nich samych lub z nich pochodzących albo pochodzić mogących użytków i korzyści nie zachowując ani wyłączając, ale owszem całe wyżej opisane prawa swoje i ewikcyę sobie służące tak, jak te wyżej wspomnionemi dwoma aktami urzędowemi poszczegółowo są opisane, ze wszystkimi innemi zastrzeżeniami i obowiązkami na tenże szpital czyli xenodochią w Grójcu, czyli na niżej namięnionych jego opiekunów i prowizorów całkowicie i rzeczywiście przelewając, w najzupełniejszej i najdokładniej-

sionis et translationis juris plenissima et perfectissima.

In qua quidem Bona praesentibus donata et resignata intromissionem cum possessione reali et pacifica Provisoribus et patronis Hospitalis supradicti, jam ex nunc et defacto per Ministerialem Regni Generalem et duos nobiles quos sibi elegerint et habere poterunt dat et admittit praesentibus.

Ut autem Bona supra specificata pro Hospitali recensito Grodzensi fundata, ex re et commodo ejusdem Hospitalis administrantur, atque a damnatoribus defendantur, fructusque et proventus ex eis provenientes, non in alios quam pauperum dicti Xenodochii usus conferantur, supramemoratus recognoscens Generosus Andreas Bobola Succamerarius Regni ex mera voluntate defuncti venerabilis Petri Skarga uti fundatoris, Patronos et Provisores Rectoresque ejusdem Xenodochii Grodzensis et Bonorum ejus supraspecificatorum constituit jam ex nunc et in perpetuum:

primo loco nobilem Joannem Powęski commemorati fundatoris venerabilis olim Petri Skarga..... et post decessum ipsius eum qui ex domo et familia consanguinitateque ejus-

szęj przelewu prawnego formie.

Do którychto dóbr niniejszém darowanych i odstąpionych, intromissyi z posiadaniem rzeczywistem i spokojnem prowizorom i opiekunom wyżej rzeczzonego szpitala przez woznego i dwóch szlachty jakichby sobie wybrali lub znaleźć mogli, niniejszém dopuszcza i dozwała.

Aby zaś dobra wymienione dla wspomnionego szpitala grójeckiego nadane istotnie i z dogodnością na rzecz tego szpitala mogły być zarządzanemi i od szkody bronionemi, a korzyści i dochody z nich pochodzące, aby nie na czyj inny, ale na biednych rzeczzonego szpitala pożytek były obracane: wyż rzeczony zeznawający, urodzony Andrzej Bobola podkomorzy koronny, opiekunów, prowizorów i rektorów dla tegoż szpitala grodzkiego i dla dóbr jego wyżej wyliczonych, teraz i wiecznemi czasy z wyraźnej woli zmarłego wielebnego Piotra Skargi, jako jego założyciela, nazaczył:

na piérwszém miejscu szlachetnego Jana Powęskiego wspomnionego założyciela wielebnego niegdy Piotra Skargi..... (4), a po jego śmierci tego, któryby z rodziny i kre-

(4) Wyraz stopnia pokrewieństwa w oryginale opuszczony, zapewne dla chwilowej niewiadomości dokładnej takowego; później przez zapomnienie nieuzupełniony pozostał. Domyslać się można: ojciec, brat, krewny lub tym podobnie.

dem olim venerabilis Petri Skarga tunc natu major extiterit, in cujus tandem morte interveniente locum, alius ex eadem prosapia itidem natu major succedere debet, atque sic consequenter;

secundo loco venerabilem Parochum Ecclesiae Grodzensis;

tertio loco Proconsulem opidi ejusdem Grodziec modernos et pro tempore existentes.

Qui quidem Patroni et Provisores omnes conjunctim Hospitalis illius curam gerendi, pauperes conscribendi et suscipiendi providendique, bona supra expressa pro eodem Xenodochio fundata et donata regendi, gubernandi augendi et propagandi, de fructibus eorum disponendi, et ordinandi, facultatem habebunt plenariam. Ita tamen, ut nullus eorum dicta bona arendae vel quovis alio titulo obtineat et possideat, verum omnes unanimiter personas aliquas idoneas, possessionatas, non suspectas et bonae conscientiae, duas aut tres vel etiam unam prout necessitas postulaverit, autoritate sua in Administratores eorundem bonorum et dispensatores proventuum eorum, toties quoties visum ipsis fuerit, deligant et substituant tam ad utraque ea munia conjunctim, quam ad alterum eorum seorsim obvianda.

wnych tegoż wielebnego Piotra Skargi był wiekiem najstarszym, po którego znowu zgonie inny z tegoż pokolenia starszy wiekiem następować ma, i tak dalej;

na drugiem miejscu wielebnego plebana kościoła grojeckiego;

na trzeciem burmistrza tegoż miasta Grodziec, terażniejszego i następnych.

Którzyto opiekunowie i prowizorowie wszyscy wspólnie będą mieli zupełną władzę około potrzeb tego szpitala chodzić, ubogich zapisywać, przyjmować i ich utrzymywać, dobrami wyż wyrażonemi szpitalowi temu darowaniami zarządzać, one pomnażać i rozprzeżstrzeniać, a przychodami z nich rozporządzać. Tak wszakże, aby żaden z nich rzeczonych dóbr dzierżawą ani jakimkolwiek inném prawem nie trzymał ani posiadał, ale aby wszyscy wspólnie zdadne jakie i osiadłe a niepodejrzane i dobrego sumienia osoby dwie albo trzy, albo nawet jedną, stosownie do tego, jak wymagać będzie potrzeba i tylekroć ilekroć im się zdawać będzie, na zarządców dóbr i zawiadowców funduszów szpitala wybrali i przedstawili, a to albo do obu tych obowiązków razem, albo téż do każdego z nich z osobna.

Ipsi autem Administratores et Dispensatores bona illa Hospitalis ex re et utilitate ejus, sive potius pauperum a Provisoribus et Patronis supradictis conscribendorum, annuatim vel sicut ipsis fuerit commissum administrabunt fructus et proventus eorum procurabunt eosque ad manus suas percipient atque in victum pauperum quos Patroni et Provisores ad Hospitale praedictum susceperint, juxta ordinationem infrascriptam, et de caetero a Provisoribus et Patronis faciendam, exponent et erogabunt; perceptorum vero et erogatorum rationem sufficientem singulis annis pro festo Purificationis Beatae Mariae Virginis, Patronis et Provisoribus reddere tenebuntur, cuncta bona fide sine deceptione pauperum sub onere conscientiae peragenda.

Quod si hujusmodi rationibus audiendis et excipiendis aliquando Provisor et Patronus primarius qui ex domo et familia consanguinitateque venerabilis olim Petri Skarga fundatoris esse debet sive hic supranominatus, sive qui ei juxta inscriptionem praesentem successurus est ob distantiam loci vel alia sua impedimenta adesse non potuerit, ex tunc

Sami zaś administratorowie i szafarze dobrami szpitala na jego korzyść czyli raczej na korzyść ubogich, przez wymienionych wyżej prowizorów i opiekunów przyjętych rocznie, albo tak jak im będzie powierzono, zarządzać, korzyści i przychody z nich obmyślać, one do rąk swych pobierać i na żywienie ubogich, których opiekunowie i prowizorowie do wspomnianego szpitala przyjmą, wedle poniżej opisanego albo przez tychże rządzców i opiekunów ustanowić się mającego porządku, wydatkować będą. Rachunek zaś dostateczny z przychodów i wydatków corocznie na święto Oczyszczenia Najświętszej Maryi Panny (5), opiekunom i prowizorom będą zdawać rzetelnie bez krzywdy ubogich i pod odpowiedzialnością sumienia.

Gdyby zaś kiedy odebraniu i wysłuchaniu tych rachunków główny opiekun z rodziny i krewnych wielebnego niegdy Piotra Skargi nadawcy, bądź wyżej wymieniony, bądź jego wedle powyższego opisania następcą, nie mógł być obecnym dla odległości miejsca lub innéj przeszkody: w takim przypadku zdatną jakową osobę na swoje miejsce nazna-

(5) Święto Oczyszczenia Najświętszej Panny wypada 2 lutego.

personam aliquam idoneam in locum suum subdelegabit, quae rationes illas cum reliquis Patronis et Provisoribus audiat et excipiat.

Item in omnibus et singulis dicti Xenodochii negotiis, praesertim vero causis judiciariis si quae ratione bonorum illius obvenierint, praesentiamque Provisorum requisiverint, eidem primario Provisori et Patrono facere debet esse integrum, excepta conscriptione et susceptione pauperum, quos reliqui Provisores Parochus videlicet cum Proconsule Grodzensi, non obstante ejusdem primarii Patroni ejusque subdelegati absentia, suscipere et ad Xenodochium introducere poterunt; habita ratione debilitatis et egestatis cujus libet, ne videlicet ex valentioribus et qui aliunde victum quaerere possent, numerus vere pauperum et ex bonis supra recensitis debite sustentandorum repleatur.

Porro fidei et religionis ne alterius cujuspiam quam Catholicae et orthodoxae Romanae aliquis immisceatur.

Si vero idem primarius Patronus tam ad audiendas rationes Administratorum et Dispensatorum, quam ad constituendos eosdem Dispensatores aliaque Hospitalis negotia et causas judiciares, subdelega-

czy, która wspólnie z innemi opiekunami i prowizorami rachunków tych wysłucha i one odbierze.

Tak samo wolno będzie naczelnemu prowizorowi i opiekunowi postąpić we wszystkich interesach rzezonego szpitala dotyczących, a zwłaszcza w sprawach sądowych, jakieby z powodu dóbr szpitalnych wynikły, a obecności jego wymagały, wyjąwszy zapisywanie i przyjmowanie ubogich, których pozostali rządzący, jakoto pleban z burmistrzem grojeckim, mogą bez względu na nieobecność tego głównego opiekuna lub jego zastępcy przyjmować i do szpitala wprowadzać; mając w tém wzgląd na słabość i niedostatek każdego, aby zdrowi, którzy gdzieindziej znaleźć sobie mogą wyżywienie, liczby prawdziwie biednych i z powyższych dóbr utrzymywać się mających, nie zapelniali.

Co się zaś wiary i religii dotyczy, aby między nich nikt inny jak tylko prawowierny katolik rzymski był przyjmowany.

Gdyby zaś główny opiekun bądź do wysłuchania rachunków administratorów i szafarzy, bądź do ustanowienia tych ostatnich albo do innych interesów i spraw sądowych szpitala, zastępcę swego przysłać

tum suum mittere neglexerit, id obesse Hospitali non potest; sed reliqui Patroni et Provisores ea omnia ex re, commodo, et necessitate ejusdem Hospitalis expediendi exequendique, potestatem habebant omnimodam.

Et quoniam ea est Bonorum recensitorum pro Hospitali supradicto fundatorum qualitas, ut solius hycamalis frumenti crescentiae sperari certo possint ad minimum ducentae et plures etiam trecentae Cassulae, quarum singulae ut est communis ratio vilius aestimari non possunt quam duobus florenis polonicalibus, praeter crescentiam frumentorum aestivalium, et census aliosque redditus et fructus dictorum Bonorum qui jam sunt, et adhuc inveniri humana industria possunt, quae omnia in victum et sustentationem seu provisionem pauperum Xenodochii illius cedere debent; ideo supradictus recognoscens Generosus Andreas Bobola succamerarius Regni, ex intentione defuncti fundatoris statuit et ordinat (prout communi aestimatione

zaniedbał: to szpitalowi wcale przeszkadzać nie może, lecz w takim razie inni opiekunowie i prowizorowie będą mieli moc wszelką wszystko to podług dogodności albo potrzeby tegoż szpitala urządzić i wykonać.

A ponieważ taki jest rodzaj dóbr szpitalowi powyższemu nadanych, iż z nich samego ozimego zboża najmniej dwieście i więcej, a często nawet trzysta kop. (6) spodziewać się należy, z których każda wedle zwykłego rachunku niżej dwóch złotych polskich (7) liczoną być nie może, oprócz krescencyi w jarzynie oraz czynszów lub innych dania i korzyści z dóbr namienionych, które już istnieją a jeszcze ludzkim przemysłem pomnożone być mogą, co wszystko na żywność i utrzymanie czyli opatrzenie ubogich tego szpitala winno być obracaniem: przeto wymieniony wyżej urodzony Andrzej Bobola podkomorzy koronny, zgodnie z życzeniem zmarłego nadawcy postanowił i rozporządza, aby (tak jak to wedle powszechnego mniema-

(6) Ileby na dzisiejszą miarę *cassula* ówczesna wynosiła, ze ścisłością dojsć ani z Dukangé'a, ani z Czackiego nie mogłem; znajduje się tylko w Voluminach legum Tom I karta 424 i 425 wzmianka: octo *Cassulae* foeni in prato receptae quae pensant ad viginti grossos (ośm kop siana z łąki zebrane, które ważą do dwudziestu groszy). Zdaje się więc, że *cassula* oznacza kopę, bo tamże powiedziano „pro receptione faeni aut frumentorum“ (na odbiór siana albo zbóż).

(7) Złoty polski podług Czackiego w roku 1611 wart był dzisiejszych złotych 6 groszy $25^{50}/_{10}$; w 1616 spadł na złotych 6 groszy 12, grosz zaś ówczesny odpowiada naszym groszom $6^{60}/_{10}$ w 1611, a w 1616 $6^{50}/_{15}$.

censetur possibile) ex fructibus et redditibus ejusmodi pauperes ali et sustentari ad minimum viginti, quibus etsi melior ex tot redditibus praescribi posset sustentatio et provisio, ne tamen vel minimi defectus allegationi locus dispensatoribus relictus esse videatur, tenebuntur Administratores et Dispensatores modo praemisso a Provisoribus constituendo, certo procurare, et singulis diebus exhibere, cuilibet pauperum a Provisoribus susceptorum et suscipiendorum, panem pro medio grosso, cerevisiae mediam ollam, frustum carnis boviniae justum cum oleribus, diebus vero festis ob solennitatem eorumdem debebunt eis adhibere tertium aliquem cibum seu escam.

Quiquid autem ultra expensas in ejusmodi alimoniam necessarias superfuerit, prout superfuturum esse nemini dubium fieri potest, cum hic sicuti proventus satis tenuiter et moderate aestimati et recensiti sunt, ita quoque sumptus satis modici ponantur, ne quaquam id potest converti in alios, quam pauperum Xenodochii illius usus, nimirum in amictum et lectisternia Hospitalisque restaurationem ac alias eorum necessitates.

Quod ut Patroni et Provisores Hospitalis supradicti pro officio pietatis et alioquo unus-

nia może być uskutecznoném) z tych korzyści i dochodów najmniej dwudziestu ubogich żywionych i utrzymywanych było, którym lubo z tych przychodów lepsze możnaby utrzymanie i opatrzenie naznaczyć, przecież dla nie zostawienia pola szafarzom do wymówek i usprawiedliwian, by téż najmniejszego niedoboru, rządcy i szafarze powyższym sposobem ustanowieni, winni będą koniecznie obmyśleć i codziennie każdemu z ubogich przez prowizorów przyjętych albo przyjęć się mających, chleba za pół grosza, piwa pół dzbanka, kawał mięsa wołowego przyzwoity z jarzyną, a w dni świąteczne z powodu uroczystości, trzecie jeszcze jakie jedzenie czyli strawę dawać.

Coby zaś od wydatku na tego rodzaju żywienie pozostało, a że pozostanie o tém wątpić nie można, ile że tu jak przychody dosyć skromnie i umiarkowanie oszacowane i ocenione, tak i wydatki dosyć pomierne położone zostały: to w żadnym razie nie może być na inny użytek obrócone, jak na użytek ubogich tego szpitala, jakoto: na odzież, łóżka, naprawę szpitala i inne ich potrzeby.

Co zostawia się ucziwości i sumieniu opiekunów i prowizorów, aby się powyższego

quisque eorum fidei et conscientiae committitur. De quibus sicut et de Administratoribus atque Dispensatoribus supradictis speratur, quin tam si quam illi ex commissis sibi muneribus illorumque executione diligenti nihil aliud quaerent, quam ut Deum optimum Maximum qui nullum bonum irremuneratum et nullum malum impunitum esse sinit, sibi propitium efficiant, proximisque suis hoc est pauperibus Xenodochii praefati, quam maxime poterint, consulant.

Ne autem hoc pietatis opus in pauperes venerabilis olim Petri Skarga Societatis Jesu Theologi lateat, sed ut ipsius fundatio ordinatioque praesens cunctis innotescat, atque ad eodem quaecumque opus fuerit recurri possit, puncta omnia ejusdem fundationis et ordinationis cum specificatione loci et temporis quo est facta et inscripta, in tabulis binis, quarum una lapidea altera vero lignea esse debet, scalpi, pingi et exprimi; tabula vero ipsa lapidea cum inscriptione, seu sculptione, ac pictura ejus modi, in poste valvarum Ecclesiae pro palam, altera vero lignea in vestibulo seu Atrio ejusdem Xenodochii loco perspicuo col-

trzymali, wedle tego rozporządzeni i pilnemieli staranie, mając to za obowiązek pobożności albo inny jaki do którego się każdy z nich poczuwa, o których równie jak o rządzcach i szafarzach wyżej wymienionych spodziewać się należy, że tak ci jak owi we włożonych na siebie obowiązkach i ich pilnym wykonaniu niczego innego szukać nie będą, jak tego, aby sobie Wszechmogącego Boga, który żadnego dobrego czynu bez nagrody a żadnego złego bez kary nie pozostawia, miłosierdzie zjednali, i aby bliźnim swoim, to jest ubogim w szpitalu powyższym, byli o ile mogą pożyteczni.

Aby zaś to dzieło miłości względem ubogich wielbnego niegdy Piotra Skargi teologa Towarzystwa Jezusowego nie zostało w ukryciu, ale owszem aby jego nadanie i obecna ustawa wszystkim były wiadome i aby do nich można się było odwołać ile razy tego zajdzie potrzeba: wymienieni wyżej zawiadowcy wszystkie szczegóły tego nadania i ustawy, z wyrażeniem miejsca i czasu, gdzie i kiedy zrobioną i napisaną została, na dwóch tablicach, z których jedna kamienna, druga drewniana być powinna, wyrycić, wypisać i wyrazić, i tablicę kamienną z napisem lub rzeźbą rytą na widoku w krużnicy kościelnej, drugą dre-

locari, a Dispensatoribus supra commemoratis debebunt.

Quae quidem praemissa omnia et singula, ut eo plenius et certius perficiantur et ad debitum deducantur effectum, utque fundatio et ordinatio praesens tam in toto quam in quavis minima parte, salva semper et illaesa conservetur, auctoritati, jurisdictioni et potestati loci ordinarii de jure et consuetudine in tali passu competentis, recognoscens supra dictus ex voluntate defuncti fundatoris hoc totum providendum et exequendum relinquit, praesenti sua recognitione mediante, quam Nos ad petitionem ejusdem recognoscentis ad acta Cancellariae Nostrae minoris suscepti, eis inseri, ac demum ex eis extradi mandavimus. In cujus rei fidem praesentes sigillo Regni nostri communiri jussimus. Datum et actum Varsaviae feria quinta post Dominicam Passionis proxima anno Domini millesimo sexcentesimo decimo quinto, Regnorum Nostrorum, Poloniae vigesimo octavo, Sveciae vigesimo secundo.

Relatio Reverendi Henrici Firlej de Dąbrowica Plocensis,

wnianą malowaną w przedsiönku samego szpitala w miejscu również widoczném zamieścić winni (8).

Co wszystko w ogóle i każde z osobna aby tém zupełniej i pewniej było wykonywane i do należnego doprowadzane skutku, i aby niniejsze nadanie i ustawa tak w całości, jak w najmniejszej swojej części nietknięte i nienaruszone były zachowanemi; wyżej wymieniony zeznawający z woli zmarłego nadawcy czuwanie nad tém i wykonanie, władzy, powadze i mocy miejscowego proboszcza, jako wedle prawa i zwyczaju do tego właściwej, porucza, a to za pośrednictwem niniejszego swego zeznania, które na prośbę tegoż zeznawającego do akt kancelaryi naszej mniejszej przyjąć, do nich zaciągnąć, i nakoniec wypis z nich wydać poleciliśmy. W dowód czego akt niniejszy pieczęcią naszą królewską opatrzyć rozkazaliśmy. Działo się w Warszawie, w piątek po niedzieli Białej roku Pańskiego tysiąc sześćset piętnastego, panowania naszego w Polsce dwudziestego ósmego, a w Szwecyi dwudziestego drugiego.

Na przedstawienie wielbnego Henryka Firleja z Dą-

(8) Tablic tych nigdzie śladu nie ma, i zdaje się, że wcale nie istniały.

Miechoviensis et Sancti Michaelis in arce Cracoviensi Praepositi, Regni Poloniae Vice-Cancellarii.

browicy, plockiego, miechowskiego i u świętego Michała na zamku krakowskim proboszcza, podkanclerzego koronnego.

Dla zupełnego objaśnienia powyższego czynu dodać winienem: iż Piotr Skarga (jak pisze Bentkowski w wyżej przytoczoném miejscu) powodowany miłością ludzkości, założył w Krakowie bractwo miłosierdzia, dla którego sam ustawy napisał; toż potem bractwo i po innych w Polsce miejscach, jakoto w Poznaniu, Wilnie, Lublinie rozkrzewił, a w Warszawie z bractwem św. Łazarza złączywszy, szpital dla ubóstwa przy ulicach leżącego z jałmużny wybudował. Nie cczą więc tylko deklamacją, ale czynem poparte były wyrazy, które w jedném ze swych licznych kazań wyrzekł, a od których przytoczenia tutaj wstrzymać się nie mogę, jako wzoru prawdziwej pobożności i wymowy kaptana, naśladowcy Chrystusa:

„Dobrze nabożeństwa pilnować, ale też dobrze ubogim służyć; dobrze bogomyślnością i pustynią się bawić i o swojém tylko zbawieniu myśleć, ale też dobrze drugich nauczać i o ludzkie zbawienie się starać. Dobrze dusze swoje i ludzkie opatrywać, ale też dobrze bliźnich karmić i odziewać. Każdy gdy według swego powołania czyni co dobrego i nie próżnuje, miłość Boga i bliźniego mając, na wiecznych dobrach i zapłacie nie traci. Ale kto obiedwie zabawy odprawować może: Bogu służyć i bliźnim, ten jest daleko doskonalszy. Zbawiciel świata często na pustynię wychodził, ale się wnet wracał i ludzkie dusze i ciała leczył, i gdy potrzeba było głodne karmił i chorym służył. Przy modłach naszych potrzebny, głodny, więzień, gość, chory i inni strapieni niech pomoc znajdują. Więcej u Boga ten występuje, który wielom pożytek czyni, niżli gdy się na modlitwie zamyka.”

ZAMKNIĘCIE CYRKU.

(SCENA Z POCZĄTKU V WIEKU CHRZEŚCIAŃSTWA).

W amfiteatrze tłum legł różnowzory:
W poczesném miejscu, w cieniu baldachimu
Ze Stylikonem siadł cesarz Honory,
Władca imienny, z istnym panem Rzymu.
A tłum uważnie umysłem i okiem
Patrzy w arenę, kędy dzikim krokiem
Wstępują rzędem nagie gladiatory.

Rzym coś posmutniał po bogów utracie:
Nad katakumbą świta jutrznia chwały,
Chrześcianizm wygrał sprawę swą w senacie,
Forum i Kurya dawno oniemiały:
Coż zasię robić, kiedy Rzym się nudzi?...
Dać ku rozrywce mu ofiarę z ludzi.

Póki był młody, wtedy i świat cały
Było mu nie zbyt: dziś ma inne cele,
Dzisiaj staruszek nie żąda tak wiele.
On zmordowany podbojami świata,
I przeczuwając dolę fenixową,
Pragnie spokoju na swe stare lata:
On chce się bawić nie mądrować głową.
A czyż zabawka miłszą mu być może,
Jak gdy wnętrznosci człek człeku rozporze?
Bo nazbyt długo dla jego zabawy
Z łaski cesarów lał się potok krwawy,
Tak, że mu dzisiaj na widok areny
Oczy się iskrzą jak slépie hijeny.

Trąby, bębny hasło dały,
Występują zapaśnicy:
Io, io! gród wilczycy
Grzmi, aż cyrk się trzęsie cały.

Dwaj szermierze idą śmieie,
 Wraz się rzucają, i po chwili
 Jak serdeczni przyjaciele
 Piers do piersi przyłożyli,
 I tak dłońmi splecionemi
 Wzajem chcą się zgiąć ku ziemi.
 Obu krwią nabiegły żyły,
 Obu krwią nabiegły oczy;
 Ale równe obu siły,
 Nieruchomy bój się toczy:
 Rzekłbys patrząc w nich z oddali,
 Że ci ludzie skamieniali.
 Lecz z ich oczu i z ich twarzy
 Widać walkę straszną, długą:
 Siła siłę równoważy,
 I pot wrzący kipi strugą.
 Który padnie temu biada!
 Puszczą ręce i odbiegą,
 I znów jeden na drugiego
 Z zacisniętą pięścią wpada,
 Że aż kość o kość zachchrzęści
 Pod żelaznych ciosem pięści.
 Gęste razy lecą z góry...
 Lud z rozkoszy aż się pieni,
 Bo już, już z przeciętej skóry
 Piasek cyrku krew rumieni.
 Jeden wreszcie na kolano
 Przyklął, blednie i upada;
 A śmierć widząc niezblaganą,
 Malowniczo członki składa,
 By w obliczu władców świata
 Bez skrzywienia, i bez jęku
 W ślad Cezara lub Torkwata
 Umrzeć, w całym śmierci wdziękku.

Wtém, kiedy oni bój kończą zajadły,
 Razem gdzieindziej oczy widzów padły.
 Mąż siwowłosy pomarszczonej twarzy,
 W której miłości cichy płomień żarzy,
 Mnich, w pustelnicznej zbliża się odzieży,
 Staje pośrodku krwią zlanym szermierzy,
 Ręką cyrk cały przeżegnał dokoła,
 I do przytomnych wielkim głosem woła:
 „W imię Chrystusa Zbawiciela świata
 Porzucicie, bracia! te sromotne sprawy.

Godziż się ludziom dla sprośnej zabawy
 Na rzeź publiczną wyprawować brata?
 Dziwny to widok między chrześciany
 Gwoli rozpusty gladiator chowany:
 To grzech i zgroza w chrześcijańskim świecie!
 Tedy was błagam braterskiemi słowy:
 Potłumcie owe pogańskie narowy,
 Czyńcie pokutę, bo śmiercią zginiecie.
 Wróg na was idzie: więc nie kuście Pana,
 Bo krwią się jedno zmywa krew rozlana;
 A straszną będzie tym sądu godzina,
 Przeciwno którym staje grzech Kaina.
 Jakoż myślicie? Lud srodze się żali,
 Gdy mu kto posąg na ziemię obali;
 Ależ, zaprawdę, czém ten posąg?—niczem,
 Krom bóstw fałszywych kamienném obliczem.
 A człowiek, który, jako w duszy święty,
 Ma być obrazem prawdziwego Boga,
 W rodzonym bracie napotyka wroga,
 Który z dzikimi równa go zwierzęty,
 I dla igraszki krew mu toczy z serca.
 Jednaki grzesznik—świadek czy morderca.
 Obywatele! mnich wam przypomina
 Błogosławione prawo Konstantyna:
 Zamknijcie cyrki, nie czekajcie pory,
 Gdy sam Bóg na was naśle gladiatory,
 Których ramienia moc wasza nie wstrzyma;
 Gdy zdziwionemi ujrzyście oczyma
 Przy huku gromów zewsząd łuny krwawe,
 Co wzrok wasz olśnią i przerwą zabawę.“

Przestał i postać schyliła się drżąca.
 Przez chwilę jeszcze słuchacze milczeli,
 Lecz wnet cyrki ryknął—i z piersi tysiąca
 Okrzyk się wyrwał jak z jednej gardzieli:
 — „Ukamenować!“ i tysięczne dłonie
 Gradem kamieni sypną w starca skronie,
 Tak, iż niebawem kamienna mogiła
 W środku areny ciało jego skryła.
 Jeszcze na zwłoki lud pędził jak wściekły,
 Wtém wstał Stylikon i skinieniem ręki
 Pogroził tłumom, i tłumy uciekły
 Jak niedoperze przed światłem jutrzeńki,
 A stary Wandal rzekł cichemi słowy:
 „O! podły ludu, krwiożądne półtrupie,
 Co wieńcem zdobisz potworne i głupie,

A mędrców święte kamienujesz głowy!
Jam chciał do życia przyprowadzić ciebie,
Dźwignąć i soki zasilić świeżemi,
Lecz któż cię zdoła ocalić na ziemi,
Gdy snadź twą zgubę Bóg zapisał w niebie.
Nie nam to zwalczać moc Jego wyroków!....
Gdzież ten lud znajdzie po trupach proroków?...“

Na kartach pergaminu klasztorna kronika
Przekazała potomnym ów czyn pustelnika:
Miał on w górach Cylicyi Telemacha imię;
A słysząc, że na festy zanosi się w Rzymie,
Szedł z rozańcem u pasa, w pokutnej oponie,
Powstrzymać od okrucieństw błędnych braci dłonie,
I stało mu się zadość. Rzym w późniejsze lata
Chodzi tylko w zapasy w wielkim cyrku świata,
Lecz chowani do igrzysk nie stają szermierze,
Odkąd duch męczennika wrot areny strzeże.



WYCIECZKA

ARCHEOLOGICZNA PO GUBERNII WILEŃSKIEJ.

PRZEZ

Jana ze Śliwina.

(Dokończenie).

II.

Lidzki powiat złożony z dwóch elementów: czysto litewskiego i słowiańskiego. Litwini zajmują część północną powiatu, przyległą do trockiego. W tymże powiecie, na północy było niegdyś osobne księstwo Dejrowskie, podbite w roku 1180. Za czasów Olgerda kraj ten stanowił osobne księstwo, wcielone później do województwa wileńskiego. Po przyłączeniu Litwy do Rosyi, powiat lidzki należał do gubernii słonimskiej, od roku 1801 do grodzieńskiej, a od 1843 do wileńskiej. Z wieśniaków Litwini dotychczas mówią po litewsku, Rusini po białorusku. Pierwsi wszyscy wyznania rzymsko-katolickiego, a ostatni dawniej unicy, dziś greckiego.

W lidzkim powiecie, niedaleko Radunia sławnego dawnymi okopami zwanymi Horodyszczem, o mil 3 od stacyi pocztowej Żyrniany, leży majątek Szawry, własność naszego zasłużonego weterana Teodora Narbutta. W pięknym domku, otoczony liczną rodziną, wśród najdroższych archeologicznych zabytków, przez długie i mozolne życie na ziemi litewskiej uzbieranych, z ogro-

mną biblioteką i rzadkim zbiorem rękopismów, szanowny starzec, pozbawiony wśród niegdyś toczonych bojów słuchu, z sercem pełnym szlachetnych uczuć, w zaciszy pędzi dni swoje, tak chlubnie na usługę rodakom stępane. Znalazłem go bardzo podupadłym na zdrowiu, nigdzie nie wyjeżdża, i rzadko nawet z domu wychodzi. Zasklepiony w sobie, ciągle poprawia swoje dzieje Litwy, dodaje lub ujmuje, powiększa nowemi badaniami i odkryciami; każdy wynalazek archeologiczny, każde nowe dzieło lub artykuł nawet w rzeczach Litwy tyczący się, żywo go obchodzi. Przesiękłty że tak powiem pracą, i dziś nie pozwala sobie ani jednej chwili wytchnienia. Od rana do nocy zawsze z piórem lub książką zastać go można. Pamięć dodziśdnia zastanawiająca: na każdy wypadek ma zawsze w pogotowiu potrzebne fakta, a mimo ogromu ksiąg i rękopismów, z największą łatwością bez najmniejszych skazówek sam wnet znajduje czego mu tylko potrzeba.

Słodko mi tu ubiegło dni kilka!

O półtory mili od Szawr leży skarbowy majątek Dubicze. Na wyspie oblanéj jeziorem Pielusa, i rzeką Kótrą, wznosi się piękny kurhan opasany wałem i głęboką fossą. Tu był zamek myśliwski Witolda. Cała wyspa tak dalece zarośnięta stuletniemi dębami i drzewami, poprzerzynana parowami, że prawie niepodobieństwo przetrząść się przez środek. Mówią, że jeszcze niedawnemi czasy widać było wejście do głębi podziemnego lochu. Z Dubicz W. X. Witold wydał list rozejmowy Krzyżakom od dnia ś. Małgorzaty na rok okrążyły w dzień ś. Jakóba, 25 lipca 1421 roku. Drugi list jego do Eberharda W. Mistrza zakonu o zamianie jeńców, takóž datowany z Dubicz, 6 marca 1415 roku.

W Dubiczach piękny i dość duży filialny kościół, według podania fundowany jakoby przez królowę Bonę. Nie mogłem w żaden sposób sprawdzić tego podania; to tylko pewno, że w r. 1737 na nowo odbudowany przez starostę Jakóba Kuncewicza.

W wielkim ołtarzu jest piękna kopia posągu Pana Jezusa Antokolskiego, równieź i tu słynąca cudami. Lud tutejszy nie chce żeby to była tylko kopia; owszem twierdzi, że jest autentyczną statua, kupioną w Turcyi i złamną aż na miejsce przywiezioną na dwunastu wo-

łach. Powiadają także, że gdy inaczej nie można było wykupić téj statuy jak na wagę złota, nabywca chociaż ubogi, lecz pewny łaski wyższej, zgodził się, a gdy figurę położono na szalę, zaważyła tylko tyle, ile waga jednego dukata.

Niedaleko Szawr i Dubicz w skarbowym majątku Koniawa, przy wsi Ogrodnikach, wśród lasu sosnowego znalazłem dwa kurhany. Po rozkopaniu, na półtora łokcia pod poziomem, w jednym z nich znalazłem kilkanaście przepalonych kosteczek ludzkich, sierp i wędzidło, w drugim zaś nic, oprócz kilku kosteczek. Ileż to wieków ubiegło, kiedy samo żelazo uległo zupełnemu zniszczeniu, bo niezawodnie oprócz sierpa i wędzidła musiały tu być inne sprzęty. Sierp daleko mniejszy od naszych, zawiera w cięciwie swojego łuku zaledwo 20 cali. Rękojeść 13 cali. Zdaje się, że zębów zupełnie nie miał, chociaż rdzą tak przejezdzony, że trudno z pewnością twierdzić; wszakże zdaje się prawie niepodobnem, aby mógł być używany do żęcia żyta, chyba do jarzyn.

Za miasteczkiem Wasiliszkami, mil 5 od miasta Lidy, zaczyna się obszerna płaszczyna, mająca wiorst 15 obwodu, znana pod głośnym imieniem Szejbak-pola.

Równina ta była teatrem zaciętej walki Litwinów z groźnym przeciwnikiem Tatarem. W roku 1241, kiedy książęta ruscy pod pogromem tatarskim upadający, nie mogli się oprzeć ich sile, a litewscy książęta korzystając z niedoli sąsiadów zagarnęli pod swą władzę Nowogródek, Słonim, Brześć, Wołkowysk, Grodno i cały kraj od tych miast zależący, wygnali baskaków tatarskich i swojemi załogami osadzili; nowe zastępy Tatarów pod dowództwem Szejbaka brata Batego, dążyły ku Litwie dla pomszczenia swojej zniewagi i lekceważenia. Odważni Litwini pod dowództwem walecznego księcia Erdziwiłta pospieszyli na ich spotkanie. Wielka bitwa stoczyła się (w r. 1242) właśnie na tej równinie. Tatarzy byli na głowę pobici i wygnani. Sławne to zwycięstwo wielki wpływ wywarło na losy Litwy i Tatarów, wstrzymało dalsze ich najazdy na zachód, i jak sprawiedliwie powiada Kraszewski (w swojej Litwie), Litwie może winna cała Europa, że się na nią nie wyleli zniszczeniem. Pokonanie dotychczas niepokonanych, stra-

chem przejęto dzikich najeźdźców, złamało ideę ich przeznaczenia o niezwyciężoności. Odtąd imię Litwina wzbudzało szacunek w Tatarach, a choć nieraz jeszcze potem walczyli z sobą, nigdy już nie czyhali na zagarnięcie prowincyj litewskich, i radzi byli zostawać sprzymierzeńcami Litwinów.

Zapewne wtedy powstała tu osada Szejbak-pola, dotychczas nosząca to nazwanie. Jest jeszcze wioska Szejbaki.

Narbutt powiada (1), że Szejbak ze swojemi niedobitkami po tej przegranej cofnął się na Wołyń, ścigany przez Erdziwiłła stoczył drugą bitwę w okolicach Ratna na Wołyniu, gdzie chociaż sam Erdziwiłł zabity, ale Tatarzy znowu zupełnie rozbici i z Rusi wygnani. Co się stało z Szejbakiem, niewiadomo. Wszakże w późniejszych dziejach nie spotykamy jego imienia i są pewne dowody, że Szejbak poległ w bitwie na owój równinie, gdzie później stanęła wioska Szejbak-pole nazwana. Pod Rotną musiał być wódz inny; Narbutt chociaż nie mówi o tém w swojej historii, ale własne jego badania sprawdzają to domniemanie.

Przed kilką laty, na polu majątku Lebiodka, niedaleko wsi Szejbaki, znaleziono kamień w ziemię wrośnięty. Kamień ten był ciosowy, 2 łokcie 6 cali długości, i 13½ cali szerokości u dołu, w górze nadłamany; na nim wyżłobienie następane: w górze łuk z pękniętą cięciwą, strzała złamana, padająca na dół, co musi oznaczać śmierć łucznika. Następuje napis słowiańskimi literami СИБАН, t. j. Siban; ostatnia litera wykruszona w części, tak że ją można brać za N lub K, odbita, pozwala domyślać się, że mogła tu być litera Ъ. Pod tym napisem linia ukośna z góry na dół nachylona trochę; pod nią trzy okienka, w których litery liczebne oznaczające 6750, t. j. 1242 zapewne rok. Niżej dwa okienka, w jednym znak miesiąca czerwca, a w drugim 15. Pod nimi jeszcze pojedyncze okienko z liczebną literą oznaczającą 4. Po prawej stronie okienek głowa ludzka w-zawoju, po lewej końska głowa z grzywą. Na dole szkielet konia bez głowy, nogami podpierający okienka: ogon zadarty, na koniu siodło tatarskie. Ważny ten wynalazek naprowa-

(1) Dzieje narod. litew. IV, 98.

dził na myśl Narbutta, że musiał tu poledz Szejbak, lecz dlaczego napisy słowiańskie? Wszakże wiadomy jest zwyczaj Muzułmanów grzebać ciała zmarłych na tém samym miejscu, gdzie polegli. Tatarzy uciekając przed Erdziwiłtem nie mieli czasu stawić mu pomniku; ale czy nie wzniesiony on przez naszych książąt, na pamiątkę pokonania straszego wroga?

Zaraz po znalezieniu tego kamienia, p. Narbutt otrzymał wierny jego przerys, ale sam kamień już nie istnieje. Obywatel Gr. kazał zniszczyć cały rysunek i natomiast zrobić inny napis, z którym dziś zdobi mogiłę jego małżonki!! O tempora, o mores!!!

Na równinie Szejbak-pole leżą dziś folwarki Lebiogna Raczyńskiego, gdzie za ogrodem są 3 kurhany, kurhany Szejbak-pole i wieś Szejbaki tegoż obywatela. Dalej Kościeniewo p. Kostrowickiego. Jadąc z Wasiliszek do Kościeniewa, nad rzeką Kościeniewką jest stare horodyszcze z wałem i fosą głęboką. We środku horodyszcza cmentarz wiejski od lat niepamiętnych. Długość i szerokość horodyszcza 142 kroków. Mnóstwo tu kamieni dziwacznych form i kształtu z niezrozumiałymi wyźłobieniami. Równolegle z tém horodyszczem, ale prawie o wiorstę od niego, na prawo od wsi Hlebowce p. Rymkiewicza, wznosi się wspaniały i duży kurhan. I tu mnóstwo kamieni pomnikowych z dziwnymi znakami i wyźłobieniami. Podług ludowej tradycyi, miejsce między horodyszczem a tym kurhanem było teatrem jakiejś bitwy. Czyby to horodyszcze i kurhan z mogiłami należeć miały do czasów Szejbaka?—odgadnąć trudno.

Koło karczmy we wsi Kościeniewie widoczne ślady ewangelickiego zboru, fundowanego przez Fronckiewiczów. Wiemy, że istniał jeszcze w r. 1715 i miał uposażenie od tychże Fronckiewiczów; w onym czasie Kościeniewo miało być piękném i bogatém miasteczkiem. Niedaleko od zboru, miejsce, gdzie mieszkał pastor i łąka przyległa, dotychczas nazywa się Bumbizowszczyzna.

* * *

O milę od Lidy, w lesie Dejnowskim, przed kilką laty żołnierz dymisyonowany znalazł przypadkowie ogromny żelazny kufer. Nie wiedząc co się w nim znaj-

dywało, i lękając się stracić swój zdobycz, przywiózł go do Lidy i sprzedał żydom za bezcen. W kufrze tym, podług opowiadań miejscowych, miały się znajdować rozmaite kosztowności z odzieży, z drogich materyj zbutwiałyeh znacznie, z galonami złotemi, rozmaite ubrania męskie i kobiece, wysoki, srebrny i drogiemi kamieniami sadzony grzebień kobiecy. Gdzie się to wszystko podziało, żydzi tylko wiedzą, ale naturalnie nie mówią; wszakże udało mi się wyrwać z ich rąk buławę, czy buńczuk żelazny w najopłakańszym stanie, bo odarty z blaszek złotych i srebrnych, któremi był wykładany, z drogich kamieni któremi we dwa rzędy była osadzona głowa buławy. Dziś jeszcze widać w niektórych miejscach wyłożenie srebrem bardzo misterne. W ogóle robota piękna, elegancka i cała buława musiała być bardzo bogatą. Długości ma łokieć bez kilku cali. Objętość głowy sześć werszków.

* * *

W powiecie święciańskim, po prawej stronie drogi niegdyś pocztowej, a dziś komunikacyjnej z Wilna do Petersburga, przy 82 wiorście od Święcian, na polu majątku Szwinty obywatela Szymkowicza, na wzgórkuzarostym drzewem sosnowém, mającym rozległości 3 dziesiątyny, wznoszą się dość znacznej wielkości kurhany, mające w obwodzie po 44 łokci każdy.

Wzgórze to położone przy strumyku i panujące nad całą okolicą, pięknie urozmaicone kurhanami, usypanemi po trzy w prostej linii jeden od drugiego. Przy rozkopaniu jednego z kurhanów była ściętą na samym wierzchołku rosnąca sosna, której stojów naliczono 80; półtora łokcia pod ziemią natrafiono na końską głowę, a później wykopano i całkowity szkielet. Pod nim zaś kopiąc, już pod poziomem natrafiono na sierp, którego średnica pięć werszków, i kółko żelazne mające średnicy 2 cale: obok tego w całym kurhanie okazywały się gdzieśgdzie węgle sosnowego drzewa. Pod kurhanem naturalna powierzchnia ziemi okazała się z czarnej warstwy na 2 werszki grubości, mieszcząca w sobie

drobniuchne węgielki. Uważając pozycją należy wnosić, że korpus konia nie był na stosie palony, ale zakopany stojący z głową obróconą ku wschodowi; golenie i żebra konia przekonywają, podług zdania znawców, że pochodził z gatunku zwyczajnych litewskich koni.

Przy rozkopaniu drugiego kurhanu pokazały się także węgle, lecz drobniejsze; po dokopaniu się pod poziom, znaleziono, jak w uprzednim kurhanie, sierp, kółko żelazne i część niedopalonej kości, należące do sprychowej ręcznej kości, łączące się z sustawą od dłoni.

Nietylko węgle, ale samo żelazo naprowadzają na niezłomne przekonanie, że te mogiły należą do czasów pogańskich; że umarli byli spaleni na stosie; lecz rzecz ciekawa, że koń nie spłonął razem z trupem na stosie, ale widocznie później był wprowadzony do mogiły i żywcem zakopany. Sierp zapewne był położony jako godło ofiary dla bogini obfitości.

Nazwanie tego miejsca Szwinta, sięga dalekich czasów. Na początku wieku XVI władał Szwintą Jan syn Jakóba Szczyt Niemirowicz, marszałek litewski, starosta mohilewski, poseł od króla Zygmunta I. do Moskwy w r. 1516. Jan Szczyt Niemirowicz przyciśnięty niebezpieczną chorobą, po wyzdrowieniu, według uczonego wotum oddzielił od dóbr Szwinty kilkadziesiąt chat i fundował święciańską altaryą w r. 1510 (1). Jedną z przyległych wiosek oddzieloną do altaryi nazywa się Kunigiliszki, t. j. księdzowskie.

III.

Dla związku rzeczy dołączam tu całkowicie artykuł p. Alexandra Bronisława Chodźki o kurhanach pod wsią Kopaczami, w powiecie oszmiańskim, łaskawie mi nadesłany przez znakomitego naszego autora Obrazów litewskich p. Ignacego Chodźkę.

(1) Portret jego i dziś znajduje się w kościele święciańskim.

Kurhany dawne pod wsią Kopaczami (1).

I.

Żyjemy w epoce, w której wszelkie poszukiwania dziejów ubiegłej przeszłości zajmują umysły miłośników ojczyznoznawstwa. Każdy kurhan, szkielet sterczącego zamczyska, okop i t. p. stają się jakby zgłoskami hieroglifu, znaczenie którego odgadnąwszy uczony badacz, przenosi je na papier i udowadnia lub dopełnia przerwy w dziejach niejednokrotnie zdarzone, i nowymi ogniwami je łączy.

Dzieje Litwy w pierwiastkach swoich odgrzebywane ręką dawnych historyków, ledwo w naszych czasach złąły się w jedną całość, i krytycznym uległy badaniom: chwala jednak prawdziwa przynależy pierwotworcom, bo bez ich pracy, na czémżebyśmy opierali nasze rozbiory i domysły?

Łatwiej naprzykład dzisiejszym turystom i archeologom przechadzając się po ulicach i korytarzach odkrytego Herkulanum, zazierać do gmachów i świątyń miast odwiecznych, śledzić obyczaje dawnych Rzymian, lub z przebutwiałych zwojów ich dzieje; nie zmniejsza to jednak zasługi tych, którzy jakby wzorem Champoliona, usilną pracą i wytrwałością potrafiając dociekać tych hieroglifów, odkrywają przeszłość, którą czas wiekami nacisnął.

W takim zawodzie więcej zdaniem moim dokazał nasz czcigodny Teodor Narbutt, w obrabianiu dziejów Litwy, niżeli Tacyt rzymskich; temu albowiem przyświecała pochodnia cywilizacyi, rzucająca głęboko blask w przeszłość rzeczypospolitej rzymskiej, gdy przeciwnie Narbutt w cieniach grubiej pomroki pierwobytu swego kraju, z rozrzuconych gdzieniegdzie i ciemnych materyałów, dobierać musiał, porządkować i układać obraz dziejów naszych.

Dziś wskazaną przezeń drogą wielu postępuje, rozszerza ją i prostuje; a upowszechniona nauka historii rodzinnj ziemi, tak się nam stała zajmującą i dostępną, jak niedawno obojętną była.

(1) *Kopacze* wieś w powiecie wilejskim, w parafii obarkowskiej, do dziedzictwa obywatela Rocha Dederni należąca.

Cześć więc i wdzięczność Narbuttowi za tę tak trudną, a tak w owoce i skutki obfitą pracę jego! Oto i ja z użyzniąoną przezeń myślą i sercem, przechadzam się po Litwie; ciekawie rozpatruję każdą jój częśćkę, dopytując się jój przyszłości: przenikam dziś i rozumiem głos jój mogił starodawnych, dosłuchiwam się szczegółów broni litewskiej, ręką Olgierdów, Kiejstutów i Witoldów władanój, i naukę rozkoszą mych uczuć słodzę.

II.

Kilka tych słów wstępnych wynikło właśnie z rozpatrzenia kurhanów istniejących dotąd w gubernii wileńskiej, w powiecie oszmiańskim, w parafii obarkowskiej pod wsią Kopaczami, nieopodal od starego gościńca ruskim zwanego. Miano to ruski pozostało dotąd w ustach gminu, bo dzisiejsze drogi w proste linie skierowane, zostawiły daleko od siebie dawniejsze krzywe i kręte. Rzeczony szlak ruski wychodził dawniej z serca Litwy, to jest z jój stolicy Wilna w rozmaitych kierunkach ku wschodowi: najgłówniej przez ostrobramskie dziś przedmieście, a przeszedłszy Miedniki i Oszmianę, przedłużał się przez Krewo w punkcie niedalekim od opisujących się tu kurhanów, rozgałęział się na dwa ramiona: prawem przez wieś Kopacze, Grodek dawniej Bielikowiczowskim zwany, i Zastaw, a prowadził do Mińska, z kąd znowu na dwie się rozdzielał, jedną przez Nieśwież i Pińsk sięgał Lucka, druga przez Ihumeń, Rohaczew i Rzeczycę dochodził do bram starożytnego Kijowa. Lewe zaś ramię od punktu rozdzielenia się przy kurhanach, biegło przez Hruzdow, Mołodeczną i Dołhinów ku Połockowi.

Dzieje i podanie miejscowe zgadzają się tu, jak to niżej obaczymy, na czas nastania tych kurhanów: są to zabytki domowej niezgody w licznej rodzinie synów Olgierda, a wynikłej z łona burzliwego i chciwego panowania księcia Swidrygiełły, brata Jagiełłowego. Książę ten (jak z dziejów wiadomo) już zawistném okiem patrzył na oddanie zarządu księstwa litewskiego dzielnemu Witoldowi, lecz nie śmiał jawnie przeciw się bohaterowi, którego oręż daleko i szeroko zakreślał granicę Litwy: nawet i król Jagiełło czuł w duszy prze-

wagę Witoldową, i chętnie lub niechętnie namiestnictwo Litwy jemu powierzył. Przyłożenie się Witolda na polach Grunwalda do skarcenia pychy i chciwości krzyżackiej, niewoliło jeszcze bardziej króla do głosu Boga i ludu. Lecz po śmierci tego bohatera, król Jagiełło więcej dobrocią serca swego i braterskim przywiązaniem, niżeli zdrową polityką powodowany, oddał mitrę wielko-książęcą Świdrygielle. Wnet też miał powód do żałowania tego kroku swojego, bo w ciągu dwuletniego panowania Świdrygiełły na Litwie, dzień jeden można mówić nie upłynął, w którymby błąd ten gorzko mu się nie przypomniat. Nie tu miejsce powtarzać Narbutta, pracowicie i szczegółowie opisującego tamtoczesne dzieje; zbliżając się tylko do celu naszego, powiedzieć musimy, że nakoniec zmordowany naród i król niespokojnością, dumą, i przeniewierstwem Świdrygiełły, wiążącego się nieustannie z Krzyżakami, zaprzysięgłymi nieprzyjaciołami obu zjednoczonych narodów, wezwał księcia Zygmunta Kiejstutowicza, i wygnawszy Świdrygiełłę, jemu najwyższe namiestnictwo w Litwie oddał. Wygnany Świdrygiełło nie został jednak bez stronników, za pomocą których, i za poduszczeniem i opieką Krzyżaków zapalił wojnę domową, a ta nim zupełnym jego upadkiem się zakończyła, wiele wprzód jeszcze krwi bratniej rozlała.

Więc ze znakomitą w liczbę wojskiem dążąc do Wilna Świdrygiełło, doszedł aż do Oszmiany; na przeciw niego stanął syn Wgo księcia Zygmunta, młody książę Michał, na czele mniejszego, ale dobrańszego pocztu rycerstwa, wsparłego jeszcze wyborną jazdą polską. Stoczona krwawa bitwa (1432, dnia 8 grudnia) przeciągnęła się aż do nocy: pod której zastoną pierchnął sam pierwszy Świdrygiełło, zostawiwszy na placu 10,000 poległego ludu, i kilka tysięcy jeńców, wśród których wielu znalazło się dowódców.

Po tej klęsce los Litwy zdawał się być rozstrzygniętym i panowanie nowego w. księcia utwierdzone; lecz Świdrygiełło nie ustawał jeszcze w usiłowaniach odzyskania tego, co niebacznie i dobrowolnie utracił. W następnym roku (1433) mając w pomocy rycerzy inflanckich i lud od książąt twerskich przysła-

ny, zalał znowu Litwę: dobył zamku krewskiego, i przeszedłszy przez Mołodeczno stanął w miejscu (zapewne pod wsią) Kopacze. Zdaje się, że dobra rozważa przewodziła Swidrygielle, czy wodzom jego, w wyborze tego miejsca na bitwę: bo pole tu wybrane miało z prawego boku rzekę Berczę, płynącą przez szerokie łożyska błot i trzęsawisk; z lewego góry i lasy, co z obu stron obóz jego zastaniać mogło od pobocznych napadów: zaś poza sobą szlaki wiodące do obu Rusi, po których wrazie niepomyślności wojska mogłyby się rejterować, lub ku Połockowi i innych dzielnic Swidrygielłowych; albo przez Mińsk i Pińsk ku południowej Rusi, gdzie właśnie stronnicy jego złączeni z Tatarami, uparcie z Polakami walczyli jeszcze. Lecz i tu los zawiódł jego nadzieje: wojsko jego pod wodzą Piotra Montygierdowicza znowu na głowę pobite, a z tém upadła już wszelka nadzieja pretendenta do odzyskania panowania nad Litwą. Kurhany więc te pod tąż wsią Kopaczami na dwóch wzgórzach, wyraźnie ręką ludzką usypane, są pamiątką téj bitwy. Z obejrzenia ich bliższego wnioskować można, że byłyto albo punkta strażnicze, dające szeroki widok na okolice: są to bowiem foremne wzgórki na górach; albo mogiły wodzów, których wysokim grobowiskiem uczcić chciano. Były one dotąd zagadką dla ludu, który szukając jéj słowa w podaniach swoich, utwierdzał jednak historyczną prawdę ich nastania; tak jak w za- jemnie w dowodach pisma, utwierdzają się tu podania. Spiszmy więc jedne i drugie.

III.

Pole na którém wznoszą się kurhany, lud nazywa czerwoną włoką. Gdybyś pierwszego okolicznego a starszego wiekiem włościanina zapytał o przyczynę tego nazwania, odpowie ci, że włoka ta krwią ludzką tak niegdyś była zлана, że ją czerwoną jak nazwano natenczas, tak i teraz się zowie.

A zkadże ta krew ludzka? pytałbyś dalej. Natenczas rozpowie ci, że na tém polu dawno a dawno, zeszyły się wielkie wojska, że się bili od wschodu do zachodu słońca: że jedni drugich pobili i wyrzneli, a wskazując na kurhany, doda: „a tam ich kości!

Wchodząc głębiej w mglisty krąg podań, przedłuży ci swoje historią opowiadaniem: że jeden pozostały po klęsce rycerz był to wielki pan; że błądził on długo i ukrywał się w lasach, któremi okolica ta wówczas była pokryta, a że nosił zawsze na piersiach obrazek Matki Boskiej, więc ta go cudem zbawiła: bo po wezwaniu Jój przeważnej opieki, napotkał w lesie chłopka, zamienił z nim swoje zbroję na ubogą siermięgę, i ten go zaprowadził i przechował we własnej chacie, która od błądzenia Błudowem z ruska nazwana, z ciągiem czasów dostała liczne sąsiedztwo, i jest dziś wioską tego nazwania.

Takim cudem ochroniony rycerz ten zrobił wotum zbudowania domu Bożego na tém samym miejscu, gdzie uniknął w czasie bitwy śmierci od oszczepu; i stanęła cerkiew Hruzdowska z tymże samym obrazem w ołtarzu Bogarodzicy, który piersi rycerza osłaniał. Nadto ofiarował się on jeszcze pomnożyć i wzbogacić fundusz kościoła oborkowskiego, jakoż nadał probostwu tamecznemu wieś niedaleko Oborba (1) leżącą, Byki zwaną.

Lecz któż był ten rycerz? tak razem mężny i pobożny?

Podanie nie zachowało tu wprawdzie imienia, lecz wskazało źródło, w którym się ono odkryć mogło, kto fundował cerkiew Hruzdowską, kto uposażył kościół oborkowski i nadał mu wieś Byki?.. Z ciekawością więc wziętem się do przejrzenia akt i wizyt obu kościołów, i usprawiedliwienie podania stało się zupełnem i niewątpliwem. Imię rycerza odkryte! Nie zachowały go dzieje świeckie, ale czyny pobożne i ku chwale Bożej dokonane, przekazują je czci i wspomnieniu potomnych.

Andrzéj Sakowicz namiestnik smoleński, dziedzie natenczas obszernych tu włości, jakoto: Illi, Hruzdowa, Oborka, Leszny (2) i teje samej historycznej Czerwonej Włoki, w roku 1443, a zatóm w tym samym roku, kiedy zaszła bitwa pod Ko-

(1) *Oborek*, fundum do którego i wieś *Kopacze* należy.

(2) *Leszno* i dziś w tém samym imieniu Sakowiczów. Rzadki zaiste przykład dotrzymania przez cztery wieki majątku w jednej rodzinie.

paczami, nadał wspomnioną wieś Byki kościołowi oborkowskiemu; jak niemniej z dóbr swoich Iłskich i Suliszcza przeznaczył dań miodową na воск i światło, oraz na wino potrzebne do najświętszej ofiary. Zaś w roku 1448 zbudował cerkiew greckiego obrządku w Hruzdowie; podanie więc utwierdza się wyraźnie datami i łatwo przedstawującym się domysłem, że uratowany w ciężkim boju Sakowicz, chcąc jak najrychlej wywiązać się z uczynionego wotum, wsparł najprzód fundusz kościoła oborkowskiego, już exystującego, bo przez krewną jego Helenę Łomińską jeszcze w roku 1424 wzniesionego: a w lat kilka później, bo nowe założenie kościoła dłuższego wymagało czasu, stanęła i cerkiew Hruzdowska, na miejscu, gdzie, jakśmy to wyżej powiedzieli, oszczep nieprzyjacielski w piersi mu godził, a Bogarodzica stała mu się tarczą.

IV.

Wspominkę o tym Andrzeju Sakowiczu najdujemy w Narbucie (tom 7, karta 233), że w ostatnich dniach panowania na Litwie Zygmunta Kiejstutowicza (r. 1440), książę ten wezwawszy do Trok Gasztolda namiestnika smoleńskiego, posłał tam na miejsce jego Andrzeja Sakowicza; zajechał po drodze do książąt Wołoczyńskich w gościnę, i w tej właśnie porze przybiegł do Wołoczyna goniec za nim z oznajmieniem o śmierci Zygmunta. Musiał on jednak i pierwój z nominacyi zapewne Swidrygiełły ten urząd zajmować, kiedy akta funduszków przezeń nadanych, wojewodą go smoleńskim mianują, i razem z całą Rusią, która aż do ostatka Swidrygiełły się trzymała, wspierał osobiście pretendenta, a zatem był na jego stronie i w bitwie pod Kopaczami; lecz podał się Zygmunтови, gdy panowanie jego niewątpliwem już i zwycięstwem utwierdzone zostało.

Ścisłejsze takie śledzenia po kraju naszym ileżby nie odkryło? Mniemam, że przy dzisiejszém skierowaniu umysłów, ileż nie odkryje pomników, pamiątek i podań około tych pomników nagromadzonych, a które wszystkie wspomagając dzieje narodów, nieraz pewny jestem utwierdzą przekonanie o mężstwie, cnotach, i razem bogobojności naddziadów naszych; a jeżeli na na-

stępców ma to działać przykładem, byłby to najpiękniejszy owoc legoczesnych poszukiwań naszych w przeszłości.

IV.

Oto jeszcze kilka piosnek ludowych z powiatu wilejskiego, zebranych na miejscu. Piosnki te zdaje się nigdzie nie drukowane, różnią się nieco od ogłoszonych dotychczas drukiem, i dobrze charakteryzują lud wiejski, pełen poezyi i wyobraźni. Niektóre ustępy znamionują ich starożytność, niektóre znowu każą się domyślać, że przyszły tu z innych okolic. Zkąd np. Wilejczaki wiedzą o Dunaju? Zkąd mowa o wzięciu w niewolę i o wykupieniu? Nie mogę je w tej chwili porównać z piosnkami południowego kraju dawniej Litwy; wszakże zdaje się rzeczą niewątpliwą, że piosnka gdzie mowa o Dunaju, ztamtąd przyszła, inne znowu należą do dawniej epoki napadów tatarskich, zaborów w jassyr niewiast i później ich wykupienia.

Piosnki te kładziemy bez przekładu, jako lepiej malujące nietylko język miejscowy, ale i ich charakter: albowiem często bardzo przekład, chociażby najdokładniejszy, zupełnie zmienia naturę piosnki. Dla zrozumienia są łatwe. Niektórych tylko wyrazów uważaliśmy za konieczne wskazać przekład w przypisach.

Dożynki w Bohdanowie.

U nas siohodnia wojna była:

Usio pola zwajowali,
Da panu żyta pażali.

Paniż nie ulakajsie

Da w pakoj nie chawajsie.

Bo my jość nie żaunierki,

Da Pańskije zniejki.

Da wychodź Panie, wychodź,

A wina boczku wykoć,

I biely syr na talerki
 Czastujże swaje źniejki,
 Da umieuże nas pryhaniać,
 Umiej ciapier czastawać.

* * *

De zasieju ja pole,
 De jasnieńkim zołotom;
 De zascielu ja łuh:
 Czerwonym karmazynom;
 A zamaszczu ja masty
 Załatym mastonikam.

De zaziaj pole, zaziaj
 Jaśnieńkim zołotam,
 De zaszumicie łuhi
 Czerwonym karmazynam.

De zazwieńcie masty
 Załatym mastonikam.

Budzie jechać Wałyneczka,
 Naszeho Pana daczka
 Pad jeju koniki
 Jak hałki latajuć,
 Kala jej służeczki
 Jak mak razćwietajuć.

De ucieszyu sie Jagomość
 Upakoi siedziuczy:
 Prez akońca hłedziuczy:
 „De chwałaż maja, chwała,
 Szto jedzieć maja Pania!”

* * *

Na ůd̄ōuczynom (1) pole

Sabralisie r̄abotniczki:

De miad̄źwiedz̄, karczom areć (2),

A wauczok baranujec̄,

A zajczyk dr̄awa siaczeć,

A liska chatku topic̄,

Sounijka zalas, zalas,

Ani pajduć damōu zaraz:

De miad̄źwiedz̄ u les p̄ales,

A wauczok, w chmielniczok;

Zajczyk, w bierzniaczok,

A liska u noreczku,

A ůdouka (3) w kamoreczku.

* * *

Sama idu darohoju,

Puszcz̄y hołos dubrowoju,

Niechaj hołos hałasujec̄,

Niechaj moja matka czujec̄,

De ů światlicy siedziuczy

Prez akonca hledziuczy

„Kali majo dziecia

Niechaj pahulajec̄;

A kali niewiestka

z Niechaj poźynajec̄

Na szerokoju postaci,

Pry wialikoju wołosci.”

* * *

Iszō Boh darohoju,

Iszō Boh szerokoju

A za nim sam pan, sam pan.

„De ka mnie Boże, ka mnie,

U mianie humno wialikoje

Z czastymi kopami,

Z hustymi snopami.

W winnym ozieroczku sużonka konia poić,

Koń toj de wady nia pje

Jon jaho pa hałouce bje.

„Nia bij mianie pa hałoueczce

Szanuj mianie u damounce (1),

A ja ciabie u darożeńce,

Budziesz mołod zanici-sie,

Budzie ciabie cieszcza (2) witać

A ja budu cicha stajać.

Kab (3) kubka nie scbylicy,

Kab wina nierazlici,

Kab cieszczy (4) nie uhniewici (5).

* * *

Panie swacie, panie swacie, panie damowy,

Ů ciabie pili, Ů ciabie jeli, u ciabież i uzali;

Wykacili, wykacili, miadowuju boczku,

Wykrucili, wymucili, de u swata i doczku.

* * *

De ůstawaj maja mateczka ranienka,

De palewaj maju ruteczku (6) czaścieńka.

Nie palewajże mojej ruteczki wadoju,

De palewaj maju ruteczku sytoju.

De ad wady maja ruteczka zaucieje,

A ad syty maja ruteczka zialanieje.

(1) W domu. (2) Teścia. (3) Gdyby. (4) Teści. (5) Nie rozgniewać. (6) Ruta, roślina, oznaka niewinności.

Dawiedajesz sie maja mateczka,

De ranienka ustauszty

De woliki pahnauszty.

De woliki pryjduć, a mianie nia budzie.

Tyki tabie maja matka wialikaja žal budzie.

Budzie majo miestce za stałom hulaci,

Budzie maja łyżeczka suchaja lezaci.

„Oj nietu, nietu, majeho dzieciaci!

Sladok na parozi,

Majo dziecia u darozie!

* * *

Z wiszniowa sadu sakały wylatajuć,

Ziaziulu (1) wyzywajuć.

„Siwaja ziaziulka, czy palacisz ty z nami,

Z jasnymi sakałami.”

— „Radab ja palacieć, i žal sadu pakuć.

De u maim sadoczku, kalina, malina;

Jość hdzie mnie palatać,

Jość czaho poiedać

I krynica

Wadzica.”

De z nowaho dwara swatowie wyjeżdżajuć,

Dzieweczki wyzywajuć.

„Maładaja dziewczeczka, czy pajedziesz ty z nami,

Z maładymi swatami.”

— „Radab ja pojechać i žal bački pakuć.

De u majho bacieczki de u warot sianożaci

(1) Kukułka.

Jość hdzie mnie pachadźaci,
Jość hdzie mnie pabulaci.”

* * *

Chadzili stralcy, łaucy pa baru,
Choczuć jani staroho łosia zabici.
Oj zaczęła stara łasica u łuzie,
Oj kinuła krutyje rohi na łuhi:
„Niechaj maje krutyje rohi prapaduć,
Jak majho staroha łosia tut zabjuć.”
Oj zarżali koni waranyje za dwarom,
A zapieli swaszki za stałom,
Zaswistali dwa sakały na mory,
De zaczęła małada dziewczeczka w kamory.
Oj kinuła załatyje kluczy ab ziamlu:
„Niechaj maje załatyje kluczy prepaduć
Jak mianie od baciuszki pawiazuć.”

* * *

De w niedzielku, pa ranu,
Paszła dzieuka pa wadu.
I wadzicy nie nabrała,
U hłyboki Dunaj pała.
Lepiej mnie z Dunajom płyści
Jak za pana za muž iści.
Jaje matka kała Dunaju chodzić,
De i z Dunajem haworyć:
„Oj Dunaju, Dunaju, jak mnie ciebie zwaci,
Czy Dunajem hłybokim,
Czy ziaciem dalokim?”

* * *

De klanowy listoczek kudy ty pakocisz sie,
 Czy u haru, czy u dalinu, czy w zad na klaninu?"
 „Ja i sam nia wiedaju, kudy mianie wietryk pawieje,
 Czy u haru, czy u dolinu, czy w zad na klaninu.”

Maładaja dziewczoczka kudyż ty adjeżdżajesz,
 Czy u Turki, czy u Tatary, czy u swaju ziarnu,
 „Ja i sama nia wiedaju kudy mianie baćka oddaje,
 Czy u Turki, czy u Tatary, czy u swaju ziarnu,
 Czy w wiasołuju siamju.

Parłowieńki wieńczyk nie laży na przystole,
 Papłyn pa Dunaju, czy ja tut zapredadżena,

Czy ja tut zawajowana,

Czy darem oddadziena,

Kali ja tut zapredadziena

Niechaj jeduć wykuplajuć;

Kali darem addanaja

Niechaj jeduć adwiedajuć.

A wżoż tut nie panaszemu

De siedaniejka nie tu,

A abied kala pałudnia,

Wiaczera kala paunoczy,

Wysplusia ja stojuczy.”

* * *

Razharełasie kalina,

De u ciomnym łuzie (1) stojuczy,

Drobnyje iskiery roniuczy,

De tuszyu wietryczek, nie utuszyu,

(1) Łące.

De bolēj iskiērek raznasiū.
 „Jāz ciabiē kalina nie utuszū,
 Talka bolēj iskiērek raznaszū.
 Utuszyē ciabiē drobiēń doszcz,
 Spod ciomnej chmury iduczy,
 Mokryj doszczyk roniuczy.“

Razplakała siē dziewoczka
 Piered tatulkom stojuczy.
 Unimāū tatulka de nie umāū,
 Tolka bolēj żalōści zādāū:
 „Jāz ciabiē dzieciālka nie unimū,
 Tolka bolēj żalōści zadajū.
 De u mienie ciabiē czużyna,
 Usia sużonkowa družyna,
 Kala stolika chodziuczy,
 Za biełuju ruczku wodziuczy.

* * *

Kazali ludzi szto moj swiekor dobry,
 Aż no moj swiekor wielmi on lichi.
 Pasłāu mianie maładu
 Spounoczy pa wadu.
 Szto ni kury nie pajuć,
 Ani husi nie kryczać.
 Nie wadzicy zadajuczy,
 Mianie maładu zbywajuczy,
 Zaczuje milēńki
 Koniki pasuczy.
 —„Nia żurysia żonyczka

Maja maładzienka,
 Ja koniki napasu
 I wadzicy pryniasu,
 Ja swojemu baćku, ja usio uhažu.“ (1)

* * *

Z suboty na niadzielu dziuony son ja widziela,
 Nikomu nie skazała, swojej rodněj matce:
 „Mateczka maja rodnaja, dziuony son ja widziela,
 Wylecieli siwyje hałoby,
 Czorny szouk (2) razwiercili
 Boczku wina wykacili.“
 — „Dzieciatka majo radnoje:
 Siwyje hałuby, to swaty twaje,
 Czorny szouk, koski twaje,
 Boczka wina, to stozki twaje.

* * *

Piatrowa noczka niawialiczka,
 Ja maładzienka nie wyspała sie.
 U siu noczku nie spała
 Sznurki sukala.
 Sukala sznurki szalkowyje, (3)
 Szyla kaszulki rubkawyje.
 Siamu tamu zapredawała,
 Swajemu miłomu darmo dawala.
 Dawala ja jemu nie żalujujuczy,
 A jon brau nie dziakujuczy.

* * *

(1) Dogodzę. (2) Jedwab'. (3) Jedwabne.

Ziaziulka rabaja, nia kukuj rana,
 Nia kukuj rana, bo ja jeszcze mała;
 Ja jeszcze mała, darou nie natkała,
 Darou nie natkała, kubła nie nakłała.
 Zakukuj paroj, pod jasnoj zaroj.

* * *

De kalina, malina,	Dwa dwary pakrasila.
Dwa luh pabialila.	Adzin dwor hdzie rasla,
De swoim bielým cwietom,	A druhi dwor kudy paszla.
Czyrwonymi jahodkami	De rusuju kasoju,
Maładaja dziewoczka	De swojeju krasoju.

De hula pczolka hula,
 Pa baru latajuczy
 De miadok zbierajuczy.
 De miadok moj saladok.
 Jaz na ciabie spaznilasie.
 Naczawala w ciomnym lesie,
 De w zialonym wiezesie,
 De w lipowym hustoczku,
 W zialonieńkim wierasoczku.

De plakala Udoweczka,
 De abied hatujuczy.
 Abiedzie mój horki
 Da bez ciabie moj mileńki
 Ja siadu abiedac,
 Ja dietkami absazuś,
 De szlozkami abaliuś.

* * *

De swiet switaje
 De zara zaraje

Małada dziewoczka
 Z dwara zjeżdżaje.

De u jaje bacieczka
 Kluczo^o pyta^je,
 „Da hdzie dzieciatka
 Kluczy padziela?“
 —„Miod, wino taczyla.
 Kluczo^o zabyła.

Uzo^z ciapier bacieczka
 Ja i nia klucznica,
 Ja i nia wiernica.
 De ciapier klucznica
 Swojemu swiekratku,
 Ciapier wiernica
 Swojemu miłomu.”

*

*

*

*

*

*

De na sinieńkiem more
 Dwa bobry kupalisie.
 De na nowym ganeczku
 Dwa stralcy zmaulali się.

Choczuć babro^o postrelaci,
 De sabie na szapeczki,
 Dziewoczkam na szubeczki.
 Dziewaczka za stoł idzie,
 Szubeczku w rucz^kach niasie.
 Oj dziewczki, družeczki,
 Nie satrycie szubeczki.

De nia tut to spraulona,
 De z dalok prywiaziona.

Spraulono w Carharodzie,
 Prywiaziono mnie małodzie;

Szyli jaje kraucy niemy,
 Prysłali mołody małojej.

*

*

*

„Oj czaho łosiu, oj czaho siwy,
 K łuhu pryłahajesz.

Oj czy ty łosiu, oj czy ty siwy,
 Lichuju (1) zimu czujesz?“

—„Oj choć lichaja, choć nie lichaja,
 Nia budzie jak lecieczka (2),

Ja u letku pajdu, trawicu skaszu,
 Rasicu pociaruszu.“

„Czacho dziewczka, czacho maładziénka
 Tak silniénka płaczesz:

Czy ty dziewczka, czy ty maładziénka
 Lichuju swiakrou czujesz?“

—„Oj choć lichaja, choć nia lichaja,
 Nia budzie jak mateczka.

Ja u matki pajdu, ja wianoczek sauju,
 Z dziewczkami w sadok pajdu.“

*

*

*

De w sienieczkach haľubok hudzie,
 U ťwiatoleczce azywajecca.
 Syn u baćki dapytajecca:
 „Bacieczka moj radnieńki,

Czy mnoha mnie swatou sadzić?
 — „Dzieciatka, czeladzineczka.
 Sadzi swaju u siu radzineczku,
 Bahatoju i chudobaju.
 Chudobaja de hulać budzie
 Bahataja pychawać budzie,
 Jechau kozak z Ukrainy

Puściu konia u pou daliny;
 Chodzi kosiu, napasajsie.
 Chadziu konik z Ukrainy

Wyjeu trawy pou daliny,
 Wypiu wody pou Dunaju.
 Pryszła miła, pastajała,

Pastajauszy, padumała,
 Jak miľaho obudzici.
 Paszłaż jana u łożeczku,
 Wylała biarozeczku,
 De i kranuła u nożeczku.
 Czy ty miły ťpisz nia czujesz?
 Najechali Tatarowie,
 Woźmuć kania waranoha,
 Zabjuć ciabie maľadoha.

Czy ty miła wierna lubisz.
 Szto ty mianie rano budzisz?
 — Kab ja ciabie nia lubiła,
 Jab da ciebie nie chadzila,
 Raniusienkab nia budzila.

* * *

„Czamu u ciabie ziaziulka dzieťok niet,
 Czamu u ciabie siwaja dzieťok niet?”
 — „Byli u mianie dzieťoczki, ciapier niet.
 Prylacieli sakały sy boru,
 Pabrali dzieťoczki z saboju.
 Pakinuli ziaziulku siratoju.“

„Czamu u ciabie dziewoczka baćkou niet,
 Czamu u ciabie maľadaja baćkou niet?”
 — „Byli u mianie baćki, ciapier niet.
 Sysłaũ Boh anioľou da doľu,

Uziati moich baćkou z saboju,
Pakinuli mianie maładzienku siratoju.“

* * *

De czyjeż to źniejeczki
Pa miesiacu żyta żali,
Siarpy pahublali.
Katoraja naszła,

Ta ja damou paszła,
A katoraja niet,
Ta ja iszczeć da świet.

Kamar i Mucha.

Kamar z muchoj palubiusia
Palubiwszy sia, pażaniusia,
Pażaniwszy sia, paswaryu sia.
„Oj ty mucha, ty burkucha,
Nia umiejesz ni tkać, ni praści,
Ani szolkom wyszywaci.“
Palacieu kamar pa lasoczku,
Sieu kamar na duboczku.
Prylaciała mucha, burkucha,
Skinuła kamara z wysokości,
Pabiu kamar kości.
Tam ciesli cieslawali,
Kamaru chatku zbudawali.
Prylacieu szarścień zapytau sia,
Chto w hetym domu pachawausia.
Pachawausia tut kamaryszcha,
Wielikaho pauka kazaczyszczca.

* * *

Biła żonka muzyka,
Ruki zakasauszy;

A on jaje pierepraszau,
 I szapeczku znieuszzy:
 „Ach majaż ty miła,
 Za sztoż ty mnie bila.
 Kuplu tabie pirażok
 I koneuku piwa.“
 — „Ad piwa żywot balić,
 A ad miodu haława.
 Kupisz mianie harelicy,
 Sztob zdarowaja była.“

* * *

Tuman tuman na dolinie,
 Szyrok listok na kalinie,
 Szyrszy, bolszy na duboczku,
 Klicze hołub hałuboczku:
 „Chadzi serce pacałuja,
 Choć nie swaju, tak czużuju.“
 — „Na szto czużu całowaci,
 Budzie swaja żaławaci.“
 „A jak budu żanici sie
 Spraszu piwa napici sie.”
 — „Twaje piwa, mnia nie dziwa.
 Dziuniejeż mnie twaje słowa;
 Matka twaja czaraunica,
 Siostra twaja razlucznicza;
 Razluczyla nas z taboju,
 Jak rybeczku i z wadoju.
 Ciażka rybie u Dunaj pływci,
 Tak mnie mładoj za muž iści;
 Ciażka rybie z akuńcami,
 Jak mnie mładoj z maładcami;
 Ciażka rybie pa piasoczku.
 Jak mnie mładoj pa družoczku.



KŁOPOTY

STAREGO KOMENDANTA.

PAN MARSZAŁKOWICZ.

(Ciąg dalszy).

Opowiadanie.

VI.

Zostawmy w podobnie smutném usposobieniu familią porucznika, a podążmy za panią Lińską do Warszawy, gdzie przebywa już od kilku tygodni, pod szczególniejszą opieką przyjaciela naszego komendanta ex-kontrolera Rygorskiego.

Jeżeli sobie raczycie przypomnieć łaskawi czytelnicy, pan Tomasz po owój niesfortunnéj uprawie słoneczników, miał obmurować swój ogród, aby się raz na zawsze zabezpieczyć od pobożnych napadów sąsiedzkich. Lecz z powodu nieprzewidzianych okoliczności, czyż braku potrzebnych funduszków, nie był w stanie tego dopełnić, i tylko biadając na złośliwość tamecznego ludu, wziął się na przyszłą wiosnę do uprawy chmielu. Z początku robota szła jak najlepiej: chmiel rozbujał się niesłychanie, w tysiącnych splotach czepiał się po wysokich tykach umyślnie na to przyrządzonych; pan Tomasz zacierał ręce, ile razy z okna swéj kolonijki spojrział na długi zielony szpaler chmielu, ciągnący się z lewéj strony ogrodu, bo zagęszczając się coraz bardziej, utworzył mu naturalny zielony parkan. Lecz biedny ani przeczuwał, iż ten chmiel, stanie mu

się kiedyś przyczyną największych udręczeń i boleści. Jakoś w połowie lata, szanowny ex-kontroler oglądając poszczególne każdy prawie krzaczek ulubionej rośliny, dostrzegł, iż dolne łodygi zaczynają czernieć, i ta zaraza posuwa się coraz wyżej, niszcząc liście wraz z drobnymi zawiązkami owoców. Po ścisłej rewizyi i kilkudniowych dociekaniach, przekonał się z największym oburzeniem, iż dzieci wiejskie, korzystając z utworzonej naturalnym spadkiem gałęzek altany, założyły tam sobie siedlisko zabawy, i kopiąc sztuczne ogródki, podcinały korzenie. Tego już nie mógł przenieść spokojnie niefortunny nasz ogrodnik: zmartwiwszy się, zirytowawszy, dostał gwałtownej gorączki, i zachorował niebezpiecznie. Poczciwa Urszulka dowiedziawszy się o tém, pomimo słotnej pory, prawie na skrzydłach zleciała do kolonii. Siedząc po całych nocach przy chorym, i martwiąc się niebezpieczeństwem długo trwałej niemoicy kochanego męża, tak dalece nadwerężyła już ztyrane wiekiem zdrowie, że gdy podniósł się pan Tomasz, ona zajęła jego miejsce na łożu boleści. Wszystkie starania lekarzy, konsylia, leki, synapizma, i inne gwałtowne a ostateczne środki, okazały się bez skutku. Choroba z nieprzepartą siłą wzrastała co dzień co godzina, co chwila, i szóstego dnia swego istnienia, pani Urszula Rygorska oddała Bogu ducha na rękach strapionego małżonka. Cios był za zbyt silny, aby nie wywarł odpowiedniego wrażenia w duszy poczciwego starowiny. Odtąd znikło dla niego szczęście, znikł uśmiech serdecznej wesołości na ustach, życie straciło barwę jakiegobądź przyjemności; zgarbił się, podstarzał o jakie lat dziesięć, a tylko modlił się i modlił po całych dniach, zaniedbawszy wszystkie dawniejsze zajęcia i obowiązki. W tydzień po pogrzebie swój przyjaciółki, sprzedał kolonię, przeprowadził się do Warszawy, i odwiedzając kościoły, sypiąc jałmużny, płakał po całych nocach nie mogąc zagoić ran serca, zbyt dotkliwie zadanych ręką nieubłaganiej śmierci. Co rano, odmówiwszy potrojone teraz modlitwy, zaglądał do pokoju żony, wysuwał szuflady komód, otwierał szafy, przeglądał wszystkie suknie i sprzęty nieboszczki, oczyszczał, całował, płakał, i układał na powrót. O godzinie 9 zrana, można go było widzieć zawsze z ogromną krepą na kapeluszu, z białą tasiemką u kołnierza i klap wytartego surduta, ze starą posmoloną książką pod pachą, i wyglądającymi z niej okularami, zdążającego ku kościołowi Panny Maryi na Nowem Mieście. Pochylony

starowina, z oczami nabrzętkłemi od płaczu, podpierając się trzciniową laską, toczył się zwolna nie widząc nikogo, nie słysząc huku przejeżdżających; i żeby podniósł głowę dla przywitania się ze znajomym, trzeba było po kilka razy wołać na niego. Z kościoła wychodził ostatni, nie zaglądał już do Jakóba rzeźnika, lecz toczył się ku Franciszkanom, ztamtąd ku Bernardynom, kończył zaś na Kapucynach. Przechodząc koło teatru, ani spojrzał na fury z drzewem stojące, a gdy czasami który z chłopków zaczął go pokazując gładziutki kłoc drzewa, uśmiechał się boleśnie mówiąc:

— Mój przyjacielu, nie mam dla kogo kupować, żona mi umarła biédaczka mości dobrodzieju, a ja nie potrzebuję drzewa, chyba na trumnę.

Po południu dopiero brał się do regestrów, lecz nie prowadził nowych, a przeglądał tylko dawniejsze: wypisywał wszystkie wydatki na potrzeby Urszulki, obliczał, unosił się nad ich małością, i płakał. Stosy listów od przyjaciół z prowincyi leżało nierozpieczętowanych, stary martwił się tém bardzo, lecz nie był zdolny do ich czytania.

Otóż takiem życiem przeżył lat dwa, nim bolesna strata mogła stę zatrzeć nieco w jego myśli, i wrócić mu jeżeli nie zupełną swobodę, to pewną umiarkowaną spokojność, do której wzdychał od tak dawna. Powynajdywał sobie zajęcia interesami znajomych, deptał po biurach, szukał, nudził, a w domu spisywał znowu drobne wydatki, robił nad dawniejszemi niejaki komentarze, gotował obrony, prośby, korespondencye wypływające z licznych processów, które bez żadnego wynagrodzenia, ot tak z dobrej woli najusilniej popierał. Wszyscy adwokaci, mecenasi, rejenci i komornicy, znali go jak stary szeląg, i bali go się niezmiernie, pan Tomasz albowiem póty chodził, póty prosił, upominał, że musiał w końcu otrzymać należyty skutek. Kiedyś, nim jeszcze wstąpił do służby skarbowej, przechodził przez niższe stopnie sądownicze; prawo więc znał lepiej jak na palcach, i obznajomiony był z najdrobniejszych formułkami postępowania. Niechno więc który z adwokatów lub jego pisarzy chcąc go się pozbyć, narzucił jaką kwestyę niewłaściwą w pokładanych przezeń dowodach, to zaraz pan Tomasz występował z całym zasobem swych wiadomości prawnych; tłumaczył, dowodził, przekonywał z takim zapalem, iż nie podobna było mu przerwać, i unikać podobnej dysputy.

Musiał skończyć co zaczął, trzymając często bardzo wedle zwyczaju za guzik słuchającego. Przymiędzy nasuwały mu się w pamięci inne processa, które sam przeprowadził, albo o których słyszał lub czytał kiedyś; rozповідаł więc najdrobniejsze onych szczegóły, dość że jak się pokazał pan Tomasz w kancelaryi panów rejentów lub adwokatów, wszyscy na wyścigi biegli zadość uczynić jego żądaniom, aby go się pozbyć jak najprędzej.

Teraz pomówmy nieco o jedynaku naszego ex-kontrolera, którego widzieliśmy przed kilku laty uczniem, a teraz dorosłym już młodzieńcem, to jest o panu Juliuszu Rygorskim. Byłto sobie wcale przystojny i wysmukły brunecik: rumiany, z czarnym okiem, okrągłą, dość regularną twarzą, ubrany modnie, zawsze wyświeżony, uśmiechnięty, zwracał czasami uwagę płci pięknej, gdy w niedzielę po mszy, przechadzając się pompatycznie w Saskim ogrodzie, i zasadziwszy na nos ostatniej mody lornetkę, przypatrywał się dość natrętnie siedzącym w głównej alei kobietom. Stary pan ojciec, widząc w nim najżywszy portrecik nieboszczki Urszuli, jakoś przez szpary spoglądał na wykwintny ubiór synalka, płacił dość znaczne kwoty krawcom, szewcom i innym rzemieślnikom, bo jakże mógł odmawiać tak drobnych przyjemności jedynemu dziecięciu. Czasami tylko, gdy wpisując miesięczne wydatki do wielkiej księgi, dostrzegł ich ogrom, wołał syna, kazał mu czytać, dodawać pojedyncze pozycje, i skrobiąc się w głowę napominał:

— Mój ty kawalerze, coś jakoś mi zanadto wydajesz: patrzajno 50 złp. 60, 120 to źle, niedługo kolonijka pójdzie z wiatrem mości dobrodzieju!

— Ależ proszę ojca, w tej Warszawie tak wszystko drogie, że ja ile możności się ograniczam; lecz znowu niepodobna chodzić obdartym. Bywam w tylu porządnych domach, iż doprawdy nieraz wstydzić się muszę mego ubioru!

— To zbytki mości dobrodzieju, zbytki! stroje w głowie nie więcej! Chodzisz jak hrabia jaki mój kawalerze, i jeszcze ci mało? ja, mości dobrodzieju, gdy byłem młody i dorabiałem się kawałka chleba, jedna licha surducina na trzy lata posłużyła; a tu na wiosnę inne, na lato inne, na jesień inne, straszne rzeczy mój kawalerze!

— Proszę kochanego ojca, takie czasy teraz; ja przecież odróżnić się nie mogę: co to same segara kosztują np.

— A boteżto zbytek, jakiego świat nie widział, mości dobrodzieju, z ust komin robić i jeszcze za to przepłacać! Albo naprzykład ten teatr; zaraz do krzesel jakbyto z galeryi nie można się tak samo przypatrzeć...

— Proszę ojca, jabym się spalił od wstydu—odpowiedział uśmiechając się litośnie pan Juliusz—gdyby mię spostrzegła która z pań w łoży siedząca.

— No, no—odrzekł kiwając głową pan Tomasz—jacy wy to panowie teraz, a za moich czasów nieboszczyk ksiądz Staszyc, choć to miliony zostawił, zawsze chodził na paradyz i dobrze mu było mości dobrodzieju!

— I jabym poszedł—przemówił synek—gdybym był Staszycem...

— Więcś ty lepszy od niego, co?—zawołał gniewnie emeryt.

— Nie, mój ojcze, tylko o nim każdy wiedział, że mógłby dziesięć łoż zapłacić, gdyby zechciał, a ja co innego.

— Pięknie mój kawalerze, jak widzę, chcesz świat okpiewać blichtrą?! nie bój się kochanku; wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi mości dobrodzieju: choćbyś ty wlaźł i przed orkiestrę, to zawsze będziesz aplikantem i synem urzędnika!

— Ja przecież tego się nie wypieram mój ojcze, lecz wolę raz w miesiąc iść do krzesel, niż 3 lub 4 na galeryę; bo pewno byś sam tego nie zniósł, gdyby wyśmiewano twego syna.

— Jeżeli z tego tylko mieliby cię wyśmiewać mój kawalerze, słowabym nie powiedział; bięda uczciwa więcej warta, niż nadęta a pozorna pańskość. Znasz tę bajeczkę o żabie, co to chciała sprostać wołowi? pękła biędaczka, i pękła żaba!

Pan Juliusz trochę się zasmucił słysząc podobnie wyrzekającego ojca, zrobił minę studenta, którego złapano na gorącym uczynku swawoli, i już, już o mało co, że się nie rozbeczał; lecz stary widząc to upokorzenie, przyciągnął go za rękę, pocałował w czoło i mówił łagodniej.

— Boto widzisz mój Juleczku kochany, ja patrzę i patrzę mości dobrodzieju, a niby nie widzę; ale jak się zbierze tego za wiele, to i powiem prawdę! Nie smuć się tedy, a popraw się kawalerze, żeby stary ojciec nie miał powodów do takich umartwień i lajań, które i jego nie mało zdrowia kosztują!

I uściskawszy go serdecznie, udobruchał się pan Tomasz, a synek obtarłszy oczy, przedsięwziął sobie postępować już odtąd zgodnie z życzeniem ojca. Lecz nazajutrz spotkał się z kolegą,

ten go zaprosił na preferansa do siebie; grano po 5 groszy punkt: on nie grał zbyt wprawnie, ale nie śmiał się wymówić, i znowu kilka rubelkow pękło, na rachunek poczciwego kontrolera.

Póki żyła matka, poczciwa, bogobojna choć prosta sobie niewiasta, krok za krokiem śledziła postępowanie jedynaka, i kierowała nim według swego widzenia rzeczy; lecz po jej śmierci, gdy ojciec dręczony smutkiem, całe dni przepędzał we łzach i na modlitwie; pan Juliusz świeżo ukończywszy szkoły, powoli wchodził sobie w świat, zabierał znajomości, i z największą łatwością przejmował obyczaje, zwyczaje i ton, nowo-nabytych kolegów i przyjaciół.

Przystojny, zawsze pięknie ubrany przytém nie bez grosza, niedziw, że prędko znalazł przyjaciół, którzy go wprowadzali między swoich krewnych, znajomych i w te domy, do których sami uczęszczali. Życie uśmiechało się dwudziesto dwu letniemu Juliuszowi, wszystko bawiło go swą nowością; tańce, gry, teatr, bilardy i t. p. przyczyniały się do rozwinięcia niejakięj próżności i zarozumienia.

Jednakże po kilku miesiącach takiego życia zauważył nasz bohater, iż nie takto łatwo jak się zdaje zostać lwem salonowym. Na to potrzeba dużo czasu, więcęj doświadczenia, a zawsze prawie trochę nauki i dowcipu; pan Julian zaś prócz ładnej powierzchowności, wytwornych sukien, zręcznego tańca i patentu szkolnego, nie mógł nic więcęj złożyć w ofierze towarzystwom, do których wszedł z gorącym życzeniem zrobienia wielkięj furory. Zato z całym zapalem szkolnęj wymowy, powstawał na czczość, chłód i etykietę dzisiejszych zabaw: dowodził jak to być powinno, o czémto mają mówić, jak czas przepędzać; ma się rozumieć, takie rozprawy miały miejsce w gronie dobranej młodzieży pośród błękitnęj atmosfery dymu dwunasto-groszowych cygar. Tymczasem, w salonie jakoś przymiot retoryczny ginął, słów brakło na oddanie myśli, a tylko siedząc jak trusia w kąciku, czerwienił się po same uszy na każdą zaczepkę kobiet, poprawiał nieustannie to włosy, to kołnierzyki, to krawacik na szyi, to rękawiczki, oczekując jak zmiłowania Bożego tańców, w których celował, szczególniej przy skręcaniu w lewo, i tupaniu w mazurze.

O trzech tylko poważnych przedmiotach umiał rozprawiać gładko, z zajęciem, pokładając się od śmiechu przed każdym słowem; to jest, o figlach szkolnych, segarach, które znał od 2-zło-

towych a i do 4-ro groszowych; i o modach męzkich: bo codziennie chodził umyślnie koło okien krawców dla obejrzenia świeżo wystawionych rycin z dzienników paryzkich. Największym dla niego nieszczęściem i przyczyną częstych bezsenności był dość mocny rumieniec twarzy, i przysłowie *mości dobrodzieju*, do którego przywykł, słuchając przez lat tyle szanownego ojca, pana Tomasza. Bóg wie coby nie dał za to, aby mieć twarz bladą, interessującą, jako charakterystyczną oznakę arystokracji. Co chwila przesuwiał się przed zwierciadłem, spoglądał weń ukradkiem, a zobaczywszy ogniste rumieńce zachodzące po same oczy na obu policzkach, krzywił się najniesmaczniej i zakrywał twarz dłonią, udając, że niby cierpi na zęby. Zresztą byłto sobie poczciwy chłopaczek, z dobrem sercem: przyjacielski, usługowy, nieopryskliwy, choć trochę zarozumiały, porządny; ot taki, jakich co krok można spotkać po znaczniejszych ulicach Warszawy, zwłaszcza w dzień słotny, admirujących zgrabniutki nóżki kobiet, w lecie pijących niby wody w Saskim ogrodzie, w salonach stojących sztywnie po kątach, lub za plecami grających w prefersa; którzy kilka razy na godzinę wychodzą do kuchni zaciągnąć się papierosem, z niemłą ciekawością oglądają modne guziczki u kamizelek kolegów, i w gronie mniej znanych mężczyznu, sypią tylko dziesiątkami, setkami, a czasem i tysiącami rubli.

Każdy z tych, w ustach dorożkarzy, JW. panów, nazywa wszystkie panny po imieniu, wie gdzie która mieszka, jaką ma wadę, jaki kapelusz, ile ma posagu, kto był jej dziadem; w którym magazynie lub kawiarni są ładne blondynki lub brunetki; słowem, obznajomiony jest ze wszystkimi szczegółami różnych, przeróżnych ploteczek, tajemnic poczciwej Warszawy, z których wszelako prócz wiadomości, nie umie jeszcze innych wyciągnąć korzyści,

Byłoby tu o nich wiele jeszcze do powiedzenia, lecz odłóżmy to na kiedyindziej, a teraz zajrzyjmy do hotelu Litewskiego, gdzie ulokowały się nasze dawniej znajome panie Lińskie zaraz po swoim przyjeździe.

Godzina 10 z rana, mama i panny ubrane już do wyjścia, chodzą czegoś niespokojnie po pokoju, mama robi jeszcze pończochę, a dziewczęta niecierpliwie zaglądają do okien, zdając się kogoś oczekiwać.

— Ah! jaki nieznośny ten pan Juliusz—odezwiała się młodsza—mamy tyle sprawunków do załatwienia, a on nie przychodzi.

— Prawda—odezwała się Helenka—lecz musi być w biurze, zkąd nie bardzo można wychodzić...

— Ty zawsze trzymasz jego stronę—przerwała zadąsana Bronisia—a ja ci jeszcze raz powtórzę, że nieznośny! Co to, żeby na kogo czekać od kwandrana? ja nie mam kapelusza, mamie burnusa brakuje...

— Wcale niegrzeczny—dorzuciła matka nie spuszczać oka z roboty—myśli sobie, że nam wielką łaskę wyświadcza, i tak się zaniedbuje. Chciałam poszukać metra do śpiewu, przyobiecał mię zaprowadzić do jakiejś tam imości, a tu fortepian od trzech dni już zniesiony, od którego muszę płacić 40 złotych miesięcznie! Jak uważam dzisiejsza młodzież bardzo się negliżuje; muszę mu to powiedzieć, bo jeżeli tak dalej ma z nami postępować, adieu paniczu, znajdziemy dziesięciu na twoje miejsce.

— Idą, idą, z ojcem!--zawołała stojąca przy oknie Helenka.

-- Ach! i ten stary nudziarz, po co on tak często się włóczy? ja jego usług nie potrzebuję—mówiła mama.

— Przecież miał zająć się pasportem--rzekła Helenka.

— I przysłać nam szklanek—dodała Bronisia.

— Ah prawda, i obiady tanie wynaleźć—dokończyła matka.

Wtém otwały się drzwi do pokoju; stary Rygorski zgarbiony kończąc jeszcze zażywanie tabaki, wszedł dosyć powoli, postawił łaskę w kącie, odkrząknął, splunął zastaniając się ręką, i zbliżył się do ucałowania rączki pani Ludwikowój. Za nim wbiegł pan Juliusz trzymając chustkę przy ustach, bo czuł, że rumieńce posuwają mu się ku oczom.

— Jakżeto można tak się spóźniać!--odezwały się wszystkie trzy prawie równocześnie, robiąc niesmaczne grymasy.

— Ale boto, pani dobrodziejko, z tym pasportem nie mogę trafić do końca—zawołał pan Tomasz—koniecznie chcę, aby sama pani dobrodziejka pofatygowała się do cyrkułu.

— Co znowu, jaka impertynencya!--krzyknęła mama, kładąc robotkę na stole.

— Nic nie pomoże pani dobrodziejko—odparł emeryt—komisarz tego wymaga.

— Ale ja nie pójdę! Co on sobieto myśli, że ma do czynienia z jaką tam kupczychą? tylko pójdę do hrabiny K.

a ona powie mężowi, który tu ma wielkie znaczenie, on go nauczy jak to się postępuje z takimi, jak my kobietami!

— Coto pomoże, proszę pani dobrodziejki: skoro idzie o odebranie z poczty pieniędzy, on musi, mości dobrodzieju, poświadczyć tożsamość osoby. Oho, znam ja te przepisy, pani dobrodziejko, na palcach—mówił dalej, siadając na krześle—ile razy odbieram emeryturę dla moich kolegów mieszkających na prowincyi, tyle się nachodzę na deptam....ot, i przed dwoma tygodniami, pisze do mnie Gopliński, mości dobrodzieju, żeby mu....

— A miał nam pan szklanek przystać?—przerwała niegrzecznie Bronisia—nie mamy czem napić się wody?

— Jakto, czy nie przyniosła służąca?

— Nie przyniosła.

— A to dopiero niepoń dziewczyna, mości dobrodzieju! Sam upakowałem sześć... wszak tyle żądała pani dobrodziejka?

— Tak, o sześć prosiłyśmy.

— No to ja téż sześć kazałem tu przynieść. Otóż widzi pani dobrodziejka, jaki to tu lud, mości dobrodzieju! Oho! znam ja ich na wylot; miałemci ja kolonię za Pragą, gospodarzyłem przez 4 lata, to się napatrzyłem dosyć: wszystko tylko zepsuć, ściąć, zerwać, pokrajać, pani dobrodziejko. Raz posiałem słoneczniki, ale jakie słoneczniki!—prawdziwe amerykańskie; bo to widzi pani dobrodziejka jestem wielkim amatorem ogrodnictwa. U mnie Strumillo przedewszystkiém... Za pozwoleniem, zna pani dobrodziejka Ogrody północne Strumilly?

— Jakże z obiadami?—przerwała biorąc za klamkę pani Ludwikowa— znalazłeś pan?

— Mam, pani dobrodziejko—zamówiłem trzy bardzo porządne; my z Juliuszem tam jadamy.

— Ja myślę—odezwała się pani Ludwikowa spoglądając znacząco na Bronisję—że to zawiele na nas trzy obiady.

— I mnie się tak zdaje—odpowiedziała też zwracając się do Helenki.

— Dwa aż nadto—rzekła ostatnia polykając ślinkę—my tak mało jadamy.

— Ależ i służącą mają panie dobrodziejki.

— To i tak aż nadto wystarczy: panienki nie powinny dużo jadać, zwłaszcza przy śpiewie. Ale po czemuż, proszę pana.

— Po trzy złote pani dobrodziejko.

— Kto wie czyto nie drogo?—zapytała mama, znowu przesyłając córkom podobne spojrzenie.

— O za drogo! za drogo!—dokończyły obie.

— Przecież tu muszą być tańsze restauracye w których pewno daleko smaczniej gotują; przyznam się panu, nie lubię tych wymęczonych potraw: żeby to coś gospodarskiego?

— To chyba łaskawa pani dobrodziejko z pod konika! Ja tam jadalem dawniej, kiedy jeszcze aplikowałem mości dobrodzieju. Och! wtedy to krucho było z człowiekiem: jak się dorwał owego talerza rosółu, zmiatał też zmiatał. Ale teraz, pozwoli sobie pani dobrodziejka powiedzieć, to jakoś dobrze nie wygląda; mężczyznom ujdzie, boć to pamiętam w roku w roku a niechże cię kaduk porwie mości dobrodzieju, w roku...—powtarzał drapiąc się w głowę pan Tomasz trzymając frendzlę mantylki pani Ludwikowej, i szarpiąc nią w miarę owego roku—roku... 23 mości dobrodzieju!—zawołał urwawszy jeden bąbelek.

— Coż pan robisz u Boga, podrzesz mi mantylkę—przemówiła spojrzawszy groźnie pani Ludwikowa, otwierając drzwi.

— Ach przepraszam mocno łaskawą panią dobrodziejkę; daruj ot staremu, takie już mam przyzwyczajenie—sumitował się kłaniając nisko ex-kontroler.

— Ale po czemuż obiad pod tym osielkiem?—zapytała tupiąc nóżkami z niecierpliwości panna Bronisława.

— Przepraszam panią dobrodziejkę, bo to pod konikiem.

— Niech będzie pod czém chce—mówiła dalej rubasznie—tylko po czemu?

— Po 25 groszy!

— A to musi być prawdziwie po gospodarsku!—odezwała się radośnie sama pani.—Prosimy o dwa obiady dzisiaj, jeśli pan łaskaw, bardzo prosimy.

I ruszyli wszyscy z pokoju, upominając służbę, aby się na krok nie wydalala. Helenka pobiegła naprzód z panem Juliuszem, Bronisia z matką schodziły wolniej, a stary emeryt macając łaską ciemne schody, stąpał powoli mruczając do siebie: „to mi oszczędna, mości dobrodzieju, a nie służyła w kontroli? Dobrze, dobrze, zrobi majątek. Trzebaby mojego Juliusza do niej na naukę, och trzebaby!”...

— Najprzód pójdźmy do magazynu po kapelusze i odbierzemy uszyte już kaftaniki—zagaiła pani Ludwikowa, gdy stanę-

li przed hotelem — potem panie Juliuszu zaprowadzisz nas do téj śpiewaczki!

— Dobrze pani — odrzekł już rumieniając się młodzieniec.

Po ulicach mnóstwo uwijało się osób, więc ciągle krzywiła się pani Ludwikowa, że ją potrącają niegrzecznie; szła powoli, panny prędkiej, a tym sposobem gubiły się co kilka kroków, stawały, oglądały, daleko tam jedna od drugiej. Ponieważ panny były wcale przystojne, niejeden téż elegant zajrzał im w oczy, przystanął, popatrzył się trochę za niemi, a pan Juliusz rósł i rósł uszczęśliwiony takim zaszczytem, iż prowadzi tyle piękne panienki; każdemu ze znajomych kłaniał się niżej jak zwykle, krząkał z miną szczęśliwca mijając przyjaciół, nachylał się często ku pannie Helenie z uśmiechem do pozazdrosczenia.

— Ach dobrze, że téż pana spotykam — przemówiła pani Ludwikowa, zaczepiając jakiegoś młodego mężczyznę, który jęj się uklonił — jakże się pan miewa?

I zastanowili się wszyscy na trotuarze, otoczyli nowo-znalezione, dopytując o różnych znajomych, i zapraszając do siebie na herbatkę.

— Ale, ale, ma pan dużo czasu?

— Na usługi pani aż zanadto — odparł grzecznie młody człowiek.

— Tobysmy téż prosily, czyby pan nie był tak dobry i nie dał do oprawy téj oto książki; pan tu zna wszystkie sklepy, więc spodziewamy się lepiej to i taniej od nas uskuteczysz.

— Młody człowiek skrzywił się trochę, lecz nie okazując widocznej niechęci, przyjął polecenie, i pożegnał nasze kobiety, obiecując stawić się wieczorem.

— Niech pan będzie łaskaw, bardzo prosimy, bo my tam znajdziemy jeszcze małą prośbę do pana.

Uszedłszy kilka kroków, spotykają jakąś damę; znowu stoją i powtarza się ta sama, co wyżej scena kommissowa, tylko w innym rodzaju. Dalej biegnie jakiś piękny wyzelek angielski, wszystkie trzy unoszą się nad jego zgrabnością kształtów, a mama obracając się do młodego Rygorskiego mowi:

— Proszę pana, czy nie możnaby tu gdzie nabyć jakiego ładnego pieska?

— Trudno tu o to — odpowiedział śmieliej jak zwykle pan Juliusz — drogo kosztują, chyba — dodał zartobliwie — trzeba by ukraść.

— A żeby to pan był tak dobry, bardzo byłabym mu wdzięczna—przemówiła niesłyszawszy zapewne ostatnich słów jego.

— Z największą chęcią—wyrzekł machinalnie młodzieniec cały zarumieniony, i wysunął się ku pannom, zostawując ojcu honorowe miejsce przy mamie dobrodziejce.

Nie będę tu opisywał szczegółowo targów po sklepach, oglądań, przymierzań ze zwykłym wyrażeniem: „że u nas na prowincyi daleko taniej takie rzeczy kosztują”, bo znając poczęści charakter naszych bohaterek, można się tego wszystkiego domyślić. To tylko nadmienię, iż obeszły piętnaście sklepów i nie znalazły w nich żądanych kapeluszy: wszędzie przymierzały co tylko było w magazynie, rozprawiały jak to być powinno, a odbierając owe kaftaniki, impertynencko zarzuciły modniarce, że pluszu na obszycie daleko mniej wyszło, niż one go zakupiły dając do roboty. Stary Rygorski jakoś wkrótce im zemknął po zamówione obiady, a pan Juliusz, pomimo całej dla nich przychylności, zżymał się co chwila, iż podobne kompromitacye spotykają go po sklepach, gdzie miał nadzieję kiedyś porobić znajomości z pracującymi tam dziewczętami.

Nareszcie po kilkogodzinnej takiej uciążliwej podróży, weszli do mieszkania owjej artystki trudniącej się udzielaniem lekcyi śpiewu. Po odbyciu wstępnych przedstawień i grzeczności, po obejrzeniu najdrobniejszych sprzączków mieszkania, pani Ludwikowa poprosiła o zaśpiewanie jakiego wyjątku ze znanych oper.

Artystka ta, kobieta młoda jeszcze, słynęła podówczas w Warszawie z pięknego głosu i prawdziwego zamiłowania sztuki. Usłyszawszy więc podobną prośbę, zarumieniła się nieco, przygryzła nieznacznie usta, lecz ulegając konieczności losu, który podobno niebardzo łaskawie uśmiecha się naszym artystom i artystkom, z bolem serca usiadła do fortepianu i dobrawszy właściwy akord, dźwięcznym głosikiem, z całą metodyczną znajomością śpiewu zaczęła prześliczną aryą z Łucyi z Lamermooru. Z początku jeszcze, pod wpływem przykrego niezadowolnienia, głos jej drżał nieco wibrując tęskliwie; lecz przy drugiej zwrotce w miarę głębszego zatapiania się myślą w tém arcydziele, odzyskiwał dźwięk sobie właściwy, a przy końcu, rozwinął się z nieporównaną siłą harmonii, czucia i wdzięku. Gdyby to miało miejsce gdzie na publicznym koncercie, grzmotami oklasków dziękowanoby znakomitej śpie-

wacze; lecz nasze miłośniczki sztuki nie znalazły dla niej tyle pobożania, żeby przynajmniej cierpliwie dosłuchały końca; bo niezważając na śpiewaczkę, która zdawała się skupiać wszystką moc swego talentu na oddanie tej arii, zaczęły rozmawiać między sobą, z początku ciszej, potem coraz głośniej, a w końcu śmiały się do rozpuku, pokazując sobie nawzajem jakąś komiczną scenę, przedstawioną na obrazku wiszącym nad fortepianem.

Skończyła młoda kobieta i powstając, niespokojnym okiem rzuciła na słuchające, zdając się szukać na ich twarzach odbicia własnych uczuć i wrażeń. Lecz spostrzegłszy śmiejące się oczka pańienek, westchnęła żałośnie, dziękując bez myśli za garstkę chłodnych komplementów, rzuconych z litości i ze zwyczaju.

— I cóż pani żadasz za godzinę?—zapytała powstając pani Ludwikowa.

— Płacą mi zwykle po rublu—odpowiedziała rumieniąc się artystka.

— Oh! zadrogo moja pani.

— Jużto zwyczajnie tak placą w Warszawie; ale też za to dołożę usilnych starań, aby panny skorzystały prawdziwie. Niewiele mam lekcyj, mogę nie zważać na godziny i dłużej przysiedzieć—mówiła spoglądając bojaźliwie na panią Lińską, a obaczywszy że ta porusza coś głową niechętnie i zabiera się do wyjścia, postąpiła ku niej dość żywo, dodając:—To już za 5 złotych przystaje, bo mam oto chorą od kilku miesięcy matkę, która potrzebuje i lekarza, i lekarstw, i wygod, więc wspomagając mnie, dopomożesz pani i jej zarazem!

— A moja pani i ja mam córki, które potrzebują edukacji; zresztą zobaczę... namyślę się w domu—rzekła najobojętniej w świecie pani Ludwikowa.—Żegnam więc panią, jutro uwiadomię ją o mojem postanowieniu.

Wróciwszy do siebie, zaczęła istotnie rozmyślać, ale bynajmniej nie o śpiewie, tylko o cenie, i niedługo stanowczo zdecydowała, iż pani ta śpiewa niewyraźnie, tak, że słów zrozumieć niepodobna, a zatem lekcji jej córkom udzielać nie może. Tymczasem przebiegając pamięcią różnych znajomych sobie artystów, wynalazła jednego z nich należącego wtenczas do składu opery warszawskiej, i tego dnia zaraz, poprosiła go do siebie w nadziei, iż tenże przez wdzięczność za niesioną sobie pomoc przed dziesięcią laty w urządzeniu dlań koncertu na

provincyi, będzie łaskawszym na jój biędną kieszeń. Lecz tą razą protegowany kiedyś artysta omylił jój rachuby i stanowczo zażądał daleko wyższej zapłaty, niż jego poprzedniczka. Oburzenie pani Ludwikowój nie umiało się powstrzymać, i z całą goryczą powiedziała odchodzącemu:

— Przyznam się panu, wcale innój spodziewałam się po nim wdzięczności za te nasze trudy i starania, jakie podejmowaliśmy z mężem przy wystąpieniu jego w mieście N. Otóż tak wspomagać artystów!—to zapłata!

— O ile mogę sobie przypomnieć — wyrzekł obrażony artysta—cała ich łaska ograniczyła się na dwóch szklankach herbaty, które mąż pani gwałtem mi do rąk wpakował; żeby więc nie zostawać dłużnikiem moim dobrodziejom, składam tu złotych polskich dwa, które mam nadzieję z procentem opłacą sowitą ich łaskę!—I po tych słowach ukłoniwszy się zdumionój pani Ludwikowój, wyszedł z pokoju.

Można sobie wystawić jój gniew i oburzenie po takiej odpowiedzi kiedyś protegowanego artysty, zwłaszcza, iż to miało miejsce w obecności dwóch młodych elegantów wielkiego świata. Lecz trudna rada, trzeba było połknąć tę smaczną pigułkę, bo zabrakło męża, lub innego z bohaterską odwagą męzczyzny, którzyby zaszczytnie pomścili tę zniewagę. Pani Ludwikowa ograniczyła się tą razą silnym bolem głowy z tysiącami wyrzutami niewdzięczności. Ale po całodziennój chorobie, trzeba było znowu poszukać nauczyciela; szczęściem pan Tomasz znał jakiegoś dawnego kapelmistrza, sprowadził go nazajutrz, i ponieważ tańszym się okazał od poprzedzających, stanęła z nim ugoda i lekcye się rozpoczęły.

Codziennie między 9 a 11 godziną zrana, mieszkańcy sąsiedzkich pokoi zmuszeni byli wychodzić na przechadzkę, gdyż tak miłe dolatywały ich dźwięki piszczących głosików naszych artystek, iż zdawało im się, iż lada chwila pociąg kolei żelaznej ma się zatrzymać na podworcem hotelowym. Stary kapelmistrz, mantyk co się zowie, założywszy na nos potężne okulary, zwickiem nut wybijał takty, tupał nogami, trząsł się, czerwienił z gniewu, gdy która z dziewcząt wzięła fałszywie, i kilka razy nawet zamierzał już pociągnąć za ucho nieposłuszną, lecz namacawszy ręką piękne nioby, wkrótce się mitygował, i przestawał na głośném splunięciu.

Z początku pani Ludwikowa cieszyła się niewymownie tą gorliwością nauczyciela, lecz gdy przez ośm lekcji słyszała tylko gammy i gammy, znudziła się już monotonością powtarzanych treli, i odezwała się do wychodzącego kapelmistrza:

— Proszę pana; czyby to już nie było dosyć tych ćwiczeń.

— Jakich, łaskawa pani?

— Tych, a, a, a, a,....

— Ale gdzietam—odrzekł machając ręką stary—to grunt nauki, trzeba wszystkie przejść od a, do z.

— Ja myślę, że tyle się już wprawili, iż potrafią zaśpiewać jaką aryjkę.

— Za pół roku, łaskawa pani, za pół roku to może, ale teraz trzeba przejść 27 numerów, a my jesteśmy na 5 dopiero.

— Eh! to ja dziękuję panu za taką naukę—rzekła pani Ludwikowa kręcąc naiwnie głową—pół roku na gammy!? pierwszy raz o tem słyszę: w pułku może to jest koniecznym, ale dla moich córek, którem sama uczyła muzyki....

— Za pozwoleniem mojej łaskawej pani—zawołał stary biorąc ją za rękę—jeżeli to sama pani je uczyła, to daruj mi gdy prawdę powiem, iż wcale nut nie znają.

— Co znowu pan mówisz, jaki impertynent?!

— Nie impertynent, moja łaskawa pani, tylko człowiek, który zjadł na tém zęby, i zna muzykę wybornie; ja inaczej uczyć nie umiem. Przymiemy panny wcale nie mają głosu—szkoda czasu i atlasu. Upadam do nóżek mojej łaskawej pani, upadam. i wzięwszy kapelusz, łaskę i nuty, wyszedł szybko z pokoju.

— Ależ panie, panie—wołała oknem mama—proszę się wrócić.

— Po co?—odezwał się patrząc w górę nauczyciel.

— Muszę panu zapłacić za ośm lekcji.

— Niepotrzeba, schowaj sobie łaskawa pani dla innego; ja nie biorę pieniędzy jak nic nie nauczę, a żebym dwa lata tu chodził, tak samoby było. Komu Bóg nie dał głosu, ja go nie dorobię!

Tym sposobem znowu panny Lińskie zostały bez nauczyciela. Jednakże roztropną mameczkę wcale nie zraziły te niefortunne początki edukacji, bo zaraz na wieczór sprosiła naszych znajomych Rygorskich, i rozwodząc szeroko swe żale, prosiła o pomoc w wynalezieniu nowego nauczyciela.

Stary emeryt tarł czuprynę szukając w myśli kogoby nastroczyć, lecz przebiegając wszystkich znajomych, nie mógł trafić na żadnego, któryby odpowiedział licznym wymaganiom naszych parafianek. Poczciwy emeryt stosując się do prośby swego przyjaciela komendanta, pomimo tysięcznych niegrzeczności, jakie go co krok spotykały, pomimo nieustannych wymagań, posyłek, interesów, któremi go zarzucały niedyskretne kobiety, nie mógł, a raczej nie śmiał uwolnić się od ich opieki, i sapiąc, mrużąc, a czasem i narzekając, ciągnął dalej ów ciężki wózek, do którego się zaprzęgnął w imię dawniej przyjaźni. Nieraz aż litość brała patrząc na tego poczciwego starca biegnącego ulicą i obładowanego różnymi a przeróżnymi paczkami; pot kroplisty występował mu na czoło, nogi drżały od utrudzenia, a cała poczciwa twarz wyrażała pośpiech połączony z bojaźnią, czy się tam nie spóźni i nie zasłuży na jaką wymówkę. Przyszedł wieczór, już pan Tomasz siedzi w pokoju swych tyranek, gniecie w rękach szklaneczkę mętniej herbaty, przegryza suchą zcherstwiałą bułkę, i gada a gada o swoich różnych wypadkach biurowego życia, starając się ile możności je zabawiać, aby mu nie zarzucano, iż nie umiał wywiązać się godnie z włożonego nań obowiązku. Panie Lińskie tak samo jak i u siebie w domu, zajęte robótką, siedzą milcząco, mama się uśmiecha, Helenka krząta około herbaty, a Bronisia kiedy-niekiedy najprozaiczniej ćwiczy suchą bułeczkę popijając wodą, i oświadcza, że to jej najulubieńsza potrawa. Młody Juliusz powoli już oswoił się z nowym towarzystwem, rozprawia głośniej o cygarach, opowiada z całym zapalem o swoich figlach, kiedy był w siódmej klasie, proponuje nawet przechadzki do miejsc więcej uczęszczanych przez Warszawian, i czasami wypadłszy do drugiego pokoiku, szepnie niezgrabny jaki komplemencik Helence. Za to pani Lińska bierze go z sobą na wizyty do znajomych, wmawiając mu nieustannie, iż powinien mieć dla niej nieograniczoną wdzięczność, że go wprowadza do takich domów, do których wstęp niebardzo łatwy podobnie młodym paniczom.

Stary ojciec już nie wyjmuje rąk z kieszeni, dając i dając rubelki jedynakowi, bo potrzeby jego z przyczyny nowej znajomości nieustannie się powiększają. Pannom jakoś bardzo często chce się pić czy w teatrze, czy po spacerach; Lursowskie cukry nadzwyczaj smakują, różne drobnostki wystawione przed

sklepami tyle się podobają, iż trzeba nie mieć najmniej litości nad temi ślicznemi istotkami, być nieświadomym najpospolitszych form grzeczności młodego kawalera, aby je pozbawiać tych przyjemności dla jakiejś tam blabiej oszczędności. A przytém nasze panie tak słodko dziękowały, tak szczerą znać było radość na ich świeżutkich twarzyczkach przy odbieraniu każdego prezencika, iż panu Juliuszowi serce biło jak młotem, nadzieja rosła olbrzymio, względy się pomnażały, a marzenia snuły miliony różnopromiennych tęcz przyszłości.

Po wynalezieniu nowego metra, który przyjaciela pana Juliusza wybornie nauczył grać na gitarze i śpiewać prześliczne aryjki, a który okazał się tańszym jeszcze od swoich poprzedników, laska pani Ludwikowej stanowczo się przechyliła na stronę naszego kawalera. Codziennie prawie dziękowała mu serdecznie za tę przysługę, bo córki robiły tak szybkie postępy, iż po dwóch tygodniach nauki, śpiewały po dwie duże arye, i jeden duet z komedyi Folwark w Prymeros, jeszcze z tak wybornie zastosowaną gestykulacją twarzy, rąk i całego ciała, iż śpiewaczki francuzkiej opery mogłyby tu wiele skorzystać.

— Co to znaczy dobry nauczyciel!—mówiła raz zachwycona pani Ludwikowa do starego emeryta, po odśpiewaniu wielkiego duetu—widzisz pan i głos się znalazł, i bez gamm się obe szło; a jaki grzeczny, jaki elegancki w obejściu, układzie, ruchach, że doprawdy aż miło na niego popatrzeć. Wierz mi pan, gdyby on miał inne jakie stanowisko w świecie, szczęśliwą byłabym nazwać go swym zięciem.

— Eh! proszę pani dobrodziejki, na co się zdało śpiewanie i te tam ceregiele: u mnie serce, serce znaczy. Bo to znałem ja jednego Piorżyńskiego, mości dobrodzieju, chłop jak dąb, a wąsy, a ręka, a głowa! Jak cacko, proszę pani dobrodziejki; pamiętam wtedy porządkowałem rachunki bractwa, mości dobr...

— To pan jesteś członkiem bractwa?—zapytała Helenka.

— A tak mościa panno dobrodziejko, i to seniorem?

— Czy dawno?—dorzuciła mama.

— Od roku... roku...a bodajże cię kaduk miał...

— 27—dokończyła śmiejąc się rubasznie Bronisia.

— Ależ nie 27, nie, mości dobrodzieju, bo to pamiętam ja-koś 30 roku prowadziłem wtedy interes Kalińskich... Ale pięknyż to był interes pani dobrodziejko: było ich dwunastu tych Kalińskich, familia bogata, włości coś ze 20; jednemu było na imię Jan,

drugiemu Piotr, trzeciemu Xawery co umarł na cholere i zostawił czworo drobiazgu, mości dobrodzieju: Helenę lat trzy, Zofią.. złe mówię, nie Zofią...a bodaj cię...Ma. Jo. A... Le... Ehl kiedy taka pamięć—mówił krzywiąc się stary i szukając machinalnie jakiego przedmiotu, któryby mógł pociągać.

— Ależ o tém przyjęciu do bractwa miał nam pan kontroler powiedzieć.

— Ha! prawda, pani dobrodziejko; otóż jakoś po roku 1832, jeden z bractwa, człek świątobliwy, mości dobrodzieju, mówi mi: wiesz co, mówi, panie Tomaszu?—Nie wiem—mówię mu zażywając tabakę...Ale przepraszam że przerwę, mości dobrodzieju, bo dobrze że sobie przypomniałem: mam tu wyborną albankę, może pozwoli i pani dobrodziejka—mówił podstawiając rozwartą tabakierkę. Wtém dano znać, iż pani hrabina przyjechała z wizytą. Kobiety się zerwały czémprędzej na przyjęcie dystyngowanej osoby, a stary Rygorski potrzymawszy niejaki czas otwartą tabakierkę, zażył sam, schował ją do kieszeni, machnął ręką i wzięwszy kij w rękę, wymaszerował drugimi drzwiami.

Nie potrzebuje tu opisywać, z jakimi oznakami radości i uszanowania przyjęto starą jakąś babinę, jak ją usadzano, całowano; panny nie wiedziały gdzie położyć jój kapelusz, gdzie szalope, jak umieścić faworyta pieska z czerwoną wstążeczką na szyi. Postano zaraz po kawę, ciastka, zarzucono pytaniami czy lubi biszkekiki, czy parzone, czy sucharki, kawę słodką, słabą, mocną: słowem gościnność i uprzejmość odżyła w sercach naszych kobiet, rozlała się po twarzach i nadała im nowy popęd w ruchach, mowie i uśmiechach. Tymczasem ta pani hrabina była to sobie zwyczajną starą intrygantką i bigotką, której prócz szumnego tytułu wszystkiego brakowało. Kiedyś przed laty córka jój była na pensyi w Krakowie razem z panią Ludwikową, tam się zapoznała i z samą matką, kilka razy potém bawiła u niej po kilka tygodni na wsi, ztąd znajomość, przyjaźń i życzliwość. Teraz będąc w Warszawie, przypomniała się dawniej dobrodziejce, odwiedzała ją z córkami prawie codziennie, a pan Juliusz miał to szczęście, iż dla ich bezpieczeństwa prowadził je wieczorami podedrzwi mieszkania hrabiny, i o naznaczonej godzinie przychodził znowu odprowadzać do hotelu.

Otóż w końcu drugiego miesiąca tak szczęśliwie prowadzonej edukacyi, gdy serce biednego młodzieńca coraz bardziej glnęło do panny Heleny, a ona nie okazywała mu żadnej niechęci,

wracając ze zwykłej wizyty od hrabiny, wzięli się pod rękę, wyprzedzili o kilkanaście kroków resztę towarzystwa i zaczęli następującą rozmowę:

— Czy dobrze tak pani—odezwał się Juliusz poprawiając trzymaną rękę.

— Bardzo dobrze—mówiła przysuwając się nieco.

— Och bo ja, to całe życie takby mi szedł z panią, i nie czułbym żadnego ciężaru—powiedział ciszej pan Juliusz.

— Czym ja taka lekka?

— Zapewne; ale widzę, że pani mnie nie chcesz zrozumieć.

— Istotnie że nie rozumiem.

— Ach!—westchnął młodzieniec przyciskając mocniej jej rękę—żeby pani wiedziała, ile ja znoszę dla niej udręczeń!

— Dla mnie, a to jakim sposobem?—rzekła niby zadziwiona Helenka.

— A tak, dla pani, bo całe nocy nie sypiam myśląc tylko...

— Czy o mnie?

— A naturalnie że o pani i o tem, że jak pani odjedziesz z Warszawy, już znikło dla mnie szczęście całego życia, już świat będzie dla mnie pustką...

— Eh pan żartujesz sobie, i chcesz mię ludzić po Warszawsku jakiemiś czułemi sentymentami; nie bój się pan, znam ja to wszystko i nie wierzę!

— Ależ jak ojca najszczerzej kocham, słowo honoru daję pani, iż prawdę mówię.

— Zwyczajne to słówka, nie wierzę.

— Żeby mi się z tego miejsca nie ruszył, żeby mię...żeby... mówił coraz ogniściej Juliusz przyspieszając kroku.

— Ależ powoli proszę pana, bo daleko odejdziemy—rzekła oglądając się niespokojnie Helenka.

— Więc to pani tak mi jesteś zyczliwą—dodał tonem srogiego wyrzutu amant—mnie, mnie, cobym dla niej dał krew, duszę, wszystko!

— Och tak znowu nie! Ale bo też i pan niewdzięczny jesteś—przemówiła panna Helena zakrywając oczy chusteczką.

— Więc pani ten...tego...mnie...kochasz troszeczkę?

Dziewczyna milczała spuściwszy głowę na piersi.

— Pani moja droga, aniele mój, istoto niebiańska, Helenko!—wołał drżący młodzieniec patrząc w twarz kochanki—Oh! powiedz słówko powiedz tak, a uszczęśliwisz mię na wieki!

— Kiedy ja ci nie wierzę!

— Rozkaż, powiedz,—mówił coraz bardziej zapalając się pan Juliusz—a wszystko wypełnię na dowód, iż kocham cię nad życie!

— I ja także—szepnęła cichutko Helenka zsuwając się bezwładnie prawie na jego rękę.

— Ach jakież ja szczęśliwy!—krzyknął głośno Julian podskoczywszy wesoło, z zamiarem klęknęcia na zblóconym trotoarze u nóg swjej dulcynei.

— To staw na damę pikową!—zawołał jeden z grona mężczyzn mijających w téj chwili naszą parę.

— Idź na polowanie jutro!—dodał drugi.

— A pocałujże zaraz tę sarneczkę, mój kawalerze, kiedyś taki szczęśliwy!—odezwał się trzeci, zaglądając im w oczy.— Niech mię diabli wezmą, nie szpetna! A zkądżeś to mój ptaszku, he?

Lecz w téj chwili zbliżyła się reszta towarzystwa, i uwolniła zakochaną parę od dalszych komplementów ulicznych. Pan Juliusz zmieszany nieco tym wypadkiem, odzyskał wkrótce różowy humor, stał się wesołym, rozmownym, a nawet i dowcipnym; odchodząc zaś, przy drzwiach hotelu zdołał nawet ucałować nieznacznie rączkę panny Heleny i zapewnić ją o dozgonnej, płomiennój i nieograniczonej miłości.

Wracając ku domowi nie szedł, lecz tańczył po trotuarach, poświstując jakiegoś skoczego mazura, i wywijając laseczką z uśmiechem rozkosznym na ustach.

Ha! przecież się zakochałem naprawdę! Poczekaj panie Marcinowicz, śmiałeś się, drwiłeś ze mnie, masz teraz! A śliczna dalibóg! Moja Helenko, Helutko, Helusiu droga, jakże ja cię téż kocham i kocham; ach jakbym cię uściskał, ucałował w usta, oczko, włosy, nosek....—mówił sobie półgłosem stawając co chwila, składając ręce i obejmując niby zgrabną kibić kochanki. Tak się kochać to ale! Dopiero to będzie zazdrości, dziwów!—Stukając tedy, skacząc po schodach, przebudził wszystkich prawie lokatorów na Kanonii, wpadł jak szalony do swojej stancyjki, i znowu tańczył, i znowu ścisnął i całował na dobranoc, aż w końcu wysiłony, z tysięcznymi marzeniami, projektami, usnął snem prawdziwego szczęśliwca.

Nazajutrz do południa, już wszyscy przyjaciele, znajomi, koledzy po biurach, prócz samego ojca i pani Ludwikowój, wie-

dzieli o nowój miłości Juliusza. Nawet subjektów handlowych nie opuścił, bo skupując mnóstwo kosztownych drobiazdzków, radził się każdego z nich, czy one będą stosowne na prezent dla panny, którą się kocha.

Takim więc sposobem, bez tych przedwstępnych korowodów i utrapień obojga sympatyzujących istot, zawiązała się miłość naszej młodej pary; odtąd nie ustawały szeptki na wieczorach herbacianych u pani Ludwikowej, strzeliste spojrzenia krzyżowały się co chwila, rozmowa coraz bardziej się ożywiała przeplatana kradzionym całuskiem, którego pozwalał sobie czasami pan Juliusz, aby wyrównać zacynym kolegom, mającym sławę miękczenia serc kobiecych. Codziennie nasz kochanek sprowadzał swoich przyjaciół pod okna hotelowe, aby podziwiali jego zupełny tryumf i unosili się nad wdziękami panny Heleny. Mama jakoś nie widziała, a może i nie chciała widzieć dość wyraźnych nadszłości i grzeczności, podejmowanych przez niego dla uprzyjemnienia im pobytu w Warszawie; ona zbyt pewną była Helenki, iż nie zdoła zapomnieć się do tego stopnia, aby mogła ofiarować serce jakiemuś tam kanceliście, pobierającemu 1,200 złp. rocznej pensyi. Jednakże podobne rachuby tą razą omyliły jej nadzieję. Helenka czy przez zgodność charakterów, czy w braku innego zajęcia, patrząc przez dwa miesiące na ładną twarzyczkę Juliusza, doświadczać z jego strony tyle wyrazistych dowodów przywiązania i więcej jak życzliwości, pokochała go naprawdę, i bądź co bądź postanowiła tak kierować interesami, aby zostać małżonką Juliusza Rygorskiego. Przywykła do ciągłego tajenia swych myśli i uczuć, umiała bardzo zręcznie odsunąć najmniejsze podejrzenie matki i siostry, udawać obojętność, a czasami i znudzenie w towarzystwie młodego człowieka. Lecz gdy byli sami, lub chodząc na spacer, wysunęli się naprzód, ileżto natworzyli projektów przyszłości, meblując mieszkanie przy jednej z ulic pryncypalnych w Warszawie, chodząc po balach, teatrach, koncertach, spacerach; kupując różne przeróżne stroiki, szale, dywany, świecidełka, tyle niezbędne dla ozdoby salonu. Słowem, wedle swych usposobień, charakterów i przywyknień, bawili się w marzenia, które nie kosztują, a tyle rodzą czarownych myśli w głowach młodych kochanków.

Podobnie błogie chwile wzajemnej miłości trwały już ze dwa tygodnie, gdy jednego dnia przed wieczorem, odbiera pa-

ni Ludwikowa nadzwyczaj lakoniczny list od męża, donoszący o niebezpiecznej jego chorobie. Przestrach, lament i krzyki rozpaczny naszych pań nie dadzą się tu opisać. Dość tylko powiedzieć, iż do południa następnego dnia, już wszystkie rzeczy zostały zapakowane, sprawunki załatwione, a na trzeci dzień przed wieczorem miano wyjechać do domu. Rozżalona mama, już może setny raz odczytywając niepewną ręką kreślone wyrazy małżonka, zalewała się łzami, wybuchała głośnym łkaniem, a córki ze służką pomagały jej, wybornie tworząc kompletny kwartet z opery, mogący szczycić się napisem: „Udany Smutek.” Biedne, ani się domyśliły, iż pan Ludwik nie mogąc się doczekać ich powrotu, i czując że kieszeń jego najwymowniej cierpi wysyłając dość znaczne posiłki, zażartował sobie niewinnie, zmyślił chorobę i zacierając ręce z zadowolenia, wychodził codziennie na spotkanie ukochanej żoneczki i prześlicznych dzieciaczków. Przystępem zasłyszał coś o postanowieniu marszałkowicza, i chociaż takim wieściom nie dawał najmniejszej wiary; wszelako dla większego bezpieczeństwa, postanowił sprowadzić żonę, aby sama osobiście czuwała nad biedną ofiarą, i nie pozwoliła marnie zaginąć wydanej kwocie na dokończenie edukacji córek. Wybieg był wcale nowy, list doskonale odpowiadał usposobieniu schorzałego małżonka: nie dziwi więc, iż zrobił porządny skutek na umyśle tą razą mniej przeczorną pani Ludwikowej.

Ale dla pana Juliusza ta wiadomość była najokropniejszym ciosem boleści. Stracić lubą kochankę jak Helenka, i stracić wtenczas, gdy niebo jak najpomyślniej zdawało się sprzyjać wszystkim jego zamiarom, to nie do uwierzenia. Biegał więc jak szalony z Kanonii do hotelu, z hotelu do Kanonii, zapomniał o biurze, ojcu i o całym świecie, dręczony najdotkliwszym żalem i rozpaczą. Nareszcie po wielu naradach, płaczach i najczulszych pożegnaniach, odprowadził je do rogatek wraz z ojcem, przyrzekając najsolenniejszemu Helence, iż za dwa lub trzy tygodnie przyjedzie do niej zupełnie ukończyć interes.

Stary pan Tomasz odetchnął dopiero pozbywszy się nieznośnych tyranek; zatarł ręce, zażył tabaki, i z wesołą miną powrócił do domu. Natychmiast wziął się do odrabiania zaległości: powpisywał wydatki do ksiąg właściwych, i ze zgrozą przekonał się, iż lista cywilna rozchodów Juliusza nadzwyczaj się powiększyła.

—A trzeba to uporządkować, mości dobrodzieju. Ot jak mi się jedynak rozhulał: patrzcie państwo 500 złotych poszło jak biczem trzasnął; zmniejszą pensyą, do połowy zmniejszą!

I tak szczerze zajął się odrabianiem zaległości, tak biegał po biurach, adwokatach, rejentach, sądach z wielkim ich umartwieniem, że coś przez tydzień ani się zapytał o Juliusza, a widując go przy obiedzie, nie spostrzegł przerażającej bladoci, rozpostartej na całej twarzy ukochanego jedynaka. Dopiero jednego dnia w niedzielę, gdy już myśl jego mogła swobodniej pobujać, chciał pogawędzić trochę z ulubionym dzieckiem, i w tém celu wsunął się nieznacznie do jego pokoiku. Młody człowiek z głową podpartą na obu dłoniach siedział przy stole całkiem zajęty odczytywaniem leżącego przed nim bileciku. Stary ex-kontroler, leciutko na palcach podsunął się ku niemu, spojrzął na liścik, a nie mogąc przeczytać, sięgnął do kieszeni po okulary. Ten ruch ojca wyrwał z zadumy naszego kochanka, obejrzał się szybko, i w mig schował do kieszeni czytane pismo.

— Pokaż zaraz, mości dobrodzieju! — krzyknął gniewnie pan Tomasz—co to kawaler już do bilecików się wzięłeś! Piękna mi konduita.

Lecz pan Juliusz jakoś nie spieszył się z oddaniem listu, i z miną winowajcy stał przekrzywiony trzymając się ręką stołu.

— Czy nie słyszałeś kawalerze, coto za list?

— To... proszę ojca... od... od...

— Od kogo? mów zaraz!

— Od... przyjaciela!

— Nie prawda! pokaż zaraz; od przyjacieli listów się nie chowa, mości dobrodzieju!

— Daruj, kochany ojciec—mówił nieśmiało synek—ale przegrałem wczoraj 10 rubli w karty, nie miałem pieniędzy do zapłacenia i dziś upominają się o nie.

— Chryste Panie! co ja słyszę! kawaler do karteczek się wzięłeś, mości dobrodzieju!

— Wciągnęli mię, proszę ojca, nie mogłem się wymówić... —sumitował się klamiąc pan Juliusz.

— A to okropność, mój kawalerze, straszne rzeczy! Ktoby to powiedział, mój syn w karty już grywa, bez mojej wiedzy, bez mego pozwolenia!? Czy to kawaler nie wiesz, mości dobrodzieju, iż ja tobą rządę, ja ojciec, ja emeryt, ja... Kawaler łyżki do ust podnieść nie możesz bez mego rozkazu!

— Proszę ojca, to już ostatni raz, więcej tego nie zrobię; nie gniewaj się mości dobro...

— Co to znaczy mości dobrodzieju! Kawaler mi podrzeźniasz, mnie ojcu!

— Ależ nie, proszę...

— Żadne ale, kawaler jesteś nicpoń, hultaj, szalaputa, rozrzutnik! 500 złotych, 500 złotych przez miesiąc wydać, mości dobrodzieju, w karty grać... A możeś się jeszcze gdzie zakochał, co?

— Nie, proszę ojca—odrzekł spuszczać oczy.

— Masz szczęście kawalerze, bo jak Urszulkę kocham, mości dobrodzieju, oddałbym cię do Bonifratrów, a potem golę głowę i do klasztoru! Niech cię Pan Bóg zachowa od tych amorów: pamiętaj sobie!

Juliusz na to wszystko milczał wzdychając serdecznie, chciał już przyznać się ojcu i prosić o przyzwolenie, lecz widząc taki gniew starego, bał się aby nie przyszło do jakiej gwałtowniejszej awantury.

— Bo to widzisz mój Juliuszu—ciągnął dalej całując go w czoło—wam młodym, to strasznie wróble gwizdają po głowie; jak się żenić mości dobrodzieju, to z byle jaką; nie pozna charakteru, skłonności, tylko jak gładka, mości dobrodzieju, dalejże do ołtarza. A to potrzeba do tych rzeczy brać się powoli, rozważnie, i najlepiej spuścić się na wybór starszych. Dlaczego to ja uczciwie, bez obrazy Boga żyłem lat trzydzieści z moją nieboszką Urszulką, której niech tam Bóg najświętszy da wieczne odpoczywanie: to téż, mości dobrodzieju, przez lat pięć się poznawaliśmy. Kawaler tam nie wiesz o tém, bo cię na świecie jeszcze nie było; ale kiedyś i jam był nie chwałąc się gładki, i pensya była i mina dobra i do tańca choć najmniej; to się tam kręciło koło mnie tych maseczek dużo i śmiało się to i mizdrzyło, a ja mości dobrodzieju powiedziałem sobie: Urszulka, albo żadna; i tak się stało.

— To téż, proszę ojca, i ja tak samo zrobiłem—przerwał zapomniawszy się Juliusz.

— Jako już sobie powiedziałeś?—krzyknął zrywając się z krzesła starowina.

— Nie, nie—tłumaczył się zatrwożony synek—tylko chciałem powiedzieć że zrobię.

— No, to co innego; ale kawaler o tém nie powinieneś myśleć. Ja co innego, nie miałem ojca, byłem panem siebie, więc mogłem sobie powiedzieć to lub owo; ale ty, niedoświadczony, płochy, musisz słuchać mnie, mości dobrodzieju, mnie ojca, mnie kontrolera, mnie emeryta, który ci tam krzywdy nie robi. Wszystko musi iść porządnie, mój kawalerze: jak ja powiem ta ma być twoją żoną, kochaj się wtedy na zabój, ale sam ani mi się waź! Bo i *np.* jaka to będzie żona z takiej Helenki, albo z tej, tej Bronisi Lińskich? Obludne, mości dobrodzieju, wyśmiewają starą głowę, aby okpić, wyciągnąć i nic więcej: pustki w kieszeni a fomy w głowie! Och! niechże mię Pan Bóg zachowa i broni od takiej synowój! Kawaler prawda jeszcześ zamłody, ale jak to mówią ranne wstawanie, wczesne ożenienie nikomu nie zaszkodziło, mości dobrodzieju, to też ja mam dla ciebie panienkę co się zowie.

— Kiedy ja proszę ojca nie myślę się żenić—przerwał za-trwożony Juliusz.

— Co tam mi kawaler mówisz: ja lepiej wiem, czy myślisz lub nie myślisz! A od czegoż jestem twym ojcem, mości dobrodzieju!? Tak dawniej było na świecie i porządnie było: kawaler się ożenisz jak ja zachcę i dosyc. Po co tu wymówki? Tak samo było i z tym, tym... a niechże cię... Ooo zapomniałem jak on się to nazywał: coś Hiszpański, czy Amerykański, mości dobrodzieju, tak jakoś z kraju.

— Może ten stary Saski!—przemówił Juliusz.

— Tak, tak, tak Saski, on sam—zawołał pan Tomasz zażywając tabakę.—Otóż widzisz kawalerze, ten Saski tedy byłto synem jednego urzędnika z kommissyi wojny; chłopiec jak świeca, bogaty mości dobrodzieju; ale trzpiot, panie zmiłuj się! Bywało idziemy wieczorem z Wojniczem... eh! to ten walny chłopak: biedak umarł już dawno, niech tam z Bogiem odpoczywa, mości dobrodzieju, miał śliczną siostrę, poszła za jakiegoś obywatela z Kaliskiego....

— Ale proszę ojca—odezwał się niecierpliwy młodzieniec—kogóż to mi ojciec przeznacza.

— Poczekajno kawalerze, jakiś mi gorący, niechno dokończę, mości dobrodzieju; nazywał się jakoś na *icz*, Cytowicz! nie, Sakowicz, nie; o bodajże cię zapomniałem na śmierć, a taki go znałem jak ciebie kawalerze.

— Mniejsza o nazwisko.

— Co to mniejsza: nazwisko grunt, panie dobrodzieju. Wiesz, Napoleon przewidział to wszystko, bo w kodexie powiedziano tak...

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!—odezwał się wchodzący po kweście braciszek, i tém przerwał tyle morderczą dla Juliusza rozmowę, bo szanowny emeryt natychmiast zajął się przyjęciem kwestarza, odprowadziwszy go do swego gabinetu.

W sercu zakochanego młodzieńca tymczasem toczyła się okropna walka ułożonych nadziei przyszłego szczęścia, z nieprzepartą koniecznością posłuszeństwa dla ojca. Po tej rozmowie jeszcze bardziej posmutniał, jeszcze częściej wydobywał z bożnej kieszeni ów liścik różowy, i płakał biedaczysko, pieszcząc swój umysł uroczém wspomnieniem ślicznej Helenki. Przywykły do gdérań starego ojca, miał jakąś nadzieję, iż potrochu zdoła zmiękczyć opór dobrego ex-kontrollera, i jak bądź tak bądź postawi na swoim. Dlatego téż po kilku dniach podobnej męki, jak zaczął przemyślać, układać, przerabiać różne przeróżne projekta, z całej téj różnolitej mieszaniny wynalazł jakiś pewnik pocieszający, uchwycił się go jak to mówią jak pijany plotu, i znowu pobudował ogromne gmachy szczęścia, zapomniawszy o przeszkodach, stawianych niezłomną wolą starego ojca. Zwyczajnie jak młody; nie mógł się w żaden sposób przekonać, żeby jego czarodziejskie marzenia i silna ognista miłość Helenki, miały spełznąć na niczém. Ma się rozumieć że te pomysły nie miały gruntownych podstaw, nie składały się z przebiegle pomyślanych planów, lub z całą zręcznością prowadzić się mianych intryg, bo jego młodociana głowa, jeszcze nie była w stanie wyrodzić z siebie tego, w czem doświadczenie gra niepoślednią rolę. On sobie powiedział, że jak zacznie miżernieć skazując się przez czas niejaki na post dobrowolny, przytém jak zacznie płakać, zaklinając ojca na imię matki, a wreszcie straszyć, iż sobie co złego zrobi, ex-kontroler się zmięczy i na wszystko przystanie.

W dopełnieniu więc tyle heroicznego zamiaru, tracił powoli apetyt, sen, humor, spokojność; coraz widoczniej blednął na twarzy, opadał z ciała, robił się melancholicznym, przykrym i kapryśnym. Jużto przyznać potrzeba, że wytrwałości mu nie zabrakło: bo choć nieraz głód mu szalenie dokuczał, żołądek kurczył nieznośnie, dopominając się o swoje prawa; choć naju-

lubieńsze jego potrawy wabiły zapachem, nęciły ponętą okazałością: jednakże tyle miał mocy nad sobą, że spojrzawszy na ów różowy bilecik połykał slinkę, kręcił głową, i śmiało nadstawiał pierś młodzieńczą na wszelkie ułudy, mogące zachwiać jego bohaterkie przedsięwzięcie. Naturalnie że skutkiem podobnego morzenia się, po kilku dniach dostał naprawdę gorączki, zżółkł, osłabł, i tém samém zwrócił na siebie uwagę pocziwego ojca.

Dziwna rzecz, iż pan Tomasz do tyła kochający jedynaka, jakoś niezbyt dotkliwie uczuł tę chorobę Juliusza; kiedyindziej byłby mu sprowadził tuzin doktorów, z całym sztabem felczerów, baniek, pijawek i lekarstw; byłby dniem i nocą czytał Raspaela, szperał w Śniadeckim lub innych popularnych książkach medycznych dla powrócenia zdrowia jedynemu dziecięciu, a tą razą pocieszał go tylko jak mógł zażywając tabakę, uśmiechając się tajemniczo i biegając po całych dniach za jakimiś pilnemi interesami. Nareszcie jednej niedzieli w połowie czerwca, weselszy niż zwykle, wszedł do pokoju Juliusza z miną pocziwej radości na twarzy, i podając mu zwinięty arkusz papieru, usiadł na krześle obok łóżka chorego:

— Co to jest? proszę ojca—zapytał niesmaczno Juliusz.

— Czytaj, mości dobrodzieju, a dowiesz się zaraz—odpowiedział sadowiąc się lepiej i dobywając tabakierki.

Młody człowiek z niecierpliwością rozłożył podany papier, rzucił oczyma na niego i oddając go napowrót ojcu przemówił:

— Dziękuję ci mój dobry ojczy, ale ja nie mogę jechać.

— Jakto? nie możesz jechać ze mną ojcem, i to w Krakowskie.

Na to słowo w Krakowskie zadrzał Juliusz, popatrzył znowu na papier, i zrywając się gwałtownie z łóżka ucałował serdecznie ręce pana Tomasza.

— O dziękuję ci mój drogi ojczy, dziękuję za tę niespodziankę! Wyrobiłeś mi urlop, nachodziłeś się, nastarał i to dla mnie tyle kłopotów.

— Acha kawalerze! widzisz, mości dobrodzieju, że ja najlepszy lekarz: nie prawda?

— Tak, tak, już czuję się lepiej, a gdy wyjedziemy, gdy odetchnę świeżem powietrzem, niezawodnie zdrów będę jak ryba.

— No, kiedy tak, to pakuj się dobrodzieju; we wtorek o 6tej marsz w drogę! — mówił chodząc wesoło po pokoju pan Tomasz.—Nie bój się kawalerze, wiem ja najlepiej co komu po-

trzeba! Chorowało się, smutniało się, mości dobrodzieju, zwyczajnie jak młody, kiedy mu to miłosny molek nurtuje po sercu. Kawaler sobie nabiał głowę romansem i....

— To ty wiesz o wszystkim mój ojcie!—zawołał zeska-
kując z łóżka i klękając przed nim.

— A wiem mości dobrodzieju—mówił śmiejąc się serdecznie rozczulony ojciec—wiem kochanie, że młodym to jedno słowo potężnego sęka w bije do głowy. Spuść się na mnie, ja to wszystko najlepiej ułożę: już ja to nie chwaląc się niejedne swaty prowadził.

— Ależ proszę ojca, gdzie my pojedziemy?

— Hola! mój kawalerze, naraz chciałbyś wszystkiego do-
ciec—*patientia, patientia*, dowiesz się o wszystkim, jak przy-
jedziemy. Masz oto trochę pieniędzy; wstawaj, pokupuj co ci
potrzeba, żebyś mi tam przecie po ludzku wyglądał. A mój ty
mości dobrodzieju, i o jakim prezenciku nie zapominaj, bo to on
się przyda!—zakończył grożąc figlarnie palcem i uśmiechając się
naiwnie.

Zaledwie stary próg przestąpił, Juliusz co tchu wziął się
do ubierania. Niezmyślona radość ożywiła trochę pobladłe li-
ca młodzieńca, oko zajaśniało, myśl pobiegła do Helenki, z ust
nawet wyrwał się skoczny mazurek, podobno ten sam, którego
nucił wracając do domu po owém oświadczeniu się na ulicy.
Najpierwszym interesem jego był obiad: który zmiotł jak naj-
smaczniej po tygodniowych suchotach; potem zajął się sprawun-
kami, biegał po sklepach, księgarniach, nie żałując bynajmniej
kieszeni ojca; w wieczór do północy pakował, układał, słowem
nazajutrz rano już był gotowym do drogi. Cały więc ponie-
dzialek wydawał mu się nieskończenie długim: kilka razy kładł
się na sofie w celu przespania leniwo postępujących godzin, lecz
ani sposób usnąć, gdy w głowie taki chaos myśli, a w sercu roz-
koszny dreszcz spodziewanego szczęścia.

Nareszcie przyszedł wtorek, i chociaż o szóstej godzinie
wieczór odjeżdżać miano, pan Juliusz o 12stiej zjadł obiad,
a o drugiej już siedział w pasażerskim pokoju na poczcie, po-
prawiając niecierpliwie świeżutką sakwę podróżną, i paląc cyga-
ro za cygarem.

Stary emeryt zostawiwszy mieszkanie na opiece jednego
ze swych przyjaciół, opakowany różnemi drobnostkami, według
niego koniecznemi w podróży, przyszedł w gronie starych zna-

jomych dopiero o 5tej, i po najczulszych uściskach, przyrzeczeniach, całusach i łzach wtoczył się do karety, a za nim szczęśliwy Juliusz.

Z początku uroczyste milczenie panowało pomiędzy podróżującymi osobami; każdy żegnając ulubioną stolicę, starał się jakkolwiek zebrać rozpięchnięte myśli, tłoczące się do głowy, lub ubiegając przebyć się mającą drogę, widział się u celu podróży w smutnym lub wesołym położeniu, w miarę projektów, zamiarów lub interesów, które go do siebie powoływały. Dopiero po przejściu tych pierwszych wrażeń nastąpiła wzajemna lustracja: jedni spoglądali na drugich badawczo, jakby chcieli odgadnąć myśli, charakter i cele kilkodniowych towarzyszków podróży, a milcząc, nie wiedzieli od czego zacząć. Ale nasz poczciwy pan Tomasz jakoś najwcześniej odbył chorobę zadumki, bo wyjmując tabakierkę, podał ją młodemu człowiekowi siedzącemu naprzeciw niego i wyglądając przez okno przemówił:

— Jużto nie ma jazdy, mości dobrodzieju, jak pocztą.

— Prawda—odrzekł obojętnie zagadniony i umilkł...

— Jednakże ja wolę podróżować koleją—wtrąciła jakaś zawołowana mocno imość.

— A przepraszam najmocniej panią dobrodziejkę, ja nie widzę w tém żadnej przyjemności: kości bolą, w głowie szum, huk; że człowiek jak zbity...

— Jak komu—odparła owa dama.—Ból kości u osób podeszłych wyrodzi się i bez kolei.

— Tak, tak, starość nie radość, moja mościa dobrodziejko. Jeżeli wolno spytać—mówił dalej pan Tomasz zwracając mowę do owego młodego człowieka—daleko pan dobrodziej?

— Aż do Miechowa pocztą, a potem nad Wisłę ku Nowemu-Miastu.

— A jakże to doskonale się wydarzyło—zawołał radośnie emeryt—bo i my z synem w tamte strony zdążamy.

— Bardzo mi będzie przyjemnie!—odrzekł ów podróżny, ściskając podaną sobie dłoń pana Tomasza.

— No, kiedy tak mości dobrodzieju, to musimy się lepiej poznać: otóż ja jestem Tomasz Rygorski były urzędnik kontroli do usług pana dobrodzieja; a to mój syn Juliusz, także przyszły urzędnik—i przy tych słowach stary chciał się podnieść, lecz uderzywszy głową o powalę karety, poprzestał na powtórnym uściśnięciu ręki.

— A ja--odrzekł uprzejmie zagadniony—nazywam się Stanisław Wiśniewicz, jestem z powołania inżynier, przeznaczony dla dozoru brzegów Wisły, gdzie właśnie jadę dla objęcia nowój posady.

— To pewno ojciec pana dobrodzieja Wincenty Wiśniewicz, któryto w roku.... w roku..., a bodajże cię mości dobrodzieju.... zapomniałem na nic.... coś 34 czy piątym.

— Budował krakowską szosę—odrzekł uśmiechając się młody inżynier.

— Tak, tak, ten sam.

— Nie, to nie ojciec, lecz brat rodzony jego, a mój stryj.

— A to stryj, mości dobrodzieju! Ale proszę ja pana, w którymże to roku było, bo ja sobie coś przypominam, że to była wtedy tęga zima: moje kaktusy choć trzy razy dnia paliłem w piecu na Kanonii, na nic przemarzły mości dobrodzieju! Ech! jakieżto bo były kaktusy: jeden *opuntia* jakoś *clata* czy *rata*, bo już i nie pamiętam, rozbujał się jak las jaki, ot tak wysoko, szeroko...

— Proszę ostrożnie, wytrącisz mi pan torebkę—odezwała się piskliwie zasłonięta dama.

— Ach przepraszam najmocniej panią dobrodziejkę: człek to się i zapomina jak wspomni te śliczne kaktusy..

— Zdaje mi się, iż tę drogę stryj budował w roku 1834.

— Tak, tak, tak, kochany panie, dobrze w 1834. Otóż tedy, mości dobrodzieju, znaliśmy się dobrze z pańskim stryjakiem; zacny-bo to człowiek, a wesoly.... Przepraszam pana dobrodzieja, ale czy téż żyje jeszcze?

— Oh już 6 lat jak umarł.

— Mój Boże, i zmarło mu się téż tak wczesnie! No proszę umarł; a nie możnaby wiedzieć jeszcze na co?

— Podobno na zapalenie płuc,—odpowiedział pan Stanisław—zaziębił się w drodze, dostał kataru i....

— No proszę ja—przerwał żałośnie pan Tomasz zażywając tabakę—biédaczysko na zapalenie płuc... A to tak samo, jak moja nieboszka Urszulka.

— Czy to córka pańska—zapytał słuchający.

— Gdzie tam córka, panie dobrodzieju, gdzie: to żona najdroższa moja, kobieta poczciwości.... Mój Boże, mój Boże! daj jój tam wieczne odpoczywanie, bo to proszę pana dobrodzieja, co się tego nasiekali, nakaleczyli!? Czterdzieści pijawek, trzy-

dzieści baniek, najpierwsi lekarze z Warszawy, a nic nie pomogło.... i stary pan Tomasz westchnął boleśnie, a łza żalu zaświeciła w oku.

— Został mi ten oto syn jeden, łaskawy panie—mówił powoli—jedziemy teraz oto do mego przyjaciela, dawnego kolegi ze szkół: bo to proszę pana dobrodzieja już czas mu się ożenić— i tu szepnął coś do ucha sąsiadowi, aby Juliusz nie słyszał. Lecz podobna ostrożność była tą razą wcale niepotrzebną, bo rozmarzony młodzieniec kołysany jednotonnością jazdy, zwiesił głowę na piersi i spał sobie w najlepsze, kłaniając się za każdym stuknięciem siedzącej naprzeciw sąsiadce, która aby nie okazać się mniej grzeczną, jeszcze uniżeńsze przesyłała mu ukłony, tak, że co kilka minut oddawali sobie dotykálną czołobitność.

Stary nasz emeryt jeszcze niejaki czas rozwodził się nad przymiotami kochanej Urszulki, wychwalał jęj gospodarską rządność i oszczędność, potem zeszedł na drzewo, z drzewa do lasu na polowanie, z polowania do kolonii, z kolonii do słoneczników, ze słoneczników wreszcie do Strumilly Północnych ogrodów, pytając towarzysza, czy zna to przewyborne dzieło ogrodnicze. Lecz i ten ulegając ogólnemu wpływowi kołysania, widać także zasnął, bo wcale nie odpowiedział poczciwemu gadule.

— I on spi — pomruknął sobie pan Tomasz — szczęśliwa młodość!—I wyjął z pod siebie skórzaną poduszkę, położył na kolanach, gdzie niebawem skłoniła się głowa inżyniera, wysunął drugą z pod syna, oparł o lewą ramię na której spoczął jedynak; dobył koronki i zaczął najsumienniej odprawiać pacierze. Noc była piękna, świeży powiew wiatru załatywał okienkiem do karety chłodząc rozmarzone lica drzemiących, kiedyniekiedy znowu przy skręcie blade światelko księżyca zajrzało wewnątrz, oblewając dziwnym blaskiem piękną twarzyczkę Juliusza; a stary ojciec bojąc go się przebudzić, siedział nieruchomo spoglądając z czułością więcej niż ojcowską na to jedyne ukochane dziecko, pamiętkę po nieodżałowanej Urszulce.

Skończył koronkę, zaczął liczyć słupy wiorstowe, migające się przy drodze; spoglądał na zegarek ile potrzeba czasu na przebycie odległości jednéj od drugiey, czasami odważył się nawet wychylić głowę poza okienko, próbował zawiązać gawędkę z konduktorem; lecz huk głużył wyrazy, konduktor nie okazał się skłonnym do rozmowy, więc oddawszy się na opiekę Boską,

dumał to o rachunkach, to o Urszulce, to o kolonii, to o kome-dancie i jego familii, skracając sobie ile możności długość bez-sennéj podróży.

Ale téż za to, gdy zaświtało na niebie, i dzień w całym majestacie nawiedził ukochaną ziemię, gawęda szanownego emeryta nie ustawała. Całe swoje życie wypowiedał przed towarzyszami podróży; dowiedział się wzajemnie o ich wszystkich stosunkach, interesach, położeniu w świecie, wieku, familii, i t. p. Swoją pocieszną a uczciwą miną, zupełném wylaniem się z najdrobniejszych myśli, zamiarów i uczuć, tyle sobie zjednał uszanowania i sympatyi młodego inżyniera, że gdy wypadło im się rozłączyć w Miechowie, bez wahania zgodził się nałożyć kawałek drogi, wstąpić z nim do porucznika, aby tylko dłużej korzystać z towarzystwa szanownego pana Tomasza. Teraz dopiero oswobodzony emeryt pokazał co umieć z gospodarstwa; bo w każdej prawie karczemce popasając, rozprawiał z chłopkami, dopytywał się o urodzaje, radził, przekładał konieczność ulepszeń, oglądał niwy, łąki, szczególnież zaś po ogrodach chmiel i słoneczniki. Zobaczył prześliczne kłosa pszenicy, lub prosa, kazał stawać, zrywał pęczek, wiązał układając koło siebie na pamiątkę, iż te strony odwiedzał. O dwie mile tylko od porucznika zano-cowali nasi podróżni w nędznej karczemce, a znużeni dwudniową jazdą, usnęli smaczno na świeżém i wonném sianie, którego stanowczo dopominał się pan Tomasz, chcąc już w całym znaczeniu używać wiejskich przyjemności.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PAN DWÓCHSET WYSP.

WALTER - SKOTTA.

(Dokończenie).

PIEŚŃ VI.

I.

Powiedzcie nam, powiedzcie szkockie krasawice!
Jak silnie serce w łonie biło wam dziewiczym,
Jak gorącym rumieńcem paliły się lice,
Jako pierś się wstrząsała drzeniem tajemniczym,
Kiedy gońcy, zwiastuny pomyślnój nowiny
Przebiegali gór waszych samotne doliny;
Jakoście na kolana wzruszone padały
Słyszac dzwonów dalekich uroczyste dźwięki,
A płakać tylko mogły, bo słowa podzięk
Na koralowych ustach pośród łkań konały.
Powiedzcie jako nieraz o różannym świcie
Pledami otulone, na gór waszych szczycie,
Śledziłyście milczące łzawemi oczyma,
Czy się sztandar Brucego z wiatrami nie wzdyma.
A sztandar ten wysoko wzbijał się do góry,
Z wzniosłych szczytów Ludonu, z cichych płaszczyzn Ury.
I od gór Redwairu, do przylądka Wrathu,
Sława orla północy zajaśniała światu.

II.

Wyjrzyj królewno z samotnej celi,
Co cię od świata i ludzi dzieli:
U wrót klasztornych minstrel zdaleka
Z złocistą harfą w prawicy czeka.
Czeka skinienia białej twój ręki,
Aby w te wieszczce uderzył strony,

I głosu swego miarowe tony
 Żeniąc z melodyi słodkimi dźwięki.
 Opiewał wielkie Roberta czyny,
 Chwałę i szczęście szkockiej krainy!
 O Izabello! czyż jeszcze tobie
 W tych cichych murów zamkniętej grobie
 Wolno myślami w przeszłość ulecieć?
 I tę samotną ciszę rozświecić
 Jasną i świetną iskrą wspomnienia?
 Bo na dźwięk brzącający głosu minstrela
 Czarne twe oko płomieniem strzela,
 A blask co lice twe rozpromienia,
 Z pod zakonnicy bije zasłony
 Jak promień słońca chmurą zamglony.
 Lecz obok ciebie druga dziewczica
 Modrego oka, jasnego lica,
 Biała i wiotka jak lilia wodna;
 A taka cicha, taka pogodna,
 Jak na obrazku lice Madony,
 Z czystą miłością w dziewiczym oku.
 Zkąd ona tutaj zaszła w te strony?
 Zkąd ona księżno przy twoim boku?
 Ja już te lica kiedyś widziałem,
 Te modre oczy dawno już znałem,
 Lecz gdzie? nie pomnę. Pamięć zdradziecka
 Dziwnie się płacze; chyba że marzę,
 Lub gdzieś w kościele aniołków twarze
 Podobne były do tego dziecka.
 Lecz ona przecież nie zakonnica?...
 Grubą zasłoną nie kryje lica,
 Pled ma góralski a warkocz złoty,
 Głowę w bogate ubiera sploty.
 Ach! jaka śliczna! Wiosenna róża
 Kiedy w zaraniu pączek rozmruża,
 Nie tak się pewnie płoni jak ona,
 Gdy jasną główkę schyla wzruszona!
 Ach! ach!...być może, że mnie słuch myli,
 Lecz mi się zdało, jakby w tej chwili
 Minstrel wyśpiewał w dziecięcym swym rymie
 Pana dwóchset wysp dostojne imię!

III.

O pyszna Anglio! któż się doliczy
 Klęsk, które Robert Bruce ci zadał?
 Z wszystkich Edwarda dawnych zdobyczy
 Syn jego Stirling tylko posiadał,

Który z północnych Tweedu wybrzeży
 Kamienném czołem w niebo się jeży.
 Król przysiężonej pilnując wiary,
 Z rycerstwem szkockiém obległ gród stary.
 A w starym grodzie Sakson się trzyma,
 Trzyma się dzielnie w wściekłym uporze.
 Minęła jesień, minęła zima,
 Nareszcie w wiosny nadeszłej porze
 Takie spisane było przymierze:
 — „Jeżeli do wili świętego Jana
 Odsiecz Saksonom nie będzie dana,
 Król szkocki twierdzą sobie zabierze.”

Zadrzał na tronie król Anglów młody,
 Zadrzał w swój dumie dzieciuch wyniosły;
 Na wszystkie zamki, na wszystkie grody
 Wodą i ładem wysyła posły.
 A każdy poseł woła: „Lenniku!
 Król cię przyzywa w pola Berwicku.”
 Święty Jan blisko!... Wrzawa się szerzy,
 Z równin Lincolnu, Trentu wybrzeży,
 Tłum dzielnych mężów jedzie i płynie
 I na Berwicku wielkiej równinie
 W tysiąc się zbrojnych huców rozłoczy.
 A kiedy minstrel, co ich tam czeka,
 Ciekawym wzrokiem rzucił zdaleka,
 Zasłonił nagle olśnione oczy;
 Bo od błyszczącej zdało się stali,
 Że ziemia cała ogniem się pali!
 Lecz dumna Anglio, nietylko twoje
 Szlachetne dzieci przywdziały zbroje!
 Widzisz na polach wielkiej równiny
 Mężę Neustryi, Gaskonii syny:
 Tłumnie się zbiegli na głos twych wieci.
 Tam oto Kambryi góralskie dzieci,
 A tu milcząca i groźna chmara,
 Smutnego wzroku, dzika i naga.
 Ach! to lenniczy lud O’Konnara,
 Z pustyni Hibernii, lasów Konnaga!

IV.

Straszna z południa wzdęła się chmura,
 Wzdęła się z wiatrem groźna i czarna;
 A ognistemi gromy ciężarna,
 Ku ziemiom Szkocyi sunie ponura.
 Król Robert widzi, jak nawałnica
 Ciagnie ku niemu z głuchym łoskotem.

Widzi, jak krwawa lśni błyskawica,
 Czuje, jak ziemia wstrząsa się grzmotem;
 A nie drzy przecież, lecz mężkie oko
 Na krzyż srebrzysty zwraca wysoko,
 A potem krzyż ów wznosi do góry.
 Czy aby groźne zażegnać chmury?
 Czy aby Szkocyi ziemica cała
 Widząc to święte znamię zadrzała?
 O krzyżu srebrny! jak ty po niebie
 Musisz się z wiatrem wzbijać od dumy,
 Gdy takie piękne, szlachetne tłumy,
 Cisną się razem wokoło ciebie!
 O krzyżu srebrny! błogosław z góry
 To zaone, mężne, rycerskie plemię.
 I od cieśniny Mullu ponurój
 Po szczyt Benmoru, Tewiotu ziemię,
 Piaski Solwaju, Rossu wybrzeże,
 Niech święty Jerzy biedny lud strzeże!

V.

Poseł królewski wszedł w próg klasztorny,
 Oddaje księżnie ukłon pokorny,
 A potem pismo królewskie składa.
 Twarz Izabelli smutna i blada
 Krasą żywego rumieńca błysła,
 U czarnej rzęsy lezka zawisła.
 I na wznoszącą się pierś opadła.
 Ale po chwili twarz znów pobladła,
 Łza przyschła cicho do czarnej szaty:
 Księżna zasłonę spuszcza na lice,
 I do samotnej swojej komnaty
 Wzywa góralską młodą dziewicę.

VI.

— „O droga moja! O luba moja!
 Wiész jak to serce kocha cię szczerze;
 Wiész jako słodka przytomność twoja
 Samotną celę tęsknocie strzeże,
 I rozwesela pęsepne mury
 Jak promień słońca bijący z góry.
 Lecz nie dla ciebie ustron ta cicha,
 Gdzie młodość twoja marnie wiednieje,
 Jak róża wiosny, która usycha
 Gdy nań północny chłodny wiatr wieje.

Idź więc Edyto, gdzie cię przyzywa
 Króla twojego wola życzliwa!
 Idź! a wśród zgiełku świata i ludzi
 Wspomnij niekiedy o cichój celi.
 Gdy cię coś nocą ze snu przebudzi,
 Będzie to może duch Izabelli!
 Nie płacz, tych ślicznych ocząt ci szkoda:
 Nie płacz, łza każda zostawia ślady.
 Z tej twarzy mojej zwiedłej i bladej
 Czytaj o dziecię, że łzy nie woda...
 Lecz po co, po co, o wielki Boże!
 Stare na nowo rozkrwawiać rany?..
 Ale kto sądzić mógłby, że może
 Jam cię zdradziła paziu kochany;
 Nie, nie, król pierwój wiedział odemnie
 To, coś ty ukryć chciała daremnie!
 Łzy cię zdradziły, boleść tajona,
 Ta nagle bladość, nagły rumieniec,
 I mimowolne zadrzenie łona,
 Kiedy się luby zbliżał młodzieniec.
 I odtąd król twój ojcowskiem okiem
 Ścigał za każdym Ronalda krokiem.
 I widział jako mężny wódz Kolli
 Zasepiał czoło chmurą tęsknoty,
 Gdy kto z rycerzy pomimowoli
 Wymówił imię pazia sieroty.
 I nieraz znowu w senném marzeniu,
 Przy obozowym ogniska dymie,
 Słyszał jak ciche Edyty imię
 Konało w smutném, tęskném westchnieniu!
 I chciał dwa wierne serca połączyć!
 Lecz ... lecz... Edyto! nie smiem dokończyć.
 Lecz jeśli dawna Ronalda wina...
 Ach! twarz zasłaniasz z jękiem rozpaczy!
 O przyjaciółko moja jedyna!
 Boga zwią dobrym, ho zapomina
 Skoro żal szczerój skruchy zobaczy!"...

VII.

Edyta wzniosła oczy splakane,
 Drzą jej wzruszeniem usta rumiane,
 A ona chwyta dłoń Izabelli:
 — „Nie, nie, bogdajbym w zakonnój celi
 Marną mą młodość, tu, z tobą razem,
 W wiecznej tęsknoty łzach przepłakała,
 Niżbym królewskiej władzy rozkazem
 Miłość mą komuś narzucać miała”!

— „Ależ Edyto! Robert nie życzy
 Ażebyś wolą jego zmuszona,
 Piérwsza w Ronalda padła ramiona,
 Nie bacząc na cześć i wstyd dziewiczy;
 Ale twą dawną przybrawszy postać
 Znowu milczącym paziem chciéj zostać.
 I wtedy sama pod króla bokiem,
 Śledź własném sercem i własném okiem
 Uczuć rycerza siłę tajemną.
 Sprobuj Edyto! a jeżeli potem
 Będiesz się jeszcze kwapić z powrotem,
 By ciche życie wieść wspólnie ze mną:
 Drzwi téj samotnej klasztoru celi,
 I wierne serce twój Izabelli,
 Będą cię czekać, och nadaremno”!

VIII.

Biedna dziewczica! biedna dziewczica!
 Serce jój bije, płoną się lica,
 Lecz jak wymówić trudne to słowo
 Że ona biedna, słaba czy płocha,
 Wiarołomnego, ach! dotąd kocha!
 Jak to wymówić? i jak na nowo
 Wśród szczyku mieczów, wśród wrzawy boju
 Tułać się w pazia błędnego stroju?
 Któż nad nią czuwać będzie w podróży?
 I.... chwili jeszcze namysłu żąda!..
 Lecz Izabella dobrze coś wróży
 Z spuszczonej w ziemię oczu dziewczęciami,
 I zapłonioną tuląc w objęcia,
 Z słodkim uśmiechem na nią pogląda.

IX.

Nie płon się nie płon góralska dziewczico,
 Za mimowolne piersi twój westchnienie,
 Za te lzy srebrne co ci w oczach świecą,
 I wstydliwego serca uderzenie.
 Gdy wiosna wróci z ciepłym wiatru tchnieniem,
 Zielony listek zadrzy na osinie;
 Gdy słońce złotym spędzi mgłę promieniem,
 Mały fijołek rozkwita w dolinie.
 A kiedy niebo powraca nadzieje,
 Serca i kwiatu jednakowe dzieje.
 Nie schylaj czoła! niechaj ta się wstydzi
 Dumna i zimna, co z twych uczuć sztydzi!

Miłość prawdziwa dziewicy nie kala,
 Jak promień światła niczego nie szpeci;
 A kiedy w czystym sercu się zapala,
 Duchto jest Boży, co z wysoka świeci.
 Lecz prawda, prawda, minstrel zapomina
 Co mu góralska wyznała dziewczyna,
 Kryjąc rękami źrenicę niebieską;
 Że ona tylko za wolą królewską,
 Na dzień, co mówię?... na godzinę może,
 Pojedzie w pazia przybranym ubiorze
 Wiarołomnego raz jeszcze obaczyć,
 Z ust jego imię raz usłyszyć swoje;
 A potem, potem nigdy nie przebaczyć,
 I za klasztorne ukryć się podwoje...
 Dobrze to, dobrze, któż bo proszę zgadnie,
 Co komu jutro, ba! co dziś wypadnie;
 Lecz oto statek przybyły zdaleka
 Niemego pazia u przystani czeka;
 Już białe żagle wzdęły się do biegu
 I na odwłokę z wiatrami się skarżą.
 Młody Fitz-Ludwik z góralską swą strażą
 Milczące dziecię przyjmuje u brzegu,
 I jeśli tylko niebo da pogodę,
 Lotem kuliga puszcza się przez wodę.

X.

Straszny dzień wschodzi, słońce krwawo świta,
 A przerażona i drżąca Edyta
 Zwolna zstępuje z wyniosłego wzgórza.
 Cały dzień w drodze wstrzymała ją burza,
 I król daremno oczekiwał wczora
 Do najpóźniejszej godziny wieczora.
 Widoku straszny dla oczu dziewczyny!
 Widnokrąg drzącym ogniem wschodu pała,
 Jak tylko okiem zasięgnąć równiny
 W połyskach stali migocze się cała,
 A tysiąc włóczni wzniesionych ku górze
 Zdaje się tysiąc błysków w jednej chmurze.
 Król sam lud wierny prowadząc na boje
 W cztery oddziały sprawił wojska swoje: (1)
 Najpierwsza rota górą zastłonią
 Jak odwodowa stanęła na boku;
 A od kościoła świętego Ninona
 Do szumiącego strumienia Bannoku,

(1) Barbur skreślił wiernie obraz bitwy pod Bannok-Burnn, i plauy Brucego służyć mogą za wzór wodzom.

Trzy inne hufce ustanęły społem,
 Jednym ogromnym zataczając kołem.
 Dalej, mgły sinym odziani obłokiem,
 W krwawych promieniach wschodzącego słońca,
 Stoją Saksony, niby bór bez końca,
 Którego głuszy nie przebijesz okiem.
 I tam, tam nawet, gdzie niebios błękity
 Zdają się wspierać o pagórków szczyty,
 Zobacysz jeszcze, jak powiewa z góry
 Lampart dyszący z krwawemi pazury!...

XI.

Spojrzy przed siebie, i łono dziewicy
 Dotąd tłumione westchnienia podniosły.
 Stoją zachodnich ziemie wojownicy:
 Żołnierz Karryku, Ajszyru lud rosły,
 Dzielne Lennoxu i Lenarku męże.
 A ich stalowe zbroje i oręża
 W których poranny blask słońca się żarzy,
 Łączą się z plędem góralskich wyspiarzy.
 Ponad głowami wojowniczej rzeszy
 Sztandar Roberta wznosi się do góry:
 Stary to sztandar, orzeł lotnopióry,
 Co chmurnym szlakiem ku niebu się spieszy.
 A tam minstrelu, tam pośród górali
 Czyje to znaki? chorągiew to czyja?
 Patrz, złoty okręt na błękitnej fali
 Srebrzyste żagle z wiatrami rozwija!
 Mówżeż minstrelu! oto paż milczący
 W jasnej rumieńca wstydliwego krasie
 Stoi, a dziwnie wzruszony i drżący,
 Błękitne oczy obrazem tym pasie.
 Biędneście, biędne, wy błękitne oczy!
 Wié teraz minstrel zkad łza co was mroczy...
 Wam tęskno było pomiędzy murami
 Za tym widokiem dawno niewidzianym!
 Tęskno wam było za krasnym tartanem,
 I górską czapką z orlemi piórami!...

XII.

Do przedniej straży przedniego szyku
 Fitz Ludwik pazia środkiem wojsk wiedzie.
 Męża Ludonu stoją na przedzie,
 Obok nich dzielne syny Etryku

Szykują luki, prężą cięciwy.
 Tu stary Douglas, wojownik siwy,
 Przewodzi śmiałym hufcom Arranu.
 Sztuart na czele swojego klanu,
 Wiedzie lud Nitu i Tewiot-Dalu.
 O ty szlachetny! piękny góralu!
 Gdy minstrel spojrział na twoją postać,
 Na blask twych jasnych oczu niebieskich,
 Zamilkł, bo poznał, że tobie zostać
 Dostojnym ojcem synów królewskich!
 Ale minstrelu, patrzajno dalej:
 Kończą się dzielne hufce górali,
 I jak te czarne kościelne wieże
 Stoi lud krzepki dolnego kraju,
 Barczyste plemię doliny Tajū.
 I Suterlandu dumne rycerze.
 A Randolf Muraj, w bojach wślawiony,
 Randolf jest wódcem onych szeregów.
 Wpodłuż wąwozu, z zachodniej strony
 Aż do nierównych Bannoku brzegów,
 Sir Edward Bruoy stoi na straży.
 O biada! biada temu Saksonie,
 Kto te błękitne zamąci tonie.
 Kto się z tą wodą puścić odważy!
 Chyba się Pan Bóg z nieba użali,
 Gdy trup skrwawiony pluśnie na fali!...
 Ale tam w górę, tędy drużyną,
 Między dębami, między buczyną.
 Jakiżto błędny ogień się pali?
 Ach! to wśród cichój lasów zieleni,
 Miecz lorda Kejthu z zorzą się mieni,
 A świt poranny iskrzy na stali.

XIII.

Jak dąb wspaniały monarcha puszczy,
 Czołem poziome przenosi drzewa:
 Tak pośród Szkotów rycerskiej tłuszczy
 Snieżne Roberta pióro powiewa.
 Złotym dyademem lśni się przyłbica,
 A pod dyademem hasło wyzwania,
 Pamiątka dawnych dni:—rękawica,
 Z porannym wiatrem na dół się ślania.
 On wolnym krokiem objeżdża szyki,
 A rumak jego młody i dziki,
 Rży, pianę toczy, wygina szyję,
 I ziemię srebrną podkówną ryje.

XIV.

Młody król Anglów w złotym szyszaku
 Stoi w dostojnym parów orszaku,
 Stoi i patrzy ze szczytu wzgórze,
 I dumne czoło groźnie zachmurza.
 A blask co z jasnych oczu mu bije,
 Plantagenetów starą krew zdradza.
 Duch króli-morza w piersiach tych żyje (1)
 Choć się w normandzkich szatach przeradza.
 O dumne chłopie krwawego rodu,
 Jakżeż ty myślisz twoja potęga,
 Królewskim berłem daleko sięga?
 Ha! spojrzuj! widzisz ten promień wschodu,
 Co w tarczy twojej przejrzał się właśnie;
 Zanim ten promień na niebie zgaśnie,
 By w słonej fali odpoczął na dnie,
 Powiedz mi, powiedz wszechwładny panie!
 Co się z tym tłumem walecznych stanie?
 Na którą stronę krwawa kość padnie?
 Milczysz mocarzu! To twoje oko,
 Którém w przestrzeni wodzisz szeroko,
 Nagle na jeden punkt się wyteża.
 —„Rycerze!—Normand zawoła dumny—
 Rycerze! znacież wy tego męża?
 Ot tam, na czele wrogów kolumny!”—
 —„Wódz to szlachetny! rycerz to mężny!—
 Rzekł Argentynu dziedzic potężny;—
 Choć go spuszczone kryje przyłbica,
 Zdala poznałem go po tym znaku;
 Bo z mojej ręki to rękawica,
 Co mu po świetnym splywa szyszaku:
 Robert król Szkocyi!”—Grot błyskawicy
 Strzelił z Normanda dzikiéj żrenicy!
 —„Ha! Robert szkocki! Robert nikiemny!
 Podły wygnaniec, żołdak najemny!
 Zkąd jemu dosyć niecnej odwagi
 Przed pana swego jawić się wzrokiem?”—
 —„Królu!—rzekł rycerz pełen powagi,
 Mierząc Edwarda spokojném okiem—
 Nie mów tak królu; te słowa twoje
 Plamić ci będą rycerską zbroję!..
 Widzisz ten świetny pancerz ze stali,
 I blask poranny co się weń pali:

(1) Król-morza (See-king, Here-king) tytuł wodza korsarzy skandynawskich, których część pod nazwą Normandów (North-menu, mąż północy) osiadła nadmorską prowincją północnej Francji.

Jak jasny połysk tego pancerza,
 Tak znaczne serce pod nim uderza.
 I klę się panie, imieniem Boga,
 Że nigdy ojców moich miecz stary,
 Miecz ten bez skazy, obrońca wiary,
 Szlachetniejszego nie spotkał wroga.
 I jeżeli który z tych znacznych panów,
 Z dostojnych Jarłów, szlachetnych Tanów, (1)
 Na chwilę miejsce zastąpi moje,
 Lud Argentynu wiodąc na boje;
 Spuszczę przyłbicę mego szyszaka,
 Złotą ostrogą zepnę rumaka,
 I w obec wszystkich znacznych rycerzy,
 Za chwałę Boga, cześć Argentynów,
 Cześć matki Anglii, sławę jej synów,
 Miecz się mój, z mieczem Roberta zmierzy! "...
 —., Nie—rzecze władca dumny i gniewny,
 A groźna niechęć płonie mu w oku—
 Los takiej walki bywa niepewny;
 A wam rycerzu, tu, przy mym boku,
 Na czele wojsk mych miejsce należy.
 Lecz przecież w tłumie moich rycerzy
 Znajdzie się jedno szlachetne serce,
 Co się krzywd Anglii pomścić zapragnie?
 I miecz potężny, co przeniewierce
 Tym dumnym karkiem do ziemi nagnie?"

XV.

Henryk Bun, rycerz ze krwi Herfordów,
 Ze krwi szlachetnej północnych lordów.
 Uklął rumaka złotą ostrogą,
 Królowi jasną skłonił się tarczą;
 Migocze zbroja, kopyta warczą,
 Sakson jak wichur puścił się drogą!
 Lecz w szkockich górach są takie skały,
 Którym nie szkodzi wichur zuchwały.
 A syn tej ziemi w żelaznej zbroi
 Jak ona skała Highlandu stoi,
 Stoi i patrzy i dumnie czeka,
 Rychło wróg wściekły runie zdaleka.
 O straszna chwilo! w ciszy grobowej
 Patrzy ciekawie rzesza milcząca,
 I słyhać tylko tętent podkowy,
 Gdy kamieniste zwiry roztrąca.

(1) Jarl (earl) hrabia, (earldorm hrabstwo) wyrazy pochodzenia duńskiego, pozostałe w Anglii z czasów panowania królów rodu duńskiego. Than, szlachcic.

Ach! serca Gallom zadrzały w łonie!
 Czyś z piekieł konia wyrwał Saksonie?...
 O Matko Boska! O święty Jerzy!
 Co się to stanie, gdy on uderzy?
 Co się to stanie? Król ściągnął uzdę
 I rumak szkocki na bok się cisnął;
 Topor góralski w powietrzu błysnął
 I spadł jak lemiesz na krwawą bruzdę!
 Ach! czy słyszeliście wojownicy
 Chrząst jakiś głuchy? To stał się łamie!
 Stał była twarda grubój przyłbicy,
 Lecz nań opadło królewskie ramie.
 Rumak Saksona jęknął. O! biada! (1)
 Trup zakrwawiony na ziemię spada!...
 Stało się, stało, biedny młodzianie!
 Śmierć zaskoczyła niespodziewanie.

XVI.

Robert na piersiach skrzyżował ręce
 I smutnym wzrokiem patrzył przez chwilę.
 Jak Sakson w strasznój konania męce,
 Tarzał się jęcząc we krwi i pyłe.
 Lecz niecierpliwy rumak się zrywa,
 Z porannym wiatrem jeży się grzywa.
 Więc król ujmuje cugle puszczzone,
 I wraca zwolna pomiędzy szyki.
 Buchły ku niebu wrzaski szalone,
 Górali zapal ogarnął dziki.
 — „Niech żyje!” krzyczą bijąc w puklerze.
 Lecz roztropniejsi, starsi rycerze,
 Jak pszczoł za matką tęskna gromada,
 Z gorzkim wyrzutem króla opada.
 — „Panie! wołają, czyż już tak mało
 Dla szczęścia Szkocyi żyć ci przystało?
 Że dla marnego pokłasku chwały
 Z śmiercią jak z cackiem igrasz zuchwały!” —
 — „O druhy moje wierne i stare—
 Rzekł król z uśmiechem, choć czuł jak skrycie
 Pierś mu serdeczne wznosiło bicie—
 „O druhy moje! patrzcie, za karę

(1) Ci, którzy widzieli z jak niemą cierpliwością wytrzymują konie najsrozsze obejście się z nimi, nie uwierzą mi może, że w chwili nagłej i wielkiej boleści wydają one rozdzierające jęki. Lord Erskine w mowie swojej mianej w izbie parów, domagając się ustanowienia kar za okrutne postępowanie z końmi; przytacza podobne zdarzenie. Nie zamieszczęm go tutaj lekając się piórem mojem osłabić wymowę szlachetnego lorda. Ja sam słyszałem raz śmiertelny jęk konia i nigdy dźwięk boleśniejszy nie obił się o moje uszy.

Topór strzaskalem do rękojeści.
 Szkoda topora.... stał doświadczona.
 Ha! niech się stare przysłowie iści,
 Że twardą bywa czaszka Saksona!”

Wtém przez te tłumy groźne i zbrojne,
 Pomędzy one męże dostojne,
 Fitz-Ludwik wie dzie pazia niemowę. ;
 Rumieniec wstydu krasi mu lica,
 We łzach błękitna pływa źrenica,
 A złotowłosą, jasną swą głowę.
 Jak młody łabędź ku piersiom chyli.
 Król go spostrzega, i wnet na stronę
 Rzuci żelazo krwią ubroczone,
 A uśmiech mężką twarz mu umili.
 —„Paż mój!”—zawołał wesolym tonem,
 I patrząc w oczy za rączkę chwyta;
 A pomieszana, drżąca Edyta
 Nizko się kłania czołem splonioném.

XVII.

„Pani!—rzekł Robert nżizając głosu—
 Przybywasz do nas w straszliwej chwili,
 Gdy krwawa szala naszego losu
 W rękach się Bożych waży i chyli.
 Niech raz się spełnią wyroki nieba.
 Jako się będzie podobać Panu!
 Jeżeli nam wreszcie uleż potrzeba,
 Ty wracaj biedna w góry Arranu,
 I westchnij czasem za moją duszę.
 Lecz... przez Bóg żywy! cóż to ja słyszę?
 Trąba saksońska przerwała ciszę!
 Daruj Edyto, rzucić cię muszę!
 Hej Fitz-Ludwiku!—krzyknął donośnie,
 Na twardym konia sadząc się grzbiecie—
 Widzisz ten wzgórek co w niebo rośnie.
 Tam zawieź proszę lube to dziecię,
 I czuwaj nad niém, jakby to była
 Córka twój matki, siostra ci miła!...

XVIII.

—„Muraju! widzisz tuman kurzawy?
 Jak obłok jakiś ciemny i krwawy
 Nad lewém skrzydłem wojska się wznosi.
 Ach! ach!! Randolfie! biada ci! biada!
 Sakson cię podszedł, i śmierć to blada
 Lud Suterlandu bez wodzą kosi!...

— „Panie, rzekł hrabia, w téj saméj chwili
 W inną się stronę kosa ta schyli,
 Lub głowę moję zmiecie zarazem...
 Za mną lennicy, kto w Boga wierzy!“—
 Krzyknie, klajmorem w tarczę uderzy
 I boki konia krwawiąc żelazem,
 Jak Etryckiego łucznika strzała
 Puścił się na przód z mieczem dobytem:
 A pod rumaka grzmiącym kopytem
 Zwilżona rosą ziemia zadrzała.
 Już dopadł swoich, już na ich czele
 Dumne Saksony pod konia ściele!
 Miecz jego straszny jak piorun w chmurze,
 Nad głową tłumu połyska w górze;
 Jak piorun w chmurze, ognista żmija,
 Olsnił przelektłych, spadł i zabija....
 Ale dlaboga! Sakson rozjadły
 Coraz to tłumnieją pcha się i tłoczy;
 Jak krucy kiedy ścierwo obsiadły,
 Rycerzy szkockich czerń ich obkoczy.
 O święty Jerzy! wzmóż syny twoje.
 Co pod twym znakiem wyszły na boje,
 I jak ty niegdyś walczą, z potworem
 Wiecznie łaknącym mordy i wojny!

Król otoczony świetnym swym dworem
 Stał jakiś groźny i niespokojny.
 I błyskawice niecąc w spojrzeniu,
 W sztandar Muraja patrzył w milczeniu.
 Lecz brew Duglasy marszczy się siwa
 I pierwszy ciszę onę przerywa:

— „Panie! rycerskich Muraja szyków
 Nie widać prawie pośród Anglików;
 Pozwól go wspomódz, niechaj w potrzebie
 Podły ten motłoch krwawo przetrzebiej.”

— „Nie— rzekł monarcha.— Wam powierzona
 Przednia straż szyków, wojsk mych obrona;
 I wam milordzie stać tu należy
 Na czele wiernych moich rycerzy.
 A kto w zasadzkę wciągnął się zdradnie.
 Niechże się broni jak mu wypadnie!”

Wtém straszna wrzawa w tłumie się szerzy,
 Zgiełk przeraźliwy, wrzask jakiś dziki;
 Słychać głos brzącający szkockich rycerzy,
 I Sasenachów wściekłe okrzyki.
 Starcowi serce zabiło w łonie,
 Krew mu gorąca na licach płonie.

— „Panie!—zawołał— tam, w téj godzinie
 Młódź szkocka pada, krew szkocka płynie,

A brat nasz Muraj bez wsparcia ginie!
 Panie! nie mogę wstrzymać się dłużej!
 Patrz, miecz ten stary wiernie ci służy,
 Lecz w strasznej zgrozie, ciężkiej rozpaczy,
 Własnąbym ręką skruszył go raczej,
 Niżbym ja stary dożył się sromu,
 Aby bard kiedyś jęcząc wygłosił,
 Że Douglas miecz ten przy boku nosił,
 A przecież... przecież, nie było komu
 Wspomódz rycerza który umierał,
 A wróg się nad nim pastwił zawzięty!
 Nie było komu wznieść sztandar święty,
 Gdy się w kałuży krwi poniewierał!...“
 — „Idź! — rzekł monarcha wzruszonym głosem —
 Szlachetny wodzu, idź w imię Boże.
 Niech ten co każdym kieruje ciosem.
 Sędziwe twoje ramię wspomóżę!
 Idź. — Douglas siwą skłonił się głową,
 Jedno do swoich przemówił słowo;
 Straszne snać słowo, bo w téjże chwili,
 Jako na wiosne pstry rój motyli
 Z głośnym się krzykiem zerwą gorale.
 Słońce południa świeci wspaniale
 A oni są już u szczytu wzgórza.
 Ach! siwy wodzu! wstrzymaj twe woje,
 Już im nie pora spieszyć na boje.
 Patrz! tam na dole, u gór podnóża,
 Sztandar Muraja igra z wiatrami;
 A Sasenachów krwi chciwe plemie
 Zdeptanym trupem zalega ziemię,
 Lub bezludnemi pierzcha tłumami.
 Powraca Douglas, a wieść skrzydlata
 Rycerską rzeszę szybko oblata,
 Że Daynkurt poległ z Muraja dłoni,
 A hufce jego pierzchły w pogoni.
 Tu minstrel skończył dnia tego dzieje.
 Już szlak niebieski lekko ciemnieje,
 Już słońce głowę promienną schyla,
 Już ciemnej nocy zbliża się chwila,
 A oba wojska w bojowym szyku
 W groźnym milczeniu naprzeciw stoją.
 Miękki Normandzie! dumny Angliku!
 Ciężko wam będzie spać tak pod zbroją.
 Lecz wam Daynkurcie! wam biedny Bunie!
 Ciężej zapewne w krwawym całunie.

XIX.

Cicha, ciepła, noc czerwcową
 Gwiazd nasiała na błękity;
 Drżąca światłość księżycowa
 Demajetu srebrzy szczyty,
 A Sztirlingu stare wieże
 Błady promyk z góry strzeże.
 Srebrne fale toczy rzeka,
 Woda kędyś w świat ucieka,
 I jak minstrel lub dziewica
 Cicho wzdycha do księżycyca.
 O księżycu! wód kochanku,
 Świećże, świećże bez przestanku,
 Nieprzemienią świeć pogodą,
 Nad tą jasną, czystą wodą.
 Bo gdy jutro ponad chmury!
 Srebrnym okiem błysniesz z góry,
 Już nie będzie jak tu było,
 Cicho, jasno, wonno, miło.
 Zwierciadlane rzeki fale
 Krew gorąca zmaci w biegu,
 A Saksony i górale
 Razem legną na tym brzegu.
 Razem legną, aby razem
 Na sąd Boży powstać spolem;
 I z rozdartym owym czołem,
 I z skruszonym tym żelazem,
 Pojdą razem dawać sprawy
 Z każdej onej kropli krwawej!....

XX.

Ciemno i cicho. Idzego wzgórze
 We mgły wilgotnej pławi się chmurze,
 A córka Lornów błada i drżąca
 To patrzy w jasne lice miesiąca,
 To w jakiejs' tęsknej, smutnej zadumie
 Błękitnym okiem wodzi po tłumie,
 Co tam w dolinie cicho spi sobie,
 Jak one w bajce dziecko na grobie.
 Obok marzącej Lornu dziewicy
 Siadł bard góralski z harfą w prawicy,
 Wzrok puścił w przestrzeń, a broda siwa
 Na pierś sędziwą z wiatrami splywa.
 O harfo złota! kiedy w tej dłoni
 Wieszczych strun twoich akord zadzwoni,

Będzie to brzmiące tryumfu pienie?
 Będzie to smutny jęk koronachu?...
 Z piersi górala jękło westchnienie:
 — „Przebudź się Gallu! wstaj Sasenachu!
 Już nad Ochylem drzy promień świtu,
 Płoni się jasny obszar błękitu,
 A nad Sztyrlingiem biały dzień wstaje.
 Ach! ach! dziewico! toż nie skowronek,
 Coby ci jasny oznajmić dzionek,
 Ponad szumiące wzbija się gaje!...
 Trąba saksońska huczy chrapliwa,
 Głuchy się łoskot bębnow odzywa,
 A tam po wodach, a tam po lesie.
 Gór wyżynami, głębią rozłogów,
 Poranne echo w przestrzeń gdzieś niesie
 Dźwięk szkockiej kobzy, góralskich rogów.“

XXI.

Jako przed burzą oceanu fale
 Z głuchym łoskotem toczą się na brzegi;
 Tak uroczyście, groźno i wspaniale
 Ciągną się dumne Anglików szeregi.
 Przodem łuczники z napiętą cięciwą,
 Sercem bez trwogi i okiem sokoła.
 A wśród dostojnych tanów swoich koła
 Dzieciuch królewski z twarzą pogardliwą.
 Kwiat synów Anglii świecił mu w orszaku,
 Sir Argentynu stał przy jego boku,
 A wedle niego, nadzieja Pembroku
 Młody Dewalans na białym rumaku.
 Sęp zanim z góry na zdobycz uderzy,
 Długo ją okiem zakrwawioném mierzy;
 I Normand zanim straszne hasło wojny
 Usta wydały, on groźny i dumny
 Stał, wzrok sępa ostry a spokojny
 Utopił w Szkotów ścieśnione kolumny.
 A Szkoci? patrzcie! chylą się sztandary,
 I ostre miecze i świetne puklerze...
 Patrzcie! król Robert... patrzcie! Duglas stary!..
 Wodze góralscy i nizin rycerze,
 Na nagą ziemię padli i w pokorze
 Ręce błagalnie podnoszą ku górze!...
 Widzi król Anglii, i pycha wyniosła
 Błysła mu w oczach, nad czołem wyrosła.
 Na dumnej piersi drzy zbroja kowana,
 On groźnie zbrojnej wyciągnął prawicy,

Usta wzgardliwie szepty: „Niewolnicy!
 Zapóźno łaski zebrzecie u pana!“
 —„Tak—rzekł Egidius —łaski zebrzą, łaski!....
 Widzisz o królu! mnich stary i bosy
 Krzyż podniósł płacząc, a siwe mu włosy
 Słońca poranne ozłocily blaski!“.... (5)
 Edward szyderczym roześmiał się śmiechem,
 Zacisnął wargę od gniewu pobladłą,
 I z gorączkowym jakowymś pośpiechem,
 Z jakowąś żądzą dziką i zajadłą
 Skinął ku swoim. Bardzie! Bardzie stary!
 Jakimż twe oko blakiem się zapala!...
 Czyż pieśń twa wieszczą Ossyanowój miary,
 Piąć będzie boje pradziada Fingala?

XXII.

Lord Gloucesteru śmiały a dumny,
 Podniósł wysoko bułat złocony,
 A Sasenachów groźne kolumny
 Nagle się na dwie rozparły strony.
 Stoją łuczniczy i wszyscy, razem
 Rękę niezbrojną żadném żelazem
 Podnieśli: jęknął świst przeraźliwy!
 I uwolnionych nagle z cięciwy
 Dziesięć tysięcy strzał razem leci!
 O matko Szkocyo! płacz twoich dzieci,
 Płacz! Syn Albionu trafia gdy mierzy!
 Nic nie pomoże zbroja rycerzy,
 Ani góralski puklerz skórzany.
 Ach! płacz! Bezbronni schylają głowy
 I mężkim dźwiękiem ojczystej mowy,
 Do Przenajświętszej modlą się Panny.
 Nagle zamilkli, pacierzy słowa
 Niedokończona cichnie połowa!
 Inne je wkrótce zastąpią dźwięki:
 Okrzyk tryumfu, konania jęki...
 Edward się najpierw zerwał na nogi:
 „Na koń!“ wykrzyknął, i niecierpliw
 Czarnój rumaka chwytą się grzywy,
 I w bok mu złote wpycha ostrogi.
 „Na koń!“ Ognista zrywa się chmura,
 Odwiedli włócznie, pierś skryli tarczą.
 Srebrne kopyta po skale warczą,
 A z hełmów świetne szeleszczą pióra.

(1) Maurycy opat z Inochfrau w obec obu wojsk uszykowanych do boju, odprawił mszę świętą na szczycie wyniosłego pagórka i krzyżem zamykającym w sobie relikwie śś. patronów, błogosławił hufce szkockie.

XXIII.

Buchnął okrzyk w górę wzbity,
 Krew trysnęła pod kopyty!
 Kłują włócznie, sieką miecze,
 Krew gorąca strugą ciecze;
 A gdzie upadł grom maczugi
 Nie schylić się po raz drugi!
 Ha! saksoński psie zuchwały!
 Łatwiej było miotać strzały
 Na bezbronnych gdzieś rycerzy,
 Niż im dotrzeć gdy szlachetnie
 Cios zadany stał odetnie
 A łono się z łonem zmierzy!
 Już ich nie ma: trwożna trzoda
 Rozpierzchła się po dolinie...
 Stój poddański, podły gminie!
 Szlachetnego miecza szkoda,
 By go tępić o twe szyje;
 Błada trwoga niech dobije
 To, co jeszcze uszło z głową
 Przed ostrogą i podkową!..

XXIV.

Młode jelonki z puszczy Daktom-Lei,
 I wy mieszkańcy Scherwoodzkiej kniei,
 Cieszcie się: łuki tutaj skruszone
 Już was na krwawe nie wyzwą boje!..
 Wy Wakefieldu biedne dziewoje
 Poszarpcie wasze wieńce zielone!
 Próżno wam, próżno, we dnie i w nocy
 Splakane oczy ślać ku północy:
 Daremno czekać. Bo któż doczeka?...
 Z pod Bannok-Burnu krwawej płaszczyzny
 Do swój zielonej, ludnej ojczyzny,
 Nie wrócą oni, droga daleka!
 Nie wrócą, chyba w noc listopada,
 Gdy gwiazda w chmurach utonie błada.
 Straszliwy martwiec z rozdartém łonem,
 Rozciętą głową, licem skrwawioném,
 Stanie pod białej chaty okienkiem;
 I przeraźliwym, złowieszczym jękiem,
 Póty zawodzić będzie boleśnie
 Aż stara matka zapłacze we śnie!...

XXV.

„Ha!—krzyknął Normand z gniewną pogardą,
 A tę twarz bladą, zimną i hardą
 Żywy rumieniec gniewu zapalał—
 Tenże to motłoch co się przechwalał,
 — „Że każdy nosi w swoim kołczanie
 Dwudziestu czterech górali życie? (1)
 Nikczemne kłamcy! Lordzie hetmanie!
 Pany! rycerze! cóżto? stoicie!
 Naprzod dlaboga! Wam się została
 Szala zwycięstwa, dnia tego chwala!“
 Bokiem doliny, na prawo wroga
 Szła prosta, gładka, szeroka droga;
 Właśnie jak trzeba, dumny Saksonie,
 Abyś twe lekkie i chyże konie
 W niedoścignionym wypuścił biegu.
 Ależ dlaboga! cóż to się znaczy?
 Jęk jakiś głuchy, i krzyk rozpaczy
 Zabrzmiał straszliwie w pierwszym szeregu!
 I cóż zatrzymać mogło wśród drogi
 Siedem tysięcy mężów bez trwogi?
 Co?... Zgroza! zgroza! Jezdce i konie
 W rozwartej ziemi bezdenném łonie
 Nagle zapadli: straszna mogiła
 Tysiące ofiar pożarła razem!
 Nic nie pomoże męztwo ni siła,
 I twardy pancerz kuty żelazem,
 Nic nie pomoże... Od śmierci takiej
 Żaden ci puklerz nie zbawi piersi!
 W dumie najwyżsi, w chwale najpierwsi,
 Najpierwój legli. Próżno rumaki
 Chcą wstrzymać drudzy. Biada im! biada!
 Tylny im szereg na karki wpada
 I własnych braci w przepaści strąca.
 Jako potoku fala hucząca

(1) Rogier Asham przytacza przysłowie: każdy łucznik angielski nosi w swoim kołczanie śmierć 24 Szkotów. Douglas zwany Dobrym, tak lękał się łuczników angielskich, że wziętym w niewolę kazał podług ich wyboru wyłupić prawe oko, lub uciąć wielki palec prawej ręki.

W dniu tym zginęło wiele najszlachetniejszych rycerzy Anglii. Barbur wspomina, że zebrano z pobojowiska dwieście par złotych ostrog. Znać niewszystkie to jeszcze, gdyż niedawno znaleziono w tamtej okolicy starożytną złotą ostrogę. Bitwa pod Bannok-Burna ustaliła całkowitą niepodległość Szkocyi.

Z gór się w dolinę rzuca z łoskotem;
 Tak oni mężnie na boje biegli.
 Z krzykiem radosnym biegli, a potem,
 Z tak głuchym jękiem padli i legli,
 Jak jęczy potok, gdy jego wały
 Podmywszy twarde podnoże skały
 Niknie w pieczary ciemnej otchłani.
 Biędni rycerze! Szkot tu był raniój!...
 Szkot poprzerynął drogę przepaścią,
 A przepaść w zradne umaid darnie.
 Ha! trudna rada! ginie ten marnie,
 Kto się po cudze kwapi z napaścią...
 Stare przysłowie znać nie zawadzi:
 Nie wszystkim gościom górale radzi!...

XXVI.

Kiedy raz Bryton wyszedł na boje,
 Nieprędko rękę strudzi żelazem.
 O matko Anglio! toż dzieci twoje
 Niewszystkie jeszcze poległy razem!
 Został ich, został poczet niemaly
 Na pomstę braci i cześć twój chwały!
 Oto Gloucester podpora tronu,
 Ross, Grey i Bottur, Moley wspaniały;
 Hrabia Norfolku, pan Brotertonu,
 I William Percy wódz osiwiwały!
 Oto Kurtenaj ostry i twardy,
 Jako miecz jego był pod Dunbarem.
 I ty Berkleju! gdy szkockie bardy
 Bolejąc w sercu wspomnieniem starém,
 Pojdą na smutne Falkirku groby,
 Śpiewać poległym pieśni żałoby:
 Wygłoszą oni w mężkim swym rymie,
 Szlachetny wrogu! zacne twe imię.
 Rycerz Pembroku, wódz Argentynu,
 Swe odwodowe hufce wywiedli.
 Choć to nie podli szermierze gminu,
 Coby za pierwszą trwogą pobledli,
 Przecież ostrożnie, przecież powoli,
 Depczą te ziemię, ten grunt krwią zlany.
 Lecz jako świeżej dotknięcie rany
 Za każdą razą srożej zabolli;
 Tak widok trupów i krew ta ciepła,
 Bratnia krew ziomków, jeszcze nieskrzepla,
 Straszna im zemstą serce zapali,
 I jak ryczące dęcie orkanu

Z krzykiem na pieszych lecą górali.
 Wtedy lord Douglas, siwy wódz klanu,
 Wzniósł świetną włócznię, ostrze kłajmoru,
 Szuka w saksońskiej stali otworu
 I pierś się z pierśią zciera zazarcie.
 Ojczy monarchów! młody Sztuarcie!
 Ta Bannok-Burnu ziemia skrwawiona,
 Stokroć świetniejsze da ci wawrzyny,
 Niż owa złota, ciężka korona,
 Co kiedyś twoje przystroi syny!

XXVII.

Straszny obrazie! krwawy chaosie!
 Gall się z Saksonem zmieszał bezładnie.
 O biada temu kto raz upadnie!
 Biada mu! Po ciał jęczących stosie
 Lecą na oślep, depcząc ostrogą
 Pierś może bratnią, pierś może drogą!...
 Wrzask, jęk i wycie! Okrzyk górali,
 Trąby Anglików, głuchy chrzęst stali
 Zwały się razem tony strasznemi!
 Próżno minstrelu ze szczytu wzgórze,
 Oko twe w krwawej mgle się zanurza;
 Daremno chciałbyś liczyć po ziemi,
 Czyja tam tarcza wala się złota,
 Czyich to hełmów szczątki te świetne?
 Wieszczu! tu nie ma Angla ni Szkota!
 Wszystko to były czoła szlachetne!
 Każdy z nich mężny, każdy waleczny,
 Ukochał sławę ojczystej ziemi!
 Racz im dać Panie spoczynek wieczny!
 Niech światłość Twoja świeci nad niemi!

XXVIII.

Słońce ubiegło połowę drogi,
 A gdzież się waży szala zwycięstwa?
 Już się krwi chciwe znużyły wrogi,
 Słabieje zapal szkockiego męstwa!
 Miecz się Douglasa wyszczerbił krwawy,
 A Muraj czoło otarł z kurzawy.
 Już też i siły tracą Anglicy;
 Egremont coraz wolniej naciera,
 Bauchamps unosi ciężkiej przyłbicy,
 Włócznia wypada z dłoni Dewera.

Nawet Berkleja osłabło ramie,
 I gdy miecz jego z góry opadnie,
 Nie tak już zaraz, nie tak już snadnie
 Szkocekiej zbroicy stał się załamię.
 A wśród walczących mężów natłoku,
 Cichnie róg brząca pana Pembroku.

XXIX.

Oko Roberta, jak oko sokola
 Kiedy z kapturu uwolni go łowczy;
 Oko to moment dostrzegło stanowczy;
 I tak król Szkocyi do swoich zawoła:
 — „Odwagi bracia! Książę wysp szlachetny,
 Ufność ma w tobie jak Ailzu skała,
 Co się pod żadnym gromem nie zachwiała!
 Rozwiń twój sztandar, wzniesź miecz ojców świetny
 I z wyspiarzami uderzaj na wroga!
 Syny Karryku! za mną! w imię Boga!...“
 Zabrzmiały kobzy i rogi zabrzmiały,
 Dźwięk ich donośny z tchnieniem wiatru leci,
 A rycerz Kolli, książę wysp wspaniały
 Tak krzepi mężne Innisgalu dzieci:
 — „Przodem wyspiarze! przodem na boje!
 Za naszą ziemię, za naszą wiarę!
 O matko Szkocyo! niech syny twoje
 Pomszczą w krwi wroga krzywdy twe stare!

XXX.

Cofa się Sakson, sił mu już braknie
 Coraz to z nowym wrogiem się mierzyć;
 Lecz klajmor Galla ciepłej krwi łaknie
 A ręka wprawna wie gdzie uderzyć,
 I trup za trupem na stos się kładzie!
 W strasznej rozsypki krwawym nieładzie
 Tylko twój puklerz, o Argentynie,
 Twój puklerz z krzyżem, wznosi się jeszcze!...
 Ale minstrela drżą struny wieszczę,
 Z piersi rycerza struga krwi płynie!...
 Ach krew szlachetna!... Nic to nie znaczy,
 Dosyć mu jeszcze sił pozostało,
 Aby z szlachetną dumą rozpaczy
 Wojownik krzyża umierał z chwałą!...
 On to rozpierzachle wstrzymuje woje,
 On ich na nowe pokrzepia boje,

I krzyż czerwony wysoko wznosi!
 A chociaż złotę łuskę pancerza
 Krwi téj rycerskiej purpura rosi,
 Miecz jego z góry śmiercią uderza,
 I Ronald co miał przelękłych gonić,
 Wstrzymuje nagle swoich górali,
 — „Smiało wyspiarze! trzeba się bronić
 Od téj rozpaczą pędzonej fali!“

XXXI.

Na wzgórkach, pośród giermków i pazi,
 Dziewica Lornu stoi wybladła:
 Lecz modre oczy krwawy blask razi,
 Więc na kolana biedna upadła,
 I z złożonemi na pierś rękami
 Modli się Bogu cichemi łzami.
 Nagle spojrzęła, widzi zdaleka
 Znajome barwy, pled klanu Kolli!
 I straszną trwogą serce ją boli;
 Ale bezsilny Sakson ucieka,
 Więc dziękczynienia spadła łza cicha,
 I pierś dziewczicy wolniej oddycha!...
 Ale dlaboga! rozpierzchle wrogi
 Nagle wracają w nowym zapale,
 Jako ów jelen, kiedy wspaniale
 Psom ścigającym nadstawia rogi.
 Wracają. Krzyż ich czerwony wiedzie
 Przy trąb odgłosie, wrzawie okrzyków!
 O córko Lorna! któż tam na przedzie
 Pośród wyspiarskich górali szyków?
 Co za wódz młody? O! nieszczęśliwa!
 „Ronald!” krzyknęła, z ziemi się zrywa
 I płacząc łamie ręce liliowe
 Z boleścią, której nic już nie tai.
 Cisną się tłumy zdziwionej zgrai.
 — „Cud! cud! paż niemy odzyskał mowę!“
 Ona nie słucha, w rozpaczonym szale
 Rękę klajmoru zbroi żelazem,
 — „Puście mnie, woła, ja go ocale!
 Ja go ocale, lub zginę razem!...“
 Ten głos, te jęki strasznej rozpaczy,
 Co się głośnemi łzami tłumaczy,
 Broń wreszcie w ręku słabiej istoty,
 Dziwna wrażenie rodzi dokola.
 Sromem się wszystkie rumienia ozola,
 A pierśią tajne szarpia zgryzoty.

Aż serce w zimnym zabiło gminie!...
 —„I w naszych żyłach krew szkocka płynie,
 I nas pierś szkockiej karmiła matki!
 Będziemyż patrzeć beczynne świadki
 Jak bracia nasza z rąk wroga ginie?
 Nie!” Biegną giermki, pазie, minstrele,
 Wszystko się bronią w rękach ich staje,
 A jasnowłose dziecię na czele
 Wiedzie na wroga wrzaskliwą zgraje!

XXXII.

Rozpacz Saksonom dodaje męztwa
 I wściekłą zemstę w piersiach zapala.
 Znowu się waży szala zwycięztwa,
 Ta krwią szlachetną ciężarna szala.
 Wtém nowy hufiec pędzi z oddali.
 Pędzi słabnących wspomódz górali!
 Bo jeszcze zbiegnąć nie zdążył z góry,
 Jeszcze kurzawy kryją go chmury,
 A on już krzyczy:—„Śmierć Sassenachu!”
 Śmierć Sassenachu! echa mu wtórzają,
 Śmierć!—Jako stado wróbli przed burzą,
 Pierzchają Angle w nowym przestrichu!...
 Napróżno król ich z rozpaczą w oku
 Rzuca się naprzód, zbiegów zawraca.
 Stój dumny władco! daremna praca,
 Wszystko skończone!... Rycerz Pembroku
 Gwałtem mu chwyta cugle rumaka,
 Wiedzie na wzgórek między wierzbami.
 „Panie! snąc niebios wola jest taka!
 Któż ze śmiertelnych walczył z losami?”
 Zadrzało zbrojne łono Edwarda.
 To serce dumne, ta dusza twarda
 Zmiękła, złamana ciosem boleści.
 Wstyd, gniew i rozpacz tłumi mu mowę,
 Z jękiem wyniosłą pochyla głowę,
 I jak po białej twarzy niewieściój
 Łzy przez królewskie toczą się lice.
 Serce! któż twoje zna tajemnice?
 Lecz gdyby łzy te gorzkie, palące,
 Mogły zapłodnić kamień gdzie padły:
 Twardeby głązy wskroś się rozpadły
 Rodząc padalce jadem syczące.
 Na widok łez tych dumnego pana
 Serce rycerzy ścisła wzruszenie;

Wtedy Egidius łamiąc milczenie,
 Do stóp Normanda padł na kolana
 I smutnym, cichym tak rzekł mu głosem:
 „Uciekaj królu! tuż, tuż za nami
 Świeżemi ślady pomiędzy wrzosem,
 Duglas dopędza nas z góralami.
 Uciekaj! niech w dniach żalu i trwogi
 Ojciec się dzieciom zostanie drogi!
 Ja muszę wracać, Robert, król Szkotów
 Nosi mój zakład. Jam dla twój sprawy
 Wszystko bez żalu poświęcić gotów!
 Wszystko mój królu! krom czci i sławy!“...

XXXIII.

Wraca Argentyń na krwawe pole,
 Wraca, by ujrzeć jako górale
 Trupów tratuja w mściwym zapale,
 Lub tłumy brańców pędzą w niewolę.
 Pod zakrwawioną stałą pancerza
 Zadrzało bolem serce rycerza:
 — „Ha! dniu ostatni mego zawodu!
 Zanim twa krwawa światłość zagaśnie,
 Niech syn ostatni starego rodu
 Na trupach bratnich ostatni zaśnie
 Snem walecznego!“ — Jak zrab kolumny
 Co jedna czuwa wśród ruin koła,
 Tak rycerz krzyża, tak Sakson dumny
 Wsparł się w strzemionach, stoi i woła:
 — „Do mnie rycerze! Po co w pogoni
 Ścigać rozbitka, co się nie broni,
 Kiedy ja z mieczem dobytym stoję
 I na śmiertelne wyzywam boje!
 Niech żyje Anglia!! Tutaj z włóczniami!
 Święty Jakóbie módl się za nami...“
 Zaledwie skończył rycerz waleczny,
 Trzech mężów z nizin poskoczy razem:
 I na sen wieczny, spoczynek wieczny,
 Razem też poszli. — Lecz ich żelazem
 Skruszona tarcza pękła na dwoje,
 Helm się zdruzgotał, złocistą zbroje,
 Dwakroć przebodły ostre dziuryty”.
 Wtém olbrzym góral mordy nie syty,
 Lord Kolonsaju zjawia się czwarty.
 I jak wśród spiekłych pustyń Afryki

Lew wygłodniały lub tygrys dziki,
 Rzuci się krwawą wonią rozżarty,
 Tak zapalczywy góral naciera.
 Wspiął się parskając koń bohatera,
 A włocznia jego w góralskim łonie
 Po samo drzewce do serca tonie.
 Twarda, żylasta ręka olbrzyma
 Skrwawionej chwyta się rękojęści:
 Chce ostrze wyrwać, próżno!... sił nie ma...
 Ryknął z wściekłości, jęknął z boleści!
 Po raz ostatni wyteżył ramię,
 Krzyża świętego wskroś przeszył znamię
 I padł na ziemię z śmiechem piekielnym.
 A kiedy w strasznej konania męce
 Wzrok mu zachodził bielmem śmiertelném:
 On jeszcze drżące podnosząc ręce
 Przecierał oczy, i góral mściwy
 Chichotał patrząc jak rycerz-krzyża,
 Szlachetną głowę ku piersiom zniża,
 Słabnącą ręką imając grzywy.

XXXIV.

Po ciężkiej pracy, po krwawém żniwie,
 Niezaraz można spocząć leniwie:
 Trzeba rolniku zebrać plon trudów.
 Tak téż gospodarz gallyjskich ludów,
 Tak czynił Robert. I na wsze strony
 Rozsyła jezdne swe wojownicy,
 By wojsk angielskich tłum rozproszony
 Nie mógł w porządne zebrać się szyki.
 Gdy nagle ucho króla-rycerza
 Dźwięk dobrze znany głosu uderza!
 Słyszy wyzwanie. Wspina rumaka
 I pędem strzały, polotem ptaka
 Pędzi przeczucia tłumiąc złowieszcze.
 O skrzydłonogi królewski koniu!
 Choć wiatr przegnałeś na krwawém błoniu,
 Trzeba ci było biedz spieszniej jeszcze!
 I puklerz złoty z krzyżem czerwonym
 Już się nie wzniesie dumny i świetny!
 Pan jego młody, Sakson szlachetny,
 Kona samotny z przebitém łonem!
 Kona, a przecież kiedy zdaleka
 Zobaczył króla okiem przygasłém,
 Jeszcze chce dawném ozwać się hasłem,
 Chce miecza ująć, lecz miecz ucieka

Z bezsilnej dłoni, pada zemdlony!
 Pada w kałużę czarnej pasoki!
 Ale go Robert chwytą w ramiony
 I ciasne helmu rozpuszcza troki.
 Piers przebodzona wolniej oddycha;
 Jeszcze się drzące wznoszą powieki,
 Głos co miał w piersiach zamrzeć na wieki
 Przez sine usta wychodzi zcicha:
 — „Zapóźno księżę!... nie mam już siły...
 Wszystko skończone... umierać muszę...
 Jak chrześcjanin modłów za duszę,
 Jak rycerz cichój błagam mogiły...“

XXXV.

Robert uściskał rękę Saksona,
 Lecz ręka była zimna i skrępla.
 Ostatnia iskra życia i ciepła
 Wśród szlachetnego zagasła łona!
 Wtedy król tajnym zdięty przestraczem,
 Spojrzał w twarz trupa z pobożną trwogą,
 I zanim każdy poszedł swą drogą,
 Takim pożegnał go koronachem:
 — „Żegnam cię wodzu! żegnam na wieki!
 Choć w nieszczęśliwej ległeś godzinie,
 Jak świat szeroki, jak świat daleki
 Imienia twego sława popłynie!
 Żegnam cię! Niechaj hymny pogrzebu
 Księża przy blaskach pieją pochodni!
 Nad czyjąż trumną szczerzej i godniej
 Jęk się walecznych wzbije ku niebu?!“

XXXVI.

Nie dla ciebie jednego Argentynu panie,
 Zajęczał dzwon w kościele świętego Ninona;
 Niejeden trup skrwawiony wrogięgo Saksona
 Zalegał czarnej męry ostatnie posłanie.
 Dwieście przyłbic skruszonych, strzaskanych puklerzy,
 I dwieście głów szlachetnych na całunie leży.
 Nie płacz ojczyzno chwały! nie płacz Anglio stara!
 Była to tylko może nauka, nie kara...
 Nie płacz, niech cię nie boli szkockich dzieci sława!
 Oni dzisiaj walczyli za swych ojców ziemię! ..
 Syny Albionu! zacne i szlachetne plemię!
 Któż nad was więcój kocha i czi takie prawa!

XXXVII.

Lecz gdzież jest Robert? Pany i słudzy
 Cisną się razem jak wojsko nowe.
 — „Paż—rzekł Fitz Ludwik—odzyskał mowę.
 — „Nie Fitz Ludwiku!—wołają drudzy—
 Nie paź! lecz raczej anioł od Boga
 Na ukorzenie dumnego wroga,
 Co chciał nasz naród nagiąć w niewolę!“
 — „Tak, anioł! anioł.—krzyczą minstrele—
 Kiedy stanąwszy na naszym czele,
 Z góry na krwawe spuszczał się pole:
 Modra źrenica niebem jaśniała,
 Czapka z piórami gdzieś się podziela,
 A długich włosów złote pierścienie“
 Igrały z wiatrem niby promienie.
 — „No, rzekł król Robert, no, i cóż dalej?“
 — „Gdyśmy ze szczytu wyniosłej góry
 Jak mgły jesienną pędzili chmury,
 Drogę nam zabiegł hufiec górali.
 A rycerz Kolli, wódz ich wslawiony,
 Padł na kolana jak zachwycony,
 Padł na kolana, uchylił czoła,
 Całował małe nóżki anioła,
 Całował nóżki, ręce całował!...
 Anioł chciał wydrzeć się z rąk młodzieńca.
 Twarz mu płonęła ogniem rumieńca,
 Aż ją na piersi rycerza schował!
 Tak stali chwilę. potem do ucha
 Rycerz coś szeptał trwożnie i zcicha.
 A anioł? patrzcie, może nie słucha,
 Bo modre oczy spuścił i wzdycha.

XXXVIII.

Choć wśród krwawego pola Bannoku
 Tysiące trupów leżało wkoło;
 Robert się przecież zaśmiał wesolo
 I myśl pogodna błysnęła w oku.
 — „A więc ten anioł, jako mówicie,
 Błękitne oczy i włos miał złoty?
 A za spojrzeniem świętej istoty,
 Ronald w pobożnym jakimś zachwycie
 Do modłów pewnie padł na kolana?“

Hola rycerze! co tam szepczecie?
Chodź tu mój giermku! poproś kapłana!
Niech ołtarz stroją w Banbuskenecie!...
Niegdyś w dniach strasznych klęski i sromu,
Nędzny wygnaniec, tułacz bez domu,
Zmieszał, zakłócił, ucztę weselną.
Dziś król szczęśliwy szkockiej ziemi,
Niech dłoń swą poda oblubienicy.
By ją przez nawę powiódł kościelną!
Niech żyje Dwóchset Wysep pan młody!
Edyty z Lornu obchodzimy gody!“



KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

WYSTAWA POWSZECHNA W PARYŻU.

I.

Otwarcie. — Klasyfikacja. — Przemysł paryżki.

Piętnastego maja o 1széj z południa, odbyła się inau-
guracya wystawy powszechnéj. O godzinie dziesią-
téj rano otwarto wszystkie bramy pałacowe. Dzień był
zimny i wietrzny; od dwóch tygodni nie widziane słoń-
ce nie raczyło ani na chwilę wyjrzeć na przemokłe tłu-
my, nieustannie płoszone nawałnym deszczem. O wy-
znaczonej godzinie powozy ze wszech stron miasta zjeź-
dzać się poczęły, zwożąc postrojone w eleganckie ran-
ne ubiory damy, i mężczyzn przybranych wedle progra-
mu w mundury lub fraki. Kolor biletu klasyfikował
przybytych. Wkrótce wielka nawa i galerye napętniły
się publicznością. O dwunastéj każdy już zajął prze-
znaczone sobie miejsce, i drzwi gmachu pozamykano.
Cesarz miał przybyć dopiero o pierwszój.

Ożywione różno-kolorowym tłumem wewnątrz pała-
cu, ciekawy przedstawiało widok: girlandy wytwornie
przybranych kobiet, bogate hafty mundurów, i przeró-
żne ubiory kommissarzy rozmaitych narodów, nadawa-
ły temu zgromadzeniu cechę rzadkiéj oryginalności.

Naprzeciw głównych drzwi wchodowych, wyż-
szych od bramy łuku tryumfalnego, w miejscu prze-

znaczoném dla nieprzybytych jeszcze produktów amerykańskich, przygotowano wspaniale ozdobiony tron. Tuż przy nim, po prawej i lewej stronie zgromadziła się rodzina cesarska, naprzeciwko zasiadł senat i ciało prawodawcze. Za nimi na wyznaczonych miejscach posiadali przysięgli zagraniczni, i urzędnicy państwa w następującym porządku:

Najwyższy sąd kassacyjny, izba obrachunkowa, rada wyższa wychowania publicznego, członkowie instytutu, sztab gwardyi narodowej, sztab armii, trybunał cesarski paryzki, arcybiskup Paryża i duchowieństwo, prefekt dep. Sekwany z sekretarzem generalnym, prefekt policyi z sekretarzem generalnym, rada prefektury Sekwany, kommissya municypalna i departamentu Sekwany, merowie Paryża, podprefekci, rektor i ciało akademickie departamentu Sekwany, trybunał piérwszój instancyi dep. Sekwany, trybunał handlu paryzkiego, paryzcy sędziowie pokoju, izba handlowa paryzka, rada kupiecka, członkowie rady cesarskiej dróg i mostów oraz min, akademia cesarska medycyny, professorowie i administratorowie muzeum historyi naturalnej, professorowie i członkowie rady konserwatorium sztuk i rzemioł, fakulteta prawny i medyczny, professorowie szkoły sztuk pięknych, sekretarze generalni ministeryj, inspektorowie generalni ministeryj, inspektorowie i dyrektorowie generalni administracyi centralnych, ukonstytuowane towarzystwa rolnicze, ogrodnicze i t. d.

O trzy kwadranse na piérwszą, strzały armatnie znak dały o wyjeździe cesarza z Tuileryów; o piérwszój książe Napoleon wyszedł ku drzwiom naprzeciw wchodzących cesarstwa. Dobrana orkiestra, złożona ze stu pięćdziesięciu muzykantów, przywitała N. Państwa uwerturą z Niemėj, a skoro zasiedli na tronie, książe Napoleon miał długą mowę, w której zdawał sprawę cesarzowi z poruczonego mu zadania, wymieniając oraz korzyści, jakie ten wspaniały jubileusz przyniesie sztukom i przemysłowi całego świata. Cesarz odpowiedział mu temi słowy:

Kochany kuzynie!

„Stawiając cię na czele kommissyi powołanej do przełamania tylu trudności, chciałem ci dać szczególny

dowód mego zaufania. Szczęśliwy jestem, żeś mu tak dobrze odpowiedział. Proszę cię, ażebyś podziękował w moim imieniu kommissyi za jej światłe starania i niezmierną gorliwość, której dała dowody. Otwieram z radością tę świątynię pokoju, która wszystkie ludy zaprasza do zgody."

Po tej krótkiej przemowie, N. Państwo z licznym orszakiem obchodzili dokoła salę, oglądając porządkiem rozłożone w niej produkty, a muzyka grała dalej rozpoczętą uwerturę, i zakończyła pieśnią królowej Hortensyi.

Ceremonia otwarcia trwała bardzo krótko; o pół do trzeciej dwór odjechał, a pozostali goście rozbiegli się po galeryach, w których na dzień otwarcia zaledwie połowę spodziewanych cudów zgromadzono. Spójrzmy jeszcze na pałac.

Na sklepionych ścianach przedsionka dwie wielkie płaskorzeźby przedstawiają cztery figury alegoryczne: sławę, sztukę, obfitość i przemysł; nad niemi unosi się olbrzymi orzeł, dokoła widać wyryte na kamiennych tarczach herby miast francuzkich. Po bokach dwoje podwójnych schodów prowadzi na galerye.

Główna nawa suto przystrojona chorągwiemi rozmaitych narodów. Dwa półkoliste ogromne okna a raczej ściany ze szkła kolorowego, naprzeciw siebie na dwóch przeciwnych końcach sali umieszczone, są główną jej ozdobą. Układał je pan Maréchal, rodem z Metz. Na jednym po lewej stronie, Francya siedząca na złotym tronie zaprasza do siebie inne narody; u nóg jej widać sztuki piękne i nauki, obok stoją pasterz i kowal. Główną figurą prawego okna jest sprawiedliwość, trzymająca w jednej ręce wagę, w drugiej pieczęć do cechowania wystawionych produktów. U nóg sprawiedliwości też same alegorye co u nóg Francyi; po jej prawej ręce stoi Anglia, Indye i Chiny, po lewej Francya, Włochy i Arabia.

Wielka prostokątna nawa półkolnym dachem szklanym nakryta, mimo ogromu swego bardzo proporcjonalna, najpiękniej wydaje się z galeryi pierwszego piętra, z kąd całość jej ogarnąć można. Widzimy tam produkty wszystkich narodów; jak na londyńskiej wystawie, tak i tutaj każdy naród stanowi osobną grupę.

Wystawa powszechna dzieli się na dwa główne działy: Dział pŁodów przemysŁu, i dział sztuk piŁeknych. W piŁrwszym wystŁpuje blisko 18,000 exponentów, drugi ma ich 2.100, którzy nadesŁali 5,112 dzieŁ sztuki. Powyższe liczby przekonywajĄ, że sztuki piŁkne gościnniej od przemysŁu byŁy przyjmowane na wystawie, bo liczba artystów do liczby fabrykantów w rzeczywistości ma się zaledwie jak jeden do dwudziestu tysięcy, nie jak dwa tysiące do ośmnastu.

Wielki dział pŁodów przemysŁu dzieli się na siedm grup gŁównych, które kommissya nazwaŁa jak nastŁpuje:

Grupa I. MateryaŁy surowe.

„ II. PrzemysŁ zajmujĄcy się zastosowaniem siŁ mechanicznych.

„ III. PrzemysŁ zasadzajĄcy się na użyciu czynników chemicznych i fizycznych, wiĄzĄcych się z naukĄ i nauczaniem.

„ IV. PrzemysŁ ściślej wiĄzany z naukĄ.

„ V. Wyroby z produktów mineralnych.

„ VI. Tkaniny.

„ VII. Meble, ozdoby, mody, wzory na materye i dywany, narzŁdzia drukarskie, instrumenta muzyczne.

Trudno dopatrzeć wiĄzku w przedmiotach ostatniej grupy; instrumenta muzyczne zmieszane z modami i drukarniĄ, niejednemu zapewne nie na swoim miejscu wydawać się bŁdĄ. Pomijam tŁ niewŁaściwość w ugrupowaniu, i wracam do sprawozdania.

Te siedm grup dzielĄ się na 27 klass. Wymienienie takowych znajdzie czytelnik w Kronice z Paryża z przeszŁej jesieni, w numerze listopadowym Biblioteki Warszawskiej, pod napisem: *Klasyfikacya produktów na wystawę nadesŁać się majĄcych.*

Klasy dzielĄ się znowu na sekcye, a te na poddziaŁy. ChcĄc spisać wszystkie, potrzebaby osobnej ksiĄżki. Na dowód powiem tylko, że piŁrwsza klasa przedmiotów do min i metalurgii odnoszĄcych się, podzielona jest na dziewięć sekcyi z nastŁpnymi napisami: Statystyka i dokumenta ogólne; powszechne sposoby eksploatacyi; sposoby traktowania metalów; wydobywanie i przyrzĄdzanie mineraŁów palnych; lane i kute Źelazo; drogie kruszce;

monety; medale i produkta kopalne niemetaliczne. Druga klasa (leśnictwo, polowanie, rybołówstwo, i zbiór produktów zbieranych bez uprawy), dzieli się na siedm sekcji: Statystyka i dokumenta; eksploatacja leśna; przemysł leśny; polowanie na zwierzęta ziemne i ziemnowodne; rybołówstwo; zbieranie produktów otrzymywanych bez uprawy, wyniszczanie zwierząt szkodliwych.

Sekcje dzielą się jak klasy. Pierwsza naprzykład sekcja pierwszej klasy, grupy pierwszej, obejmuje: karty geologiczne, metalurgiczne; plany topograficzne powierzchni lub podziemia; rysunki i plany wypukłe; zbiór minerałów; dokumenta drukowane i w rękopismach traktujące o mineralogii, metalurgii; i t. d. Tym sposobem każdy przedmiot jest uporządkowany pod właściwy nagłówek.

Oto probka podziału moralnego, że tak powiem, wystawy przemysłowej, wytknięte, choć nieściśle oznaczone granice, których trzymać się będą sędziowie w ocenieniu przedmiotów. Wystawiające jednak narody przyjąć go nie mogły, gdyż byłyby znikły jedne w drugich. Ugrupowały się przeto każdy osobno, szeregami stanęły do wielkiego przeglądu. Wystawa powszechna oprócz ogólnego rozklassyfikowania przedmiotów, dzieli się więc na wystawy rozmaitych narodów, reprezentowane liczebnie jak następuje:

Cesarstwo francuzkie. Exponentów	9612.
Algier	650.
Kolonie francuzkie jeszcze nie ponumerowane.	
Stany Zjednoczone Ameryki	97.
Księstwa Anhalt-Dessau i Koethen.	15.
Cesarstwo Austryackie	1769.
Wielkie księstwo badeńskie	97.
Bawaryja	156.
Belgia	698.
Brunświk	15.
Szwajcarya	436.
Dania	90.
Hiszpania	462.
Kolonie hiszpańskie	10.
Frankfort nad Menem	25.
Wielka Brytania i Irlandya	2011.
Grecya	121.

Królestwo hanowerskie	19.
Królestwo hawajskie (przylądek Honolulu).	5.
Miasta hanzeatyckie: Bremen 6, Lubeka 3, Hamburg	25.
Wielkie księstwo hesskie.	79.
Hessya elektoralna	12.
Lippe Detmold.	2.
Wielkie księstwo luxemburskie	25.
Rzeczpospolita meksykańska	105.
Oldenburg,	14.
Holandya.	258.
Państwo papieżkie	43.
Prusy.	119.
Sardynia	204.
Saxonia	97.
Księstwo Sasko-koburgskie	6.
Księstwo Sax-Koburg-Gotha	11.
Schauenburg-Lippe	3.
Schwartzburg-Rudolfstadt	1.
Sax-Meiningen	3.
Sax-Weimar.	1.
Toskania.	193.
Würtemberg.	200.
Costa-Rica, konfederacya argentyńska, Egipt, kolonie angielskie, Indye, Guatemala, Haïti, księstwo Nassau, Turcya, Peru, Portugalia, Szwecya, Norwegia i Tunis, jeszcze nie rozklassyfikowane.	

Mając do wyboru podział wystawy na przedmioty lub kraje, trzymać się będą pierwszego w moich sprawozdaniach: albowiem ostatni pociągnąłby za sobą nieuchronne a niemile powtarzanie się.

W wielkiej nawie zgromadzono wyroby przemysłowe najwięcej do sztuk pięknych zbliżone. Każdy niemal wyrób wystawiony w tej sali, łączy z użytecznością warunki estetyki: kształt miły, doskonałą proporcją, świetne kolory, słowem wszystko co stanowi piękną całość.

Do tworzenia dzieł takich nie wystarcza zręczność robotnika, nie wystarcza techniczna nauka, dająca człowiekowi sposoby spotęgowania sił, i uproszczenia środków fabrykacyi: potrzeba koniecznie, ażeby duch piękności kierował pracującą ręką; potrzeba tego szó-

stego zmysła, który gustem zowią, a który stanowi główną wyższość najpospolitszych nawet wyrobów francuzkich nad wyrobami innych narodów, o czém wreszcie najlepiej przekonać się można na paryzkiej wystawie.

Wielka sala dzieli się na dwie części: we środku zgromadzono wyroby przednie wyjątkowej piękności, wkoło zaś ustawiono obok siebie produkta, któremi jaki naród celuje.

Wyroby francuzkie, któremi zastawiono stronę północną nawy, zajmują dwadzieścia działów. Wchodząc główną bramą od Pól Elizejskich, natrafia się na środek linii francuzkiej; po prawej i lewej ręce przybyły mieć będzie po dziesięć działów przemysłu francuzkiego. Prawy szereg rozpoczynają tkaniny wełniane w rozmaitych gatunkach, dalej brzozy na ozdobę salonów przeznaczone, narzędzia matematyczne, materye lugduńskie, wyroby z cynku, narzędzia ogrodnicze; w końcu ma być ułożony ciekawy zbiór probek przemysłu mineralogicznego. Po lewej stronie jest wystawa koronek precudnej piękności. Warsztaty Chantilly i Maligne, dotąd piękniejszych nie stworzyły wzorów. Dalej rozstawiono kryształ, po nich następują wyroby stolarskie, dalej znów brzozy i przepyszne meble, ozdoby do budynków z tak zwanój kamiennój tektury (carton-pierre), narzędzia drukarskie; linią zakończają instrumenta muzyczne, między któremi uderzają wielkie organy ze żłobionego dębu w złoczone arabeski.

Przegląd linii przemysłu francuzkiego zaczniemy od paryzkiego, który na szczególną w tym szeregu zasługuje uwagę. Przemysł paryzki tworzy dwie grupy. Trzeba je widzieć, żeby sobie wyobrazić smak wyborny i rozmaitość wykwinnych wyrobów, któremi przepełnione te dwa działy: pióro tylko zawiadomić może o ich istnieniu. Dwa te działy zgromadzone są w dwóch pawilonach, zbudowanych z czarnego żłobionego drzewa w złote desenie; środek tych baldachinów wyłożony ogromnemi zwierciadłami. U góry widać złoty napis: Przemysł paryzki. Niżej na jednym napisano: Parure; na drugim: Fantaisie et objet d'art.

W pierwszym pawilonie, który właściwie nazwać można szkatułą Krezusa, rozłożono utwory dwunastu jubilerów. Na pierwszym miejscu widzimy tu ostatnie arcydzieła Froment Meuric'a, o których wspominałem w poprzedniem sprawozdaniu. Wyroby jubilerskie pana Bapst najobszerniejszą zajmują przestrzeń. Dyamentowe naszyjniki rzucają oślepiające blaski, drogie kamienie przejrzysto oprawne, brosze, bransolety, grzebienie, napierśniki z brylantów wyszłe z pracowni tegoż złotnika, oceniają do miliona franków.

Gdzie są kupcy na tak kosztowne towary?—słusznie może kto zapyta. Jest ich wielu, ale nie na jednym punkcie. Jubilerowie wiedzą o tém dobrze i zazwyczaj z towarem swoim płyną za ściekiem powszechnego bogactwa raz w tę, drugi raz w owę stronę. Skoro kraj jaki zbierze z łaski nieba obfite żniwa, wtedy właśnie kiedy sąsiadom głód dokucza, jubilerowie posyłają tam na pewno swoje wyroby i spieniężą takowe niezawodnie. Skoro naród jaki zakwitnie wyjątkową pomyślnością, złotnicy ciągną doń ze wszystkich stron świata. Sklepy ich są to namioty, z którymi podróżują rozbijając je gdzie ich pokup czeka. Powodzenie jubilera opiera się najprzód na tém, żeby odgadł zawczasu gdzie kupców znajdzie; powtóre, żeby umiał obrachować ile kraj jaki może zakupić klejnotów, bo oprawa ich musi być zastosowana do gustu krajowców, którym sprzedane być mają. Tak naprzykład klejnoty przeznaczone dla Amerykanek zupełnie niepodobne do tych, w które stroją się Paryżanki; inne lubią Włoszki, a inne Angielki. Wtajemniczyć się w te kaprysy kobiece, dogadzać im często kosztem dobrego smaku: oto na czém stoi pomyślność jubilera.

Oprócz klejnotów są jeszcze w tym pawilonie inne przedmioty zbytkowne; kwiaty tak wybornie naśladowające naturę, że najwprawniejsze oko omylą, nadają mu wdzięk zachwycający. W głębi pawilonu stoi krzaczek exotycznej rośliny, zwanój po francuzku Crinom; pochodzi on z pracowni pana Duteis; jest tak doskonale zrobiony, że chyba dotknąwszy go, można się dowiedzieć że nienaturalny. Bukięty i wieńce na ozdoby dla dam przeznaczone, niezrównanej świeżości, lekkie i miękkie, tak; żebyś przysięgł, iż przed godziną roz-

kwitły, naturalnością swoją w zdumienie wprowadzają widzów. Przypatrując się uważnie tym listeczkom, słupkom, pyłkom i puszkom, tym kolorom któremi sama tylko Flora kielichy kwiatów i tona róż napół otwartych maluje, zdaje ci się że świętokradzca jakiś porwał paletę bogini kwiatów, i zamiast ludzi bezduszną formą.... Gniewa cię nieomal to fałszerstwo, i z podwójną radością witasz u bram pałacu prawdziwą zdala pachnącą różę czerwoną, upłakaną deszczem; i cieszysz się, że purpurowa, boś się lękał, że odkąd ukradziono Florze kolory, wszystkie kwiaty rodzić się będą bezbarwne.

Pomiędzy kwiatami i klejnotami rozłożono nowéj formy parasoliki, pokryte bogatemi koronkami, wachlarze z kości, perłowej macicy, muselinu, lub piór, i niestychane mnóstwo kobiecych rupieci, począwszy od kapeluszy ryżowych eleganckiej formy a welinowej cienkości (po tysiąc franków jeden), aż do mikroskopicznych buciczków, pantofelków i rękawiczek przedziwnych, których krój i kolor powszechną zwraca uwagę.

Wiadomo, że jednym z najstynniejszych wyrobów paryzkich są rękawiczki, tak z powodu kroju, jako też niezrównanej elastyczności. Dostarczają na nie skóry kozłeta z gór francuzkich; ale że ilość tego materiału nie dorównywa ogromnej konsumcyi towaru, przeto z téj przedniej skóry szyją tylko tak zwane od fabrykanta swego: gants Jouvin, którym równych nie ma na świecie. Tak więc nietylko doskonałość roboty, ale i gatunek skóry, dobroć i cenę tych rękawiczek stanowi.

Po drugiej stronie drzwi głównych w linii wyrobów francuzkich, znajduje się drugi pawilon przemysłu paryzkiego, złożony z produktów dwudziestu fabryk stolicy. We środku widzimy przepyszną toaletę ze srebra massif. Dwadzieścia dwie sztuki przeróżnych form, przeznaczone na chowanie potrzebnych do gotowalni sprzętów, wyrobione ze srebra w najwytworniejszym smaku, i ustawione na brązowym posrebrzonym stole, składają toaletę. Ta gotowalnia pochodzi z pracowni pana Audot, i zapewne niemało do sławy tego jubilera się przyczyni.

W tymże pawilonie uderzają wyroby ze słoniowej kości misternie wypracowane; stoliczki mozaikowe, vieux lac, z korsykańskich kaktusów, zupełnie do brabanckich koronek podobne, z różanego drzewa, z hebanu nasadzanego perłową macią i t. p. Także nader piękne bronzy, wyborne naśladowane perły, prześliczne pachnące pugilaesy na chowanie rękawiczek i chustek, srebrne cygarniczki wypracowane artystycznie. Jest i papier zbytkowny, poukładany w wielkich pugilaesach z marokinu, kałamarze, press-papiery, pióra złote, pieczętki, scyzoryki, noże do przecinania kart: słowem cały nieprzeliczony szereg sprzętów, któremi zarzucone bywają stoły literatów, a mianowicie literatek modnych.

Co tylko zamarzył wyrafinowany zbytek, o czém się za Paryżem długo nie przyśni nikomu, co stworzył kaprys kobiety wykotysanej na tonie dostatków, wspieraną swą imaginacją a sztuką artysty: to wszystko znajdziesz w dwóch działach przemysłu paryzkiego.

Czyż nie jest płodem niewieściej fantazyi taki na przykład zegar: w etruskim wazonie rośnie obfity krzak róży, obsypany kwiatem; na jednej centyfolii przytwierdzone są dokoła liczby godzin na srebrnych punkcikach; minuty znaczą krople rosy, a unoszący się nad różą motyl, wąsem wskazuje godzinę! Otóż to takie dzieła podszeptuje Paryżanom lekki geniusz wdzięku, który pomiędzy nimi obrał sobie mieszkanie, i na ulubieńców nieustannie swój róg obfitych pomysłów wytrząsa.

Bardzo ważną gałąź przemysłu paryzkiego stanowią dziecinne zabawki; robią je tutaj nietylko starannie i ozdobnie, ale z rażącym zbytkiem. Tak zwane hochet, bawidełka, które dają do rąk niemowlętom, a które dziecko połamie lub zgubi nieraz po godzinnej zabawie, widzisz wyrobione z najczystszej złota, drogich kamieni, pereł i brylantów. Potrzeba być niezmiernie bogatym, albo szalenie szczodrym, żeby wyrzucać tyle pieniędzy na fraszki, które w jednym dniu wielbione i połamane bywają. Cóżkolwiekby, nigdy jeszcze handel dziecinnych zabawek nie kwitnął jak teraz w Paryżu. Niedosyć że robią lalki, ale każda lalka ma łóżko, pościel, garderobę z najdrobniejszymi

szczegółami: rękawiczki, trzewiki, kapelusze, okulary, lornetki, serwis stołowy, zegarek, pierścionki: krótko mówiąc, wszystko co eleganka mieć może. Dobrze to jest do pewnego stopnia, bo rozwija w dziewczynkach instynkt macierzyństwa, oraz uczy je ubierać gustownie siebie i drugich; ale taki cel można osiągnąć bez łożenia na to summ bajecznych, których połowa mogłaby nieraz osłodzić nędzę, nakarmić i ubrać w sukienki, nagie i zgłodniałe sieroty.

W dwóch działach paryzkiego przemysłu zabawki dziecinne niepoślednie zajmują miejsce. Mikroskopiczne wyprawy lalek, bawią jednych, innym słuszną nasuwają uwagę, że ci, którzy temu tyle pracy i czasu poświęcili, co je tak *con amore* wykończyli, wzrostem tylko od swoich konsumentów różnić się muszą.

Zasługuje na uwagę, że wszystkie wyroby zgromadzone w tych dwóch działach przemysłu paryzkiego, najsztuczniej i najwyborniej wypracowane z produktów francuzkich, są dziełem robotników urodzonych w Paryżu. Inne produkta także z fabryk paryzkich znajdujące się w tej sali, robili rzemieślnicy przybyli z prowincyi. Każdy niemal robotnik z najodleglejszych zakątków Francyi, odbywa wędrówkę do Paryża: zręczniejsi zostają w stolicy, mniej zręczni powracają, ale każdy dopóki nie terminował w Paryżu, nie uważa się za majstra. Robotnik urodzony w Paryżu, przeciwnie: choćby chciał, nie może porzucić stolicy, bo zbyt liczne rzemiosła w jakich się ćwiczył, znajdują nakładców i kupców tylko w Paryżu. Zresztą praca jest tu tak podzielona, specjalności tak ograniczone, że robotnik tutejszy mimo niezrównanej zręczności, nigdzie na prowincyi odpowiedniego sobie nie znajdzie zajęcia. To pokazuje, ile robotnikowi paryzkiemu zależy na spokoju i pomyślności stolicy.

Między wyrobami także z fabryk paryzkich, które widzimy rozłożone już nie w dwóch pawilonach przemysłu paryzkiego, uderzają mianowicie meble i brzozy. Są to dwie główne gałęzie tutejszego handlu. Wedle cyfry podanej przez izbę handlową paryzką, liczba stolarzy w samym Paryżu dochodzi do 15,000, a summa produktów stolarskich wszelkiego rodzaju

sprzedanych w ciągu roku, przenosi czterdzieści milionów. Robotników użytych do bronzownictwa jest blisko 8,000, sprzedaż zaś bronzów rachują rocznie na 22,000,000 franków.

Meble i bronzы z fabryk paryzkich tworzą cztery osobne działy; każdy z nich do jednego należy fabrykanta. Pierwszy dział stolarski zajmują wykwiłntne dzieła z pracowni sławnego stolarza-artysty Tahana. Onto wskrzesił we Francyi dawną modę tak powszechną za Ludwika XV, żłobienia mebli, i wyrabiania z drzewa damskich cacek, która zarzucona czas niejakiś, znowu powróciła udoskonalona przez niego do najwyższego stopnia.

Jednym z najpiękniejszych wyrobów jakie Tahan dał na wystawę, jest przepysznie żłobiona i złoconą szafa na książki, do cesarskiej przeznaczona biblioteki. Niestychane bogactwo ozdób, subtelna łatwość w wykonaniu rzeźby, przechodzi wszystko co w tym rodzaju dotąd się pojawiło. Przy niej stoi klęcznik dębowy podobnie żłobiony, i szafa na suknie także dębową, ozdobioną malowidłami. Obie te sztuki dziwnę są piękności. Szafa przedstawiała największe trudności w wykonaniu. Pogodzenie surowej postawy żłobionego drzewa ze śmiejącą żywością farby, zawsze jest bardzo trudnem dla artysty zadaniem; przeładowanie kolorami odbiera zupełnie właściwy charakter tego rodzaju meblom, nadaje im niesmaczną krzykliwość; zadrobne znów malatury zupełnie nikną w całości. Szafa Tahana może być wzorem tego rodzaju wyrobów: malatura i czarne liście dębowych arabesków łączą się tu jak najlepiej, dodając sobie blasku wzajemnie.

Najmisterniejszy atoli wyrób tegoż stolarza jest stojąca naprzeciw pawilonu jego, voliera. Jestto domek przezroczystry, wyrobiony tak cudnie z drzewa, jak najpiękniejsza koronka. Po nim pnie się żyjąca roślinka cieniuchna jak splątany motek nici (*Tropeolum Azurum Tricoloratum*); kto widział ten misterny kwiatek, przyzna, że nie ma przesady w tém porównaniu, pojmie oraz, że chociaż pnie się po całej klatce, nie zakrywa jej wcale. W środku fruują ptaszki.

Drugi dział wyrobów stolarskich więć się zbliża do stolarstwa we właściwem znaczeniu tego wyrazu,

choć złożony jest z samych zbytkowych mebli. Są to utwory robotników z przedmieścia Saint-Antoine, wyłącznie prawie zamieszkałego przez stolarzy trudniących się wyrabianiem mebli. Wszystko w tej grupie jest tak piękne, że nie wiedzieć doprawdy co wybrać, nie mogąc opisywać wszystkiego.

Zapewne najwięcej zasługuje na uwagę pod względem wypracowania, rodzaj serwantki do zawieszania sprzętów myśliwskich. Ogromny ten mebel z dębowego drzewa, cały pokrywa wypukła rzeźba, przedstawiająca różne ustępy z polowania, wykonane w najprzepyszniejszym stylu. Tu widzisz na owalnym medalionie pogoń za jeleniem, tu dzika ostremi kłami odcinającego się zgrai ogarów; tu znów doganiacze na angielskich koniach gnają zmordowanego zwierza długą linią przez całą szerokość serwantki. Przez godzinę oglądając ten mebel, trudno wszystkich szczegółów dopatrzeć. Cenę tego arcydzieła oznaczono na 12.000 franków. Ale powszechniejszego użycia, a nie powszedniego wykonania, jest garnitur mebli do buduaru; składa się on z kanapy, fotelu i gotyckiego krzesła. Niepodobna opisać rozkosznego wdzięku formy żłobionych poręczy, przepychu materii, ani puchowej miękkości tych mebli. Powiem więc tylko, że kanapa kosztuje 4,000 franków, fotel 2,000, krzesło 800, co zresztą w tym kraju nie zwie się jeszcze ceną niepraktyczną.

Fabrykant naczelný tych arcydzieł stolarskich pan Jeanselme, przybył do Paryża przed dwudziestą laty jako prosty stolarczyk, bez żadnych funduszy, nie wiedząc za co jutro kupi kawałek chleba. Jedyną wyższość jego nad innymi wyrobnikami była ta, że w szkole bezpłatnej na prowincyi uczył się rysować. Przez trzy lata terminował wytrwale u jednego z majstrów paryzkich, zanim uzbierał trochę grosza, żeby móżdż robić na swoją rękę. Najawszy mały pokój na poddaszu, pracował lat kilka pozbywając swoje wyroby kupcom za mniej niż mierną zapłatę. Przeszedłszy atoli prędzej niż inni wszystkie szczeble swego fachu, wyptęnął na wierzch; założył fabrykę, i rozpoczął zaraz wyrabiać meble zbytkowe, wiedząc, że te najlepiej popłacają w Paryżu. Dzisiaj, jak widzimy, Jeanselme zajmuje między stolarzami stolicy pierwsze miejsce po Ta-

hanie, stoi na czele stolarzy, bo Tahan właściwie mówiąc nie jest stolarzem, ale snycerzem. Salonowe meble Jeanselma są najpiękniejsze na wystawie: ma więc stawę, a oprócz niej wielki majątek, który winien li tylko swojej wytrwałości i pracy.

Przykłady takie są niestety w Paryżu, zwłaszcza między fabrykantami zbytkownych przedmiotów: bo nigdzie zapewne nie konsumują ich tyle co tutaj, muszą więc przez to samo wysoko cenić i dobrze płacić talenta.

Bronzy zajmują dwa drugie działy, przeznaczone dla fabrykantów stolicy. W jednym widzimy bronzownictwo sztuki, w drugim wyroby z tegoż kruszcu, służące do użytku i umeblowania salonów. Pierwsza kategoria obejmuje płody rzeźby mechanicznej, druga rozmaite zastosowania tego metalu do fabrykacji zegarów, kandelabrow, lamp, wazonów składanych z porcelany lub kryształu, postumentów, konsoli, i t. m. podobnych rzeczy.

W tej gałęzi przemysłu jak we wszystkich, w których smak dobry główną rolę, wyroby francuzkie niezaprzeczoną mają wyższość nad innymi narodami. Paryżkie wyroby bronzowe tak są słynne teraz, jak niegdyś słynnymi były weneckie zwierciadła, i bronie z Toledu. Bronzy sztuki na szczególniejszą zasługują uwagę.

Pierwszy dział bronzownictwa zajmują płody rzeźby mechanicznej z fabryki pana Barbedienne. Widzimy tam Venus de Milo, Dianę na łowach, statwę Polymnii, grupy walczących gladiatorów; z wzorów nowoczesnych: Amazonkę Kissa, trzy gracye Piona, Kleopatę Daniela Ducommun, i t. d. wszystkie sprowadzone do małych rozmiarów metodą pana Collasa, którego wynalazek głośny przed kilkunastą laty, zwrócił na się uwagę lubowników sztuki.

Właściwie mówiąc, pan Collas nie stworzył nic nowego: zastosował tylko pantograf do zmniejszania posągów, sprowadzając formę posągu do płaskorzeźby w następujący sposób: robi najprzód gipsowy odcisk statuy, następnie dzieli takowy na części, i każdą z nich zmniejsza za pomocą znanego przyrządu do zmniejszania portretów, z tą różnicą, że uproszczone narzę-

dzie składa się tylko z dwóch odpowiednich sobie linii połączonych ruchomo; podczas kiedy jedno ramię dotyka sztyftem konturów posągu, drugi sztyft na końcu parallelogramu osadzony rysuje na tablicy z twardego mydła pomniejszone części statuy, które dowolnie do mniejszych lub większych rozmiarów sprowadzone, w końcu układają się w całość. Oto co zowią tutaj rzeźbą mechaniczną, za pomocą której można otrzymać dokładne kopie wielkich wzorów w zmniejszeniu.

Przedtém zastosowaniem, zdrobniałe kopije posągów były zawsze dowolne, zatém rzadko wierne. Każdy artysta pojmował je i oddawał inaczej, modelując nietylko wedle swego rozumienia, ale jeszcze wedle smaku swój epoki. Spójrzmy na zdrobniałą kopię tegoż samego wzoru, wykonaną w różnych epokach choć nie nader od siebie odległych, z czasów Ludwika XIV, lub z końca XVIII wieku z czasów Dawida, a przekonany się, jak różnie lotna wyobraźnia artystów pojmowała dzieła starożytne.

Dopiero rzeźba mechaniczna podłożyła nieruchome prawidła dla kopiujących posągi, ujęła w karby ich fantazyą, tak, że dziś przerabiać muszą z matematyczną dokładnością wzory, nie jak dawniej na starém tle nowe kreślić kontury. Rzeźba mechaniczna przyniosła jeszcze wielką korzyść, uprościwszy kopiowanie posągów, a wiele zniżyła cenę kopii, co tém więcej do ich rozpowszechnienia się przyczyni, że zdrobniałe takowych formy, w każdym mieszkaniu prywatném pomieścić się mogą.

Ogromna fabryka pana Barbedienne obfituje w starożytne wzory. Sale w których pracują robotnicy zastawione posągami: właściwiej na nazwę muzeów niż pracowni zasługiwałyby mogły.

Główną ścianę pawilonu jego na wystawie zajmuje kopia drzwi głównych do chrzcielnicy w katedrze florenckiej, wykonanych jak wiadomo na początku piętnastego wieku przez Ghibertego. Zmniejszone do połowy drzwi te, dzielą się na dziesięć płaskorzeźb, przedstawiających ustępy ze starego Testamentu. Jestto zapewne najpiękniejsze dzieło z wystawy płodów rzeźby mechanicznej.

Drugi dział bronzów złożony z wyrobów do umeblowania przeznaczonych, pochodzi z pracowni znanego oddawna bronzownika paryzkiego pana Denière. Fabrykant ten pozyskał już cztery medale na rozmaitych wystawach; na wystawie powszechniej najważniejszym z utworów jego jest zastawa do ubrania stołu jadalnego, rodzaj serwisu, podobny do owego z porcelany, o którym jeden z poetów naszych wspomina, że nie wiadomo jakim sposobem z pańskich pałaców zabłądził do litewskiego zaścianka, i świeżo wydobyty ze skarbcza „zajął środek stoła ogromnym kręgiem, nakształt karetnego koła“. Serwis bronzowy mniej zapewne piękny, może dlatego, że nie znalazł swego poety, jest przecież ozdobą pięknej wystawy pana Denière; kosztuje 60,000 franków.

Oprócz tego serwisu i ogromnego kosza na kwiaty, wyrobionego w stylu Ludwika XIV, niniejszy dział bronzów zajmują same sprzęty do zwykłego umeblowania, jakoto: lichtarze, kandelabry, wazony, zegary, lampy, i tém podobne przedmioty, które aczkolwiek odznaczają się pięknnością formy, elegancją rysunków i pomysłów, nie zasługują wszakże na szczególną wzmiankę.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

II.

Wystawa sztuk pięknych.

Jednocześnie z wystawą przemysłową otworzono wystawę sztuk pięknych.

Pierwszyto raz podobno, jak świat światem, wszystkie utwory nowoczesnych mistrzów zgromadziły się na jednym punkcie globu, ażeby jak Muzy podać sobie dłonie, zmierzyć i ocenić się wzajemnie. Tylko wiek XIX-sty mógł tego cudu dokonać, dając ludziom potężne środki komunikacji, wobec których nikną wszelkie przeszkody: morza, góry, pustynie, przeciwnie wichry, i zawały. Dotąd malarstwo i rzeźba podzielone na liczne szkoły, których zwiedzanie męczących i kosztownych wymagało podróży, schodziły się w muzeach dopiero w kilkadziesiąt lat po śmierci swych

twórców. Po śmierci dopiero, mistrzowie nie znajdujący się za życia, zgromadzeni w jednej galeryi, zaznajamiali się z sobą w przezroczyściej atmosferze nieśmiertelności. Kto ich chciał studiować pierwój, musiał część życia poświęcić na długie wędrówki po Grecyi, Włoszech, Hiszpanii, Belgii, Holandyi i Niemczech. Dziś w kilka godzin nauczyć się można w galeryach wystawy tego, na cośmy niedawno kilkunastu lat potrzebowali. Wszystkie niemal arcydzieła rozsiane po świecie, nietylko te, które widzieć można w muzeach, ale i te, co po prywatnych willach lub pałacach kryły się oku podróżnego artysty, zestawione tu razem, można porównywać jednym rzutem oka, i z tych porównań wedle uzdolnienia ciągnąć pożytki.

Zanim atoli zapuścimy się w te rozległe galerye obrazów, może nie od rzeczy będzie zastanowić się nad ogólnym stanem sztuki, wykazać dążenia jej w każdym z narodów, które swe arcydzieła na wystawę nadesłały.

Wedle czasu i okoliczności sztuka rozwija się, rośnie, upada, lub z téj w inną przenosi się stronę. Summa ogólna geniuszu jest prawie taż sama, wyjąwszy może trzech lub czterech epok takich, jak wiek Peryklesa, Augusta, Leona X, i Ludwika XIV; summa mówię jest prawie taż sama, tylko podziały bywają rozmaite, a sposoby manifestacyi liczniejsze. Grunt na którym wysoko wybujały sztuki piękne wysila się tak dobrze, jak rola pod zbożem. Kraj w którym niegdyś arcydzieła rozkwitały jak kwiaty strojące pola jego, corazto uboższy, coraz to mniej płodny, wreszcie przestaje rodzić, i tylko gdzieniegdzie na wyschtłej ziemi chwast wyrasta z pomiędzy kamieni; inny natomiast dotąd bezpłodny zakątek globu, nagle się bogaci i zarasta cudownymi krzewy, których nasiona przynieśli doń ptacy niebiescy.

Tak i pracownie niegdyś sławnych mistrzów wyludniają się z czasem, wreszcie zamykają; życie uchodzi z nich bez widocznego powodu, i tylko blade malowidła bez natchnienia świadczą, że nieliczni adepci gdzieniegdzie przechowują tu jeszcze wygasłe tradycye.

Czyżby to dowodziło, że Stwórca mniej szczerze geniuszu ludziom udziela? Bynajmniej: dowodzi raczej, że łaski swoje rozdaje sprawiedliwie. Italia przez trzy

wieki siedząc na złotym tronie, wyłącznie dzierżyła berło malarstwa, rzeźby i architektury. Wdzięcznie zaokrąglone kopuły jej kościołów wzrastały co dnia, rysując smukłe kształty na niebieskim niebie; gmachy swoje jak w płaszcz monarszy ubrała w przepyszne freski, armia posągów ze śnieżnych marmurów stanęła, jakby z pod ziemi wywołana w starożytniej formie a nową jasnością. Leonardo da Vinci, Michał Anioł, Rafael, Corregio, Titian, Paweł Veronese, swym blaskiem świat zaćmili.

Za to dzisiaj Włochy wysilone narodzinami tylu cudów, odpoczywają. Najczynniejsze niegdyś ich pracownie zmieniły się w muzea. Na wystawie powszechniej młode Włochy mniej niż mierne zajmują miejsce. Sławne szkoły: florencka, rzymska i wenecka, matki tylu arcydzieł, już nie mają uczni: zaledwie kilku kopistów sili się na odtwarzanie nienależnych wzorów. Ale Italia sowiec spłaciła swój dług ludzkości, dlatego bezbożny chyba mógłby się naigrawać z jej upadku. Po Grecyi przedstawiła ona światu najwyższe wzory piękności; jeżeli dziś na kongresie nowoczesnej sztuki małe zajmuje miejsce, czyż przez to mniej jej zawdzięczamy, czyż dlatego przestała być matką sztuk pięknych?

Szkoła francuzka od pół wieku, a mianowicie też w ciągu ostatnich lat kilkunastu, ogromne poczyniła postępy. Dawni jej mistrze, jakoto: Poussin, Lesueur, Lebrun, Wattau, nie mogą iść w porównanie z dzisiejszemi. W żadnym zapewne mieście nie ma tylu znakomitych artystów co w Paryżu. Malarze francuzcy nieutrącający oryginalności, przejęli wiele od szkoły weneckiej i antwerpskiej; nieustannie modelując się na Rafaela i Fidiasza, doszli do linii czystych, prostych a pełnych wyrazu, na którym tak zbywa dzisiejszym dziełom sztuki; co większa nie popadli w monotonię. We Włoszech niegdyś wszystkie znaczniejsze miasta: Rzym, Florencia, Wenecya, Medyolan, Neapol, Genua, rywalizowały z sobą o pierwszeństwo; we Francyi sam tylko Paryż jest ogniskiem sztuki: ale w tym jednym mieście jest dobór artystów, których dzieła różnią się charakterem jak ludzie północy z południowemi. Ztąd wielkie bogactwo kompozycji i uderzające kontrasta w sposobie malowania. Szkoły naprzykład Ingra i Delacroix w niczym do siebie

niepodobne; Decampe, Meissonniere, Flandrin i Coutur różnią się jak dzień z nocą, chociaż jak dzień i noc mają właściwe sobie piękności.

Niemcy coraz to bardziej odbiegają od naiwnych wzorów Dürera, który tylko w naturze szukał natchnienia, a lubował się w prostocie. Dzisiejsi artyści niemieccy nie obrazy, ale poemata tworzą na płótnie. Szkoła germańska czysto abstrakcyjna, nie raczy nawet spojrzeć na przyrodę, gardzi kolorytem, o biegłość pędzla nie dba, na wykonanie nie zważa, chodzi jęj tylko o myśl. Malarze-filozofy w mistycznych kompozycjach przedstawiają historią ludzkości, migracją ludów, myty religijne lub apokaliptyczne widzenia, różne symbole i systemata filozoficzne, w których poustawiane grupy i figury są raczej hieroglifami, nie zaś odbiciem ludzkich postaci. Słowem, szkoła niemiecka nie maluje, ale uobraża myśli swoje. Nie jestem z tych, którzyby naganiiali podobne zapatrywanie się na sztukę: z dwóch ostateczności lepsza zbytnia duchowość, niż zbytni materyalizm. Francuzom zajętym przedewszystkiém formą i drobiazgami, taki sposób malowania wydaje się nader dziwny; co nie przeszkadza, że do pewnego stopnia korzystają z wzorów niemieckich nie omieszkują. Jeżeli Niemcy wezmą nawzajem coś z racjonalizmu szkoły francuzkiej, spodziewać się należy, że to skrzyżowanie ras, prawdziwie doskonałe wyda płody.

Szkoła belgicka przeciwnie, celuje wielką zręcznością i rzadką umiejętnością wykonania; za ideałem nie goni: wstępując w ślady swęj babki szkoły flamandzkiej, bierze lada jaki przedmiot, i tworzy zeń arcydzieło. Lubuje się w naturze, studiuje gęboko stare obrazy, z niezrównaną cierpliwością dochodzi jakimi sposobami malowane były i korzysta z odkrycia. Sąsiadkę swoję Francją naśladowuje często, ale zawsze jednak wybitną zachowuje indywidualność; słowem, że wielcy przodkowie nie zaparliby się wnuków swoich.

Główną cechą szkoły angielskiej jest oryginalność. Angielscy malarze nie wzięli nic od innych; rzekłbyś, że od Francyi dzieli ich nie wązki kanał, ale cała przestrzeń Atlantyku. Obraz angielski tak jak Anglika poznasz o kilkanaście kroków; kompozycja, rysunek, kolor, pędzel, poczucie przedmiotu, powietrze obrazu, wszystko

w nim różne od innych. Chociaż wyjechawszy z Paryża po śniadaniu, można stanąć na obiad w Londynie; zdaje ci się, żeś przez ten dzień tysiąc mil ujechał, tak wielka uderza między sąsiadami różnica. Różnicę tę widzisz we wszystkim.

Sposób angielski malowania wyrafinowany, pretensjonalny, dziwny jak chińszczyzna, zawsze ma w sobie coś arystokratycznego: technie wykwiintną układnością form salonowych, których najczystsze typy nieraz podziwialiśmy w prześlicznych keepsakach londyńskich. Na starożytnie wzory nie modelują się wcale, chociaż czasem dorównywają im siłą. W obrazach angielskich znać cywilizacją XIX-tego wieku, począwszy od myśli, a skończywszy na werniksie i ramach: wszystko błyśzące, żywe, a jednak zimne. Zrazu obraz angielski budzi więcej podziwu niż uwielbienia; ale oko wnet przywyka do tych dziwnych kolorów, srebrnych światel, przejrzystych cieni, i chmur z muselinu, na które długie lśniące pukle spadają, ocieniając cudnie księżycowe oblicze.

Szkoła Lawransa już nie znajduje naśladowców, na wzory Wilkiego także nie zważają już angielscy malarze: każdy z nich idzie za własnem natchnieniem, nie tracąc przez to cechy narodowej. Hunt i Millais, pierwszy sielankowy, drugi materyalista, liczą się do najpierwszych malarzy Wielkiej Brytanii, i prześcigają na dwóch przeciwnych końcach excentryczności.

Anglia zajmuje po Francyi najobszerniejsze miejsce na wystawie. Obrazów historycznych jest niewiele, ale za to nieprzeliczone massy pejzaży, widoków morskich, zwierząt, i tak zwanych tableaux de genre.

Hiszpania zapomniała już Velasqueza, Murilla, nawet Goya. Już nie maluje jak dawniej szerokim pędzlem a ciemnymi farbami mniszych habitów i rycerskiej zbroi cy, ogorzałych cyganów, lub Madon promiennych: utraciła na mocy; nie czuje tak fanatycznie jak kiedyś ducha katolicyzmu. Dziś gdyby nie napisy, nie możnaby rozróżnić szkoły hiszpańskiej od francuskiej.

Wystawa obrazów dzieli się więc na cztery wydatne szlaki: cechą szkoły francuskiej zapał; angielskiej indywidualność; niemieckiej myśl; belgickiej umiejętność.

Ponieważ galerya angielska rozpoczyna szereg wystawy obrazów, od niej przeto zacząć wypada, chcąc przejść wszystkie porządkiem. Przyjętym zwyczajem przypatrzmy się najprzód obrazom największych rozmiarów, bo zresztą najprzód w oczy wpadają.

Mało tu jest obrazów historycznych, a te które nadesłano, najmniejszą mają wartość. Powodem tego zapewne, że w Anglii nie ma tak jak we Francyi dyrekcyi sztuk pięknych, która obstalowuje do muzeów i kościołów wielkie obrazy, przedstawiające jakąś ważniejszą kartę z historyi świętej, lub dziejów narodu. Co większa, religia anglikańska wykluczyła ze swoich kościołów rzymsko-katolicki przepych; podobni w tém do sekty obrazo-burzców, Anglikanie twierdzą, że obrazy czynią niepotrzebną w kościele dystrakcyą, a cześć dla arcydzieła sztuki uważają niemal za bałwochwalstwo. Sztukę w Anglii wspiera sama tylko arystokracja, przeto obstalowane obrazy bywają niewielkie, bo są przeznaczone na ozdobę mieszkań prywatnych.

Obraz uderzający tak rozmiarami, jako i żywością kolorytu, który widzimy na wstępie do angielskiej galeryi, jest bitwa pod Meeanee, pędzla pana Armitage. Artysta przedstawił chwilę, w której admirał angielski Karol Napier walne odnosi zwycięztwo nad wojskiem Beloutchi. Mieszanina czerwonych mundurów angielskich z ubiorami wschodnich wojowników i średniowieczną zbroją wodzów indyjskich, wabi oko. Tu i owdzie znajdziesz pięknie narysowane figury, całość jednak nie czyni wrażenia jak w ogóle obrazy bitew, które chociaż przedstawiają zgrozę w ruchach i twarzach, widza zgrozą nie-przejmą, bo to co najwięcej przeraża w walce: wrzawa i ruch, oddane być nie mogło. Cóż znaczy bitwa bez huku dział, grzmołu bębnow, szczęku oręża, jęku rannych, wściekłego wycia zajadłych zapaśników, ostatniego krzyku ugodzonych śmiertelnie? Wrażenia bitwy człowiek nietylko przez oczy, ale głównie przez uszy odbiera, dlatego najlepiej narysowana walka bledziej mu odda rzeczywistość, niż senne jej widzenie.

Pan Ward wystawił zajmujący obraz z dziejów francuzkich: Rodzina królewska w Temple. Ludwik XVI na kanapie drżmie siedzący; królowa i pani Eliza-beta zajęte robotą pochyliły na dół głowy, znać smu-

tkiem ociężałe; mały królewicz rzucił zabawki i patrzy matce w oczy: w głębi przez napót odemknięte drzwi, widać szewca Simona i tłum zagląających sankiulotłów. Ta niema scena nad którą w powietrzu czujesz czarnego anioła śmierci z zakrwawionym mieczem, oddana jest z czuciem, i ze wszystkich obrazów angielskich najwięcej zajmuje tutejszą publiczność.

Dalej widzimy tegoż artysty dwa ustępy z historii angielskiej: Montrose na rusztowaniu, i ostatni sen Argyla. Dalej dwa obrazy pana Lucy: Kromwel przy łożu konającej córki, i Kromwel odrzucający koronę. Dalej, śmierć Edwarda III pana Foggo; pana Cross: Ryszard Lwie-serce przebaczący Gordonowi; Przyjazd kardynała Wolsey do opactwa Leicester; Chaucer na dworze Edwarda III: — oto wszystkie podobno obrazy historyczne szkoły angielskiej.

Obejrzyjmy teraz pobieżnie tak zwane tableaux de genre w których celują Anglicy. Pomiedzy temi na pierwszym miejscu stoi dzieło pana Maclise: Zamczysko barona. Jestto jedna z uczt, które stara szlachta angielska obchodziła w Boże Narodzenie. Z tego obrazu pokazuje się, że Anglicy niezawsze na spleen chorowali, i że za dawnych czasów bawili się w swoim kraju tak dobrze, jak każdy inny naród. Szczególniej téż Boże Narodzenie wesoło im schodziło. Epoka ta dla Londynu była tém samém, czém karnawał dla Wenecyi. Maskarady, bale, wesołe orszaki poprzebieranéj młodzieży, wszelkie pustoty i figle pozwolone były i uświęcone obyczajem, który w dzień narodzin Pańskich składał na chwilę srogą dyscyplinę konwenansów.

Otóż pan Maclise właśnie jedną z tych błogich chwil uwiecznił. Obraz jego przedstawia salę zamkową z XVI wieku, ubraną weselnie w girlandy kwiatów i zielone gałęzie sosnowe; w niej krąży uczująca drużyna, postrojona, wesoła, śmiejąca.

Stary baron siedzi za stołem i ucztuje wraz z gośćmi, służącami, i szlachetną rodziną. Zadowolniony, podchmielony, łaskawie spogląda raczy na giermków, paziów i pałacową służbę, co pod jego bokiem bawią się z sobą wesoło. Wielki łowczy przynosi panu głowę dzika uwieńczoną laurami; przed nim idą paziowie

w białych atłasowych ubiorach, za nim muzykanci najdziwaczniej poprzebierani. Barona otacza jakby olimpiada: goście przebrani za Jowiszów, Neptunów, Plutów, Apollinów i t. d. siedzą przy stole i spijają nie z mniejszym smakiem jak zwyczajne śmiertelniki porto i klaret, dwa ulubione wina poczciwego Falstaffa. Jeden z bogów z wielkim innym podziwem stawia sobie prostopadle pawie pióro na nosie. Młode dziewczęta z chłopcami stanawszy wkoło, grają w pierścionki. Na ogromnym kominie wesoły ogień się pali, przy nim zasiadły poważne matrony i podeszli ojcowie, gwarząc, podają sobie jadła i napoje. Grupa ta jest jakby oazą spokoju, pośród powszechnego zamieszania.

Obraz ten pełen ruchu, wesołości, swobody i naiwności, bardzo jest ładny. Mianowicie też kółko igrających dziewczyn zachwyca wdziękiem. Zdaje się, że jak zawołasz na którą po imieniu, to się obejrzy, a wszystkie ładne. Artysta żadnej brzydkiej nie wmięszał pod pozorem prawdy w tą czarownicą grupę, która wydaje się jak rozsypane po podłodze kartki angielskiego almanaku piękności. Te złote pukle, łabędzie szyje, oczy co twarzy dotykają rzesą jak czarny motyl skrzydłem róży białej; te usta, co rubinowe światło leją, nieprawdziwe zapewne, ale je wolę, sto razy wolę te kłamstwa na obrazie, niż dagierotypowaną prawdę.

Proba dotknięcia, także pędzla Maclisa, zastręguje na wzmiankę.

Był przesąd u Saxonów, że skoro zabójca stanie przy ciele zamordowanej ofiary, rana otworzy się sama, i krwawymi ustami oskarży winowajcę. Wierzono, że tym sposobem dojść można sprawcy każdego mordu. Przyprawiano więc do trupa tych, na których padało podejrzenie zabójstwa, i kazano się go dotykać. Probom takim towarzyszyły modły i różne religijne obrzędy, które dodawały im solenności i zgrozy tak wielkiej, że chyba tylko bardzo zatwardziały zbrodzień mógł w obec nich się nie zdradzić, choć się rana trupa nie otworzyła.

Taki obrządek przedstawił pan Maclise na swym obrazie. Tło jego zajmuje ołtarz okryty bogato haftowaną kapą, na nim stoi krzyż i palą się gromnice.

Przed ołtarzem na tapczanie leży długi, zastygły trup młodzieńca; całun okrywa go do połowy, widać tylko twarz, rękę i piersi, na których blisko serca widna wążka rana od sztyletu, który mu śmierć zadał. Nad głową młodzieńca schyla się siwo-brody zakonnik, szepcząc modlitwy; u nóg zabitego niewiasta w żałobie wyciąga ręce ku niebu, jakby pomsty jego wzywała. Troje małych dzieci zapewne zabitego, chowają przełęcznione główki w szatę piastunki. Zabójca zbliża się z widocznym wstrętem: śmiertelnie bladą twarz i obłąkane oczy zwrócił ku zabitemu... walka wewnętrzna całą postać jego gnie konwulsyjnie.... na lica wybiła nienawiść wraz z przesadną obawą.... strach kroplami zimnego potu wystąpił mu na czoło, wzrok wlepił w ranę i patrzy, rychło z niej purpurowy strumień oskarżenia wytryśnie. Każdy ruch zbrodniarza śledzi tłum ciekawy.

Tu i owdzie rozsiane grupy ubóstwa w łachmanach, stare baby o kiju, co jedną ręką machinalnie liczą różaniec, a drugą wyschłą i drżącą po jałmużnę wyciągają, dziady o szczudłach, połamane wiekiem, z czaszką nagą, jak wosk wyżółkłą, nadzwyczaj dramatycznie poustawiane, dowodzą, iż artysta do wysokiego stopnia posiada znajomość gestów, fizonomii, i anatomią ciała ludzkiego. Ale koloryt obrazu jest tak dziwaczny, tak genialnie angielski, że oswoić się z nim trudno. Oko natrafia co chwila na jakąś gammę fałszywych kolorów, dostrzega światła, cienie i przezroczystości, którym podobne chyba Faust widział w Walpurgennacht tańcząc z czarownicami.

Mimo to, a może właśnie dla swój fantastyczności, Maclise wielu znajduje zwolenników. Francuzcy znawcy chwalą go niezmiernie, jakkolwiek przyznają, że na pierwszy rzut oka razi; dopiero wpatrując się w jego obrazy, cudzoziemski artysta odkrywa w nich cudowne piękności. Że jednak modą jest teraz we Francji chwalić bez wyjątku wszystko co angielskie, przeto i w tym razie na francuzkiem zdaniu polegać nie można. Co do nas, patrząc bezstronnie wyznajemy otwarcie, że nawet fantastyczność szkoły niemieckiej nieskończenie wyższą nam się wydaje, pod względem zaś kolorytu wolimy francuzką. Wyższość angielskiej nad temi dwoma, stanowi głęboka znajomość anatomii,

w czém Anglicy najwięcej podobno z nowożytnych do starój szkoły rzymskiej się zbliżyli.

Pod tym względem za wzór stawić można ogromny obraz pana Ansdell: zabijacza wilków; surowa energia téj kompozycyi, nadzwyczajna pewność rysunku, szorstkie a śmiałe rzuty pędzla w rodzaju Michała Anioła, nic do życzenia nie pozostawiają.

Na pierwszym planie człowiek herkulesowój budowy, obnażony do pasa, wywija zakrwawionym toporem pośród wyjącej gromady wilków, które skaczą nań, spadają, odbiegają, i znów powracają do walki z podwojoną wściekłością, wlokąc zakrwawione wnętrzości i poszarpaną skórę.

Zabijacz stoi tyłem do widzów: plecy jego podrapane okropnie wilczemi pazury, pokrywa siatka natężonych muskułów; łopatki mocno wygięte, głowa na potężnym karku w tył podana, ręce pokratowane nabiegłemi żyłami, cała postawa przeraża zapamiętałością. Widząc to uosobienie siły i męztwa, nie wątpisz, że człowiek zwycięży, ale walka będzie długa i zażarta. Wilki niemniej doskonale narysowane, godne są nietylko saksońskiego topora, ale strzał ze srebrnego łuku Apollina.

(Dalszy ciąg w przysłym numerze).

III.

Wiadomości naukowe i literackie.

Do szeregu bardzo licznych zastosowań maszyny parowój, należy policzyć nową jój aplikacją do gaszenia pożarów. Gazowa pompa Filippsa niemało dodała blasku wystawie londyńskiej; wszakże praktyka, ta najlepsza miara skuteczności wynalazków, nie uświęciła jój aprobachją. Oddawna wyprobowana użyteczność maszyny parowój przy dobywaniu wody z kopalni, lub przy udzielaniu ciśnienia wodotryskom, świadczy, że nowe jój użycie nie napotka trudności. Proba robiona w Paryżu taki dała rezultat: w pięć minut po rozniecieniu ognia na ognisku maszyny, było już w kotle dosyć pary, aby w ruch wprowadzić pompę,

która podczas działania zasycza wodą maszynę. W dieście minut wszystkie jej części były już w ruchu, wciągając wielką obfitość wody z przyległej studni; w dziewiętnaście minut już pompa maszyny wyrzucała z ogromną siłą strumienie wody przez dwu-calowe otwory rurek. Składając sześć wytrysków wody w jeden szeroki na półtora cala, można było osiągnąć na odległość 224 stóp. Sikawka taka wyrzuca na minutę 26 beczek wody, a w razie potrzeby w 12½ minut może zacząć funkcjonować.

— Niedogodności zapatek tak zwanych chemicznych nie ograniczają się na tém, że przy nieostrożności zagrażają ogniem lub otruciem, ale jeszcze powodują próchnienie kości, a osobliwie szczęki u robotników tym wyrobem trudniących się. Ludzie ci tak są przeniknieni fosforem, że nawet poza domem pracy oddech ich jest świecący. Z tego względu w niektórych krajach chciano przeszkodzić użyciu zapatek chemicznych, ale na próżno. Dziś nawet dzikie plemiona środkowej Afryki zapewne nie używają innego sposobu rozniecania ognia.

Niezaprzeczenie dogodny użytek zapatek nie pozwalając ich zaniechać, nakazuje przynajmniej poszukiwanie sposobów, któreby zaradziły fatalnemu wpływowi ich fabrykacyi, bo we Francyi samój jest kilka tysięcy ludzi do ich wyrobu użytych, a sam Paryż ma przeszło pięćdziesiąt tego rodzaju warsztatów. Otóż dzięki biegłemu chemikowi panu Schrotter, kilkanaście, może kilkadziesiąt tysięcy ludzi w Europie nie będzie potrzebowało za nędzną zapłatę targać sobie zdrowia w sposób najdotkliwszy.

Fosfor, w naczyniu zamkniętém wystawiony przez kilka dni na temperaturę bliską punktu warzenia (fosforu), zmienia zupełnie własności fizyczne, nie tracąc chemicznych. Był miękkim jak wosk; staje się twardy i pękający jak siarka. Był bezbarwny; zmienia się na ciemno-czerwony i staje się nieprzezroczysty. Topił się przy 40° ciepła; teraz potrzebuje 280°. Przy zwyczajnej temperaturze, mocny odór wydzielał; teraz bezwonny nawet przy wysokiej temperaturze. Zapalał się także przy bardzo niskiej temperaturze; teraz rozplamienia się dopiero przy 150°. Rozpuszczał się w oli-

wach, w alkaliach, w sokach żołądkowych; przez tę procedurę traci tę niebezpieczną własność.

Słowem, fizycznie biorąc, zmienia się w inne ciało, w fosfor czerwony, zwany także niezapałnym, chociaż chemicznie zachowuje wszystkie przymioty zwyczajnemu fosforowi właściwe. Nic nie tracąc na użyteczności, staje się nieszkodliwym przy wyrobie ciał w których skład wchodzi, a w szczególności przy fabrykacji zapalek.

Jeźliby przeciwna wszelkim odmianom rutyna, a zwłaszcza chęć uniknięcia kosztów nowej operacji gotowania fosforu, nie były zdolne skłonić fabrykantów do jego użycia: to konsumenci chętnie pewnie przyjmą drobiazgową podwyżkę w cenie tego artykułu, a policja lekarska czynnej interwencji dołoży.

— W literaturze nic prawie nowego nie pojawiło się, prócz kilku waudevillów niewartych wzmianki, i arcy nudnego dramatu sążnistych rozmiarów: *Les Carrieres de Montmartre*, w pięciu aktach i ośmiu obrazach. Literaci oglądają wystawę, lub politykują, nie piszą a przynajmniej nie drukują nic. W księgarniach widzisz tylko katalogi wystawy urzędowe, illustrowane i nieillustrowane, wielkie, małe, detaliczne i niedetaliczne; ale sprawozdań z niej krytycznych i rozbiorowych dotąd prawie nie ma.

W ogóle otwarcie wystawy niebardzo natchnęło dziennikarzy francuzkich. Pierwsze sprawozdania nie zalecają się ani głębością, ani stylem. Są to po większej części jakby protokoły urzędowe ceremonii, przeplatane tu i owdzie oklepanemi formułkami o zlanu się ludów drogą powszechnego zbratania interesów, i t. d. Otwarcie londyńskiej wystawy daleko świetniej obchodziło dziennikarstwo tutejsze; każdy prawie dziennik wysłał do Londynu utalentowanego sprawozdawcę, który mniej więcej poetycznie lub praktycznie ją opisywał. Prawda, że wykonanie tejże samej myśli w Paryżu w tak zbliżonej epoce, odejmuje jój urok nowości; przecież Francuzi co umieją tak pięknie mówić o niczym, o swojej wystawie powinni mieć wiele do powiedzenia. Dotąd jednak nie rozgadali się, jak twierdzą, z powodu że wystawa jeszcze nieuporządkowana.

— W *Revue Contemporaine* z 15 maja był umieszczony przekład Sonetów krymskich przez hrabiego Rogiera Raczyńskiego. Przetłumaczone na francuzki język piękną prozą, wydają się nadspodziewanie dobrze. Pierwszy to zapewne przekład poezji polskiej, który dać może o niej wyobrażenie cudzoziemcom.

— Trupa aktorów przybyła z Turynu, odgrywa dramata włoskie, korzystając z feryi włoskich śpiewaków. Włoska Rachel, pani Ristori, występuje w roli Franceski da Rimini; ma to być artystka niepospolitych zdolności: wszyscy jednozgodnie oddają jej tu największe pochwały. Najlepszym dowodem jej talentu, sztuka z jaką umiała podnieść rolę Francezki, której obraz tak promieniście przez Danta narysowany, prawie zatart Silvio Pellico, obmywając pokutnicę z winy i przekleństwa, jakim ją uwiecznił autor Boskiej Komedyi. Po Francesce grać mają Mirrę Wiktora Alfieri, który w literaturze włoskiej jest przeciwstawieniem słodkiego i białego Pellica.

Spodziewana trupa angielska złożona z 70u osób, ma także dawać reprezentacye w teatrze Vantadour, który przez lato stanie się teatrem kasmopolitycznym. Anglicy grać mają tylko Szekspira; szereg reprezentacyi rozpocząłby *Macbeth*, *Król Lear*, *Burza* i *Timon Ateński*. Jeżeli jaka sztuka, to pewnie dramatyczna najwięcej skorzysta z tej wystawy dramatów wszystkich narodów; wystawa sztuki dramatycznej kompletuje powszechną, i śmiało można powiedzieć, że Paryż jest obecnie encyklopedyą geniuszu ludzkości.



Wyjątek z rękopismu

POD NAPISEM:

WPLYW KOBIET

NA DUCHOWY ROZWÓJ CZŁOWIECZEŃSTWA.

PRZEZ

Sabinę z G. G.

Postęp, jak go rozumiemy musi być wszechstronnym, bo inaczej nie byłby postępem. Czysto umniczy i umysłowy dąży do czasów cywilizacji pogańskiej, a zatem do zwrotu; czysto duchowy do zabobonów i ciemnoty, bo jak umysł, tak i duch ma swoje upory, narowy i sprzeczności. Wiara i światło, prawda i czyn, miłość i poznanie, pospołu rozwinięte, tworzą postępek bądź w jednostce, bądź w powszechności. Aby wyrzec czy który wiek lub pokolenie jest na drodze postępu, potrzeba dobrze zbadać, czy w nim intelligencya nie góruje nad duchem, lub czy duch nie prześcignął intelligencyi: czy oba te czynniki są w całej pełni swojej istoty, a zatem i w przyzwoitej równowadze, albowiem jeżeli myśl Boża zawsze w końcu złe przewycięża, są wszakże okoliczności, które postępek utrudzają i wolniejszym czynią. Tu nas może zapyta czytelnik: co to jest duch, co intelligencya? Czy to nie są dwa objawy jednejże istoty? czy intelligencya w różnych swoich wynikłościach nie jest własnością i objawem du-

cha? Spodziewaliśmy się tego zapytania, i wprost przeciwnie przyjętej rutynie, odpowiadamy, że nie: bo jakże pojąć, aby istota co w nas chce, kocha, wierzy, lituje się i poświęca, miała jednolitą naturę z pierwiastkiem myślącym, pojmującym, tworzącym, poznającym, odgadującym; to jest: władze umysłowe nie mogą być ducha objawem, jak pierwiastek duchowy, nie ma żadnego współnictwa z władzami czysto-umysłowemi.

Wszystkie błędy dawnych i terażniejszych sofistów mają główne źródło w braku umiejętnego rozróżnienia dwóch wcale różnych w człowieku czynników: ducha nieśmiertelnego Stworzonego na obraz i podobieństwo stwórcy, i intelligencji doczesnej, danej nam wraz z ciałem jako czynnik pomocniczy do odbycia doczesnej ziemskiej pielgrzymki przeznaczony. W starożytności Thales filozof, szkoła epikurejczyków i inne; w nowszych czasach Baco, Locke, Condillac, badając istotę człowieka, przyszli do téj konkluzji, że myśl wchodzi w nas przez zmysły, a mimo tego uważali ją jako władzę ducha, zatem ducha umateryalnili. Ich uczniowie i następcy poszli dalej: pominęli ducha lub jego powstanie, nieumiejętnie z władzami intelligencji pomieszczyli; a bliżej wglądając w naturę i obyczaje zwierząt, spostrzegli w niektórych najszlachetniejszych gatunkach tych istot; coś wyższego jak prosty zwierzęcy instynkt, natrafili tu na wyraźny ślad tego, co dotąd mylnie nazywano własnościami duszy, jak myśl, pamięć, poznanie, uwaga; z czego wniesli, że i zwierzęta są w posiadaniu czegoś podobnego do duszy. A że im szło głównie o zbadanie, czy dusza ludzka kwalifikuje się do nieśmiertelności; ich nauka zawsze z sobą zgodna, bo li na zmysłach oparta, tém łatwiej rzecz rozstrzygnęła na korzyść błędu, że wychodząc z najfałszywszej zasady, miała za sobą wszystkie prawdy pozory.

Zjawiała się także w końcu zeszłego stulecia nauka fizjologii, dziś w poczet wyższych umiejętności zaliczona, która rozpadła się na różne odnogi, jak na przykład kranologią, stenologią i inne, ma na celu zbadanie człowieka pod względem przyrodzonych mu zdolności. Dowiodła ona kategorycznie i bardzo umiejętnie ich ścisły stosunek z fizyczną człowieka budową, układem jego nerwów, mięśni, a mianowicie kształtów głowy; podaje nam nawet dokładny, zgodny z tą teorią rysunek czaszek ludzi zdolnych, sławnych, zdobywców, uczonych, artystów, i znów niedołężnych, wariatów, ludzi z słabemi

i ograniczonemi zdolnościami. Z mnogich doświadczeń które robiono, wypływa prosty wniosek: że jeżeli rozum, poznanie, geniusz, talent, myśl, są własnościami ducha, duch nie jest istotą wolną, samodzielną, ale jak one ulega praw konieczności, to jest ślepeму trafowi. Czyż to być może? *Tak jest, odpowie ci uczeń Galla: przypatrz się czasie Napoleona i czasie krety-
na, czasie mężczyzny i czasie kobiety; mierz odległość od
skroni do środka czoła, od zębów do zarostu włosów, i osądź,
czy podobna aby w dwóch tak różnych czaszkach przesiady-
wał duch tenże sam (1)?* A więc duch mój, ta istota wie-
cznie żyjąca, rdzeń i prawda mojego człowieczeństwa, zależy
ma od mniej lub więcej wypukłej, wklęsłej, okrągłej, lub po-
długowatej mojej czaszki.....? Na to straszne bluźnierstwo
powstań duchu mój, zaprotestuj przeciw niemu, boś ty jest
wolnością, samodzielnością, odpowiedzialnością, istotą prost
z niebios, nie mogącą zależeć od prochu i kości!... O wy! co
chcecie wszystko ucieleśnić, boście sami zagrzeźli w błocie zie-
mi, zatrzymajcie sobie dary przydatne do sztuki życia, talent,
geniusz, dowcip, umiętność: mierzcie je sobie łokciem waszój
próżności, krajcie i rozbierajcie nożem waszego cynicznego ma-
teryalizmu; ale precz od mojego ducha, bo on jest moją własno-
ścią, mną samym, dla was niedostępnym, nie ma żadnego współ-
nictwa z waszemi księgami, maszynami i wynalazkami, z czysto-
ziemskimi waszemi przyrządami!....

Aby wyjść z téj ciemnicy błędu, potrzeba rozróżnić
w człowieku dwa czynniki wcale różne między sobą, które zła
wiara, nieumiejętny rozbiór pomieszały, lub fałszywe im źródło
naznaczyły. Oto główne twierdzenie: żadna zdolność, która ma
stosunek z fizyczną człowieka budową, lub którą posiada wraz
z wierzętami lubo w wyższym stopniu, nie jest ducha własnością.
Wiele rozprawiano o duszy, o materji, o władzach umysłowych
i moralnych człowieka; ale zbyt mało dotąd znalazło się mędrców,
którzyby umiejętnie i bez uprzedzenia naznaczyli granice wła-
sności dwóch oddzielnych w człowieku czynników: ducha nie-
śmiertelnego, i inteligencyi doczesnej, tak różnych między sobą,
jak różne są ogień i woda, materja i duch i t. p. Niemcy,
mianowicie zaś Fichte, Hegel, Jean-Paul, Rychter, mieli grun-
towne o tym rozdziele wyobrazenie, a p. B. T. który wśród

(1) Patrz rozprawę pod nazwą: „Prace naukowe B. T. T. i jego
recenzenci” na k. 161. (*Przyp. autor.*)

niezliczonych fałszów, wiele pojedynczych prawd wydrukował, tak wyraża się o swojej jaźni: „Jaźń, mówi on, jest stworzoną wprost i bezpośrednio od Boga, zamieszkuje światową człowieka istotę, jest tchnieniem Bożem w nas, tém, co Grecy zwali tejonem, a scholastycy numenon; tém, co Pismo święte zowie obrazem i podobieństwem Boga, a co Bochwitz rozumie przez objawienie Boże w nas. Każdy jest w rdzeniu swoim jaźnią czyli dziecięciem lub synem Boga, a w światowej i znikomiej korze swojej, dziecięciem lub synem człowieka. Jest to człowiek żywy i umarły, o którym prawi nowy testament.” Dalej jeszcze mówi nasz filozof pedagog: „Gdzie żyje sumienie, tam jaźń żyje. Kto wyzuł się z sumienia, wyzuł się z jaźni swojej, z tchnienia Bożego, w sobie przestał być człowiekiem, a zrobił się zwierzem lub szatanem. Jestto człowiek umarły w bibliczném znaczeniu. Można być pięknym albo nader mądrym, a przecież umarłym, złym człowiekiem. Jaźń jest w nas inną odrębną istotą niż ciało i rozum, niż mięso i myśl czysta.” Ojcowie kościoła i scholastycy, rozróżniali w człowieku te dwa czynniki przez nadanie im nazwy sfery wyższej i sfery niższej ducha. „Sfera niższa, mówi święty Augustyn, a za nim i święty Franciszek Salezy, jest ta, która twierdzenia swoje czyni według nauki i doświadczenia zmysłów. Sfera zaś wyższa, wychodzi z poczucia i samopoznania ducha, i nie opiera się na doświadczeniu zmysłów.” Dalej jeszcze: „Dlatego sfera wyższa nazywa się zwykle częścią spirytualną ducha, jak sfera niższa nazywa się pojęciem zmysłowym według świata (1).” Wsparci tak znakomitą powagą, przystępujemy do naszego twierdzenia, i istotę człowieka dzielimy na trzy główne czynniki: duch, intelligencya, materya. Duch jest rdzeniem, istotą, bytem, rzeczywistém ja w człowieku. Duch żyje żywotem nieśmiertelnym, jest z natury wolny od wszelkiego wpływu zmysłów, gwaru świata zewnętrznego, przenika i poznaje Boga, objawia się niechęcią ziemskich uciech, tęsknotą za innym życiem; duch widzi okiem nie cielesnym, słyszy uszami zamkniętymi, poczuwa się do szlachetnych czynów, do ofiar, poświęceń i powinności, kiedy koło niego wszystko umiera i przetwarza się, kiedy widzi codzien ginące światy na nieba przestworach, a w własnej powłoce zniszczenia pierwiastek; on jeden przeczuwa nieskończo-

(1) *Oeuvres complètes de S. François de Sales traité de l'amour de Dieu*, T. IV, p. 115.

nóść, wzdryga się na samą myśl zniszczenia, i odpycha ją jako anomalią przeciwną prawdzie jego istoty. Duch jest pierwiastkiem wszelkiego dobra; w nim tleje:

1. Sumienie, piérwszy działalności jego objaw.
2. Miłość obejmująca świat i przyciskająca go do piersi swojej.
3. Uczucie piękna, przedświadczenie wiekuistych jego przeznaczeń.
4. Przeświadczenie prawdy, które ją odgadło i dostrzegło wśród bałwochwalstwa ciemnicy. (Sokrates, Plato, Cycero i inni).
5. Niezlomna wola w uczynkach powinności i miłości bliźniego.

Duch jeden czuje dwie wole, i zdolny jest uczynić z nich wybór; on jeden może stanowczo odnieść zwycięstwo nad inteligencją i ciałem, i zniszczyć żądze ich i narowy. On jeden modli się i ma bezpośredni stosunek z Bogiem; on to w gwałtownych burzach i niebezpieczeństwach tego życia, wydobywa z żalem ściśnionej piersi ów tyle powtarzany wykrzyk: mój Boże! jak gdyby dla ulżenia sobie ciężaru i trosk życia. Duch jest bezwarunkowo jednaki w każdym człowieku. Jego własna wola, lub brak religijnego światła, mogą go tylko osłabić, uspić, przytępić, zagłuszyć—nigdy zniszczyć. Główną jego cechą jest uniwersalność. Władca i żebrak, uczony i kmiotek, filozof i żołnierz, stary i młody, mężczyzna i kobieta, mogą być zarówno duchowi, to jest: sprawiedliwi, sumienni, miłujący Boga i bliźniego. Tu wola indywidualna jest wszystkiém. Aby rozbudzić ducha w całej pełni jego istoty, nietrzeba być tém, co po światowemu nazywają wielkim człowiekiem, wynaleźć coś naksztalt prochu, druku, pary, nowój gwiazdy na niebie, nowego systemu filozoficznego na ziemi; nietrzeba mieć nawet bardzo wysokich teoretycznych pojęć o cnocie, poezyi, estetyce; dosyć jest mieć przeświadczenie, a przynajmniej instynktowe pojęcie prawd ogólnych i przyrodzonych, wiarę w życie przyszłe, miłość Boga i bliźniego, sumienne pojęcie swoich powinności. Duch jakkolwiek jest istotą swoją jeduaki w każdej jednostce, nie w każdej wszakże jednako działa siłą w łasnej woli, można go jedynie wprawić w życie i czyn. Duch jest wstanie uspienia, to jest bytu anormalnego:

w dzieciach niemających jeszcze wiedzy o sobie;

w zbrodniarzach, którzy go dobrowolnie przygnębili i zagłuszyli;

w ludziach żyjących w nieustannych uciechach i rozkoszach ciała, w uporze rozumu, niedowiarstwie, ateuszostwie.

Duch także obumiera w ciałach zbiorowych. Naród, wiek, społeczeństwo, państwo, mogą go uśpić w sobie, jak naprzykład ludzkość w czasach przedpotopowych, pogańskich: Rzym cesarski, Polska za Sasów, Francja lipcowa i t. p. Ludzie, którzy go najwięcej rozbudzali są: u starożytnych: Sokrates, Plato, Regulus, Scypionowie; u Hebrajczyków: patryarchowie, prorocy, rodzina Machabeuszów; w chrześcijaństwie wszyscy jego męczennicy i męczenniczki, apostołowie, ojcowie kościoła, święci i święte. Inni także, lubo w odmiennój działalności sferze, jak naprzykład: dziewica Orleańska, nasza Jadwiga, Bayard, Corneille, Bossuet, Fenelon, nasz Hozyusz, Skarga, Kopernik, Newton, Kartezjusz, Leibnitz, Kant.

Z trójcy składającej istotę człowieka, intelligencya jest drugą w rzędzie. Bóg tworząc duchy na obraz i podobieństwo swoje, przyoblekł je w ciało i dał im jako czynnik pomocniczy intelligencyą czyli wszechpoznanie, zdatną tylko do użytku ich ziemskiej pielgrzymki. Tę intelligencyą nabywającą wiedzy o sobie przez doświadczenie i zmysły, uposażył w myśl, loikę, wiedzę, umiejętność, zdatność do jakiegoś fachu, rzemiosła lub nauki, w każdej niemal jednostce odmienną, i tę to różnicę stanowią właściwie życie społeczne i ich nieprzeliczone stosunki. Co tylko pod zmysły podpada i da się uchwycić w teoretyczny system, porównań, rozbioru cyfr i wniosków, jest natury czysto-empirycznej, a zatem objawem intelligencyi. Jest ona zlewem władz umysłowych i zmysłowych człowieka, wynikiem doświadczenia, kształci się i hartuje nauką, jest matką postępu w różnorodnych odnogach wiedzy i sztuki ziemskiego życia. Jak fizycznie różnimy się od zwierząt doskonalszą budową ciała, zmysłami nierównie więcej wykończonemi (1); tak też intelligencya nasza jest natury doskonalszej, ma więcej bystrości, dowcipu, siły, przenikliwości: bo człowiek już przez to samo że jest duchem, więcej spożyje tych pomocniczych darów intelligencyjnych, czyniących go panem stworzenia. Działania intelligencyi w czło-

(1) Jak wiadomo, natura w kompensacie dała zwierzętom instynkt, nierównie silniejszy jak u nas, który zastępuje ten niedostatek władz umysłowych. *Przyp. autor.*

wieku i jój wypadki, mają pewną analogią z zwierzęcą zmysłnością i przebiegłością. Zwierz rozmyśla nad sposobami wyżywienia się i zachowania jestestwa; a jego w tym celu praca i cierpliwość, jego biegłość i kombinacye, wprawiają nas samych w zadumienie. Tak badacz natury wpatrując się w wnętrze ula, podziwia matematyczną dokładność rozmiaru przegródek, w które miododajny robaczek, uzbierane swą pracowitością skarby mieści; tak budowniczy wielbi wykończenie i symetrią domków, które bóbr stawia, chroniąc się od zawiewów północnych wiatrów. Jak ciche i instynktowe działanie tych zwierząt, tak téż początkowe odkrycia i wynalazki człowieka, miały źródło w fizycznych jego potrzebach. Piérwszemi wynalazcami najszczytniejszój z nauk przyrodzonych astronomii, byli pasterze, którzy po biegu ciał niebieskich wróżyli zmianę powietrza i robili postrzeżenia tyle do ich rzemiosła potrzebne. Sztuka lekarska, farmaceutyczna, są dowcipnym wynalazkiem dla ulżenia lub przedłużenia życia; jak strategia i taktyka są przeciwnie najłatwiejszym środkiem pozbycia się go. Znamiona inteligencji są:

1. Rozum oparty na doświadczeniu;
2. Władza empirycznego dochodzenia tajników natury za pomocą pojęć, na wiedzy, doświadczeniu i analizie opartych.

Człowiek jako ciało i intelligencya jest mniej w stosunku do przestrzeni, jak kropla wody w massach oceanu. Słaby, ciemny, ze wszech stron tajemnicą otoczony, rodzi się, żyje i umiera, nie mogąc odgadnąć samego siebie, ani otaczającej go natury; a cokolwiek odkrył z niemałą pracą i móżolem, ściąga się jedynie do jego doczesnych potrzeb. Najrozleglejsze wiadomości nie zdołają mu wytłumaczyć bytu najskromniejszego robaczka, a cóż dopiéro celu i przeznaczeń ogromu wszech świata!.. Co więc, krótka nawet obecność jego na ziemi jest mu surowo obwarowana nieprzepartemi granicami; przeszłość widzi wzrokiem nie swoim, najczęściej mylnym i namiętym, przyszłość jest mu szczelnie zakryta; nie jest nawet panem terażniejszości, która istnieje dla niego w ścisniętej indywidualności i miejscowości sferze. Słowem, można go porównać do cudzoziemca nieświadomego języka i dziejów krajowych, który przypadkowo obecny na piérwszym lepszym polskim dramacie, dajmy na to na tragedyi Felińskiego *Barbara Radziwiłłowna*, słyszy deklamacyą, płacz, narze-

kania; widzi króla w zapasach z sejmem, królową wniesioną umierającą na scenę; podziwia przepych dekoracyi, malownicze przodków naszych ubiory, ogląda nawet na nich z stanowiska znawstwa i sztuki, ale nie rozumie osnowy, nie pojmuje znaczenia wypadków, zgola, widzi, uwielbia, ale nie rozumie. Tak się też ma człowiek-intelligencya do wielkich scen natury. Cóż mu z tego że widzi jej ogrom, piękność, regularność, bogactwo; że po kilkudziesięciu wiekach doświadczenia i pracy doszedł do ścisłego obrachowania ruchu ciał niebieskich; że nie chybi ani minuty w przepowiedni powrotu komet na nasz widnokrąg, zaćmień słońca i księżyca; że z mniej lub więcej zwolnionego biegu planet, odgaduje obecność nieznanego jeszcze ciała w przestrzeni: kiedy cel i znaczenie tych światów są mu niedocieczoną zagadką. Ileż jest innych jeszcze tajemnie w organizmie zwierzęcym i roślinnym, w stosunkach świata duchowego, umysłowego i dziejowego, których nigdy odgadnąć nie zdoła; życie samo nie jestże dla niego nigdy niedocieczoną zagadką? Te miliony fraszek z których się składa, a z których każda jest mu nader ważną, dopóki o niej nie zapomni; te złudzenia, gorycze i troski kończące się śmiercią, która wszystko pochłania; ta renoma nawet do której się uśmiecha, która karmi i napawa jego próżność: czemże się staje?... Po śmierci czas ją pochłania, zostawując zwykle za sobą grobową ciszę, rzadko kiedy marzoną pamięć w potomności, i ta pamięć jeżeli się nadzwyczajnym zjawiskiem przechowa, w lat sto, tysiąc, najwięcej trzy tysiące niknie w odmęcie faktów, lub się przetwarza w mitologiczną bajkę. Owi Jowisze, Herkulesy, byli kiedyś bohaterami, może dobroczyńcami ludzkości, byli powszechnie znani, wielbieni; dziś był ich wątpliwy i do bajecznych należy podać. Ale po co szukać przykładów w głębokiej starożytności, kiedy tuż je zaraz mamy pod ręką?.. Cóż więcej zasługuje na wdzięczność i pamięć potomności, jak wynalazek pary zastosowanej do ruchu? Wszakże wiek, który w swój dumie z wielkich ulepszeń i zmian przez nią dokonanych, nazwał się wiekiem pary, tak mało się jej wynalazcą zajmuje, że dziś niewiele osób wie jego pochodzenie i nazwisko. (1) Takież los spotkał i innych wynalazców i twór-

(1) Siła pary już w końcu XVII stulecia, była znana i doświadczana. Głównie zastosował ją do machin Anglik James, w roku 1784.
Przyp. autor.

ców obecnej cywilizacji. Cóż więc może być marniejszego, mniej trwałego, jak dary geniuszu, dowcipu, przebiegłości, jeżeli niemi cel wyższy, rozleglejszy nie kieruje?

Przeciwnie zaś człowiek duch, wznosi się wysoko, widzi prawdę bezpośrednio, wszystkie tajemnice są mu odgadnione, wytłumaczone; rozumie i przenika byt, świat, wieczność i ich cele; przedziera się do istoty samego Bóstwa, nie lęka się śmierci, w której widzi bramę rzeczywistego życia. W miarę jak pojęcia wchodzą w nas drogą zmysłów, głos ducha ucisza się i słabieje. Ludzie fachowi, oddający się z wyłącznym zamiłowaniem pewnej nauce lub umiejętności, zwykle rozwijają w sobie władze intelligencji z niejaką szkodą ducha. Wielcy poeci i artyści są duchowi, a zatem głęboko uczuciowi, bo głos z niebios, to jest prawdziwe natchnienie, ich słowem, dźwiękiem, pędzlem lub dłutem kieruje. Artysta bez natchnienia nie jest artystą, ale technikiem; sztuka bez uczucia nie jest sztuką, ale kształtem, barwą, zbiegowiskiem linii prostych, krzywych, dźwiękiem bez melodyi, lub słowem bez znaczenia. Prawdziwa sztuka ma najbliższy z światem nadprzyrodzonym stosunek, jest niejako odbiciem się jego na tle czasowości. Intelligencya i ciało pod wielą względami ulegają prawu konieczności; są zatem niezawsze zależne od woli człowieka. I tak: nie jest w jego mocy rodzić się garbatym lub prostym, zdolnym lub upośledzonym, Apollinem lub kretynem, Napoleonem lub Augustkiem. Geniusz, talent, zdolność, są dziełem trafu, a zbyt często niewolnikami świata. Jego instytucye i stosunki są tém dla nich, czém grający na instrumencie muzycznym jest dla dźwięku; bez uderzenia w klawisze lub pociągnięcia smyczkiem, dźwięk byłby milczącym. Tak się téż ma i do wrodzonych człowiekowi darów. Iluż wojowników, uczonych, prawodawców w zarodzie, umiera w cieniu bez wiedzy o sobie, bo im brakło placu boju, książek i uniwersytetów. Cóż to dowodzi?—że intelligencya dla utrzymania życia, potrzebuje podobnie jak ciało czerpać swą karmę z ziemi, bo jak najsilniejsza ludzka i zwierzęca organizacya nie utrzyma się przy życiu bez cielesnego obroku, tak znów najgenialniejszy umysł, nie zdoła nic wymyślić bez nauki. Ale dla korzystania z tej światowej karmy, niedosyc jest *chcieć*, potrzeba jeszcze *módz*: to jest że tak powiem urodzić się matematykiem, chemikiem, archeologiem, literatem, artystą i t. p.; *mieć* okazyą i możność

kształcenia się, naukowe instytuta, potrzebne narzędzia pod ręką, a zbyt często, przyjaciół i protekcyę; co wszystko jest dziełem trafu, a zatem niezawsze zależne od osobistej człowieka woli. Gdyby zdolności umysłowe wchodziły w kategorie władz ducha, duch nie byłby wolnością, ale wrodzonym darem lub dziełem świata. Gdyby intelligencya mniej więcej zdolna, stanowiła człowieczeństwo; ludzie fachowi, naukowi, umiętjni, jedynieby się poszczycić niem mogli, z wyjątkiem prostaczków, kobiet i dzieci, to jest przynajmniej 99 na 100 części ludności, która o uniwersytetach i akademiach ledwie zasłyszć mogła. *Konieczność włada siłami fizycznymi i umysłowemi*, powiedział Humboldt w swoim Kosmosie; i bardzo słusznie, bo czyż nie widzimy i zwierząt nietylko z natury swojej geometrów, budowniczych, śpiewaków, ale sztucznie wyuczonych, umięjących np: czytać, rachować, geografią, chronologią, strategią; zdających do wielu usług, do których się zwykle ludzi używa: jak noszenie listów, skupowanie wiktuałów; zwierząt wreszcie mających wszystkie wady biednej naszej umysłowej natury: samolubstwo, próżność, przebiegłość, podstęp i naśladownictwo. Nie ma śladu w dziejach zmyślności i obyczajów zwierząt, aby te stworzenia były w posiadaniu którejkolwiek z władz ducha. Pies, typ dowcipu i sprytu czworonogów, nie ma w sobie ani uczucia piękna, ani uczucia wstydu, ani samodzielnej woli i sumiennego o złem i dobrem pojęcia. U niego bojaźń kary, przyzwyczajenie, instynkt zachowawczy, sprawują owe fenomena czułości, zręczności i rozumu, które podziwiamy.

Ale jeżeli intelligencya dla przyjścia do pewnego stanu doskonałości, potrzebuje wrodzonych zdolności i sztucznego nabytku; duch przeciwnie, umię bez nauki, pojmuje bez mistrza i czerpie zdroje życia sam w sobie. Jego pouczać nietrzeba co złe a co dobre, zdrożne a godziwe, co fałsz a co prawda: dosyć jest rozbudzić w nim wiekuistej mądrości iskrę, aby go oświecała i przewodniczyła mu w wyborze i rozpoznaniu dróg jego. Ta cicha ale silna ducha działalność, objawia się często w ludziach złych, przewrotnych, a nawet w zbrodniarzach: tak to jest trudno zwalczyć w sobie to *ja* pierwotne i niepokalane, tego nieodstępного sędziego i świadka czynności naszych, który da się uspić, zgwałcić, oszukać, obalamucić, — nigdy zepsuć.

W duchu znajduje się jedynie wartość osobista i zasługa; tu też giną wszelkie światowe różnice, bo sumiennym, moral-

nym, pobożnym i ludzkim każdy być może gdy *chce*, bo w świecie ducha nie idzie o czcze i z dymem ziemskiego życia ulatujące oklaski, ale o rzeczywiste dobro trwające na wieki. Duch sprawia, że człowiek jeden ze wszystkich organicznych jestestw ma dwie wyraźne w sobie wole, które nieustannie z sobą walczą. Kompletne zwycięstwo jednej, co się wszakże rzadko zdarza, sprawia rozkład i dekompozycją człowieczeństwa. W duchu zatem jest nieskończoność czyli rzeczywisty byt, bezwarunkowa równość, bo tu różnice stanowi jedynie osobista wola, wolność, samodzielność, sumienny o złem i dobrem sąd, pojęcie Bóstwa, przeświadczenie wiekuistych człowieczeństwa przeznaczeń. W duchu jest wola czynienia dobrze; co więcej, duch jeden jest tylko prawdziwą wolą obdarzony. W materji i intelligencyi mieszczą się jedynie: ochota, chęć, narów, upor, gusta, żądze:—rzeczywistój, nieprzelamanój woli być nie może.

Kiedyśmy już uczynili, o ile nam pozwoliły treści i szczerze tego pisma ramy, kategoriyczny rozdział władz ducha i zdolności intelligencyi, (mówimy władz ducha, bo duch jako istota czynna, wiedzą o sobie obdarzona, mająca rzeczywisty i wiekuisty byt, ma *władzę*; intelligencya zaś jako czynnik pomocniczy i bierny, może tylko być w posiadaniu *zdolności*, i tak: mówi się zdolność do téj lub owój nauki, téj lub owój sztuki, rzemiosła), kiedyśmy zrobili rozdział tych dwóch w człowieku czynników: wypada nam wrócić do naszego przedmiotu, którym jest oznaczenie prawdziwego postępu i misji wieku, wśród dziejowego pochodzenia ludzkości.

Postęp jest to, jak powiedzieliśmy, myśl Boża przewodnicząca człowieczeństwu na powrotnój drodze jego ostatecznej rehabilitacji. Postęp jest rzeczywisty, kiedy tak w pojedynczych jednostkach, jak w całkowitych społeczeństwach te trzy czynniki; duch, intelligencya, ciało, są w należytej równowadze sił, zdrowia i uprawy, albowiem kształcić ludzkość li duchowo, jest obudzić w niej uczucie nieskończoności, bezwzględnie na stosunki ziemskie, jestto tworzyć ludzi niepraktycznych w tém życiu nader ważném, skoro jest polem nabywania osobistej wartości i zasługi. Uprawiać intelligencyą z ujmą ducha, jestto chcieć mieć wyłącznie społeczeństwo kupców, przemysłowców, techników i uczonych; jestto zrobić z ziemi olbrzymią giełdę, fabrykę lub laboratorium, z ich samolubstwem,

wyjątkowością, lodowatą obojętnością na wszystko co nie pieniądz, narzędzie lub książka. Mieć jedynie pieczę o fizyczném zdrowiu wychowawca, jak chciał autor Emila, jestto chcieć mieć ludzi wprawdzie zdatnych do ręcznej pracy, do dźwigania ciężarów, do rzemiosł, do pługa, ale niezdolnych do uczucia, do myślenia, do duchowej i umysłowej pracy,

Człowiek kompletny, postępowy jest ten, który te wszystkie czynniki należycie w sobie rozwikła, pielęgnuje i utrzymuje w pełni życia i przeznaczenia swojego. Społeczeństwo jako człowiek zbiorowy, ma się w tym samym stosunku do postępowego udoskonalenia. Starożytność nie mogła być postępową, bo uprawiała siły fizyczne i intelligencyą, ze szkodą ducha, jój prawem téż było ślepe fatum, jak u wszystkich narodów niechrześcijańskich, z wyjątkiem żydów. Wieki średnie dały się uprzedzić duchowi bezwzględnie na intelligencyą, co wywołać musiało jako konieczną reakcją, tak zwaną reformę religijną, a w ostatecznym rezultacie, filozofią encyklopedyczną zeszłego stulecia.

Każdy z tych dziejowych okresów miał wszakże ważną do spełnienia missyą: starożytność ze nam dowiodła niezaprzeczenie, czém być może społeczeństwo najdzielniej naukowo wykształcone bez duchowego światła; średniowieczność zaś doprowadzając do wysokiego rozwikłania stopnia pierwiastek chrześcijański, utwierdziła jego panowanie, zespoliła z postępującą cywilizacją i zrobiła go jój filarem i dźwignią. Jaka jest missya trzeciego dziejów okresu, to jest bieżących i następnych czasów? — oto połączyć w sobie, zjednoczyć oba pierwiastki, być tak umysłowo ukształconym, ile starożytni; tyle duchowym i chrześcijańskim, jak wieki średnie. W dzisiejszém społeczeństwie usposobieniu, widzimy, że pierwszy warunek postępowej missyi wieku już jest podobno wykonany, bodajby nie z ujmą drugiego, i na szkodę ludzkości. Dlaczego? bo intelligencya doszedłszy do mety wszechstronnego rozwoju, prześcigła ducha, który wolniejszym postępując krokiem, daleko za nią w tyle pozostał. Przyczyna łatwa do pojęcia. Wiek w pierwszej połowie swojego biegu, musiał odziedziczyć, jako bezpośredni swojego poprzednika spodkobierca, pierwiastki złego, które tamten zbyt skwapliwie nagromadził, a czepiając się kolejno wszystkich fałszów, poznał ich czczość i niedokładność; bo widział się dalej niż kiedykolwiek prawdy.

Zniechęcony, rozdrażniony, wygwizdał zarówno encyklopedystów, materyalistów, pietystów i spirytualnych; porzucił wszelką duchową i moralną uprawę, a rzucił się na łono empiryzmu i czystej praktyki, jął się do uprawy intelligencji, to jest nauk przyrodzonych, technicznych, ścisłych, w których zrobił olbrzymi postęp. Nie było już w nim namiętnego i bezbożnego przeczenia zeszłego stulecia: była podejrzliwa nieufność, głęboka odraza, lodowata obojętność, równie dla prawd duchowych jak dla ich przeciwników. Zeszły wiek wierzył przynajmniej w sztuczne przez siebie wymyślone lub wznowione prawdy; pierwsza bieżącego stulecia połowa, niczemu nie przeczyła, ale też i w nic nie wierzyła: wszakże kierując się więcej zdrowym rozsądkiem niż namiętnościami, w końcu wyrozumowała, jak kiedyś Robespierre, ustanawiając religią de *l'Être suprême*, że ucywilizowane społeczeństwo nie obejdzie się bez Boga i religii; a mając tuż pod ręką chrystyanizm, pozostawiła go w jego dotychczasowej formie, nie troszcząc się bynajmniej gdzie i jak jest wyznawany. Ztąd teologia chrześcijańska była jeszcze wykładana po uniwersytetach, uczono jej się jak języków starożytnych więcej dla formy jak dla pożytecznego zastosowania do życia i przeznaczenia człowieka, w gruncie zaś niewiele o niej myślano, lub jej święte i wiekuiste prawdy tłumaczono sobie krzywo, opacznie, wedle czasowego jednostronnego widzimisię. Nie wiadomo do jakiego stanu zezwierzęcenia ten stan bierny byłby ludzkość doprowadził, gdyby spekulacya niemiecka, czynną a nieustającą w krainach ducha pracą, nie była go jako-tako podniecała i przy życiu utrzymywała. Ależ i dla tej filozofii wybiła niestety godzina, w której miała sama siebie przeżyć, to jest stracić swój właściwy przedmiot dochodzenia Boga i prawdy. Wiadomo bowiem że Leibnitz i Kant, mający głębokie jeszcze o tej prawdzie pojęcie, dla tém gruntowniejszego przelania go w uczniów swoich, zamierzili na wzór starożytnych pogańskich mędrców dojść do wykładu Boga, natury, ducha, stworzenia, bez pośrednictwa objawienia, to jest za pomocą czystego, gołego rozumu. Od nich począwszy, spekulacya niemiecka rozwijając się stopniowo na tej błędnej drodze, i przechodząc kolejno przez różne najsubtelniejsze teorye i systemata, z niepojętą skwapliwością rozwarła pole wszelkim fałszom; a dziś w cynicznej bezbożności,

przesła samych nawet encyklopedystów. Francuzki filozofizm aby zaprzeczyć istnieniu Boga, uwierzył człowieka; dzisiejsi niemieccy mędrcy doszli do negacyi Boga przez ubóstwienie człowieka. „Człowiek, woła Feuerbach, ostatni heglowskiej szkoły przedstawiciel, człowiek jest Bogiem i świata panem; innego nie masz. Jego istota nasz rodzaj, nasz duch jest prawdziwą wszechrzeczy istotą, rzeczywistym jedynym absolutem. Marzenia o innym, niby większym pierwiastkowym absolutie, czyli o tak zwanym zaświatowym Bogu, nie są bynajmniej ani ugruntowaniem, ani zbogaceniem, ani rozszerzeniem filozoficznej prawdy; lecz utworem bezmyślności, życzącej sobie znaleźć bezpośrednio w pojęciu bytu istotę, i znów w pojęciu istoty byt.“ Słowa te cytowane przez jednego z ziomeków naszych, którego zaiste o stronność i pietyzm posądzić nie można, dadzą wyobrażenie o dzisiejszym stanowisku spekulacyi niemieckiej, która, według twierdzenia tegoż filozofa: *jest panteizmem na krawędziach tarpejskiej skały, i gotuje się do skoczenia w przepaść, to jest w ateizm* (1). Słowa te, mówię, dadzą dostateczne wyobra-

(1) Nie od rzeczy tu będzie przytoczyć choć w przypisku cały ten ustęp niezmiernie ciekawy, jako wyszły z pod pióra p. T. dawnego heglowskiej szkoły zwolennika: „Dzisiejsza tak zwana filozofia niemiecka, nie jest filozofią, ale libertyństwem najbezczelniejszym i radykalną polityką. Filozofia prawdziwa wyszła tu ze swego obrębu, to jest ze świętego koła wieczności, i straciła swój przedmiot właściwy—Boga. Dla niej wszystkim stała się czasowość i świat, szczególnież zaś człowiek. Samą też zowie się chętnie antropologią. Atoli było to koniecznym dotychczasowej filozofii następstwem. Filozofia średniowieczna bowiem uznawała Boga li za krańcami świata, i widziała Go li w niebie. Spinoza przeprowadził Boga na ziemię, stopił Go z naturą, ze światem. Szelling pierwszej potęgi rozwinął myśl tę po swojemu, i zrobił się ojcem nowszej filozofii niemieckiej, to jest panteizmu. Bóg więc był niegdyś za światem, później w świecie. Z naszej księgi przekona się publiczność, że są trzy prawdziwości, to jest: Bóg, świat i człowieczeństwo. Bóg stał się przy niemieckim jednostronnym li spirytualnym kierunku duchem ludzkim, panteizm nie skończył się tu bynajmniej, bo duch ludzki nie jest jednostką, lecz również jak dawniej świat ogółem; końcem tego panteizmu będzie uznanie pojedynczego człowieka, to jest samego siebie, za Boga. Tym sposobem wyleje się panteizm w ateizm. *Dzisiejsza filozofia niemiecka jest panteizmem na krawędziach Tarpejskiej skały, i gotuje się wpaść w przepaść.*” Te słowa ze względu na imię i stanowisko ich autora, więcej powiedzą jak całe tomy krytyki. Moznaby tu wszakże przytoczyć panu F... ustęp Ewangelii o belce i źdźble słomy; bo pisząc te ostre acz sprawiedliwe zarzuty, zapomina, że w swoich dawniejszych pismach, a nawet i w Pedagogice, wpada w ten sam błąd, o który tak trafnie i wynownie mistrzów swoich Niemców obwinia. Czemuż jest bowiem owa słynna formuła, *bezwzględna różnorodnia*, którą się ziomek nasz od panteuszostwa zasłonić pragnie, jeżeli nie ukrytym panteuszostwem? Oto jest początek tej formuły. Szelling, jak wiadomo,

zenie w co się przeistoczyła owa najszczytniejsza filozofia, jaka od starożytności istnieć mogła. Zaprawdę, czytając niektóre jej ustępy, zda się, że czytasz płytkie doklamacje francuzkiego socjalizmu. Wszędzie człowiek z swojemi ułomnościami i ma-luczkością ubóstwiony, jego zwierzęce namiętności wyidealizowane, wszędzie doczesność głównym celem; a Boga, cnoty, wieczności, nigdzie nie znajdziesz. Jakkolwiek dzisiejszego tej filozofii stanowiska przeciwnicy, nie możemy ją tu bezwarunkowo o złą wiarę, jak na przykład encyklopedystów i socyalistów oskarżać. Jest ona racjonalną wynikłością owego pierwotnego założenia poznania i dowodzenia Bóstwa rozumem. Czyż pierwsza wpadła w te rozliczne szaleństwa, o które ją tak sprawiedliwie obwiniamy? Wszystkie jej siostrzyce dawne i późniejsze, hrną w tych samych błędach, niepewnościach i umysłowych aberracyach. Dlaczego? Bo niemożliwość poznania Boga na tej drodze, leży w samej naturze rozpoznać się mającego przedmiotu. Bóg jest duchem czystym, niemogącym się umysłowo i zmysłowo pojąć. Rozum, który się opiera na doświadczeniu, na zmysłach, nie może objąć istoty, którą zbadać pragnie: dlatego jakkolwiek daje o nim definicyą, musi go zawsze w zmysłową przyodziać szatę. Ztąd dziwne naj-słynniejszych filozofów o Bóstwie zdania. I tak: Plato wyobrażał go sobie w formie sferycznej jako najdoskonalszej z geometrycznych kształtów. Pytagoras utrzymuje, że Bóg jest duch

w pierwszym swojej filozoficznej karyery okresie, uważał był naturę w jej całości i szczegółach, za Boga; ucząc, że Stwórca i stworzenie są w bezwzględnej jedni. Pan T. który sobie założył ratować w oczach niemieckich swych kolegów osobistość Boga i osobistość człowieka, dodał do formuły berlińskiego filozofa bezwzględna jednia, słoworóżna; ztąd powstała bezwzględna różnojednia. Ta subtelna różnica oparta na dwuzgłoskowym wyrazie, nie zasłoniła mędrca polskiego od zarzutu panteuszostwa. Sam sobie przyznaje ten pozór w końcu czwartego tomu *Pedagogiki*; sam czuje że nie będzie mu snadno wyjść z trudnego położenia, w którym go położyły dwie sprzeczne bardzo dążności, wzajem go sobie wydzierające: nawyknieme do niemieckich subtelności, i polski rodzimy instykt, nachylający go do uznania chrześcijańskiego Boga osobistego i zaświatowego, i indywidualności człowieka, jako obraz tegoż Boga stworzonego. W ostatnich dziełach p. T., zdaje się, że ta ostatnia dążność przemogła. Żeby przyjść do tak prostej konkluzji, niewarto było przez lat przeszło dziesięć obalamować publiczność polską, niemieckimi definicyami bóstwa i człowieczeństwa, które p. T. jako exotyczną roślinę wprowadzić zamierzył na niwę umysłową kraju naszego. Jakkolwiek zrobił się później krytykiem Niemców, jego filozofia, tak zwana przez twórcę swojego oryginalną, nie jest niczem innem, tylko heglowskiej filozofii odnogą, w barwę i nomenklaturę naszej mowy przybraną. *Przyp. uut.*

powszechny, zmieszany i zjednoczony ze światem zmysłowym. Dla Thalesa, Bóg jest zjednoczony z wodą, jako z ciałem, bez którego nie mógłby działać na inne ciała. Sam Arystoteles gubi się w najdziwniejszych domysłach: to widzi Boga w duchu powszechnym świata; to w samym wszechświecie; to znów oprócz Boga-ducha i Boga-natury, widzi jeszcze najwyższą istotę przewodniczącą Bogu-duchowi i Bogu-naturze (1). A cóż dopiero powiedzieć o późniejszych systematach, na przykład dwóch ostatnich wieków, które pamięć o Nim i wyobrażenie w zupełnej negacji lub w panteizmie zagubiły? Zastanawiając się gruntośnie nad tą niedołężnością rozumu w poznaniu swojego Stwórcy, jeżeli będziemy w szcerości i prawdzie, nietrudno nam dojść do jęj właściwej przyczyny. Chcieć pojąć Boga, ducha czy-stego, gołym rozumem: jest to samo, co chcieć rysować nogami, a tańcować na głowie. Duch, ducha jedynie pojąć zdolny.

Intelligencya jako czysto ziemski czynnik, poznaje jedynie to, co oczami cielesnemi widzi i liczebnie wyłoży: że słońce świeci, że dwa a dwa są cztery; dalej staje się ślepym chcącym sądzić o kolorach, i wpada w sceptycyzm, ateuszostwo i różnego rodzaju umysłowe szaleństwo. Gdyby mądrość ludzka zamiast uzmysłowienia sobie na wzór religij pogańskich, bóstwa; starała się była wyrobić w sobie wiarę i pojęcie prawd pierwotnych i z ich stanowiska spoglądała na Boga, świat i ludzkość: byłaby niewątpliwie odgadła kamień filozoficzny naszej po tej ziemi piel-grzymki. Ależ powie fanatyczny samowolnej wiedzy zwolennik, filozofia nie jest objawieniem, ale nauką; jęj rzeczą nie religia, nie wiara, ale śmiały, bezwzględny racjonalny na doświadczeniu i loice oparty rozbiór. Innęj zasady brać nie może, boby sama sobie kłamała. Na ten zarzut odpowiemy niżej, gdy nam wypadnie mówić o wierze, dowodząc, że wiara sama przez się nie-tylko jest koniecznością z natury człowieka wypływającą, ale że sama wiedza w swoich postępkach na wierze w przyrobki przeszłości opierać się zwykła. Tu tylko powiemy, że metoda przez samodzielne filozofie wszystkich czasów przyjęta, nie może być pewna, skoro po tysiącach lat badań, obserwacji i wnio-sków, nic nam stanowczego o Bóstwie, jęgo naturze i przeznaczeniu człowieka nie przyniosła. Ależ jakże dojść do prawdy, jeżeli nie przez poszukiwanie i analizy? Tak zaiste, ale prawdy

(1) Wyjęte z dialogów Cyclerona.

trzeba szukać, nie tworzyć. Niech nam tu będzie wolno uczynić jedno porównanie. Kopernik skutkiem trzydziestoletniej pracy, odkrył prawdziwy mechaniki niebieskiej układ, i położył zasadę dzisiejszej astronomii. Gdyby następcy tego wielkiego człowieka miasto dalszego jego systematu rozwijania, byli czas marnowali na czczych i subtelnym przeczeniach: nietylko nie byłiby posunęli nauki do stopnia rozwoju, na którym ją dziś widzimy, ale byłiby pomału doszli do jej upadku i zapomnienia. Owóż gdyby mądrość ludzka trzymając się niezmiennie pierwotnego prawa natury, była jak dzisiejsza astronomia cyrkulowała koło jednego systemu, jedności i osobistości Boga i człowieka, byłaby się stała cudotwórczą. Mamy tego dowód na starożytnych mędrkach: im który stał bliżej tego prawa, jak na przykład Sokrates, Plato, Cyzero, tém bliżej był prawdy, tém się więcej zagłębiał w jej niepojęte i wiekuiste tajemnice. Daleka jest od nas myśl ograniczenia w czémkolwiek prawa rozbioru, jest ono nieodstępny każdą myślącej istoty przywilejem; ale chcielibyśmy go zrobić wszechstronnym, to jest zarówno ulegającym wspólnemu ducha i intelligencyi, to jest wiary i rozumu działaniu. W gruncie rzeczy o co idzie? o zbadanie prawdy absolutnej. Co jest prawdą absolutną?—prawda, która się nie zmienia ani dziś, ani jutro, która nie może zależeć ani od wieków kolei, ani od ducha czasu; która jest niezmiennie jedna i ta sama, bo gdyby była nią dziś, a przestała być jutro, nie byłaby prawdą absolutną. Prawdą absolutną jest na przykład: że Bóg jest jeden, osobisty, nieskończony, niemający ani początku ani końca; aby mieć tę wiarę, mamy nietylko objawienie, ale powszechne wszystkich czasów, ludów i religij przyzwolenie, co więcej, arcyracjonalny pewnik, mamy naturę człowieka. Gdzież jest człowiek fałszywemi systematami nie obalamucony, któryby go zewnątrz siebie nie szukał, wyżej od siebie nie cenil i nie kochał, do którego by się nie modlił?... Ta potrzeba wiary w coś i kogoś tak jest nierozdzielną natury ludzkiej własnością, że jeżeli skutkiem przewrotu pierwotnych o Bóstwie wyobrażeń, ta wiara niezawsze się stosuje do wszechrzeczy Pana i Stwórcy, ucieka się do innych niezawsze godnych jej czci przedmiotów. I tak, że już nie wspomnimy czasów pogańskich, gdzie ludzkość kolejno czciła słońce, księżyc, zwierzęta, rośliny, czyż ją dziś jeszcze nie widzimy zaprzątniętą w przedmiotach innego wprawdzie rodzaju, ale którym swą cześć i wiarę poświęciła. I tak, gdy przestaje wie-

rzyć w Boga, wierzy w człowieka, w system, zasadę, w jakąś upodobaną sobie ideę, która wiarę praojców zastępuje, choćby nie miała w sobie odpowiednich warunków dla rozumu, przez który niby odrzucamy przeciwne mu objawienia tajemnice. Weźmy każdą jednostkę, każdy wiek i stan z osobna, a przekonamy się, że wiara bezwarunkowa jest podstawą wszelkiego moralnego a nawet umysłowego życia. Młodzian wierzy w nieomylność szkolnego mistrza, dalej w siebie, ludzi, w nieomylność swojej epoki. W późniejszym wieku dałby się ubić za system naukowy, polityczny, filozoficzny, który sobie obrał. Wojskowy wierzy w honor i nieomylną sławę swojego pułku; socjalista francuzki w świętość zasad Proudhona; bursz niemiecki w absolut Szellinga, Heglowską ideę, jaźń Fichtego. Skoro zatem wiara jest nieodstępną istoty człowieka koniecznością, rzeczą filozofii, jako najwyższej praktycznej mądrości jest, dać jej dobry kierunek, nie zniechęcać bezwarunkowem przeczeniem, ale utrzymywać w granicach odwiecznej prawdy i rzeczywistości: zgola chronić ludzkość od dwóch równie szkodliwych przeciwieństw:—niedowiarstwa i zabobonu. O ile nam się zdaje, mądrość ludzka unikając wpływu tak zwanych pierwotnych mniemań, nie rozeznała dobrze istoty wiary i istoty rozumu, oraz ich zobopólnych granic. Wiara nie jest zabobonnem poleganiem na cudzem widzimisę, machinalnem przyzwoleniem na jakieś odwieczne, nałogowe wyobrażenia; wiara jest poczuciem się w nas ducha nieśmiertelnego, i prowadzi do poznania prawdy absolutnej, jak rozum cudzemi teoryjami nieoszolomiony jest drogim niebios darem, na ślizkiej życia drodze przewodniczącym. Wiara i rozum tak jak duch i intelligencya od których mają pochodzenie, powinny być nierozdzielniemi w człowieku działaczami. Wiara bez kryterium rozumu, przeobraza się w fanatyzm, a jej koniecznem następstwem jest ciemnota, zabobon i przesąd. Rozum wiarą niewsparty wpada w zagorzałość i bezwarunkowe przeczenie. Rozum bez wiary jest formalistą: odpycha prawdę, aby gonić za prawdopodobieństwami, buduje na piasku, opiera się na wątej hipotez i domysłów podstawie. Szuka wielkich efektów, oryginalnych pomysłów, błyskotek myśli i stylu. W filozofii samodzielnej, rozum chwytta się ostateczności, kolejno robi się Bogiem lub zwierzem, to jest uczniem starego libertyna Holbacha, lub nowomodnego Feuerbacha. Wiara samopas idąca woła: porzuć świat i jego

mamonę, rozbudź w sobie uczucie i przeświadczenie wieczności, żyj wyłącznie dla niej; gdy tę niwę uprawiasz, pracujesz dla nieskończoności: wszystko inne nicością i urojeniem. Rozum znów: nie wierz w nic, czego nie zobaczysz i nie dotkniesz się pięcioma twojemi zmysłami, czego ci własne doświadczenie nie poda i nie wyłoży. Po co ci to bujanie w niezmierzonej ulud i marzeń krainie? Życie to grunt, to prawda: innej nie masz. Uchwycić życie w biegu jego, kieruj nim i obracaj, wyciskaj jak z cytryny cokolwiek ci dać może rozkoszy i swobody, o resztę nie pytaj. Nie tak rozprawia rozum w połączeniu z wiarą; on wie że to życie jest początkiem nie końcem człowieka, że jest bojowem polem, na którym się wazą jego wieczne przeznaczenia; że zatem ma wysoką wartość, ważne dla ludzkości zadanie. Ależ powie nie jeden może czytelnik: czyż rozum i wiara nie są dwiema ostatecznościami, jak ogień i woda? Jak tu zespolić dwa różne pierwiastki, dwa przeciwieństwa? Czyż duch i ciało nie idą w nierozdzielnej parze, czy w prawach fizycznych kwasoród z saletrorodem nie są w najściślejszém połączeniu; czy cała natura nie jest czém inném, jak najróżnorodniejszych części i żywiołów komplikacją?

(Dokończenie nastąpi).



KRONIKA LITERACKA.

Ostatni z Nieczujów. Powieści Zygmunta Kaczkowskiego. 6 tomów. Petersburg i Mohulew, nakład B. M. Wolffa. 1855.

Zycie jednostek i ludów tak rozstrzelone w swój dążności, tak rozerwane w swojej myśli, i gubiące się nieraz wśród marnych zabiegów materyalnej doczesności, nie jest jednakże próżnym głębszej duchowej treści, znaczenia wyższego, moralnego. Na dnie bowiem wszelkiej ludzkiej działalności, jak i w gruncie wszech stworzenia, spoczywa myśl Boża. Onato składa harmonią w naturze, a światu umysłowemu przyświeca jakby troistą konstellacją, z przymierza idei prawdy, piękna i dobra złożoną.

Bywają wprawdzie epoki, a taką może jest nasza, w których duch czasu kołysany szaleńcem namiętności, lub porwany w kierunku zmysłowym, przeistacza w przeświadczeniu prawdę na interes, piękno na pożytek, dobro na wygodę lub uciechę. Wówczas ludzkość upodoba sobie w sferze materyalnej, przenosi do niej cały swój żywot umysłowy, piętnem materjalizmu naznacza wyższość towarzyską, godność zasługi, wartość pracy, i nadaje materyalną cenę miłości i poświęceniu. Jednak i wtenczas pomimo téj śmiertelnej dla ducha burzy zmysłowości i zwątpienia, schrania się w głębiach myśli człowieczej wiara, to sanctus sanctorum prawdy, a w sercu tleje pomimo ponęt samolubstwa miłość, ten rdzeń dobra, ten ogień wiekuistego życia. Ożywiona i podniesiona tchnieniem tych dwóch potęg wiary i miłości, wyobraźnia wznosi się w te sfery ducha, w tę dziedzinę twórczości i natchnienia, z kąd płynie dla niej i urok poezji i kształty piękna.

Nietrudno wprawdzie mistrzom myśli artystycznej swojego czasu sięgnąć na te wyżyny, nietrudno im złożyć hołd

zapału w świątyni prawdy i dobra, i idea! piękna zapalić twórczość swojego ducha. Ale zawsze zimny powiew wyobrażeń i upodobań czasu potrąci o myśli w niekazitelnosci ducha poczęte, i oto utwor jakby mimowoli wyradza się pod piórem autora. Tu Garbaty wywołując uczucie w Urszuli tylko bogactwem swoim, sam się uzdalnia do poświęcenia mocą uroku artystycznego piękna: tam w Diable, Michała niewiara wpojona przez babkę, nie gorzka próba cierpień i doświadczeń, nie czysta miłość Anny, ale tylko wykup Gruszy przez nią dopełniony i opieka Ojca Spirydyona zwracają na drogę lepszego życia. W Powieści bez tytułu, Szarski ustępuje z tego świata, sam, opuszczony, niepoznany. Ani wielkość jego duszy i miłości potęga, ani moc zapału i twórczości siła, ani ogrom pracy nie zdobyły mu szczęścia, nie zjednały świata, Sary! Patrz, jaka tu wszędzie prawda, jaka rzeczywistość; ale razem jaki zda się być rozstęp między twórcą i autorem a obrazem, między duchem poczynającym w swoim łonie, a jego dziełem sztuki. Pomimo genialnej siły twórców, jakiś niezbadany rozłam udzielił się i zachwyconym duszom czytelników. Zachwyt ich był wielki, błogi, ale bawładny, bo w ich uczuciach walka, a ich duch rozłamany!

Jako chory tknięty nieczułością pewnych organów, potrzebuje gwałownego wzruszenia, aby odzyskać utraconą działalność; tak podobnego lekarstwa potrzebowało nasze społeczeństwo oderwane od swojej przeszłości, obojętne dla rodzinnej tradycyi, nieczułe już na urok poezyi, jaśniejącej w mionem życiu przodków, a coraz więcej upodobające sobie w obcych zwyczajach i wyobrażeniach. Gieniusz ludów stojących na czele cywilizacyi, zaspokojony w zasadniczych warunkach bytu, utworzył sobie pewne zwyczaje i upodobania, jako grę kolorów, jako cień wielkiego światła, jako igraszkę życia, zkadina poważnego. Co tam było cieniem, grą, igraszką lub ujemnym warunkiem bytu, myśmy przyjęli za zasadę, treść i istotę. Jakże więc nie miało temu, na wielką lichwę pozyczonemu życiu, zabraknąć wyższego duchowego znaczenia i głębszej, żywotnej treści. I zaiste, zabrakło! Poczawszy ten brak tak w utworach idealizujących obecne społeczeństwo, jako i w tych, które wypłynęły z naśladownictwa obczyzny, myśl poważniejsza zwróciła się do przeszłości. Wsparła ten zwrot niepomału i tradycya historycznej szkoły, przechowująca się w literaturze; szkoły, którą gwałt przez bohatera tego wieku dopełniony i wywracające historyczny porządek idee, do zamilowanego uprawiania niwy przeszłości prowadziły, usposabiały do tęsknego powrotu do przeszłości.

Do przeszłości! Czemże jest ta przeszłość, ów talizman tyłu marzących umysłów, tyłu głów myślących! Nie jest to

ona często przepowiednią dnia dzisiejszego. Czém dzisiaj? Wspomnieniem wczora, a zadatkim jutra.

Tylko duch złego kusząc rozum uludnym urokiem obczyzny, zamąca sumienie narodowe i sący do żył jad samolubstwa. Napojony tym jadem, uwiedziony owym urokiem, potomek stoi sród pustyni życia jako głaz odpadły od świetnej budowy, jasniejącej tysiącem arhitektonicznych piękności: głaz dziś mchem porośły i chwastem okryty. Niedziw, że jego wyobrażenia o własnej przeszłości są mylne, lub uprzedzające. Z jednego faktu wyprowadza on całą naukę wniosków politycznych nie odgadnąwszy jego natury, nie pojąwszy go w związku organicznym z całym społeczeństwem i jego duchem. Podług obecnych potrzeb lub na wzór plodów, które obca cywilizacya w męczeńskich bolach, dla wątpliwego życia z chorobliwych wnętrzności swoich wydała, sądzi on o wartości minionego politycznego lub społecznego życia swojego kraju. Niedziw także zatém, że w obec takich sądów, postaci przeszłości uchylają się w głąb swojej wiekowej ciszy. Milczeniem odpowiadają na zaklęcia zabląkanych w jój dziedzinę z widoków pisarstwa, lub zaprzędania obcym jój teoryom.

Jakże szczęśliwy ten, komu ona otworzyła swoje świątynią, komu wypowiedziała swą tajemnicę! Stokroć szczęśliwszy kto ją tak ukochał, iż się w nią wczuł, gdyż pod jego piórem przemówi ona do nas, jakby z ust żyjącego swego bohatera.

Najslawniejszy dotąd historyczny nasz powieściopisarz kreślił nam tę przeszłość, jako na historyczności osnuty obraz własnych teoryi i wyobrażeń, stawających nieraz w sprzeczności z zasadniczą treścią organizacyi społecznej i ducha narodowego. Wybierał bohaterów z żywiołów, które wkraczały do dziedziny politycznego i towarzyskiego życia jako ujemne, obce, niszczące dodatnią zasadę organizacyi narodowej; widział przeczłość kraju w przemożnej roli magnatów, we wpływie Jezuitów. Pozostawał do obrania inny kierunek, więcej zgodny z zasadą narodową. W przeciwieństwie z feudalizmem zachodnich ludów, Polska była ciałem politycznym, gminowładnym. Prototypem jój był szlachcic, jako członek gminy szlacheckiej, brat zakonu szlacheckiego, ślubujący ślubem miłości bratniej posłuszeństwo woli Boga, czci dla Najświętszej Maryi, poświęcenia krwi i mienia dla kraju. Miłość bratnia i miłość dobra publicznego, ogarniająca serca wszystkich braci obywateli, zarazem była duszą ich narad, a rękojmią tych prawd, jednomyślność z natchnieniem i łaski Bożej pochodząca. Jdea zakonu stanowiła zasadniczą podstawę Rzpltej, a powaga władzy i równość szlachecka były jój filarami. Dopiero skutkiem naśladowania obcych konstytucyi wyrobiła się magnacya, która wiążąc intrygami szlachtę, wiodła boje z władzą królewską, przyjmowała reformę

jako broń polityczną, a tém samém wywołała konieczność przeważnego wpływu Jezuitów. To téż te dwa żywioły były zarodem śmierci!

Pojmując w całej czystości téj idei przeszłość dziejową i szlachecką, odtrącając usterki wynikające ze zgubnego działania swojskich i niszczących żywiołów, rozwijając na tém tle osnutém z głębokiej, praktycznej wiary, pobożnej ezcii dla woli Boga, bratniej miłości, charaktery silne wołą, potężne uczuciem, i tworząc z tego obraz niewykraczający ze sfery ogólnoczwowieczego bytu i żywota: można tę przeszłość, ten utwór sztuki, to dzieło piękna podnieść do ideału.

Tak idealizuje naszą przeszłość p. Kaczkowski, któremu zawdzięczamy 6 tomów powieści pod ogólném mianem. „Ostatni z Nieczujów“. Niedawno wyszły: Mąż Szalony, Gniazdo Nieczujów, Piérwsza wyprawa pana Marcina i Kasztelanice Lubaczewscy, zniewalają do zastanowienia się nad całym zbiorem powieści p. Kaczkowskiego, objętych tytułem: Ostatni z Nieczujów.

W 1 tomie umieszczone są: Bitwa o Chorążankę, Junakowie i Swaty na Rusi. W Bitwie o Chorążankę opowiada Nieczuja, jako o rękę panny Błońskiej starał się młody Żurowski, któremu nadniosło лихо Przemyslanina Niezabitowskiego. Wzięli go Sanoczanie na kufle, żeby im dziewczki z pod nosa nie zabierał, a ciężko spoiwszy w domu pana Błońskiego, wnieśli go w nocy na stronę, gdzie kobiety spoczywały. Wkrótce nawpół zerwany ze snu, począł Niezabitowski zataczać się po izbie w koszuli i hajdawerach, wołając: „Ho, ho, ho, nie ze mnąto na kieliszki!“ Przestraszone kobiety krzyk podniosły; wpadają mężczyźni, uprowadzają Niezabitowskiego, który nazajutrz wyzwawszy Żurowskiego na szable, ciężko został posiekany i poraniony. Nieczuja przyjął na siebie odwieść go do domu, ale napadniony w drodze od Przemyslan, jakoby za porąbanie ich brata, ledwie schronił się z nim do klasztoru OO. Reformatów, do którego téż rychło szlachta zaczęła szturmować. Ale gdy podkomorzy Kierzkowski wyszedł i objaśnił szlachtę o wszystkiém, a Niezabitowski sam poświadczył jak wielką mu Nieczuja wyrządził usługę, odprowadzono Niezabitowskiego całą hurmą do domu, z kąd po wesolej zabawie Nieczuję przez wdzięczność z domu do domu obwożono i zabawiano.

W téj małej powiastce maluje się wybornie dawny duch ziemstwa, ścisła łączność obywateli jednéj ziemi, gotowość wzajemnej pomocy i obrony dla jednego ze współziemian, ogólną wdzięczność wszystkich temu, który jednemu z nich przysługę wyrządził. Pojedynek Żurowskiego i Niezabitowskiego opisany tak trafnie i z takiém zachowaniem charakterów

obydwóch zapaśników w walce, iż gozdzien być przeniesionym na płótno.

Junakowie dają nam obraz czwórki, ludzi wielkiego serca, a sławnój w swoim czasie odwagi i niepospolitej fizycznej siły. Sprawa każdego z nich i majątek były wspólne; zdanie ich zawsze jedno. A kiedy kto pomocy i rady od nich zażądał, to dali mu ją taką, że się ani od króla lepszej nie mógł spodziewać. Edmund Chojnacki i Deręgowski posiadali nadzwyczajną siłę, Sobolewski ognistą fantazyą, wielkie serce, charakter czysty i nieskażony. Nowosielecki zaś był sprawny i biegły w robieniu broni. Na kilka lat przed interregnum zagęścili się w ziemi sanockiej cyganie, którzy wiele kradzieży popełniali. Dano znać do chorągwi pancernej, ale żaden z towarzyszków nie zjechał, exkuzując się tém: „ja pojedę, a tu mnie cyganie dom rozniosą“. Czterej junakowie uczynili wyprawę, a znalazłszy wieczorem w lesie całą bandę wraz z żonami i dziećmi, obkoczyli ją i dwunastu hersztów powiesili. Ale ci, którym udało się umknąć, podpalali nieustannie wsie, tak że do 4ch tygodni w 40 wsiach pożary były. Mając to na sumieniu, że ich wyprawa na cygańską bandę, tyle nieszczęść na ich ziemię ściągnęła; junakowie postanowili z pocztowymi swoimi udać się na hajdamaków. W rok potem powrócili, przywożąc trzy wozy pasów litych i lam, pełne dwie skrzynie złota w różnych wyrobach, 100 sztuk najpiękniejszego bydła i półmiliona złotych. Wybrawszy staro Nieczuję, ojca, na dystrybutora, złożyli w jego rękę cały ten majątek, nic sobie nie zostawiając, aby w odpowiednich częściach pomiędzy pogorzalców był podzielony.

Piękny to obraz stowarzyszenia dla obrony pokrzywdzonych i opieki nad uciśnionymi, stowarzyszenia ludzi wielkiego serca, ognistej fantazyi i głębokiej pobożności. Społeczeństwo, które na jednej tylko ze swoich ziemi tyłu i takich ludzi mieściło, pomimo słabiej władzy publicznej, posiadało wielką potęgę obyczajowego ducha, ducha bohaterskiej moralności, ducha wielkiej religii, urzeczywistniającej się w czynach. Szczytne tu pojęcie przeszłości; okazuje ono nam pośród indywidualnej swobody, jakiś ład moralny i obyczajowy, wzniosłość celów godnych umiłowań zbiorowej siły społecznej, osiągniętych za pomocą dzielności serc i wielkości duszy czterech rycerzów. Portrety tych czterech junaków narysowane są artystycznie. Przy całej bowiem piękności ogólnego ich charakteru, każdy z nich odrębną świeci fizyognomią, szczególnymi rysami moralnymi odznacza się. Epizod ten średniowiecznego charakteru, wykazuje jak wiele jeszcze było tego żywiołu w Polsce.

Swaty na Rusi malują przyjacielską uprzejmość i usługę Nieczui jadącego z Oltarzewskim w swaty na Rus.

Panna Anna Ostrowska i jój matka sprzyjały Oltarzowskiemu, ale ojciec, zostawiający ich prawie w nędzy i bawiący ciągle u starosty Bachtyńskiego, ani słyszeć o tém nie chciał. U starosty grano w karty podług reguły, że kto rozdał karty, ten wychylał kielich i nalewał temu, co po nim miał rozdawać, albo kapela grała, a starosta i pułkownik ze szlachciankami, będącemi na prowizyi hulają, że aż światła gasną po ścianach, a strzeple odlatują z podłogi. Nieczuja z Oltarzowskim odszukują tam pułkownika, który po 8-y raz daje rekuzę. Wyczerpawszy błagania i perswazyę, Nieczuja używa groźby, zapowiadając pułkownikowi zwołanie na niego sądu za rabusiostwa różne i szalbierstwa. Pułkownik niby skłoniony, wyprawia ich do swojego domu i każe tam na siebie czekać. Ale rychło przybywa z drabami, napada z nimi na konkurentów, którzy ze srogiej bójki, ledwo za pomocą Węgrzynka Nieczui cało ujsć zdołali. Nieczuja zwołał Sanoczan na sejmik, dla narady coby w tym terminie, ku pomocy Oltarzowskiemu począć. Szlachta chciała zajazd zrobić, ale hr. Parys zfrancuziały oparł się i zaprotestował. Ztąd wyniknęła bójka między szlachtą i elegantami perukarzami, i szlachta złamała elegantów i pędziła po perukach na gnojówkę. Ale chociaż wielką wiktoryą odniesiono nad cywilizacyą przybyłą do Polski, jednak uchybiono celu, bo za perukarzami reszta szlachty rozjechała się do domów; wyperswadowano tedy Oltarzowskiemu aby przestał, i tę miłość, snąc niezgadzącą się z wolą Boga, porzucił. Wkrótce matka Anny umarła z nędzy i Ostrowski rozpił się, i w bojęce z Garwołem kowalem zginął. Anna osiadła na przedmieściu w Stryju, płacząc po całych godzinach nad grobem matki i utrzymując się z pracy rąk. Dowiedziawszy się o tém Nieczuja, wspierał ją nieraz; dał o tém jój położeniu znać Oltarzowskiemu, a gdy ten przybył i wszedł z Nieczują do Anny, ta zerwała się z konwulsyjnym krzykiem, rzuciła się Oltarzowskiemu na szyję, ale niebawem opuściła rękę, krzyknęła raz jeszcze lecz słabo, i runęła na ziemię. Jan potoczył się ku oknu i oniemiał. Nieczuja zajął się pogrzebem Anny, a Jan niepokieszony udał się w pielgrzymkę do ziemi świętej, gdzie życie zakończył.

Jeżeli w téj powiastce mamy z jednej strony piękny obraz wytrwałości w przyjacielskich posługach, niezrażonej żadnemi probami i doświadczeniem, z drugiej czerpimy przekonanie, o ile ta dawna chrześcijańska i obyczajowa cywilizacya wyższą była, pod moralnym względem, od naszej. Zawiedziony w najdroższych nadziejach swojego serca Oltarzewski nie oddaje się rozpaczy, nie przyprawia siebie ze stoiczną rezygnacyą o śmierć, ale porucza Bogu swoje cierpienia, i w tym zdroju łaski i pociechy odzyskuje siłę i mężstwo dla prowadzenia pobożnego i świą-

tobliwego życia. Interesujący tu także obraz zabaw na dworze starosty bachtyńskiego, a religijne jego praktyki piątkowe, żywo przedstawiają wpływ wkradającego się do społeczności zepsucia, w walce z siłą obyczaju religijnego. Starosta ożenił się później zawiódłszy nadzieje pułkownika, który sobie roił, że go zięciem a mężem swojej Anny mieć będzie. Zawodne bowiem są widoki dumy i interesu; prostą i pewną drogą serca, a nad wszystkim żywotem człowieka góruje święta wola Najwyższego.

Murdelio, powieść we dwóch tomach, opowiada szczegółly ożenienia się Marcina Nieczui z Zofią Strzegocką. Za ledwie pocieszony po stracie ojca, i wezwany przez Konopkę żartem dla stawienia się za družbę, przybywa na Mazury, zkąd udaje się do Zwiernika dla przypomnienia p. Strzegockiej kolligacyi swojej z rodem jej męża. Tu poznaje dziadka Piotrowicza jej ojca, i dzieci jej córki, z których Zofia wyobrażała mu anioła, mdlejącego i z wolna zlatującego na ziemię; a błękitnymi swojemi oczyma tak zapatrującego się na niego, że go aż za serce ścisnęło. Uczuł odrazu skarbnikowicz Nieczuja, że szczęście całego jego życia jest w ręku Zofii, i chociaż jej wzajemność pozyskał, matka ani słyszeć o tém nie chciała, tłumacząc się tém, iż kiedy kończy się ród Strzegockich, niech przynajmniej kądziele jego pięknymi nazwiskami się ozdobią. Acz ród Nieczujów w świetności, żadnemu senatorskiemu nie ustępywał, a jeżeliby chodziło o dziedzictwo, to tej miał tyle, że mógł je nabyć; racya ta p. Strzegockiej tak oburzyła p. Marcina, iż opuścił Zwiernik w gniewie i niepożegnawszy się. W ciężkim żalu szukał rady p. Błońskiego światłego missyonarza św. Wincentego a Pauli; nakoniec niezaspokojony jego radą udał się do franciszkańskiego mnicha Murdeliona. Ale któż to był ten mnich Murdelio? Spotkał się z nim Nieczuja w Zwierniku, słyszał w nocy przez ścianę, jak ożywioną ze stolnikową prowadził rozmowę; wyrzucił jej, że nie chce przyjąć jego poddaństwa, miłości i całej magnackiej fortuny; nie chce aby on odżył jak człowiek przy ludzkim życiu, i uspokojony wewnątrz pogodził się ze światem i ludźmi, i zyskał czas dla prześlągania Boga za winy, których stał się przyczyną. Następnie klął, żeby żyła doświadczając tego, czego on od niej doświadczył; aby jej żywot włócił się jak człek przywiązany do końskiego ogona; ciągnął się jak rzemień tortury, i coraz nowa kropla krwi zapiekała się przy sercu; w nocy nowy duch ją przestraszał, w poranku budził ją z nową łzą, gorzką jak pieprz, palącą jak iskra. Słyszał to wszystko Nieczuja, na odgłos dzwonka rzucił się ku drzwiom, ale wnet wszystko ucichło. I nie mógł przeniknąć tej tajemnicy. Dopiero gdy mnich przyjechał do niego i z nim udał się do Fredra i swą przyszłość opowiadając, mówił: jako będąc panem 80 wsi poko-

chał córkę stryja swojego Piotrowicza, jako przybywszy pierwszy raz do jego domu, za śmiałe i otwarte oświadczenie chęci poznania jego córki był przez niego wyrzuconym z pokoju. W przedpokoju postrzegł pannę, wymienił z nią kilka słów podających wiele nadziei, później prześląwszy stryja przez rządcę swojego Gintowta, zaczął znowu bywać w jego domu. Ale traf nieszczęśliwy chciał, żeby raz stary zastał córkę na jego kolanach i chciał mu dać 100 bizunów, od których ledwie umknął, wyskakując przez okno. Później wykradł pannę, ale stary Gintowt odkradł ją i staremu ojcu powrócił. Za takie gwałty oburzona była na Ignacego Piotrowicza opinia, król kazał go pozwać i srogo ukarać; ale Ignacy umknął do Włoch. Później wrócił do kraju, zawsze z gwałtowną i namiętą miłością w sercu dla Piotrowiczówny, ale ta już była stolnikową Strzegocką. Już 10 lat terminu, który miał czekać, mijało. Zbliżała się chwila ostatecznej zemsty, a powszechna opinia głosiła, że był diabłem weneckim, że diabłu duszę zaprzedał. Nieczuja wśród odwiedzin Lgockiego, proszącego go, aby się zrzekł konkurów do Zosi, gdyż mu ją stolnikowa chce oddać, odbiera wiadomość, że Murdelio wykradł znowu stolnikową, i w godzinę, jakby za sprawą diabła, 120 mil z nią uwalił. Leci Nieczuja do Zwiernika, a dziadek wita go radośnie. Zosia błaga, by sierot nie opuszczał. Jedzie tedy z niemi w Oszmiańskie, dziadek zwołuje szlachtę oszmiańską, jakiej podobnej już nie było na świecie. Ona bo mu już raz z rąk złej macochy fortunę ocaliła, i administrowała nią tak, że po długim przeciągu czasu powróciwszy, i wioskę w dobrym bycie, i jeszcze gotowiznę zastał. Szlachta oszmiańska burzy się na Murdeliona i gotuje się do najazdu. Przewodniczą jęj Gintowt, Jan z Borowiczek i Nieczuja. Gintowt świadomy wszelkich kryjówek zamku, wpada do komnaty, w której był Piotrowicz ze stolnikową. Piotrowicz wymierzył, wypalił, chybił i uciekł. Stolnikowa zemdlala, a Marcin z Gintowtem porwawszy ją, odwozą dziadkowi. Stolnikowa kochająca Piotrowicza niezbyt rada była temu powrotowi, jedynie bowiem przez szacunek dla ojca, zgadzała się z jego wolą; stolnikowa i teraz odmawiała Nieczui rękę Zosi. Ale dziadek usłyszawszy to, zawołał: „kto śmie odmawiać, kiedy ja błogosławię“. Odbył się ślub Marcina i Zosi, ale cichy, smutny; gdyż nikt z kobiet nie bywał w domu stolnikowej, a ta błogosławiąc, spazmów dostała. Powiózł Marcin najdroższą swoją Zosię do Bobrki, ale niedługo cieszył się szczęściem, o które tak długo walczył z przeciwnościami i dobijał się. W rok potem ciała dwóch synków i żony zaskrzepli na jego rękach. I sprawdził się sen Zosi, który dał jęj widzieć kwitnącą różę umarłą w trumnie: u jęj stopni dwa goździki, braciezki i powój zeschnięty, wijący się około katafalku. Tym powojem był Marcin, który

wpadł w ciężką chorobę. Przyszedszy do sił, resztę życia poświęcił modlitwom na grobie ojca i Zosi, i pielgrzymce do Ziemi Śtój. Dziadek także wkrótce spoczął w grobie, a mnicha Murdelio diabli wzięli. Opowiadano, że gdy ciało nagle z trumny zniknęło o samej północy, w tymże momencie widziano konia czarnego jak węgiel, wylatującego korytarzami kościelnymi w dziedziniec, z dziedzińca w miasto i za miasto. Tężże samej nocy koń czarny jak węgiel, pomimo pozamykanych drzwi, wpadł do pokojów w zwiernickim dworze: stolnikowa zbudziwszy się ze snu, krzyknęła; krew ją zalała i umarła, ale ślady podków końskich powybijały się na posadzkach.

Taka jest treść Murdeliona, jednej z najpiękniejszych powieści Kaczkowskiego. Prawdziwie artystyczna wyobraźnia i mistrzowskie pióro autora umiały w formie pamiętnika, przedziwną i różnorodności pełną rozwinąć osnowę. Intryga powieści, akcja dramatu, żywe wspomnienia pamiętnikowe, sceny opisowe pełne malowniczości i gry, nakoniec tajemniczość ballady, wszystko to się wiąże w całość dziwnie piękną i silnie wzruszającą. Głęboki pogląd na ducha czasu, gruntowne zbadanie zasadniczej treści narodowego życia, biegła znajomość serc ludzkich, trafne odcieniowanie charakterów, rozwijają się na tle obrazu obyczajowego i religijnego życia przodków. Szczęśliwe połączenie głębokiego pojęcia historycznej przeszłości i wielkiego artystycznego daru. Coto za szanowna i malownicza postać dziadka, jakie święte jego wspomnienia, jak nauczające jego rady. Ile rzeźwości, świeżości w tym 90 letnim umyśle, ile zdrowego sądu w tej osiwiałej i wiekiem pochylonej głowie, ile mocy charakteru w tej duszy, przez tyle doświadczeń skolatanej! Życie jego i wspomnienia złożyłyby najpiękniejszy poemat. Jaka cześć córki dla woli ojca: będąc już wdową i mogąc swą ręką rozrządzać, nie chce dobrowolnie sprzeciwiać się woli ojca, i tylko gwałtownemu porwaniu ulega. Ale i tu obyczajowy cel powieści osiąga się, przywróceniem córki ojcu, zniknięciem z horyzontu tego zacnego społeczeństwa Murdeliona, i to za pomocą bratniej posługi spółobywateli. Jak tu silna opinia publiczna, karcąca jednomyślnie Piotrowicza, potępiająca stolnikowę; jaka jedność łączących się obywateli dla ukarania gwałciciela i przywrócenia córki ojcu. Ile tu z tej zacnej przeszłości dla opinii społeczeństwa wzoru i nauk!

Bolesne wrażenia, doznane przez Nieczuję w młodości jego, cierpienia, które w miękkie i jeszcze niehartowane uderzyły serce, zostawiły wprawdzie w duszy jego ślady po sobie. I później, gdy na nowo wyciągnąwszy ku światu ramiona, i serce otworzywszy niepokalaną miłości, tyle doznał przeciwności, wytrwał jednak w tém uczuciu. Później stracił co miał w życiu najdroższego. Ale wśród tych bolesnych docinków losu, wśród tych ciężkich prób i zawodów nie upadł na duchu, nie obłąkał

się na bezdrożach zwątpienia i rozpaczy, nie oddał za przykładem innych sumienia swojego w służbę chciwego władzy rozumu. Miał to do zawdzięczenia owój świętej wierze, dla której żył, bił się i konał; z której natchnienia w świętą udawał się pielgrzymkę.

A też Zosia? Nie jestże to anioł zstępujący na ziemię i mdlejący, skoro się jej stopą dotknął. Ile nakoniec rozmaitości w odcieniach charakterów Zuzi, Konopki, Lgockiego i innych.

Uważamy tylko za zbyt cenne dla takiego talentu jak p. Kaczkowskiego, wprowadzenie nieczystego pierwiastku, który, jakby mgłą z podziemia powstającą ma oblekać i osłaniać tajemniczością postać Murdelia. Tém zbyt cenniejszém to poczytamy, gdy sprężyny i pobudki postępowania Murdelia, oraz źródła charakteru który się w nim objawił, i bez téj interwencji łącznie dadzą się wytłumaczyć. Za poradą obcych narodowemu duchowi teorii i zwyczajów odbyło się wychowanie Murdelia; uczono go wszystkich nauk, wprawiano do wszystkich języków, rozwijano wszystkie władze i zdolności oprócz jednej władzy, jednej mowy, jednej nauki: nie nauczono go bowiem słuchać i rozumieć głosu sumienia, nie wpojono ducha wiary, nie zaprawiono hartu duszy, któryby zdołał władać namiętnością.

Wszystko przynajmniej wiedząc, sądził, że wszystkiego co wie pragnąć może, i że wszystko czego pragnął prawem było dla niego i dla innych. Było to następstwo racjonalnego ukształcenia, tego owocu racjonalnych teorii. Dlaczegoż nie poprzestać na téj jasnej zasadzie? Może autor chciał wyrazić w interwencji sprawy diabła wpływ obcych zwyczajów i wyobrażeń antyreligijnych, których owocem była ta zaślepiona w sobie, gwałtowna namiętność Murdelia. Może miał zamiar oddać w tém wprowadzeniu nieczystego pierwiastku, pogląd czasu na to wszystko, co się odrywa od normy obyczajowego życia, pogląd mianujący takie oderwanie się sprawą diabła. Może nakoniec usiłował dać rys umysłowy społeczeństwa, które tracąc powoli odziedziczoną po przodkach wiarę, usposobiło się do częstszego obcowania ze złem niż z dobrem, mieszcząc powszedniejszym w swoim sercu gościem diabła, jak Boga ojców, Boga Chrystusa. Cokolwiek bądź, powieść mająca zamknąć się w granicach zewnętrznego przedmiotowego ducha, traci sięgając w sfery podmiotowe, sfery marzeń i urojeń, w dziedzinę ballady.

Pełne prawdy i nauczające są myśli dziadka o wartości wspomnień, o cenie przeszłości, które do romansu historycznego zastosować można. „Młodzieńcowi żyć w nadziejach, mężowi w czynach, starcowi we wspomnieniach. Jeszczeż ten który ma ich wiele i samych pięknych i samych szczęśliwych, może pomiędzy nie-

mi przerzucac, i niektóre z nich ciskać na ofiarę dzisiejszym opiniom, które także są chwilowe, bo nic nie masz wiecznego na tej ziemi. Nie masz nic wiecznego: ot ja, ja tylko 90 lat przeżyłem, a kiedy się dzisiaj po tej ziemi oglądnę, to żeby też jedna opinia, jedna nauka, jedno pokolenie, jedna rzecz jaka ziemską stała na tym punkcie, na którym stała, kiedyś był pacholęciem—ani jedna. Idąc po tej drodze, gubiłeś swoich towarzyszy i zostałeś już sam, sam jeden; i w takim stanie ty masz ostatnie twoje skarby, tych kilka wspomnień z twojego najpiękniejszego życia, wyrzucać w błoto i sam deptać, dlatego, że dzisiaj taka lub owa ka roi się ludziom po głowach opinia.”

Mąż Szalony, opowiada ustęp z czasów młodości jeszcze p. Marcina, kiedy ojciec jego wybierając się swoim zwyczajem zwiedzania odpustów do Łopienicy, odwiedził tam p. Michała Strzeleckiego i z tym udał się do kościoła. Na dziedzińcu kościelnym klęczał szlachcic w kontuszu z szabłą przy boku, której rękojeść sięgała wyżej pasa. W ręku trzymał krzyż biały i modlił się, a za nim klęczał kozak z zawieszonym przez plecy teorbany, o którego struny lekko potraçał. „To on”, zawołał Strzelecki, i cały drżąc ledwie że nie padł bez przytomności. „Weźcie mnie, weźcie ztąd” wołał znowu do Nieczujów. Ci go też odprowadzili do domu; tu wpadł w gorączkę, wśród której widział tego samego szlachcica ścigającego go nawet do jego domu. Szlachta dowiedziawszy się o tym wypadku zeszła się zaraz do p. Michała i rozmaite podawała powody tego wydarzenia. Nieczujowie także niemało zaintrygowani, wstąpili po drodze do domu, do Łaszek, do p. Kitajgrodzkiego, którym to miał być ów szlachcic, klęczący na dziedzińcu kościelnym, z kozakiem. Ale i tu nic dowiedzieć się nie mogli, zastawszy tylko waryata, który swojego kozaka Samojłę prorokiem i męczennikiem nazywał; witał ich słowy: „z Bogiem czy nie z Bogiem“, zęgnął: „odemnie czy do mnie“ i szedł co wieczora o 7-jej godz. do swego pokoju bić się z diabłem, i albo go wysiekał, albo wypłoszył. Nie mając już innego środka dowiedzenia się czegoś, ojciec Nieczui zaprosił Samojłę, aby przyjechał do Bóbrki i opowiedział mu powody szalenstwa Kitajgrodzkiego. Przynależał mu to i w kilka tygodni przybył na noc wracając z Łeska. Ugościł go Nieczuja winem; Samojło zapalił sobie lulkę, usiadł na podłodze przy kominku i zaczął powieść teorbaniasty: „Ojciec jego był kozakiem w zamku czechryńskim, a kiedy mu już nogi podrewniały, wyprosił pannę służebną i osiadł na dożywotnim futorze. Niebawem mu się zmarło, matka poszła za Łacha, a rywale kozacy w noc weselną futor spalili. Samojło dziecięciem poszedł do siczy, z kąd na jednej wyprawie przez rotmistrza chorągwi pancernej Kitajgrodzkiego, zwanego Rudym Sokołem, z towarzyszymi był pochwycony. To-

warzyszków powieszono; on zaś ocalał, bo wyznał, że jeszcze dziecięciem wzięty był do siczy. Odtąd Samojoło był nieodstępnie przy Kitajgrodzkim i towarzyszył mu do Warszawy, gdy już chorągiew wróciła z kozackiej wyprawy. Kitajgrodzki był wdowcem po żonie, która z jakimś Niemcem uciekła z jego zamku. Posłany od naczelnika chorągwi Mniszcha, do Samborza, dla przejrzenia rejestrow zmarłego starosty Borzysławskiego, poznał Kitajgrodzki 10-letnią córkę jego Annę, która w dzieciennym żarcie jakby mu przyrzekła, że gdy wyrosnie pójdzie za niego. Ale Anna wychowywała się prawie razem z młodym Michałem Strzeleckim; wzrastali oni razem, a wzrastali we wzajemnym dla siebie uczuciu. Kitajgrodzki jeszcze raz udał się z chorągwią na kozacką wyprawę, a gdy wrócił, już został starostą samborskim, i w Samborzu zamieszkał; znowu ujrzał Annę w towarzystwie jasnowłosego Michała, zapalił się gorącym dla niej uczuciem i postanowił ożenić się z nią. Jakkolwiek wierny Samojoło odradzał mu tego kroku, a serce Anny wylewając się we łzach gorzkich opierało się temu, chociaż kilkakroć razy padała w raz z Michałem do nóg matki: dzień ślubu byłznaczony i starosta powiózł Annę na swój zamek w Laszkach. Michał zniknął z owych okolic, szukając rozrywki w dalekiej wędrówce, ale po roku znowu się zjawił. Wtenczas i Anna dotąd nieco spokojniejsza, zaczęła być smutną i zalewać się łzami. Starosta nie domyślał się przyczyny tych łez, pytał jej o nią nieraz, a nie dowiedziawszy się podejrzewał żonę, ją i siebie temi podejrzeniami męcząc. Posyłał Samojołę na czaty, zwiady i szpiegowanie, ale i ten wierny sługa, pragnąc szczęścia i spokoju swojego pana, że przytém także nie nie wiedział, raczej go uspokajał i pocieszał. Ale ciągle podejrzenia tak nareszcie zmęczyły Annę, że rzeczywiście chciała znaleźć ulgę w listownej rozmowie z kochankiem jej młodości, z Michałem. Handzia wierna sługa Anny, została przez starostę schwyтана na dziedzińcu z bilecikiem. Porwał go starosta, ale wnet z gniewu i wzruszenia prawie odszedł od przytomności; wówczas Samojoło wysunął mu z dłoni kartkę i połknął. Wszakże przypomniał sobie starosta przyszedłszy do zmysłów, że miał w ręku kartkę, przypisał jej zniknięcie czarom Handzi, którą zaraz rozkazał odwieźć do Przemyśla, przed sąd Trybunału. A Samojoło? on kochał Handzię, pobiegł do Przemyśla przekupić palestrantów i trybunalskich, aby ulżono kary Handzi. Skarano ją jednak na wyświecenie z miasta. Gdy po exekucyi tej kary była sama za miastem i ujrzała, że jej już nikt nie ściga, padła na ziemię. Ale Samojoło wnet tuż przy niej się znalazł; zaczął ją trzeźwić i pocieszać. Napróżno; gdyż już policzone były jej godziny, i Handzia sko-

nała na rękę Samojły, który zajął się jej pogrzebem. Wkrótce Jerwan żyd, mający przystęp do dworu i do starosty, wydany przez swoich spółników w handlu, został także schwytyany z karteczką od Michała. Wydany na sąd, został spalonym, wszakże nie tak na skargę starosty, jak raczej z powodu oskarżenia wniesionego przez jednego z przytomnych w trybunale, o niszczenie i sprzedawanie sprzętów kościelnych. Starosta miotany wyrzutami sumienia za tę niewinną śmierć dwojga ofiar, dręczył się nieustannie coraz nowemi podejrzeniami. W nocy często zrywał się, wyobrażając, że ktoś chodzi po sali. Raz zerwawszy się poszedł do sali, zastał tam jedno okno otwarte i ujrzał w altanie ogrodowej Annę rozmawiającą z Michałem; przywołał natychmiast Samojłę, dał mu flintę i kazał mierzyć w sam łeb Michała. Strzał padł; dał się słyszeć krzyk, zdało się, że Michał został dotknięty. Tu wpada Anna ze łzami rzucając się na starostę z tysiącem wyrzutów, za zamiar zabicia Michała. Opuszcza go i wstępuje do klasztoru. Starosta oszalał, a w dniu oblóczyn Anny, w chwili gdy się już miał zacząć ten obrzęd, przybywa do kościoła Michał w rycerskim stroju, aby odwrócić Annę od jej postanowienia, aby ją uwieźć z sobą, aby wyobrażeniem uroku życia pełnego miłości i szczęścia, zjednać ją jeszcze dla swojego szczęścia, dla świata. Ale napróżno! „Teraz już się stało“, odpowiedziała staroscina; „ja pojmuję coś cierpiać i cierpić, i jam się pieściła nadzieją, że dziecinne sny nasze ziszczone będą; ale za śmierć niewinnej Handzi, za piekielne płomienia, w których dokonał życia Jerwan, za szaleństwo męża mojego, padłam przed Stwórcą na kolana, gorącą modlitwą podziękowałam mu, że mi dał wglądać w siebie i ujrzeć jaką jestem w istocie, i postanowienie moje niecofnione. Żal mi jeszcze ciebie, ale idź i w modlitwach szukaj pociechy!“ Anna odeszła, on stał jeszcze z wyciągnionemi na kościół ramionami, i zdawał się być w tej chwili nieżywym człowiekiem, ale posągami z żelaza odlanym i postawionym pod filarami. Lecz gdy widział jak Anna z rąk się jego wydarłszy, rzuciła się w objęcia swoim siostrą, wstrząsł się i okropnie w głos wymówił przekleństwo, wybiegł ciężkim krokiem z kościoła. Za to, na górze z Leśka do Łopienki, jadąc raz ze swemi towarzyszami, gniewem Bożym dotknięty, spadł z konia i umarł. Dopiero od jego śmierci po trzech latach, jednej nocy miesięcznej ujrano tegoż rycerza, jako ze złożonemi rękami klęczał na najwyższym głazie swojego kopca i już sam się modlił za siebie. W czasie konfederacji zawiązaną po burdzie w Leśku, między partją wojewody Ossolińskiego i kasztelana halickiego, znaleziono na pobojowisku pod Domaradzem, zastygniętego Kitajgrodzkiego, a tuż przy nim Samojłę z podru-

zgotanym teorbanem i głową rozszczepaną na dwoje. Widoczna było, że zginęli jeden w obronie drugiego, a jak ich dusze były powiązane za życia, tak i ich krew pomieszała się po śmierci!!

Taka jest treść *Męza Szalonego*, tój prawdziwie artystycznej powieści. Jeżeli we wszystkich powieściach p. Kaczkowskiego tło, osnowa i cel powieści są zawsze wzniośle i obyczajowe, w *Męzu Szalonym* występują prawdziwie poetyczne charaktery. Widzimy tu ojców naszych nie tylko zdolnych do rycerskiego rzemiosła, gotowych przelać krew swoją w usługach dla kraju, ale pełnych razem uczucia, serca, namiętności. Jaka stałość i zapamiętałość w uczuciach, niewzruszona jak ich obyczaje, czysta jak ich myśl, wzniosła jak ich uczucie honoru i obowiązku. Niewiasty nie są u niego już automatami lub narzędziami obcej woli, bez czucia i uznania, ale istoty żywe, zdolne silnej miłości i głębokiego uczucia, uległe woli rodziców z przekonania o świętości obyczajowego prawa. Ztądto życie staropolskie domowe i rodzinne, tak dotychczas w dawanych nam obrazach bierne w uczuciach, bez życia i jednostajne, staje się u p. Kaczkowskiego dramatem podniesionym do najwyższej akcji wcielonych serc i uczuć, i do najszczytniejszej poezji.

Obraz jarmarku w Łopience pełen życia i malowniczego charakteru, skreslony z wielką znajomością miejscowości i natury. Przy głębokim poznaniu głównych zasad moralnych i religii, które kierowały życiem naszych ojców, jest tu i prawda i naturalność w skresleniu wad, przywar i ułomności ludzkich, bez których jak człowiek być nie może, tak i najpiękniejszy obraz obejść się nie zdoła. A sztuka artysty, jego znajomość ducha i charakteru epoki, polega na tém, aby okazać: jak wady i ułomności powszechnie, ludzkie, jakoto: duma, próżność, zawisć i interes, cieniowały się na jasnym tle religijnej i obyczajowej zasady, stanowiącej ducha czasu i narodu. Nieświadome dla tego rzeczy, jest niby zdanie pewnego korespondenta jednej z naszych gazet, że p. Kaczkowski w *Męzu Szalonym* nie jest konsekwentnym, podając za zasadę życia ojców religią i opisując burdę przed kościołem. Właśnie że p. Kaczkowski nie malował aniołów lub geniuszów religii, okazując, jako w nich, pomimo czci dla ugruntowanego w ich sercach boskiego pierwiastku, natura ludzka i szlachecka miały swoje prawa. Nie byłby artystą, gdyby nie przyodziwał ducha w szatę natury, ideę w ciało, nie wprowadzał praw i warunków materji, popędów zmysłów i namiętności ciała, i podnieł egoizmu do walki, do bojów życia. Ale w tój walce, w tych bojach żywota, pierwiastek ducha otrzymuje tryumf. I tak, Anna idzie pokutować w wo-

tach zakonnych; Kitajgrodzki zerwał ze światem i szatanem, i tylko z Bogiem obcować pragnie, szalejąc tylko w kilkogodzinnej bojuce z diabłem. Strzelecki za przekleństwo wymówione w kościele, dotknięty gniewem Bożym, modli się nawet po śmierci na swoim grobie.

Cel więc tej powieści obyczajowy i religijny; treść artystycznie osnuta z charakterów poetycznych, ożywionych silnym uczuciem, dzielną wolą, tęgim duchem na tle rzeczywistości obyczajowej i naturalnej; intryga powieści wprawiająca w ruch wszystkie postaci, wyprowadzona po mistrzowsku z walki i niepokoju jednej duszy. W szczególe charakterystyki są piękne i poetyczne, a całość pełna historycznej prawdy, bo i taką jest główna idea tej powieści. Religia bowiem była najpiękniejszą gwiazdą, przyświecającą życiu naszych ojców; ona hamulcem w passjach serca i burzliwościach umysłu, przystanią dla zbłąkanych, pocieszycielką dla utrapionych, najwyższą mądrością tego świata. Ona była celem i jądrem wszech życia. Religia miłością panowała nad Polską, była tak wkorzenioną we wszystkie serca, że od niej poczynały się i na niej kończyły wszystkie sprawy.

Jakoż i powieść ta cała jest tylko ustępem z pobożnej pielgrzymki ojca Nieczui, do cudownego obrazu N. Panny w Łopience.

Co może być szczytniejszego i więcej poetycznego nad obraz kozaka Samojłę, tak wylanego dla swojego pana, któremu winien życie; kozaka opiekującego się moralnym pokojem i szczęściem wewnętrznym swojego pana; udzielającego mu z głębi wiernego serca rady zbawienne, i gruntowne pociechy; broniącego go w utarczce gwardyaków z Sasami w Warszawie; śpiewającego mu dumki przy teorbaniu, gdy odszedł od zmysłów, a zlewającego swą krew z jego krwią na pobjawisku śmierci. Nie takimże powinien być w dziejowej idei stosunek kozaczyzny do Polski, na wierności tamtej, na serdecznej protekcji i sympatii tej ostatniej oparty? Nie tą samą drogą powinno było kozactwo wkraczać na łono cywilizacji szlacheckiej, drogą serca i przywiązania? Nie takim węzeł bratniej opieki, dający byt i pomysłność, powinien był łączyć serce polskie z duszą kozacką? Jak było, mówią o tym dzieje, które często bujnym wylewem namiętności, wylamują się z karbów życiodawczej idei, rzuconej przez Stwórcę na pola pewnych epok i wypadków. Ale artysta odtwarzający przeszłość, idealizujący minione życie, powinien podjąć tę Bożą, światodziejową ideę, i wcielić w przedmiotowy świat swojej fantazyi.

W szóstym, niedawno wyszłym tomie powieści p. Kaczkowskiego p. t. Ostatni z Nieczujów:

W Gniezdzie Nieczujów, opowiada p. Marcin swoje dzieciństwo, swawole z Hawryłkiem, z którym tak raz przestraszyli pannę Barszczewską kotem obutem w łupiny z orzechów, poprzylepianych mu na smołę do wszystkich czterech łapek i wpuszczonym w nocy do jej pokoju, wtenczas, gdy ją trapiły przywidzenia, że husarz odmówiony, niegdys jej konkurent, zabity w jakiejs potyczce, a którego śmierć głęboko ją dotknęła, zjawiał się w jej sypialni ze skrzydłami i kopią. Gdy kotek przyzwyczajony spać ze swoją panią, zaczął nacierać do łóżka, p. Barszczewska przestraszona, myśląc, że to znajomy jej duch pogrobowy przypuszcza taki szturm do pawilonu, dotknięta apopleksją, Bogu duszę oddała. Hawryłkowi odliczono 50 boćkowskich, a Marcinowi sam ojciec piętnaście na kilimku odliczył, a później wyprawił go do OO. Jezuitów do Lwowa. Tu nie wychodził Marcin ze scamnum asinorum, i tęskno mu było za domem. Wróciwszy do domu zastał ważne odmiany. Miejsce p. Barszczewskiej zastąpiła p. Godlewska, ciotka, która acz była wdową, dość jeszcze była młodą i gładką, i dorastała téż i siostra jego Jadwisia. Zaczęli się zjeżdżać konkurenci, starający się o te dwie posażne i z dobrego rodu idące partye: Osuchowski do p. Godlewskiej, a stary Nieczuja nic przeciw temu nie miał, rokując zupełne szczęście takiej parze, w której pan młody ma lat 100, a panna młoda 50 lat. Do Jadwisi, Wiślocki i Michałowski. Powadzili się między sobą, przysiadający się do Jadwisi konkurenci, a Osuchowski godząc ich losem, dał Jadwisi dwa różki od chustki z sygnetami konkurentów do wyciągnięcia. „Ciągnij wacpanna“ rzecze. Jadwisia zbliża się ostrożnie, jakby tam co kolącego było, szarpnie i rękę umknie, ale całego rogu nie wyciągnęła. „No! śmiało Jadwisiu“ doda p. Godlewska. Dopieroż jak szarpnie, aż sygnet p. Wiślockiego wyleciał na ziemię: p. Wiślocki zwyciężył. Michałowski tylko żalśnie spojrział na niego i kazał zaprzęgać; ale Osuchowski oddając mu pierścień, rzekł mu do ucha: „On będzie konkurował, a ty weźmiesz pannę“. Stary Nieczuja chociaż byłby wołał błogosławić Michałowskiemu, nie mając nic przeciw Wiślockiemu, naznaczył dzień ślubu, i porozpisywał listy zapraszające na ten dzień uroczysty; zaprosił téż i Michałowskiego. Na tydzień przed ślubem udał się do Leskiego zamku z córką, po błogosławieństwo wojewody i wojewodziny, bo już taką miał wiarę, że bez błogosławieństwa Ossolińskich, Nieczujowna nie miałaby szczęścia w małżeństwie; bo jeszcze żaden Ossoliński nie zszedł z tego świata, aby jakimu Śląskiemu nie wygodził w potrzebie, ani téż żaden Śląski nie wykrcił się od tego, aby choć raz łaski którego Ossolińskiego nie był doświadczył. Schronili się wówczas od

zemsty partyi familii, w przejeździe u wojewody, hetman Branicki i ks. bis. Soltyk, po zerwaniu sejmu Convocationis. W dzień ślubu zjechało się do Nieczui mnóstwo szlachty: wojewoda, hetman, ks. bis. Soltyk, a le Wisłockiego nie było. Niespokojność i zmieszanie Nieczui było ogromne. Uderzyła północ, Wisłockiego jeszcze nie ma. W on czas Michałowski z Jadwisią padają do nóg ojcu prosząc o błogosławieństwo. Zdziwiony stary nie wiedział co to jest, wymawiał się słowem daném Wisłockiemu, ale God'ewska nalegała i wszyscy przytomni prosili: „pobłogosław ich“. Pobłogosławił ojciec, a ks. biskup dał ślub; we dwa tygodnie przyszła wiadomość, że Wisłocki w pojedynku zginął.

Tłumacząc się z powodów do opisywania dziejów swojego rodu, Nieczuja dodaje, że w Polsce cnota szlachodem, i że chociaż niedowarzone głowy chcą poniewierać wielkim kosztem nabyte puszczyny ojców, nie wiedzą że historia całego ich narodu nie jest czém inném, jeno biografią ich ojców; że naród ich jeżeli maluczko waży w rodzinie europejskich narodów, tedy to maluczko waży jedynie przez ów niezatarty napis, który każdy czytać może na jego grobie; i tego nie wiedzą, że tylko na czci i poszanowaniu oddanych pamięci ojca, może się oprzeć prawy i bogobojny żywot syna. Oto cel moralny i główna myśl téj miłej powiastki, wdzięcznej opowiadaniem, jak uśmiech dziecięcia; cichój i szanownój treścią, jak strzecha rodzinna, czy czystój jak myśl bogobojna, pobożna. Co do głównej myśli, to jakkolwiek ludzkość w myślach swoich dotyka coraz nowych strun życia i prawdy, jakkolwiek nieraz dziś znęca się nad tém, czém wczoraj gorące paliła ofiary: jednak prawda tkwi zawsze w głębi jój przeświadczenia, przystępnój dla ludzi wzniosłój myśli i prawego a nieskażonego serca. Owóż, prawdą wieczną będzie, że cnota acz może być wyrobem indywidualnego ducha, idzie także rodem, że część dla przeszłości jest jakby czcią rodziców, oznaką szacunku dla własnego charakteru, rękojmią cnoty, wieńcem każdój gruntownój wiedzy. Wezакże ta część dla przeszłości nie może służyć ku potępianiu prawdziwego postępu w moralności, w duchu; w wynalazkach rozszerzających działanie ducha, ale nie w samych fenomenach czasu tylko. Nie wszystko bowiem co jest następném, jest oraz postępem. Postępcem prawdziwym tylko to, co postępując z ducha i prawdy, za pośrednictwem nowych wynalazków i wyobrażeń, rozleglejszą sferę materii w formę ducha, w ciało prawdy zamienia. Epoka więc czasu, z jój myślami, wyobrażeniami i reformami, jest tylko materiałem do postępu, chwila jego tyle tylko wartości mająca, o ile w nich duch występuje i do swoich przejawów je używa. Dlatego są epoki, które nie momentem postępu, ale odstępu nazwać można.

Jeżeli więc cnota, dzielność, honor i miłość kraju, ze wspomnień rodu i czci dla przeszłości płynąć mogą, idea rodowa i dziejowa jest ideą moralną i czci godną.

Pierwsza wyprawa p. Marcina jest to opowiadanie, w którym Nieczuja kresli koleje pierwszego swojego wystąpienia w rycerskim rzemiosle, pod przewodnictwem ojca, który wypróbował jego siły, że potrafił przeciąć cielęcą napół szablą, wziął go z sobą pod sztandar p. Fr. Puławskiego. Chociaż pod Kaszowem odniósł ten wódz zwycięstwo, jednak ciężko ranny, odniesiony był do leskiego zamku, a p. Bal objął dowództwo. Chociaż dzielnie się bił, jednak nieostrożną przeprawą przez rzekę pod Chyzowem, sam naraził się na rozbicie, a Nieczuja raniony ledwie umknął, rzucając się w pław przez rzekę i chroniąc się do zamku leskiego, gdzie się odbył pogrzeb p. Franciszka Puławskiego, poczem wrócił do domu.

Jeżeli w Gnieździe Nieczujów p. Marcin opowiadał dzieje swego rodu i rodziny, wiedziony czcią dla swoich przodków, i ojca, i przeszłości kraju; tu opisuje własne koleje, doznane w gorącej chęci naśladowania czynów swoich przodków. Los pozazdrościł mu szczęścia, aby rycerskie i pełne serca chęci mógł dłużej i z większym pożytkiem rozwinąć; wszakże maluje on nam wartość osobistych przymiotów pojedynczych cnót; one w dawniejszych czasach były sprężyną bytu i świetnych czynów. Postęp cywilizacji dążący do uprzedmiotowania ducha, do upostaciowania go w zewnętrznych formach zbiorowej sprawiedliwości, nauki, ładu i harmonii, rozwiął ducha pojedynczych ludzi w masie. Dziś występują całe grona, akademie, partye polityczne: więcej tu siły, więcej owoców i korzyści, ale życie publiczne złożone z osobistych samodzielnych usiłowań, prac i poświęceń, może więcej obudzało interesu.

Powieść **Kasztelanice Lubaczewscy** szczęśliwa jest pod względem trafnego i nadzwyczaj interesującego odmalowania życia prowincjonalnej szlachty za domem, i stosunku domieszkających między nią magnatów. W kościele w Lesku na mszy św. był wojewoda z rodziną swoją i szlachta sanocka. Kasper Brześciański kasztelan Lubaczewski kocha się w wojewodziance Teresie, i nie zwracał z niej oka w kościele. Przy wyjściu z kościoła wojewoda rozmawiał ze szlachtą. Krzysztof Brześciański rozmaite mu robił przycinki. Później szlachta udała się do wojewody na śniadanie, Kasper zabawiał kobiety muzyką, a w następnych dniach widząc, że Teresa bardzo lubi muzykę, wyprawił jęj pod zamkiem serenadę z cyganami. Osuchowski nieprzyjazny Kasprowi podmówił służebną Teklusię, aby jako Teresa wyszła do okna i później zeszła do Kaspra na ogród. Poznał to Kasper, dowiedział się że to jest sprawka Osuchowskiego, wpada do Lateśowej winiarni, chce się bić z Osuchowskim; ledwie ich szlachta

rozbroiła osądziwszy, aby szli do konfederacyi. Ale jak na toż znowu zawiązała się sprzeczka między Krzystofem a Załęskim o klinek ziemi: powstał hałas, krzyk, szlachta podzieliła się na partye, pokłóciła, rozeszła i projekt wyprawy do konfederacyi upadł. Ledwie Krzystof z kilku innemi sam pojechał; a Kasper dowiedziawszy się że Teresa idzie za mąż za krajczego Potockiego wpadł w gorączkę, melancholią, długo chorował, a stawszy się jak szafian i deska, opuścił dom, kraj i udał się do Ameryki, gdzie walczył z Kazimierzem Puławskim, a po zgonie jego przybył do Paryża; widział się z Jakubinami, nakoniec po ścięciu Robespiera przybył do Wiednia. Tu w jakiejś bójce z nożem nad szyją żołnierza rontowego schwytyany i w rekruty oddany. Dowiaduje się o tém Krzystof, przybywa do Wiednia i za pomocą krajczyny Potockiej dawniej kochanki Kaspra, odyskuje uwolnienie jego ze służby. Krajczyna sama przyjechała karetą do koszar, i wzięła z sobą Kaspra, wracając go bratu. Powrócili bracia do domu, a na drodze spotkawszy kulig szlachty, na wezwanie braci przyłączyli się do nich, i wstąpii do Załęskiego. U Załęskiego podano kielich i puszczano go kołem. „Będzie li kiedy lepiej? Wrócą się dawne czasy? Nie wrócą.“ I jeszcze bardziej płakali, a wyłotami ocierając zmazane wąsy, całowali się znowu. Ale jak to zawsze było, chwila smutku, na razie;— Dawaj wina,—zawołał jeden, i pito na frasunek. Płakali, ale pili jak smoki. Niebawem téż zaczęło się kurzyć z czupryn, łzy padały coraz na dół, a czulość szła w górę.

Cały ten obraz rozweselającj się i upojonej szlachty, po mistrzowsku odrysowany: pełno tu komicznych scen. W ogóle zaś na kartach téj powieści odzywa się owa myśl piękna, jako człowiek porwany jedném gwałtowném namiętności uczuciem, gdy go bolesny zawód docisnął, zrywa ze wszystkiém co mu przypominało dawne marzenia, odrzuca wspomnienia przeszłości, i tradycyi, i rodu, zrzeka się pociągu do pięknej własnej fortuny: idzie śród obcych szukać życia, posłubia obcą sprawę, obce zasady, krew i sumienie d'a cudzej wątpliwj mieni korzysci. Śród kolei nieszczęść i doświadczeń. na obcej ziemi, nigdzie przytułku i opieki nie znajdzie. Dopiero od zapomnianych, wzgardzonych, w ciężkiej jego doli przybywa mu pamięć i ratunek. Brat, kochanka dawna, podają mu rękę pomocy; on wraca do swoich. Bo Bóg przez węzły narodowe, rodzinne i święte węzły wiary, zsyla dary swojej opatrności; za ich pośrednictwem świętą swą opieką osłania.

Ale obok téj pięknej myśli, ile tu życia, mistrzowskich rysów, cechujących głęboką znajomość ludzi, serc człowieczych, charakteru narodowego, a wszystkie te rysy natchnione promieniem duszy miłującj swój kraj i swoją przeszłość!

To to miłujące serce, ta dusza ogrzewająca myśl czystą, prawą i wzniosłą, wydały owe obrazy, pełne idei prawdy, piękna i dobra, przyrodziane w historyczną szatę, utkaną z wiernej historyczności obyczajowej, oparte na znajomości serca ludzkiego, ugruntowane na głębokim zbadaniu i poczuciu ducha narodu i epoki, jaśniejące charakterami olbrzymiej woli, dzielnej duszy, głębokich uczuć, rozwijających swoje czyny i żywot na tle religijném, moralném i obyczajowém. Obrazy to łączące naturalność i rzeczywistość z idealnością. P. Kaczkowski zna głęboko ducha, życie i obyczaje epoki, którą maluje: umie jako wyższy mistrz sztuki zbadać myśl, ducha, ideę życia, zwyczajów i instytucyi przeszłości, i podnosi wypadki opowiadane do wysokości téj idei, która przewodniczyła ich początkowi, oblekła ją w nie. Pod promieniem więc téj myśli idealizującej, i obrazy jego stają się prawie ideałami. Ale to wszystko mogłoby być dziełem artystycznej myśli i wyobraźni. P. Kaczkowski duszą się wciela w przeszłość, wczuł się w nią sercem: kocha co ona kochała, boleje jej bolem, zalewa się jej łzami i tą potęgą miłości i zapału zjednoczoną z przedmiotowością dziejową, sprawia to, iż przeszłość w jego obrazach sama rysuje swoje kontury, formy, układ i rysy; sama wypowiada tajemnice swego życia, treść swojego ducha, głąb swojego uczucia: jedném słowem sama swój światłorys wykonywa. Autor zostaje w głębi sceny, i tylko miłością obywatela, zapałem artysty tchnie życie w tę kojarznię światła i natury, sztuki i materyi, wziętej z przeszłości dziejowej. Ztąd też wywija się powieść w formie pamiętnika, w formie odpowiadającej najnowszym wymaganiom, i łączącej żywość opowiadania, płynącego z ust samego bohatera, z obrazem wypadków które opowiada.

Malując ciemne strony minionego społeczeństwa, pochodzące ze skryształizowania się na niem średniowiecznego ducha, z niewyłamania się ponad zapędy pojedyncze silnej władzy publicznej, podnosi te zwyczaje, instytucye, stanowiące narost chorobliwy w organizmie społecznym, do pierwiastkowej idei, która przewodniczyła ich ustanowieniu, do praktycznego pożytku na rzecz powszechnego dobra, a tém samym stawia je w warunkach idealnych form, idealizuje. Co było najszkodliwszego w Polsce?—zajazdy! Burda w Lesku zaszła u wrót kościelnych, między partyami wojewody i kasztelana, wydała z siebie konfederacyą leską. Junakowie! Oto czterech junaków niszczy bandę cygańskich złodziejów, zdobywa obfite łupy na hajdamakach i obdziela nimi pogorzalców. Anarchia szlachecka! Oto Oszmiańczycy wydzierają macosze Piotrowicza zagrabiony jego majątek i rządzą nim tak, że przybyły z tułactwa sierota znajduje ojcowiznę w najlepszym stanie, i jeszcze kilka worów gotowizny.

Tło obyczajowe i religijne, postaci wzniosłe i olbrzymie, treść pełna prawdy, wrażenie wlewające uczucie dobra, koloryt gorący i serdeczny, te cechy utworów p. Kaczkowskiego, stanowią arcydzieło sztuki.

Jeżeli niektórzy z przeciwników zarzucali p. Kaczkowskiemu, że usuwa ze swoich obrazów pierwiastek gminny i ludowy, to można ich prosić o stworzenie czegoś piękniejszego i głębiej pomyślanego nad Samojętę. Jeżeli znowu przyjaciele i zwolennicy broniąc p. Kaczkowskiego od ślepej napasci, oświadczyli, iż wołają prawdę od podobieństwa do niej: to można im wręcz powiedzieć, że nie wiedzą ile mu uchybiają, ile swojej kompetencji ubliżają. Inna jest bowiem prawda dziejowa, inna artystyczna; tamtą tylko rzeczywistością, gdy tę ostatnią prawdą piękną zwąć można. Zostaje więc do przypuszczenia, że p. Kaczkowski tylko podobieństwo do prawdy pięknej stwarza, albo że jego pseudo wielbiciele rzeczywistość za prawdę biorą.

Nakoniec głos dający się słyszeć a potępiający p. Kaczkowskiego wyższością lorda abosfortskiego, zmusza wyznać, że w tém właśnie co przejął p. Kaczkowski od Walter-Skotta, tj: we wprowadzaniu cieniów, duchów, diabłów do powieści nie mogącej wykraczać ze sfery przedmiotowego życia, zdradza słabą swoją stronę. W biegłym zarysowaniu charakterów, w doskonałym zawiązaniu intrygi, w przeniknięciu się duchem epoki, w zbadaniu myśli i rzeczywistości dziejowej, wyrównywa Walter-Skottowi; a wyższym jest od niego jednością ducha i obrazu, darem zwięzłego, jędrnego stylu, wolnego od rozwlekłości, drobiazgowych opisów i archeologicznych, zaciiekających się w drobnostki szczegółów.

Jeżeli zaś mamy naznaczyć p. Kaczkowskiemu miejsce pomiędzy naszymi historycznymi powieścio-pisarzami, p. Rzewuski siłą rozumu, wyobraźni i dowcipu, odwzorowuje nam przeszłość: wybiera on treść rozumem, nadaje jej formę wyobraźnią, wprowadza bohaterów z pierwiastków nieprzyjaznych, ujemnych, podkopujących organizacją narodową, jakoto z reformy, francuszczyzny, magnacyi i t. p. odrywa się od swojego obrazu na wzór Walter-Skotta, i łączy się z nim jedynie myślą religijną, owocem raczej upokorzonego przed Bogiem rozumowania, jak pałającej przed Jego obliczem duszy. Michał Grabowski miejscowem upodobaniem wiedziony, skłania się więcej do ukraińskich jak szlacheckich obrazów. Ignacy Chodźko pełnym serca i duszy pędzlem rzuca tylko zarysy mistrza, szkice.

P. Kaczkowski obejmuje treść umysłem, wciela ją w kształty idealne siłą twórczej fantazyi, wyprowadza bohaterów z pierwiastku stanowiącego jądro życia narodowego, z żywiołów dodatkich w społecznej organizacyi naszej przeszłości: on wczuł się duszą w przeszłość tak, że z pod jego pióra w podmiotowej

formie pamiętnika, w nierozdzierznionej jedności artysty i obrazu, rysuje się przed nami przeszłość, opromieniona duszą religijną i tęp tchnieniem wiary, której żaden zgubny powiew obłądów świata nie skalak: przeszłość natchniona miłością, podniesiona do ideału, szczytném rozlaniem światła idei obyczajowej i celu moralnego.

Treść taka przyodziewa się w nadzwyczaj artystyczną formę, stylu jędrnego, silnego, malującego żywo dusze bohaterów. Rzadkim bowiem talentem p. Kaczkowski ovladnakł mowę staropolską, jej naturą, zwrotami i wdziękiem pełnym powagi i obrazowości.

Pamiętki starego szlachcica dają nam nieruchome i utkwione na wieczność całą portrety; Ostatni z Nieczujów powieści pełne akcji, gry i życia. Piérwsze zarysowują fizyognomie Litwy i Rusi; drugi stawia nam wielki, mistrzowski obraz Sanockiego. Litwa i Ruś były kolebką magnacyi i feudalizmu: sanockie, jest gniazdem szlachectwa. Przyjmy więc ostatniego z Nieczujów jak drogą, gniazdową pamiętkę.

W Lemieszówce (gub. podolskiój)
d. 1 lutego 1855 r.

- Leopold Jakubowski.

ROZMAITOŚCI.

Krótki rys historyczny miasta Grybowa i starostwa grybowskiego.

W miarę jak przeszłość naszego kraju coraz więcej, coraz głębiej badamy, rośnie w naszych oczach postać Kazimierza W. Gdziekolwiek stąpimy, ślad jego przechodu, dzieło jego dobroczynnej ręki napotykamy. Jeżeli dawniejsze wieki, jeżeli insze części Polski, dały mu tylko przymiot „króla kmiotków,” jeżeli mu tę sławę przyznały, iż „Polskę drewnianą zastał, a murowaną zostawił”: jak skąpcami się przynajmniej nam Galicyanom wydawać muszą te pochwały! Galicyą Kazimierz W. niemal taką jak dziś jest stworzył: on jeden połowę wsi w zachodnich ziemiach dziś istniejących po pierwszy raz osiedlił, albo podupadle podniósł i na nowo zaludnił; od niego nakoniec datuje założenie największej części naszych miast i miasteczek.

Temu wielkiemu królowi zawdzięczają swe istnienie także miasto Grybów i wsie Siolkowa, Niżna i Wyżna Biała tuż obok niego w obwodzie sandeckim (a dawniejszym powiecie bieckim) leżące. Powierzył on założenie jednych i drugich Hankowi synowi Bogacza mieszczana sandeckiego: wydzielił mu na to 150 łanów frankenskich, zapewnił osadnikom 15 lat wolności od wszelkich danin i ciężarów, uwolnił ich nawet na ten czas od cla w Rytrze i w Krakowie, a po wyjściu tych lat wolności ustanowił czynsz roczny po *dziesięć szkatów* od łanu, jako jedyną ich powinność względem dworu t. j. skarbu królewskiego, a opłatę *dwóch szkatów* jako jedyną daninę do kościoła winną. Udzieliwszy miastu i rzeczonym trzem wsicom prawo magdeburskie, uchylił je z pod jurysdykcji wszelkich władz krajowych, poddając ich pod wyłączną jurysdykcją soltysa, który jak ich podług prawa magdeburskiego sędzić miał, tak sami tylko podług tego prawa, i tylko królowi z swych czynności odpowiadać był winien. Tym soltyssem zaś mianował tego samego Hanka Bogacza, który lokacyą

miasta i wsi przynależnych uskutečnił, i nadał mu w nagrodę za trudy z nią połączone dziełiczne wójtostwo w Grybowie: wyposażywszy je czterema łanami, prawem do stawiania młynów i zakładania sadzawek, szóstym groszem od rzeczzonego czynszu łanowego, a trzecim od wszystkich kar pieniężnych. Obdarzył prócz tego soltysa prawem do trzymania łaźni, dwóch sukienic, warsztatów tkackich i kramów na mięso, chleb i obuwie. Miastu Grybowowi zaś w szczególności kazał wydzielić tyle łanów na „Wygon” ile mieszczanie dla swego bydła potrzebować będą, i pozwolił im jeden targ w tygodniu. Tak opiewa przywilój lokacyjny z r. 1340, który nowemu miastu imię „Grynberk, nadaje, i który je na schronienie biędnych osadników okolicznych w czasie wojny przeznacza. Z tego samego względu, jak się zdaje, opatrzył je później w r. 1365 potrzebnym materiałem na opał i na budowlę, przez nadanie pewnej części lasu Jaworze. List król. z r. 1365 nadanie to zawierający, założone miasto już nie Grynberkiem, ale Grybowem nazywa, (Grybow vulgariter nuncupatae): a gdy się w 25 piérwszych latach piérwsza nazwa na drugą przeistoczyć nie mogła, dowodzi to najlepiej, iż druga ta nazwa była prawdziwą powszechnie używaną, miano Grynberk zaś było tylko nazwą urzędową, godłem niejako i zachętką dla zwabienia obcych osadników, a mianowicie rzemieślników. Przemiełcza tém więcéj tę nazwę niemiecką drugi przywilój lokacyjny po zniszczeniu piérwszego, na żądanie ówczesnego soltysa przez Kazimierza IV w r. 1488 udzielony, chociaż jest jeszcze wyraźniejszym, obszerniejszym: chociaż już wsie Siolkowe, Wyżną i Niżną Białę, jako równocześnie z Grybowem założone, wymienia, i zupełnie je na równi z miastem tak co do użyczonych swobód, jak do wyłącznej jurysdykcyi soltysa stawia. Drugi ten przywilój lokacyjny, li na zeznaniach świadków wiarogodnych treść piérwszego reasumujący, w nicém się prawie od tamtego nie różni, chyba w tém, że dolicza do przychodów soltysowi się należących „targowe” w mieście, i prawo do połowy pastwisk leśnych, które przywilój z r. 1340 przemiełcza, i które zatém albo soltysi tymczasem sobie przywłaszczyli, albo jako już im przysługujące wyliczyli, aby ich potém tém śmielój używać mogli. We wszystkich innych punktach i warunkach lokacyjnych zgadzają się zupełnie oba rzeczzone przywileje. Nic więc w przeciągu sto pięćdziesięciu lat odmienić się nie musiało, kiedy można było w r. 1488 li na fundamencie zeznań świadków, osnowę przywileju z r. 1340 prawie dosłownie powtórzyć. Tak silnym duchem stabilizmu tchnęły instytucye prawa magdeburskiego, w tak żelazne karby rzeczy i umysły ująć umiały. Ścisłe zamknięcie każdego tém prawem obdarzonego okręgu dla obcych, utrudnienie ruchu majątkowego, nawet między samemi osadnikami, bezwątowania się do tego przyczyniały. Powiedzmy atoli zaraz, że główną sprężyną, która duch tych instytucyi utrzymywała, była instytucya wójtostwa; i że skoro wójtostwo grybowski od miasta oderwaném i do staro-

stwa przyłączonem zostało, albo przynajmniej w ręce tenntaryuszów starostwa przeszło, wprawdzie niepamięć praw i wolności magdeburskich w mieszczanach i kmieciach grybowskiich zaginęła, (bo ta, jak później zobaczymy nigdy nie zagasła). lecz duch tych instytucji powoli słabnąc, cechujące ich znamiona powoli zacierać się poczęły. Ważna ta odmiana, epokę w życiu społecznem Grybowianów stanowiąca, musiała nastąpić zaraz w pierwszych latach XVI wieku, gdyż już list króla Zygmunta I z r. 1508 orzekający powinności osadników Siołkowej, Wyżnej i Niżnej Białej, braci Mikołaja i Stanisława Geżowskich tenntaryuszami Grybowskiem, oraz i soltysami: grybowskiemi (Advocator et tenntarior bonorum regalium oppidi Grebow.) zowie. Z ich rąk przeszło potem razem ze starostwem do Jana Buczyńskiego, a po jego śmierci drogą wykupną w posiadanie Stanisława Pieniążka, ówczesnego starosty grybowskiiego. Był on ostatnim, co osobny przywilej nadawczy na to wójtostwo sobie wyrobił, bo wcielił je zaraz tak ściśle do starostwa, że odtąd tylko jako część tego z rąk do rąk przechodziło, i że w r. 1768 kommissya skarbu Rzplitej, konferowawszy je Franciszkowi Wodzickiemu, osobnych kommissarzów do wynalezienia jego granic i oddzielenia jego od starostwa powtórnie mianować musiała. Od czasu też Stanisława Pieniążka przewaga starostów coraz więcej miastu czuć się dawała, exakcyje ich coraz więcej rosnać zaczęły. Tak już detaxacya wójtostwa w r. 1550 między dochodami onegoż „Miodowe, Dembne i opłatę z lasów” wykazuje, które w pierwotnych przywilejach lokacyjnych soltysom na dochód udzielone nie widzimy. Co więcej, zaczęli pomalu starostowie nabywać realności miejskie, przez co ściśle zamknięcie okręgu miejskiego i wyłączna jurysdykcyja urzędu miejskiego, w całym tegoż obrębie bardzo ucierpieć musiała, gdyż niepodobna było przed tenże przeważnego starostę powoływać.

Już w r. 1539 trzy role kmieci w Siołkowie, a cztery w Niżnej Białej przez Stanisława Pieniążka skupione widzimy.

W r. 1546 nabył za pozwoleniem królewskiem młyn miejski od ówczesnego młynarza Waclawa, przez co nietylko znowu grunt miejski wolny w dworski się przemienił, ale starosta się znowu głębiej w terytoryum miejskie wdarł.

W r. 1594 zamienił syn jego Przeclaw Pieniążek pewien grunt starościński na grunt miejski Matysa Wątroby, a wkrótce potem zamieniło miasto grunt swój „Równie” zwany, za ogrody w Nawsiu wojtowskim, zatem starościńskim leżące.

Za tym przykładem zaczęli nareszcie mieniać i mieszczanie między sobą grunta swe własne, lub ustępować je dworskim starostów, jak to dowodzą wyciągi z akt ławniczych przy kondescencyi kommissarzów królewskich w r. 1727 okazane, i akt zamiany gruntów między mieszczanami Walentym Wołyńskim i Matyssem Wątrobą z r. 1651 zawarty. Wszystkie te alienacye działy się wprawdzie jeszcze z wszystkiemi zastrzeżeniami przez prawo

magdeburskie wymaganiami, kontrakty szły aż do potwierdzenia królewskiego, a zamienione lub ustąpione realności oddawano „sub ramo viriridi” podług formalności prawem magdeburskiem przepisanej. Lecz były to niebezpieczne antecedenca, których wagę mieszczanie aż później postrzegli.

W pierwszych albowiem latach odpadnięcie wójtostwa i przyłączenie tegoż do starostwa zdawało się miastu nietylko uszczerbku nie przynosić, ale być dla niego korzystnym. Przywilejem króla Zygmunta Augusta w r. 1572 miastu udzielonym, uzyskali mieszczanie prawo wybierania osobnego urzędu miejskiego za potwierdzeniem starosty, uchylenie wszystkich mieszczan od każdej innej jurysdykcji jak rzezonego urzędu, wykluczenie od posiadania realności miejskich wszystkich, którzyby do rzędu mieszczan wpisanymi nie byli i urzędowi miejskiemu posłuszeństwa nie przysięgli. Jurysdykcya tego urzędu miejskiego rozciągała się do spraw wszystkich, tak karnych, jak cywilnych, bez żadnego wyjątku; że zaś Grybów było filią Sącza, miała iść od wyroków w sprawach cywilnych apellacya podług dawnego zwyczaju do urzędu miejskiego sandeckiego (*appellatione salva permanente juxta veterem usum et consuetudinem in eodem oppido servari solitam, ab officio civili seu advocato ejusdem oppidi ad officium Civile Sandecense cui sub est*). Tym samym przywilejem osiągnęli Grybowianie przyznanie prawa do pobierania opłaty od wypalania wódki na opędzenie wydatków miasta, ustanowienie nareszcie dwóch nowych jarmarków, na których rznięcie bydła i sprzedawanie mięsa, pierwój li do praw soltysa należące, wszystkim na te jarmarki uczęszczającym pozwolone zostało. Jarmarki te w poniedziałek po Narodzeniu P. Maryi i po niedzieli Laetare odbywać się miały.

Zaczęły nareszcie splywać jeden po drugim na Grybów inne przywileje i dowody szczególnych względów, których to miasto od królów dlatego doznawało, iż leżąc na pograniczu węgierskiem było nietylko warownią od napadów niespokojnych tych sąsiadów, ale zarazem i punktem oparcia dla podróżujących kupców i znaczną stacyą handlową. Uznając wszystkie te zalety, uznając zasługi mieszczan w odpędzaniu hultajstwa na granicy zgromadzonego, i w strzeżeniu kupców tamtędy podróżujących położone, potwierdził Grybowowi przywilój z r. 1615 prawo do składu winnego tamże istniejącego, upoważnił je do poboru *trzech* groszy od każdej beczki wina tamże złożonej, lub tamtędy prowadzonej; *czterech* groszy od każdego bałwana soli, a *jednego* grosza od każdej beczki soli równie tamże złożonych lub tamtędy prowadzonych; ustanowił nareszcie *pobór mostowego* podług taryfły, którą mianowani do tego rewizorowie królewscy ułożą.

Późniejszym przywilejem z r. 1632 taryfła tego mostowego na *pół grosza* od konia zaprzęgowego, na *dziesięć szelągów* od każdego wołu lub krowy, na *trzy szelągi* od wszelkiego drobniejsze-

go bydła, a od każdego wozu drzewa do Grybowa na sprzedaż wiezionego na *jeđną ćwierć* ustanowioną została.

Przywilej Władysława IV z r. 1633, dodał do liczby jarmarków miastu pozwolonych jeden na ś. Mateusza; przywilej Jana Kazimierza z r. 1649 dwa, na ś. Kazimierza i śtą Annę; przywilej króla Michała z d. 29 Oktobra 1669 r. także dwa: na dzień Znalezienia ś. Krzyża i na śtą Agnieszkę; tak, że liczba koncessyonowanych miastu jarmarków do siedmiu rocznie się podniosła.

Potwierdzając wszystkie te przywileje na dniu 11 czerwca 1681 roku, upoważnił król Jan III mieszczanów do stawiania domów zajezdnych i karczem na wszystkich placach, do tego, tak w mieście jak na przedmieściu stosownych.

Zawiązały się nakoniec i otrzymały potwierdzenie królewskie cechy następujące:

Cech wspólny kuźnierzów, kowalów, krawców i ślusarzów, na mocy konfirmacyjnego przywileju z r. 1616.

Cech szewski, na mocy przywileju z r. 1649.

Cech tkaczy, na wzór podobnego cechu sądeckiego w roku 1703 potwierdzony; nareszcie

Cech sukienników. (Zob. Lustracye miasta Grybowa z roku 1654).

A przecież mimo tych wszystkich łask i przywilejów, miasto Grybów nie tylko się nie podnosiło, ale upadać zaczęło. Dowodzi to przytoczona dopiero lustracya z r. 1654, która na 82 domów, 15 pustych wylicza, i która po słowach „Bywało różnego rzemieślnika w tém mieście nie mało” zaraz dodaje, iż „rzeźników, cieśli, kołodziejów i garncarzów” w mieście nie ma, a zredukowaną znaczną liczbę inszych rzemieślników wykazuje.

Bo ścieśnione zostały i zaginęły z czasem swobody prawa magdeburskiego, które rzemieślników przywabiały; bo uleciał duch tego prawa, który mieszczanom świadomość swęj samoistności nadawał. bo wzrosły z czasem przemoc i ucisk starostów grybowskich.

Spostrzegli to niebawem mieszczanie. chcieli wrócić do pierwotnej ścisłości prawa magdeburskiego, i odosobnienia do niego przywiązanego, cofnąć te kroki, które sami zrobili. I jak się zwykle tym dzieje, którzy posunąwszy się zadaleko w zgubnym kierunku, chcą się z niego wycofać, iż znowu zabardzo wstecz idą i starają się odbić na obcych prawach to, co dobrowolnie ze swych utracili: zaczęli mieszczanie mieszać słuszne z niesłusznemi żądaniemi, wystawiać jako wymuszone przez starostów owe koncessye, które sami zrobili byli.

Jak dekreta sądów assesoryalnych i kommissarzów królewskich przy kondescencyi z r. 1727, przez ówczesną starościnę ukazane dowodzą, żądali mieszczanie już w piérwszėj połowie XVII wieku zwrócenie gruntu miejskiego „Równia” i gruntu prywatnego Wróblówka, jako w obrębie miasta leżących, chociaż „Równie” sami za ogrody w Nawsiu leżące zamienili, a grunt Wró-

blówka albo część wójtostwa stanowią, albo też poprzedniemi zamianami w ręce starostwa się dostał. Gdy ani jednego, ani drugiego nie uzyskali, wnieśli tę samą skargę w r. 1694 do króla Jana III, rozszerzając swe żądania i dodając kilka innych zażaleń, które dowodzą jawnie, jak silnie tkwiła w ich umysłach pamięć pierwotnych przywilejów lokacyjnych i swobód prawa magdeburskiego, jak uporeczywie całość terytorjum miejskiego przywrócić chcieli, którego nienaruszalność, jak się zdaje, w duchu prawa magdeburskiego leżała. Skargi te wylicza list króla Jana III, z dnia 6 listopada 1694, do Mikołaja Wiktora Grudzińskiego, w którym mu załatwienie ich porucza. Są one następujące:

a) O odebranie ról sześciu, podług erekcyi do obrębu miasta należących.

b) O zabór gruntu miejskiego „Równie” za wodą leżącego, i postawienie tamże karczmy ze szkodą propinacyi miejskiej.

c) O zabór targowego miastu się należącego (przypomnijmy przy tej sposobności, iż targowe dopiero w drugim przywileju lokacyjnym z r. 1488, nie zaś w pierwszym z r. 1340 do dochodów wójtostwa jest policzone).

d) O zaniedbanie windykaty lasu Jaworskiego i łąnów miejskich w tym lesie (zapewne przeciw gminie Bielezarowej, w tym lesie osadzonej).

e) O pozywanie mieszczan do grodu i trybunałów wbrew przywilejów królewskich, które urząd miejski ze jedyną ich instancją uznały.

f) O podwyższenie hiberny aż do kwoty 5697 złotych.

Powtórzyli te skargi mieszczanie w petycyi do króla Augusta II, w r. 1699 podanej, objaśniając i rozszerzając punkt pierwszy w ten sposób, iż ówczesny starosta grybowski Mikołaj Grudziński, równie jak jego poprzednicy, *wbrew przepisom prawa magdeburskiego* i przywilejom miastu przysługującym, kilka ról miejskich to od pojedynczych mieszczan pozakupowali, to *jure caduco* po bezdzietnie umierających zabrali. Dodali oraz nowy punkt o uzurpacyą wygonu miejskiego i *obsadzenie tegoż rzemieślnikami dworskimi*, tudzież o nałożenie robocizny i przeszkadzanie w stawianiu karczmy na gruntach miejskich.

Punkta te stały się odtąd przedmiotem ciągłych kondescencyi kommissarzów królewskich, do dochodzenia tychże mianowanych, i najsprzeczniejszych wyroków to przez nich, to przez sąd królewski referendarski ferowanych, w miarę jak jedna lub druga strona kommissarzów królewskich podejść i więcej pozornych dowodów na swą stronę przytoczyć umiała.

Nie możemy tu wchodzić w szczegółowy rozbiór wszystkich tych indagacyi i wyroków, których dokładne wyciągi w dokumentach podajemy. Powiemy więc tylko pokrótce, iż pierwszy wyrok kommissarzów król. z r. 1699, grunta Wróblówka i Szorzówka miastu dlatego przyznał, że leżą w obrębie owych czterech łąnów, które do okręgu miasta należą; że punkt ten wyroku

atoli przez sąd królewski w r. 1703 reformowanym został, który powtórnie przemiar gruntów miejskich i ściśle dochodzenie nakazał: czy miasto jest w posiadaniu całych *dziewięciu łanów frankońskich*, na których pierwotnie osiedlone było, tudzież w czyjém posiadaniu *sporne* grunta Wróblówka i Szerzówka zawsze się znajdowały; dochodzenie które aż stanowczo w r. 1727 dokończono zostało.

Powiemy dalej, iż tym samym wyrokiem kommissarzów królewskich miasto od wszelkich pretensyi do gruntu „Równie” jako za „Nawsie” wójtowskie przez miasto dobrowolnie zamienionego odsądzoném zostało, i że punkt ten wyroku kommissarskiego potwierdzenie sądu królewskiego uzyskał. Pomimo tego atoli znajdujemy w naszych aktach wzmiankę o drugim dekreście królewskim, w r. 1702 zapadłym, który jak się zdaje „Równie” znowu mieszczanom przyznał, i im prócz tego za szkody od starostów poniesione, wynagrodzenie 9,000 złp. przysądził, w którejto kwocie, egzekujący ten wyrok kommissarze królewscy dochody młyna wójtowskiego w Grybowie miastu w posiadanie oddali.

Napomnijmy nareszcie, iż miasto tak wyrokiem kommissarskim, jak sądu referendarskiego królewskiego przy wyłączném posiadaniu „Wygonu” miejskiego i przy prawie do stawiania karczem i domów zajezdnych na węgierskim trakcie, i do wykonywania propinacyi tamże utrzymane zostało, tudzież, że w obydwóch instancjach hibernę tylko w miarę czterech łanów miejskich na nie nałożono.

W jednym tylko punkcie wyrok królewski na większą korzyść mieszczan, niż dekret kommissarzów wypadł. Bo gdy ci, nie wchodząc bliżej w skargę o narzucanie robocizny, tylko istniejący i zwyczajowy „status quo” utrzymali, sąd królewski orzekł, iż tylko ci mieszczanie do robocizny pociągani być mogą, którzy grunta we wsiach starościńskich posiadają lub uprawiają; wszystkie miejskie grunta zaś i nadal od wszelkiej robocizny wolne być mają.

Nie zadowolniły atoli oba te wyroki żadną stronę, nie położyły tamy ani wymaganiom i nadużyciom starostów, ani skargom słusznym i niesłusznym mieszczan; a gdy o pierwsze dwa punkta ciągle dochodzenia nakazywane i przedsięwzięte bywały, reasumowano przy téj sposobności także i inne wzajemne zażalenia starostów i mieszczan.

Ostatnia stanowcza kondescencya nastąpiła dopiero w roku 1727. Przy kondescencyi téj nie ograniczyli mieszczanie pretensyj swych do gruntów Wróblówka i Szerzówka, wznowili dawną skargę o zabór całych sześciu ról, (do których prócz dopiero wymienionych, także Kańczugowka, Jeżowka, Dalowka, Terkowka i Bednarzowka należeć miały) dowodząc wyciągami z aktów ławniczych, iż grunta te przedmiotem tranzakcyi prywatnych różnych obywateli miejskich były, zatem w ich posiadaniu znajdować się musiały; zażalili się o zabranie jednej części rynku miejskiego

przez starostę, powtórzyli nakoniec dawne swe skargi o przywłaszczenie targowego, o narzucanie szynkarzom miejskim trunków dworskich i o pociąganie do hiberny starostwa grybowskiego, od której zupełnie wolni się być mniemali, aczkolwiek już w r. 1710 wsie starościńskie pod przysięgą zeznały, iż w dawniejszych czasach miasto im się zawsze do tej kontrybucyi przykładało.

Zapadł zaraz po tej kondescencyi ostatni wyrok kommissarzy królewskich. Uznał on skargi mieszczan po największej części za niesłuszne, niczém nieudowodnione; wykazał im, że role o których zabór się skarżyli, albo nigdy, albo tylko w czasowém posiadaniu mieszczan były, i za granicami miasta we wsiach starościńskich leżą; powtórzył dawniejszy wyrok z r. 1699, co do gruntu „Równie”, odrzucił skargi o zabieranie płócien z blichu miejskiego i narzucanie trunków dworskich jako przesadne i tylko w dwóch lub trzech przypadkach udowodnione, i staroście tylko nakazał, aby targowe przez katolika a nie przez żyda wybierał, i zwykłą w innych starostwach opłatą po *jednym* tynfie od beczki wódki się kontentował. Nałożył na miasto trzecią część całej hiberny od starostwa opłacanej, zobowiązał nakoniec starostę, aby burmistrzów i rajców od swych wyroków apellacyi nie dopuszczających surowemi karami obkładał. Jednego tylko „wygonu” wyłączną własność miastu przyznał, bo zabranie jednej części rynku miejskiego przez starostów, dlatego za usprawiedliwione uznał, iż się na tym placu pierwój odwach żołnierzy starościńskich znajdował.

Musieli ucichnąć po tym wyroku mieszczanie, zwłaszcza, że im kommissarze królewscy staroście i dzierżawcę starościńskiego, za niesłuszne oskarżenia, przeprosić kazali. Skończyła się więc sto pięćdziesięcioletnia sprawa między starostą i miastem, w której się mieszczanie ze ściśle prawnego stanowiska z swemi pretensyami utrzymać nie mogli, a do której ich przecie pierwotna rzeczywista infrakcyja prawa magdeburskiego, odejście od pierwotnego ducha przywilejów lokacyjnych, pobudziły. Cóż albowiem pierwszým głównym powodem do tych skarg było, jeżeli nie oddzielenie wójtostwa grybowskiego od miasta, do którego z natury swojej należało, i przyłączenie onegoż do starostwa.

Ponieważ formujące to wójtostwo *cztery lany* tym sposobem miastu ubyły, a starostwu przybyły, brakowało mieszczanom zawsze tych czterech lanów w granicach miasta; dlatego reklamowali ciągle grunt Wróblówkę i Szerzówkę, które część tego wójtostwa stanowiły; dlatego nakoniec domagali się nawet zwrócenia i inszych gruntów drogą dobrowolnej tranzakcyi przez pojedynczych mieszczan ustąpionych, lub takich, które nigdy do miasta nie należały, że chcieli powrócić do posiadania całego obszaru pierwotnie do miasta należącego, i te cztery brakujące im lany skompletować.

Ponieważ „*targowe*” do soltysa, jako do przełożonego miasta należało, nie mogli pojąć mieszczenie, że po wcieleniu wójtostwa do starostwa, dwór starościński je wybierał, i poczytywali sobie to za krzywdę. Mając *młyn wójtowski* za miejski, ponieważ wójtostwo samo za *attinencyą* miejską uważali, chcieli ten młyn pod kontrybucyą miejską podciągać.

A gdyby przywileje lokacyjne wątpliwie się co do własności „*wygonu*” wyraziły nie były, gdyby podług powszechnie używanego trybu soltysowi także i prawo do stawiania i trzymania karczem przyznały były: nie mogliby, ściśle rzeczy biorąc, uznać się nawet mieszczenie i na postawienie karczmy na gruntach wójtowskich i na zabranie „*wygonu*” przez starostę.

Takie skutki wywarł w jedném tylko mieście zwyczaj wykupowania wójtostw miejskich i wcielania ich do starostw.

(Dokończenie nastąpi).

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych

CHEMIA.

Sposób rozpoznania sporyszu (*secale cornutum*), w mące. Wiadomo, że ciężkie przypadki przytrafiają się z powodu zatrucia mąki zbożowej sporyszem. Ważną więc jest rzeczą rozpoznać w mące tę truciznę, a dotąd do powyższego celu żadnych nie podano środków. Dopiero teraz p. Laneau aptekarz brukselski wskazał sposób polegający na rozpuszczalności ciała barwy fioletowej, znajdującego się w sporyszu, w wodzie alkalicznej, i zafarbowaniu go na różowo przez kwasy, a następnie na przywróceniu pierwotnej barwy przez nowe dodanie alkali. Jestto zwykły sposób chemiczny, opierający się na spostrzeżeniu, że sporysz zawiera pierwiastek czerwono-brunatny, który nabiera barwy fioletowej za dodaniem alkali, a różowej przez kwasy. Szczegóły postępowania p. L. są następujące:

Jeżeli mąka pochodzi z żyta lub pszenicy nie dobrze wywianych, należy nasamprzód ją wysuszyć, grupki sproszkować i wszystko przesiać; gdyby jednak była znaczna ilość sporyszu, roboty te są zbyt ciężkimi; mała ilość z powyższej mąki wysypuje się na talerzyk porcelanowy, dodaje się do tego wody alkalicznej (złożonej z potażu, otrzymanego za pośrednictwem węgla, 0gram, 500); wody przepędzonej 100gram w ilości takiej, aby zrobić z mąki gatunek ciasta miękkiego, przez mieszanie pręci-kiem szklanym. Po 2 lub 3 minutach oddziaływania, wpuszcza się do tego ciasta jedną lub dwie krople kwasu siarekowego, mocnego na 16°, w celu słabego zakwaszenia; poczem nasycę się na nowo kwasem wodą alkaliczną. Jeżeli mąka zawiera znaczną ilość sporyszu, pozór jej się zmieni, kolor za dodaniem alkali zciemnieje, a za dolaniem kwasu ubarwi się na różowo; zaś znowu dolane do tego alkali, wyda na nowo kolor pierwotny. Jakiego rodzaju użyć kwasu, lub alkali, jestto rzeczą obojętną. Można jednak dla porównania wypadków, robić próby z mąką zupełnie czystą, dodając do niej 1 do 5 na sto, sporyszu. Wskutku powyższych poszukiwań, przekonał się p. L. że żadne z ziarn obcych zwykle w zbożu znajdowanych, nie wydaje podobnych oddziaływań. Jakkolwiek bowiem te ziarna zawierają w sobie barwnik rozpuszczalny w wodzie alkalicznej, ale ten

niknie za dodaniem kwasu siarekowego mocnego na 160. Oprócz tego p. L. wykrył, że mąka ze sporyszem, po spaleniu więcej wydaje popiołu niż czysta. (*L'Institut* z 14 mars 1855).

* P. Pelouze, jeden z członków Akademii umiejętności paryzkiej, napisał ważną rozprawę o zmydłaniu olejów przez wpływ ciał, w ziarnach się znajdujących. Spostrzeżenia w niej zawarte, przywodzą się do następującej treści:

Jeżeli ziarna lub różne nasiona oleiste tak będą rozdrobione, aby komórki w nich popękały; a wskutku tego mogły się ściśle zetknąć części też komórki składające: ciała tłuste obojętne zawarte w tych ziarnach, zmieniają się w kwasy tłuste i glicerynę.

Coś podobnego się tu odbywa, jak w winogronach, jabłkach i wielu innych owocach; w których cukier zaraz po zerwaniu komórek, a przez to wydzieleniu fermentu, zmienia się w wyekok i kwas węglowy. (*Treść z pisma L'Institut* 28 mars 1855).

* Indycht (Indygo) w moczu. P. Hill Hassal okazał, że powyższy pierwiastek barwiący jest pospolitezy w moczu, niżby to sądzić można; jako zaś dowód że znaleziony w nim barwnik był indychtem, przytacza to, iż zmienił go w isalinę i anilinę. Porównywając we względzie chemicznym i fizyologicznym hematyne i ciało farbujące moczu, wykazał: że indycht zbliża się przez swoje pochodzenie i naturę do istot powyższych; wreszcie sądzi, że gdy indycht znajduje się w znacznej ilości w moczu, służy wtedy jako istota do wyłączenia nadmiaru węgla. Przypuszczenie to opiera na tém ważném spostrzeżeniu, że największa liczba przypadków, w których uważano wywiązywanie się indychtu w moczu, powstawała wtedy, gdy w płucach potworzone były znaczne wrzody, czyli gdy te organa nie mogły przyzwocie odbywać czynności odwegłania. (*Tamże*).

* P. Regnault w imieniu pp. Bunsen i Mathiesen, okazał Akademii umiejętności paryzkiej próbki dwóch metalów (dawniej już znanych) ale świeżo na nowo otrzymanych, to jest Litu (Lithium) i Strontu (Strontium): pierwszy z nich ma podobieństwo do srebra, jest ciągly i klepalny. Pierwiastek ten jest najlżejszy ze wszystkich znanych, wyjąwszy gazów; bo Lit waży połowę tego co woda. Roztapia się w 180° C., ale nadzwyczajnie się zniekwasza w powietrzu, i dlatego musi być przechowywany w nafcie. Stront jest jasno-żółty jak mosiądz, klepalny, ciężar gatunkowy ma 2,5 i także nie może się przechowywać w powietrzu, gdyż powierzchnia jego zaraz czerwienieje, zniekwaszając się szybko. (*L'Institut* 4 avril 1855).

J. B...a.

Doniesienia literackie.

—
WARSZAWA.

Zeszyt IV opisu Cmentarza powązkowskiego pod Warszawą K. Wł. Wojcickiego wyszedł z druku, i obejmuje życiorysy: Jakóba Redla generała, Grzegorza Plucińskiego, Agnieszki Truskulawskiej artystki dramatycznej, Konstantego Wolskiego, Walentego Gagatkiewicza doktora, Modesta Watta Kosickiego pisarza, Fr. Młokosiewicza, Jabłońskiego grenadyera, J. F. Królikowskiego autora prozody polskiej, Karoliny z Dembińskich Lebrun, J. Alex. Blummer generała, Fr. Dmochowskiego tłumacza Iliady i Antoniego Brodowskiego malarza.

— „Wzorów sztuki średniowiecznej” wyszło sześć zeszytów, od 17 do 22 i obejmują: dwa obrazy z ołtarza kaplicy Jagiellońskiej w katedrze krakowskiej: dysputę z doktorami, i pokłon Trzech Królów; dwa obrazy wotywnie z kaplicy Matki Boskiej Bolesnej kościoła XX. Franciszkanów w Krakowie; relikwiarz katedry kujawskiej, relikwiarz czerwiński, talerz emaliowany króla Alexandra Jagiellończyka, kielich św. Wojciecha w Trzemesznie, dwa kielichy Dąbrówki w Trzemesznie, patyna do jednego kielicha: nadto cztery litografowane tablice, przedstawiające dokładnie wszelkie szczegóły tych szanownych zabytków. Dołączony już mamy do 22 zeszytu spis chronologiczny tablic pierwszej seryi „Wzorów” podług wieków: dwa bowiem ostatnie tej seryi zeszyty, za dni kilka wyjdą na widok publiczny. Zarazem mamy dołączony prospekt na drugą seryą tej jednej z najważniejszych publikacji literackich u nas; z niego dowiadujemy się, że IIga serya co do ceny prenumeraty pozostaje jak na pierwszą seryą, i zeszyty zacząć wychodzić już w b. m. W tej drugiej seryi dla historii ubiorów w Polsce bogatym źródłem będą tablice przedstawiające koronacją Alexandra, cechy miasta Krakowa (ze sławnego rękopisu Bema), portrety Zygmunta Augusta i trzeciej żony jego Katarzyny (wedle Kranacha). Dla sztuki krajowej ważnymi pomnikami będą: Wila Stwosza grobowiec Kazimierza Jagiellończyka, i wierzch ołtarza wielkiego u Panny Maryi w Krakowie; relikwiarz na głowę ś. Stanisława, najpiękniejsze dzieło sztuki złotniczej w Polsce; krzyż Kazimierza Wiel. ze skarbca katedry krakowskiej; tarcza przedstawiająca bitwę Leszka Czarnego z Jadzwingami, ze zbrojowni historycznej drezdeńskiej; obraz Matki Boskiej, w oprawie ozdobnej drogiemi kamieniami, własność niegdyś królowej Maryi Ludwiki. Starożytność przedstawi nam swoje zabytki, jakoto: intule i pierścień pasterski św. Stanisława; puchar szklany św. Jadwigi; łyżkę i sztuciec ś. Kingi czyli Kunegundy, i malowanie w kościele lundkim, przedstawiające Mieczysława Starego fundatora tej świątyni.

— Jużśmy wspomnieli o zamierzonym wydaniu w jednym zbiorze pism Marcina Molskiego. Teraz ogłoszony został prospekt przez wnuka wierszopisarza p. Wiktor. Radlińskiego. Pisma Marcina Molskiego wyjdą w 2 tomach z ryciną. Czy znajdą czytelnicy w tym zbiorze jak prospekt mówi „Obraz czasu, moc geniuszu i prawdy, trafny sąd i rozwój dzieł z literatury naszej”, to bardzo wątpimy, bo jak Molski geniuszu nie miał, tak nie był zwolennikiem prawdy, i zawsze się z nią mijał, a pochiebstwem nadstawiał; dosyć przeczytać jego biografią w Życiorysach znakomitych ludzi. Radzi jesteśmy wszelako wydaniu temu, lubo wątpimy, aby było zbiór zupełny. Zawsze to postać ciekawa, na którą uwaga narodu była zwrócona w długich latach, przy braku pism peryodycznych literackich, ztąd każdy wierszyk jego chętnie przepisywany, obiegał wszystkie zakątki Polski.

— Okład drugi kramu malowniczego, w sześciu obrazach, wyszedł na widok publiczny. Szanowni prenumeratorowie raczą takowy ode-

brać z miejsc, gdzie przedpłatę złożyli. Okład ten, drugi z porządku, obejmuje: 1) Portret Abrahama Sterna, pierwszego wynalazcy maszyny rachunkowej, rytowany na miedzi. (Oddział V nr. 1).—2) Mordko czapnik z Jadowa, czyli przymiar czapek na jarmarku. (Oddział I, nr. 7).—3) Jarosławiak z orzechami, typ ludowy Warsz. z dawniejszych czasów. (Oddział II, nr. 1).—4) Wylew Wisły 1844 roku czyli poranek przy ulicy Rybaki. (Oddział III, nr. 2).—5) Obrazy wiejskie. Dzień Wielko-Sobotni czyli święcenie jadła pod figurą. (Oddział IV nr. 1).—6) Poranek w Ostrowcu (guber. radom.) czyli zbieranie się na jarmark. (Obrazy mało-miejskie nr. 1). Okład III jako ciąg dalszy, ile możność dozwoli wyjdzie w swoim czasie, o czém pisma domosą.

— W zakładzie artystyczno-litograficznym Maxym. Fajansa wyszła w tych dniach własnym nakładem: „Modlitwa Pańska” w ozdobnym ornamente w kolorach odbita, po kop. sr. 50.—W tymże zakładzie wyszło także powtórne wydanie obrazu „Cudownej Matki Boskiej” w tym samym formacie, sposobem chromolitograficznym, po cenie niższej kop. sr. 75, robiąc dla publiczności przystępniejszém nabycie tego pomnika świętego odległych wieków. Obrazy Matki Boskiej i Ojciec Nasz w kolorach są do nabycia we wszystkich księgarniach warszawskich i prowincjonalnych.

— Znany archeolog J. Łepkowski wygotował rozprawę p. n. „Broń sieczna w ogóle i w Polsce, uważana archeologicznie” z 30 rycinami mieczów różnych wieków z grobowców królewskich i innych.

— Znany tłumacz dzieł Platona b. professor F. Kozłowski, wykończył w rękopiśmie: Dzieje Mazowsza za panowania książąt, czyli od czasów pierwiastkowych do r. 1526, to jest do chwili włączenia Mazowsza do Korony. Tłumacz M. Galla, Hippolit Kownacki, w Pamiętniku warszawskim z r. 1820 (w tomie XVIII) ogłosił pierwszy: Dzieje w księstwie mazowieckim, obejmujące tenże sam okres historii Mazowsza, ale był to tylko zrobiony początek. Od tej pory przybyło wiele nowych materiałów: prace H. Gawareckiego, Historia Prus Voigla, Starożytna Polska T. Lipińskiego i Balińskiego, Kodex dyplomatyczny Ryszczewskiego i Muczkowskiego, oraz wiele drobniejszych szczegółów wydobytych i ogłoszonych drukiem. Po dziejach Mazowsza, oddzielną część tu stanowi: Stan wewnętrzny Mazowsza za panowania książąt, oraz w XV i XVI wieku za Zygmunatów: granice, rozległość, podział, ludność, miasta, handel, rolnictwo, pasterstwo, stan towarzyski, duchowieństwo, panowie, urzędnicy, szlachta drobna, mieszczenie i żydzi, wojewodowie, kasztelani, starostowie. Charakter i obyczaje Mazowszan, dwory, ubiory i sposób życia. Oświecenie w Mazowszu. Kończy spis chronologiczny książąt panujących w Mazowszu.

— Krakowianin, młody rzeźbiarz Henryk Stattler, syn znanego malarza, pracuje obecnie w Rzymie. Kommissya rozpoznawcza tej stolicy katolickiej z 12 najznakomitszych artystów złożona, zwiedziła jego pracownię, i wybrawszy jedno z dzieł wykończonych, oceniła za godne, by na wystawie paryzkiej należało do tych, co mają przedstawiać stopień doskonałości sztuk we Włoszech. Jestto popiersie jednego z obywateli księstwa poznańskiego. Dzieło to już się znajduje w Paryżu na wystawie.

— Staraniem i nakładem Spółki jedwabniczej wydana została: „Pobieżna instrukcja wychowu jedwabników, w głównych zarysach podana” arkusz druku obejmująca. Instrukcja ta praktycznie naucza chowu jedwabników, i postępowania celem otrzymania oprzędów. Każdy uczestnik Spółki pomienionej otrzymuje takową bezpłatnie. Przedmiot ten żywe obudza zajęcie, bo w naszym kraju rolniczym może rozwinąć przemysł nieznan, i być źródłem prawdziwego bogactwa krajowego. Doprowadzenie do skutku spółki jedwabniczej i energiczny jej rozwój, zawdzięczamy p. Alexandrowi Kurcowi współredaktorowi naszego pisma, który wybrany dyrektorem tejże Spółki, z całym poświęceniem nie żałuje i pracy i trudów. W r. b. zakłada rozwijalnią oprzę-

dów, i tegoroczne oprędy zakupywać będzie po cenie kop. 50 czyli złp. 3 gr. 10 za funt. Wkrótce obszernie sprawozdanie złożymy naszym czytelnikom o zawiązaniu spółki jedwabniczej, i jej działaniu.

— J. N. Kurowski ogłosił prenumeratę na dzieło: „Wyrabianie spirytusu z buraków, uważane jako najpewniejszy środek produkowania tanio mięsa i chleba, a zarazem powiększenia plonów różnych ziemioplodów.” Obejmować ma od 13 do 15 arkuszy w 8-ce, i 2 tablice rycin. Kosztować będzie rs. 2.

— Ze *Libowa* nadeszła powieść J. Kraszewskiego p. n. „Czercha mogiła” i szkice Dzierzkowskiego. — Powieść Hen. Cieszkowskiego „Postępowi” umieszczona w Gazecie Codziennej, wyszła teraz oddzielnie.

(*Wyjątek z listu Władysława Syrokomli do K. Wł. W.*). „Wspomniałem w przeszłym liście, że i jam się włóczył po cmentarzach, i jam notował, rysował grobowce, i ja się gotowałem do podobnego twojemu o „Cmentarzu Powązkowskim” dzieła. Ale nie wyczerpałem rzeczy do końca: bo jam się gotowałem do opisywania cmentarzów wileńskich, a był ktoś, co już nad nimi pracował, i pracę swoją przeznaczył do waszej Biblioteki. Tym pracownikiem jest znany starożytnik pan A. H. K. którego pięknej pracy czytaliśmy nawet początek. Ten wyczytawszy w pismach publicznych wyciąg z mojego listu, lękając się, aby ludzie świadomi moich z nim stosunków, nie pomyśleli, że on skorzystał z moich notat, wstrzymał się z ogłoszeniem swęj pracy. Skrupuł zbyteczny, ale usprawiedliwiony wielą miejscowemi względami. Nie chcąc pozbawiać literatury naszej żadnego pocziwego nabytku, oświadczam uroczyście, że pan A. H. K. nie widział ani w oczy moich notat, gdy ja przeciwnie, który czytałem część jego rękopismu, prędzej mógłbym być pomówiony o plagiat, gdybym wystąpił z podobnem dziełem.

„Nie czytałem odpisu mi p. Bartoszewicza w Dzienniku Warsz.; słyszę bohaterski, a co większa, że fortelem niepraktykowanym w dziejach rębactwa, mierząc do mnie płatnął po archeologicznej łysinie naszego Tyszkiewicza. Tak żwawy zwolennik szlachetczyzny, zapomniał, że nasi sejmikowi rębacze nazwaliby poprostu takiego duellistę, który zamiast przeciwnika, rani obok stojącego, Bogu winnego duszę spektatora. Nie chcemy szanować naszej godności osobistej, to szanujmy przynajmniej nasz karmazyn, a z pod zasłony naszej herbownej tarczy, nie płatajmy zamorskich ligłów. Donoszę wam o nowych moich pracach. Napisałem *Chatę w lesie*, dziwactwo dramatyczne w pięciu ustępach wierszem. Nakładcą tego dziełka jest księgarz tutejszy A. Ass, który ją drukuje w zasłużonej oddawna, a teraz zreformowanej, i zaopatrzonej w rozmaitego rodzaju elegancje drukarskie, olicynie A. Marcinińskiego. Księgarnia Kubena Ratałowicza nabyła u mnie mały poemat p. t. „*Córa Piastów*” który naprzód ma być ogłoszony w Gazecie Warszawskiej; obecnie pracuję o ile dozwala zdrowie i kłopoty nad drugą częścią tejże *Chatki*. Pierwszy raz występując w formie coś naksztalt dramatycznej, drzę ze strachu, jak też to przyjmą, a przyznam się, że jeśliby mię dobrze przyjęto, pomyślałbym o napisaniu porządnej komedyi. Od czasu, jakem się odczarował nieco od światła, uczuвам w sobie Demokrytowe pochopy, dopatrywania we wszystkim strony śmiesznej: gdyby dowcip, czuję że toby mi przyszło bez trudności, bo jak obaczycie w pierwszej części *Chatki*, charakterystyka dosyć mi się udała.

— Księgarz S. H. Merzbach wydał: „*Spotkanie*” krotosfila w 1 akcie ze śpiewkami. „*Stary jegomość*” komedya w 1 akcie, obie tłumaczone z francuzkiego i grane na teatrze Rozmaitości.

— Józef Korzeniowski kończy nową powieść „*Wyprawa po żonę.*” Dr. Teodor Tripplin przygotował do druku nową powieść p. n. „*Kobieta z głową.*” Księgarz Nowolecki rozpocznie druk dwut. mowęj powieści Alex. Niewiarowskiego p. n. „*Życie na żart.*” Księgarz Bernstein ma drukować w oddzielnej książce: „*Lichwiarzy warszawskich*” Wacława Szymanowskiego, którzy się drukują częściowo w Dzienniku Warszaw.

— Drukarnia w Wilnie Józefa Zawadzkiego ogłosiła prospekt na przedpłatę dzieła: „*Listy z Krakowa, w 3 tomach Józefa Kremera.*” Pro-

spekt cały obejmuje 16 stronnic ścisłego druku: jestto pierwszy w tak obszernych rozmiarach. Gdyby był wzorem naszych powieści trzech lub cztero-tomowych drukowany, stanowiłby sam tom gruby niewątpliwie. W nim wydawca tłumacząc autora z zarzutów, że wydawszy przed 12 laty tom pierwszy, dopiero teraz dalsze tomy stanowiące całość ogłasza; uwiadamia zarazem: że ten tom w znacznej części poprawiony i licznymi dodatkami zbożacony, w powtórném wydaniu wraz z 2 i 3 łącznie się drukuje. Treść listów zawartych w całym dziele pokazuje całe bogactwo przedmiotu. Trzy pomienione tomy obejmą 1300 str. Kosztują w prenumeracie rsr. 6 k. 50, z przesłaniem pocztą rsr. 7, za granicami Cesarstwa rsr. 7 k. 50. Portret autora będzie przyłączony. W ciągu 4 miesięcy całe dzieło ma wyjść z pod prasy. Niewątpliwie, że praca ta znakomita znajdzie licznych zwolenników, i dozna rzetelnego współczucia.

Lwów (wyjątek z listu A Bielowskiego) „U nas niewiele nowego na polu literackiem. Szajnocha drukuje tom drugi „Jadwigi i Jagielły” a trzeci i ostatni wykończa. Henryk Szmitt drukuje dalej swój: „Rys historyi polskiej. Książd Sadok Barącz: „Historyą Ormian w Polsce” nakładem W. Manieckiego. Są też pod prasą dalsze „Roczniki towarzystwa agronom. w Galicyi” i rozmaite kazania, tudzież książki nabożne.

Kraków (z listu). „Józef Kremer pracuje teraz nad opisem podróży swojej po Włoszech. Z. Helcel drukuje w drukarni uniwersyteckiej najdawniejsze nasze statuta.

— Julian Bartoszewicz przygotował do druku przekłady wierszem miarowym następujących dramatów: „Silvio Pellico: Franczeska z Rimini (grana na teatrze warszawskim), Eutemia z Messyny w 5ciu aktach. Oehlenschlägera: Hagbart i Sygna, i Antonio Corregio. „Auffenberga: Dom zaczarowany, w 5ciu aktach. Halma „Gryzelda.” Puszkina: Borys Godunów. „Bulweia: prawo rodu.

— Palacky urzędowy historyograf Czech, wygotował niektóre części dziejów swego narodu po niemiecku. Od r. 1848 zaczął wydawać tę historyą po czesku, powiększoną i przerobioną. Z góry zakreślił sobie plan na kilka tomów; każdy tom miał obejmować pewien okres, tę a nie inną część dziejów. Tak więc mógł poedyńczo wydawać tomy. Trzeci np. wydał przed pierwszym, w miarę tego jak materiałów starczyło, i jak pewne okresy mógł wyrobić, prędzej lub później. Tak czeskiego tekstu pierwsza część wyszła jeszcze w r. 1848; część druga zaś tegoż tomu wyszła dopiero w r. 1854. Tomu 2 nie ma; tomu 3 jest pierwsza połowa. Julian Bartoszewicz przetłumaczył na język polski tom pierwszy, ale ubogacił go wielce przypisami, w których dopełniał tam, gdzie rzeź dotyczyła spraw polskich. Przez to przekład p. Bartoszewicza będzie więcej zajmującym dla czytelników naszych, niż sam oryginał Palackiego. Dwa wyjątki z tej pracy drukował J. Bartoszewicz w Dzienniku Warszawskim 1853 r.: „Poetyczna historya Czech; i rozdziały: Spory pomiędzy syuami Wratysława.”

† Dnia 19 kwietnia r. b. w mieście Betchatowie, powiecie piotrkowskim, umarł ś. p. Stanisław Kaczkowski w wieku życia 68. Znanym był i sumiennym badacz dziejowy, który wielą pracami zbożacił gałąź literatury naszej historycznej.

† Dnia 3 czerwca r. b. umarł w Gdańsku w sędziwym wieku, bo przeżywszy 91 lat życia, znany powszechnie i szanowny literat ks. Mrongowius, pastor gminy gdańskiej protestanckiej polskiej.

† Dnia 8 czerwca r. b. umarł w samym kwiecie wieku Ludwik Witkowski w 22 roku, po krótkiej chorobie w Warszawie. Zapowiadał on pracownika gorliwego i sumiennego na polu dziejów krajowych. W zeszytce majowym r. b. drukowaliśmy ś. p. Witkowskiego: Uwiejów, szkic historyczno-statystyczny.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.

Maj, 1855.

	m.	g.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	747.162	27	7.214
Najwyżej barometr dochodził d. 25 o g. 6 r.	753.12	27	9.855
Najniżej — — — d. 15 o g. 6 r.	738.74	27	3.480
Średnia zmiana dzienna barometru	3.413		1.513
Największa zmiana dzienna barometru d. 14—16 o g. 6 rano	8.95		3.967
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	2.060		0.913
Średnia temperatura maja wynosi:	749.222	27	8.127
i ta jest niższa o	+ 12°.80 C.	+	10°.24 R.
od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	0.77 „		0.62 „
Największe ciepło było d. 31 o g. 4 w.	13.57 „		10.86 „
Najmniejsze było d. 7, o g. 6 r.	25.7 „		20.56 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.0 „		1.60 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 8—9 o g. 4 wiecz.	3.125 „		2.500 „
Termometrograf wskazał:	11.0 „		8.80 „

Maximum: +20°.7 R. d. 31 po połud.

Minimum: + 1°.3 „ d. 8 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 73.1 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 8.36 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.05 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 60.9 mil. czyli 27.00 lin. par.; ilość ta wody jest o 1.07 lin. par. większa; od tej jaka średnio u nas w maju spada.

Dni pogodnych było 3, napół pogodnych 14, pochmurnych 14.

— deszczu 18 (d. 2, 3, 5, 6, 7, 9, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 24, 29, 31).

— gradu 1 (d. 16).

— mgły 2 (d. 13, 27).

— grzmotów 2 (d. 6, 29).

— błyskawic bez grzmotów 3 (d. 5, 6, 31).

Wichrów było 5 (3 PdZ., 1 Pn., 1 W.).

Wiatrów mocnych było 9 (2 Pn., 2 PnZ., 2 Z., 2 PdZ., 1 PnW.).

Wiatr panujący południowo-zachodni; częste były także zachodnie i północne.

Maj r. b. przy niskim stanie barometru, w pierwszej połowie był niepogodny, wilgotny, wietrzny, w deszcz obfity i dość chłodny; w drugiej a osobliwie przy końcu ciepły, pogodny, w ogóle przeszło o pół stop. R. chłodniejszy niż zwykle. Najcieplejsze dni były d. 5, 22, 23, 28, 29, 30, 31; Najchłodniejsze d. 1, 2, 3, 7, 9, 10. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był niepogodny; w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół-pogodnych i pochmurnych jest jak 5.8:13.8:11.5; w r. b. stosunek tychże dni jest 3:14:14. W skutek chłodnego stanu powietrza osobliwie w początku miesiąca wegetacja znacznie spóźnioną została. Grzmot pierwszy raz dał się słyszeć d. 6.

D. 7, 16 pokazywały się plamy na słońcu.

D. 29 o godz. 11 wiecz. koło białe otaczało księżyc.

SPIŻ SŁOWACKI.

PRZEK

Ludwika Zejsznera.

Na granicy zachodniej i w części południowej Spiża mieszkają sami Słowacy, obszernie rozpostarci w północnych Węgrzech, liczebnie stanowiący największą część ludności tego hrabstwa. Okalają oni ze wszech stron Niemców siedzących pod Tatrami, jakby wyspę wśród morza słowackiego. W zachodniej części Spiża, chociaż teraz żyje czysto słowacka ludność, przyległe wioski i góry zatrzymały dotąd nazwy niemieckie; spotykamy wprawdzie i słowackie: pierwsze coraz bardziej idą w zapomnienie, gdy drugie lepiej znają mieszkańcy. I tak: Łuczywnę nazywano dawniej Lausenburg; górę Kienberg znają teraz powszechnie jako górę Łuczywiańską i t. d. Wysokie Alpy tatrowe ostatniej wielkiej doliny spizkiej, w której Poprad bierze początek, noszą już czyste słowackie miana, jakoto: Wysoka, Kończysty, Tupa (tępa) i t. d.

Poprad jest jedyną rzeką węgierską, której wody po odbyciu bardzo szczególnego przepływu, wpadają do morza Północnego, do morza Bałtyckiego; wszystkie inne rzeki węgierskie, bez wyjątku, zmierzają do morza Czarnego. Poprad z początku ma kierunek z północy na południe: wypłynąwszy jednakże z Tatrów, zwraca się nagle na wschód, na tej drodze przyjmuje w siebie wszystkie rzeki bardziej wschodnie, spadające z Tatrów, i w tym kierunku płynie jeszcze około

6 mil ku wschodowi, zwraca się nagle na północ, przedziera się przez Bieskidy, pod starym Sączem wpada do Dunajca, a tem samém do morza Bałtyckiego.

Dolina Popradu jest godna widzenia; podobnie jak poprzednie, pełna wspaniałych widoków, sterczących skał i szumnych wodospadów. Prawie na początku dzieli się ona na dwa ramiona, a u stóp wirchów Batyaszowskiego i Miękusowskiego, są zwierciadlane wody znakomitego jeziora, zwanego Rybie plesso Popradowe. Plessem nazywają jezioro Słowaki; wielkość jego wyrównywa prawie naszemu Rybiemu jezioru czyli Morskiemu oku, potrzeba bowiem godzinę czasu, aby je obejść. Chociaż to jezioro leży 4,510 stóp nad zwierciadłem morza, a zatem 300 stóp wyżej od polskiego Rybiego, żyją w niem obficie pstrągi, co rzadką jest rzeczą w Tatrach, a drugim znanym przypadkiem.

Nasamym początku wschodniego ramienia Popradowej doliny, wśród wysokich szczytów jest małe jezioro, w końcu zachodnim zaś dwa inne: z tych niższe, dosyć znaczną zajmuje przestrzeń, wyższe nierównie mniejsze. Pierwsze z nich nazwane Hinczowe plesso, jest dobre ćwierć mili długie, a według Wahlenberga, 5,835 stóp wyniesione nad morze. Mnóstwo białych płatów, śniegu i lodów, pod któremi, lud prawi, że leżą bogate żyły złota, świeci się pomiędzy zielonym kobiercem i siwemi rozrzuconemi skałami. W dolinie Popradu wznoszą się drzewa wyżej aniżeli zwyczajnie w Tatrach; i tak, nad Rybiem plessem sięgają jodły do 4,600 stóp, a nad Hińczkowem dochodzi limba do 5,900 stóp.

Łuczywna. Widok na tę część Tatrów z Łuczywny należy do najponętniejszych obrazów; bardziej jest malowniczy od widoków z Kesmarku lub z innych miasteczek w pobliżu leżących. Aby widok sprawiał tak wielkie wrażenie jak ten, który się przedstawia z Łuczywny, potrzeba pewnej odległości; ta właśnie jest w tej pięknej siedzibie. Smukły Kończysty, wspaniała Wysoka, a na samym końcu Krywań, grupują się arcywspaniale.

Zewnętrzność zabudowań dworskich Łuczywny jest skromna, lecz odznacza się dobrém mieniem. Przy samej drodze wznosi się dwór murowany o piętrze, któ-

ry wraz z budynkami gospodarskimi, sadami, otacza biały mur. Wahlenberg wyznaczył 2,231 stóp nad poziom morza wyniesienie tego miejsca. W środku podwórza dobywa się sztuczny wodotrysk, którego wody zasilają sadzawkę obwiedzioną ciosem: w niej chowa właściciel, p. Szakmary, nieprzeliczone pstrągi. Był to prawdziwy typ szlachcica węgierskiego; wszystko co go otaczało, nosiło piętno jego pracy i życzeń. Miał też dosyć czasu według myśli się urządzić, bo kiedy go poznał (1851 r.) liczył już sobie 87^{my} rok życia. Przed pięćdziesięcią laty zasadził przed domem kilka limb (*Pinus cembra*), sprowadzonych ze szczytów Tatrowych, i doczekał się bardzo pięknych drzew, rodzących wielkie szyszki z orzeszkami. Drzewo to nie tylko jest pożytecznym jako materiał, ale nader jest ozdobnym; gdyby było w naszych ogrodach upowszechnione, stanowiłoby niemałą ich ozdobę. Korona limby ma ujmującą postać, gęste śpilki nadają mu miłą ciemną zieloność. W dwadzieścia lat później, w nierównie większych wymiarach znów zasadził limby p. Szakmary w parku na pochyłości przyległego pagórka, i doczekał się tu pięknych alei limbowych. Jedyny to podobno ogród na Węgrach z drzew tego rodzaju. Nie przestał na tym jeszcze ten czynny człowiek: przekonawszy się że dobrze rośnie w niższym położeniu limba, obsiał nią dwie morgi przyległej góry wśród lasu, i te bujają bardzo dobrze. Spodziewać się należy, że ten najlepszy gatunek śpilkowego drzewa, będzie można ogólnie rozpowszechnić w okolicach Łuczywny. Czyli się limba da zaprowadzić w naszych cieplejszych równinach, doświadczenie okazać musi. Nie masz jednakże wątpliwości, że mamy niejedną okolicę, której stosunki klimatyczne odpowiadają prawie klimatowi Łuczywny. Ze wszech miar zasługuje to ważne drzewo na uwagę lubowników ogrodów i leśnictwa.

Nie tak pomyślnie udało się p. Szakmaremu przynieść z gór na dolinę inną sosnę tatrową: kosodrzewinę (*Pinus mughus*), którą również zasadził w swoim ogrodzie. Krzaki te rosły pewien czas bujniej aniżeli na szczytach gór, lecz wejrzenie ogólne miały chorobliwe, nie okrywały się gęsto śpilkami: poblądłe, przedstawiały obraz chorowitej niknącej rośliny. Czyli po-

teżne drzewo do sosny pobobne, w krakowskim botanicznym ogrodzie podawane za wyrostę z koso-drzewiny tatrowej, jest nią rzeczywiście, bardzo powątpiewam.

P. Szakmary sadził tytoń w swych ogrodach, i zapewniał mnie, że przez dziesięć lat w liściach przechowany, wydawał wyborną woń przy paleniu. Ta roślina bardziej południowego pasu ziemi, udaje się łatwiej u stóp góry Tokajskiej, gdzie jej ciepłe słońce sprzyja, aniżeli tam, gdzie podhalowe powiewy dmą od szczytów Batyaszowskiego lub z Kończystego. Każdy klimat ma swoje właściwe rośliny: trzeba poddać im przyjazne warunki, a wtedy będą dorodne i silne.

Dwór Łuczywny aczkolwiek obszerny, nie odznacza się niczem: jest to zwyczajny budynek, a architekt jego nie starał się dzieło człowieka wprowadzić w harmonię z uroczystością wielkich dzieł przyrody, które go otaczają. Zwyczajem upowszechnionym w północnych Węgrzech, wszystkie okna na dole i na piętrze mają kraty żelazne: w dworze Łuczywny, nawet na kilka wzorów zostały wyrobione: jedne są skośne, inne wypukłe wychodzą z poza płaszczyzny muru. Ślusarz widać wszelkiego dokładał starania, aby uczynić ozdobnymi te reszty niepewnego stanu własności. Powszechnie w Węgrzech domy nie celują architekturą: stawiacze ich mieli wzgląd li na wewnętrzną wygodę, i tém głównie zaleca się dwór Łuczywny. W jednej części jego jest mieszkanie pana domu, na piętrze pani i dzieci; osobna strona przeznaczona na pokój jadalny i spiżarnią, a kilka pokoi na dole służą do przyjmowania gości.

P. Szakmary opowiadał mi ciekawe szczegóły o swoim teściu, sławnym Beniowskim, którego sobie jeszcze przypominał jakby przez mgłę. Beniowski pochodził z hrabstwa Nitrzańskiego (Neutrauer Comitatu), gdzie ta szlachecka familia licznie rozrodzona żyje dotąd; czyto że nie posiadał znaczniejszego majątku, czy wiedziony chęcią szukania przygód, przybył na Spiż, i zajmował się gorliwie alchemią, rozmyślał nad odkryciem sposobu wyrabiania złota i srebra, tudzież napoju zapewniającego wieczne życie. Umysły niybto wyższe, ogólnie zajmowały się w tych czasach na Spiżu temi marzeniami; na-

wet dotąd zachował się niejedyn zwolennik alchemii w podtarzańskich miasteczkach. Zupełnie podobny objaw mistyczny, widzieliśmy niedawno ze stolikami: iluż ludziom przewróciła się głowa! Beniowskiemu miało się udać wyrabiać tak nazwane argent hachée, pewien rodzaj pakfongu, czyli spiżu. Poznano się wszakże na tém podejściu; Beniowski nie mając nic do czynienia w tych stronach, zamierzył szukać szczęścia w Polsce. Właśnie wybuchły tam zamieszania wywołane przez konfederacyą Barską. Beniowski chwycił się zbierania po miastach spiżkich ochotników dla konfederatów, lecz doznał w tém przeszkody: na rozkaz ówczesnego starosty spiskiego schwytanym został w miasteczku Felka, i odprowadzony na zamek Lubowieński. Gdy się zajmował robotą srebra i złota, poznał Beniowski młodą pannę, córkę tamtejszego obywatela, która się w nim pokochała. Dowiedziawszy się o jego uwięzieniu, i zebrawszy nieco pieniędzy, z kilkoma sukniami udała się do Lubowni, i ułatwiła Beniowskiemu ucieczkę; na drodze dał im ślub ksiądz ruski, i udali się razem do Polski. Beniowski połączył się z konfederatami, lecz wzięty do niewoli rossyjskiej, odesłany został do Kameczatki, żona zaś wróciła do Węgier. Nie będę powtarzał jak się Beniowski wydobył z tamtąd i jak zdobył wyspę Madagaskar dla rządu francuzkiego; ogólnie to jest wiadomem z jego kilku-tomowych pamiętników. Ale rząd francuzki słabo wspierał Beniowskiego na téj afrykańskiej wyspie; aby wyjednać pomoc, udał się do Paryża. Widząc, że go tam mało wspierają, udał się do Londynu, lecz i tam niewiele co wskórał: wrócił się do Paryża i przedstawił się Józefowi IImu cesarzowi niemieckiemu, który właśnie odwiedzał siostrę, królową Maryą Antonettę. Cesarz Józef dał mu amnestyą, a zarazem dowództwo pułku Szeklerów w Siedmiogrodzie. Kilka lat dowodził nimi Beniowski, ale jego czynnemu, albo raczej awanturniczemu umysłowi, było zabardzo jednostajną rzeczą, dowodzić pułkiem w pokoju. Cesarz Józef oddał mu zarząd kraju Fiume; ale ta posada sprzykrzyta się niedługo Beniowskiemu, marzącemu ciągle o zdobyciu Madagaskaru. Połączywszy się z kilkoma majątnymi osobami, uzbroił dwa okręty i wy płynął dla podbicia

utraconej wyspy afrykańskiej, zostawiwszy powtórnie żonę z dziećmi w Węgrzech. Ale przyjazna gwiazda opuściła już Beniowskiego: po długich bitwach i niepowodzeniach, zginął w obronie twierdzy, i tak zakończył swe pełne przygód życie. Jedna z córek Beniowskiego, niepospolitej piękności, poszła za p. Szakmarego; a że rodziła same córki, stało się to przyczyną niesnasków w tém małżeństwie, a wreszcie przyszło do rozłączenia. Najstarsza ich córka poszła za męża za p. Ujhazy, obergeszpana hrabstwa szaryskiego; w Komarnie (Komorn) zastały jej męża wypadki 1849 roku. Po kapitulacji tej twierdzy udał się p. Ujhazy wraz z swą ukochaną żoną i dziećmi do Ameryki północnej. W państwie Jowa, jednej z nowoutworzonych prowincyi, w środku dziewiczych lasów, mając za sąsiadów dzikich Amerykanów z czerwoną skórą, założył nową budę. Ale niedługo żyła jego żona, która równie do Ameryki wyszła; wśród tęsknoty zakończyła życie w tymże roku, w którym jej ojciec zgasł na rodzinnej ziemi (1852).

Mieszkający tutaj i w okolicy Słowaki, należą do jednego z najpiękniejszych rodów, jaki miałem sposobność gdziekolwiek uważać. Bardziej smukłych a silnych mężczyzn nie masz na ziemi: postawa ich może służyć za doskonały wzór piękności fizycznej człowieka. Nie można powiedzieć tyle na korzyść niewiast: silne i zdrowe, największą mają zaletę, że rodzą tak dorodnych synów. Trudno nie przyznać, że na wydanie tak odznaczającego rodu, wpłynęły głównie stosunki fizyczne. Nietyle zawisło to od rodzaju pokarmu, który nie musi być obfitym, wnosząc z niezbyt szczerzej urodzajności gruntów, jako raczej są skutkiem czystej, doskonałej wody, i tego lekkiego świeżego powietrza górskiego, którym się ta dolina odznacza. Wypadałoby te stosunki fizyczne na ogólniejszy pożytek obrócić, i założyć instytut do wychowania młodzieży wątłego zdrowia. Świeże powietrze, wspańska przyroda przy należytem nadzorze, powinnyby poprawić osłabione dzieci. Od Łuczywny na zachód zwięża się droga widocznie, i wśród miłego krajobrazu, wśród nieprzebranej różnaitości widoków, postępowaliśmy dobre pół mili do liptowskiej wioski Styrby

(Strba), którą po madziarsku piszą Csorba (wymawiaj Czorba), i tu żyje toż samo olbrzymie plemię słowackie. Granicę pomiędzy Liptowem a Spiżem stanowi mały strumyk, na którym piękny kamienny most wystawiono; po dwóch jego stronach wyryto napisy na słupach kamiennych „Sepez i Lipto“ (Spiż i Liptów).

Góry porfrowe przy Łuczywny. Na południe od Łuczywny wznoszą się niższe góry nader malowniczo zestawione; chociaż niezbyt wysokie, nadzwyczajnie są strome i głęboko podarte. Wzniesienia tych gór nie znamy dotąd; szacując je na oko, zdaje się że 600—800 stóp wznoszą się nad poziom Łuczywny. Bujne a gęste lasy, po większej części liściowe, rosną w ich spodnich częściach; wyżej świerki i jodły, a w nich chowa się obficie zwierzyna. Góry te składają się z bardzo twardej skały, z czerwonego porfiru z białymi znakami, których figury przypominają na pierwszy rzut oka litery sanskryckie. Często na dnie strumyków tych dolin, leżą liczne bryły przepętnione temi dziwacznymi znakami: od barwy ciemno-czerwonej lub brunatnej porfiru, odbijają się pojedyncze białe kryształy minerału zwanego feldspat; kryształy te zrastają się po dwa lub trzy, a nawet i więcej, w gwiazdki, krzyże, niekiedy półkrzyże, i wydają te znaki. Porfiry łuczywiańskie są bardzo twarde, polerowane dałyby jeden z najwytworniejszych kamieni. Ale w tych stronach nie masz potrzeby posiadania przedmiotów sztuki; nie dlatego, iżby w Węgrzech nie było dosyć dostatku, ale z braku estetycznego wykształcenia ludności. Mieszczanie licznych miasteczek Spiża nie posiadają znaczniejszych majątków i nie uczuli potrzeb wyższych umysłowych; szlachta stanowiąca istotnie zamożną część kraju, dzieli w znacznej części tenże kierunek z mieszczanami, i mało okazuje pociągu do dzieł umysłowych. Potrzeba sztuki, uczucie dla niej, rodzi się zwyczajnie tam, gdzie ludność doszła do dobrego mienia i nie potrzebuje myśleć o pierwszych potrzebach. Wtedy budzą się u niektórych narodów potrzeby zagłębiania się nad przyczynami wszech rzeczy, a wyobraźnia stwarza dzieła piękna, zaspokajając tym sposobem najszlachetniejsze żądanie umysłu. Stanowisko cywilizacji w Węgrzech nie doszło do tego kresu; nauki o tyle cenią, o ile dają bez-

pośredni użytek i zapewniają korzyści lub zaspakajają zwyczajną ciekawość: potrzeby poznania praw przyrody, nie znają tutaj wcale: ogół myśli sobie, że to czysto niepotrzebne zatrudnienie. Niemało wpłynęła na zagłuszenie pociągu do badań, które właśnie nasz wiek tak zaszczytnie przed innemi odznacza, chęć rządu: owa chorobliwa namiętność zwalczania na wyborach współzawodników, i stawania na czele władzy swego małego hrabstwa. Wszystkie odznaczające się umysły w Węgrzech, zwracały się prawie wyłącznie do pozornego rządu innemi. Ludność Spiżu, mająca tyle wyższości fizycznej, silna i zdrowa, po upadku feudalnych instytucyj, ma teraz otwarte pole odznaczenia się na polu umysłowém i sztuki, tych ostatecznych celów ludzkości.

Źródła Hernadu. Niedaleko wioski Wikartowce, bierze początek Hernad w potężnej massie skalnej, nazywanej Kralową holą. Już w Wikartowcach ma ta rzeka pozór znaczniejszego potoku, i płynie wpoprzek przez cały Spiż z zachodu na wschód, od Wikartowiec do Włachowa; zkad zwraca się nagle na południowo-wschód, przedziera się kilka mil przez wysokie pasmo złożone z kryształicznych łupków, tak bogatych w metale, i wpada poniżej Mady do Cisy. Wioska Wikartowce należy do rzadko odwiedzanych, i zupełnie zapomnianych; leży w głębokiej dolinie, której stromy bok północny składają porfirowe góry Łuczywny, południowy zaś niższe wzgórze, stanowiące ostatnie odnogi Kralowej holi. Grunta Wikartowiec nader nieurodzajne i mokre, wpłynęły na ubóstwo mieszkańców tej wioski; trudno na Spiżu znaleźć większego ubóstwa i niechlujstwa: domy czarne, walące się; trudno gdzie znaleźć bardziej nieczystych okien, złożonych z drobniejszych kawałków szkła. Grunta niewątpliwie nie wystarczają na wyżywienie tej podupadłej pod każdym względem ludności. Mieszkańcy wzięli się wprawdzie do przemysłu, wyrabiają gonty po całym Spiżu i okolicznych hrabstwach; ale widać, że i ten przemysł nie poprawił ich bytu. Ogólne zubożenie nastąpiło głównie w górskich wioskach węgierskich, jako i innych Karpackich, przez psucie się ziemniaków i zamieszania polityczne.

Przy Wikartowcach jest kilka kopalń srebrnicy (Panabaz, Fahlerz) i miedziarki. Żyły te przerzynają piaskowce bardzo młodego wieku, i to dowodzi, że po ich osadzeniu, następnie wypełniły metale takowe. Od wielu lat pracują w nich z wielkim wysileniem, ale zwracają się ledwie koszta pracy. Za to roją sobie tutejsi górnicy niezmiernie skarby w głębi ukryte; ta nadzieja czyni ich szczęśliwemi, a często głodnemi. Jak nadzwyczajna bięda tutaj panuje, dowodzi najlepiej śmiertelność w smutnym roku 1847: z dwóch tysięcy mieszkańców, umarło z głodu 634, według ksiąg plebańskich; teraz ludność nieco przenosi 1,300.

Hranownica. Dolina Hernadu prawie dwie mile na wschód zatrzymuje zupełnie charakter, jaki poznaliśmy przy Wikartowcach; bardzo wązka ciągnie się pomiędzy wysoko wznoszącemi się pasmami, i pospolicie nie szersza nad ćwierć mili. Za Wikartowcami w pewnych odstępach leżą wioski: Kubach, Krawiany, Hranownica, Szczawnik. Wszystkie nierównie więcej posiadają łąk, aniżeli ornęj roli, i dlatego zajmują się głównie chowem bydła.

W Hranownicy krzyżują się dwa gościńce: wschodnio-zachodni i północno-południowy; na ostatnim panuje zwyczajnie wielki ruch, bo prowadzi do żyznych Węgier, zkąd przybywają nieprzeliczone wozy naładowane zbożem. Droga od Hranownicy na południe wchodzi do malowniczo położonej górskiej wioski Wernar, u stóp góry Popowej położonej, prowadzącej do wyżyny, na której Hron bierze początek, niedaleko Pohorelli w hrabstwie gemerskiem. Na drodze z Hranownicy do Wernaru leżą niezmiernie bryły wapienia (martwicy), często wielkości domów włościańskich, pozostałe z rozbitcia tego osadu. Rozpoznając bliżej te białawe wapienie, przekonałem się, że są osadem wód kwaśnych i są martwicą (Kalktuff), tak pospolitą pod Czerną i Dębem. Teraz nie masz w tej okolicy żadnej znajomej szczawy. Bryły te wśród lasów pięknie grupowane, dałyby przedmiot do niejednego krajobrazu niezwykłej piękności.

Długi grzbiet porfirowy do wału podobny, odgraniczający od północy dolinę Hernadu naprzeciw Hranow-

wnicy, jest dwa razy przerwany; uniano korzystać z téj naturalnej wskazówki, i zrobiono w tych nacięciach dobre gościńce: jeden prowadzi do Popradu, drugi do Szwabowców. Dalej na wschód za Szczawnikiem zniżą się pasmo porfirowe, i ginie nieznacznie pomiędzy pagórkami piaskowca, a Hernad płynie u stóp wyższego pasma Spizkiego.

Od Łuczywny na wschód ciągnie się główny gościńiec liptowski do Lewoczy i Kesmarku, aż do miasteczka Poprad, gdzie się rozczepia: jedno ramię prowadzi do Lewoczy, drugie idzie prosto na wschód do Kesmarku. Ostatni gościńiec dobrze utrzymany, należy do rzędu tych, które niewygaste na podróży zostawiają wrażenie: ciągnie się bowiem u stóp wysokich Alp tatrowych, wśród zmieniających się nieustannie krajobrazów, jednych powabniejszych od drugich.

Ujehawszy dobre ćwierć mili ku Popradowi na Łuczywnę, roztwiera się obszerna, prawie płaska okolica Spiża; widać zdala nieprzeliczone miasteczka i sioła, z każdego wznoszą się wieżyce i obszerniejsze domy. Kraina ta ma wejrzenie bardzo ucywilizowane. Nietyle powabny jest gościńiec lewocki, poczynający się od rozdziału przy Popradzie; droga ta prowadzi wśród żyźnych błon i pagórków. Przy wsi Horzelec znaczniejsze są wzniesienia, piętrzące się coraz bardziej ku Kiszowcom, wiosce położonej u stóp północnego stoku, tyle razy wspomnianego pasma porfirowego. Nazwa jej wskazuje, że posiada kwaśne wody czyli szczawy: w saméj rzeczy kilka źródełek dobywa się w różnych miejscach przy drodze i osadza martwicę, dającą się łatwo po białości zdala poznać; lecz szczawy te są słabe i nieobfite, a nierównie znakomitsze tryszczą w przyległych Andraszowcach i Hórcie. Pierwsze zatrzymujące długo gaz kwas węglowy, bywają rozwożone po Spiżu, i służą mieszkańcom w lecie z winem za zwyczajny napój.

Czwartek. Główny gościńiec prowadzi dalej pod grzbietem porfirowym do Czwartku, obszernej wioski z małym w wytwornym gotyckim stylu wystawionym kościołem, całkiem z ciosu. Jest to jeden z niewielu pomników średniowiecznej architektury na Spiżu, godny wzmianki. Czwartek nosi jeszcze dwie inne nazwy, często wymieniane na kartach geograficznych:

Niemcy nazywają go Donnersmarkt, Madziarowie Cseterhely. Pierwsze można bardzo często słyszeć, lecz drugiego nikt nie zna na miejscu. Słowaki zwyczajnie nie umieją i słowa madziarskiego, wyjąwszy zaklęcia często powtarzanego „teremetem”.

Na Spiżu mnóstwo jest dobrych gościńców, utrzymywanych staraniem przyległych gromad. W Czwartku rozchodzą się dwie bite drogi: do Lewoczy i do Nowej-wsi, czyli Igto. Droga prowadząca do ostatniego miasteczka, ciągnie się prawie równolegle z blizkim Hernadem, a nad nim widać zakłady hutnicze, fryszerki, wielkie piece; z drugiej strony wioski, ozdobione wspinałami dwory, ogrodami, obszernymi zabudowaniami gospodarskimi. Postępując coraz dalej na wschód, niezaprzeczenie wzmagają się dobry byt i zamożność.

Nowa-wieś. Nazwa ta przypomina początek tego miasteczka, składającego się z długiej, szerokiej ulicy, niewielu poprzecznych i rozrzuconych domków, stanowiących przedmieście. Ulica główna ma kierunek z północy na południe; zdobią ją liczne murowane domy piętrowe, wewnątrz zamożnie urządzone. Po znacznym pożarze, który zniszczył prawie trzecią część tego miasteczka w pamiętnym dla Węgrów roku 1849, domy zniszczone pokryto dachówką, schody porobiono kamienne. Ludność Nowej-wsi jest mieszana: składa się z Niemców i Słowaków; pierwsi bardziej zamożni, mają wyższe wykształcenie, trudnią się głównie górnictwem i hutnictwem; Słowaki są rzemieślnikami, wyrobnikami, lub uprawiają rolę. Ćwierć mili od Nowej-wsi, w malowniczym położeniu są kąpiele z pięknym ogrodem, może jedynym w swoim rodzaju. Nie przypominam sobie ogrodu świerkowego, według francuzkiego sposobu założonego: długie, proste ulice, krzyżują się rozmaicie, a wysadzone są samymi świerkami. Nie można zaprzeczyć, że całość, chociaż drzewo to jest godłem smutku, ma sobie właściwy wdzięk.

Kopalnia Johannisstollen. Trzy ćwierci mili od Nowej-wsi na południe, leży znakomita kopalnia Johannisstollen, z hutą do wypalania miedzianki. Nad małym strumykiem wypływającym z doliny Johannisstollen, widać z drogi od Nowej-wsi liczne zakłady hutnicze, wśród bujnych klombów do ogrodów podobnych. Tam

gwoździe krają, tu szyny klepią, w innéj wyrabiają z antymonu metal regulus do trzcionek drukarskich. Trudno spadku wody korzystniéj użyć, jak tutaj; mała ta rzeczutka żywo przypomina fabryczne okolice nadreńskie.

Kopalnia Johannisstollen należy do bardzo znakomitych na Spizu; a lubo w obecnym czasie nie czyni znacniejszego dochodu, bo jéj roboty zapuściły się do znacznej głębokości, a rudy miedzianki w łożu kwarcowym z rzadka rozsiały się; przecież wielu ludzi zatrudnia.

W jednéj z pobocznych dolin założono wielkie łomy łupków do krycia dachów; a chociaż są nieco grubsze, a tém samém ciężkie, przecież wielce są przydatne w całej okolicy. W innéj pobocznej dolinie dobywają gips, używany po większej części do wyrabiania fajansu, znanego na Spizu pod nazwą niemiecką Igloer Steingut, fajans z Nowej-wsi. Największa zaleta tego wyrobu jest niska cena i łatwość nabycia. Że zakład ten jest znacniejszym, dowodzą obszerne zabudowania fabryczne, wznoszące się niedaleko huty miedzianéj.

Od Johannisstollen prowadzi droga do gemerskiej stolicy ku Roznawie przez góry i gęste lasy, wybornie utrzymywane według zasad leśnictwa. Spuściwszy się z wierzchu, wchodzimy do głębokiej doliny Hnilca, którą niżej opiszę obszerniej.

Kotterbach i Poracz. W stronie południowo-wschodniej, o małą milę od Nowej-wsi jest jedna z najznakomitszych kopalń teraz na Spizu, Kotterbach; nazywana także kopalnią w Poraczu. Kopalnie te rozciągają się w dolinie, powszechnie od Niemców zwanéj die Kotterbach, od Słowaków, na Kotterbachu. Na końcu téj mocno pochytej doliny wznosi się w malowniczym położeniu wieś Poracz.

Prawie środkiem téj głębokiej a wązkiej doliny, której nazwa z niemieckiego pochodzi od Kupferbach, ciągną się dwie żyły znakomitej grubości, wypełnione srebernicą i miedzianką, i mające tę wielką zaletę, że rudy nie poprzerastały, albo niewiele obcych domieszanych minerałów zawierają, co zwykle utrudnia wytapianie, a tymczasem czyni kosztowniejszém wydobywanie metali.

Często srebernica albo miedzianka osadza się na 1 do 1½ sążnia grubo, a ciągnie się kilkanaście sążni długo. Srebernica jest właściwym panabazem (Cuiivre gris, Fahlerz), który do rzadszych należy: zawiera w sobie prócz małej ilości srebra, a znaczniejszą miedzi, jeszcze żywe srebro; przy wytapianiu jój otrzymują na-przód ostatni metal, następnie odciągają od miedzi srebro. Aczkolwiek skład tego minerału rozpoznawał już na początku tego wieku znakomity analityk berliński Klaproth, i okazał, że przeszło 7 na 100 zawiera żywego srebra; przecież nie wydzielano metalu i puszczano go w powietrze. Przed dziesięcią laty zaczęto ten metal otrzymywać, i okazało się, że wartość samego żywego srebra przenosi razem wartość srebra i miedzi. Od pięćdziesięciu lat dobywają w téj kopalni Kotterbacha prawie tę samą ilość srebra i miedzi corocznie, a wartość ich wynosi około 600,000 złp.; łatwo policzyć jak niezmierne straty wyrządzają nieumiejętni hutnicy.

Bardzo rzadko w pobliżu panabazu i cynobru (siarczyk żywego srebra) natrafiono w téj kopalni rodzime w znaczniejszej ilości żywe srebro, wypełniające próżnię, a zawierającą dwa lub trzy cetnary tego płynnego metalu; pospolicie wyciekało na dno kopalni, i tak zbierali je górnicy.

Prócz wymienionych minerałów, żyły w Kotterbachu wypełnia obficie syderyt (węglan żelaza, Spatheisenstein, fer carbonatée) i siarkan baryty, jak śnieg biały. Syderyt jest jedna z najcenniejszych rud żelaznych; miliony cetnarów dobyli górnicy i usypali z niego niezmierne kopce ostrokregowate; a lubo nieco ma domieszanych chalkopirytu i panabazu, a niekiedy siarkanu baryty, możnaby przecież wybrać z łatwością tę wyborną rudę zdatną na żelazo. Tu na to nikt nie zważa, bo wszędzie są lepsze rudy. Powszechnie haldy sypią na bokach doliny, lub na jój wybrzeżach, a po ich wyrównaniu, stawiają domy dla pomieszczenia rządców i innych potrzeb kopalni.

Choćby rudy były najbogatsze, trzeba je stosownie przysposabiać do huty i przebierać. Wielkie założono do tego budynki. Naprzód oddzielają miedziankę od srebernicy, a obiedwie od przyrostego skala. Wykonywają to starzy górnicy i kobiety w wielkich iz-

bach; z odpadających prochów jeszcze wyciągają obiedwie rudy, przez płókanie rękami w wielkich sitach na żerdzi przytwierdzonych, w ogromnych kadziach do których nieustannie przyptywa woda: tak oczyszczone prochy przebierają dzieci i wyrostki. Często po sto i więcej pracuje pod gołym niebem przy płóczkarni; zdala słychać pospolicie wykrzykiwane śpiewy wielkiego chóru, pomieszane z śmiechami.

Mało jest stron więcej zaludnionych i wydających więcej metalu od doliny Kotterbachu, bo zaledwie pięćset sążni długiej.

Jadąc z Kotterbachu do Poracza spotykamy na górze rzadkie zjawisko: na wierzch wychodząca żyła jak śnieg białą; jestto czysty siarkan baryty. Białość tego minerału szczególnie uderza, gdy deszcze optuczają pokrywające prochy.

Za Poraczem w poblizszych dolinach jest jeszcze kilka innych kopalń: wiele obiecywała jedna, w dolinie Złatneho, zawierająca obficie cynober żywej różowej barwy i panabaz.

Słowinka. Za Poraczem ucina się gabro, to jest skała zawierająca żyłę Kotterbachu, a za nią występuje szary wótkryształiczny wapień, leżący po drodze i boku doliny w wielkich bryłach: z ustaniem gabra, tracą się wszelkie ślady metali. Głęboka dolina prowadzi do rozległej wioski Słowinki. Nie dojeżdżając do niej zastaliśmy rozległe zabudowania miedzianej huty, wytapiającej niezbyt procentowe rudy, ale dobywane w nader znacznej ilości z kopalni, wznoszącej się jeszcze dobre ćwierć mili nad tą wioską, prawie w połowie boku góry Kahlenberg, która zamyka tę krótką a głęboką dolinę. Roboty w kopalni Słowinki odbywają się na kilku grubych żyłach. Rozległość ich znakomitą, świadczą niezmierne kupy skała dobytego na powierzchnią, bielejące się zdala.

Kopalnie Słowinki z gelnickimi łączy chodnik przebijający potężny grzbiet wymienionej góry Kahlenberg, przeszło ćwierć mili długi. Górnicy, wieśniacy i mieszczanie poblizcy, omijają dalszą mozolną drogę prowadzącą przez wysoki grzbiet, zapalają lampki i sami lub z przewodnikiem przechodzą tym podziemnym tunelem.

Lewocza. Leutschau, Löcze, Leutschovia. Od Czwartku dobre półtóry mili odległego miasta, prowadzi dobry gościniec w pośród pagórkowatej krainy z bogatymi wioskami. Lewocza jest na Spiżu najcelniejszym miastem, sławna z wybornych miodów tutaj wyrabianych. Celną część miasteczka stanowi obszerny rynek z porządnymi murowanymi domami; przed wszystkiemi odznacza się dom komitacki, siedziba władz administracyjnych hrabstwa. W środku rynku stoją dwa kościoły i ratusz. Sklepy zamożne świadczą o dobrym bycie mieszkańców. Z rynku wychodzi kilka ulic równie porządných; miasto obwodzi mur kamienny z bramami i basztami, zachowanymi dotąd ze średnich wieków. Głębokie rowy otaczające miasto zmieniły się w wielki ogród; rów ten kiedyś chroniący od napaści otrzymał wejrzenie technące pokojem: liczne altany, domki, mnóstwo kwiatów, drzew owocowych, przemawiają najwyraźniej, że mieszkańcy z zamiłowaniem chodzą około ogrodów. Winorośle porozpinane na murach, broniących kiedyś wstępu najeźdźcy, przystroili je jakby na gody. Naprzeciw ogrodów wznoszą się liczne ozdobne wille, mówiące niewątpliwie o zamożności ich mieszkańców. Szczególniej przyjazne okoliczności fizyczne muszą mieć miejsce w tym obszernym rowie; rzadko gdzie widzieć więcej owoców na drzewach jak tutaj; zdaje się, że to zagłębienie słońca od wiatrów, i odbite promienie ciepłika, niemało podwyższają siłę roślinności.

I Lewocza zaczyna zmieniać dachy gontowe na dachówkowe, nadając miastu wejrzenie ucywilizowane. W roku 1849 na wiosnę, zapalił się browar na końcu miasteczka, i tak się pożar rozszerzył, że spłonęła prawie jego połowa wraz z starożytnym gotyckim kościołem. Architekt, któremu jego naprawa była poruczona, zapomniał, że są kroje architektoniczne: wymyślił jakiś nowy styl, który ogół zapewne nie pochwali, a trudno iżby kto naśladował.

Ludność stolicy Spiżu przedstawia dziwną mieszaninę dwóch narodowości: Niemcy i Słowacy prawie się równoważą, a co do liczby nawet, ostatnich jest nieco więcej; ale pierwsi górują, jak zwyczajnie na Spiżu, oświatą i dobrym bytem, gdy drudzy są ubożsi i trudni

się rzemiosłami, lub są wyrobnikami. Dawniej widać jeszcze było wyraźnie panujący żywioł madziarski w zarządzie komitackim; gdy obecnie język madziarski zastąpił niemiecki, coraz mniej słychać téj mowy.

Według Szepeshazego, założona została Lewocza około roku 1245 (1). Bela IV król węgierski nadał miastu przywileje, lecz wkrótce zniszczyli to miasto Tatarzy (1286 r.). Niewiele wiemy jakie losy przechodziło to miasto w średnich wiekach.

O współzawodnictwie i sporach z Kesmarkiem, wyżej wspomniałem. W XVIIstym wieku dowiadujemy się o licznych klęskach, jedna po drugiej spadających na stolicę Spiża; i tak: w 1602 roku, zrabowali ją hajduki Boczkaja; w roku 1619, tenże los doznało miasto od Gabryela Betlema i Jerzego Rakoczego; w roku 1682 od Tekellego; przez siedm lat do 1710 trzymał się w Lewoczy Franciszek Rakoczy, aż wreszcie przeszła pod zarząd Austrii.

Nad miastem wznosi się znaczniejsza góra, a wśród bujnej roślinności na szczycie świeci biały kościół Panny Maryi, cel licznych pielgrzymek, na które zbiera się ludność całej okolicy.

Na południe od Lewoczy aż pod góry ciągnące się łańcuchem, cała kraina podobna do rozhukanego morza, składa się jakby z nieprzeliczonych fal; pomiędzy długimi grzbietami ciągną się doliny, a w nich rozsiadły się zamożne sioła.

Dwie mile za Lewoczą na pagórku stoi kościół i obszerne zabudowania: siedziba biskupa spizkiego, a pod nim leży miasteczko Podhrad, Kirchdrauf. Przed kościołem wznosi się rozciągnięty pagór z potamanami skałami na wierzchu, na nim kilka zabudowań niezbyt pozornych. Są to kąpiele mineralne Siwa broda nazywane. Na całym tym pagórze tryszcą na wielu miejscach źródła wapiennej wody, nasyconej gazem kwasem węglowym; prawie wszystkie wydają się jakoby wrzały w najwyższym stopniu: pochodzi to od wznoszącego się gazu, a nie od gotowania się. Źródła te musiały być nierównie obfitszemi w dawniejszych czasach, gdyż

(1) *Merkwürdigkeiten des Koenigreich Ungarn. Kaschau 1825. T. I, str. 157.*

osadziły na piaskowcu bardzo znakomity pokład martwicy (Kalktuff); teraz pozostały z nich li słabe szczątki. Na szczycie tego pagóru widać wielkie bryły martwicy, z wyraźnemi warstwy, w nieładzie na wszystkie strony świata poprzewracane. Zdaje się, że wewnątrz tego pagóru było próżném, i zawałało się od czasu do czasu: i teraz spoglądamy na zwaliska rozbitego sklepienia.

Podhrad, Kirchdorff, Kirchdrauf, Sepes Varallya. Najcelniejsza część téj miejsciny, położonej u stóp kościoła, jest rynek dosyć nieporządnie zabudowany; obok pięknych piętrowych domów, stoją nędzne chaty: tenże charakter mają inne ulice.

Zamek Spizki. Dalej na południe nad miastem wymienioném, wznosi się rozciągła, wysoka góra, wyskakująca z obszernych równin, uwieńczona obszernemi ruinami starożytnego grodu spizkiego. Madziarowie znają go pod nazwą Szepeshaza, Niemcy zaś Zipserhaus (dom Spiża). Założenie tego zamku ginie w odległej starożytności. Pierwiastkowe świadectwa wspominają, że ten zamek już istniał i dał nazwę całej prowincyi. Pierwszą o nim wzmiankę znajdujemy w najdawniejszej kronice węgierskiej Anonima, notaryusza króla Beli. Gdy Arpad zdobył górne Węgry, są słowa kronikarza, aż pod bór zwany Zepus; Borsu syn Bungera wystawił obronny zamek na granicy polskiej, pod Tatrami. Kronikarz nazywa te góry „Tatur” (1).

Z XIIIgo wieku zachowały się o nim niektóre godniejsze uwagi wzmianki. Karol Iszy król węgierski, przy pomocy wiernych sobie Sasów, broniących odważnie zamku spizkiego, pobił na głowę Władysława dobijającego się o koronę węgierską. W XV i XVI wieku trzymała zamek spizki sławna familia Zapolya; a w roku 1531, mieli go sobie nadany hrabiowie Turzo. Po śmierci Michała Turzo, wraz z nader obszernemi posia-

(1) Anonymi Belae regis Notarii de rebus gestis Hungarorum liber. Edit. Stephanus Endlicher. Viennae. 1827.

§ 32. Et subjugaverunt sibi Arpad et sui milites omnes habitates terrae a Crisio usque ad fluvium Zogia et usque ad silvam Zepus. Str. 148.

§ 18. Missus est Borsu filius Bunger cum vallida manu versus terram Polonorum, qui confinia regni conspiceret et obstaculis confirmaret usque ad montem Tatur, et in loco convenienti castrum construeret causa custodiae regni. Str. 128.

dłościami wrócił zamek do korony, jako nadanie lennym prawem oddane.

Cesarz Ferdynand IIIci w roku 1638 obdarzył Stefana Csaki tym zamkiem, wynagradzając jego wierność okazaną w czasie trudnych wojen z Rakoczym; a nadto nadał familii w dziedzictwo naczelnictwo w hrabstwie spizkiem, czyli dostojenstwo Obergeszpana.

Na południe od zamku spizkiego, aż pod góry Branisko, prawie dwie mile daleko, rozpościera się najżywniejsza część Spiża; gdzie rzucisz okiem, pokazują się same wioski, obszerne i wspaniałe dwory z rozległymi zabudowaniami gospodarskimi. Jakieżto uderzające przeciwieństwo między zamagórzańską krainą, a pod zamkiem Spiża rozpostartą.

Pasmo Braniska wyskakuje nagle z równiny z bardzo stromemi bokami; przez te góry prowadzi droga do Preszowa, w ciasnej szczelinie z wielką sztuką i trudem wykonana. Z początku trzeba było największe zawady pokonać: wznosi się bowiem w same gzyg-zaki aż do miejsca, w którym rozstępują się dwa wysokie wirchy; odtąd ciągnie się droga w głębokim alpejskim wąwozie. Na południowej pochyłości Braniska jest wioska Szyroka, należąca już do szaryskiej stolicy, odznaczająca się pięknym położeniem i nieprzelicznymi karczmami.

Pasmo Igły. Wypada jeszcze wspomnieć o pasmie wznoszącem się nad Lewoczą, o pasmie Igły, o którym wzmiankę uczyniłem wyżej. Góry te nie mają nic godnego wzmianki: pochodzi to od piaskowca, z którego się składają; a chociaż nader głębokie doliny popruły to wzniesienie, nic innego nad piaskowiec nie odstępowały. We wsi Jakubiany założył jeden z majątnych właścicieli kopalń miedzianych z Lewoczy, p. Probstner, wielki piec do wytapiania żelaza i kilka fryszerek, i tym sposobem zużywa niezmierne lasy okrywające wirchy Igły.

(Dokończenie nastąpi).

FRANCESCA. (1)

USTĘP Z KOMEDYI BOSKIEJ DANTA,

Z PIEŚNI V PIEKŁA.

„**O** wieszczu! (2) rzekłem, radbym dwa te cienie
Nad powiew lżejsze i z sobą złączone
Spytać, przez jakie zaszły tu zdarzenie.“

A on mi na to: „Uważaj, gdy w stronę
Ku nam, silniejszym wiatr je pomknie tchnieniem,
To zaklnij owęj miłości imieniem,
Która je wiedzie, a one się zbliżą.“
Wiatr właśnie cienie ku nam pędził chyżo,
Ja głos podnosząc rzekłem: „Biędne dusze,
Na nieskończone skazane katusze,
Jeśli wam mowy nie wzbronnie użycie,
Chodźcie, powiedzcie, za co tu cierpicie?“

Jak dwa gołąbki rozkoszą wiedzione,
Przez szlak powietrzny, nieruszając pióry,
Z podniesionymi skrzydłami do góry
Lecą na gniazdko swoje ulubione,
Porywem wspólnej kierowane chęci;
Tak oni, z tłumu, gdzie był cień Didony,
Ku nam, przez wyziew ognisty, skłębiony
Sunęli, słów mych powabem zakłęci.

(1) Francesca i Paulo, jestto najslawniejszy i najtkliwszy ustęp poematu. Francesca była córką Guidona di Polenta, władcy Rawenny, zaślubiona z Gianciotto (Janem chromym) Malatesti, panem Rimini, który był kulawy i brzydki; Paweł brat Gianciotta, był przeciwnie młody, piękny i przyjemny. Dnia jednego czytali razem romans o Lancilocie z Jeziora i królowej Giniewrze; Paweł pocałował swoją bratową, w tej chwili wszedł Gianciotto i jednym ciosem oboje zamordował.

(2) Dante mówi do Wirgiliusza, który mu w tych ekskursjach piekielnych służy za przewodnika, dając mu różne nazwiska: poety, swego mistrza, mędrca i t. p.

„O ty istoto przyjazna i miła,
 Któraś w tumany piekielne zstąpiła,
 Aby nas widzieć, cośmy w jednej chwili
 Wasz świat potokiem wspólnej krwi zbroczyli;
 Jeśli prośb naszych wysłucha Pan w niebie,
 Będziem go błagać o pokój dla ciebie,
 Boś ulitował się naszej niedoli.
 Chcesz mówić? przemów, słuchać cię będziemy;
 Zapytasz? wszystko chętnie opowiemy,
 Skoro wiatr zcichnie i mówić dozwoli.“

„Kraj mój rodzinny jest przy morza brzegu (1),
 W które, Po licznych rzek objąwszy wodę
 Zstępuje, spocząc po długim przebiegu.
 Miłość, co serce szlachetne i młode
 Nagle porywa, płomieniem zawrzała
 W duszy młodziana, dla pięknych form ciała;
 Które mi zdjęto tak, że na wspomnienie
 Téj chwili, teraz czuję oburzenie.
 Miłość, co nigdy nie przebaczy temu,
 Kto silnie kocha, taką mnie wzajemną
 Potęgą uczuć, niosła ku miłemu,
 Że, widzisz, nawet po śmierci jest ze mną.
 Miłość zawiodła nas razem do grobu,
 A tego, który wydarł życie obu
 Czeka Kaina“.. (2)

To ich słowa były.

Słuchając dusze tak ciężko zranione,
 Schyliłem czoło i długom schylone
 Trzymał, i podnieść nie miałem dość siły;
 Aż wieszcz mnie wyrwał z więzów zamyslenia:
 „O czém tak dumasz?“ Ja podnosząc głowę:
 „Ach! ileż słodkich marzeń i złudzenia
 Zgon tak bolesny rozproszył im marnie!“
 Potém zwracając do dwóch cieni mowę,
 Rzekłem: „Francesko, mnie twoje męczarnie
 Łzy wytrącają żalu i litości;
 Lecz powiedz, w chwilach czułego westchnienia,
 W jakiście sposób ulegli miłości?
 Jak odgadliście skryte wasze chęci?“
 A ona. „Nie ma sroższego cierpienia

(1) Miasto Ravenna kiedyś nadmorskie, dziś o trzy mile oddalone od brzegów morza, w które Po składa swe wody z wodami rzek z nim połączonych.

(2) Kaina, jestto podług poematu jedna z otchłani piekielnych, w której Dante pomieszcza bratobójców, i w której naprzód miejsce dla Gianciotta naznaczył.

Jak dni szczęśliwe odnowić w pamięci
 W chwili nieszczęścia; twój mistrz zna słów wątek;
 Lecz gdy tak pragniesz odgadnąć początek
 Naszej miłości, choć to męki wznowi
 Opowiem, jak ten co płacze i mówi.

Raz czytaliśmy wspólnie, dla zabawy,
 O Lancillocie, kiedy nim zawładła
 Gwałtowna miłość, bez żadnej obawy
 O nas, choć sami. Księga tak zajęła,
 Że nieraz z sobą spotkały się oczy,
 Twarz się mieniła, płonęła lub bladła.
 Ach! zgubą naszą był jeden wiersz dzieła,
 Gdyśmy czytali, jak w uśmiech uroczy
 Kochanek złożył rój całunków wrzących;
 Wtenczas, o wtenczas, mamże mówić o tém,
 Ten, co odemnie już się nie oddali,
 Przycisnął usta do moich ust drżących:
 Księga i autor był nam Galleotem; (1)
 Dnia tego, myśmy więcej nie czytali.“

Gdy to duch jeden mówił, wówczas drugi
 Tak rzewnie płakał, że wzruszony, zbladłem:
 W oczach mi zmierzchno i jak martwy padłem.

Pisałem d. 14 grudnia 1850 r.

Gustaw Zieliński.

(1) Nazwisko osoby, która służyła za pośrednika miłostek Lancillota i królowej Giniewry.



Wyjątek z rękopismu

POD NAPISEM:

WPLYW KOBIET

NA DUCHOWY ROZWÓJ CZŁOWIECZEŃSTWA.

PRZEZ

Sabinę z G. G.

(Dokończenie).

Prawdziwa mądrość nie opiera się na negacyi prawd powszechnie uznanych, dlatego, że ich rozum nie pojmuje; ale na zrozumieniu ich ducha i znaczenia w ścisłym ich odłączeniu od gromadzących się koło nich fałszów. Rozum ludzki, na którym opiera się filozofia racjonalna, jest niewyczerpany w conceptach i wynalazkach, gdy idzie o zabezpieczenie sobie korzyści życia, o uprzyjemnienie i o wygodnienie go sobie, o zaspokojenie potrzeby lub ciekawości w dochodzeniu tajników natury; przeciwnie, w poznaniu Boga i nieskończoności życia i jego celów, rozum ludzki szamocze się bezustannie w jednym zawsze kółku domysłów, wniosków i sprzeczności. Zadaniem więc prawdziwej mądrości nie może być rozwiązanie tajemnicy życia i bóstwa, ale raczej czém to życie być powinno, aby się stało przewidziane w Piśmie świętym Królestwo Boże na ziemi: to jest, powinna wskazać ludzkości drogę do powszechnego udoskonalenia, aby wśród niej zagościły religia, światło, miłość, zgoda i jedność. Mądrość ludzka ma niewątpliwie o tym błogim stanie pojęcie, kiedy marzy o środkach jednakowej

dla wszystkich ludzi szczęśliwości. Błądzi ona jedynie w tém, że w podanych od siebie w tym celu środkach, miasto zacząć od Boga, jako wszelkiego dobra i wszelkiej prawdy źródła, pragnie zbyt szczupłemi umysłowemi wiadomościami przedrzeć Jego zasłonę; a upadłszy na siłach w téj bezowocnej pracy, przemyśliwa, jak się bez Niego obejść i istnienie Jego w wątpliwość poddać.

Istnieje wszakże obok téj światowej mądrości żywioł, który czynem i wiarą nieustannie przeciw niej świadczy, a tym żywiołem jest powszechność—lud Boży. Na dnie jego ducha leży nietknięta prawd pierwotnych księga, niewyczerpana wszelkich prawych pojęć skarbnica. Mędrcy tego świata, którzy gardzicie gminem, bo wam się zdaje ciemnym, nieumiejętnym, zabobonnym, dzięki mu raczej czynicie. Onto utrzymuje owe prawa, ustawy i instytucje, którym zawdzięczacie waszą naukę, światło, wolność i osobistość; on przechowuje wiarę w jednego Boga, i tradycyjalną formę jęj wykonania, bez której idea Bóstwa w wieczną poszłaby niepamięć. Spoglądacie z wysokości piedestału waszj samodzielności, na jego pełne rzewności nabożeństwa, śpiewy, obrazy, posągi, które wywołują na ustach waszych uśmiech politowania; bo nie mają nic wspólnego z nauką i sztuką, wyłącznemi waszemi bożyszczami. W tych drogich wszakże przeszłości pamiątkach, mieści się myśl duchowa, idea męczeństwa za wiarę, za prawdę, za przekonanie; ale powiedzcie proszę, co za myśl praktyczna jest w waszym Bogu-duchu i Bogu-naturze, Bogu-wszechświecie?—żadna inna, tylko loiczne rozwiązanie, racjonalna wynikłość waszj duchowj niedoleżności. Ale jeżeli wy jesteście umysłowo jednostronni, lud jest także jednostronnym w stosunkach tego świata badaczem: świeci on jedynie duchem i wiarą, jak wy życie wyłącznie intelligencyą i przeczeniem. Uczcie się u niego prostoty serca, *a dajcie mu w zamian umiejętność i światło ziemskie*. Nie uwodźcie go czczemi i niepraktycznemi teoryami; nie odwódcie od pługa i rzemioł, ale raczej uszlachetniajcie w jego oczach pracę, jako najwyższe dobro, jakie Opatrzność ludzkości w jęj upadku i spodleniu zesłała. Nie wmawiajcie w lud urojonych praw do jakiejś zwierzęcej szczęśliwości, która nie może być chwilowém dziełem książki, dekretu lub zwady ulicznj, ale koniecznym następstwem moralnego ukształcenia, cnoty i prawości narodów.

Uderzcie w zwierzęce instynkta ludu, a siejcie nasienie anarchii, gwałtów i mordów; kierujcie jego duchem i moralnością, otrzymacie wszystkie warunki, potrzebne do dobrego bytu, nie sztucznego ale rzeczywistego, jak: oświatę, równość w obliczu praw, przemysł, pracowitość, miłość i zgodę. Jest prawdą niezaprzeczoną, którą się przejąć powinni wszyscy tak zwani mędrcy i przewodziciele ludzkości, że wszelkie dobre i złe, ma główne w samejże woli człowieka źródło; że zatem chcąc go uszczęśliwić, uznać, zrehabilitować, potrzeba zacząć od poprawy jego samego. Bóg kieruje wprawdzie rzeczami tego świata; ale jest granica działalności, którą sobie sam nazaczył, a tą granicą jest wolna w człowieku wola. Bez niej nie byłoby ani zasługi, ani wartości człowieka, ani sprawiedliwości Boga; ale bezmyślna, zwierzęca, nieubłagana konieczność, któraby samowładnie kierowała losami ludzi, rzeczy i wypadków. Tak przecież nie jest: wolność, nieograniczona niczem swoboda działania, popchnęła człowieczeństwo w przepaść; taż sama wolność powinna być jego rehabilitacji rękojmą i bodźcem, a to nieinaczej jak przez pozbycie się wad narzuczonych i obcych jego pierwotnej naturze. Ale jakaż to była ta pierwotna jego natura, o której nam tyle prawią?

Pierwotną naturę każdy z nas ma w sobie ukrytą na dnie własnego przekonania, w sumieniu: bo któż nie wie, że dobrym, cnotliwym, sprawiedliwym, rzetelnym i bogobojnym być potrzeba; kto tego nie wymaga, jeżeli nie od siebie samego, to od innych ludzi?... Uczyńmy powszechność o ile można zbliżoną do pierwowzoru człowieka cnotliwego, o którym wszyscy mniej-więcej mamy dość jasne wyobrażenie; dążmy o ile kto może słowy i uczynkiem do tego celu: a będziemy na drodze prawdziwego postępu, z której ani światowe zmiany, zawichrzenia, ani zbyt wybujała cywilizacja, ani wreszcie najazdy barbarzyńskich ludów zwrócić nas nie zdołają. Cel wielki, dążność szlachetna, a dzieło w ogóle nie tak trudne do wykonania; idzie tylko o to, aby nie było na świecie dwóch mądrości, tylko jedna; dwóch kodexów moralności, tylko jeden. Pierwotne prawo natury i powtórzenie jego—prawo ewangeliczne, nakazuje miłować się wzajem, krzywdy sobie nie czynić, zgoła, każdemu z braci ludzi tak życzyć, jak sobie samemu. Kodex światowy wymyśliwszy jakieś dziwolągi, niby wielkości, szczytności, moralności i cnoty, każe je ślepo wykonywać pod utratą wszelkich praw w rzeczy-

pospolitéj społecznej. I tak istnieje w nim jakiś dziwny punkt honoru, nakazujący siebie nad wszystkich czcić i szanować, wżajem się zabijać za słowo, barwę lub tytuł, słabych i biędnych krzywdzić, biędniejszym pogardzać, zgłodniałemu drzwi z gniewem zatrzasnąć, a możniejszego od siebie, sytego i napojonego wspaniale podjąć; nieszczęśliwą wdowę podejść, sierotom spadek wydrzeć, ciemny lud poić i dla własnej korzyści rozbestwiać: a te czyny, na które opinia publiczna mruży czasami, lubo oględnie i jakby trwożliwie, w kodexie świata za zbrodnicze nie uchodzą. Przeciwnie, wiemy z codziennego doświadczenia, że są ludzie, którym sprawiedliwie te czyny zarzucić można, a których wszakże widzimy uprzejmie wszędzie witanych, lubionych, przyjmowanych, wielce poważanych, a nawet do narad i kompromisów wzywanych. Są to ludzie albo wielkiego imienia, albo wielkich dostatków, albo téż jeżeli im brak obu tych wziętości warunków, posiadający pewną ludzkich słabości znajomość i umiejący nimi kierować. Niechże się czasem zdarzy człowiekowi pocziwemu, ale biędnemu i mniej zręcznemu i umiejtnemu, potknąć się na ślizkiej życia drodze; natychmiast tysiące nielitościwych głosów powstaje na nieszczęśliwą losu lub własnego błędu ofiarę: nie znajdzie słowa pociechy albo przyjacielskiego dłoni ściśnienia, wszyscy się od niej odwracają, każdemu zda się, że bielszy albo czysciejszy, im pełniejszemi garściami błota rzuca na nią: zgoła, rzekłbyś, że świat raptem stał się surowym praw moralności przestrzegaczem, jakby mszcząc się za okazaną bogaczowi powolność i pobłażanie.

Czém jest światowa mądrość jużeśmy tę kwestyą dość obszernie, a nawet językiem samychże jój koryfeuszów rozbierali. Nie dziw, że świat z dwóch tak przeciwnych sobie kodeków moralności i mądrości, obrał najłatwiejszy i najdogodniejszy; bo cóż może mniej pracy, wysień i zachodów spożyć, jak ta mądrość i ta moralność. Zaprzeczasz Boga, lub niestworzone o Jego istnieniu i naturze prawisz brednie; głoszą cię wielkim, genialnym, oryginalnego systemu filozoficznego twórcą (1),

(1) Od jakiegoś czasu słowo *stworzyć* weszło w modę i nadzwyczajne wzięcie. Dziś nic innego nie słyszymy. Stwarza się dowolnie obraz, poemat, dzieło, system naukowy, filozoficzny, polityczny i dziejowy i t. p.; jestto prawdziwe nadużycie daru mowy, jednego z najpiękniejszych przywilejów człowieka. *Stworzyć*, jest zrobić coś z niczego.

Bogiem-człowiekiem i czasów swoich przedstawicielem. Jesteś chciwym, na cudzy grosz łechczywym, krzywdzisz drugich pokątnie na honorze, imieniu; ale masz majątek, dom otwarty, dobrego kucharza i dobre wino, głoszą cię gościnnym, towarzyskim, arcykochanym i poważanym obywatelem. Będiesz w rzeczy samolubem i pasożytem, ale masz na zawołanie kilka wyrażeni modnobrażających o postępie, duchu czasu, cywilizacji, ludzkości i t. p.; głoszą cię postępowym, przyjacielem ludzkości i światła, człowiekiem dzisiejszym. Cóż pozostaje w podziale dla prawdy, zasługi, szczerego poświęcenia się i nieudanej wartości?—zapomnienie, ironia, lekceważenie, zbyt często odosobnienie, pogarda i wszelkiego rodzaju gorycze. Czyż z takim rzeczą układem, możemy złe przyznawać bezmyślności, Opatrzności i jakiemuś prawu konieczności? Powstajecie na odwieczne ustawy Boskie i ludzkie, na własność, rodzinę, małżeństwo, robiąc je za wszystkie nędze tego świata odpowiedzialnymi; a nie staracie się przedewszystkiém o zniszczenie bezbożnych przesądów, które naturę człowieka pierwotnego gwałcą; dziesiątki i setki lat mozolicie się nad jednym, często mierniej materialnej wartości wynalazkiem, a żaden z was nie pomyślał nad sposobem ulepszenia ludzi. Nie jestto zapewne rzeczą uczonych i mędrców świata, bo cnota ani się dochodzi, ani z katedr naucza; ale przykładem i codzienném użyciem od kolebki zaszczepia. Co jedynie od nich można żądać, to: aby naciąganemi i zagmatwanemi systemami, fałszywemi wyobrażeniami, publicznego roz-

Bóg jeden może właściwie stwarzać, człowiek zaś odkrywa tajemnice natury lub nawet własnego ducha. Artysta nie stwarza dzieła sztuki, ale z przygotowanych mu materyałów układa myślą i duchem tony, farby, litery i t. p. Odkrywca parochodów nie stworzył pary, ale jej siłę do ruchu przystosował. Gdyby człowiek był obdarzony darem twórczości nie byłoby postępu, bo świat umysłowy od stworzenia świata byłby na tymże rozwikłania umysłowego stopniu, na którym go dziś widzimy. Człowiek twórca obdarzony jak Bóg wszechmocą, wszechwiedzą przyszłości, byłby uczynił świat umysłowy doskonałym, a przynajmniej takim, jakim go dziś widzimy, z jego oświatą, sztukami, naukami, rzemiosłami i t. p.; słowem, świat umysłowy byłby jak świat fizyczny wiecznie niezmienny i tenże sam. Bóg tworząc świat fizyczny, od jednego razu uczynił go takim, jakim go mieć chciał; człowiek zaś jedynie skutkiem długiej i mozolnej pracy wieków, rachuby i badań, dojść mógł do jakiej-takiiej wiedzy i wynalazków.

Co Bóg jedném słowem stworzył, trwa na wieki; cóż z dzieł ludzkich jest wiecznie trwałego?... który gieniusz, rozum, talent, pochlebiać sobie może, że jego odkrycie, jego prawda, jego system przejdzie bez przerwy 6,000 lat? Słowo zatem *twórczość, stwarzać*, nie może się do nikogo z śmiertelnych zastosować. *Przyp. autor.*

sądku nie obalamucali, prawa natury nie przekrzywiali, prawdom pierwotnym i zasadniczym pod pozorem postępu nie zaprzeczali, i co się tyczy tych prawd, pozostawili ludzkość samą sobie i jej sumiennemu o nich przeświadczeniu.

Jeżeli przyjmiemy prawdy pierwotne, jako nieruchomy pewnik, a wszystkie inteligencyi zasoby użyjemy na onych utwierdzenie; jeżeli moralny tego świata nieporządek przypiszemy grzesznemu stanowi człowieka, a upadek jego, jako bezwarunkowej wolności następstwo: koniecznie przyjść musimy do tego przekonania, że też sama wolność działania zdobyć jej z czasem może ów błogi stan swobody i niewinności, który niegdyś utraciła. Chrześcijaństwo wskazało jej zaiste drogi odrodzenia, ale prawdziwe odrodzenie zdobyć sobie może jedynie za bezpośredniem swą wolną woli działaniem. Niechaj wróci na nasz poziom miłość, spokój i prawda; niechaj prawdziwa cnota, cicha zasługa, krwawa praca, odbierają hołdy i czolobitność świata, a nie okazałe ślepego trafu błyskotki zyskują jak dotąd jego poklaski i uwielbienie; niechaj nie będzie uwieńczony koroną z nieśmiertelników ten, co najpiękniej pisze i rozprawia, najwdzięczniej gra i śpiewa; ale co wiele dobrego czyni, wiele ukochał i najłatwiej przebaczył:— a ujrzym niebawem przyobiecane nam królestwo Boże na ziemi.

Nie zgola, ani mądrość ludzka, ani powszechny rozsądek narodów, ani wreszcie podania wszystkich czasów i religii, nie wzbraniają nam mieć jasnego o tém królestwie wyobrażenia. W niémto zamieszka jako normalny, ów stan nieokreślonego dobra, o którym jeden z ojców kościoła wyraził się: że ani oko widziało, ani ucho słyszało co Bóg zgotował dla wybrańców swoich. Nie ma żadnego powodu mniemać, że to proroctwo tu na ziemi ziścić się nie może: bo czyż te piękne dokoła otaczające nas światy, ich ogrom i nieskończoność, ich cudowny układ i regularność, ich wspaniała budowa i różnorodność, to jedynie mają przeznaczenie, aby być świadkiem upadku człowieka i jego krwawej z samym sobą i żywiołami walki? (1). Zaprawdę nic się w nich nie zmieni, wyjąwszy człowiek, który

(1) W księgach świętych przechowanych nam przez kościół powszechny, którego władzę uznajemy i z pokorą jej się poddajemy; nic nam nie przeszkadza wierzyć, aby po nastąpionym sądzie ostatecznym, świat widzialny moralnie zmieniony i przekształcony, nie był znów siedliskiem człowieka odrodzonego, jak był nim w czasie przedgrzechowym. *Przyp. autor.*

jedyny z stworzenia, wolnością udarowany, chwilowo upadł, ale wrócił do swego pierwotnego stanu, aby tém lepiej z tym pięknym światem harmonizował. Gdy to nastąpi, duch Boży zjedzie powtórnie na ziemię, panowanie śmierci ustanie; nędza, niedostatek, krwawe znoje i katusze, uwolnią ludzkość z swych szponów: będzie wieczna chwała jedynego Boga, powszechna między narodami miłość, zgoda i braterstwo. Natura posłuszna woli człowieka odrodzonego, pozbędzie się okropnych scen i wstrząśnień, które go nieraz trwożą i uwielbieniem przejmują, i przedstawi się zmysłom jego jako wiecznie kwitnący ogród: dzikie zwierzęta napowrót pełzać będą u stóp jego. Człowiek uwolniony z więzów grzechu, ujrzy Boga bezpośrednio, przeniknie zakryte dotąd dla niego tajemnice życia, bytu i śmierci; stanie się wszystko-wiedzącym i widzącym. W owym téż czasie ustanie postęp, bo wszystko będzie w nieruchomej tożsamości, bo bezwzględne dobro ani się zmienia, ani postępuje. Nie są to czcze marzenia, ale ostateczny i konieczny przeznaczeń rodu ludzkiego kres, praca wieków, główna meta, do której nieznanym, wolnym ale pewnym krokiem dążą ludy, czasy i pokolenia.

Nim zakończymy tę pierwszą niniejszej pracy naszej księgę, wypada nam streścić cośmy dotąd powiedzieli, jak następuje:

1. Że dzieje człowieczeństwa nie są czém inném, tylko myślą Bożą przewodniczącą ludzkości na drodze moralnego i duchowego udoskonalenia, do stanu jej przedgrzechowej nieskazitelności.

2. Że każdy wiek, każdy czasu obieg, lubo różnemi i skrytymi drogami, zmierza do tego celu.

3. Że postęp nie może być czém inném, tylko pochodem narodów ku tej wspólnej mecie; a jego wątkiem i essencją jest idea chrześcijańska. Że postęp może być spóźniony, sparaliżowany, ale nigdy zupełnie wstrzymany: bo on jest tém w świecie moralno-umysłowym, czém jest ruch w naturze fizycznej.

4. Że posłannictwem czasów wielobóstwa było urzeczywistnić w jego ostatecznym kresie fakt upadku człowieka, i przedstawić w całej prawdzie jego duchowe niedołęstwo; jak znów chrześcijaństwo miało na nowo uzacniać człowieczeństwo, i zgotować mu drogi odrodzenia.

5. Że przeznaczeniem północnych gminoruchów było urzeczywistnić prawo ewangeliczne, przez połączenie wszystkich

narodów w jednolitą wiązkę synów Bożych; jak wojny krzyżowe wydobyły znów z starożytności popiołów szczątki przechodniego ducha prawdy, którego piastunami byli wielcy ludzie i mędracy starożytności.

6. Że bezwarunkowe twierdzenie kościoła powszechnego, musiało wywołać w łonie jego przeczenie, to jest opozycją przeciw prawdom przez niego głoszonym, która jawiąc się od lgo prawie wieku ery chrześcijańskiej, była głównie reprezentowaną, i to już w ostatnich czasach przez reformacją XVIgo stulecia, pseudo-filozofią zeszłego wieku, dzisiejszy niemiecki radykalizm i francuzki socyalizm. Ta opozycja wywołała umysłowe szermierstwo, mające na celu zdobycie tajemnic Boga i stworzenia, li tylko za pomocą doświadczenia i pojęć zmysłowych; a lubo nie wywiązała się ze swego zadania, niemało się przyczyniła do postępu ludzkości przez spowodowanie niektórych reform i skrócenie nadużyć, które się były wkradły w najświętsze instytucje, oraz przez niezmierną liczbę odkryć nader użytecznych w dziedzinie nauki i sztuki, które długim badaniem i pracą przywołała.

7. Że posłannictwem piérwszój bieżącego stulecia połowy, było do życia przywieść i wprawić w czyn: dobre i złe wszystkich pokoleń i wieków, i okazać na polu doświadczenia ich rzeczywistą wartość.

8. Że źródłem złego było głównie fałszywe istoty ludzkiej pojęcie, a zatem fałszywy kierunek dany jój wychowaniu. Uprawiono w niej albowiem stosownie do czasowych wyobrażeń wyłącznie ducha, intelligencyą lub ciało, przez co *dekompletowano* jego istotę; tłumaczono sobie opacznie znaczenie wyrazu postęp, przypisując mu jedynie umysłowe i ziemskie cele.

9. Że według wszelkiego prawdopodobieństwa, wiek XIXty ma misją przywołać postęp rzeczywisty, to jest umysłowo-duchowy.

Czy dzisiejsza ludzkość jest na téj drodze? Oto główne pytanie. Cokolwiek powiedzieliśmy o usterkach wieku, na chwilę nie wahamy się rzecz tę na korzyść jego rozstrzygnąć, a zdanie nasze opieramy na niepłonnych spostrzeżeniach, w charakterze i dążnościach naszej epoki. Jój stan nie jest ani zwyyczajnym, ani normalnym, a znamię przejścia i tymczasowości, które na sobie nosi, zwiastuje już jakąś konieczną i ważną w ogólném jój usposobieniu zmianę. Nie jest to już ów upor-

czywy materyalizm i systematyczne przeczenie zeszłego stulecia, nie jest także duchowa niedołążność i pełna ironii i wzgardy niewiara pierwszej połowy bieżącego wieku: jestto albo grubza rzeczy duchowych niewiadomość, albo gorączkowa czegoś niewiadomego, nieokreślonego żądza, widoczne niezadowolnienie, głucha fermentacja, tęsknota, rozpacz, lub niepohamowana skłonność do nowości i zmiany jakimbyż kosztem. Jako bogacz zubożętniały na wszystko, bo wszystkiem przesycony, wiek, który jest także potęgą w szeregu innych wieków, braci swoich, nie wie czego się jąć, aby zapełnić nieznośną mu próżnię życia: pragnie nowości, bo instynktowo czuje, że go obecność zadowolić nie może; zdaje się chcieć wzbić w jakąś nieznaną mu doskonałości sferę, a ta tęsknota za idealnym dobrem, objawia się nawet w najszałeńszych jego wymysłach. Te tak zwane teorye humanitarne, gdzie żywioł chrześcijański gwałtem wydobywa się z piersi ich twórców, ta idea powszechnej szczęśliwości, pragnąca całą ludzkość zaprosić do bankietu życia: znamionują już głębokie miłości ewangelicznej pojęcie. Dajmy tym teoryom chrześcijańską podstawę, wyrugujmy z nich cokolwiek jest niewolniczego, sprosnego, zwierzęcego; a uczynimy je prawem pierwotnym, prawem Bożem: bo czémże jest to prawo, jeżeli nie systemem filozoficznym, dla każdego przystępnym, lub kodexem socjalistowskim, bez gwałtu, mordy i rzezi.

Na zasadzie wybujałej wieku cywilizacyi, przeciwnicy jego opierają wróżbę jej upadku i zwrotu. „Ruch, mówią oni, jest w naturze świata umysłowego, jak jednostajność jest koniecznym niepodobieństwem. Cywilizacja wzrosłszy do bajecznych rozmiarów, sama przez się upaść musi, jak wszystkie jej starożytne i późniejsze siostrzyce.” Ludzie ci, słabego pojęcia i ciasnej wiary, wyobrażają sobie ruch, jakoby koło kręcące się zawsze przy jednej osi; a postęp jak mustrę, której zwyczajnym ruchem jest trzy kroki naprzód i trzyk roki wtył. Czyż Bóg jedynie stworzył człowieka na obraz i podobieństwo własne aby się bezmyślnie i bezcelowo na tej ziemi kręcił? Oh! bynajmniej: on, jedyny ze stworzenia, wolą i poznaniem udarowany, ważniejszą ma misyą do spełnienia na tej ziemi, a tą misyą jest iść naprzód, Bożą myśl rozwijać i do ostatecznego kresu posuwać. Wszakże my odmienniśmy nieco od tych panów pojmujemy znaczenie postępu: nie widzimy go wyłącznie pod firmą pary, przemysłu, papierów i giełdy; ale przypisujemy

światłu, o którym ani się zamarzyło cywilizacyom chaldejskim, greckim i rzymskim. Tém światłem jest niezaprzeczenie idea chrześcijańska. Wiemy wszyscy, że ona nie jest czém inném, tylko dalszym ciągiem prawa natury zaginionego prawie w nocy bałwochwalstwa; ową prawdą z niebios, nie mogącą się zmienić, bo jest sama przez się prawdą absolutną. Jeżeli wiek zechce szczerze przejrzeć tém światłem, i uznać tę prawdę jako filozoficzny pewnik: ocali cywilizacyą, z której się tak sprawiedliwie szczyci. Nie ma on przed sobą innej drogi: albo postęp oparty na prawie pierwotném i ewangeliczném; albo pogańsko-chińska cywilizacya upadku, zwrotu i rozkładu natury człowieka. Mówimy rozkładu natury człowieka, bo skoro bierzemy za zasadę, że istota jego jest trójcą z ducha, intelligencyi i ciała złożoną, musimy przyznać i to: że nie może być w samym normalnym bycie tylko o tyle, o ile wszystkie te trzy czynniki są w należytych i jednakowym stopniu zdrowia, siły i życia. Wyskok jednego z nich musi koniecznie dwa inne wprowadzić w stan odrętwienia i nieczynności. Zabij ciało, duch uchodzi; uprawiaj wyłącznie intelligencyą, duch zasypia; a każde z nich samopas idące, przestaje żyć właściwym sobie żywotem i przestacza się w anomalią przeciwną prawdzie swój własnej istoty. Arouet, w którym intelligencya wyłącznie górowała, był genialnym, dowcipnym, zdolnym zwierzęciem: jego spekulacya nie przechodziła nad zakres ziemskości, choć na tém polu była nieporównanego związku i loiczności. Piotr pustelnik nim jeszcze ziemską opuścił powłokę, był duchem czystym; żaden z nich nie był wszechstronnym, pełnym, niebiańsko-ziemskim człowiekiem. Arouet o jakie lat sto sparaliżował duchowy postęp czasu, bo jedną tylko stronę życia dobrze rozumiał; Piotr pustelnik był koniecznością swojej epoki, wszelako nie mógł się przyczynić do postępu czasu, bo był także jednostronnym. Pierwszy wzbil do niepraktykowanych wysileni inteligencyą, która sobie samą pozostawiona, upadła pod ciosem własnej wybujałości i zniszczenia; drugi żyjąc jedynie duchem, nie pojął warunków życia: pragnąc przed czasem zrobić z ziemi niebo, chybił w zupełności zamierzonego celu. Otóż i czasy, gdy uosabiają w sobie jeden tylko lub dwa ogólnego bytu czynniki, które z ujmą trzeciego, w życie religijne, polityczne i społeczne narodów wprowadzać usiłują, pozbywając się organicznej równowagi, tracą siły żywotne i upadają ze znużenia w pochodzie

swoim. **Wiek XIXty** daleki jest od téj zbawiennéj równowagi, o której mówimy. W jego społeczeństwie intelligencya przemaga nad duchem i fizyczném człowieka zdrowiem; żądza wiedzy i umiejętności zawładnęła wyłącznie jéj głową i sercem. *Mieć i umieć*, oto są dzisiaj dwa warunki życia, dwa sławy, miru i wziętości zadatki.

Nikt się nie pyta jak kto wierzy, czuje i czyni; ale wiele ma i co umie, choćby tylko pozornie. O ile gromimy chciwość, gdzie ją się nam tylko napotkać zdarzy, o tyle broń nas Boże ganić tę ogólną dążność wieku nabywania światła: albowiem w mniemaniu naszym, złe tylko światło szkodliwém być może. Pragniemy jedynie, aby ziemską umiejętność nie wyrugowała z naszego społeczeństwa iskry Boskiej mądrości, której zastąpić nie może; aby obie szły w parze nierozdzielne, przewodnicząc pospołu pochodowi rodu ludzkiego. Niechaj wiek uchwyci się idei zespolenia w sobie, i utrzymania w przyzwoitéj równowadze tych trzech wszelkiego rzeczywistego bytu czynników: ducha z niebios, wiarą w prawdy nadprzyrodzone objawiającego się; intelligencyi, jako do ziemskiej pielgrzymki przydatnej; fizycznego zdrowia, tyle do utrzymania w należytej sile ducha i intelligencyi pomocnego.

Niech młodzież wasza obok nauk historycznych, matematycznych, lekarskich, technicznych, uczy się czystéj chrześcijańskiej filozofii; niech pozna według niéj Stwórcę swojego, nim go odda jako prostą abstrakcją pod rozpoznanie wiedzy. Filozofia chrześcijańska jest tém dla ducha, czém jest filozofia racjonalna dla intelligencyi. Uznajcie jako filozoficzny pewnik istnienie Boga jedynego, osobistego, wszystko wiedzącego, upadek i rehabilitacją człowieka, żywot wieczny, wcielenie się słowa; oddajcie wyrazowi *postęp* jego rzeczywiste znaczenie, i według niego życie układajcie: a zetkniecie się z tą prawdą, której nadaremnie od tylu wieków szukacie. Nią uzbrojeni, nie będziecie się lękać zbyt wybujałej cywilizacyi i jéj skutków, ani téż o nią trwożyć się i jéj upadek przewidywać będziecie mieli przyczyny. Zostańcie sobie z waszemi kolejami żelaznymi, przemysłem i giełdą; nic one wadzić nie będą, skoro się nauczycie te nabytki, wielce w życiu ziemskim przydatne, mieścić w drugim głównego interesu rządzie. Niechaj piękne i szlachetne czyny miłości, wiary i poświęcenia; niechaj cnota bez pozorów i ulud, tyle przynajmniej cennie będą, ile złoto i dowcip; a zachowacie tę cywilizacją,

z której się tak słusznie chępcie. Cała tajemnica jej utrzymania leży w tej zbawienniej rozwadze, o której mówimy, a której starożytni nie posiadali.

Tu zdrowie ludzkie niepoślednie trzyma miejsce. Nikt już nie wątpi, że rodzaj nasz maleje, drobnieje, i widocznie się ku zniszczeniu swój doczesnej kory nachyla. Przekonywają nas o tym fakcie choroby i epidemie dawniej nieznanie; przekonują wykazy śmiertelności w spisach ludności, których cyfry są zatrważające. Ileżto dzieci, ileż młodzieży umiera przed czasem; a przeciwnie, jak mało osób późnej dochodzi starości! Są wprawdzie starcy, ale dwudziesto, trzydziesto i trzydziesto-kilko-letni, których ani Greffenberg, ani Raspail, ani homeopatyka, ani żadne z lekarstw uniwersalnych tak licznych w bieżącym stuleciu, odmłodzić nie mogą. Napróżno nasz wiek, czując to fizyczne swoje niedołęztwo, jął się różnych przeciw niemu środków; napróżno w nauce higienicznej wielkie porobił postępy, wznowił uczelnie ćwiczeń gimnastycznych, tak skutecznie na rozwijanie sił i zdrowia ludzkiego wpływające, wydał wiele dzieł, uczenie i głęboko ważny ten przedmiot rozbiegających:—nic dziś wszakże nie wróży korzystnej na zdrowie ludzkie zmiany. Badacze przyrodzenia, szukający przyczyny tych chorobliwych zjawisk, nie zgadzają się z sobą: jedni widzą ich źródło w zmianach atmosferycznych kuli ziemskiej; inni w dawności rodu i stopniowem niknięciu jego sił żywo-tych i organicznych; zbyt mała liczba chciała tu dojrzeć zgubny wpływ obyczajów i publicznej demoralizacji. Dotąd kołowano tylko przy tej prawdzie, dotykano jej się lekko i jakby z niechcenia, nikt nie śmiał otwarcie z nią wystąpić, aby go o pietyzm, dziwactwo i niewczesne skrupuły nie posądzono. Któż wszakże zaprzeczy, że wpośród rozlicznych chorób trapiących rodzaj ludzki, znaczna ich część początek hierze w nieporządnem życiu młodzieży, że natura tych chorób tak jest zjadliwa, że nie ogranicza się tylko na jednem pokoleniu, ale kilka generacji niszcząca swą trucizną gubi. Takimi chorobami są tak zwane sukcesyjne, w krwi zepsutej siedlisko swe mające; tu szczególnie dzieci i wnuki solidarnie są odpowiedzialni za grzechy swych przodków, jakby na utwierdzenie tej prawdy: że każde zboczenie nosi samo w sobie nasienie kary i zniszczenia, prędzej czy później owoc swój wydające. Powiedzmy zatem otwarcie: nie

będzie dobrze ze zdrowiem ludzkim, póki czystość obyczajów jest wyrugowaną z kodexu honorowego mężczyzn; póki wszelkie przeciw nim wybryki poczytane im będą raczej za chlubę i zaletę; póki pozostanie w nałogu późno się żenić, albo nie żenić się wcale; póki małżeństwo uważać będą za śmieszność, klęskę i ciężką niewolę.

Małżeństwo jak jest koniecznym warunkiem i rękojmią moralności i porządku, tak znów jest silnym przestrzegaczem zdrowia, a nawet powodzenia społeczeństw. Małżeństwo nosi na sobie piętno nieomylności Tego, który w dziełach i ustawach swoich omylić się nie może. Człowiek ulepiony z gliny, puszczony nagi, ciemny, słaby, w ten świat pełen trosk i nędzy, gdzie wszystko co go otacza, grozi mu śmiercią i niebezpieczeństwem, gdzie chleb żywota w pocie czoła pożywać musi; człowiek stworzony jest do życia podwójnego: „Lecz Adamowi nie znajdował się pomocnik podobny jemu, przypuścił tedy Pan Bóg twarde sen nad Adamem: a gdy zasnął, wyjął jedno żebro z niego, i nappełnił ciałem miasto niego” mówi Pismo święte, to jest utworzył dla niego towarzyszkę (1), która wyszła z jestestwa jego, w której przejrzał się jak w własnym obrazie, dla której w przyszłości pokoleń miał opuścić ojca i matkę, aby jej nigdy nie opuszczał. I w rzeczy samej, któreż z pomiędzy praw i ustaw ludzkich wyrównać może świętości, wielkości i użyteczności tej Boskiej instytucji?... Te nierozzerwane miłości, jedności, solidarności węzły, łączące dwie istoty rzucone na tę ziemię, aby wspólnie ciężar życia dźwigały; te tak mądrze przewidziane, i między płci obie rozdzielone cnoty, zalety, skłonności: noszą piętno nieomylności, cechujące wszelkie działania Opatrzności. Przypatrzcie się dobrze dobranemu małżeństwu. On, pełen siły, energii i hartu, postępuje pewnym i stanowczym krokiem na drodze, którą wspólnie przebieść mają; ona, wsparta na jego ramieniu, pod jego osłoną i opieką pielgrzymkę życia odbywa. On, pracuje na jej utrzymanie, uczy ją jak żyć na ziemi; ona, otacza go miłością i troskliwością, wskazuje mu niebo do którego wzdycha, które ma być wieczną obojga ojczyzną. On jest panem i obywatelem świata, poświęca się dla ogółu; ona jest mieszkanką i panią domowej strzechy, żyje wyłącznie dla niego. On w obranym przez siebie zawodzie idzie naprzód,

(1) Patrz: Księga Rodzaju, rozdz. II, wiersze 20, 21, kar. 4. według biblii ks. Jakóba Wujka S. J., wydania J. N. Bobrowicza w Lipsku 1846 r.

posuwa wóz swojego czasu, przygotowuje i rozwiązuje wielkie społeczne zadania; ona, skromnie pracuje dla nieba, i przez wychowanie przygotowuje budowę społeczną przyszłych pokoleń. U niego inteligencja, u niej uczucie przemaga; on rządzi rozumem, ona miłością panuje: oboje zaś są zawiązkiem rodziny, która znów jest węzłem, podporą, rdzeniem społeczeństwa.

Jest w ogólnym głosie ludzkości coś, co nam przypomina mądrość i nieodwołalność rozporządzeń Boskich: rzadko się on kiedy myli w wyrokach swoich.. Do liczby takowych należy to instynktowe niezadowolenie ogółu z osób niezamężnych płci obojój. Przewisko *stary kawaler, stara panna*, źle brzmi w uszach, i jest zawsze niemilém mianem; a jakkolwiek to niezadowolenie jest poniekąd przesądem, częstokroć (przynajmniej co do kobiet) niesprawiedliwém: cóż można zarzucić przeciw faktowi tak oczywistemu, tak ogólnemu?... Trzeba raczej widzieć w nim wolą Bożą, którą ludzie instynktowo wykonywają, szanując w małżeństwie najdawniejszą, najświętszą i najużyteczniejszą instytucją.

W wyznaniach, gdzie wolność osobista nie jest tyle czczoną i szanowaną jak w religii chrześcijańskiej, małżeństwo jest prawem przymusowém. U żydów nie ma wcale tej tak licznej jak u nas klasy doletnich kawalerów i panien. Jeżeli w skutku braku urody, majątku, stosunków, znajomości, mężczyzna lub kobieta dojdą pewnego wieku w stanie niezamężnym, właściwa gmina własnym swym kosztem żeni ich i uposaża, a związki tym sposobem kojarzone, nie gorsze są od innych. Co więcej, u nich interes majątkowy jest także na celu; ale żydzi zwykle nie marzą o wielkich partyach, czyli po naszymu o odziedziczeniu cudzego miana za pomocą aktu ślubnego. Myślą oni jedynie o nadaniu początku owym olbrzymim majątkom, które młoda para skutkiem oszczędności, zabiegliwości i nieustannej skrętności, kiedyś osiąść może. W tym celu rodzice lub opiekunowie każdego z młodych małżonków, składają pewną równą ze stron obu kwotę, która nadaje młodej parze sposób utrzymania oczekiwanej rodziny i możliwość zarobkowania. Żeniąc się wcześniej mężczyźni, zawczasu nawykają do porządnego życia, unikając niebezpieczeństw i zgorszenia tak zwanych kawalerskich czasów, i przynoszą rodzinom swoim nienadwątłone siły, zdrowie i czerstwość.

Dlatego jest mnóstwo prawie nieznanych u żydów, a wogóle u ludu naszego, będącego w zwyczaju wczesnego żenienia się, chorób, które niemiłosiernie dziesiątkują wyższe i średnie społeczeństw naszych klasy. U nichto małżeństwo stało się narzędziem próżności, chciwości, chęci poprawy majątkowych interesów, w każdym razie złą lub dobrą spekulacją; straciło też ten wieniec świętości, którym go Bóg ozdobił, i jest dziś przedmiotem poniewierki i przeniwierstwa dla jednych, pośmiewiska, żarcików i przechwałek dla drugich, lekceważenia dla wielu. Minęły już czasy szalonej miłości, która kiedyś tylu zawichrzeń w świecie stała się przyczyną, ale małżeństwo nic na tém nie skorzystało gdyż tu tylko jedna namiętność ustąpiła drugiej, daleko sprośniejszej, nikiemniejszej, a w swych skutkach nader niebezpiecznej: miłość ustąpiła miejsca łakomstwu. Młody lew czasów naszych, wążący niby wszystko, a tém bardziej uczucie na szali rozumu, dziś mniej niż kiedykolwiek jest skłonny dać się usidlić w niestosowne związki; a jeżeli zdarzają się wyjątki, czyni je niestety! nie na korzyść niewinnego i szlachetnego ubóstwa, jak to przed czasy bywało, ale wybiera w sferach, gdzie cnota i czysta miłość najrzadziej przebywają. Powszechnie zaś młody człowiek dzisiejszy wstydy się cnotliwego i tkliwego uczucia, wyśmiewa go wraz z francuzkami powieścio - pisarzami, zanurza się po pas w błocie samolubstwa i próżności, czasami też raczy pomyśleć o wielkiej partyi i olbrzymim posagu, którym się kłania z niechęcenia, nieuchylając kapelusza i z cygarem w ustach. Gdy tak baraszkuje i motylkuje, przebiega gościniec życia; gdy młodość przekwita i przedwczesna zachodzi starość; pozostaje bezzennym, lub żeni się nie jak zamierzał, ale jak i z kim może, niosąc do ołtarza rozczarowanie, nudy, moralne i fizyczne niedołęztwo, które następcom swoim przekazuje, zatruwszy poprzednio szczęście i spokój młodej życia towarzyski. Niesłusznościąby było samych tu tylko mężczyzn obwiniać; młode kobiety, a najczęściej ich rodzice, nie są tutaj także bez winy. W ogóle, gdy idzie o wybór męża, nikt się nie troszczy o jego przeszłość, moralność i zdrowie; cała troskliwość rodziców i krewnych panny, ogranicza się na najskrzętniejszym poszukiwaniu szczegółów, odnoszących się do sytuacji pana-młodego, które jeżeli są zaspokajające, mniejsza o resztę. Zdrowie się naprawi, czerstwość wróci, konduita ustali, bo młodość wy-

szumieć powinna, i z najzawołanszych półgłówków, najlepsi bywają mężowie. Temi i innemi jeszcze oklepanemi zdaniem zaspokoiwszy sumienie, i milczenie mu nakazawszy, rodzice wypychają (proszę darować to wyrażenie), wypychają czém-prędziej z domu ukochane dziecko, w przekonaniu, że mu los świetny zapewnili. Idzie więc ofiara do ołtarza, pełna życia, młodości i niewinności, oddana w wieczne posiadanie człowiekowi choremu, zniechęconemu, fizycznie i moralnie skazonemu. Otóż się kojarzy małżeństwo, w którym od pierwszej już chwili gnieździ się zarodek słabości chronicznych, dziś pod różnemi nazwiskami skrofulów, kołtunów, angielskich chorób i t. p. znanych; słabości, które począwszy od niego, pokolenia sobie jedne drugim podają: co więcej, kojarzy się małżeństwo noszące w sobie wszystkie warunki rozwodu, które kodex francuzki streszcza jednym wyrazem: *incompatibilité d'humeur*. Mąż schorowany, zniszczony, zniechęcony, rozczarowany, życiem i światem przesycony; żona pełna młodości, z świeżą wyobraźnią i z świeżemi uczuciami, sercem pełnioném miłością Boga i ludzi, pałająca żądzą zamienienia na rzeczywistość błogich i niewinnych dzieciennych lat marzeń: słowem, mąż skończył karierę, gdy ją żona dopiero rozpoczyna; mąż ze świata, żona w świat; a powiedziano jest: „drogę życia nierozdzielnie i zgodnie przebywać będziecie.”

Trudno sobie wytłumaczyć owę lodowatą obojętność rodziców w wyborze męża dla córki, ojca dla wnuków, naczelnika rodziny; tego, któremu mają powierzyć zdrowie, moralność, charakter, a może i cnotę dziecka swojego; czyż to nie jest moralne i fizyczne zabójstwo na jego osobie popełnione?... Ależ powiecie może: wybór ten przestał być wyłącznym rodziców prawem: dziś go najzwyczajniej panny same bez rodzicielskiego wpływu robią, wiedzione ambycją, próżnością; bo i one także marzą o milionowych partyach, którym z łatwością skłonność serca poświęcają. Tak jest niewątpliwie: panny pod skrzydłami owęj nieszczęśliwej emancypacji, która i naszym paniom poczęści zajechała w głowę, postanowiły dowolnie rozrządzać sercem i ręką; wszakże ten chwilowy obłęd, będący koniecznie wadą nietylko mody, ale i wychowania, jest winą matek, którym nic nie przeszkadza do wyłącznego kierowania zdaniem i sercem córki. Rozumié się samo przez się, że nie stosujemy tu zdania naszego do tych nieszczęśliwych istot, wskazanych przez

własne matki na przedwczesne sieroctwo i oddanie w najemnicze ręce, zdala od rodziców i rodziny. Tu matki dobrowolnie zrzekły się korzyści dobrego wychowania i wyłącznego wpływu na dzieci swoje, srodze téż pokutować muszą za ciężką winę obojętności, lenistwa i nieprzezorności. Córki wychowane jak być powinny przez własne matki pod cieniem domowej strzechy, o tyle tylko są przystępne zepsuciu, o ile się ono zdoła do niej przedrzeć. Cóż może skałać ich serce, skrzywić rozum, zmienić zasady, coby poprzednio przez rodzinne gniazdo nie przeszło?... Co może ujść oka bacznój na wszystkie kroki dziecka, matki?... Jeżeli sami rodzice hołdują złotemu cielcowi, i dają przystęp do domu swojego zepsutej młodzieży w celu ustalenia losu córki; jeżeli sami czytają złe książki i objawiają w potocznych rozmowach zdania niebezpieczne i szalone: nie można się dziwić, że tracą wszystkie korzyści swojego wpływu, i że córka robi wybór bez ich woli, a może i wiedzy.

Tu trzeba nam się przedewszystkiém zrozumieć. Nie pojęliśmy w matkach ich troskliwości o dobry byt dzieci, i chęci wydania córki za człowieka mającego pewną majątkową sytuacją, będącą rękojmią przyzwoitego utrzymania spodziewanej rodziny. Znamy, jak wszyscy, trafność owego francuzkiego przysłowia: „*quand la misère entre par la porte, l'amour s'enfuit par la fenêttre*,“ wiemy także, że brak i nędza, jeżeli nie niweczą, to bardzo utrudniają spokój małżeńskiego życia; ale i to wiemy, że dostatki nie są jedynym warunkiem, że zobopólna miłość, jednakowe dążności, chęci i gusta, wiek i wychowanie o ile można zbliżone, niepoślednio się do niego przyczyniają. Żeby zasłonić młode panienki od niebezpieczeństw niestosownego małżeństwa, cóż zwykle robią matki? oto wmawiają w córki, że najpewniej wcale za mąż nie pójdą, czemu tamte zwyczajnie nie wierzą, bo instynktowo wiedzą, że małżeństwo jest ich przeznaczeniem. W miejscu tych czczych wyrazów, będących w ich ustach bezcelowém kłamstwem, matki niezapuszczając się w małżeńskie ewentualności, i starannie ukrywając swoje nadzieje i trwogi, powinny z całą znajomością celu do którego dążą, wychowywać córki na żony i matki, jak się wychowuje w specjalnych zakładach młodzież mężka na wojskowych, prawników, rolników i uczonych; to jest przypodobiać je do tego życia pełnego miłości, poświęceń, za-

parcia się siebie, znojów i trudów, jakie dostojęństwo sakramentalnego związku i macierzyństwa, na kobietę wkłada. Jakkolwiek trudnym jest ten zawód, natura sama uzdolniła kobietę do wiernego onemu zadośćuczynienia. Wiemy jak wielką nad nią ma władzę szczerą, uczciwą miłość, a szczególnie miłość macierzyńska. Mała dziewczynka ledwie chodzić umie, już dziecko swoje ze skóry i dzewa sklezione nosi, karmi i kołysze, już się być mieni żoną starszego brata swojego. Niechże więc wychowanie nie niweczy dzieła natury, ale owszem, niechaj mu całymi swojemi zasobami dopomaga. Rozwijajcie, pieśćcie, karmcie uczucie tlejące w sercu waszej córki, ale zwracajcie je najprzód do przedmiotów, do których się przedewszystkiém zwracać powinno. Niech naprzód ukocha z poświęceniem bez granic rodziców swoich, co jój łatwo przyjdzie, gdy sama przez nich kochaną będzie; a na tej piérwszej miłości zaprawiona, córka wasza témże samém uczuciem poświęcającój się miłości pokocha przyszłego życia towarzysza. Potrzeba przecież aby go kochać mogła, i obowiązki jój ile możności należy ułatwiać i możliwemi czynić. Jakże żądać od żony aby kochała człowieka, którym pogardzać musi, którego lekceważyć i wyzartować może?... Jeżeli w wyborze zięcia spuszczaście się jedynie na uczucie powinności córki waszej, zyskujecie jedno z dwojga: albo ją wystawiacie na nieustającą mękę uczucia z obowiązkiem, albo jój cnotę narażacie na wielkie niebezpieczeństwo.

Małżeństwo jest nietylko najświętszą i najpiérwszą znaną ustawą, jest także i assocyacją, stowarzyszeniem w ziemskich i społecznych swoich stosunkach. Żona musi ulegać mężowi, jako naczelnikowi rodziny. Jak w państwie, w biurze, w fabryce, w każdej większej lub mniejszej korporacyi, musi być władza naczelnie kierująca; tak rodzina, to państwo w obrazku bez niej obejść się nie może. Gdyby tą władzą nie był mąż, byłaby nią żona. Opatrzność powierzyła rządy mężczyźnie, łączącemu w sobie konieczne warunki do ich piastowania, jakoto: siłę do zapracowania na utrzymanie i wyżywienie rodziny; odwagę do obronienia jój w razie niebezpieczeństwa; hart i tęgosc umysłu do zachowania jój w porządku i karnosci. Jak dwie siły z jednego punktu działające, są w naturze fizycznej niepodobieństwem, boby się wzajemnie niweczyły; tak znów w świecie umysłowo-moralném, żywioł rządzący jakibądź,

czy pojedynczy czy zbiorowy, równego sobie rządzącego żywiołu znieść nie może. Gdyby przywilój władztwa służył zarówno obu małżonkom; mąż i żona nie stanowiliby według słów Pisma świętego dwojga w jednóm ciele (1); ale dwie chwilowo cierpiące się, i z sobą przemieszkujące opozycye: owe małżeństwo cywilne, kontraktowe, mogące się prawnie i według upodobania rozejść dla niestosowności humorów, jak mieć chce ustawa rozwodowa francuzka, ów zabytek z zasad roku 1793 (2). Przeciwiństwa to właśnie: siła, opieka z jednéj; miłość, słabość, poświęcenie się z drugiejj strony tworzą prawdziwie dobrane małżeństwo; i stosownie téż do dwóch tych różnych przeznaczeń, natura rozdzieliła między płci obie różnych wcale skłonności, usposobień i zdolności zarody. Mężczyźni z konieczności rodzą się do pióra, do pałasza, do pługa, do cyrkla; bo Bóg, który przewidzieć musiał najrozmaitsze fazy stosunków ludzkich, musiał usposobić męzkie umysły do właściwych im kolejją czasu mnożących się przeznaczeń. Kobieta jeden tylko

(1) Patrz Księga Rodzaju, roz. II, wier. 24, kar. 4. Według biblii ks. Jakóba Wujka, wydania J. N. Bobrowicza w Lipsku 1846 r.

(2) Dziwną jest zaiste rzeczą, że rozwód, owa pamiętna we Francyi pozostałość moralnego i społecznego bezrządu, w kraju naszym, w Polsce arcykatolickiejj, znanej po wszystkie czasy z swojej pobożności i wierności ustawom kościoła, jest od półtora niemal wieku upowszechnionym; że nie ma w niej prawie rodziny, któraby nie była tą plagą nawiedziona. Mania rozwodów jest niestety, narodową naszą wadą! Jeżeli małżeństwo uznamy jako podstawę społecznego porządku i bezpieczeństwa, jakże nazwiemy tę bezbożną łatwość uprawnionego wiarołomstwa; jak usprawiedliwić te rodziny w rozsypce, te dwojaki i trojaki dzieci, w gorszącej pod jednym dachem żyjące nienawiści; czemuże będą ci ojcowie i matki, przeciwny własnym dzieciom mający interes; te żony o kilku żyjących męzch; te kobiety, własny po sądach głoszące bezwstydy?... Napróżno ziomkowie nasi, za granicą przebywający, mianowicie zaś autor *Pielgrzyma*, i autorka *Pamiętki po dobrej matce*, całą potęgą wziętości swojej i pocziwych uczuć, przeciw rozwodom powstawali: nic ich dotąd z obyczajów polskich nie wyrugowało, mówimy polskich, bo one w tym stopniu w żadnym innym kraju nie istnieją. Ze zaś każdy paradox ma swoich u nas krzykaczy i opowiadaczy; obijają się często o nasze uszy te słowa: „jeżeli małżonkowie mają gorszyć drugich, niech się lepićj rozejdą.” Najniebezpieczniejszém w swych następstwach zgorzeniem, według nas, jest gorszące prawo, a takim jest prawo rozwodowe. Przeciwno prywatnym nadużyciom nie ma prawa: niechże więc prawo nie będzie nadużyciem. Równie czczém i fałszywém jest mniemanie, jakoby w krajach, gdzie rozwód jest niedozwolony, małżonkowie pokątnemi związkami wynagradzali sobie przymus niemiłego pożycia, z czego wywiązuje się pytanie: co z dwojga złego wybierać należy, czy jawne, czy potajemne zgorzenie? My tu niewątpliwie wybieramy drugie, to jest potajemne, które tylko indywiduom pojedynczym niebezpieczeństwem grozi, kiedy gorszące prawo jest złem powszechném. (*Przyp. autor.*)

ma przed sobą zawód, którym jest życie rodzinne; każdy inny, albo ma blizki z nim stosunek, jak na przykład nauczycielstwo, doglądanie chorych, praca na utrzymanie i wyżywienie rodziny, jak to ma miejsce w niezamożnych rodzinach; albo jest rodzajem nadużycia, uzurpacyi. Kobieta pragnąca rozszerzyć działanie swoje poza obręb własnego domu, mieszająca się do spraw publicznych, do intryg salonowych i politycznych, jest niemiłą i nader niebezpieczną płci swojej anomalią. Niedarmo to opinia publiczna, która się rzadko myli, surowo karze niebaczne córki Ewy, idące wbrew swojemu przeznaczeniu. Niemniej potępia żony, chcące przeciw prawu Bożemu przywłaszczyć sobie nad mężami panowanie i rządy. Przypuszczamy, że zdarzają się częstokroć przypadki, gdzie ten rodzaj kurateli dzieje się z dobrem rodziny i samego męża, że są żony poniekąd przymuszone do téj ostateczności, bądź przez brak wykształcenia, zdolności i rozsądku w mężu; bądź przez gorszące i krzywdzące rodzinę postępowanie. W każdym razie, ten przymus jest to wielką klęską. W wyższości przyznanej żonie nad mężem jest coś tak nadzwyczajnego, tyle jego krzywdzącego a ją samą upokarzającego, że widzimy przebieglejsze kobiety starannie tę domową klęskę ukrywające. Mąż jakkolwiek ograniczony, ale instynktowo swe prawa czujący, nie zrzeknie się nominalnej swój wyższości i rządów; jeżeli zaś postrzeże w towarzysze nieco więcej umysłowych zdolności, uwielbienie jego i miłość zamienia się w nienawiść, a wówczas biada najcnotliwszej żonie!... Wszystko go gniewa, wszystko mu wadzi; rozum nazwie głupotą, oszczędność chciwością, pracę i skrzętność nudziarstwem, poświęcenie nawet dla jego osoby stanie się bezpotrzebną exaltacją, a może haniebnym udawaniem. Słowem, zniechęca i odwraca ją za wszystkie cnoty i przymioty umysłu, których brak w sobie postrzeże. Na tę plagę, gdy jest, nie masz lekarstwa; przewidujący i czuli rodzice mogą wszakże dziecko swoje od niej uchronić przez wybór zięcia. Mąż powinien mieć: wiekiem, inteligencją, majątkiem nawet, wyższość nad żoną. Złe świat ceni tego, który szuka utrzymania w dobytku żony; gorzej jeszcze, gdy się jęj da rozumem prześcignąć. Aby nie narażać córki na przymuszoną głupotę, lub fałszywe względem męża położenie; najważniejszym jest rodziców obowiązkiem, uczynić wybór człowieka, którego by ona kochać i szanować

mogła; któregooby charakter, postępowanie, osoba i rozum, nie były przystępne szyderstwu i krytyce. Nie ma podobno sroższej męczarni dla kobiety uczciwej, jak upokorzenie, zniesławienie, a nawet śmieszności jej męża; bo przyjmując jego nazwisko i znaczenie, przyjmuje także w pewnym względzie jego wstyd i hańbę, lub też sławę, rozgłos i publiczny szacunek. Ale i wybór człowieka nie jest dostatecznym, jeżeli młoda osoba gotująca się do stanu małżeńskiego nie będzie tak wychowaną, aby przez rozum i sumienie, potrafiła się zastosować do humoru męża; a nawet gdyby tego potrzeba była, stać się maluczką, aby go tylko w oczach własnych i cudzych podnieść i uszlachetnić. Łatwo jej to przyjdzie, jeżeli się wyrzeknie próżności, a będzie na swoje sławę i dobro baczna. Zniżyć się umysłowo na skalę drugich, gdy się wśród nich przebywa, jest to poświęcenie, które się codzień robi dla przyzwoitości, gdy się ma trochę rozsądku i znajomości świata; cóż dopiero, gdy idzie o spokój domowy, dobry przykład dla dzieci, szacunek u ludzi i u siebie samej.

Nastawając tak stanowczo na wybór człowieka, i zwracając w tym względzie całą uwagę i troskliwość rodziców, nie taimy przed nimi i przed sobą trudności tego zadania. Jeżeli Dyogenesowi kiedyś tak ciężko było znaleźć człowieka, że go szukał w południe z pochodnią w rękę; przynajemy, że i w świecie dzisiejszym, choć zkadinań ulepszonym, odszukanie człowieka nie o wiele jest łatwiejszym. W ogóle mężczyźni, którzy są tyle dla kobiet wymagający, niedosyć się starają dla siebie o tę wyższość umysłową, której tak bardzo są zazdrośni. Gdyby byli więcej o nią troskliwi i zabiegli, o wieleby żonom swoim ułatwili obowiązków i pożycie. Nie idzie tu bowiem o to, aby żona była umysłowo ograniczona i zaniedbana, bo głupota nigdy nie ustąpi praw swoich, któremi są: upór, zarozumienie, przesady i gburowatość; idzie raczej o postawienie inteligencji męża na tej stopie rozwoju i ukształcenia, aby mógł zachować wyższość umysłową, jakiegokolwiekby było jego towarzyski wychowanie i umiejętność. Cóż może być łatwiejszego dla mężczyzny, którzy z natury mają więcej siły i naukowej zdolności, zresztą więcej czasu i sposobności kształcenia się. Lenistwo jest niestety powszechną naszą krajową wadą; wadą, której nierównie więcej ulegają mężczyźni jak kobiety. Ztąd widzimy stosunkowo więcej w Polsce kobiet ukształconych jak mężczyzn; ztąd owa emulacja, częstokroć zaprawna nieukontentowaniem i przy-

gryzkami, dzieląca płci obie, i zbyt często boleśnie oddziaływająca na domowe małżeństw pożycie. Tu nam wypadnie zastanowić się nad kwestyą, która wiele wywołała i dotąd wywołuje rozpraw, nie będąc jeszcze dostatecznie rozstrzygniętą: *Czy nauka jest zbawienną lub szkodliwą dla kobiety?*... Według nas, światło nigdy szkodliwem być nie może: idzie tylko o jego wybór i zastosowanie. Kobiety oskarżają mężczyzn (poniekąd i słusznie), jakoby ich nauce nie sprzyjali; mężczyźni zaś jakby na usprawiedliwienie tego zarzutu, nie przestają im powtarzać: „Chcecieżli nam się podobać, bądźcie kobietami, i niczém więcej”; czyli inaczej, na co wam sława, rozgłos, nauka, talent, kiedy my was bez tego wszystkiego ubóstwiamy. Cóż można powiedzieć kobietom życzliwszego, a razem do wykonania łatwiejszego? Aby być kochanemi i uwielbianemi, potrzeba im być tylko kobietami i niczém więcej; to jest: nosić na sobie urok świętości, dobroci, godności i wysokiego od Boga przeznaczenia, które im wydzielone zostało. Któraż kobieta, choćby nadzwyczajnej urody od niebios w darze nie otrzymała, nie jest w stanie wydołać tym warunkom: któraż kochać i poświęcać się nie jest w stanie?.. Mężczyźni instynktowo czują, że natura stworzyła kobiety na pociechę i osłodę ich życia, że one są dla nich wyłącznie stworzone. Nauka, myślenie, wyobrażają już oddzielność, samoistność, wszelkiej pomocy i podpory obędnosc; a wrodzona płci tej słabość, lekliwość, czulość i skromność, niepojęty dla mężczyzn urok. Wszakże nietyle nauka kobiet wywołuje w nich niechęć i odrazę, jak raczej pretensya do niej. Jest owszem pewien rodzaj niewieściej uczoności, który im się podoba: jak lekka literatura, talent do poezyi, do muzyki; a obok nich spryt, dowcip, wesołość, zniewalają ich i przyciągają, zwłaszcza jeżeli widzą w tém wszystkiém wyłączną chęć podobania im się, bo mężczyźni mniej mający od kobiet drobiazgowej próżności, posiadają może więcej tej miłości własnej, która przybiera czasami charakter samolubstwa. Kobieta z powołania i pretensyi uczona, a jak oni nazywają, przeuczona, jój ton decydujący, jój strój zaniedbany, jój zresztą naukowe stanowisko, gniewa ich i drażni: raz, że im się zdaje że niewiele dba o ich hołdy, co w ich oczach jest zawsze obrazą nie do darowania; następnie, że nie mogą pojąć, aby wychowanie kobiet poza obrębem szkół i uniwersytetów, ich fizyczna słabość, ich zdolności umysłowe o wiele niższe, czyniły dla nich umiejętności męskie

przystępnymi, a tém bardziej pozwoliły im mierzyć się z nimi. Utrzymują oni dość słusznie, że młodzież męzka, ucząca się zwykle od lat sześciu do dwudziestu czterech, przechodząca stopniowo różne kursa przygotowawcze i kończąca na akademii; lat ośmnaście poświęca na wyuczenie się i to niezawsze dokładne, jednego przedmiotu: a jakżeż mało widzimy ludzi oddających mu się z prawdziwym dla siebie i drugich pożytkiem! Cóż dopiero kobieta, której młodość nierównie krótsza, ledwie jęj lat kilka na umysłowe kształcenie się pozostawia. Jakaż może być korzyść dla ogółu z jęj uczoneści?... czyż mierność do której jedynie dojść może, była kiedy rękojmią naukowego postępu? Mężczyzni zatem czujący ile każdy naukowy nabytek kosztuje ich starań, mozółu i pracy; z niechęcią, a czasem uśmiechem politowania słuchają tych improwizowanych profesorów, których pedanckie deklamacye i niestosowne wyrażenia przeciwne wdziękom i skromności, wykrywają zarówno nieudolność i częzą próżność. Nie idzie tu wszakże o zdanie zbyt może jednostronne męczyzn, które ulega różnym modyfikacyom czasu, okoliczności i osobistych względów. Natura tu jak wszędzie, jest najdoskonalszą wskazówką, jaki jest cel ziemskiego kobiety przeznaczenia. Jęj skłonność do życia duchownego, jęj wrodzona pobożność, jęj umysłowa niższość i fizyczna słabość wskazują dostatecznie inne cele życia. Powiedzieliśmy *umysłowa niższość*, bo nigdyśmy się nie wahali wyrzec naszego zdania, choćby ono nie było zgodne z chwilowemi czasu wyobrażeniami. Tak jest, w sferze umysłowości, w naukach ścisłych, oderwanych, wymagających wielkiego zapasu myślenia, obejmowania, rozumowania: intelligencya kobieca męzkiej nie wyrówna. Cóż jest w tém zdaniu uwłaczającego płci niewieścięj? czyż trzeba być koniecznie matematykiem, archeologiem, taktykiem, fizykiem, aby posiadać dar człowieczeństwa? *Umysłowa niższość* znaczy mniejszą zdolność nauczenia się umiejętności dla ziemi tylko przydatnych, jak fizyczna słabość tłumaczy się przez niemożność wyrównania męzkiej sile ciała. Intelligencya stawia ród ludzki na czele zwierząt, duch jedynie stanowi człowieczeństwo. Kobieta jest w posiadaniu człowieczeństwa; u nięj, jako u matki rodu, jest szkoła sumienia, piękna, nieskończoności; u nięj niewyczerpane skarby miłości, szlachetności, poświęcenia. O! cóż to za szczytne stanowisko! po-co jęj się wdzierać w nauki i przywileje męczyzn, kiedy ja

Opatrzność tak zaszczytnie usposobiła!?... Dlatego odwieczny rozsądek narodów, trzymając się ściśle tych Opatrzności wskazań, wyraźnie stanowisko kobiety oznaczył, i do niego jej fizyczne i umysłowe wychowanie zastosował. Wiek nasz dopiero prześcignął wszystkich czasów obyczaj, wspaniale przypuściwszy kobiety do przysionku wiedzy i rozłożywszy przed nimi księgę męzkich umiejętności, które stały się już jakoby ich własnością. Nie ganimy wcale tej zachęty danej kobietom w kształceniu umysłu; boć kiedy wszystko idzie naprzód, trudno aby one w tyle pozostały; pragniemy jedynie, aby w ich wychowaniu nie spuszczano z oka ich prawdziwego przeznaczenia; a tém przeznaczeniem jest przewodniczenie w moralném kształceniu ludzkości przez wychowanie pojedynczej jednostki. Znana jest powszechnie, i często przez autorów piszących o kobietach przypominana odpowiedź pani Campan cesarzowi Napoleonowi I-mu uczyniona, na zapytanie: „Czego potrzeba, aby kobiety we Francji odbierały odpowiednie płci swojej i przeznaczeniu wychowanie?” „*Matek*”; było jedyną słynnej ochmistrzyni odpowiedzią. „*Owóż cały system wychowania*”, rzekł geniusz wieku, jej dobitnością i treściwością uderzony. My dodamy: tu leży nietylko system wychowania kobiet, ale jeszcze klucz do moralnego postępu całej ludzkości. Z tej zasady wychodząc, pan Aimé-Martin napisał swe piękne, o kierunku cywilizacji przez kobiety, dzieło; w którym czytamy te słowa pełne loicznej prawdy: „*les bons professeurs font les bons écoliers, il n'y a que les mères qui fassent des hommes.*” O ludzi też głównie idzie więcej jak o taktyków, matematyków, filozofów; a człowiekiem, to jest ową jednostką na wzór Boga stworzoną, owym ziemskim czasowo tylko z życiem spojonym aniołem każdy być może, powinien; bo każdy mniej więcej ma o złem i dobrem wyobrażenie. Idzie tylko o wyrobienie woli i chęci do dobrogo. Wola w młodym wieku kształci się przez przykłady: niechaj dziecię od urodzenia żyje i oddycha atmosferą miłości, zgody, porządku i pracy, a wzrosłszy w niej, te same cnoty poniesie w odmet świata, w którym żyć jest przeznaczone. Te wole wpoić, wyrobić, w silne przedsięwzięcie zamienić; tą wolą kierować przez otoczenie dziecięcia budującymi wzorami: jest zadaniem i dziełem kobiety-matki. Do niej należy utwierdzać na łonie rodzin panowanie dobrego, tworzyć obyczaje, godzić myśl z wiarą, rozum z uczuciem, stare przedpotopowe podania

z nowymi wyobrażeniami. Wychowanie kobiet powinno mieć moralny i religijny rozwój ludzkości na celu, bo każda z przeznaczenia swojego jest pierwszą nauczycielką religii i moralności syna swojego. Gdy idzie o naukę, najbliższy nauczyciel, który skończył kursa gimnazjalne i uniwersyteckie, z łatwością matkę zastąpi; ale któż ją w miłości i poświęceniu, w tych codziennych przykładach życia domowego zastąpić zdoła?.. Moda, która nawet w poważny zastęp edukacyjny wcisnąć się zdoła, i tu wielu psot stała się przyczyną. Weszło w powszechny zwyczaj uczyć młode panienki przedmiotów, które w ich słabych umysłach nigdy dostatecznie dojrzeć, a tembardziej rozwinąć się nie mogą. Mnogość przedmiotów, cały encyklopedyczny zastęp, dla mężczyzn nawet umysłów zastraszający: wstępnym bojem zdobył sobie miejsce w żeńskich uczelniach i pensyonatach.

Nie jest naszym zamiarem dowodzić, aby nauki zwykłe w mężczyzn zakładach udzielane, przeszkadzały kobietom w zadosyć uczynieniu obowiązkom: bo jakto wyżej powiedzieliśmy, światło jakiegobądź rodzaju, szkodzić nigdy nie może; ale natura ludzka jest słabą i rzadko kiedy wszechstronną być umie. Czyż kobiecie nawykłej do obliczania gwiazd na niebie, zgłębiania tajników przyrody, rozwiązywania najzawilszych politycznych i społecznych zagadnień, będzie się chciało dziecię piastować, uczyć je paciorka i ojczystej mowy, starać się przypodobać mężowi, być jego pomocą, zachętą, aniołem stróżem i pocieszycielem? Nie, zaiste! Stanowisko to wywołujące wiele drobnych i napozór mało znaczących zatrudnień, zda jej się podrzędne, krzywdzące, niegodne jej starań, zachodów i pracy. Owóż jej przeznaczenie zwichnięte, skrzywione, z toru zbite, jedna rodzina więcej przedwcześnie osierocona, której w zamian starań matki, żony, gospodyni, pozostanie w spadku pewna liczba zaczętych i niedokończonych rękopismów, i kilka wydrukowanych *mierności* płodów. Mówimy *mierności*, bo w naukach ścisłych nie ma prawie przykładu, aby ją kobieta prześcigła, i przez nie do potomności doszła. Pani du Châtelet i panna Herszel, słynęły kiedyś z dokładnych wiadomości w naukach matematycznych. Nazwisko pierwszej byłoby zapomniane, gdyby kilka panegiryków filozofa fernejskiego, jej wielbiciela, nazwiska jej nie były potomności przekazały. Druga czepia się jak może nazwiska brata słynnego astronoma, przez którego uczone świat wie o jej życiu i pracach. Pani Sand, ten najbystrzejszy mo-

że geniusz kobiecy, wymową swoją wielu utalentowanych mężczyzn prześcigła; ale brak głębokości i wyższego na rzeczy poglądu, wyrzucie się wszelkich cnót niewieścich, tak dotkliwie w jej pismach czuć się dające, wzbudzają obok uwielbienia dla talentu, pewną odrazę w tych nawet, którzy z kądiną dzielają śmiało jej zdania. W sztuce życia należy dążyć wprost do celu: innym jest zawód mężczyzny, innym kobiety; wcale różnym przeto być winno ich wychowanie i umysłowe wykształcenie. Mężczyzna dla świata zrodzony: on służy powszechności; kobieta żyje dla rodziny, a jej się poświęcając, tém samém służy i ogółowi. Jak pod względem fizycznym, natura wszystkie cierpienia i znoje rodzicielstwa, matce przeznaczyła; tak znów cały ciężar wychowania, Opatrzność kobiecie powierzyła. Zawód ten nie tylko nie jest poniżającym, ale wynosi kobietę o tyle, o ile ją kładzie w sposobności wpływania na moralny rozwój społeczeństwa; dlatego powiedziano: *że przejścia cywilizacyi, na łonie matek początek swój biorą.* Może nam ktoś zarzuci, że nauka nie przeszkadza obowiązkom, że mężczyźni, którzy jej się niekiedy namiętnie oddają, nie przestają dlatego być starannymi mężami i ojcami, pilnymi urzędnikami, użytecznymi obywatelami. Prosimy tu nas zrozumieć. Nie ganimy bynajmniej w edukacyi kobiet pewnych danych wyobrażeń o każdej nauce, których niewiadomość, dziś okrywałaby ją śmiesznością; i dlatego uwielbiamy myśl przewodniczącą w wydawnictwie dzieł naukowych, wprost dla kobiet wychodzących, jak na przykład: fizyka dla kobiet, chemia, astronomia, geometrya dla kobiet; które oszczędzając im mozółu gruntownego uczenia się tych umiejętności, najpiękniejszy ich kwiat dla nich zrywają. Co ganimy przedewszystkiém w kobietach, to pretensyą do specjalności naukowej, do której ani ich zdolności, ani obowiązki, ani zresztą siły fizyczne nie dają im prawa.

Znamy jeżeli nie z treści, to z nazwiska cały zastęp nauk przygotowawczych do filozofii; wiele lat upłynie, nim zdolny męzki umysł zdoła swe nabytki spożyć, spamiętać, i dostatecznie wyrobione, w świat puścić. Cóż się może znaleźć w umysłowym wychowaniu kobiety, coby jej pozwoliło dostatecznie zwartować, zrozumieć, jak należy zebrać i ocenić na przykład filozofią starożytną w jej postępie, rozwoju i rozmaitych fazach? Pozbawiona wyższych naukowych zakładów, zdolnych profesorów, znajomości niezujących języków: gdzie znajdzie materiały,

z którychby sobie własne, niepodległe zdanie utworzyć mogła? To samo powiedzieć można i o innych męzkich naukach. Skoro tu zatem co najwięcej mierność jest kobiety udziałem; korzyść dla ogółu nie może być wielka, owszem prędkiej ujemna, gdyż się to zawsze dzieje z jakimś zaniedbaniem domowych i macierzyńskich obowiązków. Nie zapominajmy, że przeznaczeniem kobiety jest mniej nauczać słowy, jak czynem, więcej wpływem niż nauką. Najgenialniejsze dzieło świata nie reformuje, ale wielka niewieścia cnota uświęci rodzinę, do której należy. Ileżto widzimy w dziejach dzielnych kobiet, które własny charakter, przekonanie i uczucie w synów przelały, zaczawszy od matki Machabeuszów, Grachów, świętego Augustyna, świętego Ludwika, aż do matki Napoleona, który w poufnych rozmowach, swą wielkość i sławę matce swojej przypisywać lubił. Wielkiem jest złem, tak w wychowaniu kobiet, jak mężczyzn, że zwykle nazywamy kompletną edukacją to, co dopiero jest małą jej częsteczką. Im więcej młodzieniec posiadał nauki, języków, talentów; tém go więcej mienią być skończonym. *Udał się*, to powszechne zdanie; nikt się nie spyta w co wierzy i jak czuje, a przecież o to głównie chodzi. Bywa czasem, że duch młodzieńczy, sam, bez pomocy, wzniesie się do uchwycenia jakiejś wielkiej idei; ale niestety! pozbawiony przewodnika, błąka się po manowcach, nie mogąc dostrzedz drogi prawdy, której nie widzi, choć ją instynktowo czuje. Jeżeli za powrotem do domu, rodzice dostrzegą przesadę w jego przekonaniach i uczuciach, nuż powstawać na złe towarzystwa i przykłady szkodliwe, książki, niebezpieczne wieku idee. Zkądże proszę biorą się złe towarzystwa, szkodliwe książki, zgubne idee, jeżeli nie na łonie rodziny?... Rodzina jestto mały światek z wszystkimi jego wadami, błędami, zdrożnościami, od którego każdy niemal drogę życia rozpoczyna; jest ona niejako przedsionkiem świata, do którego wchodząc, każdy przynosi z sobą gotowe uczucia, zdania i wiarę. Kobieta chcąc być prawdziwie społeczeństwu użyteczną, powinna przedewszystkiém wpływać na rodzinę przez jej moralne ukształcenie; powinna w kącie, w cichości dziecięcej izdebki, daleko od świadków, hałasu i pochwał, w prostocie ducha i serca, rozmawiać z dziećmi swojemi, wyklądać im ducha i wyrazy chrześcijańskiego pacierza, prawa Bożego, ewangelii; a te niezbyt długie, ale częste rozmowy, popierać żyjącymi przykładami wiary, miłości, pokory, pracow-

tości i poświęcenia. Niechaj ona naukowo i racjonalnie na polu publicznej dysputy nie zbija niedowiarków; ale niech się stara za pomocą macierzyńskiego wpływu, przeszkodzić szerzeniu się ich dzieł i opinii. Na tém polu będzie niezwalczona.

Pisząc zdanie nasze o umiejętności kobiet, słyszymy już głosy oskarżające nas o barbarzyństwo, wsteczność, obskurantyzm; dowodzące, że chcemy napowrót niewoli kobiet, ich ślepego męskiej woli posłuszeństwa. Daleka jest od nas ta niecna myśl. Pod względem moralnym i duchowym, kładziemy na równi kobiety z mężczyznami; ponieważ wszakże w życiu praktycznym różne są wcale ich obowiązki, powołania i zdolności: ich wychowanie jednakiem być nie może. Piszemy przede wszystkim myśli i zdania nasze, nie możemy ich zmieniać dla jakiejś mody i szalu, z obawy, aby nas wstecznymi i niezgodnymi z duchem czasu nie nazwano. Życie praktyczne nie jest systemem filozoficznym, politycznym, socjalistowskim, dającym się z każdej strony uchwycić i wyrozumować; jego realność, i że się wyrazimy prozaiczność, ma swoje konieczne wymagania, a zatem i obowiązki, którym czyn przewodniczyć powinien. Idzie zatem, że życie kobiety, żony i matki, tworzące ważne bardzo ogniwo w łańcuchu społecznym, nie jest poezją, ale trudną, twardą, kłopotliwą rzeczywistością. Każdy z żyjących jest niewolnikiem swoich obowiązków; im kto wyżej jest posunięty na drabinie hierarchicznych stopni, im znaczniejsze jego stanowisko, tém trudniejsze są jego obowiązki. Obowiązki są znamieniem człowieczeństwa; zwierzęta nie znają i nie czują żadnych. Każdy, choćby najfanatyczniejszy emancypacyi kobiet zwolennik, zaprzeczyć nam nie może, że ich stanowisko jedynie rodzinne i prywatne być musi: że zatem ich przeznaczenie nie jest w wojsku, w akademii, w giełdzie, w parlamencie, w ministerjum, słowem w życiu publicznym. Nie jest to żadna niewola ani téż przymus, jestto konieczność z natury rzeczy wypływająca. O emancypacyi kobiety mowy być nie może; dzięki Bogu, nie żyjemy w Chinach, a chrześcijaństwo zupełną wolność i swobodę kobiecie zapewniło, i na równi w używaniu praw człowieka z mężczyzną postawiło. O cóż więc naszym zapaleńcom i rozprawiaczom idzie?—aby przypuścić kobietę do wolności i przywilejów męskich? Jakiejżeto natury ma być ta wolność: czy wolność obyczajowa? Tęj podobno

najszańszczy emancytacji kobiet stronnicy, nie śmiałyby radzić. Ta to właśnie surowość opinii publicznej w przestrzeganiu jej obyczajów, otacza świętością kobietę chrześcijańską, i kładzie ją tak wysoko względnie poniżenia i niewolnictwa kobiet azyatyckich. Nie jestto niewola, ale godność i stanowisko, czyniące ją nieprzystępną skażeniu. Czy żądacie dla kobiety wolności cywilnej? tę posiada w zupełności, bądź w stanie niezamężnym, bądź w stanie wdowim. Kobieta według was, żyje w wiecznej małoletności: niewolno jej rozrządzać własnym majątkiem; nie wolno jej przyjmować darowizn; nawet dochody z jej wniosku do niej nie należą. Zastanawiając się zdrowo i bez przesady w tej sprawie, prawo tu szczególnie dla kobiet było względnym, czyniąc jej wniosek niedostępnym nawet utracyszostwu jej męża. Sprawiedliwie zaś, że dochody są przy naczelniku i głowie rodziny. Błądzą, ciężko błądzą ci, co bądź przez fałszywą filantropią, bądź przez krzywo pojęte uczucie słuszności, pragnąc wydobyć kobietę z sfery jej obowiązków i przeznaczenia, miasto jej uzacnienia, krzywdę jej czynią: bo ją obdzierają z wieńca godności i świętości zdobiącego matkę rodu ludzkiego; uchylają jej charakterowi, którego najszlachetniejszym rysem jest *sila w słabości, a światło w pokorze*.

Wiek XVIII uwierzył kobietę robiąc ją całkiem służebnicą chwilowej zabawy, którą wolno porzucić, zdradzić, wzgardzić okryć. Wiek nasz lepiej pojął godność i znaczenie kobiety; ale nagle przeszedłszy z jednej ostateczności do drugiej, zapragnął utworzyć dla niej pewien rodzaj życia samoistnego, osobnionego zewnątrz jej powołania i obowiązków: życia niezgadzającego się z jej charakterem i naturą, ani z prawem Bożem. Nic natury zwalczyć nie zdoła, to też kobieta na przekór mody, tą samą została, czém była, to jest istotą więcej uczuciową niż abstrakcyjną; więcej zdolną do miłości i poświęceń niż do nauki; więcej duchową niżli umysłową. Z czego niektórzy dzisiejsi kobiet przeciwnicy skonkludowali: że kobieta jakkolwiekby miała pomoc do umysłowego kształcenia się, pozostanie nazawsze niezdolną do myślenia, do pracy umysłowej, będzie wiecznym nieukiem. Otóż gdzie prowadzi w każdym przedmiocie i rodzaju przesada. Wyciągnięto gwałtownie kobietę z jej rzeczywistej sfery, zwichnięto jej przeznaczenie; wyidealizowano jej zdolności, aby ją następnie stracić z sztucznego pie-

destału na który ją wyniesiono (1). Przesada w każdej rzeczy jest zła, a droga prosta jest zawsze i była warunkiem i rękojmią mądrości. Przesada do ostateczności w każdym razie jest nieprzyjaciółką dobra. Wynieść się nad stan lub pleć swoje nie jest siebie uznać, ale równowadze żywiołów społecznych szkodę uczynić: bo raz, że się swoje miejsce zostawia opróżnione, a zatem bezużyteczne; następnie, że zabierając nieodpowiednie charakterowi, zdolnościom i wychowaniu położenie, robi się go albo zgoła bezużytecznym, albo mniej korzystnym jak by być mogło, gdyby przez odpowiednią sobie indywidualność zajęte było. Ztądto owe zdania, tak stałe, tak upornie przeciwne autorstwu kobiet; ta oziębłość, niechęć, i niezawsze sprawiedliwe uprzedzenie, z którymi świat wita płody kobiecego piśmiennictwa. Jedni się obawiają zbytniej miłości własnej, próżności i zarozumiałości, co według nich przeciwniejsze jest wdziękowi jak sama głupota; inni brzydzą się piękną ręką atramentem poczernioną, i lękają się widzieć poszpecone dumą i pedanterią rysy, na których nawykli wyczytywać tkliwość, dobroć i uczucie. Uczeni przyzwyczajeni do pracowitego uczenia i zgłębiania przedmiotów, ruszają ramionami na samo wspomnienie uczoneści kobiet. Zgoła nie ma podobno nikogo z pośród mężczyzn, coby był szczerze przychylnym autorstwu niewieściemu. Jestto niesprawiedliwym uprzedzeniem, gdyż są

(1) Ze zgrozą czytaliśmy przed laty niewielu gwałtowne filipiki pana T., przeciw kobietom wymierzone. *Nie dziwi on się, że filozofowie chińscy i indyjscy odmawiają kobiecie posiadania duszy, gdyż kobieta nigdy żadnego systemu filozoficznego nie utworzyła, żadnego ducha czasu nie wywołała, żadnego kraju nie podbiła!*... Aby być w posiadaniu duszy, aby być w całej pełni człowieczeństwa, potrzeba utworzyć system filozoficzny, spalić kilkadziesiąt lub kilkaset miast i wiosek, lub niestworzone rzeczy pod nazwą ducha czasu szumnie i nadęto prawić. O nędzoto ludzkich rozumów!... Ten sam mędrzec wyrzekł jeszcze: *Kobiety zdają się do igły i garnka stworzone, a jednak gdy chcą mieć obiad dobrze zgotowany i suknie dobrze uszyte, muszą wezwać pomocy mężczyzn, którzy są lepszymi kucharzami i krawcami.* Mniejsza o suknię dobrze uszytą i obiad dobrze zgotowany, tém mniej o system filozoficzny zagmatwany i naciągany. P. B. F. T. który jak się zdaje nie jest daleki od przyznania słuszności tym, którzy odmawiają kobietom posiadania duszy; przyznaje im coś do duszy podobnego, i tę nową swoją kreacją nazywa *połjąźnią*; a że w języku filozoficznym tego mędrca, *jaźń znaoczy* tyle, co dusza chrześcijańska, z niektórymi wszakże modyfikacyami; można by się go zapytać: jakim sposobem dusza na poły i połówki, tak na przykład jak łoża w teatrze, porcja w szpitalu i t. p. dzielić się może? Dusza, jako czysto spirytualna nie kraje się na części, ale *jest*, albo jej *nie ma*. Jest w człowieku, w narodzie, nie ma jej w zwierzęciu lub w stadzie kuropatw. (*Przyp. autor.*)

przedmioty, o których kobieta może pisać, i pisać lepiej jak mężczyźni; jak na przykład o wychowaniu, o moralności, oraz powieści, poezye i t. p. Pisząc je, lub o nich, jest właściwie w swoim żywiole; tu znawstwa i nauki nikt odmówić jój nie może. Kobieta wprawdzie nie była nigdy Cezarem, Heglem, ale podobno było więcej w chrześcijaństwie męczenniczek niż męczenników; to jest kobiet, które mimo właściwej płci swojej trwożliwości, śmierć poniosły za wiarę, prawdę i światło; co dowodzi: że w woli i poświęceniu, tych głównych ducha ludzkiego znamionach, nikt ich prześcignąć nie zdoła. Jeżeli kobieta nie wyrówna mężczyźnie w sile ciała i intelligencyi, duch jój mniej wiedzą zagłuszony, wolniejszy od teoryi i szkolnictwa, swobodniej rozwija niebiańską swą istotę. Natura sama ją ciągnie do dobrego, do modlitwy, do cnoty; bez nauki, z własnego serca popędu, tuli się do Boga, otacza Jego ołtarze, usługuje chorym, poświęca się dla wiary, rodziny, kraju, społeczeństwa. Cnoty pierwotne, skromność, czystość, wstyd, świętość, utrzymują się jeszcze w obyczajach powszechności kobiet; a opinia publiczna, czyniąca honor ojców, mężów i braci odpowiedzialnemi za te cnoty kobiece, oddając tu mimowolny hołd godności kobiety chrześcijańskiej, zaszczyt jój przynosi. Niech więc kobiety nie emulują z mężczyznami w nauce, wiedzy, rządach światem: inne one mają rzady i cele, inne zatém zdolności i przywileje. Żyją one dla rzeczywistego postępu, i gotują do niego drogi młodemu pokoleniu. Jak Marya w ewangelii, lepszą obrały sobie część, która im nigdy odjętą nie będzie. Wiek ma do syta darów intelligencyi, potrzeba mu się odrodzić i na nowo ochrzcić w źródłach wiekuistej prawdy; potrzeba dodać żywiołu zachowawczego téj olbrzymiej cywilizacyi, która sama pozostawiona, upaść może pod ciężarem własnej wybujałości. Duch i intelligencya, wiara i rozum w spójni, oto zadanie naszego stulecia. Intelligencyą kształcimy w odmęcie świata, w publicznych szkołach; prawda absolutna, wiekuista, ta prawda, którą każdy z ludzi ma wypisaną ręką Stwórcy na dnie sumienia, wzrasta i rozwija się przy domowém ognisku. Niech kobieta, którą Bóg na matkę późnych pokoleń przeznaczył, sposobi się do tego ważnego apostołstwa; niech ona naprzód będzie wierzącą, miłującą, światłą i cnotliwą; a powszechność w jój pójdzie ślady.

Kobiety XIX stulecia! w rękę waszém leżą przeznaczenia cywilizacyi: strzeżcie pierwiastku chrześcijańskiego; zaszczepiajcie

go w rosnące pokolenie synów waszych; uprawiajcie w nich istotę ducha: tamto płyną źródła życia, nieśmiertelności; tam jest rzeczywisty żywot i wszelka przyszłości rękojmia. Matki! bądźcie ogniwem łączącym dwa światy: świat pierwotny i chrześcijański, świat dzisiejszy cudotwórczej rozumu potęgi; świat Boga i ducha, świat intelligencji i ziemi. Niech wychowawcy wasi kierujący się na ludzi uczonych, myślących, umiętnych, staną się jednocześnie chrześcianami w całej pełni tego wyrazu; a stanie się rzeczywisty postęp, to jest myśl Boża w swym wątku i rozwoju: ustanie panowanie złego; kobieta, która była kiedyś początkiem upadku ludzkości, będzie bodźcem jej odrodzenia i rehabilitacji.



EDYP KRÓL.

TRAGEDYA SOFOKLESA.

TEUMACZYŁ Z GRECKIEGO

Kazimiérz Kaszewski.

ROZPRAWA WSTĘPNA.

Dlaczegoto dzieła Greków nie przestają być przedmiotem zastanowienia i uwielbień? czy w tém jest tylko upór i zaślepienie filologów, pragnących wmówić w ogół uczucie, jakim słusznie czy nieślusznie przejęci są sami? Bynajmniej: utwory muz greckich zasługują wszechstronnie na ten podziw, którego im pojedynczy ludzie nie odmawiają; a jeżeli ogół dzisiejszy nie bierze w nim szczerzego udziału, to dlatego tylko, że one w całkowitych, naturalnych kształtach uchodzą przed jego wzrokiem. Mówiąc szczegółowo o poezyi, ogół z fałszywego stanowiska długo jęj się przyglądał, z fałszywych źródeł czerpał poznanie o niej lub nie był należycie przygotowanym do jęj ocenienia. Aby odkryć i uczuć piękność w poezyi greckiej, trzeba: czytać ją po grecku, lub w dobrym przekładzie; oraz mieć dostateczne ku temu historyczne przygotowanie, nie dlatego, iżby poezya grecka była nieprzystępną pojęciu, przeciwnie, nic prostszego, nic bardziej naiwnego od niej; ale potrzeba koniecznie stawić się na stanowisku narodu, aby zrozumieć piękności przezeń w języku złożone.

„Dalej, chłopcy! dalej śmieie,
Boćto w karczmie, nie w kościele“.

Oceniz kto, komu nieznaną dziarskość i pobożność ludu naszego, całą piękność tego dwuwiersza, wyrażającego zachętę i przestrożę, malującego dwie strony, dwa odmienne tegoż ludu usposobienia? Poezya grecka, mianowicie epepeja, przedstawia szereg takich piękności obyczajowych: maluje w tęczyowych barwach duszę tego ludu, który z Bożego rozkazu, i wielkim gościńcem polityki, i stromą nauki drogą, i kwiecistymi poezyi a sztuki ścieżkami biegł do sławy i nieśmiertelności. Przyjrzyć się pracy Greków we wszystkich jój zawodach i kierunkach; stanąć tak, aby nie uronić ani jednego promienia światłości bijącej od Olimpu i Tauru: to prawdziwie człowieka zdumieniem i rozkoszą przejmuje. Lud grecki, to polityk, prawodawca, filozof; ale przedewszystkiém jest on poetą. Jego życie, jego wyprawy, jego trybuny, święta, gonitwy, to ciągła w żywych obrazach poezya.

Filologowie mają słuszość: ogół byłby tego samego co i oni przekonania, gdyby ogół był filologiem. Cóż tedy czynić wypada, aby mu nieco tego przekonania udzielić? Na to nie ma innego sposobu, jak przygotowanie historyczne i dobry przekład; nie każdy bowiem zdolny łamać sam przez się lody archeologiczne, nie każdy czytać poetów greckich w oryginale. Dodajmydo tego i to, że przygotowanie historyczne, o którym tylokrotnie wspominamy, niekoniecznie winno być tak szczegółowe. Dostyc ogólnych wyobrażeń, a czytanie poezyi reszty dokona, boć ona lepszą jeszcze mistrzynią w tém, niż sama, w zwykłym znaczeniu, historia.

Przekłady poezyi są dwojakiego rodzaju: jedne naukowe, w prozie, przeznaczone jedynie dla językowego zrozumienia; drugie artystyczne, wierszem, dla odtworzenia wrażeń wywoływanych przez pierwotwo-ry. I otóżto mozolne zadanie. Dlaczego to literatura klassyczna miała tak długo i tylu przeciwników? bo zadanie to nie każdy rozumiał. Tłumaczenie Homera Vossa uchodziło w sferach przynajmniej szkolnych za jakieś arcydzieło w swoim rodzaju; tymczasem, jak słyszałem od naocznego świadka, pierwszy filolog europejski swojego czasu, Wolf, gdy się przed nim nad tym przekładem unoszą, mówiąc: „jakież to śliczne

tłumaczenie, jak ten Voss idzie tuż w ślady za Homerem", odpowiedział: „tak, prawda; ale w drewnianych trepkach". I miał słuszność. Ileżto nie przechwalano przekładu Iliady Dmochowskiego, a jednak te przechwały bynajmniej na stronę Homera nie ujęły ogółu. A poszło to złąd, że obaj tłumacze żywą, serdeczną dykcją Homera ujęli w zimne, scholastyczne formy, i tego naiwnego prostaczka przyoblekli w długą, fałdzistą suknię erudycyi, w której mu wcale nie do twarzy, która zakryła jego nagie, urocze kształty. Nielepszemu losowi uległa i liryka grecka. Ale mamy przed sobą tragedya, mówmy o tragedyi.

Poznajomienie ogółu z tragedya grecką winniśmy Francuzom. W XVII wieku, pod rządem wielkiego monarchy, pominąwszy dobijanie się potęgi materyalnej, Francya pragnęła wszystkiego, co stanowi sławę narodu: nieodzowną tu była i literatura. Sąsiedni dwór miał swego Szekspira, którego z każdym dniem coraz bardziej ubóstwiał; dwór Ludwika XIV zapragnął własnego teatru, aby i w tém nie stać niżej od Anglii. Ależ teatr nie przychodzi tak na zawołanie, i Szekspirowie nie rodzą się jak grzyby po deszczu; zgodzono się więc na kilka talentów dramaturgicznych, i tym powierzono szlachetną missyą wyhodowania teatru narodowego, któryby zrównoważył angielski (1). Ale od czegoż było rozpocząć? W dziejach narodu leżały wprawdzie obfite materyały do dramatu, ale, albo nie wiedziano jak się wziąć do ich obrabiania, albo zupełnie oczy na nie zakryto: tak przynajmniej domyślać się trzeba. Teatr grecki, przeciwnie, dostarczał gotowe formy wypełnione bogatą treścią; na niego więc zwrócono uwagę i wzięto go za kopalnię, z której miały powstać klejnoty, zdobiące ówczesną literacką epokę Francyi. Tłumaczyć wprost utwory dramaturgów greckich, i przedstawiać je na wytwornym teatrze dworu, w obec woniejących widzów, było niepodobieństwem. I pod innemi nawet warunkami, ani logiki, ani powodzenia zamiar tenby nie miał. Utwory

(1) Patryotyzm Francuzów jest tak co do swojskich rzeczy uprzedzony, że i dziś nawet krytycy nie śmieją Kornela niżej od Szekspira postawić; i na wszystkie formy dyalektyczne sądzą się, aby zasługi obu względem ogólnej literatury porównać. Gdyby to nie było śmieszne, byłoby oburzające.

Greków są to wielkie ruiny: popatrzeć na nie można z zadziwieniem i rozkoszą, ale mieszkać w nichbyśmy nie potrafili. Każdy przecie wiek ma swoje osobne formy życia, które przenikają aż do sztuki, i źle robi jeżeli ich od przeszłości in crudo pożyczają. Dowód to albo jego nieudolności, albo braku zdrowego sensu. Przeszłość pouczać może i powinna, ale powtarzać się nie może, bo to przeciw jej przeznaczeniu; życie to rzeka, która płynie coraz dalej i nie wraca w kierunku źródła. Wprawdzie i dziś jeszcze zdarzają się publiczne przedstawienia tragedji greckich; ale jest to raczej uroczystością akademicką, niż wyrozumowaną potrzebą ogółu: wreszcie, pytanie, czyby się Grek na to przedstawienie nie skrzywił. Muzyka do nich tworzy się na domysł, a gdzież te naturalne dekoracye, maski i koturny? gdzie nadewszystko widzowie? Nie mamy przeto za złe Francuzom, że tragedji greckich wprost dla teatru swego nie tłumaczyli: oni przedsięwzięli je naśladować. Byłoby to bardzo rozumnie, gdyby to naśladowanie odbywało się w duchu, nie w formie; ale stało się przeciwnie. I niedość na tém: wybrani dworscy poeci wiedzieli o co chodziło; mianowicie o to, żeby podobać się królowi i licznym ówczesnym królowom, żeby tém samém usprawiedliwić wybór, jaki padł na nich, mniejsza co na to powiedzą prawa sztuki, krytyka i estetyczne względy. Owoż teatr grecki ku temu celowi wydał im się za szorstki, przypominał im epokę barbarzyństwa, nieokrziesania. Trzeba więc go było koniecznie połorem francuzkim wygładzić, zasilić spółczesnemi im pojęciami wyobrażenia Greków, sprostować to, w czém najwyraźniej pobłądzili Eschyl, Sofokles i Eurypides: to jest królów porobić delikatniejszymi w obejściu, wytworniejszemi w wystowieniu; kobietom dodać sentymentalność margrabin wersalskich, a młodym ludziom, kochanki. Jak wzięli tedy gładzić, czyścić, prostować i przerabiać, to z tragedji przedmiotu greckiego zrobili takiego potwora, że pewnie żadna matka do niego się nie przyzna.

Najwალniejszym koryfeuszem takiego teatru był Rassyn, człowiek z talentem poetycznym niezaprzeczo-
nym; znać to z wielu ustępów szczegółowych, ze zwro-

tów i dykcyi; ale i sam się przyznawał, że w tragediach swoich działał gwoli dworskich junaków. Możemy sobie wyobrazić wartość dzieła, które podobnym uległo wpływowi. Gdybyśmy chcieli przytaczać tu z jego tragedyi, traktujących przedmioty greckie, wszystkie ustępki mieszczące anachronizmy pod względem pojęć, fałszywych obyczajów i historycznych: to musielibyśmy wypisywać szeregi wierszów, nie mówię już o wyrazach, a nawet całkowicie przepisywać sceny. U niego każdy bohater starożytny, czy to będzie Alexander W., czy Agamemnon, Hippolit czy Eteokl, myśli, pojmuje, mówi jednakowo, to jest po francuzku. Tak samo słowo w słowo postąpili i współzawodnicy Rassyna. Co większa, to naśladownictwo i ta chęć poprawiania charakterów nakreślonych, a raczej wyciosanych przez trzech tragików greckich, przeszła w literaturze aż do XVIII wieku, kiedy znowu Wolter wziął na siebie obowiązek operatora greckiego teatru, i stworzył wzorową karykaturę p. t. Edyp, gdzie Jokasta kocha się potajemnie w Kreonie, ale to tak szalenie, jak jaka dama honorowa w marszałku Francyi.

I cóż dziwnego, że większość znając tylko z takich i tym podobnych objawów literaturę klassyczną, ogołconą z prawdy i odartą z wdzięku, powzięła ku niej wstręt niepowściągnięty. I cóż dziwnego, że wkrótce potem, przeciw tak sponiewieranemu klassycyzmowi, ludzie nowych pojęć chórem wykrzyknęli anatę. Nie klassycyzm to winien, ale czcigodni jego orędownicy.

Rehabilitacya klassycyzmu idzie zaraz po ustaleniu się wyobrażeń o rzeczywistej poezyi. Nastąpiło zawieszenie broni między tak zwanymi romantykami i klassykami, bo przekonano się, że cała utarczka była niepotrzebną, i że istotnym nieprzyjacielem był ktoś trzeci, to jest skrzywiony gust fałszywych czcicieli klassycyzmu. I dziś już wyraźnie stronnictwa zacierają się, podział ów ustaje. Jeżeli zaś mamy rozdzielać poezyę a w ogóle sztukę, to ją rozdzielimy na starożytną czyli pogańską, i chrześcijańską; poezya zaś romantyczna będzie tylko jednym téj ostatniej odcieniem, pieśnią prowansalów, którą nie tu miejsce rozbierać.

Prócz Francyi żaden inny naród nie uprawiał na tak obszerną skalę tragedyi według wzorów greckich;

a jednak, rzecz dziwna, napotyamy w nowoczesnych literaturach wielkie zbliżenie. A czemuże to dzieje się, że ludzie rozdzieleni wiekami i wyobrażeniami spotykają się jednak na polu sztuki? Przyczyną tego jest czystość pojęcia o prawdzie i doskonałe uczucie piękna, a nade wszystko oryginalność w pomysłach i tworzeniu. Te są powody, że najpodobniejszym do tragików greckich jest Szekspir. Nie z formy bynajmniej, ale z ducha. Żywioły tragedji greckiej: dzielność charakterów, głębokość uczuć, prostotę posuniętą aż do szorstkości, oryginalność pojedynczych zdań, napotyamy i w jego utworach. Forma tragedji greckich jakkolwiek odrębna od wszelkich innych, jest jednak wielce swobodną. Ta potrójna jedność: akcji, czasu i miejsca, której tak pilnie przestrzegali dramaturgowie francuzcy, istniała tylko w ich wyobraźni. Zawiele oni w tej mierze zawierzyli Arystotelesowi; tragedia grecka wcale się tym nie krępuje, choć wprawdzie częstych przenosin nie robi. Tęż samą swobodę formy widzimy i u Szekspira. Oryginalność tedy w pomysłach, istniejąca przy odpowiednich warunkach geniuszu, najpodobniejszemi czyni utwory; bo wszyscy wszystkich wieków i krajów geniusze czerpią z jednego źródła: z człowieka i serca. Jawniejszy jeszcze na to dowód mamy we wszystkich pierwotnych epejach, jak one różne od siebie, a jednak jak podobne. Dlaczego poezya grecka jest tak trwała, dlaczego ona nie tylko na kilka lat, kilka wieków wystarcza jak niektóre literatury nowsze, ale stoi wciąż nienaruszona w swój wziętości, żadnego postępu, żadnych porównań się nie obawia? Dlatego, że każdy poeta grecki jest czysty, wolny od naśladownictwa, oryginalny, do tego stopnia, że każdy z nich: czyto epik, czy liryk, czy dramaturg zdaje się rozpoczynać nowy okres literatury, tak jest świeżym i niezawistym od poprzedników. Ileżto lat upłynęło od Homera do Sofoklesa, a tymczasem Sofokles jest sobie tak prostym, pierwotnym geniuszem jak i Homer, pomimo wydoskonalenia się językowego i postępu ogólnych wyobrażeń. Myślałby kto, że pomiędzy dykcją i obrobieniem Homera a Sofoklesa będzie choćby taka różnica, jak np. między pieśnią Bogarodzicy św. Wojciecha a dumą Zaleskiego; a tu właśnie przeciwnie: tak zdaje się, jakby

Sofokles nic a nic z tego co miał przed sobą nie korzystał, jakby tego nie znał nawet, i był najpierwszym twórcą. Co większa: Eschyl, Sofokl i Eurypides żyją i tworzą jednocześnie, a prace ich są pod względem oddania tak różne od siebie, jakby każdy żył w innym wieku i jeden o drugim nie wiedział. Niestychna oryginalność!

Ztémwszystkiém nie potępiamy naśladownictwa, ale zalecamy je o tyle, o ile ono nie przechodzi w podrzeźnianie. Już to leży w naturze rzeczy, iż wielki utwór będzie zawsze wzorem, wskazówką, nauką; bez wpływu on pozostać nie może. Ilużto poetów zawdzięczamy Bajronowi: u nas cała niemal literatura piękna XIX wieku z niego wzięła początek; wiele téż do niej przyłożyli się: Szyller, Gete a i Szekspir po części. Jednakże ta literatura nasza wcale naśladowniczo nie wygląda, gdyż naśladownictwo to ograniczyło się na samém zrozumieniu pomysłów mistrza, a nie zstąpiło do ich kopiowania. To założywszy, śmiało powiedzieć możemy, że i teatr grecki z właściwego stanowiska poznany, korzystnie wpłynąć może na rozwijanie się u nas dramatycznej poezyi, a tém samém i przekłady tragedyi na coś się przydadzą.

Tłumacz nie jest odpowiedzialnym za pomysł, ale tylko za formę tego pomysłu; najważniejszém dlań zadaniem, jak powiedzieliśmy, odtworzenie wrażenia przez oryginał wywołanego: środki ku temu to już jego rzecz. On, jak malarz kopista, robi to, co mu siły i materiały dozwolą. Z siłami niechaj się porozumié: jeżeli je ma niedostateczne, niechaj się nie porywa, bo upadku nikt mu nie przebaczy. Materiały jego, to język ojczysty: im go lepiej pozna i użyje, tém szczęśliwiej praca mu się uda; a jeżeli ona jeszcze niezupełnie pójdzie jakby należało z winy tego materiału, to w tém już łatwiej tłumacz znajdzie przebaczenie. Z takim usposobieniem przystępowaliśmy do prac obecnych. Przejęciu się duchem treści towarzyszył wzgląd i na formę zewnętrzną. Widzieliśmy w tragediach greckich trojaka dykcją: zwyczajny teatralny dyalog; części odmiennego rytmu, których, (choć to anachronistycznie) nie możemy właściwiej nazwać jak recitativem; i nareszcie chóry. Odmiiany te jak najściślej przenieśliśmy i do przekładu,

starając się nadać każdej z nich ton i rytm zgodny z naturą treści. Wiedzieliśmy i o tém, co do formy zewnętrznej, że zachowanie wiersza miarowego, według oryginału, o wiele ułatwiłoby pracę; ale że zkadinał wiersz taki jest zupełnie obcy warunkom naszego języka w zastosowaniu do poezji, i żadnej prawie nie wyraża harmonii; woleliśmy tedy stokroć podwyższyć trudności, używając wiersza rymowego, aby pomijając go, nie ujmować dziełu artystycznego wrażenia. Pod względem formy wewnętrznej trzy rzeczy winniśmy byli przedstawić w języku: siłę, prostotę i koloryt wieku. O ile znajomość języka własnego dozwalała nam, o tyle staraliśmy się unikać w wyrazach i wyrażeniach wszelkiej wykwintności i anachronizmów, któreby trzy poprzednio wymienione warunki nadweryżyły. Z pokorą wszakże wyznać musimy, że nie wszędzie udało się nam zachować zamierzoną dokładność. A lubo religijnie poniekąd pragnęliśmy w całej czystości oddać każdą poszczególne myśl oryginału; to wszakże albo dziwaczność wyrażenia, na które języki w ogóle nowożytnie nie mają takiej samej formy, albo mechaniczna jakaś niezwalczona przeszkoda, sprowadziły nas gdzieniegdzie z zamierzonej drogi. I tak, łamiąc się z trudnościami, w ciągu blisko lat dwóch dokonaliśmy przekładu trzech tragedj Sofoklesa, z których każda sama w sobie całością jest, a wszystkie trzy znowu stanowią jedną organiczną pod względem przedmiotu całość, której początkiem obecna właśnie tragedia.

Syn Laja króla tebańskiego i Jokasty, Edyp, przez rodziców zaraz po urodzeniu na śmierć przeznaczony został, a to dlatego, że wyrocznia ogłosiła, iż on stanie się z czasem zabójcą ojca i małżonkiem matki. Ale pasterz, którego użyto do spełnienia okrutnego czynu, ulitował się nad swoim królewiczem i oddał go obcemu człowiekowi z Koryntu, który poniósł go aż na dwór królewski. W Koryncie tedy rósł i wychowywał się młody Edyp, uchodząc za królewskiego syna; aż pewien wypadek szczegółowo opisany w teście tragedji, zbudził w nim podejrzenia, w skutek których udał się do wyroczni, i ta słowo w słowo powtórzyła mu to, co niegdyś przepowiedziała prawdziwym jego rodzicom. Edyp przerażony taką wróżbą, i biorąc króla Koryntu za isto-

tnego swego ojca, ucieka gdzie go oczy poniosą. Ale fatalność ciążyła na nim. Na drodze właśnie spotyka jadącego Laja, wszczyna z nim zwadę, zabija go nie wiedząc kogo zabił. Przybywa do Teb pozbawionych władcy, zastaje kraj w opłakanym stanie z powodu srożącego się nad nim sfinxa, wyswobadza go od téj potwory; za co obywatele mianują go królem i dają mu za żonę wdowę Laja, Jokastę. Tym sposobem na Edypie sprawdza się w zupełności przepowiednia wyroczni.

Otóż, jak widzimy, najważniejszą w téj tragedyi wygrywa rolę owa znajoma w pogańskim świecie fatalistyczna konieczność, bóstwo zawzięte na wolną wolę człowieka. A jednak Edyp, to człowiek najsilniejszy woli, mający po sobie wszystkie cechy znamionujące prawdziwą wielkość, a mianowicie to, że w razach najtrudniejszych i najrozpaczliwszych, gdzie tłum traci głowę i bezwładnie opuszcza ręce, on działa sam jeden, bez niczyjéj pomocy, i najświetniejszym tryumfem wieńczy swoje samodzielne usiłowania. Takąto samodzielną energią rozwinął Edyp w walce ze sfinxem, któremu cały naród poradzić nie mógł; naród mu téż publicznie przyznaje tę wyższość jednostki nad ogółem, mówiąc przez usta kapłana: „Ty za przybyciem na ziemię Kadma, wyswobodziłeś ją od haraczu, jaki płaciła okrutnemu sfinxowi, i w tém nas bynajmniej nie pytałeś o radę, ale sam, z Boską tylko pomocą, stałeś się nam zbawcą.” Taką figurą byłby i nasz zwycięzca smoka, Krakus; taką figurą jest alpejski Wilhelm, który wprawdzie miał do czynienia ze smokiem innego rodzaju. W utworze Szyllera, Tell, podobnie jak tu Edyp, dla spełnienia swojego czynu odmawia bezwarunkowo wszelkiéj obcój pomocy, bo ona mu jest tylko zawadą i sam się nawet wyraża, że: „Silny człowiek, sam jest najsilniejszym.” Obaj poeci doskonale rozumieli naturę wielkości geniuszu, tylko że niemiecki wieszcz szeroko ją w swém dziele rozprowadził, gdy Sofokles tylko o nią wspomina. Bo téż przedmiot tragedyi jego odbywa się już po dokonany czynie, przeciwnie Szyller w dramacie swym, jest właśnie czynem zajęty.

Obecna tragedia poczyną się od tego, że po długim a świetnym panowaniu Edypa, nagle wybucha morowa zaraza i ludność okrutnie trapi. Zapytana

wyrocznia o radę, oświadcza, że klęska ta nieinaczej ustąpi, aż lud wynajdzie zabójcę Laja, ukrywającego się w mieście; i albo go wygna z kraju, albo go śmiercią ukarze, oddając krew za krew, gdyż to nieszczęście ze krwią niewinną na kraj się wylało. Uważmy, że ta śmierć zabójcy Laja, o którą dopomina się wyrocznia, nie ma być zwyczajną karą za przestępstwo; ale jakimś odkupieniem jego winy, pociągającym za sobą oczyszczenie całego społeczeństwa, które całe też za jego winę cierpi pod wyziewem ogólnej klęski.

Niejednokrotnie napotykamy w tragediach greckich wyrazy: miasma, miastor: jestto zbrodnia jednego człowieka spadająca na całe społeczeństwo, zostające z tym człowiekiem w pewnym związku, i wymagająca następnie oczyszczenia z plam, jakie po sobie pozostawia, oraz zadosyć uczynienia ze strony ogółu. Ta odpowiedzialność jednego za wszystkich i wszystkich za jednego, chociaż w innej nieco formie, przebija się i w chrześcijaństwie (klątwy), a w ogóle leży w naturze ludzkości. Co większa, to wzmiankowane w tragedyi oczyszczenie ze krwi przez krew, także nie jest przypadkowym, ale wypływa z odwiecznych wyobrażeń wszystkim krajom i religiom przyswojonych; a najdawniejszym na to dowodem są tak nazwane: taurobalia, obrzędy, w których, jak sama nazwa wskazuje, początkowo zabijano byka, aby śmierć jego była pewnym oczyszczeniem z następstw występków przez ludzi dokonanych. Początek tych obrzędów jedni wyprowadzają z Frygii, gdzie one odbywały się na cześć bogini Kybeli; inni odnoszą je do dawniejszych jeszcze czasów, bo aż do mytu perskiego Mithra, którego widomym objawem była ofiara byka. To pewna, że wszystkie religie wschodnie, nie wyłączając żydowskiej, znają te krwawe oczyszczenia: forma tylko jest zmienną. Przeciwnicy nawet chrześcijaństwu w pierwszych wiekach jego rozkrzewiania się porównywali obrzędy tauroboliczne ze chrztem, i ten od nich wywodzić chcieli. Jest w tém coś: i chrześcijaństwo ma krwawą ofiarę, z tą tylko różnicą, że Dawca jego nikogo na zadosyćuczynienie za drugich nie poświęcił, jedno samego siebie.

Owóż, wracając do tragedyi, powtarzamy, że kara mająca być wymierzona na zabójcę Laja, ma charakter

pokutniczy. Lud srodze uciśniony przybiega do ukochanego monarchy; Edyp postanawia użyć wszelkich środków dla wykrycia i przykładnego ukarania nieznanego złoczyńcy. W tym celu każe sobie naprzód opowiadać szczegóły tyczące się śmierci Laja, co jest zkażdym dość nienaturalne: bo czyż podobna przypuścić, aby będąc mężem jego wdowy i panem jego ziemicy, nie słyszał nic o nieszczęśliwym jego wypadku. Ale pominawszy tę uwagę, którą najpiérwszy zrobił Arystoteles, Edyp zabierając się do wykrycia tajemnicy tak ważnej i stanowczej, ukazuje się w całym świetle potężnego człowieka, ze wszystkimi jego zalety i wady. Z miłości dla swego ludu wyrzeka się spokoju dopóty, dopóki on cierpieć nie przestanie; przeklina straszliwie zabójcę i każdego coby znając go nie wykrył, albo dał mu schronienie. Ale z drugiej strony, zasięgając o tój zbrodni wiadomości od osób trzecich, dopuszcza się z nimi niestęchanej gwałtowności, okazuje gniew, upór w swém zdaniu i dumę przywiązaną do wielkości charakteru, usprawiedliwionój powodzeniem. Tym sposobem znieważa miejscowego wróźbitę, starca ślepego, który używa powszechnego szacunku; znieważa szwagra swego Kreona i różni się nawet z własną małżonką, dlatego, że te osoby stają na przekór jego zdaniu. Ale to zacięte obstawanie przy swoim, ta gwałtowność, były, pokazuje się w części potrzebne: bo tą tylko nieugiętością w swój woli, opierającą się perswazyom innych, dopiął zamierzonego celu i odkrył zabójcę Laja w samym sobie. Po tём straszliwém odkryciu, czując potrzebę podwójnego zadośćuczynienia, na rzecz własną oczy sobie wydarł, na rzecz ludu kazał się wygnać z kraju, i morowa zaraza, ustała.

Dramatyczność tój tragedyi polega właśnie na wzrastającym niepokoju Edypa, gdy ten stopniowo przychodzi do poznania całej przerażającej prawdy. Już ze słów naprzód przywołanego dla dania objaśnień Tirezjasza, wróźbity, Edyp przeczuwa, że święci się coś złego. Następnie, żona Jokasta opisaniem kilku szczegółów śmierci Laja, oraz okolicy gdzie on zginął, podwaja w nim niespokój. Już tu Edyp jest prawie pewnym, że on stał się zabójcą Laja; ale choćby i tak było istotnie, to dopiéro mniejsza potowa nieszczęścia,

bo Edyp dotąd nie przypuszcza, ani w myśli mu to nawet nie postoi, żeby ten Laj był jego ojcem. Dla wybadania całej prawdy posyłają na wieś po starego sługę, niegdyś pasterza, który był obecnym zajściu pomiędzy Lajem a Edypem, i pozostał jedynym żyjącym świadkiem téj sprawy; a było właśnie ten, któremu rodzice Edypa polecili zamordować go, gdy był niemowlęciem, i który mu życie uratował. Tymczasem przybywa obywatel z Koryntu do Edypa z doniesieniem, że król tameczny Polyb umarł, i w ciągu rozmowy przekonuje go, że Polyb nie był jego rodzonym ojcem. Tu dopiero przerażenie Edypa wzrasta do najwyższego stopnia; aż nareszcie przybycie oczekiwanego pasterza dopełnia miary przestachu i zgrozy. Wtedy już Edyp dowiedziawszy się wszystkiego czego pragnął, nie rzuca się, nie wykrzykuje, mówi tylko: „O! słońce, ja cię dziś po raz ostatni widzę!”—znika, i dopiero wraca na scenę z wydartemi oczami.

Piekna to i pełna interesu rozprawa między Edypem a owym starym pasterzem: w niej poeta uwydatnił całą dzielność charakteru nieszczęśliwego władcy, który dobrze przeczuwa cios, jaki w niego ugodzić ma; a jednak ani na chwilę nie cofa się przed postanowieniem wykrycia prawdy: opierającemu się nawet słudze z wyjaśnieniem jój, torturą grozi.

Niemniej piękna a nader oryginalna scena jest pomiędzy Edypem a ślepym wróżbitą, Tirezjaszem. Ten wie wszystko, a jednak utyskuje na swoją wiedzę; przerażają go okoliczności do życia Edypa przywiązane. Gdy Edyp nalega nań o wyjaśnienie tajemnicy, Tirezjasz naprzód powodowany spótczuciem dla niego, chce ją utaić. Aż gdy stopniowo nalegania Edypa przybierają charakter groźby i przymusu, wtedy wróżbita występuje ze swemi prawami: oświadcza mu wręcz, że on nie ma nic mu do rozkazania, że nie on jest jego władcą, ale Apollo; że oni oba są sobie równi co do władzy: Edyp dzierży berło rządów, on berło nauki. I nie jestto prostą przechwałą wróżbity, bo cały naród toż samo mu przyznaje, a nawet mianuje go tym samym tytułem królewskim jak Edypa (anax). I ten rzeczywiście, pomimo całego gniewu, nie był w stanie swoją królewską powagą zmusić go do działania gwoli swój, ani

mścić się na nim za upór. Nie wiemy, zaprawdę, czém usprawiedliwić to wysokie znaczenie przyznawane tu przez poetę powołaniu wróżbity, świadectwa na to trudno w dziejach Grecyi dopatrzeć, pomimo to, że tam zazwyczaj w trudnych razach udawano się do wyroczni. Ale trzeba tu i to odróżnienie zrobić, że co innego były wyrocznie stałe, do kilku świątyn Grecyi przywiązane, w których odzywał się Feb przez usta wrózek; co innego zaś domowi wróżbici: i ci w czasach tylko bardzo odległych, w pierwiastkach bytu społeczeńskiego Grecyi używali znakomitej wziętości, a nawet cześć dla nich dochodziła do pewnego rodzaju ubóstwienia. Takich też czasów sięga epoka Edypa; i z tego względu nic nienaturalnego, że Tirezjasz jest jakimś bożyszczem ludu, przejętego jeszcze tradycjami egipskimi.

Ale z drugiej strony dziwną z tém stanowi sprzeczność lekceważenie Jokasty, jakie ona rozciąga do zdań wyroczni, tak, że wyraźnie nawet powiada, iż im nie a nie nie wierzy. Aby tę sprzeczność pogodzić, trzeba wiedzieć o tém, że tragiczek grecki (mówimy tu mianowicie o Sofoklesie), dzieli zadanie swoje między przyobleczenie utworu kolorytem opiewanej epoki, i alluzye do współczesności; bo jak już to dawniej powiedzieliśmy, tragedia odznaczała się charakterem politycznym. Owoż, w czasach Sofoklesa filozofia już głębokie korzenie zapuściła w umyśle społeczności greckiej. Niejednokrotnie ówczesni myśliciele, i w sposób poważny, i żartobliwy dotykali niedorzeczności poprzednich wierzeń; i niejedyn już dogmat był tylko tolerowanym jako pamiątka narodowa, ściśle z przeszłością ludu związana. Już Olimp powoli ogąłcał się z rozlicznych bóstw, jakimi zapełniła go poetyczna fantazyja ludu, a natomiast coraz większego nabierała znaczenia idea jedności bóstwa, coraz częściej i głośniej przechodziła przez usta wieść o nieznanym Bogu. W obec takiego postępu wyobrażeń, rozumié się, że musiała upadać w opinii powszechniej i godność wyroczni, głośno i jawnie osławianych przez sofistów i filozofów. Takich to pojęć organem są tu słowa Jokasty, choć może mniej zręcznie do ogólnego charakteru epoki, jaką zajmuje się tragedia, przyczepione.

OSOBY TRAGEDYI.

EDYP, król Teb.
 JOKASTA, jego żona.
 KREON, jej brat.
 KAPŁAN Zeusa.
 TIREZYASZ wróżbita.

STARY sługa.
 GONIEC z Koryntu,
 POSEŁ (*αγγελος*).
 CHÓR starców tebańskich.

Rzecz dzieje się w Tebach, w XIV wieku przed Narod. Cbr.

EDYP. — KAPŁAN. — CHÓR.

Edyp.

Dzieci, starego Kadma młody płodzie!
 Czemuż z gałązki błagalnemi w dłoni (1)
 Ku mnie się w tłumnym ciśnięcie pochodzie?
 Czemuż gród cały, pelen kadzidł woni,
 Żalonych pieni i jęków boleści?
 Które chcą poznać, nie z cudzej powieści,
 Ja sam się kwapię, ja, Edyp, z którego
 Imieniem w uściech ludzie tutaj biega.
 Pocznij więc, starcze; bo pośród młodzieży
 Tobie się słusznie głos zabrać należy.
 Ja wam chcę radzić; powiedz więc, czy modły,
 Czy trwogi, jakie tutaj was przywiodły;
 A byłoby to nieludzko z méj strony,
 Bym na wasz widok stał nieporuszony.

Kapłan.

Edypie! władzco méj rodzinnej ziemi,
 Patrz na te tłumy przed progi twojemi:
 Tu słaba dziatwa, tu starość schyłona,
 Tu kapłan Zeusa, tam młodzieży grona,
 A reszta ludu, i kto jedno żywy
 Biega po rynkach, z gałęźmi oliwy:
 To ku Pallady, obu chramom kroczy,
 To znów przed ołtarz Ismenu proroczy (2).

(1) Gałązki oliwne owijane wełną były oznaką błagania.

(2) W Tebach dwie miały być świątynie, w których czczono Minerwę: jedna zwała się *Onkejską*, a druga *Ismenejską*, od rzeczki Ismenu. Nad tąż samą rzeczulką była świątynia Apollina, w której odbywały się wróżby.

Ojczyzna nasza, w tój straszliwej porze,
 W odmęcie nieszczęść, jako widzisz, tonie,
 I nad zar krwawy głowy wzniesć nie może:
 Śmierć zgładza dzieci w macierzyńskim łonie,
 Pod żarem śmierci upadają trzody
 I niedojrzałe pełzną ziemi płody.
 Zaraza, przebóg! ta straszna bogini,
 Okropną pustkę w domu Kadma czyni:
 Czarny się Hades na tebańskiej ziemi
 Bogaci łzami i jęki naszemi.
 Stoję więc z dziećmi u twojego proga,
 Wzywając ciebie, nie już jako boga,
 Lecz jak pierwszego z pośród nas człowieka:
 Od kogo naród wybawienia czeka,
 Czy to w zwyczajnych przygodach żywota,
 Czy w tych, co gniewne na nas bóstwo miota (1).
 Wszak tyś za przyjściem do Kadma dziedziny
 Nas od haniebnej uwolnił daniny,
 Którą oddawna pobierał sfinx srogi (2);
 I k'temu u nas nie pytales drogi,
 Lecz sam, przy bożej pomocy jedynie,
 Stales się zbawcą tutejszej krainie.
 I dziś znów władzco! wołamy ku tobie:
 Wynajdź nam sposób, ratuj nas w zły dobie!
 Niech lub wyrocznie oświecą cię boże,
 Lub człowiek jaki radą cię wspomozę:
 Bowiem tych zdanie wysoce się ceni,
 Którzy w kolejach życia doświadczeni.
 Więc dalej! pospiesz, o mężu przesławny!
 Dźwignij gród, pociesz ojczyznę stroskaną!
 Wzdy ona wdzięczna twój przysługi dawniej,
 Zgóry wybawcy nadaje ci miano.

(1) To rozróżnienie przygód nie jest bez celu: pierwsze bowiem są te, w które z własnej niwy winy popada człowiek; drugie, które poniewolnie cierpi z wyższych wyroków.

(2) Myt o sfinxie, a przynajmniej wyobrażenie jego przybyło do Grecyi z Egiptu, i naprzód ukazuje się w Tebach, osadzie Egipcyan. Później jeszcze w Egipcie, mianowicie środkowym (dawny Heptanomis) dają się napotykać skały wykute w kształcie sfinxów, ale co tam te sfinxe oznaczały, dotąd nie odgadniono. Niektórzy twierdzą, że były one symbolem dorocznych wylewów Nilu; z Herodota znów się pokazuje, że wchodziły w skład tajemnic na cześć Bacha i t. p. Sfinx według tradycyi tebańskiej, zachowanej u tragików, jestto potwora fantastyczna w Tebach zamieszkała, którą przedstawiano zazwyczaj w postaci lwa skrzydłatego z obliczem dziewicy, dodawano przytém inne jeszcze kształty. Potwora ta, córka Chimery i brata jej Orthosa, pożerała ludność tebańską, a przywiązana była do niej zagadka, której, gdy kto nie odgadł, bywał przez sfinxa pożartym. Edypowi dopiero udało się odgadnąć ów tajemniczy wiersz, skutkiem czego sfinx zrzucił się ze skały, czy też przez Edypa zabitym został.

O! niech późniejsi nie przypomną kiedy,
 Żeś nas z początku uratował z biedy,
 Potém odstąpił na pastwę złym losom.
 Więc ratuj państwo, utwierdź przeciw ciosom,
 I prowadź dalej wybawienia dzieło,
 Co się pod szczęsną wróżbą rozpoczęło.
 Gdy chcesz, abyśmy wciąż cię królem mieli,
 Nie chciejże państwa bez obywateli,
 Bo ani twierdza niczém jest bez straży,
 I niczém okręt, gdy jest bez żeglarzy.

Edyp.

O biedne dzieci! wiem ja, co się dzieje,
 Wiem co was do mnie, tu po prośbie wiedzie!
 Cierpicie wszyscy, lecz w téj wspólnej biedzie
 Nikt z was odemnie srożej nie boleje.
 Każdy z was bowiem w dzisiejszej potrzebie,
 Na własną jedno niedolę narzeka;
 Ale ja cierpię nietylko za siebie,
 Lecz za każdego w mém państwie człowieka.
 Więc żalóść wasza bynajmniej nie we śnie
 Pograżonego mnie tu zaskoczyła.
 O! nie: jam jęczał długo i boleśnie,
 I myślą przebiegł dróg ratunku siła....
 Jedna mi tylko została nadzieja:
 Więc wraz wystąłem do świątyni Feba
 Brata méj żony, syna Menekeja,
 Kreona, aby spytał co potrzeba
 Działać na dobie, jakie czynić śluby,
 Izby ojczyznę ratować od zguby.
 Gdy zaś dni liczę jego oddalenia,
 Ciężki niepokój w duszy méj się jawi;
 Nie takieć długie moje polecenia,
 Cóż on więc robi, przecz tak długo bawi?
 Ależ zaprawdę, powróci raz przecie!
 Więc gdy głos bogów rozważę w umyśle,
 To byłbym człkiem najgorszym na świecie,
 Gdybym się do nich nie stosował ściśle.

Kapłan.

W dobrą rzekł porę, bo ci mnie w téj chwili
 Mówią, że w drodze Kreona zoczyli.

Edyp.

Oby wieść jego była tak wesoła,
 Jako radośnie, twarz jego jaśnieje.

Kapłan.

Snadź dobre wieści niesie, mam nadzieję,
Boby wawrzynem nie śmiał wieńczyć czoła (1).

CIŻ I KREON.

Edyp.

Zaraz obaczym, bo głos nasz z téj strony
Łatwo do jego słuchu dobiedz może.
Synu Menojka, bracie mojej żony,
Jakież nam niesiesz odpowiedzi boże?

Kreon.

Dobre. Złe pójdzie nam w korzyść, jeżeli
Stanowczo radzić będziemy umieli.

Edyp.

Jakto? Twa mowa wcale mnie nie cieszy,
Chociaż zaprawdę nie budzi i trwogi.

Kreon.

Mamże-ć się sprawić przy téj całej rzeszy,
Alboli każesz pójść z sobą za progi?

Edyp.

Mów w obec wszystkich; bo mi więcej w głowie
Ich niepokoje, niż me własne zdrowie.

Kreon.

Więc bez ogródki powiem wyrok Feba:
On nam poleca słowy dobitnemi,
Wyprzeć potwora, który w naszej ziemi
Bezkarne żyje: ukarać go trzeba.

Edyp.

Kto on jest? jaką mamy zadać karę?

Kreon.

Trzeba wyrzucić z miasta tę poczwarę,
Albo śmierć śmiercią ukarać; bo cała
Ta burza na nas ze krwi się wylała.

Edyp.

Czyjaż krew, powiedz, naszą ziemię broczy?

(1) Zwyczajem było w Grecyi otaczać głowę wieńcem z gałązki wawrzynu, na znak pomyślnych nowin.

Kreon.

Nim ty, o królu! zawładłeś tą stroną
Rządził w niej Lajos:

Edyp.

Wiem, bo mi mówiono;
Alem go nigdy nie widział na oczy.

Kreon.

On zginął. Owoż bóg każe w tej chwili
Skarać zbrodniarzków, którzy go zabili.

Edyp.

Ale gdzież oni? jakiej użyć rady,
By wykryć zbrodni przedawniałej ślady?

Kreon.

Bóg nam oświadcza, że są w tej krainie:
Szukaj a znajdziesz, co zaniedbasz—zginie.

Edyp.

Lecz kędyż Lajos w krwawym upadł zgonie?
W domu, czy na wsi, czyli w cudzej stronie?

Kreon.

On do wyroczni idąc, dom porzucił;
I jak raz wyszedł, tak więcej nie wrócił.

Edyp.

Nie miałże świadka, towarzysza drogi,
By z jego zeznań począć krok zaradczy?

Kreon.

Zginęli: jeden tylko umknął w nogi;
Ten jedno widział, i o jednym świadczy.

Edyp.

O czym? bodajby choć promyk nadziei,
To się i reszta wysnuje z kolei.

Kreon.

Mówił, że tłumy zbójców nań zwały,
Więc musiał upaść pod ogromem siły.

Edyp.

Czyżby się zbójca śmiał odważyć na to?
Chyba za kogoś z tutejszych zapłata.

Kreon.

Tak też mniemano, ale dla klęsk wiela,
Aż dotąd Lajos nie znalazł mściciela.

Edyp.

Jakieżto klęski były na przeszkodzie,
Że śmierci króla nie badano w grodzie?

Kreon.

Sfinx tajemniczy trapił nas niemało:
W złém bliżkiém, dalsze z oczu uleciało.

Edyp.

Więc ja z początku rozbadam tę zbrodnię:
Rozkaz, zaprawdę godny jest Apolla,
I ty Kreonie występujesz godnie
Dbając o pamięć zabitego króla.
Wkrótce i moje ujrzenie też czyny:
Spełnię co Boża nakazuje wola
I cześć i dobro tutejszój krainy.
I to niejedno dla zmarłego sławy
Skarzę tę zbrodnię, lecz dla własnej sprawy:
Bo ten, co ważył się na jego życie,
Może i na mnie rozmyśla gdzieś skrycie;
To pomsta moja i mnie razem broni.
Więc dalej, dzieci, wstańcie z miejsca swego,
Idźcie z gałązki błagalnemi w dłoni,
Niechaj się wraz tu ludy Kadma zbiegą:
Spełnimy wszystko, co radzi głos boży,
I, lub zwyciężym, lub nam będzie gorzej.

Kapłan.

Dzieci! powstańmy, i pójdźmy w swą stronę;
Wyroki nasze już nam ogłoszone.
Oby Feb, który przysyła te wieści,
Był zbawcą naszym, rozwiązał boleści!

EDYP, CHÓR.**Chór.****I.**

O słodkie, słodkie słowo Zeusowe,
Coś z Delf złocistój wyszło chramnicy!
Jakież wyroki obwieścisz nowe
Dla tój przesławnej Teban ziemicy?
Umysł mój trwożny, strach sercem miota:
Febie—lekarzu,—deloski boże (1)!

(1) *Delos*, jedna z wysp Archipelagu, gdzie Apollo miał świątynię.

Ja twych wyroków czekam w pokorze,
I dziś i w dalszym biegu żywota.
Ocal nas wieczny, wyroczny Febie,
Synu nadziei, prosimy ciebie.

3.

Ciebie Ateno, ja wzywam wprzód,
I Artemidy twojej siostrzycy (1)
Która w opiekę nasz wzięła gród,
I ma tron świetny w naszej ziemicy;
I ciebie wzywam, pogromco Febie,
Zstąpcie we troje nam ku potrzebie,
Jakoście ongi zstąpili raz
W ciężkiej niedoli, gdy naszą ziemię,
Straszną potwory dławiło brzemię,
Tak i dziś zstąpcie ratować nas.

3.

Przebóg! ciężkaż na nas biada:
Cały lud w boleściach kona,
Rozum wszelki tu upada,
Znikąd rada, ni obrona;
Zasiew mrze we wnętrzu ziemi,
A po całym Teban grodzie
Tu mra matki przy porodzie,
Owdzie jedni za drugimi,
Na wybrzeże boga mroku,
Prędzej, niż ptak lotem strzyże,
Niżli ognia błyski chyże,
Zmarli cisną się w natłoku.

4.

Pustka w mieście. W wielkiej kupie
Leży nagi trup przy trupie,
Nie oplakan, niegrzebiony.
Tutaj smutne żony bieżą,
Osiwiałe tam matrony
U ołtarzów stopni leżą.
Głośnież szłochy tam zawodzą,
I błagają końca męki;
I pobożnych pieśni dźwięki,
Z głosem cierpień w jedno godzą.
Przetoż, córo Zeusa! prędzej
Pocieszże nas w naszej nędzy.

(1) *Atena* znaczny *Minerwę*, niby założycielkę i opiekunkę *Aten*; *Artemis* jestto inaczej *Dyana*.

5.

Wypędz, wypędz za mury
 Wroga Aresa, który (1)
 Nie już mieczem ze stali,
 Lecz wrzaski okropnemi
 Płądruje w naszej ziemi,
 I tchem zarazy pali.
 Wypędźże go, niech zginie
 W Amfitryty głębinie,
 Lub go wygnaj za morze,
 Gdzie na Trackie bezdroże.
 Oj! bo wielka nam biada;
 Co w dzień uszło, w noc pada,
 Pustoszeją wciąż domy.
 Zeusie, władzco zwycięzki!
 Niechaj go za te klęski
 Roztrzaskają tve gromy.

6.

Lykejski królu! napnij łuk złoty,
 Puść nam na pomoc zwycięzkie groty;
 I ty Artemis! z gór Lyckiej ziemi
 K'nam z pochodniami zstąp ognistemi.
 O wieszczy Bachu! co jesteś z rodu,
 Po matce, krewnym naszego grodu,
 Co złoty wieniec dzierzysz na czole,
 Przebywasz chętnie w Menadek kole,
 Przybądź z pochodnią powalić wroga,
 Niegodziwego wśród bogów, boga.

Edyp.

Słyszę, ja słyszę, to wasze wołanie:
 Chcecie pociechy, ratunku w niedoli,
 Chcecie złe wyprzeć, i jest sposób na nie,
 Jeśli posłuszni będziecie méj woli.
 Ja jestem obcy, jako saméj sprawie,
 Tak wieściom o niej; więc to wam objawię:
 Że gdy zeznanie nie wesprze mnie czyje,
 Próżne me chęci: ja nic nie wykryję.
 Więc jako wśród was obywatel nowy,
 Wołam na cały naród Kadmejowy,
 Jeśli z was który wie czyjato ręka
 Zgładziła Laja, niech nic nie ukrywa;
 Taki mój rozkaz. Jeżeli się lęka,
 I znając zbrodnię, milczeniem ją zbywa:

(1) Nietylko klęski wojenne przypisywano Marsowi, ale wszystkie inne.

Niech się nie trwoży, nic mu się nie stanie,
Jeduo bezpieczen pójdzie na wygnanie.
Jeśli z was który wie, że ci zbrodniarze
Na obcej ziemi podły żywot wiodą,
Niechaj mi powie, a ja go obdarzę
I łaską moją, owszem i nagrodą.
Lecz jeśli który dla próżnej bojaźni,
Czy gwoli swojej, czy gwoli przyjaźni,
Gwałcąc mój rozkaz, trwa w niecnym uporze:
Słuchaj narodie! czém takiemu grożę.
Rozkaz wszem wobec, na całą krainę,
Gdzie tron mój stoi, gdzie prawo me włada:
Tego człowieka nikt ani w gościnę
Przyjmie do siebie, ani doń zagada,
I do rąk wody dać mu się nie waży,
Ni u obietnych stanie z nim ołtarzy,
Ni mu dozwoli kroku do swych progów.
Bowiem z wyroczni, i zeznania bogów
Jawną mi rzeczą: że z jego to winy,
Nieszczęście spadło na nasze krainy.
Tak więc i bogom usługuję godnie
I czci téż Laja nie mam w poniewierce;
Ktokolwiek on jest, przeklinam mordercę!
Czy on sam spełnił swą ohydą zbrodnię,
Czy miał spółniki: i oby za karę
W hańbie i nędzy spełnił życia miarę.
A gdybym zasię ja sam, i świadomie,
Jemu gościnę naznaczył w swym domie:
Wtądy przekleństwa, które wyzionąłem,
Niech się rozbiją nad mém własném czołem.
Wam rozkazuję spełnić to, Tebanie!
Niech się i bogom, i mnie zadość stanie,
I ziemi, której nieplodność nas trwoży,
I w której z dawna zamieszkał gniew boży.
Bo choć was boże nie nagliło słowo,
Nie było puszczać téj zbrodni bezkarnie,
By król, człek zacny, miał ginąć tak marnie;
Trza było badać i mścić się surowo.
Jam dziś wziął po nim i państwo i wdowę,
I pewnie, gdyby pozostawił syny,
Ja byłbym ojcem dla jego rodziny.
Ale zła dola spadła mu na głowę:
Więc ja go pomszczę jak własnego ojca,
Wynajdę zakąt, gdzie skrył się zabójca
Syna Labdaka, wnuka Polydora,
Patomka Kadma, oraz Agenora:
A kto rozkazów moich nie wykona,
Przewielkie bogi, bezplodną mu żona,

Bezpłodną ziemia.... Ten niech śmiercią zginie
 Śród moru, który wre w naszej krainie;
 Lub nań śmierć ciężką niech spuści los srogi,
 Kto zasię myślą zamiar mój wyprzedza,
 Temu niech w życiu błogosławią bogi
 I Sprawiedliwość wiecznie go nawiedza.

Chór.

Jakoś mnie zaklął, tak ci odpowiadam:
 Ja nie zabiłem Laja, i nie zgadam
 Kto jego zabił: tę zagadkę trzeba
 Rozwiązać jakoś, przy pomocy Feba.

Edyp.

Tak, ani słowa; lecz czy człowiek może,
 Znagłać do tego, czego nie chcą bogi.

Chór.

A więc ci drugie me zdanie otworzę.

Edyp.

Choćby i trzecie; mów, mów, prożen trwogi.

Chór.

O! król Tirezyasz widzi tyle prawie,
 Co sam Apollo; spytać go nie wadzi:
 Królu, on pewnie z tém sobie poradzi.

Edyp.

Jam nie przepomniał użyć go w téj sprawie;
 Z rady Kreona siałem doń w téj chwili
 Dwóch gońców: dotąd jeszcze nie wrócili.

Chór.

Puste téż wieści rozgłaszają różni.

Edyp.

Jakież? chcę wszystko wiedzieć do ostatka.

Chór.

Że jacyś Laja zabili podróżni.

Edyp.

Wiem, lecz cóż z tego, kiedy nie ma świadka.

Chór.

Jeśli ten zbrodniarz ma lekkie serce,
 Przed twém przekleństwem on lepij się schowa.

Edyp.

Nie zląkł się zbrodni, maż się lękać słowa?

Chór.

Ktoś jest, co przecie wykryje mordercę;
Oto boskiego wieszczka ku nam wiodą,
Jemu jednemu prawda jest przyroda.

TIREZYASZ, EDYP, CHÓR.

Edyp.

O ty! co jesteś wszystkiej wiedzy zbiorem,
Któremu niebo i ziemia otworem,
I chociaż ślepy, wiesz w jakiej chorobie
Nasza nieszczęsna kraina boleje,
Królu Tirezyj! my dziś jedno w tobie
Widzimy pewną zbawienia nadzieję.
Feb, jeślić tego nie mówił mój goniec,
Wtedy tym klęskom przepowiedział koniec,
Gdy królobójców wynaleźć zdołamy
I zamordujem, lub z kraju wygnamy.
Oh! nie odmawiaj nam pomocy swojej,
Wywiedz się, co tam w locie ptaków stoi.
I zmyj z nas tego królobójstwa plamy,
Wsze środki sztuki przyzwij ku potrzebie,
Ratuj ojczyznę, ratuj mnie i siebie;
W tobie bytujem. Trudto człeku miły
Pomagać według swój wiedzy i siły.

Tirezyasz.

O! jakże smutne darów wiedzy skutki!
Kędy dowodzą, i czém grożą komu,
Gdybym pamiętał, nie ruszyłbym z domu.

Edyp.

Cóż to ma znaczyć? z kądże ci te smutki?

Tirezyasz.

Pozwól mi odejść; wierz mi, że na dobie
Lepiej usłużyś tém i mnie i sobie.

Edyp.

Niesłusznie mówisz, i zdradzasz widocznie
Ojczyznę, tając przed nią swe wyrocznie.

Tirezyasz.

Ty owszem badasz nie w porę, dlatego
Usta się moje odpowiedzi strzegą.

Edyp.

Jeśli wiesz, przebóg! nie bądź dla nas niemy;
Wszyscy się z prośbą do nóg twych ścielemy.

Tirezyasz.

Szał was ogarnął; lecz ja, póki żyję,
Wszystkich tych zbrodni na jaw nie wykryję.

Edyp.

Więc wiesz i milczysz? twoją tedy winą
Kraj nasz upada, i ziomkowie giną.

Tirezyasz.

Nie chcę się gubić, ni ciebie: daremnie
Kusisz mnie; nic już nie wyciągniesz ze mnie.

Edyp.

Niegodny człecze! o, bo już i skała
Na ten twój upór, gniewemby zawrzała.
Powiedz, czy kiedy usta tve otworzę,
Czy też zawzięcie przetrwasz w swym uporze?

Tirezyasz.

Powstajesz na mnie srodze zagniewany,
A w sobie wszystko widzisz bez przygany.

Edyp.

Któżby się twemi nie rozgniewał słowy,
I twą pogardą dla sprawy krajowej?

Tirezyasz.

Rzecz, choć ja milczę, nie będzie tajemną.

Edyp.

Témbardziej możesz wykryć ją przedemną.

Tirezyasz.

Darmo wyzywasz, nie powiem nic wcale,
Choćbyś się zrywał w najburzliwszym szale.

Edyp.

Więc w gniewie moim ja nic nie utaję
Z tego co myślę; owoż mnie się zdaje,
Żeś ty w téj zbrodni miał udział niemaly,
I hersztem zwać cię nie miałbym obawy;
A gdyby oczy tve światło widziały,
Rzekłbym, żeś jeden podjął się téj sprawy.

Tirezyasz.

Czy tak? ja tedy rozkazuję tobie
Spełnić zlecenia, któreś dał na dobie;

Od dziś ni ze mną nie mówić, ni z niemi,
Bo tyś jest zbrodniarz, zakała téj ziemi.

Edyp.

Jak śmiesz wymawiać tak bezwstydné słowa?
Sądzisz, że to cię przed karą uchowa?

Tirezyasz.

Tak jest, bo przy mnie prawdy dzielność stoi.

Edyp.

Gdzieżeś jéj doszedł, wszak nie w sztuce swojéj?

Tirezyasz.

Tyś chciał ją poznać, tedy słuchać musisz.

Edyp.

Powtórz ją jeszcze, bo chcę być pewniejszy.

Tirezyasz.

Czy nie slyszaleś, czy tylko mnie kuisz?

Edyp.

Powtórz; niech moja niepewność się zmniejszy.

Tirezyasz.

Tyś jest zabójcą, o którym tu mowa.

Edyp.

Dwakroć bezkarnie, nie ujdą-c te słowa.

Tirezyasz.

Chcesz, to ja jeszcze powiększe złość twoję.

Edyp.

Mów co chcesz, ja się czczych bajań nie boję.

Tirezyasz.

Oj! bo ty nie znasz nieszczęść swych ogromu,
Nie wiesz kto jesteś, z kim żyjesz w swym domu.

Edyp.

Bezkarnie, myślisz, puszczyć-c tę zniewagę?

Tirezyasz.

Tak, jeśli prawda ma jaką powagę.

Edyp.

Ma, lecz ty nie masz; ty którego oczy,
Uszy i rozum, wieczna ciemność mroczy.

Tirezyasz.

Nieszczęsny, nie wiesz, że wszyscy po chwili
To samo będą o tobie mówili.

Edyp.

Ty, który żyjesz osłoniony mrokiem,
Nie możesz szkodzić ni mnie, ni też innym.

Tirezyasz.

Ginać przezemnie nie jest twym wyrokiem;
Dość na to Feba, on się zajmie winnym.

Edyp.

Czy za Kreona mówisz, czy za siebie?

Tirezyasz.

Nie wiń Kreona, to złe idzie z ciebie.

Edyp.

Bogactwa! władzo! rozległy rozumie!
Co radzisz człeku w przeciwności tłumie?
Jakież wy biedne zawiści ofiary,
Gdy o tę władzę, którą ludność cała,
Chętnie, nie z musu, w me ręce oddała,
Kreon, ów wierny, ów przyjaciel stary,
Tajemnie ciosy przeciw mnie wymierza;
Nasadza na mnie nędznego wróżbitę,
Knowacza oszustw wierutnych, szalbierza,
Który w zysk tylko zdrowym patrząc okiem,
W rzeczach nauki oczy ma zakryte.
Bo byłeś kiedy prawdziwym prorokiem?...
Czemu milczałeś, gdy o rozwiązanie
Sfinxowych wierszy wołali Tebanie?
Nie byle kto mógł podjąć się téj rzeczy;
Wieszcz był zagadkę winien mieć na pieczy;
A jednak ni to lot ptaków, ni bogi,
Do zrozumienia nie wskazali-ć drogi.
Ja zaś, w te strony przybywszy na dobie,
Choć prosty człowiek poradziłem sobie;
I przecież z lotu ptasiegom nie wróżył,
Jedno w tém własny rozum mi posłużył.
Ty aż drzysz, żeby zachwiać mnie na tronie,
Aby sam na nim stanąć przy Kreonie;
Lecz ci powiadam, te podstępny drogo
Ciebie i sprawcę ich kosztować mogą:
I gdybym twego nie szanował wieku,
Byłbyś już skaran, zuchwały człowieku!

Chór.

Edypie, słowa i twoje i jego,
Z gniewu jak widzę przez usta wam biega.
To na nic zda się: nam tu myśleć trzeba,
Jakby dorzecznie spełnić rozkaz Feba.

Tirezyasz.

Tyś król, Edypie, lecz i ja po sobie
Równe mam prawo odpowiedzieć tobie:
Ja jestem Feba, nie zaś twój poddany,
Ani w Kreona domostwo wpisany (1);
Na mą ślepotę myśl się twoja zżyma,
Lecz ty co patrzysz światłemi oczyma,
Własnych swych nieszczęść nie widzisz brzemienia;
Nie wiesz gdzie mieszkasz, z kim masz do czynienia,
Znana-ż ci rodu twego tajemnica?
Czy wiesz przecz własnym krewnym jesteś wrogiem,
Jak tu na ziemi, tak przed piekiel progiem.
Tak, twojej matki i twego rodzica
Podwójna klątwa wygna cię z téj ziemi,
Wtedy twe oczy zaślepną na wieki,
Wszystkie przepaści zabrzmia jęki twemi,
Krzyk twój odebrzmi Cyteron daleki,
Wtedy jak poznasz te ohydne śluby,
Które przyczyną twego domu zguby.
Nie widzisz gromu nieszczęść, który zleci
W równi na ciebie i na twoje dzieci.
We mnie, w Kreona, miotaj obelg siła,
Lecz ci powiadam, że nie ma człowieka,
Którego dola straszniejsząby była,
Jak ta o królu! co na ciebie czeka.

Edyp.

Znieść tyle obelg byłżeby kto w stanie?
Pójdź precz! przekłety, z obecności mojej;
Idź! niech tu noga twoja nie postoi.

Tirezyasz.

Wszak jam tu przyszedł na tve zawołanie.

Edyp.

Byłbym nie kwapił się, wiedząc poprzednio,
Że mi tu będziesz plótł brednię za brednią.

(1) Według ustaw ateńskich, cudzoziemiec nie inaczej zyskiwał opiekę prawa, aż obrał sobie za orędownika którego z urodzonych obywateli i niejako wcielił się do jego rodziny. Tamten, rozumie się, był zań w obec rządu odpowiedzialnym. Tu, Tirezyasz robi przycinek Edypowi, wyrzucając mu, że jest przychodniem, że tedy oględniej powinien obchodzić się z obywatelami.

Tirezyasz.

Ty mojej mowy słuchasz jako baśni,
Lecz twych rodziców inne było zdanie.

Edyp.

A któż mnie zrodził? wiesz, więc mnie objaśnij.

Tirezyasz.

Dzień twych narodzin, dniem zgubyc się stanie.

Edyp.

Czemuż tak pełna tajemnic twa mowa?

Tirezyasz.

Wszak ty tajemne sławnie czytasz słowa,

Edyp.

W tém mi urągasz, co mi czyni chlubę?

Tirezyasz.

Oj! ta to chluba zgotuje ci zgubę.

Edyp.

Mniejsza, gdy grodu poprawilem dołę.

Tirezyasz.

Ja więc odchodzę: prowadź mnie pachole.

Edyp.

Idź, bo mnie tylko twa obecność drażni,
Po twém odejściu ukoję się w bólu.

Tirezyasz.

Pójdę, lecz wszystkoć powiem bez bojaźni,
Bo ty nademną nic nie możesz królu!
Owoż posłuchaj: ów mąż osławiony,
Którego groźnie szukasz na wsze strony,
Ów mąż potępion wyroki twojemi,
Morderca Laja, żyje w naszej ziemi.
Tylko że wszyscy dotąd o nim w błędzie,
Zwą go powszechnie inogrodca mianem;
Lecz się pokaże jako jest Tebanem,
I on się z tego weselić nie będzie.
Bo dziś dostatek ma i zdrowe oczy;
Wkrótce znędznieje, ciemność go otoczy,
Tułacz, o kiju pójdzie w obce strony
I wraz téż jawno stanie się przed światem,
Że on swych dzieci, ojcem jest i bratem,
Że on i mężem i synem swój żony;
Jego rąk dziełem, krwawa śmierć rodzica,
Przezeń ojcowska skalana łóżnica.

Tedy, wróciwszy do swego mieszkania,
 Uważnie, królu' rozbierz moje zdania;
 A gdy te wszystkie nie sprawdzą się dziwy,
 Wtedy mi powiesz, żem prorok fałszywy.
 (odchodzą)

Chór.

1.

Któż jest ów, o kim wyrocza skała,
 Z Delf wysokości wypowiedziała,
 Że niesłychaną zbrodnię na ziemi
 Rękoma spełni męzobójczemi?
 O! niech ucieka, niechaj się chroni
 Prędzej niż stado ognistych koni;
 Bo już nań zbrojny od stóp do głowy
 W błyski i gromy, ów syn Zeusowy
 Upada z góry, już w jedną stronę
 Pędzą nań jędze nieuniknione.

2.

Tam z Parnassu śnieżnych wzgórz
 Zbiegły k'nam potężne słowa:
 Aby szukać wszecz i wzdłuż
 Zbrodnia, który gdzieś się chowa.
 Nieszczęśliwy.... on jak tur,
 To przez lasy, przez opoki,
 To po pustych szczytach gór
 Wokół błędne stawia kroki.
 Pragnie uciec, nieszczęśliwy,
 Przed tym głosem który spadł
 Z środka ziemi; lecz on żywy (1)
 Wiecznie za nim biegnie w ślad.

3.

Strasznie, oh! strasznie mnie niepokoi
 To, co wieszcz wyrzekł w mądrości swojej.
 Czyli mnie zwodził, czy mówił szczerze,
 Nie wiem; zwątpienie czuję i trwogę:
 Przed się i za się oczyma mierzę,
 A nic pewnego dojrzyć nie mogę.
 Bo anim słyszał, iżby spór jaki
 Z synem Polyba wiedli Labdaki (2).

(1) W starożytności, który naród miał w swym kraju górę, tę uważał za środek ziemi. Taką górą był u Greków Parnass w Focydzie.
 (2) Syn króla Koryntu Poliba domniemany jestto Edyp; Labdach zaś jest istotnym protoplastą rodziny Edypowej.

Cóż znaczą straszne wróżby, któremi
Wieszcz niepokoił króla téj ziemi;
Kto jest ten zbrodniarz, na którym trzeba
Pomścić Labdaków z rozkazu Feba?

4.

Zeus i Apollo mądrzy są,
Każden z nich ludzkie czyny zna;
Lecz któżby we mnie wmówił to,
Że ten wiezcz więcej wie niż ja:
Zaprawdę, może męża mąż
Przerównać siłą wiedzy: lecz
Dopóki słów nie poprze rzecz,
Ja się przeciwieć będę wciąż
Każdemu, coby płocho rzekł,
Że Edyp nie jest zacny człek.
Inaczéj zasię było wprzód,
Gdy do rozprawy stanął sam
Z dziewą skrzydlatą: wtedy nam (1)
Mądrym się zdał, bo zbawił gród.
Ja tedy, zda mi się, nie błędę,
Że go uczciwym mężem sądzę.

KREON, CHÓR.

Kreon.

Słyszac, że Edyp o mnie złego mówił wiecie,
Z wielką boleścią idę k'wam, obywatele;
Bo jeżeli on mniema, że przez moje czyny
Lub słowa złe się wszczęło śród naszej krainy:
Ja czuję, żebym nie mógł tych podejrzeń przeżyć.
Bo czyż można straszniejszą obelgę wymierzyć?
Którój, jeżeli naród jaką słusność przyzna,
To mnie wrogiem i zdrajcą zwać będzie ojczyzna.

Chór.

Ja mniemam, że obelga, którą w ciebie godzi,
Nietyle z przekonania, jak z gniewu pochodzi.

Kreon.

Zkądżeż to podejrzeńie, że z mojej namowy,
Ten wiezczbiarz fałszywemi udrećzał go słowy?

(1) Skrzydłata dziewczica jest to ów sfinx, nawet wyraz ten jest w greckim r. ż.

Chór.

Tak on mówił, lecz nie wiem z jakiejby przyczyny.

Kreon.

A kiedy on tych nieszczęsę zwał na mnie winy,
Patrzyłże okiem czystym, miałże rozum zdrowy?

Chór.

Nie wiem; nie mnie w to wglądać co czynią królowie;
Lecz on wraca ze dworca, to i sam ci powie.

EDYP, KREON, CHÓR.

Edyp.

Cóżto! po coś tu przyszedł? człowiecze bez sromu!
Jako ty śmiesz się zbliżyć pod próg mego domu:
Ty! który kędyś zdradę gotujesz mi skrycie,
A otwarcie na tron mój godzisz i na życie.
Czemuś jał się, na bogi! tak ohydnej sprawy?
Widziałeś po mnie znaki błędu lub obawy?
Sądziłeś, iż podstępnie nie wykryję twego,
Albo że się twoje czyny, pomsty mej ustrzegą?
Bardzo błędnie swój zamiar obliczyłeś z góry,
Gdy bez licznych stronników, bez przyjaźni grodu,
Poważyłeś się kusić o ten tron; na który
Potęga tylko wie, i wola narodu.

Kreon.

Alboż ty wiesz co robisz? Posłuchaj mnie raczej,
I sądź dopiero, jak ci rzecz się wytłumaczy.

Edyp.

Ja wiem, żeś ty wymowny, ale nie mam woli
Słuchać cię; boś zły człowiek, zawistny mej doli.

Kreon.

Ja ci radzę, posłuchaj mowy mej.

Edyp.

Daremnie;

Żeś nie jest niegodziwcem, nie wmówisz dziś we mnie.

Kreon.

Jeśli sądzisz, że upór za rozsądek stanie,
To pozwól mi powiedzieć, że masz mylne zdanie.

Edyp.

Jeśli sądzisz, że można z krewnym swym zdradliwie
Postępować, bezkarnie; mylisz się straszliwie.

Kreon.

O! w tém, to co do słowa ja się z tobą zgadzam;
Lecz powiedz, w czém ja ciebie tak okrutnie zdradzam?

Edyp.

Nie tyżeś radził, abym wezwał bez odwłoki
Wieszczą, co ma w zapasie tak świetne wyroki?

Kreon.

Bo ja tego samego i dziś jestem zdania.

Edyp.

Powiedz mi, od jak dawna Laj...

Kreon.

Dokończ pytania,
Bo nie zgaduję, jaki cel tve słowa mieszczą.

Edyp.

Dawno, jak go zbójcka ręka powaliła?

Kreon.

Już lat od tego czasu upłynęło siła.

Edyp.

Czy ten wróżbita wówczas znał już sztukę wieszczą.

Kreon.

Wówczas, jak dziś był mądry, i w równej żył chwale.

Edyp.

A czy o mnie on wtedy nie wspominał wcale?

Kreon.

Nie, a przynajmniej przy mnie z tém on nie wystąpił.

Edyp.

Aleście poszukiwań żadnych nie czynili?

Kreon.

Owszem, ale nie wiemy nic aż do téj chwili.

Edyp.

Czemuż ten mędrzec wtedy wiedzy swéj poskapił?

Kreon.

Nie wiem; a milczę, kiedy nie wiem o co chodzi.

Edyp.

Lecz o tém, co wiesz dobrze, powiedzić się godzi.

Kreon.

Jeżeli wiem, to pewnie wypowiem ci szczerze.

Edyp.

Gdybyście sobie radzi nie byli wzajemnie,
Onby zabójcy Laja nie upatrzył we mnie.

Kreon.

Już ty najlepszym sędzią możesz być w téj mierze;
Lecz i ty mi odpowiedz wzajem, jak wypada.

Edyp.

Zgoda; lecz nikt mi winy w morderstwie nie zada.

Kreon.

Wszak prawda, żeś za żonę pojął siostrę moję?

Edyp.

Jużciż temu, zaprawdę, wcale nie zaprzeczę.

Kreon.

Wszak równą władzę w państwie macie wy oboje?

Edyp.

O jój chęciach ja zawsze mam troskliwą pieczę.

Kreon.

Wszak przy was mnie trzeciemu część jakaś przypada?

Edyp.

To téżto właśnie powód, z kąd idzie twa zdrada.

Kreon.

Właśnie że nie, jeżeli rozważysz rzecz całą,
Jak jam rozważył. Powiedz: panować śród znoju
I ciągłych niebezpieczeństw, komużby się chciało,
Gdy przy takiejże władzy może spać w spokoju?
Nosić imię królewskie co mi za niewola,
Gdy i tak czynię wszystko, co jest rzeczą króla?
Wszak każdy człek rozsądny w tém się ze mną zgodzi.
Teraz, wszystko od ciebie przychodzi mi snadnie,
Gdy tymczasem królowi częstokroć przypadnie
Działać wbrew swym widokom. Nie! nie można słodziej
Panować, jak gdy władza z bezpieczeństwem chodzi;
Ja téż mam dość rozumu na to, by jedynie
Takich pragnąć dostojęństw, z których korzyść płynie.
Dzisiaj każdy mnie ściska, dziś mi wszyscy radzi;
Dzisiaj, kto tylko czegoś ma żądać od ciebie,
Wprzód mnie stara się ująć, wiedząc, że w potrzebie
Moja mu szczerą pomoc wcale nie zawadzi.
I czyżbym ja chciał trwonić korzyści gotowe?
Nie: tak srodze nie błądzi, kto ma zdrową głowę.
To téż to w mojej myśli nie powstało wcale,
Ni należałbym do tych, którzy są w tym szale.

Sam cię o tém przekonam: Idź do Delf na zwiady;
 A jeśli się okaże, żeś ci fałsz powtórzył,
 I że do tego wieszczę należałem rady,
 Zabij mnie; jak masz prawo, i jakom zasłużył.
 Ale na płochy domysł nie pragnij méj zguby,
 Boć dobrych, sprawiedliwy mąż od złych oddziela,
 I pamięj, że kto z domu wygnał przyjaciela,
 Ten stracił niemal życie, dar ludziom tak luby.
 Lecz ty, w czasie dopiero poznasz to dokładnie;
 Gdyż to zwykle tak bywa: że dobrego człeka
 Chcąc poznać, nieraz człowiek bardzo długo czeka;
 Tymczasem złego, każdy w jeden dzień odgadnie.

Chór.

Dobrze mówił! o! królu, bądź ostrożnym tedy,
 Byś się zbyt prędkiem sądem nie nabawił biedy.

Edyp.

Gdy się ktoś zawział na mnie prędko i tajemnie,
 To i ja prędki odpór muszę dać wzajemnie;
 Bo gdy będę bezczynnym, kiedy drudzy radzą,
 To się moje zamiary na nie później zdadzą.

Kreon.

Więc cóż chcesz zrobić ze mną? skazać na wygnanie?

Edyp.

Nie: ja chcę śmierci twojej, oto moje zdanie.

Kreon.

Lecz chciaj mi wprzód powód nienawiści zjawić.

Edyp.

Jakto! więc mi nie wierzysz, chcesz mi opór stawić!

Kreon.

Bo widzę, że źle czynisz.

Edyp.

Gwoli mojej czynię,

Kreon.

A o mnie zapomniałeś?

Edyp.

Kto zdrajca niech ginie!

Kreon.

Lecz to, co mi zarzucasz, z prawdą się nie zgadza,

Edyp.

Ja tutaj rozkazuje!

Kreon.

Ustaje twa władza,
Gdy jój na złe używasz.

Edyp.

Oh! obywatele!

Kreon.

O! i ja się téż do nich odwołuję śmieie,
Bo i ja częśćkę władzy w tym kraju stanowią,
Nietylko ty sam jeden.

Chór.

Czekajcie, królowie!
W porę właśnie Jokasta ze dworca wychodzi;
Za jój sprawą ta zwada może się pogodzi.

(Dokończenie nastąpi).



KŁOPOTY

STAREGO KOMENDANTA.

PAN MARSZAŁKOWICZ.

(Ciąg dalszy).

Opowiadanie.

VII.

Teraz podążmy znowu śladem pani Ludwikowój, która ukończywszy edukacyą córek, powróciła do domu, i zastawszy kochanego Ludwika różowszym niż zwykle, miała niewątpliwą przyczynę cieszenia się jego przezacném zdrowiem. Przepelnione kufry najświeższych stroików, przytém miła niespodzianka, staraniem dobrego pana Ludwika dla nich przygotowana, w osobie nowo-przyjętego lokaja, gwałtem wołały o pokazanie ich wielkiemu światu powiatowego miasteczka. To téż na drugi dzień przed południem, na wspólnój domowój radzie postanowiono oddać natychmiast powitalne wizyty; w tém więc celu, panie udały się do swoich apartamentów, jak mówiły dla zrobienia stosownej toalety, a pan Ludwik wezwał nowego lokaja dla udzielenia mu stosownych instrukcyj.

Ponieważ ta powitalna processya narobiła później wiele hałasu po mieście, więc darujcie mi czytelnicy, że odbiegając od ciągu niniejszego opowiadania, poważę się nieco obszerniej wam ją opisać.

— Pójdźno tu bliżej Dydaku — przemówił łagodnie pan Ludwik do wchodzącego w tej chwili lokaja — pójdziesz z paniami na wizyty, pojmujesz!

— A jakże?! proszę jegomości.

— No, więc ubierz się w liberyą; włożysz ten oto kapelus, jakem ci pokazywał; masz tu chustkę od nosa, białe rękawiczki trochę podarte wprawdzie, ale też nie rozkładaj ręki tylko ściśnij...

— Wiem, proszę jegomości...

— Ale nie jegomości się mówi, tylko jaśnie pana.

— No to proszę jasnego pana tak ścisnę rękę, jakbym kogo miał rznąć w gębę. Już ja się to znam na tych wszystkich delicyach dworskich; we wsi bywało Jagna to zawsze gada: „wy Dydaku toście do wszyckiego tacy sprytni...”

— Bez tych gawędek, bez gawędek; tylko pamiętaj iść za paniami zawsze o cztery kroki, ani mniej ani więcej; pojmujesz?

— Baczę, jaśnie panie.

— Dalej: jak panie wejdą do jakich państwa, zdejmiesz z nich burnusy.....

— Eh! proszę jaśnie pana, jegomość se kpi ze mnie — przerwał śmiejąc się pociesznie nasz Dydak.

— Co ci się znów przywidziało?

— Kaj się tam przywidziało: nase panienki tak bieluško ubrane, a jasny pan gada, zeby zdjąć brudasy.

— Ależ bój się Boga, burnusy; widzisz te odziewadła, co panie się niemi okrywają...

— Chyba — odrzekł machając ręką i drapiąc się w głowę Dydak — boć to *Miemcy* Bóg wie co nie wymyślają! Ale mnie się widzi, że te plachty takie ładniuskie, to piękniejby w nich naszym panienom...

— Głupiś! — krzyknął pan Ludwik zrywając się z krzesła — piękniej nie piękniej, co tobie do tego — zdejmuj kiedy każą!

— A no, to i zdejmę.

— Dalej; masz tu bilety wizytowe, pojmujesz, i jakby państwa nie było...

— Wiem, wiem, proszę jegomości, — wtrącił ochoczo Dydak — jakby panie nase pieniądze zabaczyły, to na to dadzą w sklepie....

— Gdzież znowu, co ty gadasz człowieku! a to dopiero nieokrzesany drągal! Mówię ci, że jakby tych państwa nie było

w domu, do których cię panie poślą, masz taki jeden bilet zostawić służącój.

— I to się proszę jasnego jegomości nie odbierze?

— Naturalnie że nie.

— Eh to szkoda proszę pana—mówił oglądając bilety—takie gładziuskie; a toć to u nas dziedzie brzydsze daje za dzień...

— A czy cię kaduk nadał z tém gadulstwem, czy co? Ruszajże sobie już, bobyś ty do wieczora nie skończył! Co to za chamska natura.

— Słuchajno Dydak—wołał już za drzwiami pan Ludwik:—pani mów jaśnie pani sędzina, pannom jaśnie panna sędzianka, kapelusz na bakier, cztery kroki, burnusy, bilety, a surdut zapiąć na przodzie, żeby się poły nie odwiewały: uczesać się, umyć....

— Wszystko będzie galanto, proszę jasnego pana—wołał biegnąc żwawo do kuchni.

— No jużesmy gotowe—zawołały strojne i uśmiechnięte kobiety pokazując się z drugiego pokoju—Dydak gotów?—spytała pani Ludwikowa.

— Zaraz przyjdzie, ja go tu już nauczyłem co ma robić—odpowiedział mężulko, przyglądając im się z całą lubością ojcowskiej miłości. Tylko téż wrócić na drugą, bo ja czekam z obiadem.

— A wrócimy, wrócimy, do widzenia *monker*.

— Do widzenia.

I wyszły na ulicę, przeprowadzane czas niejaki wzrokiem kochanego tatka. Mama i panny w nowych żółtych sukienkach w Warszawie uszytych, w nowych białych burnusikach z kapтурkami na plecach, w nowych różowych kapeluszach, w nowych trzewikach, rękawiczkach, z chustkami od nosa z poczwarną ukoronowaną cyfrą, a panna Bronisława jeszcze w nowych lakierowanych kaloszach jako cierpiąca na katar: suwają bardzo powoli, omijając wystające na bruku kamienie.

Pogoda czerwcową już z letnim upałem wybornie sprzyja przechadzkom; idą więc uszczęśliwione, bo wiele osób ciekawie przygląda się modnym strojom: znajomi przesyłają ukłony, zatrzymując co kilka kroków nasze elegantki, a wszyscy jednogłośnie admirują ubiory, zdrowie; oglądają, probują, zgadują cenę, zazdroszczą—zwyczajnie jak ludzie.

Za niemi nasz Dydak wczoraj jeszcze fernal w sąsiedniej wiosce, a dziś wykształcony lokaj, w jasno niebieskim surducie

obszytym szeroką żółtą taśmą, podobno wnuku ze szlafroka pana Ludwika, cały oblepiony świecącymi guzami różnego koloru, wielkości i herbów, w białych wełnianych rękawiczkach, postępuje krok w krok z całą powagą chłopskiej szkapiny, kiedy ją w angielskie szory z klapkami przy oczach ustroisz. Mały spiczasty kapelusz, istny postrach na wróble, lecz ozdobiony sążnistą kokardą, zaledwie mu pokrywa wierzchołek ogromnej skudłaczonój głowy; to też przekręciwszy go na prawe ucho, przytrzymuje jedną ręką, a drugą z zaciśniętą pięścią buja tak zamaszysto, jak wahadło wieżowego zegara. Rękawiczki tylko z ogromnemi dziurami, źle jakoś odbijają przy całym tym uniformie; gdyż biédak przemienił je przy w kładaniu, i rozdarte miejsca zamiast być na dłoni, znalazły się jeszcze większemi na wierzchu. Wszelako pomnąc na rozkazy jasnego pana, ścisła ręce potężnie, i trzyma się zawsze o cztery kroki od jasnych pań swoich. Co chwila nogi mu się plączą w fałdzistym surducie, którego nie zapiął na przodzie, potknie się na tretoarze, obejrzy za siebie jakby z wyrzutem dla kamienia, i odrzuci go na bok z największą furią. To znów popatrzy na nowe huczące buty, zerknie chciwie na rząd błyszczących guzików, przemyśliwając już, jakby on je to osadził w krakowskim pasiku; albo wreszcie przegiąwszy się najkomiczniej, wyciąga z tylnej kieszeni czerwono-kraciastą chustkę, zdejmie rekawiczkę, i tak pół po szlachecku, pół po chłopsku, z przeraźliwym krzykiem, wypełni ten ważny nosowy obowiązek.

Pani Ludwikowa z nieukrytą radością ogląda się co kilka kroków na swego lokaja; w duszy dziękuje nieoszacowanemu mężulkowi za taką niespodziankę, Helenka każe mu poprawiać kołnierzyka, a Bronisia co parę domów ciągnie go za sobą do bramy dla zapięcia spadających nieustannie kaloszy. Poczciwego Dydaka już zaczynają gniewać podobne przestanki, więc ruszył chłopskim rozumem, i porwawszy duży zwitek grochowin leżący na ulicy, idzie zadowolniony.

— Poprawno mi kalosza — mówi skrzywiona Bronisia stawiając nóżkę na progu jakiegoś sklepu.

Dydak się schyla czémprędzej, zdejmuje kalosz i pakuje weń potężną dozę grochowin.

— Co ty robisz mazgaju!

— Eh! prosę jasnój panienki, wrazę wiechetek, to będzie się djabelnie trzymać.

— Fe! wyrzuc to zaraz!

— Ale bo to uparstwo, prosę jasnój panienki; już ja to w tém praktykant, ot tak będzie prawiusko.

— Mówię ci, wyrzuc precz!

— Ha! kiej wyrzuc, to wyrzuc! ale to uparstwo—odpowiada zniechęcony Dydak—boć przecie na wsi jak człek owienie nogę słomą...

— Cicho bądź, nie rezonuj!

Postępują więc dalej w zwykłym porządku, lecz na przecięciu się ulic, Dydak spostrzega leżący poważnie na środku *podkólek* (kłonice) od wozu; furmańska natura odezwie się w jego sercu, skoczy więc uradowany, schwyci powalane smołą drewno, obejrzy je z całym znawstwem gospodarza, i uradowany nabytkiem, goni za swemi jaśnie wielmożnemi paniami.

Nareszcie stawają wszyscy przed sienią domu, w którym mają oddać pierwszą wizytę. Pani Ludwikowa przywołuje Dydaka, i każe mu się iść dowiedzieć czy państwo przyjmują.

— Rozumiesz —mówi po raz trzeci drapiącemu się w głowę lokajowi—powiesz tak: „jaśnie pani sędzina Lińska z paniami, pyta się czy państwo przyjmują”—pamiętaj, jasna pani...

Dydak kiwnąwszy potwierdzająco głową, biegnie do sieni, lecz nasze elegantki spostrzegłszy kij trzymany pod ręką, wołają: —Dydak, Dydak!

— A cóż imoście chcą? — pyta odwracając niechętnie głowę.

— Co ty masz za kij?

— Eh! prosę jasnój imości, to galanty podkólek.

— Rzuc mi to zaraz! Patrzcie państwo, pójdzie tam z osmolonym drągiem!

— Ale kaj to nowiuśki!?

— Mówię ci, rzuc!

Więc rad nie-rad, waha się przez chwilę patrząc z niezmiernym żalem na swoje znaleźne, potem biegnie czempredźej do mostku tretoarowego, pakuje poden ów podkólek, i wraca do sieni.

— Jasna pani sędzina z jasnymi panienkami cy teraz przychodzą—mówi jednym tchem stawając przed zabrudzoną kucharką.

— Co? co?—rzecze zadziwiona sługa, trzymając warząchew w ręce.

— No, cy pytają, cy nie?

— Ale kto?

— Dyc jasna sędzina Lińska z panienkami.

— To trzeba iść do przedpokoju—mówi śmiejąc się kucharka i pokazuje mu drzwi na boku.

Dydak szturmuje do drzwi z całą siłą; po chwili wypada mała piastunka z dzieckiem na ręku, odsuwa rygiel, a nasz lokaj skłoniwszy się jej do nóg kapeluszem, powtarza to samo, że jasna Lińska i sędziątka cy tu przyjmują, cy teraz pytają.

— To zapewne do państwa?—odpowiada wytrzeszczywszy oczy piastunka.

— A juścić do państwa.

— To idźcież tam dalej, do pokoju.

Na progu zaraz, zwabiony niezwykłym krzykiem wybiega sześciolatek synek gospodarstwa; Dydak znów powtarza przed nim te same wyrazy, ma się rozumieć z pewnymi odmianami; chłopiec przełęczony ucieka i prowadzi za sobą ojca.

— Czego ty chcesz człowieku.

— Oooo! dyc gadam i gadam ze seć razy, ze jasna sędzina z sędzionkami cekają.

— Gdzie czekają?

— A chajnok, przed chałupą.

— I cóż one chcą?

— A kaduk je tam wie, prozę jasnego jegomości; kazały mi iść i rzec com wyrzekł.

— No to powiedz, że dobrze—odpowiedział śmiejąc się serdecznie gospodarz.

Dydak jak oparzony wypadł na ulicę i krzyknął rozkładając rękoma: jegomość kazali pedzieć, ze dobrze.

Więc wchodzą uradowane damy do przedpokoju; Dydak wedle rozkazu zdejmuje burnusy, naprzód pannom, a potem mamie, lecz z prędkości chwyta ten ostatni wraz z kołnierzykiem i wyciąga całą ukrytą część smizetki. Córki zajęte poprawianiem włosów i rękawiczek nie zważają na to, a uśmiechnięta pani Ludwikowa, z najlepszą miną wchodzi do salonu z wiszącym z tyłu pomiętym woreczkiem. Pocziwy Dydaczek pomny na rozkazy jaśnie wielmożnego pana, trzymając delikatnie w dwóch palcach owe kalosze, postępuje o cztery kroki, i staje przy drzwiach wyprężony z miną kompletnie głupowatą.

Mama mruga, panny sykają, wskazując ręką aby sobie wyszedł; lecz sumienny Dydak uśmiecha się pocieszenie, porusza przecząco głową i dopiero ulegając przemocy gospodarza, wylata za drzwi spluwając:

— A to wciornascy nadali z takim przykazem; ten gada cztery kroki, ta gada idź; ten popycha cłkiem bez miłosierdzia....

Tymczasem panie rozsiadłszy się naokoło ceremonialnego stołu, trzepią różne przeróżne warszawskie nowinki, w których co piąte słowo wyjeżdza na scenę to hrabina, to radczyni, to wody w Saskim ogrodzie, to magazyny Adeli, Czabanowej i Sobolewskiej; później następuje przegląd wszystkich listków i kwiatków kapeluszy, wstążek, kokardek, haftek i t. p. części ubiorów kobiecych. Sama gospodyni również należąca do liczby elegantek, prosi zaraz o formy kołnierzyków, przymierza kapelusze, odpina broszki i kolczyki, a zadowolniona tém mama, każe odśpiewać córkom prześliczny wyjątek z *najświeższej opery* Biedny Rybak.

Wreszcie po półgodzinnéj takiej rozmowie, zegnają się nasze panie z gospodarstwem za pośrednictwem zgrabnych nadpowietrznych całusów, wychodzą do przedpokoju wołając o burnusy, a Bronisia prócz tego o *lakierowane kalosze*.

Dydak kręci się jak pijawka, okrywa samę panią potszewką na wierzch, (która powiedziawszy nawiasem, miała tylko po bokach jedwabne skrawki, bo środek ukryty zwykle przed oczami ciekawych, zółcił się błyskając najlepszego gatunku glans perkalem). Tymczasem niecierpliwa Bronisia wystawia nóżkę czekając kaloszy, Dydak zaś ukląkł na oba kolana, i nachyliwszy się, w żaden sposób nie może wpakować na prawą nogę kalosza z lewéj; wpycha więc doń z całej siły prunelowe trzewiki. Włożył jeden, ale nie może zapiąć; sprzączki nie pasują: on dociąga, wreszcie szarpnąwszy mocno, urywa, łapie się jedną ręką za plecy, i krzyczy: „o rany boskie!“

— A co się stało? — pyta jak na śpilkach stojąca Bronisia.

— A dyć mi tam coś strasznie trzasło w krzyczach.

— To galon się odpruł.

— Kaj tam *galan*, wyraziście słyszałem że w krzyczach.

— Dobrze, dobrze, tylko zapinaj!

— Duchem będzie moja panienko: ja tu zadzierzgnę — i nie mogąc zapiąć, zawięzuje w węzeł rzemyki.

— Bronisiu, Bronisiu a pójdźże!—wołają z sieni kobiety.

— Idę, idę, mamó—odpowiada utykając amatorka kaloszy, i zdąża za niemi. Aż tu wyszedłszy na ulicę, jak krzykną obie panny:—Mamó! burnus przewrócony!

— Gdzie? co?—mówi przełknięta Ludwikowa, a zobaczywszy żółtą podszewkę, jak strzała wpada napowrót do sieni.

— A to dopiero niezgrabiasz; zdejmuj zaraz!

— Kiejto imoście strasznie sierdyste; a dyć temu brudasowi het piękniej na owój stronie!

— Milcz! ty niegodziwcze.

— A zdejmże i te kalosze, bo mi pokaleczą nogi.

— Duchem moja panienko, duchem!—i chcąc się pospieszyć, klęka raptownie na ziemi, a tu stary surdut trask, rozwala się z tyłu od kieszeni do kieszeni. Dydak tylko pomacał się po plecach, machnął ręką i majstruje koło kaloszy. Lecz i tą razą nie idzie mu sporo rozwiązanie owych węzłów; syple rękami, zakłada kijkiem, gryzie zębami z całą gwałtownością, aż zniecierpliwiona do ostatka Bronisia, daje mu do trzymania parasolkę, i sama zaczyna odplątywać rzemyki. Dydak chce się podnieść żwawo, przystępuje nogą połę surduta, i jak długi rozciąga się na ziemi, łamiąc rączkę nowój parasolki.

— Coś ty zrobił niezgrabiaszu!—zawoła z całą gwałtownością Bronisia, przyskakując doń z obiema pięściami.

— To nic, prosę jasnej panienki, to się sporządzi—odpowiada oglądając z zajęciem złamane części—jak wezmę na klój, zbiję ćwieckami, dratwą z wierzchu obciągnę, to ani drgnie.

— A żebyś ty nie wstał z tego miejsca z twoją dratewką; mój Boże! nowiutka parasolka, trzy ruble dałam i na nic.

— Ale niech się jasna panienka nie gniewa i nie pomstuje; ja nie chwaląc się sprytna bestya do tego: wszyscy parobcy z nasój wsi przychodzili do Dydaka z bicyskami, aby im lutować przystawkę, a Dydak jak chycił, choć trzy lata śmigaj ani drgnie.

— Bronisia, pójdże prędzej, tak długo czekamy.

— Nieśże chociaż te kalosze i parasolkę, ty gamoniu jakiś—wyrzekła odęta panienka i pobiegła ku matce.

Niefortunny kamerdyner tymczasem z rozplatanym na łokieć może z tyłu surdudem, wypadłszy z sieni pobiegł do mostku po ów znaleziony podkólek, postawił w rynsztoku kalosze,

wyciągnął zawalane drewno, i zostawiwszy jeden kalosz, drugi z parasolką wziął pompatycznie w dwa palce jakby oba niósł przed sobą, i spiesząc za paniami przyglądał się ciekawie znalezionej podkółkowi.

Wizytujące damy znowu podchodzą pod bramę domu, w którym mają odbyć drugą wizytę, wołają kamerdynera i każą mu iść się zapytać. Dydak biegnie na schody, lecz w tej chwili Bronisia spostrzega, iż on nie ma jednego kalosza.

— A gdzie drugi kalosz?— woła przyskakując do niego.

— Juścić w garści—mówi, będąc pewny, że trzyma obydwa.

— Kiedy ja widzę tylko jeden.

— A żeby cię wciornascy, dyć ja go widzę zostawił pod mostkiem!—I niesłuchając wołań, pędzi czémprędzej w poprzednie miejsce, już zdjąwszy kapelusz z głowy, bo nie ma czasu go przytrzymać.

Damy czekają dziesięć minut, jego nie widać; czekają kwadrans, jeszcze nie powraca; a on tymczasem z zafrasowaną miną szuka i szuka pod mostkiem: wygrzebuje wszystkie śmieci z trotoaru, przerzuca, przegląda, a kalosza jak nie ma tak nie ma. Nareszcie drapiąc się w głowę, kompletnie zdesperowany wraca wolnym krokiem napowrót.

— No i cóż, kalosz?

— Eh! proszę jasnej panienki, ziemio się rozstąp, nie ma i nie ma.

— Daj pokój już kaloszom Bronisiu, niech już idzie, to mu się wytrąci z zasług—mówi oburzona do najwyższego stopnia pani Ludwikowa.

— A ciekawy ja bardzo z czego imość potrafi, bo ja się zgodził tylko na *strawę* i *przyodziewek*—odpowiada uśmiechając się głupowato Dydak.

— No, w domu się rozprawimy, a teraz idź na pierwsze piętro, zadzwoń na prawo i spytaj czy państwo przyjmują.

Zasmucony Dydak drapie się na górę, wali z całej siły pięścią we drzwi na lewo, jakiś młody człowiek wypada z furją, wołając: kto tam?

— Ja proszę jegomości?

— Co za ja?

— No, a ja: dworski jasnej sędziny i jasnych sędzianek.

— Czego ty chcesz?

— Ooo cego?—niechno jegomość otworzy to powiem.

— No mów — woła pokazując się we drzwiach młodzieniec.

— Oto moje imoście pytają, cy tu nie tu teraz!

— Ale gdzie? jak?

— A juści cy tu?

— Nie tu! — krzyknie zagniewany lokator i zamyka drzwi przed nosem.

Lecz nasz rygorzysta znowu szturmuje z całej siły; młody człowiek wylatuje z cybuchem i zamierza ściągnąć po plecach natręta, lecz ten podaje mu ze trzy bilety do ręki i kłania się najniżej.

„Ludwik i Teresa z Trzepalskich małżonkowie Lińscy z Heleną i Bronisławą córkami” czyta głośno z biletu, będącego dowcipnym a oszczędnym wynalazkiem samego pana Ludwika.

— To na drugą stronę zapewne — odpowiada uśmiechając się młody człowiek, i oddaje napowrót Dydakowi bilety.

— Wszystko jedno prosę pana: kazali dać, ja dał — i zmyka szybko na dół.

— No i cóż, przyjmują? — pytają zniecierpliwione kobiety.

— Kaduk ich ta wie, prosę jasnych panienek — wzięli kwitek, słowa nie rzekli...

— Więc ich nie ma w domu?

— A bo ja wiem, cy są, cy nie ma.

— Zapewne nie ma skoro bilet wzięli — mówi Helenka — pójdźmy dalej. Lecz zaledwie postąpiły kilka kroków, otwiera się okno piętrowego mieszkania i sama pani zaprasza najuprzejmiej przechodzące kobiety. Wracają się więc co żywo do bramy, i wtedy dopiero spostrzegają rozdarty surdut Dydaka.

— Widziałeś ty Dydak — odzywa się zgorszona pani Ludwikowa — surdut masz z tyłu rozdarty.

— Gdzie? — pyta ciągnąc tylne poły przed siebie.

— Ot tu, tu — pokazuje Bronisia na bielącą się watę.

— Eh! ja to już widział prosę imości, dyc to nic strasnego: zesyje się doma!

— Ale jak możesz chodzić tak obdartym.

— Prose imości jagem był na plebanii, to nieraz *gunka* mi się gorzej rozwalila, a ja chodził; mnie to wszystko jedno.

— Głupiec — bąknęła mama — myśli że my go dla niego samego ubieramy; poczekaj, zapłacę ja ci ten wstyd w domu — i weszła do pokoju.

Dydak tą razą już został w przedpokoju, a myśląc ciągle o owém złamaniu się parasolki, dobył nożyka, obejrzał rączkę, i chociaż złamanie było takie, że skówką możnaby je najlepiej zreperować, on po swojemu zastrugał jeden i drugi koniec laseczki jak do spajania biczyskowych przystawek, wynalazł trochę nici, skręcił je w dratewkę, wysmarował smolą oblegającą podkólek, i w pół godziny ukończył robotę. Obie części złamanej laseczki wprawdzie trzymały się mocno, lecz czarna dratewka zanadto źle odbijała przy ślicznej białości drewnienka, naśladowującym kość słoniową. Ale nasz sprytny kamerdyner wcale tego nie widział; on tak był uszczęśliwiony reperacją, iż co chwila zaglądał dziurką od klucza, rychło tam wyjdzie panna Bronisława, aby się mógł pochwalić przed nią swoją majsterką.

Nasze znów panie zastawszy liczniejsze niż gdzieindziej towarzystwo w salonie, rozprawiają z całą energią cycerońskiej wymowy o przygodach warszawskiego życia. Właśnie teraz idzie rozmowa o osobliwościach naszej stolicy.

— Były też panie w Wilanowie?—pyta jakiś młody człowiek Bronisi.

— A byliśmy, byliśmy, powozem pani hrabiny.

— I podobały się też pannom obrazy?

— Oh! bardzo podobały: jaka to tam gładziutka posadzka, szyby w oknach prześliczne. Wystaw sobie pan jak spojrzałam w zwierciadło, od stóp do głów się zobaczyłam.

— A gabinet zoologiczny zwiedzały panie.

— Ze trzy razy nawet.

— Dobór exemplarzy ładny? Podobno powiększony śliczną kolekcją owadów z gąsienicami.

— A pfe, nie mów pan o gąsienicach; na samo wspomnienie tego robactwa, aż mi się niedobrze robi.

— Z jakiej przyczyny?

— Bo się boję gąsienic.

— A zwierzęta ładne?

— Bardzo ładne; co tam za porządek, proszę pana: parasolki odbierają przy drzwiach za biletami i to zadarmo.

— To dlatego zapewne, żeby ktoś przez nieostrożność nie stłukł szyby, lub nie zniszczył jakiego exemplarza.

— Ale, z kąd znowu? to przez grzeczność tylko: w Warszawie wszyscy tacy uprzejmi, nie chcą zatrudniać dam noszeniem parasolek, gdzie słońca nie ma, więc odbierają.

— W kościołach piękne obrazy?

— Niebardzo, bo takie zaczerwienione, duże; ale za to na Senatorskiej ulicy w sieni, prześlizgnięte: np. jakto złe duchy mają porwać do piekła umierającego skąpcę, to powiadam panu, pod postacią najrozmaitszych gadów, węzów, jaszczurek, buchając płomieniami, syczą, a skąpiec wytrzeszcza oczy straszliwie, łapie ręką za worek z pieniędzmi... Ach! żeby pan wiedział, jakie to okropne! Albo znowu jak zając wskoczył na piersi śpiącemu pod drzewem myśliwemu, to takie komiczne, żeśmy boki zrywały od śmiechu.

— A w teatrze często panie bywały? — examiniuje dalej uśmiechając się ironicznie młodzian.

— Niebardzo często: coś ze dwa razy w Wielkim, w loży pani radczyni, i w Rozmaitościach raz podobno; bo mówili nam, iż nieprzyzwoicie chodzić młodym pannom na komedye: czasami takie tam przedstawiają nudne głupstwa, iż doprawdy dziwię się jak to można trzy godziny siedzieć w takiej spiekocie, pomiędzy żydostwem...

— Jakto? więc panie chodziły na paradyz.

— Ale nie, do krzesel—odpowiada czerwieniąc się po same uszy Bronisia—tylko proszę pana, z góry tam wszystko leci ten zaduch...

— I cóżto się pani tak niepodobało w małym teatrze?

— Eh, jakieś kobiety z kamienia; bo mój panie stawiają jakieś posągi, gadają do nich jakieś niby czułości, modlą się, to nie po chrześcijańsku.

Mama znów opowiada matce gospodyni, staruszce ciekawej, gadatliwej, lubiącej wszelkie nowinki, o pani hrabinie, o jej pokojach, lokajach, anonsowaniu, pojeździe, którym jeździły do Wilanowa, o strasznej drożyznie, szczególnie metrów do muzyki, bo ona sama płaciła za godzinę śpiewu po dukacie.

— Ale odzywa się staruszka—muszę téż powiedzieć pani jedną nowinkę: przybywa nam tu nowe małżeństwo w okolicy.

— Któż taki się żeni? — pyta zainteresowana pani Ludwikowa.

— Marszałkowicz....

— Co marszałkowicz? — zawoła błędnie mama,

— On, moja pani, on, ktoby się to spodziewał; taka partya dobra wymknęła nam się z miasta.

— Z kimże się żeni?—zapytuje trochę swobodniej starając się pokryć niemiłe wrażenie.

— Z tą, z tą, z tą; jakże się nazywa: coto była u państwa na imieninach....

— Z sędzianką Brzostką.

— Nie, nie; z tą, z tą porucznikówną.

— Co z porucznikówną?—wybuchnie jeszcze gwałtowniej z zaiskrzonym okiem pani Ludwikowa.—I to na seryo.

— Na seryo, na seryo; podobno były już zaręczyny.

— Ach to dopiero mazgaj ten mój Ludwik—krzyknie zapominając się zupełnie.

— Mąż pani, co? a cóż on takiego zrobił?

— Eh! nic; tylko kazał dawać obiad o drugiej i my zmuszone jesteśmy pożegnać tak miłe dla nas towarzystwo; ale spodziewamy się, że państwo o nas nie zapomnicie!

— A naturalnie że nie—odpowiada chórem gospodarstwo, wyprowadzając do drzwi przedpokoju swych gości.

Dydak tą razą okrył je dobrze burnusami, porwał kapelusz, wsadził weń wszystkie ingrediencye, roztworzył zreperowane arcydzieło i wetknął je do ręki Bronisi mówiąc: — Już teraz to się nieprędko stłucze: chwyciłem galanto dratewką.

— A pójdźże sobie precz z twoją dratewką!—krzyknęła też odpychając podawaną parasolkę.

— Poczekaj ty, ty, ty... — odezwała się z furią mama, — tylko wrócimy do domu, każę ja ci ze trzydzieści batów przylepić za ten wstyd.

Ubodło to jakoś naszego Dydaka, bo potrząsnąwszy głową, został się dobrze w tyle, mrużąc:

— Ale ale, będę ja ci ta cekał, zobacys! Patrzcie ją, wstyd, wstyd: trzydzieści batów! Cóżto ja parobek dworski, cy rataj? Nie twoje docekanie!

Ale w skutek dalszej refleksyi, snąc uważał te pogrozki prawdopodobnemi, bo wydobywszy znowu nożyk, z całym pośpiechem zaczął obrzynać największe guziki od swój liberyi, chwając je do oddzielnój kieszeni, albowiem przypomniał sobie, iż doskonale będą *spilować* przy jego świetalnym krakowskim pasiku.

Panie coraz to przedzój biegły ku domowi, rozdrażnione tyle niepomyślną wiadomością o zaręczynach pana Antoniego. Dydaczysko i chciał podążać za niemi i obrzynać pozostałe guzi-

ki, więc nie patrząc przed siebie jedną razą potyka się na tretoarze, pada jak długi na kamienie, druzgocze w drobne kawałki parasolkę, i zbija sobie nos najokropniej.

— O żeby cię wszyscy wciornascy zatratowali! — woła podnosząc się z rynsztoku; zbiera skwapliwie rozrzucone szczątki parasolki, szuka kapelusza, kalosza, podkółka i nożyka, a tym czasem krew ciurkiem prawie wali mu się z nosa. W pośpiechu wydobywając chustkę z tylnej kieszeni rozrywa do reszty nieszczęśliwy liberyjny surdut; chce ją do nosa przyłożyć, lecz mu żal tak pięknej kraciastej chustki, więc rozpostarłszy ją na trotoarze, umieszcza w niej parasolkowe drzazgi, kładzie kapelusze wszelako na bakier, i przytrzymując go lewą ręką w której ma już podkólek, kalosz i ową chustkę, prawą podnosi od końca połę swego surduta, i podszewką przykłada do nosa, dla zatamowania lejącej się nieustannie krwawej strugi.

Panie się oglądają gdzie im się podział Dydak, a on tymczasem w opisaną postawie, z podniesioną do góry połą surduta goni co tchu za niemi.

— Nie chodź, nie chodź — woła przestraszona mama.

— Ach! pfe Dydaku, puść tę połę!

Lecz on tego nie słyszy, idzie jak niemy, a za nim biegnie czereda miejskich chłopaków, przekupek, żydów, studentów, śmiejąc się do rozpuku i pokazując sobie zrozpaczonego lokaja.

Nareszcie cała ta kalwakata przyciągnęła pod mieszkanie państwa Lińskich. Dydak wpada do kuchni, porywa czémprędzej swą dawną guńkę z czerwoną czapeczką, i jak strzała powraca znów na ulicę. Pan Ludwik w kropkowanym szlafroku i cybuchem w rękę za nim; Dydak w nogi, a ciekawa hałastrą śmiejąc się serdecznie, przekupki klaskając w dłonie, towarzyszą im aż w drugą ulicę. Pędzony lokaj rzuca naprzód kalosz, chustkę z parasolką i kapelusz; po kilku krokach but jeden, później drugi; dalej niebieski surdut z trzema guzikami, wreszcie białe rękawiczki. Pan Ludwik zbiera to wszystko coraz bardziej zapierzony, lecz nie wstrzymuje pogoni. Dopiero nasze zziąbane Dydaczyko czując się swobodniejszym we własnym ubraniu, przeskakuje chyżo za płot ogrodu, potrząsa grzywiastą czupryną, i zastawiając się owym podkółkiem, krzyczy na całe gardło:

— No sprobuj, sprobuj, ciarachu!

— A ty jakiś... zapłać za te szkody — woła zatrzymawszy się pan Ludwik, cały zapieniony od gniewu i zmęczenia.

— A bo ja to nie służył, co?

— A żebyś ty kroć diabłów zjadł z taką służbą! Pójdź tu zaraz.

— Kroć nie kroć, prozę pana — odpowiada junacko Dydak — za służbę dziękuję, i nie pójdę.

— Hej chłopcy! kto żyje łapać go! — Lecz nikt się nie kwapił z pomocą, a pan Ludwik sam nie śmiał; więc nakrzy-czawszy się porządnie, nakławszy i nawymyślawszy chamowi, rad nie rad zrobił lewo w tył ku domowi, dźwigając podarte efekta trzygodzinnéj JWej służby kamerdynera.

Dydak zaś ubrawszy się w guńkę, włożywszy na bakier czerwoną czapkę z pawiami piórami i galanty krakowski pasiczek, wstąpił do karczmy, przewrócił półkwaterek, a otarłszy gębę, puścił się wprost do swojej zagrody, mrużąc przez zęby:

— Mas tobie Dydacku dworską służbę: jeść nie dali, skrzyceli, ogrzmocić chcieli i za co? Tfu do wciornaskich! — zawołał splunawszy przed siebie — nie było ci się odziewać w takie kaducne pęta; trza było w guńce, w guńce, toby cłek wszystkimu podolał! A tu scypie — mówił pokazując rękę — a tu pije — i złapał się za pachę — a tu się mytli po nogach, a tu leci z głowy. Tfu! jesce na taki przyodziewek! Pójdę do jegomości, pochwycę za nogi, i niech co chce będzie, wołę u niego za fornala, aby po swojemu i u swoich!

Pani Ludwikowa znowu wróciwszy do pokoju, i rozbierając się z jakąś gorączkową żywością, mówiła:

— Oh nie daruję, oh nie daruję tego! — wołała uderzając ręką o rękę, i chodząc z całą żywością po pokoju. — Już ja wiem jak to się stało! Ta pedantka uwikłała go w serdeczne sieci, podstawiając pyzowatą córeczkę. Ale ty, ty, malowany mężu, byłeś tu, patrzałeś na to, i pozwoliłeś wymknąć się takiemu ptaszкови!?

— Ależ moje życie, ja nie miałem czasu!

— Milcz stary guzdrało, jesteś do niczego! Gazetkę czytać, rozwalić się na kanapie, pleść głupstwa jak na mękach, do tego to *chwat* mężulko — mówiła dalej z szyderczym przekąsem. — Ale pamiętać o szczęściu dzieci, o poświęceniach żony, która jak niewolnica jaka poniewierała się po zajazdach warszawskich, na to czasu nie było!?

— Moja Tereniu! — odrzekł płaczkliwie pan Ludwik — alboż ja to nie pracuję jak wół dla szczęścia waszego? Czy myślisz, że podobny cios i mnie nie obchodzi; a trzy tysiące, he?

— Idź na próbę śpiewu, idź do handlu z twojemi trzema tysiącami niedołego!

— Kiedy-bo ty jesteś bardzo niewyrozumiała; mówię ci, nie chciał przyjechać do mnie ani razu. Ja prosiłem, błagałem; obiecywał i na tém się kończyło. Wiem tylko, iż Wolicki go ciągnął i ciągnął; porucznik co drugi dzień zajeżdżał, stary szalał za dziewczyną do tego stopnia, iż przed tygodniem nastąpiły podobno oświadczyzny.

— Wszystko stracone! jak mi Bóg miły, stracone! — krzyknęła rozpaczliwie czuła małżonka — lecz się i zemścić potrafię na téj intrygance — dodała po chwili z taką zajadłością, iż ogień prawie a nie słowa wylatały z jój bladych usteczek. — Pojadę, zwymyślam, z błotem zmieszam, i tak będę dokuczać, że mię popamięta! Ludwiku, poślij po konie!

Przestraszony mężulko niezwykłym gniewem szanownej połowicy, już się nie namyślając, porwał czapkę, nacisnął na uszy, i wybiegł dopełnić żądania rozdrażnionej kobiety. Niebawem wrócił na lichój bryczulce, zaprzężonej dwoma małemi konikami; panie wsiadły bez żadnych przygotowań, tak sobie w zwyczajnych sukienkach, i ruszyły do porucznikostwa.

Już była może czwarta godzina po południu, gdy nasze imoście zajechały przed ganek domostwa poczciwego komendanta. Usłyszawszy turkot na ulicy, matka i córka myśląc, iż przyjeżdża marszałkowicz, spojrzały znacząco na siebie i zabierały się do wyjścia. Ale porucznik pojąwszy ich zamysł, powstał nagle, chwycił Julkę za rękę i groźno przemówił:

— Ani krokiem!

— Ja chcę się przebrać, mój ojczy.

— Nie potrzeba, moja panno: wiem ja dobrze, co wam po głowach się roi. Ale to nie ze mną. Przystalaś, to dotrwaj do końca, żeby nie mieć za baj bardzo ojcowskiego słowa.

— Czekajno Jędrusiu — wołała zakłopotana żona, ciągnąc za drugą rękę Julkę.

— Nie czekajno moja imość! Buntujesz mi dziecko i basta! Ale żebyś ty miała głowę jak pudło, a w tém pudle dziewięćdziesiąt i dziewięć głów, mosanie, nic nie pomoże. Dość już tych manewrów: wiedz moja imość, że ja ojciec, ja pan; rozumiesz! — krzyknął donośniej wyciągając w tył ręce, i nachylając się z ognistym wzrokiem ku jój twarzy.

Wtém otwierają się drzwi pokoju, i wchodzi uśmiechnięta złośliwie pani Ludwikowa, a za nią dwie już nam znajome córki.

— A! powitać szanowne panie, powitać z podróży!—zawołał radośnie porucznik, upuścił fajkę i skoczył ucałować rączkę przybywającej.

— Ach! jakże się panie miewają!—zawołała z kolei porucznikowa, ściskając nasze panie.—Jak wyładniały, jak wyrosły; siadajcież panie, proszę dalej!—I wprowadziła je do bawialnego pokoju. Julka poznawszy w przybyłych swe znajome, podwójnie ucieszona, z całym wylaniem młodzieńczego serca rzuciła się w objęcia Bronisi, chcąc ucałować ją po dawnemu; lecz nasza elegantka odepchnęła lekko cisnącą się dziewczynę, poprzestając na nadpowietrznym całusie, w którym mimo całego wysilenia szczerości, malowała się tylko zinną ceremonią. To już powstrzymało Julkę w dalszych uniesieniach: spuściła smutnie swą piękną główkę, usiadła markotnie obok panienek z miną dziwnie zakłopotaną, nieśmiałą i nadzwyczaj niezgrabną.

Porucznikowa również dostrzegła większy niż zwykle przymus w całym obejściu się pani Ludwikowój, lecz jako starsza, doświadczeńsza, starała się ile możności nie widzieć tego, a przynajmniej nie dać poznać, iż widzi. Tylko stary komendant z całą żywością swego charakteru nadskakiwał, dopytywał się o zdrowie, powodzenie, nowiny, podróż i tym podobne drobnostki, oznaczające prawdziwą radość z oglądania osób, które są nam miłe i pożądane, a których dawnośmy nie widzieli. Helenka zaś jako najmniej interesowana, cokolwiek życzliwiój i serdeczniej rozmawiała z Julką, rozpowiadając jej to wszystko, co tylko zapamiętać mogła z dwu-miesięcznego w stolicy pobytu.

Na twarzy pani Ludwikowój malowała się dziwna złośliwość, wstrzymywana li tylko uprzejmém przyjęciem gospodarstwa, szczególnież porucznika. Z nieukrytą radością i zajęciem słuchał on licznych pochwał, sypanych hojnie dla biednego pana Tomasza, zacierał ręce śmiejąc się pocziwie i dogadując:—A co, nie powiedziałem, he, moja szanowna pani?! To człek bez kości mosanie, prawy, usłużny, przyjacielski; duszęby oddał każdemu. A synek jego Juliusz jak się tam miewa?—zapytał zwracając się do pani Ludwikowój.

— Tak, przystojny sobie chłopiec; dziecko to jeszcze, naiwny, ale wcale grzeczny; i jeżeli prawdę mam powiedzieć, daleko miłszy od tego, tego, jak onto się nazywa....

— Metra muzyki i śpiewu pana Adolfa? — odezwała się Bronisia.

— Ale nie; tego z Ukrainy, marszałkowicza.

Porucznikowa i Julka drgnęły widocznie na taką zaczepkę; lice komendanta pokrył rumieniec oburzenia, lecz wszystko troje udali, że tego nie słyszą, a porucznikowa nawet zwróciła rozmowę na inny przedmiot. Lecz nie tak łatwo można było pokonać zawistną nieprzyjaciółkę: co chwila wtrąciła jakieś gryzące słówko, i to coraz jaśniej, coraz dobitniej, że zarumieniona po same uszy Julka, musiała wyjść z pokoju. Porucznik przygryzał wąsa, poprawiał się na krześle, krząkał; żona zaś zdawała się nie pojmować znaczenia tych docinków, śmiała się nawet z panią Ludwikową, którą podobne usposobienia jeszcze bardziej rozjątrzały.

— A słyszałam też o wielkiem szczęściu, jakie spotkało pannę Julię—przemówiła pani Ludwikowa, przesywając biedną matkę bazyliżkowém spojrzeniem.

— O czém to pani dobrodziejka chce mówić? — zagadnął marszcząc się porucznik.

— Nibyto państwo nie wiecie? Przyznam się to nie po przyjacielsku taić; wszak panna Julia podobno oświadczyła się marszałkowiczowi.

Porucznik jak oparzony zerwał się z krzesła, wytrzeszczywszy oczy; chciał coś odpowiedzieć, lecz gniew i zadziwienie odebrały mu mowę.

— Przepraszam panią bardzo — odezwała się porucznikowa, siląc się spokojną postawą pokryć ile możności trawiące ją oburzenie;—ale podobno mylisz w tém pani: moja córka nikomu się nie oświadczała.

— Wszakże cała okolica to wytrębuje!

— Chyba przez taką trąbę, jaką wasani jesteście! — krzyknął odskakując na bok porucznik.

— Panie! proszę umiarkować swoje grubiańskie zapęły — odezwała się pani Ludwikowa powstając z kanapy — znamy się dawno: rozumiem dobrze taką komedię.

— Co wasani mówisz, u milion furbeczek kartaczów bomb! komu to? do kogo to, he? — zawołał jeszcze głośniej cały zape-

rzony, przysuwając twarz swoją prawie pod nos Lińskiej, i wyciągając ręce za siebie.

— Ależ mężu, daj pokój, co robisz! To goście twoi!—mówiła porucznikowa odciągając go na bok;—Ublizają ci we własnym domu, ależ zważaj, kto?

— Ja moja pani *weteranowo*, ja sędzina, ja wnuczka księdza biskupa; ja, która nie cierpię obłudy—wrzeszczała pryskając śliną Ludwikowa.

— Milcz babo!—wołał wydzierając się z ręki żony komendant—bo jak mi Boga trzeba przy śmierci, wyrzucę z bebechami het, precz, na cztery wiatry!

— Otóżto mi jest gościnność, to przyzwoitość, to uszanowanie dla kobiet,—mówiła z przekąsem Lińska machając ręką.—Dzieci, pójdźcie! noga moja w tém domu już więcej nie postanie.

— Właśnie jestto nasze życzenie—odrzekła porucznikowa, trzymając wciąż męża—pani uprzedziłaś tylko nasze chęci, i wdzięczna jęj za to jestem nieskończenie.

— Tak, tak, wynoś się natychmiast! precz!—krzyczał porucznik wyrwawszy się żonie, i roztwierając gwałtownie obie części drzwi wychodowych.

— Kląnam unizenie, kląnam i winszuję łapanego zięcia; tak moi ucziwi i honorowi państwo, cieszcie się owocem intryg, niech wam to idzie na zdrowie!

— A będziesz mi ty cicho, do milion furbeczek, bo!..

— Co bo?—krzyknęła już za drzwiami Lińska stawając junacko przed porucznikiem.

— Jędrusiu! dlaboga co robisz!—wołała żona.

— Tato! tato! mój ojczy drogi, daj pokój!

— Puśćcie mię do kroć diabłów! Ja jęj tu dam! A poczekajno sekutnico!... Puszczac do milion furbeczek! No, bo jak Boga kocham, jak się rzucę...—Lecz obie kobiety nie zważając na groźby i wysilenia, trzymały go mocno: matka za ręce, a Julka za nogi, która z płaczem, przestachem i krzykiem leżąc na ziemi, zatamowała mu wyjście.

— Ależ wstydz się Jędrusiu; a fe! kto to widział, to nie honorowe: porucznik wojować z babami...

— Masz racją imość!—odrzekł smutnie zamykając drzwi—zapomniałem się, ale poczekaj! To dopięro kuta baba na wszystkie cztery nogi, mosanie! to sekutnica, jakiej świat i korona nie widziała.

— Umitygujno się Jędrusiu; patrz, ja się śmieję z tego; najoczywiściej, zazdrość przez nią mówi.

— To śmiej się wasani, do milion furbeczek, ale we mnie wszystkie bebechy się gotują! — zawołał przesyłając oknem siarczyste spojrzenie i groźby odjeżdżającym.—Niechno ja cię dostanę w moje ręce...

— Ależ to przez zazdrość, że jej się wymknęła taka partya.

— A niech sobie będzie, przez milion furbeczek kartaczów diabłów, a niech mi da pokój! Bierz sobie cały powiat marszałkowiczów; ja nie chcę ani słyszeć o żadnym zięciu, choćby on cztery korony posiadał. No, patrzajno imość, tyle zgryzoty, tyle kłopotów, potrzebne to wszystko, he?

— A cóż, nie mówiłam, nie perswadowałam, że tak będzie; wierz mi, to początek dopiéro; potrochu, potrochu, zobaczysz więcej.

— Nie chcę, nie chcę, jak mi Bóg miły: zrzekam się wszystkiego! Dymisyą biorę, uciekam z tych stron, niech ich tu siarczyste ogniste....

— Otóż aby raz dobrze postąpisz Jędrusiu: nie turbuj się, jak zerwiesz z marszałkowiczem, wszystko ustanie; po co dymisyą....

— A! dziękuję ojcu serdecznie, dziękuję,—przemówiła radośnie Julka, całując go w obie ręce, i skacząc po pokoju wołała:—nie pójdę za marszałkowicza, nie pójdę, nie pójdę!

— Atande! moja mościa panno, atande! Nie wołaj hop, nim nie przeskoczysz!

--- Jaktó, tato?

— Taktó, że pójdiesz i kwita!—krzyknął zaperzony porucznik machnąwszy ręką.

— Daj mu pokój Julciu, niech się wygniewa—odezwała się matka, ciągnąc ją za rękę.

— Imość!—zawołał porucznik zatrzymując gwałtownie żonę—dalibóg, ja ci powiadam nie burz mi dziewczyny; bo jakem porucznik, jak honor mój kocham, takiego wam tu narobię bigosu, że mię popamiętacie. Pókim dobry, to dobry, ale jak mię kto rozdrażni, to nie bój się, mam ja swoje sztuki. Coto moje słowo hańka na wodzie, ślina w babskich ustach, co?

— Ktoś znowu zajeżdza — przerwała najobojetniej porucznikowa, zobaczywszy zataczający się lekko wózek przed sień domostwa.

— To jacyś nieznajomi panowie—dodała Julka.

— A czy ich tam kaduk niesie!—przemówił krzywiąc się niesmacznie komendant.— Czy jaki feralis dzisiaj, czy co z temi gośćmi.— Wszelako poprawiwszy wąsy, pogłodziwszy łysinę, stanął przy drzwiach z miną aż nazbyt obojętną.

Z wózka tymczasem wysiadło trzech nam znajomych panów z Warszawy. Rygorski stary, nim wszedł do sieni, obejrzał gruszkę stojącą przed oknem, popatrzył na domek i cały dziedziniec magazynowy; zażył tabaki, wyprostował pogięty surdut, a wzięwszy pod rękę nowego przyjaciela z podróży, sięgnął śmiało do klamki.

— *Laudetur Jesus Chrystus?*

— *In secula....* odrzekł porucznik, patrząc wytrzeszczonymi oczami na wchodzącego—A to... a to... Tomaszek!—krzyknął na całe gardło, chwytając w swoje objęcia poczciwego ex-kontrolera, który krztusząc się niemiłosiernie, wykręcał twarz na obie strony, czując dotkliwe klócia włosami nieogolonéj brody porucznika.

— A to ty! co? Tomaszku?

— Ja, ja mości dobrodzieju; ja.

— Matko! Julka! pójdzcieno tu mosanie! oto ten sam pan Tomasz Rygorski, mój kolega, przyjaciel.. A niechże cię Bóg sekunduje, żeś mi taką zrobił niespodziankę. A pójdzmy, dalej, no proszę cię.

— Czekaĵno Jędrusiu—odrzekł wysuwając mu się pan Tomasz—muszę ci zarekomendować pana Wiśniewicza, mego znajomego i przyjaciela.—A to—mówił wskazując na Juliusza...

— Portrecik Urszulki.... pewno syn.

— Tak, tak, jedynak mości dobrodzieju: przedstawiam go paniom.

Ale porucznik już wciągnął go za sobą do bawialnego pokoju, usadził na kanapie, pobiegł do woźnicy, zarządził stajnię, kazał przygotować kolacyą, a wrociwszy uradowany, wykręcał do światła na wszystkie strony biednym ex-kontrolerem, dogadując:

— Diabło się mosanie zestarzałeś Tomaszku, o diabło!..

— Tak, tak mości dobrodzieju; lat nam nie ubywa obydwom: i ty panie Jędrzeju na młodzika nie wyglądasz?!

— No, ale się trzymam nieźle, co?—odrzekł prostując się frontowo porucznik.

— Głowa wyłysiała—dorzucił pan Tomasz.

— Mniejsza mosanie o wierzch, ale tu jest cała—mówił pokazując palcem po czole.

— Niezupełnie—dorzuciła cichaczem żona.

— Idźno wasani do garnków, a nam nie przeszkadzaj—ofuknął gniewliwie.

— A powiedzno, a gadajno, cóż tam, jak tam... co cię tu sprowadza; he? Bo widzisz, jabym to wszystko naraz chciał usłyszeć!

— Nudno było w Warszawie, to sobie tedy mości dobrodzieju mówię: odwiedzę Jędrusia i oto wyjeżdżam...

— Niechże ci tam Bóg sowicie odplaci, mój dobrodzieju, żeś téż o starym nie zapomniał. Bo téż widzisz, mosanie, co ja tu mam kłopotów, to tylko Bóg jeden święty wiedzieć raczy.

— No i cóż takiego?—zapytał troskliwie pan Tomasz.

— Żebym ci je chciał wszystkie wyliczyć, do jutrabym nie skończył; zewsząd się rwie, wszystko się spika, wali, gniecie, dławi; ot tak, póty!...—dodał przeciągnąwszy palcem po gardle. Ale o tém potem: ot zjedzcie co, moi panowie, boście zgłodzeni mosanie; w młodym wieku to apetyt na zawołanie.

Juliusz i młody inżynier przypatrując się uważniej porucznikowi, rzucali ukradkowe spojrzenia na pannę Julię, rumiejącą się po same uszy; więc usłyszawszy wezwanie porucznika, pierwszy z nich odezwał się nieśmiało:

— Jużeśmy po obiedzie, dziękujemy bardzo, dopiero 6-ta godzina.

— Coto znaczy mosanie, głód na godziny nie patrzy; u nas wojskowych jak we wszystkiém porządek wielki, tak w jedzeniu nieład; nie róbcie ceremonii, jédzcie co Bóg dał. Pamiętasz Tomaszu jakto było w Krakowie, kiedyśmy się dorwali czasem kawałka chleba, to go się mosanie piło a nie jadło.

— Oho, pamiętam Jędrusiu, pamiętam; a to sztuczne piérze, coś go to żydom sprzedawał, mości dobrodzieju...

— Eh! daj tam pokój o piérzach; ot lepiej zabierz się do jedzenia.

Po wieczerzy zaraz, porucznikowa wraz z Julką wyprowadziła młodych gości na spacer. Pan Stanisław Wiśniewicz, człowiek wszechstronnie ukształcony, potrafił zająć obie kobiety, prowadząc z największą łatwością towarzyską rozmowę, i niezwykle się zadziwił, znalazłszy w takim zakątku kobiety,

posiadające tyle różnorodnych wiadomości. Juliusz znowu, choć to miał się niby za coś lepszego od zwykłej młodzieży prowincjonalnej, tą razą zapomniał w ustach języka. Parę razy próbował zagadnąć do Julki, lecz pomimo widocznych z jej strony usiłowań, urywał się przedmiot, jako ściągający się do szczegółów mało ją obchodzących, a po większej części zupełnie nieznanym.

Porucznik znowu nabiwszy ulubioną fajeczkę, usiadł z panem Tomaszem na ławeczce ustawionej przed domem, i po kilku ciężkich westchnieniach tak się odezwał:

-- Otóż miły mój Tomaszku, twój Juliusz, to walny widzę chłopak.

— Tak, mości dobrodzieju, ujdzie — odrzekł uśmiechający się stary — tylko mój panie Andrzeju, żywe to okropnie, jeszcze młode, nieśmiałe...

— Rychtyk jak moja Julka! Powiadam ci dobrodzieju, wszędzie ją masz; ani tego upilnować: w pole nie w pole, do lasu nie do lasu, biegnie ot; a Zosia się gniewa, że się opali, że się zaziębi; bo to widzisz mosanie te baby to tak dbają o swoją urodę, że dalibóg myślałbyś, Pan Bóg je tylko do ramek stworzył.

— Wiemci ja o tém, panie dobrodzieju, wiem — wyrzekł pan Tomasz zazywając tabakę dość głośno, i myśląc o rozpoczęciu bliższej rozmowy, za którą tu przyjechał. Ale porucznikowi widać się nie podobały te zadłgie wciągania, bo obróciwszy głowę ku niemu, uśmiechnięty zawołał:

— Co też to za niepiękny zwyczaj ta tabaka!...

— Wcale nie lepsza mości dobrodzieju od fajki — przerwał nieco urażony pan Tomasz, machając chustką przed sobą. — Bo proszę ja cię, mój mości dobrodzieju, na co to z ust robić komin?

— Ależ przyznasz kolego, że znowu wolę komin z gęby, jak....

— Ale jak ten komin nie pachnie mości....

— Chyba to nie do mnie pijesz Tomaszku: bo już ciż mój pachnie. Proszę cię to litera G; na kwartę wody dwie garści drejkeniku, 15 kropli peruwiańskiego, filizankę czarnej mocnej kawy....

— Coto warto, peruwiański, mości dobrodzieju. Jakem był na kolonii, nieboszka Urszulka, świeć jej tam Panie nad du-

szą, zakropiła mi raz tabakę peruwiańskim; wystawże sobie tedy ja biore, wacham — powietrze Jędrusiu; powiadam ci, powietrze. Pytam się tedy, mości dobrodzieju, kto mi się tu dotykał tabakierki? Urszulka mówi, ja. A kto ci pozwolił? mówię do niej, a ona: chciałam ci zrobić przyjemność, mówi mości dobrodzieju, i wlałam kropelkę peruwiańskiego. A zkądże to takie niemile? pytam ją i wyrzucam tabakę...

— Ma się rozumieć że z apteki—przerwał niecierpliwie porucznik. Ja mosanie jak kupię uncyą...

— Ale czekajno Jędrusiu, bo ty nie wiesz z której apteki.

— Co mi tam mosanie z której, dość, że z apteki w Warszawie! No i cóż tedy.

— Więc ja się pytam z której? Ona mówi ze Starego Miasta.—Nie może być, powiadam jej, bo ja tam kupowałem dawniej, a wszelako co innego to było; bo widzisz, mości dobrodzieju, przed dwoma laty prowadziłem proces działowy ojca żony tego aptekarza: miałem ci dopięro roboty! Od świtu do nocy lataj, szukaj, prosz, a chodziło tu o dużą kamienicę na Podwalu, pod nr. czy 432 czy 234 bo już i nie pamiętam... ale zdaje mi się dwieście...

— Ale o tym olejku—przerwał znów porucznik.

— Wyrzuciłem z tabaką, i basta.

— Ja tam nie wyrzucam co kupuję; stoi choćby do dnia sądnego. Za co się daje pieniądze, niech będzie: może się przydać kiedyś, jak mówi kanonik.

— Co to za kanonik?—zapytał pan Tomasz.

— A ten nasz proboszcz, starowina, co to Jasia uczył.

— Masz tobie, mości dobrodzieju, a toć ja o Jasiu przypomniałem; jakże on się miewa?

— Zdrów chłop, mosanie, jak lew; gospodaruje doskonale, tylko mi trochę przytył.

— A to lepiej, a to lepiej, snąć zdrowie samo.

— Cóż z tego mój ty dobrodzieju, kiedy ja tego nie lubię. U mnie mosanie, mężczyzna powinien być jak świeca: prosty, szczupły, jak ja np.

— Szczęśliwyś ty Jędrusiu, żeś go tak dobrze pokierował: bo to miło mieć dzieci; ale nim się ich na swój chleb wyposaży, co to trzeba starać...

— Oh prawda, prawda Tomaszku: straszna to zawała te dzieci! Nim to ożenisz, nim to wydasz.

— Eh! już to łatwiej wydać.

— Diabła tam łatwiej, panie kochany: chłopak mosanie sam sobie żony wyszuka, a z córką?

— Córek znowu szukają, mości dobrodzieju — odrzekł westchnąwszy pan Tomasz.

— Tak szukają, ale nie ci, których my chcemy. Moję na przykład.

— Przecież jój nie wydajesz?

— At właśnie że wydaję.

— Nie może być, mości dobrodzieju! — zawołał zadziwiony ex-kontroler powstając z ławki.

— Albo co? — zapytał znowu porucznik wyjmując z ust fajkę.

Nic, nic — wyrzekł markotny pan Tomasz. — No, żebym ja to był duchem świętym przewidział..

— A cóż ci to na tém zależało, Tomaszku?

— Eh, dużo zależało, mości dobrodzieju.

— Siadajże tedy i mów; może znasz marszałkowicza Kozłowicza?

— Cóż to za jeden?

— No, przyszły zięć.

— Nie znam i znać nie chcę, mości dobrodzieju! Że też jak się nie wie dzie to nie wie dzie. No, bywaj mi zdrów! jadę.

— Gdzie? — zawołał porucznik zatrzymując go żwawo.

— Do domu, mości dobrodzieju!

— Ależ nie bądź dzieckiem Tomaszu, fe!

— Kiedy ja ci panie powiadam, że się nie odrobi.

— Co się ma znowu odrabiać?

— A to małżeństwo, mości dobrodzieju.

— I cóż ono ci zawadza mosanie? — spytał zaciekawiony porucznik.

— A czy ja to nie mam syna, co?

— Jak mi Bóg miły nic a nic nie pojmuje.

— Tobie widzę — odrzekł rozniewany pan Tomasz — jak niegdyś w szkołach, trzeba i teraz łopata kłaść w głowę.

— E! co tam gadasz dawne rzeczy — odrzekł zapalając się porucznik. Łopata, nie łopata mosanie; ale mnie nie obito za dodawanie jak wasana, rozumiesz!

— Powoli, powoli.. — przerwał Tomasz.

— Co tam powoli, nie powoli; ale skoro mię wasan na dudka wyprowadzasz...

— Czekałno.....

— Nie czekam, do milion furbeczek!—zawołał gwałtownie porucznik—moja głowa nigdy mosanie nie była szaflikiem, ani taczkami, żeby w nią łopata kładli, rozumiesz!

— Ależ dajno mi skończyć mości dobro...

— Nie dam, nie dam, do kroć....

— To niech cię Bóg sekunduje i z twoją gorączką, mości dobrodzieju! Bo jeżeli twoja córka taka porywcza, toby mi zamęczyła chłopaka...

— A jeśli twój syn taki jak i ty mosanie, to niech was razem....

I zacisnąwszy za sobą ręce wraz z trzymaną fajką, biegał porucznik naokoło gruszki spluwając co chwila, gdy zasepiony pan Tomasz, spuściwszy głowę pukał i pukał w tabakierkę, jakby w niej wyszukiwał stosownej odpowiedzi.

W takiej więc postawie zastała ich wracająca porucznikowa, i przyznać musimy, zdziwiły ją niezmiernie podobne zaperzenia serdecznych przyjacieli.

— Cóżto panowie tak stoicie do siebie?—spytała stawając między nimi.

— A cóż? ot mi gada o jakichś łopatach, mosanie, chcejechać Bóg wie gdzie i po co?

— Ale bo to widzi łaskawa pani dobrodziejka tak było: ja tu, mości dobrodzieju, przyjechałem z tym zamiarem, żeby oto tak.... połączyć te z tém... tak oto mości dobrodzieju po przyjacielsku.....—I nie śmiejąc dalej mówić, stary kontroler przybliżał i oddalał tabakierkę z chustką trzymane w obu rękach.

— No, kogo? co? jak? powiedzże choć raz!

— Ot tak.... tego....

— Chustkę z tabaką!—krzyknął porucznik. Utrzymaj wasć nos, to się i połączą!

— Proszę pani dobrodziejki, ja się tu z nią samą muszę rozmówić, bo z nim nie ma rzeczy, mości dobro...

— Dobrze — odrzekła porucznikowa — proszę pana do pokoju.

— Ot to to to, ot to to to—krzyknął uśmiechając się złośliwie porucznik—oboje pewno się rozmówicie; krzyżyk nad drogę! Dalój, dalój, moja żono....

— Chcesz Jędrzeju, to pójdź i ty; sekretów nie mam, tylko pozwól mi wypowiedzieć wszystko—odezwał się ex-kontroler w obawie, żeby go nie posądził o jakie znowy...

— Nie chcę, nie chcę; idźcie sobie z Panem Bogiem; nie mam czego zazdrościć, miłsze mi zdrowie nad wszystko, a z wami toby mi ze dwa garnce krwi ubyło....

— Zdałoby się—szepnęła ciszéj porucznikowa—gniew opada; proszę pana do pokoju.

— Otóż widzi pani dobrodziejka—mówił jeszcze roztrągniony pan Tomasz siadając przy oknie i oglądając się na wszystkie strony czy kto nie słyszy—przystępuję, mości dobrodzieju ad rem: mam syna jedynaka, chłopiec już urosł pod powalę...

— A przystojny i miły bardzo...—przerwała porucznikowa.

— Dziękuję pani, dziękuję. Oto myślałem sobie: czas go ożenić, i dawno to sobie ułożyliśmy jeszcze z nieboszką Urszulką, której niech tam Bóg da wieczne odpoczywanie, mości dobrodzieju, żeby tak oto po znajomości tedy, prosić państwa dobrodziejstwa o pannę Julię; a tu jak na złość już...

— Jeszcze nie, kochany panie—przerwała porucznikowa.

— Jak to nie? wszak mi Jędrus powiedział...

— Eh! co on tam mówi, aby mówić! Chce dziecko sprzedać za jakąś starą szlifę i słowo honoru zwiędtemu pankowi,... ale ja na to się nie zgadzam i nigdy nie zgodzę....

— A! Bóg ci zapłać kochana pani moja łaskawa dobrodziejko!—zawołał uradowany pan Tomasz, zrywając się z siedzenia i całując serdecznie obie jéj ręce.—Zdjęłaś mi dopięro kamień z serca.

— I to nawet panu powiem otwarcie, że jeżeli oboje zdołają podobać się wzajemnie, nie mam nic przeciwko temu; a nawet wszystkich starań użyję, żeby męża do tego skłonić.

— Tysiącne dzięki, tysiącne! moja mościa dobrodziejko! Spodobają się, muszą się spodobać, bo to mój Julek proszę pani dobrodziejki, złote serce chłopak, taki sam jak nieboszka Urszulka!—i znowu cmoknął ogniście ręce porucznikowéj.

— Panie Tomaszu dobrodzieju, ostrożnie mosanie, bo to mąż patrzy! —odezwał się żartobliwie już rozbrojony porucznik wchodząc do pokoju.

— Ej ty gorączko jakiś; ty ty ty nic dobrego—przemówił grożąc mu tabakierką pan Tomasz — poczekaj, zapłacę ci ja za to....

— Płać, płac, dobrodzieju; ja do brania zawsze gotów.—
No i cóż, zrozumieliście się, he?

— I jak jeszcze—odrzekła porucznikowa.

— I z dobrym skutkiem—wtrącił pan Tomasz.

— A o cóżto chodziło?

— Kiedyś nie ciekawy—wtrąciła żona—to po co ci krew puszczac.

— Niech tak będzie: knujcie spiski, szachrujcie, ale jak się wyda panie Tomasz, pamiętaj mosanie szablą się rozprawimy. A wątpię ja mój bracie o twojej biegłości; czy prawda?

— Po części to prawda; wszelako mam nadzieję nie będziesz tyle srogim mości dobrod... jak o owę łopatę.

— Bo też przyznaj skonfudowałeś mię mosanie.

— No to przepraszam, bardzo przepraszam, nie gniewaj się, daj rękę.

— Boże mój! miałbym się też o co gniewać? Przecież wszyscy o tém wiedzą, że to żartem...

Wtém rozległ się znowu tętent koni na dziedzińcu, i ładna najtyczanka z panem marszałkowiczem zatoczyła się przed mieszkanie porucznika.

— Ot i on—krzyknął komendant—zapoznam was!

— Nie chcę, nie chcę, daj mi pokój—odrzekł pan Tomasz żywiej jak zwykle, i zemknął do drugiego pokoju.

Tymczasem wróciła reszta towarzystwa z przechadzki, usadowiono się przy okrągłym stole, podano berbatę i ogólna rozmowa wszczęła się między nimi. Pan Antoni tylko coś nie był w zwyczajnym humorze; zapewne dlatego, że zastał obce dla siebie osoby, a może i ztąd, że pan Juliusz zbyt poufale rozmawiał z Julką, ów zaś młody inżynier znowu zbyt natrętnie wpatrywał się w niego. Kręcił się więc na krześle, wykrzywiał usta, wstawał, wyjmował pachnącą chustkę przykładając ją do twarzy, ale to tak widocznie, iż porucznik go zapytał:

— Co ci to panie Antoni łaskawy, czyś nie słaby?

— Nie, tylko w téj chwili ząb mię zabolął okropnie.

— To może arakiem zalać, he?—Hej! dajcieno tam araku: może segarko co?

— Nic, nic, dziękuję bardzo—i spojrział instynktowo prawie na owego inżyniera, który wlepiwszy swe oczy w podsta-

rzałą twarz marszałkowicza, zaczął się uśmiechać znacząco.

— Najlepiej myślę, że trzeba będzie jechać do domu— odezwał się podając rękę porucznikowi.

— Ale jeszcze gorzej jechać mosanie: to niepodobna!

— Nie sprzecząno się Jędrzeju — wtrącił emeryt — ja, mości dobrodzieju, wiem najlepiej co to ból zębów: ot w domu utrzyć chrzanu, albo śliwkę z pieprzem przyłożyć, podwiązać brodę...

— Tak, tak niezawodnie — dodał pan Antoni — i pożegnawszy zgromadzonych, pomimo usilnych namawiań porucznika, wsiadł na bryczkę kompletnie rozdrażniony, i odjechał sobie z Panem Bogiem.

— Za pozwoleniem pana kapitana — odezwał się młody inżynier, przytrzymując za rękę wracającego komendanta — czy dawno tu mieszka ten Kozłowicz.

— Który? czy marszałkowicz?

— Ten co dopiero odjechał. Alboż to on tak się kazał tytułować?

— Ma się rozumieć — odrzekł nieco zaciekawiony porucznik — albo co?

— Bo ja go znałem przed trzema laty na Podolu.

— Kiedy on mosanie z Ukrainy.

— Nie wierz pan temu. Stryj mój posiada na Podolu własny majątek graniczący pod ów czas z wioseczką jego, ja tam byłem przez kilka lat i znam go doskonale. Nikt z jego familii nigdy żadnym marszałkiem nie był..

— Panie! — proszę nie ubliżać memu przyszłemu zięciowi — odpowiedział dość opryskliwie porucznik, i usiadł przy stole.

Wszyscy obecni jakby instynktownie razem spojrzeli na Julkę zarumienioną po same oczy; pan Tomasz się skrzywił, syn uśmiechnął radośnie, a pan Stanisław Wiśniewicz, w tym rumieńcu Julki wyczytał wcale różne uczucie aniżeli miłość dla przyszłego męża.

Milczenie ogólne panowało przez chwilę w pokoju, nikt z obcych po takiej odpowiedzi porucznika nie śmiał dalej prowadzić rozmowy, tylko zainteresowana porucznikowa spytała inżyniera:

— Pan znasz Podole?

— Tam się rodziłem i wychowałem.

— Więc bądź pan dobry, powiedz nam o tym panu co dopiero wyjechał.

— Właśnie téż chciałem niektóre szczegóły wyjawić, ale...

— Dziękuję, bardzo dziękuję—odrzekł powstając porucznik—ja sam mosanie znam ludzi na palcach, i to co wiem, dla mnie aż nadto.

— Ależ proszę pana—zrób to pan dla méj jedynie ciekawości i powiedz co wiész o nim.

— To ja chyba wyjdę ztąd—przerwał porucznik.

— Owszem—mówił zakłopotany inżynier—prosiłbym pana kapitana o wysłuchanie tego wszystkiego, bo jakkolwiek dopiero od kilku godzin mam to szczęście znać państwa, jednakże obowiązek chrześcijański, obowiązek każdego uczciwego człowieka wymaga ostrzedz innych o przeszłym postępowaniu takiego człowieka jak pan Kozłowicz. Dziwię się tylko jak to on daleko się wyniósł z Podola, i potrafił oszukać państwa i innych, że go w swym domu przyjmujecie.

— On uchodzi tu za bardzo porządnego—wtrącił porucznik.—Mówisz pan bardzo rozsądnie mosanie, żeś naprawdę mię zaciekawiał; otóż jeżeli łaska, chciałbym się dowiedzieć o tém wszystkiém, ale sam tylko.

Wziąwszy go więc pod rękę, wyprowadził na podwórze, usiadł na ławeczce, a pozostałe towarzystwo spoglądając w milczeniu po sobie, oczekiwało z niecierpliwością rozwiązania tak ważnej dla nich zagadki. Porucznikowa choć tak wybornie potrafiła panować nad sobą, tą razą wszakże nie umiała pokryć wewnętrznej radości, objawiającej się w całej rozmowie i giestach nadzwyczaj żywych. Po twarzy Julki przebiegał planetami to uśmiech, to rumieniec, to znowu bladeść niezwykła; w jéj biedném sercu, jak w sercu nieszczęśliwego rozbitka, znów pokazał się zdała ciemnawy punkcik, mogący być dla niéj ziemią ocalenia. Czarne żarzące oko wpoilo się w twarz matki, chcąc z niéj wyczytać niejako potwierdzenie swych nadziei. Naraz upadła poprzednia odwaga, zbladła ofiara poświęcenia, zamglil się horyzont przyszłych cierpień, a wspaniała budowa dawnych marzeń, jakby czarodziejską mocą odtworzona, zabłysła przed wzrokiem jéj duszy jeszcze świetniejszą i ponętniejszą, bo przehartowaną próbą boleści.

Nie wińcie jéj o tę słabość łaskawi czytelnicy, ale raczej ulitujcie się nad nią, bo sami wiecie o tém doskonale, że wielkie

pomysły, bezgraniczne ofiary, a ztąd i czyny, są wynikiem chwilowej twórczej strony naszego ducha. Co obmyślane, wyrozumowane, nie ma tej mocy, tej siły i ważności, co pierwszy popęd serca i czucia. Ale niedość być twórcą, niedość być pomyslowym, bo do tego najpohopniejsi są ludzie; ale stworzyć myśl pewną, i mieć tyle nieugiętej siły wprowadzić ją w czyn, w realizacją, to jest zasługa, to nieomylny znak geniuszu. A Julka nie była geniuszem, tylko zwyczajną sobie dziewczicą z duszą pełną zapału, lecz i z żądzą własnego szczęścia. Zaprzec się siebie niełatwo, zniszczyć swoje ja będąc już świadomym o jego istnieniu, tylko człowiek wielki potrafi!

Przed domem zaś, tajemnicza rozmowa porucznika z inżynierem stawała się coraz żywszą; siedzący w pokoju mogli słyszeć gwałtowne wykrzykniki komendanta, wraz z silnemi pukaniem fajką o ławkę.

— I dowiedziesz tego, panie, co?—pytał porucznik wchodząc we drzwi.

— Wszakże tego niepotrzeba dowodzić, on sam nie zaprzeczy.

— A to dopiero oszust mosanie, a to ja mu dopiero dam za swoje. A niechże go jasne, siarczyste, ogniste! Zarąbię, jak honor kocham mosanie! Poroznoszę na kawałki. Tylko panie, proszę cię na wszystko, niech to przy tobie zostanie: jabym się spalił, jabym się pod ziemię schował. Zmiłuj się nademną, nie mów!

Wszyscy zdziwieni spojrzeli na wyrzekającego porucznika, a żona aż się przestraszyła spostrzegłszy tak rozstrojonego męża. Skrzywiona twarz jego, z jakimś dziwnym uśmiechem oburzenia i gniewu, mieniła się co chwila jak skóra kameleona. Oczy na wierzch wyskoczyły, włosy rozczochrane, ubiór w nieładzie, ciche szeptania i poruszania głową, kazały się domyślać czegoś gwałtownego.

— Co ci jest Jędrusiu!—zawołała biorąc go za rękę.

— Nic, daj mi pokój—odrzekł wyrывая się. Co mnie boli, to mnie boli, wasani nic do tego.

— Ależ dla boga powiedz! może ja co poradzę.

— Tu żadnych babskich rad niepotrzeba. Wasani do rad jak do tańca, a mnie o mały diabli nie biorą ze złości. Trzeba było nie radzić mosanie, nie odradzać, a wziąć ot takiego starego jak ja głupca za łeb, i powiedzieć: nie puszczę! nie puszczę!

— Mój Jędrusiu, ktoby kiedy tobie dogodził!

— Ot właśnie na tém sztuka! Rozumna żona powinna umieć dogodzić.

— No to i cóż się stało?

— Ale Wolicki! patrzcież moi drodzy, Wolicki, przyjaciel, kolega. Tfu! podły świat i ludzie, do milion furbeczek; rodzonemu nie wierz, bo albo zły, albo głupi, a oba jedną drogą chodzą. Muszę ja mu za to wytrzeć kapitułę, mosanie, oh muszę; z kąd jemu przyszło do głowy swatać... co... tego... Wiész co panie Tomaszu — mówił zwracając się do niego — dobre ty masz oczy?

— Oho! mości dobrodzieju, sokołe jeszcze!

— No, to wiész co Zosiu, każ nam posłać w tym piérwszym pokoju; my starzy to sobie jeszcze pogwarzymy trochę, a panowie zaś młodzi, to wam samym lepiej będzie.

Zrobiono więc podług życzenia porucznika; a kiedy zostali tylko obadwaj z panem Tomaszem, odezwał się do niego:

— Mój pocziwcze, wyręcz mię tą razą; siadajno tutaj i pisz co podyktuję. A wydostawszy z szuflady ćwiartkę papieru, gdy pan Tomasz zażywszy tabaki i odkrząknąwszy, zawijał rękawy surduta sadowiąc się na krześle, porucznik zaczął chodzić wkoło pokoju, tarł łysinę, krzywił się jak można najniesmaczniej, szukając wedle zwyczaju ulubionój fajeczki.

— Czegóż jato chciałem Tomaszu? — zapytał go stając przed stolikiem.

— Mieliśmy pisać.

— Ale jeszcze coś wprzódy miałem zrobić.

— Nie wiem nic, mości dobrodzieju!

— Eh! diabli nadali, że ja w takim rozgardyasie już o niczym nie pamiętam; no to piszmy.

— A piszmy — powtórzył emeryt rozmachawszy pióro. Czyto list?

— Nie, nie.

— A cóż prośba?! bo może na stęplu; ja odrazu mogę pisać.

— Jakto, do majora na stęplu.

— No, to dyktujże!

— Już wiem, już wiem; fajki szukam, jest, jest, piszmy: „Kochany Wolisiu” ... nie, nie poczekajno... trzebaby mu tak ce-

remonialnie... „szanowny”... i to nie... nie wart szacunku; to to mosanie... czekaj pomyśle...

Uplłynęło kilka minut, porucznik myślał i myślał; ale czém bardziej się zapuszczał w zadumkę, tém gniew już nieco przygaszony, roztlewał na nowo w jego duszy, bo się prostował jak struna, szarpał wąsa, szeptał do siebie, machał fajką, wreszcie zniecierpliwiony krzyknął:

— Pisz tak: „Niech cię raz już diabli wezmą z marszałkowiczem!

— Ależ kto tak pisze, Jędrusiu?!

— On czego lepszego nie wart mosanie, za moje zgryzoty i hańbę!

— No, to powiedz, ja sam napiszę!

— Właśnie ja chcę, żebyś ty nie wiedział o co idzie.

— To sobie sam pisz!

— Ba, jabym to i bez twój rady zrobił, ale daj oczy...

Pan Tomasz zamilkł siedząc nieruchomie przy stoliku, porucznik znów dumal i dumal puszczając coraz gęstsze kłęby dymu; potem odezwał się:

— Ot! tak będzie najlepiej: „Wielmożny majorze dobrodzieju! Jak ten list odbierzesz...

— Czekajno, jeszcze wielmo... żny... majo...

— Eh! kiedy się ty tak guzdrzesz, Tomaszu, a na tém zęby zjadłeś!

— Ale boś ty gorączka okropny, Jędrusiu; to trzeba porządnie napisać.

— No: „odbierzesz, to choćby siarczyste ogniste pioruny...

— W imię Ojca i Syna! — zawołał zrywając się z krzesła pan Tomasz—co ty dyktujesz?

— Ja inaczéj nie umiem bratku! U mnie mosanie albo starosta, albo kapucyn; jak dobrze to dobrze, a jak kląć, to na czém świat stoi. Mój poczciwy pizno: „pioruny z nieba leciały”.

— Ja nie mogę Jędrusiu, ja katolik, mości dobrodzieju!

— Nie bądźno dzieckiem u diabła, toć i ja nie zaden heretyk, mosanie.

— Ale te siarczyste... ja się boję...

— Mój kochany, mój złocisty, pizno, a nie drażń mię, bo jak mi Boga trzeba przy śmierci, ja się mityguję i mityguję do czasu, ale we mnie krew płynie, zrobię głupstwo i kwita!

Przestraszony tą groźbą ex-kontroler, choć z drzeniem i niezwykłym biciem serca napisawszy ostatni wyraz, odezwał się: „leciały, staw mi się tu natychmiast, bo ci taką sprawię frycówkę, że mię popamiętasz!” Nie, nie popamiętasz... czekajno: tak lepiej „że cię odrazu diabli wezmą jak swego”...

— No, to pisz sobie sam, mości dobrodzieju! — przerwał znowu pan Tomasz składając pióro z całą rezygnacją. — Rób co chcesz ze mną, ja tego nie napiszę. Od lat dwudziestu, mój Jędrzeju, złego ducha nie wzywałem i wzywać nie będę!

— Atoż oczywiste chyba skaranie Boskie — zawołał prawie z płaczem porucznik — co rusz, to źle; czego się dotkniesz, na złość robi.

— Zmień, to napiszę!

— Jakże tu u milion furbeczek, okrętów, batalionów zmienić, kiedy tak najlepiej. Jakże tam było?

— No sprawię frycówkę...

— Dobrze; pisz, że aż w niebie będzie słyhać!

— I to mi się nie podoba!

— Bo do milion furbeczek niepotrzeba, żeby ci się podobało! — zawołał rozgniewany komendant. — Co ja tu wasanu będę jakieś delikatesy dobierał, he? Podjąłeś się, to pisz i basta!

— Ależ poczekajno mój Jędrusiu: powoli mości dobrodzieju, powoli, i ja byłem referentem...

— A co mi tam do twego referenta, kiedy za dyktandem trzech wierszy nie potrafisz skreślić!

— Oho! nie tak znowu mości dobrodzieju; ja nie z takimi dyrektorami bójki staczałem, bo co słusność, to słusność.

— Wiész waspan, takie gadania i niucha tabaki nie warte! W wojsku u nas kazali kark skreślić, to musiałeś skreślić; ani mrumru: bo kulą w łeb i do piechoty! rozumiesz.

— Ale to co innego, mości...

— Nic innego, tylko rozkaz i kwita. Chcesz pisz, nie chcesz — idź do diabła i rzecz skończona... Kiedy tak, ja sam dokończę!

Siadł więc, i porwawszy pióro tak z pamięci coś nagryzmolił ze cztery wiersze, podpisał siarczyście aż pióro skrzypnęło, zasypał, złożył, opieczętował, i oddał służącej z poleceniem, aby nazajutrz rychło świt doręczyła posłańcowi.

Pan Tomasz tymczasem pobrzdakał trochę, pokiwał głową niechętnie, a wreszcie uśmiechnąwszy się dobro-

tliwie, odmówił zwyczajne pacierze; i położywszy się w łóżko nie mógł wytrzymać, żeby nie zagadnąć porucznika:

— Mój kochany — odezwał się po zgaszeniu świecy — twoja żona to musi być chyba aniołem, mości dobro...

— Taki diabeł, jak wszystkie baby — odrzekł porucznik.

— Ale, ale! moja nieboszka dałaby ona ci.

— Nie bój się, i ta mi daje, mosanie.

— Jakoś tego nie widzę, mości dobrodzieju.

— Ha, pobądzno tu parę dni, a zobaczysz; ona tak milczkiem mosanie, milczkiem, a kąsa.

— Moja to znowu tak, jak ty, Jędrusiu.

— Bo téżto była porządna kobieta.

— Tego nie zaprzeczę; ale widzisz jednego razu, pamiętam jeszcze nie miałem kolonii, przyjechał do Warszawy mój kolega, ach prawda, to i twój mości dobrodzieju Szawelski, pamiętasz go Jędrusiu?

— Nie — odpowiedział napół śpiący już porucznik.

— O! ten mały, czarny — mówił dalej podnosząc się na łóżku — ten, coto stał u téj, téj, na górze... Ta... Ba... Ka... bo-dajże cię, zapomniałem. Coto do jój córki chodził professor matematyki Kraciński, mości dobrodzieju; co to, pamiętasz jak go raz kazał ócwiczyć, to on leżąc na ławie powiedział do profesora, że panna Aniela o niego się pytała... Ot Jasińska! Przypominasz sobie co?

Lecz porucznik nic się nie odezwał.

— Czy spisz Jędrusiu?

I tą razą nie było odpowiedzi.

— Spi już — powtórzył pan Tomasz. — Oni wszyscy na wsi jak się położą, to i spią. Żebynto ja tak potrafił — pomyślał westchnąwszy. — Ale podobno tego się nie doczekam, chyba na tamtym świecie. — I znowu zabrął myślą w dawniejsze czasy, doszedł do śmierci Urszulki, ła mu się stoczyła po suchém licu, a porucznik chrapał i chrapał w najlepsze.

(Dokończenie nastąpi).



KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

I.

WYSTAWA POWSZECHNA.

2.

Wystawa przemysłowa. — Przemysł francuzki i zagraniczny w wielkiej nawie (ciąg dalszy). — Wystawa sztuk pięknych. — Galerya angielska (ciąg dalszy). — *Chants Modernes* przez *Du Campa*. — Wiadomości literackie.

Podczas kiedy skwapliwie notujemy sprawozdania z wystawy przemysłowej, chcąc jak najrychlej dać czytelnikom naszym ogólne o niej wyobrażenie, wystawa kompletuje się codziennie; codziennie wchodząc do pałacu spostrzegamy produkta nowe, które wczoraj jeszcze w pakach spoczywały: ztąd nieustanny zamęt i konieczne usterki w systematycznym planie opowiadania, jakiegoś sobie z góry nakreślili. Ponieważ jednak niebardzo się omylę, sądząc, że czytelnikom chodzi przede wszystkim o świeżość, nie zaś o systematyczność wiadomości zebranych na tych ulotnych kartkach: śmiało piszę dalej z nadzieją, że wybaczą nieuchronny nieład, jaki koniecznie z powodu ciągłego przeobrażania wystawy wkraść się musiał w jej bieżące opisy.

Do przemysłu paryzkiego policzyć jeszcze należy liczne wyroby z tak zwaną kamienną tekturą, przeznaczone na wewnętrzne ozdoby architektoniczne. Nie jest to także nowy wynalazek; jeszcze za Henryka II lepiono z masy papierowej wypukłe szlaki, statuy

i wazony, których szczątki istnieją dotąd w pałacu Fontainebleau, i w starych salach Luwru; ale sposób tej fabrykacji od niepamiętnych czasów zarzucony, w ostatnich dopiero kilkunastu latach wznowiony został we Francji, a ulepszony do niepoznania przez pana Hirsch, rozpowszechnił się niezmiernie. Ozdoby z kamiennéj tektury stroją dziś nie tylko wszystkie teatra paryzkie i mieszkania prywatne, ale również najpiękniejsze gmachy publiczne i cesarskie pałace w Wersalu i Fontainebleau. W nowym Luwrze ozdoby papierowe także nie małą grają rolę: tam dopiero w ogromnych salach osądzić można prawdziwą wartość tego wynalazku, który przy stosunkowo małym nakładzie świetne daje rezultaty. Miękkosć papierowój massy przyjmuje najdelikatniejsze kształty: każde wygięcie, każdą żyłkę na liściu lub kwiecie oddaje z mikroskopieczną dokładnością. Mając formy do odłaczania takich deseni, nową Alhambrę zbudować nietrudno.

Z próbek ozdób papierowych, które widzimy na wystawie, trudno wyobrazić sobie jak ważną przysługę rozpowszechnienie tego fabrykatu odda architekturze, mianowicie w epoce w której wielkie majątki rozdraabiają się coraz więcej. Nigdy może stary wynalazek nie został w pomyślniejszą dla siebie porę wznowiony. Wiadomo, ile dawniej kosztowały snycerskie ozdoby pomieszczeń, sufity z żłobionego dębu, lamperye, fryzy, kapitele kolumn i tym podobne upiększenia, za którymi tak ubiegano się w wiekach średnich, a które tak były kosztowne, że je niemal same tylko domy Boże mieć mogły. Dzisiaj każdy właściciel domu może nader tanim kosztem ozdobić mieszkanie swoje wytwornie, i najwprawniejsze oko nie dojdzie, czy te bogate rzeźby są dziełem kilkunasto-letniej mozolnej pracy robotnika, który je po listku z twardego dębu wykrawał, czy też kilkodzienną zabawką wprawnej ręki, która bez trudu też same otrzymała efekta.

Próbki ozdób papierowych dał na wystawę pan Huber, piérwszy takowych fabrykant w Paryżu. Najpiękniejszy z wystawionych jego wyrobów jest monumentalnych rozmiarów komin, z popiersiem cesarza Napoleona III, jak niemniej piękne ramy do zwierciadła, mogące figurować na królewskich pokojach.

Jedno z pierwszych miejsc w linii przemysłu francuzkiego zajmuje drukarnia. Słusznie chciano zwrócić uwagę powszechną na ważne w niej ulepszenia, które nie mało się przyczyniły do ogólnego postępu. Nadto, drukarnia prócz że ściśle powiązana z ruchem umysłowym świata, którego jest najpotężniejszym pomocnikiem, łączy się niemniej ściśle ze stroną materialną ludzkości przez ruch, jaki nadaje kapitałom, i masę rąk które w warsztatach swoich zatrudnia. Pominąwszy Paryż, każde miasto francuzkie pierwszego i drugiego rzędu, zadrukowuje corocznie niezmiernie stosy papieru. W Paryżu summa kapitałów włożonych w samo drukarstwo, nie rachując wydatku na czcionki, papier, atrament, oprawę, i t. d. dochodzi rocznie do 16 milionów franków.

Użycie środków mechanicznych wprowadzone w ciągu ostatnich lat trzydziestu do tutejszych pracowni typograficznych, przemieniło z gruntu sztukę drukarską. Pod względem szybkości pracy, terażniejsze drukarstwo tak się ma do drukarstwa zeszłego wieku, jak wynalazek Gutenberga do starożytnych rękopisów. Obrachowano, że teraz jedna drukarnia paryzka produkuje w tymże czasie tyle, ile wszystkie razem drukarnie stolicy przed dwudziestą sześciu laty.

Jakoż, bez wynalezienia sznelprasy, sztuka drukarska nie odpowiedziałaby wcale wymaganiom naszego czasu, nie mogłaby zrównać w produkcyi codziennie zwiększającej się liczbie czytelników chciwych nauki; sztuka wylewania na papier myśli ludzkiej, byłaby w końcu chybiła powołania swego, gdyby została tém, czém była w przeszłym wieku, gdyby cudowny wynalazek telegrafu elektrycznego, za pomocą którego myśli ludzkie z piorunową szybkością oblatują ziemię, zastał druk w jego pierwotném niedoświetle.

Potrzeba czytania tak się wzmogła we Francyi, że w samym Paryżu przeszło czterdzieści tysięcy robotników pracuje przy sznelprasach, to jest o połowę niemal więcej ludzi, niż przed wynalezieniem maszyny parowej, kiedy wszystko siłą ludzką robione było. Główne drukarnie stolicy są to ogromne fabryki, w których para niemniejszą gra rolę, jak w przedziałniach bawełny.

Wnętrze takiej fabryki czyli ogromnej drukarni paryzkiej p. Chaix, widzimy naprzeciwko płodów drukarskich pp. Plon i Fourne, wyrobione z drzewa. Modele wszystkich maszyn, podział pracy jak po sobie następuje, oraz robotnicy do niej użyci: słowem, żywe i nieżywe sprzężyny ku produkcji druków użyte, oddane są dokładnie; rozstawione jakby na wielkim stole, dają dokładne wyobrażenie o rzeczywistym ruchu tej wielkiej pracowni.

Zecery w tutejszych drukarniach dzielą się na cztery klasy: pierwsza, najniższa i najliczniejsza, układa manuskrypt w długie a wąskie kolumny, jak te, które w gazetach widzimy. Tak złożony rękopis inni umiejętniejsi rozłamują na karty i oddają korektorom, korektorowie poprawiwszy ważniejsze błędy w pośpiesznej robocie, zdają resztę na protów, którzy stoją najwyżej w hierarchii drukarskiej.

Wielkich drukarń rachują w Paryżu ośmdziesiąt; w nich pras ręcznych 572, i 276 sznelpras. Tłocznie zadrukowują w ciągu roku blisko 10,000,000 funtów papieru na same książki, nie rachując dzienników.

Wystawione płody francuzkie przemysłu drukarskiego są nader ciekawe. Zgromadzeniem ich i wyborem zajmował się znakomity drukarz pan Plon, któremu też sztuka wiele nowych wynalazków zawdzięcza. Mianowicie też udoskonalił on wysoko trudne i mozolne druki kolorowe, które, jak wiadomo, są szczytem umiejętności drukarskiej. Pan Plon nietylko ozdoby drukowe, ale i kolorowe odbija portrety, które aczkolwiek nie doszły jeszcze w doskonałości sztychów, ani litografii, zasługują na uwagę jako osobliwość. W pawilonie jego widzieliśmy kilka takich wizerunków; między nimi portret kolorowy naturalnej wielkości pani du Barry, i mniejszych rozmiarów czarny wizerunek cesarza Napoleona I^{szogo}.

Tak zwana dyamentowa edycja bajek La Fontaina, jest rzeczywistym arcydziełem sztuki drukarskiej. Książeczka na dwa cale długości, a półtora szerokości; grubość jej odpowiada rozmiarom. Misterny druczek mimo małości swojej tak jest wyraźny, tak dokładny, że go bez pomocy powiększającego szkła czytać można z łatwością. Wszystkie tytuły i pierwsza litera ka-

zdój bajeczki odmiennemi tłoczone są czoionkami: zład bogactwo kompozycyi niestychane, i wykonanie o którym pojęcia mieć nie może, kto go nie widział. Wystawiono także i wprowadzono w ruch pod okiem publiczności tłocznią, która służyła do odbicia téj lilipuciey edycyi bajek. Liczny tamże widzimy zbiór rozmaitych czcionek i matryce w których je leją; mianowicie wielkie alfabety wyrobione są z rzadką proporcją, i przenoszą elegancyą formy nawet angielskie.

Zbiór narzędzi i płodów drukarskich jest ogromny; zadrukowanych różnemi literami kart leżą całe stosy; model maszyny do robienia papieru zajmuje środek pawilonu. Przyznać atoli potrzeba, że ten pomnik mozołów ludzkich, pracy zmuśnej, ciężkiej nawet, której owoce nie wabią oka ani wdziękiem, ani kolorem, i tylko specjalnych znawców zająć mogą: trochę razi swą surowością w téj przepysznej sali, gdzie słoneczne blaski drogich kamieni, wdzięczne formy rzeźby, najżywsze barwy kaszmirów i błyski lugduńskich materyj, walczą z sobą o pierwszeństwo. Drukarnią w gmachu wystawy można porównać do rzeczywistej zastugi w człowieku, którą, że się nie zachwala, ani w oczy nie bije, tłum zwykły omijać obojętnie, a nieliczny tylko przechodzień spostrzeże i oceni.

Dla rozweselenia wzroku znużonego oglądaniem czarnych i mikroskopicznych druków, przypatrzmy się teraz najwykwintniejszemu z produktów francuzkich: koronkom, które z dwóch względów na specjalną zasługują uwagę: najprzód, że są ozdobą wystawy, powtóre, że są ozdobą i uciechą pięknej połowy rodu ludzkiego, a z tego powodu nieomal zarówno i drugą połowę obchodzą.

Po rolnictwie najwięcej rąk zatrudniają we Francyi fabryki tkanin; śmiało powiedzieć można, że szóstą część ludności francuzkiej związana jest z niemi pośrednio lub bezpośrednio. Każda najlichsza nawet miejscina ma jeżeli nie kilka, to przynajmniej jedną fabrykę wyrobów jedwabnych, wełnianych, lub bawełnianych; lnianych i konopnych tkanin wyrabiają daleko mniej, i tylko w przednim gatunku, bo płótno i bielizna stołowa lniana, która u nas do najzwyklejszych potrzeb życia się liczy, tutaj z powodu że klimat uprawie lnu ani konopi nie sprzyja, należy do przedmiotów zbytkowych.

W rzędzie mnogich zakładów tkackich, ważne zajmują miejsce rękodzielnie koronek; wyrabiają ich rocznie we Francyi za 70,000,000 franków. W Belgii, która produkuje w proporcji do swój rozległości więcej koronek niż Francya, używają do robienia ich wyrobników płci obojój: tutaj ta gałąź przemysłu powierzona jest wyłącznie kobietom. Cztero-letnie dziewczynki poczynają się już uczyć tego rzemiosła, w którym doskonalić się mogą, dopóki wzroku nie stracą, to jest w przecięciu do lat 50, gdyż po tym kresie rzadko która jeszcze do roboty jest zdolna: tak to ciągłe wyężdżanie wzroku oczy wyniszcza.

Wyrabianie koronek jest tutaj rzemiosłem sukcesyjnym; w Normandyi, Auvernii, Flandryi, Pikardyi i Lotaryngii, prowincjach Francyi, gdzie najwięcej ich fabrykują, nierzadko napotkać w jednej chacie trzy generacye kobiet, koronkom wyłącznie życie swoje poświęcających. Babka mota, lub zwija na drobne kłębuszki nici różnych grubości, z których córka rozpiąwszy je na tysiącach spilek, pajęcze snuje płótno, przetykając misternemi kwiaty. Wnuczka przy matce i babce wkłada do tejże pracy drobne paluszki, mając sobie powierzone wykonanie grubszych, lub zupełnie prostych deseni. Rumiane dziewczę świeże nitki na tychże samych rozpina krosnach, nad któremi prababka schylona przez całe życie oczy wypatrzyła.

Cóżby się stało z tą masą wyrobnic tak mozolnie swój kawałek chleba zarabiających, gdyby kaprys mody podszeptał pięknym damom inną jaką ozdobę zamiast koronek, lub gdyby jaki monarcha francuzki na wzór Ludwika XIII, wydał edykt zakazujący noszenia koronek pod karą konfiskaty i 500 liwrów kary. Strach pomyśleć. Ale dzięki Bogu obawa ta płonna, bo żaden wyrób, miejsca koronek nie zastąpi kobietom; duchowieństwo zaś mniej bogate jak za czasów Ludwika XIII, na koronki się nie rujnuje, a wielcy panowie, którzy niegdyś powozy i szory niemi stroili, dziś używają ich rozsądnie tylko do batystowej koszuli. Ani frendzle, ani kokardy, ani falbany któremi od stóp do głów obszywają dzisiaj kobiece stroje, nie mają wdzięku koronek, a mianowicie nie dorównywają im w cenach: co zapewne główną jest rękojmnią, że tak prędko z użycia nie wyjdą.

Wedle najświeższego rachunku liczba ogólna kobiet trudniących się we Francyi wyrabianiem koronek, wynosi 300,000; na Auwernią, która najwięcej ich produkuje, przypada 140,000 wyrobnic.

Zważywszy jak nisko praca niewieścia ceniona jest we Francyi, a co większa, jak przez uświęcony zwyczaj, mianowicie po miastach, stała się prawie wyłącznym przywilejem mężczyzn: błogostawie potrzeba przemysł zabezpieczający od nędzy, i chroniący od zepsucia tak znaczną ilość kobiet, a zarazem tak zgodny z ich zdolnością, siłą i upodobaniem.

Rozmaite są rodzaje koronek francuzkich; robota ich różni się tak wyraźnie, że wprawne oko niewieście zdaleka ją rozklassyfikować potrafi. Robotnice w każdym departamencie mają swój ścieg właściwy i innego nie umieją. Najbiegłęjsza w swoim fachu Auwerniaczka nie potrafi zrobić ani kawałka koronki ściegiem Alensońskim i odwrotnie. Najstawniejsze gatunki koronek francuzkich pochodzą z Caen, Bayeux, Chantilly, Calvados, a mianowicie z Alençon. Te ostatnie najświetniej są reprezentowane na wystawie. Podobno na całym świecie nie wyrabiają piękniejszych ani droższych. We Francyi tylko Alensońskie koronki robione są z nici lnianych, wszystkie inne fabrykują z bawełny i jedwabiu. Wielka też jest różnica w ich wykończeniu, cienkości, i piękności deseni. Robotnice nie wiążą postawu jak zwykle z nici pozwijanych na kłębkach, krzyżując z sobą takowe, ale całą tkankę robią igłą, obwodząc poprzednio każdą dziurkę białym włosiem, które po ukończeniu pracy wyciągają mozolnie. Jestto robota niezawodnie ze wszystkich najzłudniejsza, najpracowitsza, najwięcej wymagająca cierpliwości; a jeżeli jako jej dowód, wystarczało kiedyś u nas mężczyznom rozplątanie motka jedwabiu i dobrze wróżyło o powolności przyszłej żony: każdy z tych panów bez próby i na pewno mógłby się żenić z fabrykantką Alensońskich koronek.

Najpiękniejsze z wyrobów Alensońskich białych, na wystawie są: najprzód tunika grecka, która jak krótka koszula kładzie się na podobną powłoczystą spódnicę i przepasuje zapewne dyamentami sadzonym pasem; jestto ubiór niezrównanej piękności, forma je-

go i desen' wydane podobno były fabrykantom przez cesarzową Francuzów, i dla niej wykonane. Dalej widzimy bogatą mantyllę z falbanami, przykrycie na toaletę damską, albę i dwie chustki do nosa precudnej roboty. Czepków, kołnierzyków i falban jest także podostatkiem.

Caen i Bayeux nadeszły liczne probki prac swoich. Robotnice tamtejsze z równą doskonałością robią białe i czarne koronki. W Bayeux trudnią się mianowicie wyrabianiem wielkich sztuk, jakoto: sukien, komży, na dwa łokcie szerokich szlaków, i tym podobnych rzeczy. W témże mieście i okolicach jego wyrabiają najpiękniejsze blondyny, których tak wiele konsumują południowe kraje, a mianowicie Hiszpania.

Fabryki w Calvados tém się wyróżniają, że skrupulatnie idą za przepisami mody. W paryzkich magazynach wydane formy chwytają chciwie, kopiują dokładnie i szybko. Ztąd koronkowe wyroby z Calvados bardzo są pożądané w Paryżu, bo elegantkom zarówno a może więcej idzie o formę mantylli, niż o jój wykończenie, które dopiero po staranném opatrzeniu ocenić można,

Pawilon koronek o którym mówię, znajduje się w rzędzie przemysłu francuzkiego w wielkiej sali. Zgromadzono w nim same tylko koronki normandzkie. W galeryach wyższych spotykamy ich zbiór liczniejszy. Między innemi uderzają tu cienkością i wykończeniem tak zwane od miasta w którym fabrykowane były Valenciennes, a które dzisiaj w Bailleul na północy Francyi robią. Po tych idą koronki z Flandryi i mniej dobre pikardzkie, które wyrabiają głównie w miastach Lille i Arras. Po tych liczne wyroby z podnóża Vogiezów, nakoniec koronki z Puy, najdawniejsze we Francyi, których rękodzielnie chwilowo podupadłe, teraz podniosły się niezmiernie i nadeszły na wystawę mnóstwo wyrobów bardzo znakomitych; oceniają je na 100,000 franków. Między temi ostatniemi widzieliśmy przepyszny szal czarny, którego rozmiary, bogactwo deseni i cienkość przechodzi wszystko, co dotąd w tym rodzaju widziano. Jest on własnością cesarzowej francuzkiej.

Białe koronki z piór marabout robione, nowy wynalazek z fabryki paryzkiej pana Dubois, są nader

sztuczne i piękne; szkoda, że nietrwałość tego wyrobu mieści go w rząd przedmiotów najzbytkowniejszych, przystępnych chyba indyjskim Nababom. Więcej nad dwa razy ustroić się w taką suknię nie można, ale piękność jej wyobrażenie przechodzi. Podziwialiśmy w tymże pawilonie suknie ze złotych i srebrnych koronek, na gale dworskie przeznaczone; przepych ich atoli nie-mile razi oko, obok opalowo-mlecznych koronek pucho-wych, którym napatrzeć się dosyć niepodobna.

Nie ulega kwestyi, że na wystawie koronek, francuzkie najpiérwsze zajmują miejsce; najlepszym dowo-dem ich wyższości nad innemi są nagrody przyznane im na wystawie londyńskiej. Na 61 exponentów francuzkich, 43 dostało nagrody, kiedy z 437 angielskich, tylko 93 nagrodzono, a z 48 belgickich, 23.

Materyj lugduńskich zaledwie probki widzimy w wiel-kiej nawie; zapewne dla braku miejsca rozłożono je w galeryach wyższych na przestrzeni 600 metrów kwa-dratowych. Wyrób ten niezaprzeczenie najważniejszy z tkanin francuzkich, przepysznie tutaj reprezentowany, zasługuje na dłuższy rozbiór. Każdy fabrykant, ryso-wnik wzorów i prosty robotnik, który przyczynił się do wzrostu téj gałęzi przemysłu słynnego na całym świe-cie, godzien przynajmniej wzmianki w historyi przemy-słu francuzkiego. Przeto, obejrzawszy produkta zgro-madzone w wielkiej nawie, powrócimy do materyj lug-duńskich i mówić o nich będziemy obszerniej.

W dolnym pawilonie lugduńskim rozwieszono tylko ciężkie materye na meble, obicia sztywne od złota, i ozdoby kościelne, zalecające się właściwym gustem, i niestychaném bogactwem.

Drugi produkt francuzki, sewrskie porcelany, równie powszechnéj jak materye lugduńskie używający sławy, jeszcze nie przybył na wystawę. Przejrzyjmy więc tyl-ko istniejące obecnie dwa obszerne pawilony porcelany i kryształów, na które składały się fabryki z departa-mentów wyższej Garonny: Haute-Vienne, Cher i Indre-et Loire.

Jakże daleko postąpiła ta sztuka od czasu, kiedy przyszła myśl człowiekowi ulepić z ziemi piérwsze na-czynie i wypalić je na słońcu, jak to dotąd czynią dzicy na Australskim Archipelagu. Ze wszystkich rzemioś

garncarstwo jest najstarsze; ludzie trudnili się niemi kiedy jeszcze żadnego innego przemysłu nie znali. Naczynia z gliny znalezione w ziemi, są najdawniejszym zabytkiem starożytności, jaki przechował się do naszych czasów. Formy ich początkowo bardzo proste, przybrały wyszukaniejsze kształty, skoro do użytku religijnego służyć zaczęły; urna z szarej ulepiona gliny, w którą składano popioły przodków, już nieomal na nazwę dzieła sztuki zasługuje. Poczucie piękności kształtów widzimy już wysoko rozwinięte u ludów wygasłych od XXV wieków, których ślady ledwie dostrzeżone podaje nam historia. U Greków i Rzymian sztuka garncarska stała tak wysoko, że pod względem formy dotąd piękniejszych nie wymyślono wzorów; ale pod każdym innym względem dzisiejsze garncarstwo jest nieskończenie wyższe od starożytnego. Materiał z którego starożytni wazy i urny swoje lepili był bezkolorowy: czerwony, popielaty, lub czarny. Nie znali oni ani przezroczystej porcelany, ani nawet fajansu; nadto wyroby ich skutkiem złego wypalenia nie były tak trwałe jak terazniejsze. Tysiące nowych materij, które dzisiejsi garncarze mieszają do materij pierwotnej, nadają wyrobom tegoczesnym nieznaną dawniej twardość, szklistość, a mianowicie okazałe barwy.

Pod względem powyższych zalet najdalej zaszła fabryka pana Hache. Serwis do herbaty z porcelany szafirowej jest tego najlepszym dowodem. Kolor szafirowy bowiem najtrudniej się przyjmuje na porcelanie; ażeby ją ufarbować w ten sposób, potrzeba poprzednio rozpalić porcelanę do czerwoności, w którejto operacji cały serwis rozpuścić się może w mgnieniu oka. Mało jest garncarzy umiających wypalać niebieską porcelanę; który z nich ten sekret i tę zręczność posiada, liczy się do rzędu pierwszych majstrów swego rzemiosła. Otrzymać niebieską wazę z porcelany jest tém samym dla garncarza, czém dla ogrodnika otrzymać jeźli nie różę, to przynajmniej hortensyę niebieską.

Ogromny wazon jasno-seledynowy w chińskie desenie z fabryki pana Meyr, niemniej zasługuje na uwagę tak pod względem swego ogromu, jak czystości farby użytej do malowania kwiatów, które pokrywają wazon. Tło seledynowe także niełatwo się otrzymuje,

z powodu ustawicznego skupiania się téj farby nader trudnej do rozprowadzenia.

Wyroby tak zwane biszkoptowe (en biscuit), to jest z masy porcelanowej naturalnej, nie wyszkliwanéj, są nader liczne. Prócz mnóstwa drobiazgów, pan Gile biegły majster wyrobów tego rodzaju, zrobił popiersie cesarza ustawione we środku pawilonu; także dwa wielkie kandelabry i ramy zwierciadlane, które aczkolwiek sztuczne i bogate, mniej są ładne, jak drobne z téjże masy utwory, jakoto: wazoniki, statuetki, filiżanki, garnuszki i tym podobne rzeczy. Masa biszkoptowa nie mająca ani poloru, ani białości, musi być zbliżka widziana, bo cała jéj wartość zasadza się na dokładném przyjmowaniu żądanej formy: zdaleka nie czyni żadnego efektu.

Pan Avisseau bardzo szczęśliwie naśladuje francuzkie wyroby garncarskie z XVI wieku. Są to wypukłe desenie na porcelanie w naturalnych kolorach, po największej części przedstawiające płazy, ptaki, zwierzęta czworonożne i krajobrazy. Wyroby takie są więcéj oryginalne niż ładne; nieuchronną ich wadą jest ciężkość, oraz niemiła oku jaskrawość kolorów, zupełnie niewłaściwa w oddawaniu zwierząt.

Porcelany francuzkie zwyczajne, odznaczają się pięknością kształtów; pod innemi atoli względami nie przewyższają takichże wyrobów austriackich i pruskich, zgromadzonych w téjże sali; powiedzieć nawet można sumiennie, że tym ostatnim nie dorównywają. Opóźnienie fabryki sewrskiej wielką krzywdę wyrządziło téj gałęzi przemysłu francuzkiego, mianowicie w zestawieniu z porcelaną z królewskich pruskich fabryk, która skutkiem tego w wielkiej nawie otrzymała palmę pierwszeństwa. Skoro porcelany sewrskie przybędą, biegli przyznają im pewnie pierwszą nagrodę, ale widzom pozostanie pierwsze wrażenie, które zazwyczaj najsilniej wpływa na sąd, jaki o rzeczy wyносimy. Dla przekonania ogółu o wyższości francuzkiej porcelany, zestawienie płodów dwóch potężnych fabryk było konieczne, tymczasem przeciwnie się stało. Pruskie porcelany i kryształy zajęły główne miejsce w wielkiej nawie, porcelany sewrskiej, skutkiem opóźnienia, potrzeba będzie wyszukiwać w osobnym pawilonie rotundą zwanym.

Największe trzy fabryki francuzkie kryształów: Baccarat, Saint-Louis, i Clichy, złożyły się na pawilon wielkiej nawy: ściany, pułki i stoły, wszystko tu kryształowe.

Fabrykacya kryształów w właściwem znaczeniu tego wyrazu, to jest preperacya szkła dająca mu przezroczystą klarowność wody krynicznej i twardość kamienia, dopiero z początkiem XIX wieku przyszła do Francyi z Anglii. Przedtém znano tutaj tylko kryształ górny, którego obrabianie nader było trudne i kosztowne. Dzisiaj sztuczny kryształ przechodzi o wiele kryształ rodzinny w czystości i blasku. Przemysł ten aoli bardzo wolno rozwijał się we Francyi.

Piérwszą specyjalną fabrykę kryształu założył około roku 1812 pan Artigues w departamencie Sambre-et-Meuse. Później, za restauracyi tenże fabrykant założył drugą hutę kryształową w Baccarat, w departamencie Moselle, któryto zakład zwiększony i ulepszony przez następców jego, uważany jest dzisiaj za najpiérwszy we Francyi.

Jakoż w istocie, wyroby z huty Baccarat odpowiadają zupełnie wysokiemu stanowisku, jakie w hierarchii przemysłowej zajmują. Na wystawę nadesłano z téjże huty pięć sztuk: dwa ogromne kandelabry, wielką czarę kryształową, i dwa wazony z tak zwanego szkła agatu, ozdobione blado-zielonym deseniem.

Kandelabry są jedną z głównych ozdób wielkiej sali. Całe kryształowe, blisko dziesięć łokci wysokie, u góry są uwieńczone stoma świecami, wytryskającemi z ogromnego bukietu palmowych liści, mającego cztery łokcie obwodu. Kolumna stosownej grubości naśladowująca wygięty pień palmowego drzewa, łączy podstawę z bukietem, a rozchodzące się u dołu korzenie drzewa, sztucznie poplątane, tworzą podstawę tych kryształowych olbrzymów, którym podobnych nie wydała dotąd żadna huta na świecie. Przy świetle, w salonie stosownemi meblami zastawionym, te dwa kandelabry bajeczny czynić będą efekt. Najwłaściwsze ich miejsce byłoby na środku jakiejś białej stiukowej sali, przy tryskającej wśród kwiatów fontannie; sądzę, że przed rzeczywistością tych płonących świec dwustu, zbladłyby nawet cudowne opisy Tysiąca i jednej nocy.

Dwa wazony ze szkła agatowego także są wyjątkowej piękności, jakkolwiek modna mieszanina koloru zielonego z białym, nie jest koniecznie szczęśliwa. Wazony te wysokie są blisko cztery łokcie, u góry zakończone w girlandę jarmużowych liści.

Fabryka Saint-Louis dała wyroby szklane naśladowujące zupełnie malakit; a choć to wynalazek nowy i sztuczny, nadto przecież wiernie naśladuje kamień, żeby mógł uczynić wrażenie; widząc piękne ich obrobienie, fabrykant chyba rozpozna, że to arcydzieło wyszło z huty, nie od rzeźbiarza.

Produkta fabryki Clichy zalecają się pięknnością kolorów, mianowicie ciemno-ponsowy ze złotem, i szafirowy ze srebrem, uderza czystością, a oświecony słońcem pali się jak prawdziwe rubiny i szafiry.

Daléj widzimy gustownie ustawiony pawilon rozmaitych broni z fabryk francuzkich, daléj pawilon marnarki. O obydwóch tych grupach tylko człowiek specjalny mówić może, przeto pomijam takowe. Instrumenta muzyczne, wyroby cynkowe i materye wełniane, które się mieszczą jeszcze w linii przemysłu francuzkiego w wielkiej nawie, nie zasługują na szczególniejszą uwagę. Niektóre miejsca są jeszcze próżne, inne pawilony opróżnione, czekają na piękniejsze towary niż te, któremi je założono z początku w braku innych; narzędzia ogrodnicze wyniesiono do przystawki, bo niedość zasługiwały na miejsce tak świetne: dosyć, że zmiany są ciągłe. Jeżeli więc będzie po co, powrócimy jeszcze do linii francuzkiej, teraz przejrzyjmy pobieżnie naprzeciw niej zgromadzone płody innych krajów.

Sześć tylko narodów znalazło pomieszczenie naprzeciw Francyi w wielkiej nawie: Stany Zjednoczone zajmują dwa pawilony, trzy Belgia, cztery Austria, Prusy trzy, Saksonia jeden, Anglia dziesięć.

W dwóch pawilonach amerykańskich nic dotąd nie ma prócz łódek z gutaperki, i nieco innych wyrobów z tegoż materyału.

Pierwszy pawilon belgicki obejmuje zbiór broni z fabryki Liège, sławnej mianowicie swą taniością. Zwyczajne fuzye do polowania sprzedają po 7 i pół franka, co stosunkowo do wysokości cen tutejszych, bajecznie tanio się wydaje. Najwięcej takiej broni odcho-

dzi do Ameryki; Francuzi nastają na nią bardzo, twierdząc, że niebezpieczniejsza dla strzelca niż dla zwierzyny, co wszelako wcale nie ubliża fabrykantom belgickim, bo prócz strzelb tanich, umieją robić i lepsze, a nawet takie, które w niczem francuzkim nie ustępują; zbiór ich niemały widzimy na wystawie.

Drugi pawilon belgicki mieści bogate stroje kościelne z fabryki bruxelskiej Vanhalle, rywalizującej z Lugdunem. Jakoż złote hafty nadzwyczajnie bogate na ornatach, infułach, kapach i stułach, stoją na równi z lugduńskimi; wykonanie ich prześliczne, ale deseń mniej gustowny, a nadewszystko adamaszek lub axamit za tło służący, daleko gorszy od lugduńskiego. Fabrykant miał nieszczęśliwą myśl rozwieszenia wyrobów swoich na manekinach, w szaty duchowne przybranych, w naturalnej wielkości; nadto, pomiędzy nimi postawił krucyfiks; ten krzyż wśród postrojonych w złoto bałwanów z wyrazem głupstwa na twarzy, razi do tego stopnia, że wstręt pierwszego wrażenia nie pozwala obejrzeć szczegółów, a przynajmniej źle usposabia do sprawiedliwego takowych osądzenia.

W trzecim pawilonie rozłożono sukna z ogromnej fabryki pp. Biolley z Verviers. Dom ten kolosalną zrobił fortunę na wyrobach wełnianych; liczą go na 30 milionów franków. Ze wszystkich fabryk sukna na świecie, fabryka pp. Biolley ma być najlepiej urządzona i w najlepsze zaopatrzona narzędzia. Na każdej z wystawionych materyi napisana jest jej cena. Ceny te nierównie są niższe od francuzkich, a mianowicie gatunek sukna o wiele jest miększy od tulejszych, które napozór bardzo piękne, cienkie są jak pajęczyna, i jak pajęczyna nietrwałe. Metr przedniego sukna czarnego z fabryki pp. Biolley kosztuje 32 franki, w Paryżu potrzebaby go zapłacić przynajmniej 40, a gatunku który fabryka Verviers po 10 fr. sprzedaje, tutaj ani za dwadzieścia nie dostanie.

Austria wszystkie cztery pawilony swoje zastawiła czeskiemi kryształami, szkłem i porcelaną, które nie odznaczają się niczem prócz wielkiej taniości. Formy tych wyrobów zwyczajne, sposób fabrykacji powszechnie używany, a kolory, mianowicie różowy i niebieski, bardzo słabe i nieczyste; przy francuzkich

i pruskich jak zblakłe wyglądają. Uważaliśmy w jednym z austriackich pawilonów ozdoby architektoniczne z gliny, dość ładne, podobne kształtem do ozdób francuzkich z kamiennój tektury, ale daleko grubiej wykonane.

Prusy trzy pawilony swoje ozdobne draperyami z amarantowego aksamitu, zastawiły także szkłem, porcelaną, i wyrobami garncarskiemi; ale różnaitość daleko jest tu większa niż w austriackich, nadto, przepyszne wyroby z fabryk królewskich ustawione są z wielkim gustem i starannością.

Porcelany berlińskie pierwsze zajmują miejsce. Wspaniałe wazony w chińskim smaku, czary oprawne w bronz, serwis do czekolady, zastawy do śniadania, dotąd nie mają sobie równych na wystawie. Ogromne zwierciadło z fabryki akwizgrańskiej, jedną szybą zastłania całe wnętrze pawilonu, wysokiego najmnień dziesięć łokci; przed niem rozstawione bogate kryształły w długą przeciągając się amfiladę, wspaniałym blaskiem uderzają widza. Na pierwszy rzut oka ten pawilon pruski jest najświetniejszy ze wszystkich w wielkiej nawie.

W trzecim widzimy wyroby gliniane z fabryki pana Boch; choć materyał gruby, niektóre z nich są bardzo ładne, mianowicie większe sztuki, jakoto: żardinierki na 6 i 7 metrów wysokie, urny, konsole, wiszące koszyki na kwiaty i tym podobne rzeczy. Zastosowanie garncarstwa do architektury, które na wystawie widzimy w kapitelach, kolumnach i innych sztukach, ułatwi zdobienie zewnętrzne domów, tak jak kamienna tektura ułatwiła wewnętrzne.

Pawilon saski zapełniają same prace, świadczące o wielkiej cierpliwości mieszkańców tego kraju: hafty na batyście, słomiane plecionki, roboty krzyżowe w rodzaju gobelinów, koronki więćej pracowite niż ładne, a mianowicie kilka portretów i obrazków haftowanych czarną pelą na atlasie, dowodzą, że Saksony pracują jak pszczoły, chociaż z mniejszym od pszczół pożytkiem. Mianowicie pelowe obrazki są pomnikiem ogromnej a bezużytecznej pracy; zdaleka wydają się jak mierna robota kredką, szczyt do jakiego dojść może malatura igłą. Dla takich rezul-

tałów czyż warto tak ciężkie podejmować mozoty? Jestto figiel, nie więcej, i figiel bardzo niewdzięczny: patrząc na te obrazki przychodzi na myśl ów sztukmistrz, który w obec Alexandra Wielkiego przerzucił ziarnka grochu przez ucho od igły, za co monarcha kazał mu w nagrodę korzec grochu ofiarować.

Pawilony angielskie najbogaciej i najrozmaiciiej są wypełnione; pierwszy zajmuje produkta irlandzkie lniane, począwszy od jeszcze nieobrobionych wiązek lnu, przędzy, nici, płócien, aż do najcieńszych wyrobów, to jest batystu i pięknych na nim haftów. W tym dziale najpiękniejszą wydaje nam się bielizna stołowa.

W drugim zgromadzono próbki przemysłu metalurgicznego z fabryki Sheffield (hrabstwo York). Widzimy tam ogromne kominy z kratami, nader ozdobnie wyrobione ze stali, drzwiczki do pieców, kuchnie ekonomiczne, rozmaite narzędzia do pomocy w paleniu i poprawianiu ognia na kominie; słowem, wszystkie przyrządy wymyślane dotąd do ocieplania pomieszczeń widzialnym ogniem, i użycia takowego jak najtańszym kosztem do gotowania.

Daliej idą wyroby także ze stali i żelaza do innego użytku przeznaczone, z fabryk najprzemysłowszych miast angielskich: Birminghamu i Wolverhampton. Pierwsze wystawiło lampy, kandelabry i liczne wyroby z lanego żelaza, bardzo mierne w porównaniu z londyńskimi. Drugie, liczące dziś blisko 80,000 mieszkańców, nadzwyczaj czynne i przemysłowe, nadesłało z dwóch fabryk swoich wyroby ślusarskie, także ogromne kominy z cynku i miedzi.

Manchester i Glasgow, dwa potężne miasta handlowe, które dziś liczą przeszło po 300,000 mieszkańców, i zalewają tkaninami ze swych fabryk wszystkie jarmarki na świecie, mają na wystawie każde swój osobny pawilon. Oprócz fabryk tkanin bawełnianych, których ruch potroił w przeciągu pół wieku ludność jego, Manchester wyrabia także materje jedwabne, aksamity i makaty. W szkockiej stolicy Glazgowie, fabrykują wyłącznie same tylko museliny i batysty.

Miasta Bradford i Halifax we wspólnym pawilonie rozłożyły dywany, oraz tkaniny wełniane, jedwabne, i wyroby z wełny mieszanej z jedwabiem.

W dwóch pawilonach angielskich poświęconych garncarstwu, niektóre wyroby uderzają wielkością swoją: widzisz tam ogromne naczynia ze złoconej porcelany do moczenia nóg, miednice, w które naraz dwa kubły wody wlać można, wiadra i ogromne garnki, a raczej studnie porcelanowe bogato złocone, do przechowywania świeżej wody w mieszkaniach. Mniejsze wyroby nie zalecają się gustem, ale trwałością i czystością materiału.

Niezliczone zastawy do herbaty przeróżnych kształtów, które w pierwszych dniach otwarcia wystawy (zapewne przez grzeczność) rozkupili Francuzi, zajmują niemal cały drugi pawilon garncarski. Tamże zwraca uwagę powszechną wielki serwis stołowy, który rozstawiono przed cesarzem francuzkim na ucztę daną dla niego w Guildhall, podczas ostatniej jego bytności w Londynie.

Oprócz dziesięciu pawilonów angielskich rozłożonych w wielkiej nawie, jest jeszcze jeden ogromny w środku sali, w którym marynarka angielska bardzo bogato reprezentowana. Jest to ciekawy i jedyny w swoim rodzaju zbiór modeli okrętów wszelkich form i rozmiarów, z całym licznym przyrządem żeglarskim, w który tak obfituje Wielka Brytania. Zbiór ten ustawiony nie estetycznie, ale praktycznie, cechuje surowo piękno nie ozdobnej prawdy, dające dokładne o rzeczy wyobrażenie; powietrze mocno smołą i żywicą przesiąknięte dopełnia złudzenia tak, że chwilami wydaje się widzowi, że jest nie na wystawie, ale na angielskim okręcie.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

II.

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH.

Anglicy mocniej niż inne narody przywiązują się do zwierząt, a mianowicie do psów i koni. Życie ich więcej skupione, więcej wewnętrzne niż nasze, zamiłowanie samotności i natury, lub zamknięcie się w kole rodzinnem, wreszcie wrodzona nieśmiałość do ludzi, a raczej może chęć odosobniania się od nich: tłumaczy

zupelnie tę potrzebę niemego towarzysza, którego obecność nigdy nie wadzi i nie miesza trybu życia, a jest przeciw rozrywka. Lord Bayron psa swojego Boatswaina uczcił nagrobkiem, jakiegoby pewnie na grobie najlepszego człowieka nie napisał:

„ Tu leżą zwłoki istoty pięknej a nie próżnej,
 Silnej a nie zuchwałej, odważnej a nie okrutnej;
 Istoty, która łączyła w sobie wszystkie cnoty człowieka, bez przy-
 (war jego.“ i t. d.

Murray wolał kotów niż ludzi; melancholiczny Cower tak ściśle żył z naturą, że oswajał zające: cóż dziwnego, że artyści angielscy z widoczną predylekcyą malują zwierzęta. Zauważaliśmy, że w całej galeryi angielskiej nie ma jednego obrazu, na którymby nie było psa, i zazwyczaj pies jest najlepszą figurą. Mianowicie też Landseer poetyzuje zwierzęta; w rysunku nie chodzi mu już o pokonanie trudności anatomicznych formy, bo te oddawna przełamał: całą uwagę jego zwraca umysł zwierzęcia, i pod tym względem żaden malarz mu nie wyrównał. Landseer przenika tajemnicę zwierzęcych mózgów, wie co ich serca porusza, czyta w tych niby zadumanych źrenicach wrażenia zewnętrznego świata. O czém myśli przy ognisku pies gończy, o czém owca przeżuwająca dzienną strawę, jelen podnosząc ku niebu szlachetną głowę, Landseer opowie to kilkoma pociągami pędzla, bo jest powiernikiem zwierząt: pies podając łapę jak przyjacielowi, powie mu czego pragnie; owca mrugając jasną źrenicą odkryje smutki niewinne; jelen perłowemi łzami jak kobieta wyptacze przed nim skargi na zuchwałość ludzką. Żadne zwierzę nie ma przed nim tajemnic, bo wszystkie czują, że artysta nie pogardza często smutną ich dolą, ale je kocha całym sercem! Dwa płótna Landseera: kucie koni i odchodzące na pastwisko trzody, w których psy główną grają rolę, są niezawodnie najlepsze z wszystkich wystawionych w tym rodzaju obrazów.

Po psach, angielscy malarze nalepij malują dzieci. Pan Webster, młody, pełen nadziei artysta, z widocznym zamiłowaniem im się poświęcił; w każdym jego obrazie dzieci widzisz na pierwszém miejscu; zabawy starszych, nieme kontemplacye młodszych, którym słabe nóżęta nie pozwalają jeszcze brać udziału w skokach i goni-

twach współtowarzyszy, a zwłaszcza też niemowlęta na ręku matek, Webster z nieporównaną oddaje miłością. Patrząc na te kędzierzawe jasne główki, uwinięte w matczyne szaty, na te uśpione aniołki, co sypią kwiatki z bezwładnych rączek, na te nóżki różowe, co wyzieraają z białej pościółki: niejednej matce łaza radości lub łaza smutku zabłyśnie w oku; bo któraż z nich nie całowała z niezrównaną rozkoszą tych stopek, nie tuliła do łona tych złotych loczków, lub nie tęskniła za niemimiecznie, jeżeli Bóg jęj aniołka do siebie zabrał! Żaden z malarzy gotyckich, którzy tak pieściwie malowali il *divine bambino*, nie prześcignął Webstera w oddawaniu dziecinnych wdzięków.

Co za rozmaitość typów dziecinnych widzimy na przykład na obrazie jego: gra w balon. Sto podniesionych w górę rączek chce uchwycić z nerwową niecierpliwością podrzucany w powietrze nadęty pęcherz;.. figlarze radziby go oczyma przyciągnąć, każdy z nich patrząc w górę, biegnie potrącając drugiego, z tą zamieszaniem nie do opisanie i pocieszne sytuacje, jakoto tłuczenie nosów, kolan, gubienie czapek i trzewików, i tym podobne wypadki. Najstarsi nadużywając długości nóg swoich, zaczęm malcy nadbiegną, podbijają napowrót w powietrze spadający balon. Nad poblizkim rowem, który jest teatrem najsmutniejszych wypadków, jeden z mniej odważnych rycerzy wstrzymał się w pogoni, i waha się czy go przeskoczyć czy nie?..... Wyraz pożądlivosti i bojaźni na tęg pyzatej twarzy, oddany jest przedziwnie. W ogóle malarze angielscy mają głębokie poczucie mimiki, za *expressyą* uganiają się szczególnie, nieraz posuwając ją do przesady.

Drugi obraz tegoż artysty: Przeciwne wichry, niemniej jest wyborny. Sądząc z tytułu niejednen wyobrazi sobie może afrykański huragan, zasypujący ognistym piaskiem wędrujące karawany, lub okręt targany burzą pośród morskich odmętów. Boże uchwaj: miękki pędzel pana Webster unika wszelkich przerażających scen natury, uśmiechy jęj tylko miłuje, a jeżeli przedstawia burzę, to chyba w szklance wody.

Przeciwne wichry są to dzieci dmuchające z całej siły na żeglujący okręt w wiadrze wody; kołatany tak wielką nawałnicą statek korkowy, przechy-

la się na wszystkie strony i niezawodnie zatonie, jeżeli piastunka, która siedzi opodal robiąc spokojnie pończochę, nie przyjdzie jak Deus ex machina, i nie wyrwie go z otchłani.

Pan Grant znakomity portrecista angielski, posiada rzadką sztukę poetyzowania sztywnych, systematycznych i mocno nakrochmalonych ubiorów albiońskich gentlemenów. Nikt nie zrównał mu w gracyi, z jaką maluje niewdzięczne kształty czarnych kapeluszy, ponsowych fraków, butów palonych, a mianowicie dziwnie powiązanych chustek na szyi. Nie dla innej zapewne przyczyny Anglicy cenią go tak wysoko. Oprócz kilku portretów, między innymi lorda John Russell, Grant dał na wystawę ładny obraz: Schadzka myśliwska. Tło obrazu stanowi gęsty zakątek lasu, którego głuchą ciszę znać rzadko dźwięk ludzkiego głosu przerywa. Stuletnie dęby omszałe, odwieczne buki i posiwiatłe graby, chylą się ku sobie, mieszając gdzieś pod niebem potężne konary, przez które zaledwie czasem, skoro je wiatr pokłóci, przeciska się jasny promień światła.

Ta ustronń lesista przypomina niezmiernie opisy puszczy amerykańskich, w głębi których Cooper grupował bohaterów swoich. Do tego stopnia tu widzisz wiernie oddane na płótnie te pamiętne pejzaże, narysowane w twój wyobraźni piórem genialnego pisarza, że z pewną niechęcią spostrzegasz zamiast Rączego Jelenia, lub Sokolego Oka, zamiast Czarnéj kossy lub słodkiej Aliny, migające poza drzewy czerwone mundury mylordów, zjeżdżających na umówioną schadzke. Obraz ten ma tę wielką wagę dla Anglików, że wszystkie twarze dostojnych myśliwców, choć nie większe od paznokcia, są bardzo wiernymi portretami osób powszechnie znanych w Anglii; imiona ich historyczne wraz z herbami, zapisane są numerycznie w katalogu galeryi.

Z trzech obrazów pana Fritha najciekawsza jest scena miłosna, przedstawiająca Popego w chwili, kiedy się oświadcza lady Maryi Wortley Montague. Trudno wiedzieć, o ile prawdziwy jest ten ustęp z życia sławnego poety filozofa. Malarz przedstawił lady Maryą śmiejącą się do rozpuku, tak, że nie mogąc pohamować wesołości, siły utracą i opiera się o poblizki stolik.

Nieszczęśliwy autor wiersza o człowieku siedzi jak na mękach naprzeciwko niewdzięcznicy serca swego, i oczu na nią podnieść nie śmie. Szkoda, że publiczne spowiedzi nie były w modzie za czasów Popego, byłby nam może też samą scenę zupełnie inaczej odmalował. Cóżkolwiekby, ażeby zadać fałsz artyście, nie potrzeba znać tajemnic serca Popego: dosyć znać próżność niewieścią. Prawda, że Pope był wtedy już stary, nadto ułomny, schorowany, łysy, i tak osłabiony, że ledwie chodził o kij; ale Pope był największym poetą swego czasu: nie ubliżając przeto charakterowi lady Maryi, godzi się przypuszczać, że nie była wyjątkiem płci swojej, że przeto zapały poety odpychała mniej okrutnie, jeżeli nie przez miłość dla niego, to przez miłość własną.

Pominąwszy tę psychologiczną wadę obrazu, wykonanie jego jest bardzo dobre. Dowcipnie zawieszony portret lorda Montague nad głową rozkochanego poety, daje mu cechę przewyborniej satyry.

Dowódto niemałej odwagi i pewności siebie, chcieć oddać pędzlem taki naprzykład przedmiot jak Szekspirowski Sen nocy letniej, mianowicie jeżeli artysta stoi już dość wysoko, żeby pojął wszystkie trudności a raczej niepodobieństwa przeniesienia na płótno tej wizyi powietrznej, którą Szekspir na liliowym liściu malował pyłkami zdmuchniętymi ze skrzydeł motylczych tak delikatnie, że patrząc na nią człowiek oddech wstrzymuje, żeby nie uleciała z oddechem. Jakim cudem poeta podstuchił tajemnice czarodziejskiego świata, zeszedł tańczące na mchu leśnym rusałki, odkrył w murawie roje fantastycznych jestestw, uosobił najlotniejsze abstrakcje, słyszał mówiące z sobą kwiatki, trawki, paprocie, pajęczyny, i ułożył to wszystko w czarodziejski panteizm: trudno inaczej tłumaczyć, tylko że ten, kto pisał sen nocy letniej, musiał być królem geniuszów.

Wyjąwszy dwóch głównych figur obrazu: Tytani i Oberona nadto wymanierowanych, co tém więcej razi że sposobem malarzy gotyckich, artysta bohaterom swoim nadnaturalną wielkość nadał: wszystkie grupy są dość godne przedmiotu. Obraz pana Paton niezmiernie chwalebny, jest rzeczywiście bardzo znakomity pod względem

wypracowania i angielskiego humoru; który mając tak obszerne pole, swobodnie po nim harcuje.

Rzecz dzieje się w czarodziejskim lesie w pobliżu Aten. Na pierwszym planie Faun marmurowy z pobłażającym uśmiechem greckiego boga, spogląda na te czary wyległe w mózgu angielskiego poety, które tak dziwnie się wydają pod boki Minerwy. Na pierwszy rzut oka wszystkie drzewa w tym cudownym lesie zdają się zwyczajne; ale przypatrzwszy się bliżej, dostrzeżasz, że każde z nich ma formę organicznego stworzenia, w czém pan Paton naśladuje wybornie Kaulbacha ilustracje Rejnecke Fuchsa. Wszystko tu żyje: drzewa wyciągają konary jak ręce pełne liści; sęki, narosła, jak potwory z ludzką twarzą, wykrzywiają się najdziwniej, korzenie wryły się w ziemię jak szpony, giętkie zarośla w węzowe wiją się skręty, kamienie otwierają zadziwione gęby, cała natura w dziwném zamieszaniu mieni się w oczach, jakby kaskada tworów jeszcze nie zastygłych w ostatecznej formie; kwiaty podobne do motyli, motyle do kwiatów, trawki nie rozpoznasz od polnego konika, kłosów od ludzi, zwierząt od roślin, a święto-jańskie robaczki, ta latająca iluminacya nocy letniej, wydają ci się w ciemności milionem pałających źrenic, któremi na cię patrzą niewidzialne duchy.

Jestto fantastyczne widzenie przyrody, kiedy pewna że sen ludzi ukołysał, oddaje się swobodnie pracy i zabawie.

Tu zefir rozdmuchuje na jutro świeże kwiaty, tu rosa karmicielka każdej trawce daje wieczorny posiłek, tu błędny ognek przyświeca tańczującej kolumnie komarów, konwalia im przygrywa wstrząsając białe dzwoneczki, a świerszcz na swych cymbałach wybija takt muzyce; tu jakaś prądka powietrzna pomaga pajakowi zeszywać pajęczynę, którą mu człowiek okrutny wczoraj potargał przechodząc; tu... Ale niepodobna wymieniać wszystkich epizodów nagromadzonych na tym obrazie: zresztą jakże oddać słowami tę niepojętą mieszaninę form i kolorów? Spojrzawszy poza pierwszy rząd figur, w głowie się zawraca: bo widzisz w powietrzu jakoby mrowisko mitologiczne, mrowisko bogów, bożków, bogiń i bóstw pierwszego, drugiego,

i trzeciego rzędu, na których studyowanie potrzebaby lat kilku. Dodam więc tylko, że pan Paton wyczerpał w tym obrazie wszystkie pozy, w jakie pogiąć się mogą istoty powietrzne, dla których siła ciężkości ani równowaga nie istnieje; widzimy je z góry, z dołu, w skurczu, w trzech czwartych, w profilu i w enfasie, a wszystkie wykończone z niepojętą cierpliwością, której malarze francuzcy nachwalić się nie mogą, nazywając może słusznie Patona Michałem Aniołem fantasmagoryi.

Wenecya o jakiej śnią poeci, o jakiej musiał marzyć Teichman układając swą śliczną romanse do „kraju rozkoszy”, o jakiej zapewne mniej więcej pięknie każdy marzył, kto tylko słyszał że „Wenecka stolica napół na ziemi a do pasa w wodzie pływa, jak piękna syrena dziewica”. Wyczytawszy taki tytuł w katalogu, każdy porzuca inne widoki i spieszy obejrzeć obraz pana Hook. Zanim go wynajdzie w galeryi, już go ma przed oczyma duszy: widzi gondole płynące cicho po lagunach: słyszy dźwięki gitary, któremi kochankowie wabią na balkony trwożliwe kochanki, chwytając chciwie bukiety odtrącone harmonią od bijącego łoża: przeczuwa chylące się ku ziemi z marmurowych tarasów jak akacyowe kwiaty, białe dziewice w lamowych sukniach, ażeby posłać komuś, co tam w ulicy na palcach się spina, powietrzny pocałunek.

Jak złoty sen do żelaznej rzeczywistości, tak obraz pana Hook różni się od marzenia; ale czyż mogło być inaczej? Któż kiedy na tym świecie znalazł to o czym roit? Jakąż wreszcie rozkosz można porównać z tą błogą chwilą oczekiwania, które jej przybycie poprzedza?.. Nikt zapewne z wybranych, których duch nigdy niezaspokojony wiecznym pragnieniem, dokupuje się nieba.

Tę samą myśl wymownie wypowiedział Szyller w swój Rezygnacyi; kiedy poeta upomina się u bożkiej sprawiedliwości o urzeczywistnienie szczęścia o którym marzył przez całe życie, a sprawiedliwość odpowiada mu: „Spodziewałeś się? czegoś chcesz więcej?” Ale powróćmy do obrazu, bo podobno bardzo daleko odeszliśmy od niego.

Widok Wenecyi jaką nam pan Hook przedstawił, choć nie odpowiada tytułowi, jest jeszcze bardzo zajmujący, i niestety nader potrzebny, bo niedługo nadobne ciało Morza królowej zniknie zupełnie z rzeczywistego świata. Żywe barwy różowe ze ścian weneckich pałaców osypują się jak róż z jagód niewieścich; dawniej tak pełne życia kanały, zamulone porastają wodnym zielem; w marmurowych przedsionkach chusty się suszą porozwieszane na sznurze, a niegdyś przepyszne kolorowe okna zabite deskami, patrzą na przechodnia wydartą żrenicą, powtarzając mu co krok straszny wyraz: ruina.

Zanim opuścimy galeryą angielską przypatrzmy się jeszcze obrazom Millaisa i Hunta, dwóch artystów najwyżej cenionych przez znawców, którzy atoli naszym zdaniem na sławę swoją nie zasługują, chyba, że podziwiając nadzwyczajne wypracowanie ich utworów, zgodzimy się na definicyą Goethego, że: wytrwałość jest geniuszem.

Ileż wytrwałości i niezmordowanej pracy potrzeba było, żeby ogromne snopy zboża wykończyć po słomce, całe ogromne płótno nie zamalować, ale zakropkować punkcikami sposobem miniaturowym. Że taka praca przechodzi nasze wyobrażenie, nic dziwnego; ale prawdopodobnie nawet Chińczyk, ten ideał cierpliwości, zwaryowałby nad nią.

Cóżkolwiekby, trzy obrazy pana Millais są niezawodnie najoryginalniejsze z galeryi angielskiej, i zwracają uwagę najniżej uważnych ludzi. Dziwny ten sposób malowania zasługuje na szczególny rozbiór, nie dlatego, żeby był piękny, ale dlatego, że dotąd nic podobnego nie pojawiło się w malarstwie.

Weźmy największy obraz jego: Uwolnienie więźnia. Zdaleka nie można pojąć co to być może, nie wiesz czy to malowanie olejne, czy aquarella, pastel czy guache, czy ten obraz pędzlem, wieszorkiem, czy kredką robiony; na płótnie, papierze czy na kitajce malowany: dopiero pod spód obrazu zajrzawszy, widzisz, że jest robiony na płótnie. Kolory najdziwaczniejsze zupełnie sprzeczne z przywyknieniem oka, rozprowadzone są po nim tak cienko, że obraz prawie przezroczysty się wydaje: nigdzie nie dojrzysz znaku sztrychów, wszędzie robo-

ta jakaś tajemnicza, której sposobów niepodobna odgadnąć. Szczegóły wykonane po mistrzowsku.

Obraz przedstawia edyńskie więzienie. Za pół otwartymi drzwiami spostrzegasz grupę ludzi tak żywą i oderwaną od tła obrazu, iż ci się wydaje, że nie przed obrazem, ale w tych drzwiach stoisz. Grupę składają trzy osoby: żołnierz, stróż więzienia, i kobieta z dzieckiem. Żołnierz oparty o drzwi zastawia je karabinem, żeby się szerzej nie otworzyły; stróż z ogromnym pękiem kluczy u pasa i krótką fajką w ustach, czyta z niedowierzaniem rozkaz uwolnienia, który przyniosła kobieta. Kobieta, najlepsza figura obrazu, patrzy nań z nieopisanym wyrazem tryumfu i pogardy. Znać biegła prędko, bo jej na twarz wybił rumieniec, oczy się błyszczą, pierś przyspieszony podnosi oddech: niecierpliwa, szczęśliwa, radaby wzrokiem wyłamać te drzwi, pod którymi tyle razy płakała... Więzień pomieszany, nie dowierza, czy to co widzi nie jest samém złudzeniem: poskoczył ku niej... już ich tylko próg przedziela... za chwilę będą szczęśliwi! Dziecina na ręku matki nie świadoma jeszcze nieszczęść ludzkich, patrzy na tę scenę obojętnie, a pies który mimo zakazu wśliznął się do izby, skacze i raduje się panu swemu.

Na drugim obrazie tenże artysta przedstawił Powrót gołębiczy do arki; wykonanie jego także same jak pierwszego, kompozycja zaś zupełnie dowolna. Biblia mówi, że w arce były tylko trzy kobiety: żona Sema, Chama, i Jafeta. Pan Millais przedstawił kilka piętnasto-letnich dziewcząt w teatralnych dalmatykach, których ani wiek, ani ubiór, ani typ twarzy w niczem nie przypomina obrazów, jakie nam podaje Pismo święte. Jedna z dziewcząt tuli do piersi zadyszana gołębicę, druga podnosi rószczką oliwną, którą zmęczona długą podróżą płaszyna upuszcza z dziobka.

Trzeci obraz przedstawia topiącą się Ofelię. Obłąkana zagłębia się z dzieciną nieświadomością niebezpieczeństwa w bystrych nurtach rzeki, igra z falą co ją nieznacznie podrywa i do snu wiecznego słodko kołysze; głowę oparła na jej zimném łonie, długie warkocze puściła z pędem wody, a sama trzymana jeszcze na powierzchni motylczą siłą gazowych falban, z uśmie-

chem nuci w extazie rozpoczętą balladę, która za chwilę w szmerze rzeczki się rozptynie.

Lepiej niż kochankę Hamleta, na której twarz świeżą nie wybiło udręczenie duszy, oddał pan Millais otaczający ją krajobraz. Płaczące wierzby naprzód wychylone maczają wiotkie gałęzie w ciemno-błękitnej wodzie strumienia, na spadzistym brzegu nierozłączni przyjaciele rzeczki: kosacze, niezapominajki, złote jaskry i srebrne grzybinie, splatają swe kwiaty i liście w różnobarwne girlandy: wszystko tu tchnie wilgotną wonią łąki i sielską świeżością, ale posępnych cieni Szekspirowskiego dramatu nie dopatrzysz nigdzie. Rzecz widoczna, że artysta przez cierpliwość dochodził do romantyczności, zdobywał ją nie jednym rzutem pędzla, ale powoli i bardzo pracowicie. Za to jeżeli romantyk wynajdzie wady w jego obrazie, botanik będzie z niego zupełnie zadowolony, bo w tej całej gmatwaninie przeróżnych roślin nie znajdzie jednego listka, jednego słupka, jednej szypułki, któraby nie była wierną kopią natury.

Pan Hunt trzymający się téjże szkoły co Millais, dał kilka pejzażów, kilka scen z dramatów Szekspira, i piękny obraz przedstawiający Chrystusa „szukającego czuwającej duszy w uśpionym świecie”. Zbawiciel w długiej białej szacie z latarką w ręku, puka do chaty, ale jak w innych tak i tutaj, ludzie ogluszeni rozpustą lub snem zwierzęcym skrępowani, nie słyszą głosu jego. Twarz Chrystusa wyraża głęboki smutek i litość; nad czołem jego widać płonący w aureoli cierniowy wieniec męczeństwa. Obraz ten z gotycką wykonany surowością, mógłby ozdobić ścianę jakiej sławnej katedry.

Oto podobno i wszystkie obrazy olejne, zasługujące na szczególną wzmiankę w obszerniej galeryi angielskiej. W przyszłym sprawozdaniu powiemy słów kilka o aquarellach angielskich w które obfituje galerya. Czuję, że aby dać o niej wyobrażenie zupełne czytelnikowi, potrzeba było nie tylko chwalić piękne, ale krytykować mierne, i wyszydzać śmieszne obrazy, których jak wszędzie, tak i tutaj więcej naliczy niż dobrych. Ale łatwiej podobno ganić, niż chwalić; łatwiej upatrzeć w obrazie dziurę niż piękność, a z dwojga wybierając, lepiej może grzeszyć nadto łaskawym sądem, niż idąc za powszechną modą, pod pozorem znawstwa, szarzać

i poniewierać wszystkiém. Sumienny krytyk powinien mieć wiecznie obecne w pamięci zbawienne przysłowie łacińskie; *Plus negare potest asinus, quam probare philosophus.*

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

III.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Poezya jest nieśmiertelna, to pewna: ale i to nie-mniej pewna, że są chwile, w których puls jój tak słabo bije, że go zaledwie domacać się można. Dowódzeto jój osłabienia, czy dowód stępionego czucia słuchaczy? Poeci całą winę składają na publiczność. Komu dziś śpiewać? wołają oburzeni wieszcz: poeta a waryat dziś prawie jedno znaczy. Dziś każdy prawie zajęty zarobkiem lub polityką zażywa poezją jak opium gdy spać nie może; w najciekawszym miejscu rzuca książkę i biegnie kupować akeye nowój kolei, lub rozwiązywać gabinetowe zagadki na bursie. Napróżno my wybrani, my prorocy, my wieszcz, karmimy ich krwią naszą jak pelikany; daremnie dla ich odkupienia poświęcamy siebie, upadając pod krzyżem naszego kapłaństwa; daremnie wołamy: „stójcie! tam wieczne zatracenie was czeka:” głos nasz ginie bez echa, a jeżeli nań kto odpowie, to chyba śmiechem, bo świat nie chce rozumieć głosu Boga, który do nich przez nasze usta przemawia!....

Oto mniej więcej co mówią poeci, utyskując na niewdzięczność i nieczułość powszechną. Przyzwyczajeni od lat 20 do podobnych trenów, zdziwiliśmy się niemało, wyczytawszy w *Chants Modernes* pana Maxyma Du Camp, niepospolitego poety, zdanie wprost przeciwne, które choć w części podzielaliśmy oddawna, nie śmieliśmy atoli go wyjawić, obawiając się zastrzyć na nazwę grubego materyalisty.

Pan Du Camp w przedmowie do poezyj swoich twierdzi, że jeżeli nie słuchają poetów, to zawsze ich wina. „Publiczność, mówi on, nie jest ani niewdzięczna, ani obojętna; ale chce żeby ją bawiono, lub nauczano;

i ma słuszość. Chce, żeby jój nie dzwoniło w uszy zawsze jedną piosneczką, pragnie usłyszeć rzeczy nowe, i w tém także ma słuszość. Kiedy olbrzymy naszej rasy ukazali się w tłumie, mówi dalej pan Du Camp, kiedy Wiktor Hugo, Lamartine, Alfred de Vigny, Balzak doń przemówili, nagle uciszyło się wokoło nich zupełnie. Każde ich słowo z religijną czcią podjęto, a potóm powstał wielki grzmot oklasków i jednomyślnie ten tłum nieczuły postawił ich na wyżynach, do których nikt z nas dotąd nie doszedł."

Dalej pan Du Camp powstaje na miryady naśladowców, którzy jak grzyby wyrastają nazajutrz po urodzinach geniuszu, i główną są przyczyną, że sparodyowane dzieła mistrzów przez tysiączne karykatury tracą swój urok, a poezya swą missyą. Poetyczne profanatory największą klęskę zadają poezyi proroczój, bo myśl, która była najwyższa w danój chwili, z czasem powtarzana na wszystkie tony, staje się jałową, bezduzną, i niewłaściwą.

Pod tym względem niejednen zgodzi się zapewne całkowicie z panem Du Camp. Argumenta na poparcie prawdy słów jego znaleźć łatwo w historii poezyi każdego narodu. We Francyi naprzykład, wszyscy uczniowie nowoczesnej szkoły od lat 30 błakają się po tych samych ścieszkach, i z tych samych źródeł piją. Trzy czy cztery figury rysują się tylko wydatnie na tle jednostajném téj epoki. Piérwszy Lamartine zerwawszy zupełnie z przepisami dawnój szkoły, w Medytacyach począł opiewać nie walki, nie sławę bohaterów, ale tajemnice duszy człowieka. Pod wpływem chorobliwej czułości, zakrwawo może malował serdeczne rany, Boga i człowieka osłonił czarnym kwefem jeżeli nie zwątpienia, to zniechęcenia. Wnet wszystkie ochrypte lutnie nastroiły się na pogrzebowy akord mistrza. Płaczkliwi wieszczki ze sztuczną rozpaczą i przywidzianém cierpieniem, poczęli na wyścigi za jego przykładem badać wieczorne powiewy zefiru, wstające zory, blaski gwiazd, księżycy promienie, drogi mleczne i t. d. Z tych wszystkich jęków skandowanych wierzeniami, z tych westchnień ułożonych w strofy, tylu łez skrytalizowanych w sonety, cóż się dziś zostało? Nic, prócz stwierdzenia prawdziwego geniuszu.

Po naśladowcach waporycznej poezji Lamartina, zjawili się niemniej liczni imitatorowie poezji rzeźbionej. Wiktor Hugo odkrył tajemnicę urwanego wiersza, wprowadził do sztuki rymotwórczej kapryśne zwroty, ubrane w mądrą i studyowaną formę; prozę nawet ustroił w nieznane przedtém ozdoby, myśl swoją począł wyrażać na ogromne rozmiary w formie podobnej do gotyckiej katedry. Naśladowcy wnet rzucili pióra i poczęli pisać dłutem i rylcem: styl stał się kawałem marmuru z którego wykuwano dzieła. Wymyślono zupełnie nowy język nacinany, siekany, wklęsły lub guzowaty. Sam mistrz nadto zajmował się malowniczością i drobiazgami wykonania, często kosztem myśli; jednakowoż myśl jego żywa i gorąca drżała jeszcze w każdym fałdzie sztucznych deseni stylu. Uczniowie deseń przekopowali wiernie, o myśli zapomnieli zupełnie.

W swoim czasie młodzież naśladowała Alfreda de Musset. Istny potop poematów wolnych zalał paryzkie bruki; postacie wąsatych bohaterów i wygorsowanych bohatererek, barcelońskich markizów i rozkosznic florenckich, runęły z góry i zasypały całą literaturę francuską. Nie rymowano prawie inaczéj tylko Lido a Prado, mantylla Kastylla, Grenada Serenada, a cały ten odurzający łoskot kastanietów i nieustanne brzęczenie gitary nie było niczém inném, jeno pochwalnym hymnem na cześć mistrza, który pośród gawiedzi jak olbrzym się wydawał.

Dzisiaj, kiedy już po milion razy powtórzono jedno, brak oryginalnego poety więcéj niż kiedy daje się czuć we Francyi. Wodniste odtwarzanie przebrzmiałych pieśni posiwiałych wieszczów mało kogo zajmuje. Czuje to pan Du Camp, i mocno powstając na młodych poetów, którzy „zamiast przywdziać nowoczesne ubiory, stroją się w wytarte togi, lub złociste kaftany z wydartemi łokciami”, wpada w drugą ostateczność. W końcu dodaje:

„Wobec cudów, jakie nam codziennie stwarza nauka, poeci stoją nieczuli, pogardliwi, zamykają oczy żeby ich nie widzieć i uporczywie wzrok swój zwracają ku przeszłości, której nie ma czego żałować. Wynaleziono parę, a my opiewamy Venus córę wód słonych;

wynaleziono elektryczność, my opiewamy Bachusa wysysającego purpurowe grona, i chcemy żeby nas słuchano”!

To ostatnie twierdzenie pana Du Camp wydaje nam się nieusprawiedliwione. Wedle niego: dzisiaj zadaniem poety opiewać cuda przemysłu, bo sława tylko do Pindara zdobyczy spokojnych się uśmiechnie. Bardzo pięknie! Szkoda tylko, że autor śpiewów nowoczesnych zapomniał o tém, że wynalezienie nowój maszyny, albo naukowe odkrycie nie dorzuci ani jednéj idei do summy idei powszechnych, że zatém nie może być punktem wyjścia dla nowój formy poezyi. Para i elektryczność mogą natchnąć odę, a co najwięcej poemat dydaktyczny. Widok maszyny zajmuje żywo, bo myślimy o jój użyteczności; ale prócz podpalacza nie zapala nikogo. Poeta winien być natchnionym, piewcą uczuć najwyższych, lub namiętności ludzkich: przemysł ma tylko interesa. Ameryka Północna żadnego nie wydała poety, a któż zaszedł dalej od niej na drodze wynalazków przemysłowych? Nauka zalała cały świat nowy; niedługo zapewne z jednego udoskonalenia biegnąc w drugie, i nasz stary świat szarpany od sześciu tysięcy lat dwoma przeciwnemi siłami, dojdzie do równowagi, kładąc koniec odwiecznej walce ideału z materją. Wtedy wszystko będzie obrachowane, przewidziane i metodyczne. Rzeczywistość stanie wyżej niż myśl; sprężyna rządzić będzie globem. Trudno nawet określić rolę dla człowieka w téj społeczności, urządzonej jak zegar; zapewne skoro ostateczny uczyni rozbrat z imaginacją i niespodzianką, będzie spacerował, jadł, pił, i nudził się. Szczyściem, że dzieje oszukują czasem loikę przewidywać ludzkich, niezawsze w linii prostej tocząc prądy swoje.

Boże uchowaj, ażebym tu występował jako wielbiel przeszłości: niemniej od pana Du Campa pojmuję i podziwiam wielkość naszej ery przemysłowej; tylko w obec postępu materialnego mam niejaką obawę co do długiego życia poezyi w tém znaczeniu, w jakim ją dzisiaj pojmujemy. Świat nowy będzie miał pewno swoje, ale my nie rozumiemy jój dotąd.

Chants Modernes pana Du Camp dzielą się na dwie części: Chant de la matière i Chant d'amour.

W piérwszój nowoczesny poeta opiewa parę, lokomotywę, kolój żelazną i t. p. co udaje mu się dość szczęśliwie. Trudno zaprzeczyć, że pięknymi przyrodziat obrazami swe żelazne ideały. Druga część daleko podnioślejsza zawiera trzy poemata: Modlitwa, Burza, Tęcza i Rocznicą.

Pan Du Camp zaprzeczył sobie samemu dziełem swoim: zestawiając razem płody natchnienia czerpanego w dziełach Boskich i ludzkich, dowiódł jasno, jak daleko te ostatnie za piérwszemi zostają.

Pan Legouvé, członek Akademii, napisał komedią we trzech aktach pod tytułem: *Par droit de Conquête*, w którój znowu starą kłótnię arystokracji z mieszczaństwem wywołuje na scenę. Szkoda, że obrat przedmiot tak oklepany, nie więcej budzący dziś zajęcia jak średniowieczne nienawiści Montegów i Kapuletów. Wreszcie po pannie la Seigliere i Zięciu Poiriera niepodobna nawet coś dowcipnego na ten temat powiedzieć. Pod względem układu sztuka także jest bardzo słaba; osoby stworzone umyślnie ku obronie sprawy, jaką adwokatuje autor, są argumentami: życia w nich nie ma wcale, a prawdy bardzo mało.

Mery z powieści swojej: *Une histoire de famille*, ułożył dramat pod tytułem: *Frère et soeur*, który teraz grywany w teatrze *Ambigue Comique*, licznych przyciąga słuchaczy. Jestto sztuka bardzo dobra i nader zajmująca, mianowicie dla tych, co nie znają romansu z którego ją autor na scenę przerobił. Żałujemy, że dla braku miejsca musimy się na prostój ograniczyć wzmiance.

Nowa opera Verdego: *Nieszpory sycylijskie*, zyskała ogromne powodzenie. Na piérwszój reprezentacyi w wielkiej operze, zazwyczaj bardzo obojętna publiczność z entuzjazmem wywołała po trzykroć nieśmiątego i wzruszonego maestro, którego piękna primadonna Zofia Cruvelli prawie gwałtem z za kulis na scenę wyprowadzać musiała. Słowa do téj opery napisał jak zwykle Scribe. Wielki balet w trzecim akcie *Cztery pory roku* liczy się do najpiękniejszych. *Nieszpory sycylijskie* stawiają Verdego w rzedzie

najpierwszych kompozytorów; nawet przeciwnicy jego tą razą jednozgodnie z przyjaciółmi nazwali go geniuszem harmonii.

Auber napisał nową operę w trzech aktach dla opery komicznej, pod tytułem: Jenny-Bell. Muzyka jak wszystkie utwory Aubera zaleca się wesołością i życiem. Najpiękniejszy efekt czyni w końcu trzeciego aktu śpiewany chórem za kulisami hymn narodowy angielski God save the king, który służy niejako za akompaniament do arii Rule Britannia, śpiewanej na scenie przez Jenny-Bell. Powyższy ustęp nadzwyczaj harmonijny, przypomina najświetniejsze utwory Aubera.

Pan Salvandy, prezes Akademii, wydał drugą edycją poprawną i powiększoną Historii króla Jana Sobieskiego. Pan Rittiez pierwszy tom historii panowania Ludwika Filipa, której wielką zarzucają stronniczość.



KRONIKA LITERACKA.

Rajnold Hajdensztajn i Franciszek Bohomolec, pisarze żywota Jana Zamojskiego kanclerza i hetmana wiel. koronnego, przez Alexandra Batowskiego. (Wyjątek z Dziennika literackiego, z dodaniem pism kilku. Wytłoczono 100 exemplarzy). We Lwowie. W drukarni zakładu narodowego imienia Ossolińskich. Nakładem Wojciecha Manieckiego dzierżawcy téjże drukarni. 1854.

W czasie kiedy Bohomolec wydawał swój żywot Jana Zamojskiego (a było to w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta), nikt nie posądzał zacnego ze wszech miar zakonnika, żeby wypisywał całe rozdziały z Hajdensztajna, żeby żywot tegoż Jana Zamojskiego przez Hajdensztajna spisany, Bohomolec przerabiał, parafrazował, psuł, a nareszcie i tłumaczył. Chciało się Jezuitcie zasługi, do której nie miał żadnego prawa, i dlatego znalazłszy pomiędzy rękopismami biblioteki publicznej Żaluskich, jeden z odpisów żywota wielkiego kanclerza, odpis który i Krasicki w tejże bibliotece czytał, jak sam o tém zaświadcza (Niesiecki nowe wydanie T. IV stronnica 345), pilnie unikając wszelkiej wzmianki, któraby mogła dać powód ludziom do niekorzystnych dla niego, jako dla autora, domysłów, że plagiat udaje za własną pracę: Bohomolec postanowił napisać swój żywot Jana Zamojskiego; jakoż go napisał, i wkrótce potem wydał. Było to zawsze wielkie ze strony jego zuchwałstwo i niewyrachowanie się; Bohomolec tutaj przynajmniej dopuścił się lekkomyślności. Bo jak sądził, że się sprawka jego długo ukryje? Odpis był jeden u Żaluskich, odpisów takich wiele w innych miejscach być mogło. Do tego były ślady, że nawet oryginał gdzieś się wałęsa między ludźmi. Miał go na początku XVIII wieku uczony księgarz Waesberg w Gdańsku, od którego potem nabył podobny rękopism Hoppe, autor Spisu dziejopisów naszych (Schediasma). Lada więc chwila być mogło, że prawda się wykryje, i że Bohomolec stanie zawstydzony przed sądem opinii publicznej, tém bardziej, że nawet sam od-

pis biblioteki Załuskich, dał już poprzednio w treści poznać Mizler w swoim piśmie: „Warschauer Bibliothek“ które w roku 1754 wychodziło w Warszawie. Nie myślím, żeby Bohomolec był tak ograniczony i prawdy tak jasnej widzieć nie umiał czy nie chciał; ale o ile nam się zdaje, szło mu o względy chwilowe, o przypodobanie się panom (dedykował swoją pracę ex-kancelarzowi Jędrzejowi Zamojskiemu): dla niego była to poprostu kwestya czasu, nie więcéj, i może nie dbał w roku 1766 na to, co o nim późniéj w lat kilka uczeni powiedzą. Wiek Stanisławowski, wiek filozofii, wolteryizmu, mesmeryzmu, odarł i u nas ludzi z uczucia przyzwoitości, imoralności publicznej, i w ogólnych cechach ten sam co i w całej Europie, przybrał jednak u nas i pewne swojskie miejscowe cechy. Mielismy i my zakres swój odrębny, swój własny wiek XVIII. Jego wpływowi uległ pewnie Bohomolec, człowiek zacny i bardzo zasłużony; człowiek, który w dziejach Rplitej Stanisławowskiej, pozostanie jako jedna z gwiazd swego czasu, który jednak przez dworszczyznę posunął się do literackiej kradzieży, przez brak wstydu publicznego, pospolity wówczas, cudzą pracę przyznawał za swoją i nie dbał na to, że go może za życia odkryją...

Rzeczywiście za życia jeszcze Bohomolca o plagiacie wiadziano. Janocki i Siarczyński wypatrzyli, że przekładał on więcéj Hajdensztajna niżeli osobno żywót Zamojskiego spisywał. Od tego czasu głuche wieści ciągle o tém latały, i aż do naszego czasu przeszły. Pan Batowski postanowił rozpatrzyć ostatecznie tę kwestyą. W bibliotece zakładu naukowego Ossolińskich znalazł się téż jeden odpis żywota Hajdensztajnowego w oryginale łacińskim, przejrzał go i porównał z Bohomolcem i dał nam takim sposobem bardzo ciekawe studium dziejów i literatury. Teraz sprawa położona jest najjaśniej.

Smutnych się tutaj bardzo dowiadujęm rzeczy. Cynizm był zadaleko posunięty, i bolesno nam to widziéć, że w osobie którąśmy kochać i szanować przywykli. Bohomolec żadnych innych źródeł nie używał do spisania swego żywota, tylko Hajdensztajna jednego miał przed oczami, z niego pisał, żywcem tłumaczył, a wszelkie ślady tego przerobienia zacierał, żeby koniecznie uchodzić za oryginalnego pisarza. W przedmowie pisał np. że życie Zamojskiego „z popiołów wskrzesza”, że w jeden zawiera obręb fakta „porozrzucane po różnych księgach i rękopismach”. Wszystko to nieprawda, bo krom przytoczenia kilku ustępów krótkich z Bielskiego, Koberzyckiego, dziejopisom wszystkim powszechnie znanych, krok w krok idzie za swoim łacińskim oryginałem, nigdy nie wskazawszy źródła. Zapewne cała rzecz brzydka, ale brzydsza nierównie, że Bohomolec psuje oryginał. Gdybyć dał tłumaczenie żywcem, zawszeby rozpowszechnił po polsku jedno więcéj ważne źródło historyczne i nie

gniewalibyśmy się tyle na niego; ale co mówić o człowieku, który wybiera dowolnie miejsca z oryginału, tłumaczy jedne a drugie opuszcza, obcina i przedstawia okresy oryginału, przydaje więcej nazwisk historycznych w opowiadaniu, dla pochlebiania żyjącym panom? Co mówić o człowieku, który kazi text, przeinacza go do niepoznania, robi błędy, czy z niewyrozumienia dokładnego textu pochodzące, czy przez lekkomyślność? Wynaturza historyą, daje z niej kawałki często bez ładu i związku, schlebia ciągle konwencyonalnym pojęciom. Co mówić o człowieku, w którego rękach nauka wygląda jako narzędzie, służące tylko do pewnych celów, i u którego ztąd fakta fałszywe, i same pojęcia o nich upowszechniają się fałszywe pomiędzy ludźmi, a historya schodzi do roli jakiegoś ciemnego intryganta? Batowski cały swój sąd o pracy Bohomolca formułując, ostatecznie mówi: „ile myśli pięknych i treściwych wyrażen w życiu Zamojskiego czytamy, tyle nie Bohomolcowych; a gdzie mało wierności w opowiadaniu, tam text Hajdensztajna ogólnikami: „musiało być coś, niezawodnie zapewniał” i t. d. nadstawiony.“

Przytoczym kilka faktów dotyczących owego skażenia textu Hajdensztajna, żeby osądzić, jak wielka jest wina Bohomolca.

Autor oryginalny np. wspomina, że w czasie wojny z Iwanem Groźnym za Batorego, Zamojski odpisał obszernie i dosadnie na księgę zajść wzajemnych, którą Dzierzkowi w Moskwie, imieniem wielkiego kniazia wręczono; nie przytacza jednak listu tego w dziele swoim, bo jak powiada, był list w Polsce w rękach wszystkich, znali go i czytali wszyscy. Bohomolec powinien był postarać się o wyszukanie tego listu kanclerza, boć dla czasów Stanisławowskich dwoma wiekami przedzielonych od wojny Batorego, treść listu była tajemnicą. Ale niedosyć że tego Bohomolec nie robi: powtarza, że list znany (gdzie? kiedy?) i dodaje wspominając Hajdensztajna, że Zamojski posłał Iwanowi książkę w Niemczech o jego okrucieństwach drukowaną (w Batowskim stronnica 29). Nawiasem wspomnimy, że odpowiedź Zamojskiego na list Wielkiego kniazia, znalazła się przypadkiem w księdze poselskiej metryki litewskiej, którą wydano w Moskwie w roku 1843, nr. 74. Oryginał jednak napisany był przez Zamojskiego po łacinie. (P. Batowski nie wiedząc o tém, nad stratą odpowiedzi kanclerskiej ubolewa). W innym miejscu pisze Bohomolec, że łaska królewska, gdy Batory oddał mu buławę, zmieszała Zamojskiego; bo hetmańska władza żadnemi przedtém prawami ograniczoną nie była i że każdy hetman tyle jęj miał, ile mu król pozwalał (Batowski stron. 30). Parafraza dowolna, bo i w Hajdensztajnie jest co innego i fałsze prawi Bohomolec o władzy hetmańskiej. Mało dokładności też w sprawie poddania się Pskowa. Wiele ważnych faktów pomija Bohomolec, np. nic nie wspomina o szczegółach, które dużo

światła rzucają na pretensye arcy-księcia Maxymiliana do tronu polskiego w roku 1587, a blade daje bardzo przyczyny, dla których Zamojski popierał w owém bezkrólewiu stronę Zygmunta Szweda; że nibyto spowodowało go do tego kroku pokrewieństwo, jakie zachodziło pomiędzy Wazami a Jagiellonami. Taka uczuciowość dobra dla sielanki, ale nie dla historii; mądry polityk Zamojski musiał mieć swoje ważne przyczyny, dla czego postępował tak a nieinaczéj, ale nie spuszczał się jedynie na głos serca i w istocie przyczyny te rozwija Hajdensztajn, które Bohomolcowi podobało się uczuciowością, to jest zwyčajnym ogólnikiem wszystkich późniejszych niby historyków zastąpić. Nie ma w Bohomolcu szczegółów o zjazdach w Bytomiu i w Będzinie, nie ma wzmianki o potwierdzonej na sejmie ordynacyi, niema nic o wpływach, przez które ksiądz Tarnowski wyniesiony został na podkanclerzego z ujmą Tylickiego, któremu Zamojski sprzyjał. Nie ma nic o pierwszych wojnach kozackich na Wołyniu i Podolu i t. d. Kardynała Batorego nad miarę i wiarę Bohomolec oczernia. Tak samo Bohomolec w swém dziele umyślnie przerabia te ustępy, w których wystawiona jest jasno polityka Zamojskiego względem lenna pruskiego lub samozwańca Dymitra; w jednéj i drugiéj sprawie kanclerz występował stanowczo, a u Bohomolca tego nie widać. Pan Batowski mówi, że to robi nasz jezuita dla pewnych względów; jeżeli tak, może się bał obrazić Mniszchów, z Zamojskiemi spokrewnionych. Kanclerz miał się wyrazić a raczéj grozić królowi rokoszem; tutaj Bohomolec nie rozumiał textu: o czém inném mówił Zamojski, a co innego mu autor jego żywota polskiego przypisuje, i naturalnie ciężko przez to błądzi, bo kanclerza robi winnym prawie rokoszu, który w rok po śmierci dopiero Zamojskiego wybuchnął. Bohomolec uczeń szkoły Konarskiego, jak uczeń każdéj szkoły, przeszedł w zaciekłósci burzenia swego mistrza; u niego np. każdy sejm polski jest obrazą Boga i przyzwoitości, jestto istny obraz wcielonej niezgody i nie da się przekonać, że na sejmie, gdzie tyle głów obraduje, muszą być różne zdania, a więc podług niego niezgoda. Nie będziem więcéj przywozić przykładów, bo je pracowicie wszystkie prawie zebrał w swojej broszurce Batowski; wspomnimy tylko dla charakterystyki Bohomolca jako historyka, tę jeszcze okoliczność, że nie miał nawet klucza do badań głębszych i sumienniejszych, to jest nie miał nauki, nie znał dobrze języka łacińskiego, a to warunek dla historyka polskiego konieczny, sine qua non. Że nie miał nauki, już z danych przykładów widać, bo naukowy człowiek musi być sumienniejszy, chyba mu nauka służy do jakichćis celów, a nie sama sobie jest celem. Płatał do tego osoby i lata, zmyślał zamki niebywale, kiedy Hajdensztajnowy text był jak najczystéj poprawny (np. zamiast Zinków, Chelm, Ko-

benzel pisze Linków, Chmielnica, Kobens i t. d.; u Batowskiego stron. 48). Że nie umiał łaciny, Batowski domysla się z następnej okoliczności. Autor oryginalny pisze, że Jan Zamojski „cum haberet fratrem auctum“, miał brata starszego, który wprędce umarł; wyrażenie auctus Bohomolec bierze za imię, i mówi że brat Jana zwał się Aukt, a tymczasem Auctus w łacinie znaczy to, co po francuzku ainé, starszy. Jakoż w istocie na obrazach rodzinnych nie podpisano pod tym bratem Auctus Zamojski, ale Auctus Stanisłai filius, starszy syn Stanisława. Być to może, ale w herbarzach naszych i genealogiach rodzin historycznych często natrafiają się Aukci, Auktowie. Z tém wszystkiém uwaga Batowskiego bardzo sprawiedliwa. U nas był zwyczaj, że w rodzinie synom często jedno nadawano imię. Długosza bracia wszyscy byli Janowie, toż w rodzinie hetmana Tarnowskiego, zwycięzcy pod Obertynem. Auctus może był tylko przydatkiem do imienia chrzestnego, może odróżniał starszych od młodszych braci. Mamy nawet ślady, że dyplomacya staropolska siliła się na różne sposoby, celem odróżnienia jednych od drugich; ztąd jednakowe imiona innych braci odznaczała zwykle wyrazami junior, minor, senior, major i t. d. W takim razie i ów starszy Zamojski a brat hetmana i kancl. Zamojskiego, nie nazwany tutaj z imienia, nazywał się pewno Janem.

W ukryciu zaś swojej kradzieży jest tak Bohomolec sumienny, że np. nietylko skraca pewną mowę Zamojskiego (za Piassem po ucieczce Henryka), chociaż ma text jój cały w żywocie, ale przywodzi inne zupełnie dzieło Hajdensztajna, z którego niby o niej czerpał wiadomość (stron. 27).

Ogólny wniosek jaki płynie z rozumowań autora jest, że żywot Zamojskiego przez Hajdensztajna spisany, wart być czy to w oryginale, czy w tłumaczeniu polskiem wydany, jako ciekawe, a co więcej spóczesne źródło dziejów: bo złe przerobienie nigdy dobrego oryginału nie zastąpi. Pan Batowski cytuje dwa wydania Bohomolcowego żywota hetmana. Pierwsze wyszło w Warszawie roku 1775, drugie bez żadnej odmiany w Radomiu w ósemce, w roku 1830. Zdaje się, iż musi być i trzecie lipskie, przynajmniej przed laty obiecywał to zrobić Bobrowicz.

Wiadoma to powszechnie rzecz że nasz Hajdensztajn był sekretarzem hetmana, a potem że był osobiście znany królowi Stefanowi, od którego nawet dostał indygenat polski w roku 1585. Człowiek to był zdolny i objęty, kiedy podobał się tym dwom znakomitościom historycznym Polski, znakomitościom które na ludziach się znały i wybierać ich umiały. Hajdensztajn znalazłszy względy w Polsce, przywiązał się téż szczerze do nowój ojczyzny: jak wiemy opisał nietylko życie Zamojskiego dotąd niewydane, ale i pamiętniki o wojnie moskiewskiej, którą prowadził król Stefan. Tak mówili dotąd wszyscy o autor-

stwie Hajdensztajna, i tak mówił wszystkim Batowski. Już i to ważne są powody te stosunki, jakie miał Hajdensztajn z królem i z hetmanem, żeby obadwa dzieła jego cenić wysoko, żeby je uważać za pamiętniki społeczne. Człowiek ten musiał znać niejedną tajemnicę stanu, musiał na niejedną rzecz, bitwę, sprawę, poglądać własnymi oczyma, a więc bliższy był samej historii, widział jak się robiła, zwierzano się przed nim. Nie ma wątpliwości, że wartoby wydać jego żywot hetmański. Ale ważniejsze jeszcze powody przemawiają za tym wydaniem, o których pan Batowski nie wspomina.

Nieznana jest zapewne autorowi lwowskiemu rozprawa nieodżałowanego nigdy Seweryna Gołębiowskiego, drukowana kiedyś u nas w Gazecie Warszawskiej (1853 nr. 276) pod tytułem „Zasługi literackie Jana Zamojskiego.” Gołębiowski nie rzuca tam już samej wątpliwości o fakcie: czy komentarze o wojnie moskiewskiej Hajdensztajnowe są rzeczywiście dziełem Rejnolda, owszem stanowczo twierdzi: że to praca własna Zamojskiego, i że Hajdensztajn je pisał za dyktowaniem kanclerza. Gołębiowski co tylko powiedział, powiedział zawsze na jakiejś pewnej zasadzie, studyował Zamojskich, napisał żywot syna hetmańskiego Tomasza, i zabierał się już do życiorysu samego hetmana. Gołębiowski był przy bardzo ważnym źródle historii, posiadał w ręku swoim moc listów oryginalnych, pierwszych w Polsce za Stefana i Zygmunta III znakomitości, i dlatego mógł z nich rozpowiadać najciekawsze, nieznanne zupełnie sprawy i dzieje. Otóż i fakt ten o Hajdensztajnie i jego komentarzach, wziął Gołębiowski z listu hetmana do Pawła Tylickiego z dnia 8 kwietnia 1585. Zajęty pracą około skargi przeciw Krysztofowi Zborowskiemu, którą wydawał wtedy na świat, pod imieniem instygatora Rzeczyckiego, Zamojski pisze wyraźnie do księdza Piotra te wyrazy: „zaraz od tego przystąpię do poprawy komentarzów.... i jednym impetem dyktować będę te dwie lecie poważnie, które będą mogły, będzili się zdało poleżeć, ale za świeża lepiej je wyterminować. Co sprawiwszy Rejnolda poszłę tam do Krakowa: zaraz druku będzie mógł dojrzeć. Interim o jurgielt staraj mu się waszmość“. Komentarze te wyszły rzeczywiście w Krakowie, w roku 1584 (data jak widzimy zawczesna) i drugi raz, zaraz potem przedrukowane w Bazylei, w roku 1588. (1).

Tak więc mamy ślad i prawie dowód, że dziełem Zamojskiego są pamiętniki Hajdensztajnowe. Rzecz ta tym większą

(1) Za naszych czasów moda jest na wydaniach uprzedzać rok: i tak książka wydrukowana w czerwcu np. roku 1854, nosi na tytule rok 1855. Za dawnych czasów może była moda opóźniać datę; tu np. widzimy, że w kwietniu 1585 Zamojski gotuje się dyktować dzieło, które w roku 1584 wyszło. Teraz mówią, co świeższe to lepsze, a dawniej

nie ulega wątpliwości, że jak wiadomo, pamiętniki te z natchnienia króla były pisane, i że je Stefan Batory własną ręką poprawiał; hetman więc dyktował, Rejnhold pisał, a król odczytywał i uwagi swoje robił. Zamojski prawdziwy autor tych pamiętników, musiał się w nich odbić najwięcej; rzeczywiście uderza w nich naprzód postać Zamojskiego, król gdzieś na drugim planie jakby w cieniu. Komentarze Hajdensztajnowe są doskonałym pamiętnikiem kilku lat życia Zamojskiego.

Zeznanie hetmana w liście do Tylickiego, nie stanowi jeszcze całego dowodu, bo człowiek, który chciał dyktować, mógł jednak nie dyktować komentarzy. Ale zawsze 99 przeciwko stu stawić można, że Zamojski dyktował Hajdensztajnowi to dzieło. Zamojski nigdy nie kłamał, a tutaj myśl jego i chęć widoczna. Takim sposobem domyślać się można, że i sam żywot kancle-rza nie jest dziełem Hajdensztajna, ale Zamojskiego, i że sekretarz notował tylko szczegóły, t. j. pisał za dyktującym Zamojskim. W broszurce pana Batowskiego widzimy, że w żywocie rozwiniętych jest wiele faktów tajnych w życiu hetmana, jego sposób myślenia przedstawiony, jego pojmowanie międzynarodowych stosunków np. między Polską i Austryą. Nie mógłby tego wszystkiego wiedzieć Hajdensztajn, gdyby hetman sam mu nie objaśniał swojej tajemnicy, swego serca; uderza nas tym bardziej ten wniosek, kiedy zważym, że zaraz w roku 1606, a więc tylko co po śmierci hetmana, Hajdensztajn wygotował swój żywot, i odesłał go małoletniemu Tomaszowi Zamojskiemu, synowi zmarłego. Więc nie uznanie zasług wielkiego człowieka po zakończonym jego zawodzie publicznym, nie żal niezmierny wielkiej straty, nie myśl, że kraj cały w żalobę się po niej przyodzieje, podały Hajdensztajnowi pióro do ręki. Sekretarz hetmański widać oddawna się już był przygotował do pracy, oddawna już oswoił się z myślą, że mu żywot wielkiego męża spisywać przyjdzie. Jeżeli sam Zamojski nie dyktował mu swoich pamiętników, obejmujących już żywot cały, to mu je pewno rozpowiadał dlatego, żeby Hajdensztajn potem zredagował fakta. Ztąd mógł sekretarz w rok po śmierci napisać żywot, bo miał prawie wszystko gotowe: dorobił tylko jeden koniec, i dzieło było jak się należy.

Nie ubliża to nic wcale pamięci Hajdensztajna, jak ubliża pamięci Bohomolca, że cudzą pracę przepisywał, a za swoją własną udawał. Hajdensztajn ulegać musiał poważnym wpływom dobrodziejów swoich; a resztą nie sądźmy, żeby w pracy historycznej, tak i w komentarzach jak i w żywocie, był tylko wcieloną biernością. Jeżeli przypuszczamy, że materyałów mu kto inny

mówiono widać: -co starsze to lepsze. Chyba, że w dacie listu hetmana do Tylickiego, jak ją Gołębiowski podaje, znajduje się myłka, co się nam nie zdaje, bo Gołębiowski wiedział dobrze, jak historyk musi drukować poprawnie swoje artykuły.

dostarczał, redakcja zawsze należała do niego samego. Hetman w istocie dużo pisał, i nigdy prawie na pracy literackiej nie kładł swojego nazwiska: była to jego chimera, jego słabość; ale co komu do tego? Faktu dosyć, że tak było. Jego wielkie dzieło o senacie rzymskim, nim się autor na tytule podpisał, długo uchodziło za pracę Sygoniuszową. Jego skarga przeciw Zborowskiemu (*accusationes in Christophorum Sborovium actiones tres, Cracoviae 1589*), wydana była pod imieniem instygatora Rzeczyckiego, co także widać z listu hetmana do Tylickiego, z listu, którego ustęp zacytowaliśmy. Poprawiwszy ową skargę wziął się zaraz Zamojski do poprawy komentarzy Hajdensztajnowych; dyalektykę wydał hetman pod imieniem Adama Burskiego. Insze broszury, które są pióra kanclerza, wyszły na świat bezimiennie, o czém wszystkiém przekonać się można z artykułu Gołębiowskiego. Zamojski więc, człowiek tak bardzo oddany nauce, że trudnił się nią nawet w obozach, nic przez to powinnościom hetmańskim nieubliżając, bo jedno i drugie umiał zawsze pogodzić, a niczego nie brał nad siły swoje; Zamojski, o którym powiedział raz żarciem prymas Karnkowski, „że gramatykę wydał a Rplitę zgubił“, bo wydał ją w czasie najścia Tatarów: ten Zamojski nie był, jak widzimy chciwy, nie ubiegał się wcale za sławą literacką. Na jednych pismach nie wypadało mu się podpisywać, na drugich nie chciał. Może téż komentarze Hajdensztajnowe i żywot hetmański należały do pierwszej kategorii, może hetman nie chciał być uważanym za chwalcę własnych czynów, a czuł konieczność spisywania pamiętników społecznych, bo historia ulatnia się, drobnieje, ginie zawsze, kiedy jéj spólcześni nie piszą, zwłaszcza ci, którzy mogą powiedzieć o sobie: *quorum pars magna fui*, i dlatego pracom swoim nadał pieczęć Hajdensztajnowską. Hajdensztajn więc nigdy za przywłaszczyciela uchodzić nie będzie; Bohomolec zawsze będzie przywłaszczycielem.

To dosyć o fakcie samym, który tak z niepoehlebnój nam strony ukazał samego Bohomolca. Ale o książce pana Batowskiego jeszcze niedosyć. Autor swoje studyum historyczne zbogacił przydatkami, które także przynoszą pewne światło, i dlatego są już materiałem dla przyszłych badaczy. Z tych pism dodanych, jeżeli się dopełni je wiadomościami Hajdensztajnowymi, nieprzerobionemi lub skrzywionemi przez Bohomolca, jaśniej zarysuje się polityka hetmańska, i wydatniej się okaże sposób myślenia wielkiego człowieka, sposób jego postępowania w kraju. Przydatki pana Batowskiego mają li tylko wyłącznie Zamojskiego na celu, więc téż nie dziw, że skończywszy o Zamojskim jako literacie, powiemy jeszcze słów kilka o charakterze hetmana; powiedzielibyśmy „obywatela“, gdyby to było po polsku i stosowne do wieku w którym żył wielki Zamojski. Po-

wiemy zatem o charakterze hetmana jako szlachcica, bo w tém słowie wyrażamy już wszystkie jego powinności dla Rplitéj.

Charakter hetmański wielu teraz starało się historyków wyraźniej narysować, jakoto: Maciejowski w Piśmiennictwie, autor Listopada w Zamku krakowskim, Gołębiowski Seweryn poświęcał także temu przedmiotowi swoją sumienną pracę, ale nie zdążył, i śmierć go zaskoczyła. Rozbierając tom drugi Piśmiennictwa Maciejowskiego, powiedzieliśmy, co myślimy o charakterystyce Zamojskiego, danój przez tego badacza i przez autora Listopada (Biblioteka Warszaw. wrzesień 1853, stronnica 117 i 176). Soplica utworzył ideał fantazyi, nie ideał rzeczywistości; bo jemu szło tylko o piękno, o wybitność, o szczero-polskość, o charakter, nie o jakąś tam osobę, i pomysły swoje wcielił w Zamojskiego. Dziejopis Piśmiennictwa znalazł wielkie zarzuty, które wytknął Zamojskiemu; myśmy te zarzuty streścili i wypowiedzieli rozrzucaną po kilku miejscach i ustępach myśl Maciejowskiego; a nawet w duchu téj charakterystyki, dopełniali niektórych jój rysów (powiedzieliśmy tam od siebie np. że Zamojski zrodzony był na dyplomata, a hetmanem był z przypadku, przecież sprawy jego jako hetmana są wielkie, sprawy jego jako kanclerza są niewielkie). Maciejowskiego główny wywód rozumowań był, że Zamojski nie był żadnym mężem stanu, że trzymał się doraźnej polityki, że żył tylko chwilą obecną, że nie żył wcale dla przyszłości. Sami nie studyowaliśmy wyłącznie postaci Zamojskiego, i powtarzając na cudzą wiarę, historyczne o nim wywody, głównie w owym o Piśmiennictwie artykule mieliśmy na celu: żeby dać poznać pana Maciejowskiego sposób zapatrywania się na rzeczy dawne ojczyzny. Broszura Batowskiego przychodzi bardzo w porę, dla rozjaśnienia charakterystyki Zamojskiego. Kiedy już raz zagajono o tym przedmiocie, warto, żeby nie ustawały rozprawy, których celem głównym, jedynym, ale ważnym, byłoby wyświeślenie i oznaczenie bliższe stanowiska téj wielkiej dziejów naszych postaci. Wiadomości, których nam teraz pan Batowski udziela, dają pewniejsze podstawy dla badania. Chwytny ze skwapliwością tę cokolizność.

Ani Maciejowskiego, ani Rzewuskiego obrazy jeszcze więc nie są zupełne. Autor Dziejów Piśmiennictwa nie znał materyałów Batowskiego; autor Listopada zaś wcale do żadnych materyałów nie zaglądał i szkicował rysy idealne. Rysunek Rzewuskiego przecież uderza w wielu miejscach prawdą. Trafne téż są spostrzeżenia o Zamojskim Maciejowskiego, ale mimo to, charakteru śmiało narysowanego historycznego człowieka, jeszcze nie mamy: są i tu błędy w szkicowaniu. Nie jest np. prawdą, jak mówi Maciejowski, że Zamojski chciwy był na pieniądze; że zbieranie skarbów było najgłówniejszą jego namiątnością, bo

owszem bezinteresowność jego świetnie w przeszłości błyszczy, w każdym zdarzeniu. Seweryn Gołębiowski, który był przy źródle historii Zamojskich, zapewniał nas, że najmniejsza plama pod tym względem nie ciąży na hetmanie. Nie jest też znowu prawdą, żeby Zamojski nie myślał o przyszłości; owszem broszurka Batowskiego odkrywa nam zupełnie przeciwne prawdy i przekonywa: że jednym z tych ludzi stanu, co najwięcej o przyszłości myśleli, był właśnie Zamojski. Mąż tak ogromnego, tak wielkiego w Rplitej stanowiska i wpływu, jedna z największych wielkości historii naszej; człowiek, który był wcielony cnotą szczeropolską, Zamojski w istocie nie był, nie mógł być człowiekiem chwili. Wady jego płynęły więcej z charakteru narodowego, jak z charakteru jego osobistości.

Nie było przesady wcale w tém: że kanclerza, naszego hetmana, społecznym Nestorem i Scypionem nazywali; w istocie był to mąż i rady i czynu. Oto rozwiązane pytanie żywotne czasu a wewnętrzne. Na poparcie tego przytoczymy kilka faktów z broszury Batowskiego.

Kiedy za Zygmunta III odnawiano lenność ziemi pruskiej dla księcia anspachskiego, Zamojski zezwalał na to odnowienie, ale pod korzystnymi bardzo dla Korony warunkami, które na samo księstwo pruskie wyraźnie kładło pieczęć lenności. Stosunki jego do Rplitej urządzić chciał tak zupełnie, jak stosunki Kurlandyi do Polski. Chciał np. Zamojski, żeby Prusy płaciły 30,000 talarów podatków rocznie do skarbu koronnego, a drugie 30,000 do skarbu w Rawie na wojsko. Chciał, żeby religia katolicka używała wszystkich przywilejów, żeby kościół rzymski wystawiony był w Królewcu, chciał żeby appellacya w całym księstwie od wyroków sądowych szła do króla. Były inne jeszcze warunki, ale te już dostateczne były, żeby na prowincyą chcącą uchodzić za niepodległą, nałożyć piętno zupełnej zależności od Korony (w Batowskim stronica 71). Posłowie brandeburscy skakali około Zamojskiego, ale Hajdensztajn świadczy „że nic nie zrobili z nim, jako z człowiekiem, który zawsze publiczne ojczyzny dobro nad najświetniejsze własne korzyści przenosił“. Juścić polityka to była narodowa.

Tak samo postępował sobie Zamojski względem zagranicy, tak samo nie radził popierać Dymitra Samozwańca do tronu carskiego. Sławne Zamojskiego w tym względzie votum, pisane z Zamojscia 4 kwietnia 1604, wydrukował pan Batowski w przydatkach po raz pierwszy (stron. 72, 78). Ważny to bardzo dokument do życiorysu hetmana, który przekonywał i dowodził królowi: że wyprawy do Wołoch za Zygmunta Augusta wojewody podolskiego i t. d. były zupełnie innej natury, jak wyprawa Mniszcha i Dymitra do Moskwy. Radził tedy królowi Zamojski „człowieka tego mieć gdzie na miejscu osobnym do

sejmu, a dalibóg statuent stany, będzili się godziło ratować go i gruntownego co w tém uczynić mogą, i coby rzecz i potrzeba sama pokazała, opatrzyć nie zaniechają.“ Zatem polityka to była ostrożna, przewidująca, nie doraźna. Zamojski powstawał na prywatne panów wyprawy Mniszcha i Wiśniowieckich, a wojny nie chciał bez sejmu. Powstawał przeciw swawoli i był za sprawiedliwością.

Za to że Szwecyą chciał hetman stanowczo wojny. Głos jego w senacie miany w roku 1604, drukował J. U. N. w „Panowaniu Zygmunta III,” ale swoim zwyczajem przerabiał go tak, że w nim prawdy hetmańskiej nic albo mało co zostało. Batowski drukuje głos ten (str. 80). Całą moc Rplitęj miał hetman obrócić do Szwecyi, i hetmanom radził dać samowładzę, żeby póty ztamtąd nie odjeżdżali, ażby zamków i królestwa na pana swego nie odebrali, „boć to wielka ignominia koronie polskiej z tak małym nieprzyjacielem wojnę toczyć i niepotrzebnie wieść.”

Więc czegoż te fakta dowodzą? Dowodzą tego, że Zamojski nie chciał, by w Polsce wyrosło coś oddzielnego od Polski, państwo w państwie; dowodzą, że Zamojski chciał w zgodzie żyć z sąsiadem możliwym, z którym interes nakazywał być w zgodzie; dowodzą, że Zamojski czuł godność narodową i wpływ polski chciał utrzymać tam, gdzie wpływowi temu dała się rozwijać Opatrzność. Nie znaczyło to, by chciał ze Szwecyą wojować jako z prowincją Rplitęj, bo rozumiał to lepiej w swoim czasie, jak my dzisiaj: że Szwecya prowincją Polski być nie mogła. Sojusz Polski ze Szwecyą za Zygmunta III był czysto osobisty, i ze śmiercią króla mógł się rozerwać. Jakoż Zamojski nie mógł przejrzyć co się za pół wieku stanie, ale wypadki późniejsze pokazały, jak polityka jego, gdyby znalazła poparcie w jakiej radzie królewskiej, była dobrą, jak była wszędzie przewidującą. Z tą polityką nie mielibyśmy wojen szwedzkich i kozackich: dynastia polska utrzymałaby się na tronie szwedzkiem, a ziemia pruska możeby wcieloną była do Korony prędzej lub później, jak to prawa między-narodowe przewidywały dla Kurlandyi.

Wspomnieliśmy o sielankowości Bohomolca kiedy malował Zamojskiego miłość dla Zygmunta szwedzkiego, jako kandydata do korony polskiej. Otóż rzecz tak się miała: nie mówiła w tym kroku przez hetmana zawiść do domu rakuskiego, ani osobista przeciw Maxymilianowi niechęć, ani nienawiść do Zborowskich, jak to wielu utrzymywało; ale działał w nim czysto polityczny i na doświadczeniu oparty wzgląd, na który już od lat blisko stu, bo jeszcze przed Zygmuntem Starym, baczono. Od arcyksięcia odstręczała Zamojskiego najwięcej dziedziczna i wieczna wojna Turcyi z domem rakuskim; gdyby Maxymilian został królem, Polska rada nierada weszłaby w wojnę, której dotąd mą-

drością swoich panów umiała uniknąć. Polska miała granice rozległe, a słabo strzeżone, bo żadnych fortec nie posiadała, jak Węgry; więc nie było prawie wątpliwości, że ciężar wojny zwałilby się cały na Rplitę, bardziej jak na inne posiadłości dziedziczne domu rakuskiego, i mybyśmy cierpieli za grzechy drugich: otóż czego niepodobna było potem uniknąć z dynastją Wazów i jej pretensjami do Szwecyi, kiedy w Szwecyi była inna linia tego domu panująca; tego Zamojski nie chciał dla Polski, od Turcyi. Już nie mówim o niesympatyi szlachty dla cesarskiej dynastyi, do której były sprawiedliwe powody. Szwed obcy był stosunkom lądowym, kraj jego morzem przedzielony, nie tylko Polskę na nic nie narażał, ale owszem z tego połączenia się sił obudwu państw, liczne mogły dla nich obojga wypaść korzyści. Tak położenie rzeczy rozwija Hajdensztajn, a ten szczegół wymownie świadczy, jakie miał oko na przyszłość Zamojski.

Zamojski wiedział jak radzić; podług sumienia radził, ale go król Zygmunt nie słuchał. Na sejmie 1604, narzekał na częste pobory, na nierozumny szafunek skarbu, na to że król żył z grosza publicznego, upominał się za ludem mizernym, płaczącym o pomstę do Boga. Narzekał Zamojski na zauszników królewskich, na obojętność pańską dla sprawy ojczystej, na upór króla, na jego ożenienie się powtórne z siostrą żony, na niedotrzymanie paktów i obietnic, na otaczanie się Szwedami i Niemcami, na rozsyłanie wbrew prawu listów za granice przez cudzoziemców, kiedy są przysięgli kanclerze Rplitej, na obojętność na zasługi, na praktyki około podniesienia syna jedyne go wtedy na tron i t. d. Zamojski wołał do króla raz: „To nie miało być,“ drugi raz: „szkoda waszej królewskiej mości.“ Apostrofa, jaką zakończył tę mowę swoją do senatorów „dawnych i zanych Ostrorogów, Tęczyńskich, Mieleckich, Tarnowskich” pokazuje, że rozkład Rplitej już się wtedy zaczął. Zamojski płakał, bo czuł całym sercem to przesilenie szkodliwe dla losów Rplitej. Rząd był zły; pycha, łakomstwo, ambicya, praktyki, nieszczerłość zapanowały w Polsce. Nie było to za Batorego, bo wtedy o przyszłości mądrzy dwaj ludzie myśleli, król i kanclerz: umarł Stefan, został się jeden kanclerz na placu, a król nowy uparty, był nieprzyjacielem osobistym Zamojskiego. Miałże Zamojski podnosić przeciw panu rokosze dla naprawy Rplitej? Zapoczcziwa to była dusza, żeby na Rplitę umyślnie sprowadzał przesilenie, któreby jeszcze złe pogorszyć mogło. Więc stawiał bierny opór, jako był powinien. Mówił prawdę, ostrzegał, nawet groził; ale do spełnienia pogroźek się nie brał. Nie Zamojski, ale Zygmunt III nie myślał o przyszłości. Hetman półśrodków używał, bo środków użyć nie mógł w położeniu, jakie zajmował. Oto rozwiązana zagadka: mądrością Zamojskiego wstrzymywany rokosz nie hulał, ale umarł mąż wielki, i rozszalał się po ziemi polskiej,

i z nim gorsze jeszcze klęski i pioruny były na kraj nieszczęśliwy. Kto zechce studyować charakter Zamojskiego, znajdzie dowody na to co mówim, prawie w każdym akcie drukowanym w broszurce Batowskiego. Czy w napomnieniu do syna, czy w testamencie który pisze, czy w listach do króla Zygmunta, czy w głosach jego mianych w senacie, czy w mowach do akademii Zamojskiej, kanclerz zawsze jeden i ten sam; zawsze to szlachcic, który ciągle i jedynie myśli o ukochanym kraju swoim. Owszem, to był człowiek wszechstronny, nie sekciarz; i charakterystyka jego podana przez pana Maciejowskiego—niezupełnie prawdziwa.

Dla samej historyi kraju, bardzo jest ważny i wiele naucza list Jana Zamojskiego, pisany do senatorów po zwycięztwie byczyńskim, a więcéj list drugi o témże zwycięztwie jednego ze znakomitszych duchownych. Bitwa byczyńska byłoto powtórzenie bitwy pod Orszą; tu i tam z jednej strony stanowczość wygrała, z drugiej błąd stał się przyczyną klęski. Działa nawet Niemcy tak rozstawili, że Polakom nic szkodzić nie mogli. We dwie godziny odniesiono jedno z najwięcéj stanowczych w historyi zwycięztw. Szlachty polskiej tylko trzynaście osób zginęło. Maxymiliana ta krótka wyprawa do 5,000,000 kosztowała. Gdyby hetman zwłóczył z wojną, nicby Polacy nie wskórali, przepadliby może ze swoją elekcyą, bo po trzech niedzielach miał arcyksiążę otrzymać posiłki z 24,000 ludzi, a matka jego przysięgła mścić się na Rplitéj, a król hiszpański téż myślał o wojnie z Polską; zbierał lud i pieniądze i chciał nas dobywać (Filip II). Maxymilian podpisywał się już na listach: „Maximilian obrany król polski” (słusznie dodaje autor listów, bo go Polacy elektorowie obrali ze wszystkich pieniędzy i z dobrej sławy). Sam ten niedoszły król polski daje piękne o Zamojskim świadectwo: chwając go raz bardzo oświadczył „iż inakszego nalazł niżli go udawano, iż większe staranie ma o nim, niżli swoi“.

Przy końcu naszego sprawozdania musimy wspomnieć jeszcze o pewnej okoliczności, która się wiąże z przedmiotem broszury pana Batowskiego. Kiedy ostatnie słowa swojej rozprawy w druk oddawał, odebrał list z Wrocławia od Roepella zacnego profesora, autora historyi polskiej (data listu 23 grudnia 1853). Roepell czytał widać rozprawę Batowskiego, która częściami się drukowała w Dzienniku literackim; z tego powodu pochwalał myśl naszego badacza, co do wydania żywota Zamojskiego przez Hajdensztajna, a to z téj głównie przyczyny, że przekłady podobne Bohomolcowemu nie zaspokajają w niczem badacza sumiennego dziejów. Roepella interesowały te sprawy, bo ciągle zajmuje się historyą polską, i zbiera materiały do dalszych tomów przerwanego swojego dzieła. Ale

wprzód, zanimby mógł Roepell przyjść do spełnienia obietnic swoich, powziął myśl nową, która mu robi zaszczyt, a któraby względem nas była wielką jego zasługą, gdyby czynem się stała. Oto chciał pójść za wzorem Somersberga i wydać dzieło *Scriptores rerum polonicarum inediti*, i w tém wydaniu miał zamiar pomiędzy innymi życie Zamojskiego przez Hajdensztajna spisane zamieścić. Nawiasem, dla siebie tylko, na ucho przyznajmy się, że powinniśmy się wstydzic takich np. Roepellów. Oni, Niemcy, myślą o zabytkach naszej przeszłości, a my już od lat pięciu zdobyć się nie możemy na wydanie zapowiadzianych *Monumenta poloniae historica*, o ile slyszeliśmy (ba, nawet czytaliśmy to). Nakład na tom pierwszy miał łożyć sam pan Batowski, a teraz się cofnął. O! nie! miłość nauki jeszcze u nas Roepellów nie stworzyła: ubodzy nie mogą, bogaci żalują pieniędzy na szlachetniejsze cele.

Niechaj i to mimochodem będzie wspomniane, choć to właściwie nie należy do rzeczy; to przedmiot pośledniej wagi przy kwestyi, którąśmy tak obszernie rozbierali, że pana Batowskiego język jest cierpki, styl jakby z epoki zeszlęj, kiedy to ciężko było pisać poprawnie, ozdobnie; kiedy redakcyja lada artykułu była już pracą. Do tego są w nim wyrażenia niezrozumiałe (polityka obleśna na stronnicy 19). Są rozumowania przestarzałe i nie w porę. Co to np. dzisiaj tak się odzywać, jak się odzywa pan Batowski; pisze np. na stronnicy 26 „czyliż dziejopisowi dlatego że zdarzenia się powtarzają, że z sobą niejaki podobieństwo mieć, a żyjących razić mogą, wolno takowe przeistaczać, opuszczać, lub za niebyłe uważać, nie sądzę.“ Gdyby autor tak się odzywał przed trzydziestą laty, kiedy to w modzie było mowy sejmowe posłów przerabiać na ład salonowy, żeby nie raziły delikatnego ucha czytelników, kiedy historye kompilowano z książek, a materyały rękopiśmienne uważano za coś podejrzanego, niezastługującego na uwagę, miałby po sobie słusność. Ale dzisiaj to jego „nie sądzę,“ zabawnie wygląda. Nie ma tam miejsca dla sądu, gdzie jest pewnik; gdzie prawo mówi wyraźnie, jasnie i czysto. Historykowi najsurowiej nie wolno przeistaczać, opuszczać, lub za niebyłe uważać zdarzeń, które się powtarzają, które do innych mają jakieś podobieństwo lub które żyjących razić mogą. A cóżto za historia, która niepowie prawdy, ale stosuje się do mody i do widoków jasnie wielmożnych panów?

ROZMAITOŚCI.

Krótki rys historyczny miasta Grybowa i starostwa grybowskiego.

(Dokończenie).

W tym samym roku 1727, rozsądzony został także stanowczo, jeszcze dawniejszy spór starostwa z wsiami Niżną i Wyżną Białą, Siolkową, Grodkiem i Kundzłową, wsiami równie na prawie magdeburskiem osadzonemi. Pierwsze trzy, jakieśmy już wyżej powiedzieli, równocześnie z miastem Grybowem założone, temi samymi przywilejami i wolnościami obdarzone, i wyłącznej jurysdykcji sołtysa grybowskiego poddane zostały. Dlatego też uważali zawsze mieszczanie grybowscy te wsie tylko za przynależność miasta; dlatego bronili jako sprawę miejską, sprawę kmiectw, o uwolnienie ich od robocizny, przez braci Jezowskich, jako posiadaczów wójtostwa i starostwa wymaganą, dopóki im król Zygmunt I, dalsze wtrącanie się w tę sprawę, pod surowemi karami dekretem swym z r. 1508 nie zabronił. Orzekł tym samym dekretem, iż osadnicy rzeczonych trzech wsi *rocznie po sześć dni* do dworu starościńskiego, a *po trzy dni* do wójtostwa z każdego łanu odrabiać są obowiązani. Było to pierwsze zgwałcenie swobód, rzeczonym wsiom na mocy przywilejów lokacyjnych z r. 1340 i 1488 przysługujących, które ich od wszelkich innych powinności prócz czynszu gruntowego uwalniają (1). Stało się też

(1) O drugiej infrakcyi prawa magdeburskiego, nadanego im temi przywilejami, jużesmy piérwej wspomnieli; t. j. o zakupieniu siedmiu ról kmiectw w Siolkowie i Niżnej Białe przez starostę Stanisława Pieńiążka, i przyłączeniu tychże do gruntów starościńskich. Mniej rażąca napozór, ponieważ za przyzwoleniem kmiectw sprzedających nastąpiła,

hasłem do ciągle nowych wymagań starostów grybowskich i ich dzierżawców, do nieustannych skarg ze strony osadników. Nie kontentowali się długo starostowie robocizną w rzeczonym dekreście królewskim wymierzoną; podnieśli ją wkrótce po uchwaleniu statutu toruńskiego do jednego dnia tygodniowo z każdego półłana, a do dwóch dni z całego łanu; zaczęli wymagać dalszych „podwód i podróz” od kmieciów, w interesie dworskim; żądali z początku reluğu „straży” koło grodu odbywaną, później upominali się o pełnienie tej „straży” *in natura*. A gdy osadnicy Siołkowej, Niżnej i Wyżnej Białej, przeciw nowym tym wymaganiom skarg wnosząc nie przestawali, chcąc już przy robociznie w r. 1508 ustanowionej pozostać: uzyskał w r. 1595 ówczesny starosta Przeclaw Pieniążek wyrok sądu król., który statut toruński za obowiązujący uznał, robociznę na mocy tego wymagania poddanym pełnić nakazał i na korzyść tychże, tylko dalsze „podróże” od nich żądane, na jedną „podróż” corocznie do Bochni ograniczył, uwalniając ich oraz od pełnienia „straży” *in natura*, za weszłą już w używanie opłatą po 6 groszy od łanu.

Jakim sposobem na mocy statutu toruńskiego z r. 1520, poddanym wsi rzeczonych robocizna po dwa dni od łanu narzuconą została, gdy przecie ten statut powszechnie tylko poddanych do odrabiania jednego dnia z łanu obowiązuje: wytłumaczyć sobie nie zdołamy. Nie możemy zaś wyklądać tego wyroku w ten sposób, iż tylko robociznę statutem toruńskim powszechnie jako minimum na poddanych nałożoną, t. j. jednodniową, skarżącym się gminom pełnić nakazał, ponieważ te same gminy odwołując się w późniejszych swych skargach do tego wyroku oświadczały, iż chcą przynajmniej przy robociznie tymże wymierzonej, t. j. po dwa dni z łanu pozostać.

Potrąfili jednakże obejść dzierżawcy starościńscy i nowy ten wyrok królewski. Dokonał tego mianowicie najdrapieżniejszy z nich Stanisław de Dydno Dydyński. Uszczupliwszy znacznie łany kmieci lub podzieliwszy je, żądał od każdego osadnika gruntowego po dwa dni robocizny od Wielkiénocy do ś. Marcina, a po jednym dniu od ś. Marcina do Wielkiénocy; przez co robocizna szczegółowo pozornie ulżona z ciężaru gruntowego, przeistoczyła się prawie w powinność osobistą, i w rzeczonym wymiarze w inwentarz z r. 1696 wciągnięta została. Ztąd nowe skargi ze strony poddanych, ztąd gwałty i napady, któremi sobie sprawiedliwość wymusić albo przynajmniej za ucierpiane krzywdy na dzierżawcy Dydyńskim pomścić się chcieli. Dowodzą to powtórne protestacye starościńcy Denhoffowej i dzierżawcy Dydyń-

ubliżała ona głównej zasadzie prawa magdeburskiego, iż w okręgu na tém prawie osadzonym, nikt obcy gruntów nabywać nie mógł. Jeżeli więc rzeczywiście sprzedaż tych gruntów dobrowolnie nastąpiła, była oznaką, iż duch prawa magdeburskiego i czujne przestrzeganie tegoż słabnieć poczęło; jeżeli wymuszoną była, dowodzi już wzrastającej powagi starostów i władzę ich nad poddanymi.

skiego w r. 1724 i 1725, przeciw tym gwałtom i napadom do grodu sandeckiego wniesione, w których protestujący i o to się uskarżają, iż poddani wsi starościńskich nietylko sami trunków z karczem i browarów dworskich nie biorą, lecz nawet nikogo do tychże nie dopuszczają. Zawezwawszy obie strony przed swój sąd, wyznaczył król w r. 1726 kommissarzów do rozpoznania wzajemnych ich skarg. Odbyła się pierwsza kondescencya tych kommissarzów jeszcze w tym samym roku, przy której gminy skarżące, do rzonego wyroku król: z r. 1595, i zgodnej z nim lustracyi z r. 1654 odwołały się, staroscina i dzierżawca zaś przeciwnie wykazali, iż powinności przez nich wymagane, staroscinie inwentarzem z r. 1696 oddane zostały. Powołali nawet oskarżeni na usprawiedliwienie swych wymagań przywileje lokacyjne z r. 1340 i 1488, w sposób wręcz osnowie i duchowi tych przywilejów przeciwny. Okazawszy albowiem niemi, iż miasteczko Grybów i rzone wsie razem na 150 łanach osadzone zostały, dowiódłszy dalej, iż z téj liczby łanów, 28 tylko ogółem odpada, ponieważ podług uczynionego przemiaru miasteczko Grybów 9, wójtostwo tamtejsze 4, kościół grybowski 2, sołtystwo w Wyżnej Białej 1, sołtystwo w Grodku 3, a sołtystwo we wsi Kundzłowój 1 łan trzyma, 3 kmiece łany nakoniec w Siółkowój, a 4 we Wyżnej Białej w r. 1539 wykupione, i do starostwa dołączone zostały: zakoncludowali oskarżeni, iż *wszystkie resztujące 124 łanów są łany poddańcze, które podług przytoczonego inwentarza z r. 1696 robociznie podlegają, a to 2-dniowój od Wielkiój do ś. Marcina, 1-dniowój od ś. Marcina do Wielkiój.*” Spelzła atoli na niczém ta kondescencya, ponieważ kommissarze nie zbadawszy zasadności wzajemnych skarg, na przejęciu złożonych przez obie strony dokumentów ograniczyli się i stanowczy wyrok sądowi królewskiemu zostawili. Uznał tenże remissyą tę za niepotrzebną, i mianował w r. 1727 nowych kommissarzów, z poleceniem, aby się na gruncie przekonali, czy poddani skarżący swe role w pierwotnym rozmiarze posiadają, i w miarę skutku tych dochodzeń stanowczy wyrok wydali. Nastąpiła niezadługo ostatnia ta kondescencya. Zniosły do niej obie prawujące się strony te same dokumenta, które już przy poprzedniej okazały były; dołączył dzierżawca starościński do nich jeszcze ostatni inwentarz z r. 1713, lecz zdały się kommissarzom królewskim wszystkie dowody te dostatecznymi do rozsądzenia stanowczego sprawy. Kazali więc z jednej strony przedsięwziąć dokładny pomiar gruntów poddańczych, z drugiej strony zaś zażądali inwentarzów powinności poddańczych z poblizszych starostw, uznając *tém samem zwyczaj ogólny za obowiązujący, przewagę prawa powszechnego nad specjalnemi układami i miejscowem używaniem.* Lecz nie przyszło do uskutecznienia tych dochodzeń. Czyto z namowy kommissarzów król., czyto z obawy aby dokładniejsze rozpoznanie nie wykazało choć w części niesłuszności ich zażaleń, odstąpiły od nich same gromady skarżące, przyznały się do obowiązku

odrabiania pańszczyzny „po dwa dni dwojgiem od ś. Wojciecha „do ś. Marcina, a po dwa dni jednym od ś. Marcina do ś. Wojciecha,” i wymogły tylko niektóre koncessye, tyczące się sposobu odrabiania téj pańszczyzny. Koncessye te są dwojakiego gatunku. Niektóre dowodzą, iż pewne daniny, pewne powinności w każdej ziemi, podług pewnej, stałej zwyczajowej normy oddawane bywały, i że zwyczaj ten przez samych poddanych za obowiązujący uznany był. Do téj kategorii policzymy wymienione i przyjęte przez starościnę warunki:

a) Aby *młocka tylko według zwyczaju innych wsi* się odbywała, t. j. aby parobek kmiecy kopę, a półparobczak półkopy dziennie wymłacał.

b) Aby *gromady czynsze podług zwyczaju podgórskiego* po jednym tynfie za jeden złoty opłacały.

Największą część zaś rzeczonych koncessyi, tylko ulgę dotychczasowych przeciążeń, poskromienie nadużyć, których się dzierżawcy dopuszczali, miała na celu. Przytaczamy z nich niektóre, jako dowód, jak silnie już na początku przeszłego wieku związek poddańczy wybujał i rozległ się był, jak wytężona już wtenczas wszędzie była robocizna. Tak np. wymówioném zostało:

a) Aby poddanym, gdy dla deszczu po obiedzie od żniwa odcbodzić muszą, odbyte półdnia w robociznie potrącone bywało; aby ich po skończeniu siejby lub wleczyby już do innych robót nie używano, i aby dalej mieszkającym, mianowicie Grodeczanom i Kundzłowianom wolno było później do roboty się stawić i wcześniej odchodzić.

b) Aby trzymiłowe podróże poddanym za dwa dni robocze porachowane bywały; aby z kosą lub siekierą więcej jak jeden dzień robić, sieczki więcej jak jeden dzień rznąć, i zboże młoczone z folwarku Wróblówki do zamku więcej na plecach znosić nie byli obowiązani, i t. p.

Najważniejszym zaś punktem tego układu jest własne wyznanie starościny, że kmiecie choć nierówne grunta mają, równą robociznę odbywają, i polecenie jój, aby summa robocizny od całej gromady podług ostatnich inwentarzów się należąca, za interwencją dworu i wójtów wsi poblizszych sprawiedliwie rozłożona była; wyznanie, które cały ten układ w prawdziwém swém świetle okazuje.

Załatwiwszy tą komplancją wzajemne skargi stron prawujących się, skazali kommissarze plenipotentów gromadzkich za nieposłuszeństwo, gwałty, i wniesione niesłuszne pretensye, na dwieście postronków każdego; darowali im atoli tę karę na wstawienie się starościny, wyjąwszy jednemu Wawrzyńcowi Motyce, który za karetą dzierżawczyni strzelił, i rozbiegnięciem koni sprowadził.

Do komplancji téj przystąpiły także i wsie: Grodek i Kundzłowa, które później i odrębnie osadzone, losów dawniejszych wsi starościńskich nie zaraz dzieliły. Kiedy i z jakiego powodu

do sprawy tychże, o podniesienie powinności poddańczych przystąpiły, akta grybowski nie wykazują. O tém tylko przechowana w tych aktach oblata lustracyi wsi Kundzłowej z r. 1654 nas przekonywa, iż kmiecie téj wsi „podług zwyczaju i prawa inszych wszystkich dóbr Jego Król. MCl. po cztery dni z całego łąnu, po dwa dni z pół łąnu, a po jednym z ćwierci tygodniowo do dworu odrabiali, i prócz tego po jednej sztuce przedziwa z każdego łąnu oddawali, i stróża po 6 groszy opłacali.” Pełnili więc (jeżeli ta oblata lustracyi nie jest mylną) większe powinności, niż osadnicy Siolkowej, Wyżnej i Niżnej Białej: a że ich starostowie później do jeszcze wyższej robocizny pociągali, śmiało to wnosić można z listu, który sobie późniejszy posiadacz wójtostwa grybowskiego Marcin Alexander Wrzeszcz, w r. 1694 od króla Jana III wyrobił, i który zaraz przytoczymy. Łatwo więc pojąć, że się osadnicy Grodka i Kundzłowy na podniesienie powinności poddańczych skarżyli, zwłaszcza jeżeli wiedzieli, iż podług osnowy przywileju nadawczego na wójtostwo w Grodoku, w r. 1521 wystawionego, rocznie tylko sześć dni do dworu, a trzy do wójtostwa odrabiać byli winni. A nawet i ten przywilej z r. 1521 odwołuje się do dawniejszego, w którym także i cena wójtostwa wyrażona być miała. Być więc może, że równie jak Siolkowa, Wyżna i Niżna Biała, także Grodek i Kundzłowa początkowie do żadnych roboczych powinności obowiązane nie były.

Pierwotnego tego przywileju wynaleźć nie zdołaliśmy; data więc osiedlenia tych dwóch wsi niewiadoma. Tyle jednak z pewnością twierdzić możemy, iż niedługo po założeniu Grybowa nastąpić musiało, ponieważ wzięto siedm łąnów na lokacyą Grodka, a trzy łąny na lokacyą Kundzłowej z tego samego obszaru 150 łąnów, które przywilej z r. 1340 na całą Grybowszczyznę wyznaczył, jak to widać z listu Jana III, przez Marcina Alexandra Wrzeszcza w r. 1694 wyrobionego (o którym zaraz mówić będziemy) i z aktu kondenscencyi w r. 1726 przedsięwziętej. Że zaś rzeczone dwie wsie odrębnie od Grybowa, Siolkowej, Niżnej i Wyżnej Białej założone były i bardzo długo odrębnie istniały, dowodzi to już sam fakt, iż miały swe osobne wójtostwo w Grodoku. Wójtostwo to gwoli przywileju z r. 1521 nań Janowi Grotkowskiemu nadanego, składało się z trzech łąnów gruntu i Nawsia, na których sołtys komorników, zagrodników i rzemieślników wszelkiego gatunku osadzać był mocen. Używał on prócz tego zwykłych innych praw sołtysów; miał nawet takie, które wójtostwu grybowskiemu nie przysługiwały. Mógł sobie stawiać prócz młynu, także i karczmę; zakładać sadzawki na Nawsiu; mógł w lasach królewskich nietylko polować i pasieki zakładać, miał nawet wolny wręb do tych lasów. Miał nakoniec zapewnione trzy dni robocizny rocznie od każdego kmiecia.

Nie dziw więc, że starostowie grybowscy pożądliwém okiem i na to wójtostwo patrzyli, że już Stanisław Pieniążek w r. 1544 wyrobił sobie pozwolenie królewskie do wykupienia onegoż z rąk

ówczesnego posiadacza, niejakiego Prokopa, zapewne bezpośredniego następcy Jana Grotkowskiego. Odtąd znajdowało się i to wójtostwo zawsze w rękach starostów grybowskich i przechodziło z rąk do rąk razem ze starostwem, póki sobie niejaki Alexander Marcin Wrzeszcz, towarzysz pancerny i łowczy winnicki, w nagrodę za wojenne zasługi, osobny nań przywilój od króla Jana III przez omyłkę kancelaryi królewskiej nie wyrobił, i intromissyi w posiadanie onegoż nie dopiął. Zaprotestowała zaraz przeciwko tój uzurpacyi ówczesna starościna Katarzyna Grudzińska, na którą przeszło było ze starostwem grybowskiem także i wójtostwo grodeckie *jure communicativo*; lecz umiał się Marcin Alexander Wrzeszcz w posiadaniu utrzymać, i ciągnąć tymczasem z uzurpowanego wójtostwa wszelkie możliwe pożytki. Wyrobił sobie w tym celu zaraz w r. 1694 list królewski tój osnowy, iż: „Tak wieś Grodek na 7 łanach zasiadła, jak wieś Kundzłowa na 3 łanach zasiadła, nad powinności w lustracyi z r. 1654 opisane, pociągane być nie mają; tudzież iż podlegają tylko jurysdykcyi Marcina Alexandra Wrzeszcza, jako posiadacza wójtostwa grodeckiego, i do niego tylko ze skargami udawać się są winni. Starosta grybowski zaś do ich spraw wtrącać się nie ma.” Pozy-skawszy sobie tym sposobem poddanych, chciał swą niepodległość staroście samemu i mieszczanom grybowskim okazać. Wpadł więc na czele przybranych sobie góralów, w dzień jarmarku do Grybowa, kazał na przekor staroście prawie wszystkich mieszczan i mieszczanki publicznie nahajkami („flagris scythicis”) obkładać, potłukł i zniweczył wszystkie towary przez nich na targ wystawione, kazał dać kilka razy z ratusza ognia z bombard do grodu starościńskiego i wyrekwirował żywność dla swych góralów. Nie odparli liczni mieszczanie tego gwałtu, nie odparła go starościna, która zbrojną straż na swe usługi miała, lecz jedni i drudzy wnieśli do dwóch grodów żalosne protestacye przeciw temu najazdowi, a starościna poparła jeszcze tém silniej prośbę swą, o wyrugowanie Wrzeszcza z nieprawnie nabytego wójtostwa. Osiągnęła wprawdzie w r. 1698 formalny wyrok królewski, odsądzający zupełnie Wrzeszcza od wszelkich praw do tego wójtostwa i mianowanie kommissarzów do niezwłocznego jego expossessyonowania; lecz Wrzeszcz tymczasem wyrobił sobie przez nową omyłkę lub konniwencyą kancelaryi królewskiej konsens, do ustąpienia przywłaszczonego wójtostwa na rzecz swego braterstwa, zaprotestował w ich i w swoim imieniu przeciw postępowaniu kommissarzów królewskich, wymógł zawieszenie zapadłego już wyroku i nowe rozpoznanie sprawy, a tymczasem podmówił poddanych wszystkich wsi starościńskich do wyłamania się z pod jurysdykcyi starościny, do ujęcia jój znacznej ilości dni roboczych i do odbywania tejże w gruntach wójtostwa grodeckiego. Trwał ten bezprzykładny anarchiczny epizod przez całe 6 lat aż do r. 1699, w którym się samo braterstwo Wrzeszcza dobrowolnie wszelkich pretensyi do przywłaszczonego wójtostwa zrzekło.

Nie szczęściło się atoli i później starostom grybowskiemu z grodeckim wojtostwem. W r. 1721 wyrobił sobie na nie znowu niejaki Jan Dydzikowski nieprawny przywilej nadawczy, a w roku 1727, uzyskał Franciszek Dydzikowski nawet formalną intromissją w posiadanie wójtostwa. Nastąpiło wprawdzie na żądanie starościny Denhoffowej unieważnienie tej uzurpacji, lecz Dydzikowski tymczasem za przykładem Marcina Wrzeszcza, podmówił poddanych do wylamania się z pod jurysdykcji dworu grybowskiego, i do ujęcia temuż części robocizny, co tym większą stratą dla starościny było, gdyż po wyrugowaniu Wrzeszcza i tak tylko jedna trzecia część łąnów wójtowskich do starostwa się wróciła, dwie trzecie części zaś, nie wiadomo jakim sposobem, w posiadanie gromady grodeckiej przeszły; dopiero komplancją z r. 1727 dworowi zwrócone zostały. Że wszystkie te zajścia sporów gromad ze starostwem nie przerywały, owszem je rozjątrzały, każdy łatwo pojmie. Został też ten spór stanowczo dopiero wyżej wspomnianą komplancją z r. 1727 załatwiony.

Nie brały udziału w tych sporach gminy Bogusza i Bielczarowa, aczkolwiek równie do starostwa należące. Istniały one wprawdzie tak dawno, jak miasto Grybów, wieś Siolkowa, Niżna i Wyżna Biała, gdyż już przywilej Kazimierza W. z r. 1365, obdarzający miasto Grybów lasem Jawor wyraźnie zastrzega, aby przeto osadzona w tym lesie gmina Bielczarowa żadnej szkody nie cierpiała, a późniejszy list Mikołaja Pieniązka starosty bieckiego i sądeckiego z rozkazu królowej Zofii, tak Bielczarową jak Boguszę dawniej do starostwa grybowskiego należące, znowu temuż przywraca. Lecz wieś ta z pierwotnych osadników swoich wyludniona, dopiero w r. 1531 i 1544 przez starostę Pieniązka po drugi raz *osadnikami wołoskimi* osadzone zostały, którzy chowem bydła więcej się trudniąc, i nowe przywileje lokacyjne posiadając, zapewne na inszą stopę od starostw traktowani byli, i dlatego zawsze się odrębnie trzymali. Nie znachodzimy też w aktach grybowskich żadnej wzmianki o tych dwóch wsiach przed r. 1706, i nawet w owym roku tylko dwa dokumenta wsi Bielczarowej się tyczące. Pierwszym (który nam przez ks. proboszcza bielczarowskiego komunikowanym został) przydziela ówczesna starościna Katarzyna Grudzińska pewien grunt do plebanii bielczarowskiej. Drugim jest odezwa tej samej starościny do gminy Bielczarowej z powodu zaszłych w tejże z nieznanym powodów zaburzeń, w której osadnikom zgodę i przyzwoite postępowanie między sobą, wójtowi, podwójciemu i ławnikom zaś sprawiedliwy rozkład ciężarów gromadzkich zaleca. Z całej tej długiej odezwy dwa tylko ustępy nieco interesowniejszymi nam się zdawały. W jednym zakazuje starościna osadnikom bielczarowskim wycinanie lasów zamkowych, i wyrabianie w nich łąnów; w drugim zabrania solty-

som paszenia swego bydła na trafiających się pustkach, jeżeli tych poprzednio między sobą nie rozdziela, i ciężarów na nich przypadających na siebie nie wezmą.

Daleko jeszcze później w aktach grybowskich napotykamy wzmiankę o wsi Boguszy. Odezwała się po pierwszy raz w manifestacji, którą wspólnie z Piotrem Wodzickim starostą grybowskim w r. 1751, przeciwko wsi Królowej Ruskiej, wsi do starostwa sądeckiego należącej, o dezolacją lasów boguskich podała i w roku 1754 powtórzyła. W r. 1752 zaś zaprotestowała w grodzie Bieckim przeciwko zeznaniu Franciszka Nowinki, poddanego z wsi Mystkowój, jakoby namawianym został przez wójta boguskiego do posunięcia kamienia granicznego między Boguszą i Królową Ruską w głąb terytorium téj ostatniej, i zadała formalne kłamstwo temu zeznaniu, aczkolwiek przysięgą stwierdzonemu.

Zakończymy ten przegląd archiwum grybowskiego krótkim zarysem, jak starostwo samo z rąk do rąk przechodziło. Data utworzenia onegoż niewiadoma; tyle tylko pewnem, iż już w r. 1460 ukonstytuowane było, ponieważ przytoczony już kilkakrotnie list Mikołaja Pieniązka z owego roku, nie tylko o niem już jako wtenczas istniejącem wspomina, lecz wyraźnie dodaje, że w dawniejszych czasach wsie Bogusza i Bielczarowa doń należały. Jak już wyżej powiedzieliśmy, był ówczesnym tenutaryuszem Grybowszczyzny Wojciech Jeżowski, po nim jak się zdaje Dawid, syn jego nastąpił, na którego prośbę drugi przywilój lokacyjny z r. 1488 udzielonym został; a po zejściu tegoż objęli ją Stanisław i Mikołaj bracia lub synowie jego, którzy ją jeszcze w r. 1508 dzierżyli, jak to dowodzi list królewski z owego roku, orzekający powinności robocze Siolkowój, Wyźnej i Niżnej Białej. Jakim sposobem dostąpił po nich tenutę grybowską Jan Buczyński, nie wiadomo; wątpieniu atoli nie podlega, iż przeszła w jego ręce koło r. 1527, ponieważ datuje z owego roku przywilój Zygmunta I, który reasumując dawniejsze zapisy Janowi Buczyńskiemu, przez poprzedzających królów zrobione, w jedną sumę 748 grzywien i 17 gr.; sumę tę mu na Grybowie i wszystkich wsiach starościńskich zapisał, i dożywotnie posiadanie téjże mu nadał. Nie długo on się nią cieszył, bo wyrobił sobie już w r. 1529 Stanisław Pieniążek konsens królewski na wykupienie całego starostwa od jego successorów. Odtąd przechodziło starostwo grybowskie z rąk do rąk *jure communicativo*, t. j. każdy dożywotni posiadacz udzielał za pozwoleniem królewskim swą tenutę żonie, bratu lub synowi w ten sposób, iż ci po śmierci wstępowali w jego prawa dożywocia. Tą drogą przeszło po śmierci Stanisława Pieniązka starostwo grybowskie na Przeclawa Pieniązka, potem na wdowę jego Agnieszkę z Mirów Pieniązkową, a po jój śmierci na syna ich Mikołaja Aukta Pieniązka, którego już za jój życia konsens

królewski z r. 1613, w nagrodę za wielkie jego usługi do spółki w dożywociu dopuścił. Od successorów tegoż nabył starostwo Stanisław Lubomirski drogą wykupną; doznała więc krótkiej przerwy ta filiacja dożywocia. Lecz nie trwała długo, gdyż już w r. 1628, rzeczony Stanisław Lubomirski za pozwoleniem królewskim starostwo grybowskie wraz z Piwniczną, Gostwicą i Pisarzową, równie przez niego dzierżonemi, na rzecz swego syna Alexandra Lubomirskiego, ten w r. 1636 bratu swemu Jerzemu Sobestyanowi Lubomirskiemu, ten znowu na rzecz brata swego Konstantego Lubomirskiego, a ten nakoniec żonie swojej Barbarze Domicelli z domu de Magna Szczawin Szczawińskiej w r. 1650 *jure communicativo* udzielił.

Od tego roku zaczęło przechodzić jeszcze ciekawszym sposobem starostwo grybowskie z rąk do rąk; przechodziło albowien w skutek drugich ślubów małżeńskich przez dożywotnich posiadaczy zawartych. I tak: owdowiawszy po Konstantym Lubomirskim, poszła małżonka jego za Mikołaja Wiktora a Grudna Grudzińskiego, krajczego koronnego, i przyniosła mu w posagu konsens królewski na objęcie Grybowszczyzny po jej śmierci. Poszedł i on za tym przykładem, podziękując sam przez kilka lat to starostwo, ożenił się po drugi raz z Lukrecją Katarzyną księżną Radziwiłłówną, i udzielił jej w r. 1696 dożywocie swęj tenuty *jure communicativo*. Umarł w parę lat potem, a wdowa jego intromitowana w r. 1704 w posiadanie Grybowszczyzny, rządziła nią do swęj śmierci. Aby atoli ją wakującą nie zostawić, udzieliła ją wraz z swoją ręką na mocy konsensu królewskiego z r. 1713 Fryderykowi Denhoffowi, podczasemu W. Ks. Lit. który tą samą myślą natchniony, zaraz po jej śmierci za drugą żonę Konstancją z Kosakowskich Sobieską pojął, i czempredzję, bo już w r. 1718, podobne dla niej upoważnienie królewskie wyrobił. Ta po jego śmierci, jak się zdaje, czy czasu, czy chęci nie miała znaleźć i uszczęśliwić drugiego męża, bo przynajmniej w aktach grybowskich żadnego już podobnego królewskiego konsensu nie napotykamy, i starostwo Grybowskie dopiero w r. 1752, jako wakujące, małżonkom Piotrowi i Annie Wodzickim konferowane widzimy. Za to znowu nie omieszkali ci małżonkowie ustąpić swe dożywocie na rzecz Franciszka Wodzickiego, wyrobiwszy sobie jeszcze poprzednio wręb do lasów starostwa sandeckiego.

Dopiero rząd austriacki ciągłym tym cessyom i dożywociom koniec położył, inkamerując po śmierci Franciszka Wodzickiego starostwo grybowskie. Sprzedaż onego publiczną zarządził, atoli dopiero w r. 1830, miasto Grybów wsie Siolkowa, Niżna Biała, Grodek, Kunclowa, Bogusza i Bielczarowa, w ręce terażniejszego posiadacza Ferdynanda Hoscha tą drogą się dostały.

Alex. hr. Stadnicki.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

PRZEMYSŁ I RĘKODZIELA.

Ulepszenie w produkcji stali lanéj.

Rozmaite są gatunki stali cementowanéj w granicach między tak nazwaną miękką i twardą stalą. Miękka stal cementowana jest ta, która zatrzymuje w swoim składzie najmniej węglen, a własność jéj miękkości pochodzi ztąd, że mniej cząstek żelaza jest w zetknięciu z węglem; przeciwnie stal twarda zawiera większą ilość węgleny w porównaniu z innymi gatunkami stali cementowanéj, a to osiąga się, gdy żelazo dłużej zostaje wystawione w skrzyni cementacyjnej na działanie węgla. Gdy się przerabia rozmaite gatunki stali cementowanéj na stal laną, niepodobna mimo największych usiłowań, otrzymać jéj zawsze z jednakowemi własnościami.

Usuwać tę niedokładność, Talabot i Sterling proponują mieszanie stali cementowanéj przed jéj przerobieniem na laną z tlenkami kruszcowemi, lub ziemiami alkalicznemi, lub wreszcie z mieszaniną obu.

W przerobie stali cementowanéj na laną, jednakowość i jednostajność téj ostatniej zależy ma od ilości użytych tychże tlenków lub alkaliów.

Wiadomo, że stal cementowana miękka jest mniej topliwa od twardéj, a ta ostatnia topiona z tlenkiem żelaza lub z wapnem, traci z wolna cząstki węgleny, i przemienia się na miękką. Ztąd wynika, iż za zmianą ilości użytych tlenków, z jednéj i téj saméj ilości stali cementowanéj, otrzyma się rozmaite gatunki stali lanéj.

Topiąc stal twardą cementowaną z niewielką ilością tlenku żelaza n. p. żelaziaku magnetycznego, który bardzo korzystnie daje się w tym celu użyć, otrzymuje się stal laną, różną od téj, która się zwykłą drogą ze stali cementowanej produkuje.

Zmiana stosunku tlenku żelaza wpływa na otrzymanie stali lanéj odmiennych własności, a zatém jeden i tenże sam zakład z jednego gatunku stali cementowanej, może wyrabiać rozmaite gatunki stali lanéj. Ilość tlenku żelaza użyta była przez Talabota i Sterlinga w stosunku 1 do 4 $\frac{1}{2}$.

Wpływ i działanie wapna na stal cementowaną, bardzo są podobne do działania tlenku żelaza, zachodzi tylko znaczna różnica w wychodzie wapna, którego wziąć można dwa razy mniej.

Wpływ kamienia ołowianego (głównie tlenku ołowiu) na stal cementowaną, według doświadczeń Talabota i Sterlinga, okazał się jeszcze odmiennym od poprzednich, gdyż przemienia bardzo prędko stal miękką cementowaną na twardą; tak więc można powiększać twardość stali miękkiej stosunkowo, dodając od $\frac{1}{30}$ do $\frac{1}{2}$ na sto, tak zwanego kamienia czyli maty ołowianéj.

Talabot i Sterling uważają wreszcie, iż wspomniane tlenki mogą być dodawane do stali cementowanej, bezwzględnie czy to wtedy, kiedy się już stal ścina w tyglach, albo też w samym początku topienia.

(Repertory of patent inventions. Kwiecień 1854 st. 336).

Nadstalenie żelaza stalą laną.

Sanderson do spajania żelaza ze stalą laną, czyli nadstalenia, podaje sposób następujący:

Żelazo, które ma być nadstalone rozgrzewa się do czerwoności, przepuszcza przez odpowiednich wymiarów walce, a następnie poddaje pod uderzenia młota, celem zadania żelazu zagłębien na szerokość i długość odpowiadających nadstaleniu, czyli celem zapelnienia następnie takowych miejsc wygniecionych uderzeniami młota, stalą laną, którą należy do żelaza spoić. Chcąc więc nadstalić żelazo gorącą stalą laną, trzeba i samo żelazo pogrzać w tych miejscach: czy to na powierzchni, czy na kantach, (jak wypada), aby było w stanie spawalnym.

Jeżeli wypada żelazo z kilku stron stalą laną pokryć, to wszystkie te strony powinny mieć pogłębienia, i obwinąwszy żelazo blachą, w pośrodek między żelazo i blachę wlewa się stal. I tak n. p. jeżeli potrzeba nastalić na powierzchni walec żelazny, tak się postępuje:

Walec żelazny pokrywa się blachą żelazną w cylinder zwiniętą, używając blachy przynajmniej na 3 linie ($\frac{1}{4}$ cala) grubiej. Cylinder blaszany jeżeli nie może być z jednego arkusza, to można w tym celu użyć dwóch arkuszy półokrągło zwiniętych i spojonych. W każdym razie między powierzchnią walca żelaznego, a cylindrem blachowym otaczającym, zostawia się przestwór na grubość nastalenia, które się uskutecznia przez wlanie roztopionej stali, czyli zapełnienie przestworu. Blaszana powłoka później łatwo się zbierze, czyto przez obtoczenie, czy przez obszlifowanie; i dlatego z uwagi na to obtoczenie, wypada, aby w razie jeżeli nadstalenie potrzebne jest na 12 linii (czyli cal), przestwór wynosił dwa razy tyle, bo przynajmniej połowa odejdzie przez toczenie lub szlifowanie.

Cylinder blaszany powinien być w jednym końcu walca zamknięty, czyli tworzyć dno, aby wlana stal nie wypłynęła. Stal najlepiej roztopiać w kilku tyglach, w piecu ciągowym z zasuwą kominową, gdyż w takim można utrzymać wysokie i jednostajne gorąco.

Po przygotowaniu powyższym sposobem powłoki z blachy, stal wlewa się w przestwór między walcem żelaznym a cylindrem blaszanym wprost z tygli; poczem znów napelnwszy tygla stalą, można je naprost wstawić do pieca.

Przedmioty żelazne, które mają być nadstalone, czyli powleczone stalą (jak n. p. ów walec), muszą być jak się wspomniało należycie rozgrzane, aby były zdolne do spawania (szwejsowania). W tym celu wsadza się je do zwykłego pieca spawalnego (szwejsowego), z kąd po zagrzaniu idą pod młot, dla ostatecznego spojenia obu tych kruszców.

Sanderson radzi, aby zamiast użycia młota, jeżeli to można, żelazo nadstalone przepuszczać na gorąco pomiędzy walcami wymiarowemi, lub poddać pod ciśnienie gniecalni, które się w wielu walcowniach znajdują.

(Polytechnisches Centralblatt. 1854, nr. 13).

Nowy sposób odlewania przedmiotów kruszczowych.

Bernard wziął list swobody na nowy sposób odlewania przedmiotów kruszczowych, daleko korzystniejszy od dotychczas używanych, gdyż otrzymuje się odlewy pełne bez wzdęć, gęste, i dokładnie formę wypełniające. Sposób Bernarda zarówno daje się zastosować do odlewów żelaznych, z miedzi, brązu lub też z kauczuku albo guttaperczy.

Forma przygotowuje się zwykłym sposobem, lecz ma dwa otwory: jeden z wierzchu, drugi od spodu, zaopatrzone w kurki. Wierzchni otwór czyli wlew, przystawia się do pieca w którym

znajduje się roztopiony kruszec, a przy spodnim jest zwykła pompka powietrzna.

Gdy wszystko gotowe do odlewu, wtedy wierzchni kurek zamyka się, a spodni otwiera i wyciąga powietrze za pomocą pompki; potem kurek ten zamyka się, a otwiera wierzchni i formę napęlnia rozpuszczonym kruszczem już bez żadnej przeszkody.

Wierzchni otwór po odlewie zostaje niezamknięty aż do zupełnego ochłodzenia odlewu.

(Repertory of patent invention. Marzec 1854).

Produkcya żelaza w Zjednoczonych Stanach Ameryki Północnej.

Produkcya żelaza w Stanach Zjednoczonych ciągle postępuje. Teraz znajduje się tam już przeszło 300 wielkich pieców. W r. 1849 wytopiono do 2ch milionów pudów surowizny; w r. 1850 ilość otrzymanej surowizny dochodziła zaś do 2¹/₂ milionów pudów.

W 57miu piecach używają za paliwo węgla kamiennego surowego, w 7miu węgla ziemnego brunatnego lub drzewiaku, a w pozostałych 240tu jużto węgla drzewnego, już téż koksu.

Kapitał obrotowy przy téj produkcyi dochodzi do 60 milionów rubli sr. Liczba robotników zatrudnionych do 30,000, z których 11,500 samych górników zajętych wydobywaniem rudy, lub węgla kopalnych.

Przywóz żelaza z Europy do Stanów Zjednoczonych corocznie się zmniejsza.

(Dinglers, Politech. Journal).

Nowy smar do machin.

Liard podaje przepis na przygotowanie smaru z oleju i kauczuku (gummy elastycznej), w stosunku pięciu części oleju a jednej kauczuku; ten ostatni gotuje się w oleju aż do zawrzenia, przyczem się rozpuścić winien; jednakże przy tém przedstawia się ta niedogodność, że olej w wysokiéj temperaturze częścią zwykł się rozkładać, a częścią przypalać; przez to więc smar staje się bardzo gęstym i prawie niezdatnym do użycia.

Zapobiegając temu, nierównie lepiej tak postępować: porznuwszy kauczuk na drobne kawałki, zanurza się go na 4 lub 5 dni w olej, następnie rozgrzewa najwyżej do 12tu stopni; tym sposobem kauczuk zupełnie się rozpuści, a po wymieszaniu

otrzyma się płyn dosyć czysty. Smar taki nie wysycha i korzystnie może być używany dla zmniejszenia tarcia w machinach.

Podobnie przygotowuje się smar do zegarków, tylko zamiast oleju wypada użyć oliwy.

Uważano, iż olej może rozpuścić wielką ilość kauczuku, a smar przesadzony kauczukiem daje się użyć do powlekania przedmiotów żelaznych i stalowych, przez co zapobiega się wpływowi wilgoci powietrza.

Liard mniema, iż przez dodanie niewielkiej ilości kauczuku do oleju preparowanego do lamp, widocznie powiększa się światło; w tym celu radzi na 1000 części oleju preparowanego do lamp, dodać 50 części kauczuku.

(Bulletin de la Société d'encouragement. Octobre 1854).

Nowe kopalnie bursztynu (1).

W jeziorze Anger w Kurlandji, o 2½ wiorst od wschodniego brzegu morza i tyleż na południe zatoki rygskiej, znaleziono nowe pokłady bursztynu. Poziom jeziora tego jest nieco niższy, aniżeli morza.

Po rozpoczęciu kopania kanału osuszającego jezioro, znaleziono kosztowne kawałki bursztynu, a kiedy woda opadła, bursztyn w tak wielkiej okazał się ilości, iż ze sprzedaży jego zebrano do 4000 rsr.

Zarząd dóbr skarbowych angerskich, podzielił nowo odkrytą kopalnię na oddziały, oddając wyrabianie bursztynu w przedsiębiorstwo.

Wykaz złota, platyny i osmirydu, wydobytych w 1-szém półroczu 1854 r. w zakładach grzbietu gór Uralskich.

	Pud.	Funt.	Złot.	Dolie.
I. Zakłady skarbowe.				
Ekaterynburskie	16	26	72	—
Z zużycia w pracowniach chemicznych odciągnięto	—	6	4	—
Złotoustkie	23	18	17	—
Bogosławskie	29	7	95	—
Goroblahodatskie	5	1	58	—
Razem z rządowych	74	20	54	—

(1) Bursztyn, zowie się po rosyjsku, po czesku i w wielu narzeczach słowiańskich: jantar; my zaś z niemiecka zowiemy go bursztynem (Bernstein, niby Brenstein, pałący się kamień).

II. Zakłady prywatnych.

	Pud.	Funt.	Zolot.	Dolie.
Werch-Iseck, Korneta Gw. Jakowlewa,	18	6	72	—
Niżno-Tagilsk, pp. Demidowów . . .	9	11	4	—
Sysert, spadkobierców Turczaminowa.	18	36	92	—
Kiszymsk, spadk. kupca Rastorgujewa.	7	30	19	—
Z dzierżawy wschodniej części, Rz. R. S. Alex. Wsiewołożskiego	4	1	54	—
Z dzierżawy północnej części, Rz. R. S. Nikity Wsiewołożskiego	5	4	63	—
Krzywowozdwiszensk, księżnej Butery.	7	14	1	—
Niwiansk	8	3	25	—
Szajtansk, Jarcowa	2	30	39	—
Płóczki Bilimbajewskie, hr. Strogonow.	—	32	11	—
— Iltabanowskie gener. lejtn. Zem- czuznikowa i Sp.	—	21	10	—
— Burzjanskie tegoż gener. lejtn. Zemczuznikowa i Sp.	1	17	87	—
— kupca kungurskiego, Dym. Bie- łotowa i Sp.	1	6	44	—
— — ekaterynburgskiego, Ni- kona Uszakowa	—	8	56	—
— — — Jana Jakuszewa	1	27	67	—
— — — Jakuszewa	3	4	39	—
— — — Rjazanowa	—	9	75	—
— — — Dym. Białego	1	25	44	—
— — — J. i Al. Rjazanowa.	—	17	64	—
— Troickie. Taj. R. Zukowskiego i spółki.	3	31	33	—
— Rady fabr. Bołotowa i braci jego.	—	22	85	—
— SS. Achmatowa i kupca troic- kiego Bakakina	2	9	92	—
— Isauła Pawła Kołbina	2	4	12	—
— ekaterynburgskiego kupca, Ani. Rjazanowa	3	30	11	—
— kupców ekaterynb. Rjazanowa i wolskiego Rostorgujewa.	1	34	34	—
— Rad. Dw. Anast. Ustynowój.	—	19	72	—
— kupca ekaterynburgskiego Jana Taranowa i spółki	—	—	—	—
— kupców troickiego, Kozicyna i szujskiego Bołotowa	1	9	50	—
Do przeniesienia.	109	16	4	—

	Pud.	Funt.	Zołot.	Dolie.
Z przeniesienia	109	16	4	—
Płóczki kupca troickiego, Pawła Bakokina.	1	23	67	—
— ekaterynburgskiego, Włod. Kazańcowa	1	30	82	—
— kanikolskie, wice admirałowej Elz. Szeszukowej.	—	—	6	—
— kupca woskresieńskiego, Sym. Sygowa	1	8	33	—
— kupca czelabeńskiego, Igora Popowa i spółki.	—	38	73	—
— braci Jana i Ale. Rjazanow, kupca woskresieńskiego Sygowa i ekater. Wł. Kazańcowa.	—	11	61	—
— szambelana Rjumina	—	39	56	—
Razem z prywatnych	116	7	94	
III. Oddane na korzyść skarbu.				
Przez kupców troickich:				
Alex. Bakokina,	—	—	—	42
Porf. Szyszkowskiego.	—	—	—	12
Przez kupców ekaterynburgskich:				
Jana Tarasowa	—	—	—	90
Poljeukta Korobkowa.	—	—	—	12
Anic. Rjazanowa	—	—	—	92
Baz. Charytonowa	—	—	—	10
Eugen. Rjazanowa	—	—	—	79
Mich. Klonowa	—	—	1	72
Eustratesa Sleanowa.	—	—	2	46
Gawryłę Kazancowa	—	—	—	36
Jana Jakuszewa.	—	—	—	90
Michała Nurowa.	—	—	—	20
Djomedesa Baładyna.	—	—	1	10
Tekłę Tarasowę.	—	—	—	20
Przez dołmatowskiego kupca Piotra Syropatowa				
— żonę Rad. Dw. Anas. Ustanową.	—	—	—	45
— b. oberbergmejstra 7-ój kl. Fildelfa Sołoninowa	—	—	—	20
— b. podpułk. Chanżyna	—	—	—	10
— żonę asała Pawła Kolbina	—	—	—	23
—	—	—	—	48
Do przeniesienia.	—	—	11	21

	Pud.	Funt.	Złot.	Dolle.
Z przeniesienia	—	—	11	21
Przez wdowę po kupcu, Maryą Korobkowę	—	—	2	36
— żonę b. podpułk. Awdjewa	—	—	2	48
— b. podpułk. Awdjewa	—	—	5	—
— kupca z Kiachty Szestawa	—	—	—	36
— podpułk. And. Bobylewa	—	—	—	24
— Rad. Dw. Igora Szachuryna i sekr. gub. And. Kresowskiego	—	—	—	18
— żonę poru. Olimpiadę Bardenau	—	—	—	60
— b. podpułk. Jana Lapina	—	—	—	2 $\frac{7}{8}$
— żonę Rad. kol. Bogumiłę Heppen	—	—	—	4
— żonę Se. ko. Eufemią Achmatową	—	—	1	26
— kupca armazowskiego Podsosowa	—	—	1	24
Razem na korzyść skarbu.	—	—	24	93 $\frac{7}{8}$
Złota ogółem z skarbowych i prywatnych zakładów	190	28	76	93 $\frac{7}{8}$
Platyny i Osmirydu.				
<i>a) z zakładów rządowych.</i>				
Złotoustskich	—	3	94	—
Bogosławskich	—	1	10	—
	—	5	8	—
<i>b) z zakładów prywatnych.</i>				
Bilimbajewskich	—	—	18	84
Werch-Iseckich	—	4	—	—
Kupca woskresińskiego Sygowa	—	1	40	—
	—	5	58	84

(Z dziennika ross. Wiadomości rękodzielne i górnicze nr. 40, z października 1854 r.).

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Dowiadujemy się z pewnego źródła, że jeden z młodych a nieznanych dotąd badaczy, zebrał obfite materiały do życiorysu sławnego Tyzenhauza, którego postać tak świetnie zajaśniała w czasach panowania Stanisława Augusta, i powinna zająć znakomitą kartę dziejową tych czasów, tak mało dotąd rozjaśnionych. Znalazły się pliki oryginalnych listów samego króla Poniatowskiego pisane do Tyzenhauza. Listy te okazują i charakter tego monarchy, i stosunki z nim przyjacielskie Tyzenhauza. Wiele ocalono zabytków w tym przedmiocie, wiele jeszcze do poszukiwań zostało: te wszakże, co skrzętne zabiegi młodego badacza potrafiły zgromadzić już są bardzo ważnymi a nieznanymi dotąd materiałami dziejowymi. Ufamy po gorliwości jego, że wkrótce szczegółową ogłosi wiadomość o zebranych zasobach w tak ciekawym przedmiocie.

— P. Maxymilian Fajans, wydawszy teraz po kilkoletniej przerwie zeszyt ósmy, „Wizerunków polskich” obejmujący portrety: Augusta Cieszkowskiego, Józefa Gołuchowskiego i Antoniego Wagi, z okładką allegoryczną zastosowaną do kierunku prac tych mężów, ogłosił, że dalsze poszyty, aż do uzupełnienia pierwszej seryi (obejmującej 15 zeszytów) następować będą jedne po drugich, mniej więcej w przerwach jedno-miesięcznych. Każdy zeszyt złożony z trzech portretów z tekstem, w allegorycznej okładce kosztuje rs. 1.

— J. I. Kraszewski po kilku-tygodniowym pobycie w Warszawie już opuścił nasze miasto. Wykończy on nową powieść p. n. „Góra z górą” którą będziemy drukować w naszym piśmie.

— Poezye Jana Prusinowskiego w dwóch tomach mają się drukować nakładem jednego z księgarzy naszych.

— Zygmunt Kaczkowski nadesłał powieść w rękopiśmie p. n. „Bajronista”, którą ogłosi drukiem Gazeta Warszawska.

— S. Orgelbrand po wydaniu 7 i 8 tomu Historii powszechnej C. Cantu, drukuje tom 9; całe dzieło obejmie tomów 10: wkrótce więc w zupełności otrzymamy je z rąk starannego wydawcy. Tłumacz z bogactwa je notami wielce nas obchodzącymi, i ma dołączyć treściwy obraz literatury słowiańskich ludów.

— Gustaw Sennewald przygotował do druku dzieło Ejchoffa: „Obraz literatury średniowiecznych czasów”. Przekład tego ważnego dzieła dokonała p. Seweryna z Żochowskich Pruszkowa, a sprostowania samego oryginału, poprawki co do rzeczy słowiańskich, i dodatki potrzebne opracował W. A. Maciejowski. Tak dzieło to jakby w poprawnym wydaniu, ubogacone wielu szczegółami, wyjdzie u nas z druku we 2 tomach.

— S. Orgelbrand drukuje obecnie Żywoty biskupów wileńskich we 2 tomach. Dzieło to znanego w naszej literaturze Alojzego Osińskiego, który życie swoje całe poświęcił ogromnej pracy, napisania słownika języka polskiego; ale rozmiar jej był tak wielki, że zabrakło życia pracowitemu autorowi na wykonanie zupełne. Zostały więc tylko ogromne materiały, z których żadna ręka nic nie zbuduje, bo tajemnicę ułożenia ich w kształtną budowę, zabrał z sobą do grobu ś. p. Osiński. Wizerunek autora będzie dodany do tego dzieła.

— Nakładem K. Bernstejna, w litografii M. Fajansa, wydane zostało: „Wesele w Ojcowie, balet z muzyką na orkiestrę Jana Stefanie-

go, ułożony na fortepian przez Romualda Zientarskiego." Wydanie tak jest ozdobne, jak u nas dotąd nie widziano. Główna okładka rysunku Kostrzewskiego, przedstawia scenę, kiedy powracają na wozie państwo młodzi od ślubu, poprzedzeni drużbą na koniu, który powiewa buławą przystrojoną suto we wstęgi. Cały ten rysunek i układ, tak postaci organisty jak i krakowskich kmieci witających powrót państwa-młodych, jest pełen prawdy i gustu. Nie powiemy tego o winietach wśród tekstu muzyki: p. Kostrzewski widać zanadto pragnął uwiecznić postaci naszych baletników i baletniczek, i zamiast dziarskich krakowiaków i hożych dziewoi krakowskich, których dał nam na tej okładce, dagerotypował i to niebardzo szczęśliwie pierwszych. Brzydka karykatura organisty błogosławiącego państwa-młodych, nie powinna znaleźć tu miejsca: sama uroczysta chwila, powinna być inną postacią natchnąć artystę, a nie ściągniętą ze sceny, w której baletnik wytwarza się, i trefnisuje dlatego, aby zyskał poklask i śmiech obudził. Co ujdzie lubo nie zawsze na scenie, tego niech nie dotyka ołówki artysty, jeszcze w wydaniu tak pięknym, które się rozejdzie po całym kraju. Ani treść muzyki, ani rzecz sama, nie upoważniają wcale do karykaturowania postaci. I sam p. Kostrzewski, na okładce, wywiązał się z zadania artystycznego, dając nam postać organisty, trzymającego w jednym ręku dzban, w drugiej potrząsając czapką. Cała figura rubaszna, a jednak nie przeszła w karykaturę, jak to widzimy w winietce. Panowie artyści zrozumieć powinni, że w naszym kraju nie przyklasną chociażby najdowcipniejszym karykaturom, gdy te cel mają wysmiać i wyszydzić rzecz poważną. Jeszcze się nie zatarło uczucie piękna, i słuszną zawsze protestacją wywołuje zapomnienie się, chociażby najzdolniejszego artysty.

— Nakładem Henryka Natanson'a, jako ciąg dalszy „Wyboru przykładów z wzorowych pisarzy zagranicznych.” wyszła powieść Fryderyki Bremer w 2 tomach p. n. „Nina.” W dalszym ciągu wydawca zapowiada nam ogłoszenie powieści Dickens'a: „Dawid Copperfield.”

— P. Seweryna z Żochowskich Pruszkowa przygotowała do druku poemat p. n. „Sebastyan Klonowicz.” Poemat „Elżbieta Drużbacka”, drukowany częściowo w Gazecie Codziennej, wyszedł oddzielnie, powiększony wstępem i obszernymi historycznymi przypisami, które dowodzą tak pracy i wytrwałości, jako też zgłębienia i zbadania gruntownego przedmiotu. P. Pruszkowa, imię Drużbackiej rozpowszechniła na nowo w kraju naszym.

Kraków. „Poematu „Mohort”, którego pierwsze wydanie już wyczerpano, druga edycja przygotowana.—Książę Leon Sapieha dozwolił wystawić na widok w Krakowie pomnik z marmuru karraryjskiego, dłuta naszego młodego artysty Henryka Sztatlera, który obecnie znajduje się w Rzymie; pomnik ten będący pamiątką po dzieciach księcia, zmarłych w kraju, przeznaczony jest do Krasiczyna, gdzie w kaplicy zamkowej umieszczonym zostanie.—Na ogólnym zebraniu członków Towarzystwa gospodarczo-rolniczego krakowskiego w dniach 18 i 19 czerwca r. b., w miejsce zmarłego Piotra Michałowskiego obrano prezesem p. Michała Badeniego, a wice-prezesem hr. Henryka Wodzickiego.”

— Gazeta Codzienna drukuje obecnie w swoim odcinku powieść Dr. T. Tripplina p. n. „Kobieta z głową.” Powieść ta po ukończeniu wyjdzie oddzielnie.

— W Petersburgu p. Popów wydał dzieło p. n. „Poselstwo rosyjskie w Polsce w latach 1673 do 1677 r.” Rzecz sama dla naszych dziejów wielce ciekawa i zajmująca.

— Jan Kanty Gregorowicz przygotował do druku we 2-ch tomach kilka powiastek i obrazów z życia ludu p. n. „Domowa strzecha”; ukończył zarazem seryą drugą swoich „Zarysów wiejskich”, których pierwsza serya ustaliła imię autorowi. Mamy nadzieję, że obiedwie te prace wkrótce zostaną ogłoszone drukiem.

— Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki odrodzenia po koniec wieku XVII w dawniej Polsce, już w pierwszej seryi zupełnie ukończone zostały. Wyszły bowiem dwa ostatnie tej seryi zeszyty, 23 i 24 obejmują: relikwiarz na głowę św. Floryana; infula Tomasza Strzemińskiego (rok 1455—1460); relikwiarz św. Zygmunta w skarbcu katedry krakowskiej, i grobowiec Fryderyka Jagiellończyka kardynała w katedrze krakowskiej. Przytém jest dodana chromolitografowana okładka do spisu prenumeratorów na pierwszą seryą tego dzieła. Ze spisu tego dowiadujemy się, że wydawcy znaleźli 505 prenumeratorów, co u nas jest bardzo znakomitą cyfrą, i okazuje wielkie spótczucie dla przedsięwzięcia tego. Sądzimy, że wydawcy, którzy żadnych widoków materialnych nie mieli i nie mogli mieć na celu, w tém przyjęciu znajdują podniecie do dalszego postępowania na tej drodze. Wydanie tych 24 zeszytów trwało lat dwa przeszło: teraz spodziewamy się, że gdy zakład p. Fajansa już zupełnie urządzony, i postawiony na właściwej stopie i rozwoju: następna serya prędzej wydana zostanie, a publiczność nasza nie odmówi dalszego poparcia tak pięknej myśli i sumiennemu wykonaniu, przez liczną prenumeratę.

Wilno (z listu). „Donoszę z pewnego źródła, że M. Malinowski ukończył oddawna IV tom Wapowskiego. Jeżeli dotąd nie wyszedł i nie zaspokoił oczekiwania prenumeratorów, którzy lat kilku daremnie go wyglądają: wina ciąży na wydawcy, a nie na tłumaczu. Nowy nasz księgarz Maurycy Orgelbrand, rozwija czynność niemałą: oprócz ogłoszonego prospektu na Słownik języka polskiego, kończy w druku: „Baka odrodzony” znane wydanie wierszy księdza Baki, z nową przedmową Wł. Syrokomli; Apollina Korzeniowskiego poezye: „Strofy oderwane, i Komedia” dramat, któryście dali poznać w swojej Bibliotece. Wkrótce tegoż nakładem wyjdą: „Żywot świętej Jadwigi, studjum historyczne K. Lipnickiego, i przekład dzieła ojca Ventury: „La raison philosophique, et la Raison Catholique: tłumaczył znany w literaturze naszej Michał Bohusz Szyszko. Samo dzieło zyskało już rozgłosną sławę w literaturze europejskiej.

— Ogłoszoną została Najwyższa ustawa o muzeum starożytności i o tymczasowej archeologicznej kommissyi w Wilnie. Godność kuratora muzeum i prezesa archeologicznej kommissyi nadaną została Eustachemu hrabi Tyszkiewiczowi, jako założycielowi muzeum, który piękne swoje zbiory na ten cel złożył. Spodziewamy się wkrótce wiadomości co do uorganizowania się tak kommissyi archeologicznej, jak i otwarcia muzeum starożytności w Wilnie, a zapewne i zawezwania do pomocy w pracy uczonych naszych, którzy się dali w tym zawodzie poznać.

— W tej właśnie chwili, kiedy otrzymujemy wiadomość o ukończeniu w przedruku tomu I Słownika Lindego we Lwowie, odbieramy zapowiedź księgarza Maurycyego Orgelbranda z Wilna, o zamierzonym wydawnictwie nowego słownika języka polskiego. Podajemy ją tu w całości: „Postrzegając zupełny brak w naszej literaturze polskiego słownika, i przekonany o gorących chęciach publiczności posiadania podobnego dzieła, przy coraz wzmagających się potrzebach i kwitnieniu języka: przedsięwziętem zająć się wydaniem słownika języka polskiego w rozmiarach i objętości, odpowiednich potrzebom nie tylko kształcącej się młodzieży, która nie obznajomiona należycie z właściwymi naszej mowie wyrażeniami, pomimo woli i wiedzy częstokroć jej uchybia, i dla współziomków w języku ustnym lub pisanim niezrozumiałą się staje, lecz też i potrzebom osób, lubo posiadających rodzinny język, wątpiących wszakże co do właściwości niektórych wyrażen, rządu lub pisowni; zresztą wszystkich nieobeznanych z naukowemi terminologicznemi nabyciami naszej mowy, a nie mogących nieraz z samego przedmiotu, znaczenia ścisłego wyrazów ani pojąć, ani odgadnąć. Takito słownik uznawszy za konieczny, czując zarazem cały ogrom trudności pod wielu względami skutecznienia tego zamiaru, i niepodobienstwo

obarczenia jednej osoby tak ogromną pracą, mogącą się na lata przeciągnąć; osądziłem za właściwe, pracę tę rozdzielić na osób kilka: raz, by w części wypełnienie jej przyspieszyć; powtóre, by dzieło, przez różne zdania przechodząc, tém samém poprawniejszem i dokładniejszym się stawało. Pomysł mój początkowo powierzony tutejszemu nauczycielowi historii Alexan. Zdanowiczowi, znalazł w nim szczerze wsparcie i współczucie. On też niezwłocznie zajął się skreśleniem planu i programu pracy; w skutek tego, jako też wzajemnej narady, do współudziału w wykonaniu słownika zaproszeni zostali, oprócz pana Alex. Zdanowicza, p. January Filipowicz (redaktor niegdyś wydawanego pisma „Lud i Czas” i współpracownik tłumaczonego, a tylko co wydanego „Wykładu chemii” Stöckhardta, i Michał Bohusz Szyszko od lat już wielu publiczności znany, jako wyborny tłumacz). Szlachetni współpracownicy do wykonania podjętych na się części z takim zapalem i oddaniem się przystąpili, że moglibyśmy druk rozpocząć w nader krótkim czasie. Względ jednak na dokładność dzieła i nieprzerwane jego wydawnictwo, powstrzymuje nas od ogłoszenia prospektu; mamy bowiem na celu, najprzód uzbierać i uporządkować materiały, a dopiero po zupełnem dokonaniu całej pracy, ogłaszać ją drukiem, tak nieprzerwanie wydając, by publiczności i własnym widokom zadość się stało. Ogłoszeniem zaś niniejszem mamy na celu nietyle chwilowe zaspokojenie publiczności, oczekującej na słownik czysto-polski, jak raczej uproszenie zacnych badaczy rodzinnego języka, by uzbierane, lub zbierające się przez nich, dla własnej potrzeby lub przyjemności materiały, łaskawie nam udzielić raczyli. Wiadomo nam, że wielu literatów zwykło przy czytaniu książek notować nowo-odkryte, lub w pomnikowém dziele Lindego ominięte, a nigdzie jeszcze zbiorowo nie ogłoszone wyrazy; że podobne notaty nie są tak uporządkowane, by już do druku pójść mogły: o takie właśnie materiały, jako mogące się przyczynić do wzbogacenia naszego słownika, pod tym względem wyrażen, najuprzejmiej prosimy. Nietyle bowiem zależy nam na obróbeniu, jak na samych wyrażeniach, które wedle potrzeby i rozmiaru przedsiębranego przez nas dzieła, znajdują w niem miejsce. Spodziewamy się przeto, że dbający o bogactwo naszego języka i treściwe wykazanie tego bogactwa na korzyść ogółu, nie odmówią udzielenia nam surowych notat, nie objętych przez dotychczasowe, tyżące się języka polskiego słowniki. Pod takowego rodzaju materiałami, rozumiemy wyrażenia nietylko w pospolitej mowie używane, lecz też do specjalnych nauk i wiadomości należące; słownik nasz bowiem ma na celu objąć wszystkie znane dotąd tak w ustnej, jak i pisaniej naszej mowie wyrazy. O ile miejscowe środki i siły współpracowników starczą, o tyle materiały do słownika wyszukują się głównie z drukowanych nomenklatur. Niepodobna jednak, przy małym u nas zasobie takowego rodzaju źródeł, wszystkich wyrazowych znaczeń i odcieni naszej mowy wyczerpując, a tém samém całkowicie ducha jej rozwiniąć; współczucie zatem tylko i dobra chęć publiczności, do osiągnięcia pożądanego skutku zamiar nasz doprowadzić zdołają. Jakkolwiek literacką publiczność naszą częstokroć o nieżyczliwość i zazdrość pomawiają, ani na chwilę nie chcemy przypuścić prawdopodobieństwa, by nasza prośba, ogólne dobro na celu mająca, nie znalazła echa jeśli nie w massie czytających, to przynajmniej w poczciwej liczbie współziomków. Tym razem ośmielamy się poszczycić współczuciem i nie wątpimy, że mające się nam udzielić od pojedynczych osób materiały, zajmą niejedną kartę w naszym słowniku, zobowiązując nas za ulżenie w nader mozolnej pracy, do jak najszczerszej wdzięczności. Naturalną jest rzeczą, że na udzielenie nam materiałów o tyle tylko czekać będziemy, o ile czasu na uporządkowanie naszych własnych stanie, a czas ten nie potrwa długo. Jeśli przeto ktokolwiek przybyć nam w pomoc zechce, prosimy o pośpiech w nadsyłaniu materiałów, pod adresem podpisanego, pocztą, lub za pośrednictwem p. S. Orgelbranda w Warszawie.

Kończę wyłączną prośbą do redakcyj wszystkich pism polskich, by niniejszą odezwę w kolumnach swoich, nawet kilkakrotnie raczyły w całości ogłosić, a zarazem zachęcić swych przyjaciół i znajomych, do niesienia nam pomocy, za którą zawsze i wszędzie nieskończoną wdzięczność wynurzyć nie omieszkamy.

O szczegółówem wydawnictwie Słownika, to jest objętości, cenie i czasie publikacyi, oddzielny prospekt we właściwym czasie doniesie.

Wilno, 13 czerwca 1855 roku.

Maurycy Orgelbrand."

— Stanisław Jachowicz przygotował do druku „Drugą książkę dla rzemieślnika”.

— B. M. Wolff w Petersburgu wydał w powtórnej edycyi powieść J. I. Kraszewskiego „Ulana.” W zawodzie literackim tego ulubionego pisarza, powieść ta wydatnieje głównie z tego powodu, że od niej J. I. Kraszewskiego zaczyna się nowy zwrot w powieściach jego. Od Ulany bowiem (a napisanej z prawdziwego zdarzenia, bo dotąd zwłoki jej w trumnie pod dworem tego, który ją ukochał, spoczywają) idzie szereg coraz piękniejszych a prawdziwie krajowych powieści. Ułana była za-
powiedzią i nie zawiodła oczekiwania.

— Nakładem tegoż księgarza wyszła powieść Zygmunta Kaczkowskiego p. n. „Wnuczęta” w 4 tomach. Dotąd autor ten poświęcał pióro wyłącznie odwzorowywaniu przeszłości naszej: teraz zaczyna kreślić postaci naszej żyjącej społeczności, a główną sceną jest Galicya. P. Wolff wydał także tom I, Historii powszechnej kościoła Jana Alzoga: tłumaczenie przejrzane i uzupełnione przez ks. Stanisława Kraszińskiego kanonika wileńskiego. Poprzednio pani Belejowska już zaczęła przekład tegoż dzieła, do którego przypiski i dodatki znów dwóch uczonych naszych ma dołączyć. Załujemy tego współzawodnictwa w jednym przedmiocie, bacząc jak u nas mały jest pokup książek tego rodzaju, i jak na niskim stopniu stoi handel księgarski.

— P. Papłowski zajmuje się przekładem z języka łacińskiego na polski dzieła Kruzege pod tytułem: „Chronicon Nortmannorum”. (Tłumacz jest imiennikiem uczonego warszawskiego Jana Papłowskiego).

— Edward Ostrowski b. professor Instytutu agronomicznego w Marymoncie pod Warszawą, który wykładał weterynaryę, a obecnie professor wyższej szkoły weterynaryjnej w Charkowie, stanął na czele wyprawy naukowej do stepów Kirgiz-kajsackich. Stepów te ciągnące się za Uralem, wzdłuż morza Kaspijskiego, wielkie zawierają bogactwa dla badacza naukowego.

† Dnia 20 czerwca r. b. umarł w Warszawie w kwiecie wieku, bo w 20 roku życia, Gustaw Waliszewski, młodzieniec rokujący najpiękniejsze nadzieje, znany z kilku rozpraw drukowanych.

† Dnia 26 czerwca w 70 roku życia zmarł w Warszawie Antoni Lelowski referendarz stanu, b. kommissarz fabryk przy Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych, dawniej redaktor dziennika Izys: mąż znany z prawości charakteru i nauki.

† Tegoż dnia umarł w Krakowie Jan Hieronim Stefan Rzesiński doktor filozofii i obojga prawa, adwokat sądów tamecznych, professor Jagiellońskiego uniwersytetu, a przedtém adjunkt przy bibliotece tegoż uniwersytetu pod J. S. Bandtkiem, którego był najulubieńszym uczniem. Oprócz ogłoszonych dzieł i rozpraw drukiem, zostawił w rękopiśmie pomiędzy innymi znakomitą pracę p. n. „O filozofii w Polsce i jej historii”.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Czerwiec, 1855.

Czerwiec 1855.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatorium Astronomiczném Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14m. 45s., 7 czyli w łuku 18°41'25", 5 wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stusstopniowy				Względna wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z		
	6	10	4	10	6	10	4	10		6	10	4	10	6	10	4	10	dé-	Śnie-	
	god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.		godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.	szczu	gu	
1	749.47	749.45	748.26	751.11	+ 17°.1	+ 23°.4	+ 16°.7	+ 15°.4	85.0	smugi	lek. zamgl.	pochmurny	pogodny	PdW.	PdW.	w.	PdW.	18.6		
2	752.83	753.22	753.09	753.39	16.2	21.3	25.4	18.4	81.2	lek. zamat.	napół pog.	pochmurny	pochmurny	—	—	PdW.	PdW.			
3	752.53	751.77	750.75	750.57	19.7	26.2	33.3	22.8	69.0	smugi	smugi	napół pog.	pr. pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			
4	750.81	750.66	750.28	751.57	23.3	27.6	26.3	18.9	67.9	pogodny	pr. pogodny	pochmurny	dészcz	PdZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	4.0		
5	753.35	753.97	753.96	754.80	17.5	21.7	23.3	17.1	65.8	lek. pochm.	lek. pochm.	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	—	2.4		
6	755.51	755.52	753.87	753.74	16.1	18.8	22.9	16.9	60.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	Pn.	Pn.	PnW.			
7	753.86	753.59	753.20	753.00	15.1	21.0	23.9	17.1	61.2	pogodny	pr. pochm.	lek. pochm	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	—			
8	755.05	754.97	754.38	754.78	17.7	21.7	25.6	17.9	61.5	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	—	W.	PdW.	—			
9	755.29	755.13	754.30	754.96	18.1	23.1	26.2	18.3	54.8	smugi	chm. niej.	smugi	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	—			
10	754.77	754.74	753.81	755.42	19.2	25.6	26.4	18.5	63.5	smugi	smugi	napół pog.	pochmurny	PdW.	Pd.	Z.	PnZ.			
11	756.72	757.24	755.93	755.82	16.1	18.7	23.6	17.7	54.2	napół pog.	pogodny	pogodny	smugi	Pn.	Pn.	PnZ.	—			
12	755.68	755.97	753.64	753.35	16.2	20.6	26.1	17.9	60.3	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	—	PnW.	—	—			
13	752.64	751.98	749.39	747.53	17.6	23.3	27.3	19.6	60.7	pogodny	pogodny	ch. przy po.	pr. pogodny	—	Pd.	—	—			
14	745.53	744.23	741.85	744.89	20.1	25.6	33.7	18.1	67.0	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pochmurny	PdW.	Pd.	Pd.	Z.	1.6		
15	747.97	749.16	748.98	747.98	18.9	20.0	19.2	15.8	78.0	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Pd.	PdW.	1.2		
16	745.48	742.53	741.19	740.96	16.0	26.1	30.6	22.8	63.8	lek. mgła	pr. pogodny	lek. zamat.	pr. pogodny	PdW.	Pd.	PdZ.	Pd.			
17	744.80	746.53	746.13	747.22	17.2	21.5	21.8	16.1	75.7	pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	Z.	3.6		
18	750.75	752.37	752.91	753.23	14.6	17.8	23.0	16.5	62.0	napół pog.	pr. pogodny	pr. pochm.	pr. pochm.	Z.	PdZ.	Z.	Pn.			
19	751.95	751.41	750.00	746.64	13.7	14.8	14.9	14.2	92.5	dészcz b.dr.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	PnW.	PnW.	5.0		
20	744.84	744.81	746.73	748.53	16.0	23.1	20.9	18.4	85.5	pochmurny	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	PnW.	w.	Z.	Z.	9.2		
21	748.33	747.81	747.45	749.34	19.5	23.4	16.0	15.0	84.8	pogodny	pogodny	dészcz	pochmurny	PnW.	Pn.	PdZ.	PdZ.	41.2		
22	751.51	752.21	751.07	750.33	13.9	18.3	21.9	17.7	73.7	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	PnW.	PnW.			
23	748.63	748.83	746.71	745.95	15.5	20.4	23.1	16.3	78.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	Pn.	PnW.	Z.	—	2.4		
24	744.22	743.47	742.27	743.37	16.7	21.1	20.2	15.2	76.5	pochmurny	napół pog.	napół pog.	pochmurny	PnZ.	PnW.	PnZ.	PnZ.	3.2		
25	747.19	748.85	750.95	752.41	11.2	13.6	15.1	11.2	75.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	—	1.4		
26	752.76	752.66	751.55	751.97	12.0	16.7	20.7	16.0	66.2	smugi	pr. pogodny	pr. pochm.	pochmurny	—	Pn.	Z.	—			
27	751.42	752.12	753.09	756.14	15.1	16.4	18.7	10.7	70.0	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	PnZ.	PnZ.	Pn.	PnZ.			
28	756.50	756.84	755.42	754.85	9.7	15.4	17.5	15.6	63.0	pogodny	smugi	pochmurny	pochmurny	—	PnW.	PnZ.	PnW.			
29	753.60	754.31	754.09	753.88	15.0	17.7	16.8	14.0	56.8	lek. zamat.	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.			
30	753.71	754.48	753.34	753.50	12.0	17.8	19.7	14.0	69.7	napół pog.	smugi	napół pog.	dészcz	Pn.	Pn.	PnZ.	Pn.	7.6		
Śre.	751.255	751.361	750.617	751.041	+ 16°.23	+ 20°.76	+ 22°.59	+ 16°.80	69.5										101.4	

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.069	27	8.946
Najwyżej barometr dochodził d. 11 o g. 10 r.	757.24	27	11.682
Najniżej — — — d. 16 o g. 10 w.	740.96	27	4.465
Średnia zmiana dzienna barometru	2.959		1.311
Największa zmiana dzienna barometru d. 24—25 o g. 10 wiecz.	9.04		4.007
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	2.627		1.165
Średnia temperatura czerwca wynosi: i ta jest wyższa o	748.442	27	7.781
od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	+ 19°.10	C.	+ 15°.28 R.
Największe ciepło było d. 3 o g. 4 w.	1.52	„	1.22 „
Najmniejsze było d. 28, o g. 6 r.	+ 17.58	„	+ 14.06 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	33.3	„	26.64 „
Największa zmiana dzienna temperatury	9.7	„	7.76 „
d. 14—15 o g. 4 wiecz.	3.061	„	2.449 „
Termometrograf wskazał:	11.5	„	9.20 „

Maximum: +26°.7 R. d. 3 po połud.
Minimum: + 6°.2 „ d. 26 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 69.5 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 11.33 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 0.01 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 101.4 mil. czyli 44.95 lin. par.; ilość ta wody jest o 15.87 lin. par. większa od tej, jaka średnio u nas w czerwcu spada.

Dni pogodnych było 5, napół pogodnych 16, pochmurnych 9.

— deszczu 15 (d. 1, 4, 5, 14, 15, 17, 19, 20, 21, 23, 24, 25, 28, 29, 30).

— gradu 1 (d. 1).

— mgły 1 (d. 16).

— grzmotów 5 (d. 1, 4, 14, 20, 21).

— błyskawic bez grzmotów 5 (d. 1, 4, 14, 20, 21).

Wichrów 2 (1 PdZ., 1 Z.).

Wiatrów mocnych 6 (3 PnZ., 2 PnW., 1 PdW.).

Wiatr panujący: północny; częste były także północno-zachodnie, północno-wschodnie i południowo-wschodnie.

Czerwiec r. b. przy wysokim stanie barometru, w pierwszych szesnastu dniach był pogodny, suchy i bardzo gorący; w następnych ośmiu, ciepły lecz niepogodny, wilgotny i w deszcz obfity; w ostatnich sześciu chłodny i niepogodny, w ogóle przeszło o jeden stopień R. cieplejszy niż zwykle. Największe ciepło rzadko w tym miesiącu zdarzające się dochodziło 26.7 stop. R. d. 3 po południu. Najcieplejsze dni były: d. 2, 3, 4, 8, 9, 10, 12, 13, 14, 16; najchłodniejsze d. 19, 25, 26, 27, 28, 29, 30. Pod względem pogody, miesiąc ten zbliżał się do stanu normalnego; stosunek bowiem dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych w r. b. był jak 5:16:9, w stanie normalnym stosunek tychże dni jest jak 5.3:14.6:10.1. Dzień 1 odznaczał się nadzwyczajnym uraganem wśród grzmotów, błyskawic deszczu i gradu i ten nietylko w Warszawie ale i w okolicach wiele szkód przysporzył. D. 21 nadzwyczaj obficie deszcz padał, w ciągu bowiem jednej godziny od 4 do 5 spadło wody z deszczu wysoko na 16.1 lin. par. Około środka tego miesiąca pojawiła się w Warszawie cholera.

DYARYUSZ ŻYCIA

IGNACEGO ŁOPACIŃSKIEGO

PISARZA SKARB. W. K. LIT., BRATA RODZONEGO WOJEWODY BRZESKIEGO.

Niech będzie pochwalony Bóg w Trójcy świętej jedy-ny, teraz, zawsze i na wieki wieków Amen, który jest początkiem i końcem wszystkich rzeczy, przez którego wszystko, w którym wszystko, który wszystko.

Pospolicie dwie ciekawości, acz nieprzynoszące zupełnego ukontentowania, miewają ludzie; to jest: zgadywać futura, wiedzieć praeterita. Przyszłe rzeczy, że są tylko samemu wiadome Bogu, podły to- jest i płochoy umysł duszy, oraz naganna usilność docie-kać onych przez jakiegokolwiek bądź sposoby, i nie obej-dzie się bez grzechu; de praeteritis zaś, chcieć być informowanym, nietylko rzecz jest nie naganna, ale owszem gnuśnego znak człowieka, który o nich nie chce wiedzieć, ile gdy z przeszłych rzeczy wielką każdy może mieć naukę do doskonałego postępowania, w okolicznościach wszelakiego czasu zdarzających się. A zatem jeżeli rzecz nienaganna szperać po różnych pismach, dowiadując się o tém co przeminęło: toć rzecz chwalebna i użyteczna podawać potomności to, co kto widzi, czyni i ponosi za żywota swego. Lecz że nie każdemu dał pan Bóg być w tej sytuacji, aby mógł swe dzieła ogłaszać światu; ci więc, których Opatrzność Je-go chciała mieć w mniejszej sferze, nie powinni ku po-wszechnemu czytaniu podawać dyaryusze życia swego,

ale przystojna rzecz zostawić je dzieciom swoim, aby z ojcowskich obrotów miarkowali swoje, a nadewszystko uważali providencją Boską, której nie masz czteka, aby widocznie przez trakt życia swego nie doznał.

Te ja więc mając pobudki, zaczynam w imię Pańskie, acz późno, bo już w 42 roku wieku swego, w terażniejszym 1763, miesiąca 9^{bra} dnia 6, a zatem to tylko do dzisiejszój dąty opiszę, co dowodniej i pewniej pamięć zniosta. A naprzód należy mnie wspomnieć o urodzeniu mojm tak z ojca i z matki.

Matka zaś moja z domu Święcicka strażnikówna mścistawska, urodziła się z Poniatowskiej, Poniatowska zaś z Wojnianki, Wojnianka z Połubińskiej, z téj więc dał mi się Bóg urodzić, w znacznej i licznej kolligacyi, w województwie mścistawskim, w dobrach od dawnego czasu imieniowi naszemu służących, to jest w imieniszczu własném, w Łopacinie, dnia 2 Febr. w dzień Najświętszój Panny Gromnicznój, roku 1722. Za łaską zaś Pana Boga ochrzczono mię tegoż roku dnia 8 Februar.; trzymał do chrztu świętego w piérwszój parze pan Władysław Poniatowski koniuszy mścistawski, brat stryjeczny rodzony matki mojej, z panią Zienkowiczową; w drugiej parze pan Pożarycki z panią Poniatowską koniuszynę; w trzeciej parze pan Teodor Kamiński kasztelanie mścistawski, z panią Barbarą z Ostrołęckich Pożarycką, przyrodnią siostrą matki mojej. Metryka znajduje się w Malatyczach; imiona Ignacy Błażej. Gdym już miał niedziel 15 czy mało co więcej, trafiło się, iż w nocy zagorzał budynek w którym ja byłem, i gdy każdy ratując własne życie, umykał z pod dachu; zapomnieli o mnie nawet te niewiasty, na których staranie byłem oddanym, i tam już mi zgorzeć przyszłoby, gdyby nie Opatrzność Boska i miłość dobrodziejki matki mojej, która ujrawszy zabudowanie całe w ogniu, z ażardem życia swego wskoczyła do środka i wyrwała mnie z ognia, opaliwszy sobie srodze nogi, gdyż jako to się stało w głuchą noc, tak wprędkości nie jój na siebie porwać nie przyszło. Z tego opalenia była w kuracyi blisko pół roku, musiano jój wyrzynać ciało dla zapobieżenia gangrenie. W początkach przypadła była maligna, z której o włos ek ten świat nie pożegnata; miała w chorobie niejakiś wi-

dzenie, objawiające jej długie życie. W tym zaś czasie gdy się urodził, umarł brat mój za mnie starszy, Antoni, mający lat 6; a wuj rodzony Władysław Święcicki, niewypowiedzianej siły kawaler, miesiącem czy więcej przed urodzeniem mojem został z zasadzki zabitym we własnym domu, w starostwie morymborskiem.

O śmierci Leona Łopacińskiego, opisuje Ignacy Łopaciński, protoplasta linii domu Jodzkiego.

Urodziłem się za króla Augusta II-go na schyłku życia jego; pierwój jednak nim król umarł, ojciec mój umarł i interregnum przebyliśmy w sieroctwie, gdyż ojciec nasz mający lat 70 bez mała, a cierpiąc wodną puchlinę przez pięć lat, zostawił mnie ośmioletniego, pożegnawszy ten świat roku 1732 dnia 14 Decembra. Umierał bardzo przykładnie: naprzód kilką dniami przed śmiercią, gdy brat mój pan Mikołaj powróciwszy z polowania, przyniósł jakąś zwierzynę z ptastwa, kazał onę zgotować nieboszczyk ojciec, i wokowawszy pana Mikołaja, błogostawił go temi słowy: „Jako Izaak przy zwierzynie błogostawił Jakóbowi, tak ja tobie daję błogostawieństwo.“ Zalecał oraz, aby mnie młodszego brata kochał, nie krzywdził, ale starał się dać dobrą edukacyą. Imci księdza Jana, łaźniejszego biskupa nie było, bo zostawszy kanonikiem wileńskim, nowicyat siedział w Wilnie, którego ojciec nieboszczyk żądał przybycia, lecz nie przybył aż już po śmierci. Gdy się przybliżał ostatni moment życia, rozesłał ojciec nasz, prosząc przyjaciół do siebie, a mianowicie Imci pana Poniatowskiego koniuszego, i Stanisława Pożaryckiego rejenta ziemi mściławskiej, i innych. Ci przyjechali w sam dzień śmierci, których temi słowy przywitał: „Dziękuję WW. Panom, że na pogrzeb mój przybyć raczyliście“, a już się był dnia tego dysponował na śmierć, o godzinie piątej z rana, i wziął wiatyk i ostatnie namaszczenie od Jegomości księdza Dobrzyńskiego przeora Dominikańskiego małatyckiego. Ten ksiądz przeor po daniu Najświętszych Sakramentów, odjechał,

ale przyrzekł na prośbę nieboszczyka wraz przystać kapłana; jakoż kapłan około dziewiątej godziny nadjechał, którego gdy ujrzał nieboszczyk ojciec, dziękował że go przystał ksiądz przeor, lecz ów kapłan nie chcąc trwożyć nieboszczyka, mówił, że jedzie z Pachowa i mimojazdem wstąpił: jakoż był tego dnia przyjechał z Pachowa. Na to mu odpowiedział nieboszczyk: „Rozumiałem, że mi Waćpana Jegomość ksiądz przeor przystał, ale widzę zapomniał o mojej prośbie; lecz sam Pan Bóg zdarzył mi Waćpana, abym miał przy śmierci księdza. Tandem około godziny 12, gdy goście siedzieli u stołu, poczuwszy się być słabszym, prosił do siebie księdza, obligując aby z nim akty mówił; gdy zaś już bardziej zaczął słabieć; żegnał matkę naszą a żonę swoją, dziękując jej za stateczną miłość małżeńską, i polecił jej nas w opiekę. Żegnał się oraz z przyjaciółmi upraszając przytomnych, aby mu urazy (jezliby miał kto jaką) darowali, a nieprzytomnych aby o to upraszali. Potem zaczął błogostawić JW. Mikołaja starostę mściławskiego, pannę Eufrozynę, terazniejszą panią Ciechanowiecką, pannę Krystynę, terazniejszą panią Naramowską, pannę Różę terazniejszą pannę Rachelę zakonnicę S. B. Ja zaś mały wybiegłem z tego pokoju, ale mię kazał zawołać, i rzekłszy te słowa: „Nie pilnujesz ojca, biegałbyś za nim, ale go nie będziesz miał.“ Potem wziął mnie za głowę, i długo błogostawieństwo swoje mówił pocichu; nakoniec kazał wszystkim ustąpić, tylko jednego księdza przy sobie zostawił, z którym akty mówił, póki miał jeszcze głosu; nareszcie szeptał, gdy zaś już mało miał respirium, dawszy w ręce gromnicę zaczął wołać: Jezus, Marya, Józef, które słowa wyraźnie cichem głosem nieboszczyk wymówiwszy, i krucyfiks pocałował; jedną nogę przykurczywszy trochę, a drugą wyciągnął i skonał wpół do trzeciej z południa. Tegoż momentu i źrenice się potoczyły: jedna spadła, a druga się zatrzymała jak perełka.

Nazajutrz nastąpił kondukt do Małatycz, a na trzeci dzień pogrzeb, na którym ksiądz przeor miał kazanie. Wyliczał cnoty nieboszczykowskie, a że nieboszczyk nie kazał siebie chować w kościele, ale na cmentarzu na tém miejscu, gdzie podczas processyi bapłan zawsze że-

gnał lud Przenajświętszym Sakramentem: kazano więc zrobić w dole zrąb nakształt sklepiku, i tam spuszczo-
no ciało, a na wierzchu położono dębową deskę, z napi-
sem od nieboszczyka podyktowanym za życia: „Tu leży
Leon grzesznik, prosi o troje Pozdrowienie Anielskie.”

Po śmierci ojca naszego, pod wiosnę nadjechał brat
nasz, terazniejszy biskup żmudzki, i życzył matce mojej,
aby mię do szkół oddała; po którego oddaleniu się
w ćwierć roku, pan Mikołaj pojechał do Wilna jeszcze
w żałobie, i rekomendowany został do dworu JW. Ale-
xandra Sapielhy marszałka wielkiego księstwa litew-
skiego, mnie zaś Imość Dobrodziejka matka nie oddała
zaraz do szkół, ale miała w domu dobrego nauczyciela
dla mnie, niejakiegoś Kuleszewskiego, który mi dał
pierwsze początki łaciny; potem oddany byłem do szko-
ły, alem jeszcze nie wyszedł z infimy, gdy nastąpiło in-
terregnum, bo król August IIgi podczas sejmu extra-or-
dynaryjnego umarł w Warszawie 1733 roku, i Rosyanie
pod komendą niejakiego Karosza do Mściszawia przy-
szli. Przed przyjściem zaś ich, fatalny tam był sejmik
przedkonwokacyjny, na którym się patrzył z chóru ko-
ścioła księży Karmelitów, natenczas jeszcze drewnia-
nego, bo nas niektórych małych studentów ksiądz Ko-
rejna prefekt zaprowadził nań i sam był z nami.

Po śmierci Lindorfa starosty mściszawskiego, otrzy-
mał przywilęj na to starostwo Felix Nikodem Ciechano-
wiecki starosta opeski, chorąży powiatu bractawskiego,
czyli téż podobno miał konsens i cessyą od Lindorfa,
i wjechał na to starostwo, tudzież gród ufundował, da-
wszy podstarostwo Rafałowi Szpinowskiemu horodnicze-
mu mściszawskiemu, sędztwo Kazimierzowi Kamieńskie-
mu kasztelanicy mściszawskiemu, który sprzedał czy
ustąpił Floryanowi Frąckiewiczowi natenczas kraje-
czemu mściszawskiemu; a pisarstwo Mężyńskiemu. W kilka
czasów za otrzymanym przywilejem, na téż starostwo
wjechał Alexander Wołłowicz referendarzyc litewski,
i takóž swój gród ufundował, dawszy podstarostwo Krzy-
stofowi bratu swojemu, sędztwo Swiatkowskiemu, a pi-
sarstwo Leonowi Iliniczowi. W krótkim czasie potem król
umarł, za nastąpieniem więc sejmików ante-konwokacyj-
nych, zjechały się oba grody do Mściszawia, i obie partye
bardzo licznie gdy zeszyły się do kościoła, postawiono

stół długi od kratak aż do ławek; po lewój stronie ołtarza wielkiego ulokowali się Wołłowiczowie z swoją partją, po prawej zaś Ciechanowiececy; zaczęli więc między sobą certować, i z certamentów przyszło do guzów. Pan Leon Ilinicz pisarz grodu Wołłowiczowskiego, mając w rękę siekierkę blachmalową staroświecką misternej roboty, chciał oną ciąć w łeb Szpilowskiemu podstarościemu, lecz się ten umknął; a Wołłowicz Stanisław wskoczył na stół i porwał się do szabli, a zatem obie partye nie próżnowały, ile, gdy Zawistowscy dwaj bracia, wyrócili stół na partją Wołłowiczowską. Trwała rąbanina blisko godziny, póki księża nie wyszli cum venerabilia. Partja tedy Wołłowiczowska wymknęła się z kościoła i sejmikowała na ulicy przy karczmie, gdzie obrano postami Jerzego Wołłowicza starostę parwińskiego i Żabę. Ciechanowiececy utrzymawszy się w kościele, tamże ze swoją partją sejmikowali. Obrano postów: Szpilowskiego podstarościę i Frąckiewicza sędziego, i ci potém weszli in activitate przy rugach na sejmie. W téj rąbaninie w obu partyach siła było porąbanych, najbardziej zaś byli cięci: Tołpycha, Dubiaha i Kozięł; dwóch zaś z ciężkiego porąbania wraz umarło: jeden sługa JPana Zuba, drugi szlachcic partykularny. Zapieczętowano tedy kościół z okazji okrwawienia, zwłaszcza że pan Krzysztof Tołpycha był cięty przy samym ołtarzu, który się jego krwią oblał. Po konwokacyi nastąpiła elekcya 1733 roku; obrano in loco electorali Stanisława Leszczyńskiego, a na Pradze dnia 5 Septembris pod karczmą Grochową przy assystencyi 7000 Rossyan, obrany jest król August trzeci, syn Augusta drugiego. Starostowie mścistawscy poszli w różne strony: Ciechanowiecki trzymał z Stanisławem, a Wołłowicz z Augustem. Między Rossyanami a między dywizjami polskimi partyi Stanisławowskiej różne zachodziły utarczki. Co do województwa mścistawskiego należy gdzieś się znajdował na ten czas, pamiętam to: iż tam pod komendą Kurosza było 4000 Rossyan, którzy nakłaniali szlachtę do zaprzysiężenia wierności królowi Augustowi. Zebrał był dywizyą Parczewski i chciał się łączyć z dywizyą Ogińskiego starosty przewalskiego, teraz kasztelana trockiego, ale ją Rossyanie w Humnach rozproszyli, gdzie i sam Parczewski został zabity.

Wołłowiczowie jako trzymali z Rosyją, tak wzięli górę w całym województwie mścistawskim. Szlachta przysięgać musiała przed starostą Wołłowiczem przy bytności Kurosza, dla której przysięgi przyjechała matka nasza do Mścistawia. Pytał się jej Kurosz, czy ma synów; lecz Wołłowicz starosta podchwycił ją odpowiadając: ma dwóch, jeden księdzem, a drugi w szkołach, mnie mianując; J Pana Mikołaja terażniejszego starostę zostawił. Uczynił to z przyjaźni, bo pan Mikołaj był już natenczas dworzaninem króla Stanisława, a to przez takie drogi: dom JO. książąt Sapiehów, prócz Michała Sapiehy wojewody podlaskiego, trzymał się króla Stanisława, a osobliwie Józef Sapieha marszałek litewski, natenczas ksiądz proboszcz katedry wileńskiej, który niewypowiedzianie był łaskaw na Jmci księdza biskupa brata naszego natenczas kanonika wileńskiego. Po śmierci więc marszałka ojca swego, wziął do siebie pana Mikołaja terażniejszego starosty mścistawskiego, a gdy król Stanisław od Moskwy rejterował się do Gdańska, spodziewając się tam otrzymać morzem sykurs od Francyi; Jmć ksiądz koadjutor Sapieha, natenczas proboszcz wileński, także pojechał do Gdańska i wziął braci moich. Tandem gdy Moskwa obległa Gdańsk, Jmci ksiądz Sapieha z bracią moimi zemknął do Warmii; wkrótce potem i król Stanisław, gdy już miasto szturmów wytrzymać nie mogło, uciekł łodzią z Gdańska do Kwidzyna, a potem do Królewca. Gdańsk zaś kapitulował się. Senatorów tam będących z prymasem Potockim, Moskwa w areszt wzięła. Gdy się tedy król Stanisław znalazł w Królewcu, i król pruski deklarował mu auxilium; zaczęli się panowie polscy tam zjeżdżać do niego, a najpierwszy przybył Jmć ksiądz Sapieha, mając przy sobie braci moich, z których starszy królowi kapelanował, a młodszy nadstugiwał; i posłany był od króla Stanisława z listami sekretnymi do Gdańska do senatorów w areszcie Moskwy będących, wszystkie warty przejechał przebrany po francuzku pod imieniem Włocha kupczyka (był bowiem bardzo młody, nie mając nad lat 19), i wszystkie listy poddawał, a z responsami do króla Stanisława powrócił, któremu, przeczytawszy król responsa senatorów, te słowa powiedział: „Masz szczęście, panie bracie, że cię nie pochwyciła Moskwa, bo

byś był obwieszony; lecz będę pamiętał, gdy zdarzy Bóg być w Warszawie”; tymczasem zaś wpisać go kazał w rejestr dworzan swoich. Bracia Imci księdza Sapiehy, jeden Kazimierz generał artylerji wielkiego księstwa litewskiego, z Janem Sapiehą kodeńskim natenczas kasztelanem trockim, a potem kanclerzem, już był przystąpił do króla Augusta; drugi Michał starosta gulbiński, potem podskarbi litewski, siedział na Żmudzi w dobrach swoich Szkudach nazwanych. Wszyscy trzej bracia potrzebowali pieniędzy, ale do dóbr ruskich było daleko i trudny transport; użyli tedy brata mojego Mikołaja do téj drogi. Dla bezpieczniejszój zaś podróży, wziął dla niego paszport Imé ksiądz proboszcz u króla Stanisława, a JW. generał artylerji otrzymał paszport przez Imci pana kasztelana trockiego, u króla Augusta. A tak od obudwóch królów mając paszport, przybył szczęśliwie do Dąbrowny, a ztamtąd chcąc się widzieć z matką naszą, zbiegł na moment do Łopacina właśnie na same zapusty 1735 roku; odzyskał mię więc ze szkół, i powracając wziął z sobą, mającego lat jedenaście skończonych. Wyjechaliśmy nazajutrz po Popielcowój środzie z Łopacina sanną drogą na Dąbrownę, gdzie wzięliśmy importancyą tameczną; ztamtąd obróciliśmy trakt na Bieszenkowice, Połock i Dryję, a że się już przed Dryją droga popsuka, więc konno jechać musieliśmy, mając wózek parokonny. Gdybyć się łatwo było salwować z pieniędzmi, wzięliśmy je na siebie, to jest: brat mój wziął tysiąc czerwonych złotych, ja pięćset, pan Choćkiewicz sługa brata mojego, tysiąc czerwonych złotych, a chłopiec mój i masztalerz brata mego, monetę na sobie wzięli; więcej zaś z sobą ludzi nie mieliśmy dlatego, aby się łatwiej można było udać jadących niby dla handlu do Rygi. Lubo zaś brat mój miał paszporta od obudwóch królów, wystrzegał się jednak zjechać się jak z Moskwą, tak z dywizją którą polską, boby to samo uczyniło podejrzenie, gdyby znaleziono dwa paszporta. Jechaliśmy zatem takim ekwipażem na Düneburg, Kryzburg, Bausk, Zagóry, do Szkud, dokąd nimeśmy dojechali, dwa nas potrwożyły przypadki: jeden na pewnym miejscu nad Dźwiną, drugi w Bausku. Pierwszy był taki: jadąc brzegiem Dźwiny, przyjechaliśmy nad jedną rzekę niewielką wpadającą do Dźwiny, na

której lód już była woda podmyła, i powiadano nam, że tej nocy, podróżny żyd wjechawszy tam, zatonął. Dźwina jednak acz niebardzo mocno, przecież stała: trudna tedy nam była przez tę rzekę przeprawa; poradzono więc nam objechać Dźwiną, a że ta rzeka w ujściu swoim nadpsowała brzeg, musieliśmy objeżdzać te miejsca aż pod drugi brzeg Dźwiny. Przeprowadzono zatem konie pojedynczo, myśmy sami piechotą przeszli, wóz zaś trzeba było ludziom ciągnąć. Ja pierwszy poszedłszy, jużem był na drugiej stronie przy karczmie, zkąd gdym się obejrzał, obaczyłem brata mego na środku Dźwiny tonącego. Wypowiedzieć trudno jakem się przeląkł: raz z wrodzonej miłości będąc żalem przejęty; powtóre, acz w chłopięcich latach, przyszło to mi na myśl, że bez brata i moje życie niepewne dla samych pieniędzy. Aż wtém, cudowném boskiem miłosierdziem, brat mój został uratowanym, bo jak się rzekło, gdy wóz ludzie ciągnęli, na stopionym od słońca lodzie zarznęły się koła: brat mój z tyłu idący chcąc popchnąć wóz, wparł się mocno jedną nogą w lód, który się pod nim załamał; wtedy burtak do przeprawienia najęty, tak zręcznie przez całą załamaną dziurę przerzucił tarcicę, iż brat mój wynurzywszy się wygodnie, onęj mógł się chwycić i ratowanym został. Bóg dał, że nic to jego zdrowiu nie szkodziło; musieliśmy tylko na tamtém miejscu w karczmie zaczekać kilka godzin dla osuszenia się. Przypadek zaś w Bausku był taki: gdyśmy się przybliżyli do tego miasteczka kurlandzkiego, wzięliśmy wiadomość, iż Moskwa tam stoi; i lubo się z nią nie chciało się nam widzieć, zjeżdżać jednak z traktu obawialiśmy się, abyśmy nie dali przez to Moskwie okazji do suspicyi, i do większego nas gdzie po drodze turbowania. Sam jednak Pan Bóg, choć strasznym, ratował nas przypadkiem, bo gdyśmy stanęli w karczmie, tuż pod Bauskiem nad rzeką będąc, i chcieliśmy wraz promem przepawić się, nadeszły podwody z prowiantem rossyjskim i kilku żołdatów z nimi, którzy nas nie puścili na prom: musieliśmy więc na popas wstrzymać się w karczmie. Rzeka ta nazywa się Niemenek, bardzo bystra; na której młyn jest przy Bausku, na kamiennój śluzie, przewóz zaś wyżej młynu

na podniesionej wodzie, to jest płyt z dylów zrobiony na linie. Na ten tedy prom weszło kilka podwód z prowiantem i ludzi kitkanaście; gdy się odbili od brzegu, zaczął tonąć prom i na środku rzeki stanął. Zrazu zajęta woda ludzi po kolana, potem coraz bardziej woda na prom się wzbierała: uczynili niebożęta ludzie wielki krzyk, ale ratować ich nie można było, bo czótno gdzieś Rosyianie wyprowadzili; nakoniec gdy jeden brzeg promu zatonał, złamały się spajania dylów, i prom się na dwoje rozpadł. Ludzie niektórzy chwyciwszy się liny, salwowali się na oba brzegi: wozy z końmi powpadały do wody. Jeden człek utonął, drugi wypłynął po wielkiem niebezpieczeństwie; trzeci płynąc trafił na brzeg kręty i wyleźć nie mógł, długo się jednak passował, aż nakoniec woda go uniosła na śluzę, i tam pogrążonym został; czwarty człek chwycił się kilku dylów, które się oderwały od promu, i onych trzymając się płynął, bo sam pływać nie umiał, i tak go niosła woda do śluzy, do której gdy przy płynął, przewrócił się tu prom i człek był pod nim; ale dziwnem boskiem przeznaczeniem, znowu bystrość wody obróciła go, i człek mocno trzymający się dylów, znalazł się na wierzchu, którego daleko niosła woda, póki ludzie z czótnami nie dopadli. Widzieliśmy go wraz uratowanego. Zrazu słowa nie mógł powiedzieć, ale się ciągle śmiał; potem gdy nieco przyszedł do siebie, pytany od nas czy podnosił myśl do Boga, odpowiedział iż nie miał na myśli jedno to, jakby się ratować. O! jak jest miłe doczesne życie, że nawet tego momentu, który nam one odbiera, zapominamy o Bogu: trzeba więc nim się człek uda w niebezpieczeństwo, podnieść serce do nieba, bo potem już po czasie. Adorowaliśmy natenczas Opatrzność boską nad nami, że nas i od widzenia się z Moskwą Bóg uwolnić raczył, i nie dopuścił na tej przeprawie być w niebezpieczeństwie, boby się z nami to niechybnie stało, co z temi nieszczęśliwemi ludźmi.

Jużeśmy mieli racyą minąć Bausk dla samej przeprawy; pojechaliśmy tedy dwie mile w niż rzeki, i tam na Łotysze przeprawili się łodziami. Szkudy, jadąc z Zagór do Kłajpedy, że nie są wcale na trakcie, zostawił mię brat mój i ludzi u wójta Szkudzkiej włości, Randowicza; a sam tylko z masztalerzem dobiegł

do Szkud dla widzenia się z panem Sapielą podkanclerzem, natenczas jeszcze starostą gulbińskim. Tam zdarzyło mu się pokłócić z panem Apolinarym Czudowskim sędzią mściławskim i musiał się z nim pojedynkować. Bóg dał, że obeszło się bez szwanku z obu stron, lubo się żwawie pocinali. Pan Rokicki zacny człowiek, który umarł rejentem litewskim, uspokoił ich zaciętość i pogodził. Kończyliśmy zatem drogę na Kretynę i stanęliśmy szczęśliwie w Memlu alias Kłejpedzie, za granicą pruską, gdzie że już nie mieliśmy przyczyny obawiać się żadnego niebezpieczeństwa, odpoczywaliśmy cały dzień, ile że nam gospodarz u którego staliśmy, przyrzekł dostawić bat, którym mogliśmy spłynąć aż o cztery mile pod Królewiec. Jakoż raniuteńko przyprowadził nam sternika nazywającego się Krep s, co się znaczy po polsku rak; jakoż mieliśmy żeglugę nakształt chodzenia rakowego, bo gdyśmy wsiedli do batu i konie do niego wprowadzili, upewniał sternik (ile że był wiatr pomyślny), iż za godzin ośm mieliśmy ubiedz mil dwanaście hafem, który jest odnogą morską. Wązkim miejscem pod Memlem łączy się on z morzem, a potem coraz się rozszerza i ma figurę gruszki, w środku której wpada Niemen; jest szeroki na mil dziesięć, wzdłuż zaś sporych mil 12. Gdy tedy podniesiono żagle, popłynęliśmy bardzo prędko, i za dwie godziny ubiegliliśmy mil 6.

Brat mój po niewygodach podróży spać się układał, ja się bawiłem patrząc na rozległość wody, jakiej jeszcze w życiu nie widziałem, ile że mnogość ptactwa, jakoto: kaczek różnego gatunku, wron morskich, łabędzi, przylatywanie i blizkie pływanie kontentowało oko; ale nakoniec i ja zasnąłem, a wtem się i wiatr odmienił i zaczął nas pędzić nazad, niebo się zachmurzyło i fala powstała. Obudził się mój brat, pyta się sternika, daleko do kresu; który mu odpowiedział, już nazad dwie mile nas wiatr odpędził, życzył tedy abyśmy wysiedli i ładem jechali. Już było po zachodzie słońca, gdy mię obudzono, bom w tym huk wodnym smaczno spał; porwawszy się ze snu, a usłyszawszy niestyszany mi szum i huk tak z fali na hafie będącej, jako téż i morskiej (bo haf od morza dzieli się wązkim istmem, na pół mili miejscami mniej lub więcej szerokim), uląkłem się bar-

dzo, i o włoś co nie wypadłem z batu, coby się stało, gdyby mię nie uchwycił chłopiec mój Pawłowski, mający już lat 15. Dla miłośkości nie mógł bat blisko przybić do brzegu; przeto wsiedliśmy do czółna i pobrali z sobą pościel i pieniądze, i tak płynęliśmy z pół ćwierci mili od batu do karczmy na noc, konie zaś i rzeczy zostawiliśmy przy masztalerzu w bacie. Ja nie widzący dotąd ani wód wielkich, ani praktykującej fali, rozumiałem, że ten bat téj nocy będzie pograżony, ile gdy przez całą noc wiatr wielki nie ustawał. Przenocowaliśmy w karczmie spokojnie; nazajutrz zaś, gdy wiatr przeciwny nie odmienił się, musieliśmy pospychać konie z batu, z któremi siła było trudności w wyrzuceniu onych do wody: nie mieliśmy jednak żadnej szkody prócz mitręgi i zguby czasu, bo cośmy mieli stanąć na sam św. Józef, imieniny księdza Sapielhy, tośmy stanęli w oktawę tego święta. Jechaliśmy zawsze samym brzegiem morskim, tak dalece, że wały morskie biły pod sam brzuch konie; na morze patrząc, zda się że coraz wyżej woda stoi i łączy się z obłokami, bo wzrok ludzki w takiej odległości przejrzeć nie wystarczy.

Miasto Królewiec leży nad rzeką portową Prögel, do której rzeki jest z Niemna kopanica, którą wiciny chodzą do Królewca. Miasto jest bardzo wielkie i ludne, lecz nie ma żadnej fortyfikacyi; ma sytuacją 4 mile od morza, nad którym przy ujściu Prögla do morza, jest forteca Piława. Rzeką Pröglem podchodzą duże kupieckie okręty pod sam zielony most. Kamienice na ulicy do zielonego mostu idącej są w całym mieście najpiękniejsze; i ta ulica jest obszerna, inne zaś są dość wąskie, rynków to miasto ma kilka. My przyjechawszy stanęli w pewnej austeryi, ale nieboszczyk ksiądz koadjutor kazał nam się wraz przenieść do téj kamienicy, gdzie stał; która kamienica ma sytuacją w rynku, leżącym między zamkiem a Pröglem: jest rogowa, dość piękna, tuż przy fontannach, przy których się wchodzi do zamku, któremiśmy chodzili na pokoje do króla Stanisława. Mur zamku, alias samo zabudowanie zamkowe jest bardzo wysokie; z téj strony gdzieśmy stali pod samym dachem, znajduje się galeryjka, z której daleko widać, i tam król czasem wychodził dla rozbitcia melancholii. W przerzeczonej kamienicy, ksiądz koadjutor z terażniejszym biskupem żmudzkiem stał na drugim pię-

trze, my zaś z panem starostą stanęli na trzeciém. Naza- jutrz po przybyciu naszym zdarzył mi się głośny trefunek, bom się dał słyszeć samemu królowi, a to takim sposo- bem. Brat mój miał róg biorący w sobie dwa funty pro- chu, miał téż szkło duże, które używał do czytania dla konserwacyi wzroku; a że to szkło palić mogło promie- niem słonecznym, był zaś dzień z rana pogodny: brat mój świeżo kupionego prochu chcąc spróbować, spalił go odrobinę na stole, a wtém lokaj przyszedł od Imć księdza koadjutora wokując go na dół. Jak skoro od- szedł, nasypałem trochę prochu na stół, ale w prędko- ści niedaleko róg położyłem, i proch się był odrobinami rozsypał po stole; gdy tedy spaliłem proch w kupce na- sypany, poszedł ogień znienacka po granach rozsypa- nego prochu z ukontentowaniem mojem; ale gdy przy- szedł do rogu, zapalił w nim owe dwa funty prochu i w okamgnieniu wszystkie się okna otworzyły, i jam poleciał przez cały pokój; i gdyby mię pan Chockie- wicz nie pochwycił, rozbiłbym się o ścianę. Huk spa- lonego prochu rozszedł się po całym mieście, król nie- tylko głos usłyszał, ale i dym obaczył, bo był natenczas blisko owój galeryjki zamkowej; przysłał więc dowia- dując się, coby się to stało: nadszedł i oficer z runtem, ale wszystkim prawdziwą rzecz powiedziałem. Ja so- bie całą twarz opaliłem, nie tak mię jednak dolegało opalenie, jak bojaźń, żebym za to nie miał nacięcia. Ztémwszystkiém uszło mi na sucho; przekawęczałem z tydzień z twarzą, lecz mi gospodynia tamecznej ka- mienicy, staruszka, przykładaniem jakowejś maści, tak wyciągnęła proch z twarzy, że podziśdzień znaku nie masz. Chcąc zatém bracia moi, abym tam chodził do szkół, najęli mi gospodę pod samemi Jezuitami; a że tam trudno o dyrektora katolika, napisali po niego do Rewla; nim zaś dyrektor nadszedł, ja sam tylko z chłopcem stałem, i dlatego przez długi czas małem się co nauczyć, lubom chodził do szkół. Nadszedł dyrektor nazwiskiem Pawłowski, z rodziców Polak, ale w Warmii się urodził, i dlatego mówił dobrze i po polsku i po niemiecku; że zaś miał wokacyą do stanu duchownego, wziął primam tonsuram i quater minoris ordines od księ- dza Horaina sufragana żmudzkiego, w Królewcu naten- czas znajdujacego się; i tento dyrektor zaczął mię do- brze dozierać, tak dalece, że przez 15 miesięcy gram-

matyki syntakty dobrzem się nauczył; był bowiem i professor natenczas bardzo dobry Imé ksiądz Pakajzer. Pod tę porę, gdy przyjechał do mnie dyrektor, przybył téż do Królewca pan Prozor wojskowiec kowieński, terażniejszy generał major, oraz pod jednego do mnie oddano dyrektora, przez pana Syrenia terażniejszego kasztelana witebskiego. Póki król i senatorowie przy nim rezydowali, wielka była publicka w Królewcu; coraz bowiem przybywało Polaków, zwłaszcza gdy dywizye polskie rozproszyły Moskwę. Tegoż czasu pana Sapiehę starostę gublińskiego w Szkudach pochwycawszy Moskwa, zaprowadziła do Rygi, gdzie długo w ciężkim był trzymany areszcie, aż Zawisza marszałek nadworny litewski, poseł od króla Augusta, będący w Petersburgu, gdy tam nadjechał pan Rokicki wojski oszmiański, od żony starosty gublińskiego i od państwa Sapiehów postany, wyręczył go z tego aresztu. Najwięcej jednak pomógł (jako mi mówił wspomniony Rokicki) do uwolnienia starosty gublińskiego, Łopaciński archirej, wielką admissją u carowej mający. Byłto Smolanin, bo w województwie smoleńskiem podziśdzień jeszcze znajduje się familia Łopacińskich.

Trzeba o tém wiedzieć, że za królem Augustem interesowała się Rossya, przez dom Austriacki i przez Birona nakłoniona do tego, i cesarz Karol IVty, stryj rodzony królowej Augustowej; a za Stanisławem: Anglia, Francya, Hiszpania, a potém i Turczyn. Augustowi od swoich promotorów z ręczna była pomoc, bo Rossya około 100,000 różnemi partyami weszła do Polski; Stanisławowi zaś pieniądze dawał sukurs i wojnę podniósł z cesarzem, a że cesarzowi Anglia i Holandya pomagały, oporem szła ta wojna. Turczyn zaś już późno zaczął swoją operacyą, i jako miał awantazę nad cesarzem w Węgrzech, tak Rossyianie mieli nad nim około rzeki Donu nad Czarnem morzem. Skończyło się więc wszystko traktatami, które do takiej sytuacji całą rzecz przyprowadziły: król francuzki otrzymał dla króla Leszczyńskiego księstwo Lotaryńskie i Barskie, po którego śmierci, wiecznie te księstwa mają należeć do Francyi; a królowi Augustowi upewniła się korona polska. Rossyi dostał się od Turczyna kawał Georgii; a w Węgrzech dla Turczyna de-

moliowano fortece Belgrad. Gdy te więc traktaty stały, które królowi Augustowi upewniały koronę, oznajmiono o tém królowi Stanisławowi sekretnie. On to tań przed panami polskimi w Królewcu będącemi; nie mogło się to jednak utaić, bo téjże poczty mieli oni wiadomość od Polaków we Francyi bawiących. A tak jednego razu zaprosił króla do siebie na kolacyą Czapski wojewoda pomorski; stał na francuzkiej ulicy niedaleko kościoła katolickiego, i gdy tam wino zapijali, Tarło wojewoda lubelski, który potém umarł w Sandomierskiem, wziął kielich i pił zdrowie królewskie w te słowa: „Wiwat Stanisław piérwszy, król polski nie ksiązę lotaryński i barski! Przysięgliśmy jemu; i gdy odstąpimy, niech Bóg nas ukarze!“ Na te słowa król wpadł w cholereę wielką, aż mu się ręce trzęsły, i te słowa mówił: „Odurzałeś wojewodo!“ który gdy daléj zaczął wyliczać hazardy panów polskich dla niego; król Stanisław kazawszy iść księdzu Sapieże „pójdź za mną proboszczu“, wyszedł, i wsiadłszy z nim do karety, pojechał do zamku. Nazajutrz zaś przyznał się król wszystkim, że w Polsce panować nie będzie; a tak nieboszczyk ksiądz Sapieha następującej nocy wymknął się z Królewca z bratem moim, panem starostą mścistawskim do Gdańska, obawiając się aresztu za długi dziadowskie, a ksiądz biskup terazniejszy w Królewcu jeszcze się został. Nim zaś przyszło do téj wiadomości, panowie polscy, osobliwie pod bytność królewicza pruskiego terazniejszego króla, ustawicznie dawali kosztowne kolacye z fajerwerkami i z illuminacyami. Po odebraniu zaś téj niepomyślnéj nowiny, wszyscy byli jak powarzeni: każdy zaczął o sobie myśleć, i na pokojach królewskich mało kto bywał. Zaczęli się zatém rozjeżdżać, i król co przedtém w wielkiej bywał assystencyi, ledwie już miewał kilka osób przy sobie. Odjechał téż i brat mój ksiądz biskup, zostawiwszy mię w opiece pana Syrenia, natenczas sekretarza królewskiego, który nas z panem Prozorem ulokował w pewnej stancyi z dyrektorem, o którym się mówiło, zamówiwszy stół do wakacyi. Gdy się panowie polscy rozjechali z Królewca, powyjeżdżali i panięta ze szkół; było zaś ich niemało, jakto: Czapskich wojewodów pomorskich, dwóch Massalskich,

teraźniejszego hetmana synów; Józefowicz teraźniejszy starosta orszański; Dąbrowski teraźniejszy stolnik; Białożór, Horain, Odachowski i t. d. Wszyscy zaś my mieli tytuł paziów króla Stanisława; zostało się nas tylko Polaków trzech: ja, Prozor i Dubicki. Król Stanisław siedział jeszcze w Królewcu do wiosny; nakoniec i on wyjechał, wzięwszy z sobą pana Syrenia, a pan Syreń wziął pana Politańskiego i Prozora mego kompana, a tak zostałem jeden u dyrektora. Miałem jednak wszelką wygodę, bo mi na co było potrzeba, dodawał pieniędzy Saturgus sławny kupiec królewiecki, kotolik.

Gdym się w Królewcu bawił, bracia moi w Gdańsku byli z księdzem Sapiehą, który chcąc powrócić do Litwy, pisał do kanclerza Sapiehy, prosząc, aby mu wyrobił paszport do jechania prosto do Wilna, bo myślał sobie o nic się starać, lecz przy probostwie wileńskim wiek swój skończyć. Ale mu inny paszport przysłano, to jest taki, za którym mógł jechać do Warszawy, dla rekognoskowania króla Augusta za króla. Musiał tedy jechać do Warszawy na sejm pacyfikacyonis, i tam dla niego kanclerz Sapieha nietylko dobre przyjęcie sprawił u króla, ale téż i koadjutoryą wileńskiego biskupstwa wyjednał, a wkrótce potem referendaryą litewską.

Gdy powracał z bracią memi ksiądz koadjutor dążąc do Wilna, napisał do mnie ksiądz biskup żmudzki, abym się i ja wybierał do Wilna, upewniając, że nadjedzie do Królewca pan Rozenfeld porucznik Jego królewskiej Mości, który miał mi obmyśleć powrót. Jakoż ultimis Julii 1736 roku, przybył do Królewca i upewnił dla mnie szmagę, Pröglem i hafem do Tylży idącym; dał zaś mi pieniędzy dla najęcia w Tylży furmana do dalszej drogi, zostało bowiem przy mnie niemało rzeczy księdza koadjutora, których transport do Wilna był przyporuczony. Wypłynąłem tedy szmagą, primis Augusti, wysiedziawszy w Królewcu ze wszystkiem 18 miesięcy. Pierwszego zaraz dnia uszliśmy 4 mile Pröglem w górę, nazajutrz zaś weszliśmy do hafu, tego samego, którym z Kłajpedy płynąłem, na którym o pół mili od brzegu stojąc na kotwicy, nocowaliśmy przy pięknej pogodzie. Jam wieczorem strzelał do kaczek późno, gdy jedną razą pokazała się ognista lecąca kula, a liasz

futuus ignis; na téj zaś szmadze niemało było różnego gatunku ludzi, którzy wołać zaczęli że latawiec leci, ale ta kula uderzywszy się o maszt, rozsypała się i iskry się rozsypały po całej szmadze. Nazajutrz obserwowaliśmy, iż na każdym miejscu gdzie iskra spadła, znajdowała się kropla, nakształt oleju tłusta, fetor siarczysty mająca; maszt zaś niemal cały był tą masą oblany. W téj szmadze w przednim końcu była izba dla ludzi wygodna, w tyle zaś był pokój z dwoma szklanemi okienkami, w którym ja miałem stancyą z dyrektorem księdzem Pawłowskim, i z chłopcem także Pawłowskim, czwarty sam gospodarz szmagi, stał z nami. Środek zaś był naładowany towarem, a najwięcej było w postawach sukna i 16 łasztów soli; była bowiem ta szmaga nakształt okrętu robiona: miała cztery kotwic i dwie armatek, z których dawano ognia, gdy odchodziła z Królewca i przychodziła do Tylży.

Dnia 3 naszej podróży był dzień pogodny, przy pomyslnym dla nas wietrze; jakoż o wschodzie słońca ruszywszy z noclegu, ubiegliśmy mil 10 do godziny piérwszej z południa do ujścia Niemna w haff, w który nam trzeba było płynąć; a że Niemen kilku odnogami wpada w haff, a przeto piaszczyste toki odsypuje, nie trafiliśmy na sam nurt, więc o ćwierć mili od brzegu wbiła się szmaga na piasek, na którym nocować musieliśmy. Przez cały wieczór i nazajutrz rano, było usiłowanie zepchnąć szmagę z piasku, ale się nie udało; nareszcie chłopiec mój odważył się nurkiem dociec, gdzie najbardziej spód się upierał: jakoż dociekłszy, coraz nurzał się i piasek podkopywał, a tymczasem kilku mołojców stojąc w wodzie wyżej pasa, wielkimi drągami podważali, i nakoniec zepchnęli szmagę. Jeszcze tego samego dnia wjechawszy na Niemen upłynęliśmy mil dwie, i tak kontynuowaliśmy żeglugę naszą, i gdy mieliśmy wiatr pomyslny, podnosili żagle i wiośłami robili, gdy zaś wiatr był przeciwny, to mołojcy linami ciągnęli. Ja zaś do czółna wsiadłszy, często strzelałem kaczki. Jednego razu szła szmaga brzegiem przy powiewnym wietrze, ja wziąwszy z sobą chłopca mego i sterniczka, popłynąłem na drugą stronę Niemna dla strzelania kaczek na zatokach; tymczasem umknęła się szmaga,

musieliśmy z trudnością doganiać, zwłaszcza gdy chcąc na nią wsiąść, trzeba było znacznie uprzedzić, aby woda nie zniosła. Jakoż po wielkiej pracy mineliśmy szmagę, i gdy puściliśmy się przez Niemen na przetaj, chwyciła nas bystrość, i prosto niosła na przód szmagi; już tam trzeba nam było zginąć, ale Bóg wszechmocny ratował, bo gdyśmy już mieli uderzyć, mnie sam sternik nachyliwszy się pochwycił i wyciągnął; Pawłowski mój chwycił się za kotwicę, a sterniczek za drabinę, czółno zaś uderzywszy się, w kawałki poszło całe.

Płynąc Niemnem pięć dni, stanęliśmy w Tylży, tam przenocowawszy, najęliśmy furmana do Kowna, z Kowna zaś Tatarowie nas do Wilna wieźli. Ta lądowa droga dobrze nam zeszła, że zaś miałem taką informacją listowną, abym przyjechawszy do Wilna, adressował się do pana Wieczorkowskiego patrona Lonsystorskiego, więc z ostatniego noclegu, który nam przypadł w Ponarach, raniuteńko w kamienicy jego pod Świętym Janem stanąłem, i znalazłem tamtej nocy przybyłego z Warszawy pana starostę mścistawskiego. Tego dnia właśnie kończył się trybunał za łaski księcia Radziwiłła krajczego litewskiego, który jest teraz w kuratelli, ale on mało co dosiadywał, a zawsze trzymał łaskę Wańkowicz wojski miński vice-marszałek. We dwa dni nadjechał ksiądz koadjutor z księdzem bratem moim, i stanął na Antokolu, gdzie się i my przenieśli; zamieszkałem tam nie więcej tygodnia, a że się wakacye kończyły, oddał mnie ksiądz biskup żmudzki do księży Pijarów do konwiktu, a księdza dyrektora mego do księży Missyonarzy do seminaryum. Od tego czasu kontynuowałem w Wilnie studyum; lubom zaś poszedł do syntaxymy, jednak żem dobrze umiał konstrukcyą, na Boże Narodzenie tegoż roku odestano mię do poetyki, w której byłem do wakacyi. Przydali mi do dozoru księza Pijarowie, księza Dogiela, natenczas jeszcze magistra, a potem wielkiego człowieka, autora Corporis diplomatic. Od tego księdza więcej się w stancyi nauczyłem jak w szkołach, bo miał sposobność do uczenia; alem go nie miał przy sobie tylko przez pół roku, gdyż się oddalił z Wilna dla własnych nauk, potem zaś z Scypionem starostą lidzkim jeździł do cudzych krajów.

U księży Pijarów było natenczas studentów około pięciuset; z dystyngowanych byli panowie Pocięjowie: strażnik i oboźny Wielkiego księstwa Litewskiego; terażniejsi państwo Tyszkiewiczowie, starościcowie Strzałkowsy; pan Oskierko Kazimierz kasztelan terażniejszy, starosta mozyrski, Tyzenhauz podstarosta wiłkomirski, Białozorowie Onufry i Józef, i nieboszczyk kanonik wileński, Wawrzecki stolnik, Mićkiewicz pisarzewicz dekretowy; Micewiczowie, Hrebniccy i t. d. U księży zaś Jezuitów było daleko więcej; znaczniejsi byli: księżęta Radziwiłłowie wojewodzicowie nowogrodzcy; Jerzy co umarł wojewodą nowogrodzkim i Stanisław podkomorzy litewski; pan Pac kasztelan, starosta borciański terażniejszy pisarz litewski; Ciechanowiecki starosta opeski; Hołyński podstarosta mścistański, Dąbrowski stolnik i t. d.

Roku 1737 kiedym był w poetyce, obranym został marszałkiem trybunału głównego litewskiego, Jan Tyszkiewicz kasztelan żmudzki (umarł on starostą żmudzki). Za jego łaski, Wilno, zacząwszy od Szwendora Niemca, przy królewskich młynach mieszkającego, wygorzało aż do Trockiej bramy. Ksiądz koadjutor stancyą miał w cekauzie, a że była niedziela, jam wtenczas znajdował się na pokojach tego pana gdy się wszczął ogień; wszedłem na górę zamkową i ztamtąd widziałem tę straszliwą scenę. Najokropniejszy był widok, gdzie prochy wyrzucały różne domostwa; słychać było jęczenie ludzi, krzyk bydła, huk i szum niewypowiedziany; można było rozpamiętywać Sodomę i Gomorę. Zgorzały kościoły: księży Jezuitów świętego Jana i świętego Ignacego; dominikański świętego Ducha; pijarska kaplica z klasztorem, gdzie i moich nie mało rzeczy zgorzało; takż kościół franciszkański świętej Trojcy; świętej Katarzyny; Maryi Magdaleny; Bonifratrów, pałac biskupi, sądowa izba i t. d. Kościół zaś katedralny prawie cudem boskim ocalał. Wygorzały ulice od świętego Michała idące i od królewskich młynów, Kanonicza ulica aż po Rybnę koniec, Skopówka, Biskupia, Trocka, Szklanna, Niemiecka, i tym przyległe zaułki. Zrazu ogień szedł jedną stroną ulicy Trockiej aż do bramy, i kościół świętego Jana nie prędko się zapalił; lecz gdy wieża święto-jańska, która była wyższa od terażniejszej z krużgankiem drewnianym

i z kopułą drewnianą, białą blachą kryta, podgorzawszy spadła na drugą stronę ulicy, zajął się prawie nowy pożar, którym druga strona ulicy Trockiej aż po Wszystkich Święte sptonęły. Trybunał limitowano na kilka niedziel, po których wyjściu kończył się w Duninowskim pałacu, alias Sołohubowskim. Był to trybunał i wesoty i krwawy: wesoty co do różnych publicznych akt, zwłaszcza przed pożarem; krwawy co do spraw kryminalnych, bo nie mało ludzi exekwowano. Podczas tego trybunału zaraz po instalacyi, była konsekracya księcia Sapiehy koadjutora wileńskiego, na której byli przytomni państwo: Potocki wojewoda bełzki, szwagier; Antoni Sapieha kasztelan trocki sławny z sprawiedliwości, brat stryjeczny; Kazimierz Sapieha generał artylerji litewskiej, brat rodzony; Nowosielski starosta luboszański mający siostrę stryjeczną księdza koadjutora, z żonami; tudzież pan Sołohub podskarbi litewski i innych nie mało dystyngowanych osób. Takoz dosiadywali jeszcze duchowni i skarbowi marszałkowie: duchownym był starosta samiecki Sołohub, terażniejszy wojewoda witebski; skarbowym zaś Oskierka starosta mozyrski, terażniejszy cześnik litewski. Podczas téj konsekracyi, gdy strzelano na dziedzińcu w kamienicy księdza koadjutora, którą miał po Aucucie wraz z sufraganią, rozerwało jedną armatę, przecież nikogo nie zabiło; jam się patrzył przez okno na dole, jedna tedy sztuka armaty oczywiście leciała mi koło głowy, i uderzywszy się o ścianę osypała mnie wapnem od tynku, który poruszyła. Po konsekracyi nastąpił akt weselny p. Sołohuba marszałka duchownego z panną Ogińską starościanką dorsuniską, pasierbicą pana Sapiehy kasztelana trockiego, i taż wyraźna kompania była na tém weselu, na którym, że się jeszcze nie rozjechała, ustawiczne były kolacye, bale, assamble, na które uwalniali mnie księża Pijarowie za obligacyą braci moich, abym nabierał prezencyi i znajomości. Między krwawemi akcyami najsmutniejsza była Franciszka Bujnickiego starosty dudzkiego, który wdawszy się w debosze i nabrawszy złych obyczajów, odważył się niepraktykowany popełnić kryminał: zabił bowiem ojca własnego. Był srodze exekwowany: targano mu rozpalonemi kleszczami piersi, potem żywo ćwiertowano.

Sam Bujnicki prosił kata, aby go bardziej męczył, chcąc odpokutować na tym świecie za tak szkaradny grzech.

Na początku roku 1738 przed zapusty, pierwszy dyalog księży Pijarów wyprawić usiłowali: reprezentować mieli otchłań, i żądanie wiernych przyjscia Messyasza. Dość rzeczy były dysponowane, ja miałem pryncypalną personę; a jako to był u nich pierwszy dyalog, tak mnóstwo się ludzi nań zeszło. Po prologu wyszło intermedium. Myśmy się gotowali na pierwszą scenę i usiadł każdy aktor na swoje miejsce, a ja usiadłem na środku; wtém intermedyalista niejakiś Armacki, gdy te wymówił słowa: „Pokażę wam sztukę, jakiej jeszcze nie widzieliście.” tegoż momentu wymknęły się belki z muru, i całe zgromadzenie spadło na dół z drugiego piętra. Teatrum nasze w pół rozłamało się, aktorowie jedni pospadali, drudzy, którzy mi po lewej ręce byli, jakożkolwiek utrzymali się, bo pod teatrem jedne końce belek wymknęły się z muru. Ja jako siedzący na środku, blizki byłem spadnięcia; przecież prędko się porwał i uskoczyłem na stronę choć słabą, trzymającą się. Krzesło moje spadło i korona z głowy na dół poleciała. Te zaś miejsca, gdzie siedzieli i stali spektatorowie, że był wielki ciężar, ze wszystkiem upadły, bo się belki z obu końców wymknęły, i wszyscy ludzie tak dystyngowani jako i pospólstwo oparło się na dole. Co tam była za scena widzieć gromadę ludzi, tysiąca liczbę dochodzącą, jednego na drugim leżących jak pszenica z kąkolem, bo tam się wszyscy razem pomieszali: księży, panowie, panie, pospólstwo, krzyk nie skomparowany, nam z góry patrzącym dziwowisko niewypowiedziane. Najtrafniej była rzecz patrzeć na chłopców, którzy byli powłazili na okna, i tam po spadnięciu ludzi zostali się; zrazu płakali i drżeli od strachu, nakoniec odważywszy się skakać na dół, dogadzali nogami swemi ludziom już leżącym na dole. Straszna to i śmieszna była tragedia, gdyż ludzie jedni rozumieli że to nie przypadek, ale sztuka dyalogu; drudzy wołali przekleństwo, mając sobie potłuczone głowy, powykręcane ręce i potłuczone nogi. Przecież Pan Bóg dał, że w tak wielkiem zgromadzeniu, nikt się na śmierć nie zabił; umarł tylko pan Mice-

wicz Wołkomierzanin, ze złamania tam nogi, i niejakaś mieszcanka; nie było jednak nikogo z senatorów na tym dyalogu, ale zacnych ludzi było niemało, insi zaś na szczęście swoje opóźnili się.

Tegoż roku umarł Kazimiérz Sapieha generał artylerji litewskiej, brat rodzony księdza koadjutora, w Schowie, mając sobie podpisane województwo podlaskie po Michale Sapiezie, co mu zapisał Wysokie i Siemiatycze; którego ksiądz koadjutor tak żałował, że i zdrowie stracił, i nie miał go do śmierci. O generalstwo starając się, jeździł pan starosta gulbiński do Drezna, i brał z sobą pana starostę mścistawskiego; ale król oddał generalstwo Flemingowi. Brat mój powróciwszy z Drezna, że był rok sejmowy, będąc natenczas krajczym mścistawskim, które wziął po postąpieniu Frąckiewicza na wójtostwo, jechał na sejmiki antekomisjalne przed samemi wakacyami, gdym już kończył pierwszy rok retoryki: wziął mię więc z sobą. Wtenczas pierwszy raz po wyjechaniu z domu do Królewca, prezentowałem się matce mojej, która mnie nie poznała, bom już znacznie podrośł.

Stanął postem Imé pan Hlinicz stolnik mścistawski z panem Szpilowskim. Gdyśmy zatem powrócili do Wilna, bracia moi pojechali z księdzem koadjutorem do Warszawy na sejm. Jam się został w Wilnie u księży Pijarów z panem łowczycem Święcickim, terażniejszym rotmistrzem mścistawskim, bratem rodzonym księdza kanonika; ale wkrótce przysłano po nas, abyśmy jechali do Warszawy. Przebyliśmy więc tę podróż konno, bardzo ukontentowani z ciekawości widzieć stany rzeczypospolitej na sejm zgromadzone. Obaczyłem tam pierwszy raz króla Augusta III, który był pan pobożny, cnotliwy, wspaniały, wzrostu wysokiego, że trudno mu było dobrać równego; pleczysty według proporcji wzrostu, otyły, twarzy ogromnej z białoczerwoną; włosy miał ryżowate, brwi nawieszane, ręce zaś podług urody przykrótkie: jedném słowem człek maestuosus, i prawie z osoby zdał się do tronu urodzić, lecz że nieco był pan leniwy, spuszczał się w interesach na swoich ministrów, których miał dwóch: Sółkowskiego i Brüla. Sółkowski że się sprzeciwiał królowej i ostro się z królem obchodził, został oddalony; graf zaś Brül wszyst-

kiem rządził aż do śmierci królewskiej. Królowa była pani wzrostu miernego, łwszem bardziej nizkiego, niepiękna, oczu zbyt dużych, rumieniec miała nienaturalny, nakształt trądu, ale w cnotach nieporównana: pobożna, jałmużnica wielka, grzechów nieprzyjaciołka, do interesów polskich nic, albo mało co się kiedy mieszała. Myśmy stanęli w Warszawie w tydzień po zaczętych sejmie; obrany był marszałkiem poselskim Rudziński cześnik koronny, niezły mówca tego sejmu. Najpryncypalniejsza była materya o aukcyi wojska, różne jednak inne wrzucano materye. Olędzki poseł wołkowycki, podjąwszy głos mówił na żydów, którym dawali książęta Radziwiłłowie protekcyę, i na dyssydentów; zatamował oraz *activitas*. Postowie przyjaciele Sapieżyńscy, jakoto: Sulistrowscy i inni, mówili przeciw Flemingowi, że będąc niekatolikiem wziął generalstwo artyleryi; ale król zwokowawszy do siebie księdza koadjutora, powiedział: *hec formalia*, jeżeli chce brat starosta gulbiński przez co kiedy odemnie, powiedz mu, niech obliguje postów aby zaniechali materye o daniu generalstwa artyleryi. Jałowiecki poseł wołyński wielki mówca, dotknął w głosie swoim Zboińskiego starosty newskiego, wytykając mu jakieś pieniądze; więc na Zboińskiego wielki powstał chałas, a osobliwie od postów litewskich, którzy mu grozili wyrzuceniem przez okno. Zboiński zaś że nie siedział na miejscu, podskoczył nań, które było blisko marszałka, i wzięwszy głos, pięknie się wyexplikował. Wrzucali zatem coraz nowe materye postowie extynując czasem, bo niektórzy z panów nie chcieli aukcyi wojska, gdy drudzy jęj żądali. Między postami litewskimi najlepiej się dystyngował tego sejmu Stanisław Burzyński instygator litewski, potem kasztelan brzeski, nakoniec smoleński, a terażniejszy u księży Jezuitów nowicyusz; nie chcąc się narazić królowi w początkach panowania jego, lubo siła życzyła niedojścia sejmu, jednak go rwać się nie odważył: ale po upłynieniu sześciu niedziel, gdy już niestawało czasu, pożegnał go marszałek za niedoszły.

Podczas tego sejmu oddawał po ojcu swoim królowi order, pan Alexander Sapieha generałowicz artyleryi litewskiej, terażniejszy wojewoda połocki, hetman

polny litewski, mający natenczas lat ośm, który zabrał do mnie wielką konfidencyą. Jam się téż z nim rad był bawić, bo dziecię miało rozum nad lata swoje. Po tym sejmie bracia moi rekomendowali pana Święcickiego do dworu księcia Sanguzki, marszałka litewskiego; mnie zaś oddali do konwiktu księży Pijarów, bym chodził drugi rok na retorykę, a sami do Litwy z księdzem koadjutorem odjechali.

Póki król bawił się w Warszawie, bywałem często na pokojach. W dzień koronacyi alias w anniwersarz dnia 17 Januarii 1739 roku, była u dworu solenna gala i assamble z maskowym balem, na który za biletami wchodzili; była téż opera z fajerwerkiem bardzo kosztownym; na Pradze go zapalono ex oposito zamku, po trzydzieści rac zapalono razem: wodnych sztuk było co niemiara. Professorem retoryki był natenczas godny pater Samuel, a sancto Floriano Wysocki. Jegoto jest edycyi Orator Polonus. Różne mowy i oracye dawał nam komponować; jeżli się któremu nieźle napisać udało, to korygował i inserował do téj książki; jest tam moich kilka. Wielce mu jestem obligowany, bo mnie dobrze doglądał i osobliwsze miał do mnie serce; lecz nie byłem pod nim tylko ośm miesięcy, bo primis Julii, przyjechawszy pan starosta mścistawski, brat mój, odebrał mię ze szkół, i wziął z sobą do Litwy. Stanęliśmy w Wilnie, gdzie się trybunał sądził pod laską pana Przedzieckiego kasztelanica inflanckiego, terażniejszego referendarza litewskiego. Reszty roku 1739 strawiłem na dworze księdza koadjutora, alem się nie bawił próżnowaniem, bo mi ksiądz koadjutor i brat mój ksiądz biskup dawali księgi różne do czytania, i w kancelaryi miałem co do czynienia. Nastąpił zatem rok 1740, którego zaraz po Nowym Roku niewypowiedziane były mrozy, tak dalece, że płastwo marzło; téj zimy wszędzie drzewa powymarzały, w Łopacinie trzysta drzew fruktowych wymarzło.

Pan starosta mścistawski w same te mrozy był w podróży, bo się starał o funkcyą deputacką; jakoż i stanął deputowanym ze Mścistawia, z panem Ciechanowieckim. Nastąpił zatem początek trybunału, na którym został marszałkiem trybunału głównego Wielkiego księstwa litewskiego, Judycki, marszałek rzeczycki,

umarł kasztelanem mińskim; duchownym Piątkowski starosta łozdziejski; skarbowym Oskierko marszałek mozyrski. Pisarzem wileńskim Giedroje podstoli wileński, pisarzem ruskim brat mój, podskarbi Deresz. Partya książąt Radziwiłłów, a osobliwie księżę wojewoda nowogrodzki, chciał przy piórze nowogrodzkim utrzymać Korsaka podwojewodziego, który już był raz pisarzem; ale promocyja Sapieżyńska, z któremi jedną rozumiał podskarbi Sołtochup, prevaluit na stronę brata mojego.

Opisanie Ignacego Łopacińskiego przypadku, wydarzonego 1742 r., który go ledwie życia nie pozbawił.

Gdy król z Saxonii zjechał do Wschowy dla podpisania wakansów, pobiegł tam i Massalski hetman wielki, a postrzegłszy, że pan Czudowski sędzia mściławski stara się o Zubowszczyznę królewsczyznę, wakującą po Wojninéj de domo Puzyniance, w województwie mściławskim leżącą; uczynił obrot i otrzymał przywilej na brata mego Mikołaja, aktu w jego interesie pracującego, który przywiozłszy z sobą, oddał bratu memu. Brat więc mój; Mikołaj wzięwszy od podskarbiego litewskiego list dworzański na Leśniewskiego krajczego orszańskiego, któryto był podczas sprawy Sapieżyńskiej deputatem, i miał już sobie podpisane dworzaństwo od podskarbiego litewskiego na powiat orszański i województwo mściławskie; wyprawił do mnie umyślnego, prosząc, abym tę królewsczyznę objął. Po śmierci Wojninéj zostały się dwie córki małe, które wziął w opiekę Hieronim Korsak Udziński, i trzymał wszystkie dobra, oraz i tę Zubowszczyznę; zestłyszawszy zaś, że się zaszczycił nieboszczyk Wojna, iż Zubowszczyznę mutavit naturam przez konstytucyą sejmu pacificationis, pojechałem więc z wizytą do pana Korsaka chcąc go porozumieć; który że był nam w konexyi, rozumiejąc, że ja zamyslam o starszej Wojniance już lat dwanaście mającej i dlatego wizytuję, bardzo mię dobrze przyjął i pupilki swoje prezentował; z których nie starsza, (bo ta choć była nieszpeta, ale chroma na

nogę) lecz młodsza, mająca natenczas lat ośm, bardzo mi się podobała, bo niewypowiedzianie była piękna. Wtrąciłem rozmowę niby przestrzegając, że Zubowszczyznę chcą na skarb zajeżdżać; ale on mi wraz odpowiedział, iż każdego zajeżdżającego kulą przywita. Po takowym komplementcie nie wiedziałem jak się determinować; ale gdy powróciłem do Łopacina, znalazłem tam pana Leśniewskiego, który w konkurencyi do siostry mojej, terazniejszej Naramowskiej, przyjechał; oddałem mu więc list brata mojego i opowiedziałem cały interes. Że zaś Leśniewski był człek hazardowny, wnet się gotować począł do zajazdu téj królewskiej, i wbijał mi w głowę, że się tam obejdzie bez żadnej akcji. Zebraliśmy więc naprędce ludzi ze trzydziestu, dobrze w broń opatrzonych, i pojechaliśmy do państwa Mężyńskich pisarzewiczów, młodych i rześkich dzieciuchów, chcąc ich wziąć z sobą, ale oni dali nam kilku strzelców, a sami jechać nie chcieli. Pojechało więc nas tylko trzech: Leśniewski, ja i Karol Święcicki, terazniejszy starosta mikucki. Strzelców z nami było więcej trzydziestu, a sług więcej dziesiątka: jednym słowem, było nas koni pięćdziesiąt dwa.

Wjechaliśmy do Zubowszczyzny równo ze świtem w piątek 30 Augusta, i stanęliśmy u jednego chłopa, bo wieś mając poddanych trzydziestu z górą, królewska, i zmiany dworne, a sam dwór nazywający się Rajówka na wieczystym stoi, wypowiedzieliśmy postuszeństwo i rozgospodarowaliśmy się.

Piątek i sobotę siedzieliśmy spokojnie, lubo nas dochodziły przestrogi, że Korsak ludzi zbiera; w niedzielę zaś rano trzeciego dnia po sessyi, zdało się z JPanem Święcickim odjechać, a generała i człeka quasi dyspozytora zostawić; lecz Leśniewski qua dworzanin, chcąc się tam obłowić, osobliwie z wielkiej krescencyi, był zdania przeciwnego, i dawał nam *ad intende*, żeśmy się polekali, przez co nas młodych wprowadził w fałszywy punkt honoru, a tak i my determinowaliśmy się do ostatniego bronić. Rozstawiliśmy więc podstuchy, opatrzyliśmy parkany chłopskie płachami drzewa etc. Aż wtém w kilkaset ludzi zbliżać się zaczął pan Korsak; co ujrawszy nasze podstuchy, każdy w swoją stronę pomknął, mianowicie słudzy pana Leśniewskiego i wszyscy

pożyczani: ledwie nas wszystkich zostało trzydziestu. Stanąwszy pod wsią pan Korsak, za rzeczką, na której był mostek, przystał do nas, iż będzie nas atakował, z doniesieniem życząc, abyśmy się rejterowali; ale my rozstawiwszy wokół ludzi, sami stojąc we wrotach, odpowiedzieli, iż niech się nie przybliża, bo zginie. Wziąwszy tę rezolucją, Korsak na koniu dropiatym siedzący, sam pierwszy podskoczył na mostek, a za nim wraz ludzie; lecz go chcąc przywitać mój sługa Czywel, i drugi pana Leśniewskiego Szebel, dali ognia z karabinów. Ale oba Bogu dzięki nie trafili, bo jedna kula rozdarła na nim tylko sołtanek, a druga obraziła koniowi kopyt, przeto on spadł z koniem z mostu i nam się zdawało, że już jest zabity; lecz wraz się koń pod nim porwał i on na koniu dosiedział. Ale gdy się przybliżył do nas, strzelaliśmy do niego, i do nas ustawnie strzelano, i już się zaczął formalny atak, który trwał przez pół godziny. Ludzie Korsakowscy otaczali wkoło domostwo tego chłopa, gdzieśmy byli, które trochę było oddalone odewsi, oraz ze wszystkich stron nas atakowano. Nie mogliśmy wytrzymać natarczywości chłopstwa; nasz przywódzca pan Leśniewski ujrawszy wielu ranionych, jakoto: Szorca dwiema kulami w rękę, Czechowskiego kosą w głowę, Radolfa trębacza kosą także w rękę, i innych uciekających, zaczął i on myśleć o sobie; ale konie były w stajni, niezręcznie mu było porwać którego, więc prosto pomknął do gumna. Ujrawszy tam chodzącego chłopskiego konia, na którego gdy chciał wsiąść, Sawaczyński ekonom pana Korsaka strzelił do niego z pistoletu szrótem; jedna trafiła go w palec tej ręki, którą się chwycił za grzywę, a druga sam wierzch głowy zdarła jak biczem zaciął; a tymczasem przypadłszy chłopstwo, zaczęło go okładać cepami. Pan Święcicki dopadł swego konia, ale nie mógł się wymknąć, wokół otoczony chłopstwem, któremu się jak mógł bronił. Przecież go dosięgli dziesiątek razy cepami: salwował go potem sam pan Korsak poznawszy. Podał i mnie masztalerz konia, ale z urwanym cuglem, bo uwiązany będąc, a usłysawszy strzelanie, komosił się i zadzierzgnął się mocno, masztalerz zaś chcąc mi prędko podać konia, musiał urwać cugle: wsiadłem jednak na niego, lecz o je-

dnym cuglu nie mogłem dobrze kierować. Wymknąłem się przecież za wrota i tylko com chciał pomknąć przez ów mostek, któremu przyjechał pan Korsak, aliści z dołu od rzeczki na zasadzce będący ludzie, strzelać do mnie zaczęli, i dwóch chłopów z cepami z tyłu godziło na mnie. Odpędziłem tych chłopów od siebie, lecz z dołu, w nogę tyrańsko postrzelony zostałem: zdało mi się zrazu, że ktoś suchy raz zadał, ale nie widząc blisko nikogo, i postyszawszy wielką gorącość w nodze, domyśliłem się, że jest strzelony. Obawiając się więc, aby mnie jeszcze kto kulą nie dogodził, wróciłem się nazad, i wjechałszy do stajni, z masztalerzem się w niej zamknąłem. Gdy zaś z konia zacząłem następować na nogę, z gorącego czasu zdało się, że niebardzo bolała i przystępować mogłem; ale włożywszy rękę za cholewę, namacałem tam krwi niemało. Dobywać mię zatem chłopstwo w stajni zaczęło; lecz gdy zmierzylem do nich z pistoletów, które już były wystrzelone, uciekało odemnie. Kazałem więc prosić do mnie pana Korsaka samego, który wraz przyszedłszy, gromadnie zaczął mówić, abym się zdał. Otworzyłem więc wrota i rzuciłem pistolety od siebie, szablę jednak na temblaku miałem; on zaś poruszony passją, wyrzekłszy te słowa: „nie miałeś litości kazać do mnie, jak do psa strzelać”, porwał się do szabli i chciał mię ciąć, alem się mu szablą rzucił; kilka jednak razy przyciął na mnie, a ujrawszy krew na ręce mojej, rozumiał, że mię zaciął, i zreflektowawszy się, zaczął mię żałować, wszystką złość wywierając na Leśniewskiego, którego ciężko zbitego przywieziono wraz do tejże stajni. Wziął mię potem za rękę Korsak, chcąc zobaczyć cięcia, którą gdy mu wyrwawszy rzekłem: „że niełatwo mógł mię zaciąć, ale że ta krew jest z postrzału”, srodze się użalał, i zaczął narzekać na ludzi, że mnie nie oszczędzali, lubo im było przykazano. Zdjęto mi zatem but, i on sam rozdarłszy swoją chustkę, obiedwie mi rany zawiązał. Pytał się potem, gdzie nas miał kazać zawieźć; a gdyśmy chcieli jechać do Mścistawia, kazał dla mnie wóz zaprządzić parą koni, w którym pościel postano, i w nim mię jak w trumnie położono, bom już wielki ból czuć zaczął i nogi poruszyć nie mogłem. Posadżono też na wozy i drugich ranionych, oraz wie-

ziono do Mścistawia, trzy mile od tamtego miejsca odległego. Z naszej strony było postrzelanych i porąbanych i dużo zbitych, osób dwanaście, a z drugiej strony daleko więcej. Pan Bóg jednak dał, że żaden nie umarł, lubo jeden chłop Korsakowski był wskroś przestrzelony.

Samym zmrokiem mijaliśmy państwa Bobryków, którzy rozumiejąc, że nas wieźli do kancelaryi, chcieli odbić; ludzie zaś Korsakowscy o tém przestrzeżeniu, obawiając się aby ich nie pochwymano i nie wieziono gdzie do sądu, pozsadzali nas z wozów przy karczmie, a sami z końmi i wozami pouciekali. Nimeśmy tedy od tychże Imć państwa Bobryków wygodnych dostali pojazdów, noc zesza; więc stanęliśmy nazajutrz w Mścistawie około godziny 7^{mej} zrana. Postąłem wraz po cyrulika sławnego, żyda Mordeę; lecz zamiast jego, przywieziono mi innego, Majera, o którym mówiono, że lubo jest dobry cyrulik, ale do pacjentów nieszczęśliwy. Bardzom się więc zalterował, i kazałem koniecznie sprowadzić Mordeę; lecz on przyszedłszy powiedział: „że ponieważ przedemną inszy był cyrulik nieznany, ja podług prawa naszego następować na jego pierwszość nie mogę.” Zatrzymałem więc ich obydwóch. przyrzekłszy im dać talarów bitych pięćdziesiąt; ale oni się gościć nie chcieli, zdając się na dyskrecyą: nie wiedzieli bowiem jaki postrzał, aż go opatrzyli pierwszy raz, który szedł od kostki pobocznej w górę przez goleń. Noga już była spuchła niezmiernie i czarność się pokazała, przeto cyrulicy nieco się trwożyć poczęli; nadszedł zaraz ksiądz aptekarz Jezuita Ejmond, i zaczął mi dawać a d i n t e n d e, rozmówiwszy się cicho z żydami, abym się dysponował. Nazajutrz tedy raniuteńko zawokowawszy do siebie Imć księdza Barańskiego, Jezuitę, dysponowałem się jak na śmierć. Po spowiedzi w godzinę i dalej, nastąpiło drugie opatrzenie: cyrulicy rozwiązali nogę w przytomności aptekarza, na którego patrząc Morda, pytał się coby rozumiał o tym postrzale; aptekarz mu po niemiecku powiedział: że może we 24ch godzinach umorzyć pacyenta. Co ja zrozumiawszy, porwałem za rękę aptekarza, i zakląłem na Boga żywego, aby mi prawdę powiedział, czy mogę żyć lub nie? Zmieszany aptekarz powiedział mi, że już wpadła gangrena, i po-

dobno trzeba będzie piłować nogę. Mnie natenczas poszedł pot po całym ciele, jakby mnie wodą oblał, takim się uląkł, lecz wraz dałem rezolucją: już jeżeli mogą mi salwować życie bez piłowania nogi, niech mnie kurują; jeżeli zaś nie, niech idą precz, bo wolę ten czas strawić ze spowiednikiem. Morda tedy mi powiedział, że ponieważ są to tylko początki gangreny, więc może być, że jeszcze kość nią nie jest zarażona, a zatem trzeba uczynić operacją, to jest: wszystką czarność wyrznąć do kości. Pozwoliłem więc na to, i wraz Morda koło nogi mojej się zawinął; a ponieważ żadną miarą nie chciałem wziąć opium, obawiając się, aby mi nogi nie piłowali: namieszał więc Mejer szklanekę wódki z pół z wodą, i włożył dostatkim cukru; mogło być że wszystkiem blisko kwarty, i dał mi wypić, co mnie tak odurzyło, że żadnego bolu w nodze nie uczułem. Najprzód tedy Morda rozciął skórę od rany do rany, potem zawlekłszy igłę rymarską niegrubą, przeciągnął przez brzeg, i złożonywszy nic we dwoje, podniósł w górę że się aż nateżyła skóra, i po zdrowym miejscu ani czarnością, ani sinością nie zaszłem, rznął brzytwą. Natenczas uderzyły na mnie srogie poty, i od bolu wielkiego, oddech mi się tamował, oraz takem się wytrzeźwił, iż zdało mi się, że kropli wódki nie pił. Gdy urznął zrazów kilka dużych, coraz igłą zawlekając, pokazała się kość cała biała, a zatem Mordka zaczął mi wieszować i pod gardłem upewniać, iż mię wyleczy. Po owym tedy przestrachu usłyszawszy dobrą nowinę, wpadłszy w dobry humor, nie zważałem już bolu; owsem sam wzięwszy od żyda brzytwę, wyrznąłem sobie czarność, która w małych kawałeczkach jak konopne ziarno, różnie się po ranie znajdowała. Rana się zrobiła wielka na półtora ćwierci łokcia długa, a więcej jak na pół ćwierci szeroka, i krew się z niej niezmiernie lała, miejscami jak z fontanny wytryskując, którą pierwój tamowało sukno i skóra od buta kulą w środek postrzału wciągniona; przeto i była puchlina tak nagle poszła. Wziął powtórnie szklanekę wódki cyrulik, i niby chciał mi dać wypić; od czego gdym się wzbraniał, przybliżywszy się wylał mi ją na ranę; co mi taki ból sprawiło, że ani przemówić, ani krzyknąć nie mogłem: ale ten ból nie trwał długo, i rana się wyczyściła. Za-

raz mi lekkie maści przyłożono, wmieszawszy nieco egipcyanum, i mocno nogę obwiązano, przestrzegając, iż jeśli zawiązania słabić nie będą, aby dawano znać cyrulikom; jeśli zaś osłabiają, tedy zostawiony przy mnie cyruliczek, miał mocniej ścisnąć.

Po takiej operacyi w godzinę czy dalej, smaczno zasnąłem i do wieczora spałem, aż mię przyszedłszy cyrulicy obudzili. Gdym się ocknął, postyszałem, iż całe plastry opadły, tak nagle puchlina odpadła: musieli więc de novo opatrzyć, a mnie téż przypadł wielki apetyt, którego od kilku dni nie miał, co było znakiem, iż całe wyszedłem z niebezpieczeństwa. Nadjechała téż matka moja, przed którą pan Leśniewski ukladał się jak wilczek, że mnie wprowadził w takie hazardy; leżał i on w téjże stancyi i ciż cyrulicy go leczyli, dając mu smarowanie, gdyż był wszystek w sinościach. Póki byłem w niebezpieczeństwie, bardzo i on był słaby, nie tak z pobicia (lubo i to siła mu zdrowia odjęto), jak bardziej z alteracyi i turbacyi o mnie; gdy zaś usłyszał od cyrulika, że wyszedł z niebezpieczeństwa, zaczął się przechadzać i ustawnie siedział przy mnie; a że był wielki akcenciśta z panem Karolem Święcickim, także wesołym cztekiem, cieszyli mnie jak mogli, i lubo niezupełnie zdrowi byli, Leśniewski na bandurze grając skakał, a Święcicki różne figle wyrabiał.

Matka moja w kilka dni wyjechała, zostawiwszy przy mnie swoją ochmistrzynią Puzyrowską i Imci pannę siostrę moję, dzisiejszą panią koniuszynę oszmiańską. Wkrótce zacząłem się przechadzać po pokoju na kulach; cyrulicy życzyli mi odjechać do domu, co nieprędzej uczynić mogłem, aż we cztery niedziele po postrzeleniu. Jeszczem w domu przez niedziel kilka z pokoju nie wychodził, potem lubom nie mógł nastąpić na nogę, jednak na kulach przechadzałem się, i w pole z chartami w saniach jeździłem. Kule porzuciłem jakoś o Nowym Roku, rana zaś zupełnie się zgoiła w niedziel 18 po postrzale.

Nim ja z Mścistawia odjechałem do domu, brat mój wzięwszy wiadomość co się stało w Zubowszczyźnie, przysłał do mnie Rądkowskiego sługę, dla wzięcia wiadomości lepszej. Pojechał tedy pan Święcicki do Litwy, a widząc, że brat mój natenczas podczaszy mścistawski, miał być na początku trybuna-

tu w Nowogródku: tam się więc udał, i znalazł brata mego nad Niemnem na przewozie, cztery mile od Nowogródka popasającego w karczmie; gdzie bratu mojemu dowodnie opowiedział tak o tranzakcyi, jako o niebezpieczeństwie życia w którym byłem. Brat mój to słysząc, przytém też przeczytawszy listy, które miał od nas, bardzo był zalterowany; aż jak na nieszczęście nadjeżdża ów Czyż wojski wileński, coto dwa razy strzelił do brata mego, czasu jego pisarstwa kadencyi ruskiej. Poruszony więc brat mój passyą, porwał się do niego z szablą, a Czyż kolaską jadący, miał przy sobie strzelbę; porwał się do niej, lecz nim wystrzelił, brat mój ciął go po rękę: stędzy uderzyli po sługach, Czyżowscy więc uciekli, i Czyż wyskoczywszy z kolaski, uciekał, ale Janiszewski sługa brata mego, dogoniwszy go, niemitosiernie rąbał, aż mój brat obronił. Dostało mu się natenczas i po głowie, i po nosie, i po rękę. Po takowej akcyi, brat mój wrócił do Nowogródka, i zwierywszy się niektórym deputatom tego, co się stało, oraz poradziwszy się względem obudwóch akcyi z patronami, pojechał do Wojstomia do państwa Burzyńskich, natenczas instygatora litewskiego, gdzie rezydowała terazniejsza żona jego; i tam co miał otrzymać determinacyą o czasie wesela, to odebrał rezolucyą: iż póki nie zakończy interesu z Czyżem, żony mieć nie będzie. Odjechawszy więc w Bracławskie, przebywał w Jodach i w Drui, a z Nowogródka ustawne miewał raporta; a że Czyż był cale niebezpieczny życia, więc brat mój miał zawsze wszelką około siebie ostrożność.

O takowych naszych akcyach dowiedziawszy się Imé ksiądz biskup brat nasz, w niezupełném zostający zdrowiu, ciężko zachorował; a tak ten rok 1742 był dla nas wszystkich trzech braci klimakteryczny. Wszystko to jednak Pan Bóg z miłosierdzia swojego odmienić raczył, bo Imé ksiądz biskup w kilka niedziel ozdrowiał; ja tak miałem dobrze wyleczoną nogę, że mi do lat dwudziestu mało kiedy dolegała; a zaś jak Czyż ozdrowiał, tak panu podczasemu bratu mojemu i turbacya ustała; bo pojechawszy do Nowogródka, za przypadnięciem aktoratu, stanął do rozprawy, i poszła inkwizycya tak względem strzelania do okna, jakoteż o porąbanie; a że Czyż był do zwady i róż-

nych akcyi skłonny: poszła więc z nim inkwizycya de vita et moribus. Po takowym dekrete, brat mój chcąc przejść do konkluzyi w staraniu się o żonę swoją, musiał pogodzić Czyżę, dawszy mu 1000 talarów bitych i coś z porządku; na tém więc skończyła się sprawa.

Zbywszy zatém ten kłopot z głowy, brat mój otrzymał determinacyą o czasie wesela; więc dnia 27 Januarii 1743 roku, pojął in sociam vitae Imć pannę Barbarę Kopciównę pisarzównę litewską, terażniejszą żonę swoją. Dawał ślub Imć ksiądz biskup żmudzki, brat nasz.

Rok 1770.

Do Imć Pana Jana z Łopacina Łopacińskiego, starosty mściławskiego, i Heleny z Kozielska, księżniczki Ogińskiej, starościanki dorsuniskiej, w dożywotnią wchodzących przyjaźń.

Wiersz polski od akademii wileńskiej Societ. Jezu.

Drogi domie, z dwu drogich związany kamieni,
 Jaśnieć będziesz na wieki bez najmniejszej cieni;
 Drogie perły do pięknej zebrane korony,
 Żona koroną męża, mąż koroną żony.
 Droga paro, z dwu imion nieznających mroku!
 Żadna wam para w parze nie zdoła iść kroku,
 O której lub wieść niesie, lubo z dziejów znamy,
 Lubo na własne oczy w tych czasach patrzymy.
 Mądry pan, mądra pani, zacni ten i ona,
 Starosta z starościanką, z mężem równie żona.
 Drogi domie! majali pisarze ducha
 Wieszczego, nie wzruszy cię żadna zawierucha;
 Bo widzę, żeś z kamieni równych zbudowany,
 Równy miłości łańcuch związał równe ściany.
 Każda rzecz stale stoi, gdy jest równa waga,
 A najbardziej małżeństwu równość dopomaga.
 Równość ziemię ustala i niebo zawiesza,
 Równość morza gruntuje, nierówność świat miesza.
 Tu córy helikońskie uderzcie w swe stróny,
 A ogłoście przymioty, najprzód zacnej żony;
 Ty potem siedzisz Febie na słodkiej grać lirze,
 Przy wodach hypokreńskich o cnym bohaterze.

EDYP KRÓL.

TRAGEDYA SOFOKLESA.

TEUMACZYŁ Z GRECKIEGO

Kazimiérz Kaszewski.

(Dokończenie).

JOKASTA, EDYP, KREON, CHÓR.

Jokasta.

Nieszczęśliwi! cóżto za nierozumne wrzaski?
Nie wstydz cię się, kiedy kraj w nieszczęściach tonie,
Na domiar, osobiste wszczynać w nim niesnaski!
Idź do domu Edypie: do domu, Kreonie,
By z małej rzeczy wielka nie wszczęła się biada.

Kreon.

Siostro, twój mąż staszliwie dziś na mnie napada;
On zagroził mi dwiema kary okropnemi:
Chce mnie zabić, lub wygnać z méj ojczystej ziemi.

Edyp.

Prawda jest, żono, tom się przekonał na dobie,
Że on zdradziecko działa przeciw méj osobie.

Kreon.

Jeśli ty mi rzetelną przypisujesz winę,
To niech mnie bogi przeklną, niech w przekleństwie zginę.

Jokasta.

Mężu! gdy on przysięgę na bogi ci składa,
Wobec mnie, wobec ludu, jam wierzyć jój rada.

Chór.

Królu! méj rady usłuchać chciéj:
Rozmyśl się, błagam, w mądrości swéj.

Edyp.

W czymże cię, powieź, usłuchać mam?

Chór.

To, co on mówił, było dorzeczne,
Témbardziej kiedy poprzysiął nam,
To miej dla niego względy stateczne!

Edyp.

A wiesz ty, czego odemnie chcesz?

Chór.

Wiem dobrze!

Edyp.

Tedy, powieź jak wiesz.

Chór.

Oto gdy dobrze nie wiesz przyczyny,
To nań tak sprośnej nie składaj winy.

Edyp.

Ale wiedz że i o tém, że ta twoja rada,
Śmierć mi, albo wygnanie z kraju zapowiada.

Chór.

O! niech to słońce, które w bóstw rządzie
Jest najprzedniejsze, świadkiem mi będzie;
Niech mnie odstąpią ludzie i bogi!
Jeśli to w myśli powstało mojej;
Lecz mnie stan kraju nabawia trwogi,
Bo z waszój zwady złe się w nim dwoi.

Edyp.

Więc zgoda: niech on teraz odejdzie ztąd zdrowy,
Choćby mnie miała spotkać śmierć albo wygnanie.
Jam waszemi, nie jego, dał się zmiękczyć słowy,
On dla mnie nienawistnym wszędy pozostanie.

Kreon.

Ty wprawdzie ustępujesz, lecz widać z twój mowy,
Że trwasz w zaciętym gniewie, a złość popędliwa,
Najstraszniejszą męczarnią sama w sobie bywa.

Edyp.

Odejdź ztąd precz!

Kreon.

Odchodzę, przez cię potępiony,
Ale ten naród z lepszej uważa mię strony.

(odchodzi)

EDYP, JOKASTA, CHÓR.

Chór.

Niewiasto! teraz co rychlej idź
Do domu z mężem.

Jokasta.

Wiedziećbym rada,
Co może zwad ich powodem być?

Chór.

Ze czcnych podejrzeń wszczęła się zwada,
Bo wszelki zarzut, gdy jest od rzeczy,
Okrutnie drażni umysł człowieczy.

Jokasta.

A więc się oba wyzwali wraz?

Chór.

Oba!

Jokasta.

Lecz za co? pytam się was.

Chór.

Kiedy kraj taką cierpi niedolę,
Już ja téj zwady zaniechać wolę.

Edyp.

Widzisz do czego przyszło; nibyś ty mąż prawy,
Jednak tak obojętnie opuszczasz me sprawy.

Chór.

Królu! jać mówię, com nieraz rzekł:
Chybaby jakiś obłądny szął,
Miasto rozumu w głowie méj legł,
Gdybym ja ciebie opuszczać miał.
Wszak gdy ojczyzny mojej kochanej
Łódź przechyliły nieszczęść bałwany,
Tyś ją skierował na drogę prawą;
Więc i dziś z równą ratuj ją sławą!

Jokasta.

Powiedz-że mi, o królu! błagam cię na bogi,
Z jakiej przyczyny w tobie zawrzał gniew tak srogi?

Edyp.

Żono! ponieważ ciebie najwięcej szacuję,
Więc ci powiem, co Kreon przeciwko mnie knuje.

Jokasta.

Mów-że, niech się mym oczom cała rzecz odsłoni.

Edyp.

On powiada, że Lajos z mojej poległ dłoni.

Jokasta.

Czy on to z siebie mówi, czy tylko z pogłoski?

Edyp.

Nasłał na mnie wróżbitę, chytrego człowieka,
Lecz sam się uroczyście wszystkiego odrzeka.

Jokasta.

Słuchaj mnie mężu! porzuć niepotrzebne troski;
Więdz, że nie ma nikogo między śmiertelnemi
Coby sztukę wróżenia posiadał na ziemi,
I wraz ci na to dowód przytoczę niedługi.
W wyroczni, nie powiadam że przez Apollina
Było przepowiedzianem, lecz przez jego sługi:
Iż przeznaczeniem Laja, zginąć z ręki syna,
Którego ja porodzę. A tu wieść powiada,
Że go zabili jacyś obcy rozbójnicy,
Tam, kędy na trzy ścieszki droga się rozkłada.
Chłopiec miał ledwie trzy dni, gdy go służebnicy
Z rozkazu ojca wzięwszy, nóżęta związali
I on na pustej górze złożon jest w oddali.
A więc się nie ziściły Apollina słowa,
Iż on własnego ojca zabójcą się stanie,
I próżna była o to obawa Lajowa,
Chociaż takie wyroczni było wówczas zdanie.
Więc i tobie daremny ta rzecz kłopot sprawia:
Bo co Bóg chce objawić, to On sam objawia.

Edyp.

Co ty mówisz? co słyszę! żono nieszczęśliwa!
Jakąż trwoga twa mowa duszę mą przeszywa!

Jokasta.

Cóż to za nowy przestach na ciebie napada?

Edyp.

Z twych słów się pokazuje, że Laja zabili
Tam, gdzie się na trzy drogi gościniec rozkłada?

Jokasta.

Tak mówiono i mówią nawet do tej chwili.

Edyp.

A jak się zowie miejsce, na którym on zginął?

Jokasta.

Ziemia na której zginął, zowie się Focydą;
W miejscu, kędy dwie drogi z Delf i Daulii idą.

Edyp.

A od tego wypadku długi czas upłynął?

Jokasta.

Nim się poczęło u nas twoje panowanie,
Niecóż przed ogłoszono to po ziemi naszej.

Edyp.

O Zeusie! co ty czynisz! co się ze mną stanie?

Jokasta.

Cóż twą duszę, Edypie! tak okropnie straszy?

Edyp.

Nie pytaj mnie, lecz pragnę, byś mi powiedziała
Jakiego Laj był wieku, jakich kształtów ciała.

Jokasta.

Był wzrostu wysokiego, włos jego białawy,
A podobny do ciebie z twarzy i postawy.

Edyp.

Biadaż mnie nieszczęsnemu, toż ja nieświadomy,
Sam na siebie rzuciłem strasznych przekleństw gromy.

Jokasta.

Cóż to! gdy patrzę na cię jakiś strach mnie ima?

Edyp.

Pono ten wieszcz jasnymi wraz przejrzał oczyma.
Lecz powiedz jeszcze jedno, wtedy już się dowiem.

Jokasta.

Ja drzę cała; lecz na to, co spytasz, odpowiem.

Edyp.

Czy w drodze towarzyszków miał z sobą niewiele,
Czy, jak król, na licznego szedł orszaku czele?

Jokasta.

Miał z sobą pięciu drabów, i woźny był z niemi (1),
A sam o jednym wozie wyjechał z tój ziemi.

(1) Grecki wyraz *κηνός*, oddaliśmy polskim wyrazem: *woźny*, ale to tylko dla braku innego odpowiedniejszego; nie tłumaczy zaś on wcale znaczenia greckiego. Niemcy mają na to wyborowy wyraz *Ausrufer*.

Edyp.

Przebóg! teraz już wszystko jawném mi się zdaje.
A przez kogo te wieści do was się dostały?

Jokasta.

Przez jednego z służalców, który uszedł cały.

Edyp.

Czy ten człowiek w tym dworze dotąd pozostaje?

Jokasta.

Nie: bo kiedy powrócił, i, po Laja zgonie
Widząc, że rządy kraju powierzono tobie;
Błagał mnie, pochwycawszy moje ręce obie,
Że chce wyjść z tego grodu w najdalsze ustronie.
Ja posłałam go na wieś, by pasł nasze trzody,
Ale ten wierny sługa większej wart nagrody.

Edyp.

Czy nie mógłby on prędko przedemnie się stawić?

Jokasta.

I owszem! Ale po cóż wołasz go do siebie?

Edyp.

Oj! wszystko mi się zdaje, że co on ma zjawić,
Tegom się ja aż nadto wywiedział od ciebie.

Jokasta.

On przyjdzie, lecz tymczasem i jam warta przecie,
Byś mi powierzył troskę, co twą duszę gniecie.

Edyp.

Powiem ci, byś wiedziała, z jakim niepokojem
Oczekuję na wieści. Jestże kto na świecie,
Z kimbym chętniej cierpieniem podzielił się mojm!
—Ojciec mój był z Koryntu, Polybem go zwano,
A matka rodem z Doris, Meropa jój miano.
Ja byłem pierwszym mężem wśród mego narodu
Na ziemi koryntyjskiej, gdy raz mnie spotkało
Zdarzenie, które mogło zdziwić mnie niemało,
Chociaż się przez nie martwić nie miałem powodu.
Oto podczas biesiady ktoś, rozgrzany winem,
Przymówił mi: że jestem podrzuconym synem;
A to mnie tak obeszło, że ledwie mogł przeżyć
Ten jeden dzień; nazajutrz zaś idę co żywo
Zapytać się rodziców, czy mam w to uwierzyć.
Lecz i ich gniew ogarnia na tę wieść kłamliwą.
Odpowiedź ich na chwilę niepokój mój głuży,
Lecz słów raz wyrzeczonych zapomnieć nie mogę;
Ten cios zażbyt głęboko utkwiał w mojej duszy.

Więc bez wiedzy rodziców do Delf idę w drogę,
 Lecz Feb bynajmniej nie ma pytań mych na pieczy,
 Jedno wróży mi straszne, niesłychane rzeczy:
 Że w kazirodztwie z matką, me lata przeżyję,
 Że hańba ludzka będzie mych dzieci udziałem,
 Że rodzonego ojca nareszcie zabiję.

Przerażony wrózkami jakie usłyszałem,
 Uciekam coraz dalej od koryntskiej ziemi
 I mierząc jój odległość gwiazdy jedynemi,
 Idę z kraju do kraju, dbały tylko o to,
 Aby przed wywrózoną schronić się sromotą.
 I tak, idąc bez przerwy, w oném miejscu staję,
 Gdzie Laj zginął, jak z mowy twojej się wydaje.
 Powiem ci prawdę żono: gdym wszedł na te szlaki,
 Gdzie potrójny gościniec we trzy strony wiedzie,
 Aliści idzie woźny, a za nim mąż taki,
 Jakiego opisałaś, tuż na wozie jedzie.
 Uważam, że i starzec i woźnica społem
 Chcą mnie spędzić precz z drogi, którą iść począłem;
 Wtedy ja, gniewem o to uniesiony srodze,
 Woźnicę-m, napastnika powalił na ziemię,
 A starzec postrzegając, że k'niemu podchodzę,
 Dwakroć bodźcem na konie ciął mnie w samo ciemię.
 Ale miał też za swoje, choć nie w równej mierze:
 Bo gdy go kijem za to z téj ręki uderzę,
 Wraz z wozu na wznak pada, a ja w tejże chwili
 Morduję wszystkich, którzy mu towarzyszyli.
 Jeśli więc co wspólnego ma ten nieznajomy
 Z zabitym Lajem, jestże czyj los równie srogi?
 Mogąże kogo bardziej nienawidzić bogi!
 Obcy i swoi zamkną przedemną swe domy,
 Nikt do mnie nie przemówi słowa w mieście całym:
 Ja sam ten straszny wyrok na siebie wydałem.
 Ręce moje plugawia łożę mój ofiary,
 Zbrodnie me i ohyda dopelniły miary.
 Muszę-ż tedy wygnańcem opuścić te strony,
 A nie wolno mi nawet widzieć się z mojami,
 Nie wolno nogą stąpić do rodzinnej ziemi;
 Bo tam mam zostać mężem mój matki rodzonej,
 Bo tam niestety, Polyb, jak w wyrokach stoi,
 Mój rodzic i karmiciel, zginie z ręki mojej!
 I czyż nie słuszna twierdzić, że klęsk takich siła,
 Jakież chyba zawzięte bóstwo na mnie zsyła.
 Lecz bogi sprawiedliwe! nie dopuście przecie
 Abym ja miał dnia tego doczekać na świecie!
 Niech ja wyłączon będę wprzód z śmiertelnych grona,
 Nim ta sprośna ohyda na mnie się dokona.

Chór.

Smutna to rzecz, zaprawdę, lecz nie trać nadziei,
Aż cię ten co tu przyjdzie, objaśni z kolei.

Edyp.

To też ja się nadziei wszystkiój nie wyrzekam,
Póki nie przyjdzie owczarz, na którego czekam.

Jokasta.

A w czémże cię przybycie jego uspokoi?

Edyp.

Ja ci powiem: jeżeli on to, słowo w słowo
Powtórzy coś ty rzekła, to ja wyjdę zdrowo.

Jokasta.

Cożes tak pomyslnego odkrył w mowie mojej?

Edyp.

On, jak wnoszę z słów twoich, zapewnia, że Laja
Zamordowała owdzie rozbójników zgraja.
Jeśli on to potwierdzi, to ja się ucieszę,
Boć nie można jednego brać za całą rzeszę;
Ale jeśli był jeden, to już trudna rada;
Wtedy na mnie samego ciężar zbrodni spada.

Jokasta.

Wierzaj mi, że on tak nam opisał rzecz całą,
I nie mocen jest teraz cofać swojej mowy,
Bo nie ja jedna, całe ją miasto słyszało;
A choćby i innemi opowiadał słowy,
To jednak z tego jeszcze wywodzić nie trzeba,
Że ty zabiłeś Laja: bo pamiętam przecie,
Jak przed laty głosiła nam wyrocznia Feba,
Że go ma zamordować moje własne dziecię.
Lecz go ten biędny chłopiec nie mógł zabić wcale,
Kiedy sam wprzód zginął na odludnej skale.
To też ja od téj pory, wyznaję ci szczerze,
W żadne a żadne wróżby bynajmniej nie wierzę.

Edyp.

Słusznie mówisz, zaprawdę; ale rozkaż komu,
By mi wraz przywiedziono owego pasterza.

Jokasta.

Zaraz poślę po niego, lecz pójdźmy do domu,
Czynię to, co do twego tylko dobra zmierza.

(*odchodzi*).

Chór.**1.**

Oby wyroki na ziemi
 Sprawily, abym ja wciąż
 Słowy i czyny wszystkimi
 Dowodził, że-m prawy mąż;
 I szedł za praw tych przewodem,
 Co z górnej zeszy krainy,
 Co z nieba prosto są rodem.
 Ojcem ich Olimp jedyny,
 Nie ród znikomy, człowieczy:
 Więc starość, słaby im wróg,
 Niepamięć ich nie zniweczy,
 Bo wielki żyje w nich bóg.

2.

Ciemieżca, to pychy dziecię!
 Pycha gwałtowna, szalona,
 Gdy długo brojąc na świecie,
 Już miary zbytków dokona;
 Sama w ostatku się strąca
 W bezdnie, gdzie czas jój, bez końca.
 O! niechaj bogi łaskawe
 W opiece mają tę sprawę (1),
 Która z obecnej niedoli,
 Krainę naszą wyzwoli.
 O! niechaj zawsze i wszędzie
 Bóg przewodnikiem mym będzie.

3.

Lecz gdy człowieka słowo i ręka
 Zuchwalstwem tylko po świecie słynie;
 Jeśli on boże gwałci świątynie,
 Ani się sądów odwiecznych lęka;
 O! jako żywo: takiego człeka,
 Za złe popędy zły koniec czeka.
 Gdy w chęci zysku niepowściągniony,
 Człowiek swawolnie łamie zakony;
 Gdy w swém szaleństwie zapamiętały,
 Bezecnych czynów jąc się nie sroma,
 Gdy i przedmiotów dla bożej chwały,
 Świętokradczemi dotknie rękoma (2):

(1) Rozumié się wykrycie zabójcy Laja.

(2) Niektórzy komentatorowie twierdzą, że cały ten chór ma być alluzją do nadużyć Alcybiadesa. My jednak niechętnie dzielimy to przypuszczenie, gdyż zarazem przypuszczyć trzeba i to, że Sofokl tworząc tę tragedję miał ok. 10 stu lat, jeśli porównamy czas narodzenia jego z czasem panowania Alcybiadesa.

To człek stracony, nikt już nie zdola
Odwrócić ciosu od jego czoła.
Gdyby-ż ten prawo miał do nagrody,
Po cóż me modły i chorowody?

4.

Nie! już nie pójdę z modły kornemi
Do chramu, który jest w środku ziemi (1),
Nie spojrzę w Olimp; minę świątynię,
Która w Abijskiej stoi krainie (2),
Aż wszem ta zbrodnia jawną się stanie.
O Zeusie! Zeusie! wszechwładny panie!
Gdy-ć takie słusznie należy miano,
To nie ścierp, aby ta sprawa cała
Przed okiem twojém ukryć się miała,
By o niej w państwie twém nie wiedziano.
Bo oto Laja wyrocznie stare,
Martwe, zdeptane, straciły wiarę;
Blask Feba pobladł w naszej krainie,
Na wszystkie strony cześć bogów ginie.

JOKASTA, CHÓR.

Jokasta.

Przyszło mi na myśl, cni obywatele,
Pójść po świątyniach; przeto wzięłam w ręce
Te, jak widzicie, wonności i wieńce.
Edyp się dręczy i gniewa zawiele;
Zamiast, jak rzeczą jest mądrego człeka,
Z nowemi stare pogodzić wyrocznie;
On, niech kto przyjdzie, a nuż straszyć pocznie,
Wszystko rad słucha, a potem narzeka.
Więc gdy on nie chce słuchać rady mojej,
Do ciebie idę Lykejski Apollo!,
Którego posąg u bram naszych stoi,
Byś ty nad naszą zlitował się dolą:
Bowiem z nas każdy napół martwy chodzi,
Widząc, co cierpi sternik naszej łodzi.

GONIEC Z KORYNTU, JOKASTA, CHÓR.

Goniec.

Mógłbym się od was dowiedzieć, mężowie,
Gdzie mieszka Edyp? a jeżeli kto wie,
Kędy on sam jest, niechaj mi objawi.

(1) Świątynia delficka.

(2) *Abes*, miasto w Focydzie krainie Hellady.

Chór.

To jego dworzec, tu on teraz bawi;
A oto żona, matka dzieci jego.

Goniec.

Oby ta zacna królewska matrona,
Żyła szczęśliwa wśród szczęśliwych grona.

Jokasta.

I ciebie, gościu, niechaj bogi strzegą!
Warteś tych życzeń za twe dobre słowo;
Jakąż wieść tedy przynosisz nam nową?

Goniec.

Dla twego domu dobre mam nowiny.

Jokasta.

Jakież, i z której przybywasz krainy?

Goniec.

Prosto z Koryntu; mniemam, że me wieści
Sprawią wam radość i nieco boleści.

Jokasta.

Cóż to ma znaczyć, i czemuż to one
Mają być w sile swojej rozdwojone?

Goniec.

Ile słyszałem, na to się zanosi,
Że Korynt królem Edypa ogłosi.

Jokasta.

Alboż w nim Polyb nie włada sędziwy?

Goniec.

Nie zaś, śmierć już złożyła go w grobie.

Jokasta.

Jakto? co mówisz? Polyb już nieżywy?

Goniec.

Tak jest; niech umrę, jeśli skłamał tobie.

Jokasta *(do jednej z kobiet)*

Bieźże do pana z tą wieścią, niewiasto!
Wyroczone bogów! a gdzież wy jesteście?
Edyp porzucił swe rodzinne miasto,
By ojcobójcą nie zostać w tém mieście,
Aż ojciec zginął, ale nie z rąk syna,
Lecz że wyroczone przyszła nań godzina.

EDYP, JOKASTA, GONIEC Z KORYNTU, CHÓR.

Edyp.

Po coś mnie, miła żono, ze dworca przyzwala?

Jokasta.

Posłuchaj tego męża. a uwierzysz może,
W co to się obracają te wyroczone boże,
Którym przecie od wszystkich idzie cześć i chwała.

Edyp.

Kto on jest, jakie dla mnie przynosi nowiny?

Jokasta.

Przybył do nas dopióro z korynckiej krainy,
I mówi, że twój rodzic przestał żyć na ziemi.

Edyp.

Co mówisz... Gościu? pocznij rzecz słowy własnymi.

Goniec.

Gdy mi znowu te wieści poczynać każecie,
Powtarzam: że on stanął już w umarłych świecie.

Edyp.

Czy zbrodnia go spożyła, czy niemoc znękała?

Goniec.

Ladajaki wypadek kruszy stare ciała.

Edyp.

Więc umarł, jak się zdaje, strawiony chorobą?

Goniec.

Témbardziej, że wiek długi zostawił za sobą.

Edyp.

Przebóg! na cóż się zdało nawiedzać wyroczone,
Na co słuchać, gdy ptastwo krzyk w górze rozpocznie?
Wszak jam miał zabić ojca wedle ich wyroku,
A on umarł za Korynt nie ruszywszy kroku;
Miecz go mój ztąd nie dosięgł, chyba że na dobie
Żal po odejściu syna położył go w grobie.
Ztémwszystkiém, on w piekielnej już dziedzinie gości,
Tam uniósł z sobą wyrok odarty z wartości.

Jokasta.

A co, czyż ja ci dawno nie mówiłam o tém?

Edyp.

Mówiłaś, ale trwoga zwodziła mnie z drogi.

Jokasta.

Bobys odtąd porzucił niepotrzebne trwogi.

Edyp.

A łoże matki, dla mnie, nie jestże kłopotem?

Jokasta.

Na cóż się te kłopoty zdały człowiekowi,
Gdy o jego zamiarach los jeden stanowi,
Gdy nikt niczego naprzód rozumem nie zgadnie?
Najlepiej żyć na oślep, jak komu wypadnie.
Ty lękasz się by nie wejść do łoża swój matki,
I wielu trwożą we śnie podobne wypadki:
Lecz kto raz puste trwogi od ciebie odeprze,
To w życiu niezawodnie wyjdzie mu na lepsze.

Edyp.

Wszystko to bardzo dobrze, moja żono miła,
Byłoby, gdyby matka moja już nie żyła;
Lecz póki ona żyje, mnie wciąż bojaźń tłoczy.

Jokasta.

Śmierć ojca powinna by otworzyć ci oczy.

Edyp.

Lecz póki matka żyje, póty ja się boję.

Goniec.

Któraż z kobiet te w tobie wznieca niepokoje?

Edyp.

Meropa, z którą przecie Polyb zaślubiony.

Goniec.

I czegoż tak dalece lękasz się z jej strony?

Edyp.

Tego, czém mi groziły przepowiednie boże.

Goniec.

Które, czy wiedzieć o nich nikt inny nie może?

Edyp.

Owszem: raz mi Apollo powiedział dość jasno,
Że się kiedyś ożenię z moją matką własną,
Więc uszedłem z Koryntu: złe-ć mi tu nie było,
Lecz zawsze z rodzicami przebywać tak miło.

Goniec.

I dlategoś z ojczyzny poszedł na wygnanie?

Edyp.

Prócz tego miałem ojca zamordować srodze:

Goniec.

Czemuż nie nam uśmierzyć cierpień twoich, panie?
Gdy w dobrej myśli owszem do ciebie przychodzę.

Edyp.

Bądź pewien, że cię za to hojnie wynagrodzę.

Goniec.

Co prawda, z tego głównie szedłem tu powodu,
Że ty mnie wynagrodzisz z powrotem do grodu.

Edyp.

Lecz ja nie chcę się widzieć z rodzicami memi.

Goniec.

O synu! snadź że nie wiesz, co robisz na dobie.

Edyp.

Cóż to znaczy, o starcze! ja nie wiem co robie?

Goniec.

Ta-ż cię przyczyna trzyma zdala od twój ziemi?

Edyp.

Trwożen jestem, by wyrok nie spełnił się boży.

Goniec.

Abyś nie uległ zbrodni przez rodzice swoje?

Edyp.

Otóżto, starcze, czego ja zawsze się boję.

Goniec.

Dowiedz się więc, że ciebie pusty powód trwoży.

Edyp.

Nie jestemże ich synem, by nie mieć powodu?

Goniec.

Bynajmniej: Polyb tobie niczém nie był z rodu.

Edyp.

Jakto? a więc nie Polyb, mówisz, dał mi życie?

Goniec.

Tyleś jemu co i mnie obowiązany za nie.

Edyp.

Ty i on: nie rozumiem słów tych należycie.

Goniec.

Ani on był twym ojcem, ani ja téż, panie.

Edyp.

A dlaczegoż on synem mianował mnie przecie?

Goniec.

Z moich rąk on cię w darze otrzymał na dobie.

Edyp.

A jakież on mógł obce ukochać tak dziecię?

Goniec.

Nie miał własnych, więc miłość swą skłonił ku tobie.

Edyp.

Czy ty sam mnie zrodziłeś, czyś kupił od kogo?

Goniec.

Znalazłem, idąc leśną Cyteronu drogą.

Edyp.

Dlaczego w owych miejscach przebywałeś, powiedz!

Goniec.

Ja na téj górze cudzych pilnowałem owiec.

Edyp.

Byłeś tedy owczarzem służąc za zapłatą?

Goniec.

Jednak jam twoim, synu, zbawcą stał się wtedy.

Edyp.

A z jakiej mnie naówczas ratowałeś biędy?

Goniec.

Oj! własne twoje nogi odpowiedzą na to (1).

Edyp.

Przebóg! czemu mnie ranisz tém starém wspomnieniem?

Goniec.

Ja zwolniłem twe nogi ściśnięte rzemieniem.

Edyp.

Został mi tego wcale niechwalebny dowód.

Goniec.

W tém, twójego nazwiska leży właśnie powód.

(1) *Οιδιπους*, Edyp, znaczy dosłownie: *spuchłonogi*.

Edyp.

Matce-ż, czy ojcu za to winienem podziękę?

Goniec.

Nie wiem; ten ci to powie, co mi dał cię w rękę.

Edyp.

Ja tedy nie przez ciebie byłem znaleziony?

Goniec.

Nie: złożył cię w me ręce owczarz z innéj strony.

Edyp.

Kto on taki? nie mógłbyś powiedzieć mi zasię?

Goniec.

Mówił mi, że był Laja sługą w owym czasie.

Edyp.

Czy tego, co przedemną królował w tym grodzie?

Goniec.

Tak, tego; on przy jego właśnie chodził trzodzie.

Edyp.

Żyje-ż on jeszcze, mogę-ż widzieć się z nim przecie?

Goniec.

Wy, tutejsi, najlepiej wiedzieć to możecie.

Edyp.

Może który z was wszystkich, co tutaj jesteście,
Zna owczarza o którym rozpowiada goniec,
Lub pomni, że go widział na wsi albo w mieście;
Niech mi powie natychmiast, bym raz zrobił koniec.

Chór.

Ja sądze, że to będzie ten owczarz, o panie!
Któremu na wsi dano przed laty mieszkanie,
Któregoś widzieć pragnął; lecz zapytaj raczej
Jokasty, ona ci to lepiej wytłumaczy.

Edyp.

Sądziś żono, że owczarz wezwany przezemnie,
Jest właśnie tym człowiekiem, o którym tu mowa?

Jokasta.

O kim mowa? ja nie wiem. Nie trwoż się daremnie,
Niechaj uleca puste z pamięci twéj słowa.

Edyp.

Będę się starał, mając wskazówki tak jasne,
By się zagadka rodu mego rozwiązała.

Jokasta.

Oh! na bogi! jeżeli cenisz życie własne,
Przestań tych poszukiwań; jam dość już zbolała.

Edyp.

Nie martw się; choćbym ja był po prababce mojej
Potrójnym niewolnikiem, twa cześć się ostoi.

Jokasta.

Przestań jednak tych badań, słuchaj mnie, mój miły!

Edyp.

Nie, zbadać téj zagadki nic mi nie przeszkodzi.

Jokasta.

Wszelako moja rada z twém dobrem się godzi.

Edyp.

Ej! te wyborne rady zbyt mi dokuczyły.

Jokasta.

Nieszczęsny! bodajś nigdy nie znał twego rodu!

Edyp.

Przyprowadźcież raz tego owczarza do grodu!
Niechaj ona się cieszy swego rodu chwałą.

Jokasta.

Nieszczęsny!.... tak cię tylko od dziś zwać przystało.
(odchodzi).

Chór.

Edypie! gdzieżto idzie żona nieszczęśliwa?
W jój milczeniu, nieszczęście jakieś się ukrywa.

Edyp.

Cokolwiek bądź, ja ród mój chcę poznać nareszcie,
Choćby on i w najniższym postawił mię rzędzie;
Może ona się wstydzić mego rodu będzie,
(Wreszcie można tę pychę wybaczyć niewieście),
Lecz jam jest synem losu, przezeń ma potęgę
Wzrosła tak, że mnie żadna hańba nie dosięga.
Los mym ojcem; miesiące, to są krewne moje,
Ja też przez nie i nisko i wysoko stoję.
To mój ród; ja do tyła nie zmienię się przecie,
Abym go nie miał chęci odszukać na świecie.

Chór.**1.**

Jeśli wróżenia dana mi moc,
 Jeśli mnie rozum mój nie omyli,
 O! Cyteronie w jutrzejszą noc,
 Kiedy się pełny miesiąc wychyli
 Wielka cię od nas powita cześć.
 I żeś się ojcem Edypa stał,
 Będziem ci śpiewać, chorowód wieść,
 Za dobro, jakie od ciebie miał.
 Wysłuchaj ślubów mych, Apollinie!
 Ty, przez którego zło wszelkie ginie.

2.

Któraż z nimf, synu, matką twą była?
 Czy nimfa górna, panowi miła?
 Czyś winien życie Apolla córce?
 Bo i on lubi lesiste wzgórze.
 Możesz ty synem króla Kyllany (1)
 Lub Bacha, który na Helikonie (2)
 Zamieszkał ciemne gajów ustronie,
 I tam z nimfami puszcza się w tany.

GONIEC Z KORYNTU, SŁUGA, CHÓR.

Edyp (*do jednego z chóru*).

Starcze! jeżeli mogę czynić przypuszczenia
 O tym, z kim-em nie nigdy nie miał do czynienia,
 To ci powiem, że idzie, zda mi się, z tej strony
 Owczarz, tak dawno przez nas w mieście upragniony:
 Bo i wiek opisowi jego odpowiada,
 I sług go moich widzę prowadzi gromada.
 Lecz ty znałeś go dawniej, ty mi przeto powiedz,
 Czy on jest rzeczywiście owym stróżem owiec.

Chór.

Poznałem go, ten sam jest, którego czekamy;
 Wierniejszego nie miała rodzina Lajowa.

Edyp.

Czy ten, o którym była między nami mowa,
 Powiedz, mężu koryntski!

(1) *Cyllene*, góra Peloponezu, na której Maja powiła Merkurego.
 (2) *Helikon*, góra w Beocyi.

Goniec.

To on w rzeczy samój.

Edyp.

Starcze! patrzaj mi w oczy, i na zapytanie
Odpowiadaj. Czy byłeś sługą Laja rodu?

Sługa.

Byłem sługą; Laj jednak nie kupił mnie, panie,
Jedno na dworze swoim wychowywał z młodu.

Edyp.

A czemżeś ty się trudnił, kiedy byłeś młody?

Sługa.

Jam największą część życia chodził pasać trzody.

Edyp.

A w jakiej ty najczęściej przebywałeś stronie?

Sługa.

Na pastwiskach, co leżą tuż przy Cyteronie.

Edyp.

Znałeś tam tego człeka? przypomnijno sobie....

Sługa.

Co on tam robił? gdzie jest?

Edyp.

Ot! stoi przy tobie.

Przypomnij, czyście z sobą w jakiej radzie byli?

Sługa.

Nie; przynajmniej nie mogę przypomnieć w tej chwili.

Goniec.

Nic to dziwnego panie, lecz ja mu to mało
Przypomnę, co z pamięci zwolna uleciało.
Tak, on mnie w Cyteronu widział okolicy,
Gdzie on dwie, a jam jedną pasł trzodę na łące;
Bawił zazwyczaj ze mną całe trzy miesiące,
Od wiosny, aż do wejścia gwiazdy w Niedźwiedzicy;
A gdy zima nadeszła, tedy jak zwyczajnie,
Jam trzodę wiódł do swojej, on do Laja stajnie.
A co, czy prawdę mówię?

Sługa.

Prawdę, ani słowa;

Lecz strasznie dawnych czasów sięgnęła twa mowa.

Goniec.

Tys mi wówczas dał chłopca, to pamiętasz przecie,
I kazałeś wychować jako własne dziecko.

Sługa.

Cóżto jest za pytanie? w jakim ono celu?

Goniec.

Oto mąż, co był owém dzieckiem, przyjacielu.

Sługa.

A bodajżeś ty przepadł za twoje gadanie.

Edyp.

O starcze! nie waź mi się krzywdzić tego człeka;
Ciebie daleko większy sąd niż jego czeka.

Sługa.

Cóżem ja złego zrobił, o mój dobry panie.

Edyp.

Czemu nie odpowiadasz na jego pytanie?

Sługa.

Oj, on nie wie co mówi, i darmo się trudzi (1).

Edyp.

Jeśli sam się nie przyznasz, to wypowiesz w męce.

Sługa.

Przebóg! niech mój wiek stary litość w tobie wzbudzi.

Edyp.

Nie ma co robić, dalej! wiążcie mu w tył ręce!

Sługa.

Czegóż wreszcie odemnie dowiedzieć się chcecie?

Edyp.

Mówże, czy mu istotnie dałeś wówczas dziecko?

Sługa.

Dałem.—Obym był zginął w tę samą godzinę!

Edyp.

Jeśli prawdy nie powiesz, to pewnie cię czeka.

Sługa.

A jeżeli ją powiem, jeszcze prędzej zginę.

(1) Temi słowy przypuszcza niby stary sługa, że goniec koryn-
tyjski czyni to wyznanie w nadziei otrzymania nagrody od Edypa.

Edyp.

Ten człowiek, zdaje mi się, umyślnie rzecz zwleka.

Sługa.

O nie, ja mu je dałem; przyznałem się przecie.

Edyp.

Czyto było twe własne, czy też cudze dziecię?

Sługa.

Jam nie był jego ojcem, mnie je powierzono.

Edyp.

Kto? i z jakiego domu pochodziło ono?

Sługa.

O więcej mnie, na bogi! nie wypytuj, panie.

Edyp.

Śmierć twoja, gdy raz jeszcze powtórzę pytanie.

Sługa.

A więc ono pochodzi z Lajowego domu.

Edyp.

Czy-ć je dał kto z rodziny, czy też służebnice?

Sługa.

Oh! straszno-ż takie rzeczy wypowiadać komu.

Edyp.

Straszniej słuchać, jednakże wykryj tajemnicę!

Sługa.

Miał on być synem Laja; ale wreszcie kto wie,
Żona twoja Jokasta, najlepiej ci powie.

Edyp.

Ona-ć je dała?

Sługa.

Ona.

Edyp.

A w jakim zamiarze?

Sługa.

Sądziła, że mu życie odjąć się poważy.

Edyp.

Jakto! rodzona matka: co mówisz na bogi!

Sługa.

Złowieszcze ją wyrocznie nabawiały trwogi.

Jakie?

Edyp.

Sługa.

Że on rodzica zabije.

Edyp.

A czemu

Ty to dziecię starcowi powierzyłeś temu?

Sługa.

Litość mnie nad niem zdjęła; sądziłem, że chłopca
Weźmie do swój ojczyzny, a to ziemia obca.
On zaś go ku nieszczęściu zachował wielkiemu:
Bo jeżeli on prawdę o tobie wyrzeka,
To nie ma biédniejszego od ciebie człowieka.

Edyp.

Wszystko już wyszło, przebóg, z tajemniczej matni!
O światło! ja cię widzę dziś po raz ostatni:
Tak: moje urodzenie, kazirodcze śluby,
Ojcobójstwo, zrządziły powód mojej zguby.
(*odchodzi*).

I.

Chór.

Przebóg! przebóg! ludzki płodzie,
Jakżeż marna dola twa!
Najszcześliwszy mąż w narodzie,
Pozór tylko szczęścia zna.
I ten ledwie przed oczyma
Jego błysnie, już go nie ma.
Twoja dola nieszczęśliwa,
Tę mi prawdę dziś wykrywa:
Tak Edypie! mówię śmiało,
Szczęsnych ludzi nie bywało.

2.

Wielką myślą tyś na szczyty,
Najwyższego szczęścia wzbity.
Gościła tu dziewa sprośna,
Zbrojna szpony drapieżnemi,
Z tajemniczych wierszy głośna...
Tyś ją sprzątnął z naszej ziemi,
I kraj własném broniąc ciałem,
Przeciw śmierci stanął wałem.
Przeto nasza ziemia cała
Królem swoim cię wybrała;
Chlubneż było twe, o panie!
W wielkich Tebach królowanie.

3.

A dzisiaj, jestże drugi kto,
Coby przerównał nędzę twą?
By sroższe klęski, brzydszy kał,
Ze dni żywota, wysnuć miał?
O cny Edypie, myślę wciąż
Żeś ty jak syn i jako mąż,
Na jedném łonie składał głowę.
I jakżeż to małżeńskie łoże,
I twoje razem, i ojcowe,
Tak długo, długo, milczeń może?

4.

Lecz czas na wszystko czujny ma wzgląd:
Jemu się jawną stała twa wina,
On to sam wydał surowy sąd,
Na ślub, co z matką połączył syna.
O synu Laja! złorzeczę chwili,
Gdyśmy cię pierwszy raz zobaczyli,
Jęczę nad tobą, gorzkie lzy leję.
Bo jeśli prawdę powiedzieć mam,
To ty w nas tchnąłeś życia nadzieję,
I ty też oczy zamknąłeś nam.

POSEŁ, CHÓR.

Posel.

Wy, co między Tebany pierwszemi jesteście,
O czém słuchać, co widzieć będziecie w tém mieście,
Jakiż jęk pójdzie z piersi, jeśli jeszcze komu
Zostało co spólcucia dla Labdaków domu.
O! bo ani Isteru, ani Fazu wały,
Jeszczeby z tego domu hańby nie spłókały.
I oto nowe klęski wychodzą na jaśnie,
A klęski dobrowolne, co najsmutniej właśnie;
Bo ze wszystkich najbardziej te nieszczęścia bołą,
Które człowiek sam zrządził, za wiedzą i wolą.

Chór.

Te klęski, to już przecie dla nas nie nowina.
Jakież masz dopowiedzieć nieszczęście, i czyje?

Posel.

Krótką sprawą: przezacna Jokasta nie żyje.

Chór.

O nieszczęsna! i w czémże śmierci jój przyczyna?

Poseł.

Oh! sama się zabiła w rozpaczliwym szale.
 Lecz gdy to oczom waszym nie było przytomne,
 Ja tedy wam okreśę, o ile przypomnę
 Tej nieszczęsnej niewiasty cierpienia i żale.
 —Rozpaczając, przebiegła przez próg pałacowy,
 I wpadłszy do komnaty, gdzie małżeńskie łożo,
 Dwoma rękami włosy wyrywała z głowy!
 Wtém zatrzaśnie za sobą podwoje we dworze,
 Wywołuje cień Laja: to mu przypomina
 Pożycie wspólne, to znów narodzenie syna,
 Który miał kiedyś ojca własnego ugodzić,
 I dzieci kazirodcze z własnej matki spłodzić;
 To łożo, gdzie podwójnie była nieszczęśliwa,
 Gdzie mąż z męża, syn z syna miał się jój narodzić
 Obejmuje, i łzami gorącemi zlewa.
 Ja jój śmierci jednakże nie byłem przytomnym,
 Bo znów Edyp do dworca wpadł z krzykiem ogromnym,
 I przeszkodził nam nad nią czuwać do ostatka.
 Biegniemy doń, on zasię tam i sam się błąka,
 Szuka miecza i woła: „gdzie moja małżonka,
 Gdzie jest moja rodzica, gdzie mych dzieci matka?”
 Bóg jakiś, snadź w tej strasznej wskazał mu ją chwili,
 To pewna, bo z nas żaden, którzyśmy tam byli;
 Pędzi więc prosto drogą z straszniemi hałasy.
 Pod jego pięścią pękły i drzwi i zawiasy,
 Jakby wiedzion przez kogo, wpada do łożnicy.
 Tam widzimy niewiastę zwieszoną w pętlicy,
 Co gdy on wreszcie zoczył, ryknął jak szalony,
 I odczepił pętlicę od szyi swój żony;
 A kiedy już jej ciało spoczęło na ziemi,
 Straszliwy obraz stanął przed oczy naszemi:
 On, złote sprzączki z płaszczu Jokasty obrywa,
 Wbija je sobie w oczy i tak się odzywa:
 „Oczy, z których pożytek był mi w życiu mały,
 Bo od klęsk nie ustrzegły, zbrodni nie widziały,
 Niech odtąd na nich wiecznie ciemności osiędą,
 Niech odtąd i ci dla nich niewidzialni będą,
 Co bodaj zawsze byli odemnie zdaleka;
 I ci, na których dusza z upragnieniem czeka.”
 Tak on mówiąc, powieki targa z całej siły,
 Wraz zakrwawione oczy lice mu zrosiły,
 Lecz nie sama krew tylko sączyła z oprawy,
 Jeszcze jakiś deszcz czarny i niby grad krwawy.
 Takimto klęskom oni ulegli oboje;
 Szczęsnej, oh! szczęsnej niegdys używali doli:
 Dziś, niesława, śmierć, rozpacz, wzięły ich w moc swoje,
 Słowem, nic tam nie braknie, co hańbi i boli.

Chór.

I cóż się przecie teraz z tym biedakiem dzieje?

Poseł.

Woła, by roztworzono wszystkie bramy w mieście,
By tego ojcobójcę widzieli kadmeje.
Tego syna co matkę... ej! dam pokój wreszcie
Tym bluźnierstwom; chce zaraz wyjść precz z naszej ziemi,
Nie chce zostać na dworze z przekleństwa własnymi;
Lecz mu trzeba pomocy, trzeba przewodnika,
Bo nad siły nieszczęście na wskrós go przenika.
Sam się przekonasz, właśnie wychodzi za progi,
Zobaczysz widok, który zmięczyłby i wrogi.

EDYP, CHÓR.

Chór.

Okropność! okropność! ja w życiu mém całym
Takiego straszyla na oczach nie miałem.
Nieszczęsny! czy tobie szal przyszedł do głowy,
Czy gniewny bóg zrządził ci klęskę tak srogą,
Nieszczęsny! me oczy znieść ciebie nie mogą?
A jednak ja z tobą tak pragnę rozmowy;
O wiele cię rzeczy mam pytać się jeszcze,
Lecz próżno, twa postać sprowadza mi dreszcze.

Edyp.

Przebóg! przebóg, gdzież ja jestem?
Gdzie mnie wiodą moje nogi?
Głos mój błędnym brzmi szelestem,
Gdzieś mnie stracił losie srogi?

Chór.

Oj! w otchłań okrutną niedoli i sromu,
O jakiej nie słuchać, nie wspomnieć nikomu.

Edyp.

Objąłeś mnie z każdej strony
Mroku straszny, nieskończony;
Nic cię przebić już nie zdoła,
Nic odgarnąć z mego czoła.
Biadaż, biada, mi narodzie,
Tu obecny ból mnie bodzie,
A tam przeszłość nieszczęśliwa,
Żądłem wspomnień mnie przeszywa.

Chór.

To nie dziw, zaprawdę, że w takiej niedoli,
Cios każdy podwójnie cię rani i boli.

Edyp.

Ty mi więc, o druhu stary,
Dochowałeś dawnéj wiary:
Bierzesz udział w ślepca losie,
Czuję ja, że jesteś ze mną:
Choć mi w oczach strasznie ciemno,
Lecz poznałem cię po głosie.

Chór.

Jak sobie tęs straszną zadawać mógł mękę,
Czy gniewny bóg jaki prowadził twą rękę?

Edyp.

Przyjaciele! ta niedola
Padła na mnie z ust Apolla;
Lecz mych oczu męka krwawa,
To mej własnej ręki sprawa;
Bo i na cóż wzrok się przyda,
Gdy, gdzie spojrzysz, tam ohyda.

Chór.

Istna prawda!

Edyp.

Jakoż chcecie?
Na co patrzeć mi na świecie?
Co mi dzisiaj pośród ludzi,
Słuch ucieszy, miłość zbudzi?
Oj! wypędźciez mnie co żywo,
Oj! wypędźcie z ziemi waszój
Tę poczwarę nieszczęśliwą,
Co was grozą przekleństw straszy;
Którą ludzie już się brzydzą,
Którą bogi nienawidzą.

Chór.

Edypie! podwójną dotknięty niedolą,
Bo niedość że klęski dotkliwie cię bolą,
A jeszcze myśl twoja tak trapi się niemi,
Bodajbym cię nigdy był nie znał w méj ziemi.

Edyp.

A bodajże przepadł człek,
Co tam pośród leśnej drogi,
Z pęt rozwiązał moje nogi,

I od wczesnej śmierci strzegł.
 Nie przysłużył mi się wcale,
 Ztąd poszły moje biedy,
 Ztąd przyjaciół moich żale;
 Bodajem był umarł wtedy!

Chór.

W tém i ja się z tobą godzę.

Edyp.

Ni-bym ojca zabił w drodze,
 Ani szedłbym do lożnicy
 Przebóg! własnej mej rodzicy;
 A dziś, nędznie zrodzon sam,
 Z własnej matki syny mam;
 Słowem wszelka nędza, biada,
 Dziś na głowę moją spada.

Chór.

Edypie! twój kaźni nie chwale ja przecie,
 Śmierć lepsza niż życie ślepego na świecie.

Edyp.

Jam uczynił, co byłem powinien uczynić;
 Nie masz czemu przyganiać, ni za co mnie winić;
 Widzący, czyżbym w pieklach mógł spojrzeć pogodnie
 W oczy ojcu mojemu i mej rodzicy,
 Przeciw którym spełniłem dwie okrutne zbrodnie,
 Jakich nawet nie zmaże sama śmierć w pętlicy?
 Lecz przyjemnie byłoby, powiecie mi może,
 Popatrzeć się na dzieci, pocieszyć się niemi;
 Nie, ja nie mógłbym na nic już spojrzeć na ziemi:
 Ni na gród, ni na mury, ni na chramy boże,
 Które-m sam sobie zamknął, sam między Tebany,
 Rozkazując, by zbrodzień z kraju był wygnany.
 I dziś, jak bezbożnika, każdy mnie przeklina,
 I bogi zwań nieczystym Lajowego syna!
 Gdy więc wszem wobec zbrodnie me się ukazały,
 Jakże mógłbym na ziomków wzrok podnosić śmiały?
 O nie! ja chciałbym jeszcze źródła słuchu stłumić,
 I ciało me odrętwić; ażeby już wtedy
 Być i ślepym, i głuchym, i nic nie rozumieć:
 Bo nie czuć swoich nieszczęść, to jeszcze pół biedy.
 Czemuż mnie, Cyteronie! schroniły twe szczyty,
 Albo czemuś mi zaraz nie odebrał życia,
 By ród mój nigdy, nigdy nie wyszedł z ukrycia!
 O! Polybie! Koryncie! dworcu znamienity,
 Który ojcowskim zwałem! jakąż mnie plugawą,
 Pod pięknymi pozory karmiliście strawą?

Dziś ja i ród mój bogom i ludziom niemiły.
 O! potrójne rozdroże, posepna dolino!
 Lesie! w którym trzy ścieżki schodzą się i giną,
 Co krew mojego ojca z ręki méj wypili!
 Pamiętacie-ż ówczesne me zbrodnie i ową,
 Którą-m spełnił przyszedłszy na ziemię Kadmową?
 Ślubie, nieszczęsny ślubie! przez cię jam zrodzony,
 I przez cię téż krew moja spłynęła z powrotem
 W łono, co obdarzyło ziemskim mnie żywotem.
 Ztąd poszli ojce, matki, i bracia, i żony,
 I dzieci kazirodcze: okropna-ż rodzina!
 Plaga, jakiej ród ludzki ani przypomina.
 Lecz dość już: co wspominać takie sprośne czyny?
 Dalej, przebóg! wypędźcież mnie precz z swéj krainy,
 Wydrzyjcie życie, rzućcie gdzie w morze głęboko,
 By mnie już nigdy ludzkie nie widziało oko.
 Zbliźcie się, nie lękajcie dotknąć bezbożnika:
 Bo ta plaga mnie tylko jednego dotyka!

Chór.

Otóż, jak widzę, w porę i Kreon nadchodzi;
 On ci najlepij rady swojemi wygodzi,
 Bo teraz już on jeden na twém miejscu włada.

Edyp.

I cóż ja jemu powiem? Oj, biadaż mi, biada!
 Ja, który-m go niedawno skrzywdził tak dalece,
 Mógłż jaką nadzieję mieć w jego opiece?

EDYP, KREON, CHÓR.**Kreon.**

Edypie! nie najgrawać się z ciebie przychodzę,
 Ni wyrzucać występki, co cię trapią srodze.
 Lecz wy, jeżeli ludzi szanować nie chcecie,
 To blask słońca ożywczy uszanujcie przecie,
 Usuńcie precz z widoku nieczystego człeka,
 Którego ni powietrze, ani święta rzeka,
 Ani ziemia do siebie nie chcą przyjąć wcale.
 Weźcie go ztąd czempredź i ukryjcie w domu:
 Bo krewnym wolno tylko boleści i żale
 Krewnych widzieć i słyszeć, a więcej nikomu.

Edyp.

Na bogi! gdy ja ciebie osądziłem mylnie,
 Gdy za złe dobrem płacisz, słuchaj mnie, Kreonie!
 Korzyść ztąd nie na mojej, lecz na twojej stronie.

Kreon.

A czegożto odemnie żądasz tak usilnie?

Edyp.

Wypędź mnie z tego grodu, i osadź na ziemi,
Gdziebym nic do czynienia nie miał z śmiertelnymi.

Kreon.

Jabym już to uczynił; ale mi potrzeba,
Nim co pocznę w téj mierze, poradzić się Feba.

Edyp.

A przecież jego wyrok jawny jest w tym względzie:
Że ojcobójca śmiercią ukarany będzie.

Kreon.

Zapewne; lecz gdy rzeczy tak dziwacznie stoją,
To rada jego wielce pomocną być może.

Edyp.

Więc będziesz go się pytał o niedolę moją?

Kreon.

W tobie dowód jak ważne są wyroki boże.

Edyp.

Tobie zasię polecam, byś, jako przystało,
Téj, co leży we dworcu, w grobie złożył ciało;
I to od ciebie twoim należy się wreszcie.
Ja zaś żyw nie postanę już w ojcowskiem mieście,
Lecz pójdę mieszkać w góry, na grzbiet Cyteronu,
Gdzie mi za życia, z woli rodzica i matki
Grób był przeznaczon; tam ja doczekam się zgonu.
Choć wiem, że mię choroba ni inne wypadki
Nie zmogą; bobym śmierci nie był wyrwan przecie,
Gdyby mnie coś gorszego nie czekało w świecie.
Teraz niechaj się spełni moje przeznaczenie.
Co się tyczy mych dzieci, to tylko nadmienię:
Że synów moich tobie nie zlecam Kreonie,
Oni męże, chleb znajdą w każdej świata stronie.
Ale-m dwie biędne córki zostawił na ziemi;
One zawsze siadały u mojego stołu,
Z niemi każdy kawałek dzieliłem pospołu:
Oh! ty mnie teraz wyręcz i czuwaj nad niemi;
Pozwól ich dotknąć ręką; oh! błagam cię o to!
Pozwól popłakać razem nad wspólną zgryzotą.
Królu! bracie szlachetny! spełnij me żądanie,
I pozwól mi rękami dotknąć je kolejną;
Wzdy mi się będzie zdawać, że ja patrzę na nie.
Lecz co słyszę? toż one podobno lży lejają!

Czy to wy? drogie dzieci! czyli ja się mylę?
Byłżeby dla mnie Kreon litościwym tyle!

Kreon.

Nie mylisz się: ja właśnie przyjść im dozwoliłem,
Wiedząc, ile przybycie ich będzie ci miłem.

Edyp.

Bądź szczęśliwym, bodaj cię za ten czyn wspaniały,
Bóstwa w lepszej opiece niżeli mnie miały!
Gdzież jesteście, o! córki, o! mój płodzie miły!
Przyjdźcie-ż, te bratnie ręce przybliżcie ku sobie,
Które ojcu waszemu oczy wylupily!
Ja nieszczęsny, nie widząc, nie wiedząc co robię,
Ze wspólnej naszej matki spłodziłem was obie!
I dziś płaczę nad wami, choć ślepy-m; lecz przecie
Czuję to, jak wam przykro żyć będzie na świecie.
Czy zgromadzenie ludu, czy krajowe święto,—
To wy, zamiast zabawy, powracać będziecie
Do domu z twarzą na wskrós łzami przesiąkniętą.
A przyjdzie pora za mąż, któż z obywateli
Znajdzie się, biędne córki, i kto się ośmieli
Przyjąć udział w tej całej hańbie i ohydzie,
Jaka na mnie i na was z urodzenia idzie?
Bo istotnie, czyż zakał sprośniejszym być może?
Wasz ojciec zabił ojca, z matką dzielił łożę,
Dał wam życie z niewiasty, z której sam zrodzony:
Takie wyrzuty codzien będziecie słyszały.
I któż was, biędne dzieci, zechce wziąć za żony?
Nikt! Bezpłodne dziewictwo, to wasz widok cały.
Teraz dla nich, Kreonie! tyś ojciec jedyny:
Bo ci, co je zrodzili, zginęli oboje.
Strzeż je od opuszczenia i od żebraniny,
Aby się nie tułały; boć to krewne twoje.
Nie dopuść, by ich klęski moim dorównały,
Lecz zlituj się nad niemi; bo dziś one obie
Nigdzie dla się podpory nie mają prócz w tobie.
Przyrzeknij i daj rękę, o mężu wspaniały!
Dzieci! ja chciałbym jeszcze radzić wam w niedoli,
Lecz gdy mię wiek wam młody pojąć nie dozwoli:
To życzę: niech wam zawsze dni żywota biega
Spokojniej i szczęśliwiej niż ojca waszego.

Kreon.

Już dosyć tych płaczów; pójdź, skryj się we dworze.

Edyp.

Rad nie rad, wszelako posłusznym jest tobie.

Kreon.

Człek czyni najlepiej, co czyni w swój porze.

Edyp.

Wiész jednak, pod jakim warunkiem to zrobię?

Kreon.

Pod jakim?

Edyp.

Byś wraz mnie wydalili z téj ziemi.

Kreon.

To teraz od bogów zawisło jedynie.

Edyp.

A przecież ja jestem pod klątwy bożemi.

Kreon.

Tém bardziej cię przeto ich wyrok nie minie.

Edyp.

Czy pewno?

Kreon.

Ja nigdy nie mówię daremnie,
Jam w myśli to zbadał, co słyszysz odemnie.

Edyp.

Więc ztąd mnie uprowadź.

Kreon.

Ja na to się godzę,

Lecz dzieci tu zostaw.

Edyp.

Oh! nie czyni tak srodze.

Kreon.

Nie wszystkim życzeniom twym stanie się zadość,
Nie wszystko, coś zyskał, przyniosło ci radość.

Chór.

Patrzajcie, to Edyp! patrzajcie Tebanie,
Co odgadł wierz Sfinxa, mąż dzielny i prawy;
Niejeden mu szczęścia zazdrościł i sławy,
A dzisiaj w klęsk jakich zepchnięty otchłanie!
I ztąd wam nauka, że nigdy człowieka
Nie można szczęśliwym mianować, aż wtedy,
Gdy on już ostatnich dni życia doczeka,
Nie wiedząc, nie znając co nędze i biedy.

K O N I E C.



SPIŻ SŁOWACKI.

PRZEZ

Ludwika Zejsznera.

(Dokończenie).

Dolina Hnilca odgranicza z południa Spiż od hrabstw gemerskiego i abajuwarskiego. Głęboka ta szczelina ma wysokie skaliste boki, często tak zbliżone, że za ledwie udało się poprowadzić drogę nad rzeką; nieraz trzeba było wysadzać skały dla zrobienia jój miejsca. Dolina Hnilca około dwunastu mil długa, rzadko się rozszerza; przy końcu pokazują się obszerniejsze płaszczyny, a na nich znaczniejsze wioski i miasteczka, jako to: Mniszek, Jaklowce i t. p. Boki jój są wysokie i sięgają zwykle pod granicę drzew, do 4500 stóp paryzkich nad poziom morza; zwyczajnie bardzo są rozległe, jakby ponacinane poprzecznymi dolinami, z których niektóre półtory, do dwóch mil długie. Z początku dolina Hnilca ma skaliste boki, niżej rzadsze są skały; stoi to w związku z ich własnościami mineralogicznymi: wapienie i dolomity na początku tworzą to skały, to strome ściany; dalej są łupki kryształiczne okryte zwyczajnie roślinnością. Kierunek doliny Hnilca wytknęła właściwie skała ogniowa, zwana Gabro, ciągnąca się jako potężny grzbiet od Dobszyny aż do Gelnicy. Ta

dobroczynna skała, gdzie tylko występuje na Spizu, prowadzi z sobą obfitość metali; i wszystkie bogate kopalnie są albo w niej, albo w jej pobliżu, jako to: Dobszńska, małego Hnilca, Helmanowiec, Gelnicy; liczne piece do wytapiania żelaza lub przerabiania onego ciągną się w téj dolinie; po bokach zaś widać nieprzeliczone kopalnie. Kopalnie te są często nadzwyczajnie długie; ich chodniki ciągną się w różnych poziomach, i z nichto wychodzą liczne stolnie. Najznakomitsza z wszystkich kopalń jest gelnicka, która przebiła potężny grzbiet długim podziemnym korytarzem. Boki doliny Hnilca okrywają po większej części gęste lasy, pomiędzy niemi gdzieniegdzie widać mały kawałek uprawnej roli albo łąkę: pomimo tego, w ukryciu żyje tu mnoga ludność, utrzymująca się prawie wyłącznie z przemysłu, górnictwa i hutnictwa. Wszystkich mieszkańców myśli i dążenia zwracają się wyłącznie do metali zawartych w tych górach. Nie masz tutaj prawie nikogo nieco wykształconego, ktoby nie miał udziału w jakiej kopalni; a nawet posiadanie kuku czyli akcyj, schodzi aż do warstwy ludzi posiadających zaledwie tyle, że się mogą utrzymać: każdy pisarz, leśniczy, dozorca kopalni, posiada jedną albo dwie akcye. Z kopalń wszyscy spodziewają się z bogacić; ale nieraz doznają ciężkich zawodów: przez kilka lat trzeba płacić miesięcznie po 4, 8, 12 do 20 złotych polskich za akcyą, i cieszyć się nadzieją, że się kiedyś poszczęści, że bogactwo metaliczne nawiedzi kopalnią i straty zwrócą się sownie, wynagrodzą się czasy oczekiwania i nakładu. Niejeden przyszedł wprawdzie do wielkiego majątku, ale w ogólności więcej potraciło swe mienie, aniżeli zyskało: bo większa część poszukiwań odbywa się bez żadnej wyrozumowanej zasady; akcyonaryusze mają zwyczaj zdawać się zupełnie na los. Nie masz jednakże gorszych następstw, jak kiedy prosty górnik puszcza się na wyszukanie nieznanéj żyły; wtedy o porządném zarobkowaniu nie masz mowy, bo niedostatek zmusza go do licznych zdrożności. Pomiedzy Dobszyną a Gelnicą żyje mnóstwo górników, rozmyślających li o wynalezieniu nowych żył w metale bogatych. Zdaje się, że w części próżniactwo, w części marzenia i historyczne podania o zapomnianych kopalniach, składają się razem, że ci ludzie

ciągle rozmyślają o ukrytych skarbach, i nieraz zawiązują towarzystwa dla odkrycia nowych lub otwarczenia zapadłych gangów, jak zwykli mówić. Towarzystwa zebrane dają potrzebne koszta na kopanie, a górnicy zapewniają sobie tym sposobem wygodny byt i niemozolne zatrudnienie. Nieraz pocieszne wydarzają się oszustwa: ci górnicy sprzedają po sąsiednich miastach Koszycach, Preszowie, Lewoczy, akcye na nieustające kopalnie, i pobierają miesięcznie wyznaczoną płacę. Odbywa się to bardzo formalnie: we właściwej książce przynoszą zapisaną nazwę kopalni, ilość miesięcznie pracujących robotników, długość wyrobionych chodników lub szybu; brakuje im tylko żyły metalicznej. Nieraz przez kilkanaście miesięcy ściągają płacę, za każdą razą obiecują najpiękniejsze nadzieje dostarczycielom pieniędzy. Zmiarkowawszy ci górnicy, że ktoś z nakładców zamierza przybyć na miejsce dla przekonania się o postępie robót, nieznacznie giną, a z nimi i ślady kopalni; i niestety, rozbijają się najpiękniejsze zamki na lodzie oszukanych akcyonaryuszów.

Jadąc raz ku Koszycom po nader błotnistej i pełnej wybojów drodze, postępowały konie krok za krokiem; zatrzymałem się nieraz, ażeby rozpoznawać skały naddrożne: wтім jeden z górników wysunął się z pomiędzy idących tą samą drogą, i wdał się ze mną w rozmowę. Zaczął mi się wypytywać czego szukam, opowiadał o niezmierności bogactw metalicznych w jego okolicy, o niezawodnych nadziejach, o ludziach, którzy z niczego przyszli do wielkich bogactw. Nie mogę zaprzeczyć, że wybornie zachwalał swe strony; wreszcie oświadczył mi się, że z przychylności ku mnie, odstąpi mi kilka kuksów (akcyi) resztujących na bogatą kopalnię. Z dwudziestu złotych polskich za kuks, spuścił wkrótce na 12, potem na 8 i 4 złp.; gdym mu powiedział, że się górnictwem nie trudnię, nie przesiał mnie do tego namawiać; odezwałem się, że wielu jest górników, którzy dawać zwykli to, czego wcale nie masz: obraził się tém niemało, zapraszał mnie do siebie, obiecując okazać swą grubą żyłę litęj miedzianki (tak nazywają rudę miedzianą), dwa sążnie szeroką. Byłto ogólnie znany górnik, jak się później dowie-

działem, Petro Dreyna z Helcmanowiec; jeden z owych przebiegłych oszustów, umiejących pozbywać kuksy i zachwalać bogactwa kopalń nieistniejących wcale. Tego rodzaju spekulantów nazywają tutaj po niemiecku: „Kukskränzler”. W tém nie mają tyle zręczności niemieccy górnicy, ile Słowaki znający się nieco na górnictwie. Nikt rozsądny nie wdaje się z takimi ludźmi; łąowią oni tylko nieznaną rzecz i miejscowość, a rojących o łatwym sposobie dojścia do wielkich bogactw. Do tego rozkołysania wyobraźni była powodem sama natura: niektóre okolice mają nieskończenie wielką liczbę żył, i prawie gdzie zakopać, tam się pokazują ślady miedzianki, srebrnicy lub żelaznicy, czyli rud zawierających miedź, srebro lub żelazo. Rozumié się, że pokłady wytrzymujące, rzeczywiście przynoszące korzyści, nie tak łatwo można odkrywać, i takie po większej części oddawna poznano, i na nich odbywają się porządne roboty górnicze. Żył syderytu (węglanu żelaza, Fer carbonatée) na stopę lub dwie grube, któreby gdzieindziej za wielki skarb uchodziły, nie mają na Spizu żadnej wartości, albo bardzo podrzędną: albowiem z żył 50, 60 stóp grubych, dobywa się ruda z korzyścią i w ogólności większą wartość przywiązują do drzewa czyli środka do wytapiania, jak do samej rudy. Taka jój obfitość na Spizu! Właściciele wielkich pieców utrzymują, że można rudy żelaznej wyszukać ile potrzeba. Niektóre doliny tak mają liczne żyły, że postępując wpoprzek skały, co dziesięć do dwudziestu sążni można z pewnością odkryć jaką metaliczną żyłę. Pospolicie jednakże niedługo wytrzymują: nieraz się zdarza, że założona kopalnia przynosi nadzwyczajny zysk, po 4 lub 8000 złotych polskich miesięcznie na jedną akcyę: ta wydajność trwa kilka miesięcy, lecz odrazu znika ruda, żyła staje się coraz cieńszą, albo się zupełnie wycina. Taką była naprzykład niedawno jedna żyła zwana Konkordya w dolinie Szpilów, pomiędzy Gelnicą a Prakendorfem. Pospolicie w takich przypadkach właściciele kopalń robią największe wysilenia, przecinają z wielkim nakładem twarde skały, spuszczaają wody kosztownemi sztolniami, nieznacznie tracą cały swój nabytek, a nieraz nawet całe mienie. Czysta to gra w karty kopać rudy srebrne i miedziane

na Spiżu. Aczkolwiek dochody z kopalń żelaza i z niemi połączonych wielkich pieców, nie tak są świetne, wymagają dokładnej znajomości przedmiotu, wytrwałej i ciągłej pracy; są przecież niezmiennie, i doświadczenie przekonało, że ostatecznie zyski z kopalń srebra i miedzi są mniejsze, aniżeli z mało wartego żelaza. Duch przedsiębiorstw coraz bardziej budzi się w tych stronach Węgier; coraz więcej wytapiają z niezmiernych składów ukrytych w górach, wyborną rudę żelazną, i zużywają iasy bezużytecznie próchniejące w północnych stronach spizkiej i szaryskiej stolicy. Już teraz do wielkich pieców dostarczają węgle z lasów dwa, a nawet półtrzecia dnia drogi odległych: i przeciwnie, rudy z nad Hnilca wytapiają w wielkich piecach na północnym stoku Tatrów, w Zakopanem i Jaworynie, a w stolicy (hrabstwie) szaryskiej w Kurczynie, Kruzlówej pod Bardyowem i w nowo powstającym piecu w Mniszku.

W czasie ustania robót około roli, po drogach prowadzących ku Kesmarkowi, albo pomiędzy Preszowem i Bardyowem, ciągną się długie wstęgi wozów naładowanych rudą.

Przy Gelnicy wyciągają nieco złota z kamienia. Jedna z żył téj bogatej w metale okolicy, zwana żyłą złotą (Goldgang), zawiera w nader twardym kamieniu, w kwarcu, bardzo drobno rozsiany proszek złota rodzimego, którego gołém okiem niepodobna dostrzedz. Z wysokości bardzo znacznej góry, trzeba zwozić tysiące centnarów tego kamienia, kruszyć stępami, potem mleć, płukać i żywem srebrem wyciągać drobno rozproszone cząstki. Cała wartość dobywanego złota wynosi rocznie około 100 dukatów. Roboty te opłacają się przy niezbyt kosztownym zwozie, a nawet przynoszą mały zysk.

Niektóre kopalnie w dolinie Hnilca zawierają żywe srebro, inne kobalt połączony z niklem. Dwa te ciała kopią najobficiej w Dobszynie, miasteczku leżącym na granicy Spiża w hrabstwie gemerskim; ale metalu z nich nie wyciągają, tylko odwożą przez Kraków do Anglii, i tam wytapiają i oddzielają te metale za pomocą bardzo zawitego procesu chemicznego. Dawniej Anglik Ewans stapał na Węgrach te rudy dla wydzielenia przyczepionych obcych cząstek, w wystawionej na to hucie

w Blaszwie za Lewoczą na Spiżu; ale zarzucił to z nie-wiadomą przyczyną, i teraz w stanie surowym przesyła do Anglii wszystkie te rudy. Kilku kupców wiedeńskich zamierzyło odebrać Ewansowi ten naturalny monopol, i zaczęli ceny rud kobalto-niklowych podwyższać; trwało to pewien czas z widocznym zyskiem właścicieli kopalń; ale i angielski dom zaczął je podnosić, i posunął do tego stopnia, że jego współzawodnicy wysileni, odstąpić musieli. Natenczas wróciły rudy niklowe i kobalto-we do cen pierwotnych, a nawet Ewans zniżył je przez pewien czas dla pokrycia naddatku. Aby mieć wyobrażenie jak znaczna jest wartość wywożonej rudy z Dobszyny, nadmienię, że każdomiesięczna przesyłka warta jest przeszło 60,000 złotych polskich.

Znakomite bogactwo metaliczne zwróciło mieszkańców od niepamiętnych czasów w dolinie Hnilca do górnictwa i hutnictwa, a zatrudnienia te wpłynęły na sposób ich życia i wyobraźnię. Kiedy zaczęto kopanie w tych stronach, niewiadomo; zdaje się, że znano te składy metali bardzo dawno, gdyż dyplomata dają za przyczynę, że w XII lub XIII wieku, sprowadzono Saksów dla podniesienia górnictwa. Ci przybyłcy zajęli głównie okolice bogate w metale, nadali swoje nazwy miastom, dolinom i górcom, jakoto: Dobschau (Dobszyna), kopalnia Auf der Bindt (Bania na Bincie), Wagen-drüssel (Wądryszel), Schwedler (Svedlar), Einsiedel (Mniszek), Schmölnitz (Smolnik), Prakendorf, Gölnitz (Gelnica), dolina Eidechsenthal (nazywana po słowacku na Eidexu), Hüttengrund (dolina Hutneho); niektóre doliny, jakoto: Grellensliffen, Auf der Tränke, nie mają dotąd nazw innych. Pomiedzy niemieckimi osadami siedzą teraz Słowaki; w niektórych dotąd pozostała niemiecka nazwa, jakoto Helcmanowce, a ludność czysto słowacka. Zkąd ci Niemcy przybyli, nie dobrze wiadomo; jeżeli wolno czynić wnioski z języka, zdaje się, że pochodzą z gór Hercyńskich (Harzgebirge), bo używają dotąd w górnictwie tych samych wyrażen i nazw, jakich używają po kopalniach olaczających górę Broken, mianowicie w rozległych a nader głębokich kopalniach w Andreasbergu. Zapewniał mię o tém mój przyjaciel p. Hausmann, właściciel zakładu hutniczego na Harcu, dokładnie obznajmiony z mową swoich górników; niemało zadziwił się słysząc na Wę-

grach też same wyrażenia, które się stosują do wymienionych gór w północnych Niemczech.

Nazwa Spiża zdaje się pochodzić od rud miedzianych, nader obficie dobywanych w dolinie Hnilca, po słowacku nazywanych miedzianką, po niemiecku Gelferz. Ten dobrze znany, bardzo pospolity minerał, noszący systematyczną nazwę Chalkopiryt, Kupferkies, ma barwę spiża albo mosiądzu, i ztąd powstać mogła nazwa słowacka, a z niej niemiecka Zips, i łacińska Scepusium, Zepus. Językowi badacze czescy dowodzą, że Słowianie zajmowali się górnictwem w najodleglejszej starożytności; musieli załém mieć nazwy na swe rudy. Niewydając téj myśli jako niewątpliwéj, puszczam ten pomysł w świat: może pobudzi kogo do ściślejszych poszukiwań, i rzecz tę wyjaśni, mającą niejakie prawdopodobieństwo za sobą.

Rzeka Hnilec bierze początek w boku wschodnim potężnej massy skalnej, zwanéj Kralova hola, niedaleko wioski Telgardu, w stolicy (hrabstwie) gemerskiej, na granicy Spiża; z początku dzieli dwa te hrabstwa od siebie, a następnie do połowy prawie przepływa sam Spiż. W Pustopolu, nieco obszerniejszéj wzniesionéj równinie, na której kilka stoi domków z mieszkaniem leśniczego, zaczyna okolica stawać się bardziej malowniczą: potężne skały wapienia, właściwie dolomitu (połączenia węglanu wapna i magnezyi), sterczą dziko poszarpane. W dalszym przebiegu zwięża się dolina. W Stracenenem znajduje się wielki piec do wytapiania żelaza; aczkolwiek jego budowa nie szczyciła się dawniej doskonałością, otrzymywał z niego wszakże jeden z pierwszych hutmistrzów węgierskich, p. Jan Miller, nader świetne rezultaty: bystrością, pracą i zabiegiem, podniósł znakomicie jego produkcją i dochody. Teraz straceński piec przeszedł na własność księcia Koburgskiego, który przeobraził całą tę okolicę, i wystawiał liczne budynki w bardzo pięknym stylu; z biédnego drewnianego pieca stanął wspaniały gmach murowany, a przy nim wznoszą się liczne domki szwajcarskie: można tu mniemać, że z Karpat przeniosły nas nagle parowce do Tyrolu albo Szwajcaryi. Książę Sasko-Koburgski niezaprzeczenie wielce ucywilizował swoje posiadłości, sięgające aż do Spiża.

Nad Straceniem ciągnie się od strony południowej rozciągły a wyniosły, zupełnie prosty grzbiet, zwany Langenberg, nie okryty drzewem. Na północnym boku podczas lata uwija się na nim niezliczone mnóstwo małych zwierzątek nazywanych susłami, po słowacku sysle, (*Spermophilus citillus*, *Kaiserlingk* i *Blasius*; Suset właściwy, *Belke*). Zwierzęta te niemało szkody wyrządzają zasiewom, i są prawdziwą klęską dla mieszkańców: wytepiają je nieco Cygany, dla których są miłym przysmakiem. Dalej za Stracenią dolina traci na wdziękach, bo wapień zastępuje łupki krystaliczne, nadające zupełnie odmienną fizonomią dolinie; widoki mają coś zwyczajnego, skały ich tworzą góry zaokrąglone, gdy wapienice dolomitowe są dziwacznie podarte.

Za Straceniem nad Hnilcem wznoszą się obszerne zabudowania wielkiego pieca palzmańskiego, Palcman-ska masza; kiedyś sławny dla umiejętnego sposobu prowadzenia, teraz zakład ten nie odznacza się niczém innym, jak wytapianiem żelaza, a w nieco dalszych fryszerkach, przekuwaniem onegoż.

Nie masz nic bardziej uderzającego nad ów związek, zachodzący pomiędzy bogactwem metalicznym a rodzajem skały. Na przestrzeni prawie trzy mile długiej od Straceneho aż do wioski Mały Hnilec, widać same łupki krystaliczne, nie zawierające metali. Przy Małym Hnilcu występuje nagle na wielu miejscach ów zwiastun metali, skała zielona, zwana Gabro, a z nią zjawiają się nieprzeliczone żyły; gdzie tylko zwrócimy wzrok widać kopalnie; tu świecą się hałdy, tam stoją domki niezwyčajnej postaci, tu służą do potrzeb kopalnianych. W lesie „Na Żałobu” zwanym, przy kopalni Bindta, niemało zdziwiony zostałem spotykając nieprzeliczone kopce okryte wysokimi świerkami i jodłami: zdawałoby się, że to niezmiernych wymiarów cementarz, lecz tam nie zagrzebywano, ale wygrzebywano. Na przeciwnym boku doliny wznoszą się podobnie mogiły, pomiędzy nimi na wielu miejscach jeszcze pracują górnicy, i teraz wybierają rudę żelazną z nawalonego skała w dawniejszych czasach. Grzebania te przypominają dawne kopalnie ołowianki Olkusza, gdzie jako nieużyteczny kamień odrzucają galman, który w nowszych czasach umieją spotrzebować. Na Spiżu dawniej kopa-

no tutaj rudy miedziane, na żelazne zupełnie nie zwracając uwagi; teraz przyszła na ostatnie kolój i wywożą je do odległych hut tatrzańskich i szaryskich.

Mały Hnilec albo **Hnileczyk**, ma właściwe wejrzenie. Pospolicie górnicze wioski są smutne, tu przeciwny jest przypadek: dolina w której rozciąga się ta długa dziedzina (tak nazywają Słowaki wioskę) nadzwyczajnie potargana a wązka, ma pyszne widoki; z gęstego lasu okrywającego jój boki, wyzierają liczne domki, hałdy i sztolnie. Mieszkańcy są duszą i ciałem górnkami: jedni kopią rudy, inni rozwożą je, inni sporządzają przyrządy do kopalni. Mieszkańcy Hnileczyka są pięknym i czerstwym rodem słowackim: na pierwszy rzut oka poznać ich po smukłym wzroście, otwartém spojrzeniu, jak zwyczajnie ludzie odosobnieni zawadami przyrody, mają właściwości tak w obyczajach, jak w ubiorze. Mężczyźni chodzą w ponsowych kamizelkach, co niemało nadaje malowniczości krajobrazowi. Kiedym zwiedził bogatą kopalnię miedzianki Rinnergang w Hnileczyku, chciałem się posilić: odezwały się głosy w izbie górniczej, że u Leszka wszystkiego dostanie; nie jest to osoba mytyczna, ale nader rzeczywista. Karczmarz Leszek uraczył nas wcale dobrém śniadaniem i winem węgierskiém, które chociaż nie miało etykiety, wyrównywało niejednemu w ozdobnej butelce.

Ku **Wadryszłowi** zwięża się widocznie dolina, skały z bardzo stromemi boki prawie się stykają; zdala wydaje się, że rzekę w biegu wstrzymują. Na nieco rozleglejszej równinie stoi ta drewniana miejscina, przez którą dawniej prowadził dosyć uczęszczany gościniec, górą Hegen ze Smolnika do Spiża równego. Od kilku lat przestano go naprawiać, i teraz prawie niepodobna nim jechać. Nazwa tego miasteczka jest właściwie Wagen-drüssel: mieszkają w niém przez połowę Niemcy i Słowaki, zajmujący się uprawą roli i górnictwem w poblizkich kopalniach, a mianowicie Kotterbachu i Bincie, i nieco przemysłem.

Swedlar. Małą milę dalej nad Hnilecem wznosi się Swedlar, nieco większe miasteczko, również całkiem drewniane: długie ulice, wysokie domy, świadczą o jego zamożności. Mieszkańcy w przeważnej ilości są Niem-

cami. Kiedyś przy Swedlarze, albo jak go po niemiecku piszą Schwedler, były liczne i bogate kopalnie srebernicy i miedzianki, ale zubożały i po większej części są opuszczone: niedawno odkryto niedaleko obfite rudy żelazne, dające teraz niemało zarobku mieszkańcom.

Altwasser. Dobrze pół mili od Swedlara ku południowi, pod wysokim grzbietem wznoszą się obszerne zabudowania huty rządowej Altwasser, w której wytopiają srebernicę pochodzącą z kopalń rządowych i prywatnych. Dawniej huta ta sama na Spiżu przetapiała rudy srebrne, lecz powiększenie się bardzo znaczne ich produkcji, spowodowało prywatnych właścicieli kopalń, składających pewien rodzaj spółki, nazywającej się Waldbürgerschaft (mieszkańcy lasów) do założenia własnej huty we wschodnim Spiżu nad Hernadem, pomiędzy Kropachem a Margecanami. Nowa ta huta nosząca miano patrona Węgier Stefana (Stephanshütte), leży w pobliżu najbogatszych kopalń prywatnych, jakoto: Kotterbachu, Sławinki i Gelnicy. Spółubieganie złąd powstałe wydało zbawienne skutki: właściciele kopalń otrzymują większe wynagrodzenie za rudy, i mogą dobywać je w mniej obfitych kopalniach.

Mniszek, Einsiedel, Remete. Trzy odmienne na pierwszy rzut nazwy, będące tłumaczeniem w tyluż językach panujących w Węgrzech, mają jedno znaczenie. To małe górnicze miasteczko, leżące na nieco obszerniejszej równinie, otaczają wysokie góry, a w nich liczne są kopalnie. Wyborny gościniec prawie półtóry mili długi, łączy to niemieckie miasteczko ze Swedlarem. Droga ciągnie się w głębokiej dolinie: liczne widoki jeden od drugiego piękniejszy, przesuwiają się jak na jakim teatrze, ale rzadko kto na nie zważa, bo mieszkańcy w trudzie myślą więcej o wyżywieniu, aniżeli o używaniu. Nad Mniszkiem widać ostrokągowate szczyty, nadające okolicy niezwykłe wejrzenie. Miasteczko składa się z długiej szerokiej ulicy; jedna jej strona niedawno pogorzała, ale na nowo odbudowana, wygląda wcale porządnie: w środku stoją dwa kościoły. Na przeciwnych bokach gór otaczających Mniszek, widać liczne kopalnie, kiedyś bardzo bogate, między którymi odznaczały się w górze Stirkenberg. W obecnym czasie,

wszystkie widocznie podupały, równie jak i poblizkiego Smolnika.

Smolnik, Schmölnitz, Szomolnok. W bocznej dolinie od Hnilcowej, w południowo-zachodniej stronie od Mniszka, leży to powszechnie znajome górnicze miasteczko. Wąska dolina Smolnika, prawie dwie mile długa, nader jest dziką i lesistą. Obszerna huta stoi w połowie drogi do Smolnika, przeznaczona do wytapiania rudy miedzianej (chalkopiryt). Z niezmiernych kup poskładanej rudy, wznoszą się duszące obłoki dymu i wyziewów kwaśnych kwasu siarczanego. Podróżny ucieka z wstrętem od tej atmosfery, tymczasem obszerne domy świadczą, że w nich ludzie żyją. Odtąd na drodze do Smolnika stoją pojedyncze domy, po bokach liczne widać kopalnie. Co krok okolica nabiera wejrzenia dzikszego z powodu ostrości klimatu. Główne kopalnie Smolnika wznoszą się przy samym miasteczku: roboty w nich nie odbywają się na jednej, lecz na zbiorze równoległych żył, ciągnących się w łupkach czarnych z blaskiem atłasowym. Zbiór tych żył rozpościera się w kierunku doliny i wraz z przegradzającymi łupkami dochodzi do 6,000 stóp grubości; same zaś żyły metaliczne są 10 do 20 stóp grube. Pospolicie miedzianka rzadko bywa rozsiana w nieużytecznym kamieniu (kwarcu), a opłaca się tylko robota, gdy ruda występuje nieco grubiej. Smolnik znany jest dobrze nie tylko w Węgrzech, ale na całym świecie, dla jego wód wydzielających z siebie miedź metaliczną. Pomiedzy żyłami w spodzie leżącymi wydziela się potężna soczewka, składająca się z pirytu czyli ze siarczyska żelaza; jak znakomite są jego wymiary, niech mówią liczby: 1,100 stóp jest długa, 60 do 120 szeroka, a 500 stóp wysoka. Soczewka ta nie stoi prosto, lecz pochyla się nieco ku południowi; z wierzchu szeroka, w spodzie wyraźnie cieńszeje, zmienia się wreszcie w zwyczajną żyłę. Soczewkę tę metaliczną poprzecinały od dawna liczne roboty górnicze, aby dostęp powietrza przyspieszał rozkład jej siarczysków, bo prócz pirytu zawiera i w małej części domieszany chalkopiryt, który nie przenosi dwóch procentów. Dwa te siarczyski zmieniają się w siarkany żelaza i miedzi, rozpuszczające się w wodzie. Wiadomo jest, że te rozpuszczone siarkany

rozkładają w ich roztwór włożone żelazo; na mocy tego prawa przyrody wyciągają w Smolniku miedź nazywaną cementacyjną (Zement Kupfer). Przy rozkładaniu się pirytów powstaje nadzwyczajne ciepło; są miejsca wewnątrz kopalni, gdzie ledwo kilka sekund można zostać: górnicy nawykli do tej wysokiej temperatury, pracują prawie obnażeni, rzadko więcej nad godzinę. Miejsce to dlatego nazywają piekłem (die Hölle). Największy kłopot mają kopalnie z wodami: trzeba je kosztownymi maszynami wyciągać, albo spuszczać długimi sztolniami; w Smolniku przeciwny jest przypadek: tam z niemałym zachodem zbierają wodę na powierzchni, by ją sprowadzić do kopalni dla rozpuszczenia siarkanów żelaza i miedzi, a następnie wydzielenia samej miedzi. Proces ten odbywa się w obszernych, pewnego rodzaju płytkich kadziach, mających nieprzeliczone przegrody tak urządzone, aby woda niemi jak najdłużej krążyła: w tej drodze styka się z włożonym żelazem, i po pewnym czasie wyjmują miedź w postaci włożonego żelaza. Dawniej wkładano do nich stare niepotrzebne żelaziwa: lecz tego nie można otrzymywać w dostatecznej ilości po cenach przystępnych, i dlatego zastępują je lanem żelazem. Doświadczenie okazało, że jeżeli co kilka dni oczyszcza się go z miedzi osiadającej w postaci pyłu, robota taka jest korzystniejszą, bo żelazo stykając się bezpośrednio z wodą nasyconą siarkanem miedzi, rozkłada się łatwiej. Rocznie dobywają w Smolniku przeszło 4,000 centnarów miedzi cementacyjnej. Nieraz kuszono się wyciągać w roztworze zostający siarkan żelaza, który odpływa do rzeki i zatrzymuje ryby i wszystkie żyjące jestestwa wodne, a Hnilcowi do którego wpada Smolinka, nadaje nieczystą żółtą barwę; nie wiadomo dlaczego zarzucono ten przemysł na pozór łatwy a korzystny.

W Smolniku przebywa naczelna władza górnicza Węgier górnych w okazałym pałacu o piętrze; najcelniejszy ten budynek przyozdabia to miasteczko. Smolnik mimo zupełnej górniczej fizjonomii, ma coś w sobie właściwego, i odróżnia się wyraźnie od innych miasteczek Spiza: przebijają się widocznie odmienne obyczaje, przejęte od przyległych Madziarów, w pobliżu mieszkających pod górami.

Uhorna. Za Smolnikiem ciągnie się dolina jeszcze dobre pół mili do wsi Uhorněj (U hory, pod górą), leżącej pod potężnym grzbietem z rozległymi pastwiskami. Mieszkańcy jęj zajmują się głównie chowem koni, i są jakoby stajnią kopalni smolnickiej. Przez górę tę nazywaną Paczowską, prowadzi droga do Roznawy. Z jęj wysokości pyszne otwierają się widoki: z północnej strony sterczą nieprzeliczone, dziko poszarpane wirchy, pomiędzy któremi odznacza się głównie ogromny Wołowiec i przyległe szczyty. Zupełnie jest odmienny krajobraz południowy: tu odpoczywa oko na żyznej równinie, z pięknym miasteczkiem Roznawa, a naprzeciw wznosi się ogromny grzbiet wapienny, do niezmiernego wału podobny. W miarę spuszczenia się z grzbietu Paczowskiego ku Roznawie, czuć coraz bardziej cieplejsze powietrze południowych Węgier. Ale dla nas wytknięta tu granica zimnego Spiza obfitego w metale, gęste i bujne lasy, i wyborne wody źródlane, których nie ma dalej na południowych równinach, przez Madziarów zamieszkałych.

Helcmanowce. Trzy ćwierci mili bliżej za Mniżkiem, pokazuje się rozległa wioska Helcmanowce, zamieszkała przez Słowaków wyznania grecko-Unickiego, nieróżniących się prawie od innych w narzeczu. Na lewym boku potężnego grzbietu wzniesionego nad tą wioską, świecą nieprzeliczone ostrokregowate hałdy, uwieńczone domkami. Kiedym jedną z tych kopalń zwiedzał zwaną Johannisstollen, we wrześniu 1853 roku, pokazywał mi oprowadzający dozorca kopalni, z widoczną radością, przeszło sążeń gruby, zupełnie czysty chalkopiryt. Na przeciwnym boku wznoszącym się nad Helcmanowcami, w poprzecznej ciasnej dolinie, zwanęj „Na Eidexu (Eidechsenthal) są także kopalnie, jedne nad drugimi wzniesione na wysokim grzbiecie Trochanków, ciągnące się bez przerwy aż ku Gelnicy. Rudy ich miedziane są rzadko rozsiane, a wydzielanie ich ręką ludzką przewyższało nakład; dlatego zamierzył p. Walko tanięj je wydzielać: w przyrządzonych stębach rozgniała całą rudę na cienki pył, a następnie płucze dla przysposobienia do wytapiania.

Prakendorf. Małe pół mili dalej nad Hnilcem, wita podróżnego ta piękna dziedzina z okazałym wielkim

piecem do wytapiania żelaza, własność hrabiów Czackich, najmajętniejszych właścicieli na Spizu, wywodzących ród od jednego z wodzów, który w X wieku przybył z Arpadem z Azyi do Europy i podbił Pannonię. Wielki piec, fryszerki, walcownie, zabudowania dworskie, szereg domów rozciągający się na boku, odznaczają się przepychem. Przy wielkim piecu noszącym napis „Huta Ludmiłły” (Ludmilla kö), urządzone odlewalnia żelaza, obecnie najcelniejszą jest na całym Spizu; ale ceny tego zakładu w porównaniu z niemieckimi, belgijskimi i francuzkimi, gdzie tego rodzaju przemysł kwitnie, są nieco za wysokie: pochodzi to głównie z braku współubiegania, a wielkiego żądania. Takie naturalne monopole upadają, gdy się otwiera współzawodnictwo; już niemało na zniżenie cen wpłynął zakład w Krompachu niedawno urządzone. Właściwa wioska Prakendorf kryje się w głębokiej, poprzecznej dolinie Hrelihowej; z głównego gościńca ledwie widać kilka domków: nie są one tak ozdobne jak pierwsze, jednakże ogólnie widać dobre mienie. Na końcu Prakendorfu, pomiędzy ostatnimi domkami wznosi się kilka wielkich hałd dobytých z kopalń miedzianki, teraz bardzo zubożałych: pospolicie jeden lub dwa dni w tygodniu, pracuje w nich górnik, aby nie wygasło prawo własności, i aby nie zawałyły się chodniki. Hrelihowa dolina należy do wielkich poprzecznych; ciągnie się dobre trzy godziny, aż pod wierzch Trochanków. Postępując nią w górę, widać w kilku miejscach rozległe kupy czarnego zuzła trawą porośnięte: są to ostatki dawnych hut miedzianych, kiedyś tu istniejących. Bujne liściowe lasy okrywają boki i spód tej doliny aż pod wymieniony grzbiet Trochanków.

Hüttengrund, po słowacku Dolina Hutneho, równoległa z doliną właśnie co opisaną Hrelihową: otrzymała nazwę od nieprzeliczonych hut miedzianych, wyrabiających tutaj miedź w dawnych czasach. Oczywiście były w tej okolicy nierównie bogatsze kopalnie miedzianki, jak to zaświadcza niewątpliwe dowody, gubiące się coraz bardziej; w terażniejszym bowiem czasie, częścią przetapiają te opuszczone żuzle, w części poprawiają nimi gościńce. Przy ciasnym otworze doliny Hutneho, która dalej rozszerza się, stoi kilka domków;

postąpiwszy kilkaset kroków w dolinie wznosi się niedawno założona fabryka Jacobsa, gwoździ i drutu. Z mnóstwa kopalń znajdujących się tutaj, nie masz teraz żadnej zasługującej na wzmiankę. Boki tej prawdziwie pięknej doliny około czterech godzin długi, okrywają nader bujne lasy liściowe; przez nią prowadzi droga do żyznych Węgier, przez wysokie Trohanki do miasteczka Metzenseiffen. W połowie tego wysokiego grzbietu, odkryto niedawno pokład magnetytu (Magneteseisenstein), jednej z najwyborniejszych rud żelaznych: gdzieindziej byłby to wielki skarb, ale w tej części Spiża nikt nie zwraca uwagi; złe drogi głównie są przyczyną, że dostawa do huty nie opłaca się wcale. Prawie od wierzchu Trochanków droga jest zupełnie dobra; roztwiera się ztąd jeden z najwspanialszych widoków, mianowicie ze strony południowej, gdzie grzbie ty jakby progi, jedne za drugimi coraz bardziej się zniżają aż do obszernej równiny, gubiącej się w eterycznej dali. Z północnej strony krajobraz nie jest tak zajmujący: widać tylko same góry podarte dolinami. Oko chętniej spoczywa wśród miłych, żyznych krain, oddychających dobrym bytem, aniżeli na dzikięj skale.

Mathildenhütte. Z drogi przy domach małej kolonii Hutneho, pokazuje się nad Hnilcem zakład p. Jacobsa, zwany Mathildenhütte, najpiękniejszy w tej okolicy. Kilkanaście budynków malowniczo rozrzuconych na pochylającym się boku, leżą przed nami: jedne domy sięgają do Hnilca, drugie do lasu; wykwintna willa, kąpiąca się wśród nieprzeliczonych róż i daliów, a w pewnej odległości pod lasem domek szwajcarski z pięknymi krowami: stanowią koniec tego ważnego zakładu. Spoglądając nań, myśl przenosi podróżnego mimowolnie z Węgier do krajów najwyżej ucywilizowanych. P. Jacobs rozważał długo, jakie wyroby żelazne są najwięcej potrzebowane na Węgrach, i przekonał się, że temi są bardzo zwyczajne gontale, żelazo wyciągane w obręcz i na drut przysposobione: w tym celu założył swą fabrykę. Wyroby te należą teraz do najcelniejszych i najtańszych w Węgrzech. Z mniej dobrego żelaza wyrabia p. Jacobs niezmierną ilość gontali; w roku 1852 wyrobił 160,000,000 sztuk, które sprzedaje po bardzo niskiej cenie: tysiąc sztuk kosztuje

od ztp. 1 gr. 12 do ztp. dwóch: cena stosuje się do wagi żelaza. Z pozostałego wyborowego żelaza, wyciągają na walcach obręcze albo żelazo do wyrabiania drutu potrzebne. Te proste wyroby mają szybki odbyt. Niedawno p. Jacobs zaczął robić osie żelazne; a chociaż nie ustępowały styryjskim, nie znajduje wszakże kupca. Takie to jest nawyknienie ludzi do towaru raz uznanego za dobry, i wstręt do nowego nieznanego.

W całej okolicy nikt swoich robotników nie płaci lepiej nad właściciela w Mathildenhütte: porządni i trzeźwi mają w niej tylko miejsce; kto się nie podda zasadom w tym zakładzie przyjętym, musi ustępować miejsca innym. Aby jednakże ten stan rzeczy zmienić w rzeczywistość, potrzeba było stworzyć sobie robotników. Wiadomo dobrze temu, kto się zetknął z tego rodzaju ludźmi, że starzy hutnicy nieprzeliczone mają narowy i wady, niedające się wykorzenić. P. Jacobs wyuczył sam młodych chłopców według poprawnych metod kuć żelazo, i wymaga od nich przyzwoitego zachowania się. Znajomość przedmiotu i praca, są niezbędnymi warunkami do udania się każdego przedsiębiorstwa przemysłowego; wola i pieniądze, kończą się zwyczajnie smutnym niepowodzeniem, jak to nieprzeliczone przykłady u nas dowiodły. Ileż to cukrowni, papierni i hut żelaznych poupadało dlatego tylko, że ich przedsiębiorcy nie przekonali się o tej prostej prawdzie, jak słońce jasnej.

Aby robotników przywiązać do miejsca, pomódz w czasie choroby, zapewnić utrzymanie na starość; utworzył p. Jacobs kasę oszczędności, której darował fundusz zakładowy. Robotnicy wiedzą, że posiadają pewną własność rosnącą z czasem, według niezmiennych zasad przez właściciela zakładu wytkniętych. Niemało taki skład rzeczy przywiązuje robotników do zakładu, wpływa na ich przyzwoity sposób do życia; nie są to wprawdzie ci weseli, którzy wszystko w niedzielę strwonią co zapracowali w ciągu tygodnia, a w starości chodzą po zebranym chlebie; ale ludzie zastanawiający się, rządzący się rozsądkiem.

Potężny grzbiet rozciągający się od doliny Hutneho aż poza Gelnicę, na który spoglądamy z Mathildenhütte, dzieli doliny Hnilca i Grellenseiffen. Grzbiet

ten przeszło milę długi, poprzedziurawiły nieprzeliczone kopalnie; co kilkaset kroków przebiegając takowy, spotykałem dawne zroby czyli opuszczone kopalnie, a przy nich porozrzucane skały. W niektórych kopalniach dotąd pracują: między niemi odznacza się kopalnia Konkordya, miejscami nadzwyczajnie bogata w srebrenicę, zawierającą zwykle więcej srebra od innych podobnych rud (1); ale nagle ginie cała obfitość metaliczna, i żyła staje się zupełnie pustą. Grzbiet ten wyniosły okrywa gęsty las, w którym kopalnie jakby jakie oazy na puszczy ukrywają się wśród gęstych drzew, i trzeba znać dokładnie nieprzeliczone ścieżki, by do nich trafić. Powszechnie nieco obszerniejsza płaszczyna wśród lasu, kupy kamieni, jeden lub dwa domki, a przy nich kilka białych, wygłodniałych, strzępkami okrytych dzieci, jawnie świadczą, że tu nie gości dostatek. Ludzie ci tak się przywiązują do swęj kopalni, że nie pojmują jak można się czém inném zajmować, chociaż przeznaczają się jawnie z własnej woli na śmierć głodową; gdyby poszli na bogate równiny węgierskie, praca zapewniłaby im był opływający w dostatki. Przywiązanie do zatrudnienia tych górników, brak przedsiębiorczego ducha i ubóstwo; a z drugiej strony zupełna obojętność, albo raczej nieudolność dawnych rządów komitackich, troszczących się li o swą prowincyą, a nie o ogólną pomyślność krajową; wydały taki smutny stan rzeczy. Mimo zbytków daru przyrody w różnych okolicach Węgier, w ogóle widoczny niedostatek w tych stronach. Nikt nie myślał w tych szczęśliwych czasach, że jedna część winna drugiej iść w pomoc. Życzenia objawione w dziennikach w ostatnich czasach, zostały życzeniami nieureczywistnionemi, słowami próżnemi.

Gelnica, po niemiecku **Gölnitz**. To starożytne miasteczko od niepamiętnych czasów jest siedzibą górników bardzo czynnych: otaczające je wysokości, zawierają bardzo znakomite pokłady metalowe. Położenie Gelnicy jest nader malowne: potężne grzbiety i głębokie

(1) Żyłę kopalni Konkordya, niekiedy wypełnia na pół sążnia grubo czysty panabaz, zawierający w centnarze do czternaśtu łutów srebra.

doliny wydały arcy miły, różnaitościami odznaczający się krajobraz. Nad samém miastem, na stromym pagórze wznoszą się ruiny dawnego zamku; po bokach jego jakby gniazda jaskółcze, poprzyczepiali domki ubodzy mieszczanie. Miasteczka tego główną ozdobę stanowi kilka kościołów, i długi dom murowany o piętrze z wysoką wieżą: siedziba sądu i sędziego górniczego, głównej osoby okolicy; zawiera oberżę ze salą na bale: na dole mnóstwo sklepów. Domy mieszkańców gelnickich po większej części drewniane, mała liczba murowanych: jedne i drugie mają ogromne dachy drewniane z właściwemi krojami, nadające miasteczku niezwykłe wejrzenie. Na głównej ulicy mnóstwo widać jatek; dla przynęcenia przychodzących wystawiają rzeźnicy poćcie grube wyborniej słoniny węgierskiej. Targi gelnickie są bardzo znakomite: nieprzeliczone wozy nadowane zbożem, owocami i innemi płodami, przybywają z południa i ze wschodu, z okolic Koszyc i ze szaryskiego hrabstwa, i po niewielu godzinach wracają obciążone rudą. Mieszkańcy Gelnicy są Niemcami; na przedmieściach, jak powszechnie na Spizu, siedzą Słowaki. Pierwsi są zamożniejsi, więcej wykształceni, głównie trudnią się górnictwem. Ożywia ich tradycyjna wiara, że okoliczne góry mieszczą w sobie niezmiernie skarby; myślą ciągle jak wyszukać nowe żyły, i nie pojmują jak można żyć na tym bożym świecie, nieprzewracając wnętrza ziemi. Mimo pracowitości i dokładnego obznajmienia się z przyległemi żyłami, jawnie widać pomiędzy niemi brak głębszego poglądu na przyrodę żył metalicznych; poglądu odpowiedniego postępowaniu umiejętności. Jak powszechnie u ludzi niezupełnie wykształconych, zabardzo w nich przeważają wspomnienia i wybujała wyobraźnia, i złąd wynika, że ci wytwarzacze złota, srebra, miedzi i rud żelaznych, nie optywają w dostatki.

W górach otaczających Gelnicę są bogate żyły zebrane w trzy równoległe pasy, przedzielone znacznieszemi przegrodami łupków krystalicznych; niektóre z nich wypełnia czasem na sążeń grubo panabaz (Fahlerz), t. j. ruda zawierająca srebro i miedź. W kopalniach tych bardzo dawnych, trzeba się spuszczać do

znacznej głębokości, 50 a nawet 100 sążni. Zwiedzanie ich nie ma żadnego powabu: ze wszystkich stron ciecz woda, spodem sączą się strugi nieczystej wody, albo stoją kałuże i błota. Patrząc na wybladłe twarze górników, na ich twardą pracę, a mianowicie na dzieci upadające pod ciężarem, nikt nie pozazdrości zatrudnieniu górników. Jedyny to wszakże sposób zapracowania kawałka chleba dla tej zbyt rozrodzonej ludności; nie wiadomo, czémby się inném mogła zająć. Cała ludność gelnicka jest z rodu górnikami: podobna do kasty egipskiej. Najcelniejsze oddawna kopalnie gelnickie nazywają się Zechnergang i Goldgang; ostatnia nosi także miano Hilfgottesgang; na przeciwniej stronie Hnilca, kopalnia Gregory zdaje się być przedłużeniem ostatniej żyły.

Wyżej już wspomniałem, że żyła Goldgang zawiera złoto. P. Walko we właściwym zakładzie wyciąga drogi ten metal z wielkim zachodem. Złoto rodzime w nader cienkich blaszeczkach tkwi w bardzo twardym kamieniu, w kwarcu; tysiące centnarów trzeba zwozić z znacznej wysokości, więcej jak pół mili daleko, tego niepozornego minerału do stepów przy górnym moście Gelnicy: zmielony kwarc na mąkę, płóczy się dopiero. Czynność ta jeszcze nie jest ostatnią; drobne, łatwo dające się uronić blaszki złota, okazało się korzystniej w końcu wyciągać za pomocą amalgamacji przez żywe srebro. Produkcya ta wszakże nie jest znaczna, i rzadko wynosi na rok więcej jak 100 dukatów wartości; dotąd opłacają się koszty wydobywania.

W niedzielę po św. Michale odbywa się w Gelnicy uroczystość górnicza, właściwa w swoim rodzaju. Z wszystkich okolicznych kopalni przybywają na nią górnicy z wielkimi a najcelniejszymi utamkami rudy, jakie się w ciągu roku trafiły. Odziani w świąteczne górnicze ubiory, wychodzą parami z domu sądu górniczego, niosąc wielkie bryły chalkopirytu, panabazu, żelaznicy, i składają w kościele Bogu co mają najlepszego z prośbą o pożegnanie (udarowanie rudą) nadal. Po skończonem nabożeństwie, zaczynają się ucztę; wesołe towarzystwo dla stosownego zakończenia dnia, udaje się na bal, i wtedy żony i córki górników występują świetnie przybrane, polkują i walczą jak gdzieindziej.

Zakarowce. Połączny grzbiet gabrowy, dzieli Gelnicę od wioski Zakarowce, stanowiącej jakby kolonią, pewien rodzaj dodatku do Gelnicy. Kopalnie panabazu i chalkopirytu nie są tu zbyt wydajne: wynagradzają to nader grube żyły żelaznicy, a niektóre wypełnia mniej pospolity minerał zwany mezytynem, bardzo podobny do syderytu (Fer carbonate, Spatheisenstein). Pierwszy składa się z węglanu żelaza i magnezyi, drugi prócz pierwszych części składowych, zawiera jeszcze węglany manganu i wapna. W głębokiej dolinie Zakarowiec żyją same Słowaki, uprawiający skrzętnie nietylko dolinę, ale i wszystkie boki aż pod wysokie szczyty.

Grellenseiffen, dolina. Na drodze z Gelnicy do Jaklowiec, widać wybornie uprawione role, a pomiędzy niemi liczne zakłady przemysłowe: z tych odznacza się wielki piec Meneszdorfera, stojący nad Hnilcem, właśnie naprzeciw otworu dolin Zakarowickiej i Grellenseiffen. Pierwszą poznaliśmy, druga zasługuje ze wszech miar na uwagę. Początek jej sięga aż pod wysoki grzbiet Trochanków, niedaleko opisaną dolinę Hutneho: na początku jest bardzo dzika, bujne lasy zmieniają wybornie właściwi węglarze na węgiel do różnych zakładów hutniczych. W środku doliny widać nieprzeliczone zarzucone kopalnie, kiedyś bardzo bogate; w niektórych jeszcze pracuje niewielu górników. Więcej korzyści umiano wyciągnąć z małego strumyka, którego obfite wody ze znacznym spadkiem ciągle zasilane, dają siłę licznyemu małym fabrykom, przerabiającym żelazo na drut, blachę, gwoździe różnego rodzaju, narzędzia rolnicze, pługi i t. p. Okropny gwar, nieustanne klepanie słychać już zdaleka w zakładzie, wykuwającym z blachy rondelki żelazne z nóżkami, sprzęt nader ulubiony od mieszkańców Węgier. Gdy wychodził z doliny Grellenseiffen zdawało mi się, że był nad Renem lub w Belgii, gdzie przemysł dochodzi do najwyższego stopnia.

Jaklowce. Od wspomnianego wielkiego pieca Meneszdorfera, rozdziela się szeroko dolina Hnilca: wybornie uprawione role rozpościerają się obszernie; wдали widać wysokie grzbiety okryte czarnym lasem. Obszerną wioskę Jaklowce zdobi kilka pięknych dworów, należących do rodu Jekelfalusy, wyprowadzających od niej swe imię. Podobnie jak wiele innych węgierskich,

tak i ta wieś ma trzy nazwy: Słowacy, Jakłowce; Madziary, Jekelfalu; Jäkelsdorf Niemcy nazywają. W żadnym mieście górniczym niewolno mieszkać żydom; aby odlegli mieszkańcy Gelnicy mogli się z nimi stykać, zajęto pokolenie Izraela ulicę Jakłowiec, prowadzącą do tych bogatych kopalń. W Jakłowcach krzyżują się dwa główne gościńce nader ożywione: jeden prowadzi ze Spiża do Koszyc i Tokaju, a przecinający tenże ciągnie się od Gelnicy przez Magecany do Preszowa w hrabstwie szaryskim. Potężny lesisty grzbiet odgraniczający widokrąg, trzeba przebyć, aby się dostać do tego miasta: prawie na połowie boku widać kilka domków zwanych Bystra. Zdaje się, że ta mała osada wzniesie się niedługo, albowiem w pobliżu jej odkryto kilka kopalń miedzianki i żelźnicy.

Jakłowce leżą wśród rozkosznej okolicy: wszędzie widać w dziwne kształty poszarpane góry, a pomiędzy nimi głębokie doliny. Najcelniejszy widok jest na wysoką piramidalną górę zwaną Wapiennica, przedstawiającą jeden z najbardziej malownych krajobrazów.

Pomiędzy stopami Braniska a Włachowem, miasteczkiem znaczniejszym z niemiecką ludnością, odznacza się kraina żyznością i wzorową uprawą roli. Od Włachowa, Hernad nagle zmienia bieg wschódno-zachodni i zwraca się ku południowi, ku wysokiemu pasmu skał krystalicznych, zawierających bogate żyły srebra, miedzi i żelaza.

Kolinowce. Mała mila za Włachowem przy wiosce Kolinowce, nie ma już śladu równego kraju: widokrąg jest bardzo blizki. Wszędzie góry otaczają tę wioskę; niektóre składają się z czerwonych i zielonawych skał, zwanych łupkiem talkowym, a że nie pokrywa ich roślinność, ani cienka warstwa ziemi, dziwne dają wejście okolicy.

Krompach. Dobrze pół mili dalej na południe, pokazuje się małe miasteczko Krompach, sławne z zakładu hutniczego. Z wielkim nakładem przerobiono tę fabrykę wzorową na Spiżu. Prócz wielkiego pieca do wytapiania żelaza, założoną została na wielki wymiar odlewalnia żelaza i walcownie blachy. Samo miasteczko z kilkoma pięknymi domami, rozciąga się w dolinie prowadzącej do znanych kopalń Stawinki.

Huta Stefana. Od Krompachu główny gościniec trzyma się biegu Hernadu, i ciągnie się w krainie bogatej, wspaniałej w miłe krajobrazy. Na lewym brzegu téj rzeki roztwiera się znaczniejsza równina, a niedaleko brzegów wznoszą się obszerne budynki huty Stefana (Stephanshütte), w której prywatni właściciele kopalni wytapiają srebernicę na własny rachunek, pochodzącą głównie z Kotterbacha i Gelnicy.

Chociaż już w roku 1840 zaczęto budowanie tego obszernego zakładu, od niewielu lat (1851) dopiero odbywają się roboty hutnicze. Tyleto czasu potrzeba było do urządzenia zupełnego nowego zakładu.

Kluknawa. Małe pół mili od téj huty, pod górami, leży bogata wioska Kluknawa, rozciągająca się w innej poprzecznej dolinie, która przerzyna wysokie szczyty, stanowiące granicę od szaryskiej stolicy. Powyżej Kluknawy, nad Hernadem, w stromym boku odkryto w piaskowcu węgiel kamienny, a lubo był doskonałym, nie można go było dobywać, albowiem pokład poroczepiał się w liczne ramiona i wydobywanie nie opłacał. Piaskowiec zawierający ten pokład nie należy do staréj formacyi węglowéj, lecz tkwi w osadzie młodym, zapewne spodnim, trzeciorzędowym.

Co krok posuwając się na południe, kraina staje się rozmaitszą, coraz bardziej zajmującą: poszarpane wirchy, bystre wody Hernadu, bujna roślinność, gęste lasy, tu i owdzie rzucone sioła, wydały krajobraz nader zajmujący. Z taką fizyonomią kraina ciągnie się do Margecan i Folkmaru.

Margecany. Przy Margecanach wpada Hnilec do Hernadu i odtąd rzeki téj koryto ciągnie się wśród wysokich, nadzwyczajnie potarganych gór, tak, że nie można było nad brzegiem prowadzić drogi. Gościniec do Koszyc ciągnie się po niezmiernych górach, i przybywszy na równinę tego miasta, znów znajdujemy się przy téj rzece. Za Margecanami pół mili nad Hernadem leży jedna z ważnych hut, również prywatnych właścicieli, zwana „Rolowa huta“, albo Phoenixhütte, wytapiająca miedziankę (Chalkopiryt, Kupferkies). Położenie jéj bardzo szczęśliwie obrane: zupełnie odosobniona od ludzi, nie psuje powietrza wyziewami siarkowemi, a blizkie lasy dostarczają jéj obficie drzewa.

Ale wejrzenie téj huty nader smutne; obszerne zabudowania poczerniły grube sadze: gdzie rzucić okiem, czarne domy, czarni ludzie.

Wielki Folkmar. Droga z Jakłowiec do Folkmaru jest nader malowną. Jakby na końcu widnokrągu wznosi się folkmarska skała, wielką massą wapienia, ze skalistemi ścianami; co kilkanaście kroków, postępując ku niej, zmienia swe postacie, jedne od drugich odmiennejsze. Folkmar jest wielka, porządna wioska: mieszkańcy zajmują się rolnictwem i rozwożą węgle do okolicznych hut. Nierównie są majątniejsi aniżeli ich sąsiady, którzy się trudnią dozywaniem rudy lub ją przelapiają. Dawniej kopano miedziankę w kilku miejscach w pobliżu Folkmaru, teraz zarzucono te kopalnie, zapewne dla małej wydajności.

Folkmar leży u stóp wysokiej góry, przez którą wiedzie droga do Koszyc; aby daleko nie objeżdżać, zrobiono ją bardzo sztucznie na boku w gzygzak, dopiero od góry ciągnie się na wyżynie prawie dwie mile dłużej do wioski Hamor, stanowiącej granicę Spiża i hrabstwa Abujwarskiego. Długi czas nie było w Hamor zakładu hutniczego, ale teraz dźwignął na nowo p. Jacobs wielki piec do wytapiania żelaza w samym środku wioski. Aby zaś wylatujące iskry nie sprawiły pożaru, zostały stosowne przyrządy dla przytrzymania ich wykonane.

Z wioską Hamor łączy się bezpośrednio inna wieś, Mały Folkmar, stanowiąca jedną całość. Młoty do wykuvania żelaza również przez p. Jacobsa od kilku lat na nowo urządzone, leżą nieco dalej, w głębokiej dolinie Czertownika, wpadającej do doliny Hernadu. Na górach otaczających te wioski widać gęste, czarne lasy: trudno bezwątpienia znaleźć gdziekolwiek bądź bardziej wysokopiennych drzew, mianowicie grabów i buków, które tak gęsto stoją obok siebie, że na ziemi trawka nie może się utrzymać. Miejscowość tę przeznaczyła jawnie przyroda na zakłady hutnicze; w wielu dolinach obficie płynie woda, niezmierne lasy okrywające wzniesienia, jak oko zasięgnie, dostarczają niezmierne ilości drzewa, przyległe góry nie są bez żelaznicy, bo coraz więcej odkrywa jój p. Jacobs. Najcelniejsze kopalnie znajdują się na samym początku

doliny Kojszowskiej, jednej z potężnych rozpadlin, około dwie mile długiej. Wieś Kojszów stoi prawie w środku doliny, gdzie się znacznie roztwiera; należy do tych zupełnie zapomnianych siedzib człowieka, gdzie rzadko kto zabłądzi. We wszystkich tych właśnie wymienionych siółach żyją Słowaki, ród silny, smukły jak drzewa ich lasów, bardzo czynny; głównie zajmują się przewozem zboża i węgla do okolic w których górnicza ludność liczniej nagromadzona.

Spis gór i miejsc zamieszkałych na Spiżu, wymierzonych barometrem.

Batiaszowce (Botzdorf) wieś	2,205	Wahlenberg.
Batiaszowski wirch, (Botzdorfer Spitze) około	7,800.	—
Dział wód między Hernadem a Popradem	1,860.	—
Durlberg góra	5,586.	—
— równina na tej górze	4,600.	—
Felka miasteczko	2,062.	—
Felkaerfishsee, jezioro	4,997.	—
— wyżyna nad témże jeziorem	5,459.	—
Gerlsdorfer Spitze, około	7,300.	—
Gross Lomnitz, wieś	2,000.	Beudant,
— Schlagendorf wieś	1,997.	Wahlb.
Grüne See, jezioro	4,695.	—
— — — inny pomiar	4,734.	Townsend,
Spitze ueber den Grünen See, około	7,700.	Wahl.
Hranownica wieś	1,768.	Zejszn.
Hrabusice (Kapsdorf) wieś	1,669.	—
Hintere Leithen góra	6,184.	Wahlb.
Hreben góra przy Batiaszowcach, około	7,800.	—
Hundsdorfer Spitze, góra, około	7,800.	—
Hińczowe plesso w dolinie Popradu	5,835.	—
— rzeka z niego płynąca	4,400.	—
Johannisstollen kopalnia przy Iglo	1,556.	Zejszn.
Jaworyna, zakład hutniczy	3,012.	Wahlb.
Iglo miasteczko	1,417.	} 1397. Zejszn.
— inny pomiar	1,351.	
Kotterbach	1,710.	—
— inny pomiar	1,761.	—

Kohlbacher Grat, grzbiet w Tatrach.	6,595.	Walhb.
Krompach miasteczko	1,180.	Zejszn.
Kopa, przełęcz przy Jaworynie . . .	5,379.	Walhb.
Kesmark miasteczko	2,052.	Townsend.
— —	1,850.	Walhb.
— —	1,783.	Zejszn.
— zwierciadło Popradu	1,810.	Walhb.
Keszmarski koszar	4,038.	—
Kesmarker Spitze, góra	7,979.	Townsend.
— — około	7,200.	Walhb.
Kapsdorf, wieś	1,669.	Zejszn.
Lewocza, miasto, rynek	1,632.	—
Langensee, jezioro w dolinie Felka.	5,817.	Walhb.
Łuczywna wieś	2,233.	—
Lejthen Vordere, szczyt	5,988.	Townsend.
Łomnicki szczyt	8,100.	—
— —	7,942.	Walhb.
— —	7,480.	Beudant.
Limby wzniesienie	5,316.	Walhb.
Magóra spizka, grzbiet	2,693.	—
— —	3,032.	Beudant.
Miękuszowce v. Mengsdorf	2,383.	Walhb.
Na Djełu, grzbiet przy Kotterbachu	3,020.	Zejszn.
Nesselblesse	4,371.	Walhb.
Nagi Szalok, wieś	1,997.	—
Polnischer Kamm, grzbiet nad doliną		
Felki, około	6,600.	—
Poprad miasteczko	1,997.	Zejszn.
Popradowe rybie jezioro	4,510.	Walhb.
— płaszczyna przy połą-		
czeniu się z Hińczowem plessem .	4,400.	—
Pstrągi dochodzą do wysokości . . .	4,500.	—
Rothe See, jezioro	5,472.	—
Rothe See Thurm, szczyt około . . .	7,200.	—
Rox miasteczko	2,270.	Town.
— —	2,041.	Walhb.
Rolowa huta v. Phoenixhütte	910.	Zejszn.
Stösschen, góra	4,571.	Walhb.
— — szopy na niej	2,707.	—
Schmeks kąpiele	3,014.	—
— —	3,064.	Zejszn.
Szczawnik, wieś	1,717.	—
Smykaniec, karczma przy Czwartku	1,616.	—
Schlagendorfer Spitze, szczyt, około	7,200.	Walhb.
Stirnberg, góra	5,899.	—
Trichter See, jezioro	5,269.	—

Thörichter gern, szczyt	6,369.	Walhb.
Tepliczka, wieś	2,636.	Zejszn.
Wernar, wieś	1,768.	—
Werbowa v. Menyhard, miasteczko .	1,890.	—
Wejsser See, jezioro w Tatrach . .	4,918.	Walhb.
— — — — —	4,863.	Beud.
Wejsse See Spitze, szczyt	6,498.	Townsend.
— — — — — około	6,700.	Walhb.
Wysoka, szczyt	7,800.	—
Żar, wieś przy Jaworynie	2,510.	—
— przełęcz	3,286.	—
Żar, góra nad Kotterbachem	2,309.	Zejszn.



WĘDRÓWKA ZIEMSKA I APOTEOZA ARTYSTY,

DWA SZKICE DRAMATYCZNE.

PRZEKŁAD Z GETEGO.

PRZEZ

Bolesława — Wiktora.

PRZEDMOWA TŁUMACZA.

Tę samą myśl, jaką Oehlenschlaeger rozwinął w *Corregiu* (życie wielkiego artysty w zapasach z poziomą rzeczywistością), przedstawił Gete w krótkim zarysie. Przeświadczenie, że porównanie, w jaki sposób dwóch znakomitych pisarzy wywiązało się z jednego i tego samego zadania, może być i zajmującym i pożytecznym: stało się pobudką do niniejszej pracy. Każdy z tych pisarzy inaczej pojął to zadanie, w utworze każdego z nich widzimy właściwe piętno, cechujące ogólne artystyczne ich stanowisko. Oehlenschlaeger, tchnący idealnością, chętnie wylewający poezją swą w liryzmie, a tém samym bardziej podmiotowy jak przedmiotowy poeta, rozwija dramat swój nietyle zewnątrznie w akcji, jak raczej wewnątrznie w duchu głównej postaci, podnosząc ją do najczystszej idealizmu; przeciwnie Gete, mistrz w przedmiotowej poezji, rozmaga się w sferze rzeczywistości, a jeżeli od niej się oderwie, to umie zaraz do niej powrócić, lubując się w plastycznym przedstawieniu życia w całej jego nagości i wybitnej charakterystyce. U Getego nawet

i idealność zda się przesiąkną ziemskiego żywota jędrnością i rzeźwością. Corregio Oehlenschlaegera żyje tylko dla sztuki, którą ukochał, a poddając się z pokorą ciosom zawistnego losu pociesza się myślą, że nikt nie zdoła mu wydrzeć tego błogiego wewnętrznego zaspokojenia, téj pociechy, jaką daje sztuka w chwili wcielenia czystych marzeń w głębi duszy wysnutych; bohater Getego ubolewa nad tém, że nie znalazł w tém życiu ni szczęścia ziemskiego, ni współczucia, ni sławy;—ubolewa w téj właśnie chwili, kiedy z wyżyn Olimpu zbliżywszy się ku ziemi, w uwielbieniu otaczającym jego arcydzieło znajduje wymowne świadectwo temu, iż słusznie umiłował utwór, w którym myśl jego czarownym, niezwydłym rozkwitła kwiatem;—ubolewa w chwili, w którój poczyna się jego nieśmiertelność na ziemi. Lecz jeżeli artysta Getego nie przedstawia szczytnéj wzniosłości charakteru, jakże natomiast po mistrzowsku choć w lekkich tylko dotknięciach skreślone sceny, w których ciężka dłoń prozy ściiera urocze barwy z motylích skrzydeł marzenia! Zdaje się, jak gdyby Oehlenschlaegerowi więcej szło o piękno, a Getemu o prawdę; pierwszy gotów poświęcić naturalność dla uidealizowania, drugi więcej dba o wierność i umiejętny rozkład obrazu, jak o jego estetyczność: bo téż w Oehlenschlaegerze uczucie góruje nad sztuką, kiedy przeciwnie Gete jest raczej wielkim artystą jak natchnionym wieszczem. Jak dalece ta wierność i plastyczność czasem unosiła Getego, o tém najlepiej świadczy jeden szczegół wielce nie estetyczny w Goetzu von Berlichingen. I w niniejszych szkicach znajdują się tu i owdzie wyrażenia, nagością swoją zbyt rażące, które jako wstrętne uczuciu estetycznemu naszego kraju, musiały być w przekładzie złagodzone.

Szkoda, że w pamiętnikach Getego nie znaleźliśmy wzmianki o tych dwóch szkicach, która mogłaby objaśnić nas, czyli autor miał zamiar przedmiot ten w dramacie na większe rozmiary obrobić, czy téż odrazu cofnął się przed trudnościami wykonania; wzmianka ta może byłaby kluczem do bliższego wpatwienia się w myśl autora. Mielibyśmy wówczas dzieje tworzenia, wiążące dzieło mistrza z jego duchem, gdy tymczasem dziś tylko odgadywać je można: niby przyglądamy się owocowi, nie wiedząc pod jakiego kwiatu wzrósł kielichem, jaka wypiastowała go lodyga; poznajemy jedynie, że jest płodem bujnej podzwrotnikowój ziemi.

I.

WĘDRÓWKA ZIEMSKA ARTYSTY.

DRAMAT W DWÓCH AKTACH.

AKT I.

Przed wschodem słońca.

Artysta (*ustawia na stalugach portret otyłej, szkaradnej, pełnej pretensyi kobiety; ale za pierwszym pociągiem pędzla zdejmuje go*).

Ta twarz szkaradna pędzel mi wytrąca.

(*odstawia obraz na stronę*).

Mamże porzucić ten poranek boski,
Gdy spoczywają przedmioty méj troski,
Me drogie dzieci, żona kochająca.

(*zbliża się do okna*).

Jutrznio! twym blaskiem ziemia się ożywia,
Serce młodzieńczém czuciem się roztkliwia,
I lżą cię błogą wita oko moje.

(*stawia na stalugach obraz Venus Uranii (1) naturalnej wielkości*).

Bogini moja! Gdy przed tobą stoje,
Pierwsza młodości radość mię przenika.
Twój kształt niebiański tulę na me łono
Siłą uczucia, jakby narzeczoną.
Tyś moja wszędzie, gdzie pędzel cię tyka;
Nie! jam jest twoim, bo ja żyję w tobie,
Piękność piękności, ty świata królowo!..
I za monetę oddać cię zdawkową!

W mieszkaniu głupca będziesz ścian ozdobą,
Któremu nie żal dać lichą zapłatę,
Byle pod okiem mieć cacka pstrokate.

(*spoglądając na sąsiedni pokój*).

O! będzież dziatwa ma uradowana,
Gdy się odemnie przeniesiesz w dom pana
Za opłaceniem do mych rąk daniny:
Dostaną chleba zgłodniałe dzieciны...
Ty mię opuścisz! Nie! on cię mieć będzie,
Lecz, zdroju życia! on cię nie posiedzie!

(1) *Venus Urania* (Afrodyta)—bogini idealnej duchowej miłości; przeciwnie *Venus Vulgicaga* (Pandemos) była bóstwem zmysłowego uczucia.

Pociecho moja! kiedy w tobie tonę,
 Lubą rozkoszą zmysły upojone!
(słysząc krzyk dziecka:)

Aj! aj!

Artysta.

Mój Boże!

Żona artysty *(obudzivszy się).*

To już i dzień biały!
 Nie spisz?... Mój mężu, rozpal ze dwie szczapki,
 I przystaw wody w ten garnuszek mały,
 Bo muszę dziecku ugotować papki.

Artysta *(zatrzymując się na chwilę przed obrazem).*

Moja bogini!

Starszy syn artysty *(wyskakuje z łóżka i przybiega boso).*

Może pomódz tacie?

Artysta.

To przynieś drzewa lub wiórków, co macie.

AKT II.

Artysta.

Ktoś do drzwi stuka, zobaczno tam Franio!

Syn *(odchodzi i wkrótce wraca)*

To ten pan, ojczy, z tą otyłą panią!

Artysta *(stawiając ów ohydny portret na stalugach).*

Udam, że niby robię to ładaco.

Żona.

Skończno go tylko, to dobrze zapłacą.

Artysta.

A przecież robię!

(wchodzi pan z żoną).

Pan.

To nam się udało!

Pani.

Dzisiaj mi jakoś niedobrze się spało.

Żona malarza.

Pani tak zawsze prześlicznie wygląda.

Pan.

Ten obrazek w kąciku widziéć mi się żąda.

Artysta.

Pan się zakurzy.

(do pani).
Niechaj pani siada!

Pan.

Lecz naprzód dobrze ją pojąć wypada;
Bo choć to nieźle, ale niech pan wierzy,
Że podobieństwem w oczy nie uderzy.

Artysta *(do siebie).*

Właśnie téż na to już się dawno siłę.

Pan *(biorąc w rękę jakiś obraz w kącie stojący).*

To pański portret, jeśli się nie mylę?

Artysta.

Lat temu dziesięć! byłem wtedy młody!

Pan.

Dosyć podobny.

Pani *(rzuciwszy okiem na obraz).*

Jak dwie krople wody!

Pan.

Tak!... Dziś ma zmarszczki, twarz więcéj zarasta.

Żona artysty *(z koszykiem w ręku, do artysty po cichu).*

Daj mi pieniędzy, muszę iść do miasta.

Artysta.

Nie ma!

Żona.

To dziatwa z głodu poumiera!

Artysta.

Ha!

Pan (*zblizając się do stalug*).

Teraz to lepsza jest pańska maniera.

Artysta.

Tak naturalnie, bo coś znaczy wprawa.

Pan.

Brawo! to trafił te na nosku garby!
Trza tylko oczom dodać żywszej farby.

Artysta. (*do siebie*).

Ten człek nieznośny zółcią mię napawa!

Muza (*niewidzialna dla innych zbliża się do artysty*).

Cózto? już wąpic zaczynasz, me dziecie?
Każdy ma jarzmo: dźwigać je nie snadno!
Kiedy ci płaci, mniejsza że szkaradną!
Niech sobie stary trzy po trzy ci plecie:
Będiesz się cieszyć w wytchnienia godzinie
Dziełem, co z pędzla twojego wypłynie.
Kiedy się człowiek ciężkim trudem zmęczy,
Tém się mu milej spoczynek uwdzięczy.
Niebo szlachetnie używać nie broni,
Gdy kto za życia uciechami goni;
Lecz czyż to szczęście twej duszy potrzebą?
Nie! tyś ukochał świat sztuki i niebo!

II.

APOTEOZA ARTYSTY.

DRAMAT W JEDNYM AKCIE.

(Wspaniała galerya; obrazy wszystkich szkół wiszą w szerokich złotych ramach. Mnóstwo osób chodzi po sali i przygląda się obrazom. Z jednej strony siedzi uczeń, zajęty koplówką niem).

Uczeń (*wstaje, kładzie pędzle i paletę, i staje za krzesłem*).

Już tyle czasu po dniach całych siedzę!
A tak mi tęskno!... Choć ciągle się biedzę,
Jednakże rady nie mogę dać sobie,
I wiem zaledwie czego chcę, co robię!
Kontur w kwadratach... Spełniam mistrza radę,
W sposób wskazany wszędzie barwy kładę,
I wszystko robię jak na pierwowzorze;
A gdy dłoń dalej pracować nie może,

Wstaję i błędnem patrzę na wzór okiem,
 Jak gdyby można coś wykonać wzrokiem!
 Jakbym był w więzach, bez ruchu tak stoję,
 Głowa ma płonie, żar tli ciało moje!...
 Mimo to wszystko, któż ból mój wypowie?
 Nie mogę zrównać oryginałowi:
 Co tam swobodą i życiem oddycha,
 U mnie tak zimne, martwe i bezwładne;
 Co tam czaruje, wdzięcznie się uśmiecha,
 U mnie jest takie śmieszne i szkaradne;
 Co tam przejrzyste i jasnością błyska,
 Tu do starego podobne garnaczyska!...
 Brak mi wszystkiego, oprócz dobrej woli.
 A jeszcze bardziej, srożej mię to boli,
 Że, co mi braknie, to sam wiem dokładnie.

Mistrz (*zbliżając się ku uczniowi*).

Twoja robota wygląda dość ładnie,
 A jaka wierna! snadź pracujesz pilnie.
 Widzisz, com mówił, tom rzekł nieomylnie:
 „Im więcej mistrz się do pracy pobudza,
 A sztukę kocha, czasu nie mitreży,
 Tém większe zawsze przeszkody zwycięży”.
 Niech nic zapalu twego nie ostudza,
 A czém wątpisz, z czasem ci się uda,
 I wszelka trudność zostanie zwalczona,
 Każdego celu wtedy się dokona;
 Bo wszak żelazna wola tworzy cuda.
 Tak, pracuj! pracuj! to ma szczerą radą,
 Z czasem swobodnie dłoń pędzłem zawłada.

Uczeń.

Dzięki ci mistrzu za dobroć i względy;
 Lecz teraz wskaż mi, jakim zrobił błędy.

Mistrz.

Ja widzę tylko, żeś wykonał dzieło,
 Które mię szczerą radością przejęło;
 Że się do sztuki zabierasz pochopnie,
 Coraz na wyższe pragnąc wzniesić się stopnie.
 I to i owo wprawdzie jest ułomne;
 Lecz inną razą o błędach ci wspomnę.
 (*oddala się*).

Uczeń (*wpatrując się w obraz*).

Chwili nie spocznę, a pracować będę,
 Póki tajemnic sztuki nie zdobędę!

Miłośnik sztuki (*zbliżając się do ucznia*).

Dziwna, dlaczego pan próżno czas traci?
 Niechaj pan błędną tę drogę porzuci,
 I ku naturze tylko się obróci:
 Z niej jednej czerpać można najbogaciej,
 Ona najwyższym mistrzem nad mistrzami,
 W niej trzeba szukać wszech tajemnic kluczy,
 Ducha i prawdy; błędem nie omami:
 Tak! ona jedna czegoś cię nauczy.
 Słuchaj méj rady, bo ci szczerze życzę,
 Naśladownictwo porzuć niewolnicze:
 Nic na téj drodze i gieniusz nie wskóra,
 Natura! panie, natura! natura!

Uczeń.

Jużem się o tém nasłuchał nie mało.
 Kiedym się na tę drogę rzucił śmiało,
 To mojej duszy było coraz błżej,
 Czasem się nawet udało niezgorzej;
 Lecz ileż razy-m trudził się daremnie,
 A wtedy boleśń, rozpacz, wrzały we mnie!
 Więc już się więcéj na to nie ośmielę,
 Bo tylko czasu zmarnowałbym wiele.
 W księdze natury karty zbyt olbrzymie,
 Słowa—zagadką: w nich myśl boża drzymie.

Miłośnik (*odwracając się*).

Nie ma talentu! widzę jak na dłoni!
 Więc próżno radzę, tylko czas się trwoni.

Uczeń (*siada*).

Nie nie znać pracy, a robiłem tyle!
 Ha! trudna rada, więc zacznę na nowo.
 (*Nadchodzi drugi mistrz, ogląda jego pracę i odwraca się,
 nic nie powiedziawszy*).
 Proszę cię, mistrzu, pozostań na chwilę,
 Przynajmniej jedno racz wymówić słowo,
 Ono mię zawsze raduje, zachwyca,
 I żądzę wiedzy tak błogo nasycą!
 Może-m dla wątłych sił tego nie godzien,
 Lecz mam chęć szczerą, i nauki-m głodzien.

Mistrz.

Jam podziwieniem, lecz i żalem zdjęty:
 Tyś nieklamany zapalem przejęty,

Tyś urodzony prawdziwy artysta,
 Co z każdej chwili rozumnie korzysta;
 Każdą namiętność uczujesz głęboko,
 Z radością, chciwie chwyta twoje oko
 Wspaniałe kształty uroczego świata,
 Wrodzoną siłą duch z sztuką się brata;
 I ciągle wprawa biegłością dłoń krzepi.
 Już idzie dobrze, może pójdzie lepiej;
 Lecz...

Uczeń.

Mów otwarcie!

Mistrz.

Kto oko, dłoń ćwiczy,
 Niech i myśl kształci, ten dar tajemniczy:
 Sama natura i instynkt zwodniczy
 Nigdy nie wzniosą ducha nad poziomy.
 Ledwie się czasem gieniuszom udało,
 Że z takiej próby zdołali wyjść cało:
 Bo sztuka—sztuka! a kto jój nie zbada,
 Ten nie artystą, ten w powszedniość wpada;
 Nim dobre działasz, pojąć je należy,
 A zawsze zboczy, kto na oślep bieży.

Uczeń.

Mistrz i natura kształcą wzrok i rękę;
 Lecz rozum kształcić jedno tylko w stanie,
 Z światłemi ludźmi ciągle obcowanie.
 Mistrzu! powszechną zyskałbyś podziękę,
 Gdybyś chciał światu czasem się udzielać,
 By mądrość twoję w łaknących jój przelać,
 Zamiast tak milczeć jako sfinx zaklęty.

Mistrz.

Dzisiaj świat cały czém inném zajęty:
 Lubi co łatwe, dogodne, a nowe;
 Na co mu moje zasady surowe?
 Gdybym więc moję chciał śpiewać piosenkę,
 Toby nikomu nie była na rękę.

Uczeń.

Lecz powiedz, mistrzu, czyli ja nie błędzę,
 Ze mię duch *Jego* tak silnie owionął,
(wskazuje na obraz, przez siebie kopiowany)
 Iż jam mą myślą w nim całkiem utonął,
 Że go nad innych mistrzów wyższym sędzę;
 Gdy go kopiuję, czuję, zem szczęśliwy,
 A tak go kocham jak gdyby był żywy.

Mistrz.

Młodzian jest zawsze do uniesień gotów;
 Więc za toś wcale nie godzien przygany:
 Wszak młodość musi próbować podlotów,
 I być namiętną w miłości, w zawiści.
 Ten mistrz przez ciebie szczęśliwie wybrany,
 Ducha podniesie i smak twój oczyści;
 Lecz w jedném błędzisz, jedno tobie braknie:
 Ty zamiast sztuki ukochałeś wzory.

Uczeń.

To też choć zawsze-m studyować go skory,
 Zawsze ma dusza czegoś więcej łaknie.

Mistrz.

Co mistrz dokonał trzeba pojąć pierwěj,
 A potem czego on pragnął wybadać;
 Wtedy nie będziesz w jednostronność wpadać,
 Ani się mistrzem zajmować bez przerwy.
 Czyż w jednym tylko człeku cnota mieszka?
 Do sztuk świątyni jednaż tylko scieszka?

Uczeń.

Słucham cię mistrzu, o! mów jeszcze dalej!

Mistrz.

Inną znów razą będziemy gadali.

Inspektor galeryi (*przystępując do nich*).

O dniu radosny, jakich w życiu mało!
 Cóżto za szczęście dzisiaj nas spotkało!
 Będziem mieć obraz cudny, istne czary,
 A taki drogi, że nie dacie wiary!

Mistrz.

Czyżże to obraz?

Uczeń (*wskazując na obraz jaki kopiuje*).
 Czy tego, mój panie?

Tak chciałbym wiedzieć!

Inspektor.

Tak jest, tego właśnie.

Uczeń.

Więc me gorące spełnia się żądanie!
 Teraz dopiero sława mu rozbrzaśnie!...
 Gdzież jest ten obraz? gdzie go szukać mamy?

Inspektor.

Zaraz przyniosą i ustawią w ramy.

Handlarz obrazów (*występując z tłumu*).

Teraz galerya niech się śmiało chwali,
 Że w tym rodzaju ma obraz jedyny;
 A świat niech wielbi wzniosłe księcia czyny,
 Co sztukę kocha, wspiera najwspaniałej.
 Zaraz przyniosą. Nic równego w świecie!
 Ręczę, od niego ócz nie oderwiecie!
 Co przez me ręce przeszło, któż to zliczy?
 A przecież takićj nie miałem zdobyćy!
 Żal mi go oddać! bo, przyznam się szczerze,
 I setnej części człek za to nie bierze:
 Bo téż ten obraz jest nieoceniony.
 (*przynoszą obraz Venus Uranii i ustawiają go na
 stalugach*).

Tak go kupilem od malarza żony:
 Nieprzeciagnięty, bez najmniejszej zmiany,
 Tu się obejdzie całkiem bez fortelu.
 Patrzcie panowie, jak jest zachowany!
 (*wszyscy skupiają się przed obrazem*).

Piérwszy mistrz.

Cóż to za wprawa! Takich jest nie wielu!

Drugi mistrz.

Cudna myśl, dłonią ziszczona natchnioną!

Uczeń.

Nie mogę patrzeć, powieki me płoną!

Miłośnik.

To boski obraz! raj myśli otwiera!

Handlarz.

Bo téż to jego najlepsza maniera!

Inspektor.

No, Bogu dzięki! już przynieśli ramy:
 Daléjże chłopcy, zwijajcie się zwawo!
 Teraz się właśnie księcia spodziewamy.
 (*wstawiają obraz w ramy, i znowu umieszczają na
 stalugach*).

Hsiazę (*wchodzi i przygląda się obrazowi*).

Prześliczny obraz! wnet uczczą go sławą!

Kassyer (*kładzie worek z cekinami na stół i wzdycha*).

Handlarz (*do kassyera*).

Muszę zobaczyć, czy to ważne złoto.

Kassyer (*licząc pieniądze*).

Upewniam pana!

(*Handlarz czyni gest niedowierzania*).

Kassyer.

Zważmy, mniejsza o to!

(*Księżę stoi przed obrazem, inni w pewnym od niego oddaleniu, w tém rozstania się sklepienie, i ukazuje się Muza na obłoku wiodąc za rękę artystę*).

Artysta.

Dokądże z tobą przyjaciółko bieżę?

Muza.

Poznaj tam siebie, czy widzisz tam w dole
Twój cześć i sławy nieśmiertelnej pole?

Artysta

Czuje się tylko w ziemskiej atmosferze.

Muza.

Tam twoje dzieło! spojrzysz tylko z góry!
Dzieło, co inne utwory przyćmiewa,
A rozjaśniając mrok życia ponury,
Jak gwiazda pierwszej wielkości olśniewa.
Patrzaj, jak ono wszystkich widzów wzrusza:
Z wnętrza je swego wysnuła twa dusza
Wnajczystszej życia i marzeń twych chwili;
A wykonałeś mądrze, pracowicie.
Nawet i mistrze nań patrzą w zachwycie,
Aby od ciebie coś się nauczyli;
I mądry władca, pełen uniesienia,
Czuje, jak wielki teraz skarb posiada,
Stoi jak wryty: tak nim duch twój włada.
Lice młodziana radość rozpromienia;
Wzrok jego pała żądzą, by przewodnią
Duch twój mu świecił natchnienia pochodnią.
Tak myśl, co w duszy wielkiej zajaśniała,
Przez wieków wieki na wszech bliźnich działa:
Bo k'czemu zacna wola męża rwie się,
W ciasnym żywota nie spełźnie zakresie,

Ale on żyje, działa i po zgonie:
 Czyn, słowo piękne w nicości nie tonie.
 Tak i ty będziesz istnieć nieskończenie:
 Nieśmiertelności nasycaj pragnienie.

Artysta.

Czuję, jak wiele bogowie mi dali
 W wędrówce życia mego, choć tak krótkiej,
 I jaką przyszłość mi przygotowali;
 Lecz mnie ten widok wskrzesza dawne smutki:
 Czyż młodzian może składać bogom dzięki,
 Gdy ukochana wtrącona w ciemnicę,
 Zdała łzy leje i rozwodzi jęki?
 Któż wtedy jego potępi tęsknicę,
 Kto go szczęśliwym nazwać się ośmieli?
 I czyżto radość w jego duszy wznieci,
 Że jedno słońce dla obojga świeci,
 Gdy on z nią nawet boleści nie dzieli?—
 Łaknęła zawsze ma nędza żebracza,
 Co dziś me dzieła tak hojnie otacza.
 O przyjaciółko! na cóż mi się zdało,
 Że dziś mię płacą, że dziś błyszczą chwałą?
 Gdybym choć tyle mógł mieć złota wtedy,
 Co ramy mego obrazu tak stroi,
 Tobym nie doznał zawodów, ni biedy,
 I żyłbym szczęśliw wśród rodziny mojej.
 Jam tego nie znał, czém księżę wspaniałą,
 —Przyjaciół, który naszą myśl zrozumie;
 Nie! jam w zakęcie przeżył żywot cały,
 Męcząc się w pracy i w tęsknej zadumie,
 Bez znawców, uczniów, coby mię pojeli:
 Jam w prostych mnichach znalazł wielbicieli.

(wskazując ucznia)

Jeżeli tego pragniesz wznieść młodziana,
 Spraw, by dlań bogi stały się łaskawsze:
 Niech jutrznia szczęścia świeci mu różana,
 Niechaj od nędzy będzie wolnym zawsze;
 Chwila za chwilą niech mu płynie słodka,
 Niechaj go żadna troska nie zasmuca;
 A cześć, co ciszę mą w niebie zakłóca,
 Niechaj go jeszcze w tém życiu napotka.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

WYSTAWA POWSZECHNA.

3.

Wystawa przemysłowa. — Środek wielkiej nawy; galwano-plastyka. — Wystawa sztuk pięknych: Akwarelle angielskie; galerya francuzka; Ingres. — Paryż. — Dramat Paul-Meurica. — Pani de Girardin. — Wiadomości literackie.

I.

WYSTAWA PRZEMYSŁOWA.

Środek wielkiej nawy, którą już obeszlśmy dokoła, zajmują produkta wyjątkowej wielkości i ceny, nie dające się podporządkować pod żadną klasyfikacją. Latarnie morskie, ołtarze, ambony, nisze na święte wizerunki, wodotryski, teleskopy, wielkie zwierciadła, toalety, statuy, kilkanaście pomniejszonych modeli maszyn, znajdujących się w konserwatorium sztuk i rzemiosł: słowem, najsprzeczniesze i najrozmaitsze utwory przemysłu ludzkiego, pochodzące z rozmaitych stron świata, widzimy pomieszane na téj kosmopolitycznej przestrzeni. Trzy wielkie fontanny z lanego żelaza z fabryk francuzkich, pięknnością kształtów, nieustannym szmerem i wonią kwiatów naraz trzy uderzając zmysły, najpierw zatrzymują widza.

Pierwsza naprzeciw drzwi wchodowych (bo tylko jednemi wchodzi się do pałacu, inne służą do wyjścia), ustawiona w szerokim wieńcu kwiatów, jest największa

i najwspanialsza. Najady ugrupowane na środku pierwszego bassenu, wylewają ze dzbanów wodę, oraz podpierają głowami dwa mniejsze basseny, z których deszcz kroplisty spada obficie. Ta fontanna z odlewalni Val d'Osne, cała z lanego żelaza, koloru starożytnego brązu, jest utworem największych rozmiarów, na jakie zdobyć się mogły odlewalnie francuzkie, bardzo małe w porównaniu z angielskimi. W całej Francyi są zaledwie trzy odlewnie zdolne odlewać większe sztuki, a i te nie mogą zaspokoić wymagań budowniczych, tak dalece, że większe obstalunki żelaza do budowli, zwłaszcza monumentalnych, Francya sprowadza z Anglii.

Dwie drugie fontanny daleko mniejsze, zalecają się pięknością wykonania i sztuczném urządzeniem prądu wody. Mianowicie téż jedna z odlewalni pana Vahl, téjże saméj, w której ulane były dwa piękne wodotryski zdobiące paryzki plac de la Concorde, bardzo ładna. Pręt trzymający basseny jest jakby kolumną uwitą z wodnego ziela; calle, (grzybienica), nenufary, (grzybień), kosacze i tataraki z żelaza wiernie naśladowujące naturę, leją ze swych kielichów wodę na głowy pulchnych Kupidynków, wyciągających ku nim ręce.

Obok téj fontanny stoi brama żelazna do zamknięcia ogrodu, z kuźni angielskich, robiona razem z lanego i kutego żelaza. Jestto rzecz bardzo znakomita; ani proporcji, ani ornamentacyi nie ująć nie można, ale środki wykonania téj bramy nadzwyczaj kosztowne, stawiają ją raczej między dzieła sztuki niż wyroby do użytku potrzebne, przez co chybia przeznaczenia.

Exponent pan Baily, kupiec londyński, żąda za tę bramę 13,200 franków; znawcy twierdzą, że zarobek jego na téj sprzedaży nie jest wielki, nawet zamały; bo sami wydający modele rzeźbiarze wzięli przeszło 3000 franków, co daje wyobrażenie o reszcie kosztów. Cóżkolwiekbydź, jestto tylko wysilenie sztuki kowalskiej, niepożyteczne, bo zadrogie. Postęp téj gałęzi przemysłu powinien się urzeczywistnić raczej w poszukiwaniu sposobów ekonomicznej fabrykacyi, nie zaś silić się na wkroczenie do dziedziny sztuk pięknych.

Jest jeszcze z lanego żelaza statua świętego Jana Chrzciciela z francuzkiej fabryki Calla, dosyć smutnie wyglądająca, i bardzo piękny wazon wykonany w Au-

stry; misterne wyrobienie otaczających go ozdób, figurek i kwiatów, oraz doskonała całość proporcyj, stawiają go na pierwszym miejscu pomiędzy wyrobami z lanego żelaza, jakie widzimy na wystawie.

Większa część wyrobów zgromadzonych we środku sali przeznaczona jest ku ozdobie kościołów, co dowodzi, że przemysł nie tylko w świeckiej, ale i duchownej sferze ma wielkiego konsumenta; że te dwie potęgi, religia i przemysł, nie są z sobą w tak wielkiej niezgodzie, jakby się zdawało. Prawda, że przemysł włada wyłącznie światem fizycznym, materią chwyta i modeluje stosownie do potrzeb materialnych człowieka; poczucie zaś religijne odrywa go od ziemi i wzbija ku wyższym widokom: ale dlatego właśnie te dwie potęgi nie wykluczają się, ale razem formą i duchem wspierają. Żadne zabiegi około materialnego bytu, korzyści ani sława na tej odniesione drodze, nie wypełnią ani zaspokoją umysłu człowieka; bo duch jego ku wyższym stworzony celom, nieustannie ku nim myśłą wylatywać będzie, nawet wtedy, kiedy jest najczynniejszym kółkiem w ogromnej maszynie ziemskich interesów; co większa, im czynniej pracuje około materialnego bytu ludzkości, tym silniejsze uczuwa pragnienie wyższego istnienia, tym jaśniej widzi niedoskonałość tego co jest, a potrzebuje wierzyć i wielbić coś więcej nad to, co sam stworzył.

Potrzebę religii, do której zwrot wyraźny objawia się w młodym piśmiennictwie, spostrzegamy także w dziełach przemysłu. Widzimy na wystawie liczny zbiór ozdób kościelnych, wykonanych z taką miłością, że trudno przypuścić, ażeby prosta znajomość prawideł sztuki bez wiary i natchnienia, kierując ręką artysty czy rzemieślnika, mogła tworzyć rzeczy tak piękne.

Obejrzyjmy najprzód ołtarze; jest ich ośm: trzy z połączanej miedzi, trzy z marmuru, jeden z drzewa, jeden z wypalanej gliny.

Najpiękniejszy z trzech pierwszych jest ołtarz w guście bizantyńskim, dzieło złotnika Bacheleta. Uważany pod względem doskonałości wykonania mechanicznego, czy ogólnej myśli kompozycji, ołtarz ten zarówno wytrzymuje krytykę.

Antepedium dzieli się na dwanaście bogato złotych framug, w których stoją statuy dwunastu apostołów. U góry siedzi Chrystus na cyboryum, którego drzwi strzegą Religia i Wiara. Statua wyobrażająca wiarę ma związane oczy, twarz jej wyraża zachwył; Religia pełna spokoju i słodczy, spogląda nań z uśmiechem. Ołtarz ten wielki i wspaniały, bo cały jakby ze złota ulany, zaćmiewa swym blaskiem inne, mniej ozdobne.

Obok zaraz stoi z tegoż samego metalu mniejszy ołtarz, także w byzantyńskim smaku. Front jego zdobią cztery figury: Abel, Abraham, Melchizedech kapłan prawa natury, i Aaron kapłan prawa objawionego.

Trzeci naśladowający ołtarze z epoki Henryka III, najmniej jest ładny. Przedstawia w płaskorzeźbie trzy epizody zmartwychwstania.

Mniej bogate, ale poważniejsze, więcej szlachetną surowością nacechowane są trzy ołtarze marmurowe. Każdy z nich był w innej stronie Francji robiony: jeden na południu w Bordeaux, drugi w Paryżu, trzeci w Angers, mieście stołeczném Andegawenii, dzielnicy Henryka Walezyusza.

Ołtarz przystany z Bordeaux, choć właściwie do żadnego nie należy stylu, zaleca się lekkością i dokładną proporcją rozmiarów; główna płaskorzeźba przedstawia śmierć Matki Zbawiciela.

Ołtarz paryzki przeznaczony do kościoła Vaugirard, wykonany wedle wzorów rzymskich, wcale nieładny; nadto ma jeszcze tę wielką wadę, że nie jest z jednej sztuki. Wszystkie figury do ornamentacji jego użyte, zamiast być wykuwane z jednego marmurowego bloku, na czém się zasadza cała trudność i piękność rzeźby, robione są osobno i ustawiono gotowe na przeznaczonych miejscach. Ten rodzaj oszukaństwa artystycznego odrazu wpada w oko, a całemu dziełu nadaje nie monumentalną, ale tandetną cechę.

Ostatni liczy się do najpiękniejszych wyrobów marmurowych na wystawę nadesłanych; jest on dziełem księdza-artysty nazwiskiem Choyer, którego prace cenione powszechnie we Francji, zdobią już kilka nowo wybudowanych kościołów. Jako świątły kapłan, znający dokładnie teologią, ksiądz Choyer lepiej zapewne

niż świecki artysta powinien rozumieć i tłumaczyć amblemata wiary katolickiej, lepiej niż ktokolwiek przedstawiać figury sceny wyjęte ze Starego i Nowego Testamentu, lub historii kościoła. Jakoż znawcy sztuki i teologowie, zarówno z dzieł jego są zadowoleni, a pracowni księdza Choyer w Angers często przez artystów nawiedzane bywają.

Wystawiony ołtarz jego jest w surowym gotyckim guście. Płaskorzeźba na przodzie, trochę może nadto manierowana w porównaniu do prostoty ogólnych zarysów, przedstawia świeżo obchodzoną w kościele katolickim uroczystość: ogłoszenie Niepokalanego Poczęcia przez Piusa IX w bazylice świętego Piotra.

Drugi utwór pochodzący także z pracowni księdza Choyer, jest wielka płaskorzeźba, przeznaczona do kościoła św. Seweryna w Bordeaux. Artysta uplastycznił na niej słowa Chrystusa „Ego sum vitis, vos autem palmites.” Trudno, a może niepodobna było oddać tych słów Zbawiciela w dotykanej formie, to też na pierwszy rzut oka nie można zrozumieć, co ma przedstawiać winna latorośl, z której pnia głowa Chrystusa wyrasta, a każda z dwunastu gałęzi kończy się popiersiem apostoła. Wykonanie tej płaskorzeźby znakomite, żałować może, iż artysta nie obrał sobie przystępniejszej dla dłuta przenośni.

Bracia Goyers, snycerze belgicy, przystali na wystawę z fabryki Louvain ołtarz misternie wyrobiony z dębowego drzewa. Jest on w flamandzko-gotyckim smaku, struktura jego nieco ciężka, a ozdoby niezmiernie wyszukane. Stare, pełne prostoty i natchnienia wzory gotyckie, które jak improwizacya poety płynęły z gorącej wiary i miłości, tutaj naśladowane na zimno, sztucznie i umiejętnie, są jakby pięknym ciałem bez duszy. Podziwiasz tę pracę wykonaną wedle prawideł sztuki, szczegóły po szczególe wydaje ci się piękny, zakończony z dziwną precyzją; ale całość martwa nie przemawia do serca, nie sprawia tego zadumienia i zachwytu, jaki ogarnia ducha na widok niemych a tak wymownych arcydzieł sztuki gotyckiej, która myśl swoje pisała pomnikami.

Daleko żywsze wrażenie czynią dwie przepyszne ambony, żłobione także z dębowego drzewa w praco-

wniach holenderskich: jedna w Ruremond przez dwóch snycerzy, Cuypersa i Stolzenberga, druga w Bois-le Duc, przez Venemana. Wyrobite z czarnego dębu z niepojętą doskonałością i wdziękiem, są jakby altany z gęstego uplecione liścia: bluszcze, dzikie winogrona, klematydy i kapryfolia powikłane z sobą w przejrzysty a gęsty szpaler, ułożony z najdziwniejszych a zawsze naturalnych skrętów, tworzą niepodobne do opisania bogactwo inwencji, z ogromną sztuką wykonane. Małeńkie schodki wdzięcznie zaokrąglone, prowadzą w głąb tej czarownej ambony, wyglądającej jak bukiet liści skamieniały w gorącym źródle karlzbadzkim.

Obie te kazalnice są ozdobą wystawy; jedyny błąd, jaki zbyt surowy krytyk mógłby zarzucić pierwszej, jest brak proporcji w podstawie: jakoż rzeczywiście dwa lwy, na których się wspiera ambona Cuypersa, są zamałe w porównaniu do ciężaru jaki dźwigają. Ale to błąd tak drobny, tak nikiący obok pięknej całości, że go chyba wynajdzie krytyk koniecznie szukający zaczepki. Co do nas wyznajemy szczerze, iż ambony holenderskie wydają nam się arcydziełem gustu i sztuki snycerskiej.

Do utworów snycerskich policzyć jeszcze należy drewniany ołtarz roboty pana Prang, nadesłany z Münster; niszę dla statuy Matki Boskiej, wykonaną w pracowni pana Dumont w Bourges, oraz dzieło młodego stolarza Romana Ouellery, który nie ucząc się nigdy snycerstwa, nie mając potrzebnych do tego rzemiosła narzędzi, nadesłał na wystawę z Rouen niszę z małą statuetką świętego Hippolita, która zwróciła powszechną uwagę na wielką zdolność tego nieznanego młodzieńca, którego imię może niedługo zastynie w artystycznym świecie.

Ósmy ołtarz wykonany z gliny w okolicach Paryża przez garncarza Debay, zasługuje na uwagę jako osobliwość. Pomijając kompozycją, niełatwo było taką wielką sztukę wypalić; potrzeba było na ten cel stawiać umyślne piece. Usiłowania zręcznego robotnika wydały owoce: gliniany ołtarz, jako wyrób z tak nieszlachetnego materiału, wcale nieźle wygląda, co głównie zawdzięczyć wypada gustownej formie i proporcji rozmiarów, z jakimi pan Debay to dzieło na chwałę bożą wykonał. Jestto proba nowego zastosowania, które

skutkiem swęj wielkiey taniości pewnie się rozposzechni.

Zwierciadło wystawione przez kompanią Saint-Gobain, jest największe z wszystkich istniejących dotąd; ma 18 metrów i 4 centymetry wysokości, to jest przewyższa o 78 centymetrów wystawione w kryształowym pałacu przez kompanią Tamizy lustro, na którym był napis wówczas prawdziwy: „Największe zwierciadło na świecie.”

Jak niegdyś weneckie, tak teraz francuzkie zwierciadła są niezaprzeczenie najdoskonalsze. Już na wystawie londyńskiey w 1851 roku, sprawozdawca lord Mauley przyznał im pierwszeństwo co do gatunku. Sekret wyrabiania tego produktu Francuzi przejęli od Weneccyan, ale wnet nader ważne uczynił w nim udoskonalenie Abraham Thevart, zasadzające się na sposobie lania zwierciadeł z roztopionęj massy, nie jak to przedtem czyniono, wydymania ich jak zwykłej szyby.

Od chwili tego wynalazku dwojakie są fabryki zwierciadeł: dętych i lanych. Jak daleko postąpił przemysł tych ostatnich, widzimy z produktów wystawionych. Największe rozmiary zwierciadeł dętych nie przechodzą półtora metra. Wielkość ich ma zakreślone sobie granice siłą tchu człowieczego, jak niemniej przeciągiem czasu, którego potrzebuje do wystygnięcia massa szklana. Zwierciadła lane prócz tego, że mogą być nieskończenie większe od dętych, mają jeszcze tę nad nimi wyższość, że są daleko czystsze i wierniejsze.

Największa fabryka lanych zwierciadeł znajduje się w Pikardyi, od miasta w którym od stu lat istnieje, wzięta nazwę Saint-Gobain. Druga fabryka Saint-Guirin bardzo długo same dęte produkowała zwierciadła; aż w końcu przekonawszy się o wyższości lanych, zarzuciła dawny sposób fabrykacyi, i założyła wielką hutę w Cirey, która aż do 1830 roku rywalizowała z Saint-Gobain. W tęg epoce obiedwie fabryki dla dobrze zrozumianych interesów własnych, postanowiły nie szkodzić sobie wzajemnie, ale raczėj porównać ceny produktów i dzielić się zyskiem. Jakoż odtąd te dwie huty, najpięrsze we Francyi, jakby jednę ogromną stanowią fabrykę.

Z powodu wielkich nakładów, jakich wymaga założenie huty do lania zwierciadeł, fabryki takie mnożą się z trudnością. W nowym zakładzie nie można od razu dobrych wyrabiać produktów; masa, robotnicy, piece, wszystkie narzędzia muszą być wyprobowane z wielką stratą. Wypalone piece lepsze są od nowych, płyty na które wylewają szklaną masę, także wymagają bliższego się z sobą zapoznania. Ztąd poszło, iż od niepamiętnych czasów istnienia dwóch wyżej wymienionych fabryk, dwa tylko nowe powstały zakłady, i wnet zakupione i zniesione zostały przez huty Gobain i Cirey. Niedawno założona trzecia huta w Montlucon, wytrzymując z trudnością konkurencyą z dwiema pierwszymi, rozwija się bardzo powoli, chociaż produkta jej niemniej są dobre, a może lepsze choć mniej wielkich rozmiarów.

Wielkość lustra stanowi niezaprzeczoną zaletę jego, ale ulanie takiej sztuki więcej świadczy o bogactwie huty, niż zręczności robotników. Zwierciadło wystawione w kryształowym pałacu było prawda ogromne, ale zanim się udało, odlewano go ze dwadzieścia razy: ztąd koszt odłania téj jednéj sztuki wynosiły przeszło 50,000 fr.

Piękność i dobroć zwierciadła nie zasadza się na saméj wielkości, ale na wierności i bezkolorowości; jeżeli te trzy przymioty łączy, dopiero jest prawdziwie dobre. Zwierciadło akwizgrańskie, o którém wspominałem dawniej, na pozór jest bardzo piękne, wielkie, wiernie odbija kształty, ale nadaje przedmiotom mocną barwę niebieską. Zwierciadłu Saint-Gobain nie zarzuć nie można: czyste jest jak kryształ i bezkolorowe, którójto zalety nawet sławne weneckie zwierciadła nie posiadały; wszystkie lekką barwą fioletkową, a raczej różową malowały odbijane przedmioty, czyniąc je przez to piękniejszymi niż były w istocie. Kto wie, czy właśnie ta wada nie przyczyniła się do ich słynności. Filozof jakiś powiedział, że ludzie zawsze wychodzą zadowoleni z siebie, jeżeli ich pożegnał zadowolonych z siebie. Prawda słów tych tak dobrze do człowieka, jak do pochlebnego stosuje się zwierciadła; a przyczyna wziętości weneckich zwierciadeł nie inna zapewne, jak wszystkich pochlebców na świecie.

Więszą wadą niż kolorowość jest nierówność zwierciadlanej szyby. Jeżeli powierzchnia jej mieć będzie choćby najmniejszą falistość, wszelkie odbicie stanie się fałszywe, mniej więcej rażące, wedle mniejszej lub większej nierówności szkła. Ażeby się przekonać pod tym względem o wartości zwierciadła, potrzeba stanąć o 25 kroków naprzeciw niego; jeżeli jest złe, niekształtność odbicia w tej odległości wpadnie natychmiast w oko, a postawiwszy drugie zwierciadło naprzeciwko i stanąwszy pomiędzy nimi, odbicie będzie potłamane jak w zwierciadle rozbitém. Dla uniknięcia tej głównej wady, wymyślono środki mechaniczne do mocnego szlifowania tafli, które dlatego ażeby wytrzymały operacją, leją daleko grubsze niż dawniej.

Wynalazek pana Thevart nie spowodował jednak zupełnego zaniechania starego sposobu robienia zwierciadeł; nietylko w Niemczech, gdzie powszechnie trzymają się dawnego systematu, ale i we Francji jest jeszcze kilka hut wyrabiających dęte tafle. W ogóle małe zwierciadła bywają dęte, jednakowoż niezawsze, bo wszystkie wielkie, których odlanie się nie udało, fabrykanci kraju i pozbywają w mniejszym formacie.

Najlepsza huta dętych zwierciadeł znajduje się na północy Francji w mieście Aniche; naczelny zawia- dowca tego zakładu pan Patoux, przysłał na wystawę liczne próbki swojego przemysłu, które aczkolwiek są szczytem, do jakiego dojść może produkt tym sposobem otrzymany, nie mogą atoli iść w porównanie z lanemi.

Produkcya zwierciadeł we Francji jest ogromna. Wedle najnowszych obrachunków, kraj ten wyrabia ich rocznie do 160,000 metrów kwadratowych. Cyfra ta obejmuje i dęte zwierciadła, na które przypada około 20,000 metrów; ale huty zajmujące się produkcją tych ostatnich, istnieją jedynie skutkiem taniości swego towaru.

Latarnie morskie, jak również wielkie narzędzia optyczne należą do rzędu produktów, których na pierwszy rzut oka ocenić nie można; osądzenie ich wymaga wiadomości specjalnych, a do tego potrzeba długiego czasu i uwagi. Choćby powierzchność tego rodzaju narzędzi wydaje się opracowana gładko, doskonale, cóż po nich, jeżeli szkła lub układ ich wewnętrzny będzie

niedokładnie obrachowany? Jedyną więc gwarancją tego towaru—ustalona sława fabrykanta; kupujący musi ślepo polegać na słowie jego. Najpiérwszym fabrykantem narzędzi optycznych we Francyi, nie mającym niemal rywala na świecie, jest pan Gambey. Nazwisko jego napisane na narzędziu służącym do astronomii, czy geodezyi, jest niezawodną rękojmią tegoż doskonałości. Pan Gambey, człowiek uczony, biegły chemik, fizyk i matematyk, udoskonalił i wynalazł wiele nowych narzędzi optycznych. On głównie postawił tę gałąź przemysłu na stopniu, na jakim się obecnie znajduje we Francyi. Przed nim, nie więcéj temu jak lat czterdzieści, Francya sprowadzała z Anglii wszystkie narzędzia potrzebne do zastosowań wyższej matematyki; dzisiaj dzięki panu Gambey, tego rodzaju wyroby tutejsze nie ustępują w niczém angielskim: wielu twierdzi nawet, że są lepsze. Widząc na wystawie zbiór narzędzi p. Gambey, trudno powiedzieć, czy rzeczywiście są lepsze; ale to śmiało powiedzieć można, że są piękniejsze od innych. Elegancka ich forma dogodna dla ręki i oka, nie pozostawia nic do życzenia.

W wielkiej nawie stoją cztery latarnie morskie, wykonane wedle systemu słynnego fizyka Augustyna Fresnel, autora dzieła o świetle. Każdemu wiadomo ile Fresnelowi zawdzięcza optyka w ogóle, a w szczególe żeglarz, który światłem jego kierowany, może bezpiecznieć wymijać rafy i mielizny zawijając do portu.

Latarnie morskie, których światło było odbijane przez paraboliczne metalowe lustra, są dziś zastąpione przez fary soczewkowe. Nie ubliżając światłości czytelnika, lepiej będzie wstrzymać się od rozpisywania teorii tych farów, wyrachowanego kształtu i układu soczewek, aberracyi światła, równoległego, bo ogniskowego odbijania się promieni, refrakcyi skośnej, bo pod kątem, niedostateczności oświecania olejem i niedogodności gazu, prób światła elektrycznego i t. d. i t. d.: bo rzecz ta tylko fizyków, inżynierów i marynarzy bliżéj dotyczy. Poprzestaniemy na przypomnieniu, że Buffon piérwszy miał myśl robienia wielkich soczewek, ale chcąc robić z jednéj sztuki szkła, uczynił je prawie niepodobnemi. Fresnel dopiéro, mozolnie a umiejętnie

obrachowując krzywizny pojedynczych części, zaczął kombinować i składać far ze szkielec osobno robionych. Następnie poszukiwał sposobu mocnego skupienia światła w ognisku, aby wielkie odległości i mgły przenikać mogło; na ten cel wymyślił lampy o wielu knotach spółśrodkowych. Promienie takiego ogniska przechodząc przez soczewki, załamują się, i równoległe, mogą iść bardzo daleko. Żeby zaś marynarz odróżnił jeden far od drugiego, a ztąd mógł wnosić z pewnością o miejscowości, urządzono światła kolorowe, stałe, i z przerwami czyli eklipsami; z trwania eklipsy (zaćmienia) lub ich liczby obserwowanej w ciągu kilku minut, marynarz rozpoznaje far, a zatem i miejsce. Te chwilowe zaćmienia sprawiane są przez obrót faru, który się otrzymuje za pomocą aparatu zegarowego.

Liczne soczewki składające far są dziś wykrawane mechanicznie.

Największa z czterech wystawionych latarni pochodzi z fabryki rządowej, znajdującej się na przedmieściu Paryża Chaillof. Na szczycie wieży, w której jest umieszczona, stoi brązowe popiersie Fresnela. Dwie stojące obok latarnie, dostarczyły dwie fabryki prywatne pp. Soleil i Sauter. Więcej tego rodzaju zakładów nie ma we Francyi. Czwartą latarnią przywieziono z Anglii.

Wielkie statuy z lanego brązu policzone do produktów przemysłowych, zasługują na uwagę dlatego, że mechanicznym sposobem robione były; ale nie mogą wytrzymać porównania choćby z najniższem dziełem rzeźby. Dwie grupy z odlewalni Duranda: Tezeusz zabijający Minotaura, i koń dziki powalony przez tygrysa, jako rzecz zrobiona w kuźni są zapewne doskonałe, artyście przecież wydają się mniej niż mierne.

Lepsze są, chociaż także nieosobliwe dwa dzieła Vittoza: Upadek Ikara i Orzeł olbrzymich rozmiarów. Każdy bronzownik francuzki, których nazwisk nie wymieniam, bo nie obchodzą czytelników naszych, wystawił jakąś robotę wielką na środku sali; do lepszych należą: Geniusz polowania, Budnik, i Indyanin zabijający węża.

Z bronzów lanych angielskich nadesłanych z Birminghamu, odznaczają się wyrazistością: popiersie cesarza i cesarzowej francuzkiej, ulane wedle modelu hrabiego Nieuwerkerke, oraz statua bardzo chwalona w Anglii „Zabijacz Orłów“. Jest ona dziełem Jana Bell. Ulanie tego posągu przedstawiało podobno wielkie trudności, z powodu w tył przechylonej pozy strzelca. O ile pokonano w tych dziełach trudności mechaniczne, ocenić może jedynie człowiek trudniący się tym rzemiosłem; nieznający sposobu fabrykacyi odlewów bronzowych, zobaczy tylko, że im bardzo wiele do doskonałości brakuje.

Rzecz nadzwyczaj piękna, prawdziwa ozdoba wystawionych na środku nawy przedmiotów, jest toaleta cała wyrobiona z karraryjskiego śnieżnego marmuru. Utwór bardzo fantastyczny i dziwniej struktury. Na marmurowym lekkim filarze, zakończonym u góry bukietem kamiennych kwiatów, zawieszono są z trzech stron trzy zwierciadła ruchomo osadzone. Ramy ich także marmurowe białe, cudownie żłobione, przegładają się, jak biały narcys w potoku, w przezroczystej zwierciadlanej tafli. Przy każdym zwierciadle na boku osadzony jest rodzaj stoliczka czy miseczki do składania potrzebnych do gotowalni sprzętów. Jestto dzieło wybornego smaku, pomyślane i wykonane tak prosto a pięknie, że gdyby je Francuz zrobił, cały świat wnetby się o nióm dowiedział; ale że jest utworem Włocha nieślawnego nazwiska, zapewne na katalogowej wzmiance poprzestanie.

Zanim przystąpimy do przeglądu wyrobów miedzianych złoconych lub srebrzonych za pomocą galwano-plastyki, których nader liczny zbiór widzimy na wystawie, wypada dla łatwiejszego zrozumienia, opowiedzieć pokrótce, jakim sposobem otrzymują się te wyroby.

Celem galwano-plastyki jest reprodukcya z jakiegokolwiek bądź metalu żądanego wzoru, za pomocą działania na odcisk zdjęty z oryginału. Osad metalowy przeznaczony do zapełnienia odcisku, otrzymuje się rozkładaniem przez prąd elektryczny roztworu np. solnego, który zawiera mający się osadzać metal. Operacya galwano-plastyczna zasadza się przeto: 1 na zdjęciu

formy z wzoru; 2 na otrzymaniu na téjże formie metalowego osadu.

Materye mogące służyć do odcisnienia formy, długo ważne stawiały przeszkody w operacyi galwanoplastycznej. Początkowo używano tylko laku lub gipsu, ale ani jeden ani drugi nie oddawał dość wiernie delikatnych wypukłości wzoru; mógł służyć za ledwie do reprodukcji łatwych, jakoto: medali, pieczętek, i tym podobnych rzeczy. Dlatego niniejszy wynalazek rzeczywiście nabrał wagi wtedy dopiero, skoro formy zaczęto z gutaperki.

Wiadomo, że gutaperka mięknie w gorącu; tak zmiękczoną oblepia się wzór, a przez ciśnienie, gutaperkowe ciasto przybiera najdokładniejszą formę modelu. Skoro zastygnie, elastyczność jego pozwala zdjąć z formy odbicie bez uszkodzenia. Tak przygotowany odcisk z gutaperki, dla uczynienia go dobrym przewodnikiem elektrycznego prądu, pokrywa się proszkiem ołowianym; poczem zatapia się go w elektryczno-chemicznej kąpieli.

Jeżeli reprodukcya ma być miedziana, kąpiel składa się z siarczanu miedzi rozczynionego w wodzie. Ponieważ rozczyń wkrótceby się wyczerpał, zwyczajnie kładą w płyn woreczek zawierający tę sól w kryształkach, które topiąc się nasycają wodę w miarę potrzeby. Metal rozkładany za pomocą zwyczajnego stosu, w ciągu kilku dni wypełnia całkowicie gutaperkową formę, i na tém kończy się operacya.

Tym sposobem wykonanych produktów, jakoto: statuetek, sreber stołowych, serwisów, płaskorzeźb i t. d. zgromadzono niezmiernie wiele na wystawie. Pomiedzy niemi uważaliśmy kilka znakomicie wykonanych rzeczy, jak naprzykład kolumna Vendome, i nader piękna reprodukcya srebrna płaskorzeźby: Chrystus na Kalwaryi.

Z próbek zebranych na wystawie powziąć można dokładne wyobrażenie, jak ważne przysługi nowy wynalazek oddaje rzeźbie, której kopije dawniej tyle pracy i mozółu wymagały: galwanoplastyka jest tém dla rzeźby, czém fotografia dla malarstwa i rysunku. Jedna jak druga mnoży z łatwością, i czyni przystępnymi każdemu arcydzieła dłuta i pędzla. Każdy lubownik

numizmatów, który dawniej nabywał takowe za nader wysokie ceny, dziś bardzo łatwo powiększyć może swój zbiór, dzięki galwano-plastyce, która żądane wzory przerobi mu z najakuratniejszą dokładnością.

Jeden z artystów paryzkich dziwne uczynił zastosowanie galwano-plastyki. Podobnie jak bukiety zatopione w karlsbadzkim źródle przyjmują osad naturalny jakby gliny brunatnej, tak kwiat w roztworze metalu kąpiący, za pomocą elektrycznego prądu przyjmuje osad metalu. Tym sposobem otrzymane srebrne, złote i miedziane stokrocie, habry, nieśmiertelniki, tulipany, kamelie: słowem wszystkie nieco mięsistsze kwiaty, są nader ciekawym zbiorem, jako dowód dziwnych rezultatów, jakie otrzymać można za pomocą galwano-plastyki.

Sławny serwis miedziany, srebrzony w pracowni pana Christoffe, nadzwyczaj świetne daje wyobrażenie o nowym wynalazku. Jest on własnością cesarza Francuzów. Składa się z kilkudziesięciu sztuk do nakrycia stołu używanych, począwszy od waz ogromnych, kubków do zamrażania szampańskiego wina, tac olbrzymich i półmisków, aż do korków, koszyczków misternych na ciastka, i figurek trzymających piórka do zegarów. Jest to wyrób nadzwyczaj piękny, a udając wybornie złoto i srebro, na oko wydaje się tak niestęchanie kosztowny, że chyba na stołach rzymskich Cezarów podobne zastawy zobaczyć było można. Prócz najzupełniejszego złudzenia jakie czyni, serwis ma jeszcze tę wielką zaletę, że ponieważ nie srebrny, przejdzie do potomności, kiedy czysto-srebrne najprzepyszniejsze zastawy królów francuzkich, poznikały gdzieś tak, że żaden nie dochował się do naszych czasów, i tylko z historii dowiadujemy się że były. Za Ludwika XV, a mianowicie XVI w krytycznych rewolucyjnych wstrząśnięciach, najrzadsze dzieła sztuki z drogich kruszców, utwory najszlachetniejszych średniowiecznych złotników, miażdżyli w mennicy na bezformne bryły, a następnie przerabiali na luidory i pięcio-frankówki. Więc nawet nie ze stanowiska ekonomicznego, ale ze stanowiska sztuki uważając ten piękny wynalazek, życzyć należy, żeby galwano-plastyka jak najrychlej się rozpowszechniła.

Prócz tego serwisu bardzo mało jest wyrobów francuzkich galwanizowanych srebrem; powszechnie używają tutaj do tego złota, i tylko małe tworzą dzieła. Serwis cesarski jest widocznym wysileniem. Anglia i Niemcy więcej się zajmują tą gałęzią przemysłu; dowodem przepyszna wystawa Etkingtona z Birmingham, który w pracowniach swoich wyrabia sztuki ogromne, jak np. statuy naturalnej wielkości, lub fontanny, które dziś jeszcze podziwiać można w sydenhamskim pałacu, galwanicznym sposobem srebrzone, a tak wielkie, jak te, które w Paryżu na placu Concorde widzimy. Francuzi skarżą się, że im Etkington wszystkich rzeźbiarzy zabrał do Birminghamu, i z tego powodu, nie mając robotników, na tak małych wyrobach przestawać muszą. Kto nie wierzy, niech da talara, jak mówi niemieckie przysłowie.

Najwspanialszy wyrób galwano-plastyczny, który niezawodnie palmę pierwszeństwa otrzyma, nadesłany został z Berlina. Jestto płaskorzeźba bardzo wypukła, przepysznie wykonana, przedstawiająca jakiś ustęp z Pisma Świętego. Pochodzi ona z pracowni Vollgolda. Płaskorzeźba ta pięć stóp długa, a półczwartej szeroka, ofiarowana była przez miasto Berlin księciu pruskiemu z okazji jego ożenienia; kosztowała 40,000 franków. Mniejsze dzieła Vollgolda, także najpiękniejsze z wszystkich jakieśmy na wystawie widzieli, odznaczają się prawdziwie artystycznym gustem i cierpliwym wypracowaniem, jakie wszystkie niemieckie wyroby cechuje.

Ten pobieżny rzut oka na wystawione płody galwano-plastyczne pokazuje dostatecznie, że ten nowy przemysł niezadługo między innymi ważne zabierze miejsce. Niedawno wyszła z laboratoryów uczonych elekto-chemia, jeszcze przed kilką laty była tylko zabawką chemików: dziś wchodzi w codzienne używanie u rzemieślników. Co większa, powołana będzie niedługo do dzieł jeszcze ważniejszych. Zamiast jak dotąd obijać blachą spody okrętów, będą takowe miedzić za pomocą galwano-plastyki. Pan Oudry dał na wystawę model statku, którego część dolna jest powyższym sposobem pokryta metalem. Pan Oudry wykonał podobno dla marynarki francuzkiej kilka dzieł podobnych

na małe rozmiary, które w użyciu okazały się bardzo praktyczne. Tak więc niezadługo zamiast pracowicie pobijać blachą okręt, zanurzą poprostu takowy w stosownie przyrządzonym bassenie, gdzie sama elektryczność podszyje go metalem doskonale.

Pan Oudry obszerne i zupełnie wykonalne daje objaśnienie powyższej procedury. Wedle niego, galwaniczne podszycie jest cztery razy trwalsze od zwykłego; nie potrzebuje być naprawiane co dwa lub trzy lata jak okręty blachą podbijane, a mając raz urządzone basseny, nie jest wcale kosztowniejsze od zwyczajnego. Słowem, wedle pana Oudry, nic nie staje na przeszkodzie urzeczywistnieniu tego wspaniałego projektu, który, jeżeli na większą skalę zastosowany będzie, nie mały zaszczyt Francyi przyniesie.

Tak postępują krokiem wolnym, ale pewnym wszystkie wynalazki naszego wieku. Dzięki mądrze obrachowanym udoskonaleniom, w końcu nabiorą one olbrzymich rozmiarów, bo zaczynają od imitacji medalu, a kończą na pokryciu ogromnego okrętu.

(Dalszy ciąg w następnym numerze.)

II.

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH.

Nie ulega wątpliwości, że Anglicy wyprzedzili wszystkich artystów w umiejętności malowania wodnemi farbami; a jeżeli olejne ich obrazy często do akwarelli podobne, akwarelle za to wydają się jakby malowane olejno: tak są efektowne i żywemi oddane kolorami. Prawda, że ułatwienia znajdują ogromne w wybornych materiałach, jakich im kraj własny dostarcza; mają pod ręką angielskie farby, najczystsze jakie robią na świecie, będące nieodzownym warunkiem piękności wodnej malatury; powtórę, mają przepyszny papier z Brystolu, gładki jak kość słoniowa, używany do robót wypracowanych, oraz groszkowaty i chropowaty jak mur, nader korzystny do robienia szkiców.

Ależ, zagadnie kto, tych farb i tego papieru dostanie na całym świecie, dzięki rozciągłości angielskie-

go handlu;— niekoniecznie: nawet sąsiedzi, artyści francuzcy skarżą się, że Anglia swój przedni papier i farby sprzedaje jak Chińczycy herbatę, to jest konsumuje sama co najlepsze, a światu daje okruchy. Jeżeli Wielka Brytania tak sprzymierzonych sąsiadów traktuje, czémże częstować musi inne kraje?

Koniec końcem, z téj lub owéj przyczyny, angielskie akwarelle są najlepsze; wystawa ich jest nader liczna, przeto bez dalszych zboczeń przystępuję do rzeczy.

Panu Cattermole, bardzo cenionemu akwareliście, słusznie należy się palma pierwszeństwa. Onto wprowadził do wodnego malowania, które przedtém artyści angielscy wykończali punkcikami, lub lizali pracowicie, śmiałe sztrychy, pędzel szerszy i lekkie traktowanie szczegółów, po którym poznać można prawdziwego artystę. Po największej części akwarelle Cattermola nie są wykończone: celuje on w szkicach kreślonych i lawowanych szybko na papierze szorstkim, który niezmiernie przyczynia się do efektu całości. Znać, że modelował się szczególniej na Veroneza i weneckich mistrzach; jak oni, Cattermole czerpie przedmioty z historyi lub legend średniowiecznych, i wykonywa je w sposób wolny, niemający nic wspólnego ze sztywnością gotyckich utworów. Wprowadził on do Anglii romantyzm, któremu we Francyi przodowali Scheffer, Delacroix, Cogniet i inni. Cattermole przejął sposób malowania wszystkich tych mistrzów, wszelako nie naśladowuje żadnego. Jak oni lubi ruch w obrazie, zważa niezmiernie na powietrze, koloryt miejscowy; miłuje średniowieczne zbroice, stare sklezione komnaty strojne w draperye z ciężkich adamaszków, albo z twardego dębu wyrabiane ściany, na których chętnie rozwiesza wizerunki nadreńskich burgrafów, lub thanów szkockich.

Najznakomitsza akwarella Cattermola, właśnie w tym guście, jest osnuta na legendzie szkockiej. Podanie mówi: że Sir Biorn z iskrzącemi oczyma, pan wielki, dziki i smutny, bo ostatni swego rodu, zamiast gości mi zwykł był obsadzać stół dębowy przy którym ucztował, zbroicami przodków i z nimi wychylał kielichy.

Akwarella Cattermola przedstawia Biorna w dziedzicznym zamku, siedzącego w starożytnéj sali przy

bankietowym stole. Szlachetny Biorn żyje w przeszłości. Nie mogąc wskrzesić przodków, których potężne ciała w herbowych trumnach złożone, w proch się rozsypują w zamkowej kaplicy; posadził koło siebie próżne ich zbroice, otoczył się tłumem mar żelaznych, które udają mu te wielkie zniknione postaci, chowając jakby cień życia w ruchomych stawach żelaznych pancerzy.

Gdyby nie stoły gnące się od sreber, gdyby nie kwiaty i światło, wykwintne jadło i napoje któremi zastawione, sądziłbyś, że artysta przedstawił starożytną zbrojownią: tak bogaty i kompletny jest zbiór żelaznych strojów. Wkoło stołów długim ciągną się szeregiem medyolańskie wypukłe kirysy, druciane koszule, łuski stalowe, dziwne przyłbice, stalowe maski z profilem sępa, hełmy strojne w pióra, skrzydła orle, niedoperze, lub okropne potwory, których paszcze rozwarte zdają się pożerać głowy rycerzy.

Groźny to widok, a tém straszniejszy, że ci rycerze stalową rękawicą chwytają z winem pułhary i wylewają je w rozwarte przyłbice. Jeden z nich powstał i wnosi toast; ten łokciami wsparł się na stole i smutnie zwiesił głowę, inny jedną rękę położył na sercu, a drugą podniósł ku niebu, jakby go wzywał na świadki; ów potężną pięścią w stół uderzając grozi, a wiatr co jęczy w pustej jego zbroicy zdaje się szemrać jakieś tajemnicze słowa.... Sir Biorn sam jeden z tego świata wśród swój heraldycznej zbrojowni, patrzy na przodków iskrzącemi oczyma, swe skargi przed ich trybunał wytacza, pyta się ich i radzi co ma począć wśród tego świata, na którym tak źle się dzieje „że rola wzniosłych chęci nigdy się nie uda!”

Fantastyczny ten obraz wykonany znakomicie, przypomina ową piękną scenę z Hernaniego, odbywającą się w sali rodzinnych portretów, kiedy mściwy Don Silva nie chce przecież wydać Karolowi V nienawistnego rywala, który jest gościem w jego domu, bo przodkowie zaparliby go się za czyn takowy. Więc w pysznym monologu wciąż do nich zwraca mowę, a chociaż piekielne czuje w sercu męczarnie, woli raczej sam iść na rusztowanie niż wydać gościa, i powtarza spoglądając na wizerunki naddziadów: „wszakże mam słusność?”

powiedźcie wy wszyscy!" Tak na obrazie Cattermola jak w powyższej scenie Wiktora Hugo, nie brak majestaty czności w podniesionej do ideału arystokracji.

Ze znakomitych obrazów tego pędzla widzimy jeszcze: Pielgrzymów u drzwi klasztoru, Czytanie Biblii, Bibliotekę Przeora, Bothwella mającego strzelić do Murraya, brata naturalnego Maryi Sztuard, i Macbetha wyrzucającego mordercom Banka, że wypuścili Fleansa. Ten ostatni obraz większych rozmiarów, mniej jest dobry niż poprzedni. Pan Cattermole celuje mianowicie w szkicach. W robotach tego rodzaju kilka sztrychów nakreślonych z dobrze zrozumianą intencją, wystarcza: resztę patrzący zwykły własną wyobraźnią dokonać, wczém właśnie leży powab szkicu. Obrazy większe muszą być wyraźne, zatem wymagają całkowitego sprawozdania, modeli studjowanych pilnie; tu już na szczęśliwy przypadek pędzla spuścić się nie można: wszystko musi być obrachowane, natchnienie musi iść koniecznie w parze z nauką. Cattermole ma więcéj natchnienia niż nauki, dlatego wielkie akwarelle mniej dobrze mu się udają: dowodem Macbeth, największy i najślabszy jego obraz.

Zauważaliśmy, że kostyczny i figlarny pędzel Cattermola maluje chętnie sceny wesole lub sarkastyczne. Mały obrazek jego przedstawiający rozbójników przynoszących do ocenienia Celliniemu puhar jego własnej roboty, jest doskonały. Pracownia złotnika-artysty, zastawiona mnóstwem pozaczynanych robót, wyborna. Znać, że te wszystkie fraszki malowane były z wielkim zamiłowaniem. Filuterny wyraz twarzy Benvenuta, poznającego swoją robotę, bardzo dobry; przewidujesz że złotnik, jak wiadomo nie skrupulat, rabusiów policyi nie odda, ale na swój puhar nałoży porządną cenę.

Przedewszystkiém jednak Cattermole miłuje stare czasy, saxońskich baronetów, ciemne lasy szkockie pokryte siatką szemrzących strumieni, odwieczne zamczy-ska, herbowe bramy, zakapturzonych mnichów, lub oty-tych przeorów, którym zawsze jakby niechcący na nos kropelkę karminu upuszcza. Słowem, całe to życie ubiegłe swéj ojczyzny, na oddanie którego inny potrze-bowałby przeczytać mnóstwo książek i stosy kronik prze-rzucić, on zgaduje i kreśli w kilku wyrazistych zarysach.

Lewis, który po Cattermolu pierwsze zajmuje miejsce w rzędzie akwarellistów, dał na wystawę same wschodnie widoki. Przed wyjazdem na Wschód, gdzie przepędził ostatnich lat kilka, zbierając niezrównane tamtejsze pejzaże i drogocenne ruin wizerunki, Lewis podróżował po Hiszpanii i wydał bardzo znakomite album litografij, przedstawiających widoki zdjęte z Alhambry, Antequeruli, Generalifu i innych niezatartych dotąd maurytańskich zabytków w Grenadzie. Malował także z wielką dokładnością i prawdą rozmaite sceny z życia Hiszpanów, jakoto: walki byków, napady rozbójników, tańce w posadach i t. d, które widzieliśmy na poprzednich wystawach paryzkich.

Główną i bardzo ważną zaletą widoków wschodnich Lewisa jest wierne oddanie kolorytu miejscowego. Przyzna to każdy, kto naocznie podziwiał te jasne strefy ulubienice słońca, róż i słowików; komu udało się przeniknąć zazdrosne mury haremów: przyzna mówię, że obraz Lewisa przedstawiający harem beya jest nader prawdziwie oddany.

Wprowadza on widza do owego rajy Mahometa, wiecznie zamkniętego przed oczyma profanów; rajy, który lord Bayron po mistrzowsku opisał w Don Juanie, a na którego zawarte bramy patrząc jeden z naszych poetów, powiada, iż żał go brat, że tak naszych żon nie zamykamy.

Obraz przedstawia wielką salę arabskiej struktury, białą marmurową z mozaikową posadzką i cedrowym sufitem, którego drewniane koronki przepuszczają światło i wietrzyk, a nie przepuszczają ciekawego wzroku: jak kobieca zastona, przez którą można widzieć, a nie można być widzianym. Chińskie wazony pełne kwiecica, stalaktytowe nisze, szafy z hebanu, bogate wezgłowania i poduszki rozsiane na ogromnym dywanie, zdobią wnętrze téj przepysznej sali.

Na żółtej atlasowej sofie siedzi bej; twarz piękną na której lekki wyraz nudy się błąka, zwrócił ku drzwiom niedbale, bo służba przyprowadza mu nową niewolnicę Nubiankę, więc patrzy, trochę nawet ciekawie. Głowa jego w kaszmirowy turban uwinięta przechyla się poważnie, a kształtne ciało odbija miękko od fiołkowego kaftana; szerokie rękawy gazowe ocieniają białe

ręce, na nogach świecą drogiemi kamieniami sadzone babucze. Przy nim, napót schowana w różowe poduszki, leży wsparta na łokciu Gruzyanka z drobną białą twarzyczką i ogromnemi czarnemi oczyma. Złośliwy uśmiech igra na koralowych usteczkach ulubienicy pana; pewna siebie, patrzy na nowo przybyłą z wyrazem litosnej pogardy, jakby angielska lady na jakiegoś nieprzyjemnego robaka, gąsienicę lub pająka. Ubiór jej przepyszny: gorsecik ponsowy sztywny od złota, wpija się w gibką kipić, koszula gazowa daremnie zastania śnieżną szyję, na którą sptywa od głowy czewra gęsto haftowana złotem; drogi szal kaszemirowy przewiązuje ją w pasie i spada w obfitych fałdach na białe atlasowe majteczki, a ciemny kalemkiar z musselinu leży porzucony przy nogach pani.

Biędna Nubianka z bronzową twarzą, z krzyżowanemi na piersiach rękoma, jak spłoszone ptasze lekliwa, nie śmie wzroku oderwać od ziemi. Jestto jedna z tych istot, co drżą od zimna pod palącym słońcem Kairu, ciała mają zawsze chłodne jak wąż, ręce i ramiona utoczone na wzór posągu, a na wązkich przyciętych ustach niepojęty uśmiech sfluxa.

Odaliski w rozmaitych pozach siedzące na dywanie, porzuciwszy gitary i wachlarze, patrzą niespokojnie na afrykańską Wenus, co im się ukazała w gazowym obłoku ledwie otarta z kurzu pustyni. Kto wie? może ona panować im przyszła...

Na sukni faworyty leży kotek uspiiony, obojętny świadek téj sceny. Wiadomo, jak Turcy lubią koty; Mahomet wolał raczej uciąć swój rękaw niż spędzić śpiącego na nim kota: cześć więc dla tych zwierząt jest tradycyjna na Wschodzie, i z tego powodu Lewis w żadnym swoim obrazie nie zapomni o kocie.

Pomiędzy gronem kobiet, na miedzianych tacach leżą skiby soczystych arbułów, złote łupane pomarańcze, rubinowe granaty i przezroczyście daktyle. Baczne niewolnice wielkimi wachlarzami oganiają ludzi i jadło od natrętnych owadów, a mały Negr niewolnik podaje panu długi nargil, nałożony przednim macedońskim tytunem.

Rozkoszny harem beya opisałem szczegółowo nie jako krytyk; ale jak turysta, bo niniejszy obraz ma

tę dziwną własność, że nie dozwala malarskich nad sobą dyssekcji, ale widza zaraz na Wschód wysyła, i tam pokazując mu prawdziwe cuda przyrody, spomnienia widzianych, lub wizerunki rojonych rzeczy, sprawia, że człowiek zupełnie o wystawie, sztuce i angielskiej galerii zapomina.

Powracam jednak do niej co żywo, zważywszy, że nas jeszcze czeka ogromna galeria francuzka i belgicka, których, tym trybem idąc, przez kilka lat nie obejrzelibyśmy.

Z akwarelistów angielskich wymienić jeszcze należy pana Hunt, który nie ma nic wspólnego z Huntem malarzem olejnych obrazów, autorem Chrystusa szukającego czuwającej duszy w uśpionym świecie, o którym wspominałem w poprzednim sprawozdaniu. Hunt akwarelista celuje w oddawaniu powabnych a miękkich rysów niewieścich. Obraz jego przedstawiający nieśmiałość pod postacią bladą dziewczyny z księżycowym obliczem, jakby roztopiającą się w półcieniu, zdradza ogromny talent.

Z niemniej delikatnym poczuciem oddana jest śpiewaczka ballad, typ tak powszechnie znany w Londynie, jedna z tych istot białych, codziennych, bez wybitnego wyrazu, co z ulicy na ulicę prowadzi cię jęcząc jakąś smutną, monotonną skargę, która na obojętne serca słuchaczy pada jak kropla wody na granit, i jak ona w końcu kamień cierpliwą pracą przewierca. Taką jęczącą nędzarkę bez dachu ani wypoczynku, której się jeść chce a śpiewać musi, której się płakać chce a śpiewa; ten wieczysty wyrzut dla szczęśliwych, tę fałszywą nutę w ich pieśniach, to wiecznie odradzające się nieszczęście aż do przyjścia królestwa bożego na ziemię: malarz Hunt z krwawym uczuciem przelał na płótno. Jestto obrazek tak bolesny, tak rzewny, że trudno nań suchym patrzeć okiem. Znać, że ten co go robił ma więcej niż talent—ma serce.

Zaledwie trzech mistrzów akwarelli angielskich wliczyliśmy w tym sprawozdaniu, i na nich poprzestać musimy. Cattermole, Lewis i Hunt są rzeczywiście ozdobą tej ogromnej kolekcji, w której tyle pięknych widzimy rzeczy, iżbyśmy w niej długo jeszcze pozostać radzi, ale wspomniawszy na ciasne ramy nasze, porzucamy ją nie

oglądając się poza siebie: pragniemy bowiem świeżą uwagę i niezmeęzone oczy zachować dla ważniejszych obrazów.

Od czegoż zacząć przegląd wchodząc do ogromnej, przepięknej arcydziełami galeryi francuzkiej, jeżeli nie od Apoteozy Homera, tego arcydzieła długo niepoznanego malarza, którego wreszcie oceniła polomność i słusznie policzyła w poczet tych mistrzów, których wielkie duchy po trzech wiekach wędrówki powróciły znowu na ziemię i w jego zamieszkały piersiach.

Zacznijmy więc od sali Ingra, w której czterdzieści swoich obrazów zawiesił. Nierozumiany i prześladowany od współczesnych jak wszystkie prawie geniusze, czysty, surowy, pełen świętego zapału, Ingres młode lata przesiedział w dobrowolnym zamknięciu, gdzie odcięty od ludzi, żył w nieustannej kontemplacji bogów swoich: Phidiasa i Rafaela, i tworzył nieznanne arcydzieła.

Kiedy wreszcie pokazał je światu, zarzucono mu, że nie jest artystą swego czasu. Zarzut był słuszny; to pewna, że Ingres nie jest malarzem tej lub owej epoki. Sfera w której on żyje jest nieśmiertelna: taż sama, w której krążą uosobienia idealnej piękności, sytyńskie Sybille, muzy watykańskie i chwała Parthenonu.

W życiu codziennym, ziemskim, są zapewne wzniosłe ustępy, które sztuka powinna chwycić i formułować, może z nich nawet tworzyć dzieła znakomite: ale wyższe od nich będą niezawodnie te, co za wzór wezmą sobie piękność absolutną, czystą, jedną po wszystkie czasy, łączącą w sobie przeszłość, terażniejszość i przyszłość.

W ten sposób pojmowana sztuka, sztuka co nie bierze od przypadku, nie dba o wzory dzisiejsze, ani przelotne zajęcia: wydaje się zimna niespokojnym umysłom, nierozumiejącym syntezy. Jednakowoż jest to sztuka w prawdziwym znaczeniu tego wyrazu, sztuka nieśmiertelna, najszlachetniejsze wysilenie ducha ludzkiego:—sztuka jaką pojmowali Grecy. A największa zasługa Ingra jest ta, że pochwycił pochodnię, którą starożytni podali średniowiecznym mistrzom, i nie dał jej zagasnąć, choć tyle ust na nią dmuchało.

Apoteozę Homera Ingres wymalował najprzód na suficie w muzeum Karola X. Wystawiony obraz jest ztamtąd przeniesiony na płótno. Wedle zdania artystów, na których sądzie bezpiecznie polegać można, Apoteoza Homera najlepsze dać może wyobrażenie o malarstwie starożytném, a odjąwszy nowożytne figury na dole obrazu wymalowane, odróżnić go nie można od greckich arcydzieł.

W przedsionku świątyni jońskiej struktury, ślepy Homer siedzi z olimpijską powagą. Nieruchoma poza jego i oczy białe, jak w posągu, świadczą, że wieszcz tylko oczyma duszy widzi już te cuda natury, które tak przepysznie opisał. Złota przepaska okala zamyślane czoło poety, ciało jego nie potamane wiekiem, silne i proste jak umłodzieńca, dowodzi, że czas go nie skruszył, ale w kamienny posąg przemienił. Z nad frontonu, który się pięknie rysuje na lazurówém niebie, ozłocconém pasem słońca jasnym jak odbłask chwały, spływa w różowej draperyi dziewica z wawrzynem i palmą w rękę. U nóg Homera na stopniach świątyni stoją dwie bohaterskie postaci, dwie nieśmiertelne córki jego: Iliada i Odyssea. Dumna Iliada w purpurę odziana, patrzy ostro twarzą wprost do widza obrócona; w dłoni trzyma pałasz Achillesa. Zadumaną Odysseę uwiniętą zielonym płaszczem, widać tylko z profilu: natchnioną źrenicą daleką przyszłość przenika, a prawą rękę wspiera na wiośle Ulissessa.

Dwie te figury nieporównanej piękności godne są poematów, które uosabiają. Cóż można więcej na ich pochwałę powiedzieć.

Nieśmiertelnego wieszczka otacza tłum znakomitych mężów: Herodot, ojciec historii, sypie kadzidło w trójnożną kadzielnicę na znak hołdu dla śpiewaka bohaterskich czasów; Eschylles trzyma spis tragedij swoich; Apelles prowadzi za rękę Rafaela; Wirgiliusz Danta. Za nimi idą Tasso, Corneille i Poussin, z przeciwniej strony Pindar się zbliża, grając na lirze z kości słoniowej; Platon rozmawia z Sokratesem, Phidias przynosi rylec i dłuto, któremi rzeźbił Homerowskie pół-bogi; Alexander otwiera szkatułę złotą w której chował dzieła jego. Niżej, schodząc ku bliższym wiekom, widzimy Camoënsa, Racina, Moliera i Fenelona. W wyższych

sferach obrazu wieje powietrze jasne i przezroczyste, jakaś elizejska atmosfera srebrno-niebieska, przy której rzeczywiste powietrze brudneby się wydało. Zorza nieśmiertelności, nieziemskie słońce, oświeca te szczyty; im bliżej nas, im niżej, tém więcej obraz w ziemskości to nie, cecha boska się ściernie. Alexander w złotej zbroi i złotym hełmie, wydaje się jak cień statuy Lisippa; Molier już zupełnie ziemski oddany jest z uderzającą prawdą, jakby przez dzisiejszego artystę. Ci, co zwiedzili wszystkie muzea na świecie, twierdzą, że obrazu wspólniejszego, któryby bliżej nieba czołem dosięgał, nie widzieli nigdzie. Jestto więc nietylko najlepsze dzieło Ingra, ale jeden z najlepszych utworów nowoczesnych.

Męczeństwo świętego Symforyana, obraz tegoż artysty, który wielu na pierwszym stawia miejscu pomiędzy pracami jego, świadczy o mocnym przejęciu się szkołą Michała Anioła. Od czasu sądu ostatecznego, nie pojawił się obraz potężniejszych kształtów i umiejętniejszego wykonania. Malarz mniemał, że aby odtworzyć obraz prawdziwie starożytny, niedosyć prostych i czystych linii, niedosyć nieskazitelnej formy: potrzeba jeszcze wezwać na pomoc anatomicznej nauki, którą słynęli głównie starożytni artyści, i uwydatnić tak wyraźnie misterną siatkę najdrobniejszych ukrytych w ciele muszkułów i nerwów, ażeby anatom z professyi, na skórze odmalowanego człowieka mógł każdą żytkę bez trudu wynaleźć i nazwać.

Pod tym względem mianowicie męczeństwo świętego Symforyana z mistrzowską oddane sztuką; ale oprócz przełamania ogromnych trudności rysunku, ma ono jeszcze inne zalety. Postać męczennika i wyraz twarzy jego nieporównanej są piękności. Pośród otaczających go figur, w których malarz uosobił się zwierzęcą, siła moralna świętego wybija w całym blasku swęj potęgi; ten blady młodzieniec drobnych kształtów, niewieściej cery, czujesz że o całą ducha potęgę silniejszy jest od tych pretorów, liktorów i katów z Herkulesowemi karki, co tu się zeszedli przypatrywać z tryumfem, niby zagładzie nieśmiertelnego męczennika.

To też wszyscy ci ziemscy mocarze czują jakąś nieznaną trwogę.... Sami nawet oprawcy wzrokiem młodzieńca, owym talizmanem duszy, jak lwy trzymane na

wodzy, dotknąć go się boją.. Aż dumny pretor zwłoką zniecierpliwiony, wskazując go palcem, daje znak, żeby w męczarniach zniszczyć tę moc niepojętą, co ich wszystkim przygniata.

Potęźna wiarą matka męczennika, wymownym gestem i wzrokiem pełnym nadziemskiego ognia, zagrzewa syna do wytrwania. Miłość Chrystusa głuży w jej sercu miłość macierzyńską. Zbawicielowi, co skonał na krzyżu dla odkupienia grzeszników, radaby jak najspieszniej czystą ofiarę z własnego złożyć syna; czuje ona, że każda chwila zwłoki lub wahania, jest opóźnieniem wieczystego szczęścia jedyne go dziecięcia.. i radaby go sama oddać w ręce katom: tak potężna jej wiara, tak silna miłość, którą ukochała Boga.

Ta matka chrześciana jest najwznioślejszą figurą z wszystkich, jakie zdarzyło nam się widzieć na płótnie. Gdyby Ingres ją tylko jedną wymalował, byłby unieśmiertelnił swój pędzel. Bardzo niestuszenie, naszym zdaniem, zarzucano obrazowi temu martwość kolorytu: barwy jaskrawe nie odpowiedziałyby wcale powadze jego. Kolory martwe fresku rzucone blado a śmiało, są jakby konieczną tylko formą, w którą uwinąć myśl było potrzeba. Nawet pod względem kolorytu, jak go zwyczajni pojmują malarze, zdaje nam się, że twarz, ręce i nogi męczennika, są oddane z wielką delikatnością cieniów; a biała szata, co mu z ramion spływa, tak liliowej jest białości, że w niebie nawet będzie mógł w niej pozostać.

Apoteoza Napoleona I^{go}, wielki obraz wymalowany al fresco na suficie jednej z sal ratuszowych, nie może iść w porównanie z dwoma wymienionemi poprzednio; gdyby nie był zawieszony w sali Ingra, niktby pewnie pędzla jego w tém dziele nie poznał, tak jest zimne i wymanierowane. Cesarz stoi na rydwanie ciągnionym czterema białymi końmi, które prowadzi z wyciężtwa. Płaszcz jego purpurowy w tył spadający w bogatą draperyą wiatr unosi, i tworzy zeń jakby szkarłatną aureolę nad głową monarchy. W jednej ręce trzyma berło, w drugiej glob, a sława wieńczy mu skronie; przed nim otwarta świątynia chwały.

Poniżej tryumfalnej grupy pływającej w błękicie, optakująca Francya rozłącza swój płaszcz żałobny,

a przy opróżnionym tronie Nemezys obala i wtrąca w przepaść anarchią. Ta część kompozycji tylko pośrednio głównego przedmiotu dotycząca, pozbawia dzieło całości. Bez tego ustępu obraz mógł się obejść zupełnie; co większa, zyskałby na prostocie, którą Ingres tak słusznie ukochał. Rysunek w ogóle więcej jest trudny niż pewny, więcej wyszukany niż elegancki; twarz cesarza nie ma ani idealnej piękności, ani majestatyczności niezbędnej ubóstwionemu bohaterowi. Sława także wcale niepodobna do olbrzymiej bogini, co potężnym głosem ma wypełnić przestrzeń od ziemi aż do obłoków.

Oprócz wyliczonych błędów, Apoteoza Napoleona ma jeszcze tę wielką wadę, że jako fresk przeznaczony na ozdobę sufitu, nie odpowiada zupełnie wymaganej do tej pozycji perspektywie. Figury widziane z dołu, zupełnie inaczej muszą być rysowane niż te, które naprzeciw siebie widzimy. Obraz zupełnie dobrze wydający się na ścianie, na suficie traci zupełnie perspektywę, odmienia się, łamie do niepoznania, i vice versa. Dlatego rysunek przeznaczony na sufit musi być koniecznie odrazu na suficie robiony, bo wtedy samo oko wskaże właściwą perspektywę. Apoteoza Napoleona była poprzednio na płótnie robiona, i z tego powodu na suficie tak niewłaściwie i źle się wydaje, nawet co do elementarnych praw perspektywy, że nikt zrozumieć nie może, iż ten obraz jest dziełem tak sławnego artysty. Trudno pojąć, jak taki ważny błąd mógł popełnić twórca niezrównanej Apoteozy Homera.

Oryginał Matki Boskiej z hostyą, której kopię widzimy na wystawie, znajduje się w Rosyi. Wystawiony obraz nie jest atoli dokładną kopią, ale dowolnym naśladowaniem tamtego. Zamiast św. Mikołaja i Jerzego, obok Maryi stoją dwaj aniołowie skrzydlaci. Twarz Matki Zbawiciela modlącej się do syna, którego przed sobą widzi pod postacią hostyi, jest typem prawdziwie greckiej piękności, uduchownionej świętą nauką Chrystusa. Jedyne zarzut jakoby można uczynić boskiemu obliczu Maryi, jest nadto żywy rumieniec. Krew płynąca w żyłach przeczystej dziewicy nie może być gwałtownie czerwona, jak krew w żyłach ludzkich; wonne jej ciało zaledwie blady odblask karminu oży-

wiać powinien. Jestto wada tak bijąca w oczy, iż przypuścić nie można, ażeby znakomity artysta popełnił ją bezwiednie; dając tak żywą krasę obliczu Maryi, chciał zapewne odmalować mistyczną różę, wspomnianą w litaniach.

Leżącą odaliskę, jedno z arcydzieł swoich, Ingres malował w Rzymie jeszcze w roku 1814. Obraz ten wystawiony w Paryżu w kilka lat później, wywołał ostre krytyki ówczesnych znawców. Zarzucano mu, że cofa sztukę do barbarzyństwa XV i XVI wieku (Leonard da Vinci, Rafael, Andrzej del Sarto, Corregio, byli barbarzyńcami), przyznawano mu zaledwie nieco zasługi w rysunku; zresztą krytycy na całe gardło wołali, że obraz jest zimny, suchy, płaski, twardy, jedném słowem, gotycki.

Potrzeba było długiego czasu i śmierci wielu zawistnych rywali, aby przyznano nareszcie, iż żaden pędzel na świecie nie przedstawił piękniejszej formy niewieściej, jak Leżąca Odaliska.

Napół podniesiona z miękkiego postania i obrócona tyłem, odaliska wsparta na łokciu z dziwną gracyą odwraca głowę ku widzom; przez śnieżne jęj plecy biegnie linia lekko wygięta i niknie, z kąd zaczynają się biodra precudnych kształtów, a dalej nogi, które tylko po dywanach Smyrny lub alabastrowych przedsiionkach haremu stapać umieją. Druga ręka, w której trzyma niedbale wachlarz z piór rajskich, podniesiona nieco, odkrywa początek idealnych piersi. Kaszemirowy turban spadający na tył szyi okrywa jęj głowę, twarz doskonale owalną rozwidnia dwoje ocz czarnych i błyszczących jak oczy gazelli, usta krasi uśmiech jakby od niechcenia; jestto indywidualność wschodnia wcielona w grecki ideał piękności: taka musiała być myśl artysty. Odalisce swojej dał twarz pogodną, godzącej się ze swym losem niewolnicy. Piękna branka obojętnie odkrywa skarby, które już do nięj nie należą; niedbała, leniwa, zapomniła wdziać sukni wychodząc z wanny, cała zmaczana pachnącą kąpielą, rzuciła się na sofę, i odpoczywa pomiędzy stosem konfitur i zapalonym narghuilem. Ale jakże powabne te kształty, co gną się i płyną jak wiotkie kwiaty z pędem wody puszczone...

co za gibkość tego marmurowego ciała ożywionego lekką różową barwą życia!...

Oprócz téj, którą opisaliśmy, najznakomitszej z jego utworów, Ingres malował kilka jeszcze odalisek i kąpiących się niewiast; jestto ulubiony jego przedmiot, do którego z widoczném upodobaniem powraca.

Z obrazów tegoż artysty uderzył nas jeszcze piękny obraz historyczny: Pius VII w kościele; Don Pedro z Toledu składający hołd pałaszowi Henryka IV; i Henryk IV bawiący się z dziećmi swemi. Z obrazów fantastycznych, Paolo i Francesca z Boskiej komedyi, i Cherubini wieńczony przez muzę harmonii. Cherubini oparty o kolumnę w pompejańskiej sali, zwiesił siwą głowę, i pogrążony w melodyjnej zadumie tworzy jakieś nowe arcydzieło; niebiesko-oka muza w srebrnej tunice, wyciąga ku niemu ręce z laurowym wieńcem, podając mu nieśmiertelną sławę.

Portretów osób prywatnych jest bardzo wiele w sali Ingra: wszystkie znakomicie zrobione zalecają się prawdą. Z utworów większych tegoż pędzla brakuje tu tylko jednego, który znawcy niezmiernie wysoko stawiają; chcę mówić o sławnym obrazie Ingra Stratonis, który będąc prywatną własnością, na wystawę nie przybył.

Przejrzawszy dzieła Ingra, sumienny krytyk to mu tylko zarzuci, iż myśl XVI-go stulecia uważa za ostatnie słowo postępu ludzkości; a wskrzeszając nieustannie symbole, które dziś nie mają już tego, co wtedy znaczenia, i zamykając się wyłączenie w kole starożytnych ideałów, sam sobie winę przypisać musi, jeżeli obrazy jego budzą powszechnie więcej podziwu niż entuzjazmu.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

III.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Paryż, oddawna zapowiedziany dramat Paul-Meura w pięciu aktach i 26 obrazach, w którym jak

w czarnoksiężkiej latarni przesuwają się dzieje tegoż miasta z ubiegłych ośmnastu wieków, zyskał świetne powodzenie w teatrze Saint-Martin. Przedstawić monumentalne przeobrażenia bohatera swego, Paryża; przeprowadzić pod coraz nowemi postaciami główne typy historyczne wedle prawa metempsychozy; wzbudzić cześć dla dziejów ojczystych wyrrywając je z zamierzctej przeszłości, i żywo uplastyczyć takowe oczom tegoczesnej generacji: oto cel, jaki autor założył sobie w tej ogromnej panoramie pokoleń, która jest jakby obrazem Paryża niesionego na barkach czasu, przebiegającego kilka wieków za każdym uderzeniem skrzydła.

Prolog przedstawia bal opery. Pośród różnokolorowej zgrai, dwaj młodzieńcy: hrabia Arminn i Ludwik Romée, pałający ku sobie starą rodową nienawiścią, spotykają się, i wyzywają na pojedynek. Jakaś tajemnicza maska rzuca się pomiędzy zwaśnionych, usiłując napróżno ich pogodzić. Bal się kończy, tłum rozchodzi powoli, widać Paryż oświecony gwiazdzistą nocą, oraz dogaszającym światłem miejskich latarni. Tajemnicza maska przeobraża się w nieśmiertelnego ducha uśpionej stolicy i staje na schodach Panteonu; z frontonu gmachu osrebrzonego księżycowym blaskiem, środkowa figura wyobrażająca Francją, na wezwanie ducha Paryża odczepia się z płaskorzeźby i schodzi doń poważnie. Duch prosi ją, ażeby pomogła roztoczyć przed oczyma dwóch ras zwaśnionych, które zabijać się mają, złoty, idealny obraz zgody i miłości, który ujrzawszy we śnie, może urzeczywistnić zechcą; hrabia Arminn bowiem uosabia szczep germański, a Romée szczep gallo-rzymski; dwa nienawistne plemiona, które, jak mówi duch Paryża, od dwudziestu wieków wojują z sobą, chociaż są bliźniętami poczętymi w łonie jednej matki. Oto kłębek Aryadny za pomocą którego po labiryncie kierować się będziemy.

Początek sztuki cofa się o dwa tysiące lat w tył. Teatr przedstawia grokę Merlina Gallickiego, czarnoksiężnika, do której przychodzi umrzeć kapłanka Druidów Velleda. Velleda ma dwóch synów: jednego z mężem Frankiem, drugiego z kochankiem Rzymianinem, którzy pozabijali się w śmiertelnym pojedynku. Thorn, brat zabitego męża, ten, który w następnych przeobra-

żeniach przedstawiać będzie złego ducha Paryża, oskarża Velledę przed Druidami. Niewierna żona skazana na śmierć, przekazuje dwom synom po ogniwie ze świętego naszyjnika swego, trzecie z sobą w grobie zakopać każe. Te dwa spojone ogniwa, prędzej czy później dowiodą braciom braterstwa. Na tém kończy się zamdlony obraz mistyczny, a odkrywa pierwszy historyczny.

Cezar przybywa do Lutecyi i staje w poświęconym lesie wtedy właśnie, kiedy na śmierć skazana Velleda, podrzyna sobie gardło złotym ofiarniczym sierpem arcykapłanki. W dali widać rozległe bagna, na których kiedyś stanąć ma Paryż. Pomiędzy dwoma ramionami przecinającej je rzeki, widać na małej wysepce Lutecyą, podobną do owego jaja, o którym indyjska mitologia mówi, że skoro pęknie, nowy świat z siebie wyłoni.

Stary Merlin czarnoksiężnik staje przed Cezarem i przepowiada mu narodzenie Paryża i upadek Rzymu. Zadumany Cezar słucha go w milczeniu. Piękne jest to spotkanie rzymskiego imperatora z celtyckim czarownikiem. Po jednej stronie historia uosobiona w człowieku, bóg materji, bohater ciała i marmuru; po drugiej ledwie wcielona legienda, jakieś widmo borealne, szepczące ciemne przepowiednie, których szmer głuchy zaledwie od szmeru stuletnich dębów odróżnić można.

Odkupieni ofiarą Velledy, dwaj bracia spotykają się. Arminn już ma uściskać Fulviusa... ale zawistny Thorn mówi Rzymianinowi: oto syn człowieka co zabił matkę twoją; a Frankowi pokazując Rzymianina: oto syn człowieka co uwiodł matkę twoją! I znów dwaj bracia rozchodzą się z nienawiścią ku sobie.

Do następnego obrazu czterysta lat upływa. Widzimy Paryż jakim był w V-ym wieku. Gallia uciemiężona, zakrwawiona najazdami, szamoce się pod naciskiem czterech barbarzyńskich narodów, podobna do zwyciężonej królowej, rozszarpanej dzikimi końmi, które jej członki gdzieś po stepach roznoszą. Attyla nadchodzi z dziczą. Obraz kilku rzutami pędzla maluje okropną nędzę tej straszliwej epoki. Zgłodniałe miasto okropnym wyciem domaga się chleba od gubernatora Markiusza, reprezentanta władzy rzymskiej, którą zaćmiewa już Merowing naczelnik Franków. Markiusz

zwątpiwszy o Rzymie i przyszłości, zaprasza Paryżanów do swego pałacu Thermów, gdzie ich wszystkich wraz z sobą chce pogrzebać.

Prawdziwa jest figura tego Rzymianina, który myśli tylko o tém, jak upaść dramatycznie pod toporem barbarzyńców. Rzecz godna uwagi, że w każdym prawie z ostatecznych sądów historycznych, Opatrzność zsyła na ludzi jakby łaskę, pogardę tego co jest, i tego co w przyszłości być może. Więc wesółą i wspaniałą przedśmiertną uczta gubernatora, podobna do stosu Sardanapala, przyciąga liczne tłumy. Pałac Thermów brzmi muzyką, tańcem, okrzykami głośnych wiwatów. Uosobienie rzymskiej rozpusty, kurtyzanka Imperya, wyciągnięta na bogatém wezgłowie, spogląda na orgią okiem pełném przesytu i nudy, jakby Wenus pogańska pijana cielesną rozkoszą. Nad nią, na wysokim tronie siedzi Markiusz udrapowany purpurowym płaszczem.

Nagle krzyk straszny powstaje... mieszają się biesiadnicy:.. wojownik ze skrzydlatym hełmem staje na progu:

„Istny posąg Al-hun-ryka,
Niedźwiedziami strzępi kudły;
Sucho-żyły, w kość zachudły,
Boży gniew; twarz groźna, dzika,
Wzrok, co nigdy się nie zmyka,
Bo powieki wrosły w czoło.”

Markiusz ujrawszy Attyłę wychyla za zdrowie króla Hunnów czarę trucizny, poczem pada na wezgłowie i umiera. Attyła groźnym gestem wypróżnia salę; przestraszony lud pierzcha przed jego wzrokiem. Jedna tylko postać niewieścia spokojna i poważna, odziana niebieskimi szaty, staje przed nim i prosi, ażeby oszczędzał Paryża: jestto patronka miasta św. Genowefa. Barbarzyniec pokonany wzrokiem tej gołębicy broniącej swego gniazda, przyrzeka 'zostawić Paryż w spokoju. Wódz Hunnów posłuszny głosowi słabiej niewiasty, razi na pozór nienaturalnością; ale z drugiej strony to pewna, że owe dzikie okrutniki co burzyli miasta, wykorzeniali państwa, kruszyli świat jak psotne dzieci zabawki, bez celu, ot tak, przez instynkt destrukcyi, dawali się zawrócić lub na ziemię powalić czołem, lada przepowiednią lub drżącym głosem sędziwego kaptana. Historia ich nie inna, jak wszystkich plag fizycznych: trzęsienia ziemi, lub wulkanicznych wybuchów.

W następnym międzyakcie upływa sześć wieków. Widzimy Paryż jakim był w XII-ém stuleciu, ciemny, ślepo postuszny duchowieństwu. Autor przedstawia dziwną ceremonią obchodzoną naówczas w Paryżu, zwaną oślem światem. Około Bożego Narodzenia, na pamiątkę stajni w której się Chrystus narodził, był zwyczaj, że prowadzono osła z wielką procesją, śpiewając pieśni nabożne, a lud cały naśladował ryk jego. Jestto dosyć malownicza choć dziś mało komu zrozumiała kalwakata, w której nawet Abeilard i He-loiza figurują. Sądzimy atoli, że ten obraz wcale nie był potrzebny. Więcej do karnawałowej zabawy, niż religijnego obrzędu podobny, niemile miesza poważny wątek dramatu.

Następujący obraz jest bardzo piękny: widzimy odjazd krzyżowców do Ziemi Świętej. Dekoracya przedstawia z historyczną dokładnością wielką salę ratuszową, jak była wtedy. Cała misternie wyrabiana z drzewa, złocona, herbowana, podparta dwoma rzędami potężnych kolumn, na których sklepiony sufit spoczywa. Ludwik VI siedzi na tronie; św. Bernard stojąc obok monarchy wyklina Abeilarda, który wychodzi ścigany pogroźkami ludu. Potem Piotr pustelnik zachęca tłumy do świętej na Wschód migracyi, wołając potężnym głosem pamiętne słowa: „Bóg tak chce!” Na ten okrzyk gromadzą się rycerze, powiewają chorągwie, chrześzczą zbroice, szczękają oręża, i ogromny hufiec rycerstwa idzie oswobodzić grób Zbawiciela.

Trzy wieki upływają. Dekoracya przedstawia namiot Joanny d'Arc pod murami Paryża, gdzie zagasta uroczą gwiazda dziewicy, przebita strzałą nieprzyjaciela. Zniknął jój wróg, umilkły głosy tajemnicze, aureola jój nawet zaćmiona, dopiero od rueńskiego stosu zapaliła się na nowo.

Następny obraz przedstawia wjazd Karola VII do Paryża. Obecność niewdzięcznego monarchy, co zezwolił na śmierć męczeńską oswobodzicielki narodu i tronu swego, niemile sprawia wrażenie po uroczym obrazie natchnionej bohaterki. Z wnętrza ciemnej katedry wychodzi długimi skręty wspinały orszak rycerzy, panów, żołnierzy, paziów i ludu; wszyscy poubierani ze skrypatną dokładnością. Pośród nich na koniu okry-

tym niebieskiem suknem w lilie haftowanem, jedzie ła-
skawy ksiązę Karol, król francuzki, siódmy swego imie-
nia. Za nim królowa z orszakiem postrojonych dam
dworskich. Królewska para zasiada na tronie, przed
którym allegoryczny balet, wyobrażający miasta francuz-
kie, tańczy, schylając wieżami ubrane głowy.

Upływa lat 100. Podniesiona zastona odkrywa pra-
cownią Jana Goujon; Henryk z Nawarry z matką Joan-
ną przychodzą odwiedzić sławnego artystę. Niezadłu-
go przybywa pomieszany dworzanin i opowiada królo-
wój, iż podsłuchał spisek rzezi św. Bartłomieja; jeszcze
nie skończył przerywanego zgrozą opowiadania, kiedy
drzwi się otwierają i Katarzyna Medycejska staje dumna
i majestatyczna na progu.

Dwie królowe zostawszy same przemawiają się ży-
wo. Joanna rzuca Katarzynie rękawiczkę, którą ta pod-
nosi i zatruwa, poczem stara się pogodzić z Joanną; Jo-
anna ułagodzona pochlebstwami Włoszki wdziewa na-
powrot rzuconą rękawicę, oddycha jój wonią zdradziec-
ką i umiera. Uplastycznienie tak wyraźne nie stwier-
dzonego żadnym dowodem podejrzenia, nie zdaje nam
się właściwe. Historia nie wyrzekła ostatniego słowa
o Katarzynie Medycejskiej; przedstawia ją silną, zimną,
nadmierzaj skrytą, ale czy była trucicielką, tego nikt
nie wie. Pocóż więc czarne domysły obłóczyć w cia-
ło i wymyślać nowe zbrodnie, jakby ich mało było na
świecie?

Potem następuje okropny obraz rzezi świętego
Bartłomieja. Wśród nocy wonią krwi przesiąkniętą, rze-
siście oświecony Luwr błyszczy na pustem wybrzeżu.
Katarzyna wychodzi na balkon, opiera się o kratę zadu-
mana i uśmiechnięta, oddychając z rozkoszą ciężkiem
od krwi powietrzem. Wtem wzburzona woda rzeki wre,
piętrzy się coraz wyżej... aż wreszcie wyrzuca straszną
piramidę okrytych całunami trupów, które wijąc się
w konwulsyjne rzuty, ku monarchini skrzepłe wyciąga-
ją dłonie. Katarzyna przerażona ucieka z krzykiem
w głąb gmachu, a kurtyna zapada; poczem dla zatar-
cia okropnego wrażenia pokazuje się tryumfalny wjazd
Henryka IV.

Jeszcze 100 lat upływa. Jesteśmy w Tuileryach za
panowania Ludwika XIV. Tutaj autor odstępując od

wątku dziejów, zajmuje się wyłącznie apoteozą Moliera. Widzimy go najprzód proszącego króla o pozwolenie przedstawienia Tartufa, następnie pocieszającego La-valière; wszędzie pełno Moliera, on jeden uosabia moralność, politykę, religią, prawi kazania, naucza, radzi, karze, i t. d.

Po tym nudnym i niepotrzebnym ustępie przychodzi piękny balet, rokoko wykonany w ogrodzie Tuileryjskim. Godziny dzienne gonią i wypędzają godziny nocne. Jutrzenka poprzedza wschód słońca, słońcem jest Ludwik XIV ukazujący się w promieniach.

Z Tuileryów Ludwika XIV przeskok ogromny aż do zaciągania się ochotników w 92 roku. Scena ta wojenno-ludowa wyraziście oddana, szalone wywołała oklaski. Od rzeczypospolitej dramat przechodzi do cesarstwa; następny obraz przedstawia ceremonią rozdania orłów przez cesarza Napoleona I, na polach Marsowych.

Sen skończony. Duch Paryża i duch Francyi czekają skutku jego przy grobie Velledy; na nim dwaj bracia Arminn i Romée ścierają się z sobą na ostre szpady. Jeden z nich lekko ranny pokazuje ogniwo, o które odbiło się mordercze żelazo; drugi pokazuje także ogniwo: bracia poznają się i rzucają w swoje objęcia; poczem następuje ogromny obraz ognisty, Paryż przyjmujący różne narody. Ma on wyobrażać braterstwo ludów, czyli ostateczne pojednanie nieprzyjaznych synów Velledy.

Taki jest ten dramat olbrzymi, największy i najwspanialszy może z wszystkich, jakie dotąd na scenie widziano.

Przed kilką tygodniami umarła w Paryżu kobieta bardzo znakomita: pani de Girardin, słynna z pism swoich i wdzięków jeszcze pod panięńskim nazwiskiem Delfiny Gay. Jestto nowa klęska dla literatury francuzkiej, klęska, którą nader mocno uczuło całe grono ludzi stojących tutaj na czele ruchu literackiego, bo salon Delfiny był areną, gdzie ścierały się z sobą codziennie najrozmaitsze opinie i wyrabiała wielka myśl postępu: owa iskra cudowna, która rozdmuchana natchnionemi usty, łamie się w mnogie promienie i świat oblatuje dokoła.

Duszą tych zgromadzeń literackich, polubownym sędzią godzącym wszystkie sprzeczki, wyrocznią, której potępienie nawet przyjmowano chętnie, była pełna dobroci, rozumu i wdzięków niewiasta, która potrafiła sobie zjednać miłość i szacunek wszystkich znakomitych ludzi, co ją otaczali. To téż śmierć jej przejęła ich wielkim żalem, a do grobu odprowadzał ją liczny poczet wybranych.

Delfina Gay bardzo młodo rozpoczęła zawód literacki. Dzieckiem prawie napisała odę na śmierć dziada swego generała Foy; utwór ten pełen ognia, zwrócił na młodziuchną autorkę uwagę znawców. Villmain, członek Instytutu, przeczuwając w niej talent znakomity, ofiarował się uczyć ją stylu; Lamartine, Wiktor Hugo, uczyli ją sztuki rymotwórczej, w częstych rozmowach rozwijając genialny umysł młodej wieszczki, która drobnymi powiastkami i mnóstwem wierszy ulotnych codzien lepiej dawała się poznawać światu, a po ogłoszeniu arcy dowcipnego romansu: *La canne de Mr. de Balzac* i komedyi *Szkoła dziennikarzy*, której grać zabroniono, stanęła w rzędzie pierwszych autorów francuzkich.

Wnet sprzykrzywszy sobie nadto łatwe tryumfy, Delfina przystąpiła śmiało do najwyższej formy, jaką myśl ludzka objawić się może: zaczęła pisać dramata wierszem. Dwie jej sztuki: *Judyta* i *Kleopatra* przedstawione w teatrze francuzkim i przyjęte z entuzjazmem, dowiodły, że zadanie nie było nad siły autorki. Jakoż zachęcona przyjęciem tych dwóch dramatów, prawie wyłącznie dramaturgii się oddała.

Prócz wielu mniejszych sztuk pani de Girardin napisała w ostatnich latach życia swego komedya: *Lady Tartufe*, która tak wielkie zyskała powodzenie w całej Europie; oraz niemniej znane dwie komedye: *La joie fait peur*, i *Le chapeau d'un horloger*.

Z romansów wydanych dawniej najznakomitsze są: *Lettres parisiennes*; *Correspondance du Vicomte de Launay* i *La Croix de Berny*, którego współpracownikami byli Mery i Teofil Gautier; z nowszych *Margueritte ou deux amours*, drukowany w feiletonie dziennika *la Presse*.

Kilka słów pełnych czucia i wymowy, któremi Jules Janin pożegnał straconą przyjaciółką, stojąc nad jej otwartym grobem, dokładniejsze dadzą czytelnikowi pojęcie o sercu i rozumie tej znakomitej kobiety, niż suchy spis dzieł, jakimi zubożyła ojczystą literaturę. Dlatego przytaczam w całości mowę Janina.

„Niepodobna ażeby ta zacna niewiasta, która była chlubą naszą i ozdobą, miała tak zupełnie zniknąć z tego świata, iżby w tej chwili nie słyszała słów moich. Zaprawdę, zaszczyt to dla mnie wielki zabierać głos pośród tylu wymowniejszych odemnie; ale zabieram go z rozkazu tego, co ją kochał jak córkę, co młodziuchny jej umysł kształcił: zabieram głos z rozkazu Lamartina, któremu zbytnia żałość usta zamyka.

„Uczciwa i sławna niewiasta, której opłakujemy, ukazała się nam poraz pierwszy przy wschodzącej zorzy nowej poezyi; urodziła się w błogięj chwili, kiedy starzy wieszczowie dośpiewywali swoich pieśni, a młodzi nadchodzili dziwiąc świat harmonią głosu swego. O słodka i luba godzino! pełna snów czarownic, pełna nadziei i natchnienia, w której myśl była udzielną władczynią, a słowo potężną siłą. Nieba były wtedy łaskawsze! Każda gwiazda dobrą błyszczała wróżbą.

„Dziecko nasze, nasza siostra, nasz kolega, nasza kochana i uśmiechnięta Delfina, była pierwszą muzą jaka się ukazała nam zdziwionym jej pięknosciami, zachwyconym natchnieniem, które tryskało z jej niebieskich oczu. Dzieckiem śpiewała już hymny do ideału, których starcy słuchali z uśmiechem; prawie dzieckiem wmieszała się i podzielała bezwiednie wszystkie wzruszenia, które w dniach pamiętnych wstrząsały nami do głębi.

„Pierwszy śpiew Delfiny, który się rozległ po całej Francyi pogrążonej w żałobie, była pieśń pociechy, oda na skon generała Foy, sławnego mówcy i wojownika. Tak za czasów Peryklesa natchniona Greczynka śpiewała chwałę zmarłych za ojczyznę żołnierzy. Ateny przechowały owe hymny na cześć swych wojowników; Paryż nie zapomniał i nie zapomni pieśni na cześć swego bohatera.

„Od kolebki przeznaczona na przodownicę literatury francuzkiej, to jest na ciągłe walki i prace bez końca, Delfina związana urodzeniem ze światem arystokra-

tycznym, związana była zarazem ze światem umysłowym, z ludźmi najgenialniejszymi, najczynniejszymi i najśmielszymi swego czasu. Opatrzność wylała na nią obfite dary: piękność, rozum, wymowę, zapał, wielkie zdolności autorskie, i łatwość improwizacyi.

„Po chodzie, ruchu, rozmowie i niewypowiedzianym wdzięku, jaki wkoło siebie rozlewała, każdy poznawał odrazu wychowanicę pani Custine, Recamier, Courbonne, i tylu innych dam znakomitych, które się przyczyniły do rozwinięcia niewieścich jęj przymiotów; z odwagi, dumy i namiętnej wymowy, jaka każdy jęj utwór cechuje, każdy poznawał uczennicę najpięrszych mistrzów słowa i myślicieli: Villemain uczył ją pisać prozą, sztuki rymowania uczyli Lamartine i Wiktor Hugo.

„Nie będę tu wyliczał rozmaitych poematów Delfiny, w których Francya i kobieta rzucają naprzemiany wzniosłe myśli i kwiaty; nie będę mówił o jęj powieściach, w których towarzystwo francuzkie tak wiernie malowała... O! chwało poety, jakże małą jesteś obok tego rozwartego grobu, w którym za chwilę zniknie na wieki ta piękność, siła, wymowa, ten wdzięk piękniejszy od piękności!.. Nawet żywsze wrażenia wyniesione z dramatów, w których wieszczka natchniona poruszała wszystkie namiętności, wszystkie czucia, wszystkie pragnienia człowieka; wszystko gaśnie albo się zapomina nad tą przepaścią... i później, dopiero w jęj pismach ożyje dla potomności.

„Nie, nie będę mówił w tym dniu żałoby i w obec tych drogich a ledwie ostygłych zwłok, o literackiej sławie Delfiny, ani nie będę chwalił jęj wzniosłej duszy; wymowniej powiedzą o tém trzy nieszczęśliwych, których była nadzieją i pociechą; wieczny żal tych, których od moralnego bronila upadku. Ileż ona upadłych podniosła umysłów! Ile niepoznanych pocieszyła! Jakże skwapliwie biegła na pomoc słabym, małym, lub zwyciężonym! Jakże żywo dzieliła niepowodzenia dusz wzniosłych! Słuchajcie! Każdy z was przyzna z ręką na sercu, że ta, co w tej trumnie spoczywa, była dobra dla wszystkich, a nawet w oburzeniu i chwilach ironii pamiętała zawsze, pracowita i litościwa pszczołka, zostawić trochę miodu na końcu swojego żądła.

„Kochaliśmy ją wszyscy; ona była naszą chwałą, naszą ozdobą, naszym powabem: na pierwszym stawiano ją miejscu skoro chodziło o podbicie serc wstrętnych naszemu zastępowi. Niedawno jeszcze dała nam przykład jak kochać przyjaciół równie w szczęściu, jak w nieszczęściu, jak się nie bać ani skał, ani oceanu, ani wygnania. Wielki poeta nasz, jakże gorzka będzie twa żalność, kiedy przez mgły, które ona niedawno rozświecała ci błękitną źrenicą, przecisnie się głos straszny... i powie ci „Ona nie żyje! Te smutne skały już nigdy nie zobaczą Delfiny!”

„Pożegnajmy ją. Zamknijmy nazawsze w sercach naszych jej drogi wizerunek. Nie żałujmy jej. Ona tam tyle drogich osób zobaczy! Dziada, siostrę, matkę, którą umarła przy tym grobie, gdyby ją Bóg pierwój do siebie nie wezwał; brata poległego na polu sławy; swych przyjaciół: Balzaka, Soumeta, Guirauda, Souliego i Chateaubrianda, który tak wysoko ją cenił...

„Więc nie nad nią płaczmy, ale nad tym śmiałym i odważnym mężem, nad tym człowiekiem, co tyle ciężkich prób wytrzymał stale, aż ta śmierć przyszła i połamiała mu odwagę i serce! Zaprawdę, nad tym człowiekiem, nad tym niepokieszonym, nad tym zwyciężonym atletą, zapłakać trzeba.”

W ostatnich kilku tygodniach pojawiły się następujące książki: *La Touraine*, przez księdza Bourassé. Wydawca Maine et Comp: w Tours. Księga in folio z winiętami, drzeworytami, chromolitografiami, rycinami na stali, świadczy na wystawie o wysokim wszechstronnym postępie sztuki drukarskiej, rytowniczej i litografii. Text sam bardzo sumiennie opracowany. Dużo tu szczegółów ciekawych o Karolu VII, Agnieszce, Franciszku I i t. d. Księgarzowi Maine winna Francya mnóstwo wydań bardzo strojnych.

— *Dictionnaire des falsifications des substances alimentaires, medicamenteuses et commerciales* przez pana Chevalier. Opowiada: jak terpentyną zaprawiają okowitę; masło kredą, mąką kartoflaną, łojem cielęcym, żółcią szafranem, sokiem march-

wi; piwo bez chmielu robione farbują cykoryą, paloną korą bukszanową; galeretę porzeczkową robią z buraków; galeretę z moreli, z dyni; kawę z grochu, owsa, żyta, grochu szablatego, żołądź, kasztanów, buraków, marchwi i t. d. Ziarnka kawy robiono z gliny; do cykoryi mieszają piasek, cegłę czerwoną. Mléko zaprawiają krochmalem, ryżem, otrębami, białkami jaj, marchwią i t. d. Fałszowanie wina stanowi osobną naukę; szynkarze francuzcy są wielkimi chemikami!

— Paryż u siebie. Rodzaj historyczno-malowniczego przeglądu, gruby tom ozdobiony 200 drzeworytami. Obejmuje historyczne opisy starego i nowego Paryża, zwyczaje, mody, legiendy i historią pomników.

— Pan Augier napisał dla Vaudevillu sztukę we trzech aktach: *Le mariage d'Olympe*. Jestto znowu jeden z tych tak powszechnych na paryzkiej scenie obrazów, przedstawiający warstwę społeczną, na którą w języku naszym nawet nazwiska nie ma, a którą Dumas syn nazwał pół-swiatem. Treść da się opowiedzieć w kilku słowach: Kurtyzanka Olimpia wdziękami i podstępem podbija serce młodego hrabiego i zostaje jego żoną. Ale zaledwie wprowadzona na drogę cnoty, zaczyna tęsknić za kołem z którego ją wyrwał ławowierny młodzieniec. Ażeby się pozbyć męża, którego nigdy nie kochała, Olimpia osnuwa podłe intrygi w rodzinie męża, za co ojciec hrabiego strzela do niej z pistoletu i zabija na miejscu.

Aczkolwiek to rozwiązanie zostało wygwizdane, pierwsze dwa akty, jako wyborne malowidło obyczajów paryzkich, przyjęte były z wielkimi oklaskami.



WYCIECZKA BOTANICZNA W TATRY

odbyta w r. 1854.

PRZEZ

Felixa Berdau.

Tatry, owe uroczyste Alpy naszej ziemi, tyle sławione swą pięknnością i bogactwem wegietyacji, zdawna pociągały mię do siebie, by zajrzeć w ich tajemnicze wnętrza, odetchnąć ich powietrzem i przypatrzeć się zblizka téj alpejskiej roślinności, zupełnie różnej od roślinności równin nadwiślańskich. Tak mokry rok jakim był przeszły, który na każdej prawie wycieczce w okolicach Krakowa tyle mi się dawał we znaki, nie przedstawiał przyjemnego horoskopu dla podróży górskich. Pomimo tego, uzbrojony myślą pożytecznego zamiaru (tojest: przygotowania dokładnego zielnika roślin tatrzańskich dla muzeum botanicznego krakowskiego), a przytém korzystając piérwszy raz od kilku lat z całych feryj wolnych, postanowiłem nie odkładać mego zamysłu, ale zaraz doprowadzić go do skutku.

Jakoż w najpiérwszych dniach sierpnia byłem już w Zakopanem, wsi najgłębiej do ścian tatrzańskich przypartéj, posiadającéj obszernie kuźnice żelazne, a tém samém w miejscu, w którym najpotrzebniejszych artykułów do życia dostać można; przez co było ono dla mnie stałym punktem, zkąd moje wycieczki kierowałem.

Następny dzień po przybyciu wcale nie był wesołym. Ciężkie, szare, jakby ołowiane mgły, przewłóczyły się zwolna po szczytach tatrowych; w nocy zaś, gwałtowny wicher z głośno pluszczącym deszczem kilka razy mię budził, i wyrwał z miłych marzeń, i rojących się planów przyszłych ekskursyj. Trzeciego dnia kiedy nie było końca deszczowi, wyszedłem na wzgórze

otaczające, lecz przedzierając się przez lasy, wróciłem z niewielkim plonem i tak przemokły, że równało się zupełnej kąpie-
li, z różnicą jedynie odbycia jej w sukniach. Dla ciągłych mgieł,
które po każdym deszczu jeszcze jakiś czas trwają, niepodo-
bieństwem było zapuszczać się wyżej, jak ponad górną granicę la-
sów, a czasami tylko w krainę kosodrzewu (*Pinus mughus Scop.*).
Taki czas, z kilkoma przerwami trwał aż do 19 sierpnia, to jest
do pierwszego śniegu, który pobielił wszystkie turnie tatrzań-
skie, a nawet i poniższe pasma warstwą kilkocalową. Odtąd
przepowiadano stalszą pogodę, lecz w tym roku przepowiednia
niezupełnie się ziściła, bo po każdej dwóch a najwięcej trzech-
dniowej pogodzie, mieliśmy zawsze 4 — 5ciu dni deszczu. Mię-
dzy 12 a 16ym sierpnia odbyłem wycieczkę na najwyższy szczyt
tatrzański, zwany: *Turnią Lodową, Szczytem Lodowatym* lub
Kahlbachem. D. 23 sierpnia śnieg już o tyle stopniał, że można
było znów przedsięwziąć nieco dalszą wycieczkę. 31 sierpnia
był dniem, na jaki zwiedzającym Tatry nie łatwo trafić, a nawet
tameczni od kilku lat nie doświadczali. Przy czysto wschod-
nim, bardzo słabym wietrze, powietrze tak było przezrocyste,
że najdalsze i nigdy prawie niedostrzeżone szczyty, przedsta-
wiały się jak najwyraźniej. Dzień ten liczę do najprzyjemniej-
szych, nie tylko dla prześlicznych widoków, jakie mi się z *Czer-
wonego Wirchu* (6,500 stóp n. p. m.) przedstawiały, ale tak-
że i zdobycze moje botaniczne były obfite, a śnieg roślinom al-
pejskim prawie nie szkodził. Od 6 do 10 września znów
się zachmurzyło i bardzo oziębilo, gdyż 8-go i 9-go września
padał już śnieg, nie tylko na górach, ale i we wsi tak, że cała
okolica przybrała wejrzenie zupełnej zimy. W okolicy kuźnic,
jako bardziej ściśniętej grzbietami górskimi, śnieg doszedł je-
dnej stopy grubości. Wszystkie gromady owiec i bydła pasą-
cego się w ciągu lata po wyżynach tatrzańskich z bacą i jucha-
sami na czele, przymuszone były wracać coprędzej do domu, aby
nie być zasypańmi śniegiem. Całe pola, pokryte jeszcze zielo-
nym owsem, przysypane zostały grubą warstwą śniegu. 11 wrze-
śnia poczęło się wypogadzać, a pierwsze cieplejsze promienie
słoneczne topiły upadłe śniegi tak, że już 17-go, tylko w załam-
kach spostrzegalem jeszcze białe płyty. 21-go września spadł
trzeci śnieg, któremu towarzyszył zarazem mróz. Rozpoczęte
żniwa owsiane przerwane zostały na kilka dni, a kiedy opusz-
czał Zakopane 28-go września, żniwa w wielu miejscach jeszcze

nie były skończone, co było zbyt dotkliwe dla ubogich mieszkańców, którym również od kilku lat, tak jak i u nas, ziemniaki lichy plon wydają i chorobie ulegają.

W ciągu dwómiesięcznego mego pobytu w Tatrach odbyłem cztery dłuższe, kilkodniowe wycieczki, a dziewięć jednodziennych. Jedną z najważniejszych była wycieczka na *Koperszady Bialskie* i *Lodową Turnię*, tę siostrzycę *Łomnicy*, którą *Wahlenberg* za wyższą od niej uważa. Później zwiedziłem dokładnie *Giewont*, *Czerwony Wierch*, *Pyszną*, *Kasprową*, *Magórę*, *Gąsienicowe Stawy*, *Kościelec*, *Pięć Stawów* i *Morskie Oko*. We wrześniu byłem powtórnie na *Lodowej Turni*, przebijając się do niej wprost z *Zakopanego* przez *Wirchy* i otaczające je doliny, czyli przecinając w poprzecz całe pasmo tatrzańskie z północy na południe. Była to droga nader oryginalna i jedna z najtrudniejszych; a jak mój przewodnik (stary strzelec kóz dzikich) zapewniał, nikt jeszcze z obcych, prócz strzelców tej drogi nie przebywał; dla czego krótki jej rys na końcu podaję.

Zielnik mój z wszystkich tych wycieczek wzrósł do 260 przeszło gatunków wraz z odmianami, w licznych z każdego okazach. Kilkanaście rodzajów lub gatunków posiadam, których nie obejmuje spis roślin galicyjskich *Zawadzkiego* (*Enumeratio Plantarum Galiciae et Bucovinae etc.*), ani też *Flora Wahlenberga* (*Flora Carpathorum Principalium etc.*) (1). Z rodzaju *Androsace*, znalazłem odmianę dość wyraźną gatunku *lactea* L. nie objętą w żadnym z dzieł flory europejskiej. Do oznaczania zaś używałem głównie klasycznego dzieła „*Kocha, Synopsis florae Germanicae et Helveticae, Francof. 1845.*”

Przechodząc po kolei wszystkie miejscowości tego roku przeze mnie zwiedzane, wyliczę zarazem i rośliny, jakie mi się spostrzegać dawały, a które tém samém w mym zielniku się znajdują.

1. *Regle Zakopanego*, czyli owe pasma górzyste, które w kształcie stromych upłazów, biodra tatrowe lasami dokoła

(1) *Flora Wahlenberga* w r. 1814 w *Getyndze* wydana, opisuje rośliny znajdujące się po stronie południowej Tatr, od *Spiza* i *Orawy*; wycieczki zaś moje kierowane były przeważająco po stronie północnej, tojest *Galicyi*. Dzieło to tak genialnego autora, jakim był *Wahlenberg*, dziś jeszcze zasługuje na pilną uwagę pod względem geografii roślinnej tych okolic, a przytém korzystając z zielnika *Maukscha* pastora ewangelickiego na *Spizu*, zbieranego z największą skrzętnością przez lat kilkanaście, podniosł niezmiernie wartość swego dzieła.

osłoniły, były najdokładniej przejrane i niejako zupełnie wyczerpnięte z swój letniej flory. W górnej granicy Regli, kędy się lasy kończą, a często także w pasie kosodrzewu, bije największa ilość źródeł, które dalej stanowią wszystkie znaczniejsze rzeki górskie. Wody te przedzierając się często przez skalisty pień tatrowy, poszczepały go o tyle, że potworzyły się głębokie żłoby, albo jak je lud tameczny nazywa *zleby*, w których szalone potoki górskie szumią bezprzestannie. Zleby te dla botanika, o tyle są ważne, że w nich znaleźć można rośliny z największych szczytów, czysto alpejskie; a których początek wytłumaczyć się daje przez spłokiwanie wodami nasion tych roślin, i osadzanie się przypadkowe w szczelinach boków lub brzegów zlebu. To tłumaczy nam taką obfitość roślin alpejskich w samej dolinie kościeliskiej, wyniesionej jedynie na 2908 stp. n. p. m., która dla botanika z tej przyczyny jest polem niewyczerpaném badań. Wieś sama Zakopane leży już na wysokości 3033 stp. n. p. m., górna zaś granica Regli sięga 4600 stp. n. p. m. Roślinność wszystkich miejsc położonych na wysokości Zakopanego cechuje: *Gentiana cruciata*. *G. asclepiadea*. *G. campestris*. *Salvia glutinosa*. *Tamarix germanica*. *Saxifraga aizoides*, a miejscami *Aconitum napellus*; zaś *Gentiana ciliata*, *Carlina acaulis* i *Parnassia palustris*, choć pospolite i koło Krakowa, ostatnia jednak z nich cum *Euphrasia officinali* najczęściej aż do wysokości 5500 stp. n. p. m., czyli krainy alpejskiej dochodzi. Na polach między owsem i po łąkach w wielkiej ilości *Gladiolus communis*. Uprawa gruntowa ogranicza się jedynie do owsa i ziemniaków, kapusta zaś, siewana po niektórych miejscach, nie zwija się w główki, ale jako liście zużytkowaną bywa. Z drzew otaczających domostwa, nie widziałem innych prócz jesionów, jaworów, wierzb i olch. W Reglach znalazłem: *Aconitum napellus*, *A. Stoerkeanum*, *Alsine laricifolia*, *Campanula pusilla*, *C. linifolia*, *Chrysanthemum rotundifolium*, *Circaea alpina*, *Cirsium canum*, *C. erisithales*, *C. eriophorum*, *Senecio Fuchsii*, *S. doronicum*, *Gnaphalium leontopodium*, *Mulgedium alpinum*, *Prenanthes purpurea*, *Scabiosa lucida*, *Valeriana sambucifolia*, *Galium sylvaticum*, *Aspidium lonchitis*, *Luzula nivea*, *Streptopus amplexifolius*, *Epipogium Gmelini*, *Epipactis rubiginosa*, *E. latifolia viridiflora*, *E. atropurpurea micrantha*, *Goodyera repens*, *Listera cordata*, *Peristilus albidus*, *P. viridis*, *Gymnadenia odoratissima*, *Thesium alpinum*, *Gentiana germanica*, *Swertia perennis*, *Saxi-*

fraga aizoon, *Sedum fabaria*, *Arabis alpina*, *A. Halleri*, *Delphinium elatum*, *Atragene alpina*, *Galium aristatum*, *Himantoglossum hircinum*. Ostatnie dwie rośliny są nowe dla flory galicyjskiej.

2. *W dolinie kościeliskiej*, wyniesionej na 2908 stp. n. p. m. znajdowałem wszystkie powyżej wymienione prócz *Epipogium Gmelini*; a nadto jeszcze: *Narthecium ossifragum*, *Thymus alpinus*, *Campanula Scheuchzeri*, *C. trachelium flore albo*, *Rosa alpina*, *Bupleurum angulosum*, *B. ranunculoides* α . *humilis*, *Alsine verna*, *Gypsophila repens*, *Polygala amara* β . *alpestris*, i wiele już czysto alpejskich, jak: *Papaver alpinus*, *Silene acaulis*, *Saxifraga caesia*, *S. cespitosa*, *S. muscoides*, *Viola billora*, *Homogyne alpina*. Lasy Regli Zakopanego i doliny kościeliskiej składają wyłącznie świerki i jodły, miejscami zaś buki; z krzewów zawadzają się: *Sorbus aria*, *Cotoneaster vulgaris*, *Ribes petraeum*, *R. alpinum*, *Sambucus racemosa*, *Rubus glandulosa*.

3. *Giewont*, owa skalna ściana od strony północnej zupełnie pionowa, u stóp której na przestrzeni prawie milowej rozrzuceném jest Zakopane, sięga aż do wysokości 5737 stp. n. p. m. Szary wapień spodniej formacji Jura, zwany Lias, stanowi całą tę masę skalistą. Roślinność Giewontu dosyć jest bujną, i o tyle różną, że prawie trzy czwartej roślin alpejskich, później na innych miejscach natrafianych, znalazłem tutaj zgromadzone. 10go sierpnia wszystko było na nim w pełnym kwiecie, a w niektórych załawkach, gdzie słońce później mogło śniegi stopić, znalazłem rośliny wiosenne, dopiero się rozwijające, jak: *Primula veris*, *Prim. elatior* i *Gentiana verna*. Wstępując od strony wschodniej dolinę zwaną Białą, w przyległym lesie bukowym natknąłem *Corallorhiza innata*, storczyk w ogólności rzadki, ale mi dobrze znany, bo przed miesiącem właśnie wynalazłem go w okolicach Krakowa. Dolina ta otoczona wysokimi skałami, zwanymi Małym Giewontem, mieści w sobie obszerną łąkę czyli polanę. Polanami zowią się łąki lub pastwiska w krainie Regli położone. Z polan zazwyczaj zbierają siano, i takowe do wsi zwożą. łąki lub pastwiska powyżej górnej granicy kosodrzewiny, czyli już w krainie alpejskiej, zowią się halami. Na pierwszych, prócz zwykłych roślin łąkowych, przeważa znacznie *Senecio doronicum*. Drugie zaś składają rośliny wyłącznie alpejskie z przeważającą ilością *Aronicum Clusii*, *Adenostyles albifrons*, *Ranunculus aconitifolius*, *Phleum alpinum* i inne. Poniżej nieco krainy hal, kędy miejscowość jest stromo skalista

i tworzy ściany aż ku dolinie; ściany te zazwyczaj mają głębokie poprzeczne zagłębienia, jakby stopnie lub wschody, które lud zowie Tłoczkami. Tłoczki więc te dla botanika mieszczą wszystkie skarby flory alpejskiej. Tamto już nie dojdzie owca, ani też żarłoczna koza, które przez trzy miesiące letnie pasą się bezprzestannie po halach tatrowych. Dlatego największa część roślin, które niżej przytaczać będę, pochodzą z tłoczek. I tak: Mały Giewont dostarczył mi: *Gentiana acaulis*, *Dryas octopetala*, *Botrychium lunaria*, *Asplenium viride*, *Poa alpina* v. *vivipara*, *Carex firma*, *Toffieldia calyculata*, *Polygonum viviparum*, *Gentiana obtusifolia*, *Epilobium trigonum*, *Sempervivum hirteum*, *S. globiferum*, *Moehringia muscosa*. Na granicy górnej lasów, a poczynając się już gdzieśgdzie kosodrzewinie, znalazłem kilkanaście okazów kwitnących pięknej rośliny *Soldanella alpina*. Między kosodrzewiną: *Ranunculus aconitifolius*, *Delphinium elatum*, *Aconitum Stoerkeanum*, *Lamium orvala* i miejscami ów król ostrzeń, *Cirsium eriophorum*. Wreszcie doszedłszy do samego grzbietu Giewonta i postępując stroną południową od wschodu ku zachodowi, następnymi roślinami napeliłem puszkę moją: *Festuca amethystina*, *Poa sudetica*, *Agrostis rupestris*, *Juncus trifidus*, *Toffieldia borealis*, *Salix reticulata*, *S. retusa*, *S. Jacquiana*, *Polygonum viviparum*, *Oxyria digyna*, *Androsace chamaejasme*, *A. lactea*, *A. l. varietas*, *Euphrasia officinalis* v. *alpina*, *E. salisburgensis*, *Bartschia alpina*, *Pedicularis verticillata*, *P. versicolor*, *Veronica alpina*, *V. aphylla*, *V. saxatilis*, *Myosotis sylvatica* c. *alpestris*, *Cineraria aurantiaca*, *Aronicum Clusii*, *Gnaphalium supinum*, *Solidago alpestris*, *Erigeron uniflorum*, *Bellidiastrum Michellii*, *Aster alpinus*, *Homogyne alpina*, *Hieracium villosum*, *H. alpinum*, *H. a. β. pumilum*, *Crepis Jacquini*, *Leontodon pyrenaicus*, *Saussurea alpina*, *Galium sylvestre* β. *alpestre*, *Astragalus alpinus*, *Oxytropis pilosa*, *O. montana*, *Geum montanum*, *Potentilla aurea*, *Meum mutellina*, *Bupleurum Gerardi*, *Saxifraga muscoides*. *S. caesia*, *S. cespitosa*, *S. hieraciifolia*, *S. cotyledon*, *S. androsacea*, *Sedum atratum*, *Rhodiola rosea*, *Cerastium alpinum*, *C. latifolium* β. *glabriusculum*, *Arenaria ciliata*, *Silene quadrifida*, *S. acaulis*, *Dianthus speciosus*, *Viola biflora*, *Hutchinsia brevicaulis*, *H. alpina*, *Biscutella laevigata*, *Ranunculus montanus*, *R. alpestris*. W stronie zachodniej łączy się Giewont z Czerwonym Wirchem za pośrednictwem obszernego siodła upłazistego, z którego obróci-

wszy się na wschód, można zejść na polanę Kondratową; na zachód zaś, na polanę zwaną Małą łąką. Wybrawszy pierwszą pośpieszyłem do szałasu, by się posilić świeżą zętycą i słodkim serem owczym, któremi gościnnie częstował baca tamtejszy; a kiedy słońce ostatnimi promieniami oświecało szarzejący już horyzont, przebijałem się z lasów ku drodze wiodącej prosto do wsi.

4. *Czerwony Wirch*, wzniesiony na 6,516 stp. n. p. m., a zatem znacznie wyższy od Giewontu, nie przedstawia się jako lita, ostra, goła skała, ale przeciwnie; mając wierzchołek obszerny i grubą warstwę ziemi rodzajnej pokryty, odznacza się szczególniej pięknemi okazami: *Dianthus glacialis*, *Cineraria aurantiaca*, *Viola alpina* i *Saussurea alpina*, przez co rzeczywiście wydaje się czerwonym, a raczej więcej fiołkowo czerwonym od wyżej wymienionych roślin. *Juncus trifidus*, *Carex atrata*, *Luzula spicata* i *L. glabrata* stanowią podściół dla innych. *Gentiana nivalis*, począwszy od okazów na 5 linii do 2 cali wysokich, niemal darniem w wielu miejscach występuje. *Papaver alpinum*, *Campanula alpina*, *Erigeron uniflorus*, *Epilobium alpinum*, *Androsace lactea*, *Draba aizoides*, *Gentiana utriculosa* i *Primula minima*, znajdowałem na wielu miejscach; *Saxifraga cernua* zaś, którą na tłoczkach, idąc przez małą łąkę w połowie wysokości Czerwonego Wirchu znalazłem, należy do nowych nietylko dla flory galicyjskiej ale i tatrzańskiej.

5. *Pyszna*, zamykająca dolinę kościeliską od południo zachodu, a której wierzchołkiem bieży granica Węgier, wznosi się na 6,934 stp. n. p. m. Wstępując na nią poniżej Stawu Smereczanego, znajduje się *Rumex arifolius* i *R. scutatus*. Ku siodłu, kędy przejście do Węgier: *Potentilla aurea*, *Cerastium latifolium*, *C. alpinum*. *Gnaphalium norvegicum*, *G. supinum*, *Rhodiola rosea*, *Hieracium alpinum*, *Gaya simplex*, *Pedicularis verticillata* i szczególniej wiele: *Herbichia abrotanifolia*, rośliny właściwej jedynie Tatrom. Na samym siodle: *Primula minima*, *Trinia vulgaris*, *Meum mutellina*. Dalej ku wierzchołkowi: *Sempervivum montanum*, *Festuca ovina alpina*, *Poa laxa*, *P. caesia*, *Avena versicolor*, *Sesleria disticha*, *Calamagrostis Halлерiana*, *Phleum alpinum*, *Carex atrata*, *Androsace obtusifolia*, *Pedicularis versicolor*, *Gentiana frigida*, *Campanula alpina*, *Chrysanthemum alpinum*, *Aronicum Clusii*, *Erigeron alpinum*, *Bellidiastrum Michellii*, *Aster alpinus*, *Saxifraga sibirica*, *S.*

bryoides, *S. oppositifolia*, *Silene acaulis*, *Dianthus glacialis*, *D. alpinus*, *Salix retusa*, *Anemone alpina*.

6. *Kasprowa*, ku południowi za Giewontem położona i jedynie doliną od niego przedzielona, takiejże samej prawie wysokości, przedstawia mniej więcej te same rośliny co i Giewont; a nadto jeszcze: *Agrostis alpina*, *Calamagrostis tenella*, *Carex fuliginosa*, *C. aterrima*. W dolinie zaś, jako i na Kondratowej Polanie: *Archangelica officinalis*, *litworem* od górali przezwana.

7. *Magóra*, od strony wschodniej Giewontu, a powyżej kuznic zakopańskich, liczy 5,197 stp. n. p. m. Wygodna droga wozowa prowadzi blisko aż do wierzchołka, a to z powodu rudy żelaznej, którą tutaj w znacznej ilości wydobywają. *Empetrum nigrum* z owocami, *Gentiana imbricata*, *Cherleria sedoides*, *Gypsophila repens*, najczęściej spotykać się dają.

8. *Gąsienicowe Stawy*, za Magorą ku południowi położone, przedstawiają obszerną wyżynę alpejską czyli halę, na której 7^{dm} różnej wielkości stawów widzieć się daje. Nazwa tych stawów pochodzi od jednej z zamożniejszych rodzin Zakopanego (Gąsieniców), którzy tu mają zdawna wyłączny przywilej koszarowania czyli pasienia bydła. Tu i owdzie rozrzucone szalały i pasące się stadka bydła, koni i owiec, ruchliwe i ciągle świergocące siwarniaki (*Anthus aquaticus* Bechs. *Alauda spinoletta* Lin.), wraz z płochaczem alpejskim (*Accentor alpinus* L.) wszystko to dodaje temu miejscu wiele wdzięku i życia, wpośród tak ogromnej natury, jaka tu szczególnie uderza. *Nardus stricta*, *Phleum alpinum*, *Juncus trifidus* najwięcej przeważają. Gdzieniegdzie *Trifolium badium*, *Sempervivum montanum*, *Gentiana imbricata* i *Stellaria cerastoides*.

9. *Kościelec*, jedna z turni od południa Gąsienicowych Stawów, wraz z obok drugą zwaną *Świnicą*, wznoszą się obie na 6,116 stp. n. p. m. Na Kościelcu znalazłem: *Agrostis rupestris*, *Galium sylvestre* β . *alpestre*, *Poa cenisia*, *Ranunculus glacialis*. Wchodząc na Świnicę: *Ranunculus montanus*, *Aronicum Clusii*, a ku wierzchołkowi: *Saxifraga sibirica*, *S. bryoides*, *Ranunculus glacialis*; od strony południowej: *Hieracium alpinum*, *Solidago alpestris*, *Adenostyles albifrons*, *Leontodon pyrenaicus*, *Rumex scutatus*, *Arabis petraea*, *Cerastium latifolium*, *Veronica alpina*.

10. *Pięć Stawów*, do których, minąwszy Gąsienicowe, Kościelec, ku Zawratowi, dochodzi się od strony przeciwniej jak zazwyczaj, idąc od Morskiego Oka. Stawy te znajdują się w ogromnej kotlinie, utworzonej z wyniosłych grzbietów litych skał granitowych i gnejsowych. Jedyne możebne przejście od stawów Gąsienicowych jest przez tak zwany Zawrat. Spuszczając się z Zawratu ku Stawom, znalazłem: *Anemone alpina* w wielkiej ilości, *Hypochoeris uniflora*, *Oxytropis uralensis*, *Hieracium alpinum*, *Veronica alpina*, *Gnaphalium pusillum*, *G. norvegicum*, *Aronicum Clusii*, *Crepis grandiflora*. Koło zaś samych Stawów, w wielkiej massie: *Gentiana punctata*, *Veratrum album*, *Rumex arifolius*, *R. alpinus*, *Calamagrostis tenella* i *Adenostyles albifrons*, którą to ostatnią juchasy czerniakiem pospolicie zowią.

11. *Przy Morskiem Oku* znalazłem prócz innych mniej ważnych: *Rhinanthus alpinus*, *Dianthus alpinus*, *Thalictrum alpinum*, *Pimpinella magna*, *Saxifraga sibirica*, *Oxyria digyna*, *Silene quadrifida*, *Rumex arifolius*, *R. scutatus*, *Prenanthes purpurea*, *Arenaria ciliata*, *Gentiana punctata*, i gdzie indziej *Hieracium aurantiacum*. Limbę zaś (*Pinus cembra*), dość licznie i w pięknych okazach zaraz za szaląsem widzieć można.

Koło Czarnego Stawu szczególniej wiele *Adenostyles albifrons*.

12. *Lodowa Turnia*. Wycieczka na Turnię Lodową była jedna z pierwszych, i najważniejsza; dlaczego nieco szczegółowiej o nią wspomnę.

Dnia 11 sierpnia wyszedłem z Zakopanego w zamiarze dotarcia na noc do Jaworzyny, wsi a raczej osady hutniczej już na węgierskiej stronie położonej. Droga najbliższa była przez lasy i polany, najprzód około źródeł Salamandrowych, a dalej popod Koczystą i Wołoszyna aż ku drodze wiodącej do Morskiego Oka, którą przeciąwszy i przeprawiwszy się przez rzekę Białkę, późno wieczorem dotarłem do Jaworzyny. Jedno ze źródeł Salamandrowych jest ciepłe, w zimie i w lecie 16° do 18° R. mające; jedyne w całych Tatrach tak wysokiej temperatury, w bliskości którego pod kamieniami mnóstwo znajduje się salamander (*Salamandra maculata*), z kąd i nazwisko tych źródeł. Lasy, przez które się przedzierałem, wszędzie przeważająco stanowią świerki i jodły, miejscami buki, a tu i owdzie w małych tylko gromadkach rozsiane klony, lub nawet jawory.

Piérwszy dzień po przybyciu do Jaworzyny poświęciłem zwiedzeniu doliny Koperszadzkiej, sławnej z nadzwyczaj bujnej roślinności. Głęboka ta dolina ciągnąca się na granicy pomiędzy wapieniami i granitem, otoczona jest grzbieciem wyniosłym zwanym Koperszadami (Kupferschächte) od zarzuconej kopalni miedzianej rudy.

Wegietacya na tych ogromnych łąkach tak bujna, że trawa prawie po pas, a tysiące wołów węgierskich wypasa się corocznie tamże. Łąki te alpejskie, nawet pod względem barwy tak urocze, składają: Hieracium aurantiacum, Adenostyles albifrons, Doronicum austriacum, D. scorpioides, Mulgedium alpinum, Centaurea nigra, Veratrum album, Gentiana punctata, Centaurea montana, Hypochoeris uniflora, Senecio doronicum, Dianthus superbus, Phleum alpinum, Ranunculus aconitifolius, Crepis grandiflora, Viola tricolor v. saxatilis i Pedicularis Haquetii dla flory tatrzańskiej gatunek nowy.

W powrocie wszedłem na *Murań*, grzbiet skalisty najbardziej ku zachodowi całego pasma Tatr wysunięty, a sięgający jeszcze powyżej górnej granicy kosodrzewu. Tragopogon orientalis, Oxytropis campestris, O. uralensis, Hedysarum alpinum, C. nigra, Linum alpinum: są to rośliny, które przybyły w tym dniu do mego zielnika.

Następny dzień ponieważ rokował dosyć stałą pogodę, zagnił mię do przyspieszenia méj wycieczki; nie ociągałem się przeto, ale zaraz po wschodzie słońca ruszyłem doliną Jaworową do stóp Turni lodowej. Dolina ta poczynająca się przy zakładzie hutniczym tegoż nazwiska, około 6 godzin długa, wielce jest podobną do doliny Białki, kędy droga do Morskiego Oka. Do połowy jęj długości grzbiety otaczające powstają z wapienia; dalej poczynają się granity, których obecność zdala już zapowiadają wielkie bryły rozrzucone po dolinie i potoku. Roślinność w obrębie wapieniów nader bujna, wszędzie choćby najstomsze skały porośłe są świerkami i jodłami, a miejscami klonami i jaworami; środkiem bystry potok rozbija ciągle czyste swe wody o bryły kamienne. Po prawej ciągnie się droga dla węglarzy, po lewej zaś wązka ścieżka juchasów, której obie strony, prócz mniej ważnych pokrywa: Gentiana punctata, Veratrum album i Adenostyles albifrons. Po czterech godzinach drogi dolina ta z początku piękna, a nawet romantyczna, porośła lasem po obu stronach, poczyną coraz bardziej być dzikszą; lasy

ustają, a w miejsce ich pozostaje tylko kosodrzew i gdzienie-gdzie limby. Wreszcie i to ustaje: smutna przyroda mineralna rozpoczyna swe panowanie, i już nic nie widać, tylko ogromne rury skał granitowych. Dolina się kończy, a od prawej zamyka ją olbrzymia ściana w wierzchu rozmaicie wydziergana, a poniżej z głębokimi żlebami, któredy woda śniegowa spływa; pod żlebami zaś kupy olbrzymie ztoczonego rumu. Ściana ta półkółista, zwana także Kolbakiem Wielkim dla swjej rozciągłości przez naszych górali; bo z drugiej swjej strony czyli boku południowego wydaje silny potok płynący ku Schmöksowi, zwany przez Niemców Spiza Kahlbachem, przytyka jednym ze swych ramion do Turni Lodowej. Postępując ku wschodowi, tojest ku stronie lewej, a zataczając wraz ze ścianą kolistą ramieniem półkole, wstępuje się na najwyższy szczyt tatrowy, tojest: Turnią Lodową. Szczyt ten w Tatrach pod względem botanicznym jeszcze przez nikogo nie zwiedzany, zwany przez Niemców Spiza Eisthalerspitze; górale polscy zowią go Turnią Lodową, albo częściej Kolbakiem Małym, z przekręconego Kahlbach. Nazwa mały i wielki oznacza ich rozciągłość czyli masę a nie wysokość: gdyż pierwszy przynajmniej o 2500 stóp wyższy od drugiego.

U samych stóp napotkałem dwa małe jeziorka; od nich wstępuje się już coraz stromiej. Dotąd nie napotkałem nic nowego, a *Chrysanthemum alpinum*, *Aronicum Clusii*, *Anemone alpina*, zawadzały się ciągle pod nogami. Dopiero nieco wyżej na tłoczce jednej skały znalazłem *Gnaphalium carpathicum*, *Anemone narcissiflora* i szczególniejszej wielkości *Saussurea pygmaea*; *Lloydia serotina* zaś, w trzech tylko okazach, wprawiła mnie w nadzwyczajną radość, bo piękną tę roślinkę cebulkową południowych Alp nie spodziewałem się nigdy tutaj napotkać. Jeszcze wyżej po usypach kamiennych znalazłem *Cochlearia officinalis*, *Salix Jacquiana* i *S. herbacea*, obiedwie zaledwie na jeden cal wysokie, a kędy wydobędzie się płat ziemi rodzajnej grubszy, to jakby darniem występuje: *Primula minima*, *Cherleria sedoides* i inne znane mi już z Giewontu. Doszedłszy wreszcie aż do trzech czwartych wysokości, napotyka się *Ranunculus glacialis* w tak wielkiej ilości, w jakiej nigdzie go nie spostrzegalem: wreszcie *Saxifraga sibirica*, *Geum reptans* i *Senecio carniolicus*.

Odtąd już pozostaje tylko sam czub do przebycia. Owa ściana kolista, czyli Kolbach wielki, od północo-zachodu przypierający do trzona Lodowój, tu się kończy i tworzy siodło. Z siodła dopiero tego ukazuje się Łomnica i reszta jój towarzyszek. Ztąd także możebne zejście do doliny, która pośredniczy między Łomnicą i jój towarzyszkami a samą Lodową a ujście jój południowe poprowadzić nawet może do Schmöksu, owego Spizkiego Gräffenbergu. Usiadłem więc na téj kanapie granitowój na chwilę, dla rozpatrzenia się, na której jeszcze ślady kozła dzikiego dostrzedz było można, a potem zostawivszy wszystko co tylko zawadzać mi mogło, poczynam się odtąd drapać prawie po pionowój ścianie do szczytu. Nie widzę już nic więcej jak tylko gołą skałę, do której czarny i żółty porost mocno przyrasta. Jeszcze kilka kroków do wirchu, nakoniec jestem.

Rozpatrzywszy się bliżej na samym wierzchu, przekonałem się że Turnia Lodowa (Eisthaler-spitze jak ją i Wahlenberg nazywa) z wspólnego trzonu wystrzela trzema szczytami, z których tylko na południowy i z nich najwyższy wyjść można. Reszta jest nieprzystępna zupełnie, bo się wznosi pionowemi ścianami od podstawy. Między temi dopiero turniami znajdują się właściwe Doliny Lodowe położone bardzo wysoko i zupełnie nieprzystępne, chyba spuszczać się po sznurze z wierzchu. Doliny te pełne są tajemniczości, a między ludem okolicznym krąży ciągle podanie, iż zawierają ogromne skarby, ale dla trudnego dostępu niepodobne do pozyskania.

Sam cypel Lodowój więcj podobien jest do ostrza, gdyż nie więcj jak skąpy łokieć szeroki a kilkanaście długi, złożony z pojedynczych kawałów granitowych, które kiedyś jedną całość stanowiły, ale przy wydobywaniu się z łona ziemi, nagle popękały; ztąd szpary i zagłębienia, w których wiekami nagromadzony humus z rozkładu granitu i porostów pokrywających takowy, mieścił w sobie rośliny, jak: *Poa laxa*, *Chrysanthemum alpinum*, *Senecio carniolicus*. Ztąd na samym prawie wierzchu Lodowój, 8,100 stp. n. p. m. wzniesionój, znalazłem jeszcze powyżej wymienione trzy rośliny w szparach, gdzie ani woda ani téż szalone wichry humusu wydrzeć niezdolne, pozwalają spokojnie wzrastać tym roślinkom, i choć w tak wielkiej wysokości a w Tatrach już prawie najwyższój (1), pocieszyć wzrok odważnego podróżnika, który je tam tak mile wita.

(1) Łomnica liczy 8,133 stp. n. p. m.

W powrocie zszedłem z owego siodła do obszernej doliny, pośredniczącej między Lodową a Łomnicą; była całkiem śniegiem odwiecznym napełnioną; tylko gdzie kamienie przegłądały dostrzegłem *Salix herbacea*, płożącą się między kamieniami, ale tak drobnutką, że stojąc trudno ją było dostrzedz. Była w pełnym kwiecie.

Druga moja wycieczka na Lodową Turnią 6-go września, była szczególnie oryginalna pomysłem wyboru drogi do niej. Odbylem ją prawie w prostej linii z Zakopanego na Lodową przez wirchy i pośredniczące między nimi doliny. Zdobyłszy botaniczne dla spóźnionej już pory były bardzo małe, ale zyskałem to, że odkryłem możebne przejście w tym kierunku z północy na południe, czyli w poprzecz całego pasma Tatr. Kto zna nasze Tatry, pojmie trudność a zarazem śmiałość tego przedsięwzięcia. Rezultatem ostatecznym tej wycieczki było poznanie jak najdokładniejsze całego tego gniazda alpejskiego. Znajacemu choć trochę Tatry, może posłużyć na coś wymieniony tu drogokaz.

Zrana o godzinie 6 wchodzę na Magórę powyżej kuźnic Zakopańskich, mijam Stawy Gąsienicowe i nadzwyczaj spadziłą szczybę zwaną Zawratem; przedzieram się przez strome grzbiety okalające Pięć Stawów. Spuściwszy się do Pięciu Stawów, po prawej stronie przez tak zwane Góry Miedziane, przechodzę około Mnicha ku Morskiemu Oku. Noc przepędzam przy Morskim Oku, a z brzaskiem dziennym dążę do Czarnego Stawu. Powyżej Czarnego Stawu od strony wschodniej, to jest na lewo, przedzieram się przez tak zwane Rysy, to jest grzbiet okalający Czarny Staw, na drugą stronę. Tu znajduje dwa ogromne jeziora zwane Żabie Jeziora. Ztąd schodzę do obszernej doliny zwaną Doliną Wysokią. W jej przeciwnym końcu po stronie lewej znajduje możebne przejście na drugą stronę, czyli przejście przez okalające grzbiety. Przeszedłszy przez nie, spostrzegam już dolinę Jaworową, ale mię jeszcze od niej oddziela inna mała, w której znalazłem niewielkie jezioro całkiem zamrożone. Dostawszy się wreszcie do Doliny Jaworowej u stóp Kahlbachów, gdzie się kończy kosodrzewina, przepędzam noc, a z pierwszym brzaskiem dziennym przy bledniejącym już świetle błyszczących się gwiazd, wchodzę po raz drugi na Lodową. Była to chwila gdzie wszystkie mgły, gdzieś tam w dolinach potonęły, a oko swobodnie biegło po tych jakby zakłętých olbrzymach.

Dla łatwiejszego przeglądu wszystkich roślin alpejskich i właściwych górskich czyli podalpejskich, zebranych w Tatrach od strony galicyjskiej, i niektórych w samym już wnętrzu Tatr, choć politycznie należącym do Węgier, a znajdujących się w mym zielniku, umieszczam spis takowych systematyczny z przytoczeniem różnych miejscowości, jak je napotykałem.

ACOTYLEDONEAE.

Lichenes L.

Cetraria islandica Ach. Wszędzie po Reglach aż do wysokich Turni, ale więcej wapiennych. W wielkiej massie na Pysznej i Giewoncie.

Lycopodiaceae R. Br.

Lycopodium annotinum L. Dolina Kościeliska w lasach.

„ *Selago* L. W Reglach wszędzie. Gąsienicowe Stawy.

Filices L.

Asplenium viride Huds. Na skałach pod Giewontem i w Kościeliskach.

Botrychium lunaria Sw. Na skałach pod Giewontem i w Kościeliskach.

Aspidium lonchitis Schwartz. Wszędzie po Reglach Zakopanego i w Kościeliskach.

MONOCOTYLEDONEAE.

Gramineae Jussieu.

Nardus stricta L. Hale koło Stawów Gąsienicowych, Czerwony Wierch.

Festuca amethystina Schrad. Giewont, Kasprowa.

„ *ovina violacea* Gaud. Hale koło Stawów Gąsienicowych.

Festuca ovina alpina Sut. Pyszna.

Poa nemoralis L. Mały Giewont, Kasprowa.

„ *sudetica* Haenke. Giewont.

„ *laxa* Haenke. Pyszna, Lodowa Turnia.

„ *caesia* Sm. Pyszna.

„ *cenisia* All. Kościelec.

Poa alpina L. v. *vivipara*. Żleby ku Giewontowi, Zakopane, Kościeliska.

Avena versicolor Villars. Pyszna.

Sesleria disticha Pers. Pyszna.

Calamagrostis stricta Nutt. Regle Zakopanego.

„ *Halleriana* DC. Pyszna.

„ *tenella* Lk. Kasprowa, Pięć Stawów.

Agrostis rupestris Allioni. Powyżej Morskiego Oka. Giewont. Kościeliska.

Agrostis alpina Scopol. Kasprowa.

Phleum alpinum L. Hale Magórskie, Czerwony Wirch, pod Pyszną, Koperszady.

Cyperaceae Juss.

Carex firma Host. Żleby Zakopanego ku Giewont. Kościel.

atrata L. Czerwony Wirch. Pyszna.

brachystachys Schr. Miejsca skaliste suche około Czerwonego Wirchu.

fuliginosa Schkhr. Kasprowa.

aterrima Hoppe. Kasprowa.

Eriophorum alpinum L. Czerwony Wirch.

Junceae R. Br.

Luzula nivea Desv. Regle Zakopanego, Kościeliska, Kasprowa.

glabrata Hoppe. Czerwony Wirch. Pyszna.

spicata DC. Czerwony Wirch. Pyszna.

Juncus trifidus L. Czerwony Wirch, Pyszna, Giewont, Hale Gąsienicowe.

Narthecium ossifragum Huds. Dolina Kościeliska.

Colchicaceae De Cand.

Toffieldia calyculata Wahlbg. Żleby koło Giewontu. Dolina Kościeliska.

borealis Wahlbg. Giewont.

Veratrum album L. Pięć Stawów, Koperszady, Dolina Jaworowa.

Liliaceae De Cand.

Lilium martagon L. Zakopane.

Lloydia serotina Salisb. W połowie wysokości Lodowej Turni.

Smilaceae R. Br.

Polygonatum verticillatum Mönch. Zakopane.

Streptopus amplexifolius De Cand. Regle Zakopanego.

Irideae Juss.

Gladiolus communis L. Między owsem i po łąkach w Zakopaném.

Orchideae Jussieu.

Epipogium Gmelini Rich. Lasy bukowe w Reglach Zakopanego.

Epipactis rubiginosa Gaud. Regle Zakopanego.

„ *latifolia viridiflora* Rchb. Regle Zakopanego.

„ *atropurpurea micrantha* Kitt. Regle Zakopanego.

Goodyera repens R. Br. Regle Zakopanego i pod Giewon.

Listera cordata R. Br. Regle Zakopanego idąc na Małą Łąkę.

Neottia nidus avis Richard. Regle Zakopanego, Kościeliska.

Peristilus albidus Lindl. Regle Zakopanego, Kościeliska.

„ *viridis* Lindl. Regle Zakopanego, Kościeliska.

Gymnadenia odoratissima Rich.

Orchis globosa L. Kościeliska, Ornok.

Corallorhiza innata R. Br. Lasy bukowe koło Doliny Białej pod Giewontem.

Himantoglossum hircinum Rich. Regle Zakopanego, Kościeliska.

Aroideae Jussieu.

Calla palustris L. Łąki podleśne Zakopanego.

DICOTYLEDONEAE.

Coniferae Jussieu.

Juniperus nana L. W krainie kosodrzewu wszędzie. Pyszna, Giewont.

Pinus mughus Scop. Powyżej granicy górnej lasów wszędzie.

Pinus cembra Pał. Między kosodrzewiną i wyżej jeszcze. Koło Morskiego Oka za szaląsem. W dolinie Jaworowej. Koło jezior Żabich w wielkiej ilości.

Salicineae Richard.

Salix reticulata L. Giewont, Magóra, Pyszna.

retusa L. Giewont. Magóra, Pyszna, Lodowa Turnia.

Salix Jacquini Host. Giewont, Pyszna, Lodowa Turnia.
herbacea L. Kościelec, Magóra, Lodowa Turnia,
Dolina pod Łomnicą.

Santaleae R. Br.

Thesium alpinum L. Skąły w Reglach, Mały Giewont, Kościeliska.

Polygoneae Jussieu.

Polygonum viviparum L. Giewont, Pyszna, Magóra, Kasprowa.

Rumex alpinus L. Giewont. Pięć Stawów, Czerw. Wirch, i często koło szałasów na polanach.

scutatus L. Granica lasów pod Pyszną, Morskie Oko, Kościelec.

arifolius All. Pięć Stawów, Mors. Oko, Poniżej stawu Smereczanego pod Pyszną.

Oxyria digyna Campd. Giewont, Czerwony Wirch, Morskie Oko, Pyszna.

Primulaceae Ventenat.

Soldanella alpina L. Giewont, Pyszna, Kościeliska.

Primula minima L. Pyszna, Czerwony Wirch, Lodowa Turnia.

Androsace chamaejasme Willd. Magóra, Giewont.

obtusifolia All. Magóra, Pyszna, Lodowa Turnia.

lactea L. Giewont, Pyszna, Czerw. Wirch, Kościelec, Magóra.

varietas? Giewont od strony północnej w szczelinach skał, Lodowa Turnia.

Lentibulariae Rich.

Pinguicula vulgaris L. Wszędzie po łąkach mokrych podleśnych w Zakopanem i Kościelisku.

Labiatae Jussieu.

Lamium orvala L. Pod Giewontem, Czerwonym Wirchem.

Thymus alpinus L. Giewont, Kościeliska.

Salvia glutinosa L. Regle Zakopanego.

Scrophularineae R. Br.

Digitalis grandiflora Rchb. Regle Zakopanego i Kościelisk.

Euphrasia officinalis v. *alpina*. Mały Giewont, Kościeliska i w wielu innych miejscach.

Euphrasia salisburgensis Funk. Giewont, Kościeliska.

Bartsia alpina Bartsch. Giewont, Kościeliska, Lodowa Turnia.

Rhinanthus alpinus Baumg. Koło Morskiego Oka.

Pedicularis verticillata L. Giewont, Pyszna, Kościelec, Lodowa Turnia.

Pedicularis versicolor Wahlb., Giewont, Pyszna, Lodowa Turnia.

Pedicularis Hacquetii Graf. Jedynie na Koperszadach Białskich w lesie.

Veronica alpina L. Giewont, Czerw. Wirch, Kościeliska i w w. i. m.

Veronica aphylla L. Giewont. Czerwony Wirch.

„ *saxatilis* Jacq. Giewont. Grzbiet nad Żabiemi Jeziorami.

Asperifoliae L.

Myosotis sylvatica v. *alpestris* Schmdt. Giewont. Kościeliska i w wielu innych miejscach.

Gentianeae Jussieu.

Gentiana ciliata L. Wszędzie po pagórkach Zakopanego.

„ *germanica* Willd. Regle Zakopanego, Kościelisk.

„ „ fl. albo. Mały Giewont.

„ *campestris* L. Regle Zakopanego, Kościelisk.

„ *obtusifolia* Willd. Mały Giewont.

„ *cruciata* L. Zakopane i w przyległych miejscach wszędzie.

Gentiana asclepiadea L. Zakopane i po Reglach okolicznych wszędzie.

Gentiana punctata L. Pięć Stawów, Morskie Oko. Dolina Jaworowa.

Gentiana acaulis L. Giewont mały, Kościeliska.

„ *verna* L. Giewont.

„ *imbricata* Fröl. Magóra, Stawy Gąsienicowe. Często w dolinkach prowadzących pod Giewont.

Gentiana utriculosa L. Czerwony Wirch.

„ *frigida* Haenke. Pyszna, Lodowa Turnia, Kościelec.

„ *nivalis* L. Czerwony Wirch, Ornok, Magóra.

Swertia perennis L. Mały Giewont, Dolina Kościelisk i w w. i. m.

Asclepiadeae R. Br.

Cynanchum vincetoxicum R. Br. Wszędzie po skałach w Reglach.

Ericineae Jussieu.

Monotropa hypopitys L. Wszędzie po lasach w Reglach.

Campanulaceae Jussieu.

Campanula trachelium L. fl. albo. Regle Zakopanego, Dolina Kościelisk.

Campanula linifolia Jacq. Regle Zakopanego, Kościelisk.

„ *pusilla* Haenke. Regle Zakopanego, Kościelisk.

„ *Scheuchzeri* Vill. Dolina Kościeliska.

„ *alpina* L. Pyszna, Czerw. Wirch, Lodowa Turnia, Magóra.

Phyteuma orbiculare L. Regle Zakopanego i wszystkie przyległe, często aż do krainy alpejskiej.

Compositae Lin.

Centaurea montana L. Koperszady.

„ *nigra* L. Murań, Koperszady.

Carlina acaulis L. Wszędzie po pagórkach poniżej Regli i w samych Reglach.

Cirsium erisithales Scop. Regle Zakopanego i im wszystkie przyległe.

Cirsium canum M. Bieb. Na skałach w Reglach wszędzie, szczególnież też w Kościelisku.

Cirsium eriophorum Scop. Regle Zakopanego, Kościelisk, aż do krainy kosodrzewu i nieco wyżej.

Senecio Fuchsii Gmel. Regle Zakopanego, Kościelisk i w wielu innych miejscach.

Senecio doronicum L. Wszędzie po polanach.

„ *carniolicus* Willd. Lodowa Turnia.

Herbichia abrotanifolia Zawadzki. Pyszna w połowie wysokości w miejscach trawiastych, Lodowa Turnia.

Cineraria aurantiaca Hoppe. Giewont, Pyszna, Czerwony Wirch.

Doronicum austriacum Jacq. Koperszady.

„ *scorpioides* Willd. Koperszady.

Aronicum Clusii Koch. Pyszna, Kościelec, Zawrat, Czerw. Wirch, Lodowa Turnia.

Chrysanthemum rotundifolium Wald. Kit. Regle Zakopanego.

Chrysanthemum alpinum L. Gąsienicowe Stawy, Pyszna, Lodowa Turnia.

Gnaphalium leontopodium Willd. Wszędzie po skałach w Reglach i wyżej.

Gnaphalium supinum L. Pyszna, Giewont, Zawrat, Kościelec.

„ *norvegicum* Gunner. Pyszna, Zawrat nad Pięciu Stawami.

Gnaphalium carpathicum Wahlbrg. Lodowa Turnia.

Solidago alpestris Wald. Kit. Pod Czerwonym Wirchem Giewont, Kościelec.

Erigeron uniflorum L. Giewont, Czerwony Wirch.

„ *alpinum* L. Pyszna, Tomanowa.

Bellidiastrum Michellii Cass. Giewont, Pyszna.

Aster alpinus L. Giewont, Kasprowa, Pyszna.

Homogyne alpina Cass. Giewont, Kościeliska i w w. i. m.

Adenostyles albifrons Rchb. Koperszady, Kościelec, Pięć Stawów, koło Czarnego Stawu, w Dolinie Jaworowej.

Hieracium alpinum L. Pyszna, Giewont, Kościelec, nad Pięciu Stawami.

Hieracium alpinum β . *pumilum*. Giewont.

„ *villosum* L. Giewont.

„ *aurantiacum* L. Koperszady, koło Morskiego Oka, w dolinie między Giewontem a Czerw. Wirchem.

Crepis Jacquini Tausch. Giewont.

„ *grandiflora* Tausch. Koperszady, Zawrat koło Pięciu Stawów.

Mulgedium alpinum Cassin. Regle Zakopanego, Kościelisk.

Prenanthes purpurea L. Regle Zakopanego, Kościelisk i w innych przyległych wszędzie.

Hypochoeris uniflora Vill. Koperszady, Zawrat koło Pięciu Stawów.

Tragopogon orientalis L. Murań.

Leontodon pyrenaicus Gouan. Giewont, Kasprowa, Kościelec.

Saussurea alpina De Cand. Giewont, Czerwony Wirch.

„ *pygmaea* Spr. Lodowa Turnia.

Dipsaceae De Cand.

Scabiosa lucida Vill. Wszędzie po skałach w Reglach.

Valerianeae De Cand.

Valeriana sambucifolia Mikan. Wszędzie w Reglach.

Rubiaceae Juss.

Galium sylvaticum L. Wszędzie w Reglach.

„ *sylvestre* v. *alpestre* Gaud. Giewont, Kościelec.

„ *aristatum* L. Regle pod Giewontem.

Viburneae Bartling.

Sambucus racemosa L. Wszędzie w Reglach.

Grossularieae De Cand.

Ribes alpinum L. Wszędzie w Reglach.

„ *petraeum* Wulfen. Wszędzie w Reglach.

Empetreae Hooker.

Empetrum nigrum L. Po miejscach torfiastych, mokrych na Magórze i koło Stawów Gąsienicowych, także nad Jeziorami Żabiemi.

Papilionaceae Linn.

Hedysarum alpinum Jacq. Murań.

Astragalus alpinus L. Giewont od strony południowej, Kościeliska.

Oxytropis montana DC. Po tłoczkach od strony południowej Giewontu.

Oxytropis pilosa DC. Po tłoczkach od strony południowej Giewontu.

Oxytropis campestris DC. Murań.

„ *uralensis* DC. Murań, Zawrat od strony Pięciu Stawów.

Trifolium badium Schreb. Miejsca trawiaste suche magórskie i ku Pięciu Stawom.

Dryadeae Vent.

Dryas octopetala L. Wszędzie po tłoczkach powyżej Regli.

Rubus glandulosa Bellard. Regle Zakopanego, Kościelisk.

Geum montanum L. Wszędzie po hałach i usypach bardzo obficie.

Geum reptans L. Lodowa Turnia, Kościelec.

Potentilla aurea L. Giewont, Pyszna, Kasprowa.

Rosaceae Juss.

Rosa alpina L. Dolina Kościeliska.

Saxifraga cernua L. Na tłoczkach pod Czerwonym Wirchem idąc z Małej Łąki.

Saxifraga sibirica L. Pyszna, Kościelec, Lodowa Turnia, ponad Morskim Okiem.

Saxifraga bryoides L. Pyszna, Kościelec, Świnica, Lodowa Turnia.

Saxifraga oppositifolia L. Pyszna, Kościelec.

„ *androsacea* L. Giewont, Magóra, Kościelec.

Crassulaceae De Cand.

Sempervivum hirtum L. Skały pod Giewontem.

„ *globiferum* L. skały poniżej Giewontu.

„ *montanum* L. Pyszna, Lodowa Turnia, koło Zawratu, Czer. Wirch.

Sedum fabaria Koch. Po skałach w Reglach i powyżej wszędzie.

Sedum atratum L. Giewont, Magóra, Pyszna.

Rhodiola rosea L. Powyżej krainy kosodrzewu po usypach wszędzie.

Lineariae De Cand.

Linum alpinum Jacq. Murań. dolina Kościeliska.

Alsineae De Cand.

Cerastium latifolium L. Czerwony Wirch, Pyszna, Kościelec.

alpinum L. Pyszna. Giewont.

latifolium β *glabriusculum* Koch. Giewont.

Stellaria cerastoides L. Gąsienicowe Stawy.

Arenaria ciliata L. Giewont, Magóra, Morskie Oko.

multicaulis Wulf. Dolina Kościeliska.

Moehringia muscosa L. Skały pod Giewontem, dolina Kościeliska.

Cherleria sedoides L. Lodowa Turnia, Magóra, Giewont.

Alsine laricifolia Wahlbrg. Wszędzie koło potoków Zakopanego, Kościeliska.

verna Bartling. Dolina Kościeliska.

Sileneae De Cand.

Silene quadrifida L. Giewont, dolina Kościeliska, Morskie Oko.

Silene acaulis L. Giewont. Dolina Kościeliska, Magóra, Pyszna, Kasprowa, Czerw. Wirch.

Dianthus superbus L. Koperszady, Regle Zakopanego, Kościelisk.

Dianthus speciosus Rchbch. Giewont.

„ *alpinus* L. Pyszna, Morskie Oko.

„ *glacialis* Haenke. Pyszna, Czerwony Wirch.

Gypsophila repens L. Magóra. dolina Kościeliska.

Geraniaceae De Cand.

Geranium phaeum L. Zakopane.

Acerineae De Cand.

Acer pseudoplatanus L. w dolinie Białki i Jaworowej grupami, we wsi zaś Zakopaném pojedynczo koło domostw.

Violeae De Cand.

Viola tricolor L. var. *saxatilis*. Koperszady.

„ *biflora* L. Giewontu tłoczki, Kasprowej, Magóry i w dolinie Kościeliskiej.

Viola alpina Jacq. Czerwony Wirch, Kościeliska.

Cruciferae Jussieu.

Draba aizoides L. Czerwony Wirch.

Biscutella laevigata L. Giewont.

Hutchinsia brevicaulis Hoppe. Tłoczki Giewontu, Czerwonego Wirchu.

Hutchinsia alpina R. Br. Tłoczki Giewontu i Czerwonego Wirchu.

Dentaria glandulosa Wald. Kitt. Po Reglach wszędzie i niżej.

Cardamine hirsuta L. W dolinie pod Wysoką za Żabie-mi Jeziorami.

Arabis Halleri L. Koło potoków w Reglach wszędzie.

„ *alpina* L. Koło potoków w Reglach wszędzie.

„ *petraea* Link. Kościelec.

Lepidium alpinum L. Okolice Czerwonego Wirchu.

Cochlearia officinalis L. Lodowa Turnia.

Papaveraceae Juss.

Papaver alpinum L. dolina Kościeliska pod skałą Saturna. Czerwony Wirch.

Polygaleae Juss.

Polygala amara L. Zakopane, dolina Kościeliska.

„ „ β *alpestris* Rchbch. Dolina Kościeliska.

Ranunculaceae Juss.

Aconitum napellus L. Wszędzie po Reglach aż do krainy kosodrzewu.

Aconitum Stoerkeanum Rchb. Wszędzie po Reglach aż do krainy kosodrzewu.

Delphinium elatum L. Regle Zakopanego, Kościelisk.

Trollius europaeus L. Polany pod Pyszną i Czerw. Wirchem; pod Turnią Lodową.

Thalictrum alpinum L. Koło Morskiego Oka.

Anemone narcissiflora L. Lodowa Turnia.

„ *alpina* L. Pyszna, Rysy nad Czarnym Stawem, Zawrat, Lodowa Turnia, Grzbiety koło Pięciu Stawów.

Atragene alpina L. w Reglach Zakopanego i Kościelisk, wijąc się po jodłach i świerkach.

Ranunculus aconitifolius L. Między kosodrzewiną pod Giewontem, Pyszną, Magórą, Kasprową, Koperszady.

Ranunculus montanus Willd. Pyszna, Giewont, Świnica.

„ *alpestris* L. Giewont a czasami po żlebach pod Giewontem.

Ranunculus glacialis L. Kościelec. Swinica, Lodowa Turnia.

Pisałem w Krakowie,
d. 3 stycznia 1855 r.



KRONIKA LITERACKA.

Podróż na Wschód przez Maurycego Manna. Tom I, II i III. Kraków. 1854 — 1855. Nakładem i czcienkami drukarni Czasu.

(Nadesłano).

Temi dniami wykończono w drukarni „Czasu” odbicie trzeciego i ostatniego tomu „Podróży na Wschód” Maurycego Manna. Grube to dzieło, przeszło o półtoratysiąc stronnicach, ważnym jest nabytkiem w piśmiennictwie naszym, nader skąpo w gałęzi krajoznawstwa zasilaném. Polacy, może stosunkowo więcej aniżeli inne narody podróżować lubią za granicą, ale oprócz Anglików, oni pewnie jedni podróżują dla samej rozrywki chwilowej, a kto wie, czy nawet w tym względzie nie przewyższają jeszcze i Anglików. Zważyć bowiem trzeba, że Anglik, który siedzi w Paryżu, Rzymie lub Neapolu, niekoniecznie tam bawi li dla rozrywki, lecz i dlatego, że w Paryżu, Rzymie lub Neapolu taniej aniżeli w Londynie; a przeto pobyt zagranicą jest dla niego zarazem pewnym sposobem zaoszczędzenia się w wydatkach. Niemiec i Francuz jeździ po większej części za chlebem, czy on rękodzielnik, artysta lub autor; mało z nich który, i to chyba bogacz całą gębą, coby jeździł tak sobie dla zabawki, jako zwykle jeżdżą Polacy.

Gdyby jednak w tych tak częstych podróżach naszych wiodła nas zawsze żądza z bogacenia umysłu naszego: popęd też byłby nietylko moralnie usprawiedliwionym, ale co większa, chwalebnym. Wszelako tak nie jest. Z tysiąca podróżników biegnących z nad Wisły kolejami żelaznymi, za ledwie jeden się znajdzie, coby inny miał cel podróży, jak żeby wróciwszy do siebie uchodzić za człowieka, który słyszał tę lub ową śpiewaczkę, widział tę lub ową tancerkę, jadał obiady w pierwszej restauracji, przywiózł ze sobą kilka fraszek niosących na sobie niez-

wodną cechę miejscowości, nie mówiąc już o „manierach” ostatniej mody, zmieniających się z każdym krojem sukni, a które niekiedy same jedne stanowią pobudkę do ponowienia podróży; nie mówiąc o „bons mots”, powtarzanych ze czcią przez adeptów, jak niegdyś sentencje mędrców przez uczniów ich. Podróżnik taki cóżby mógł przywieźć za skarby nieznanne, którychby dzienniki, telegrafy, koleje żelazne, statki parowe, żurnale mód i almanaki illustrowane nie były już przyniosły? Nie zajrzał on głębiej w historią, w sztukę, w społeczeństwo: bo patrzył na świat nie oczyma duszy, lecz szkiełkiem lorynetki; smakował nie umysłem, lecz podniebieniem; czuł nie sercem, lecz nozdrzami.

A wreszcie cała wiedza ludzka podawaną teraz bywa w formie tak lekkiej i przystępnej, że ją wraz z chlebem powszednim bez przeładowania umysłu spożywać można. Mądrość z kazalnicy lub katedry zeszedłszy, rozprawia z cygarem w ustach w klubie lub kawiarni; ekonomia polityczna wyklada się w romansach, Vandyków zastępują fotografie, słońce nawet w postaci elektrycznego światła spuszczone z za kulis na drucie. Łatwość i taniość środków komunikacyjnych, przyjęcie jednego języka za język uniwersalny europejskiego towarzystwa, jednostajność odzieży, nawet mniejsze lub większe podobieństwo organizacyi społecznych zatarty tak dalece różnice narodowe, że ktoby chciał szukać świeżych wrażeń, innych ludzi, odmiennej sztuki, obcych obyczajów: słowem, ktoby chciał widzieć co nowego i nieznanego, musiałby tego wszystkiego szukać dziś już poza granicami Europy. Ale i tak spieszyć mu się wypada. Niezadługo świat europejski przesiąknie inne części świata, Europa zamalgamuje ze sobą zaledwie z imienia dotąd znane ludy: nauczy Beduinów po francuzku, Indyan po angielsku, Mongołów po rossyjsku; przebierze po swojemu, policzy, podzieli, spisze, opodatkuje i wyuczy tańczyć na woskowanej posadzce i broń nabijać na tempo. Potomkowie Inkasów noszą już białe krawaty na szyi i prowadzą książki handlowe; dzieci państwa Birmanów jeżdżą na wystawę przemysłową; a następca proroka skazującego kobiety na wieczne poddaństwo, podaje rękę marszałkowej St. Arnaud.

Chwytaj przeto kto może ostatnie szczątki upadającej indywidualności państw i narodów; ostatnie rodzime rysy i charakterystyki plemion i ludzi, zanim cywilizacya europejska nie położy na te barwy przyrodzone jednostajnego patronu konwencyonalności, i nie zamaże ich do szczeru. Kto chce widzieć jeszcze świat inny, niechaj się spieszy. Czas szybko bieży; ot parę lat zaledwie przeminęło, a Wschód już nie ten sam, jakim był dawniej; parę lat nie wyjdzie, a zaledwie zostaną z niego ślady przeszłości: pole dla poszukiwań archeologicznych.

Szczególnym trafem, autor „Podróży na Wschód“, której kilka tu uwag poświęcam, widział był kraje tém ogólnem mianem objęte, właśnie w przeddzień zupełnego ich przeobrażenia, jakie po długich procesach chemicznych, wewnątrz ich nurtujących, tak wyraźnie objawiać się zaczęło na ich powierzchni, za wmięszaniem się zachodniej Europy w spór rossyjsko-turecki. P. Mann zwiedzał Wschód w latach 1852 i 1853. Z pisarzy polskich on był ostatnim, co oglądał jeszcze blask zachodzącego słońca wielkości kalifatu: promienie jego już przestały razić, lubo atmosfera tchnęła jeszcze ciepłem tych promieni. Od chwili odjazdu p. Manna aż do dnia ukończenia druku dzieła jego, słońce to zaszło już całkowicie; dziś omal powiedzieć nie można, że nastąpiła pora nocna: kiedy zaś na nowo zadnieje na Wschodzie, nie będzie już Turcyi jako państwa Otomańskiego. Co tam w tém miejscu powstanie, nie wiemy; gdyby wszakże nazwa państwa tureckiego utrzymała się, to chyba jako pojęcie geograficzno-polityczne. Sam już względ na historyczną ważność chwili, w której p. Mann podróż swoją po Wschodzie odbywał, dodaje opisowi jój wiele wartości; ścisłość i prawda w podawaniu tego wszystkiego, na co własnemi patrzył oczyma, czynią to dzieło prawdziwem w swoim rodzaju źródłem.

Jeżeli jak powyżej powiedziałem, tak mało zpośród tak wielu podróżników polskich Zachód zwiedzających, przynosi z podróży swoich zapas wiadomości i nauki: to rzadcy zwiedzacze Wschodu mają natomiast obowiązek zdawać sprawę ze wszystkiego, co tylko rzucić może światło na znajomość tamecznych krajów i ludzi. W Europie, nianowicie zaś zachodniej, nie zdarzy się nic ważnego czy błahego, czego by za godzinę, za dzień, a wreszcie za tydzień nie wiedziano w najoddalszym jój zakątku. Wypadek polityczny i zwada szynkowa zarówno znajdą miejsce w tysiącach pism publicznych, począwszy od olbrzymiego „Times“ do małego „Kuryera Warszawskiego“, od poważnego „Revue“ do błazeńskiego „Charivari“: cała różnica polega tylko na sposobie i tonie przedstawienia. Codziennie przeto przynoszą nam w rozmaitych dozach i z rozmaitym zaprawą dzienniki to wszystko, co w Europie się dzieje; ale za to Wschód potrzeba zawsze jeszcze opisywać, potrzeba indywidualne swoje nad nim spostrzeżenia notować, jak gdyby nikt przed nami i po nas nie mógł tego powiedzieć: boć trudno przedstawiając całość chcieć się co chwila odwoływać do jakiegoś tam innego dzieła, albo rachować na to, że tą samą drogą pojedzie po nas kto inny, i pozbiera to, za czém się nam schylić nie chciało. Nie dziwi mię przeto, skoro znajduję w „Podróży“ p. Manna jedno i drugie, wiadome lub mniej może ważne;

owszem, mam mu za dobre, że niekiedy był nawet drobiazgowym, nie chcąc pominąć niczego, co miał pod ręką.

A potem są pewne drobne nieraz rysy, uzupełniające dokładność podobieństwa więcej, niż główne linie konturowe; wiedzą o tym malarze: lecz artysta tylko umie je tak położyć na płótnie, by przez nie uwydatnić to, co zamierzył. W dziele p. Manna pełno takich ustępów, czy wplecionych w tok działania, czy epizodowych; i snąc że wartość ich oceniać umiał, bo nie gardził by najdrobniejszymi; a rzucają one wiele światła na całość przedmiotu. Do części epizodowej lub dramatycznej dołożył i historyczną, co oczywiście już nie notatkom samym podróżnym, lecz książkom, i w ogóle nauce dziejów zawdzięcza; wszelako używał tego o tyle tylko, o ile zrozumienie obecności wymagało, pisał bowiem nie sposobem drogoskazowym, jak się piszą „Przewodniki pocztowe“. Na erudycją nie sadził się: ma ona swoją wartość w rzeczach jedynie całkiem nieznanymi; ale o Wschodzie znalazłby dużo dzieł, z których cytatai możnaby drugie takie trzy tomy zapełnić: użycie ich wszakże pozbawia autora niezawisłości własnego sądu, i dla czytelnika staje się w końcu nużącym. Chwilami pod wpływem wrażeń silniejszych znajdują się w dziele p. Manna pojawy uniesień lub kontemplacyi, bez popadnięcia wszelako w sztuczną napuszystość albo filozofowanie, czyli raczej rozumkowanie. Malując naturę unikał ogólników nibyto artystycznych, rzeczywiście zaś będących formułkami, z których wygląda zawsze szkolna ława retoryki, nie zaś potok uczuć wezbranych. Zawsze jednak więcej zajmowali go ludzie, niż drzewa i kamienie; więcej społeczne ich stanowisko, ustawy, prawa, obyczaje, stosunki, charakter, dzieje, niż obserwacye geologiczne lub flora krajowa; wiedział również o tym, że lada rycina lepiej przedstawi ruinę lub świątynię, niż najdokładniejszy opis architektoniczny; że lada dekoracya teatralna lepiej odda grę światła lub panoramę jakiejś okolicy, niż cały słownik wykrzykników, podziwu i uwielbienia. Jeśli mam jeszcze raz użyć porównania malarskiego, to powiem: iż dzieło jego nie jest galeryą krajobrazów, gdzie staffaż służy tylko dla ożywienia martwej natury; ale raczej natura stanowi tu tło obrazu, na którym się grupują w rozmaitych odstępach, i na rozmaitych planach te wszystkie tak wyraziste twarze Beduinów i Fellahów, Greków i Turków, Lewantynów, Druzów, Maronitów i czarnych Nubijczyków; panie, niewolnice i almeje, ulemy, derwisze i santony: ludzie wszelkiego rodu, stanu i wyznania, odmiennych obyczajów i stroju. Figury te pojawiają się raz jako aktorowie wielkiego dramatu, to znów w kółku domowego zatrudnienia, publicznie i prywatnie jako ogół lub indywidualium. Inaczéj samych z sobą, a znów inaczéj w zetknięciu się z Europejczykami; coraz to w innéj postawie, coraz to

inną stronę charakteru swego pozwalające oglądać. Żar południowego słońca nie tylko twarze ich zbrunatnił, ale i krew w żyłach do szybszego pobudził biegu; szeroki przestwor pustyni stał się nie tylko warunkiem gibkości ruchów ciała, ale i swobody ducha. Przyczyny zewnętrzne i wewnętrzne pobudki, wzajem na siebie działają. Jaskrawe te sceny wschodnie żywymi odmalował nam autor farbami.

Nie należy mniemać, by w dziele tém wad nie było; znać pośpiech, czasem zaniedbanie, niekiedy dokładność w drobiazgach utrudniająca pogląd ogólny: ale właśnie to wszystko wykazuje, że dzieło to powstało w drodze, od jej warunków bywało zawsze zawisłem, a za powrotem do domu wprowadzono tylko jakiś ład w notatki, uporządkowano je, i gdzie potrzeba historycznie objaśniono. Dlatego dzieło to nosi na sobie wyraźne piętno nie tylko miejscowości, ale i zmiennego usposobienia piszącego. Nie mówię tu tego na usprawiedliwienie p. Manna, ale owszem na jego pochwałę, bo w opisach krajów i ludzi szukamy koniecznie prawdy i wierności. Aby być wiernym i prawdziwym, nie można stanąć na jakimś tam absolutném stanowisku; ani też nie można poglądać na świat z wymarzonego lub wyrozumowanego punktu zapatrywania się, nie przez pryzmę uprzedzeń raz przyjętych, lecz w warunkach w jakich się jest. W opisie podróży chcę zawsze wiedzieć, co autor ma ze siebie, a co z drugich; co widział, a co tylko od kogoś słyszał; jeśli słyszał, niech powie od kogo słyszał. Wszędzie o ile można autor powinien być sam uczestnikiem, tak jak w „Pamiętnikach“; w romansie natomiast i w historii żeby go ani znać było. Z całego dzieła p. Manna przekonałem się, że tak pojmował obowiązki swoje i z nich się należycie też wywiązał. Nie kompilacja to książkowa wypracowana mozolnie przy stoliku, ale żywy obraz przemiennych na gorącym uczynku chwytyanych po drodze widoków, zdarzeń, spostrzeżeń, typów i portretów.

Rzadko wypadnie komu udać się w taką podróż bez poprzedniego przygotowania. Każdy podróżnik bierze ze sobą zwykle zapas przysposobionej ad hoc erudycyi, i przybywa na miejsce nasiąkły odczytanemi wrażeniami; wie, czego chciał, i czego ma szukać, i jakby tylko porównać mu wypadło, czy jego drukowany cicerone w czém nie chybił. Kto nie może wszelako znać Wschodu jak Layard albo Murray, lepiej uczyni, gdy tyle tylko pozna go z książek, ile mu było potrzeba w położeniu jego, gdy będzie mieć same jedynie ogólne o nim pojęcia, jakich mu nauka historyi i lektura publicystyki dostarczy. Wszystko nabierze wówczas dla niego powabu, a jeżeli weźmie się do pióra, to wrażeń tych swoich udzieli czytelnikowi niezamąconych resztkami przygotowawczych studyów, i praca jego będzie żywą jak rodzime źródło, z którego czerpał, nie zaś mдіą

jak woda przedestylowana. Bo cóż z tego, że w tej wodzie przepuszczonej przez ogień krytyki, najdelikatniejszy odczynnik nie odkryje obcych pierwiastków; kiedy woda straci cały smak swój przyrodzony, który ją czynił napojem orzeźwiającym.

P. Mann był właśnie w położeniu, że mu podróż na Wschód wypadła całkiem niespodzianie; kilka dni zostało mu do wybrania się, których musiał użyć na drogę do Berlina z Krakowa, a potem gonić towarzystwo swoje do Tryestu: nie było więc czasu zabierać się do studyów wschodnich, i niezawodnie na dobre mu to wypadło, daleko korzystniej, niż gdyby był obładował pamięć stekiem zdań cudzych, a podróżną tekę obszernymi wyciągami uczonych spostrzeżeń najslawniejszych orientalistów. Wybrał się w drogę z jednym tylko Radziwiłłem Sierotką: znać to z częstszych przytaczań go i obfitszych; warto bowiem było porównać, jakiego zaszły zmiany w ciągu wieków.

O pisaniu „Podróży“ jako dzieła, zdaje się, iż początkowo nie myślał; gdyż pierwsze spostrzeżenia swoje przysyłał w listach do felietonu „Czasu“, nawykłszy większą część pracy dziennikowi temu poświęcać. W ciągu dopiero drogi materiały rosły poza rozmiary dziennikarskiego sprawozdania, i zebrały się na grubą księgę. Nikt w kraju o listach tych nie wspomniał, bo wstyd powiedzieć, że tylko to miewa u nas niezaprzeczone powodzenie, co skandaliczne; najwytrawniejsze zdanie, najsumienniejsza praca przejdą bez rozgłosu. Pierwsze też słowo o listach p. Manna dało się słyszeć za granicą. „Ausland“, pismo odznaczające się doborem artykułów z literatur obcych, zamieszczało je w przekładzie; a Dr. Ziegler jeden z redaktorów głównych gazety augsburgskiej „Allgemeine Zeitung“ należyta oddaje mu pochwałę. Pochwała Dra Zieglera ma za sobą podwójną powagę: raz jako zdolnego publicysty, powtóre jako autora „Podróży na Wschód“, która się temi czasy pojawiła, a gdzie o p. Mannie, którego nawet nazwiska nie znał, zaszczytna jest wzmianka. Wzmianka też ta podała mi pióro do ręki, mnie, którym nigdy na sędziowskim krześle krytyka nie zasiadał; ale wstyd mię było, że nas obcy uprzedzać w tym muszą, co nam z porządku rzeczy przypada. Radbym zatem, by kto, że tak rzekę, piśmienniejszy i z przedmiotem lepiej obeznany wziął sobie z tego pochop do bezstronnego a gruntownego rozbioru dzieła, o którym ja tu w ogóle piszę, powodowany więcej ryczałtowém wrażeniem, aniżeli ściśłem rozpatrywaniem się. Pobieźnie więc zdanie moje powiedziawszy, nie wdaję się w porównanie „Podróży na Wschód“ p. Manna z „Pielgrzymką do Ziemi Śtej“ Imc księdza arcybiskupa Hołowińskiego, a oprócz niego nie znam w języku naszym innego dzieła świeższych czasów, o tym przedmiocie traktującego; chyba że wspomnę wyszłe

niedawno, lecz nie pamiętam pod jakim tytułem w Lipsku u Bobrowicza dziełko, które w formie epizodowych zapisków trąci niesmacznie napuszystą deklamacją, niby lirycznymi wytryskami uniesień i zapału, niezgodnymi z trybem doraźnego spisywania, dających się zresztą usprawiedliwić przez jedną lub dwie kartki, lecz dalej ani sposób.

Przyznaję, że „Pielgrzymkę“ metropolity mohilewskiego czytał, i to urywkami zaraz po wyjściu pierwszej edycji, żeby się z niej o tém i owém nauczyć, co mi o Palestynie nie było dokładnie znaném; trudnoby mi przeto było zdać dziś sprawę z ogółu wrażenia, jakie to dzieło na mnie uczyniło, a tém mniej w odniesieniu go do „Podróży“ Manna. Że zaś to ostatnie od deski do deski przeczytałem niemal za jednym zamachem, to przypisać potrzeba po części łatwój tego dzieła formie, a po części, i może najwięcej, owemu powszechnemu zajęciu, jakie dziś sprawa tak zwana wschodnia wzbudza. Wszelako dla tych nawet, co słusznie w dziele arcybiskupa Hołowińskiego oceniali ogrom wiadomości i krytyczne opracowanie przedmiotu, dzieło p. Manna obojętném być nie powinno; niekoniecznie żeby szukać w nich obu podobieństw i różnic pod względem sposobu przedstawienia i metody pisania, lecz że przeobrażenie Wschodu tak szybkim postępuje krokiem, iż kilkoletni odstęp między pobytem jednego i drugiego podróżnika, dodaje dziełu tego ostatniego wielkiej wagi. Zważyć tu także wypada, że dzieło ks. Hołowińskiego poświęcone jest głównie opisowi Ziemi Ś^tej, gdy tymczasem dzieło p. Manna zajmuje się całym Wschodem. W „Pielgrzymce do Ziemi Ś^tej“ odmalowany stan kraju i mieszkańcy okolic, będących kolebką naszej wiary, i ołtarzem, na którym spełniła się ofiara poświęcenia; w „Podróży na Wschód“ opisano wprawdzie i dość rozlegle Palestynę i miejsca święte, poświęcono im bowiem omal niecały tom drugi: ale okolice te nie stanowią wyłącznego przedmiotu dzieła, jakkolwiek wpłynęły głównie na cel przedsiębranój drogi. W „Podróży“ Manna, Palestyna i miejsca święte są tylko jedną częścią obszernego obrazu, w którym cały Wschód odmalowany jako świat odrębny od świata europejskiego. Jerozolima pod względem duchowym przedstawioną jest jako punkt zetknięcia się tych dwóch światów, gdy pod względem materyalnym jest nim Alexandrya. Konstantynopol tworzy jakoby marchię, którą zaboreczy Islamizm zapuścił w dziedziny europejskie, jakoby strażniczy zamek postawiony na gruncie na nieprzyjacielu zdobytym. Cywilizacja chrześcijańska wyprzec go wprzód musi z téj stacyi, zanim się na cały Wschód dobroczynnym rozleje potokiem. Konstantynopol zatem jest punktem zetknięcia się tych dwóch światów: wschodniego i europejskiego pod względem fizycznym. Chcąc przeto pojąć i zrozumieć dokładnie położenie Ziemi Ś^tej pośród

sprzecznych żywiołów, poznać potrzeba zarazem charakter całego Wschodu. Przystąpiwszy wprost do opisu Ziemi Ś^{tej}, du-żo pozostałoby niewyjaśnioném, co dopiero w ogólnym obrazie Wschodu w należyтім ukaże się światło. Ktoby przeto drugi tom dzieła p. Manna chciał uważać za wędrówkę do Ziemi Ś^{tej}, będzie mu wtedy piérwszy tom studjami przygotowawczemi, a trzeci poniekąd przypisami wyjaśniającemi.

Zmiany ogromne jakich Wschód ostatniemi zwłaszcza doznał czasy, skłoniły p. Manna do uzupełnienia dzieła swego obszernym dodatkiem, stanowiącym ostatni rozdział; gdzie dotknął wszystkiego, co tylko na zmiany te, od wyjazdu jego aż do chwili wydania ostatniego tomu wpłynęło. Ważny ten ustęp dzieła jest uzupełnieniem dokładnego opisu Wschodu, nie będąc wcale dziennikarskiém sprawozdaniem z wypadków zaszłych w ciągu dwóch lat ostatnich; dowodzi wszakże, iż autor krok za krokiem idąc za wypadkami, malował wpływ onych na społeczeństwa wschodnie w odniesieniu do znanego poprzedniego stanu jego.

Aby książkę swoją uczynić podręczną, dołączył autor spis przedmiotów abecadłowym sposobem, z odniesieniem ich do str. książki, ile razy o każdym z nich mowa.

Otóż taki jest krótki pogląd na dzieło, które z wielkiém zajęciem czytać się daje, tak przez tych co szukają nauki, jako i tych, co samą rozrywkę w książce znaleźć pragną. Rozrywka ta mimowolnie przyniesie im wszakże korzyść, bo łatwy i przystępny sposób przedstawienia rzeczy, przeplatanie opisów dyalogiem ożywionym, ciekawe epizody, i mnóstwo szczegółów zajmujących nie pokazują po sobie, że pod tą lekką lupiną leży jądro posilne.

Nie wdaję się tutaj w wyliczenie rozdziałów: rzecz to zmu-dna, a nie o wewnętrznej wartości nie świadcząca; powiem tylko, że autor zwiedził i opisał to wszystko, co pod ogólną nazwą Wschodu mieścić się zwykło, a mianowicie Egipt i Nubię, Syryę wraz z Palestyną, Konstantynopol z przeciwległym pomorzem azyjskiém, zlekka zaś potracił o Grecyę. Tam gdzie życie wschodnie w czystszej, a przynajmniej właściwszej przechowało się formie, był w opisach swoim szerszym; to zaś co więcej europejskiém już owiane powietrzem, zastanawiało go o tyle, o ile ciekawym był ten proces przechodni. Opisowi Ziemi Ś^{tej} poświęcił wiele stronnic, bo pisał dla czytelnika, dla którego ziemia ta ma cechę świętości i stanowi przedmiot czci religijnej. Religijność też prawdziwa i głęboka przebija na każdej karcie, nie dająca się omamić ponętą racjonalizmu, w co tak łatwo popaść, stojąc między rzeczywistością a legendą, między obecnością a podaniem. Z drugiej strony, religijność ta nie za-ciemnia bezstronności sądu i poglądu autora; prawdziwa bo-

wiem religia broniąc od indyferentyzmu nie popada w zagorzałość. Prawda absolutna w Bogu tylko spoczywa; człowiek nie powinien i nie może poczytywać siebie za nieomylnego jej tłumacza: ztąd różnica pomiędzy wiarą a wyznaniem religijném, między katolicyzmem a wszystkimi rodzajami negacyjnych wyznań. P. Maurycy Mann nie żywiąc tendencyjnych celów w dziele swojém, nie zeszedł wszakże na rozległe pole humanitarnych pojęć, lecz zachował wszędzie wyraźne piętno wiary swojej. Piszącemu o Wschodzie winna zawsze przyswiecać owa gwiazda, która przed wiekami wiodła trzech mędrców do źródła wszelakiej prawdy.

Msza Ferdynanda Dulckena.

Berlioz. — Muzyka kościelna. — Dulcken. — P. Sikorski i jego artykuł w nr. 116 Gazety Codziennój. — Rozbiór mszy Dulckena. — Pan Sikorski jako krytyk.

Adolf Adam pisze w artykule drukowanym w *l'Assemblée Nationale* z dnia 8 maja r. b., że pewien ksiądz doniósł swemu przyjacielowi, iż spowiadał młodego człowieka, który od czasu jak usłyszał *l'Enfance du Christ* Berlioza, nawrócił się zupełnie na łono kościoła. Niezawodnie jestto wielki tryumf dla sztuki i dla kompozytora.

Wieleżto razy zdarza nam się słyszeć mówiących, że muzyka wykonywana w czasie nabożeństwa w kościele jest szkodliwą, bo odrywa swym światowym wpływem uwagę od modlitwy! Nie sędzę, ażeby dobra i właściwa muzyka religijna mogła być komu przeszkodą w modleniu się, a przykład wyżej przytoczony dowodzi, że nietylko obojętnego, lecz nawet niewierzącego poruszyć, i na drogę zbawienną doprowadzić jest w stanie. Zresztą słabato modlitwa, z ust a nie z serca ona pochodzi, jeżeli jej dobra muzyka tylko roztargnienie sprawia.

Kościół, który od samego początku swego istnienia był niejako skarbnicą, przechowującą troskliwie owoce cywilizacji starożytnej, przedchrześcijańskiej, stał się najglówniejszą podporą i orędownikiem sztuk pięknych. Pod jego skrzydłem, rzeźba, architektura, malarstwo i muzyka rozpoczynają nową erę swjej świetności. Płody geniuszów powstałych z chrześcijaństwa, oswobodziwszy się z szaty zmysłowej, poczęły przybierać formę więcej duchową. Silna wiara w owych wiekach, bezustannie zwracała ducha ludzkiego do Boga: ztąd pomniki dzieł sztuki z owych czasów, czerpiąc natchnienie w czystém źródle

wiary i cywilizacji chrześcijańskiej, noszą na sobie piętno duchowe, boskie. Ze wszystkich sztuk pięknych, muzykę najwięcej kościół ukochał; mniej plastyczna a więcej duchowa jak inne, zdolniejszą się okazała do oddania różnorodnych posług kościołowi, a przyjąwszy udział we wszystkich obrzędach chwale Boskiej poświęconych, stała się z nimi nierozłączną; kościół też wielce się nią opiekował, jak świadczy bulla Jana XXII, troskliwego o czystość śpiewu kościelnego.

Bez zaprzeczenia, ze wszystkich rodzajów muzyki, religijna jest najtrudniejszą ze względu na duchowość i na środki, jakimi dzisiaj od czasów Palestryny, aż do Haydena, Mozarta, Bethowena, Mendelsona i Berlioza, zwykła się posługiwać. Mistrzowie ci wzniesli ją siłą swego geniuszu do najwyższej potęgi, używszy na jej korzyść wszystkich danych środków w sferze muzycznej, możebnych dla każdego w swoim czasie. Ztąd muzyka kościelna czyli religijna, musiała przybierać coraz większe rozmiary, to jest zacząwszy od prostego śpiewu kościelnego Gregoriańskiego, skończyć na olbrzymim dramacie muzyczno-religijnym, czyli oratoryum. Onito do owego jednotonowego śpiewu choralnego (plain-chant), później zwykle organem posługiwanego, wnieśli od czasów Carissimi pierwiastek dramatyczny, a w miarę kształcenia się i pojawiania coraz większej liczby instrumentów muzycznych, zdolnych koloryzować uczucia indywidualne kompozytorów na polu tak obszernym jak Pismo Święte, ten pierwiastek zawładnął powszechnie muzyką kościelną, a nawet stał się w niej niejako koniecznością. Czyż te świetne obrzędy zewnętrznej wystawy przez kościół przyjęte, owe symboliczne a pełne tajemnic ceremonie, mało w sobie zawierają uroku poetyczno-dramatycznego? Więc i muzyka tak ściśle z nimi spojona i zawsze im towarzysząca, musi być świetną i dramatyczną. Każdy ustęp mszy świętej, jako to: Kirye, Glorya, Credo, Agnus Dei i t. d. powinien mieć właściwą sobie cechę i koloryt muzyczny, stosowny do ducha i znaczenia swego; tak też dzieć się musi z większymi utworami, jakoto: siedm słów (Haydena), Męka Pańska (Elsnera), Paulus (Mendelsona) i t. p. Lecz właśnie ta różnorodność stylu, i większe użycie środków do jego wyrażenia, sprowadzają nieraz muzykę z przyzwyczajonej i właściwej drogi, przez nadużycia, jakiego się dopuszczają nieumiejętni lub niedoświadczeni. Nie każdemu przeznaczonem jest być Bachem, Haydenem, Bethowenem, Mendelsonem i t. d., więc nietylko za złe brać nie możemy komu, że pragnie w ich ślady wstępować, lecz nawet całe nasze współczucie winni jesteśmy tym, co tej drogi się chwytają, i rozpoczynają zawód kompozytorów z młodzieńczą pfnością w swe siły, tam, gdzie zwykle ci wielcy ludzie, po

długoj dopiero wędrowce swego życia, wiedzy i doświadczenia dochodzili.

Dzisiaj kompozytor, biorący się do napisania takiego dzieła jak msza na wielką orkiestrę i śpiewaków, musi posiadać w wysokim stopniu odpowiednią do tego naukę; nauki tej nabyć tylko można ciężką pracą, i pod dobrym kierunkiem odbytemi studjami.

Gdy więc jest należycie w teorię usposobiony młody kompozytor, wtedy może dopiero próbować praktycznego użycia swj umiejętności na niwie sztuki; a idąc za popędem natchnienia, obiera rodzaj odpowiedni wewnętrznemu swemu usposobieniu.

Te kilka uwag na myśl nam przyszły przy słuchaniu wykonanej powtórnie mszy T. Dulckena w kościele XX Augustyanów, przez najlepszych naszych artystów, pod kierunkiem dyrektora opery Quatryniego. Nie o wykonanie nam tu idzie: głównym celem niniejszego artykułu jest oddanie sprawiedliwości, i sprostowanie niektórych zarzutów, uczynionych przez pana Sikorskiego w nr. 116 Gazety Codziennj, młodemu kompozytorowi.

Pan Sikorski, od lat kilkunastu, jedyny u nas krytyk muzyczny, potrafił sobie zjednać znaczną liczbę czytelników, gotowych wierzyć we wszystko, co tylko z pod jego znakomitego pióra wyjdzie: ja sam, lubo niezawsze, podzielał sposób zapatrywania się recenzenta na wiele rzeczy tyczących się muzyki, umiem jednak cenić jego niepospolite zdolności władania piórem. Dlatego nie wierzę, ażeby szanowny autor powyższego artykułu mógł być tak dalece niesprawiedliwym względem Dulckena, ażeby się posunął do wynalezienia zarzutów ze wszech miar niemogących się stosować do tego ostatniego. Pan Sikorski musiał być mylnie zawiadomionym, i pospieszył podzielić się tém z czytelnikami swemi; zarzuty są nader ważne: bo położwszy je jako założenie do swego artykułu, tém samém łatwo było panu Sikorskiemu w dalszym jego ciągu potępić Dulckena.

Lecz najlepiej będzie przytoczyć własne słowa autora. P. Sikorski mówiąc o trudnościach i kosztach, na jakie narażonym bywa kompozytor chcący tego rodzaju dzieło u nas wykonać, powiada „że trzeba mieć albo powszechne a niewątpliwe u artystów uznanie, a więc rodzaj wpływu moralnego na nich; albo trzeba sobie zapewnić pomoc innemi materyalnemi srodkami, które znów tak są kosztowne, że daleko przechodzą możność niezamożnego zwykle u nas kompozytora. Dlatego zapal twórca schnąć musi w niejednych piersiach, lub butwieć w spisanej partyturze, która chyba dopiero na Józefata dolinie za zasługę komu policzoną będzie, na równi ze łzami, cierpieniem i nieza-

służoném sponiewieraniem” i t. p. Otóż wieść niesie, że p. F. Dulcken miał szczęście: znalazł życzliwych a chętnych do ofiary grosza przyjaciół, dla siebie czy dla sztuki (mniejsza o to) (?) i mszę swoją wykonał... Dalej, „że nie jest chrześcijańskiego wyznania członkiem.” P. S. zapowiada, „ze nie dlatego przystępuje do mszy Dulckena, ażeby ją troskliwie roztrząsać, zastanowić się nad każdym ustępem, bo z góry niemal przewidział, że z tej strony kompozytor nie dorosnie swego przedmiotu tak, by zadowolnić wyznawcę kościoła rzymsko-katolickiego; że praca p. D. najwięcej świetnością się odznacza, i dlatego pozor katolicki miewa raczej niż chrześcijański; ledwie kiedykolwiek błysnie myśl, za religijną mogąca być przyjętą. Wcałój mszy Dulckena nie znalazłyby się podobno dwa okresy obok siebie stojące, któreby istotnie do siebie należeć miały zamiar. Jeśli jeden rozważny i skończony, to drugi zaraz się szamoce, wije, na zahasaną wsiada modulacją, najczęściej bodąc ją ostrogą ulubionego autorowi akkordu (sextę zwiększoną) (?)”. W końcu recenzent powiada, że czy solo, czy chór, orkiestra p. Dulckena ma sobie za obowiązek w pełnym występować komplecie.“

Oto jest treściwe zebranie zarzutów poczynionych przez p. S. Dulckenowi; obowiązek nakazuje nam w imieniu prawdy i sztuki starać się o przekonanie wszystkich, którzy je czytali, o ile są prawdziwe i zasłużone.

Bolesno musi być temu, który poświęciwszy młodość swoją mozolnej nauce, nabywszy ją ciężką pracą, zyskawszy sobie pomoc przez uznanie swego talentu od chętnych zawsze do jej udzielenia tutejszych artystów; nadto, otrzymawszy od lubowników muzyki sympatycznych sobie, a gotowych zachęcać wszelkie szlachetne usiłowania, materialne wsparcie; jedném słowem: pokonawszy wszystkie trudności przewidziane przez p. Sikorskiego, w dodatku zostać przez niego w ten sposób skrytykowanym! — to boleśnie. To boleśnie i dla Dulckena, i dla nas, bo Dulcken jest dotychczas naszym gościem, bo kraj nasz głośny z gościnności, bo przez nią szcycimy się wielu znakomitemi ludźmi z zagranicy do nas przybyłymi, którzy poświęcili nam swe genialne nieraz usługi. Pomijam wielu innych, a wymienię tylko Elsnera, jako więcej mającego stosunku z przedmiotem niniejszego artykułu. P. S. posądza Dulckena o jakieś materialne korzyści, gdy tenże na konieczne wydatki jakoto: kopiaturową nut na całą orkiestrę i śpiewaków, tudzież na przesyłkę instrumentów i t. d. własny, ciężko zapracowany fundusz poświęcić jeszcze był zmuszonym. W dodatku p. S. robi go niechrześcijaninem, chcąc z góry wmówić w swych czytelników nieudolność Dulckena do napisania mszy katolickiej: gdy tymczasem on jest chrześcijaninem!...

Reszta zarzutów sama z siebie upada, gdyż recenzent będąc tak z góry uprzedzonym, nie miał już zamiaru, jak to sam wyraził, krytycznie rozbierać tego dzieła. A wielka szkoda, bo czyż możnaby brać za złe krytykowi, gdyby nawet był zbyt wymagającym i surowym? Dobra krytyka, pomimo swój ostrości, musi być zawsze korzystną dla autora: radą, nauką lub zachęceniem; tém więcej, jeżeli pierwsze dopiero swe dzieło daje pod rozwagę publiczną. Tak należało uczynić p. S. jedynemu u nas sprawozdawcy ruchu muzycznego, i właśnie nie uczynił tego, orzekłszy błędnymi przypuszczeniami i kilką lakonicznymi naganami kompozytora i jego dzieło. Powtarzam: wielka szkoda, bo sąd p. S. jest przez wielu cenionym, a w téj mszy, Dulcken dał dowody niezaprzeczone talentu i nauki.

Gdy ściślejszy rozbiór tego dzieła zabrałby mi wiele miejsca, ograniczyć się przeto muszę do wykazania główniejszych ustępów, nie narzucając swego zdania, i zostawiając wolny sąd tym, którzy je już słyszeli lub jeszcze usłyszą. Powołanie bowiem krytyka nie leży w absolutném wyrokowaniu, bo wrzeczy dzieł sztuki, jak to dobrze powiedział autor rozbioru Tomiry w Bibl. Warsz. r. b. „dosyć jest dokładniej oznaczyć samą ich treść, a wniosek taki lub inny, z własnego przyznania czytelnika, (lub słuchacza) ukształcić się musi.“

Pierwszy zaraz ustęp mszy Dulckena w tonie F mol, rozpoczynają klarynety, fagoty i waltornie; później wchodzi smyczkowe instrumenta, a z niemi łączy się chór, szerokim i poważnym stylem prowadzony. Przyczyna, dla której zdają się niektóre miejsca tego ustępu zbyt silnie instrumentowanemi jest ta, że metalowe, stosunkowo były mocniej obsadzone, aniżeli smyczkowe, czego dla braku miejsca na chórze niepodobna było uniknąć. To samo możnaby powiedzieć o następném Glorya, wyjąwszy tych miejsc, gdzie solowe głosy występują; tam ilość towarzyszących instrumentów zawsze jest zmniejszoną, a najczęściej do kwartetu smyczkowego tylko zredukowaną.

Po Glorya następuje *largetto*, tercet na sopran, tenor i bass; w tym numerze wszystkie metalowe instrumenta wyrzucone, a akompaniament powierzony został smyczkowym, z małemi wyjątkami dla innych dętych. Forma tego tercetu poważna, ściśle zastosowana do stylu przyjętego w tego rodzaju dziełach religijnych; ku końcowi jednak kilkakrotna zmiana tempa, czyni rytm jego wątpliwym. Lepiej w podobnych wypadkach chronić się o ile można od częstej zmiany, bo to nawet utrudnia wykonanie powierzone większej liczbie osób.

Zaraz po tercecie następuje fuga. Niezawodnie ze wszystkich form muzyki, fuga cztero-głosowa jest najtrudniejszą: potrzeba wiele pracować i umieć, potrzeba być bardzo biegłym w kontrapunkcie, ażeby ją tylko napisać.

W fudze kompozytor okazać może wszystkie skarby wiedzy technicznej: jestto węzeł gordyjski, jestto patent doktoryzacyi dla artysty, i fuga jest niejako konieczną w dziełach religijnych. Dulcken ułożył dwie: jedną do Glorya, drugą do Credo: pierwsza lubo posiada warunki przez sztukę wymagane, lubo umiejętnie nakreślona, że temat jęj przypomina owę sławną Bacha: b-a-c-h, wydaje się mniej oryginalną. Druga jest znakomitszą, lecz nim o nięj obszernięj powiem, muszę wspomnieć o ustępie poprzedzającym ją, to jest o chórze na same sopran y i alty.

Et incarnatus est. Prześliczny ten ustęp, ściśle formy religijnej, jest perłą i drogocenną ozdobą tęg mszy. Piękna melodia dobrze na głosy prowadzona, z towarzyszeniem tylko skrzypców a w końcu arfy, czynią go w całości bardzo oryginalnym i wdzięcznym. W ogólności Credo jest przez kompozytora bardzo pracowicie i starannie obrobione. Skład Apostolski podzielił Dulcken na kilka ustępów odmiennych w formie i w kolorycie muzycznym. Ta różnaitość szkodzi może nieco ogólnej całości; trzeba bezwątpienia posiadać więcj wprawy i doświadczenia, aniżeli to mieć może Dulcken, ażeby w tworzeniu podobnego ustępu, zachować pewną jednolitą całość. Et incarnatus est: Crucifixus etiam pro nobis i Et resurrexit, odznaczają się najwięcj starannęm obrobieniem, tak pod względem pomysłu jako i instrumentacyi, a finałem i wieńcem tego wszystkiego jest wielka fuga czterogłosowa: Et vitam venturi saeculi amen. Jest w nięj jędrność, siła, ogień, umiejętne prowadzenie głosów i szczęśliwa instrumentacya; napisanie podobnej fugi przyniosłoby zaszczyt każdemu kompozytorowi.

Ważniejszym jeszcze ustępem jest Benedictus: kanon na trzy głosy, sopran, tenor, i bass w tonie as dur. W tym numerze, jak i w niektórych poprzednich, instrumenta metalowe milczą, wbrew twierdzeniu pana S. „czyto solo, czy chór, orkiestra zawsze w pełnym komplecie ma sobie za obowiązek występować“: głównie tu tylko kwartet smyczkowy występuje, a następnie flet ma zadanie na tle krzyżujących się głosów i tremolo smyczkowém, grupować jak na kanwie swe przelotne passaże. W tęg miejscu zdaje mi się, dostatecznymby był akompaniament po jednym pulpicie; flet zyskałby na wydatności, albo zmienić, lub usunąć zupełnie, figurę klarynetową, która cokolwiek utrudnia wyrazistość dominującego instrumentu.

Ostatnim a zarazem i najlepszym ustępem z całej mszy Dulckena jest bez zaprzeczenia Agnus Dei. Jeżeli w poprzednich pozostawało co do życzenia, w tym niezawodnie i największy nieprzyjaciel Dulckena musi mu oddać sprawiedliwość. Jestem przekonany, że p. Sikorski nie słyszał tego

numeru, musiał pewno wyjść z kościoła przed jego rozpoczęciem, inaczej nie byłby go zaliczył pod ogólną rubrykę postępienia.

Melodya wzniosła na sopran, wybornie przez pannę Rivioli odśpiewana, przypomina styl najznakomitszych klasycznych mistrzów. Instrumentacja w niektórych poprzednich ustępach niewprawną, tutaj swobodnie i umiejętnie prowadzoną, przyczynia się wielce do podniesienia artystycznej wartości tego niepospolitego ustępu. *Dona nobis*, gdzie tylko arfa i smyczkowe instrumenta *pizzicato* towarzyszą solowemu głosowi, odznaczają się wejściem trombonów najszcześniejszego efektu, dowodząc oryginalności natchnienia kompozytora. W końcu daje się słyszeć *tempo di Kirye*, przez te same instrumenta co zaczynały mszę, lecz już w tonie majorowym, jak gdyby kompozytor chciał dowieść, że człowiek przystępujący z sercem strapionem, zboleiał, a z wiarą i gorącą modlitwą do Boga, pewnym może być pociechy, pomocy i zbawienia od litościwego Stwórcy wszech rzeczy.

Kto chce mieć prawdziwe wyobrażenie o tym pięknym ustępie, niech pospieszy go usłyszeć, jeżeli jeszcze kiedy będzie wykonany, bo wszelki opis nie da dokładnego pojęcia; zresztą nie idzie tu tylko o pochwałę, lecz o oddanie sprawiedliwości, a w tym względzie nie obawiam się wcale być posądzonym o zbytnią przychylność dla autora.

Jednym słowem, jeżeli w całej mszy Dulckena znajdują się słabsze miejsca, to trzeba mieć na uwadze, że jestto pierwsze tego rodzaju dzieło, młodego, bo zaledwie dziewiętnastoletniego kompozytora; a lubo jest on dostatecznie wykształconym w teorii na tak trudne przedsięwzięcie, brak mu jednakże wprawy na polu doświadczenia; lecz i tego z czasem nabędzie, a głębsze studyowanie znakomitych mistrzów, dobra krytyka, przy talencie niezaprzeczonem, jaki w tém dziele się przebija, dozwolą mu z czasem zająć nieposlednie miejsce w rzędzie poważnych kompozytorów.

Gdyby szanowny recenzent *Gazety Codzien.* z większą uwagą słuchał mszy D. pewnieby go nie obwiniał o nadużycie akordu *sexti* zwiększonej; jeżeli który z akordów częściej od innych daje się słyszeć, to pewnie *sekundowy*, przechodzący na *sextowy*, a nie *sextowy* zwiększony.

Niech mi przebaczy p. Sikorski, ale kończąc niniejszy artykuł, ośmielę się przy téj sposobności uczynić jeszcze kilka uwag, wywołanych dawniejszemi jego pismami.

Pan S. grzeszy najczęściej jednostronnem, to jest ujemnem zapatrywaniem się na przedmiot, o którym wierzącemu publiczności zdaje sprawę. Zapomina, że u nas każdy co umie, winien jest głównie swój pracy; talent z trudnością może się

rozwijać, gdyż mało bardzo mamy zdolnych nauczycieli, a szczególnie wyższej nauki, jakoto harmonii i kontrapunktu. Jeżeli krytycy zagraniczni surowo nieraz oceniają kompozytorów tamże dzieła swoje produkujących, to nie dziwnego, bo od mających więcej środków wykształcenia, więcej wymagają; lecz u nas, potrzeba względności na środki i siły mniejsze: bo niepodobna mierzyć jednym łokciem wartości wszystkich utworów, szczególnie, gdy jest mowa o młodych i począynających, a nie o mających już pewną uznaną wziętość lub sławę kompozytorach.

Dobry krytyk powinien iść wzorem tego ogrodnika, który kochając swój sad, z miłością opatruje dojrzałe drzewa rodzące dobry owoc, a młode latorosle troskliwie pielęgnuje, ażeby wzrastając, były w stanie również dobry pożytek przynieść w przyszłości.

M. K.



ROZMAITOŚCI.

Szczegóły wyświecające powody zerwania umów małżeńskich królowica Jakóba Sobieskiego z księżną Radziwiłłową Brandeburską.

Już w r. 1851 w *Bibliotece Warszawskiej* za miesiąc październik w *Opisie zaślubin królowica Jakóba Sobieskiego z księżniczką Neuburgską*, wyszczególniłem także wszystkie okoliczności, jakie z dowodów społecznych mogłem podówczas zebrać, względem wyjaśnienia przyczyn, smutnego dla majestatu polskiego i gwałtownego zerwania, umówionych związków małżeńskich tegóż królowica z margrabiną Brandeburską. Jakkolwiek przytoczane przeze mnie świadectwo, społecznego kronikarza doktora nadwornego Bernarda O'Connora, zdawało się wątpliwie wyświecać przyczynę, usprawiedliwiającą tak przerażający postępek, nie mając jednak wówczas lepszych dowodów, musiałem na tém poprzestać i ogłosić. Wyrazy bowiem ustępu z tego dowodu „księżna z Radziwiłłów Brandeburska spostrzegłszy księcia Karóla brata cesarzowy rzymskiej, niesłychaną ku niemu zajęła się miłością” i dalej nieco „przecież namówiła księcia Karóla, by o rękę jój prosił” nie przekonywały mię w zupełności, ażeby takiego dostojeństwa dama, miała aż *namawiać* do związków, już z królewiczem Polskim przez zaręczyny umowionych. Tak niskie położenie, jakie O'Connor przyznaje księżnie z domu panującego, nie mogłem i nie powinienem być wraz z wszystkimi, czytelnikami uważać, za główny powód zerwania tych układów. W braku jednakże wszelkich wiarogodnych, społecznych dowodów tej głębokiej tajemnicy, pozostawiłem dalszemu czasowi wyszukanie, rzeczywistych pobudek tego smutnego zdarzenia. Poszukiwania moje nie stały się bezowocne.

Na jednym z czwartkowych wieczorów numizmatycznych, jakie istnieją z pierwotnej myśli p. Karóla Bajera, znanego miło-

śnika dzieł i starożytności Polskich, tenże łaskawie mi udzielił do przejrzenia rękopis, tak zwany *Silva rerum*, od r. 1671 do 1729 różne zdarzenia naszego kraju obejmujący. Tego rodzaju pamiątki dziejowe, jak wiadomo, mieszczą w sobie i błoto i brylanty pomieszane. Do umiejętnego szperacza należy, wyciągać te ostatnie z kałuży, ażeby potęgą pożerczego czasu uniesione, nie uległy zupełnemu zniszczeniu. Wynałazłem więc w tym rękopisie kilka drogich pereł, w przedmiocie dziś opisującym, które stanowczo wyświęcają tajną dotąd sprężynę.

Wyjaśnienie téj zagadki stanu polega na liście dotąd nieznanym, który sam król Jan III do kanclerza W. Ks. litewskiego Marcyana Ogińskiego napisał d. 10 września r. 1688. Że Ogiński posiadał zaufanie i zbawcy Wiednia i ks: Ludwika Karoliny Radziwiłłowej, o tém przekonywa nas list jego z d. 11 listopada r. 1688 niedawno ogłoszony z archiwum nieświeżskiego (1). Żałować należy tylko, iż korespondencya tak margrabiny, jako i odpowiedź Ogińskiego do tegoż listu dołączone, uronione zostały przez niewiadomą rękę. To nas jednak naprowadza na domysł uzasadniony, iż wszelkie pisma dotyczące tego smutnego zdarzenia, dla kraju i rodziny Sobieskich, starannie usiłowano niszczyć, dla zatarcia nawet śladów. Tem większą przeto wartość nabiera list następujący króla Jana III, jaki obecnie z rękopisu wspomnionego dosłownie ogłaszamy wraz z tłumaczeniem w treści następującej:

Johannes III Dei Gratia Rex
Poloniae etc.

Cancellario Magni Ducatus
Lithuaniae.

Magnifice Sincere Nobis Dilecte!

Propter insitam a natura Philostorgiam quae in pectoribus paternis tantopere contineri non potest, quo minus satagat, si non prospicere ad minimum tamen benevelle sortibus filiorum non alium in finem Serenissimi Principis Jacobi Carissimi filii nostri primogeniti vota connubialia versus Serenissimam Marchionissam Brandeburgicam direximus, quam ut charissimam tot gravibus nec unquam interruptis exhaustam bellis patriam, quae pro solita in reges suos pietate et gratitudine spontaneo motu, circa procurandas regiae

Jan III z Bożej Łaski Król
Polski i t. d.

Do kanclerza Wielkiego Księstwa Litewskiego

Wielmożny szczerze nam miły!

Dla wrodzonej z natury najwyższej miłości, jaka w ojcowskich piersiach, o tyle nie da się ukryć ile mniej zadosyć czyni chcąc jeżeli nie zapewnić, to przynajmniej skutecznie zaradzić losom synów, ułożyliśmy nie w innym celu związku małżeńskie najjaśniejszego królewica Jakoba, najukochańszego pierworodnego syna naszego z margrabiną brandeburską, jak, żebyśmy dopomagając temu skojarzeniu, wsparli upadającą najdroższą Rzpltę, tylu krwawemi i ciągłemi wojnami znękaną, która dla stwierdzone-

(1) List 27 w tomie VI stron. 55 *Athenaeum* za r. 1848.

soboli provisiones sollicita esse solet, matrimonio isto opitulante sublevaremus. Et quidem huic intentioni nostrae, felix successus optime jam responderat, quando sub primo filii nostri charissimi conspectu, satis adhuc occulto, necdum propalato memorata marchionissa non tantum in vota concessit sponsalia sed et scripto obligatorio et sub damnis terrestribus, futuri matrimonii fidem spondit, eandemque litteris suis ad nos et Serenissimam Reginam consortem nostram blandum filiae nomen inducendo confirmavit, idque tanto efficacius, quanto minus dubitavit plura edere animi sui in partem nostram propensi documenta. Ecce Carolus Neoburgicus non tantum professa filii nostri carissimi vota dum etiam rem optimo eventu terminatam eversurus, velut ex insidiis aliena invasit sponsalia, casu et nomini nostro ex successibus peractis tanto graviore, quando profundior fuit corrivalis delitescens malitia, qui cum sat temporis habuisset, nostras avertendi contestationes, tertio demum die postquam filius noster charissimus Berolino discesserat eo pervenit ibidemque in mansione ablegati Caesarei qui de industria hunc in finem missus fuerat, per ejusdem capellanum domesticum peracto tam astute et clandestine copulationis actu ut ne quidem foeminae intimioris apud marchionissam admissionis, tam

go przywiązania i niewymuszonej wdzięczności ku swoim władzcom, przywykła jest starać się usilnie o wyjednanie opatrzenia potomstwu królewskiemu. W prawdzie szczęśliwy skutek już ten nasz zamiar uwieńczył, gdy rzeczona margrabini za pierwszym widzeniem się dosyć dotąd ukrytym i niejawnym, nietylko przyzwoliła na odbycie zaręczyn, ale też obligacją piśmienną, pod karami prawa ziemskiego (1) stwierdziła przysięgę małżeństwa zapewnienie, a nawet w swych listach do nas i najjaśniejszej królowej naszej małżonki pisanych, używając pochlebnego wyrazu córki tém skuteczniej przekonywała, im mniej wątpiła o silniejszym okazaniu dowodów swego przywiązania, ku nam chętnie skłonionego. Lecz wtém, Karól Najburczyk nietylko uroczyste objawione węzły małżeńskie, ale także i z najlepszym skutkiem już ukończony mając zniweczyć zamiar, jakby z zasadzek obce zaręczyny zgwałcił, tém dotkliwiej dla imienia naszego, im skrytsza była złoliwość czatującego rywala. Gdy bowiem dosyć czasu miał do odwrócenia naszych oświadczeń, trzeciego dopiero dnia, kiedy syn mój najukochańszy wyjechał z Berlina, do tego stopnia kroki doprowadził, iż tamże w mieszkaniu posła cesarskiego (2) umyślnie w tym celu wysłanego, przez swego dworu

(1) Dowód ten znajduje się w *Zrótłach do dziejów polskich* Alex. Przeddzieckiego i Grabowskiego T. I, str. 169.

(2) Prostuje się błąd E. Raczyńskiego, który w *Gabinecie medali polskich* T. II, str. 362 podał, że to miało miejsce w domu posła francuzkiego Rebenac.

celeriter ex omnium oculis elapsae, vestigia indagare possent, alieno et tecto et selecto usus id quidem vix salva honestate commemorari potest, quo magis cupida, eo magis furtiva Venere festinatum consumavit matrimonium. Exemplum profecto sine exemplo! quo non aliud luculentius tam quoad muliebris animi levitatem et inconstantiam, quam solertissimi inque fraudem Serenissimae domus ac familiae nostrae attentissimi ingenii malitiam postera exspectare secula. Non possumus hoc in passu succensere Serenissimo Electori Brandenburgico, qui non solum admonitione sua occultas quantum potuit provenerat insidias, dum etiam ausu tam impudente, inscio se pactos clandestinos amores, digna animadversione persecutus est, addito insuper mandato, ut illico ditionibus suis dicta marchionissa excederet. Hunc igitur leviter duntaxat adumbratum, cum magnitudo ejus sufficienter describi nequeat, dolorem nostrum quem communem habemus cum omnibus qui personam nostram, honorem ac fortunam domus nostrae regiae adeo propinqua necessitudine contingant ut mediante vinculo indissolubili sicut bona malaque Reipublicae ad nos, ita vicissim nostra ad ipsam pertineant. Fido pectori Sinceritatis Vestrae committimus prorsus confisi exinde proditura rediviva pristini zeli pro honore Principis documenta. Vestramque Sinceritatem pro muneris senatorii nexu quo Dignitati Nostrae Regiae ejusdemque commodis ac incrementis ob-

kapellana, po spełnionym tak podstępnie i tajemnie akcie ślubu, iż nawet damy przyboczne margrabiny, żeby śladów nawet nie mogły wybadać, zostały nagle dla niedostrzeżenia pooddalane, po użyciu i łoża i mieszkania, a nawet co zaledwie godzinie się tu wspomnieć dla przyzwoitości, z tym większą chucią, ile tajemniczą przyspieszone małżeństwo dopełnił. Przykład zaprawdę bezprzykładowy! w którym nic jawniejszego pod względem lekkomyślności i niestałości kobiecój, jak równie najprzebieglejszój złośliwości umysłu najbystrzejszego, na zdradę naszego najjaśniejszego domu i rodziny, przyszłe oczekiwać będą wieki. Nie możemy w tém zdarzeniu gniewać się na elektora brandenburgskiego, ten bowiem nie tylko swoim napomnieniem, tajne jak mógł oddalał zasadzki, ale także prześladowając kryjome miłości spełniane mimo jego woli z śmiałością tak bezwstydną, przydał rozkaz, ażeby rzeczona margrabini natychmiast z granic jego państwa wydalita się. Taką więc naszą zgryzotę, lekko tylko pokrytą, gdy wielkość jej dostatecznie opisać się nie da, podzielimy z tymi wszystkim, którzy tak ściśłym związkiem mają dotyczyć naszej osoby, majestatu i losu naszego królewskiego domu; przez węzeł bowiem nierozzerwany jak szczęście i przygody Rzpltej do nas, tak nawzajem nasze do Rzpltej należą. Wiernemu sercu Waszój Uprzejmości poruczamy dowody obrony honoru królewica, będąc zupełnie przeko-

stringitur in solatium regii capit-
tis, quod vigiliis suis omnium
vacationes redimere consuevit,
traditouque a majoribus exem-
plo in sinu aniuscuiusque civium
suorum recumbere non dubi-
tat, talia suppedituram remedia
quae toti manifestum faciunt
orbi ac posteritati, in libera
gente eundem esse regum quem
et civium honorem. Atque no-
strae neque pepercimus salut-
ti Reipublicae iuvandae gratia
dum et filium hunc nostrum car-
rissimum, casibus bellorum im-
molando de communi patria be-
ne mereri tanto studio allabora-
vimus ut prosperam nostri me-
moriam famamque in decus
commune totius Reipublicae
cessisse, ipsi etiam hostes agnos-
cant. Quae omnia consumatae
Sinceritatis Vestrae prudentiae
tenerrime commendamus, eidem
prosperam a Supremo Numine
exoptamus valetudinem.

Datum Pomeraniis d. 10 sep-
tembris anno 1688.

Któż po odczytaniu tego listu wątpić będzie, że to nie serce skrwawione ojca kreśliło go? któż z nim nie boleje razem nad zniewagą wyrządzoną majestatowi polskiemu? Któż wreszcie nie rozpozna czyjato była sprawka? Kiedy zaś i uczeni badacze nasi jak Raczyński (2) przypisywali to zdarzenie wpływowi raczej Francyi; kiedy spółczesni nawet kronikarze, bliżej osoby Jana III będący, przyznawali to jak O'Connor jakiemuś uniesieniu mi-
łosnemu księżny Radziwiłłowój; kiedy wreszcie Lubomirski mar-
szałek w. kor. w liście do Jana III (3) w tym przedmiocie, przy-

nani że z nich odżyje dawna gorliwość, a z urzędu senatora dla godności naszej królew-
skiej, jej korzyści i wzrostu, Wasza Uprzejmość obowiązuje się na pociechę monarszej oso-
by (przywykłej swoją pieczo-
łowitością pozbywać się wszy-
stkich chwil swobodnych, i nie-
wątpliwie spocząć mogącej we-
dle zwyczaju przodków na ło-
nie każdego z obywateli) tak
dzielne i mnogie dostarczyć
środki, które całemu światu
i potomności jawnie okażą, iż
w wolnym narodzie spólny jest
honor królów i obywateli. Nie
przepuściliśmy nawet naszej
krwi dla wsparcia Rzpltej, gdy
i tego najjaśniejszego naszego
syna poświęcając w niebezpie-
czeństwach bitew (1), usilnie
dla gorliwego jego zasługiwa-
nia się spólnej ojczyźnie pra-
cowaliśmy tak, iż nieprzyjaciele
nawet przyznają, że nieskażo-
ne imię i sławę ustapiliśmy dla
spólnej godności całej Rzpltej.
Co wszystko najdelikatniej za-
lecamy wzorowej roztropności
Waszej Uprzejmości i błagamy
Najwyższego Boga dla was o
czerstwe zdrowie.

Dano w Pomorzanach d. 10
września r. 1688.

(1) Znajdował się w bitwach pod Wiedniem i Parkanami.

(2) W dziele Gabinet medali polskich T. II, str. 362.

(3) Znajduje się w Pamiętnikach o dawniej Polsce T. IV, str. 494.

pisuje także tę sprawę Austrii: list dziś przez nas ogłoszony, żadnej wątpliwości nie zostawia, iż smutny ten wypadek był dziełem dworu Rakuzkiego, działającego przez ablegata naumyślnie na ten cel wysłanego do Berlina.

Serce ojcowskie Jana III, zbolełe dwukrotnie, bo i niewdzięcznością za ocalenie całego państwa austriackiego, szukało w wylewie swój zgrzyoty, podziału tego smutku z dygnitarzami kraju. Oprócz tego, nie mogąc lepszej ucieczki znaleźć jak na łonie religii, Jan III uciekł się w swoich zgrzyotach do tego jedyne go także środka. Znajdujemy bowiem w tymże rękopisie, z którego powyższy list wyjęliśmy, iż zaraz po nim jest napisany początek listu Jana Sobieskiego do papieża Innocentego XI. Że zaś w tymże samym przedmiocie był skreslony, spisujący *Silva rerum* po następującym początku: *Post oscula pedum beatorum Sanctitatis Vestrae meique regni ac populorum meorum humillimorum recommendationem. Gravissimus dolor pessundati humani divinique iuris inviolatis charissimi filii mei primogeniti etc.* Datum in Russia Javoroviae 1688 resztę listu opuszczając dodał tylko na marginesie wyrazy *in eadem materia*, nie chcąc się trudzić zapewne, przepisywaniem powtórnym tych samych szczegółów, jakie Jan III w liście powyższym do Ogińskiego zamieścił.

Że zniewaga taka dworu polskiego, musiała być rozgłosną w całej Europie, o tém nikt wątpić nie może; z jakiego zaś stanowiska tłumaczono ją w pismach spółczesnych, możemy powziąć przekonanie z dzieła dziś nader rzadkiego, pod tytułem *Historia Orbis*, w którym pod rokiem 1688 scholastycezm średniowieczny, chciał przyjść w pomoc w wytłumaczeniu tego smutnego zdarzenia, na mocy wyjątków z Enejdy i sielanek Wirgiliusza. W tym celu w rękopisie naszym, zamieszczono z powyższego dzieła wszystkie wyjątki piewcy Marona, zastosowane do zdarzeń w całej Europie zaszłych. Tu tylko zamieszczamy spolszczone te mniej znane wyjątki, które naszej polskiej sprawy dotyczą. Uosobione kraje i zdarzenia, jakie wprowadza autor samego dzieła, tak przemawiają z osobami w tym dramacie występującemi:

Polska.

Nimium gaudens popularibus auris,

Dzisiaj już nadto czuła dla poklasków gminnych.

(Enejdy VI w. 816) (1).

Królewic Polski przybywający do Berlina.

Regius, accitu chari genitoris, ad urbem

Sidoniam puer ire parat.

Wzywa ojciec do miasta kochanego syna.

(Enejdy I w. 681.)

1) Prztoczenia Enejdy są podług oryginału łacińskiego, spolszczenie wzięte z Dmochowskiego.

Księżna Radziwiłłowa do królewica.

..... nec conjugis unquam
 Praetendi taedas, aut haec in foedera veni
 Nie szukałam tu ślubów, wyznaję ci szczerze,
 Nie oddałam się nigdy w małżeńskie przymierze. (Enej IV w. 338).

Księżę Neuburgski przylatujący do Berlina.

..... vereor quo se Iunonia vertant
 Hospitia.
 Boję się zdraj Junony, a noc troski mnoży. (Enej I w. 671).

Księżna Radziwiłłowa do Neuburgskiego.

Solus hic inflexit sensus, animumque labantem
 Impulit.
 Ten jeden wzbudził czułość, ten ze swój posady
 Ruszył serce. (Enej. IV w. 22).

Na ich związek.

Speluncam Dido dux et Trojanus eandem
 Deveniunt.
 Przypadek odkrył ciemną w pobliżu jaskinię
 W niej Eneas i Dydo szukają ochrony (Enej. IV w. 165).

Damy honorowe księżny Radziwiłłowej (1).

..... conscius aether
 Connubii, summoque ulularunt vertice Nymphae,
 Wiadome błyska niebo, a na wierzchu skały
 Czyste Nimfy żalose jęczenia wydały. (Enej. IV w. 167).

Do Bielińskiego (2).

..... Potes hoc sub casu ducere somnos
 Nec quae circumstent te deinde pericula cernis
 Demens?
 Czy możesz noc przepędzać we śnie
 Nie znasz niebezpieczeństwa, które wyjazd nagli? (Enej. IV w. 560).

Bieliński.

Nec vates Helenus, cum multa horrenda moneret
 Hos mihi praedixit luctus.
 Ni Helen, że mię tutaj cios taki dopędza
 Nie ostrzegł w swoich wróżbach, ni Celeno jędza. (Enej. III w. 712).

(1) Według powyższego listu Jana III, zostały wszystkie usunięte przed zawarciem samego ślubu z x. Neuburgskim.

(2) Jan Franciszek Bieliński syn Adama z Sokołowa, wojewoda malborski został przez Jana III wysłany do Berlina, dla starania się u elektora o rękę Ludwiki Karoliny Radziwiłłowej, wdowy po margrabi Ludwiku synie Fryderyka Wilhelma.

Do Grawelliusza.

..... tu post carecta latebas
 ty za sitowiem ukrywałeś się. (Sielan. III w. 20).

Król Polski.

Necdum etiam causae irarum, saeloique dovres
 Exciderant animo.
 Niezatarcie i inne powody niechęci
 I srogich zgryzoł tkwią w żywej pamięci. (Enej. I w. 29).

Senatorowie do króla.

..... motos praestat componere fluctus
 ale pierwój musimy szturmy uśmierzyć. (Enej. I w. 139).

Wojewoda Poznański (1).

..... dux foemina facti
 Kobięta przywodzi. (Enej. I w. 368).

Poddani księżny Radziwiłłowój (2).

..... en queis consevimus agros
 wejcie! którymże zasialiśmy pola. (Sielan. I w. 73.)

Litwa.

De grege non ausim quicquam deponere tecum
 Z trzody nie odważyłabym się jaką sztukę w zakład zostawić.
 (Sielan. III w. 32).

Prusy do Elektora.

..... ut te post multa tuorum
 Funera, post varios hominumque urbisque labores
 Defessi adspicimus.
 Po klęskach i po tylu rycerzy pogrzebie
 Zniszczeni wojną, jeszcze oglądamy ciebie. (Enej. II w. 283).

(1) Rafał Leszczyński generał wielkopolski starosta wschowski, mosicki, odolanowski, syn trzeci Bogusława podkanclerzego koronnego, był także marszałkiem na dworze królów Maryi Kazimiry. Z listu Gałęckiego kasztelana poznańskiego w Athenaeum za r. 1848 T. VI. str. 54. wyczytujemy iż tenże Leszczyński na sejmiku w Szrodzie, najgorliwiej powstawał za pomszczeniem tój krzywdy orężem.

(2) Podług umowy przedślubnej królewicza Jakóba Sobieskiego z x. Ludwiką Karoliną w d. 25 lipca r. 1688 zawartej, wraze zerwania związków, wszystkie dobra tój margrabin, miały się dostać pierworodnemu synowi Jana III. Co jednakże nie przyszło do skutku za staraniami: elektora później króla pruskiego, i wpływem królowy Maryi Kazimiry na swego męża, a szczególnie przez zabiegi nienawistnych Janowi III Sapienhów.

Do Polski o królewicu Jakóbie.

Invenies alium si te hic fastidit Alexis

Znajdziesz sobie inną oblubienicę jeżeli ta wzgardza tobą.

(Sielan. 2 w. 73).

Z całego tego dramatu najinteresowniejszą rolę odgrywał Gravelius. Coto była za kreatura, czy poseł austriacki, czyli téż podstawiony przez niego intrygant do spełnienia niemych zamiarów?—mimo najusilniejszych poszukiwań nie mogliśmy wynaleźć. W żadnym bowiem słowniku biograficznym, w znaczniejszych nawet encyklopediach, nazwisko to nie mieści się. Że on nie mógł być ablegatem cesarskim, to przekonywa, iż jako taki musiałby być z znakomitszych rodzin austriackich, a tém samym byłby przynajmniej w jakiej obszerniejszej encyklopedyi. Według naszego mniemania opartego na liście powyższym Jana III, gdy dowiadujemy się, iż księżę Karol Neuburgski przybywszy do Berlina, miał z sobą kapelana nadwornego, tyle niezbędnego do ostatecznego skojarzenia, że zatém nie jako spektator szczęścia Jakóba królewica przyjechał do Berlina, jako spółczesny O'Connor utrzymuje: wnosimy, iż Gravelius mógł być właśnie spomnianym tym kapłanem. Jako duchowna osoba potrafił silnie wpływać z wielorakich powodów, na zmianę raz danego słowa, a jako zależny i życzliwy dla swego zwierzchnika, był w stanie wszelkie ułatwienia i indulta czynić na korzyść księcia Neuburgskiego. Bądź co bądź, powyższym dramatem mamy wyjawionego prawdziwego motora téj intrygi, która że była dziełem dworu Rakuzkiego, nie potrzebujemy już teraz udawadniać.

Jakie jednak były rzeczywiste sprężyny Austrii, ażeby ją skłonić do takiego przeciw dworowi polskiemu wystąpienia, te, jak łatwo każdy rozpozna, były dwojakie: korzyści majątkowe i polityczne.

Co do pierwszych. Wiemy z dziejów polskich jaką słabość posiadał Jan III, w zgromadzeniu skarbów dla swojej rodziny. Sąsiedzki dwór musiał doskonale znać, w jak bogatych pierzach domyślny następca tronu polskiego zostawał, przez nagromadzenie licznych skarbów Jana III. Księżna z Radziwiłłów margrabina Brandenburgska o władnęła także w dziedzictwie ogromny majątek już w Polsce, już téż za granicą. Połączenie tak wielkich skarbów nadzwyczajną przewagę materyalną nadawało Jakóbowi Sobieskiemu. Z drugiej strony cesarzowa niemiecka miała siostrę Amalią i brata księcia Karola Neuburgskiego, dotąd niepołączonych związkami małżeńskimi. Brata zaślubić z dziedziczką ogromnego majątku Radziwiłłów, siostrę wydać za następcę skarbów milionowych Jana III, byłto kęs bardzo smaczny dla podreparowania dworu Rakuzkiego, przez ustawiczne srogie wojny z Turcyą, Węgrami i Francyą zubożalego. Wiedziano

w Wiedniu o słabości Jana III dla swój połowicy Maryi Kazimiery, i to nie było tajnym dworowi Rakuzkiemu, jak królowa polska była czułą na brzęk złota i świetność majestatu tronowego, jak równie znaną była jój słabość, w wyłącznym przywiązaniu do syna Alexandra. Działać tém samym złotem, które się zdobędzie przez ożenienie brata z margrabiną, na pozyskanie drugiej połowy skarbów, przez wydanie siostry swój za Jakóba Sobieskiego, to było prawdziwem arcydziełem politycznym. Było dramat w dwóch oddziałach: rozwiązanie pierwszego podawało środki do dostąpienia drugiego. Otrzymawszy zaś oboje, wydarto z ręki Jana III najbogatszą palmę, jaką na polu zwycięstw krwią własną okupywał. Cała bowiem massa bogactw, jaka miała pozostać na dworze polskim, przeszła przez dwa połączenia małżeńskie ks. Karola Neuburgskiego z margrabiną Brandeburską i Jakóba Sobieskiego z ks. Amalią siostrą cesarzowej rzymskiej, zupełnie w ręce dworu austriackiego, a przynajmniej pośrednio do niego wpłynęła.

Co do widoków politycznych, doskonale wiedziano w Wiedniu, jak dwór brandeburski, wzrastał w potęgę co do bogactw i znaczenia. Połączenie Polski z dworem elektorskim, a wkrótce królewskim, ogromną przewagę nadawało Polsce nad Austryą, tyła wojnami znękaną i zubożałą. Z drugiej strony elektor sam przez się silny, przez połączenie z dworem polskim, olbrzymią potęgą górowałby nad Austryą. Z dwóch stron więc groźnemi ścisniętą sąsiadami, Austrya ani powstać, ani wybrnąć z upadku swojego nie byłaby w stanie. Przez połączenia zaś nastąpione z jednej strony z elektorem brandeburskim a w 12 lat potem królem pruskim, z drugiej strony z dworem świetnym zwycięstwami Jana III, Austrya wyżej się wzniosła nad obadwa sąsiedzkie państwa.

Dowody przez nas dziś przedstawione, w połączeniu z licznymi wiadomościami, jakie dziejopisarze nasi już nam o tém podali, uzupełniają cały dramat zerwania związków królewicza Jakóba Sobieskiego z margrabiną brandeburską.

W tym samym jeszcze rękopisie, znajduje się kilka bardzo ważnych nieznanych listów, dotyczących rodziny Sobieskich, a mianowicie jeden obszerny samego króla, a dwa syna jego najstarszego, które ponieważ do naszego przedmiotu nie należą, ogłoszenie więc ich pozostawiamy do dalszych prac naszych.

Pisałem w marcu 1855 r.

Alexander Wejnert.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1855.

1. Biszen i Menisze. Ustęp z Firdusiego poematu Szach-Namech. Przekład Lucyana Siemieńskiego 12ka. Warszawa. 1855. W księgarni I. Klukowskiego (druk S. Strąbskiego). Kart 2, str. XXXII i 94. Kop. 60.

2. Corregio. Dramat w pięciu aktach Adama Oehlenschlaegera. Przełożył wierszem Bolesław—Wiktor (St. Budziński). 8ka wielka. Warszawa. 1855. Druk Gazety Codzienniej (w komisie księgarni H. Natanson). Kart napis. 2 i str. 130. Kop. 75.

3. Diabeł. Powieść z czasów Stanisława Augusta przez J. I. Kraszewskiego, (wydanie poprawione i przerobione przez autora). 4 tomy we 2ch. Z godłem:

„Kiedy tak dobrze trzymasz o twoim narodzie, dla czego narzekasz na obyczaje jego?”—„dlatego właśnie, że o nich nie rozpaczam.

Mowa Winc. Turskiego, 7 Grud. 1789 r.

12ka. Wilno. 1855. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Tom I. str. 326, II. 418. (Dedykacja J. Kremerowi).

4. Gawędy i notatki z podróży. Przez Oskara Flatt. 16ka. Warszawa. 1855 (nakład autora). Druk Gazety Codzienniej. Kart 3 i str. 185. Kop. 60.

5. Jadwiga i Jagiello, 1374—1413. Opowiadanie historyczne przez Karola Szajnochę, 8ka. Tom I. Lwów. 1855. Nakład Karola Wilda (druk zakładu Ossolińskich). Napisów i rejestru kart 4 i str. 384. Rsr. 3 k. 60.

6. Kęs chleba, gawęda z pól nadniemeńskich, przez Władysława Syrokomlę. 16ka. Wilno. 1855. Nakład i druk T. Glücksberga. Napisów, przypis. i przedmowy kart 4 i str. 72.

7. Książka dla rzemieślnika przez Stanisława Jachowicza. 16ka. Warszawa. 1855. W drukarni Gazety Codzienniej, (główny skład w księgarni Ig. Klukowskiego). Kart 4 i str. 132. Kop. 30.

8. Miscellanea przez Juljusza hr. Strutyńskiego. 12ka. Wilno. 1855. Nakład i druk T. Glücksberga. Napisów i przypis. kart 3 i str. 184.

9. Nasze strony i nasi ludzie. Zbiór powieści historycznych, obrazków tegoczesnych, wspomnień i życiorysów. Przez Antoniego Wieniarskiego.... 3 tomy. 16ka. Warszawa. 1855. Nakład W. Rafalskiego, (druk Jaworskiego). Tom I. str. 307, II. 257; III. 252. Rsr. 2 kop. 70.

10. *Nouvelle Chrestomathie française ou recueil de morceaux choisis des meilleurs écrivains français, gradués et mis en ordre par V. Dénoix. Professeur de langue française, inspecteur des écoles privées. 12. Varsovie. 1855. De l'imprimerie de la Gazette Quotidienne.* Kart 2 i str. 264. Słowniczka fran. pol. str. LIV i rejestru kart 3. Kop. 90.

11. Obrazki Ukraińskie przez Aleksandra Grozę. 12ka. Wilno. 1855. Nakład i druk T. Glücksberga. Napisów i rejestru kart 3, i str. 160.

12. O dowodach stanu familijnego, ich rodzaju, istocie i właściwości. (Na końcu dziełka podpisał się autor, August Heylman). 8ka wielka. Warszawa. 1855. W drukarni Gazety Codzienniej. Karta 1 i str. 39. Kop. 45.

13. O drzewie i jego użytkach, przez Benedykta Alexandrowicza. (Cena egzemplarza rsr. 1 kop. 80, złp. 12). 8ka. Warszawa. 1855. W drukarni Gazety Codzienniej. Napisów kart 2, Przedmowy str. VII i 391. Rejestru kart 2. Do stron. 4 dołączono 1 tabelę drukowaną; do str. 214 tablic 4 litograf. i 1 druk.; do str. 256, 2 tabl. lit.; do str. 343 ta-

blica lit. a do str. 352 tabella in fol. drukowana. Oprócz tego są w texcie drzeworyty). Rsr. 1 kop. 80.

14. Ojciec nasz. Dziewięć kazań przez księdza Leopolda Otto. 8ka. Warszawa. 1855. Nakład G. Sennewalda. (druk J. Ungra). str. 91. (do str. VI znaczone rzymskimi liczbami). Kop. 50.

15. O Kościele Świętej Katarzyny na Kazimierzu przy Krakowie. (Odbitka z Bibl. Warsz.) 8ka. Warszawa. 1855. W drukarni Gazety Codzienniej. Str. 35.

16. Pobieżna instrukcja wychowu jedwabników w głównych zarysach podana. (8ka. Warszawa. 1855. Staraniem i nakładem Warsz. Spółki Jedwabniczej, w drukarni Gazety Codzienniej). Str. 11.

17. Podarek dla ludu wiejskiego, czyli wieczorne opowiadania starego Bartłomieja. Zebrane przez księdza Józefa Osieckiego. Na dochód zakładów: Świętego Wincentego a Paulo, Cerowni i Schronienia Opieki N. Maryi Panny. 12ka. Warszawa. 1855. Nakładem J. H. K. (*imiona*), w drukarni Gazety Codzienniej. Napisów i rejestru kart 4 i str. 156. (Str. I i II rzym. liczb.). Kop. 50.

18. Pamiętnik sztuk pięknych. Zbiór wiadomości potrzebnych i pożytecznych miłośnikom i zwolennikom sztuki. Rysunkami objaśniane. Ze szczególnym względem na rzeczy krajowe. Wydawany pod kierunkiem Bolesława Podczaszyńskiego, budowniczego, nauczyciela przy Szkole sztuk pięknych w Warszawie. Tom 2gi część 1sza. 4ka. Warszawa. 1855. Nakładem wydawcy, druk Gazety Codzienniej. Stron. 40. (Z 2 rycinami i drzeworyt.). Kop. 75.

19. Postępowi. Powieść przez Henryka Cieszkowskiego. 16ka. Warszawa. 1855. W drukarni Gazety Codzienniej. Kart 2 i str. 349. Rsr. 1 k. 20.

20. Powieści i opowiadania Józefa Korzeniowskiego. Serya druga. Scena na balu. Pojedynek. 12ka. Wilno. 1855. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 276.

21. Powieści i opowiadania Józefa Korzeniowskiego. Serya trzecia. Jedynaczka. Dwa śluby. 12ka. Wilno. 1855. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 275.

22. Stara panna. Powieść współczesna, przez Kazimierza Bujnickiego. 12ka. Wilno. 1855. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 336. (Dedykacja J. I. Kraszewskiemu).

23. Tomira. Misterjum, przez Deotymę. 8ka. Warszawa. 1855. W drukarni Gazety Codzienniej. Str. 84. Kop. 90.

24. Trapezologjon. Historyjka przez J. I. Kraszewskiego. 8ka. Warszawa. 1855. Nakład i druk J. Ungra. Kart 2 i str. 192. Rsr. 1.

25. Ułana. Powieść poleska przez J. I. Kraszewskiego. Wydanie drugie. 16ka. Petersburg i Mohilew. 1855. Nakładem B. M. Wolffa (druk Gazety Codzienniej w Warsz.) Kart 2 i str. 191. Rsr. 1.

26. Uniejów. Szkic historyczno-statystyczny przez L. P. Witkowskiego. 8ka wielka. Warszawa. 1855. W drukarni Gazety Codzienniej. Str. 21.

27. Ulotna broszurka wesołego piórka. Przez Macieja Biedosza.

Który chce zarwać grosza
Do swój pustej kieszeni,
Mozolić się nie leni.

Ze śpiewkiem, rycinką, dowcipkiem, morałkiem, z śmieszkami, żartami, słowem wszystko całkiem. (Na okładce tytuł odmienny: Garbulek na dożynkach, czyli wesoły wieczór z tańcami i sztukami. Humorystyka. W dwóch częściach). 8ka. Wilno. 1855. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. 126. (Z ryciną).

28. Ustawa Spółki Jedwabniczej. 8ka wielka. Warszawa. 1855. W drukarni Gazety Codzienniej. Str. 31.

29. Wist Kaleniak. Zasady do licytacji i obliczania gry wista Kaleniaka. 8ka. Warszawa. 1855. W drukarni Gazety Codzienniej. Str. 8.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Zakład litograficzny M. Fajansa przygotowuje obecnie zeszyt IX Wizerunków polskich, który ma obejmować i text do VIII. Widzielismy z tego zeszytu portret Alexandra Lessera znanego malarza, odznaczający się tak trafnością jak i pięknoscia odbicia. Toż powiemy o portrecie Wojciecha Jastrzębowskiego, zasłużonego profesora Instytutu agronomicznego w Marymoncie.— P. Fajans już w odbiciu wykończy kalendarz ścienny na r. 1856. Grupy symboliczne przedstawiające cztery pory roku, raz na czele w postaci dziewoi wiejskiej, niewiasty młodej, i obciążonej wiekiem, jak następnie obrazki oracza, kosiarza, łowów z chartami, i sannej przyjażdżki, są wybornie wykonane. Układ całego kalendarza pełen smaku artystycznego, przewyższa w roku zeszłym wydany. Dla hr. Eustachego Tyszkiewicza wykończy zarazem ten zakład ryciny, przedstawiające świetne łupy na Karolu Gustawie, przez Stefana Czarnieckiego zdobyte w Rudniku.

— Donosiliśmy, że p. Seweryna z Zochowskich Pruszkowa ukończyła poemat w obszernych ramach p. n. „Sebastian Klonowicz”. W Gazecie Warszawskiej (nr. 219 r. b.) czytaliśmy ustęp z poematu tejże treści p. n. „Zgon Acerna” (Klonowicza) Wł. Syrokomli: ciekawe więc będzie porównanie tych dwóch utworów.

— Wydawcy warszawskich kalendarzy już się zabierają do ich druku. Dany popęd przez St. Strąbskiego, który pierwszy zmienił formę gospodarskich kalendarzy na roczniki więcej literackie, obudził współzawodnictwo: piękne a błogie tego owoce już mamy. W jego ślady poszedł typograf Józef Ungier, i po części dorównał swemu wzorowi; za temi stanął Jan Jaworski typograf także, i zdaje się że w tym roku dobozem materiałów wszystkich prześcignie. Nietylko bowiem bogaty ma zasób doborowych artykułów literackich, ale cała część astronomiczna, będąca dawniej główną ozdobą kalendarza St. Janickiego, tu weszła: wiele prócz tego co do samego wydania ulepszeń zaprowadził. W kalendarzu J. Ungra pomiędzy innymi będzie historia ulic warszawskich, oraz objaśnienie, z kąd każda nazwę swą wzięła: rzecz ciekawa i ważna. Ma wyjść także i Rocznik St. Strąbskiego. S. Orgelbrand wydaje także Kalendarz Powszechny. Wiele innych, które w dawniej starsowieckiej formie pozostały, ogłoszone zostaną. Licząc ogólną liczbę egzemplarzy wydrukowanych w samej Warszawie kalendarzy, ta przeszło 30,000 egzemplarzy przenosi. Można przeto osądzić, jaki to ruch między wydawcami, piszącymi, i drukarzami obudza, i jak wielką ilość papieru same kalendarze zużytkują rocznie.

— Wacław Szymanowski drukuje w Dzienniku Warszawskim „Literaci Warszawscy”: sąto obrazki z czasów pierwszego jego wstępu w zawód literacki. Po ukończeniu druku w Dzienniku, całość ma wyjść w oddzielnej książce, nakładem księgarza Bernstejna.

— P. Fr. Drewnowski urzędnik Kommissyi Rządowej Przychodów i Skarbu wydał: „Tablice z potrzebnymi objaśnieniami, na zasadzie prawa stęplowego i rozwijających one przepisów ułożone, dla ułatwienia obliczenia opłaty stęplowej przy wszelkich czynnościach notaryalnych i licytacyjnych.” Warszawa, 1855 r. w drukarni J. Ungra. Cena rsr. 1.

— Pamiętnika religijno - moralnego tomu 19 wyszły dwa zeszyty, 1-szy i 2-gi. Pośród innych religijnych rozpraw, wyczytujemy z rzeczy krajowych wiadomość historyczną o kościołach parafialnych w dekanacie zakroczymskim dyecezyi płockiej; dwa nekrologi: ks. Andrzeja Mulzów prałata katedry w Włocławku; i ks. Radziszewskiego

kustosza katedry w Janowie i administratora dyecezyi podlaskiej: oraz ciekawą i zajmującą rozprawę p. n.: Cokolwiek o pauperyzmie w kraju naszym."

— Hr. Włodzimierz Stan. de Broel Plater, zajmuje się ułożeniem i wydaniem „Archeotyki polskiej.” Do tego nader rozległego rozmiaru zbioru, gotowe już są: Listy króla Leszczyńskiego i jego żony Katarzyny, do Adama Tarły. Listy Stanisława i Ignacego Konarskich. Pamiętniki o książętach i księstwie dobrowieckiem. Listy Eustachego Wołłowicza biskupa wileńskiego do Mikołaja Krzysztofa księcia Radziwiłła. Korrespondencye Jerzego ks. Radziwiłła kardynała. Pisma Tadeusza Czackiego tyżące się gimnazjum Wołyńskiego (Krzemieńca), które służyć mogą za dopełnienie do 4 tomów Korrespondencyi H. Kołłątaja. Listy ks. Stanisława Reszki i Patrycego Nideckiego archidyakona wileńskiego do kardynała Radziwiłła; wreszcie listy Sniadeckiego. Osńskiego Aloizego i wiele innych.

— Równocześnie wykończoną w rękopiśmie, i przygotowaną do druku, przeglądaliśmy bardzo ważną pracę w tym rodzaju, bo „Słownik górniczy i rzemiosł kruszcowych przez Hieronima Łabęckiego.” Jest on słownikiem technicznym tych wszystkich wyrazów, które górnikowi wiadomymi być powinny. Dlatego prócz nazw głównego zatrudnienia kopalń i hut, są tam wyrazy z nauk przyrodzonych o ziemi i minerałach, z nauk ścisłych zwłaszcza stosowanych w budownictwie górniczem, w machinach, wreszcie z rzemiosł około kruszców pracujących.

Słownik ten górniczy polski jest kilko-językowy, i zawiera wyrazy odnoszące się do następujących przedmiotów: mineralogia, geologia, skamieniałości, kopalnictwo, miernictwo kopalniane, płóćki, tłuczki, węglarstwo, hutnictwo żelazne, cynkowe, tudzież innych kruszców z ołowiu, miedzi, srebra; mincarstwo, probierstwo, warzenie soli, maszyny w kopalniach i hutach używane, rzemiosła głównejsze kruszcowe, jakoto: odlewnie, kowalstwo, kotlarstwo, wyroby stalowe, ślusarstwo, tokarstwo, blacharstwo i t. d. wreszcie prawo górnicze. Treść i układ słownika:

Tom I część polska. W niej wyrazy polskie ułożone są porządkiem abecadłowym; obok głównego wyrazu, stoją równo i blizkoznaczne: pochodzenie jego, czy teraz używany, przez kogo i gdzie użyty, od jak dawna wprowadzony; określenie znaczenia lub znaczeń, opis własności, składu, wymienienie części, podziały i inne wiadomości łączące się z wyrazem. Potem następują wyrazy odpowiadające głównemu, w językach rosyjskim, francuzkim, niemieckim, prawie zawsze w angielskim, a gdzie źródłosłów tego wymaga, i innych języków; nade wszystko przywodzone są wyrazy czeskie, czy to jako źródłosłów, czy jako skazówka. Wyrazów słownikiem tym objętych jest przeszło 8,000.

Tom IIgi obejmuje części: rosyjsko-polską, francuzko-polską i niemiecko-polską. W abecadłowym porządku stoją wyrazy tych trzech języków obok ich równo i blizkoznacznych, i tłumaczenie każdego na polskie.

Tom ten zamyka słowniczek łacińsko-polski, czyli raczej glossarz popsutej łaciny górniczej od XII do XVI wieku, jaka używaną była w dyplomatach, dokumentach i aktach górniczych naszych z tych wieków; wyrazy te nie znajdują się w słownikach łacińsko-polskich (np. Bobrowskiego), i zwykle nie są objęte glossarzem średniowiecznej łaciny Francyi i Niemiec przez du Cange.

Glossarz ten górniczy zawiera skazówkę wieku, w którym glossa (t. j. wyraz łaciński Rzymianom nieznanym), była używaną, a przy wywodzie jej znaczenia, a częstokroć słowiańskiego pochodzenia, rzuca światło na wiele ciekawych szczegółów starożytności krajowych.

Słownik ten układał autor ćwierć wieku.

Główne źródło stanowi: język ludu górniczego, bo co z nazw własnego pochodzenia w ustach prostego górnika się utrzymało, nie-

wątpliwie nosi piętno swojskości. Autor mając ciągle zetknięcie z tym ludem w kopalniach i hutach pracującym, starał się oswobodzić język ich z obczyzny, którą z czasem zarzucony został przez napływ rzemieślniczych wyrazów niemieckich; przy spółdziałaniu urzędników górniczych, a nadewszystko samych górników, dało się to nareszcie dokonać. Ten język tym sposobem wyrobiony, ujednostajniony, wykształcony i w życie wprowadzony, przedstawia nasz słownik górniczy. Nie godzi się pominąć, że dawne akta górnicze: olkuskie, wielickie, checińskie, posłużyły do odgrzebania dawnego języka górniczego czystopolskiego, zanim on wpływowi niemczyzny uległ, a ten dawny język po największej części dał się do życia przywrócić. Żadne dzieło polskie czy dawne, czy nowsze, a nawet żadna broszura w związku z górnictwem lub naukami przyrodzonymi będąca, nie została pominięta; z każdej czerpano.

Długa to i mozolna praca, którą z wytrwałością i silną wolą uskutecznić trzeba było.

— Olejny portret, niezawodnie autentyczny Stefana Czarnieckiego, przywieziony został do Warszawy do odnowienia, i oddany p. Bonawenturze Dąbrowskiemu znanemu już chlubnie artyście naszemu. Właściciel tego portretu p. Xawery Ostrowski, umiejący cenić wszelkie pamiątki krajowe, zachował od zniszczenia ten ważny, a może jedyny, bo współczesny wizerunek bohatera. Czarniecki jest tu przedstawiony w naturalnej postaci niemal do kolan. Twarz surowa, poważna, rysy wyraziste, staropolskie. Rana na prawym policzku widoczna. W górze po prawej stronie obrazu herb Łódzia: po lewej, widelec przy głowie, znak czujności. Ubiór polski, delia na wierzchu, buława w ręku. Wprawdzie żadnego napisu pod grubą jeszcze powłoką brudu nie dostrzegliśmy: być może, że po oczyszczeniu znajdzie takowy p. Dąbrowski. Wszakże nie ulega wątpliwości toż samość postaci wojownika, bo ten obraz, jako pamiątka familijna, wraz z podaniem, przeszły w jednej rodzinie do ostatniego właściciela. Rzecz godna uwagi, że oblicze na tym obrazie hetmana nie ma żadnego podobieństwa do portretu wydanego przed kilkunastą laty w Poznaniu z podpisem Stefana Czarnieckiego. Oczekujemy na troskliwe odczyszczenie tego obrazu, po którym więcej zapewne śladów autentyczności znajdziemy, i o tem naszym czytelnikom w swoim czasie doniesiemy.

(Wyjątek z listu). *Praga Czeska.*—„Czechy zwracają pilną uwagę na utwory znakomitsze polskie, i takowe tłumaczą. F. L. Vorliczek przełożył i wydał „Listopad” romans historyczny H. Rzewuskiego w 2-ich tomach (Praga. 1854); przełożył także drobne powieści J. Korzeniowskiego i te poszytami, pod napisem „Nowelly” ogłasza. Na rok przed tem F. Pravosław Volak, przetłumaczył „Spekulanta” tegoż autora.—Co do literatury w ogóle czeskiej, nic znakomitego nie pojawiło się dotąd, oprócz tomu 1-go i 3-go Palackiego Dziejów narodu czeskiego (po czesku), które obejmują okres od 1125 do 1253.—Z ważniejszych prac znanego Karola Zapa wyszedł „Krótki ziemiopis Czech, Morawy a Szlązka.—Z litografii pragskiej portret Fr. Czelakowskiego, który w sile wieku z powszechnym żalem umarł. Przeglądając spisy bibliograficzne, ujrzyj jak wiele dzieł wychodzi duchownej treści, powiastek, badań jeszcze dotąd grammatyczno-filologicznych, tłumaczeń romansów z francuzkiego różnej wartości; dużo w ostatku kalendarzy. To okazuje, że ruch handlu księgarskiego jest niemały, i że koło czytelników czeskich książek coraz się więcej rozszerza. To wskazuje także i niemała liczba pism periodycznych różnej treści i wartości; pomiędzy niemi stoi na czele „Czasopism czeskiego muzeum” pod główną redakcją Wacława Nebesky’ego; lubo i tu nie widzimy wcale dotkniętych kwestyj żywotnych: filologia, materiały historyczne surowe i tłumaczenia, głównie przeciążają.”

— Pomnik grobowy dla ś. p. Józefa Elsnera, wedle pomysłu p. Gierdziejewskiego, zaczął w modelu gipsowym wykonywać młody, a pełen talentu nasz rzeźbiarz Święcki. Pomnik ten ma przedstawiać zesmutniałego anioła, trzymającego lutnię z porwanymi strunami.

— *W Opolu* na Szlązku wychodzi zbiór melodyj, wydawany przez S. Bogedain, p. n. „Chorał czyli dostateczny zbiór melodyj, bo przeszło 500 pieśni katolickich w języku polskim, ułożony na cztery głosy, do grania na organach i śpiewania. (przedpłata wynosi rsr. 1 kop. 80). Dotąd posiada literatura nasza większe zbiory pieśni kościelnych: 1. Dostateczny śpiewnik kościelny i domowy Karola Piekoszewskiego, w Niemieckich Piekarach w górnym Szlązku; 2. przy księżce do nabożeństwa z polecenia ś. p. X arcybiskupa Dunina; 3. Wybór pieśni w Poznaniu. 4. Śpiewnik kościelny X. Mioduszewskiego w Krakowie; 5. Książka zawierająca w sobie modlitwy, litanie, i pieśni dla dyecezyi chełmińskiej.

Petersburg. R. K. Kossowicz kończy druk dzieła Miechowity: *De duabus Sarmatiis* w przekładzie rossyjskim. Tenże w wiadomościach Ces. Akad. drukuje słownik sanskrycko-rossyjski.

Berlin. August Boltz professor języka rossyjskiego w Berlinie, znany zaszczytnie z ogłoszonej w r. z. rozprawy: „Staro-ruskie pieśni bohaterkie, porównane z podaniami o Artusie;” wydał teraz w Berlinie: „Pieśni o wyprawie Igora na Połowców” (znane nam już z wybornego przekładu A. Bielowskiego) z oryginałem, komentarzem, grammatyką, słownikiem i metrycznym niemieckim przekładem. Wydanie to jedno z najlepszych, jakie dotąd posiadamy. Dowiódł w niem p. Boltz pracowicie zebranemi objaśnieniami i uwagami, iż pomnik ten XII wieku w żyjącej mowie ludu południowo-ruskiego, pod wpływem cerkiewno-słowiańskiego rozwoju tylko napisany został, i za najdawniejszy zabytek mowy ludowej ruskiej uważany być powinien.

— Nowa powieść Alex. Niewiarowskiego p. n. Świat serdeczny, ma wkrótce pójść pod prasę drukarską.—Księgarz Nowolecki zamierza zeszytami wydawać przekład historii czeskiej, z oryginału czeskiego: tłumaczeniem zajmuje się Julian Bartoszewicz. Znacznie już je posunął i ubogacił przypisami w tych miejscach, gdzie dotykały dziejów naszych. Sądzimy, że piękne to przedsięwzięcie, znajdzie silne poparcie u czytelników, miłujących dzieje krajowe i to wszystko, co z niemi ma jakikolwiek związek.

— Czwarty Śpiewnik Moniuszki już jest w obiegu: spodziewamy się wkrótce sprawozdania o nim obszernego.

— Teka Gabryela Junoszy Podolskiego arcybiskupa gnieźnieńskiego, wydana przez Kazimierza Jarochońskiego, której już mamy tom pierwszy, będzie obejmować tomów sześć, oprócz dokumentów, które oddzielną całość stanowią.

— Zeszyt 5 Opisu cmentarza Powązkowskiego (obejmujący życiorysy: Alexandra Kokulara profesora sztuk pięknych; Jana Zakrzewskiego teorbaniście; Dominika Borakowskiego, i wnuka jego Dominika Magnuszewskiego; Walentego Widackiego; Karola Lelewela; Teodora Rudnickiego; Anny Sonnenberg; Lasockiego Alojzego kuśnierza; Antoniego Błanka malarza; Mateusza Kozłowskiego biografę; księżny Katarzyny Mirskiej; Marcina Rolińskiego doktora; Tomasza Truskulawskiego artysty dramatycznego; Wojciecha Bogusławskiego twórcy teatru polskiego; Augustyna Glińskiego; Marcina Szymanowskiego artysty dramatycznego; Wojciecha Żywnego muzyka; Pawła Malińskiego rzeźbiarza; Stanisława Węgrzeckiego b. prezydenta miasta Warszawy i pisarza; i Michała Kudo wojownika a następnie profesora b. uniwersytetu warszawskiego, wkrótce opuści prasę drukarską.—Ryciny do tego zeszytu jako i do poprzedniego przynależne, równocześnie dołączone zostaną.

† Dnia 7 lipca we wsi Kochaczynie blisko Orszy, po dwutygodniowej chorobie umarł Tomasz Zan, przeżywszy lat przeszło 60.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Lipiec, 1855.

	m.	g.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.456	27	7.787
Najwyżej barometr dochodził d. 14 o g. 10 r.	755.90	27	11.087
Najniżej — — — — — d. 18 o g. 6 r.	740.16	27	4.110
Średnia zmiana dzienna barometru	2.488		1.103
Największa zmiana dzienna barometru			
d. 12—13 o g. 10 wiecz.	9.97		4.419
Średnia wysokość barometru jest niższa o	0.407		0.181
od stanu normalnego z 29 lat			
poprzedzających	748.863	27	7.968
Średnia temperatura lipca wynosi:	+ 19° 26 C.	+	15° 41 R.
i ta jest wyższa o	0.52 „		0.42 „
od stanu normalnego z 29 lat			
poprzedzających	+ 18.74 „	+	14.99 „
Największe ciepło było d. 26 o g. 4 w.	+ 29.8 „	+	23.84 „
Najmniejsze — — — — — d. 2, o g. 6 r.	+ 11.5 „	+	9.20 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.006 „		1.605 „
Największa zmiana dzienna temperatury			
d. 17—18 o g. 10 rano.	10.0 „		8.00 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: +25° 1 R. d. 26 po połud.

Minimum: + 8° 4 „, d. 1 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 74.1, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 11.85 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.03 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 144.5 mil. czyli 64.06 lin. par.; ilość ta wody jest o 23.76 lin. par. większa od tej, jaka średnio u nas w lipcu spada.

Dni pogodnych było 5, napół pogodnych 8, pochmurnych 18.

— deszczu 22 (d. 1, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 26, 27, 29, 30, 31).

— mgły 1 (d. 7).

— grzmotów 4 (d. 11, 17, 26, 27).

— błyskawic bez grzmotów 2 (d. 22, 26).

Wichrów 2 (1 PdZ., 1 Z.).

Wiatrów mocnych 5 (5 Z.).

Wiatr panujący: północno-zachodni, częste były także zachodnie.

Lipiec r. b. był niepogodny, wilgotny i bardzo słotny. W pierwszych jedenastu dniach dość chłodny, w następnych ciepły, w ogóle o pół stopnia R. cieplejszy niż zwykle. Dni najcieplejsze były: d. 4, 14, 15, 16, 17, 24, 25, 26; najchłodniejsze: d. 1, 2, 8, 12, 13, 18, 19, 21, 31. Pod względem stanu nieba, miesiąc ten należy do niepogodnych i słotnych; począwszy bowiem od d. 4 do 31 deszcz prawie codziennie padał, dlatego ilość wody spadłej z deszczu jest o dwa cale co do wysokości większa niż zwykle. W stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 5:6:13, 5:11, 9; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 5:8:18. Grzmoty i błyskawice były dość rzadkie i krótko trwające, wyjąwszy w dniu 16. w którym grzmoty przeciągały się do późnej nocy.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1855.

Tom czwarty.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LX.



P

117152

WARSZAWA.

W Drukarni Gazety Codziennéj.

—
1855.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury,
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, d. 10 (22) września 1855 r.

Starszy Cenzor,
RADCA DWORU, **J. Papłoński.**



PÓLNOCNO - WSCHODNIE WOŁOSKIE OSADY.

PRZEZ

J. T. L.

Widzieliśmy spuszcających się z Karpat Wołochów i osiadających po żłobinach górzystych wierzchowin Dniestru i Sanu; z kolei przychodzi nam iść za ich pracowitem tułactwem, na tę obszerną a żyzną płaszczynę, nieoledwie czworokątną, po której biegną: Styr, Bug, Bełza, Huczwa, Prypec, Turya, Wieprz; obszerne łąki trawne przez rozlewy wód, bramują koryta rzek; łąki i płaszczyny gdzieniegdzie piaskiem i narzutowemi głazami zamulone. Na tamtej stronie Bugu w Lubomlskim, jeziora częste i obszerne; pod Saczkiem 8, po których „niewody wielkie chodzą”; na jeziorze w Kośniczach 8 toni, na jeziorze pod Świtażem 50. Przesadzona lub więcej umiarkowana obfitość wód tam upodła, tu użyźnia okolice. Pszenica na gruncie bełzkim wydawała plonu 6 ziarn, 3 na prawym brzegu Bugu, a w pobliżu źródeł Prypeci, we wsiach Świtażu, Hołownie i innych, dla piaszczystych i zapadłych gruntów, owsa nawet nie siano, jeno się bawiono leśném gospodarstwem.

Od wierzchowin Prypeci obszerne lasy ciągnęły się przez Lubomlskie, a przekraczając Bug, łączyły się z lasami „Wołyńskim” i „Dobrymecz” w Chełmskim; rzeka Przybicz te lasy przebiega nie bardzo szerokie ale wdłuż mniej więcej dwie mile, gdzie większych bobrów z parę, mniejszych ze 6 na rok łowiono. Schodziły się te lasy z puszciami hrubieszowskiemi. „W mie-

ście grobla u stawu jest całkiem popsuta, mnogość wielka dziur przez myszy wodne i bobry porobionych tak, iż żadną miarą nie może tu być bezpieczna grobla; wypada inną usypać w miejscu sposobniejszém. Dalej Stoleńskie bory, bogate w zające i sarny (1), dotykając Buga na południe rozściełały się po rzeki Beżę i Ratę. We wsi Sielcu poddani do 10 mniej więcej bobrów łowili, *juxta successu fortunae in venando* (2). Przy wsi Hubinie „gaj obfity w barcie, z którego ilość znaczna miodu dochodzi” (3); puszcza Krzechowska, buczyna, jesienina, dąb, odgranicza ziemię Beżką od województwa ruskiego. W sieci lasów suto ziemię okrywających, na północy przemagała sosna, w średniej, beżkiej strefie dąb, ku południowi buczyna. Surowo nieco wyglądała ta północna strefa: iglastej sosny czarna zieleność ponuro osłaniała wioski, zanurzone w piaskach równin; ku południowi dąb zabiera coraz większe przestrzenie, a jeszcze dalej jego potężne pnie okrywa gęstwina zarośli; las traci na surowej powadze, wygrywa na stroju i ozdobności: wszędzie gaj i roszcze. Coraz częściej pomiędzy budulcowém drzewem wystrzela biała kwiecista czereśnia, wonna grusza i jabłoń; kalina purpurowa, rannych kwiatów czeremszyna; klon latem zielony, czerwony w jesieni; lipa karmicielka rojów starych, młodych przytulisko.

Kraj beżki zawsze ulegał wielkim zniszczeniom: za czasów ks. ruskich, położony pomiędzy W. Ks. kijowskiem a mocną dzielnicą halicką, cierpiał od napałów to pierwszego to drugiej według tego, jak z którym z przeciwników sojusz zawierał. Z sąsiadem a sąsiadem daleko od niego potężniejszym, z książętami włodzimirskimi miał ciągłe zajścia o graniczne miasta. Wsewoż był przedmiotem domagań włodzimirskiego księstwa broniony przez beżkie, ztąd ciągłe waśnie, do krwawych bojów i zniszczeń dochodzące; jeszcze bardziej zagrożony został, kiedy Daniel posunął swe państwo ku Chełmowi; okolony i z północy i ze wschodu ciągle już miał nad sobą wiszące niebezpieczeństwo. Pamiętnym jest w podaniach ludu rok 1262, kiedy jednej nocy w ziemi beżkiej, nieledwie jednocześnie, mie-

(1) R. 1548. (2) R. 1507. (3) Id.

szkania w perzynę obrócono, lud od bojarzyna do smerda uprowadzon wraz z wszelkim dobytkiem domowym, i dotąd lud nazywa złą tę noc, bo w nią niżli ocknęli się ze snu, już byli w niewoli, powiada szyderczo kronikarz wołyński (1).

Pod potężniejszą opiekę Polski przyjęta ziemia nieco się uspokoiła przez ciąg XV wieku; lecz z końcem a początkiem następnego poczęła ulegać napadom Tatarów. Idąc czarnym szlakiem od Dniepru, obchodząc źródła Styru i Bugu, Tatarzy właśnie w Buskim, w Szczurowicach i Łopacinie kosz swój zakładali, i ztąd między widły Bugu i Wisły, między Bug a Styr zagony zapuszczali. Po napadzie Tatarów r. 1499, niech nam wolno będzie towarzyszyć poborcy w jego przejazdach. Lubię te notatki: w swojej krótkości są one dziwnie wymownemi; podobne owym po szpitalach wioszczyn krótkim kołdrom, które przerażają wyobraźnię zwiedzających, gdy ci z bladeści nóg nieokrytych wnoszą o cierpieniu reszty ciała. „W Buskiem, używam słów poborcy (2): folwark Łopacin niedostateczny, ponieważ trzy wsie, mianowicie Mikołajów, Szczurowice i Lasków wraz z młynami spalone, inne zaś nie spalone, ale tak zniszczone, iż z całego klucza łopacińskiego tylko 6 pługów do orania wychodzi. Miasto Stojany spalone, wybrane i zupełnie puste, nietyle przez Tatarów, ile przez łostrostwo z Litwy. W Sokalskiem, miasto spalone wraz z dworem, młynem, w którym spalono 60 kłód żyta i pszenicy zmielonój za rozkazaniem króla JM. do Lwowa. Wsie do Sokala należące: Pozdymierz, Radywon, Holhów, Skoromochy, Hylhów, Patarzyca, Chorobrow nie są spalone, ale ludzie wybrani i z wołami tak, iż ani jeden pług ze wsi nie wychodzi, a starosta swe mi orze wołami. W Tysowieckiem, w mieście 40 domów spalono: w Kłatwach wychodzi 7 pługów: „septem vel octo kmetones in toto Capitaneatu restant,” czerpam wiadomość z innój notatki. Dalej „W Horodelskiem, Wierzyce zupełnie spalone, inne wsie tak wybrane, iż tylko 5 pługów pozostało. W kluczu rzeczyskim ludzie wybrani, bydło zabrane, 10 pługów

(1) Póln. Sobr. Liet. III.

(2) Księga poborów województwa bełzkiego z r. 1507.

pozostało. W Bełzkiem, w mieście spalono 18 domów, w którym mieście ubostwa dostatecznie; w Mostach niko-
go żyjącego; nietyle zniszczone przez Tatarów, ile przez
wojsko na wyprawę ciągnące. Butyn ze szczętem spa-
lone. Dworce annihilata. Hubn po Tatarach zupeł-
nie puste. Z całego klucza bełzkiego do trzech folwar-
ków; Czeblów, Chrobrów i Patarzyn 22 pługami orzą.
Młyny spalone. W folwarku żadnym ozimin nie zasiewa-
no. W Leżajskim Jedlna „zupełnie pusta;” w Krzeszow-
skim, Biscze „roku zeszłego przez Tatarów spalone;”
w Kamionackim „Zelec, Botatycze, spalone przez Tata-
rów;” Syelce (która następnie swe łąki pod trzody tuła-
czów Wołochów odda), Dernów, Czestynye „ze szczę-
tem przez Wołochów spalone”. Stolsko, Ilów „naj-
przód przez Wołochów spustoszone, a potem przez Ta-
tarów spalone (1). Sawin miasto nie istnieje. Rubie-
szów nadzwyczaj zrujnowane, mieszkańcy nader nędzni;
młyny 2 opróżnione, sadzawka czeza, 2 upusty ze szczę-
tem zniszczone. Wsie w starostwie Rubieszowskiem:
Czerniaczyn nader spustoszony, w którym tylko jest
trzech ubogich ludzi; Miniany była wieś sług zamko-
wych, w niej w owym czasie jest 4 ubogich służków
i tylko jeden ma konia; Pobereżany, wieś nieledwie zu-
pełnie pusta; Pudoreczki toż prawie zupełnie pusta (2).
Wojstawice nadzwyczaj zrujnowane; tego roku spalona
większa połowa. Pawłów, Kraśniczyn są nader nędz-
ne; Turobin, Srebrzeszyn z powodu spustoszenia zaży-
wają wolę. Krasnystaw ma wolę z powodu spalenia (3).
Uhnów niedawno przedtém przez Tatarów zupełnie
w popiół obrócone. Strzemilcz, miasto nędzne. Dobro-
twór wielce przez Tatarów zniszczone, zostało w niem
jedno trzy komory.” W mieście Bełzie cztery cerkwie,
z których jedna „nędzna”, z drugiej, Spaskiej „pop
zbiegł;” w Sokalu „pop zginął;” w Lubomskim jeszcze
więcej jak inne i odległością i lasami zastonięte: „Lu-
boml monasterz pusty.” Wiśniow, synagoga, pop ca-
ret; Zapole, cerkiew pusta. Połapy, pop miser. Olesz-
ko, pop biedny nic nie ma. I tak jednobrzmiące po ca-

(1) Księga poborów województwa ruskiego z r. 1510.

(2) Registr. de anno 1512.

(3) Księga poborów ziemi chełmskiej z r. 1510.

tej ziemi bełzkiej i chełmskiej, cerkwie „jedne spalone,” od innych „pop zbiegł,” w trzeciej „umarł i nie zamieszczon,” inne „zwały się od starości,” lub „pop odjechał w drogę, lub odjechał i nie powraca.” Jeszcze w r. 1531 zostawała synagoga, *deserte* 48. W r. 1507 w województwie bełzkiem liczone wszystkie wsi 345, z których spalonych (*combuste*) 95, pustych (*deserte*) 76, a razem spalonych i pustych 171; w powiecie krasnostawskim, stanowiącym południową część ziemi chełmskiej, z liczby 84 wsi było spalonych 18, pustych 13; ziemiańskich, bez kmieci, gdzie jeno sami dziedzice zostali, 13; tylko wsi całych 35: to jest od roku 1499 do r. 1507, wniwecz obrócono połowę ludności i kraju.

I rzekomo całe wsie noszą cechę spustoszenia. Uhrowsko, dawne biskupie stoleczne miasto, teraz wioska o czterech łanach. Mieszkańcy Czeremna, słynnego słowiańskiego grodu, który krajowi od Bugu do Karpal swe imię nadał, teraz na 2 ćwiartkach pomieszcza się. Pod Zygmuntem I, kraj nieco swobodniej odcchnął: jednakże znajdziemy i tu niepowodzenia. „Podczas zimy ogromne śniegi i zimno nieznośne” (1). „Urodzaj żyta prawie żadny i innego zboża także mały” (2). „W ziemi chełmskiej kilkanaście cerkwi pustką” stały (3); popi „w powietrze pomarli;” z powodu posuchy taki był ogólny nieurodzaj, iż niektórzy zupełnie nie brali się do żęcia.” Starosta użalił się nad nędzą poddanych i wziął od korca owsa z nich należnego, tylko po gr. 6 (4); zima sroga, przeto brak wody i ryb niedostatek.” „Mniej kupców przejeżdżało przez zły rok czyli drogość” (5). „W komorze krasnostawskiej z kupców, zwyczajnie na ś^{ch} Szymona i Judę do Lublina jadących, nie wybrano; przez powietrze nie było jarmarku w Lublinie; na ś. Michał w Bełżu powietrze” (6). W Lubomskim, „pszenica tak wygryziona przez robactwo, iż z trzech kop wydawała za ledwie po korcu” (7). Z powodu napadu Tatarów i niepewności dróg, wiele z poddanych J. K. M. kupców i kramarzy od handlu wstrzymali się” (8); „pomiędzy ludźmi wielki niedostatek, drożyzna wszelkich rzeczy i żywności (9)”;

(1) R. 1533—4. (2) 1541. (3) 1545. (4) 1545—6. (5) 1546. (6) 1547. (7) 1546. (8) 1549. (9) 1551.

„w miastach sąsiedzkich (Rubieszowa) powietrze grasowało (1).” „Podwóz soli niedostateczny przez niestateczność zimy” (2). „Luboml, miasto, 2 cerkwie, młyn o dwóch kołach spalone (3). Kładniow, Widzimicza, Przespa, Pieczykorów, mają wolę, ponieważ są zniesione przez ogień”, (4) „Lnczyce, Kmyeczice, są przez Bokijh ogniem spalone.” „Sokal ze szczętem spalony (5)” „Beż zażywa wolę po pożarze (6).” W Hrubieszowskiem „szarańcza silną szkodę poczyniła jarzynie (7).” Od tego roku zaczęło się powietrze, trwające nieledwie ciągle do samego końca wieku. Pobór z r. 1573 okazał, iż w województwie beżkiem mało przy której cerkwi pop nie umarł na powietrze: trzecia część karczem pustką stały przez wymarcie karczmarzów i obawę mieszkania po gościńcach. Z uporem nadzwyczajnym trzymało się koryt rzek unieruchomionych przez tamę i groblę po Huczwie, i Racie. W Horodleńskim (8), we wsi Czarnowkach „dworzyszcz 3 spustoszało przez powietrze; we wsi Berczowiczach „na 13 dworzyszcz, 4 pustych”; w Chełmskiem, Krzywawola nie była rewidowana „dla podejrzanego powietrza, które na on czas w niej było”; we wsi Ostrzyca „11 dworzyszcz pustych, zapowietrzem”; w Sokalskiem wszyscy rybacy wymarli ponad Bugiem.” „Tysowieckie”, powiada wybierający ludzi pieszych na wyprawę do Moskwy: „wcale spustoszało za powietrzem; zostało pono 16.” Po pokrowskich Tatarach (9), przy każdej wsi jeden, dwa łąny pusto leżą: niemal połowa zagrodników i komorników rozbiegła się: Szczurowice, Stojanów, „devastate” i kilkadziesiąt wsi ze szczętem zniesione w r. 1590; powietrze w tymże roku, powódź w Hrodle wszystkie browary zabrała.

W walce przeciwko tym dolegliwościom, nie zabrało Rusi pomocy ze strony Polski.

Połączywszy się z Polską Ruś przedstawiła tamtej świeże, żyzne, jałowe pole do działania. Narodowość polska, przez ciąg kilku stuleci męczona, kształcona, hartowana, rozdzierana wewnętrznymi klęskami, podziałami, miatkami książętami, pomimo tego pomkniona ku

(1) R. 1552. (2) 1554. (3) 1535. (4) 1535. (5) 1536. (6) 1569.
 (7) Lustracya z r. 1570. (8) Id. (9) Księga poborów z r. 1570.

południowi, ku ruskim, żyznej gleby ziemiom, spuściła się ku pysznemu plemieniu ruskiemu, jak dawniej teutońskie plemiona ku Rzymowi, ażeby przynieść zapas nowego życia, ażeby zjednoczyć się i skuteczny stawić opór groźnemu wschodowi mahometańskiemu.

Cudne było to plemię, które wystawiwszy przedmurze przeciwko Zachodowi, podniosło się z starych lechickich grodów i poszło nowe zakładać przeciw Wschodowi twierdze.

Cudne, bo do swój składni czysto, lechickiej przyjęło tylko najświetniejsze wyniki rzymsko-teutońskiego świata. Tej uświetnionej i zżamożniałej narodowości lechickiej powołaniem było rozciągnąć na kraj nowo przyłączony swoje rozliczne, płodne żywioły.

Założono biskupstwo, kościoły, klasztory katolickie; miasto obdarzone samodzielnym zarządem. Lecz musimy zostawić innym opisanie tych kroczeń katolicyzmu i polskiej narodowości, ograniczając się opisaniem działań w zakresie ludności rolniczej. Od czasu otworzenia się handlu zbożowego, kapitały przy jednoczesnym rozwijaniu się wielkiej uprawy, tylko w Wielkiej i Małopolsce skupiać się mogły w pojedyncze ręce; południowe województwa przy ciągłych wojnach nie dopuszczały ani uprawy wielkiej, ani potężnych zapasów pieniężnych. Ciekawem byłoby wyśledzenie postępowego zebrania się kapitału pochodzenia czystopolskiego od czasu założenia Kazimierzowskich śpichlerzy na Wiśle, nabycia Spiża i Siewierza, splecenia za Bełz, nakoniec wpływu wywartego tymże kapitałem na losy reszty krajów: bo wzmagając się dążył on do działania poza granicami miejsca zrodzenia się. Pierwszym jego wyniesienia się miejscem była Ruś, gdzie wystąpił z powodzeniem, w szrankach z ciągłymi zniszczeniami tatarskimi. To pierwsze wydatne wystąpienie kapitału polskiego, spotkawszy żyzne pola Rusi przy uwzględnieniu warunków małej i średniej uprawy, odstania powabne obrazy pracy ludzkiej, dziwnie ręką Boską błogostawionej. Działalność kapitałów polskich na Rusi trwała do połowy XVI wieku. Od połowy XVI przeniesiono działania w Podolskie i Bractawskie, w XVII w Kijowskie, w połowie tegoż wieku Dniepr przekroczone. W XVII stuleciu kapitały cofnię-

te na prawy brzeg Dniepru, przez trzy ćwierci wieku wstrzymywane w oddaleniu od jego wód, na nowo zdążają w Kijowskie i ostatecznie zaludniają te pustynie. Zawód wypełniły na Rusi w XVI, pod kształtem dzierżawy i zastawy dóbr. Odrowążowie, a po nich królowa Bona, trzecią część Rusi w swoje ręce przenieśli. Górkowie z Wielkiejpolki trzymając Busk i Łopaczin, dźwigali je raz po raz zpod popielisk najeźdźców. Tęczyńscy Jan i Andrzej dzierżawili cały ciąg wschodni dóbr: Bełz, Chełm, Krasnystaw, Rubieszów i Luboml.

Kapitały polskie cztery cele sobie zamierzyły: wyrób lasów i spław do Gdańska; zamienienie leśnego gospodarstwa na rolnicze przez zakładanie wsi niemieckiego prawa; ulepszenie chowu bydła przez osadzenie Wołochów; podniesienie wielkiej uprawy dla przysporzenia produkcji zboża.

Dotąd z lasów dwa tylko źródła dochodów miano: wkup dla żeru i sprzedaż na drwa. Do użytkowania z lasów kapitał udał się jednocześnie z wszechytnym ruchem handlowym po odkryciu Ameryki; od r. 1545 z gorączkowym zapałem zajęto się wkoło Bugu handlem popiołów, wanczosu i klepek. Z Bełza spławiano popioły, w Hrubieszowie budowano komięgi, ale Luboml przechodził wszystkie. Tu w przeciągu 25 lat sprzedano 250 komięg, 30,000 klepek, 54,000 wanczosu i 14,000 łasztów popiołu (1). Na ten sposób wyrabiane lasy, wprędce niszczały: w Lubomlskim „lasy, powiada lustracya, wszystkie spustoszone, tylko trochę na klepki;” w Bełzkiem „tam ruda siła szkody czyni borom;” w Chełmskiem z dawnych lasów pozostała ledwo półmilowa przestrzeń (1564).

Niemieckiego prawa osady w ekonomicznym względzie odznaczały się swoim założeniem, biorąc za zasadę rolnictwo, bez względu na uboczne gałęzie leśnego gospodarstwa. One także nie omieszczały zaniechać dani, przeistaczając ją w dań pieniężną czyli czynsz. Zobaczmy, jakimi kolejami zagładzały dawny feudalny

(1) Wanczosu od roboty sta, płacono na miejscu po fl. 3, a w Gdańsku sprzedawano po fl. 24; wyrób sta klepek na miejscu kosztował fl. 3, a w Gdańsku sprzedawano po fl. 30 (1564). Komiega kosztowała 30 fl. (1545), następnie 50 (1564); łaszt popiołu 6 fl. (1545), a 20 lat później fl. 34.

ustroj. Chełm był środkiem włości pogranicznej. Dwie góry: Dziewicza i Woskreseńska, panują nad okolicznymi polami, łąkami i borami. Dziewicza na dwie podzielona przekopem, dźwigała na sobie mury górnego i dolnego zamku. Na Woskreseńskiej stał monaster: było to miejsce spoczynku książąt; niższe piętra Dziewiczj góry na sklepieniach wapiennego pokładu, miasto na sobie noszą. Na drodze ku Mazowszu, na prawo wysmukła baszta, na drodze do Lublina w Stołpiu druga, ku Krasnemustawu a raczej ku Krakowu trzecia, są to czatownie nad głównymi drogami, na których można było nieprzyjaciela się spodziewać. Lud rozpowiada, iż zamek, monaster i baszty, połączone były nitkami ze złota ciągnionego, po których uroczą dziewica chodziła. W tej dziewicy, w tych złotych nitkach łatwo odgadnąć czujność i jedność, właściwy charakter młodocianych feudalnych włości. A czyż serce w młodości nie było połączone złotymi niciami ze światem? Komuż głos uroczej dziewicy nie dawał się słyszeć w nadobne dni rozkwitnięcia życia? Ręka Daniela króla, założyciela włości, wszystko tu ku surowym, koniecznym celom wojskowości zwróciła. Tenże cel przeznaczył i spokojnym wiejskim osadom. Wszyscy chłopci osobą swą na wojnę służyć, składają dań a czynszu żadnego (1). Starosta odbierając dochód w kształcie dani, ma gumna zapełnione zbożem, kilku zaś wychodzców z zachodu podejmują się daninę kruszcową składać w kształcie czynszu. Starosta rad, iż każdorocznie będzie miał srebrem od chłopów, co dotąd odbierał martwym kapitałem: przywykły widzieć srebro w rękach jeno zamożniejszych kupców lub w kształcie

(1) „Dipułtlicze żadnego czynszu ani roboty; idą na wojnę. Strupin, Koczów, Krzewicze i Rozdziałów żadnego czynszu nie dają tylko 6 dni do roku koło pól robią, 2 dni żną, styrkę jedną siana składają, jedną tlokę do siana; paść muszą konie zamkowe i iść na wojnę; Żmudź i Dryszczów żadnego czynszu, żadnej roboty, tylko z listami i na wojnę iść. Ochoża: są cieśle, nic zamkowi nie płacą i nie robią, stawiają tylko budynki wszelkie; idą na wojnę gdy wyprawa, i naprawiają mosty przed wojskiem.” Reg. Castr. Ch. 1510. Dotąd podróżny idący od katedry Wnieb. M. N. chełmskiej za gajami zielonemi dębniaku, zdaleka w czerni tę ciesielską wieś upatruje, a na drodze wystawione powozy zgrabną ręką robione, udowodniają, iż żyją potomkowie zręczni jeszcze w rzemiośle, którym ich przodkowie królom, Danielowi i Władysławowi, posługę odprawiali.

naczyń, które jak nieruchomy kapitał przechowywały się w skarbcach. W Zabuzskich włościach, gdzie przez biedność okolicy nie można było odrazu całej wsi czynszowej osadzić, osadzano na wstępie po jednym, po dwóch chłopów o jednej grzywnie czynszu; rzecz przedstawiano samym królom w Krakowie i kancelarya królewska wydawała przywilój in extenso dla takiego o jednej grzywnie osadzającego się. Na gruntach starostwa chełmskiego było ośm wsi roboczo-danych; przybysze z Polski i Niemiec (same nazwy osadników Conradus, Albertus wskazują, iż są obcemi), zakładają dziesiątą wieś: odbiera ona nazwanie „Serebryszcze,” ponieważ jest pierwszą, która podejmuje się srebrem należytość płacić „z dworzyszczu pół grzywny czynszu; orzą, przygotowują siano, tłókę odbywają dokąd jeno każą, nie są obowiązani do wojennej postugi, nowy przeto porządek zwiastują. Na tychże zasadach osiadają wsie: Ruda, Isaicze, Stołp, Wygnańce, Krzywa wola, Wolajowice, Strachostaw; już i z liczby dziewięciu dawnych wsi: Żmudź i Dryszczów (1) wsie ciesielskie, podwodne, koniuskie, uwolniono od wojny a obowiązano do czynszów i robót (2). Tak chełmska feudalna włość przyjęła na swe grunta serebryszcze czyli czynsz. Konrad, Albert i ich potomkowie, rozszerzając zwolna rolnictwo na zasadzie czynszu, zagładzili zbrojną feudalną gminę, a wprędce i sami zagładzeni zostaną przez wielką uprawę.

Na wschodzie Bełzkie było ogniskiem wołoskiego prawa. Za rządów księcia Ziemowita, obok niemieckich osad, Jakób i Mieczko Wołochowie, założyli wieś Lubicze w końcu XIV lub początku XV wieku, na wielkim gościńcu ze Lwowa do Lublina. R. 1422 w zamian za osadzoną wieś, odebrali na kniaztwo (Ducatum) były folwark książęcy w téjże wsi, z doliczeniem pieniędzy (3). R. 1424 we wsi Ruda, książę Ziemowit oddzielił część łąk i lasu, w obrębie których miano się rządzić prawem wołoskiem. Jeżeli przywilój z 1374 jest najdawniejszą wzmianką o prawie wołoskiem w Polsce (4), to przywilój dany dla Rudy jest najdawniejszy,

(1) R. 1545. (2) 1570. (3) Akt sądów refer. ks. 28.

(4) Metr. kor. ks. LXXI.

jaki dotąd w całości przechował się (1). Ta wieś w początku następnego wieku już dziedzictwem do rodziny Magierów, zapewne wołoskiego pochodzenia, przeszła.

Trzecią z kolei czasu założenia była wieś Most, w zapadłych gruntach pomiędzy rzekami Błotnicą i Zeldec, w Ratę wpadającemi: „600 owiec, 2 karczmy i dworijsczye Valachorum.” (2) Most został zniszczony ze szczętem przez Tatarów Olbrachtowskich, posada zamieniona w miasto Augustów. Lubicze już posiada „700 owiec i 3 łąny” (3). W tych samych okolicach siedlą się Wołochowie w Tarnawatce, Wierzachaniach (1508); w Wierzchracie „Wołoch posiada 80 owiec”; Rata, ziemiańska wieś Kozłowskiego, ma kniazia na pół łąnie (1533) (4). Teniatyszcze „Wołochy mają 200 owiec” Miszko „300 owiec.” Ruda Stanisława Magiera „300 owiec.” Z wierzchowin błotnistych Raty i Bełzy rozeszli się, jak pracowite mrówki, na wierzchowinę Bugu i Styru. Nad Styrem w Buskiem, Szczurowice „200 owiec” (1508) (5). Nieznanów „w części Rusinów 3 łąny, w części Wołochów 4 ½ łąna” (1472) (6). Czaniśz „w części Rusinów 3 łąny i karczma, w części wołoskiej 2 łąny i 300 owiec.” Opłocko, część Wołochów. 1 ½ łąna; Ohładów w części Rusinów pół pięta łąna i karczma, w części wołoskiej 500 owiec. W roku 1472, Rad Wołoch posiadał w Czaniśzu 300 owiec: uznajemy w nim przywódcę wszystkich tych drobnych buskich osad. Idąc biegiem Styru, w województwie już wołyńskim: Tylewczę Wołochowie nadani zostali przez króla Zygmunta Igo

(1) *Semovitus Dei Gratia etc. Quomodo in haereditate et infra limites villae Nrae Ruda vulgariter dictae, et intra ipsam villam Valachos locandos decrevimus sic et omnibus Valachis ibidem residere volentibus medietatem silvae ad usum ipsorum damus et asscribimus. Dantes et concedentes etiam dictis Valachis omnibus et singulis ibidem residere volentibus plenum Jus Valachorum prout caeteri Valachi in terris Nostris eodem Jure gaudent et utuntur, absolventes ipsos Valachos ibidem ab omnibus Juribus ruthenicalibus, ita ut de caetero eodem Jure Ruthenico non judicentur nec judicare aliquis ipsos Jure Ruthenico presumat, damus etiam et tenore praesentium asscribimus prata dictis Valachis ad eandem medietatem silvae spectantia in cujus rei testimonium etc. Datum in Bełsz Feria tertia post Ascensionem Domini Anno ejusdem millesimo quadringentesimo vicesimo quarto. Metr. kor. ks. XXXV. (2) R. 1472. (3) Anno Dom. 1472. d. Zbroschek Tryb. Bełz. Contr. Exact. (4) Księga poborów województwa bełzkiego z 1510 r. (5) Ks. Pob. W. Bełz. z r. 1533. (6) Ks. Pob. W. Bełz. z r. 1472.*

księciu Teodorowi Czetwertyńskiemu (1532) (1); między widłami Ikwy a Styru w Morawicy ks. Wiśniowieckich, spotykamy Wołochów z 300 owcami (1572), a nad Styrem, już za Łuckiem, w Ołyckich dobrach ks. Radziwiłłów, oni także z 500 owcami (2).

Na pysznej dolinie Bugu, od samych źródeł, gdzie jeszcze się daje utamować wiejską groblą, założyli wieś Rudę nad Bugiem i Jazienicą, Hrycz ojciec i Łukasz syn, kniaziowie, (1539). We wsi Sielcach nad Bugiem 12 gospodarzy i 280 owiec; w miasteczkach Dobrotwor i Kamionka, kilka dworzyszcz i kilkaset owiec (1543) (3); bo o ile na zachodzie stroniono od miast, o tyle na wschodzie rad był każdy znaleźć się blisko ścian zamków. Dalej nad Bugiem w Stolnie „Wołoch Tinko 200 owiec.” W r. 1545 inwentarz wypisuje: „jest tu człowiek co owce chowa” (4); w r. 1565 już nieodróżniony od ciągłych gospodarzy. Stolno, otoczone wodami Bugu i dwóch jezior, wielce było sposobnem dla chowu bydła i koni: urząd starościński utrzymywał tu stado koni i kilkaset owiec. W Lubomskim, w Berezczu „200 owiec” (1510), Panas Walaschin 1 dworzyszcz (1531) „tamże Wołochowie posiadają 300 owiec” (1538) (5), w Mosznem (Moszur) „Wołochowie posiadają 550 owiec.” W Krasnostawskim, w ziemiańskiej wsi, Lipskiej woli: „Szeunia, Wołoch, 50 owiec” (1510); w dobrach Srebrzeszyńskich, w Grabowieckim, we wsi Niemirów „Wołochowie 115 owiec” (1510); w Hrodleńskim przy wsi Zabłocie, kilkaset głów owiec (1510); przy wsi Dubnie „140 owiec i 4 dworzyszcz (1538), potem 9 dworzyszcz (1564). Przed r. 1593 wieś przeniesiona na tamtą stronę stawu; na dawnym miejscu założono miasto Dębno. W Chełmskim, w ziemiańskiej wsi Łuków: „lłowi Wołochi” (1510); w sosnowych borach Wereszczyńskich założono Wereszcze (1513) (6); Koszyn „3 Wołochów posiada 254 owiec.” Koszyńska Wola, nad koszyńskim jeziorem, obfitem w połowy linów i szczuk, a okolonem zewsząd żyznemi łąkami.

Przyłączymy tu resztę osad północnych, chociaż leżących poza granicami ziemi Bełzkiej i Chełmskiej:

(1) Metryk. Litews. ks. z r. 1532. (2) Ks. Pob. W. Wołyńskiego z r. 1572. (3) Inwentarz starostwa kamionackiego z 1544 r. (4) Inwent. staros. chełm. z r. 1545. (5) Księga poborów ziemi chełmskiej z r 1510, 1531 i 1538. (6) Metr. koron. ks. XXIX.

Kolno w Krzeszowskim osadzone koło r. 1530 (1). Ożenna w Leżajskich lasach, w których zmienność me- atów Sanu żyzne pastwiska sposobita (2); Babicze i Ró- zaniec, pośród lasów Zamechskiego starostwa, nad rzeką Łybyną (3).

Dotąd wymienione wsie jedne zażywały pełnych praw wołoskich, inne tylko osadnicy z Wołochów zamieszkiwali. Na wzór tych i drugich, już mnogie wsie założone przez Rusinów, wołoskiego prawa zwyczajem przybierały, to jest w miejsce tywona, miały kniazia, i od bydła składały dziesięcinę. Do liczby tych ostatnich należą: w Bełzkiem Hrebieńne i Pankow (założone r. 1546), Parkacz (1548), Kuliszkow (1553) na rzekach Racie i Swini; na gruntach wsi Sielce, Wola Dworzeczka (1564) w lasach brzozowych, pomiędzy którą dębina i olszyna; nareszcie Rekliniec (1571) (4).

Że Wołochowie umiejętnie wybierali miejscowość, udowadniają to czynności następnych pokoleń; nieledwie wszędzie blisko ich wsi, lub na miejscu samej wsi, miasto zakładano: wołoska osada, Mosty, przeistoczona w miasto Augustów; w Hrodleńskim na miejscu ich dworzyszcz, we wsi Dubna, założono miasto Dębno; blisko Lubicza, niemal na samych gruntach wsi (1759) miasto Lubicza; blisko Stolna, miasto Opaliń (1661); przy Teniatysku, miasto Potok (1789).

Powinności Lubicza tak opisują się (1508). „W téj wsi jest dostatecznie ludzi i dają względem podymnego gr. 44. Względem stacy, kopę groszy. Względem wołu drugą kopę. Względem wieprza, trzecią kopę. Względem konia każdego roku kiedy strungę dają, dają kopę. Od każdej sztuki bydła po półgroszku: kiedy więcej mają, to więcej dają, kiedy mniej, to mniej dają. Względem strungi dają 20^{ta} owcę, co wynosi od 60 do 90 owiec. Mężowie wojnę służą z kniazem. Wożą drzewo na oprawę zamku.” Wereszcze spełniają listową postugę. Koszyn, przygotowuje kilka stogów siana, składa po półgroszka od bydła większego, szeląg od mniejszego i 20^{sta} owcę. Owce sprzedawano lub na kuchnię obra-

(1) Księga metr. koron. CXVII: „villa vero Colna sedebit in jure Moldavico secundum Contractum quem fecerunt cum ipso Capitaneo, tenebuntur laborare in decursum anni octo dies.” (2) Lustr. z r. 1564. (3) Inwent. staros. zamechskiego z r. 1569. (4) Lustr. z r. 1564, 1616, 1664 i 1789.

cano. R. 1565 „z Koszyna 12 owiec strungi, które zapędzono do Radomia, na kuchnię J.K.M.” (1). Mógł zaiste Jagiellonid pochwalić się, gdy pieczywa na złocistych półmiskach obnoszono pomiędzy senatory i ziemskie posły, za dębowymi stołami siedzące, z owocu pieczołowitości jego wielkich przodków dla ludu.

Wołochowie tém odznaczali się, iż nie składali żadnego czynszu od ziemi, iż nie odprawiali żadnej folwarcznej roboty, lecz tylko opłacali od bydła i dwudzieszczyznę czyli strungę od owiec. Gdy innego prawa kmiecie, popi, młynarze składali wojenne (po gr. 12 z łanu), okupując posługę osobistą, Wołochowie wolni byli, ponieważ osobiście służyli na wojnie. Skupienie w gminę, pod sterem kniaziów, stanowiło ich wyższość przed ustrojem ruskim, a zachowanie spółek czyli dworzyszcz, wyższość przed niemieckim, w czém była razem i przyczyna ich powodzenia. Jedno i drugie nie było obce i wschodnim osadnikom. Wewnątrz ich osady podzielone były na mocne zasobne jednoty spółki; na zewnątrz w obec urzędu, drobnostkowe jednoty skupiały się w potężniejszą jednotę, gminę. Ten ustroj mógł należycie rozwinąć wewnątrz bogactwa przez pracę i obronić tę pracę od wszelkich przeciwności zewnętrznych: spółka dworzyszcz, były niby nasieniem dziwnej rodzajności w żyzną ziemię rzuconem, a gmina niby szklaną osłoną, którą biegły ogrodnik w cieplarniach pierwiastki drogiej rośliny ochrania.

Skupienie w gminę, po urządzeniu niezbędnych zasobów porządnego życia po wsiach, pozwoliło Wołochom zająć się ulubionymi im zatrudnieniami przemysłu: budowaniem młynów, foluszów i blechu. Na Racie wystawili piłę i wyrabiali deski. W Woli Dworzeckiej „jest koło pilne, które sprawuje 2 pilije razem” (2); mieli blech dla bielienia płócien, hutę szklaną w Pańkowie; kamienna góra nad Lubiczem wznosząca się, pobudziła do wyrabiania młyńskich kamieni; poddani Wierzechraty użytkując z wapiennych pokładów okolicy, w kilkudziesięciu piecach wypalali wapno. Wołochowie przyczynili się do zastosowania wody jako czynnika; ręczne żarny

(1) Registr. de anno 1546.

(2) Inwentarz starostwa bełzkiego z r. 1571.

pomiędzy ludnością rolną dotychczas były najpowszechniejszemi. Bereszczę w Lubomskim swoim kosztem wystawiło młyn na Bugu o 6 kołach i siedmém na folusz; prace podjęte dla zatamowania Bugu, dla uniknięcia szkód podczas wezbrania się rzeki, poruszanie odrazu sześciukół i jednej stępy (1), obudzało podziwienie w chłopach okolicznych, przywykłych dotąd do ręcznych żarn lub samego określonego użytku wody, jako czynnika, z kołem o kilku łokciach średnicy. Niejeden chłop z Ratna i Lubomla, idąc flisem w okolice, zdumiony przysłuchiwał się potężnemu turkotowi, posępność lasów przerywającemu, jak teraz wiejski mieszkaniec milcząc przypatruje się parowcowi poraz pierwszy na żelaznej kolei pędzącemu; zęgnął się mniemając, że złego ducha odpędza; i poczęło krążyć mniemanie, które i dotąd istnieje, że zły duch pod młyńskiemi kołami łożysko swe zakłada. Po wsiach w pomroku nocnym, kiedy po chatach światła jedno po drugim nikną, o czyją duszę nie odbił się dzwon, na dzwonnicy wiejskiej posępnie brzmiący, lub szeleszcząca woda, gdy z szumem spada z łotoka; tamten jako ciągły bogomodlica, ta jako wielka niewolnica, zastępująca pod sterem rozumu słabe ręce ludzkie. Im kraj zawdzięcza ulepszenie w budownictwie; w Woli Dworzeckiej wystawili śpichlerz taki, iż z okolic przyjeżdżano patrzeć, jakito przybysze „na włoski sposób” sklecieli budynek. Naoczny świadek szczegółowo go opisuje: „nad stawem śpichlerz, niedawno zbudowany na standarach na łokcie zwiesz od zyemye opierzony draniczamy dębowemy, spodek wsitek położony tarcziczamy, przy iedney stronie sąsieków 5 żrebistych. Sam wszitek śpichlerz pobitły gontamy, a szithi tarcziczamy zabite po włosku.” W Kamionackiem osiadło kilka dworzyszcz w Sielcu, i już zjawiała się piła, a w zamku „pistrina nova ex elegantibus roboribus constructa, atque Braxatorium” (1535).

Wszystkie dzielne pokolenia kochają się w fundacyach pobożnych, kochają się w kamiennych odlewach tęsknot życia. Idąc po téj drodze, Wołochowie przyłożyli się do fundacyi klasztoru XX. Bazyłjanów przy Lu-

(1) R. 1510.

biczu, przez nadanie pól i łąk gromadzkich (1678). Nie jestże powinnością naszą streścić usługi przez Wołochów ludowi przyniesione?.. Im winniśmy na odzież sukno wołoskie (pannus Valachicus). Mało kto, a tém mniej chłop pomny, że to brunatne sukno, co zdobi plecy naszych włościan, zawdzięczamy Wołochom; iż ono najprzód zpod ich foluszów wyszło, a mnożąc się coraz po całej przestrzeni, stało się dostępnejszém dla ludu. Im także winni jesteśmy płótno lepszego gatunku, a osobliwie sztukę bielienia; polepszenie rasy owiec, sztukę ich chowu i rozmnażania; rozpowszechnienie czabańskich wieprzów, i poprawienie, odmiany miejscowej przez krzyżowanie jój z tamtą; poprawę rogatego bydła przez wprowadzone rasy węgierskie. Nareszcie, z nielicznymi na niemieckim prawie wsiami, przeniesienie posiadanych ról na prawo zakupne (Empticiis).

Zasadę o zakupności roli kmiecój, prawo wołoskie wraz z niemieckim zatwierdziło. Zasada ta nie była obcą dawnemu zwyczajowemu prawu, ale wołoskie i niemieckie więć piśmienne, nie odmieniając w treści, opisało jój zewnętrzną stronę: z zakresu zwyczajaju, w zakres prawa pisanego wprowadziło. Dowodem, że prawo o zakupności roli nie wynikło z prawa wołoskiego i niemieckiego jest, iż w żadnym z przywilejów względem tych praw wydanych, częstokroć nader szczegółowych, nie znajduje się wzmianka o téj zasadzie, a zastosowanie zasady jest wszędzie w mocy. Przeto możemy z pewnością twierdzić, że wynagrodzenie kmieciowi za ulepszenia w roli i za budynki zawsze było obowiązującym, a wołoskie i niemieckie prawo opisało tylko warunki, sposób jak się miało odbywać. W królewszczynach żaden kmieć nie mógł być ruszony bez przyzwolenia królewskiego i bez wynagrodzenia. Zasada ściśle przestrzegana w XVIym wieku, szczęśliwie zastępowała prawo własności ziemskiej, zastrzeżone bezwzględnie na korzyść szlachty; przez nie unikano dwóch krańcowych ostateczności: dążenia do skupienia własności w małej liczbie rąk, a przez to obrócenia reszty ludności w niewolników lub wyrobników, albo przeciwnie rozdrobnienia własności, przez co wszelka własność ziemska ginie pochłonięta własnością państwa. Dziesięcina w naturze od bydła,

wnet do niektórych innych gałęzi gospodarstwa rozciągnięta, wprowadzona przez wołoskie osady na Ruś z Węgier, gdzie kanoniczne prawo mocno kraj zagospodarowało, nie tyle co inne zwyczaje wołoskiego prawa zasługuje na pochwałę. Odmienienie zasady podatku po pewnych przeciągach czasu, dla utrzymania stosunku między podatkiem a przedmiotem od którego się on płaci, jest koniecznością. Dawne prawo miejscowe, wybierające powołoszczyznę, przypuszczało pięcio i siedmioletnie przedziały. Konstytucya z r. 1562 naznaczyła pięcio letni przeciąg dla odbywania lustracyi, a przeto i odmiany w zasadach do podatku służących. Wołoskie prawo wprowadzając dziesięcinę od bydła, i przypuszczając przez to samo rok roczną odmianę, każdoroczne obliczania producyi, i stosowny podział skarbu z producentem, mogło zniechęcać ostatniego; mogło niejaka drażliwość zrzadzać to ciągle wtrącanie się urzędu w gospodarstwo chłopskie. Mając niby na baczeniu ciągle utrzymanie stosunku między podatkiem a producyą, na tę ostatnią ciążyła nieznośnie, podatkując zarówno pierwociny i zmężniałą producyą.

Pozostaje nam mówić nareszcie o początkach i wzroście wielkiej uprawy, która ze wszystkich poprzednich środków najbardziej przyłożyła się do podźwignięcia Rusi.

Wszystkie wsie, według tego jak, uiszczwały się z powinności, rodziłały się na robocze (*in servitio*, *serviles*, *servi*, służkowie), danne (*dacionariis*) i czynszowe (*in censu*).

Robocze wsie, *servi regales*, jak one siebie nazywały, rościły sobie prawo być wolnemi od wszelkich poborów. Poborcy nie wiedzieli jak z nimi postępować; w księgi wpisywali: „wzbraniają się oddawania poborów; powiadają, iż nigdy przedtém nie dawali”. Pomiedzy ludnością, nad którą teraz się zastanawiamy, roboczych wsi było 25 (1). We wsiach roboczych robili 6 dni na tydzień: od południa do wieczora, lub od

(1) W ziemi chełmskiej: „Ochoża, Rozdziałów, Strupin, Wołajowce, Plisków, Śliepce, Krzywice, Żmódź, Dryszczów, Koczów, Zorawica, Siedliszcze, służą do zamku chełmskiego; Pothborce, Myeniany, do zameczku rubieszowskiego; Wielibiecz, Lipie, Piaski, obrócone do

rana do południa (1). Dawne wsie były dacionarii in castores, dacionarii in mellificiis, inne składały siano, owies, kuny, sokoły, krogulce, jaja, kury i kapłony. Lubomski jeden kmieć składał 7 sani do roku; chełmski 20 kłód soli na solenie ryb. W czynszowych, zmieniała się ilość czynszu: za pierwszego z Jagiellonów składano po 8 skotów szerokich groszy z łanu (1394) (2); za trzeciego po pół grzywny (1497) (3); po jednej grzywnie za Zygmunta I^{so} (1523) (4), po półtorej za Zygmunta Augusta; za pierwszego wybieralnego króla po 2 i 2½ grzywny. W jednych starostwach wsie były więcej danne, w innych więcej czynszowe. Biedność i trudność komunikacji w Lubomskiem nie wydoływały czynszowi: dań miodu i owsa wynosiła tam sumę fl. 800, a pieniężne opłaty (fumalium cum censu) tylko fl. 160 (5). W Bełzkiem dań (miód fl. 314, owsa fl. 130; strunga od Wołochów fl. 140) równoważyła się z czynszem; pierwszego wybierano fl. 515, drugiego fl. 590 (6); w Chełmskiem też sama równowaga: czynsz fl. 190, dań fl. 150 (7); w Rubieszowskiem i Krasnostawskiem, nad samemi rzekami sptawnemi położonych, summa czynszów przechodziła summę dani: dani fl. 30 i 66, czynszu fl. 282 i 237 (8). Dla osepu urzędnik ukazywał na polu chłopa obszar, na którym wysiał się korzec nasienia; wszystko co na tym obszarze rodziło się, należało do skarbu; w innych wsiach poddany składał tyle korcy osepu, ile korcy dla siebie zasiał. Dań miodową każdy gospodarz składał od dwóch do trzech rączek, lub po 2 gr. od leziwa.

posługi do zameczku krasnostawskiego.” (Księgi poborów z chełm. z roku 1533 i 1535). W ziemi Bełzkiej Mikulin, Kłathwy, Husznica, służą do zameczku Thissowieckiego; do zamku bełzkiego Góra, Tusków, Nuzmy, Kulików; do innych zamków: Kładnyow, Wydzinica, Theyłów.” *Registrum villarum quae in servicio resident* z r. 1535.

(1) *Labores vero horum uno modo quo eis libuerit obire tenebuntur, aut tribus diebus integris septimanatim, aut singulis diebus in hebdomada per dimidios dies incipiendo tum mane ab ortu solis ad meridiem.* Ks. assessor. koronnej z r. 1566.

(2) *Scultetia v. Lukowa in dist. Krzeszovien.* Ks. metr. kor. XXIX.

(3) *Venditio Scult. in Drohomisl.* Ks. metr. kor. CV.

(4) *Litterae Incolarum v. Camionka.* Ks. met. kor. LXXVIII.

(5) *Registr. Capitaueati Luboml. ab an. 1546 ad a. 1554.*

(6) *Registr. C. Bełs. ab an. 1544 ad a. 1551.*

(7) *Registr. C. Chelm. de an. 1544 ad a. 1551.*

(8) *Registr. CC. Crasnostav. et. Rubiesz. de an. 1545.*

Przy oddawaniu osep i dani miodowej przez wsie, zachodziły ciągłe spory o miarę; mało połączone handlem nie czuły potrzeby sprowadzenia jęj do jednęj stopy. Każda włość, niemal każda wieś miała swoję miarę: inna była miara zamkowa, inna miejska, a inna na włości; w jednęm miejscu dawali miarę wierzchowatą, w drugięm równą. W niektórech wsiach chełmskich, jedni chłopci dawali miarę lubomską, drudzy chełmską, inni lubaczowską. Konstytucya z r. 1565 a jeszcze bardzięj handel gdański zniewoliły do zaniechania miar dawnych (1).

Między osiadłą ludnością pomieszczali się hultaje: byli oni wolni od poborów, danin, czynszów i robocizn (2). Po włościach żyją ludzie należący do warstwy pośrednięj pomiędzy szlachtą a chłopami: w Krasnostawskięm zowią ich manami; w zabużańskich włościach bojarami, grodzanami. Lustratorowie w XVI-tym wieku z zadziwieniem natrafiają w jednęj wsi Lubomskiej na człowieka „co się mieni być Scartabellatus.” W południowych okolicach są służkowie, których lud kniaziami także nazywa: potomkowie tatarskich jeńców.

Tu właśnie, na granicach Litwy i Polski, gdzie kończy się działanie Statutu Kazimierzowskiego, a poczyna się litewski, uderza nas różnica w stanie czeladzi dworskiej. Wdzięcznie nam spotkać czarną izbę

(1) Do zboża: korzec równy bełzki i wierzchowaty kamionacki podobne hrodelskiemu; hrodelski większy od chełmskiego miarką młynską; maca rateńska podobna korcowi chełmskiemu; korzec krasnostawski równy 2 korcom lubelskim, a 3 lubelskich równały się 1 gdańskiemu, przeto 22½ korcy krasnostawskich równe były 45 lubelskim, równe 60 gdańskim, tojest: 1 łasztowi. Używano także miar przemyskich, samborskich, solskich i lubaczowskich. 100 kłód przemyskich wynosiło samborskich 163 i 1 wierteł (korzec); samborskich 68 kłód zawierały solskich 50, a samborskich 70 mieściły drohobyzkich 50. W Lisiatyczach kłoda ma 8 miarek, miarka 2 mace. Lubaczowski korzec ma 4 mace, a maca 4 korczyki.

Do miodu: w beczkę sędziówkę wchodzi 3 ćwierci (*quarta*) miary chełmskięj, a w ćwierć chełmską wchodzi 3 rączki (*manualia*), a w rączkę wchodzi lipiecznicz 3; 2 rączki miary lubomskiej wchodzi w jednę rączkę miary chełmskięj; ćwierci hrodleńskich półtrzeci, robi jednę rączkę; w Łopacinie półtrzecia belec uczyń jednę rączkę *non magis sub mensura*; 4 kuniki stryjskie uczynią 1 lubaczowski, a 32 kuników lubaczowskich stanowią 1 kłodę; w kłodzie 4 korce, w półmiarku 4 kuniki.

Zboże składano w brogi, do liczby 30 kop ściśle ograniczone; stogi czyli sterty do 40 kop; siana stog (*artonus*) kop 60 (*capecias*).

(2) We wsi „Potarzynie, Choma, Kuzma, Sanko holtagije, nihil tenent nihil dant.” Regesfr. C. Bełz. de an. 1508.

nad Bugiem oświeconą wyzwoleniczym promieniem z Watykanu spadającym; po polskich folwarkach czeladź wolna i najemna, w litewskich czeladnych izbach mieści się niewolna i zakupna. Nigdzie usposobienie moralne dwóch światów nie odbija się jaskrawiej. Pod sterem dwornika i dworniczki w polskim folwarku, chowa się czeladź odbierająca sukno bieckie lub ćwikowskie; służebnej kobiecie oprócz myła, dawano przysiewek w ogrodzie w konopiach i lnę; pastuch z przypłodu odbiera cielę. W Krzemienieckim, w granicznym zamku, pod władztwem litewskim zostającym, izba czeladna inny widok przedstawia: tu niewolnik i niewolnica, tak jak ich przedchrześcijański wiek pojmował. Stare niezamężne dziewczki, kobiety z dziećmi bez mężów, dzieci niemające ojców; pośród kilkunastu mężczyzn i kobiet zaledwie jedno stało zamężne. Zdaje mi się że wyczytujemy cały stek nieszczęść niewolnictwa w tych krótkich spisach czeladzi litewskiej (1).

Jeszcze jeden rodzaj ludzi, ostatki licznej klasy skomrochów, bardów słowiańskich, ma zwrócić naszą uwagę. Bełzka ziemia wydała mnogich gęślarzy ludowej poezji. Dwie wsie, jedna w Sokalskim, druga w Grabowieckim, dotąd noszą nazwisko Skomrochów. Jest podobieństwem, że Mitus, jedyny głośny pieśniarz, którego imię historia przechowała po Bojanie, był rodem z chełmskiej lub bełzkiej ziemi. Tu i owdzie po przedmieściach, po wsiach dopatrzeć możemy tych bardów ex professo ludowych. Przy ściśnieniu ludowego życia, świat urzędowy lekceważył ich, poczytywał za jedno z hultajami. W Busku (1507) „de hominibus ociosis, cytharides, ausculistarum alias olthaje”; w Starym Gródku „vagus alias musicus”; w Stojanowie „vagus alias duda;” w Hrubieszowie

(1) „Pawluk parobek, żona jego Doca, dzieci 2; żonka niewolnaja i doczka Barbara; żonka Jagnieszka i syn; Katerina stara i syn; dziewczka Jagauszka; parobek Piotr; żonka Jadwiga z dwie doczki i syn; dziewczka Haluta.” W innym folwarku, „Rykunia Olena, syn jej Janko; żonka Barbusza, bardzo stara; syn u niej Pratorik lath ma 17; żonka Katerina ma syna Szimka, ma lath 5; dziewczka Hanna lath dorosła; dziewczka Barbara lath iey 13; dziewczka Magdalena; dziewczka Marusza lat iey 15; dziewczka Katarzynica lath 8; dziewczka Barbarzyca lath iey 8; parobek Stusznik lath iemu 14; parobek Łukasz lath 18.” Inwentarz starostwa krzemienieckiego z r. 1548.

„*vagus dicto skrzypek.*” Ich koczujące zwyczaje zrażały poborców i regularność rejestrów poborowych: zbierający powtórna ratę łanowego, nie znalazł skomrocha, z którego rzemiosła wziął w pierwszym półtroczu g. 12, i dodaje „*vagus alias duda pro hac vice aliunde transmigratus.*” W 1578 zostawało w całej ziemi bełzkiej 6 *ausculistarum*. Żalem jesteśmy przejęci na ten widok, bo gdzie kończy się pieśń, poczyną się zła myśi; bo tylko słodki dźwięk struny i głosu łagodzi bolesne drgania życia: w obozie Chmielnickiego żadnego gęślarza nigdy nie bywało. W początku następnego wieku, jeden z starostów więcej uwzględniający potrzeby ludowe, widząc w Rohatynie (Rohatyn zdawna sławny był swemi skomrochami), kilkanaście *familias musicorum*, utworzył cech muzyczny, jedyny na Rusi, i tam naśladowce Bojana i Mitusa znaleźli przytułek pod opieką magdeburskiego prawa.

Początków wielkiej uprawy nietrudno odszukać. Król Władysław (w XV w.) nadając kanonikom kapituły chełmskiej grunta, zaleca im założenie folwarków (*praedium*); ale właściwiej wielka polska uprawa, której towarzyszyć ma przymusowa robota i przytwierdzenie do ziemi, poczyną się od wzrostu handlu gdańskiego i odkrycia Ameryki.

W r. 1507 w Bełzkiem, na 348 wsi, było tylko 119 z których dziedzice płacili pobór czwartej części czynszów, to jest, iż tylko trzecia część wsi nie miała folwarków, lecz zostawiona była drobnej uprawie. Za szlacheckimi dobrami poszły i królewskie; do czego przyłożyli się bracia Tęczyńscy, którzy posiadając dobra w Polsce, świadomi byli z doświadczenia jak ogromne wydawało rezultaty folwarczne wielkie gospodarstwo, już powszechne w nadwiślu, w porównaniu z drobną uprawą, jeszcze wszechwładną nad Bugiem. Wynikiem szerzącej się tej dążności będzie następnie Statut Toruński z r. 1520, nakazujący poddanym odbywanie jednego dnia robocznego na tydzień, i to jest pierwsza urzędowa intronizacya wielkiej uprawy. We 25 lat później, Bug okrywa się już komięgami, owocem wielkiej uprawy. Komięga brała do 20 łasztów popiołu, od 20 do 50 korcy zboża. Według wielkości wody, dzielono na trzy czę-

ści podróż: 100 łasztów odprawianych z Bełzkiego „z powodu wąskości łoża Bugu” na 5ciu komięgach, w Drohiczyńie przeładowywano na 4ry. 10ciu ludzi na komięgę zaciągano do Serocka, a z Serocka połowa ich wracała, ponieważ dostateczna woda na Wiśle już nie wymagała tylu ludzi; oprócz tego do kilku komięg dawał się bednarz i kucharz; na 3 komięgi po 1 „czalownikowi”, któremu powierzało się strzeżenie bezpieczeństwa komięg z boków (a lateribus); cały karawan był pod przewodnictwem „przednika.” Gdy ruszały się z przystani komięgi, goniec pędził wprzód z listem królewskim dla oznajmienia, ażeby usuwano groble, mosty i tamy; na Wiśle godzono roimianów, a w Gdańsku tragarzów. Wszystkie czeladź była za najmem: łatwo było ją poznać we wsiach w święteczne dni, po sukmanach z tak nazwanego ilisowskiego sukna. Spławiane zboże i popiół, w Gdańsku oddawano na ręce Jana Kopa „factoris silvarum R. M. in Magno D. L.” Z jednego Rubieszowskiego spławiano do 3,000 korcy zboża, niemniej i z innych starostw (1545). W następnych latach coraz zwiększa się produkcya. Dochód od zbóż folwarcznych stanowił ogół dochodu:

w r. 1545 w Rubieszowskiem	$\frac{1}{2}$	a w r. 1564	$\frac{2}{3}$
Krasnostawskiem	$\frac{1}{6}$	—	$\frac{5}{7}$
Chełmskiem	$\frac{1}{7}$	—	$\frac{2}{3}$

Chów bydła nie mógł iść w współzawodnictwo z uprawą rolną: ceny zboż, jako przedmiotu zagranicznego odbytu, były stosunkowo korzystniejsze dla rolnika (łaszt zboża wart był w Krasnymstawie f. 12, a już w Toruniu f. 20, r. 1545), niżeli cena wełny, przedmiotu mającego tylko odbyć krajowy (1). Owca dwa razy strzyżona, dawała jeno na rok 1 gr. dochodu. Do tego mogły przyłożyć się jeszcze częste zarazy: w zabużskiej włości zostało tylko 5 starych owiec i 3 jagnięta (1512), reszta powymierało; „skóry ich złożone w zamku.” W Bełzkiem (1545) urzędnik sprzedał wszystkie owce „ponieważ u ludzi owce giną od zarazy”; w Lubomskiem „łato-sze owce wszystkie powyzydychali (1570)”; w Bełzkiem „wsztkie owce ludziom pozdychali, jeno u kilku zosta-

(1) Reg. teloneatum Chelm. et Belz. ab an. 1545 ad an. 1554. Wełna nie stała w liczbie artykułów handlu Rusi z Gdańskiem.

to (1571).” Chów owiec przeto nigdy u Wołochów nie przybrał znacznych rozmiarów: w ziemi chełmskiej (1538) posiadali jeno 1100 owiec, w ziemi bełzkiej (1546) do 4000.

Pod naciskiem tych okoliczności, wołoskie osady przyjęły uczestnictwo w ruchu rolniczym; zaczęły one porzucać chów trzody, a udawać się do rolnictwa. Już poborca r. 1510 zapisuje jako rzecz niezwykłą, iż w pewnej wsi w Buskiem żyją Wołochy „agros colentes, oves non habentes.” Mocni swemi przywilejami, pomimo trzymania pól, sądzili się być od ciężarów z nich wolnemi, obstawając przy uiszczaniu się tylko według litery przywilejów, to jest z samych trzód. Nie chciały one wiedzieć, iż nowe zasoby oddane im do użytkowania, równolegle i do nowych poborów je zobowiązywały. Niestusznosc ich widoczna, ale czy to nie tkliwy widok, iż drobna gmina na łąkach Bełzy i Raty pojmuje swoje prawa tak żywo? W czasach gwałtów i przemocy, ciemnoty i bezprawia, kilku kmieci spór toczą o literę przywilejów, często ledwie czytelną. O jednym z nich komisarze tak się wyrażają: „o powinnościach, dla startych z pergaminu słów wyczytać niepodobnych, non constat: to tylko można było wyczytać, że to jest jakaś prefektura de more kniaziów.” I urząd niecierpliwie znosił, a jednakże prawość brała górę nad przeciwnymi dążeniami (1). Przytaczamy w całości dekret króla, który ostatecznie przeniósł wołoską osadę z chowu bydła na rolnictwo, ponieważ lepiej niż nasze słowa to przejście opisze (2). „Ze wsi Wirzch Rachanie przybyli do nas skarżący się na Stanisława z Tenczyna, jako na starostę bełzkiego, iż narzuca im nowe powinności, gdy oni już odbywają powinności według prawa wołoskiego, którego zażywają, i że za to iż nie złożyli po I grzywnie niestusznosc od nich wymaganą, niektórych z nich wrzucono do więzienia. Starosta tłu-

(1) Piła w Żurawicach na które tarcice rzezać mogą kiedyby potemu był mistrz y tramów dostatek, ale isz tam nie może więczej tramow rzezać ile ich ludzie wedlie powinowaczstwa swego uprzywilejowanego wywiozą, to iest Lubiczanie.

(2) Metryka litewska, księga XL. „Wirzch Rachanie cum suo Capit.” R. 1548.

maczył się, iż nie uczynił tego dowolnie, lecz na mocy kontraktu z niemi zawartego, ponieważ gdy roku przeszłego zestani komisarze zawyrokowali byli, iż skarżący zobowiązani zostali zawsze odrabiać po 1 dniu na tydzień zwyczajem poddanych innych wsi, a to dlatego, iż nie samemu swojemu prawu wołoskiemu ulegają które zobowiązuje tylko do samego chowu stad i trzód i do płacenia zład pewnego dochodu, ale także posiadają dużo pól według tego, jak innych wsi poddani nasi: przeto z prawa się należy, ażeby zwyczajem innych wsi i ciężary ponosili. Dlatego gdy, chcąc okupić należący się od nich z przysądzenia dekretu komisarzkiego dzień robocizny, ułożyli się z starostą, ażeby każdy którego pola posiada, po 1 grzywnie pewnego czasu do skarbu składał, a pokilkakrotnie upomnieni wznaczony czas zapłacić nie chcieli, musiano z niemi prawnie postąpić. Król postanawia: mają dawać po jednej grzywnie lub robić po 1 dniu na tydzień, a już wtedy nie obowiązani do robót, które przedtym po kilka dni do folwarku Rzeczyckiego odbywali, jako téż przy błocie czyli stawie, oprócz naglącej potrzeby, a i natenczas dni mają im być zaliczone w miejsce tygodniowych; wolni téż mają być od postugi wojennej do której podziśdzien byli obowiązani; wolni także od postugi konnej ku rozwożeniu listów, do czego teraz są obowiązani: mają jednakże i nadal dawać kopę groszy, którą przedtym wspólnie składali starości, ażeby być przez niego przy prawie wołoskiem zostawionemi. Nie mają już składać czynszu czyli dani po półgroszku od roboczych wołów, jak zwykli dawać od reszty wołów i bydła. Ma być im wymierzono pola i łąki w ilości, w jakiej je posiada reszta wsi niezawajająca wołoskiego prawa. Na budowanie zamku beżskiego dwa drzewa obowiązani przywieźć.”

Jeszcze w ciągu tego wieku reszta wsi uległa takiemuż przeistoczeniu. Lubicza w 1548 „ponieważ ci poddani dużo pola posiadają przeciw zwyczajowi wołoskiego prawa, które go tylko mało mieć pozwala”; lubomskie, przez dekret króla Stefana (1578), kamionackie w skutek pomiaru (1589) (1), a zniszczone przez Tata-

(1) Inwentarz starostwa kamionackiego z r. 1589.

rów po bitwie cecorskiej, nie zostawiło ani potomka, ani pamięci o dawnych osadzcach Wołochach (1622) (1).

Równowadze utrzymywanej przez Zygmunta I, i po części przez Zygmunta Augusta, pomiędzy wielką a małą i średnią uprawą, zawdzięcza kraj ogromny rozwój wewnętrznego życia, ludność i liczbę uprawnych gruntów. Były wojny, były powietrza, były powodzie, ale to wszystko bezsilne, kiedy mądre, umiarkowane rządy sterniczą krajowi. Pieniądz, owoc wielkiej uprawy, powracał na grunt i służył do zaopatrzenia potrzeb kraju (bo historyk, który ściśle badał dzieje ludu, który zacierał w chaty i stodoły, nie wierzy, ażeby mozolnie zapracowany pieniądz szafowano tylko na zbytki, jak lubi powtarzać gminne zaskarżenie); miasta i wsie, król, szlachta i chłopci podwajają czynność. Zamki: bełzki jeszcze Mazowszan ręką stawiany, chełmski murowany przez Buczackiego, wielkiego budowniczego za pierwszych Jagiellonów, przez czas i napady Tatarów gruzami leżały. Teraz dziedzińce zawałone stosami drzewa „oprawnego toporem,” gliny do oblepiania murów, desek do pokrycia blofarków. Z rozkazu „młodego króla” (natenczas świętej nadziei ludu), wymurowano zamek w Bełżu „w miejscu sposobnym i pewnym dla obrony;” w Hrubieszowie, ażeby przez skupienie sił obronę uczynić skuteczniejszą, „ma się wymurować w środku miasta dom z blofarkiem;” w Chełmie polecono staroście wystawić „w dolnym zamku dwie baszty na rogach ku monasterzowi;” krasnostawskim mieszczanom kilkakrotnie w drodze łaski dawano po 100 florenów na wzniesienie warowni miejskich. Postawiono dwa mosty na Bugu pod Dorochowskim (2) i Stolnem, dla prędszego przeprowadzania się uchodzących ludzi z dostatkiem, podczas nieprzyjaciela. Na murach dotąd stały jeszcze starożytne wyroby młodocianości sztuki pociskowej. Teraz Jagiellońskie „fuglijarze, pułtoraśnice, roszkopy, samostrzały, hewary, pasy z klikami, sulice żelazne, capalijny” zastąpiono przez wylane w Krakowie arkebuzy, rusznice, sporządzone na

(1) Inwentarz starostwa kamionackiego z r. 1628.

(2) Metr. koron. ks. X.

urząd w Ołomuńcu hakownice i falkonety, „o łożach i kołach dębowych z lasów J. K. M. Drzewo pomalowano na czarno, okowanie na czerwono,” i pomiędzy zamki rozwieszono (1). Założono nowe miasta (Tarnogóra), inne nie zażywające jeszcze prawa niemieckiego, obdarzono niém (Stojanów), utworzono cechy, oznaczono czas jarmarków. Wszystkie miasta opatrzone dochodami na wystawienie ratuszów, utrzymanie murów i na utworzenie pewnych miejskich funduszów. Na ten przedmiot król zrzekł się dochodów z woskobojni, postrzygajni, wagi, jatek rzeźniczych, pomiernego, korcowego (2) i najważniejszego, od szynkowania wódki (3); inne konsumcyjne podatki jedne zmniejszone, drugie zupełnie zniesione; między innymi sól, której cena tak blisko obchodzi dobry byt ludu, uwolniono od powtórnego cła, od rozdrobionej sprzedaży. Zachowano składy w Chełmie i Krasnymstawie, lecz nakazano nie ścieśniać prasołom wywożenia niesprzedanej na targu. Zalecono starostom naprawiać drogi i groble w miejscach według ukazania celnika, a szlachta obwieszczona ma być przez woźnego pod karą stracenia prawa pobierania grobelnego, gdzie takie jest, na niepostusznych. Nie jedno miasto zawdzięcza najważniejsze swe prawa okoliczności wzięcia na siebie moszczenia pobliskich grobli (jakoto Tysowce); inne wsie, nawet miasta założono szczególnie w zamiarze uczynienia przejezdnymi niektórych miejsc błotnistych (jakoto Most Augustów). Nieoledwie przy wszystkich naszych wołoskich osadach istniały błotniste groble, a celnik ciągle się skarży, iż chłopci niedbale opłatę wybierają. Gdy zawrzał handel zbożowy ku zachodowi, z północy przywożono futra, ze wschodu oryentalne towary (4), z południa woły, z zachodu żelazo

(1) Sequitur adnot. quidquid infusionem tormentorum. 1545.

(2) Proventum nostrum korczowe dictum oppidi Crasnystaw a singulis curris per 1 obolo pro commodo conf. r. 1543. Pomiarne, vectigal, a singulis coris frumentorum quorumvis emptorum et comparatorum nobis pendere soliti, na rzecz miasta Bełz. 1547. Metr. lit. ks. XL.

(3) Bełz. 1516. Hrubieszów 1526. Lubom. 1541. Tysowce 1542. Met. kor. ks. XXIX, CXIII. LXIII.

(4) In Chełm. hoc anno Turci mercatores antequam non soliti venerunt per vocationem Ostrowski per Chełm. et Bełz. ad Leopolim (1548). Notandum quod Camera Chełm. ad litteras MR. transmissus est libere absque solutione Telonei quidem Turca Muslahedin Mercator

i sól (1). Regulowano się jarmarkami w Lublinie na Zielone Świątki i św. Judy, w Krasnymstawie na św. Kiliana.

Urządzenie ekonomiczne zwróciło uwagę. Dotąd dozór nad dochodem z dóbr królewskich, odbieranie pieniędzy od dzierżawców, spisanie rejestrów powierzano chorążym lub wojskim ziemskim; dowiadywano się o źródłach dochodów jeno ze słów poddanych; często-kroć burgrabiowie rzewnie wyznawali, iż zgoła nie utrzymywali rachunków dziennych i pożytków wypadkowych (2). Teraz oddzielono zarząd dóbr królewskich: ustanowiono jeneralnego ekonoma na województwa ruskie, bełzkie i lubelskie (3) (1558). Każdemu staroście wydano ordynacyą, według której urzędnicy zamkowi i czeladź folwarczna ma odbierać wikt i myto. Rachunki mają się zamykać z 31^m grudnia; pod ten dzień mają starości wnosić intratę do skarbu; zakazano rozpoczynania nowych budynków bez dozwoleń królewskiego, oraz zakładania woli i wsi po lasach. Według potrzeby starano się naprawiać i przyczyniać obory, stajnie, śpichrze, młyny, (4) kuźnice, rudnie (w Bełzkiem), papiernie (w Busku 1578); podnoszono groble, okopywano

cum mercimoniis ex Moskovia in 70 curribus per equos 2 singulum trabentibus, quae merces erant recondite in vasis videlicet pelles sabelorum, mardures, vulpine et cutis iuchti, a quo provenere debuerant ad nimis f. 1000 (1550). In Lubom. Alexander Armenus ad literas R. M. demissis sine solutione Teloneis a rebus et mercanciis Moskoviam deVectis et iterum et Moscovia et Turciam deVectis (1551). Ad lit. R. M. Muschlaiedzin Turca Merc. evexit mercium cur. 25 equos 100 eundo Masoviam. Item in redeundo cum mercibus cur. 130 equi 130. Greczin. Babtista in terrarum Turcarum evexit. ad litteras R. M. mercium pro fl. 4000 (1554).

(1) *Barones et Nobiles per eandem Cameram Crasnys. in diversa loca ad vendendum sine solutione Telonei non habitis litteris MR. temere et violenter pellerunt boves. Pal. Lubl. 750. Pal. Sandom. 327. Capitaneus Crasnus. Bogusz 403. Capitaneus Sokal. boves 100 juvenas 150. Pro Coquina RM. 157. D. Koniecpol. juvenas 21, Stan. Osmolski juvenas 21 (1550). P. Lubl. perpetit boves 450, panni currus 2, per equos 6, ferri curru 1, equis 6 (1554).*

(2) *Aliud molendinum Piskorzew cum duobus rothis Burgrabius cum molendinatoribus ignorabant dicere quid ex eis provenit ad annum. Quia nunquam conscribebant nec karbowalij. Registr. Castr. Coninens. 1510.*

(3) *Metryka koron. ks. XCV.*

(4) *W lubomskim młyn koński w którym słody miela (1510), król Zygmunt sprowadza 2 młyny z Czech. (Pro molendinis duobus ex Boemia adductis dedi in manus d. Sacz. f. 250. Regestra wydat. królew. ks. z r. 1537). W bełzkim „młocarnia na słupiecz.” (1571), we wsi Torki zjawia się pierwszy młyn wietrzny (1578).*

sadzawki, obszerny staw pod wsią Kłatwami w Tysowieckim wykopano i utrzymywano pracą Wołochów z Tarnawatki i Wierzrachani (1). Wystawione dwory a gdzie indziej wyprowadzone z muru, stały się sposobniejszymi do zamieszkiwania przez króla podczas przejazdów, lub do przytułku znamienitym wychodźcom z Wołoch i Moskwy. W Stolnie i Nowosiołkach chowano stada: utrzymywano dla zawodu, w pierwszym stadnika jabłkowitego hiszpańskich koni, w drugim klacze tureckie. Zachęcano doktorów do osiadania po miastach i wynagradzano tych, którzy nieśli lekarską pomoc: „szlachcie i mieszkańcom wszelkiego stanu, bogatym i biednym” (2). Cerkwie uposażono gruntami lub dawne przywrócono, zapewniono dożywocie godnym parochom i ich dzieciom, jeżeli okażą się sposobnymi. Mieszczanie krasnostawscy biorą się do murowania cerkwi i pozwolenie króla pozyskują; na wystawienie zaś szkoły ustępuje Zygmunt August miejsca, gdzie przedtém był dwór królewski.

Liczba wsi w dobrach szlacheckich powiększyła się o jedną trzecią; w dobrach królewskich w dwójnasób (3). W Bełzkiej ziemi r. 1472 było 298 wsi; we czterdzieści lat później, 345, a w r. 1580, 458. W ziemi chełmskiej r. 1510 było piętnaście miast i 364 wsi; w trzydzieści lat później 60 miast i 690 wsi.

Zanadto szybki postęp po drodze statutem toruńskim wskazanej, tamowały i zwalniały najprzód opór poddanych, pomnych na dawne zwyczaje i przywileje, powtóre ogromna powaga jaką miał Zygmunt I, ostatni król co skupiał w swój duszy wszystkie promienie polskiego słońca, co nie poczuł strasznej choroby rozdwojenia narodu. Najpierwsze zastosowanie toruńskiego

(1) Registr starostwa tysowieckiego z r. 1545.

(2) Jan Mniszek starosta krasnostawski, nadając plac w mieście Krasnymstawie famato et excellenti viro Henrico de Buschia, Chirurg. atque Civ. Crasn. Metryka koronna, ks. CXXIII.

(3) W Chełmskiem (1510) 9 wsi, teraz (1564) jest 25; w Lubomskim było 14 (1510), potem 20 (1545), teraz 25 wsi; w Hrodle wsi 9 (1510), teraz 12; w Bełzkiem było 18 wsi (1510), a teraz 30; w Hrubieszowskiem (1510) było poddanych 6 w czterech wsiach, z których jeden miał konia, a teraz (1564) liczy 256 kmieci łąnowych i półłąnowych w 16 wsiach; w Bełzkiem województwie w r. 1472 liczono osiadłych łąnów 1646; w r. 1533, 747 łąnów, a w r. 1564, łąnów 2256; w ziemi chełmskiej w r. 1533 było łąnów 757, a w r. 1573 (ostatni rok w którym zwiększyła się liczba łąnów) było ich 2359.

statutu uczyniono w Chełmskiem za kanclerza K. Dębińskiego (1530); w Leżajskiem (1531); w Krasnystawskich wsiach Nyemienicze i Zazablonye (1550), obowiązując poddanych do dwóch dni robocizny na tydzień (1). Ale to zastosowanie statutu gdzieś w mieście pół polskiem, pół niemieckiem wydanego, mające przełamać i starożytnie zwyczaje, i prawa przywilejami królewskimi zapewnione, natrafiło na źle przygotowane usposobienie. Obcy przeszłości Rusi, poddani patrzyli z niedowiarstwem na źródło, z oburzeniem na skutki; przeto nigdzie nie przyjmowali potulnie: wszędzie jakby chcieli z ust samego króla potwierdzenie nowego prawa usłyszeć. Dotąd uznawano, iż król ze szlachtą stanowią prawa w przedmiotach politycznych. Statut toruński przybrał powagę prawodawczą w przedmiotach ekonomicznych, które dotychczas zostawiano prywatnym układom, i stanowił o nich bez wiedzy kmieci. Mandat zaś jeszcze z r. 1545 uznawał przeciwne zasady, bo mając na celu ulżenie podwodowej służby, wzywa do narady przedstawicieli miast i wsi, „ponieważ zaocznie stanowić o nim nie wypada” (2). Pobyt króla w Krasnymstawie r. 1558 powinien zwrócić naszą uwagę i chociaż szlachecki historyk owych czasów nie znalazł nic godnego do opowiedzenia, my wykażemy, iż od sejmu w Toruniu nie było ważniejszego dnia dla Rusinów. Jeżeli mało na nim zebrało się szlachty, to tłumnie zgromadzili się chłopi, ze wszystkich okolic Rusi (3).

Wśród niedawno jeszcze wyprowadzonych z kamienia murów pierwszego dnia miesiąca sierpnia, czarodziejskiego w tamtych okolicach, kiedy świeża woń topoli, dębów i lip przesiąka zlekka powietrze, stały gromady, każda oddzielnie, pośród dziedzińca. Dworzanie królewscy, przywykli biegać od krańca do krańca po kraju, poznawali i ukazywali dworowi, która gromada z którego kąta kraju przybyła. I bez téj znajomości, po budowie ciała, po rysach twarzy łatwo było rozróżnić nadbużskiego kmiecia, wprawionego w wiel-

(1) Metryka koronna, księga LXIX.

(2) Mandatum ad CCoos. Met. kor. ks. LXVIII.

(3) A w roku 1558 zjazd był w Krasnymstawie, ale się tam nie wiele zjechało było, zaczym król do Warszawy się ruszył. Dzieje w Koronie polskiej Ł. Górnickiego.

ką uprawę, od kmiecia z górzystych okolic Sanu i Dniestru, zażywającego większej swobody przy drobnej uprawie; już zgniecione są plecy i czoło u pierwszego od robocizny, jak od ciężaru ołowianej korony. W koszuli z konopnego włókna, łapciach lub grubych chodakach, okryty siermiężką białą: to chłop zza Prypeci; obok niego w strojnej brunatnej sukmanie poddany Bełzki, przy czerwonym pasie i kołpaku falendyszowym lazurowym. Haliczanie, przywykły bić się i kupczyć z Tatarem, przywdział koszulę jedwabną, bóty żółte tureckie, inderak siny, luński lub muchajerowy, z srebrnymi kolcami; górale znad Strwiążu odznaczają się lisiami lub rysiemi kołpakami, kozuchami i cięgaturami węgierskimi. Wśród ich milczącego tłumu łatwo odgadniesz po poważnej postaci Demka, kniazia z Ustryk. co niemiłosiernie łotrzyków ściga i zacięcie obstaje przy prawach krain. U samych kamiennych podwoi, przy szablach w pochwach juchtowych, czekają na posłuchanie królewskie bojarzy z Lubomskiego w czerwonych żupanach, pas lity z jedwabiu i srebra, a czapka z ogonków marmurkowych. Nareszcie w kosztownych karazyowych ferezyach mieszczanie, którzy przybyli popierać sprawę swoich przedmieść, nieprawnie pociąganych do robocizny.

Ogólny głos poddanych obwinał starostów, że wymagają pszenicy, owsa i miodu miarą niezwykłą; że wybierają po jednym wole na każdy przyjazd starosty „względem pokłonu” i biorą runo od owiec; zmuszają do wożenia drzewa „bortniczego” nietylko na potrzebę starosty, ale i dla sąsiadów szlachty; zabraniają wyrabiania gontów, desek z lasów; wymagają opłaty od dziewczek i wdów, większej niż zwyczaj niesie w ziemi bełzkiej (od pierwszych po gr. 12, od drugich po gr. 30); wzbraniają wożenia piwa i miodu, a szynki oddają warendę tylko żydom. Że biciem srogiem ciemiężą, z urzędników sprawiedliwości nie czynią, a nadewszystko, iż nieznośną tygodniową robocizną dręczą i niszczą włości (1).

Miarkując skargi dekretami tego roku i kilku lat następnych, stacyą składaną przez poddanych, gdy zje-

(1) Akt. sąd. ass. 1558—62. ks. 14.

żdzał król do poblizkiego zamku, zamieniono na daninę stałą rok rocznie wybieraną. Na przyjazd króla, starosta miał dostarczać żywność po cenach wolnych, lub poprzednio w kontrakcie urzędowym oznaczonych. Stacye na starostę i urzędników, pod nazwą cześci, krasnych jaj, pokłonnego, poddanego, tylko wtedy przyjmowane być miały, gdy z dobrej woli poddani zechcą dwór uczcić.

Wsie zostające dotąd na feudalnej postudze, koniuskiej, ciesielskiej i podwodnej, zostają obrócone w robocze. Na krasnostawskim zjeździe zastosowana robota tylko do wsi koniuskich przemyskich; a tę samą myśl we dwanaście lat później, zastosowano i do chełmskich. Dekret z r. 1570 potwierdził układ zawarty pomiędzy starostą a wsiami Koczów, Strupin, Krzywice, Rozdziałów większy i mniejszy (koniuskie) i Dypułytyce (podwodna), i nakazał odbywanie trzech dni z pół ładu. Starosta (ażeby uczynić przeistoczenie powinności mniej bolesnem) przyrzekł, iż roku bieżącego ograniczy się do dwóch dni na tydzień (1). We wsi Ochożej (ciesielskiej), wzięto grabieżem dwadzieścia sztuk bydła „ciążając ye przetho isz się na te robote dniową poddać nie chcieli,” a gdy urzędnik dowodził „że cieśliów iusz do zamków nie potrzeba, isz większy pożytek będzie gdy do folwarku robić będą,” zostało postanowiono „że iusz nie cieślamy a iusz rolnikami albo kmieciami być i powinności kmiece nieść mają,” to jest cztery dni z ładu (2). Inne stany, które przemysł utworzył, bartnicy, rybołowy, strzelcy, młynarze dziedziczni, pociągnięci także do robocizn folwarcznych, a ich rzemiosła ustały lub bezpośrednio folwark z nich użytkował (3). Skutkiem tak przesadzonego skłonienia ludności do roli, musiał upaść wszelki przemysł; płótnami zarzucał Szląsk, sukno szło z Biecza, kozuchy z Moskwy i Krymu.

Wielka uprawa potrafiła skierować i wyrabianie napojów ku swemu bezpośredniemu użytkowaniu. Daw-

(1) Ak. sąd. ass. ks. 18.

(2) Ak. sąd. ass. ks. 14.

(3) W Krasnostawskim ciągle wypada wycinać drzewo na budowanie komiegg, ztąd niepokój barciom i one niszczeją (1546). W Bełzkiem jazy zakazano stawić dla thego że szkoda wielka była bo ribi ku wodzie idąc z ich jazy opierały się (1571). W Stolnie barci nowych przyczynić nie dopuszczają i barci ich na węgle rąbią (1637).

ny tryb rzeczy zmieniano powolnie (1). Na początku zastrzeżono, ażeby słody poddani brali tylko w młynach folwarcznych; cena nie miała przewyższać ceny w poblizszych miastach (2); następnie pozwolono wyrobu tylko podczas prąźników, chrzcin, pogrzebu i wesela; nareszcie i w tych zdarzeniach ustanowiono opłatę, która coraz powiększana sprawiła naostatek przekonanie iż wygodniej brać od arendarza napoje, niżli je samemu robić. Napój dla ludu przedmiot rozległego użytku, znaczną część zarobkowego grosza zużywał; dopokąd wyrób i jego sprzedaż w rękach ludu zostawały, kapitał odpowiedni, pomiędzy nim krążył; od czasu jak stopniowo przechodzić poczęły do rąk wielkiej uprawy, a od téj do żydów, obrotowy kapitał tę samą wędrówkę odbywał. Przez tę ewolucyą mały kapitał przeszedł do żydów, i w tém przyczyna następnego zubożenia ludności. Zaniechanie w średniej uprawie browarów, pociągnęło zaniechanie tuczenia bydła: pokarm mięsny ograniczył się odtąd do jednej wieprzowiny. Rzadsze używanie pokarmu mięsnego sprawiło, że organizm chłopów, przy ciągłych pracach w polu, stawał się coraz słabszym, a nadużywanie wódki koniecznijszem. Poseł turecki w XVIII wieku powiada: iż na Rusi poddany za najszczęśliwszego siebie poczytuje, gdy się mu zdarzy zjeść kawał mięsa, i takiego palcami wszędzie pokazywano. Skutki moralne były ważniejsze; poeta w którego łacińskich wierszach dostyszyć się daje odgłos żalów ludu, rzewliwie opisuje, jakie opustoszenia wódka sprawiała. Ale wiersz mieszczanina lubelskiego, mógł nosić na sobie barwę poniekąd sztuczną: postuchajmy rzewnego płaczu ojców familij ze wsi chełmskich, co rodzimem sercem przeczuwają następstwa wódki i ży-

(1) W Chełmskiem browarnego de v.v. Nowosiołki, Stolno, Siedliszcze, Ruda f. 10 accrt. g. 26 quia is proventus non est solidus. W rubieszowskiem de braxatoriis in Rubieszow et Diakonow f. 20. W Stolnie, w tym folwarku browar, w nim kocziel i pywne naczynie z niego płaczą od waru piwa kto warzi po gr. 2 (1545). We wsi Zamech, tamże człowiek jeden na then rok miał gorzałkę palić i ma dawacz annuatim jeśli się ossiedzi f. 3. W sokalskiem we wsi Skomorochy od wolnego palenia gorzałki ogółem dają f. 4 (1564). We wsi Siedliszcze biło thech korczem więcej za rewiziej, ale je wszithkie zegnano na robothę i ucziniono jednę korczmę kthorą nazwano nową (1570).

(2) Met. kor. ks. XCIII, XCV.

dów: „Przełożył nam Lugowski rządca starostwa chełmskiego, iż poddani ze wsi Żmudzi i Dryszczowa wielce żalą się, że cierpią stratę i niewygody, a téż skażenia obyczajów pomiędzy dziećmi obojga płci, a to od uczęszczania do karczmy, której dzierżawę otrzymał żyd, zdzierca i nienawidzący chrześcian, i która postanowiona jest jakby na schadzkę i ucieczkę dla wszystkich bawiących się złodziejstwem: co uda się unieść z domu synowi potajemnie od ojca, słudze od gospodarza, tam znoszą; złąd spółpijania, złąd błazeństwa, gry, kołki a nareszcie i czarodziejstwa, od których cierpią. Żyd zaś wszystkiemu temu nietylko sprzyja, lecz jeszcze zachęca: przeto poddani proszą, ażeby karczmę publiczną usunąć, a wary piwa na potrzebę ich domową z kolei każdemu poddanemu tych wsi rozdawano było, obowiązując się dawać po 10 grzywien, które dotąd z karczmy nas dochodziły; za tą umową on stek wszystkiego złego i rozpusty z karczmy pochodzący, na zawszebyśmy umorzyli. My znajdując słuszném i poczciwém prośbę poddanych, a także upatrując, iż należy nam to uczynić z prawa i obowiązku, postanawiamy, iż nie ma odtąd nigdy być publicznej karczmy, ale poddani sami z kolei każdy, mają warzyć piwo i sprzedawać jedną ceną, każdemu kto tylko potrzebować będzie. Zabraniają się przytém gospodarzom w domach wszelkie niepotrzebne schadzki i rozpusty, téż skażenie obyczajów dzieci, na co wszystko i na istnienie publicznej karczmy uskarżali się.” Lecz już w następnym roku żyd zwyciężył gromadę i do dzierżawy karczmy powrócił.

Pomiar wymagany przez wielką uprawę, z uporem robiony po włościach, od czasu zjazdu krasnostawskiego wszędzie zniósł spółki dworzyszcz. Dotąd spółki dworzyszcz. były ogólne w Lubomskim i Chełmskim (1). W Bełzkiem utrzymały się po dwie, po trzy we wsi, i najczęściej „tiun” był jeden z członków. Zda się

(1) We wsi Żmudzi: „Nicolaus et Macziek et Iwasik aream tenent; we wsi Dryszczowie: Nicolaus Czieslik 3 qrtas tenet et idem habet ibidem 3 ortulanos sibi spect. cens. et laborantes” (1512); we wsi Ochoża 40 ludzi na 7 dworzyszczach, posiadają pospołu młyn i stawek (1545). W kamionackiej wołoskiej wsi Ruda, „Piotr Hliwa na całym dworzyszczu 7 groszy, bidła wielkiego 8, młodego 3, u komornika 3, drugiego wielkiego 3, małego bydła 2, u trzeciego 5, wielkiego 2, małego

jakbyśmy widzieli na nasze oczy, jak skromna powaga tiuna, woźnego, przedłuża z roku na rok istnienie dawnych zwyczajów (1). Niemniej zachowały się w ziemiańskich wsiach: „Dawid Cmetho” (1510), we wsi Orchowiecz, dzierżawił całą wieś od szlachcica i wydobywał przy pomocy spółki. Ten sam Dawid następuje przykład, jak w połowie XVI wieku odbywało się uszlachcenie rolnika, jak dorabiano się własności ziemskiej: w r. 1510 Dawid pisał się „kmieciem;” we dwadzieścia lat później syn jego Iwan Dawidowicz był szlachcicem i współdziedzicem wsi (2). Jako ze smutkiem patrzemy się, gdy deszczów jesiennych woda zacieka, szerzy się pomiędzy pokładami ciosanego żółtego kamienia nadobnej świątyni w Pestum, i oddziela zwolna kamyki, dopokąd nie obali ściany; z równymże smutkiem pogłębiamy na zwięzłe dworzyszczce jak przed rozwijającą się folwarczną robocizną rozpada się na części i ginie ta potężna a skromna podwalina, która przeniosiła na siebie ludność wiejską od X-go do XVI-go wieku, ustępując miejsca nowej spółce folwarczno szlacheckiej. Ta sama czysto-ludowa, ojczyznę wzniosła na szczybel sławy i trwałości; szlachecko folwarczna była tylko świadkiem zatracenia tej ojczyzny. Szlachecka zatraciła, co ludowa wiejska wzniosła. Nie bez gwałtu odbywało się członkowanie spółek; pod chłodną osłoną, w obojętnych słowach Lustracyi, łatwo zgadywać cały szereg przemocy, żalu i rozpacz (3).

2” (1589). W hrodleńskim, we wsi Dubnie spółka bartnicza „Tamże bartnik daje pospołu z zagrodniki, których jest zagrodników z bartnikiem w liczbie 13 po gr. 6 i spisnego, zagrodniczi po 1/2 g. a bartnik g. 1. Tho wszystko uczyni f. 2 g. 25”. W Tysowieckim we wsi Mikulnie „na czwarthinaastum dworzyszczu siedzą dwa człowieka za jednego kmiecia i tak dają jako jeden” (1564).

(1) We wsi Chlewczany: „Audrey, Iwanyecz Markowicz, Hrin, Oleszko, Puchała, Mykitha, Maczko, Thyun. Isti omnes de area integra componunt” (1510).

(2) R. 1510: „Orzechowycz v. David Cmetho de medio laneo.” 1533: „Orzechowicz v. de sortib. Nobilium Paskowski Laurentij et Joannis Davidowicz de medio secundo laneo”. Ks. poborów z Chełm. z r. 1510, 1533.

(3) W Lubiczu: „Thu przedtym nie było folwarku: pp. Oleśniccy thim sposobem uczynili iż jako ludzie prawem wołoskiem siedzieli na dworzyszczach, theras ich na pomiernich pułtankach posadzono a z ostatku rol wykopanych gotowych, do tego nieco przikopawszy, ucziniono folwark.” W Hrodleńskim we wsi Luskow „pierwiy siedzieli po 2ch na jednym dworzyszczu, iusz theras rozmierzono dworzyszczce na dwie części; w Czarnie, „w której wsy przedtym było kmieczki 5 bra-

Ażeby osiedlać włości, używano woli i załogi: za pomocą woli płonne przestrzenie wielkości niemal sporej prowincyi, w orne pola przeistaczano. Na mozolnie wypracowanych łanach wyrabiał się mozolnie duch ludu bez wątlęj podwaliny załogi; jego wyłaczny zasób, to czerstwy samoistny duch w ciele wybującem od fizycznej siły i zaufania w wszechmocności pracy. Wieś na woli nie była ścieśniona w pierwiastkach lichwą, którejby załoga wymagała; każdy w takiej wsi zajmuje miejsce według zdadności; nie dopuszczon tam w koło gospodarzów ten, który ma usposobienie jeno na zagrodnika lub komornika; nie narzucają mu pary wołów, przeto tylko iż ma żonę i dzieci, a umysłu i woli nie ma więcej nad to, ażeby być parobkiem; nie zniechęcają jednych, to jest pracowitych, ażeby podnieść na czas nieudolnych; z dobrego parobka nie robią nędznego gospodarza; dla okazania miłosierdzia jednemu, nie zadają ciosu innym, zmuszonym patrzeć na niezastużony datek. Od czasu ścieśnienia wychodów (1) i słopniowego wyginienia wolnej ludności, dwie tylko pozostawały drogi do przyczynienia nowych osadników: albo przez potajemne wykoczowanie od sąsiada (skrócony postęp sądowy i zaciętość szlachty czyniły nader niebezpiecznym ten sposób), lub przez oddzielenie synów od ojców, z pomiędzy swych chłopów. Przeto załoga jedna stała się odład podstawą chłopskich gospodarstw, a wiedzieć trzeba, iż poddaństwo niczém bardziej szerzone nie było, jak przez załogę (2). Razem z załogą i poddaństwem wchodziło do chat zobojętnienie, lenistwo, brak przemysłu, zwątpienie o swoich siłach, i jeżeli możebnem jest oznaczenie godziny zrodzenia się pojedynczego uczucia, to powiemy: że wtenczas powstało to

czey rodzonich, ktorzi dawali czinszu dorocznego ogulem f. 4 i miodu wiader 3, a zwano thij kmieczy Szokolnikamy. Za thichże przerwczona dziedzina była wielka, która była pothim zarośla, wszakoz gdy ją dano p. Maczieiowskiemu na dziedzićtwo, thedy był s tego Czarina zegnał ludzi, ktorzi bendąc spendzeni ossadzili się na surowem korzeniu w Woli Czarzinskiej (1564). Wieś Gielarowa: *Inquilinos labores quotidianos Hortulanos ad labores insolitos 3 dierum in septimana cogēt. w. Staremiasto: Binam item solutionem census et alia onera a fratibus quibus post decessum parentum suorum bona divisa possidere exiger. (1566).*

(1) W Lubomsk. Chełm. Rubiesz. Wychód nil receptum (1545).

(2) Między Instigat. koron. uczc. kątnikami starostwa Sulejows. a Joach. Amor. Tarnowskim. Protokół Ref. kor. ks. 40.

powszechne: „matka ziemia zrodziła i matka ziemia przyjmie,” uczucie, które między dwiema połowami metalowej obrączki nie widzi dyamentu dziwnej piękności który życiem zowią; który czy to skalać, czy to szlifowaniem przyozdobić, od człowieka zawisło. Gdyby owe wieki zostawiły dwa wizerunki, rozpoznałibyśmy chłopca z okresu woli, olbrzymiego *destructor silvarum*, od chłopca z okresu załogi.

Rozeznawanie dworzyszcz, przeto brak pewnych rękoi, zbiednienie gospodarstw, przeto niemożność wydotywania ciężarom doraźnym, tryb nowy gospodarstwa dzień dziennie przez tygodniową robocizną mający do walczenia z lenistwem a nieraz i godnością człowieka: zmusić urzędy musiały do zamienienia łagodnych win pieniężnych (1) na względnie surowsze kary cielesne. Na początku wielkiej uprawy starostowie wahalali się w wyborze środków, któreby mogły zamienić pieniężne winy (1545—6) (2); Zygmunt August następnie

(1) W Kamionackim Pene de subditis we środę po Nawiedzeniu Panny Marij: Maciej Lech kowal z Dobrotwora za zmierszczini gr. 8. Jowko Cernykw id. gr. 4. Proczek z Dobrotworu id. gr. 12. Dymko z Wolicy id. gr. 5. Hricz z Kamyonkj winij złodzieyskiej złotych 2. Popow syn z Dobrotwora id. gr. 24. Molko karczmarz id. gr. 14. Malarz id. gr. 20. We czwartek w dzień świętej Anny Bilko co wierze wytrazal gr. 5. Roziey guntarz id. gr. 8. Iwasko Volk co człowieka dzieckował przez urzędu gr. 15. Jan Volijniec krwawej winy gr. 7½ id. gr. 15, inny co człowieka zbił i skrwawił gr. 23½. Bucza co człowieka urwal gr. 19. Piwowar Marcin co się targnął na zamkowego służebnika gr. 36. It. co się targnął na służebnika, który nad robotami stał f. 5. Missiech co człowiekowi przemówił gr. 15. Timko słodownik zapowiedzi gr. 30. Hrinko bikowego f. 1 gr. 28. Marek co się wprzał w cudzego wieprza gr. 48. (1542). W niedz. Reminiscere Apost. z Bataticz zmyerszczyny gr. 12. Thegosz dnia Vasil z Dobrotworu id. gr. 10. W poniedz. post letare Biegicy z Dobr. id. gr. 10. Olexyna s Kamyonki co niesprawne kopce miała gr. 15. Modlena s Kamyon. o niesprawne kopce gr. 15. We środę w wilją s. Jacoba Ostasz. z Dobr. zmyer. gr. 12. Ihnath syn Kuticzow nieposł. f. 2. Josko Turczynowicz id. f. 1. We środę intra octas. Visit. M. Roman. s Kamion. byków. f. 1. Iwasko kowal Zapowiedzi f. 1 Morek z Sielca niep. gr. 13. Josko z Sielc. złodzieyskiej winy gr. 10. Andrusko Pokuczyna syn o włosy gr. 6. Kuźma z Sielc o czary gr. 7. Hrycz z Sielc. o włosy gr. 4. Marko Herycz zmyerszcz. gr. 4. Kunasz Andr. złodz. gr. 12. Jokuzyna z Sielca o sromothe gr. 12. Pawlik Naymith zmyer. gr. 4. W niedz. dzień ś. Małgorzaty Lewko Przecieka złodz. gr. 24. Adam z Dobrotw. krwawej winy gr. 9. Pop z Dobrotw. zapowiedzi f. 2. Thomko z Siel. nieposł. gr. 10. We środę post divis. Apostol. Lecz kowal z Dobr. sromot. winy. Iwan z Łanów nieposł. f. 1. W nyiedz. po ś. Marcz. Demko z Dernowa zmyer. gr. 12. Domin. Secund. Adven. Mariaszka z Bataticz rozpustu gr. 6. (1543).

(2) W Lubomskim „pene judicialiter decreta cum charitate exegitur; w Krasnymstawskim „pene nil receptum puniantur pro excessis laboribus,” w Bełzkiem „penarum nihil a subditorum, loco penarum exigit ductionem ad Sarram.”

zniósł winę niepostuszną, a w razie tym karę pod dowolność starosty oddał (1548) (1). Na zjeździe Krasnostawskim pieniądze winy usunięto w wykroczeniach popełnionych przeciw powinności robotnej, w którychto sprawach „już nadal mają się używać inne środki (2)” (1558). Po upłynięciu roku, starostom zabroniono wybieranie wszelkiego rodzaju win; mają tylko spisywać i przedstawiać do zatwierdzenia króla lub jeneralnego ekonoma (1559) (3). W gwałtownych porywach używane były przez urzędników czekany, bałty, obuch czekanowy, palcaty, korbacze (*clavo, clavo ferreo, coestu, flagro*), a powszechnie przyjęte są postronki kręcone, drutowane, toczone (*funi torti*); zakazywano później bicia siekierkami, kańczugami, kijmi. Jedną z komór dolnych po zamkach dla więzienia obracano na taras; po dworach miano kłody, gąsiorzy, kuny.

Też same potrzeby wielkiej uprawy wymogły zmianę dawnego sądownictwa i drobnych organów władzy. Istniały jeden obok drugiego dwa światy: szlachecki i ludowy. Jak Sycyliczyk stąpa po lawie stężej na powierzchni, a wrzając i płynnej w środku; tak szlachecki feudalny człowiek zajęty wojskowością, stąpał po powierzchni kraju mało dbając o to, co się dzieje we wnętrzach. Gminom zaś Rusinów znane były tylko wiecza (4), tiuny i dziesiątnicy. Urzędnicy ci nie byli dziedziczni, nie przez gromadę wybierani, nie z ukazania urzędu (i niedziw, że ich stanowisko niepewne, bo strzegł zwyczaj nie prawo pisane). Przez półtora wieku czyniono zabiegi, ażeby gminom Rusinów nadać prawną osobistość w obec urzędu zamkowego i ziemskiego, ażeby uosobić w nich siłę kształcicielną, ażeby obda-

(1) List do S. Chełm. Abr. Drohiczańskiego: *volumus ut non nisi de jure decretos poenas a subditis nostris exigat exceptis in obedientiae poenis f. t. pro ut justum consueverit contra rebelles et inobedientes animadvertet.*

(2) W Leżajskiém komisarze postanowili, a colono qui inhabilem familiam miserit si equis aut curru laboraverit 6 gr. si vero pedestrem laborem praestiterit 3 gr. mulcta s. pena; Król: *non exactione penae pecuniariae sed aliis remediis ad labores cogendi.*

(3) Metr. kor. ks. XCV.

(4) Oleszyce i t. d. *In disjudicandis injuriis subditorum nostrorum advocatum et scabinos adhibeat, actaque ad inherendas cognitae et decise causas submonendarum perpetuarum inter eos litium gratia in castro retineat, et judicia solito colloquiorum alias wiecza temporibus congruis observet. Ak. Ass. Kor. ks. 18.*

rzyć prawnym obrońcą, który byłby oraz i rozjemcą pomiędzy ludem a szlachtą. Pierwszym w tej mierze krokiem było ustanowienie wójtów na prawie Magdeburgskim, ale osadzenie wójtostw było kosztowne: po ścisłych obliczeniach widzimy, iż dziedzic tracił szóstą część kapitału, gromada traciła nawsie, wygon i obszary; przeto w całej ziemi betzkiej założono tylko 9 wójtostw, w chełmskiej 13 (1533—8). Jeżeli oni we względzie materialnym byli niemożebnymi, tém bardziej i we względzie moralnym, bo nigdzie nie zespolili swojego interesu z interesem chłopów, którzy na nich patrzyli jako na obcych, a tywona (w nowym ustroju podwójci czyli lentwojt) poczytywali jako jedyne sercowego przedstawiciela swojego. Sama surowość sądownictwa magdeburgskiego (1) była zupełnie obcą łagodnemu starożytnemu sądownictwu Rusinów; przeglądaliśmy imiona nie jednego tysiąca gospodarzy rządzonych zwyczajowym prawem: przy jednym tylko dopisano, osądzon na karę śmierci (*suspensus fuit*). W tym względzie kniaziowie wołoscy. drudzy rozjemcy z porządku czasu, byli przyjemniejsi dla szlachty i dla ludu: ich sądownictwo umiarkowane zbliżało się do sądownictwa zwyczajowego. Kniaziowie nie czyhali na nawsie i pola gromadzkie; gdy wójt był nieprzyjacielem wiecz i sądził, iż je uosobia: kniaź przyjmował w nich uczestnictwo, wpływał na wyroki o tyle tylko, o ile słusznie mógł sobie rościć do tego prawo z powagi lat i godności. Wójt posiadał od 3 do 6 łanów, miał folwarki, karczmy i przymusową robociznę (2); kniaź przestawał na jednym łanie. (3) Wójt dążył do stania się panem nad go-

(1) Woyt we wsi Majączyno sędzić ma w granicach wsi małe i wielkie sprawy cywilne i kryminalne, zaprowadzić więzienia i szubienice, i według występku wymierzać karę czy członków ucięcie, czy karę śmierci. 1437. Metr. kor. ks. XXXV.

(2) Scultetia in v. Sienicza in C. Crasnostaw. zapisuje na niey 600 f. incorporuie 3 l. in quib. hortulani resident, 4tum laneum desertum (1558). Taxat. wojtostwa we w. Majączyno, w S. Grabow. 6 laneos, piscina, 2 tabernas, braseatorium et braxatorium; każdy łan po 40 marc. Summa 600 marc. (1579). Met. kor. ks. XCI, CXIX.

(3) W woli Dworzeckiej Kniaź Hrycz; w Hrebiennem Kniaź Sienko na całym dworzyszczu nic nie robi jeno ludziom zamiśla; w Wierprzowem jeziorze Kniaź ma 2. łany, w r. 1616, trzyma tylko 1, w r. 1661 już kniastwa nie ma; w Tarnawatce Kniasz alias Tywon na łanie wolen względem posług (1661); w Pańkowie Kniasz alias Tywon (1574) „na jednym łanie na posłudze dworskiej” (1661); w Wierchraniu „Kniasz alias Wathanau na 1/2 łanie na posłudze. W Kamionackim w Syelcu Iwasko Kniaze (1529), a w r. 1589 Kniastwo zaginęło.

spodarzami (1); książę dorabiał się tylko, ażeby być pierwszym pomiędzy sobie równymi; gdy wójt dążył złąć się ze szlachtą, książę skłaniał się do ludu. Synowie wójta młodość spędzali jako pokojowi, ekonomowie lub towarzysze w chorągwi; synowie książąt zaciągali się do chorągwi pieszych i wraz z wybraniectwem piechotę składali plebejuszowski element siły zbrojnej. Ta cecha umiarkowania powinna być zapewnić pomyślniejszą przyszłość, a pomimo to wszędzie widzimy przeciwnie: tu książęta przez wykupno przeszły w ręce szlachty, tam książęta zrównani z tywonami, a innym gdy porzucili zwyczaj wołoskiego prawa, zaprzeczono sądowej i policyjnej władzy. Gdy usiłowania ażeby utworzyć rozjemców z obcych elementów, okazały się bezowocnymi, Zygmunt I podjął się rozwijania rozjemczego elementu krajowego. Ustanawiał do rozsądzania nieporozumień zachodzących pomiędzy poddanymi a urzędem uprzywilejowanych przysiężnych (2) (1530), i nadawał w ruskiem prawie dziedziczne tywoństwa (1543). Już w końcu przeszłego wieku, tywonowie z pod Lwowa dzierżawią młyny, budują sadzawki, za mądre rządy odbierają urzędowe oświadczenia wdzięczności. W sporach granicznych pamięć ich obala stare na pozór kopce, a na dębach za ich ukazaniem wiarogodniejsze znaki wypalają. Przywołując religijnemu ruchowi na wystawienie cerkiewki, wywożą pierwsze bale i pierwszy wóz wici do cmentarzewego płota; przed księgami ziemskimi zeznają zawartą umowę z popami, pilnują ażeby podczas powietrza ściśle nieśli pomoc duchowną, a w potrzebie udają się do władzy ze skargami: wszystko to sposobi ich do przyjęcia nowych w towarzystwie obowiązków. Wszelkie podniesienie nowych pokładów ludności dziwnie raduje serce. W tę myśl Spytek z Tarnowa w Krzeszowskiem, Piotr Barzi we Lwowskiem zapewniali dożywocie

(1) *Erectio et Concessio v. Kulizzkow B. Michowski (1555). Met. kor. ks. LXXXVII.*

(2) *Volumus ut in unaquaque villa nostra vir bonae fidei et conscientiae a colonis deligatur cum consensu Cap. qui in dies sub iuramento computet et adnotet in praesentia vicecapitanei qui restent laborandi quique sint laboribus absoluti dies, id quod etiam perpetuum duraturum volumus. Metr. kor. ks. CCXVII.*

i dziedzictwo tywonom (1), ale zaniechano dalszego postępowania po tej drodze, czy to przez brak usposobienia w ludziach, czy wytrwałości w zwierzchniej władzy. Przeto usiłowania ażeby nadać sądownictwu stałą zasadę, nietylko że na niczem spęły, ale jeszcze przyłożyły się do zniesienia wiecz; odtąd już doraźność w czasie, postępie i samych organach sądownictwa. Zjazd krasnostawski, przed którym wytoczono krwawe narzekania na urzędników spadkobierców wiecz, wójtów, kniaziów, tywonów, tylko chwilową ulgę przyniósł.

Na krasnostawskim zjeździe, w miejsce dawnych półdni wprowadzone zostały całe dnie robocze. Mądry to był zwyczaj, który pociągał do ciężkiej folwarcznej roboty tylko do południa lub od obiadu do zachodu słońca. Powątpiewamy, czy ci, którzy przekształcili dawny roboczy dzień w nowy, byli kiedy pod wieczór w chacie wieśniaka, który z pańszczyzny powraca: znużony, blady, niedołężnym krokiem wchodzi i milczy. Wszystko tu radośnie powinno gospodarza witać: i jego ręką ulepione ściany, i jego toporem uciosane ławki, i śnieżna owca co głowę wyciąga, i dziecko co do nóg się czepia. Wszystko to zwyczajnie odświeża siły człowieka jak ranna rosa; ale dla tego, co z pańszczyzny szesnastogodzinowej powraca, jest nieme: temu i pokarm, i pieszczoty żony i uśmiech dzieci są obce; jak kłoc upada na słomę, i tylko z porankiem poczyna żyć człowieka życiem. (2).

(1) Na wstawienie się Spytka z Tarnowa starosty krzeszowskiego, dajemy dożywotnie przełożenie czyli thivonstwo, pracowitemu Thomainowi we wsi Cherchowska Wola, uwalniany od wszelkich czynszów, poborów uchwalonych i mogących być uchwalonemi, a to z przyczyny, iż ma sprowadzić i osadzić kmieci i nad nimi mieć opiekę czyli zarząd i t. d. (1543). Piotr Barzi z Błozwic S. Lwow. oznajmuje, że prac. Staszka Chwiedkowicza wedle jego dobrego zachowania i przeciwko sobie abo urzędowi memu skłonności y służb wiernych a statecznych na urzędzie, jego teraz y potim cziunię doziwotnim Tiwonem w obudwu Solonkach i w Żirawcze, zachowując go w tichże wolnościach y powinnościach których pierszi Tiwonowie użiwali, abo czo powinni bili, a jeśli szie zachowijwacz statecznie będzie, tedij Boże uchowai ieszliby tento Staszko umarł, sina iego któregokolwiek, ktoribij iedno na tho bijł godni, także Tiwonem do ziwota zachowam. Na czego dla liepszej wiarij itd. (1566). Met. kor. ks. LVI, CVII.

(2) Significamus etc. Quod cum quererentur coram Nobis subditi Nostri villae Lopimik ad capitaneatum Crasnostaviensem pertinentis incolae de Gnoso Nicolao Bogusz Tribuno Lublinen. et Capitaneo Nro Crasnostaviensi se ab ipso ad labores singulis diebus praestandos adigi et astringi. Contra vero praefatus Capitaneus Noster negavit id

Coraz wzrastająca dążność zaniechania ubocznych gałęzi gospodarstwa i względne upodlenie wartości czynszów, nastęrczyły wielkiej uprawie chęć przekształcenia urocznych robót (łowów, kośby, powozów) na roboczną tygodniową przez dodanie na tydzień drugiego dnia do jednego naznaczonego poprzednio Statutem Toruńskim. Gdy już z tém od dwudziestu lat dawały się słyszeć wymagania wielkiej uprawy, na krasnostawskim zjeździe potwierdzono, ażeby odtąd poddani dwudniową na tydzień pańszczyznę odprawiali. Do Statutu Toruńskiego, wsie osiadające za przywilejami, powszechnie zobowiązywały się od 8 do 10 dni roboczych; po Statucie od 14 do 18, po zjeździe krasnostawskim do 104 (1579) (1).

I po zjeździe krasnostawskim skargi chłopów, jak żyzy ze zbołałych oczu, padają na piersi królów: żalą się poddani z Łukowa, że ciężąc odebrano u nich sztuk bydła dwadzieścia i wszystkie płachty, a oni żadną miarą nie mogą wydołać i dawnym powozom i nowym robocznom (1569) (2). Domaszowscy poddani użalają się, że pociągani są do czterech dni na tydzień; chełmscy, że do sześciu (1570); nędzne a poczciwe Poleszuki z Lubomskiego „coraz częstszemi modlitwami nam doku-

quidem ita esse ut ipsi affirmabant, verum tamen si id faceret allegavit hunc morem in his terris ex antiqua consuetudine esse receptum quod singulis diebus in septimana subditi laborent idque confirmabat exemplo aliarum villarum circum circa adjacentium qui hujusmodi labores singulis diebus praestant. Nos audita ipsorum controversia decrevimus decernimusque praesentibus ipsos villae praefatae incolas in posterum duos tantummodo dies singulis septimanis quosvis labores per Capitaneum seu ipsius Vicecapitaneum designatos laborare, tenere et debere. Ita tamen, quod eosdem labores ab ipso ortu solis incipere, et ab eisdem in occasu usque solis desistere, more in terris Nostris Poloniae observato requie meridiana interjecta erunt astricti. Verum tamen quoniam ad colligendum seu rastris congregand. fenum necessario requirentur opportuna temporis et aëris commoditatem ita ut praedicta temporum designatio observari non possit. cum ad labores cum rastris tardius homines exeant, soepe etiam labor ante occasum solis propter varias tempestates, coeli intercipitur. In supplementum istius volumus et decernimus dictos villae supramemoratae incolas tempore aestatis dum fenum vel avena colligenda erit rastris quod non duos tantum sed tres dies in septimana laborare debebunt et tenebunt. Ad melenda vero sementa predialia ex una quaque domo duo homines cum falcibus exire debebunt et tenebuntur. Hac Nra sententia mediante. In cujus etc. Datum in Crasnistaw. feria quarta post festum Assumptionis gloriosae Virginis Marie. Anno Domini 1558.—Akt. sąd. ass ks. 11.

(1) Założenie woli Brzeźnickiej w Krzeszowskiem.—Met. kor. ks. CXIX. (2) Metr. kor. ks. CV.

czają", powiada król, „każdoziennemi już nareszcie, żaląc się, że są nieznośnemi robociznami obarczeni” (1578) (1).

Wyroki sądów asesorskich i referendarskich, złożony nowy rodzaj prawa, prawo robotne. Dań miodową wolno na pieniądze okupować, nie ma się odbierać resztki miodu gdy dań składają, a także spisnego, chyba z dobrej woli. Do oddawania dani miodowej miodem, nie będą przymuszani; kapłony, jaja i drobniejsze podatki nie powinny być pieniędzmi okupowane. Zboża, chmielu nie ma się przymuszać sprzedawać do dworu, lecz z dobrej woli. Piwo warzyć mają na prąniki i wesela z opowiedzeniem się dworowi; trzy macy na stód zalewając, zapłaciwszy do dworu gr. 6; jednak to piwo nie dalej nad 5 dni tylko u nich ma być, gdyż to jest procent zamkowy. Drwa leżące na opał, na budowanie i poprawianie budynków las za opowiedzeniem się nie ma być bronion; kopać zaś lasów nie mają; jeździć do lasów mają tylko w pewne dni i bez ognia; przedzy po 12 łokci z łanu; pomiar ma się odbywać kosztem dzierżawców; budynki w łany nie rachować; ryby wolno łowić w rzekach, lecz nie w stawach; z nowin czwarty snop i czwarta kopa zboża; podymnego po gr. 15 według dawnego zwyczaju; ze strony zaś dawania z każdej wsi stacyjnej jałowicy albo za nich po złp. 12, także wieprza karmnego albo złp. 6 należy staroście oddawać. Do młynów cudzych jeździć zabrania się; ręczne żarna, które podczas pomorków zagęściły się, mają być zniszczone. Tłók o strawie zwyczajnej dzień na oziminę, dzień na jarzynę; względem szarwarków, gdy gwałtowna potrzeba bez dnia, a gdy nie ma gwałtownej, za dzień. Do grobel, kiedy gwałtownie, bez dnia; jeśliby jednakże często, żeby domowej roboty omieszkać miało, za dzień chodzić mają. Podwozy nie dalej 7 mil (1569) a dla lubomskich nie dalej 15 mil (1637); do Lublina, do Krasnegostawu, do Wisły raz w rok i najwięcej 2, kładąc na wozy wiele ich dobytki znieść mogły bez uciążenia. Ze strony pomniejszych podróży jako ze zbożem folwarkowym nie kupionym do miasteczek, na targ koleją bez dnia; do Warszawy i dziedzicznych dóbr nie po-

(1) Metr. kor. ks. CXXII.

winni; do Samboru po sól dwa razy do roku sprzężajem z włóki całej jednym wozem. Mostowe i grobelne starosta ma zastępować; straż kolejną nocną, dzienną za dzień. Zagrodnicy z zagród dobrych dwa dni w tydzień o swojej strawie; prząść i do niewodów o pańskiej strawie. Komornicy co tylko komorami mieszkają i gruntów żadnych i ogrodów nie trzymają, do tego ciężaru nie będą pociągani; jeśli się który dobrowolnie podejmie, trzeba mu albo nagrodzić i strawę dawać, albo jaką sztuką gruntu dobrego opatrzyć. Gdyby poddani nie odrobili z przyczyny świąt swe dni w jednym tygodniu, ma być odniesiono do drugiego; gdy daleko od folwarku, ma być wytracono na 1 dzień za drogę do folwarku, a drugi gdy się z folwarku do domów wracać będą.

Sześćdziesiąt lat upłynęło od zjazdu krasnostawskiego, a wielka uprawa domagała się już do dodania trzeciego dnia na tydzień. W Lubomskim tylko do czasu mającego się odbyć pomiaru pozwolono z łanu 3 dni (1596), a następnie już sądowym dekretem potwierdzono 3 dni jako stałą powinność (1637). W Chełmskim pozwolono z łanu 4 dni na tydzień, a podczas lata 6 dni (1570); późniejszy zaś dekret zobowiązuje do 8 dni z łanu zimą i latem (1637) (1).

Niech się nikt nie dziwi, iż tak szczegółowo rocznikujemy dekreta, dotyczące się kilku wsi, a to dlatego, że gdy sto lat cofniemy wstecz dla Zachodu, sto lat posuniemy naprzód dla Wschodu, a każda wieś na przestrzeni od Warty do Dniepru w naszym skromnym piśmie znajdzie swe dzieje.

Niech się nikt nie dziwi, iż skrętnie zapisujemy każdy dzień dodanej robocizny, iż dostrzegamy godzinę, o której przychodzą na dworski łan, o której odchodzą, ile godzin odpoczynku w południe, ile mil powozu odprawiają, przez ile dni straż nocna zimą, a przez ile latem: wszystko to bowiem odbiło się o pomyślność ludu. Szesnasta wiosna dziewczynie téj minęła, a piersi już zwiędłe i zgniecione; pierwszym ledwo dzieckiem radują się usta téj kobiety, a już kalectwo ją osiągnęło: robocizny żelazna ręka dotknęła i powabną młodość i najskrytsze tajniki przyrodzenia. Mniej lub więcej ni-

(1) Akt. sąd. ref. ks. 1,6.

tek w koszuli, mniej lub więcej długi kożuch, lata młode a lice zdradzające starość, ręce suche i piersi wąskie: już wiemy ile ten człowiek, ile jego ojciec, ile dziad robili na tydzień przymusowo, ile kar na ciele odnieśli, ile w ich życiu na straży przepędzonych nocy, ile ciemieństw, ile zabitych nadziei.

Wszędzie lata rozwoju robocizny gwałtem napiętnowano. W Lubomskim starosta pożytki z lasów bez wiadomości czyni, komiegi buduje, poddani do brzegu muszą wozić, na dobytku szkody odnoszą. Bojarom narzucają zażynki, szarwarki, robotę zamkową. Więckowski pisarz prowentowy, z lada przyczyny nad wszelaką słuszność zwykł trapić, a to do takiego stopnia, iż sąd referendarski nakazał kommisarzom nie pierwój wyjechać ze starostwa, aż będzie wydalony pisarz. Młynarze wsi Klonowa i Brąsowie zastaniając się lustracyami, wzbraniali się odbywać czwarty dzień robocizny, do czego byli przymuszani gwałtem; przykazano ich bić i więzić, Grzyba pojmać i ręce mu do nóg wspak przywiązać i cały dzień tak trzymano. Żurawskiego, że piwa szynkować nie chciał, zbił (urzędnik) i kilka ran w głowie depcząc podkówkami zadał; szukając samych gospodarzy rozpędzał czeladź, stawy przez ojców ich wykopane spuszczać dla kuźnicy każe. Poddanym czułym, będącym różnej religii, słuchać nabożeństwa w święta lackie i ruskie zabraniano. Spustoszone 70 domów przez robociznę i bicia, pola na czwarty snop oddają i na stróży w miejsce dwóch po 8^{min} ze wsi odprawują, barcie im wycinają, narzucają pieniędzy za żniwa po dwa grosze, zboża od poddanych biorą tanio: kiedy żyto było po złp. 4, z dworu płacono 2½ złotych. Glejt zgwałcon, udających się do Warszawy pokarano; już poddanych 8 od pobicia Kurka pomarło, którzy umierając tego Kurka pozywali. Zapobiegając „powiada dekret, ażeby ostatek poddanych, których już nie wiele jest za tak ciężkim biciem i robociznami nie rozeszli się, z urzędu Kurek ma być złożony; pod surowemi karami poddanym zakazano, aby więcej mu postusznymi nie byli. W starostwie chełmskiem w zimie wyganiano po czworgu, a lecie po ośmiorgu z domu i do dziedzicznych dóbr, niedziel kilka tam trzymając; sierpy, siekiery, woły do 2,000 złp. grabieżą u poddanych zabrano; tych którzy chodzili ze

skargą, rozkazał bić i jeden śmierć odniósł. Dowiedziawszy się iż u Smelika sąsiada są ich pieniądze, kazał go do więzienia wsadzić, o pieniądzach powiezieć; w domu, w ziemi kopano, wożono związanego, i gdy odkrył, hajdukowi zarznąć przykazano. Poddani ze wsi Mołoczkwice skarżyli się na Zygmunta z Pleszowa Fredro, iż na despekt poddanych szubienicę we wsi stawić rozkazał, konia drewnianego wymyślił, na który żony poddanych sadzał i dotąd dręczy, póki która abo nie uciecze, abo się nie okupi. Tarnowski, wójt w Zawadach i Konarach „kiedy poddanego którego bije, prawa nasze (tak brzmi list królewski) za paskwile ma i czyni jakoby na confirmatiew tychże to praw, ale jednak na oczywistą obelgę i crimen laesae Majestatis Nostrae Regiae manifestum, nago tychże poddanych rozebrawszy, na grzbiecie ich kładzie, i po kilkadziesiąt albo kilkaset kijami i różgami plag zadawać każe, od których razów Wojciech Łaski, jeden z tych, którzy po confirmacją praw do nas chodzili, prawie na śmierć leżał, i potym z tego bicia i piersi zgniecenia umarł.” Urodzony Morzkowski Michał, wójt szczyrzecki (piszemy te imiona zkądinąd niegodne wstępowania na królewskie karty historyi, lecz niech i nasze pokolenie wie, iż jak pałac możnego i obóz hetmana, tak i izba czeladna ekonomy, są zarówno pod okiem historyi; iż później lub wcześniej promienie jój rzucą na czyny jednych chwale, na innych naganę i grozę), Aryanin, we wsiach Siemienówce i Chrosnej, podczas wybierania chlebów w same nieznośne przechody wojska, Marcina Rola u stupa przywiązał, drągiem bił i strzelał do niego; Łazurka ciął w łopatkę szablą; Jurczaka kijem bić kazał, psami w gąsiorze osadzonego szczwał i szarpać dopuścić; sługę młynarskiego po tatarsku skrępowawszy palcatami siekł, aż omdlał, rosotem polewał, potym w kij związawszy na postronku zawiesił; żona młynarza przestraszona krzykami poroniła; do Kormagi strzelał kilkanaście razy (raz trafił, drugi raz nie spuściło), zbił go, od czego krwią plwał, i wprędce zmarł; Marcinowi Reginczakowi brodę wyszarpał. Walka stróża zadusił, udając jakoby to się stało od jakich zbójców; Piroga, starego człowieka, po tyrańsku związawszy, siekie-

ra kaleczył; podczas świąt zielonych do grobli wypędzał i darnie wozić kazał; czterech poddanych podczas świąt Wielkanocnych w sklepowej ciemnicy więził, święconego przynieść nie pozwolił. Bałczona w więzieniu na Wielkanoc trzymał, w kij związawszy, na kole kręcił, na postronku wieszał, tak, że mu palce odmarzły. Pawła Piekarczyka spowiadającego się podczas świąt Wielkanocnych okrutnie zbił, skrwawił, nogami skopał; gdy się prosił: dla Boga! dziś komunikowałem, tém bardziej onego kaleczył, iż ledwie o kiju do Szczerca uszedł, suknią wszystkę skrwawioną mając. Crucifix i przeciw processyi blasphemował, oknem patrząc, kapłana i poddanych łajał, mówiąc: „Ci dragani, źli synowie, głupstwo za sobą wodzą.” Tymże poddanym często mawiał: „Na tym Crucifixie, kędy chłopca zawieszono, będę was wieszał” (1).

Niektórzy gospodarze poświęcali się do podawania suplik królowi i do obrony w obec sądów; zawód wypełniali z wytrwałością, pomimo pogróżek, więzienia w turmie i narażenia życia. Imiona: Jacka Samulika z Hołowna, Ilnata Klimowicza, Sacza z Nudzisza, Iwana z Saczka więcej zastępują na wspomnienie historyi, niżli z nad Dniepru pozornie wielcy ludzie. Pierwsi położywszy wiarę w prawo ojcyste, z wytrwałością go dochodzili; drudzy zwątpiwszy pokryli krwią i pożogami ziemię ojcystą.

Rozwój robocizny różnie działał na różnorodne pokłady ludności. Gospodarz z pokolenia „opatrznych”, przywykł sterniczyć spółkom, przez całe życie z pogodnym czołem a surowym okiem i nieraz twardą ręką; rozkazy synom i licznej czeladzi przywykł dawać, w młodości z nauki ojca zaprawiał rękę do pługa, z rąk ojca odbierał żonę, pod jego błogostawieństwo pierwszego narodzonego poddawał; a gdy przeznaczenie położyło ojca pod brzozę wiejskiego cmentarza, sam sławał się głową synów, pod starość zaś siedząc w kątach, gdzie świętości zawieszono, oparłszy się na koszturze, nieraz już ślepy, o pobielających włosach, jak w szatach przedśmiertnych zachęcał słabszych, karcił nieposłusznych, a jeszcze więcej rozmyślał i milczał. Dłoń

(1) Akt. sąd. reff. 1637—62.

już mało pomocna, ale powaga jego, jak łańcuch, utrzymywała jedność w dworzyszczu. Czczył króla jako przedstawiciela Boga na ziemi; raz do roku widywał pana starostę, witał go z gościńcem, a niższych urzędników za nic miał, bo złożywszy pobór i czynsz, odprawiając powóz przez czeladź, nie potrzebował ani sądów słuchać, ani zapomogi dopraszać się. Teraz sprowadzony z niezależnego poddzierżawcy, ledwie nie na wyrobnika, nie mógł przytłumić uczucia z ojców odziedziczonego; wolał raczej na szwank wystawić życie i familią, niżeli znosić ciemność na dziedzinie. Ubezpieczony w część dla dawnych zwyczajów, jak rycerz w żelazne płyty, oburzał się myślą o uległości folwarcznym robociznom i szedł na swobodę ukraińską (1). Najdzielniejsi wychodzili na Zaporozie, najzamożniejsi na Ukrainę i Podole; nieraz zadziwieni postrzegaliśmy, iż w nowo zakładającej się wsi na Podolu, nie było jeszcze domów, lecz tylko naprędce splecionieształy, a u chłopca po kilkadziesiąt talarów, odzież z aksamitu i sukna. Znikali w dawnych osadach ludzie, co w niezawistości zrodzeni, niezawistością żyć tylko mogli. Któż ich zastąpił? słabsze, biedniejsze warstwy ludności. Urzędy widząc opuszczone łany, podjęły się ze steku, z niedołączonych resztek ludności, utworzyć sobie osadę, któraby mniej przywykła do niezależności, okazała się więcej potulną do robocizny. Wezwały one zagrodników, komorników, okruszyny lu-

(1) Dworzecka Wola, Lahowcze, Góra, Potharzyca, Thorki, Honjathin, Monasthir, Dalkow, Thuskow, Runczyn, Bozow od 17 łanów nie wnieśli poborów, ponieważ ludzie z nich zbiegli z powodu zobowiązania do robocizny do zamku bełzkiego, w których wsiach teraz zagrodników poosadzano, którzy robotę tę do zamku bełzkiego odbywają; pola zaś tych wsi na pożytek folwarków obrócono (1535). W Krasnstawskiej ziemianka wieś Ostrów, pusta a było łanów 2; a dlatego pusta, iż kmiecie zbiegli. Wielibecz, Piaski, Lipie są puste, ponieważ starosta obrócił je do posługi zamkowi krasnstawskiemu (1535). Babincze, Wierbolewce, Scholoniecz, Załuże, Pothok, wychodziło pierwsi 150 pługów, teraz tylko 25: dla wielkiej roboty i podatków syła ich uciekło (1534). Inw. S. Rohat.—W Lubomskim we wsi Skiby 6 kmieci wisziedziawszi wolą, precz wyszli; we wsi Wiśniow, ludzi odeszło nie mało; Połapy na 20 kmieri, ośmiu precz odeszli; we wsi Nudiszu było 2 dworzyszczu, z których dawano modu 4 wiader i owa kłód 2, teraz spustoszałe; we wsi Szaczkó odkupując robotę dawali po ł. 2, teraz obroczone na robotę (1570). Ale to potrzeba wiedzieć, iż po r. 1578, zawsze liczba pokazywała się łanów mniejsza dla rozmaitego spustoszenia poddanych i pobranie kmiecich ról na folwarki szlacheckie. Notatka w ks. wydatków skarbowych od r. 1526—1601.

dności do zastąpienia dawnej, zbiegłej: utworzyły z ostatków téj, złączonych z łamą, pokolenie robotne. Tę niemożność nagięcia dawnej, a konieczność zastąpienia jej nową ludnością, z pomiędzy zagrodników i komorników wziętą, ogólnie wyznawano (1). Każdy zakładający się folwark tworzył półsecinę kozaków na Zaporozżu i kilka domów dobudowywał w słobodach ksiąząt Zbarażskich i Ostrogskich. Dla powstrzymania zbiegostwa, Nalewajko oświadczył gotowość zobowiązania się ucinąć nos i uszy tym, którzyby do kozaków przystawali (1596). Opieranie się wielkiej uprawie coraz surowszą naturę przybierało, lecz dopiero w połowie XVII wieku z poza krutek sądowych, z potajemnego zbiegostwa przedzierzgnęło się wotwarte powstanie.

Na widok panowania Jana Kazimierza, wraz z pustelnikiem znad Tyberyady powtórzymy: *Orbis Romanus ruit*. Powstanie Chmielnickiego, spotęgowany oddziaławczy ruch przeciw wprowadzaniu wielkiej uprawy na Ukrainie, odezwało się pomiędzy ludnością chełmską i bełzką. Te same dolegliwości co tam i tu lud dręczyły; zapewne iż w sercu wrzały namiętności z równą mocą, a jeżeli wybuchy nie były tyle trwałe, to dlatego, iż bliżej ogniska polskiego ludność nie miała czasu do urządzenia powstania i rozkietznania swych namiętności. Miasta dały pierwszy przykład: mieszczanie chełmscy, przy zbliżaniu się kozaków, tłumnie naszli na zamek, splondrowali go, same księgi aktowe, na kilka łokci głębokości zakopane w lochach, odkopali. Niektóre, jak Ulnow, były postrachem dla przejeżdżających; urząd bez władzy, mieszczanie sforni. Mieszczanie z wsiami z Podkamienia, zasłyszawszy iż szlachta i księża w Rozdolu w mieście i klasztorze Karmelitańskim zebrali się, publicznie obwoławszy, poszli, klasztor złupili a jednego z księży utopili. W Bełzkiem, poddani pod przewodnictwem kucharzy, woźniców, kowali, z kosami na prost nasadzonemi, hakownicami, z nadziakami, kijami, łukami, pojмали we wsi Kadłubisko, Korycińskiego, który się tam był in domum hospitem ejusdem villae ukrył, okrutnie posiekali, sług kosami porznęli,

(1) W Hrodleńskim, Wedrenicza składała pobór z dwóch łanów; natenczas osadzono zagrodników do posługi (1536).

żonę w dwóch miejscach kulami przeszli, wołając: „pal, pal, rznij!” Rzeczycki powrócił do domu tusząc, iż się uspokoiło; przyjęli go popi i chłopi z pozorną potulnością, ale nocą naszli na dom; przez dwie mile ściągali szlachcica. Sam jeden bronił się uchodząc; dopadł do starego zamczyska, którego przez noc szturmem dobywano, a załoga on jeden; poległ rozsiekany. Pleban Korytyński z wikarym, uchodząc powietrza, skrył się do lasu wsi Radzieckowa. Poddani otoczyli go z ogromnym hałasem, zarznęli wikarego, rzeczy podzieliли, plebana obnażyli, męczyli różnemi sposobami, sprowadzili do domu plebańskiego, ażeby odkrył kryjówki i tam zamordowali. Chłopi z Zawieprzyc i Spyczyna, parocha z Kolechowic z bratem zamordowawszy, ciało pod koło młyńskie rzucili. W innéj wsi poddani z różnym orężem naszli na dom szlachcica, z którym mieli spór o łąki: na ziemi leżącego kolanami trzymali; siedzieli sobie na nim i tak długo go gnielli, dopóki koni i wołów do sytu nie napaśli. Więcej jak przez cztery godzin podnosili na postrach siekiery i berdysze, mówiąc: teraz ci zdrowie darujemy, ale tu więcej nie bywaj i strzeż tych łąk, bo jeżeli cię potem zastaniemy, temi ciebie berdyszami rozsiekamy. Stolno i Zabuze, przy których na Bugu Zygmunt August urządził przewóz, przez co te dwie wsie w dostatek i za-
możność wzrosły, korzystając z swego położenia, czatowały na księży, którzy z prawego brzegu przed niebezpieczeństwem uchodzili (dziesięć karczem miały wsie te w r. 1565: jedyny tego przykład w ziemi chełmskiej). Ksiądz Parczowiusz, przeor konwentu łuckiego OO. Dominikanów, jadący w czterech wozach z organistą, zamordowany został, variis cruciatibus inflictis. Ci sami poddani między Stolnem a Orchowem zabili komendaryusza chełmskiego, Wojciecha Raczyńskiego. Chłopi lubomscy (a przypomnimy, iż Wołochowie mieszkali w Bereszczu i w Mosznem), rzucali się na swoich braci sąsiadów: zebrani kupami, podpasani parciem i słomą z różnym orężem i kijami osmalonemi, wyszukiwali miejsca błotniste, gdzie chłopi z dobytkiem pochowali się przed nieprzyjacielem, robili na nich obławy, zdzierali bóty i siermięgi, do kilkunastu gospodarzy zabili,

dymem okurzając, a broniących się z śpichlerzami i oborami w popiół obracali. Teniatyska i Wierzchrachata z kniazem Wasiutą, gdy postyszały o porażce pilawickiej, skupiwszy się w dwóch tysiącach, naszły na miasto Lipsko i wsie poblizsze: „całe miasto spoliaverunt, a potem ludzi jednych okrutnym sposobem zabili, małe dzieci in partes alios laceraverunt, alios dissecarunt, virgines et matronas rapuerunt, sepulturas profanarunt, Ecclesias spoliaverunt.”

Mało który z tych zbrodniarzy uszedł kary. Lubaczowskie wołoskie wsie wzięły na siebie skarce nie Wołochów beżkich. Jednego poranku Basznia, z innemi, z piaszczystych pagórków spuszcza się na łąki Wierzchrachaty: zboża w kopach, siano w stogach stojące, na swe wozy ładują, przetrzäsają statki domowe, co lepsze zabierają; chłopów zmuszają postronkami kryć się po lasach i z tryumfem powracają, dumni iż rzekomo skarali zbrodnie sąsiadów, współzawodników. Względem innych powietrze, głód i Tatarzyn wyroki wymierzali. Nieraz wytoczona już sądownie sprawa, poniewolnie umorzona zostawała; bo na rejestrze obwinionych przypisano: ten powiesił się, inny oszalał, żona zadusiła, umarł w głód, umarł w powietrze, ścięty przez Tatarów.

Zmniejszona wszędzie liczba łąnów, zarosłe brzoza i chwastem ogrody, chałupy jedne rozrzucone na opał dla przechodzących żołnierzy, drugie spalone przez Tatarzyna; pośród spustoszenia kilka chat sterczy wpół zgorzałych. Najbystrzejszego oka gospodarz na mogile stoi pilnując, czy nie ciągnie Chmielnicki zpod Zamościa lub Węgrzy z Lublina, czy chorągwie polskie nie idą wybierać stacyą: wnet starcy, kobiety i dzieci biegną do lasu, ciągnąc za sobą wozy z żywnością, a we wsi zostaje albo starzec, którego same lata uczyniły nieczutym na obelgi i razy, albo chłop przez Boga umysłu pozbawiony; bo jeden pozwoli sobie skatować, a tabo-ru nie odkryje, drugi rzeczywiście nic nie wie. Niektóre wsie porzuciły dawne siedliska i po lasach rozproszone powystawiały chałupy. W niektórych od kilkunastu lat nie siano zboża, a poddani tylko z ogrodów żyli. Wielka liczba imion wsi już tylko w starożyłów

opowiadaniach istniała: ta zniesiona przez pokrowskich Tatarów, druga po cecorskiej przegranej, i „odtąd pusto leży”; tu był obóz wojska koronnego, owdzie skonfederowanego: po wschodach ciosanych w boleściach kraju, pamięć starca tylko sięgała przeszłości. Ażeby chłopów zniewolić do wyjawienia kryjówek i taborów, używano „koła” szczególnie u Tatarów. Naoczny świadek tak pisze: „W gospodzie na ziemi położywszy, coraz obuchami powtarzając razy, nogi postronkiem związawszy obie pospołu, aż do rąk postronkami na zadzie przyciągnęli, a jeszcze i wyżej rąk przyciągali, że tylko na brzuchu czołgać się musiał. Jeszcze nie dosyć tyraństwa, ale drągi między one powrozy wkręcivszy, z wielką męką ręce i nogi nawspak wniwecz pokręcili, kości w nim pogruchotali. Mało na tém: odpuściwszy drągi na koło wozowe osadzili, i na temże kole tak go wyciągnęli, że aż każdy członek w nim rozegnać było można; na którym wyciągniętego kilka godzin, przewróciwszy go aż górą oczyma trzymali; naza-jutrz skrzypki na ręce, kajdany na nogi włożywszy, łańcuchem za szyję do słupa przykowali, i od 15 Novebris do 20^{go} dzień i noc powtarzali; potem do wozu przykowali i z sobą uprowadzili.” Jeden poddany naprowadziwszy na tabor szlachecki, rzekł: „kręćcie jeno jej głowę kneblami a stryczkami, będzie powiadała gdzie co ma.” Zmęczona szlachcianka opresyami i różgami, wszystko pokazała. Każda pora roku zmieniała nieoledwie wojenne hasła, co włością do lasów wypędzały. Szwedzki zaciąg wpada przy odgłosie „hir! hir! kozacki pędzi pod kołowrot: Mołojcy, byite! byite! a Tatarzyn grozi i niemowlęciu krymską niewolą przy wykrzyku ha! ha! ha! Kupy poddanych przesuwają się ode wsi do wsi, głosząc: nie ma w ojczyźnie praw, nie ma króla, nie ma szlachty; a inni nie masz teraz pana w Polsce: kto duży, ten lepszy. Honor, czystość kobiet, tak skrzętnie bronione dawniej przez dziedziców, że lada szlachcic Choitko, o późnej godzinie wdziera się przez okno do chaty jakiej żony chłopca nieobecnego; dziedzic od sądu do sądu prawuje się, aż do trybunału lubelskiego dochodzi, dopokąd nie pozyszcze dekretu skazującego na grzywnę brata szlachcica: a teraz przed klęskami ojczyzny rozpadły się chat ścia-

ny. Dziś na leżach chorągiew polska, jutro zaciężna niemiecka, a tam Szwed, Kozak. Siedmiogrodzanin, Tatarzyn; w tej wsi „u hajduka dworskiego zastawszy w domu żonę samą, zbili okrutnie aż jej wielka choroba przypadła, aż na śmierć zamęczyli; u Miszka Hawryluka wzięto gwałtem białołtowę; gwałt jej uczyniono niepocziwy; gospodarz naratunek przybywszy, padał do nóg, prosił i nie mógł jej ani datkiem, ani prośbami obronić: jeszcze się jemu samemu dobrze obuchami dostało.” W innej „białołtowy które dla strachu i bojaźni do lasów i błot pokryły się, tych szukając, znalazłszy co się im podobało z onemi czynili. Między którymi poddanemi jeden, na imię Lesko, widząc nad żoną uczynek nieprzystojny i despekt popełniony, i chcąc w takowym razie żonę swoją bronić, najeźdźca porwawszy się nagle do bandoletu, przyłożywszy poddanemu bandolet do piersi, strzelił i dłoń wskroś przestrzelił.” Chorągwie nieprzyjacielskie i swoje odłączały żony od mężów i za sobą przymusem prowadziły. Dłaczegóż nie wyznamy, iż cnota kobiet wiejskich gwałtom opór stawiała; iż łapane, poniewierane, przy pierwszej złości ukrywały się, do domu powracały z sercem przepętnioném rozpaczą? Nieraz chcąc ubiedz przed niecnotą, kulą przeszyla padała; innego razu do studni rzucały się, lub uchodząc przez płoty piersi raniły i śmierć znachodziły. Do tego stopnia cnotę kobiet wiejskich lekceważono, iż na kartach najpoważniejszej sądowej książki znajdujemy parodyą pozwu, ułożoną przez młodź palestrzańską, o zgwałcenie pracowitej Trzenutki przez insolentes i vagabundos Łapinutka, Omknipiórko, Porwigrosik, Straszypiwko, Depcybłotko, Wyglądałko, Jewzowskie, a także Charamundus, Moczygębek i Soligąbka, Dorotherskie; żałować tylko przychodzi pokoleń, które się wychowały na łonie takich czasów. Po włościach znajdowano młodzieńców niechrzczonych; przy dwóch świecach, z których jedną do kościoła dają, drugą w karczmie zapalają, przy huczném wypróżnianiu kuflów, obierając marszałka, przysięgają się na spalenie folwarku lub zasypianie stawu kamieniem i chróstem. Posypaniem odzieży proszkiem, niektóre kobiety zadawały okropne boleści a nawet śmierć. Wiadomo było w okolicy, iż Paraszka

Hłacholicha we wsi Przewłocznej, podejmowała się przez nastanie djabła zgładzić nieprzyjaciela każdemu, kto dawał 30 złp. i przyrzekał, iż grzech bierze na swoją duszę: zabobon ukrywał zbrodnię. Wykonawca woli Hłacholichy było tegi umysłowo niedołyżny chłop z tejże wsi. Drożyzna wszędzie ogromna; bydło odpadło przez mór, zabranie przez nieprzyjaciela lub wybieranie stacyi. Nieraz zdarzało się, iż po przenocowaniu chorągwi mającej konie złą chorobą zarażone, kilkadziesiąt wiejskich nazajutrz padło. W Stolnie, gdzie mieszkańcy haniebnymi powodowali się namiętnościami, w r. 1616 było włók osiadłych 42, zostało 15; w Koszynie było włók 30, zostało 10; jedne pozarastały, inne pusto leżą; w Wereszczach było dworzyszcz 10, zostało 4½; Lubicza, najznaczniejsza z osad wołoskich, w r. 1627 miała 58 poddanych na tyluż dworzyszczach, teraz zostało dwóch poddanych i dwóch zagrodników; w Wierzchrachaniach z liczby 30 poddanych na 15 łanach, co przed wojną byli, zostało czterech na dwóch łanach, reszta leży pusto; Kuliszków, wcale spustoszała; w Pańkowie, z liczby czterech poddanych na 3½ łanach, zostało dwóch na trzeciej ćwierci półtanka; było zagrodników 40, teraz czterech. W Parkaczy w r. 1616 było poddanych 16 na dworzyszczach, w r. 1627, 13, zostało teraz czterech poddanych na jedném dworzyszczu. Zagrodników było 4, komorników 5, pop, rybitwów 15, teraz nie masz nikogo; sama wieś przeniesiona z gościńca lwowskiego za rzekę Ratę: tylko cerkiew tam stoi, gdzie przedtém stary Parkacz bywał. W Buskiem, w Nieznanowie r. 1628 było 28 dworzyszcz, po spustoszeniu jedno dworzyszcz; w Czaniszu, w miejscu dawnych 18 zostało dwa; w Opłocku zostało tylko dwóch zagrodników; w Ohładowie bywało sześciu poddanych na trzech dworzyszczach i zagrodników 14, teraz poddanych trzech na 1½ dworzyszczu i trzech zagrodników: popa, młyna, stawu nie ma (1).

Wśród ogólnego upodlenia charakteru, kiedy gromady ze wsi do wsi przyciągały, podobne stadom szarych wilków podczas grudniowych wieczorów; kiedy na Bugu rybak uderzając wiosłem, oddalał skwapliwie

(1) Lustr. WW. Rusk. i Bełz. z r. 1662.

łódź od prawego brzegu, bo pomiędzy rzekomo obrońcami praw ludowych, łatwo natrafić na zbrodniarzy. Natenczas wysnuwały się charaktery świetne w swych skromnych na pozór czynach; nabożna przemyślność wynajdowała dla dziedziców, szlachty, kryjówki pomiędzy trzciniami wśród trzęsawiska i wierzbą zarosłego ostrowu; z nadchodzącym wieczorem dostarczała w łodzi dziennego pożywienia. Nieraz przymuszony do ukrywania się dziedzic, swój sprzęt w kosztownościach, srebrach, perłach chłopu powierzał; rzadki był przykład zdrady. Nie w jednej rodzinie szlacheckiej imię Marcina lub Pawła zbawiciela podczas kozaczyzny, po bożnie się przechowało; niektóre charaktery do heroizmu dochodziły. Franciszek Burtkowicz mieszczanin tuszyński wraz z synem niewolony do zaciągnięcia się pod chorągwie szwedzkie, „ogniem i żelazem męczony” odpowiadał „nie przystoi katolikowi z innowiercami przestawać.” Ze wsi Ludzyn, Nestor Popowicz i Kalenik, postawieni do strzeżenia kóp na polu, dopóty bronili, dopóki zabici nie zostali.

Kilku miesięcy trzeba było, ażeby zaciągniona przez niecne nadzieje powłoka z oczu chłopów spadła. Wtedy z chimerycznych marzeń, przeszli w zobojętnienie. Nieraz nieprzyjacielski podjazd zastawał w karczmie przy niegodziwych ucztach, kilka cięć po łbach trunkiem odurzonych, ledwie niektórym wracały przytomność, a reszta w trawach poblizkiego stawu, w piecach cegielnych schronienia szukała; nieraz tam i śmierć znachodzili. Ostatnie lata zawieruszeń nie występują do działania; gdzieniegdzie przyciśnięci ubostwem, czynią wyprawę do śpichlerzy nad spławną rzeką lub zasadzają się na nieprzyjaciela i łupy odbierają, lub pod przewodnictwem dzielnego szlachcica bronią wstępu do wsi albo okopiska (1).

Zygmuntowska była to boleść, która wycisnęła z ust Jana Kazimierza to słynne wraz z senatem przyrzeczenie przed obrazem Matki Najświętszej we Lwowie. Ten czyn miał odgłos: lud, wywieziony z strupieszności świętymi słowami króla, udał się na drogę prawa, do sprawiedliwości monarchy, na drogę którejby nie powinien nigdy porzucać, bo innej dla po-

(1) Wyroki tryb. lubels. ks. 291—334.

czciwego nie było. Postępujemy jednę z tych prośb: (niech nas nikt nie oskarża, iż tak często przytaczamy słowa współczesnych; ustępy te są jakby wierne powie- wy onych czasów, które za dotknięciem naszą dłońią, brzmią tamtych wieków dźwiękiem). „Najjaśniejszy Miłościwy Królu, Panie Nasz Miłościwy i Dobrodzieju Wielki! My ubodzy poddani Waszjej Królewskiej Mości Majestatu wsi Moszczennój, będąc przez nieprzyjaciela ogniem zniesieni i spustoszeni tak, żeśmy ni przyczem nie zostali, supplikujemy Majestatowi W. K. M. Pana na- szego Miłościwego, którego po Panu Bogu mamy, uskarżając się na J. M. P. starostę i p. Pawłowicza słu- gę jego, o to; iż J. M. P. starosta nie dbając na nasze utrapienie wielkie i z gruntu wywrócenie, lubo nie ma- my gdzie mieszkać, bo się po hetmańskich poddanych tułamy, dzień na dzień bez odpoczynku żadnego od świta- nia aż do zmierzchu na każdy tydzień do roboty pędzi, i te roboty które przedtem będąc nas soch 30, co robotę dniową odprawowali, a teraz nas za ledwie soch 3, chcąc tego aby tak grunta zasiane mieli jako przedtem bywało, odprawować bez żadnego baczenia niewoli. Chmiel, któ- regośmy nigdy nie dawali, na piwo gwałtem dawać so- bie rozkazuje i gwałtem on wybiera. Tenże p. Pawło- wicz wołów nam wziął naprzód 11, a potem 9, a gdyś- my chodzili do niego upominając się, strasznie dwóch zbił, że ich w pół umartych do domu zaprowadzono, a co znowu kiedyśmy chcieli podać supplikę na niego do JPana starosty, obuchem nam groził i nie dopuścić nas do JMCi; tak wiele nam inszych krzywd czyni, których przed żalem i biedą wypowiedzieć nie możemy. Zmiłuj się, zmiłuj, Królu Panie i Dobrodzieju Miłościwy, miej przynajmniej W. K. Mość nad nami politowanie i miło- sierdzie, a podaj miłościwą niewolnikom rękę, abyśmy w naszych krzywdach, przy spustoszeniu ostatniem mie- li folgę, a my z dziećmi naszymi i żonami Boga prosić, nigdy za długo, dobre zdrowie i długoletnie panowanie W. K. M. nie przestaniemy, niegodziwi poddani ze wsi Moszczennój”.

Sądy referendarskie podwoiły czynność, chcącym prawować się dawały glejty, a dzierżawców i urzę- dników przekonanych o nadużycie, osądzano na więzę i grzywny, odsądzano od dzierżawy.

Już w swoim miejscu wskazaliśmy datę, od której zdawał się nam zaczynać smutek, stanowiący tło charakteru ludu; następuje rok w którym poczęło się uczucie niedowiarstwa i niechęci ku szlachcie. Odtąd szlachta mogła powiedzieć: „Populus hic labiis me honorat; cor autem eorum longe est a me.” W duszę ludu zapadło nasienie trucizny: żądza, zmienność, myśl o wyuzdanej swobodzie, nienawiść prawa.



MOZAJKA

złożona z wiadomości starożytniczych, dziejów sztuki,
ułamków biograficznych i t. d.

PRZEZ

Ambrożego Grabowskiego.

Na co tylko stać kogo, niechaj każdy daje:
Już ten grzeszyć zaczyna, kto działać przestaje.
Minasowicz.

Mądrość zatajona a skarb niewidziany, cóż za
pożytek z obojga. *Eccles. XX. 31.*

Jeszcze przed nami leży mało dotąd uprawne pole skrzętnego zbierania drobnych wiadomości, mających posłużyć jako materiał do układu większego i całość jakąś tworzącego dzieła, o starożytnościach krajowych, dziejach dawniej sztuki, o malarstwie, snycerstwie, rytownictwie i t. d. Księgi takiej, któraby cały ten objęła obszar dotąd nam brakuje, chociaż do niej wielkie już w pracach uczonych mężów, jak szan. Kraszewskiego, Rastawieckiego, Przedzieckiego, Sobieszczańskiego, Podczaszynskiego i innych zgromadzone są zasoby. Aby zaś podobne dzieło w zamożnej zjawić się mogło postaci, nieuchronną jest potrzebą, abyśmy do tego połączonemi dążyli siłami, *junctis viribus*. Niech więc każdy, kto chętny, zbierze choćby drobne swoje wiadomości, i te do ogólnego zniesie ogniska, a wtedy iskry te świetnym błysną promieniem i wskażą potomnym, że i przodkowie nasi mimo przeszkód na rzecz sztuki obojętni nie byli.

Zanim kto dziełem takim piśmiennictwo nasze uzupełni, potrzeba przyjść mu do tego z stosowną pomocą.... Ta téż myśl wiodła mię, abym przyniósł tę trochę małych cegiełek do budowy gmachu, którego wzniesieniem ozdobić się ma przestrzeń mało jeszcze pod tym względem poznanej naszej przeszłości. To więc, co mi do rzeczy wyżej wskazanej, a nawet i w mniejszej z nią styczności będącej, zebrać zdarzyło się: bądźto w dawniejszych drukach, rękopismach, a wreszcie i w dziełach obcych nawiasowo o tém wspominających, przesyłam szan. redakcyi Biblioteki Warszawskiej, aby to w piśmie swém zamieścić zechciała.

Malarze.

Blechowski Marcin. Współczesny Jana Chr. Proszowskiego. Mówi o nim szan. Edw. Rastawiecki; do czego dodam, że i on wspólnie z tymże Proszowskim wezwany był do udzielenia świadectwa o dawności malowania wizerunku bł. Jana Kantego, potrzebnego do procesu jego kanonizacyi, jak o tém w dziele: *Congregatione Sacra Rituum etc.*, któremu wizerunkowi najmniej 150 lat dawności przyznali.

Czajkowski Grzegorz Karmelita. P. Felix Łobeski w dodatku do *Gazety Lwowskiej* r. 1853 nr. 41, 42, 43 i 46, przy opisie kościoła św. Michała we Lwowie, mówi o nim i pracach jego w ten sposób: „Obrazy olejne w ołtarzach są to częścią utworów starożytnych, z których jeden bizantyński, inne znów w stylu przechodowym; częścią zaś są już przez to samo ważne, iż są utworami znakomitego krajowego malarza, a oraz zakonnika Karmelity tutejszego klasztoru, w Rzymie wykształconego artysty Grzegorza Czajkowskiego, o którym żadne dotąd trudniące się historią sztuki nie wspomniały pisma: a który, jak to napis na jego własnym, tu się znajdującym portrecie, opiewa, był głośnym i za granicą, a po swym powrocie do kraju, i inne karmelitańskie klasztory w Galicyi, na Wołyniu i Litwie, wieloma doskonałemi obrazami nappełnił.”

W nr. 42 wymienione są niektóre Czajkowskiego obrazy w tym kościele, a ze wzmianki w nr. 43 mógł on malować portrety osób znakomych, zmarłych w latach 1734 i 1755. Można ztąd powziąć domniemanie, że żył w połowie XVIII wieku.

Wyraźniejsza o nim wiadomość jest w nr. 46, mianowicie w napisie znajdującym się na jego portrecie, jakoto: *R. P. Gregorius Czajkowski Carmelita, A. R. O. Theologus, Medicus et Pictor, Romae artium horum electus: reverens, patriam perfectis imaginibus, fratrum ordinis sui in Conventibus Galiciae, Volhyniae ac Lithuaniae, unitam protunc Provinciam constituentibus, praesentemque sui ipsius propria manu ex speculo pietam, ornavit. Obiit in Conventu majori Leopoliensi A. 1757. Aetatis suae 48, religionis 20 annorum.* (Napis ten kto inny dołożył).

Czumthurn Paweł. Nie Tomtorn jak w dziele bar. Rastawieckiego. Malarz ten krak. trudnił się malowaniem olejno. W registrach m. Krakowa w wieku XVI, zapisał Lonher pod r. 1587: „P. Tomaszowi Sławek dałem pożyczkę z skarbu publicznego grzyw. 2 gro. 24, których on użył na zapłatę malarzowi Pawłowi czum Thurn (tak), za odnowienie obrazów w izbie radzieckiej, które on swoim kosztem chciał mieć odświeżone.”

Obrazy te były to malowane na płótnie wizerunki królów polskich (mówiłem o nich w *Dawnych zabyt. krak. str. 6*), które zawieszane w sali posiedzeń rajców były aż do r. 1807 jój ozdobą... Przebyły one zarówno z dolą kraju smutne koleje!... Ruszone z dawniej posady sprzedane były w t. r. przez licytacją i przeszły na własność prywatną. Później nabył je Senat w. m. Krakowa r. 1822, i względem nich stanęła uchwała; lecz pod wpływem ówczesnych okoliczności do wykonania jój przyjść nie mogło, którą tu dla pamiątki zamieszczę.

„*Reskrypt Senatu d. 2 lipca r. 1822 do nr. 2355.* Do wydanego d. 29 maja r. b. rozporządzenia, tyczącego się odnowienia sali obrad Senatu, oznajmia Senat dodatkowo urzędowi budowniczemu, iż życzy sobie, ażeby portrety królów polskich dawniej w ratuszu zawieszane, a teraz w kancelaryi ekonomii miejskiej złożone, w rzeczonych sali umieszczonemi były: których odnowienie i oprawienie w stosowne ramy, ma wchodzić w wykaz kosztów, urzędowi budowniczemu polecony.

„Żeby zaś umieszczenie to wykonaniem było w sposób celowi odpowiadający, senator znoszący się z komitetem ekonomicznym wezwie tenże imieniem Senatu, do zniesienia się w tój mierze z p. Michałem Stachowiczem, którego talent zapewnia najtrafniejsze myśli tój uskutecznienie, i zawarcia z nim umowy o odmalowanie sali obrad.

„Senat poleca ekonomowi miejskiemu, aby, gdy czynność ta przedsięwzięta zostanie, namienione portrety królów polskich na żądanie komitetowi ekonomicznemu wydał i t. d.” Wizerunki te oddane zostały do zbiorów szkoły malarskiej przy Instytucie technicznym krak., i tam się znajdują, lecz sędzę potrzebną być tę uwagę, iż malowania te nie zdają się być z owój dawniej epoki, i zapewne gdy tamte władzy czasu uległy, kopie tychże sporządzono najpodobniej że w wieku XVII.

Dombrowski. Żył w drugiej połowie przeszłego wieku. Z prac jego znane mi są dwa małe obrazy olejne na płótnie. a) Lot z córkami. b) Samson i Dalila. Pod jednym z tychże imię malarza: *D. A. Dombrowski S. P. pinxit Crac. 1770.*

Tegoż przedmiotu obrazy, lecz większego rozmiaru, których powyższą zdają się być kopią, zdarza się spotykać w domach krak., i pamiętne mi jest, że je widział w trzech miejscach: a właściciel jednych utrzymywał, nie wiem czy na pewnej zasadzie, że te które posiada są pędzla T. Konicza.

Klejnert. Malarz nadw. jednego z synów króla Jana III. Ojciec, jak wiadomo, był miłośnikiem kunsztów i malarstwa, a przymiot ten odziedziczył jeden z synów jego. Dr. Nagler pisze o nim: Marek Fryderyk Klejnert, malarz norymberski, był w służbie biskupa bamberskiego i wirzburgskiego, i królewicza Sobieskiego. Kilka jego obrazów były rytowane przez sławnych jako i mniej znanych mistrzów... Umarł r. 1742 licząc lat 48. Portret jego w postaci siedzącego przed stallugą, rytował I. J. Hajd w rodzaju zwanym *schwarzkunst*, in folio.

Konicz Tadeusz. Że się w sztuce malarskiej sposobił nakładem Andrzeja Załuskiego biskupa krak., i że był jego nadw. malarzem, okaże to wypis z kodycyllu do testamentu tego biskupa z d. 8 marca r. 1758, w którym poleca exekutorom braciom swym, Marcinowi i Józefowi Załuskim, obu biskupom, wykonanie woli swój, a między innymi i to im porucza: „Ołtarz św. Andrzeja, do którego JX. audytor obiecał ciało świętego, przystojnie z marmuru na miejscu destynowaném wystawię w katedrze.... Obraz zaś do niego p. Tadeusz malarz mój nadworny zrobi. Temuż JP. Tadeuszowi zalecam zrobienie obrazu św. Michała na Skalce, i drugiego do PP. św. Norberta przed pałacem biskupim, według abryszku już przez niego zrobionego: wszakże roczną kapitulacją po śmierci mojej mieć będzie, i o moim koszcie nauczył się malarstwa. Życzę mu

przycém, żeby się nie puszczał Krakowa: tu chleb i protekcją biskupów sukcesorów moich zawsze mieć będzie."

Testament ten ciekawy, ma wzmianki o dziełach sztuki, malowaniach, kosztownych apparatach i t. p. któremi na rzecz kościołów jako i rodzeństwa swego rozrządza. Mówi on tam pomiędzy innymi legatami: „Rajszulę albo szkołę kawalerską, tak wielkim kosztem moim utworzoną w Warszawie, *unice* dla ćwiczenia młodych kawalerów dotąd utrzymywaną, i wszystkie konie, leguję konwiktowi pod dyrekcją księży Schol. Piar. z obowiązkiem, aby takową i na potym utrzymywali i t. d."

Lexicki Fran. Bernardyn. Badania miłośników sztuki rozszerzają coraz wiadomość o pracach jego. Rytownik europejskiej sławy, a ziomek nasz zacny Antoni Oleszczyński, zбогacił zbiorek mój prześliczną ryciną swęj pracy: wizerunkiem św. Franciszka trzymającego ukrzyżowanego Zbawiciela. U spodu ryciny jest ten podpis: *św. Franciszek Seraficki. Podług obrazu znajdującego się w kościele św. Michała PP. Bernardynek w Wilnie, malowanego przez Fr. Lexickiego, braciszka zakonu OO. Bernardynów około r. 1664. F. Ant. Oleszczyński Parisiae, 1850.*

Do płodów ręki jego należeć jeszcze ma obraz św. Antoniego w oltarzu bocznym kościoła OO. Bernardynów krak., o którym jeszcze nikt nie wspomniał. W późniejszym zapewne czasie postać św. okryto sukienką metalową posrebrzaną, i tylko robotą malarską pozostało oblicze św. i boczne akcesorya. Mam wiadomość od znawcy i artysty, że na tym obrazie są dwie postacie: jedna w okryciu głowy nakształt tureckiego zawoju, druga w futrzanej czapce spiczasto zakończonęj; a te dwie figury znajdują się powtórzone na obrazie św. Katarzyny w Nowym-targu, i na jednym z obrazów kalwaryjskich, tudzież na obrazie ścięcia św. Jana w szkole malarskiej krak., co wskazówką być mogłoby, że to są utwory jednęj ręki.

Jak mozolną jest rzeczą poszukiwanie szczegółów do dziejów sztuk pięknych w kraju naszym, wiedzą to ci, którzy się badaniu temu oddawali. Żadnych prawie zasilków nie dają pisma dawnych autorów naszych, a widocznego doznały zaniedbania prace Lexickiego znajdujące się na Kalwaryi (Zebrzydowskiego) pod Krakowem. Obrazy te malować kazał i zapewne koszt na tołożył Jan Zebrzydowski miecznik kor., a przecież chwalcą

jego pośmiertny O. Alexy Piotrkowczyk Bernardyn, w kazaniu pogrzebowém pod tyt. *Nagrobek pobożności chrześcijańskiej, in 4-to w Krakowie 1641*, w ogólnych tylko wyrazach wspominał o hojności jego na kościół kalwaryjski, niebaczną pomijając, iż mu fundacją tych pięknych obrazów głównie przyznać należało, i w takich tylko wyrazach się odzywa: „Odjęłaś (mówi do śmierci) Województwu mądrego konsyliarza, zacnej familiej i żalonym potomkom ozdobę, nam ubogim (Bernardynom) i miejscu temu patrona szcudrze dozornego.... Synowie S. Franciszka bracia moi! oplakujcie śmierć dobrodzieja swego, z którego szcudrośliwości wiele aparatów od bławatu, złota i srebra, zostało w kościołach waszych.“ Kończy tém: „Na ostattek, zmarły nietylko przykładem dobrym i sumptem, który dosyć pańskiłożył na ozdobę klasztorów różnych a osobliwie miejsc tych świętych, ale i zdrowia dla pożytku kościelnego nie żałował“.

Radwański Andrzej. Mam to z ustnego wiarogodnego podania, że on malował w Jędrzejowie w czasie swojego tam zamieszkiwania kościół XX. Cystersów, ale to jego malowanie zakopcone i uszkodzone zostało przez pożar wnętrza kościelnego, i takowe na nowo powlekał kolorami malarz krak. Wojciech Gutowski, zmarły r. 1812... Prócz tego miał jeszcze Radwański ozdobić malowaniem i drugi tamże kościół parafialny, a to jego malowanie jeszcze podobno dotąd się utrzymuje.

Wolne chwile od większych zatrudnień, poświęcał Radwański pomniejszym kompozycjom do obrazów olejnych: posiadam kilka robót jego (szkiców), r. 1739 i r. 1741 w Tyńcu, a r. 1756 w Krakowie ołówkiem, tuszem i piórkiem, jako téż kolorem niebieskim (monochromat) wykonanych.

Smuglewicz Franciszek. Według rysunku jego z czasów pobytu w Rzymie, wykonaną jest piękna rycina przedtytułowa do dzieła o budownictwie, (podobno przez Vignoli), a na jej ostatnim planie jest krajobraz z widokiem rozwalin i piramidy. Środek zajmuje popiersie, które Minerwa uwieńcza. Geniusz wskazuje muzie Historji popiersie, a na podstawie pod temże jest ten napis: *Virtutem fovet, coronat ipsa Minerva.* Wysokość ryciny w świetle cali 9, szerokość cali 6. U dołu podpis: *Fran. Smuglewicz Polonus inv. et del. Carolus Antonini sculp.*

W dawnych czasach, malarze nietylko w samym obrębie murów miasta Krakowa, ale i na jego przedmieściach zamieszkiwali, jak n. p. na Biskupiu, teraz części Kleparza. Miała ta dzielnica osobnego wójta, a podlegała jurysdykcji biskupów i kapituły krak. Osobne księgi wójtowskie obejmują imiona osiadających w wieku XVII na gruncie Biskupie zwanym, *in fundo Episcopali*, przyczem składali przysięgę na wierność i posłuszeństwo JO. książęciu Siewierza biskupowi krak., prześw. kapitule krak. i urzędowi wójtowskiemu. Przed tym urzędem toczył się r. 1608 taki spór: W sprawie między sławnymi cieślami, a z drugiej strony Janem malarzem, we środę przed Bożem Ciałem, wysłuchawszy urząd wójtowski kontrowersję z obu stron, nakazał, aby cieśle wywiedli starsze malarze krakowskie. Wyznali malarze, że takowe świece dobrze są zrobione przez pozwanego, tylko poprawić koronek na górze i innych rzeczy, któreby były potrzebne. Urząd wójtowski nakazał, by cieśle oddali pieniądze p. Janowi malarzowi flor. 3., a 40 groszy zostawili przy sobie aż poprawi takowych świec. Strony obie dekret przyjęły.

W tychże aktach jurydyki Biskupia, wspomniany jest r. 1609 sławny pan Kasper malarz, mieszczanin (może Kurc) jako pozywający o dług mieszkańca Biskupia, i inny znowu, uczciwy Marcin malarz z Biskupia.

W teje dzielnicy Krakowa mieszkał i rzeźbiarz, a był zawadiaka. R. 1604 oskarżony był przed wójtem o zelżywość wyrządzoną Wojciechowi Skrzydełko krawcowi, gdzie go piszą Alexander sniczar, także Alexander sniczar, albo sniczarz.

* * *

Miłownik malarstwa. Do poczetu lubowników sztuki w dawnych czasach, słusznie wejść powinno imię Piotra Gem-bickiego biskupa krak., o którym M. St. Temberski w panegiryku *Fascia lemniscata* i. t. d. takimi przemawia słowa: „Czyliż nie on pałac biskupów krak. przez poprzedników mniej kształtnie zbudowany, w piękny porządek wprawił, kosztowném m a ł o w a n i e m, marmurami i wszelkiego rodzaju ozdobami zappełnił?... nie tyle kwoli własnej wygodzie sposobiąc zamieszkanie, jak raczej dla swoich z Bożego przeznaczenia przyszć mających następców“.

* * *

Dawne obrazy. Pismo: Przyjaciół Ludu, rok szósty, nr. 28 dało wiadomość o obrazach przedstawiających odsiecz Wie-

dnia przez króla Jana III r. 1683., a było bój, który rozstrzygnąć miał to dilemma: *aut sunt, aut non sunt*. Pisarzowi tej wiadomości nie był znany tegoż przedmiotu ogromny obraz olejny na płótnie, ręki niewiadomego malarza, który się znajduje na kurytarzu dolnym w klasztorze OO. Reformatów krak., nietyle zapewne rodzajem wypracowania, ile treścią swoją ważny. Zajmuje on wielkością swą całą przestrzeń ściany, lecz przez wilgotną atmosferę miejscową, znacznemu uległ zniszczeniu. Po jego kolistości zastosowanej do sklepienia, widzieć można, że był zamiarowo dla tego tu miejsca malowany. Podpis na nim jest taki: *Delineacya wiekopomnej pamięci zwycięztwa z Turków, otrzymanego za powodem Naj. Pana Jana III, króla polskiego, z korzyścią wielką wojsk chrześcijańskich i pociechą ludu d. 12 7bris r. 1683.* Prócz tego znajdują się literami i liczbami dane objaśnienia tak zdarzeń samej bitwy, jako też oznaczenie miejsc boju. Czyli zaś objaśnienia te są wier-nym przedstawieniem rzeczy, osobne do tego studyum byłoby potrzebne.

* * *

Obraz Najsw. Panny Częstochowskiej. Dodatkowo do rzeczy o tym obrazie w *Wiadom. starożytn. o Krakowie* str. 265, dołożę tu, że obraz ten doznawał czci i w innych miejscach ziemi naszej. Oprócz Topolna, już w połowie XVII wieku znajdował się w Uchaniach w kościele OO. Paulinów w ziemi chełmskiej. Mówi o tém ks. Lobżyński w kazaniu pod tyt. *Przenosiny tryumfalne etc.* 4to r. 1644. „A że i to przydam, iż sam przemalowany obraz naszej Jasnogórskiej Królowej, który w Uchaniach w cudowném jest kochaniu, jakoby swém prawém po W. M. wyciąga, abyśmy tej naszej powszechnej dobrodziejki i na tamtém miejscu sługami i wiecznemi strażnikami zostawali“ (str. 10).

* * *

Do etnografii polskiej. Niepotrzeba dowodzić, jak dla uprawiających sztuki piękne ważną byłoby pomocą, gdyby się zawiązało stowarzyszenie celem zebrania i ogłoszenia znajdujących się na nagrobkach w całej Polsce ubiorów przeszłych czasów, na dawnych portretach w domach prywatnych, często w kościołach i klasztorach znajdujących się, do czego sam Kraków obfity dalby zasitek. Zamiar ten powierzony biegłej dłoni, przy

ułatwieniach daguerrotypii, fotografii i t. p., nie napotkałby wielkich przeszkód, a dobre chęci i wytrwanie doprowadziłyby go do pomyślnego wypadku.

Ktoby podobną pracę zamierzył, nie może pominąć uwagę wielkiego olejnego obrazu w kościele OO. Bernardynów na Stradomiu, naśladownictwo co do pomysłu obrazu Jana Holbeina, taniec śmierci (*Danse macabre, Todtentanz*), ale co do samego wykonania rzeczywiście malowanie oryginalne: tam bowiem widzimy ubiory nasze krajowe różnych stanów, jakoto: księżęcia, dygnitarza, szlachcica, kupca, wieśniaka, żyda i innych. Ale najciekawszą częścią jest w środku obrazu koło taneczne w ubiorach kobiecych, w których niejeden szczegół terazniejszego stroju damskiego upatrzeć można. Malowanie to niewątpliwie ręki malarza krak. odnieść się może do wieku XVII.

Drugim z tegoż względu ważnym malowaniem, ubiory mieszczan krakowskich z tegoż XVII wieku przedstawiającym, byłby obraz znajdujący się w jednej z przystawek do murów kościoła Panny Maryi, z szkodą tej pięknej świątyni przybudowanych, a mianowicie od strony północnej. Środek obrazu zajmuje śmierć, a po bokach stoją parami mężczyźni i kobiety w dawnych ubiorach, z stosownym, jak i na poprzednim malowaniu, czworowierszem. Niegdyś obraz ten zawieszony był w przedsionku głównego wejścia do tej świątyni, i jest w dolnej części znacznie przez czas uszkodzony, lecz górna lepiej jest zachowana.

* * *

Kiedy w ościennych krajach tak w dawnych jak i w nowszych dziejach przebrało się przedmiotów do tworzenia obrazów, sąsiedni Niemcy wkraczają na nowe dla siebie pole, szukając takowych w historyi naszej do przeniesienia ich na płótno. Fr. Faber w dziele *Conversations-Lexicon f. bildende Kunts*, w tomie 3-cim str. 291 tę czyni o tém wzmiankę:

Monumenta nasze u obcych.

Monument Anny córki Kazimierza Jagiellończyka. Takowy znajduje się w kościele zamkowym w Szczecinie w Pomeranii, i jest oraz pomnikiem jej małżonka i rodziny. Fr. Ku-

gler w dziele: *Kleine Schriften und Studien zur Kunstgeschichte etc. Stuttgart, 1853*, tom I. p. 816, taki opis jego podaje: „Rodzaj wypracowania jest taki sam, jak i w ołtarzu w kościele tymże. Rzeźbiony jest w drzewie, a rzeźba pokryta złoceniem i malowaniem; w całości objęty rodzajem ramy, którą kształcą bogate pilastry włoskiego stylu. Górną częścią jego jest wystawka przezroczysta, w której mieści się popiersie mężkie. Główną część stanowi krucyfix: po jednej stronie klęczy książę Bogusław i trzech jego synów, Barnim, Jerzy i Kazimierz, a po drugiej stronie małżonka z trzema córkami: Anną, Elżbietą i Zofią. Figury cokolwiek mniejsze niż wzrost naturalny, w wypukłorzeźbie wprawdzie nie najwyborniejszej, gdyż postawy ich są ociężałe, ale za to głowy odznaczają się szczególniejszym wyrazem, i całość we względzie historycznym znakomitiej jest wartości. Długi napis w łacińskich hexametrach naucza kogo przedstawiają te postaci, i zarazem wyjaśnia, że pomnik ten wystawił książę Barnim IX, co nastąpiło około połowy XVI wieku.

Przy téj sposobności nie zamilczę tu spostrzeżenia, jak mało są znane dzieje nasze nawet tym, którzy zawiadowstwo jakieś w muzeach sprawują. W München, stolicy Bawaryi, w długim kurytarzu wiodącym do skarbcu klejnotów koronnych, zawieszane są ściany portretami znakomitych osób, pomiędzy którymi dojrzałem portret damy w ubiorze poważnym z tym podpisem, który dosyć jest przytoczyć, aby błędność jego wykazać: *Anna Jagellonica, Vladislai Hungariae ac Bohemiae Regis filia, Ludovici Hungariae Bohemiaeque Regis soror, ac Haeres unica, Ferdinandi I. Austriaci uxor, fratri suo succedit 1326. Mortua Pragae 1347.*

M u z y k a.

Że na dworze królów naszych muzyka obok zamilowania w malarstwie i t. p. w słuszném była poważaniu, o której wyrzekł Klopstock: Muzyka nie same tylko zachwyca światy, ona i niebo zachwyca; a Blumenhagen z uniesieniem mówi: Muzyko!.. tyś przyjaciółką wszelkiego dobra, serafem przebaczenia.... Ty łagodzisz nienawiść i bamujesz mściwość... Tyś różczką Mojżesza, która w pustynię życia nowe wprowadza radości: nie

dziw przeto, że tam należnych doznawała względów. Do już wiadomych imion muzyków królewskiego dworu przybywa jeszcze *Thomas Kamiński Musicus S. R. Maj.*, Zygmunta III.

I na przedmieściach krakowskich muzyka miała swoich zwolenników, i mieszkańcy jurydyki Biskupia posiadali narzędzia gędziebne, jak tego są ślady w aktach wójtowskich tego przedmieścia. R. 1609 przypozwał sławny Jan Kasprowicz o klawikord do urzędu wójtowskiego p. Marcina regalnika (robiący instrumenta, regaly lub może organista). Pozwany nie prze i mówi, że ten klawikord mam u Kupika. Urząd wójtowski nakazał dekretem niniejszém do tygodnia zapłatę, albo regał. W kilka dni potém nastąpiło drugie stawiennictwo stron: „Stanąwszy p. Marcin Bocheńczyk przed urzędem moim wójtowskim, zapisał się i obligował oddać złotych półczwarta albo klawikort od dnia dzisiejszego za dwie niedziele, sławetnemu p. Joannesowi Casprowiczowi, co ma uczynić przez wszelakich trudności, pod takąż summą drugą wyżej mianowaną“.

Lutnia. R. t. skarżyła pani Janowa szlifierka na p. Marcina kuśnierza o lutnią, którą szacowała złoty jeden, mówiąc, że w rękę dała panu Marcinowi. P. Marcin powiedział, że ja lutni nie brałem od niej, ale przyszedł z jakimś Andryanem, która mu sama dała lutnią: ale jeśli śmie o to prawo czynić, waże się szkody. Dekretem (mówi wójt) kazałem przysięść pani Janowej, jako właśnie w rękę dała lutnię p. Marcinowi. Kieli to uczyni, będzie powinien p. Marcin dać lutnię albo złoty w blisko przyszyły piątek.

Ta pani Janowa stanęła w urzędzie, ale przysięgi odmówiła, a wójt od dalszego sporu Marcina uwolnił. (Sądzę potrzebą uczynić tu uwagę, że tą lutnią może były skrzypce, które wówczas tak nazywano).

* * *

W posiadaniu jednej z rodzin krakowskich jest bardzo dawna wiolonczella, wewnątrz której wlepiona jest kartka z napisem *Groblicz r. 1609.*, co zdaje się być nazwiskiem polskiego mistrza instrumentów muzycznych.

Rytownictwo.

Pełen szlachetnego zapалу w zbieraniu utworów sztuki i zabytków starożytności krajowych, ś. p. Gwalbert Pawlikow-

ski, ogłosił jedyny dotąd traktat o tój gałęzi sztuki, mianowicie o rytownictwie, w spisie imion mężów, którzy się zawodowi temu poświęcali. Niestuszną byłoby rzeczą czynić tu uwagę, że przedmiot ten należycie przez niego nie został wyczerpnięty, kiedy wiadomo, że do tego najmniejszego w piśmiennictwie naszym nie miał zasilku, i pracował w rzeczy dotąd przez nikogo nie tkniętój; należy raczój przyznać mu *suum cuique*, że wykonał to, co siły pojedynczego zdołały, i zostawił piękne zaczęcie badań dla przyszłych pracowników, które ogłosił w Czasopiśmie lwowskiem r. 1829 i r. 1830, w sposobie słownika. Nie można więc ubliżać pracy jego, że w niej nie są pomieszczone imiona wszystkich rytowników naszych, których utwory mniej lub więcej szczęśliwe zdarza się widzieć, bo to niełatwo spotkać się ze wszystkiem, co po całym obszarze kraju jest rozrzucone. Lecz dozbierajmy to, co tam opuszczono, a wtedy złoży się całość, której nam brakuje. Czynię temu początek, szeregiem imion nieznanych ś. p. Pawlikowskiemu rytownikom naszym, których prace lub sam posiadam, lub są mi znane, a później ktoś może i prace ich wyliczy, i zalety jeżeli je mają oceni.

Baden, rytował w Krakowie.—Bacewicz Fran. Waclaw.—Breliner.—A. Charzewska.—Czechowski J.—Czernicki.—Deliński Paweł.—Dłuski.—F. M. B.—Gebel Andrzej.—Grabowski Józef.—Hadziewicz Rafał.—Hempel Jakób.—Hołoka A.—Hurczyn Perl A.—Józefowicz Fr. St.—Karega.—Kluk Krzysztof ks.—Kostrewicz.—Kozakiewicz Mat.—Królikowski Stan. zakonu św. Dominika.—Michałkiewicz nowego rodzaju plagiator.—Nowicki C. H.—Ostrowski Kazimiérz.—Perl Józef.—Poznański lub może Poznowski.—Radwański Andrzej.—Radziwiłł książę Antoni.—Sczurowski Pro. Not. Apl.—Siemiński Lucyan.—Skowroński J. G. ksylograf.—Sławecki W.—Sławiński J.—Spindler Antoni.—Strzałkowski Konst.—Sylwiusz Szczepan.—Szmul Marc.—Taborski.—Węgrzynowicz Antoni Reformat.—Wyszkowski Piotr.—Wyszłowski, Wisłowski Jerzy.—Zborowski.—Żebrawski Teofil.

* * *

Gorczyn Jan Alexander, rytownik. Jest on niepospolitą postacią w rzeczach naszej sztuki, i pomiędzy lepszymi rytownikami widoczne zabiera miejsce. Ś. p. Gw. Pawlikowski mówi o nim, że są rylca jego wizerunki, świętych portrety, wi-

doki miast; ale również często widzieć można ryciny jego w panegirykach, jak n. p. w panegiryku Jana Dziedzica pod tyt. *Rosae Broscianae*, rycina in folio, na której wyrażone jest u dołu: *Jo. Chry. Proszowski delin. Joan. Alex. Gorczyn Crac. caela.*

Znaczna liczba rycin jego nazwiskiem oznaczonych, wskazuje, że był użyciem rytowniczego narzędzia czynnie zajęty. Ważniejsze przecież od tych są prace jego piśmienne, w których on w niejednym rodzaju naukę swą objawia. Przy innych wiadomościach nie była mu obcą muzyka, gdyż bez jój znajomości nie mógłby był puszczać się na pole teoryi, zwłaszcza, że wydał traktat pod tyt. *Tabulatura muzyki, abo zaprawa muzyczna, według której każdy gdy tylko A. B. C. znać będzie, może się bardzo prędko nauczyć śpiewać i na wszystkich instrumentach t. j. na skrzypcach i na klawikorcie i inszej muzyce z nót grać i t. d. Z różnych autorów napisana dla pożytku młodzi przez Jana Alex. Gorczyna. W Krakowie, u Piątkowskiego r. 1647 w 8ce, kartek 28 i tablic 4. Przypisane ks. Szymonowi Starowolskiemu.*

W t. r. 1647 wydał: *Nowy sposób arytmetyki*, który przywodzi Siarczyński tom I, mylnie przyznając mu, że był rympisem.

Do największych rzadkości bibliotecznych należy jego dziełko pod tyt. *Herby królestwa polskiego*, które wydał w Krakowie r. 1653 w 8ce. Oprócz tego przy nim téż pozostaje zasługa, że on piérwszy rozpoczął u nas redagowanie porządnej gazety, która pod tyt.: *Merkuryusz polski* wychodziła, r. 1661 (a może i wcześniej) w Krakowie w kamienicy Szoberowskiej na Wendecie (teraz mały rynek), ale już w połowie m. maja t. r. 1661 na nr. XXIX *Merkuryusza*, jest na końcu wyrażone: *W Warszawie przez Jana Alex. Gorczyna.* Obszerniejsza o téj gazecie wiadomość przez J. S. Bandkie, znajduje się w *Rocznikach Tow. nauk krak.* tom 4, z r. 1819.

Z rycin i pism jego jest dowód, że był osiedlony w Krakowie, a tylko może na krótki czas wydawania *Merkuryusza* przeniósł się do Warszawy: nakoniec wrócił on do rodzinnego gniazda, gdzie późnego dożył wieku, wcale niedoznając łask fortuny, pomimo nauki i przedsiębiorczego umysłu, ile że był pogrążony w długach i za nie więziony. W rękopiśmie bractwa męki Pańskiej (spalonym r. 1850), był taki zapis: „R. 1684 d. 30

marca. Zgromadzono więźniów w ratuszu krakowskim w pańskiej izbie, dokąd przybyło bractwo M. P. oraz ks. prałat Panny Maryi JX. Jerzy Januszowicz z processją. Odbyło się nabożeństwo, na którym więźniowie komunią Ś. przyjęli. Dano im potem obiad u Hutmana, poczem uwalniano z rejestru więźniów: z ślacheckiej wieże jeden, z dłużnicy kilku, a między temi Alex. Gorczyn M. Dru. K. Nie można wątpić, że ten zapis do niego się odnosi, a tylko nieuctwo pisarza bractwa, nie umiejącego odróżnić rytownika od drukarza, przyczyną było tego niewłaściwego oznaczenia.

Tegoż nazwiska na początku XVII wieku żył Piotr Gorczyn, którego pisma wierszem znane są w dziejach literatury naszej.

Materyały do ikonoteki polskiej.

Dotąd jeszcze nie zebrano się u nas na jakikolwiek spis rycin do Polski należących, a jest to *pium desiderium* każdego, komu przedmiot takowy miłym stał się zajęciem... Jestto wyłącznym obowiązkiem miłowników posiadających zbiory, aby każdy dla ułatwienia pracy zdawał w pismach sprawę o tego rodzaju przedmiotach, rycinach i t. p., a nie należy wątpić, iż się znajdzie ktoś w przyszłości, który wsparty temi pomocami, wyłom ten zapelni.

Nie wszystko też co do ikonoteki polskiej należy, znajduje się w kraju; częściej jeszcze zagraniczne zbiory obfitują w te rzadkości. Pracujący u nas na tej niwie, powinien przejrzeć stosowne do tego spisy, katalogi i t. p. i z nich czerpać to, czego u siebie nie znajdziem.

Świeżo wyszedł z druku tom I-szy dzieła niemieck. pod tyt. *Die K. K. Ambraser Sammlung, beschrieben von Edu. Sacken*. 8°. Wien 1855, w którym są wzmianki o portretach królów naszych jakie się tam znajdowały, o czém ta jest wiadomość: „W zamku Ambras w Tyrolu, (1) w zbiorze osobliwości i dzieł konsztu, rzeźb, malowań sławnych mistrzów, rękopisów, ksiąg i numizmatów, które tamże arcyksiążę Ferdynand rządca

(1) Teraz ten gabinet ambrazyjski znajduje się w pałacyku cesarskim w Belwederze w Wiedniu.

Tyrolu z wielkim staraniem, znawstwem i niemałym kosztem nagromadził, mieścily się wizerunki ówczesnych panujących i wsławionych mężów. R. 1574 zwiedzał ten zamek i oglądał tamże się znajdujące utwory sztuki, zbrojownię i t. d. Karol Fryderyk książę Kliwii i Juliaku, w towarzystwie Winanda Pighiusza, który jadąc z rzeczonym księżciem do Włoch, podróż tę opisał, i w niej wspomina o wizerunkach tamże widzianych, a między temi i portret naszego króla Zygmunta (zdaje się że ojca) w ubiorze futrzanym: *Auch betrachtete er (książę Karol) mit Lust den Koenig Sigmund von Pohlen im Pelzmantel.*

W bibliotece nadw. cesarskiej w Wiedniu, znajduje się wspaniałe dzieło (*Prachtwerk*), złożone z 125 rycin *in folio*, na miedzi rznionych, któreto dzieło na rozkaz pomienionego wyżej arcyksięcia Ferdynanda ułożył sekretarz jego Jakób Schrenk. Ryciny te przedstawiają najznakomitszych panujących i wodzów, których zbroje w Ambras zgromadzone były, a pod niektórymi wizerunkami są napisy, jak n. p. pod królem Stefanem Batorym:

*Quod mihi non dederat veterum successus avorum,
Libera Sauromatum vota dedere decus.
Quod superest, regnum sic est virtute gerendum,
Ne possit quemquam poenituisse mei.*

Dzieło to wyszło r. 1601 w Inspruku w Tyrolu, zaczęte jeszcze za życia arcyksięcia, który na śmiertelną już będąc złożony pościeli, polecił synowi swemu Karolowi dokończenie jego.

* * *

Inne dzieło również nowe: *Die Kupferstich-sammlung der K. K. Hof-Bibliothek in Wien, von Friedr. Bartsch etc.* 8^o. Wien 1854, te wymienia ryciny do polskich należące:

A.) *Johann III. Sobieski Koenig von Polen.* Popiersie twarzą naprzód obrócone, ręka lewa na biodrze wsparta, kolczuga druciana (*Panzerhemd*), na której skóra niedźwiedzia spięta na piersiach dwiema kłamrami, drogiemi kamieniami nasadzonemi. Tło obrazu osłania firanka (kotara), z pod której po prawej stronie widać koronę. U spodu podpis: *Serenissimus et potentissimus Princeps ac Dnus. Joannes IIItus Rex Poloniae, magnus Dux Lithuaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae, Livoniae, Smolentiae (tak), i t. d.* Po czém idą wiersze:

*En caput hoc oculis merito spectabile cunctis,
Quod tam spectatum bellica fama facit.
Non etenim MAGNUM novere Poloni,
Imprimit et titulum pressa Vienna parem.*

U dołu podpis: *Christophorus Lederwasch fecit Salisb.*
A. 1683. Wysokość cali 11., szer. cali 7. Rycina ta jest arcyrzadką, badaczom sztuki jak A. Bartsch, Heller, Laborde i Weigel nieznaną: praca pełnego zasługi salcburgskiego malarza.

B.)—*Albert de Lasko Paladin (tak) von Sirad (tak).*
Pół figury twarzą naprzód. Odcisk wspaniały. Wysokość cali 8, szer. c. 5.

C.)—*Drzeworyt.* Brama tryumfalna, *Ehrenpforte*, cesarza Maxymiliana I, z 92 sztuk nierównej wielkości złożona. Wydanie drugie przez Rafała Hofhaltera *Skrzetuskiego* roku 1559.

Exemplarz całkowity, kolorowany, o którym Adam Bartsch w wstępie do wydania 3-go dzieła *Le peintre Graveur Vol. 7 p. 151* tak mówi: Jedyny zupełny exemplarz znany, o którym dotąd mniemano że jest unikatem, jest ten, który się znajduje w bibliotece nadw. cesarskiej. Jest on razem zebrany, rozpięty na płótnie i kolorowany. Druga ważniejsza korzyść, iż ten exemplarz posłużył do uzupełnienia 21 drzeworycin (*planches*), które były zaginęły. Exemplarz ten rozwinięty z kształtu wałkowatego i zdjęty z płótna, które było nadniszczone, składa się teraz z 41 sztuk prawie jednakięj wielkości. Na drzeworycie napisowym w środku, znajduje się ten czterowierszowy podpis: *Gedruckt zu Wien in Osterreich bei dem Raphael Hofhalter auff Polnisch Skrzetuski genant M. D. LIX.*

Zbroje, pancerze polskie.

a.) W zbiorze ambrazyjskim (jak wyżej) znajduje się zbroja króla Stefana Batorego, którą Edw. Sacken opisuje, lecz w przeniesieniu na polskie opisu tego zachodzi trudność, gdyż wyrazy techniczne niemieckie naszymi zastąpić się nie dadzą, i łatwiej daleko byłoby opis ten zrobić z naocznego jej widzenia. Mówi Sacken: Szyszak węgierski był powszechnie w Polsce używany. W części grzbietowej téj zbroi jest olejną far-

hą dawny napis: *Kii* (znaczy *Kiinig* król) *Steff. auss. Polln.* Luckins w dziele: *Sylloge numismatum elegantiorum* r. 1620 daje medal króla Stefana Batorego, na którym jest wyobrażony w tej samej zbroi.

b.) Zbroja hetmana i kanclerza w. kor. Jana Zamojskiego, przedstawia ją rycina dzieła Jakóba Schrenk (jak wyżej), lubo Sacken powątpiewa, aby się ta kiedykolwiek w zamku Ambras znajdowała, bo jej dawniejsze spisy zbioru tego nie wymieniają.

c.) Pancierz Mikołaja Radziwiłła, tym sposobem jest wspomniany: *Niklas III von Radzivil, Herzog zu Dubiński und Biersche, genannt der Rothe.* J. Schrenk daje wizerunek jego na tablicy LXVII.

d.) Zbroja Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła księcia na Olyce i Nieświeżu. U Schrenka na tablicy LXX. Już ona jest zapisaną w inwentarzu r. 1596. Księżę takową darował do Ambras może w czasie przejazdu do ziemi Ś. r. 1582.

e.) Zbroja Mikołaja IV na Olyce, zwanego Czarny. U Schrenka na tablicy LXV.

Ludwisarze królów polskich.

R. 1550. *Melchior Bach, bombardarius Regius.*

R. 1566. Był posiadaczem domu na Biskupiu *Oswaldus Balthner, Regius tormentorum fusor.* R. 1567, Maciej Błęszyński wielkorządca zamku krak., imieniem królewskim sprzedaje do króla należący dom *honesto Oswaldo Balthner de Norimberga S. M. Regiae servitori, lejący in vico episcopali, za kwotę zł. pol. tysiąc.*

Kule podługowate.

Nic nowego pod słońcem. W czasach obecnych wprowadzają w użycie jako nowy wynalazek w sztuce wojennej kule stożkowe, jako przyspieszające większą liczbę ofiar Molochowi wojny. Lecz zdaje się, że wynalazek ten nie jest nowym pomysłem.

Gazeta krakowska r. 1823 Nr. 66 ogłosiła obszernie sprawozdanie ks. Jerzykowskiego plebana w Wrocimowicach, wy-

wołane mojem wezwaniem w Pszczółce Krakowskiej, o wykopalisku podziemnych komnat i sklepów, zasypanego murowanego domu o ścianach malowanych, o którego niegdyś tu istnieniu żadnej nie miano wiadomości. Znalezione tam różne sprzęty żelazne rdzą przetrawione, szczątki broni siecznej, kilka kolumn kamiennych i innych ozdób porządku korynckiego, a wreszcie, jak piszący donosi: „petryfikacye, zęby i kości swojskich i dzikich zwierząt, tém szczególniejsze, iż się w nich znajdują kule p o d ł u g o w a t e ołowiane, nie okrągłe jak teraz używają; dwa małe pieńki, na jednym z których orzeł polski, i wiele innych rzeczy drobnych, które ks. Jerzykowski w relacji téj wypisuje.

* * *

Taż gazeta z r. 1824 Nr. 96, ogłosiła wiadomość mogącą posłużyć do poszukiwań starożytnych, którą tu w całości daję: „Na wschód o milę drogi od Kielc ku Bodzentynowi, leży pagórek piaszczysty zwany Turka, w którym odkrywają różne starożytności, jakoto: ułamki sprzętów wojennych, pokruszone urny z popiołami, paciorki szklane, srebrne i miedziane zapinki, znaki wojenne i ozdoby rycerskie. Odkopano także halabardę z siekierami, które przerobiono na gospodarskie narzędzia i t. d.“ Wiadomość ta jeżeli jest prawdziwą, godną jest do odnowienia badań i poszukiwań tych archeologicznych skarbów, które tam znajdować się miały.

● posągu Światowida.

Starożytność posągu tego, znalezione w korycie rzeki Zbrucz we wsi Kociubinczyki na Podolu galicyjskiem, a teraz znajdującego się w zbiorach Jagiellońskiego uniwersytetu, podawaną była w wątplenie, a nawet podnosiły się głosy, że mógł być tylko utworem fantazyi i t. d. Lecz nowe odkrycia stwierdzają autentyczność tego bożęcia (dawny wyraz) pogańskich Słowian, którego wizerunek niedawno w północnych stronach staréj Słowiańszczyzny znaleziony został, jak o tém pisze Fr. Kugler w dziele: *Kleine Schriften und Studien zur Kunstgeschichte etc. Stuttgart, 1853.*, z którego ten streszczony wypis:

„Powszechnie wznieciło zajęcie znalezienie kamiennéj płaskorzeźby z wyobrażeniem Światowida (*Svantevitsbild*) niewy-

rażnej wydatności i niezgrabnego wyrobu, która jest wprawiona w zewnętrzny mur kościoła w Altenkirchen na wyspie Rugii w Pomeranii. (Tam była świątynia tego bożyszcza w Arkonie). Przedstawia ta rzeźba postać mężką, trzymającą w rękę na pierśsiach wsparty wielki róg (*Trinkhorn*). Twarz wąsata, głowa okryta spiczastą czapką, a ubiorem jego szeroka suknia, z pod której małe niekształtne wystają nogi. Tablica ta kamienna, acz figura Światowida pionowo, stojąco jest wyrzeźbiona, błędnie wprawiona jest poziomo, jakoby leżąc, w mur bocznej nawy tego kościoła, wewnątrz jakiegoś rodzaju małej wystawki, którą w późniejszych czasach gotyckiego budowania zrobiono. Że ta rzeźba uprzedza czasy budowy tego kościoła, dowodzi tego ta okoliczność, iż skrajne części płyty kamienniej murowaniem są zakryte“.

Wprawdzie wizerunek ten różni się od posągu naszego Światowida, opisanego szczegółowo w Roczniku Tow. nauk. Krak. r. 1852, przecież to nie stanowi dowodu przeciwko prawdziwości jego; bo każda część obszerniej niegdyś Słowiańszczyzny, inaczéj go sobie wyobrażać mogła: atoli róg, to główne bożyszcza znamię na obu tych rzeźbach znajdujący się, wszelkie powątpiewanie usuwa.

* * *

Slubny podarek królowej polskiej. W r. 1553, gdy król Zygmunt August zawierał małżeński związek z Katarzyną wdową Franciszka Gonzagi xięcia Mantuy, obdarzył księżę pruski królewską narzeczoną klejnotem kupionym za złot. 900 (niemieckich), roboty Jerzego Schultess złotnika z Norymbergi. Inny takóž podarek, krzyż z dyamentami za złot. 200, otrzymał jeden z biskupów i inni królewscy dworzanie, jakoto: pierścionki i inne klejnoty w wartości zł. 327, co wszystko razem wyniosło przeszło złot. 1,400.

Było równiež w zwyczaju, iż królowę w czasie koronacyi obdarzali kosztownymi klejnotami, zaproszeni na tę uroczystość księżęta. Gdy w r. 1550 nastąpić miała koronacya królowej Barbary (Radziwiłówny), wspomniany złotnik Schultess pisał do księżęcia Alberta: „Dowiedziałem się, iż królowa polska jest przy nadziei, i w dniu jéj imienin ma się odbywać obrząd koronacyi, do czego tu w Norymbergu poczynione są zamówienia różnych kosztownych robót. Nie omieszkiwam prośby do W. X. Mci., domyślając się, że tego aktu koronacyi nie pominiessz

bez stosownego podarunku, i że odpowiedniego potrzebować będziesz klejnotu, aby W. X. Mość nabyciem takowego odemnie przed innymi zaszczyć mię raczył: jestem bowiem w podobne kosztowności należycie zaopatrzoney, jakich w czasie wesela W. X. Mci z sobą nie miałem, a mianowicie jest jeden klejnot za złot. 1600, są i inne pomniejsze za zł. 800, 500, 400, a nawet niższej wartości, których szacunek jest pewności niezawodnej. Gdy W. X. Mość na ten obrządek udać się będziesz miał, życzę sobie, abym to co z kosztowności będzie potrzebne do Krakowa mógł przesłać.” (Z dzieła Raumera *Historisches Taschenbuch*, tom 6-ty).

Do życiopismów znakomitych mężów.

Królowa Bona Sforzia. Ks. Bruno Osiecki w dziele: *Prymicie prac kaznodziejskich* i t. d. r. 1738, pisze: „Kiedy Bona królowa polska do swoich powracała krajów, Rzplita Wenecka osobliwą ją nad innych excypowała ceremonią, bo oprócz tego że nader piękną, ozdobną, bogatą wpośród Wenecyi przyjechała nawą; płeć wszystka białogłowska, której się pod inszy czas drogich szat i klejnotnych noszeń nie godzi używać, na powitanie jój za dyspensą senatu, niepodobna wymówić jak strojno i bogato, z muzyką i inszemi wesela i tryumfów instrumentami, wyjechała (str. 307).

* * *

Brosciusz Jan. Uczony ten mąż trudnił się geometryą praktyczną, i pomierzał różne własności ziemskie, i niektóre takie prace w życiopisach jego są wyliczone. O. Arnolf Prężyna, w rękopiśmie biblioteki OO. Dominikanów krak. *Protocollum privilegiorum etc.* spalonym r. 1850 mówił: *Mappa villae et haereditatis istius* (wieś Jodłownik, niegdyś własność OO. Dominikanów w Galicyi) *confinium, limitum, et scopulorum cum vicinis villis, exacte conscripta et delineata per insignem Geometram R. D. Joannem Broscium Canonicum Cracoviensem.* Teraz taki dygnitarz nie jąłby się podobnej pracy.

* * *

Bruti Jan Michał. Rodem Włoch, ale zamieszkiwał w Krakowie. Urodził się około r. 1516 w Wenecyi, pocho-

dząc z dawnych patrycyuszów tej republiki. W naukach kształcił się w akademii padewskiej, i odbył podróże niemal po całej Europie. Dziełem swém *Historiae Florentinae libri VIII.*, w Lugdunie r. 1562 wyszłem, in 4to, utwierdził sobie imię uczonego męża. R. 1573 wezwany przez Stefana Batorego, przybył na dwór jego do Siedmiogrodu i był mile przyjęty. Miał sobie zlecone pisać dzieje Węgier i Siedmiogrodu jako dalszy ciąg Bonfiniego. Gdy Stefan Bat. na tron polski był obrany r. 1576, puścił się Bruti do Polski jako nadworny historyograf, i był z królem na wojnie pruskiej (Gdańsk). Nakoniec osiadł w Krakowie, przeglądał miejscowe archiwa i zaopatrzył się w potrzebne dzieła. Po śmierci króla w r. 1586, przeniósł się do Wiednia w charakterze dziejopisa dworu cesarza Rudolfa II. Nakoniec opuścił Wiedeń i osiadł w Siedmiogrodzie, i tam umarł r. 1594.

Należał Bruti do najcelniejszych historyków swego wieku. Jakim on sposobem pojmował dzieje i swoje powołanie, okazał to w rozprawie swój: *De Historiae laudibus, sive de certa via et ratione qua sunt rerum scriptores legendi. Cracoviae, A. 1583.*

Ciampi *Bibliografia critica* przywodzi trzy jego pisma, które wydał w Krakowie r. 1576 do r. 1582, ale powyższego nie cytuje. Pisał także życie Callimacha, umieszczone na początku *Historia Ladislai Hungariae Regis*, która wyszła z pióra tegoż Callimacha, i drukowaną była w Krakowie r. 1582. Jego także są *Epistolae. Cracoviae, 1593, w 8ce.* Wiele dzieł jego wyrażone są w wiadomości o nim w *Encyclopediae von Ersch und Gruber*, w tomie 13, z kąd te słów kilka o nim wyjęte.

* * *

Cecylia Renata królowa polska. Ks. Bruno Osiecki tak ją wychwala: „Królowę naszą Cecylią Renatę chwala, że w każdy tydzień sobotę destynowała na to samo, aby szpitale poblizsze rezydencyi swojej wizytowała, każdego w nich chorego, uboższego i niedostatniego opatrywała, ulice miejskie i drogi wiosek objeżdżała, i każdego z opuszczonych Łazarzów po ulicach leżących cieszyła, ratowała, i jako komu potrzeba służyła: i dlatego kareta jej z samych prawie okien zrobiona była, aby z każdej strony i ona nędznych widzieć mogła ludzi, i oni do

królowej wolny mieli przystęp... Jest co estymować w Monarchii takie miłosierdzie“ (str. 136.)

* * *

Dębołęcki. Dwóch było tego imienia znanych w piśmiennictwie naszym wieku XVII autorów: Andrzej i Wojciech zakonnik franciszkański. Jeden z tychże napisał herbarz o którym zaledwo tylko doszła do nas wzmianka, bo zapewne w rękopismie zaginął. Lekko tylko natracił o tém Wacław Warszycki w części trzeciej w wstępie do Herbarza swego, *Summaryusz imion szlachty*, że herbarza Dembołęckiego mieć nie mógł.

* * *

Gawiński Jan sielanko-pisarz. Został po nim w rękopismie traktat o retoryce nigdzie nie wspomniany, którego tytuł: *Praxis copiae rerum ac verborum comparandae, in Schola Rethorices tradita. Scripta a me Joanne Gawiński A. 1642 in 4°.* Trudno dojść czyli jego własne dzieło, czy też tylko kopia zrobiona jego ręką.

Karcan Jan drukarz wileński. Pochodzenia jego z Wieliczki te są pewne ślady. R. 1623, w sądzie komissarskim sześciu miast w Krakowie, toczył się spór w imieniu Jana Karczona (tak), który prowadził pełnomocnik jego Piotr Kmita, przeciwko Reginie Suskowicowej, o spadek po Wojciechu Karczonie *Montibus Vielicensibus fossori*, który się jemu (Janowi) jako rodzonemu bratu Wojciecha należał. Karcan uczył się zapewne drukarstwa w Krakowie, a wcześniej już, bo około r. 1580 drukarnia jego w Wilnie czynną była.

* * *

Kmita Piotr wojewoda krak. Niesiecki w poczecie wojewodów kładzie rok jego śmierci 1551, co jest mylném, bo księga nr. 20 aktów radzieckich krak. str. 300, że *Die Dominica sexag. a. 1553 Jll. et M. Dnus Petrus Kmita Comes in Wisnicz, Palatinus et Capitaneus generalis Cracov. summus Regni Poloniae Marschaleus i. t. d.*, z urzędu swego obecnym był na elekcyi rajców, rezydentów, i na uczcie obiadowej danój z tego powodu w ratuszu, na której znajdował

się król Zygmunt Aug. tudzież wielu biskupów, kasztelanów i innych urzędników krajowych i znakomitych gości postronnych.

Tenże herbopisarz w szeregu wojewodów krak. opuścił to nazwisko, chociaż je w tomie II, pod wyrazem Herbut wspomina: *Spect. ac Magn. Dnus Nicolaus Odnowski a Felsthin, Palatinus Crac. et terrarum Russiae Capitaneus*, który również na wyborze rajców, prezydentów zasiadał r. 1555, lecz tę godność krótko piastował, bo już r. 1556 Stanisław Tenczyński obecnym był z urzędu wojewody na elekcji radziec prezydujących.

* * *

Kromer Marcin. Mąż wielkiej nauki i niemniejszych w kraju zasług, który godność jaką piastował, wypracował poselstwami do postronnych monarchów. Że był pochodzenia mieszczańskiego, stan szlachecki zazdrośnóm nań patrzył okiem, nie uznając go być godnym wyższych kościelnych dostojenstw. Znali się na nauce jego mężowie uczeni. Dr. Stefan Micanus w liście z Poznania do Kromera r. 1565 pisze: *Rocossovium p. opportunitatem venuste alloquar. Amat te is quoque serio. Addidit me audiente coram aliquot Magnificis, haec que sequuntur: Wyeracz nye wyem: yamezy prostii zak: alye kto celogye Cromera, bedzye mądr. (z rękopismu).*

Ks. Wal. Kuczborski w liście do Kromera z Krakowa d. 7 stycznia r. 1572 pisany, załączył mu uchwałę (instrukcyą) sejmiku opatowskiego, w której to względem Kromera uradzone było: *Articul Opatowski 19*, o biskupstwo asperskie, aby ślachciczowi było dawano, y ta Coadjutoria aby była cassovana o Cromera, y na potim aby nie była, bo to expectativa. A iżby ten sam Cromer nie był tim biskupem, o czo ssię mocno opponowacz y króla Imci prosicz, dla niebespieczeństwa którebi stąd na koronę przyiszcz mogło. (i dodał na końcu ks. Kuczborski: Chłopi ssaleni!).

* * *

Teleżyński Laurenty zak. św. Dominika. Urodził się r. 1743 jak to zanotował w rękopiśmie, które po nim zostało: *Adnotationes rerum in Provincia Poloniae S. Hiacinthi Ord. Praedicatorum ab a. 1731.* Był doktorem Pisma św. i promotorem różańcowym.

Po Bzowskim, Birkowskim, Mościckim, Sewerynie Żydku, a nareszcie po Ruszlu, Liejkowskim, głucha i długa panowała pustka w zakonie kaznodziejskim. Przerwał ją cokolwiek ks. Teleżyński, który trzy małe wydał pisemka: a) *Epitaphia in Eccles. S. Trinitatis* i t. d. b) *Tractatus historicus de Caenobio Plocensi S. P. Dominici* r. 1790. c) Żywot błog. Bronisławy r. 1782. Wypracował on znacznej wielkości dzieło w języku łacińskim; Dzieje zakonu Dominikanów w Polsce, którego rękopism spłonął w pożodze r. 1850, jak i powyższe.



SEBASTYAN KLONOWICZ.

I.

W koronnych panów dostojném gronie,
Zasiadł Batory na wzniosłym tronie.
Z bark mu szkarlatna nie spływa szata,
Ani korona nie lśni bogata
Wokoło śniadój Stefana skroni;
Ni berła w szorstkiej nie dzierży dłoni.
Wzrost króla mierny, oblicze smagłe,
I jeno ducha odbłyśki nagle
Co zapalają oko sokole,
I piętno chwały wryte na czole,
Siłą potężnie władnącą światem
Gną karki dumnych przed majestatem.
Choć wdział bekieszę miasto purpury,
A czapką niską, z czaplemi pióry,
Zlekka przysłonił głowę maszczoną:
Niemniej poważne cnych panów grono
Kornie przed królem głowę pochyła,
Bo wszem obecna w pamięci chwila,
Jak miecz Stefana ostry a długi,
Dobyl z pod serca krwi pysznej strugi,
Kiedy Zborowski pod ciosem kata
Mnogie swawoli okupił lata.

A nie raz piérwszy królewskie słowo
Mieczem nad śmiałków zabłysło głową:
Już złożył sprawę dziedzic na Wiźni,
Z niecnie przelanej w mordach krwi bliźniej;
Już Ościk zdradę opłacił srogo,
Owoż zuchwalce drżą zdjęci trwoga.
O! bo nie z kruchój zlezione gliny
Ramię Stefana! Karci złe czyny,

Dumnych swawolę skraca przykładnie;
 A kto na wilcze raz zęby wpadnie,
 Niech pyszną głowę w prochu ukorzy,
 I jedno wzywa pomocy Bożej!

Po Samuela krwawej przygodzie,
 Król ostatecznie w lubelskim grodzie
 Ma sprawę braci sądzić z senatem,
 Gdy mściwy zamach głoszą przed światem.
 Już na gdańskiego względ kasztelana
 Zwolnił w prawicy króla Stefana,
 Srodze zamierzon w górę miecz kary;
 Ale, gdy Krzysztof w pysze bez miary,
 Do stóp królewskich zbliżyć się sroma,
 I miasto kornie powrócić doma,
 Skargami sieje bratnie Morawy:
 Niech zbawion cześci, mienia i sławy,
 Bezbożny żywot między obcemi
 Wleczę banitą na cudzej ziemi.

Wśród trybunału izby milczącej,
 Pobożnej pieśni dźwięk płynie drżący
 Przez rozemknięte na ścież podwoje,
 Zkąd świetne panów wyległy roje
 W ślad za poważną króla osobą;
 Z onój kaplicy, kędy przed dołą,
 Pod wizerunkiem świętym Iwona
 Pańska ofiara była spełniona,
 Jeszcze w powietrzu drga „Święty Boże!”
 A woń przepelnia gmachu przestworze.

A ponad tronem, z nad majestatu,
 Krzyż wieczną prawdę wskazuje światu;
 A pod nim słowa grzeszniki straszą:
 „Ja sprawiedliwość osądzę waszą.”

Tu zasiadł kanclerz przy króla boku;
 Ogień tajemny tli w męża oku.
 Włos mu bezładnie splywa na skronie,
 Czerstwem rumieńcem lice nie płonie;
 Barki pochylil, znać jak się srodze
 Wpiły w nie twarde zwierzchnictwa wodze.
 Jak stokroć ciężej miecz, kary znamie,
 Zacne starosty ugniata ramie.
 Pięczęć kanclerską ujął w dłoń prawę,
 W lewej hetmańską dzierży buławę;
 A krakowskiego cześć kasztelana
 Zwiastuje krzesło przy boku pana.

Prymas Karnkowski siadł po prawicy,
 Przy nim cny pasterz lwowskiej stolicy,
 On Sulikowski z mądrości znany,
 Srogi bicz Boży na Aryany.
 Dalej dostojne pany orszakiem,
 A każdy władzy ozdobion znakiem,
 W krąg otoczyli tronu podnóże.
 Chorąży wielki z proporcem w górze,
 Marszałek łaskę wznosił już gotową,
 Którą, wyroku oznajmi słowo:
 A miecznik trzyma miecz obosieczny:
 I senatorów orszak stateczny
 W półkole izbę okrąża całą.
 Oblicza panów dziwnie wspaniałe!
 Różne ich lata, zmienne przybory:
 Ci w altenbasach w złociste wzory,
 A owi w kryzach flamandzką modą,
 Z długimi włosy, z podciętą brodą,
 W zdobnym strusiem pióry birecie,
 W kastylskim płaszczu na polskim grzbiecie.
 Bo kto wśród obcych strawił wiek płochy,
 Rad doma włoskie przywozi fochy,
 Albo germańską obleka zbroję,
 Lub od Flamandów przejmuje kroje;
 Jedno po ojcach puścizną całą,
 Serce jednaki krój zachowało.

Wśród tego kramu odbija dziarsko
 Młodzież przybrana w szatę madziarską,
 Zdobną bogato, w guzy, w pętlice,
 I wąs z węgierska ocienia lice.
 Za nic strój kusy: owóz dziś górą
 Suta bekiesza i czaple pióro!

Krąg senatorów Tarło poczyna,
 Za nim Piotr Czarny herbu Nowina;
 Wraz z wojewodą kasztelan w parze,
 Lubelskiej ziemi cni gospodarze,
 Firlej starosta, z nimi grodowy,
 Strzegą popołu królewskiej głowy.

Dalej zasiedli ławy pokryte,
 Mężę rycerskie a znamienite,
 Co odpierali pierśmi pohance:
 Łascy, Gośliccy, Łaszcze, Szafrance;
 I mędrce w prawa ćwiczeni słowie,
 Światli Myszkowscy a Herburtowie.

Niżej marszałek, i deputaci
 Na on trybunał od szlachty braci
 Zesłani w stare mury Lublina,
 U drzwi wojenna czuwa drużyna:
 Szczękają zbroją stałą pancerni,
 I Petyhorcy snują się wierni;
 Szumią husarze sępiemi pióry,
 W lwie i lamparcie odziani skóry.
 Nie świeci na nich od złota gaza,
 Lecz od rzemienia a od żelaza.

Wszystko gotowo. Wraz już narada
 Toczyć się pocznie; każdy układa
 Do ładu myśli zrojone w głowie,
 By jak w zwierciadle odbił je w słowie.

A znana w Polsce wymowy sztuka
 Przechodzi spadkiem z dziada na wnuka:
 Już zak misterne zna jój obroty.
 Wszak słowo, tarczą szlacheckiej cnoty,
 Słowo, niezłomnym czasów ogniwnem,
 Źródłem natchnienia świętym a żywym,
 Siłą, co skały przesądu łamie,
 I dzielnie zbroi do czynu ramie.

Przez drzwi roztwarte wkracza z powagą
 Mąż okazały, z czaszką pół naga,
 Z sumiastym wąsem, w ciemnym żupanie,
 Tureckim pasem okolon w stanie.
 Jeszcze lat brzemień bark mu nie gniece,
 Znać jednak siła przygód na świecie
 W brózdę poważne czoło zorała,
 I włos już barwa uśnieża biała.
 Pod brwią w łuk zgiętą, w zrenicy ciemnej,
 Głęboko płonie ogień tajemny;
 Ogień, co w górę nad tęskną ziemię
 Orle śpiewaków unosi plemie,
 Co zdumionemu jawi ich oku
 Nieznane cuda przez mgły obłoku:
 Ramiona w lotne słoni im pierze,
 Ducha w niezłomnej ukrzepia wierze,
 I niebieskiego siłą natchnienia,
 Na ton zgodnego aniołów pienia
 Nastraja wieszczę lutni ich tony!

Rozgłos na wszystkie obiega strony:
 „Jan z Czarnolesia, śpiewak nasz boski,
 Polski Horacy, wieszcz Kochanowski”!

W znak pozdrowienia, uniósł do góry
 Batory czapkę z czaplemi pióry;
 Powitał kanclerz skinieniem dłoni
 Miłego druba, i każdy kłoni
 Z powagą czoło przed mistrzem słowa.
 Zna go dostojnych panów połowa,
 A choć kto piewcy nie widział w oczy,
 Któż nie zna jego pieśni uroczej?
 Jegoć przekładu pobożne rymy
 Niosą ku niebu kadzidel dymy,
 A przy ochocie, na widok dzbana,
 Kto krotochwili nie wspomni Jana?
 Kto myślą nie wnikł w zacisze owo,
 Gdzie lipa szumi nad piewcy głową;
 Zkąd kasztelana wygnał z prostotą
 Wieszcz, co o marne nie stoi złoto,
 Lecz karmi serce i umysł prawy
 Błogą otuchą pocziwój sławy.

Oblicze Jana zda się obrazem
 Duszy śpiewaka: lśnią w niém zarazem
 Zacnego serca ciche zalety,
 I myśl podniosła mistrza-poety.
 Jeno on uśmiech, co niegdyś mile
 Jaśniał na ustach, gdy krotochwile
 Prawił w swobodne uczyt godziny,
 Ku ucieszeniu bratniej drużyny;
 Jeno on uśmiech zastygł na wieki,
 I dziwnie żółkły martwe powieki.
 Znać, łez je gorzkie spaliły zdroje,
 Gdy śmierć wkroczyła w dworca podwoje,
 I dwa zarazem podcięła kwiaty;
 I jasną dołę, długimi laty
 Tak przyswojoną do strzechy starój,
 Na oddalone zwiła obszary.

Dziś nowe brzemie nowej niedoli,
 Do stóp monarszych przywodzi g'woli
 Zacnego piewce; gdy brat Doroty,
 On Podwodowski, mąż pelen cnoty,
 Króla Stefana wierny koniuszy,
 Którego cenil wieszcz z całej duszy,
 W poselstwo wyslan w imieniu pana
 W bramy Stambułu, przed tron Sultana,
 Legł bissurmańskiej ofiarą zbrodni.
 Niech więc odniosą karę wyrodni!
 Niechaj na wieki ściga niesława
 Tych, co zgwałcają narodów prawa;

Niech krwi niewiernej opłaca strugi,
Tę krew na obce przelaną smugi.
Co znad Bosforu, z strony dalekiej,
Milcząco bratniej wzywa opieki.

Jan w oburzeniu, pierwszym zapale,
Głosi przed tronem zbyt słuszne żale;
A wskroś natchniony boleścią szczerą,
Jak on na forum rzymski Cycero
Z piersi zdrój czerpiąc złotej wymowy,
By gromem miota dzielnymi słowy,
Porywa myśli, sercami włada!..

Lecz umilkł nagle: twarz martwo blada
Cała zabiega siną powłoką,
I krwią rozwarte zachodzi oko;
Krew na obliczu rozsadza żyły,
I Jan upada bez tchu i siły.
Strwożon Batory powstał na tronie,
Prymas z modlitwą wzniosł w górę dłonie,
Słynny Bukcella, Oczko uczony,
Dźwigają Jana z obojjej strony.
Lecz choć wróciły zmysły na chwilę,
Już chory ludzkiej nie ufa sile,
Prymasa zgasiem przyzywa okiem,
Piers trzykroć bije z żalem głębokim;
A patrząc w mękę bożego Syna,
Zabójcom brata mord przypom na,
I ducha skrzepia anielskim chlebem,
Ofiarą zemsty—pojednan z niebem!

W przyległej izbie złożono Jana.
W korniej modlitwie zgięli kolana
Prymas z pasterzem lwowskiej stolicy,
Owczarni Pańskiej wierni strażnicy.
Smutno, śmiertelne wieszczą wezglowie
W krąg otoczyli radni panowie.
Lecz kto on młodzian, co z syna cześcią
Tuli, głęboką zdjęty boleścią
Konającego głowę omdlała?...
Radby weń życie tchnął piersią całą.
Kto on? w obliczu młodość lśni jeszcze,
W źrenicy drgają połyski wieszczę,
Lecz znać, niezłomna niedoli siła,
Sępiemi szpony w serce się wpiła.
Już srogie piętno zryła na czole,
I jad wszczepiła w oko sokole.

Kto on urodny a tkliwy młodzian,
 Skromnie w falendysz czarny przyodzian ?
 Choć znak szlachectwa zdobi mu lica,
 Z boku nie dzwoni ostra szablica;
 Nie lśni na ręku pierścień bogaty,
 A stan mieszczański zwiastują szaty.

Zkądże tak silna miłości władza
 Łono młodziana bolem rozsadza?
 Wszak mu nie krewny nasz wieszcz natchniony,
 W staro-szlacheckim gnieździe zrodzony?
 O! bliźcy oni, bo ducha prawo
 Spaja ich cnotą, wiarą a sławą;
 Obaj na żyznym wzrosli zagonie,
 Co siadł od wieka na bożem łonie;
 W wspólnym potoku krynicznej wody
 Obaj gasili żar piersi młodej;
 Na wspólną niwę strząsali z rosy
 Pióra, wzbijając lot pod niebiosy;
 Nad jedną ziemią z morza do morza
 Próli skrzydłami modre przestworza.
 Równi miłością, w wierze jednacy,
 Jak w roju ptastwa, dwaj króle ptacy,
 Orły wylęgle na Karpat grzbiecie,
 Rodzinną pieśnię sieli po świecie;
 A w onej pieśni, wieki brzmieć miała
 Cnego narodu wielkość i chwała.
 Toż braćmi duchem, choć różni stanem:
 Jan z Czarnolasu z Sebastyanem!

Dziwnaź, że trwogi i żalu tyle
 Czuje wieszcz młody w okropną chwilę,
 Kiedy śmiertelna walka żywota,
 Piersią poety krzepnącą miota.
 Ale niedługo on bój się toczy:
 Już bielmem martwe zachodzą oczy,
 Ostatnie tchnienie wybiega z łona.
 I z ducha piewcy spada zasłona,
 Co krwią i kośćmi, tym prochem ziemi,
 Ćmiła widnokrag; że choć śmialemi
 Skrzydły, duch wkraczał w jasne przestworze,
 Wiedzion natchnieniem na łono Boże:
 Wszakże, w warunkach ziemskiego bytu
 Nie zdołał wytrwać w pełni zachwytu,
 I ledwie czasem w aniołów nucie,
 Niebieskiej doli zronił przeczucie.

Przymknął Klonowicz powieki Jana,
 Ciche zasławszy modły do Pana.
 Obecni trwożnie skłaniając głowy,
 Przeszli półdoje izby sądowej:
 A wszyscy szczerze łzawi i smutni.

Zostali jeno dwaj bracia w lutni,
 Obadwaj piękni—O! lecz inaczej!...
 Jeden już skończył pochód tułaczy
 Przez najeżone żywota drogi;
 Już wolen troski, bolu a trwogi,
 On znojny oracz swojskiego łanu,
 Snem nieprzespanym odpoczął w Panu.
 Już blask żywota nie rozpromienia
 Rysów wykutych niby z kamienia,
 Na których wyrzył czas, snycerz dzielny,
 Myśli i uczuć ślad nieśmiertelny!

O! jakże inny lśni blask uroku
 W Sebestyana promienném oku!
 Choć modrą barwę zdrój łez zamąca,
 W młodzieńczej piersi kipi krew wrząca.
 A zdala burza gradowym chłodem
 Już ponad czołem powiewa młodem,
 I sprzeczne siły do walki budzi:
 Nienawiść złego, z miłością ludzi.

Ale w téj dobie miłość zwycięża;
 I u wezglowia zgasłego męża
 Ukląkł Sebestyan, chyląc ku ziemi
 Głowę, nad zwłoki Jana martwemi...
 —O! czyjeż—rzecze—odzierzą dłonie
 Lutnię, coś na twém piastował łonie;
 Na którą niby słoneczne blaski
 Spływały z nieba promienie łaski!
 Już niepowrotną zastąłeś drogą
 W ślad za ojcami, twą duszę błogą;
 Już śmierć na wieki zwarła tve oczy,
 Już z nich po licu łza się nie stoczy;
 Wiatr nie rozwieje twojej otuchy,
 Boś w nieśmiertelne policzon duchy.
 Pokój ci wieczny! lecz gdy tve słowo
 Ukołysane ciszą grobową
 Zmilknie w narodzie: nie zwiędnaż z laty
 Domowej pieśni wschodzące kwiaty?
 Czyż liść rozwinać zdoła zielony,
 Od matki ziemi pień podsieczony?

Może go robak stoczy przedwcześnie!
 O! nie: twe wieszczce nie zamrą pieśnie!
 Choćby pierś ludzka zaskrzepła lodem,
 Słów twych rzeźwiącym wzgardziła miodem,
 Wtórzyć je będą po wszystkie czasy
 Nadwiślne pola, łąki i lasy!
 Śpij więc swobodnie w twój trumnie cichój,
 Choć pierś twą skryje proch ziemi lichy;
 Ale nie zamknie on naród złoty,
 Twój nieśmiertelnej chwały a cnoty!

Coraz to ciszej głos wieszczca spada,
 A barwa lica śmiertelnie blada
 Zwiastuje duszy boleść głęboką.
 Wlepił w zmarłego błękitne oko;
 Nie mogąc wątku domotać słowy,
 Łzami donucił pieśni grobowej....

II.

Szumi Bystrzyca przezroczą falą.
 Czegoż jój nurty zcicha się żalą,
 Myjąc pięknego grodu podnóże?
 Zdawna przewiały wichry i burze,
 Co wciąż roznosząc głównię niezgasłą,
 Siały tu srogie zniszczenia hasło.
 Już się dotliły pożarów łuny,
 Zmilkli puhacze przygód zwiastuny,
 Zbiegła już w lasy niedola stara,
 Już tu nie wpadną dziecze Bajdara,
 Ni Danielowe tłumy z Halicza,
 Ani Jadźwingów cma najezdnicza;
 Bo bram grodowych archanioł strzeże,
 Ognistym mieczem zgania grabieże,
 I śnieżystemi otacza pióry,
 Niby proporcem Lublina mury.
 Jak w on czas, kiedy pod dębem cieniem,
 Leszka wojennym owionął technieniem,
 I pchnął z rycerstwem w ślad za pogany
 Odbić niewiasty, starce, kapłany;
 Które wraz z łupem, obmierzłe tłuszcze
 Gnały za Narew w Podlasia puszcze.

Przebrzmiały burze, przeszły dni trwogi!..
 Już wytepią Jaćwież do nogi;

Z wrogich Haliczan wierne dziś druhy;
 Już tajemniczo wśród nocy głuchéj
 Wiatr nad Mendoga szumi mogiłą,
 Kiejstuta ramię w proch się strawiło;
 A rdza przegryzła żelazce one,
 O dzikich pogan karki szczerbione.
 Dziś poganina szukać daremno:
 Już ponad nocą przesądu ciemną,
 Słoneczny promień prawdy migocze;
 Brzmi już miłości słowo urocze,
 Co siłą cudu na czasów łonie,
 Wieczne zawiści w sercach pochłonie,
 I wciąż działając z wieka do wieka,
 Jasno uskrzydli barki człowieka.

O! siłaż zbieży w strumieniu wody,
 Zanim się ozwie pełna pieśń zgody,
 Której przelotne ledwie brzmią dźwięki!
 Wszak pod Jagiellów dotknięciem ręki,
 Już ona lutnia zadrżała Boża,
 Gdy ozłociła miłości zorza
 Błękit słońcący dwa bliźnie kraje.
 Patrz u bram grodu, jak dłoń podaje
 Cudnej niewieście on król z kamienia,
 A z Wawelskiego głębi sklepienia
 Król August wołę głosi ostatnią,
 Dwom ludom miłość zlecając bratnią,
 Której niestartém zostają godiem
 W wiek nieskończony Lublin z Horodłem.

Dziś nad Lublinem gwiazda lśni złota!
 Wre gród potężną siłą żywota,
 By w zbroje, w szare okuty mury.
 Z nad bram wieżyce stercząc do góry
 Ręką wielkiego dźwignione Piasta,
 Gwarzą z chmurami o losach miasta:
 Jak pod ich strażą zwolna wzrastała
 Dzisiejsza grodu zacność a chwała;
 Jak tu Jagiello wjeżdżał z orszakiem,
 A wiatr powiewał Pogoni znakiem;
 Gdy u bram grodu dzwoniąc w orężu,
 Chylili głowy koronni mężu;
 Jak po Grundwaldu słynnej potrzebie
 Korząc się Trójcy, co rządzi w niebie
 Dolą narodów, wdzięcznością tknięty
 Król wznosił przybytek ku czci jej świętej;
 Jak horodelskiej mocą ustawy,
 Tu z Kazimierzem zasiadła ławy

Obu narodów świetna drużyna;
 Jak tam na zamku w murach Lublina,
 Zygmunt, nim władnął państwem szerokiem,
 Chowan pod czujnym trzech mistrzów okiem,
 Wzrastał w powagę, mądrość a siłę.
 Toż pomnąc lata młodości mile,
 Rad potem zdobył gród swój kochany;
 A w ślad za królem, i możne pany
 Wzniesli tu dwórców wspaniałych siła,
 Aż gwiazda w pełni miastu zaśniła,
 Gdy cudem woli, po leciech wielu,
 Niezlomny August dobiegł do celu,
 I dwa niesforne dotąd narody
 Złotym ogniwem zjednoczył zgody.
 A jak warował prawo pieczęcią,
 Tak serca szczerą zespolił chęcią,
 By zgoda wnukom puścizną dana,
 Przetrwała święta a niestargana.

I król na tronie zasiadł w purpurze,
 Prawicą berło wznosząc ku górze,
 W cnych Jagiellonów złotej koronie,
 Zakon piastując Boży na łonie;
 A młody lennik przed tronem pana
 W znak czci na oba upadł kolana.
 Za nim pomorska i pruska szlachta,
 Chyli się kornie śladem Olbrachta,
 Gdy z rąk królewskich proporzec bierze.

O! cudnież gwarzą grodowe wieże;
 A tęsknym szumem przygwarza zdala
 W wieńcu z zieleni Bystrzycy fala.
 Czego się żalą czyste jej wody,
 Gdy brzask wiosennej świeci pogody,
 A gród wspaniały chroni dokoła
 Płomiennym ostrzem miecz Archaniola?
 Gdy w trzywiekowym sklepieniu fary
 Skryty w oltarzu pień dębu stary,
 On Łeszkowego świadek widzenia?
 Tobieby wtórzyć słowicze pienia
 Szczęśliwa rzeko!—gdy śpiewne roje
 Weselą kwietne wybrzeża twoje;
 Gdy kąpiąc falmi grodu podnoże,
 Krzyże błyszczące widzisz na górze;
 Słyszysz, jak niosą spiżowe dzwony
 Na skrzydłach wiatru Panu pokłony;
 Jako z krakowskiej rankiem wieżycy
 „Witaj jutrzeńko”—pieją strażnicy
 Przy bicu kottów i trąb ogłosie!

A pieśń daleko bieży po rosie,
 I ze snu mnogie rozbudza roje.
 Bieży lud wierny w świątyni podwoje,
 Zanim się pracy imie codziennej;
 A tłum narodów różnoplemienny
 Zalega wązkie miasta ulice.
 Dziwne tu stroje—dziwniejsze lice:
 Poważni Turcy, smagli Arabi,
 Sprzedają towar z wschodnich jedwabi;
 Tu na korabli przybywa kruchój,
 Za północnemi Breton kozuchy;
 A z Syrakuzy, z Falernu wina,
 Snadno napotkasz w kramach Lublina,
 Gdzie Ormijanie, z żydy sprytnemi,
 Gromadzą płody z trzech części ziemi.

Ledwie że zmiłkły ku Maryi pienia,
 Zwolna na modre wschodzi sklepienia
 Słońce, radując światła potokiem
 Ocknioną ziemię: jeszcze półmrokiem
 Szaro owiane podnóże miasta,
 Lecz coraz gwarniej życie w niém wzrasta.
 W długą ulicę pośrodkiem grodu,
 Moc się różnego zbiega narodu;
 Tłumami z przedmieść, w zmieszonym gwarze,
 Kielniami zbrojni ciągną mularze:
 Znać do wspólnego zdążają celu.
 Czyliż to nowa wieża Babelu,
 On gmach, co groźne czoło do góry
 Wychyla śmiało nad mgły i chmury,
 Że tak zbiegają mnogie cmy ludu,
 Ku podźwignieniu onego cudu,
 Snując się wkoło? Niemcy i Włosi,
 Każdy ochoczo cegłę przynosi
 Zwabion luckiego złotem Bernarda;
 I rośnie w górę wieżyca harda,
 A zawieszeni w obłoku ptacy,
 Patrzą ciekawie na postęp pracy:
 Radzi, że znów im za dni niewiele,
 Dłoń ludzka pyszne gniazdo uściele,
 Kędy w gotyckich łuków zakręty,
 Gniazda z drobnemi złożą pisklęty.

I jakież cele wzniosłego gmachu,
 Co tak przejmuje grozą przestrachu
 Oko, olbrzymim kształtów rozmiarem?
 I bieży w górę jak gdyby czarem

Na jasnych skrzydłach niesiony wiary,
 Wprost w lazurowe nieba obszary.
 To bramę wznoszą syny Lojoli,
 Mury klasztorne warując g'woli:
 By nie dosięgły powiewy świata
 Młodzi, karmionej tu w ranne lata
 Ziarnem nauki, zdrowo, po Bogu;
 By się nie wdarły w głąb tego proggu
 Błuzniercze spory, wrzawy a zwady,
 Co wstrząsły w gruncie miasta posady,
 I dolatują jak gadzin syki,
 W onej milczącej głąb bazyliki,
 Kędy wielkiego duch Hozyusza
 Poważnych ojców serca porusza;
 By dążąc zcicha, wolno a stale,
 Dzieło poczęte w żywym zapale
 Spełniali w Panu!

Z wieży kościoła
 Dzwon na poranne modlitwy woła.
 Zgodnemi dźwięki wtórzają organy
 Hymn ku Dziewicy Niepokalanej,
 Co z gwiazd utkaną zdobną koroną,
 Depcze stopami wężowe łono,
 I jeno patrzeć jak głowę zetrze.
 Pobożne głosy biją w powietrze
 Wysoko—w górę; a na ich dźwięki
 Tłum pracowników dokłada ręki,
 By rychlój dzieło stanęło Boże.

A w Aryańskim na boku zborze,
 Chórem brzmia pienia króla proroka.
 Zbór on ocienia szara pomroka,
 Bo klasztor wieżę wyciągnął śmiało,
 I tarczę słońca ogarnął całą,
 Że wszystkie blaski od niebios łona,
 Odbiły złote krzyża ramiona,
 Lśniące uroczo na gmachu szczycie.

Zdala w ulicy tuli się skrycie
 Dworek modrzewi budowy starój.
 Ocienion w bujne klonu konary;
 Ledwie przez liści zielone sploty
 Wolno się promień przedziera złoty;
 I jak gość miły a pożądaný,
 W komnatce białe raduje ściany.

I zawisł promień uroczém kołem
 Nad męza wzniosłém a bladém czołem,

Co z głową tęskną na dłoni wspartą
 Dumą milczącą nad białą kartą,
 Świeżo mnogimi skreśloną zgłoski.

— Janie!—wyrzecz—mistrzu mój boski!

Przyjm te wyrwane ku twojej chwale
 Ze łzą boleści, z pod serca żale;
 Niechaj uznają potomne wieki,
 Że od zawiści marniej daleki,
 Jam uczył ciebie szczerze a bratnio!
 I pieśń miłości, może ostatnią,
 Nad twą zroniłem chłodną mogiłą.
 Może ostatnią: bo dziwną siłą
 Pchany w żywota ciemne bezdroże,
 Czuję, jak blednie to światło boże,
 Co mi jaśniało wdzięcznie w oddali,
 Gdy po wiślaniej żeglując fali,
 Ścigałem w pełni wiosennej krasy
 Nadbrzeżne łąki, zielone lasy,
 Ciemne ostrowy i nagie wzgórza,
 I owe grody, których podnóża
 Nurtuje Wisła bystremi wody.
 Kiedym opiewał on naród młody,
 Rażnych flisaków, co próżen trwogi,
 Rzucając ciche domostwa progi,
 Ufny w moc Pana, w pełnej swobodzie,
 Lipowe wiosła zanurza w wodzie,
 I pcha swe szkuty po rzeki łonie
 Ładowne zbożem, co na zagonie
 W błogosławionym wyrosło kraju.
 Kędy po Bogu pług w obyczaju,
 Gdzie z nieba świeże spływają rosy,
 Aby zasilić pszeniczne kłosy,
 Zanim rosniosą na świat daleki
 Dowód nad Polską Bożej opieki.

A na te słowa, w oku śpiewaka
 Taki blask odbił, i barwa taka
 Skryła rumieńcem jagody hoże;
 Jakby znów uczuł to tchnienie Boże,
 W którym krzepkiego zasiliał ducha,
 Gdy wokół puszcza szumiała głucha,
 Wtórząc poszmerem nad piewcy głową
 Jego czarowne a wieszczce słowo;
 Gdy sturamiennie dęby i sosny
 Gwarzyły zcicha on hymn radosny,
 Który dziękczynnie zasyłał w niebo,
 Wiedzion przemożną ducha potrzebą,

Na widok mnogich cudów Halicza,
 Gdzie Bóg tak hojnie darów użycza,
 Że człek tu niby w przedsionku nieba.
 Bo ziemia matka daje kęs chleba,
 I nad rzekami są wierzby stare,
 Ma w czém pachole strugać fujarę,
 A Bóg dał młodzi zręczność i siłę.
 Owóz jéj pląsy wiewiórcze, miłe,
 Gdy knieć za pługiem stąpa schylony,
 Młódź i w powietrzu znachodzi plony:
 Na kołysanej wiatrem jemiole,
 Ćmy drobnych ptasząt łowi pachole,
 Z dębów na dęby, niby przez czary
 Po sękach zbiega ciemne konary,
 Kędy go ciągnie ponęta słodka,
 Gdy stare barcie w puszczy napotka.

I przed śpiewaka stanęły okiem
 Lwowskie wieżycy złotym obtokiem,
 I stary Kijów, on gród bogaty,
 Co z łona chmury wydziera głowę,
 Patrząc na modre fale Dnieprowe;
 I on Kamieniec gród znamienity,
 Wrosły na wieki w opok granity,
 Nie człeka dłonią wykowan z glazu,
 Lecz jak świat słowem stworzon od razu.
 Toż go nie człowiek, lecz Pan co w niebie
 Sam, skoro zechce w prochu zagrziebie.
 I dziwna wieszczca otacza złuda,
 Myśl niby znane odtwarza cuda,
 Żywot mu zbiegły w pamięci płynie,
 Jak srebrny potok w rajskiej dolinie;
 Z wiarą wyciąga oba ramiona,
 Pragnąc świat Boży garnąć do łona,
 Żarem nieznanym pierś młoda tleje.

—„O Janie!—rzecze—tyś mi nadzieję
 Błogą tchnął z nieba. Jeszcze dźwięk złoty
 Wybieży z onéj lutni sieroty,
 Co pod twą ręką brzmiała tak cudnie;
 Jeszcze żywota łśni mi południe,
 I krzyż tak ramion nie zgniółł mi jeszcze,
 Bym nie mógł wlecieć w krainy wieszczce,
 Gdzie w chmurach piją rosy wilgotne
 Bystre sokoły i orły lotne!

„My wiecznie razem, o wielki Janie!
 Póki serc ludzkich na ziemi stanie

Życ będziem w pieśni, zakłęci spółem
 Złotego czasu czarowném kołem.
 Choć naród wieki w znużeniu prześni,
 Zbudzi go jeszcze dźwięk naszej pieśni;
 O! bo pieśń wieszczów nigdy nie kona,
 Choć za plemiony, nowe plemiona
 Kładą się do snu w dębowe truny,
 Choć pleśń przegryza grobów całuny.
 To, co wybiegło żywe a święte
 Z piersi, w natchnienia chwili poczęte,
 Tego na wieki śmierć nie pochłonie,
 Chyba grób znajdzie w człowieka łonie!

„Idźmy więc razem, zespolmy duchy!
 Ty mi ślój z nieba promień otuchy,
 O! bo jój dziwnie pierś moja łaknie,
 Bo nad mą głową samotną, braknie
 Tej cudnej gwiazdy złotych promieni,
 Co w życia twego jasnej przestrzeni
 Lśniła tak wiernie—śpiewaku boży!
 Ciebie pod lipę brzask rannej zorzy
 Z cichego dworku przyzywał co dnia;
 Tobie, anioła czysta pochodnia
 Świeciła w gronie nadobnej dziatwy;
 Tyś z twą Dorotą plótl wieniec łatwy,
 Z pól twych rodzinnych barwnego kwiatu;
 Ty, służąc Bogu, sławie i światu,
 Stóp nie krwawiłeś o krzemień twardy.
 O! tyś ku ludziom nie zaznał wzgardy,
 Jenosć miłował ród bratni szczerze,
 Kołysał pieśnią, pokrzepiał w wierze.
 Tyś z Dawidowej harfy proroczej
 Umiał wydobyć on dźwięk uroczy,
 Co wróży światu przybycie Pana,
 I zmusza kornie paść na kolana.

„Do twojej Janie serdecznej pieśni
 Wtór przygwarzali śpiewacy leśni;
 Tobie szumiała dąbrowa blizka,
 Tobie płonęły słupem ogniska,
 W onę pogodną noc sobótkową,
 Którą podało wiekom twe słowo;
 Tobie kłos złoty rodziła niwa,
 Plon twój doczekał bujnego żniwa,
 A włos twój siwy doczekał cześci.
 I gdyby nie te jęki boleści,
 Te nad Urszulką zronione zale:
 Łzyby twe oko nie znało wcale.

W twym Czarnolesiu wszystko ci bramało
 Zgodą, miłością, cnotą a chwałą;
 Ledwie żeś lutnią ujął do ręki,
 Same w nią z nieba spływały dźwięki.
 Twe wzniosła czoło wiecznie dokoła
 Chroniło skrzydło stróża anioła!
 Innaż ma dola!... odmienne drogi!
 Puste me ściany, samotne progi,
 Domowy płomień jasny a ciepły
 Nie grzeje piersi w tęsknocie skrzepłej;
 W krwi nie zdobyły pradziadów dłonie
 Wieńców zaszczytnych na moje skronie,
 Ni los mnie świetnie sponażył złotem:
 Sam, w znoju czoła i z ducha potem
 Szczebel po szczebłu dążę pod górę,
 Pierśmi przebijam tę czarną chmurę
 Co ómi widnokrag przesądu mrokiem,
 Idę z wniesioném do góry okiem,
 Herb na méj tarczy:—prawda a wiara!.....

O! gorzka mego żywota czara!
 Ale ją spełnię. A kiedyś Panie!
 Przed tronem twoim gdy duch mój stanie,
 Czyż go o klejnot zapytasz złoty?
 Dość, gdy człek z drogi nie zboczył cnoty,
 Gdy z twoją prawdą rytą na czole,
 Uprawiał w znoju działań swych pole;
 Gdy się nie zaparł podłemi czyny
 Że rąk twych dziełem, zlepił z twój gliny,
 Żeś płomień własny tchnął w jego łono.
 A gdy twém tchnieniem uszlachetnioną
 Duszę, jak perłę chował dla nieba:
 Czyż mu innego klejnotu trzeba
 Przed sądem twoim Panie nad Pany?!
 Wszak z boku Twego strumień przelany,
 Małych i wielkich odkupił razem;
 A myśl, że człowiek twoim obrazem,
 Dosyć go z prochu wyzwala ziemi,
 By się nie ludził mary zwodnemi,
 Lecz szedł, gdzie wieniec chwały go czeka,
 Gdy godnie spełnił zawód człowieka."

Zajęły z wieży spiżowe dzwony,
 Padł na kolana wieszcz ukorzony,
 I uniósł drżące ku niebu dłonie.
 Cudnież mu mężkie oblicze płonie,
 Jakby rad ściągnąć on promień boży,
 Który Pan w łunie porannej zorzy

Wybrany swoim wskazuje zdała.
 Już myśl tajemna iskra zapala,
 I z głębi piersi śpiewaka wiernej
 Wybuchnął w górę ogień ofierny;
 A wieszcz po onym jasnym płomieniu
 Zasyła niebu modły w milczeniu,
 Aby przewalczył żywot wytrwale,
 W sojuszu z prawdą, ku Pańskiej chwale.

III.

W chłodnej komnacie pusto a ciemno:
 To świerszcz pogwiźnie w kącie tajemno,
 To na wieżycy zakwiła sowy,
 To wiatr przez szpary zadmie zimowy,
 Co wraz z poświstem groźno przelata
 Roznosząc chmury wzdłuż i wszerz świata.
 Czasem przez grube z modrzewia ściany
 Dobięgną krzyki zgrai pijanej,
 Co na rozpuście przy gęźby brzmieniu,
 Noc, ku ludzkiemu trawi zgorzeniu.

Przy słabym blasku świecy jedyniej,
 Samotnie liczy nocy godziny
 Mąż pochylony z obliczem bladym.
 Bolesć wryła niestartym śladem
 Na wzniosłym czole tajemne zgłoski;
 Już w oku przygasł on płomień Boski,
 Który z jasnego wypływał ducha.
 Dziś, ta źrenica wklęśła a sucha
 Jaskrawo płonie! O! lecz odmienne
 Złotego słońca promienieienne,
 Od lśniących błysków, co ciemną nocą
 Ognistym wężem w chmurach migocą,
 Bijąc piorunem w pierś macierzystą!...

Czemużeś piewco, myśl twą przeczystą
 U zatrutego napawał zdroju?
 Co rzucać było dźwięki spokoju,
 A srebrno-brzmiące lutni twój struny
 Oplatać wieńcem w gorzkie pioluny,
 I śmiertelnymi przesycać jady?...
 Co było szpetne poruszać gady?
 Niechby pelzały w plugawym łożu!
 Tobie po jasnym było przestworzu

Prześcigać orłów swobodne loty,
 I gonić promień jutrzenki złotój;
 Lub jako śpiewne w dąbrowach rzesze,
 Pieśni ku ludzkiej kwilić uciecze,
 Albo z pszczolnym rojem w zawody
 Zbierać z ojczystych kwietników miody.

Nie tobie ziemię nowym pchać torem,
 Nie tobie słowem, niby toporem
 Rąbać odwieczne przesądów skały,
 Razić tytanów kariemi strzały;
 Z lutnią miast szabli, w zbrojcy lichój,
 Budzić śpiącego szatana pychy,
 Co w piersi wielkich drzymie swobodnie.
 Nie tobie skryte ludzkości zbrodnie
 Stawiać przed prawdy trybunał święty;
 Nie tobie zgnile poruszać męty,
 Co się w narodu gnieźdzą już łonie,
 Bo ciebie naprzód jad on ozionie:
 Tobie zgnilizna wypali oczy,
 I zrdzewi struny lutni proroczej!....
 Wszak orłu w locie nie starczy pierza,
 Gdy zbyt zuchwale skrzydła rozszerza
 I w ślady słońca zbyt chyżo goni.

Wieszcz oparł czoło na wyschlęj dłoni:
 Włos, co je w krucze wieńczył kędziory,
 Wypadł już z czaszki żółkłej a chorój;
 Brew najeżona nad wkleślém okiem
 Słoni oblicze chmurnym pomrokiem:
 Niby pargamin żółkły jagody.
 Na białych ustach zgasł uśmiech młody,
 Który stróż anioł zesłał był darem
 Kiedyś dziecinie: dziś pod ciężarem
 Trudu, zawodu, trosk i rozpaczy,
 Szatan je śmiechem szyderstwa znaczy;
 Śmiechem, co serce gorzej łez boli.
 W obliczu srogie piętno niedoli
 Zryła bruzdami gorycz zjadliwa;
 Niedbale szata nędzna odziewa
 Wychudłe barki i pierś zapadłą;
 A cała postać, jak to widziadło,
 Co z grobu nocą zbiega na chwilę,
 Jeszcze starzane w cmentarnym pyle,
 Aby kres spełnić pokuty srogiej,
 Przenika dreszczem bolu a trwogi.
 Znać iskra życia w piersi dogasa;
 Niekiedy jeno przelotna krasa

Ogniem suchotnym na licu spłonie,
Gdy myśl wspomnienia poruszy w łonie.

Przy nędznej świeczki połysku bladym,
Ręka wyschnięta goni za śladem
Zbudzonej myśli, i gorączkowo
Ledwie poczęte nakreśla słowo.
O! jemu śpieszno, bo jeszcze tyle
Słów nie domówił, bo w pełnej sile
Gore płomieniem pierś rozogniona,
A ręka stygnie, a życie kona,
A pot strumieniem splywa po czoło,
I skon zwiastują przedśmiertne bole.
A więc ze śmiercią spieszy w zawody,
Bo duchem dzielny, bo wolą młody;
Bo wie, że przestrzeń do celu blizka,
Może więc starczy w piersi ogniska,
Nim z niej ostatnie słowo wypowie.
O! może zdoła w tym zakląć słowie
Wszystek ból serca, żal wszystek duszy,
I gmach szatański w niwecz rozkruszy,
Gdy słów piorunem z góry uderzy
W sam szczyt, w obłokach tonącej wieży.

Lecz dłoń zawiodła: wypadło pióro,
I cień zasępił czoło ponuro.
Zagasły w oku płomienie wieszczce,
Jeno grobowe zbiegają dreszcze
Stargane bolem śpiewaka łono:
Podniósł źrenicę w górę zamdloną,
I dłoń przycisnął spiekłą do czoła:
— O! Panie!—głosem skrzyplym zawoła—
Odwróć twą rękę zponad mój głowy,
Usuń na chwilę kamień grobowy,
W pierś mą spaloną spuść z nieba rosę;
Nim do mogiły krzyż mój doniosę,
Dozwól do kresu spełnić zadanie!
O trochę życia... błagam cię Panie!
Stwórco potężny, co z wiecznej łaski
Światy w słoneczne odziewasz blaski;
Co płomień życia tchniesz w ziemskie twory,
Ja, proch stóp twoich, w pełni pokory
O iskrę życia śmiem błagać Ciebie,
Nim pierś tę chłodna ziemia zagrzebie:
Niech z niej dosnuje on wątek marny,
Który cierpienia płomień ofiarny
Zamienił w małą okrucieść złota
W długim męczeństwie mego żywota;

Niech obleczony w słowa osłonę,
 Złóżę w narodu świętą skarboneę.
 Może on owoc łez mych i pracy
 W zbląkane serca przyjmą rodacy;
 Może gorące piersi méj tchnienie
 Rozproszy mgliste przesądu cienie,
 I prawda, w blasku promiennym spłynie
 Po owéj wiernéj Tobie krainie,
 Któréj przed laty cnotliwe syny,
 Świat zdumiewali wielkimi czyny,
 A zacny żywot w szczerym zapale
 G'woli czci Twojej kładli na szalę.
 Oni przybytków Twoich strażnicy,
 Z piersią okutą w twardéj zbroicy,
 Trawili noce, spierając głowy
 O rdzą zgryziony puklerz stalowy;
 I z znojem czoła w pożarów dymie,
 Krwią zdobywali zaszczytne imie.

Inaczéj Panie dziś w twym narodzie!
 Siła tkwi mętów w skłóconéj wodzie,
 Na rozhukanéj toni żywota
 Wicher bezsilną korabłą miota;
 I nie ma komu stanąć przy sterze,
 Bo synów barki gniołą pancerce
 W których ojcowie radzi chadzali;
 A ich przyłbice z hartownéj stali
 Ranią młokosów muskane czoła.
 Ręka ich szabli dźwignąć nie zdoła;
 Jeno orleńta w puściźnie całej
 Dziedziczą gniazda, które im słały
 Dziadów zasługi mnogimi laty!...
 Dziś spożywają plon ich bogaty,
 Słoniąc się dumnie cnoty ich tarczą.
 A gdy do lotu skrzydła nie starczą,
 By czoło w wawrzyn otoczyć nowy:
 W szkarłat się stroją i w złotogłowy,
 W sobole szuby, w cenne klejnoty,
 Ku stumanieniu ludzkiej prostoty!

O! noc nad nami zawisła głucha,
 I straszno w głębi mojego ducha!
 By na powierzchni gładkiej zwierciadła
 Snują się rojem czarne widziadła,
 I z trwogą zwracam badawcze oko
 W napół rozwartą otchłań głęboką,
 Która niebawem w strutém swém łonie
 Wiekowe ojców prace pochłonie!

Gdy wzrok obłądny braci mych ludzi,
 Kwietnym kobiercem wdzięcznie się ludzi,
 Co górą przepaść pozornie kryje;
 Ja jeden widzę syczącą zmiję
 Jak z urąganiem wyciąga głowę
 Nad wonnych kwiatów sploty różowe.
 Ja jeden myślą ścigam jęj ślady,
 I w straszną przepaść wzrok sję na zwiady.

O! jakaż zgroza przeraża oczy!
 Widzę jak zwolna robactwo toczy
 On pień, co dotąd cudnie zielony
 Siega w obłoki wierzchem korony;
 Widzę, jak gorzkie skażenia ziarno,
 Wicher dokoła w noc sieje czarną;
 Jak chyżo zbiega stara prostota,
 Zbytek w zamczysków kołacze wrota.
 Wkraczają w progi cudze zwyczaje,
 Strugą po stołach płyną tokaje;
 Gardzą tą karmią wymyślne pany,
 Któręj im starczą knieje i lany;
 Bo stół magnacki różnić się musi
 Piórm i bażantów, paw i strusi;
 Acz wino mózgi zarówno pęta
 Panów i szlachtę mieniać w bydłęta!

I z dymem idą grody i włości,
 Gdzie w grobach ojców próchnieją kości:
 A dobra panów świecą wspaniale,
 Jak te jagody na stromęj skale,
 Co się wysoko pną pod niebiosy,
 A sycą szpaki, wróble i osy!
 Gdy dziedzic ufny w posiadłość starą,
 Ściga je tylko—okiem i wiarą.

Bóg wam nie na to kęs ziemi daje,
 Byście próżniacze karmili zgraje,
 Pod dach garnęli szarańczę lichę,
 Co karmi waszą pochlebstwem pychę;
 Byście w wiekowe zdobni zaszczyty,
 Jak one żoły i pasożyty
 Chłoneły pracę ubogich kmieci:
 Wam dosć, że słońce z nieba im świeci,
 Tego, moc wasza spożyć nie zdoła!...
 Lecz szpik ich kości, lecz pot ich czoła
 Wyście wyssali sprośnemi usty.
 Dosć biesiadniczej jednej rozpusty,

By całoroczne schłoneła brogi!
 Co wam, że kmięcia dojmie głód srogi,
 Choć zrósł nieborak z waszym zagonem,
 Barki pod waszym ugina plonem,
 Pilnuje pługa, sierpa i kosy?
 Nie jemu rosną na niwie kłosy.
 Wy spożywacie trud jego sami,
 Niech on się karmi znojem i łzami!...

Nie tym szli torem starzy ojcowie!
 Im próżnowanie, czarta wezglowie,
 Znaném nie było w paśmie żywota;
 Do ich podwoi kmiotek sierota
 W ciężkiej niedoli kołatał śmiało,
 A pan go duszą garnął wspaniałą,
 Bo go miłował jak własne dziecko.”

Tu głosu w piersi brakło poecie;
 Rumieniec krasniej wybiegł na lice,
 I tchu zaczerpnął, i wznosił prawicę,
 I w górę łzawe obrócił oczy,
 Jak żeby ścigał wątek proroczy.

„O! w proch—zawoła—ukorzcie głowy!
 Pan, grom nad wami trzyma gotowy!
 Już czarny obłok nadciąga górą,
 Cześć wasza splonie, jak w ogniu pióro;
 Duch wasz zwątleje, skarleją ciała,
 Jak dzwon rozbity będzie wam brzmiała
 Sława praoców bezsilnym dźwiękiem!...
 Widma ich z mogił przybieżą z jękiem,
 Pytając: gdzieście tak potyrali
 Ich złote herby, tarcze ze stali?
 Kędy ich sioła, grody i dworce,
 Gdzie krwią przesiąkłe one proporce,
 Które cenili wyżej żywota?....
 Wy je tarzacie w otchłani błota!
 Biadaż wam pany! drzyjcie od trwogi,
 Olbrzymy ziemi, wy ziemskie bogi!
 Wszak komu gniazda ściele Pan w górze,
 Niech umie pierśmi odpierać burze,
 Bo wiatr go strąci z podstawy ślizkiej;
 Niech patrzy w niebo, kto niebios bliżki,
 A niech ród bratni wiedzie w swe ślady
 Zacnemi czyny, mądreimi rady.
 Inaczéj Pan go przeklnie w dzień gniewu,
 I uschnąć każe, jak niegdyś drzewu,

Co miast owocu, zdobne w liść gładki
 Wyrodne ssalo pierś ziemi matki.
 Bo gnusność, człeka w próchno obraca,
 I jedno ciała a ducha praca,
 Jak po szczelinach pcha go ku Bogu!
 A wy drzymiecie w złotym barłogu,
 I chyba ze snu zbudzić was zdoła
 On miecz zamierzon ręką anioła,
 Gdy spadnie z góry na karki wasze!

„I wam przekleństwo cheiwi Judasze,
 Co drapieżnemi jak ryś pazury,
 Bliźniego żywcem drzecie ze skóry;
 Niecnie frymarcząc prawdą a cnotą,
 Śmięcie szatańską waszą robotą
 Naciągać słowo g'woli potrzebie;
 Cobycie Boga sprzedali w niebie
 Jak on Iskaryot; co z targów w targi
 Włóczycie język i wprawne wargi,
 To po Piotrkowie, to po Lublinie,
 Topiąc sumienie w durzącém winie;
 U których słońce choć świeci jasnie,
 W samo południe—by w noc zagaśnie;
 Co pobratani z brudnemi żydy,
 Ich popierając sprośne bezwstydy,
 Prawem słonicie chytry ród węży,
 Gdy srodze naród lichwą ciemięży:
 Drzyjcie przed Pana niechybnym sądem!

„I wam przekleństwo! wam co nierządem
 Burzycie zakon małżeństwa święty,
 Płochę niawiasty! Co za ponęty
 Goniąc z dnia na dzień, w grzesznej uludzie,
 Szaty anioła tarzacie w brudzie;
 A gasząc jasny płomień domowy,
 Muskanem licem, gładkiemi słowy
 Kupując poklask płochego świata,
 Poczciwój doli trwonicie lata.
 Wy! raz stąpiwszy po ślizkiój drodze,
 Zwolna bezprawicm puszczaście wodze;
 Aż złe szeroko roztworzy wrota,
 Piętno na czołach zryje sromota;
 Pójdzie na frymark młodość i krasa!..
 Na wszelki bezrząd myśl się rozpasa:
 I miast żon wiernych, matron rodziny,
 Będą Heleny i Messaliny!
 I złe pożarem pójdzie po świecie,
 I nikt domowych wieńców nie splecie.

Stleją ogniska w chłodne popioły,
 Ubiegną w niebo stróże anioły,
 W tumanach dymu zgaśnie blask słońca,
 Pomrok zapadnie z końca do końca,
 I zstąpi na świat boleść a trwoga;
 Aż człek w rozpaczy zaprze się Boga..."

Z zgrozą wieszcz uniósł ręce do góry,
 Radby odeprzeć te czarne chmury,
 Które przeczuwa widzeniem ducha.
 Zabrzmiała gęźba: on milczy, słucha.
 W przyległej izbie, sprosna drużyna
 Spełnia wrzaskliwie puhary wina,
 Wtórząc bachantek wszeteczne pieśni!
 On zbladł jak mara; ścisnął boleśnie
 Ręce i usta, a w drzwiach komnaty
 Mignęła postać strojna w bławaty.
 Niewiasta młoda stanęła w progu,
 Cała starzana w świata barłoga,
 Z bezwstydném licem, z płonącym okiem.

Powstał Sebastyan, zmierzył ją wzrokiem,
 Wzrokiem, co niby przekleństwa słowo
 Grozi piorunem nad grzeszną głową.

Pierzchła jak widmo, drżąca i blada;
 On milczy, duma, i ręce składa,
 I zcicha rzecze:—, „Wola Twa Panie!
 Krótki mój żywot... wnet świt nastanie...
 Tam!—poza grobem... po życia nocy!..
 Jedno o Panie! użycz mi mocy,
 Bym dni mych wątek stargany żalem
 Dowłókt dopóty, aż z Juwenalem
 Spółczesne zgrozy odchyłę do dna!
 Niech jak w zwierciadle zgraja wyrodna
 Ujrzy w mém słowie serc własnych trądy,
 Niecne bezwstydy, zbytki, nierządy!
 Niech zanim wieczny mrok mnie otoczy,
 Gryzącym jadem bluznę im w oczy:
 Bo dziś—o Janie! przebrzmiały tony
 Twojej w miłości pieśni zrodzonej!
 Od serc w lód skrzepłych, niby od zbroi,
 Odpada Boski dźwięk lutni twojej!
 Kto pieśń odtrąca szczerą a prostą,
 Niechaj grzbiet pyszny nagnie pod chłostą;
 Grotem szyderym tknę go do kości.
 O! ja was bracia chłostczę z miłości!....

Chcę, byście w siebie spojrzawszy sami,
 Grzechy swe żalu obmyli łzami;
 A kornie, dumne zginając głowy,
 Jeli się społem świętej budowy
 Ku podźwignieniu przybytku Pana!
 Chcę, by Chrystusa prawda poznana
 Wsiąkła w krew waszą, odżyła w czynie,
 A w blasku światła cień się rozplynie,
 I złe zatone w prawdy powodzi.
 A naród w Bogu znów się odrodzi
 Starą prostotą, podaniem, wiarą,
 I ukochaniem, i cnotą starą;
 I niebo zmoże krnąbrne olbrzymy,
 I wiatr rozniesie kadzidel dymy,
 Które zapala ludzką prostotą,
 Ku czci znikomiej pychy a złota.
 Niech więc ma chłosta grzbiety wam rani,
 O! bo was kocham bracia zbląkani!"

I drżącą ręką pochwycił pióro,
 I znikł on pomrok, co tak ponuro
 By skrzydło sępie zawisł nad czołem.
 Odblask natchnienia tęczowém kołem
 Złoci oblicze; z pod rzęsy ciemnej
 Zalsnił przelotnie płomień tajemny;
 I lzy dwie spadły na białą kartę,
 Piętnując księgę w godło niestarte,
 Z świętej miłości czerpnięte zdroju.
 Już nie ma ci tego spokoju,
 Co mocą łaski, by woda żywa,
 Na głowę wieszczą natchnioną sływa.

Cisza w komnacie: zmiłkł wiatr zimowy,
 Spią na wieżycach złowieszczę sowy;
 Pierzchła opodal chmura z zawieją.
 Już czujne kury po trzykroć pieją
 Zwiastując hasło rychłego switu.
 A wieszcz Bożego pelen zachwytu,
 Z gorącym licem, z splanioném okiem,
 Wylewa z piersi wrzącym potokiem
 To, co Pan z góry zsyła do ducha.
 Niekiedy przerwie, czeka i słucha:
 Głucho a pusto! On jednak słyszy
 Hymn, który ziemia w poważnej ciszy
 Zasyła Bogu—hymn dziękczynienia!
 Dłoń coraz skorsza, a piersi tchnienia
 Coraz to częstsze. Mocą zapalu,
 Znać duch panuje wyłącznie ciału;

A ręka niby narzędzie z gliny,
Z podniebnych wyżyn, w ziemskie dziedziny
Ściąga myśl Bożą, w słowo ją splata,
I rzuca jasną na pokarm świata!

Zajękły dzwony.. Trąby z wieżycy
Brzmią w pozdrowienie Bogarodzicy;
A usnieżone mury Lublina
Wtórzą stokrotnie *Salve regina!*
Wieszcz pióro z drżącej wypuścił ręki,
Padł na kolana:—, O Panie! dzięki—
Zawołał głucho—zgaś iskrę marną!
Już wyrzuciłem z piersi méj ziarno:
Czas je rozwinie na Twym zagonie!”...
Złożył na piersi bezsilne dłonie,
Blednie w obliczu przelotna krasa,
W źrenicy sztuczny płomień dogasa,
Tehu braknie w łonie. Już chłód grobowy
Wkoło natchnionej powiewa głowy,
Pierś w lód ścinają przedśmierne dreszcze,
Lecz serce bije... i cierpi jeszcze!

IV.

W szpitalu miejskim Świętego Ducha,
Bładym płomykiem kaganiec bucha
Na nagie ściany izdebki lichej;
A wśród wieczoru pogody cichej
Słysząc niezwykły zgiełk ludu w mieście,
Głośnie okrzyki, gwary niewieście
Zmieszane z płaczem irwożliwych dzieci.
Niekiedy płomień jasno zaświeci
W okno izdebki, przez drobne szyby;
O! biadaż miastu! gore bez chyby,
Lecz dzwon pożarny nie jękt z wieżycy,
Nawet śmiech tłumu słysząc w ulicy:
Czyż z Bożej plagi szydzić kto może?...

W izdebce złożon na twarde łożo,
Mąż w ostatecznej walce przed zgonem
Z licem pozółktém, z okiem zamglonem
Krzyż Chrystusowy ciśnie do łona.
U stóp wybladła i ukorzona
Kłęczą niewiasta, a mnich nad głową
Modlitwy Pańskiej powtarza słowo.

Chory, za mnichem usty sinemi
 Mówi z pokorą:—„Wniebie, na ziemi
 Bądź wola Twoja!” i pierś ze skruchą
 Biję, niebieską wzmocnion otuchą;
 A gdy rzekł:—„Winy odpuść nam Panie!”
 Uniósł bezsilną dłoń nad posłanie
 I wsparł na kornój głowie niewieściej;
 A jęk stłumionej wypadł boleści
 Z piersi, wyrzuty przejętej srodze.
 I padła na twarz w bólu i trwodze,
 Jakby przed Boga straszliwym sądem.
 —O! jam niegodna! jam to bezrzędem
 Zgubiła Ciebie—głucho zawoła
 W prochu starzany rwąc włos z nad czoła.
 —Choć ty przebaczysz, Bóg nie przebaczy!—
 I ziemię głową bije w rozpaczy,
 Pragnąc łzy wszystkie wypłakać z łona;
 Bo przed jój okiem pękła zasłona,
 Co niby tuman kłamliwej złudy
 Słoniła ziemskie nędze i brudy.

—„Powstań niewiasto!— mnich wyrzekł zwolna—
 Pokora przebić niebiosą zdolna.
 Wszak cudem łaski Pan Magdalenie
 Rozjaśnił grube obłądów cienie,
 Gdy skraju świętej dotknęła szaty. .
 W łzach żalu płynie strumień bogaty
 W którym ozłek z grzechu serce obmywa.
 Powstań niewiasto!”....

Ona wpół żywa

Unosi głowę. i znów w pokorze
 Tuląc twarz bladą w śmiertelne łożę,
 Stygnące męża całuje nogi!
 —„Ty mi przebaczasz! a jam w twe progi
 Wniosła ohydę, wstyd i sromotę;
 Jam w proch niewieścią zdeptała cnotę,
 I na twą głowę ściągnęła niesławę;
 Jam to zawiodła twe serce prawe.....
 A wszak mu niegdyś byłam tak miłą!”

I ciężkie łkanie głos jój stłumiło.
 On ku niej suchą wyciągnął rękę
 Za łzy tak rzewne, w cichą podziękę.
 I chwila w głuchém zbiegła milczeniu.
 Nagle, na ciemnym nieba sklepieniu
 Jaskrawiej płomień wybuchnął w górę,
 Chórem zagrzmiały wrzaski ponure:

— „Niechaj w perzynę ginie! przepada!”
 Niewiasta z ziemi zrywa się błada,
 Dreszcz zgrozy przejął pierś jój zboląłą,
 Jak liść osiny drzy wątłe ciało.
 Bieży ku oknu, zwiesza zasłonę;
 Ale zapóźno: oko zamglone
 Pomrokiem śmierci dostrzegło jeszcze
 Jaskrawej luny blaski złowieszcze:
 — Co tam za płomień? — strwożon zawoła,
 A pot kroplami spływa mu z czoła;
 Chce powstać z łoża, ale daremno!
 Sił już niestaje .. w oku mu ciemno...
 Wyciąga ręce obie ku żonie:
 — Powiedz mi — pyta — miastoli płonie?!.....
 Lecz ona milczy. On znowu mnicha
 Pyta i bada, trwożliwie zcicha,
 Bo głos zamiera w piersi pomału;
 Już duch nie zdoła panować ciała:
 On w wyższą, szerszą dąży dziedzinę,
 Co mu poruszać rozbitą glinę!
 A kapłan rzecze: — „Synu! w pokorze
 Poddaj twą głowę pod sądy Boże,
 I serce uzbrój niezłomną siłą,
 Bo nim pod chłodną spocziesz mogiłą,
 Musisz do kropli wysączyć czarę..
 Daremnie błędną gonileś marę.
 Patrz! tam na stosie pod ręką kata,
 Sława twa synu — z dymem ulata!

Gasnąca iskra pod silnym ciosem
 Roztlała nagle; wieszcz drżącym głosem
 Wskroś bolem zdjęty: — „Panie! — zawoła —
 To część krwi mojej... pot mego czoła,
 Owoc mych nocy, poczęty w trudzie,
 Dokonan w bólu!... Biadaż wam ludzie!
 Gdy pod serc waszych pleśnią grobową,
 Żywe się prawdy nie ujmie słowo!
 Gdy zanurzeni w bagnisku świata,
 Rzucacie nędzni kamień w pierś brata,
 Co się ośmielił wyznać w prostocie:
 Że część szlachecka — w pracy a cnocie!...

„O! nie masz ciebie królu Batory,
 Abyś twój naród błędny a chory
 Skrzepił dzielnego tchnienia potęgą!
 Abyś rozpostarł nad oną księgą
 Królewskie ramię, kute z żelaza.
 Ciężkaż pamięci twojej obraza!

Bo na mém dziele ryte twe imie,
Wielki Stefanie! ulata w dymie!....”

Umilkł Sebastyan, i wlepił oczy
W szeroki płomień, w nocnej omroczy
Lśniący złowieszczo, by krwawa zorza.
Niewiasta kornie klęka u łoża:
— „Nie trwoż się— rzecz— jam przechowała
Boskie twe księgi... ledwie część mała
Poszła na pastwę z dymem pożaru!”

— „Świat dziś nie godzien twojego daru—
Zawoła kapłan—bo niedorosły
Do twojej myśli czystej a wzniosłej;
Lecz nie trać wiary: przyjdzie czas tobie!
Złożąc potomni wieniec na grobie;
Bo nie zmarnieje siew prawdy bożej:
Pan w piersi wiernych wiecznie ją mnoży.
Choć długie lata, słowo olbrzymie
W obłok zaklęte nad ziemią drzymie;
Gdy Pan naznaczy kres mu właściwy,
Rosą odwilży rodzinne niwy.
Przyjdzie w twe tropy śpiewak natchniony,
I zmiłkłej pieśni podejmie tony,
I myśl twą świata pełnię wypowie,
I w każdym wieków następnych słowie
Część ducha twego życiem brzmieć będzie,
Wpleciona w wieszczów pieśni łabędzie.”

Gasnące oko błysło otuchą,
— „Dzięki ci ojcze!” — wymówił głucho,
I wybiegł uśmiech na usta błogi:
Znać grób w nim próżnej nie budzi trwogi,
Bo duch już zbiega wyższe przestrzenie.
Zgasło ognisko, a nocne cienie
Znow okrzyły ziemię ponuro,
I błysnął księżyc owiany chmurą.
Już gród w milczeniu pogrążon cały.

Tu nagle dźwięki pieśni zabrzmiały
Młodych ślisaków: wierna drużyna
Wita gościnne mury Lublina.
Zgodne ich pieśni płyną z oddali
Z rosą po czystej Bystrzycy fali,
A wzniosłe wieże i świątyń szczyty,
O spiz i granit on dźwięk odbity
Niosą pod gwiazdy, wysoko, w górę.
I księżyc strząsa wełnistą chmurę

Co ómiła jego srebrne odblaski,
I niby godło tajemne łaski,
Więcem promieni otacza wkoło
Wieszczą poważne a blade czoło.

— Wszak to pieśń moja! Dziękuj ci Boże!—
Wyrzeczcie zcicha, i ponad łożę
Unosi ręce w znak dziękczynienia.
Oblicze jego zwolna się zmienia;
Łza niby perła zwilża jagody,
Na usta wybiegł on uśmiech młody,
Co anioł zesłał dziecinie we śnie,
A zdala płyną flisarskie pieśnie:

„Dalejże flisaku, spiesz w *Bożą* godzinę,
Już blisko do kresu twój drogi;
Wnet ojców powitasz i miłą rodzinę,
Domowe ognisko i progi.

I staniesz przed ojcem i starą macierzą,
W kierezyi i pasie z przysiekiem,
W magierce zuchwałój: toć sna jno uwierzą,
Że wracasz ze świata człowiekiem!

Gdyś Boga przyzywał w burzliwój przygodzie,
Flisaku odważny i młody,
Pan dopchał bezpiecznie twą skutę po wodzie,
Uchronił od wichrów i szkody.

Dalejże flisaku, śpiesz w *Bożą* godzinę,
Już blisko do kresu twój drogi;
Wnet ojców powitasz i miłą rodzinę,
Domowe ognisko i progi.”

.....

I przy podźwiewku pieśni uroczej
Wieczny mrok zapadł piewcy na oczy;
W piersi krew skrzepla — życie ustało,
Duch już swobodny a martwe ciało
Nie czuje chłodu, bólu, ni trudu.
A pieśń pobrzmiewa przez usta ludu:
Ta pieśń w narodu żywot wpleciona,
Którą on wysnuł z wrzącego łona,
Krąży nad wieszczą prochy martwemi
Jak wiekuiste podzwonne ziemi!....



EPILOG.

O wieszczy śpiewaku! i czemuż twe skronie
Boleśnie oplata kolczysty głóg?
Wszak tobie w czarownej piękności osłonie
Bóg, ślady ukazał niebieskich dróg.

Wszak kiedy tłum depcze bezmyślnie i zcicha
Zielony a miękki murawy puch;
Piers twoja natchniona płomiennieję oddycha,
W jaśniejsze przestworza twój sięga duch.

Wszak w złote twe usta Bóg wieszczę tchnął słowo,
Pod stopy twe rozsiał marzenia kwiat;
I gwiazdę ci zatlił promienną nad głową,
I loty orlemi pchnął w marzeń świat.

Nie na to, byś mącił niebieską pieśń zgody,
I wplatał w nią cierpki boleści ton,
I grobów całunem ócił błękit pogody,
Przy gęźbie weselnęj zwiastując skon.

Byś kroplę piołunną w godowe puławy,
Zbłąkanym a słabym niebacznie lał;
Nie koil ich pieśnią nadziei i wiary,
Lecz w serca bił jadem zatrutych strzał.

O! wieszczu, gdyś dostrzegł proroczém twém okiem
Na niwach przyszłości wschodzący srom;
Tyś uniósł prawicę, i z bolem głębokim
Sciągnąłeś zuchwale z niebiosów grom.

Nie w twoję dłoń gromy, o piewco natchniony!
Wszak po te nie sięgał nasz wieszczy Jan;
Śpiewakom ku niebu pogodne ślać tony,
A w grzesznych—pioruny niech ciska Pan!

Nie strzalać być pieśni, nie mieczem ze stali!
Maż lutnia z serc głębi dobywać krew?
O! niech je młością, niech wiarą zapali,
Niech bole żywota skołysze śpiew.

Pieśń Jana spływała jak rosa majowa
 Na kwietne wybrzeża rodzinnych strug;
 Szły prosto w pierś bratnią pogodną jej słowa,
 Przyjęli ją ludzie, zażegnał Bóg.

I dzisiaj, gdy łono płomienne lutnisty
 Od wieka strawiła mogilna pleśń;
 Przepływa w spokoju po niwie ojczystej
 Z poszmerem dąbrowy odwieczna pieśń.

I twoje, poeto, flisowskie brzmia pienia
 O łono wiślanych odbite wód;
 Ich wdziękiem podziśdzien, wśród skwaru, znużenia,
 Osladza nasz oryl poczeiwy trud.

Bo w tchnieniu miłości pieśń jedno poczęta,
 Swobodnie wypłynie nad czasów ton;
 Pieśń jedno miłości, czarowna a święta,
 W niezwiędły liść zwieńczy śpiewaka skroń.

Współcześni odparli twe groźne przestrogi,
 Nie tknęła ich ostrych pocisków stal;
 Niebaczni, puścili swe łodzie bez trwogi,
 Pośrodkiem wzburzonych żywota fal.

Potomni zarówno zatarli twe pieśni,
 Gdy nowych lirników zaśpiewał rój;
 Bo dla tych zapóźno, dla tamtych przedwcześnie
 Brzmiał, piewco natchniony, głos wieszczu twój!

I tylko brat w pieśni, gdy stanie na grobie
 Co serce twe wielkie na wieki skrył;
 Przykłąknie z pokorą, i rzeknie: „cześć tobie,
 Boś w walce nie szczędził młodzieńczych sił.

„Bo prawdę jedynie miłując a Boga,
 Umiałeś na barkach krzyż stale nieść;
 Choć stopy ciernista krwawiła ci droga,
 Ty szedłeś nią wiernie:—cześć tobie, cześć!”



ZOSIA ŻYTKIEWICZÓWNA.

POWIASTKA UKRAIŃSKA

PRZEZ

Tadeusza Padalicę.

Use harazd, use harazd, ta za odno straszno,
Wyhladajut' hajdamaki iz za hory czasto.
Z pieśni gminnej o kozaku Sawie.

Okolo 1758 roku żył w Mosznach szlachcic polski Onufry Żytkiewicz. Byłto szlachcic na owe czasy ciepły: handlował wołami, kupując je na okolicznych jarmarkach i potem pędząc na sprzedaż do Włodawy. Czerstwy, rumiany, o białych włosach i takimże zawiesistym wąsie. Gaduła, bywalec, i pomimo wiek podeszły, czynny i przedsiębiorczy. Zawsze na wózku, zawsze na jarmarkach, z trzosem około bioder, karabelą u pasa i szwedzką o dużym zamku flintą, która towarzyszyła mu na wózku w podrózach. Szlachta, żydzi i chłopi znali go w całej okolicy. Ciągłe ocierając się o lud, mając nieustanną z nim styczność, zaczął on posługiwać się językiem ukraińskim, i w końcu tak doń przywykł, iż wyrażał się nim dobitniej i łatwiej, jak swoim; jeśli zaś zniewolony był czasem użyć polskiego, to go dopełniał przysłowiami i sentencjami wziętymi od ludu. Mieszkał on przedtém w Śmile, lecz gdy go okradziono kilka razy z pieniędzy w domu, a z bydła w polu, gdy nakoniec podczas jednego jarmarku przepadł mu jedynak jego Pawełek, chłopczyk lat dziesięciu: obrzydził sobie to miasto, nasadził mu czortów i biesów i przyjechał na mieszkanie do Moszen, gdzie miejscowy proboszcz był jego dalekim po żonie krewnym. Co do syna, gdy wszystkie poszukiwania zostały nadaremne, zgo-

dzono się na domysł, iż musiał się utopić przypadkowie w Taśminie. Stary wzdychał, stękał, ale boleść minęła, i po niejakiem czasie znowu poszedł pracowity dziadora z wołami do Włodawy.

Staremu pozostała żona i prześliczna córeczka, imieniem Zosia. Po matce wzięła rysy twarzyczki, po ojcu czarne brwi i oczy, od Boga zdrowie, rumieniec i wesele. Rosła ta lubka szybko jak trzcina, a kwitła rozkosznie jak róża. Gruba tu była na owe czasy młodzież, nie pojmowała ceny wdzięków, a zdrowych dziewczynek po szlachcie, to na Ukrainie nie rzadkość. Ztém-wszystkiém i w kościele i w gościnie zapatrywano się na Zosię, wielbiono ją, zapominano przy niej słów w gębie; szeptano: „aj dziewczyna! jak łania, jak rybka!” Życie w Mosznach i dziś jest samotne, ciche, jednakie, a było jeszcze cichsze w tamte lata. Tu szumiały puszcze irdyńskie, a tam gdzieś w bezgranicze ciągnęły się ługi Dnieprowe; pasieki huczały od pszczół, futory i sady oblewały się każdej wiosny kwieciem, a łąki woniały macierzanką i czombrem. Z nadejściem zimy odmieniały się obrazki natury, ale serce dziewicze, młode, uzbierawszy marzeń letnich z ziemi i nieba, tuliło je w ciepłej izdebce, przerabiając na pieśni i dumki, i jak pszczółka żyło własnym miodem. Podczas świąt odwiedzała Zosia sąsiadów, bawiła się z rówiennicami i powracała z wesołym okiem, rozognioną twarzyczką i rozmarzoną pierśią; a we dni powszednie, w długie grudniowe wieczory, otoczona gronem wiejskich dziewcząt, przędła z niemi lub szyła, słuchając ich bajek i pieśni. I według tychże pieśni, wyobrażnia jęj pisała swoje o przyszłości arabeski, maczała je w czarowne farby i naprowadzała jaskrawemi prążkami, jak ona sama przywykła o Wielkiejnocy kolorować pisanki.

O czémże inném marzyć mogło dziewczę młode jak Zosia, karmione według wyrażenia poety, „mlekiem dum i mleczem kwiecia”, kołysane od kolebki rzewnemi piosnkami najpoetyczniejszej naszej ziemi? Ostoniły ją one jak niewidzialne istoty, jak opiekuńcze duchy, i strojąc główkę i pierś we wstążki i kwiatki, kraszając jagody, rozczesując długie warkocze, wpuszczały razem roje motylkowych marzeń do serca, wyrabiając w niem tę rzewność uczucia, tę potęgę miłości, które ją zaczarowały na istotne dziewczę Ukrainy.

Marząc ciągle o pięknych bohaterach bajek, o zaczarowanych królewnach, o siedmiogłowych zmijach, strachach, upiorach

i wiedmach, Zosia rozbudziła do pewnej potęgi uczucie cudowności i przywidzeń, stała się dostępną najmniejszym wrażeniom i często miewała sny dziwne. Raz, było to na wiosnę, przysniło się jej, jakoby przyleciał na dziedziniec rodzicielskiego domku straszny żmij o siedmiu dużych głowach, niosąc na karku królewicza. Ten królewicz jakoby wyzwał przez okno jej ojca i rozkazał mu wyprowadzić doń córkę. Kiedy wyszła przelekniona Zosia, zjawił się zkądś rycerz i bił się z królewiczem długo; żmije syczały i robiły się coraz czerwienście jakby je krwią kto ofarbował, a nakoniec stanęły w płomieniach. Od tego ognia, przywidziało się dziewczęciu, jakoby zajął się ich domek, a pożar tak piekł w lica, że wśród tej straszliwej sceny porwało się dziewczę ze snu, i zakrywając rękoma oczy, robiąc piersiami, krzyknęło przeraźliwie.

Przybiegli do łóżka rodzice, wniesiono świecę, uspokojono ją cokolwiek, ale wrażenie snu tak było przykre, iż nie mogła zasnąć do dnia białego. Ojciec nazywał te marzenia dzieciństwem, matka zaleciła zmówić nazajutrz koronkę do Przemienienia Pańskiego, a baba Olena tłumaczyła sobie sen taki zupełnie inaczej, i aż wtedy uspokoiła biedną Zosię, gdy ta ją zapewniła, że nie widziała wypadających zębów ani pokoszonego żyta.

Nazajutrz, że to była niedziela, udali się wszyscy do kościoła. Gdy Zosia klęcząc przed ołtarzem odmawiała koronkę, wtém dał się słyszeć od progu brzęk oręża i prawie jednocześnie weszli do środka kościoła dwaj nieznajomi mężczyźni. Jeden z nich byłto młody i ładny blondyn w mundurze kawaleryi narodowej; drugi brunet, orlego nosa, żywych czarnych oczu, w sajetowym na futrze żupanie ze złocistemi pętlcami, i w granatowym kontuszu. Czapkę miał w ręku lamowaną sobolem, karabełę u boku zawieszoną na czerkieskim pasku, po wierzchu którego jaśniał pas złotolity. Tatarska burka leżała mu malowniczo na barkach. Byłto mężczyzna lat około czterdziestu, ale tak krzepki i muskularny, iż mógł ująć za bożego młodzieńca. Dwaj tacy goście w ustronném miasteczku, zwrócili na siebie powszechną uwagę. Już biegały domysły co są za jedni i czego tu przybyli, gdy po mszy, wraz z innemi udali się do domku proboszcza, i uprzedzając ciekawość przytomnych, zarekomendowali się: piérwszy porucznikiem Stanisławem Brzozowskim, drugi szlachcicem Wichrowskim.

Ale chociaż ci obadwa przybysze zjawili się jednocześnie w kościółku, byli wszakże zupełnie sobie nieznajomi: przybywali ze stron przeciwnych i przez prosty wypadek zeszedli się jednocześnie. Brzozowski jechał z Kaniowa, dokąd był posłany od swój zwierzchności z jakimś poruczeniem, tyczącem się obrony linii pogranicznej, a Wichrowski, jak powiadał, przybywał z za Dniepru, gdzie mieszka oddawna i handluje końmi. Opowiadał, że posiada na Czornobajowskich stepach liczne tabuny, i kilkadziesiąt wybranych koni prowadzi właśnie na sprzedaż do zamków pogranicznych. Żle mówił po polsku, mieszał w rozmowie wyrazy mańruskie i tłumaczył się, że odwykł od ojczystego języka mieszkając oddawna w głębi Małejrusi. Żytkiewicz, jak skoro dowiedział się, że młody towarzysz zowie się Brzozowskim, zbliżył się doń poufale, ujął oburącz blondynową głowę młodzieńca i kładąc pocałunek na czole, rzekł: „*A sobako* ty jedna! nie poznałbym cię za nic, takeś mi urosł i zmężniał.” I zaraz pociągnął go za sobą do żony, której przypomniał, że to ten sam Stasio, który w Smile przed laty dziesięcią biegał z jego Pawelkiem po ogrodach i ulicach, syn starego Brzozowskiego mieszkającego dziś w Nadtaśmińskich lasach. Gdy młodzieńiec zapytał starego o syna: gdzie jest teraz? Żytkiewicz wzruszony, pochwycił go za rękę, spojrział mu w twarz kwitnącą rumieńcem i rzekł:—„Oj chłopcze! bięda! nie mam syna, nie mam pociechy na starość!”—i łzy mu zakręciły się w oczach.

— Ale masz za to córkę jak makówkę — rzekł ktoś z boku.

— To towar, mosanie, — odpowiedział Żytkiewicz.

A Zosia zarumieniła się jak koral i nie trzeba było już objaśniać młodzieńca, kto była ta nadobna dziewczyna. Przyznał w duchu młody towarzysz, że piękniejszej nad nią nie widział jeszcze między Ukrainkami. Kiedy po chwili podniosła spuszczone oczy, i spojrzała, na niego, te oczy jak mówią u nas na Ukrainie, *zaprzepaściły* na wieki młodzieńca. Ale w tejsze chwili wzrok obcy, silny, ognisty, jak téj siedmiogłowej żmii, która biędne dziewczę dręczyła we śnie, oparł się o jej lica i jakby je polał ukropem. Zosia mimowolnie spojrzała na stronę i spotkała się ze wzrokiem nieznajomego...

Towarzystwo u proboszcza składało się z gubernatora klucza Moszniańskiego, Izydora Kwiatkowskiego, Lacha suchego, wysokiego, od paraliżu trzymającego zawsze głowę przechyloną

ku prawemu ramieniu, i jego żony, otyłej kobiety, nabrzęklą twarzą, osadzoną kilkoma brodawkami; z leśniczego Piotra Poletyło, szlachcica krępego w szaraczkowym kubraku i skórą podszytych hajdawerach, z kapszukiem tytoniu uczepionym do guzika u piersi i króciutką fajeczką, którą nosił zawsze w kieszeni. Dalej z Benedykta Szulca, rachmistrza, olbrzymiego wzrostu mężczyzny, jąkały, z przysłowiem: „krótko mówiąc w krótkości funt tego—o!”, i nakoniec z małego, zwinnego człowieka Stanisława Broniszewskiego, służącego niegdyś w Korsuńskiej milicyi, trzymającego się prosto, pijącego ile wlezie, i łgarza co się zowie. Mieszkał on teraz w Mosznach w dożywotnim dworaku, miał wózek i parę szkap, któremi ciągle po kolei objeżdżał sąsiadów, rozwoził ukłony i babskie plotki, prezenta z zający i kuropatw, dostarczał drożdży na Wielkanocne święta; słynął nadto jako zawołany lekarz, nadawał malcom nazwiska i uczył ich mustry.

Po gawędce i śniadaniu, gubernator odjeżdżając zaprosił wszystkich do siebie na obiad; naturalnie iż w tej liczbie byli Brzozowski i Wichrowski. Pomieszkanie gubernatora różniło się tylko większością rozmiarów od zwyczajnych szlacheckich domów. Był to dom duży, pokryty słomianą strzechą, a z obu dwu stron miał odrębne budynki przeznaczone na piekarnię, spichlerze, wozownie, stajnie i t. p. Wszystko to opasywał częstokoł, a u wrót, na podobieństwo strażniczych wieżyczek przy zamkach, widniał chruściany szałas, z kąd stróż wylaził na czworakach, gdy trzeba było dla przyjeżdżających otwierać wrota. Przez drogę stał budynek inny, opasany wysokim ostrokołem, przeznaczony dla aresztantów. Wkrótce zaczęły tarabunąć bryczki i wózki, i komnaty gubernatorskiego domu zapelnily się gośćmi. Młody Brzozowski i Wichrowski wjechali konno: porucznik z szeregowcem, a Wichrowski z kozakiem; ale chociaż koń Brzozowskiego był piękny i rządem na nim strojny, wszakże nie mógł iść w porównanie z arabskiej krwi rumakiem Wichrowskiego, ani z rządem jego świecącym od srebra. Z początku towarzystwo kobiet szczebiało samo w gościnną izbę, a mężczyźni oddzielnie sformowali koło; ale po obiedzie zmieszaly się one z sobą, a różne zabawy i pogadanki spoufaly młodzież. Już miał zreczność młody Brzozowski kilka razy przemówić do Zosi, dziewczyna odważyła się przemówić słówek parę do niego, i jak to między młodzieżą bywa zawsze, lada

wesoła myśl, lada uśmiech zbliża je z sobą: zaznajomili się ściślej i po chwili już się trzepiocą, i śmieją, i gwarzą jakby się znali od roku. Biędny nasz porucznik ani się domyślał w jakie się plątał sieci: zaglądał w te ładne czarne oczy, ucałował razy kilka białą rączkę, brał gitarę i śpiewał dla niej ukraińskie dumki, myślał nawet czasem, że już zranił serduszko dziewczęcia, a nie mógł poznać jeszcze jak sam został zraniony, jak go będzie prześladować wszędzie ta czarno-brewka, jak mu potem spać nie da i zwicznie te marzenia o wojnie i sławie, do jakich jedynie wzdychał dotąd. Wichrowski przeciwnie, zostawał przez cały czas ponury, mało-mówny, zawsze z kąta izby wpatrywał się w Zosię i aż się mienił ze złości widząc jej swobodę i przyjazne spojrzenia, jakimi obdarzała Brzozowskiego. Był on rubaszny, nawet gburowaty w towarzystwie, a teraz jakby oniemiał lub zgłupiał. Podczas obiadu pił dużo, a wieczorem już mu skrzyły się oczy i gorzały lica. Na zapytanie odcinał tak grubo, iż te kozackie popisowania się w obec kobiet, zwróciły uwagę przytomnych. Zmilczono mu raz, drugi, trzeci, ale gdy gęba nie czuła hamulca, rządca przechylając swoim zwyczajem głowę ku ramieniu, rzekł doń pocichu:— „Panie Wichrowski! u was w Kozaczyźnie może to i uchodzi, ale u nas proszę być grzeczniejszym i uszanować dom w którym jesteś.”

Wichrowski zmarszczył brwi, spojrzał przenikliwie na rządce, i jakby opomniawszy się, zaczął chodzić z kąta w kąt po izbie, zamotując na palec długie swe czarne wąsy i nie odzywając się do nikogo.

— A to jakaś małoruska świnia! — rzekł Żytkiewicz do Broniszewskiego półgłosem — *kruto zamiszennyj!*

— Wartoby go nauczyć jak się powinien znajdować w cudzym domu — odpowiedział zcicha Broniszewski.

— Funt tego, o! — dodał rachmistrz — z sukni pan, z gęby kuchta! Jabym go tu prędko nauczył chodzić po linijce.

Gdy takie czyniono uwagi, tymczasem Wichrowski stanąwszy na progu izby zawinął ręce, i wpatrzył się nieruchomie w jakiś przedmiot znajdujący się w drugim pokoju. Tym przedmiotem jego wyteżonej uwagi była Zosia, która w tę chwilę odosobniwszy się od towarzystwa kobiet, siedziała sama jedna wprost przeciwko drzwi w których stał Wichrowski. Czy marzyła o czémś, czy zateksniła do czego: dość, że rączki złożyła na kolanach, przechyliła główkę, spuściła oczy i była jak

owa lilia wodna nad szklaną powierzchnią spokojnego stawu. Wichrowski patrzył na nią jak w tęcze, ale nagle potem potarł czoło, obrócił się do mężczyzny i rzekł szukając oczyma Żytkiewicza:—*krot' joho matir, harnu doczku majesz!*

Żytkiewicz hamując oburzenie, odcedził z slegmą nie patrząc na Wichrowskiego:

— *Ne dla psa kowbasa, ne dla kota sało..*

— Słuchajno Lasze!—rzekł Wichrowski siadając obok i biorąc się w boki.—Ot niedługo myśląc, po kozacku, przyśle do ciebie swatów: czy wydasz swoją czarnobrewkę? W złocie i srebrze wodzić ją będę, a tobie gębę zasypię czerwieniami. Tylkoż wydaj a nie dmij się tatu, bo...

I zamilkł jakby się opamiętał.

Żytkiewicz powstał, wziął tabakierkę i pstrzykając palcem po niej, rzekł pomalu, ale wzruszony:—Bo co... zięciu?...

Tymczasem szlachta ostąpiła ich dokoła w milczeniu.

— Bo... nic, teściu—odciął Wichrowski.—Pojadę drugiej szukać między Lachami, a tobie zaśpiewam na wyjezdnie:

Czort by paryw, waszu matir, z takimi batkami,
Ne dajete doczok za miż—lubit' że ich sami!

— A ja tobie odśpiewam—rzekł Żytkiewicz:

Po durnomu żenychawsia,
Jed'-że durniu, z widkil wziawsia;
Choť ty briażczysz kapszukom,
Ale smerdysz muzykom.

Szlachta w śmiech, a Wichrowski porwał się z miejsca i pełen złości mówił bijąc kulakami o stół:

— Obaczymy! obaczymy Lasze, czy tak będzie!

— A jakże może być inaczej?—odezwał się rządca.

— Bo się Waszeci roi? Funt tego! o!—dodał rachmistrz.

— Nie masz hamulca w gębie! — krzyczał Broniszewski—zalałeś ślępie i pleciesz jak na mękach. Fe! wstydz się asan, to nie po szlachecku. Żebyś się tak popisał w Korsuniu, toby koledzy moi dobrze ci natarli uszu.

Wichrowski stojąc w obec tak hałasującego towarzystwa, mierzył tego, to owego przeszywającym wzrokiem, w miarę jak który powstawał nań zawzięciej. Żył mu na czole nabrzętkły, wargi trzęsły się, oblicze przybierało wyraz okropny... Możeby bójką skończyła się ta scena, gdyby rozważniejszy od innych Żytkiewicz nie wmówił, ażeby zaprzestano kłótni, i że pijanemu

należy dać pokój. Szlachta więc rozsadowiła się po kątach izby, a za stołem pozostał sam Wichrowski, sapiący, gniewny, ale milczący. Po chwili powstał z miejsca, i zbliżywszy się do rządcy, wziął go za rękę i rzekł:

— No, wybacz mi gospodarzu! ta czartowska nalewka zakręciła mi głowę... Dobra nalewka, nie ma co mówić! ale już przeszło.—A obracając się do gości dodał:—Nie dmijcie się Lachy, nie gniewajcie się: gościa złém słowem nie wyprowadzają z domu, bo mówią, że może wrócić djablem, a kto wie jak się stanie? A ty stary, nie dróż się ze swoim kurczęciem, bo pie-szczone najczęściej szulak chwyta.

Rządca odezwał się:

— My panie bracie nikogo złém słowem nie wyprowadzamy z domu, a tém bardziej gościa; tylkoż żądamy, ażeby gość uszanował dom w którym się znajduje. Waszmość takie nam prawileś rzeczy, które przystałyby ledwie jakiemuś hajdamace, co to z łotrami podobnemi sobie, przepędził gdzieś w burzanach jak zwierzę, całe życie.

— Dam ja tobie hajdamaków, pokrecona ty głowo!—mruknął pod nosem Wichrowski; lecz przybierając wnet spokojność, dodał głośnieję.—Może i tak: wasza chata, wasza prawda! Ja prosty kozak zrosłem w stepach... Che, che! po waszemu nie umiem, dalibóg nie umiem! Na kulaki, a, to co innego! Z kim zechcecie, choć zaraz...—I tak mówiąc kołysał głowę, patrząc ciągle w ziemię.

Na zrobione wezwanie wyrwał się Broniszewski:

— U nas Waszmość nie znajdziesz takich rycerzy, co się biją na kulaki i buławy; ale jeśli łaska przejechać się za Hulaipole, to tam możesz spędzić ochotę.

— Musiałeś Waszmość zaprobować téj juszki, kiedy ci tak w pamięci, odciął Wichrowski.

— O! nasiekłem jak kapusty, tego łajdactwa! Jak pojedziesz, zapytaj Mamaja.

— Któż to ten Mamaj, proszę Waszmości?

— Hajdamaka, który szuka postronka, bo szubienica gotowa. Miałem go już bestyą raz w rękę, ale mi się wymknął.

Na te słowa Wichrowski podniósł głowę, wytrzeszczył oczy i z niewyraźną mocą wlepił je w oblicze Broniszewskiego. Tak patrzył chwilę, jakby coś chciał przypomnieć z téj twarzy, ale potem roześmiał się i rzekł:

— Jakże to było? proszę nam opowiedzieć, bo to rzecz ciekawa.

— Hm... jak było? zwyczajnie jak ze złodziejami. Czy to z niemi można stoczyć rycerską walkę? Jak zaskoczysz w stajni lub w karczmie, to i dobrze. Dwa lata temu, napadliśmy ich w karczmie pod Olszańą, jak grabili żydów. Nas było dwudziestu, a ich pewnie dwa razy więcej. Kazałem ostąpić karczmę, a sam we drzwi. Zaraz poznałem tego watażkę. Wąsata psiawiara, plecy jak u kata i nóż w ręku; siedział pośród izby na kufrze. Ja go cap za czuprynę i krzyczę: „Dajcie tu powrozów!” Hultajstwo w nogi, nasi we drzwi i tu powstało takie zamieszanie, że ani szablą, ani strzelbą nie począć nie można. „Puść mnie dziadeczku! puść hołubeczku!” prosi się szelma, ale to zupełnie jak chłop pod różgami „póki życia, mówi, nie będę.” A potem jak czyrknie raptem nożem i odciął czuprynę przy samej mojej ręce, schwycił mi z głowy kaszkiet, nałożył na swoją, i jak drapnął, tak ani sposobu... Całej mojej wygranej, zem złapał kilkunastu hultajów i Mamajowi dałem w papę...

Z dzikiem, nieopisanem wrażeniem słuchał Wichrowski Broniszewskiego, i jak gadzina to się ściągał, to rozszerzał cały; lecz na ostatnie słowa porwał się jakby go kto polał ukropem, i uderzywszy kułakiem o stół, krzyknął:

— Łzesz biesów synu! tam ciebie nie było, i taka parszywa ręka jak twoja, jeszcze nie doczekała bić Mamaja po pyskach!

I pierś jego wzdęła się od gniewu, lica gorzały, zdało się że urósł we dwoje. Broniszewski najeżył się jak kot przed brytanem, dobył pałasza i krzyczał:

— Ty mi śmiiesz zadawać kłamstwo, przybłędo, jakiś tam chamie, tábunniku! ja ciebie nauczę!

Szulc, Żytkiewicz i Poletyło poskoczyli przed Broniszewskiego i krzyczeli przez stół do Wichrowskiego:

— Opamiętaj się szalony człowieku, bo dalipan nie wyjdiesz ztąd cało! — A rządca uciekł do alkierza i wystawiwszy głowę przeze drzwi, pisał: — Uspokójcie ich, pogódźcie! a to kara boska z tym człowiekiem! — Przestraszone kobiety zamknęły drzwi od swego pokoju: słowem wszczął się powszechny rozruch, a Wichrowski nie zważając już na nic, mając za sobą ścianę a przed sobą stół, stał groźny jak chmura i krzyczał tłukąc kułakiem po stole: — Ja jego zadławię jak kurczę! On, bił Mamaja po pyskach? co tobie roi się?

— Ale zkąd ci przyszło bronić tego hajdamakę?—pytali razem wszyscy.—Co to brat twój, czy swat, czy przyjaciel?

— Co wam do tego!—krzyczał Wichrowski;—ale on łże! on tam nie był!

— Jakże ty wiesz że nie był?—krzyknęli zdziwieni i spojrzeli po sobie, a dziwny domysł przebiegł im po głowach.

— Jużciż wiem, kiedy mówię! Tam był towarzysz Czachurski; ale to jego trzymał Mamaj za łeb, nie on Mamaja, i Czachurski palnął go w bok ręką od szabli. Ależ Czachurski to był dąb nie człowiek. Złamawszy szablę, porwał jednego hajdamakę i walił nim po głowach jak kijem... A to, żal się Boże! taka gnida i on mógł bić Mamaja? Toż Mamaj w jednej ręce zdusiłby cię tak, że nie pozostałoby żadnej całej kosteczki!—I żyłasta pięść jego zwinęła się konwulsyjnie na stole.

Wichrowski mówił z tak silnym przekonaniem, iż Broniszewski zmieszał się i na wyświecone fakta odpowiadał dość tępo. Ci co go bronili przed chwilą, umilkli, zapewne pod wpływem rycerskiego honoru, gardzącego tchórzem i kłamcą. Żytkiewicz odezwał się:

— Panie towarzyszu! mów: czy prawda to czy kłamstwo, bo my za prawdę gotowi cię bronić do upadłego, ale za kłamstwo, wybaczej.

— Idź waść tamtędy!—rzekł Szulc wpychając go do kubicznej izby;—nie o tym mówić trzeba teraz, funt tego, o!—Broniszewski niby się opierał, ale wreszcie uległ namowom i ciągle odgrazając się na Wichrowskiego, wyszedł z izby. Z drzwi słychać jeszcze było, jak stukał kułakiem o odzwieriek i wołał:—Ja nauczę tego hebesa: nie ujdzie on rąk moich! jutro na pałasze, szelma jestem!

Tymczasem pozostali przystąpili do Wichrowskiego i otoczywszy stół dokoła, zapytali:

— Zostaw waszmość spory; zgadzamy się zresztą że masz słuszność i Broniszewski zmyśla; ale powiedzno nam, kto ty sam jesteś, co tak dobrze znasz Mamaja.

Wichrowski błysnął jak wilk oczyma i rzekł:

— Kto jestem? ług mój ojciec, a sicz moja matka! Ja ten, który nalatuje jak piorun, a niknie jak błyskawica!—I zaledwie to wymówił, oparł na stół żyłaste pięści, wyskoczył nań w okamgnieniu, dał sążnistego susa ponad głowy przytomnych i wypadł z izby.

Wszystko to było dziełem jednej chwili. Rządca wyskoczył z alkierza i biegnąc pomiędzy osłupiałymi widzami téj sceny, wołał:—Gwałtu! gwałtu! to był Mamaj! sam Mamaj! a my go wypuściliśmy!

Broniszewski wypadł ze drzwi drugich od kobiet i machając szerpetyną, krzychał:

— Gdzie ten hajdamaka! ja go nauczę moresu.... Czemu mi wtedy nie pozwoliliście płaćnąć go przez łeb. Ot i macie teraz!

— Co tu robić?— mówili wszyscy.

— Zapewne on jeszcze jest w karczmie, posłać tam kozaków, jeszcze go schwyć.

— Nie samych kozaków—rzekł Żytkiewicz—idźmy wraz z nimi. Kozaków on zwiedzie lub zbije: ale broń zabierzmy z sobą.

I wnet wszyscy wpadli do alkierza, gdzie na ćwiekach wisiały rusznice i pistolety. Każdy uzbroił się i nabrał ładunków w kieszenie, a Broniszewski wypadł pierwszy i krzychał otwartszy drzwi do sieni: — „Hej, kozaki! lude! warta!”

Nagle rozległ się wystrzał i Broniszewski hrymnał o ziemię, trafiony kulą w piersi, a w tejże chwili, jak woda na zerwane upusty, buchnął tłum ludzi we drzwi, w okamgnieniu napełniając izbę. Straszna to była tłuszcza! Lica ich ogorzałe, wzrok dziki i szukający mordów. Odzież rozmaita: jedni byli w koszulach i zasmolonych szarawarach, drudzy w żupanach, ci znowu w siermięgach, ten bez czapki z zakręconą za ucho czupryną, ów z szeroko rozwartą pazuchą, świecił porośłą piersią; wielu hoso, inni w safianowych bótach, ale w podartéj koszuli, z której wisiały szmaty i obrzydliwą wykrywały nagość. Niektórzy mieli kontusze z wylotami zawieszzone na zupełnie nagim ciele, a ponad głowami tego straszliwego tłumu widniało kilka kozackich z osełdcami czapek i jeżył się las strzelb, pałaszy, włóczni i kijów. Szlachta zaledwie miała czas wpaść do alkierza i zamknąć drzwi za sobą. Przez drzwi drugie wciągniono kobiety, które krzychały w niebogłose, załamywały ręce i mdlały co moment. Byłto chaos trudny do opisania. Najśmielsi potracili głowy i nie wiedzieli co począć. Jeden Żytkiewicz jakby wyolbrzymiał i huknął:

— Bracia! zatarasować drzwi i bronić się do ostatniego! Przedajmy drogo życie nasze i naszych—tu wskazał ręką na ko-

biety i wzrok jego padł na Zosię, bladą, drżącą, z rozplecioną kosą, która przy ogólnym popłochu schwyciwszy ze ściany obraz, padła na kolana, tuliła go do ust i krzyczała nie swoim głosem: „Ratuj nas Matko Najświętsza!”.....

Żytkiewiczowi łzy bryznęły z oczu. „Chamy!” ryknął on aż zadrzętały szyby u okien i zabrzęczał pałasz od konwulsyjnego ścisnienia rękójści. I jakby nadludzką ożywioną siłą, porwał komody, stoły, kanapy i parł je ku drzwiom. A tymczasem z drugiej strony podważone silnemi barkami drzwi zaczynały pękać we wrzeczadkach i lada chwilę miał nastąpić wyłom. Jego męstwo ożywiło wszystkich. Nie strach, nie rozpacz, ale niema zajadłość ścisnęła ich usta. Szulc wytężył szerokie ramiona i opierał się jak mógł parciu z przeciwniej strony. Wspierał go najenergiczniej Brzozowski. Kilka palców wychyliło się przez szparę i Brzozowski zgniółł je na miazgę kuliakiem; kilka włóczni wytknięto i połamał je w kawałki. Ryknęła rozjadła tłuszcza i połowa jęj wypadła na podwórze. Widocznem było, że postanowiono wdrzeć się przez okna. Żytkiewicz rozkazał wnet kobietom pousiadać w kątach, mężczyźn rozstawił przy oknach z pałaszami i zagasił świecę.

Zaledwie od kilku uderzeń z brzękiem wyleciały szyby i kilka rąk oplotło ramy, gdy silne cięcia pałasza odbiły je i pokaleczeni zbójcy osunęli się na ziemię. W ślad za tém zaczęto strzelać do okien, ciskać włócznie, buławy, nawet kloce. Poletyło wypatrzywszy chwilę, wysuwał garlacza i zmierzyszy gdzie najgęściej kupił się motłoch, kaleczył go grankulkami. Toż robił Żytkiewicz, a strzał jego zawsze był trafny, gdy kule hajdamaków grzęzły w ściany, nie raniąc nikogo. Dotąd nie mogli poznać oblężeni czy był i gdzie Mamaj, ale gdy attak do okien pozostawał bez skutku, gdy wściekła banda po każdym odporze wyla przekleństwa i groźbą, i już krzyczano, ażeby dom podpalić: nagle zagrzmiął donośny głos watażki:

— Baby biesowe! pięciu Lachów nie możecie dostać rękoma! — I stanąwszy na szczeblu od drabiny znajdującej się tuż przy oknie, krzyknął:— Lachy! poddajcie się, bo jeśli dostanę was siłą, wyrnę co do duszy, baby nie zostawię na rozplód!

Po tłuszczy jakby kto powiał milczeniem, tak była ciekawą odpowiedzi. Już młody Brzozowski porwał gwintówkę i biegł odpowiedzieć wystrzałem, gdy Żytkiewicz zatrzymał go za rękę

i wychyliwszy ubieloną starością głowę, odezwał się w ukraińskim języku:

— Panie Mamaju i wy siromy hołtiapaki, a czy pozwolicie wnieść słowo wam do uszu?

— Mów—rzekł Mamaj.—Mów! krzyknęła tłuszcza.

— Ale *cur* nie strzelać aż skończę. Ustuchacie mój rady, dobrze; a nie, jak sobie chcecie.

— Mów, nie będziem strzelać—wołali hajdamaki.

Żytkiewicz natenczas wgramolił się najspokojniej na okno, dobył rozek z tabaką, wysypał dobrą szczyptę na paznokieć, wciągnął ją uroczyście do nosa i rzekł:

— Ot, teraz można przystąpić i do rozmowy. Jak tam będzie to będzie, a będzie tak, jak Pan Bóg da! Wszak prawda panowie młodcy? Może ja wywałę języka pod obuchem, a może wy nakiwacie piętami i nam i Mosznom i załopoczecie na bagna i błota, zkąd was wyrzygnęła dzisiaj nieczysta siła. Grzeszni jesteście ludzie i jeden tylko Pan Bóg wie jak będzie: otóż tymczasem *spasybi* wam i za tę jedną łaskę.

— Za jaką?—zapytało kilku.

— A ot, żem choć raz jeden niuchnął za waszém pozwoleniem tabaki. Mnie staremu, niuch jeden, to jak wam golnąć kwartę wódki. A z czuba aż ciecze... Ale nie o to tu chodzi. Powiedzcie mi panowie młodcy, jakiego wy diabła chcecie od nas? Czego drzecie się w okna, z przeproszeniem, jak wściekłe koty? Pomyślałbym że chcecie wódki, ależ wam oczy przecie nie wylazły i widzicie sami, że to nie karczma? Pomyślałbym jeszcze że pieniędzy? ależ sami wiecie dobrze, że co było w skarbcu, toście już zabrali, a przy nas djabęł nie ma ani grosza. Jak was czart wyniesie ztąd jak przyniósł, a biesów żyd nie poborguje, to nie będzie za co kupić ani czarki... Żeby tu zaraz nie wiem kim został po trzykroć, jeśli w tém co mówię, choć na makowe ziarno jest fałszu? I lażę z przeproszeniem, jak te durne owieczki przez przełaz, co to byle jedna skoczyła, za nią wszyscy; a niestało wam oleju pomyśleć: i dla jakiego ja czarta doprawdy drę się na ścianę, jakby najadłszy się blekotu? Tu *kruty ne werty, a nihde prawdy dity!* Przyszliście nie w goście, ale po pieniądze i odzież, bo u was djabli mają i tego i drugiego. A wszakże widzę jak jesteście postrojoni, mnie przecie nie powylazły... u tego kat ma czapki, u tamtego butów, a inny jeśliby zdjął koszulę, zjadłby diabła, czyby ją potrafił

wdziac napowrót... Bierciez tedy sobie to wszystko, bo, jak powiadają, wasza siła, wasza prawda; taj z Bogiem, a nas nie turbujcie.

— Za co wy nas kaleczycie?—odezwał się jeden.

— A żebyś się ty oprążył, wraży synu!—rzekł Żytkiewicz— jakież ty durny! Czegóż chcesz jeszcze: żebyś lał w okno po moją głowę a ja ciebie podsadził? A cobyś ty sam robił na mojem miejscu? Ludzie dobrzy i wy gromado, sądzicie sami tę sprawę. Ja z wami gwarzę, a tymczasem krwią u mnie zalewa się serce. Czyż widzieliście kiedy człowieka, któryby swoich nie bronił ruchomości? Była u nas chudobka, była odzież, było kilka groszy majątku: gorzko a ciężko pracował człowiek przez całe życie, nim zebrał się na tę lichotę... Ileżto on nie dospał nocy, jak się pobijał, jeździł, dbał o wszystko! Niechaj, myślał sobie, przydbam, będzie za czém spocząć na starość, żeby nie chodzić z torbą, i będzie może z czego dać wyprawę dzieciom, ażeby nie puścić je między ludzi boso i goło, i żeby nie mówiły złe języki; „wypędził własne dziecko jak psa z podwórza....” I oto taki siroma uzbierał sobie co mógł przy pomocy boskiej, aż tu Bóg za jego grzechy nasyla nań złych ludzi, którzy mu jednej godziny zabierają to wszystko.... I zostaje mu tylko jedno dziecko, jego szczęście, jego cała radość i pociecha w tém życiu... Ale zły człowiek chce mu wydrżec i ten skarb ostatni, bez którego onby sam żyć nie zechciał. Dla złego człowieka, na co mu moje dziecko, krew moja? A dla mnie, to cała pociecha i całe dziś szczęście!... I czegóż tu dziwować się, że on je broni, że zastawia je sobą, jak ta biédna kaczka w oczerecie, co to wylatuje i wabi strzelca i sama nadstawia życie własne, ażeby go tylko odwabić od dzieci. Ot taka to panowie mołodcy dola teraz i nasza! Nie lajcie nas, że bronim się, bo my tém spełniamy zakon Boży; a choć położymy tu głowy nasze, to Bóg miłosierny zgotuje nam żywot wieczny na tamtym świecie.

I stary zasłoniwszy twarz ręką, zaszlochał. Mamaj spuścił głowę i milczał, a tłum już nie odpowiedział groźbami, ale szeptał o czémś pomiędzy sobą. Jeden nawet z bandy, chłopiec w sile wieku, przystojny, barczysty, wysłuchawszy z uwagą Żytkiewicza, zarzucił na ramię janczarę i rzekł:

— Do ładu ty mówisz stary, jak pop czyta z książki, Bóg z tobą!

— Oj, sokole mój! nie czytam ja z książki ani z głowy— rzekł Żytkiewicz — ale to tak serce mówi przezemnie. Jak by-

łem w twoim wieku, tom ani wiedział o tém, co dziś zawsze stoi mi na myśli! I parobek ze mnie był nie aby jaki; lecz bięda mię zmogła, smutek mię dziś wysuszył! Pobijałem się jeszcze jako tako, ale gdy mi Bóg odebrał syna, co gdzieś jak do wody wpadł w Smile lat temu 13, od tego czasu zupełnie opuściłem ręce. Teraz jestem jak klacz, co u tutejszego diaka: *szczo ubjesz, to ujedesz*. Dalibóg panowie młodecy, ot tak nieraz oczorcieje życie, że jakby nie żonka i nie dziecko, tobym jeszcze dziś ruszył na Zaporozie. Ale ba! doli koniem nie objedziesz, to urzną czasem z *horia* ośmucę, skrzepię serce, taj leżę wybałuszysz oczy, nim przejdzie *zła planeta*.

Żytkiewicz znał doskonale ukraiński język i lud, do którego przemawiał. Jego otwartość, jego żarciki puszczone w obec położenia w jakim się znajdował, trafiały do przekonania tłuszczy i zmiękczały ich serca.

— Biesów jego czartów Lach — mówili — dobrze, dobrze się bije a jeszcze lepij mówi. Panie Mamaju, zostawmy ich, niechaj im *di'ko*!

Ale wtém przybyła nowa zgraja, która zmieniła stan rzeczy. Byli to więźniowie wypuszczeni przez hajdamaków z kordgardy, którzy uzbroiwszy się w drągi, ziejąc zemstą, biegli rozliczyć się, jak mówili, z rządcą.

— A gdzie ten krzywogłówka, psiawiara! krzyczeli. co nas wodzi jak psów w łańcuchach! Wydawajcieno nam jego i jego żonkę, co to narzuca naszym babom motki! Nie doczekasz więcój! A no panie Żytkiewczu, ciągnijno ich tutaj!

Żytkiewicz podtenczas z krwią najzimniejszą zażywał tabakę i milczał, a gdy uspokoił się motłoch, odezwał się:

— *Zdrowi buty! słychom słychaty, w wiczy wydaty; czy po woli, czy po newoli?*

— *Po newoli* Lasze! dawaj nam rządcę — krzyknął jakiś oberwaniec podsuwając się najbliżej.

— Ouwa! jakiś ty prędko!

— Wydawaj psiawiaro, bo i tobie dostanie się!

— A durniu ty, durniu! — rzekł Żytkiewicz — nie umiesz odezwać się do ludzi, a chcesz im rozkazywać. Na biędęż przyszło Mamajowi, kiedy takie swinopasy robią przy nim co ze-chcą! Czy wy jego, panie Mamaju, doprawdy zrobili watażką?

— Czort wie zkąd się nabrała ta hołota? — rzekł Mamaj.

— A widzisz! odparł Żytkiewicz—ot i wyszło na moje, że ci brak piątą klepki w głowie. Cóż ty tu za fanaberya, żebyś rozkazywał? Co ty masz do rządcy? powiedz piérwój, a potóm jak gromada osądzi, to i wydań.

— A za co on nas trzymał w kajdanach, za co nas siekł różgami?

— *Na sęlo duryty* Hryciu nieboże! Ot jakbyś tak zaczął *brechać* przed nimi, a mnie tu nie było, pomyśleliby, że prawda i zgubiliby człowieka Bóg wie za co. A za co to on ciebie okuł, *hołubczyku*? Boś ukradł u popa krowę i sprzedał ją w Czerkasach jak swoje. A za co to on dał tobie przed karczmą pięćdziesiąt? Boś otworzył bez klucza monasterski młynek, i jak mielnik pozabierałeś rozmiar, któryś potóm przepił u żyda na Majdanówce.

— Ona na żony nasze ponarzucala duże talki! — wrzeszczeli inni.

— Łzecie ludzie dobrzy! niech to was nie obraża, że tak mówię—odparł Żytkiewicz.—A żeby i tak było, to któż za nitkę gubi duszę? A jak wy przepijecie ostatnią koszulę w szynku, to nic? a jak wam każą naprząć zbytni poczynek, to zaraz do noża? A czyż to u nas tylko przęda talki i robią plótina?—to na całym świecie! Nie za nas stało, nie za nas przestanie! Bo, jak to mówią, *wowk dere kozu, a koza łozu, a łozu czort*. Ty wraży synu cudze widzisz pod lasem, a swego nie widzisz pod nosem. Jak dopadłeś buławy, a widzisz że za plecyma jest pomoc, to ty zuch; a tego nie pamiętasz, jak ciebie żydzi bili w Międzyrzecu na jarmarku? Co ty za kozak? Takich ja dostanę siedmiu za jedną cebulę!

— Czy doprawdy bito cię Hryćku na jarmarku?—zapytali niektórzy z bandy Mamaja. Hryćko poskrobał się w głowę i rzekł zakłopotany:—Bilem i ja ich dobrze...

— Owa!—odezwał się jakiś brodaty hajdamaka — to brzydko! W naszym towarzystwie, jeszcze Bóg uchował, takich onuczek nie ma.

— Ale to jeszcze pół biędy: to gorsza panowie młodcy, że on jadł prosięcinę w *Pilipówkę*.—Na to wyznanie powstał szmer powszechny.—Kto? on? nie pościł w *Pilipówkę*? Ach ty heretyku jeden! łacinniku! — I w téjże chwili posypały się nań rześiste kulaki. Hryćko widząc, że to nie przelewki, kopnął

się z całej siły i znikł w wiśniowym sadzie, który tuż był przy domu.

Wtenczas powstał Mamaj, rozesłał bandę po okolicznych domach, rozkazując im pakować zdobycz na konie i wozy; i po chwili, gdy z całej téj zgrai nie pozostało ani duszy, rzekł do Żytkiewicza:

— A co Lasze? wyłgałeś się przed moimi chłopcami, teraz mnie wysłuchaj.

— I owszem—odparł Żytkiewicz—byleś z dobrém szedł słowem.

— Jak tam sobie uważasz: ze złém czy z dobrém—odpowiedział Mamaj—oddaj mi swą dziewczkę.

— Oj, hoj!—westchnął Żytkiewicz—nic z tego nie będzie!

— A ja mówię że będzie—rzekł rozbójnik i pogroził kuliakiem.

— Dalibóg nie dam!

— Ej pożalujesz!

— Ha! *raz maty rodyła, raz umiraty!* Pierwój mnie zamordujesz Mamaju, a potem już jak tam da Pan Bóg!.. Ale żebym ja, póki żyw, oddał dobrowolnie moje jedyne dziecko hajdamace, zaprzepaścił jego młodość: nie, tego nie będzie!—dodał z oburzeniem—dalibóg tak nie będzie Mamaju! Czyż ty myślisz, że jabym sam temu mojemu dziecku nie odciął pierwój u proga głowy, niżbym je miał wydać na grzech taki?...

— A ja ci powiadam—rzekł Mamaj—że i ciebie djabli nie wezmą i twoja dziewczka taki będzie moją! Obaczysz, biesów Lasze! Wspomnisz moje słowo!—I grożąc mu pięścią, odchodził.

Żytkiewicz patrzył nań w milczeniu, lzy mu zakręciły się w oczach i odezwał się:

— Ej Mamaju, opamiętaj się! opamiętaj się póki czas jeszcze! Czyż ty myślisz, że ta krew niewinna, którą przelewasz, nie woła tam o pomstę do Boga? Nie Bóg to ci dał prawo wydzierania życia, któregoś nie dał, ale czart ciągnie cię od zbrodni na zbrodnię.

Mamaj zatrzymał się, pomyślał chwilę i rzekł:

— Późno już Lasze! to darmo! Trzeba takiego jak ty durnia, żeby to mówił, a ja byłbym drugim, żebym cię posłuchał. Ale wiesz co: zamieniamy się?

— Czém?—odrzekł zdziwiony Żytkiewicz.

— Ja ci oddam syna twego, jeśli mi dasz córkę...

— Matko niebieska! — krzyknął Żytkiewicz załamując ręce. — Mój syn u ciebie! o Boże! o Boże! za co mię tak karzesz? — I pochwyciwszy twarz w dłonie, zwiesił głowę na piersi i w głos zaszlochał. Smutnyto był płacz starca: z tych chryplych łkań dobywała się zboląła dusza, a oczy jakby krwią nie łzami cieć miały. Nagle odjął dłonie, przetarł oczy i szukając wzrokiem postaci Mamaja, krzychał doń rozpaczliwym głosem: — Mamaju, serce, hołubczyku! wróć się, dobij mnie, zrób mi tę ostatnią przysługę, a Bóg ci przebaczy!..

Mamaj widział tę boleść starca i ze ścieśnionemi ustami, nawiesiwszy czarne, rzesne brwi nad oczy, patrzył w niego jak w tęczę. Potem znikł nagle w cieniach nocy, jak przepada zły duch zaprowadziwszy w obłąd podróżnika.

Tymczasem dzieło rabunku i zniszczenia w szerokie wybuchnęło rozmiary. Rozsypane bandy bez oporu napadały na domy, grabiły je, a gdzieby najmniejszy stawiono opór, dołączały mordy. Ze w owe czasy był na Ukrainie powszechny zwyczaj zakopywania pieniędzy, więc mało kto z zamożniejszych mieszkańców nie uległ męczarniom, któremi zmuszano ich do wykrycia skarbów. Tłuszcza bezbożna nie przepuściła cerkwiom nawet: słowem w przeciągu kilku godzin, domy były ograbione, mieszkańcy wygnani, a krzyki, płacz, jęki po całym rozlegały się mieście. Przebudzeni wieśniacy biegli na rynek, skupiali się w tłumy, i z przerażeniem śledzili za zbójcami; a pomimo że zbiegło się ich dużo, nikt nie odważył się stawić im opór, zasłonić ginących... Kilka palących się karczem oświecało jaskrawą luną ten obraz, którego połowa niemniej straszliwa pogrążona była w cieniach nocy.

Zabrane rzeczy i pieniądze znoszono ze wszech stron na rynek i składano na wozy. Już cały ten obóz gotów był ruszyć z miejsca, gdy na spienionym koniu zleciał Mamaj. Straszny on był jak burzliwa chmura: skinął ręką uzbrojoną w nahaj, i wnetżę cały szereg wozów pociągnął drogą ku Dnieprowi. Lecz nie wszyscy hajdamacy stanęli w gotowości do wyjścia: za pogorzeliškami zrabowanych domów i karczem, wielu z tych hultai ucztowali w najlepsze, bili się między sobą lub zabawiali męceniem żydzą. Przebiegł tamtędy watażka i nahajem pędził ich przed sobą do obozu. Gdy nakoniec rynek pozostał pustym i tylko snuł się tłum ludu gwarzącego głucho pomiędzy sobą, nagle wpadł do środka ich Mamaj, i osadziwszy konia, tak odezwał się:

— Ludzie dobrzy! dziękuję wam za ugoszczenie! Teraz, spoziewam się, popamiętacie ruski miesiąc Mamaja! Dobrze wam tak wraże syny! Myśleliście już, że za Smitą nie znaję was nigdy, że was obroni milicya i gubernator? Pokłońcie się odemnie tym durniom i powiedzcie, że będę u nich znowu w goście. Dam ja wam nie tak jeszcze!... Chodźcie co roku po sól, po rybę, handlujecie z siczą, zarabiacie u nas pieniądze i mierzycie czapkami karbowance, a żaden szelma nie zajrzał do mnie choćby ze zwyczaju, z ralcem i palanicą? Cóż to: nie słyszeliście nigdy w stepach o Mamaju? czyż nie wiedzieliście kto panuje nad Ingulem i Suhakleją, że ani jednej parowicy nie przepuściłbym jeśli bym zechciał? Ale gdzie tam! wiecie wy dobrze wszystko, ale myśleliście: co nam ten watażka? Mamy świadectwo od gubernatora do koszowego i naczelników serbskich i ani go znać chcemy!... Ja was nauczę biesowe dzieci!—dodał potrząsając nahajem nad tłumem.—Kramarze! świnopasy! lichwiarze! pijawki chrzczonego ludu! wy do niczego! Umiecie tylko przystroić się w nowy żupan, w safianowe buty, siwą barankową czapkę nasunąć na ośle uszy, w monista i dukacze poubierać swe baby, i tak chodzić po ucztach, po bankietach! A parobcy? —dodał, przedrzeźniając ich ruchy,—wielki jak dąb, a jak noc, każdy głupi! Jé szelma za czterech, a w robocie wyręcza się najmytem. Na wieczornicę do Horpyny, na doświtki do Paraski, to gotów! Do pazuchy wie drogę, a do siczy żaden psiawiara ani uchem nie mrugnie. A jak się upije to szczenie, to zaraz czapkę na bakier i krzyczy: ja kozak! Zaporozec! Jaki ty durniu Zaporozec? ty na podeszwę nie zdałbyś się dla Zaporozca! Onucza a nie kozak!

Wszystko to Mamaj mówił grzmiącym głosem, który do martwój bezwładności przyprowadził słuchaczy. Pozdejmowano czapki i słuchano go w zupełnym uciszeniu, a na kim zatrzymywał się groźny wzrok watażki, ten zbladł jak ściana.

— Słuchajcież co wam powiem—dodał po chwili—nie pogardzajcie Koszem i poznawajcie się z nami, bo niech nie będę Mamajem, jeśli was na szydło i rzemyk nie sprowadzę! A kto prawdziwy kozak, w kim gra krew mołojca, kto chce zarobić na sławę kozaczeńka nie tu za piecem i nie przed babami, ale tam, u nas, za Tiliulem: ten niech zaraz po św. Jerzym rusza do nas! Coż lepiej czy gęsi pasać na lewadzcie, albo w piecach palić u żydów, czy służyć w koszu?—I nie czekając odpowiedzi, skręcił konia na miejscu, zaciął go nahajem i ruszył z kopyta.

Opowiem teraz jakim sposobem dokonany został ów napad. Mamaj przyплыł do przystani Sokirnej na bajdakach. Tam w zaroślach dniewrowego ługu skrył statki, a sam w kilka koni przybył wśród białego dnia do Moszen. Stanąwszy w karczmie na rynku, opowiedział się ciekawemu żydowstwu, że jest szlachcicem Wichrowskim i prowadzi na sprzedaż kilkadziesiąt koni do Korsunia, Łysianki i Hulajpola. Kozakom zaś swoim rozkazał zahulać wieczorem przed karczmą i spojć straż miejscową. O zmroku przez bagna Olchowczyka mieli podstąpić skrycie resztujący kozacy, i następnie nasamprzód otoczyć dom rządcy właśnie w tę samą porę, gdy Mamaj tam znajdować się będzie. Stało się zupełnie tak jak rozporządził Mamaj, i gdy ten pokłóciwszy się z Broniszewskim, wypadł do sieni, już banda jego otoczyła dom i czeladź była powiązaną co do duszy.

Nazajutrz po opisanym napadzie, kiedy mieszkańcy po dniu obejrżeli dzieło zniszczenia, Moszny przedstawiały ruinę i pustkowie. Dotlewały jeszcze karczmy i domy, leżały na gruzach trupy, ściany świeciły pobitemi oknami, na rynku i po obejściach wały się domowe sprzęty, wyły psy, i załamując ręce, łkając przeraźliwie, wałęsały się kobiety. Biędny proboszcz padł pod nożem zbójców, a dom Żytkiewicza, jak wiele innych, świecił ruderą i pustkowie.

Cóż działo się z Zosią? Biędna dziewczyna, co jeszcze wczoraj pogodnym czołem, wesołym okiem zachwycała wszystkich, po okropnej nocy zapadła w gorączkę i leżała w domu rządcy ze spalonemi ustami, obłąkanym wzrokiem, płomienną twarzą. I pozostałe kobiety były albo chore, albo tak opadłe na siłach, tak zmieszane wypadkiem, iż wzajemnej pomocy nieść nie mogły. Żytkiewicz tak dotąd przytomny, odważny, od otrzymania okropnej wiadomości o synie z ust Mamaja, chodził jak nie swój, był jak zwarzony. Poletyło osiodłał konia i udał się do Czerkas z wiadomością o zdarzonym napadzie, i z prośbą o pomoc; rządcą bojaźliwie wyglądał przez okna, obawiając się wyjść na miasto, i Szulc tylko z Brzozowskim krzątali się przytomnie.

Tymczasem Moszny z każdym dniem oczyszczały się z ruder i pogorzelsk. Ludzie jak mrówki zaczęli się krzątać na zburzonym mrowisku, lepić domki, znosić sprzęty, chować pobitych. Nastąpiły dni pogodne i ciepłe. Trawy, zieloność, kwiecie pokryły wszystko, i Moszny znów wyglądały jak wianek

z łona lasów. Każdy dzień dopełniał lub odmieniał cudne obrazki natury. Naleciały ptaki, drzewa zakwitły i pooblewały jakby mlekiem rozdoły, gdzie były sady. Ukraina rosła ku słońcu, stroiła się jak dziewczę do ślubu. Wszystko powoli wchodziło w dawne karby: pogorzelska odbudowała się, Kwiatkiewicz ujął sprężyscie naruszoną władzę, Poletyło samowładnie panował nad lasem, Szulc po dawnemu zaprowadzał rejestra i rachunki: jednego tylko brakło Broniszewskiego, i jeden jego domek stał dotąd opuszczony, zrujnowany, z oknami zabitemi deskami i rozłamanym płotem. Ale gdy tak wszyscy pod wpływem wiosny powracali do dawnego życia i zatrudnień, jeden tylko Żytkiewicz, uwielbiany, podziwiany od wszystkich, nie podzielał ogólnej spokojności: był zawsze milczący i zamyślony. Wyjeżdżał on razy kilka konno z Brzozowskim, dokąd? nie wiadomo. Potém wyjechał młody Brzozowski i nie wrócił, a nareszcie, jednej nocy znikł i Żytkiewicz z żoną i córką. Dokąd wyjechał?—nikt w Mosznach nie wiedział. Stary bywalec znał dobrze przebiegłość hajdamaków i przewidywał, że Mamaj nie chcąc wydzierać gwałtem córki z objęć ojca, wykraść ją postanowił. Dla watażki mającego taką władzę, środki i szpiegów, nic nad to nie było łatwiejszego. Owoż zabezpieczając się od nowego wypadku, Żytkiewicz zemknął, ale tak, że o ucieczce jego nikt nie wiedział, ani mógł powziąć żadnego śladu.

Ale nas interesują losy téj ładnej dziewczynki, o ślicznych jéj, pełnych wyrazu i uczucia oczach, o zachwycającym rysunku twarzyczki, o giętkich formach jéj postaci, jakby przeznaczonéj być emblematem powoju. Mielśmy niedawno sposobność powziąć ideę z wnuczki, tak dziś kwitnącéj jak ona kwitła niegdyś, a więc śledźmy ją bodajby przez najczarniejsze bory, bodajby nas jak rusalka miała gdzieś zaprowadzić w topiele. Cóż postanowił stary? Oto razu jednego późno już wieczorem, gdy Moszny spały i tylko w sadach zalewały się śpiewem słowiki, i tylko księżyc bawił się z chmurami na szczycie błękitu, niby rycerz, to rozwijając, to znowu zwijając fałdy płaszcza, to spuszczać, to podnosząc przyłbicę; Żytkiewicz rozkazał żonie i córce przebrać się po chłopsku, sam narzucił na ramiona switę, na uszy nacisnął kozacką czapkę, zaprzął do wózka parę koni i wyjechał z niemi precz z miasteczka. Jechał najprzód przez bory na monasterski młynek który na Irdyniu, potém przebiegał

się manowcami przez step Ruskopolański, i jeszcze świtać nie zaczęło, gdy zbliżył się do pisarskiej grobli na Taśminie. Tu droga stała się nierówną, pełną wybojów: posiadali więc wszyscy i szli piechotą. Przebywszy groblę, skierowali się na prawo i już świtem przejechali Hulajgród, a ztamtąd znowu zawrócili na lewo i zagłębili się w lasy, po ledwo udeptanej drożynie. Przez cały czas tej nocnej podróży nigdzie żywej nie spotkali duszy. Żytkiewicz był milczący, staruszka szeptała pacierze, a Zosia w świtce, w białej wyszywanej koszuli, ze wstążkami trzepoczącymi się u głowy i monistami na szyi, z wyrazem ciekawości w oczach i zachwyceniem w piersi, wpatrywała się w obrazki nocnej natury, przeglądała z trwogą tajemną milczące przydrożne sosny, słuchała z zajęciem szelestu traw i kwiecica pod kołami toczącego się wózka, to znowu zadumana bujała po gwiazdzistém niebie. A że to młodej główce jak Zosia, tysiąc zawsze marzy się obrazków: to nieraz dziwiąc się swemu przeistoczeniu, opierała bródkę na łonie i przypatrując się rysunkowi własnego biustu, myślała: żebym téż ja ot w tym ubiorze pokazała się kiedy u rządu?... oto byłoby śmiechu!... Ciocia zarazby krzyknęła: fe! chłopka aspanna!... rozpusta! jak mamę kocham rozpusta!... A Szulc zarazby w koperczaki!... Ale doprawdy, że w tych wstążkach musi mnie być do twarzy?... Moja Hanna jakby mię obaczyła teraz, jak mamcie kocham nie poznałaby!... Ot tak przeszłaby bliźniutko i przywitała się jak z cudzą.... Ażeby to ja poszła na ulicę?... parobcy hurmem za dziewczyną: zkad ona? z Kumejek... Moja cioteczna siostra.... przysła w goście na święta.... Aj Hanno hołubko! uciekajmy ztąd, bo jak dowię się mama!... Idę sobie i śpiewam... Hrycia? nie, nie Hrycia—śpiewam sobie.... *oj tam na hori, tam stały malari, malowały, rysowały, biłe łyczko mini!*... aż tu brzęk, brzęk... kto idzie? (roześmiała się i zakryła twarz rączką?) Hanno, duszko, ja schowam się za ciebie.... Jak się masz Hanno? *Zdorowi buty!*—a czy pan w domu? w domu. A panna? w domu.... Aj... a to co za dziewczyna z tobą? —moja cioteczna siostra... Handzia?... nie, nie Handzia; Marusia.... tak lepij... Aj... patrzy mi się w oczy i chce zatrzymać się: umrę jak tylko dotknie się.... Paniczu! het—odczepcie się!... Kto to był Hanno duszko? Alboż panna nie zna: oto ładnie! Brzozowski....

Te swawolne marzenia rozkołysały młodą główkę do tego stopnia, iż doprawdy przywidziało się dziewczęciu, że ją spotkał młody Brzozowski; zaczerwieniła się więc jak pons, a oczy ledwie nie bryznęły łzami... Lecz jakież było jój zdziwienie, gdy odstaniając twarzyczkę zakrytą obiema rączkami, postrzegła istotnie Brzozowskiego przed sobą!...

Zkądże się tu wziął Brzozowski? zapytacie. Stary Żytkiewicz długo przemyślał nad tém, gdzieby skryć Zosię? Na Wołyn odwozić jój nie chciał: to zadaleko ciągnąć się z kobietami. Do miasta któregokolwiek z pogranicznych równie nie zgadzał się, będąc tego przekonania, że zabezpieczając dziewczynę od hajdamaków, narazi ją na wiele innych niebezpieczeństw, nie tak może strasznych, lecz niemniej oplakanych w skutkach. W ogólności Żytkiewicz nie podzielał zdania tych rodziców, którzy dorosłe córeczki rozwożą po bankietach, jarmarkach i odpustach, ażeby do wszystkich przechodzących wyszczerzały ząbki. Stary rozumiał, że jak zabrzączy trzosem, to chłopcy Bóg wie zkąd jak dobre gończaki, zwietrzą zdobycz; a jak obaczą Zosię, to wybredzać nie będą, bo także nie mniej warta jak złoto. Więc przypomniał sobie starego Brzozowskiego, który już od lat kilkunastu mieszka samotny w nadtaśmińskim futorze, znał jego pustelniczą ustron i wiedział, że tam tylko zagładają ptaki i hodują się pszczoły, a nikt z ludzi drogi do jego futoru nawet nie zna. Otóż postanowił na czas jakiś tam odwieźć babę swoją i córkę, a że z myśli swój zwierzył się młodemu towarzyszewi, którego pokochał jak syna, wiemy tedy teraz zkąd tak wypadło, iż wśród tych głuchych lasów spotkała Zosia Brzozowskiego.

Żeby Zosia tak zamarzyła gdzieś samotna i potem nagle jak w téj chwili zjawił się przed nią Brzozowski, to już nie wiem doprawdy, czyby nie zgorzała od zmieszania i wstydu; szczęściem pomogła jój obecność rodziców, i nim się on powitał a rozmówił z niemi, ona tymczasem miała czas ochłonąć cokolwiek i zebrać rozproszone myśli. Więc oboje Żytkiewiczostwo i Zosia posiadali z wózka i już szli razem do futoru. Ale cóż to się działo z biednym chłopcem, ile razy spojrzął na Zosię!.. Jakże ona ładną była w jego oczach w tym ukraińskim ubiorze! Ile razy zbliżał się do niój i zaczynał rozmowę, tylekroć zapominał się do tego stopnia, że już Zosia postrzegła to zmieszanie i śmiać się z niego zaczęła serdecznie. Przyszli nakoniec do

futura. Byłto ogród duży na pochyłości góry, otoczony jak murem, zieloną ścianą lasu. Biała, długa chata, pokryta trzcina, stała przy wjeździe; w głębi widniały liczne szeregi ulów, a bzy, róże i kalina rozkwitały przed oknami dokoła. Od progu chaty rozbiegały się dwa sznureczki udeptanych ścieżek: jedna gineła pod konarami drzew owocowych w głębi sadu; druga u dołu w łozach, którą chodzono do krynicy. Jak się ta ustron podobała dziewczynie! Jak tu wszędzie było ładnie, a cicho i czysto, i zielono: niby domek przystrojony umyślnie na Zielone Świąta! Jak tylko zaszczekały psy, zaraz wyszedł stary Brzozowski, zupełnie jak pasiecznik ukraiński, o białych włosach, długiej brodzie, w płóciennój koszuli, przetykanėj dokoła pazuchy czerwoną nicią, i powitawszy gości, zaprowadził ich do świetlicy.

Oboje Żytkiewiczostwo znali oddawna starego Brzozowskiego, lecz nie w tym stanie jak dzisiaj. Był on rodem z Wielkopolski, pochodził z zamożnej rodziny i młodość swą przepędził w Warszawie, gdzie lat kilkanaście służył wojskowo towarzyszem znaku pancernego. Ale gdy król częściej przesiadywał w Dreźnie jak w Warszawie, a minister Brühl wicherzył Polską i ujadł się z panami; Brzozowski zniechęcił Warszawę i pragnąc czynniejsze prowadzić życie, prosił o zaliczenie go do poczty komenderującego się na Ukrainę, chociaż z rejestru kolej na niego nie wypadła. Tu wahał się po okolicznych miastach, a choć mu po dawnemu było przykro, przynajmniej kontent był z tego, że marsze i wojna urozmaicały mu życie. A gdy następowała zima, zwykle zjeżdżał do Smiły i tu z leśniczym szlachcicem Bujalskim, zawołanym myśliwym, całe dni przepędzał na łowach. Ten Bujalski był to dziwaczno charakteru człowiek: dobry, rozsądny, przyjacielski, ale to póki trzeźwy. Jeden Brzozowski miał nad nim przewagę, lecz i ten nie mogąc znosić dłużej brzydkich skutków nałogu przyjaciela, które od niejakiego czasu, bez żadnej widocznej przyczyny, przybrały niebezpieczny charakter: przeniósł się nakoniec na mieszkanie do osobnego domu. A miał Bujalski w domu swym siostrzenicę Jadwisię, sierotę, dziewczynę natenczas lat ośmnaśtu, którą wychował od dzieciństwa, ubogą, potulną ale ładną. Otóż razu jednego, podczas nocy, stuka ktoś do okiennic Brzozowskiego i woła o ratunek. Byłato owa sierota, której jak

tylko otworzył drzwi Brzozowski, wpadła do izby zmieniona, blada, zalewając się łzami, w podartej odzieży z rozpuszczonymi włosy. Brzozowski domyślał się zaraz, że Bujalski musiał się upić i swoim zwyczajem awanturuje w domu; ale jakże został zdziwiony, gdy biedna dziewczyna upadła mu do nóg błagając, ażeby ją zastonił od napaści wuja, który oddawna goreje ku niej występłą miłością, i pijany zagraża śmiercią jeśli się opierać będzie dłużej. Jeszcze nie skończyła wyznania, gdy wtém otwarły się drzwi gwałtownie, i Bujalski z obłąkanem wzrokiem, z fuzyą w ręku wpadł do izby. Postrzegłszy dziewczynę leżącą u stóp Brzozowskiego, przywidziało się nieszczęśliwemu, że on jest jego rywalem, i zemsta wściekła zaślepiła w nim przytomność do reszty... Na szczęście wystrzał był chybny, ale Bujalski padł bez zmysłów na ziemię i od tego czasu stracił już je nazawsze. W cierpieniach szaleństwa żył jeszcze blisko roku, a biedne dziewczę pozostało nakoniec samo jedno na świecie, bez opieki i sposobu do życia. Od tego wypadku, który tak dziwnie wplątał się w losy Brzozowskiego, datują się i jego cierpienia. Nie poczuwając się bynajmniej do winy, nie kochając nigdy miłością kochanka biednej sieroty, nie mógł on wszakże patrzeć bez współczucia na jej obecne położenie i postanowił zająć się jej losem. Kupił więc dla niej dworek w Smile, ogłosił ile daje posagu, i starał się, by ją wydać za mąż. Zamiarom tego szlachetnego człowieka odpowiadało jedynie życzenie najszczerze uszczęśliwienia sieroty, ale ludzie nie tak sądzili o tém. Urosły baśni oniesławiające dziewczynę. Mówiono, że ta chytra istota służyła za przedmiot miłości dla obydwóch, że oszukiwała ich kolejno, i że w skutek wykrycia miłosnych jej stosunków z Brzozowskim, nastąpiła nakoniec owa okropna scena w domu Brzozowskiego, która razem zgotowała oplakaną śmierć leśniczego. Tyloma zbrodniami splamiono czoło niewinnej Jadwisi, że opieka Brzozowskiego nietylko jej pomódz nie mogła, ale owszem utwierdzała wszystkich w powszechnie powziętém mniemaniu. Jeden tylko Brzozowski nie wiedział o niczym i dziwił się, czemu nikt z okolicznej szlachty nie stara się o jej rękę?

Zdarzyło się, iż Brzozowski dla interesów familijnych wyjechał do Polski. Sierota zegnała go ze łzami, prosiła, żeby o niej nie zapomniął: on, który jedyną pociechę, jedynym jej szczęściem pozostał dziś na świecie. Tęskno było Brzozow-

skiemu gdy opuszczał Ukrainę i pierwszy raz uczuł, jak był przywiązany do sieroty. Ale gdy znalazł się w kole familijném nie mógł nie postrzedz, że go wszyscy krewni powitali zimno. Jakież było jego zdziwienie, gdy nakoniec w ogólném ich zebraniu zaczęto mu wymawiać, że rzuca zakałę na ród ich dotąd nieposzlakowany w cnotach, zawiązawszy występne stosunki z jakąś tam rozpustnicą... Brzozowski o ile szlachetny, o tyle był popędliwy i zrażający się. Na oskarżenie, które go przejęło najżywszém oburzeniem, wybuchnął gniewem, zbeształ wszystkich, zerwał ostatecznie z familią i ani chcąc więcej mówić z nikim, sprzedał swoje dobra i wyjechał napowrót na Ukrainę. Ale i tu nie mógł spotykać obojętnie ludzi, którzy tak podle targnęli się na jego i sieroty sławę. Widział zawiązaną na wieki jej przyszłość, widział niestartą plamę, którą naznaczono niewinnie dziewczyny czoło, i to go bolało najbardziej. Skutkiem tej walki wewnętrznej było ostateczne odosobnienie się od świata i pogarda ludzi. Nakoniec rzekł sobie: sprawdzę ich potwarz, ale uszczęśliwię sierotę, i ten czyn powróci mi szczęście i spokój, których już nie znajdę na świecie!... Pójdźmy oniesławiona, biedna dziewczyno przed oltarz Boga, gdzie zaprzysięę ci miłość o którą mię posądziłi ludzie!..

Wnet po ślubie, Brzozowski kupił wioskę w Bohusławszczyźnie, i przeniósł się do niej na mieszkanie. Jak to zwykle bywa z sądem ludzkim, znaleźli się potem tacy, którzy zaprzeczyli rozsianym plotkom i dawali to poznać Brzozowskiemu w nadziei, że pogodzi się ze światem; ale on tak się czuł szczęśliwym w swém odosobnieniu, tak był spokojny na duszy i zadowolniony ze szlachetnego czynu, że ani chciał słyszeć o tém. Po piętnastu latach umarła mu żona, a pozostał syn. Stary oddał go do szkół, potem do wojska, a sam znudzony się światem do reszty, odprzedał wioskę, i oto już rok piąty mieszka w tym pustelnicznym futorze, gdzie go poznaliśmy dzisiaj.

Życie starego Brzozowskiego było wiadomém i Zosi z opowiadania ojca. Z podwójnym więc zajęciem patrzała ona na pustelnika i jego siedzibę, po której oprowadzał ją młody Brzozowski. Jakże ona tego pamiętnego dnia była wesolą i szczęśliwą! jakże została uradowaną dowiedziawszy się, że z matką pozostanie tu na miesiąc, gdy tymczasem ojciec, w towarzystwie młodego Brzozowskiego, pojedą gdzieś w stepy, na Zaporozę, szukać syna. Jeszczeż to Zosia, pamiętna przestroóg ciotki

i mamy, choć kochała młodego towarzysza, to w tak wielkim sekrecie, że bodaj czy rąbek własnej jej sukienki drząc od wzruszenia na piersi, wiedział o tém; ale od czasu jak ojciec pokochał go wyraźnie, jak zaczęła przy niej chwalić go mama, jak nakoniec przyjechali na futor do starego i tu dowiedziała się Zosia, że Stanisław postanowił koniecznie towarzyszyć jej ojcu, pomimo jego oporu i namowy żeby pozostał w domu, i widziała choć sekretnie, jak ojcu jej łzy zakręciły się w oczach, i jak on ucałował go serdecznie w głowę: to już pomyślała sobie w duchu: czemużbym ja nie miała dać poznać temu biednemu chłopczynie, że go także kocham? I czułe jej serduszko tak się uzałiło nad nim, że ledwie nie zapłakała, myśląc: jaki téż-to on biedny, i co to on przezemnie wycierpieć musiał!...

A gdy rozeszli się do snu, po tym dniu, jednym z najszcześliwszych w ich życiu, Zosia poddała się marzeniom, i, uręczam was, przemarzyła to wszystko, co nasz Bohdan podsłuchał przy krosienkach. Tak samo jechał do niej wojak, tak brzęczał ostrogą i szablą, tak się kłaniał, tak całował różyczkę we włosach... tak mu jej bronila ona, aż obudzała się z tych marzeń z sercem, które zaczynało bić silnie jak z przestachu albo po swawoli... A on? on marzył znowu po swojemu: to całował rączkę dziewczyny, to leżał u nóg ojca, to muskał wąsik, i oblicze przybierało dumny wyraz ciotecznego pana Paska.

Jeśli na wieki świat mi zawiąże,
To się nasrozę,
Dmchnę mu pod nos: ej mości książę!
I w Zaporozie...

Nazajutrz, gdy się Stanisław ze starym Żytkiewiczem wybierali w drogę, Zosia była smutną i miała zapłakane oczy. Dobrze, że choć ojciec jedzie także, myślała w duchu; a to, jak mamę kocham, umarłabym ze wstydu, jeśliby poznano że płakałam!—Kogo żal pannie?—Jużciż tatka! a to byłaby bięda!—Kogo żal pannie?—Stasia!... a czuję, że płakałabym tak samo jak teraz... Gdy tak sobie dumiała w izdebce, a starzy krzątali się w obejściu, wszedł Stanisław; a że biedny chłopiec niemniej się dręczył, bo kochał tak Zosię, że omal mu nie rozpadało się serce: więc oboje znalazłszy się sami, zmieszali się tém bardziej, i ani słowa przemówić do siebie nie mogli.

— Kiedyż pan Stanisław wyjeżdża? — zapytała nakoniec Zosia.

— Wieczorem, panno Zofio.

— Dokądże to jedziecie?

— Do sicy Zaporozkiój.

— Nie uwierzysz panie Stanisławie, jak jestem niespokojną o was... Ten straszny rozbójnik ciągle mi staje na myśli. Opiekuj się tam panie Stanisławie moim tatkiem... tylko i sam bądź ostrożny.

— Daje słowo pannie Zofii, że w razie potrzeby życie moje położę za niego.

— Ach na miłość Boską! na co pan Stanisław tak się zaklina strasznie! Ja wierzę zupełnie; ale grzech wspominać takie słowa.

— Nie grzech panno Zofio, bo w takiej podróży może się zdarzyć wszystko. Ale przypuszczając, że mię zabiją, że gdzieś zginę w tych hajdamackich stepach, to i cóż potem?—dodał patrząc na spuszczone oczy Zosi—trzy kukułki nie przylecą nawet na moje mogiłę, jak śpiewają chłopci w dumce, bo nie mam ani matki, ani siostrzyczki, ani kochanki...

Zosia spojrzała na Brzozowskiego oczami całemi we łzach, i nie mogąc ovladnąć wzruszeniem, spuściła je prędko ku ziemi, a łzy ciche kapwały na robotę, którą trzymała w ręce.

— Panna Zofia płacze—rzekł zmieszany Stanisław.

Na to zapytanie biędna dziewczyna już nie mogła pokonać siebie i zakrywając chustką lice, zapłakała i rzekła:

— Bo téż pan Stanisław, jak mamę kocham, Bóg wie co plecie! Wstydz się pan—dodała, tupnąwszy nóżką. I płakała szczerze i dąsała się, i nakoniec śmiać się zaczęła, choć łzy były w oczach.

— O, serce moje! o droga Zosiu moja!—rzekł Stanisław kłękając u jój kolan i całując jój rączkę.

— Co? co? serce? panie Stanisławie, co pan wygaduje?—krzyknęła opomniawszy się dziewczyna.

Ale nasz rycerz już był pod wpływem uczuć, i całując rączkę, mówił jak bez pamięci:

— Serce, kryszeczko! gwiazdko, słonko moje, koralu mój, kalineczko czerwona moja! nie gniewaj się na mnie...

Zosia drżała jak listek.

— Wstydz się pan, szeptała, wstydz się pan: idź pan sobie, idź na miłość Boga!

— O nie, nie pójdę, aż powie mi panna Zofia, czy mię kocha?

— Ale ja tego panu Stanisławowi nie powiem nigdy; i co to panu przyszło do głowy?

— Czemu?

— Oto pięknie! I pan Stanisław mię pyta: czemu? bo się zawstydzę—I mówiąc to trzymała dłoń na oczach:

— O Zosiu! żebyś ty wiedziała co ja cierpię, to nie byłabyś tak okrutną!

Dziewczyna odjęła dłoń od oczu i spojrzała na Stanisława wzrokiem, który zdawał się badać głębie jego uczuć. Nie był to już wzrok trzpioczący się ani wstydlivy, ale głęboka rzewność i zaduma patrzyły z pod dużych, czarnych jój rzesów.

— Panie Stanisławie—rzekła po chwili tonem łagodnym, pewnym, przegartując na czole jego włosy, — powiedz mi, otwarcie, szczerze, *zabój* się przedemną: czy doprawdy mię kochasz? czy tylko chcesz zgubić biedną dziewczynę? I co ja tobie zrobiłam złego?

— Zosiu! niech mię Bóg ciężko skarze, niech jutra nie doczekam, jeśli...

— Cicho serce—szepnęła Zosia i zawisła na jego ramieniu ponsowa jak jabłuszko.—Stasiu mój drogi, ja ciebie kocham nad życie...

Będziemyż powtarzać wszystkie wrażenia tego czystego, dziewiczego serca? Zaczernimy je tylko atramentem, wcielimy w martwe zgłoski i z obrazu pełnego ognia i życia, wyjdzie parodia. Wyobraźcie sobie moi kochani czytelnicy, tę dziewczynę tak śliczną, jak ja ją wyobraziłem sobie; wyobraźcie to uczucie tak silném i świętém, jak być powinno; nadajcie i Zosi i temu uczuciu imiona swoich kochanek i chwile własnych wzruszeń; otoczcie je wiosną i samotnością, i dokończcie ten ustęp mojego opowiadania sami.

Będęż wam powtarzał, iż Zosi i Stanisławowi od téj chwili świat przemienił się w oczach, że nie poznawali ani ścian izdebki, ani futoru; że serca ich grały jakąś nieziemską harmonią, i że nie przypuszczali, ażeby byli ludzie szczęśliwsi od nich. Zrozumieć to każdy kto kochał, ale kto kochał nie po dzisiejszemu, nie tą zimną miłością na jaką patrzymy w salonach, ale tą czystą, ognistą, może śmieszna dla obojętnego widza, lecz drogą dla poety i prostego serca.

Nakoniec po kilku sekretnych pożegnaniach kochanków, których wam opowiadać nie myślę, ze względu, że i przy najlep-

szém wtajemniczeniu się w owe momenta, by najdrobniejsza częśćka z owych przyjemności dla naszego użytku oddzielić się nie da, i że moglibyśmy, kochani czytelnicy, wyjść jak ów bajkarz, u którego na każdej uczcie po brodzie ciecze, a nigdy w gębie nic nie ma,—wyruszyli: Żytkiewicz i młody Brzozowski w przeznaczoną drogę. A że w podróży przez stepy w owe czasy, niebezpieczno było występować strojno, więc zwykły swój ubiór zamienili na kozacki. Przywdzieli żupany i barankowe czapki, flinty pozawieszali przez ramię, ponarzucali tatarskie burki, a do troków uwiązali torby z prowizyą.

(Dokończenie nastąpi).



KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

WYSTAWA POWSZECHNA.

IV.

Wystawa przemysłowa: wyroby wełniane, materye lugduńskie, szale indyjskie.—Wystawa sztuk pięknych: Eugeniusz Delacroix.—Wiadomości literackie.

Jak przeważnie wpływa Paryż na przemysł krajowy, a mianowicie na fabryki tkanin wełnianych i bawełnianych, rozsianych po całej Francyi: przekonać się można na wystawie, porównywając z sobą rozmaite produkty tych fabryk. Różnica pomiędzy temi co towary swoje wyprzedają w stolicy, a temi, co je pozbywają na miejscu, lub takowe za granicę wysyłają, jest tak ogromna, że trudno uwierzyć, iż tak jedne jak drugie w tymże samym kraju robione były. Wszystkie fabryki pracujące dla Paryża prześcigają się w corazto nowych wynalazkach; niewidzialny a nielitościwy bicz rywalizacji pogania je na drodze postępu bez najmniejszej przerwy ani wytchnienia. Przeciwnie, fabryki z ustaloną na prowincyi klientelą pogrążone są w zupełnej stagnacji. Przywykłe od wieków chodzić jak koń w deptaku w ciasnym kole stariej rutyny, na nowe wynalazki, na postęp swego kunsztu patrzą z niedowierzaniem chłopca polskiego.

Zkąd pochodzi ruchliwość pierwszych a odrętwiałość drugich?—łatwo odgadnąć. Ścisły, choć nieujętny węzeł łączy kupców z fabrykantami; gust nabywców

mocno wpływa na rodzaj produktu. Jeżeli nabywca nie jest wymagający, również zasklepiony w odwiecznych przywyknieniach, po cóż fabrykant miałby porzucać utartą drogę i mozolnie nową sobie torować? Po co miałby ryzykować kapitały na niepewne doświadczenia: jeżeli stary towar odchodzi, po co stwarzać nowy?

Inaczej rzecz się ma w stosunkach ze stolicą. Elegancki, ruchliwy i zmienny jak kokietka Paryż, inaczej traktuje swoich fabrykantów: czego dziś szukał, tego jutro nie kupi; za czém dziś szalał, na to jutro nie spojrzy; co mu się dziś piękne wydawało, jutro wyda się brzydkie: nowość, nowość, i jeszcze raz nowość, oto jego wieczne pragnienie, oto wiecznie uciekający cel jego, za którym biegnie noc i dzień bez wypoczynku, ciągnąc za sobą zgraje zadyszanych fabrykantów, którzy patrząc mu ciągle w oczy, jak drogo-płatny sługa swemu kapryśnemu panu, stara się odgadywać jego życzenia.

W ogóle fabryki południowe tkanin francuzkich w wielkiem są zaniedbaniu i stagnacyi, do czego w części może i klimat się przyczynia. Północne, że bliższe stolicy, niezmiernie są ruchliwe i przedsiębiorcze. Pod tym względem na pierwszym miejscu postawić należy ogromną fabrykę sukna w Elbeuf, która że biegnie w ślad za modą, że produkuje nadzwyczaj wiele złych i dobrych, ale rozmaitych materyj, corazto nowym sposobem robionych: w kilkanaście lat nabrała daleko większej wziętości od sławnych i klassycznych, że tak powiem, fabryk Sedanu, które od 200 lat same tylko doskonałe czarne sukna produkują. Cożkolwiekby, nie stała moda francuzka po częstych zboczeniach powraca jednak zawsze do swych odwiecznych fabryk czarnego sukna, których drogie, ale piękne produkta, zdaleka od innych rozpoznać można.

Jeden z fabrykantów tamtejszych, pan Montagniac, który odstępując od uświęconego dwoma wiekami zwyczaju, pozwolił sobie wyrabiać fantastyczne materye z wełny, wystawił dziwne tkaniny wybornie naśladowujące futra rozmaitych zwierząt. Mianowicie téż z koziej wełny robione czarne i białe niedźwiedzie tak doskonale naśladowują sierć tych zwierząt, że najbieglejsze oko w błąd wprowadzić mogą. Tkaniny takie użyte na odzież

zimową wielkie oddadzą postugi. Aksamity wełniane, równie miękkie jak z jedwabiu, a daleko od nich trwalsze, także z tejże fabryki na wystawę nadesłane, będą niezmiernie poszukiwane na ubiory męskie. Nowy ten wyrób zupełnie różny od tak zwanego Utrechckiego aksamitu, używanego na pokrycie mebli, w dotknięciu nawet trudno od prawdziwego odróżnić; nadto tę ma wielką nad jedwabnym aksamitem wyższość, że jest daleko tańszy i wcale się nie wygniata.

Fabryki Sedanu nie wyrabiają tańszego sukna nad 14 franków metr, najwyższa zaś jego cena nie przechodzi 40 franków. Ceny produktów fabryk tegoż miasta zniżyły się niezmiernie w przeciągu ostatnich lat trzydziestu. Też same gatunki, które za restauracyi sprzedawano po 70 do 80 franków metr, dziś spadły na 28 lub 30. Przed dwudziestą laty sprzedawano jeszcze po 30 fr. toż samo sukno, którego dziś dostanie po 22.

Mimo że znaczne zniżenie ceny produktu świadczy o szybkim postępie fabrykacyi, przecież sukna francuzkie są najdroższe ze wszystkich, jakie wyrabiają na świecie: nawet droższe od angielskich. Najtańsze zaś ze wszystkich są w ogóle niemieckie, a w szczególności austriackie.

Przyczyna drogości francuzkiego sukna, któremu co do farby i połysku należy się pierwszeństwo, nie leży w różnicy zapłaty robotnika francuzkiego a niemieckiego, jak to mniemają powszechnie. Prawda, że tutaj wyrobnik daleko oświecieńszy niż inny, mający liczniejsze potrzeby, daleko wyżej jest płatny niż w innych krajach: jednak z porównania płacy francuzkiego i niemieckiego robotnika nie można oznaczyć różnicy ceny wyrobów jednego i drugiego kraju. Potrzeba najprzód wiedzieć, czy Sas, Czech lub Szlązak, za daleko niższą zapłatę produkuje tyle co Francuz. Otóż rzeczą jest pewną, że nie. Francuz dwa razy drożej zapłacony robi dwa razy tyle, co na jedno wychodzi: zatem przyczyny różnicy cen wyrobu gdzieindziej szukać trzeba. Leży ona zapewne w większej produkcyi wełny krajowej, oraz w łatwości jaką mają fabrykanci niemieccy zaopatrywania się w materiały pierwotny. Żaden kraj nie produkuje obficie stosownej na zwyczajne sukna wełny jak Morawy,

Węgry i Szląsk. Prócz summy za jaką nabywa wełnę, fabrykant niemiecki nie ma żadnych innych opłat; zwykle koszty przewozu i komory nie podwyższają tam ceny produktu. We Francyi rzecz się ma inaczej: wełna krajowa nie wystarcza na potrzeby konsumcyi, zatem fabrykanci z zagranicy sprowadzać ją muszą, opłacając ota 22 od sta. Ta wielka opłata od wprowadzenia wełny jest rzeczywistą przyczyną różnicy ceny sukna francuzkiego i niemieckiego, która bynajmniej nie jest usprawiedliwiona różnicą gatunku; przeciwnie, dowiedzione jest, że niemieckie sukno wprawdzie mniej piękne, trwa przecież daleko dłużej, przez co przeznaczeniu swemu odpowiada lepiej.

Obok niezmiernie licznej wystawy francuzkiego sukna nadesłanego z Sedanu, Elbeuf, Louviers, Vire, Lisieux, Abbeville i t. d., oraz z niemieckich i belgijskich fabryk, niemniej liczny zbiór innych tkanin wełnianych, jakoto: flaneli, merynosów, tybetu, damasów, kamlotów, pruneli i rozmaitych tym podobnych materij ochrzczo-nych nieprzeliczoną massą nazwisk, zapełnia dolne gale-rye pałacu. Możliwy tomy napisać o téj gałęzi przemysłu rozmaitych narodów, tak bogato reprezentowanej na wystawie powszechnéj; ale zważywszy, że ta podróż po warsztatowym labiryncie tylko specjalnych ludzi zająć może, ograniczam się na ogólnych spostrzeżeniach.

Reims ze wszystkich miast francuzkich najwięcej posiadające tkackich warsztatów, na których rocznie wyrabia za 75 do 80 milionów towarów, zaćmiło wszystkie inne pięknoscia swoich tkanin wełnianych, a mianowicie merynosów i flaneli. Gatunek tych ostatnich tak jest wyborny, tak mięsisty i miękki, że nawet w Anglii wielki znajduje odbyt. Angielskie flanele z miasta Rochdale, leżącego w okolicy Manchestru, wyłacznie zajętego fabrykacyą tego towaru, nie mogą iść w porównanie z flanelą francuzką.

Z samego miasta Reims pięćdziesięciu exponentów przystało swoje produkta na wystawę. Konsumcyja tkanin wełnianych jest ogromna, stosunkowo do innych przedmiotów do odzienia służących; obrachowano, że we Francyi przy niezmiernie rozpowszechnionych maszynach parowych, używają do samego tylko przyrządzenia wełny dla maszyn 150,000 ludzi.

Po mieście Reims najliczniejsze wyroby wełniane nadeszły dwa królewskie i zarazem fabryczne miasta: Versailles i Saint-Denis. Po nich angielskie fabryki z Bradford, Trowbridge, Halifax, Rochdale. Glasgow i Dublin wyroby swoje wełniane, bawełniane i lniane w niezmiarzone okiem uszykowały szeregi. Nie zatrzymując się atoli przy nich, bo nie zasługują na szczególną uwagę, przechodzę do tkanin jedwabnych francuzkich i zagranicznych, które szczegółowo obejrzyć warto, jak niemniej próbki surowego jedwabiu w motkach, świadczące o stopniach udoskonalenia chowu jedwabników w rozmaitych częściach świata.

Zbiór tych ostatnich jest nader liczny na wystawie. Chcąc dokładnie wykazać postęp przemysłu jedwabnego, zgromadzono nie tylko już wyrobione z niego materye, ale tenże produkt w pierwotnej formie i wszystkie przemiany jego, zanim do ostatecznej dojdzie transformacji. Najprzód więc widzimy kokony czyli kłębki przędzy jedwabnej takie, jak je osnuwa gąsienica; następnie z tejże pelli nici zmotane z kilku lub kilkunastu kłębków razem wziętych, w miarę żądanej grubości jedwabiu. Po jedwabiu surowym koloru zwykle słomianego, a czasem białego, następują motki ufarbowane na różne kolory; po nich dopiero ogromny zbiór tkanin z tychże nici wyrobionych, świadczący o ważności tej gałęzi przemysłu, mnogości rąk które zajmuje, oraz ruchu, jaki nadaje kapitałom krajowym począwszy od skromnej zagrody, gdzie wieśniaczka z dziećmi zatrudnia się chowem jedwabników, aż do wspaniałych sklepów pierwszych stolic starego i nowego świata, sprzedających przepyszne materye, które wymyśla gust dobry, a poszukuje moda.

Piętnaście narodów przystało na wystawę produktu jedwabne pierwotne lub przerobione. Główniejsze, spisując je wedle liczby exponentów, są: Francya, Austria, Szwajcarya, Prusy, Anglia, Piemont, Toskania, Hiszpania, Grecya, państwo papieżkie i t. d.

Jedną tak zwanych Mulinerów, to jest ludzi trudniących się wychowywaniem jedwabników i motaniem przędzy, z ośmiu departamentów Francyi wystawiło swoje kokony; dwadzieścia i trzy departamenta, z których główniejsze: Drôme, Ardèche, Vaucluse, Loi-

re, i Basses Alpes, nadesłało przedze jedwabne. Pierwszy prócz próbek zwyczajnego zbioru rocznego, wystawił zbiór drugi w tymże otrzymany roku, którego prządki żywione były liśćmi powtórnie odrostami na oberwanej dla pierwszego chowu morwie. To powtórne żniwo jedwabiu, o które usilnie stara się Francya, jako o sposób podwojenia swojej produkcji, bardzo szczęśliwie powiodło się na południu, i tam zapewne z wielkim pożytkiem hodowane będzie. Pokazało się, że powtórne obrywanie liści nie szkodzi drzewu, jak to mniemano z początku, oraz że gąsienice jesienne przędą nie mniej dobry jedwab', jak wiosenne.

Wystawione motki jedwabiu naturalnego zadziwiają różnaitością gatunku: każdy z nich na właściwe sobie przeznaczony jest tkaniny.

Przędza jedwabników zwanych *bombyx*, żywiących się tylko morwowemi liśćmi, odznacza się pomiędzy wszystkiemi połyskiem i miękkością. Jest jój dwa gatunki: biała i żółta. Ten ostatni dzieli się na liczne ciemniejsze i jaśniejsze odcienia wedle rassy jedwabników, która, ze swój strony, zależy znów od gatunku morwowego liścia. Jedwabniki żywiące się liściem białej morwy dają białą przędzę najprzedniejszego gatunku. W Azyi ten rodzaj jedwabnika powszechnie żyje w stanie natury, a mieszkańcy tamtejsi nie mają innego z nim kłopotu, prócz zbierania mnogich kłębków jedwabnej przędzy, którą tylko angielskie fabryki otrzymują z Chin i Indyi.

Inny rodzaj *bombyxa* rozmnożony we Włoszech i południowej Francyi, żywiony liśćmi dębu i wiązu, produkuje przędzę rudą bez połysku; inny znów gatunek *bombyx cynthia*, żyjący sałatą oraz wierzbowemi liśćmi i dziką cykoryą, jeszcze pośledniejszą od powyższej wydaje przędzę, jak o tém świadczą liczne nadesłane z Turynu próbki. Dowiedziona jest rzeczą, że hodowanie tego ostatniego jedwabnika z powodu małej i złej jego produkcji, nie opłaci się wcale; zostawiono go przeto w stanie natury, tylko tyle z produkcji jego korzystając, ile jój sam bez pomocy ludzkiej i nakładu wyda. Taki jest rezultat nadziei ogromnych zysków, jakie przemysłowcy pokładali w tym nowym rodzaju

jedwabnika, który miał cenę jedwabiu z bawełną porównać.

Zawiedzione oczekiwania nowe spowodowały za-
biegi. Dzisiaj tutejsi hodownicy jedwabników starają
się aklimatyzować indyjskiego jedwabnika Mylitta, któ-
ry w ojczyźnie na dębie żyje i snuje nader piękną przę-
dź: czy będzie mógł przywyknąć do zimnego stosun-
kowo klimatu Francji?—doświadczenie pokaże.

Są także na wystawie wielkie kokony przedzione
przez tak zwane olbrzymie jedwabniki na górze Libanu.
Kłębki te są wielkości kurzego jaja, jedwab na nich
nadzwyczaj miękki koloru słomianego. Jedwab poma-
rańczowy chiński, jak niemniej nadesłany przez kompa-
nią francuzką trudniącą się chowem jedwabników
w okolicach Beyrutu, i zasilającą fabryki lionskie, za-
dziwiają swym połyskiem i elastycznością. Ze wszyst-
kich jednak najpiękniejszy wydał nam się jedwab dzie-
wiczny syryjski śnieżnej białości, błyszczący jak sre-
bro, a miękki jak puch łabędzi.

Próbki przędzy nadesłane z różnych stron Francji,
świadczą o znakomitým ulepszeniu produktu, skutkiem
mądrego wychowywania jedwabników, oraz sztucznego
krzyżowania ich rassy, przez co hodownicy tutejsi
doszli do najrozmaitszych gatunków pelli. Mianowicie
tęż uderza wyborne przędzenie i przyrządzanie takowej,
zanim do warsztatów przejdzie.

Roczny zbiór jedwabiu we Francji wynosi około
5,000,000 funt. których wartość dochodzi do 140,000,000
franków. Powyższa ilość jedwabiu nie wystarcza fa-
brykom francuzkim: zazwyczaj ze Wschodu, Indyi, Hi-
szpanii, Włoch, a mianowicie Piemontu sprowadzają je-
szcze jedwabiu najmniej za 60,000,000 franków. War-
tość więc roczna produktu pierwotnego, z którego fabry-
ki jedwabne francuzkie wyrabiają materye, dochodzi
200,000,000 franków.

Materye lugduńskie rozłożone na przestrzeni 600 me-
trów kwadratowych, odznaczają się od innych nie tylko
bogactwem, mięsistością i połyskiem, ale nadto gustem,
jaki układowi ich przewodniczył, co w ogólnym poglą-
dzie na tego rodzaju wystawę znaczy bardzo wiele,
i przyczynia się więcej, niżby sądzić można, do podnie-
sienia piękności wyrobu. Każda sztuka materyi spa-

dająca z góry, ułożona w fałdy ostro-zatamane lub szerokie, wedle tego jak korzystniej się prezentuje, nie tylko w największej zgodzie z sąsiadką swą pozostaje, ale nadto sztuczną kombinacją kolorów, jej dodaje albo sobie od niej pożycza blasku. Ktoby nie znał rzadkiej w tej sztuce biegłości kupców paryzkich, którzy za ogromnymi szybami swych sklepów urządzają co dzień nowego kształtu jedwabne kaskady, łamiące się we wszystkie tęczy kolory ku zwabieniu olśnionego przechodnia, sądziłby, że walna rada artystów, a mianowicie malarzy przezydowała rozłożeniu lyońskich produktów. Nie tylko kolory następują po sobie zgodnie jak jednym rzutem pędzla zlawowane pole, ale nadto gatunki materyj wspomagają się wzajemnie. Zbytni blask i sztywność złotej lub srebrnej lamy łagodzą miękkie a niebtyszczące fałdy różno-kolorowych aksamitów, ciężkość adamaszków tak mięsistych lub tak gęsto złotem przetykanych, że o własnej stoją mocy, uwydatniają waporyczne gazowe i krepowe draperye. Blask starożytniej mory, co jak wiosem mącona woda w tysiączne rozbiega się kręgi, podnosi swą jednością zwierciadłana powierzchnia gładkich atlasów; bogate brokary, gros-de-naple, mantyny, kitajki, gros-de-toury, floranse, damasy, fulary, słowem wszystkie materye milionem nazwisk przeważne, począwszy od czarnych aż do jasnych i białych odcieni, stanowią dokładną gamę kolorów, o jakich tylko zamaryć można.

Jestto wystawa tak świetna i dobrana, że ją nie tylko kobiety jak motyle do kwiatów zbiegające się do tych wyrobów, które ich wdzięki podwyższać mają, ale i mężczyzna nie znający się nawet na przemyśle ani na elegancyi, podziwiać będzie przez długie godziny.

Nigdzie pomiędzy milionem jedwabnych materyj błyszczących wkóło, nie znajdzie deseni równie wdzięcznych, a zarazem z geometryczną narysowanych dokładnością, nigdzie rachunek i fantazyja nie godzą się z sobą lepiej, ani wyżej nie są rozwinięte, jak w lugduńskich fabrykatch.

Przyczynia się do tego niemało speeyalne wykształcenie wrodzonego gustu, jakie odbierają tamtejsi rysownicy. Jest w Lugdunie szkoła sztuk pięknych, zwana powszechnie szkołą świętego Piotra, od gmaohu, który

był niegdyś klasztorem zakonników tego imienia, a później na szkołę obrócony został. Gmach ten bardzo obszerny podzielony na sale, mieści muzeum malarstwa, rzeźby, muzeum historyi naturalnej, akademią, izbę handlową, bibliotekę, szkołę rysunku i t. d. Sienie gmachu zajmują starożytności, urny, wazony, kamienne płyty z napisami, wielka liczba rzeźbionych marmurów: słowem jestto rzeczywiście szkoła sztuk pięknych. Każdy młodzieniec sposobiący się na rysownika do fabryk lionskich musi przejść porządkiem wszystkie klasy tej szkoły. Odbiera on tam naukę praktyczną i artystyczną zarazem; resztę dopełniają wrodzone zdolności i poczucie piękna, spływające obficie na każdego mieszkańca tych okolic z łona niewyczerpanej w bogactwie i wdzięku matki przyrody.

Lion u ścieku dwóch rzek i na dwóch górach zbudowany, na wschód widzi wyraźnie piętrzące się Alpy, na zachód malowniczy Izeron i górę Żółtą; od północy i południa otacza go długie pasmo wzgórków zasianych ogrodami, z których wyzierają szczyty rozkosznych wili. W całej Francyi nie ma piękniejszego położonego miasta. Mieszkańcy jego tchnący już południowym poczuciem piękności natury, nie są obojętni na jej powaby; wokoło miasta napotkasz zawsze tłumy spacerujących, okoliczne góry, krzaczki, laski i ogrody, nieustannie napełniają malarze, poeci, rysownicy, poza murami miasta szukający natchnienia. Ci ostatni mianowicie umieją korzystać z wzorów, jakie im stawia natura. Żaden kwiat osobliwszego kształtu, żadna gałąź niezwykła, żadna tuberoza rosnąca w bujnej trawie, ani wdzięcznie w girlandy powiązane wiotkie powoje, nie ujdą baczności ich oka, a przeniesione wiernie na papier służą za wzory na szale, materye, lub dywany. Każdy prawie z uczniów szkoły sztuk pięknych ma album kwiatów, zbogacany codziennie jakimś nowym w górach odkryciem. Taka książka zawierająca zbiór leśnych, polnych, łąkowych i ogrodowych kwiatów, jest dla młodego rysownika niewyczerpanym źródłem natchnienia.

Powyższe szczegóły świadczące o rzadkiem zbrataniu się handlu z artystycznością w tym szczęśliwym zakątku pięknej Francyi, tłumaczą dostatecznie, czemu lionskie materye nie mają sobie równych na świecie,

czemu żadne inne miasto w tymże kraju i pod tymże rządem, nie może mu wyrównać, nie mając szczęśliwych warunków, w jakie sama natura uposażyła Lion i jego mieszkańców.

Oprócz materyj w sztukach, Lion nadesłał bardzo wiele w fabryce już na rozmaite ubiory przeznaczonych tkanin; pomiędzy niemi zauważaliśmy w pawilonie dwóch najznakomitszych fabrykantów, pp. Schulz i Beraud, przepyszne ornaty, kapy, baldachimy, jak niemniej bogaty dobór sukni damskich, z których jedna orzechowa z mory starożytniej, druga różowa w aksamitny tegoż koloru deseń niezrównanej są piękności. Także suknie z modnej teraz materyi w szerokie pasy, jeden aksamitny, drugi mat jedwabny, zalecają się oryginalnością i bogactwem.

Zadziwił nas także swym przepychem płaszcz cesarzowej ze złotój lamy, a przerabiany bukietami z ponowego aksamitu; dalej materya niebieska w białe kraty służące za ramy dla niebieskich aksamitnych deseni. Obok niej druga fiołkowa haftowana w czarne i ciemnofiołkowe girlandy, prześliczna: suknia gros-de-tourowa niebieska z garniturem wyrobionym z czarnych aksamitnych koronek jest arcydziełem sztuki tkackiej: trzeba bardzo blisko przystąpić, żeby się przekonać, że te aksamitne koronki nie są prawdziwe, osobno przyszywane. Inna suknia z białego gros de-touru w tenże sposób różowemi aksamitnemi ubrana wolantami, niemniej jest piękna. Inna znowu cała z liści zielonych wszelkich odcieni, wygląda jak świeży krzaczek, którego kwiatem będzie wyglądająca u góry różowa twarzyczka. Patrząc na tę suknię mimowolna bierze obawa, żeby w nią nieładna nie ubrała się kobieta: intencya robotnika-artysty tak ją wyraźnie dla pięknej przeznaczyła!

W pawilonie pp. Champagne i Rougier widzimy inne cuda. Suknia najwięcej uderzająca jest biała gros-de-tourowa w złote pasy, na których wyrobione szlaki z pączków różanych, stokroci i niezapominajek. Jestto materya przypominająca zuchwałym zbytkiem kolacye pani Du Barry. Rzecz dziwna, jak wyraźnie kolor, deseń i gatunek sukni, pomijając krój nawet, mówi o jej przeznaczeniu, i wskazując niejako charakter istoty, co się w nią ma ubrać, takie tylko, a nie inne do siebie

przywabia. Suknia pana Champagne wabi oczy; każdy ją uważa i przyznaje że piękna, jednak założyłby się można, że prócz w Paryżu nigdzieby nie znalazła nabywcy: tak wyraźnie na ozdobę paryzkiego pół-swiata przeznaczoną była.

Tenże fabrykant wystawił bogaty zbiór atlasów gładkich haftowanych złotem i srebrem; także złote mieniące z czarném materye, w czarne bukiety: bardzo piękne, mianowicie w mocno oświeconym salonie. Biała gros-de-tourowa suknia, posypana aksamitnymi kwiatami en relief, naśladowującemi naturę z najdokładniejszą akuratnością, wydała nam się najgustowniejszą w tym pawilonie.

Wielu fabrykantów lugduńskich jednemu tylko gatunkowi materyi się poświęcają: i tak, pan Millon wystawił same mory, Gondre materye haftowane, Tresca same fulary, Boix czarne adamaszki, Giraud mantyny, Desq atlasy. Bouvard wystawił obicia, pomiędzy któremi portret Washingtona, wrobiony w materyą sposobem desenio-wym. Jestto rzecz bardzo piękna w swoim rodzaju, robotnik tego dzieła zwie się Mathevon, i jest najstawniejszym tkaczem lugduńskim.

Pan Silo wystawił drukowane gazy; sposób ich fabrykacyi świeżo w Lionie wynaleziony został. Jestto tkanka bardzo lekka, balowa, przy świetle piękny czyni efekt. Lepszego atoli smaku wydają nam się chińskie krepy, łączące z lekkością dziwną mięsistość, która białe tego rodzaju wyroby do łabędziego puchu, a różowe do łona najświeższej róży podobnemi czyni.

Tak zwane syryjskie adamaszki, które pierwotnie tylko w tym kraju robione, następnie fabrykowane były na wielką skalę we Florencyi, Siennie i Luce, dzisiaj prawie wyłącznie do Lionu się przeniósły. Fabryka ich w tém mieście wzrastająca codziennie pod przywództwem pana Lemire, przysłała na wystawę bardzo świetne adamaszki, oraz piękne aksamity.

Obok nich bracia Boyriven wystawili materye do wybijania powozów: jestto rodzaj adamaszku na tle srebrném lub ponsowém. Tkanina ta nadzwyczaj mocna, odpowiada zupełnie przeznaczeniu.

W pawilonie pod napisem Brosse et Compagnie widzimy zgromadzone najpiękniejsze z wystawionych

aksamity gładkie. Pochodzą one z fabryki założonej w 1848 roku przez stowarzyszenie robotników. Tak zwani aksamitniki rozsiani po wsiach w departamencie Rhône, zawiązali się w towarzystwo przemysłowe pod przewodnictwem pana Brosse, któremu każdy z nich złożył drobną summkę, owoc swój zabiegliwości i pracy. Prócz tego każdy z nich wedle obyczaju tamecznego miał warsztat własny, który przyniósł z sobą do spółki. Za złożone pieniądze zakupiono jedwabiu i wzięto się czynnie do roboty.

Z początku szło opornie; stowarzyszenie miało wiele trudności do pokonania, do zwalczania licznych a zasobnych nieprzyjaciół; ale w końcu wytrwałością przełamawszy wszystkie przeszkody, dzisiaj w kwitnym znajduje się stanie, i jak każda z wielkich tamtejszych fabryk odbiera mnóstwo obstalunków z całego świata. Główną przyczyną powodzenia niniejszego zakładu jest nieposzlakowana prawość i obrotność jego przewodnika pana Brosse, który z największą skrupulatnością zyski fabryczne pomiędzy stowarzyszonych rozdziela, i z rzadką zabiegłością nad pomnożeniem takowych pracuje.

Wystawa wyrobów jedwabnych nadesłanych z Nimes i Avignonu, chociaż daleko uboższa od lionńskiej, jeszcze do bardzo pięknych się liczy. Cecha jej jest odrębna, już zupełnie południowa. Ciemnych kolorów nie widać wcale; czarne albo jaskrawe. Niema tu zmierzchu: noc, albo wszystkie kolory oświeconej równikowym słońcem natury. Deseń w ogóle dziwny, razi zbytnią gwałtownością barwy, oczy nasze do półcienia przywykłe. Na bladych, melancholicznych i powolnych mieszkankach północy, takie materye zapewne niewłaściwieby się wydały, nadto brutalnie odbijając od uduchownionej ich formy; ale dla Włoszki, lub Hiszpanki z iskrzącymi oczyma i żółtą jak cytryna cerą, żaden ubiór nie może być stosowniejszy, jak te słoneczne tkaniny. To téż fabryki na ostatecznym południowym krańcu Francji położone, pracują wyłącznie prawie dla południa. Produkta ich zazwyczaj odptywają morzem, i rozchodzą się głównie po Hiszpanii i Portugalii.

Wedle zeszłorocznego obrachowania, Francya posiada 140,000 warsztatów trudniących się wyłącznie

tkaniem jedwabnych materyj. Sam Lion zabiera połowę téj cyfry; 30,000 warsztatów pracuje w fabrykach Saint-Etienne i okolicach jego. Nimes i Avignon liczą tylko 10,000 warsztatów tkackich; 30,000 jest rozsianych w okolicach Paryża, w Pikardyi, Normandyi, Alzacyi i Moselli.

Saint-Etienne i Saint-Chamond trudniące się prawie wyłącznie robieniem wstążek, powiewne płody swoje wystawiły obok lionńskich produktów. Niepodobna opisać rozmaitości téj motyleczéj wystawy, która zda się za lada powiewem wiatru uleci. Są tu rzeczy zapewne bardzo ładne, jednakowoż bez dyskusyi ustąpić muszą pierwszeństwa takimże wyrobom szwajcarskim. Począwszy od wązkich ćwierć-calowych, aż do na pół łokcia szerokich, zgromadzono w francuzkim zbiorze wszelkiego gatunku i koloru wstążki, robione w ręcznych i parowych warsztatach. Pierwsze wyrabiają kobiety w górach leżących nad Loirą. Wstążki te są najpiękniejsze i najdroższe z francuzkich; jednakowoż kobiety których są dziełem, zarabiają zaledwie 8 do 10ciu sous dziennie. Cały więc niemal zysk z ich sprzedaży idzie na korzyść fabrykantów: biędne robotnice za całodzienną pracę, którą tak pięknie wykonywają, zarabiają zaledwie na nędzną strawę. Taka niesprawiedliwość dla biędnych góralek tém więcéj uderza i boli, że trudniące się robotą koronek niewiasty więcéj niż trzy razy tyle zarabiają, chociaż robota ich nie jest ani cięższa, ani zmudniejsza.

W pawilonie Collarda i Maygra, pierwszych fabrykantów wstążek z Saint-Etienne, zebrano najznakomitsze wyroby; odznaczają się one pięknnością desenu i żywością kolorów. Pan Maygr na dowód doskonałości do jakiej swój kunszt doprowadził, wystawił wyrobiony w gazie portret księcia Orleanu; ten majstersztyk kosztował dwa lata mozolnéj pracy.

Po wystawie jedwabi francuzkich, angielskie pierwsze zajmują miejsce: żaden z innych narodów nie dorównywa im doskonałością, a gdyby Anglicy mieli gust francuzki, nawet Francją oddawnaby w tym przemyśle wyprzedzili. Już na wystawie londyńskiej przekonani o swém pierwszeństwie fabrykanci francuzkich materyj, mocno zakłopotani i zdziwieni byli pięknnością wyrobów

angielskich; na wystawie tegorocznej Francuzi jednoznacznie przyznać im musieli, że wyższość tutejszych materyj li tylko na rysunku deseni się zasadza: ale co do gatunku, taniaści, udoskonalenia sposobów fabrykacyi, angielskie wyroby jedwabne stoją najwyżej.

Powodem tak wielkiego a szybkiego postępu tego produktu w Anglii jest niezawodnie transformacja taryfy celnój. Skoro w roku 1824 Huskisson zniósł system prohibicyjny, Anglia, Szkocya i Irlandya liczyła 24,000 warsztatów tkackich jedwabnych; w pięć lat później liczba ich wynosiła już do 50,000; dzisiaj doszła do 100,000. a co największa, że nietylko ilość fabrykatu urosła, ale gatunek jego ulepszył się niezmiernie.

Z wystawionych teraz tkanin jedwabnych angielskich zalecają się przepyszne adamaszki na meble i obicia, haftowane złotem w herby Wielkiej Brytanii; pochodzą one z fabryki londyńskiej pana Keith. Pod względem bogactwa wspaniały ten wyrób przeznaczony na ozdobę królewskich pokoi, nie ma sobie równego na wystawie. PP. Campbell, Harrison i Lloyd wystawili ogromny zbiór materyj tanich i w dobrym gatunku, ale desień takowych niegustowny sprawia, że na oko miłego nie czynią wrażenia, mianowicie téż po obejrzeniu francuzkich.

Wyroby jedwabne szwajcarskie idą zaraz po angielskich; największe fabryki takowych znajdują się w Zurich i jego okolicy. Fabryki te zupełnie na sposób francuzki urządzone, sprowadzające z Francyi wzory i ludzi specjalnie w tém rzemiośle wykształconych, nieustannie rywalizują z Francją na targach zagranicznych, gdzie skutkiem swój taniaści wyroby ich często przekładane bywają nad piękniejsze, ale droższe materye francuzkie.

Od czasu wystawy londyńskiej ta gałąź przemysłu szwajcarskiego nadspodziewanie postąpiła. Tkaniny jedwabne przystane z Zurich i Bâle, na piérwszy rzut oka dorównywają francuzkim, w użyciu dopiéro o ich niższości przekonać się można; jedwab' w nich mniej dobrze przygotowany mszy się i przeciera, a kolory prędko płowieją.

Cóżkolwiekbydz, jeżeli zważymy, że ten mały kraik nie produkuje ani żelaza, ani jedwabiu, ani węgla,

ani nawet dostatecznej ilości zboża na wyżywienie swoich mieszkańców, musiny przyznać, że szybki wzrost przemysłu jego potrójnie podziwiać należy. Kwitnący stan handlu swego Szwajcarya zawdzięcza jedynie wolności, z jaką mu się prawa krajowe krzewić pozwalają, znosząc wszelkie opłaty od przywozu. Liczba warsztatów tkackich jedwabnych w Szwajcaryi dochodzi 35,000; razem produkują one rocznie towarów blisko za 65 milionów franków, nie rachując w to wstążek, w których robieniu, jak wiadomo, żaden kraj nie dorównywa Szwajcaryi.

Największa tkarnia wstążek znajduje się w Bâle, gdzie przed dwustu laty założona została przez wygnanego z ojczyzny w czasach zatargów religijnych Francuza, który w kraju pracował we fabryce wstążek jako prosty wyrobnik, a dostawszy się za granicę, częścią z potrzeby, częścią że tam zdolności jego mniej znalazły niż we Francyi rywali, znalazł pomoc i ogromny założył warsztat. Z téjto fabryki, która oddawna zmieniła właściciela, nadeszła wstążki najpiękniejsze ze wszystkich, jakie na wystawie widzimy. Między nimi słyną powszechnie wstążki gładkie mantynowe w przewybornym gatunku. Te wstążki bez porównania lepsze od francuzkich, mają jeszcze tę nad nimi wyższość, że są o 15% tańsze. Dlatego nawet po opłaceniu znacznego cła, korzystnie pozbywane bywają we Francyi.

Jedwabie niemieckie nader licznie na wystawie reprezentowane, gasną zupełnie przy francuzkich. Prusy oprócz tkanek jedwabnych, wystawiły jedwab surowy w motkach, produkt jedwabników wychowywanych w Berlinie. W nadesłanych atoli materyach są tylko próbki robione z krajowego jedwabiu; jedwab używany po wielkich fabrykach pruskich, sprowadzany bywa zwyczajnie w kokonach z Indyi, Włoch, a mianowicie z Piemontu, przyrządzany zaś dla warsztatów przez miejscowych robotników.

Daieko lepsze od berlińskich, a najlepsze z niemieckich tkanin jedwabnych, nadeszły Prusy Nadreńskie. Materye z Lobberich, Wiersen, Gladbach, Elberfeldu i Krefeld pokazują się często na jarmarkach francuzkich i skwapliwie dla swój taniości rozkupywane bywają.

Austryaccy fabrykanci, na których Francuzi skarżą się że im wykradają wzory deseni na materye, przekupując ich rysowników, jakby na oczyszczenie się z tego zarzutu, nadesłali bardzo mizerne płody, przy tutejszych jak bawełna wyglądające. Jeżeli austryaccy przedsiębiorcy wystawą swoją całkowicie zmyli zarzut charakter ich plamiący, to z drugiej strony bardzo mizerne dali o przemysłe swoim wyobrażenie. Dlaczego zwieźli właśnie największą ilość produktów nie wytrzymujących porównania z francuzkami, a zaniedbali wystawić tych, które godnie mogłyby stawić czoło tutejszym: jestto zagadka, której rozwiązania chyba w grubiej nieświadomości rzeczy szukać należy.

Wyroby jedwabne sardyńskie świadczą o nowém rozbudzeniu się niegdyś kwitających i słynnych fabryk tego kraju. Ciż sami fabrykanci, którzy w kryształowym pałacu zaszczytne podostawali nagrody, przysłali tą razą jeszcze doskonalsze wyroby; mianowicie téż ich materye mieniące i różnokolorowe aksamity, zwracają uwagę znawców.

Indye, które pod wpływem angielskim wysoko rozwinięty swój przemysł, nadesłaly na wystawę nader piękne i oryginalne tkaniny. Widzim tam prześliczne kaszemirowe suknie damskie, haftowane jedwabiami i złotem, szale jedwabne zaszywane w najbogatsze desenie, także całe szluki materyi tak bogatych i odrębnego zupełnie smaku, iż niezawodnie będą obfitą kopalnią pomysłów dla wszystkich europejskich fabrykantów, nie wyłączać nawet lionńskich, którzy chętnie korzystać z nich będą, bo swoich rysowników bardzo drogo płacić muszą.

Wspomniawszy wzory, nadmienić tu muszę o tekturze drewnianej, która na przyszłość ma być używana zamiast papieru na formy deseni. Oddawna przemysłowano po fabrykach, czém zastąpić tekturę zwyczajną, w której wycinają à jour mające się wyrażać na materyach desenie, najprzód z powodu drogości tego materiału (w samych lionńskich fabrykach tektura na wzory kosztuje rocznie dziesięć milionów franków), powtóre, że papier zmoczony kurczy się lub wyciąga, złąd częste bywają usterki w robocie i strata czasu, która także na miliony rachuje się w fabry-

kach. Na ten cel przeznaczona lektura drewniana, której fabrykę założono świeżo w Saint-Denis, prócz że daleko tańsza, ma jeszcze tę wielką korzyść, że z największą dokładnością oddaje formę żądanych deseni. Izba handlowa lionńska, której próbki tego nowego wyrobu przestano do osądzenia, wyprobowawszy takowe, uznała jednozgodnie, że tektura drewniana nader korzystnie zastąpi papier, i niezwłocznie w użycie wprowadzoną zostanie.

Ale wróćmy do wystawy indyjskiej. Najświetniejsze tutaj są szale. Wiadomo, że Indianie pierwsi służyli w tej sztuce, i długo sami jedni celowali w niej na świecie. Dzisiejszy przemysł europejski chociaż wyprzedził ich daleko pod względem udoskonalenia środków fabrykacyi, za czém poszła niżenie ceny produktu i wielkie takowego rozpowszechnienie, to pod względem doskonałości roboty nietylko nie przeszedł, ale może nie dorównał Indianom.

Szale w europejskich fabrykach robią się na warsztatach nie innym sposobem, jak wszystkie tkaniny wełniane lub jedwabne; w Indyach szalowy postaw rozciągają jak kanwę na krosnach i z ogromną pracą wyrabiają na nim desenie sposobem, jakim robią we Francyi gobeliny, to jest przesuując pomiędzy włóknem postawu, różnokolorowemi jedwabiami nawinięte iódki. Często robią tylko małe kwadraciki osobno wypracowane z niepojętą cierpliwością, i z nich składają szal ogromny. Nadto, prócz że materiały indyjski, wełna i jedwab, są daleko lepsze od naszych, krajowcy umieją je prząć w ręku doskonałej niż wszystkie angielskie i francuzkie maszyny. Używają także na postaw rodzaj przędzy kosmatą miękką jak puch, której przyrządzenie stanowi osobną naukę im tylko znaną; ztąd niezrównana miękkość i aksamitność tych szali najdroższych i najpiękniejszych na świecie.

Dobór ich na wystawie jest okazały. Niektóre z czystego złota utkane palą się w świetle jak indyjskie słońce, inne wełniane lub jedwabne, błyszczą pełnią kolorów, przed których blaskiem, jak przed indyjską przyrodą mruży się oko mieszkańca północy, wydziedziczonego przez swą macochę naturę od wszystkich cudów stworzenia. Blask indyjskiego nieba mocno odbity na

płodach przemysłu tego kraju, zdaleka widne rzuca promienie: śmiało rzecz można, że indyjska wystawa jest jednym z najświetniejszych dyamentów w przepysznej koronie wystawy powszechniej.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH.

IV.

DELACROIX.

„Najpiękniejsze w tém rzemiośle jest to, co się wypowiedzieć nie da” powiada Delacroix kończąc swój długi traktat o malarstwie w liście do pani Sand, świeżo ogłoszonym w jój pamiętnikach. Prawdę tych słów znakomitego malarza, która głównie do jego sposobu malowania się stosuje, czujemy mocno mając opisywać pełne ruchu i energii dzieła jego, tak żywe i kolorowe, że o nich rzeczywiście martwe słowo wyobrażenia nie da; tak przeważne duchem, że opis ich formy może być tylko bladym odbiciem draperyi, w którą wielki artysta myśl swoją owinął.

W obrazach pana Delacroix ładność zawsze ustępuje miejsca wielkości, a surowa sztuka wyklucza wszelką kokieterią i przymilenie. Typy jego są surowe, miło im spojrzeć oko w oko: unoszą one widza poza sfery w których żyje. Bogowie, wojownicy, mędracy i poeci, słowem wszystkie te wielkie allegoryczne lub historyczne postaci, jakie zwykł malować, zdumiewają potężną strukturą, lub olimpijską powagą. Patrząc na nie, zapomina się o nędznych modelach dzisiejszych artystów, które poznajemy w każdym niemal nowym obrazie pod pożyczaną odzieżą, silącą się napróżno ich przeobrazić. Jeżeli Delacroix z żywych malował wzorów, musiał zapewne przymrużać oczy, żeby ich w rzeczywistości nie ujrzeć świetle.

A jednak typy jego są prawdziwe, chociaż idealizowane. Prawdziwe są jak te wizerunki, które nam kreśli wyobraźnia skoro w niej szukamy wcielonego bóstwa poezyi, lub bohaterskiej postaci starożytnego wojownika. Są to ludzie, ale ludzie niezwykli, nie tacy, jakimi

ich pojmują umysły powszednie. Figury te żyją, ale tém życiem wielkiem lub straszném, którém sam tylko geniusz natchnąć je potrafi.

Nie mówię o kolorycie pana Delacroix. On sam chyba miałby prawo i umiejętność wypowiedzieć tę stronę swojej sztuki, w której najzawziętsi nawet nieprzyjaciele nie znaleźli mu nic do zarzucenia; ale mówić o kolorach w malarstwie jest toż samo, co chcieć muzykę wypowiedzieć słowami. Czy podobna opisać Requiem Mozarta? Można słuchając je napisać piękny poemat, ale będzie to poemat, nie tłumaczenie. Sztuki nie tłumaczą się jedne przez drugie. Wszystkie są ściśłym węzłem powiązane z sobą, ale nie mówią jednym językiem; szukają się, łączą i zapładniają wzajemnie, ale każda siebie tylko wyraża. Niemniej jak idealna potęga i siła, uderza w utworach pana Delacroix wyborna zgoda przedmiotu z celem, i harmonia między częściami. Rzekłbyś, że artysta nosi w sobie samym jakiś świat odrębny, z którego czerpie wzory: jego niebo i drzewa, ludzie i szaty, konie i jeźdźcy, morza i okręty powiązane taką jednolitością stylu, tak zrosłe z sobą, że oderwane na nic nie przydałyby się.

Weźmy pierwszą lepszą figurę pana Delacroix i przenieśmy ją w myśli na jaki inny obraz: niezawodnie wyda się dziwna lub niepodobna, bo pozbawiona będzie właściwej sobie atmosfery.

Prócz wyborniej harmonii i kolorytu, w którym dorównywa weneckim i antwerpskim mistrzom, Delacroix ma jeszcze rzadki talent oddawania ruchu: ludzie na obrazach jego chodzą, gestykują, biegają: zdaje się że płótno zaledwie ich utrzymać może, że z ram lada chwila wyskoczą; nieruchoma linia konturowa nie przybija ich do tła, zdają się malowane po obu stronach i mogące się odwrócić jak zechcą. Figury pana Delacroix nie zajęte wcale widzami, ale własną rolą, jak aktorowie angielscy często się tyłem do publiczności odwracają i patrzą na tych z którymi rozmawiają, nie zważając bynajmniej na to, co przyjęte.

Jeżeli do powyższych zalet dodamy jeszcze ów odrębny sposób malowania, ów *sui generis* po którym z drugiej jeszcze sali utwory Delacroix rozpoznać można: każdy zapewne przyzna, że słuszne jest uwielbienie,

które do obrazów mistrza coraz to nowe przyciąga tłumy.

Pomiędzy wystawionemi obrazami pana Delacroix dwa tylko są nowe: Polowanie na lwa i Dwóch Foscariach; wszystkie inne oprócz Tassa w więzieniu wystawiane były poprzednio: że jednak nie każdemu zapewne z czytelników naszych znane, wymienimy je porządkiem jakim tworzone były, tém więcéj, że dawniejsze dzieła tego malarza piękniejsze nam się wydają od ostatnich.

Pierwszy swój obraz: Łódź Danta, Delacroix malował jeszcze w roku 1822. Chociaż był wtedy bardzo młody, już cały geniusz jego przebija w tém płótnie. Dante z Wirgiliuszem na łodzi przepływają jezioro otaczające piekielne miasto utrapienia. Potępieńcy czepiają się brzegów wątego statku, chcąc go zatopić; Dante poznaje pomiędzy niemi Florenczyków.

Na ciemném tle po którym rude przeciągają dymy, rysują się dwie figury wyniosłe: Dante w czerwonym kapturze i Wirgiliusz w niebieskim płaszczu. Pierwszy z przestachem jaki w każdej strofie piekła swego wyraża, tuli się do przewodnika; Wirgiliusz od dwunastu wieków przyzwyczajony do piekielnej grozy, spokojnie patrzy na fatalne postaci, co wściekłym zębem rwą brzegi łodzi, lub pochwyciwszy ją w trupie ramiona, usiłują wciągnąć za sobą w otchłanie. Czartowski przewoźnik Flegias zajęty sterem, silném wiosłem drogę sobie toruje pośród wód martwych i zamdlonego piekielną pożogą powietrza, od którego sine grupy potępieńców i poważne dwóch poetów postaci, odstają z mistrzowską prawdą. W głębi naszkicowane żelazne wały fortecy, której straszliwa broni Gorgona.

Obraz ten, ozdoba galeryi luxemburskiej, jest jeżeli nie najpiękniejszy, to niezawodnie jeden z najpiękniejszych, jakie wymalował Delacroix.

Następny utwór jego le massacre de Scio, straszny i krwawy, mniej nam się podoba z powodu koloru nieba, które jakby szafranem zaprawne nadto razi niepodobieństwem. Na nagim wzgórkowi wyblakłym od gorąca, stosy trupów słonecznym żarem palone zdają się zionąć zarazę z ran swoich. Zdale widna pożoga świadczy, że tam niszczyciele dokonywają straszego

dzieła zagłady. Na pierwszym planie dziecko ssie za-
styglą pierś matki; po drugiej stronie młoda jakaś nie-
wiasta z rozpaczą obejmuje młodego mężczyznę, kona-
jącego w konwulsyjnych rzutach. Dalej Turek na si-
wym koniu uprowadza broniącą się młodą Greczynkę,
przywiązaną do siodła powrozem. Wkoło gdzie spoj-
rzysz, stosy trupów.

Tę scenę fatalną malarz oddał bez żadnej nad wi-
dzami litości: nie oszczędził im ani jednego jęku, ani
jednej konwulsyi. Jestto utwór prawdziwie wściekły,
na którego rezkiętnaną romantyczność nastawano
w swoim czasie zażarcie. Dzisiaj *Massacre de Scio*
do dzieł klassycznych policzony, Francuzi uważają po-
wszechnie za perłę luxemburskiej galeryi.

Dwudziesty ósmy lipca jest jedyny obraz,
w którym Delacroix nowoczesną scenę i nowoczesne
przedstawia ubiory. Mocno uderzony ówczesnemi wy-
padkami, artysta ogromną prawdę przelał w ten pół-
rzeczywisty, pół-allegoryczny utwór. Kobieta przed-
stawiająca wolność, z obnażoną szyją, w frygijskiej
czapce, z strzelbą w jednej a chorągwią w drugiej ręce,
stoi na barykadzie i zwołuje lud do bitwy. Postać ta
dziwi nieco swą fantastycznością pośród otaczającej ją
prawdy.

Przed nią ulicznik trzymający w każdej ręce pisto-
let, ustrojony w ogromną ładownicę poległego żołnierza,
która mu aż za kolana spada, idzie naprzód z powagą
Leonidasa. Wyborna to figura ten *gamen* paryzki:
prawdziwe ziarnko bohatera, jeżeli na dobrą padnie ro-
lę. Wokoło cisną się ludzie zbrojni, zwyczajni akto-
rowie występujący w paryzkiej ruchawce. Ten oto
człowiek w podartym fraku i połamanym kapeluszu, na-
leży do klasy rozpustnych i niespokojnych próżniaków:
rad z okazji, chce albo umrzeć, albo wyptynać na
wierzch. Tu robotnik w bluzie z wiarą i zapałem rzuca
się w odmet. Ten drugi śmiertelnie ranny, czołga się
aby skonać u nóg wielbionej bogini. Na pierwszym
planie leżą polegli. W głębi zaciemnionej dymem, gdzie-
niegdzie błyszczy bagnety, lub wyziera jaka walcząca
grupa.

Wprowadzenie do tego obrazu figury 'allegorycznej'
aczkolwiek rażące na pozór, ma swoje dobrą stronę:

nadaje ona myśl całej tej scenie, która bez tego byłaby tylko ustępem z wojny domowej.

Po Dantejskiej łodzi najwięcej zapewne uderzy lubowników morskich widoków, samotna barka bez żagli ni steru, niosąca Don Juana i rozbitków zatopionego okrętu, na którym od brzegów rodzinnych odptynęli. Kto zna ten piękny ustęp z poematu Lorda Bayrona, zdziwi się, nie znalazłszy na obrazie pana Delacroix gładkiego jak zwierciadło morza i nieba „nieubłaganego szafiru” które w poemacie przez ironiczny kontrast dorzucają okropności tej scenie. Pieniące się bałwany i chmurny horyzont nie są zapewne wiernym tłumaczeniem poematu, ale inaczej być nie mogło: nowy przykład, że sztuki nie mówią jednym językiem. Też samą myśl innemi środkami wyraża poeta, innemi musi oddawać malarstwo. Błękitne niebo i spokojne morze, nie uplastycznilyby niebezpieczeństwa tak wyraźnie, jak te chmury złowrogięj barwy i te spienione bałwany, miotające drobną łodzią zgubioną gdzieś na przestrzeniach oceanu, na której zgłodniałe rozbitki spoglądają po sobie jak spragnione żeru dzikie bydła, i ciągną na losy, którego z pomiędzy siebie zjeść mają. Malarz inaczej się wyraził niż poeta, ale w sile dorównywa mu zupełnie. Żaden pędzel nie przedstawił straszniej i prawdziwiej okropnego losu rozbitków... Twarze ich wychudłe, obłąkane oczy, rysy na których głód i pragnienie wszelki wyraz człowieczeństwa zatarły, dreszczem przejmują widza.

W tej wodzie przezroczyście-zielonej, co nieustannie lize i ślini brzegi łodzi, jak wąż zanim połknie swą zdobycz, słysząc nieomal pluskanie żarłocznych rekinów, czyhających na trupy.... Z tych chmur ciężkich, gwałtownym gnanych wiatrem, co jak śmierci anioły biegną nisko, maczając w morzu czarne skrzydła, dolatuje jakby grzmot głuchy, zwykły poprzednik gromów.

Trzymając się mniej więcej porządku w jakim tworzone były dzieła pana Delacroix, po Chrystusie w ogrodzie Oliwnym nieco oschłym i sztywnym, dlatego pewnie chwalonym przez nieprzyjaciół malarza, po Justynianie dyktującym swój kodex, bez żadnej wybitnej cechy, dochodzimy do obrazu przedstawiającego śmierć doży Marino Faliera. Ciało doży,

któremu kat odciął głowę, leży u nóg oprawcy powalony na wielkich schodach pałacu Duków. Scena ta na pierwszym planie narysowana ukrywa się w półcieniu; światło padające przez gotyckie okno skupia się całe na zgromadzonych licznie patrycyuszach, z góry schodów przypatrujących się egzekucyi.

Ogromne schody pałacowe z historyczną odmalowane dokładnością, nie są też same, które teraz włoskie czyczerony podróżnym jako rusztowanie Faliera pokazują. Pan Delacroix zbierając szczegóły do obrazu swego, dowiedział się z archiwów miejscowych, że schody na których ścięto dozę, od niepamiętnych czasów nie istnieją, i takowe tylko z podania złożył. Te, które teraz pokazują, zbudowane były daleko później; od dwóch zdobiących je posągów dłuta Sansovina, przedstawiających Marsa i Neptuna, nazwane zostały schodami Olbrzymów.

Śmierć Faliera zalecająca się pięknnością kolorytu, bogactwem strojów, i historyczną dokładnością, mogłaby godnie figurować pomiędzy utworami najświetniejszych mistrzów weneckich.

Tasso w więzieniu, własność Alexandra Dumasa, nie był dotąd na żadnej wystawie. Jest on ze wszystkich obrazów Delacroix najstaranniej wykończony. Ci, co zarzucają mu (może słusznie) nadto gwałtowną szorstkość, z jaką figury swoje rzuca na płótno, z Tassa zupełnie mogą być zadowoleni. Nieszczęśliwy poeta siedzi zadumany pośród obłąkanych. Nie zważając na ich bezrozumne rozmowy, ani szalone wykrzykniki, zdaje się jakoby badał siebie samego, jakoby zadawał sobie pytanie: czy rzeczywiście jest waryatem, jak twierdzą ludzie? Czy owa siła co mózg mu rozsądza jest natchnieniem z nieba zesłanem, czy też bezrozumnym szaleństwem, dziełem krwi lub chorąj wyobraźni?

Milczenie poety niecierpliwi waryatów; jeden z nich rudobrody, w podartym odzieniu, istne uosobienie obłąkania, grozi mu pięścią; inni waryaci skaczą około piewcy Jerozolimy wyzwolonej, wprężonego w ich kołto przemożną siłą nienawiści. Szlachetne czoło wiejsza, na którym błyszczy świetna pochodnia geniuszu, wśród szalonych towarzyszy, z podwójną wybija potęgą.

Dalej więzień Chillonu ciężkim łańcuchem przykuty do wilgotnych murów odwiecznej wieżycy, rwie się

do konającego brata, nie mogąc go dosięgnąć. Następnie widzimy Hamleta. Mały ten, ale pełen wyrazu obrazek, przedstawia królewicza duńskiego z czaszką Yoryka w ręku, owego wesołego błazna, który kiedyś bawił go dowcipem, a teraz patrzy nań pustą źrenicą, jakby się uśmiechając ironicznym uśmiechem śmierci. Obok niego dwóch grabarzy kopie grób dla Ofelii. Grunt cmentarny skalisty i jałowy, obłoki szare rozpięte jak niedoperze na ciemnym niebie, tu i owdzie dzikie chwasty, lub nieboszczyków wygrzebane kości: wszystko dowodzi głębokiego przejęcia się czarnym dramatem Szekspira, oraz zupełnego wniknięcia w intencją poety.

W pożegnaniu Romea z Julią malarz może nadto poświęcić formę dla uczucia: jestto szkic raczej nie obraz, ale właśnie dlatego że nie wszystko wyraża, patrzący rad go w duszy swojej wykończa. Jestto owa chwila, w której kochankowie blaskiem różowej zorzy poranka na balkon wywołani, trwożni, pytają jedno drugiego, czyto jeszcze słowik, czy już skowronek śpiewa?... i w długim, tęsknym uścisku żegnają siebie, wraz z jedynym ubiegłym szczęściem.

Drugie, takichże rozmiarów płótno, ale staranniej wykończone, przedstawia Juliettę budzącą się z letargu w grobach przodków, w których niezadługo twardym snem śmierci zaśnie na wieki.

Daliej widzimy ustęp z Fausta: Śmierć Walentego. Pośród ciemnej ulicy starożytnego miasta niemieckiego, brat Małgorzaty leży śmiertelnie ranny; z trudnością podniósłszy głowę, konający przeklina siostrę, która załamując ręce z rozpaczą, stoi przy nim jak biały duch obłąkany nad straszną przepaścią, która go za chwilę ma pochłonąć. Tłum ludzi otacza umierającego żołnierza i słucha klątwy jego: Mefistofeles chowając zakrwawione żelazo do pochwy, uprowadza szybko Fausta na strome schody ulicy.

Podróż po Afryce silne i trwałe wywarła wrażenie na pana Delacroix; nie został jednak muzulmanem na resztę życia jak Ducamps, który po powrocie ze Wschodu nie już innego prócz Egiptu i Azyi nie maluje. Umysł ruchliwy, imaginacya ogromna, uchroniła p. Delacroix od ciasnego zasklepienia się w jednej sferze. Wschodni haschich na chwilę go tylko odurzył, a pustynia

nie zdołała przyciśnionego swą wielkością wędrowca; powoli lotnym zasypać piaskiem. Delacroix ze Wschodu przywiózł tylko, co przywieźć był powinien: kilka bardzo pięknych obrazów.

Kobiety algierskie, Konwulsyoniści Tangerscy (sekte fanatyczna aissausów, których religia zasadza się na dręczeniu ciała, biciu, gryzieniu i kaleczeniu się), Polowanie na lwa, a mianowicie Arabska rodzina i Żydowskie wesele stanowią jakby osobną galeryą pomiędzy dziełami p. Delacroix.

Żydowskie wesele widzimy zgromadzone na podwórzu przykrytém improwizowanym z gałęzi dachem, które w gorących krajach, a głównie w Hiszpanii i Afryce służy zwykle za salę balową. Podwórze to napętnia tłum ludzi zupełnie odrębnej i właściwej sobie powierzchowności. Żaden z nich nie ma nic europejskiego w ruchu; wschodnie bowiem narody niemniej ruchem jak ubiorem różnią się od nas, co pochodzi z obszernego stroju, który dozwalając ciału daleko wolniejszych ruchów, pozwala wyrabiać się członkom. Przyzwyczajenie podwijania nóg pod siebie, ustawiczne schyłanie się do modlitwy, oblewania wodą, lub zdejmowania obuwia, jeżdżenie na koniu w krótkich strzemionach prawie klęczący, nadaje im właściwe wyłamanie stawów, do którego ciała nasze nigdyby się nagiąć nie mogły. Baczne zauważanie téj strony fizycznej mieszkańców Wschodu, najpierw uderza w Żydowskim weselu: muzykanci siedzą w kuczki pod murem, tancerze przeginając się w skokach tworzą najdziwaczniejsze figury, dla nas niepodobne do naśladowania.

Żydów od Arabów rozpoznasz po wzroku wymownym a niespokojnym, jakim spoglądają po sobie, lub po zgiętej postawie nadającej im cechę fałszywej pokory. Całe zgromadzenie mieści się w cieniu, gdzieś tylko padający przez dach prostopadły promień światła, lub bielejące jak kreda zdaleka widne tarasy, świadczą, że tam upał doskwiera ognisty, że słońce oczy temu wypali, któryby na świat pokazał głowę.

Arabska rodzina tchnie miłym spokojem. Na gniadego rumaka Beduin posadził małego synka. Dzieciak uszczęśliwiony, załedwie nożętami objąć grzbiet

konia mogący, stara się utrzymać równowagę, a w złym razie rachuje na ręce ojcowskie. Radość dziecka, poważne zadowolenie ojca, niepokój matki, co z pod muru patrzy na jedynaka, wreszcie uległość konia idącego ostrożnie jakby obawę matki podzierał, nader przyjemnie są oddane.

Połowanie na lwa niemiły czyni efekt w tej wschodniej galeryi. Niepojęta jakaś gmatwanina lwa, strzelców, jeźdźców i koni, jedną niepodobną do rozwikłania tworząc bryłę, czyni obraz zupełnie niezrozumiały. Przypuściwszy, że ta wściekła walka z królem pustyni, zdaleka tak się wydawać może, że człowiek, koń i zwierzę splątane z sobą zażartym bojem, stanowią jakby jedno wijące się w konwulsjach ciało: to w takim razie malować tej chwili niepodobna, bo nikt jej na płótnie nie zrozumie. Tenże sam dramat o jedną sekundę później odmalowany, rozwiązany śmiercią zwierza lub śmiercią człowieka, byłby już zupełnie zrozumiały dla oka. Zbytnią miłość ruchu tą razą widocznie zadaleko uniosła pana Delacroix.

Po wschodnich widokach rozpoczyna się nowy szereg obrazów, których wzory artysta czerpał wyłącznie z dziejów starożytnych, oddając je atoli sposobem wolnym jak Szekspir swego Cezara, Koryolana, lub Kleopatry. Jestto może najwznioślejsza faza talentu pana Delacroix. Przedstawiając greckie czy rzymskie postacie, nie koloruje on posągów, jak to czynią inni pod pozorem stylu: Delacroix wskrzesza je, i wraz z życiem wlewa w nie namiętność. Filozoficznie twierdząc, że człowiek zawsze jednaki, że starożytne pół-bogi nie czerwienią od nas krew mieli w żyłach, zostawia erudycją archeologom, a sam z żywego ciała stawia też same grupy, które inni artyści tylko z marmuru przerabiać się ważyli.

Wściekła Medea oddana jest z mocą i kolorytem, jakiegoby się sam Rubens nie powstydział. Żmijowy wyraz jej twarzy i te ręce naprężone od złości, jakimi dwoje swych nagich przestraszonych dzieci niesie jak wilczyca porywająca jagnięta, nieopisaną są siły. Płaczące dzieci nie rozumieją o co chodzi, ale przeczuwając niebezpieczeństwo silą się wydobyć z pod tłoczącej je ręki, w której błyszczy sztylet. Różowe ich ciątka podnoszą trupią cerę sino-żółtego ciała matki; wkoło widać kamienie i dzikie zielska, pośród których ukryta

przed pogonią Jazona Medea, ma spełnić straszną zbrodnię. Jestto obraz przepyszny, równie wysoki pod względem kolorytu jak kompozycyi.

Daléj widzimy Sprawiedliwość Trajana. Treść tego obrazu nastęczyła artyście jedna strofa Danta, w której tenże opowiada, jak pokrzywdzona wdowa rzuca się pod konia monarchy i wstrzymuje pochód jego, a on jéj słuca łaskawie. Powyższy obraz niezmiernie jest chwalony pod względem kolorytu.

Umierającego Marka-Aureliusza przedstawił Delacroix na wezgiłowiu pośród grona filozofów, którym porucza pieczę nad synem swoim. Oblicze sprawiedliwego monarchy tchnie głębokim spokojem; na twarzach otaczających go starców maluje się boleść i powstrzymane rozczulenie. Sam tylko młody Kommod w płaszczu purpurowym odwraca głowę, i jakby znużony słuca przestroóg ojcowskich. Nizkie czoło jego, grube rysy a kark potężny, zapowiadają już waryackiego rozpustnika, pod którego berłem świat srodze odpokutował kilka lat szczęścia, doznanego pod panowaniem Marka.

Wzięcie Konstantynopola, ogromny obraz, przywieziony z galeryi wersalskiej, wielu uważa za najpiękniejszy utwór pana Delacroix. Do wziętego Carogrodu wjeżdżają zwyciężkie zastępy Francuzów; na ich czele Bodouin, hrabia Flandryi na przepysznym koniu jedzie stępo. Nieszczęśliwe rodziny cisną się do stóp wodza błagając go o litość: wdali widać niebieską zatokę morską, okoloną wspaniałemi pałacami. Przezroczyste powietrze owiewa zbrojne roty krzyżowców, a całe miasto tonie w złotym słonecznym blasku.

W tym obrazie malarz starał się przedewszystkiém oddać piękność architektury i świetne ubiory. Rzecz sama nie ma dramatycznego węzła; miasto główną gra rolę; powietrze, morze, góry widne zdaleka, odciągają zupełnie uwagę od osób, które chociaż pięknie narysowane, nie mają przecież tego uroku, jaki wyobraźnia nasza zwykła nadawać oswobodzicielom grobu Chrystusa.

Nadzwyczaj dramatyczny jest ostatni obraz pana Delacroix: Dwaj Foskari. W wielkiej sali w pałacu Duków, doża Franciszek Foskari siedzi na tronie i słuca wyroku, którym rada dziesięciu skazuje syna jego

na wieczne wygnanie, za tajemne stosunki z zagranicznymi monarchami, niechętnymi rzeczypospolitój. Jakób Foskari jak chusta w męczarniach wybladły, żegna ojca wymownym gestem, a żonie daje do pocałowania ręce połamane w torturach. Patrycyusze i strażę zapętlniają salę; na lewo przez odemknięte drzwi, o które oparty stoi kat, widać narzędzia tortur rozłożone w przyległym pokoju.

Twarz doży złamana bolem, pałająca zemstą przeciw radzie dziesięciu, wypędzającej z ojczyzny za łada podejrzenie jedynego syna, wzrok jego w którym maluje się wyraźna walka obowiązku z miłością ojcowską, tak wyniośle są oddane, iż od nich z trudnością oderwane oczy, nie mają już ochoty podziwiać dalszych szczegółów obrazu, także po mistrzowsku narysowanych.

Ostatni ten utwór pana Delacroix nie wskazuje żadnej zmiany w jego sposobie malowania. Znać w nim zawsze też samą niepodległość i samoistność, która od lat trzydziestu towarzysząc mu w artystycznym zawodzie, uwolniła od sztywnej systematyczności i narzucanych teorii.

Kończąc to długie wyliczenie świetnych utworów pana Delacroix, dodać należy, że galeria pałacu wystawy nie gromadzi wszystkich dzieł jego; że kto nie widział fresków zdobiących salę tronową w pałacu deputowanych, bibliotekę izby parów, sufitu galerii Apollina i wielu innych arcydzieł malowanych na murze, w których geniusz artysty dowolnie na obszernym buja przestworze, temu większa połowa talentu tego mistrza zakryta.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

Wyszedł pierwszy tom Historii Politycznej Stanów Zjednoczonych Ameryki przez Edwarda Laboulaye; autor zapowiada ich trzy. Pierwszy zawiera historią osad od roku 1620 do 1761. Drugi tom będzie obejmował historią rewolucyi od 1761 do 1787; trzeci historią wprowadzenia konstytucyi od 1787 do 1789 roku, w którym Ameryka ostatecznie się urządziła. Będzie to dzieło bardzo znakomite; pierwszy tom świadczy o wielkiej biegłości autora w nauce prawodawstwa; pogląd jego wysoki.

W przedmowie powiada pan Laboulaye, że historia osad była koniecznie do całości dzieła potrzebna. Bez wskazania dokładnego pochodzenia kolonij angielskich, bez nakreślenia ogólnego rozwoju ich konstytucyi, ustaw, które im były wspólne, jak niemniej tych, które wyjątkowo posiadały, niepodobna było wytłumaczyć przyczyny, jakie spowodowały rewolucyą i połączyły te trzynaście osad w jedną potęgę, która się oparła Anglii.

W trudném rozwikłaniu dziejów 13tu kolonij, pan Laboulaye trzymał się skazówek, jakie mu podało szczegółowe dzieło o Ameryce pana Bancroft. Uwaga nasuwająca się po przeczytaniu nauczającej książki pana Laboulaye jest, że w Amerykanach więcej rozum, niż szczęśliwe warunki wyjątkowego położenia podziwiać należy; że wszystko na tym świecie, mianowicie téż w polityce, od postępowania zależy: słowem, że rozsądek jest najwyższym kierownikiem interesów ludzkich.

— Michelet wydał drugi tom historyi francuzkiej z XVI wieku, pod tytułem *la Reforme*; piérwszy zatytułował: *La Renaissance*. Obadwa te tomy do najznakomitszych dzieł tego autora się liczą.

— Lamartine zaczął drukować w feletonie dziennika *La Presse*: *Historyą Cezara*. Dotąd wyszło zaledwie kilka kartek; zalecają się one niezrównaną pięknoscią stylu, oraz godnym Cezarów poglądem na rzeczy.

— W *Theâtre-Français* grywają teraz pięcio-aktowy dramat Kotzebuego: *Mizantropia i Skrucha*, przełożony na francuzki język przez Gerarda de Nerval. Genialny ten młodzieniec, który w kwiecie wieku przeciął pasmo dni swoich, zostawiając niezatarty żal we wszystkich sercach, które szlachetną duszę jego i wzniosły umysł ocenić umieli, był zapewne jedyny pomiędzy Francuzami zdolny wniknąć w myśl niemieckiego pisarza. To téż tłumaczenie to jest bardzo znakomite, ale daleko lepiej w czytaniu niż na scenie się wydaje, skutkiem tego zapewne, że aktorowie francuzcy nie są zdolni przejąć się duchem germańskim, którego wcale nie rozumieją.

KRONIKA LITERACKA.

Obraz dworów europejskich na początku XVII wieku, przedstawiony w dzienniku podróży królewicza Władysława, syna Zygmunta IIIgo do Niemiec, Austrii, Belgii, Szwajcaryi i Włoch w r. 1624—1625. Skreślony przez Stefana Paca pis. i refer. lit. star. preneńskiego, towarzyszącego królewiczowi w tej podróży. Z rękopismu wydał J. K. Plebański. Wrocław. Nakładem Zygmunta Schlettera. 1854. W 8-ce, str. VI i 171.

Pan Plebański, nowy pracownik na polu dziejów ojczystych, który na pierwszy raz dał nam materyał nie tak wielkiej ważności dla dziejów samego narodu, ale zawsze bardzo ciekawy, zasługuje zawsze na wdzięczność. Jest to dyaryusz podróży królewicza Władysława po Europie, w r. 1624 i 5, spisany przez referendarza litewskiego Stefana Paca, który zakończył swój polityczny zawód jako podkanclerzy litewski, (umarł 17 listopada 1640). Rękopism znalazł pan Plebański w bibliotece królewskiej w Berlinie, i zdaje się, że sam oryginał, co naturalnie wartość pomnika znacznie podnosi. Pac w podróży, widać, utrzymywał dyaryusz, potem dopiero przyjechawszy do domu zredagował go w latach późniejszych, a przynajmniej poprawiał, bo są wstawki w texcie, które o późniejszej redakcyi wyraźnie świadczą.

Rękopism Paca znał Kobierzycki, bo w dziele „Historia Vladislai principis”, są prawie dowody, że czerpał z naszego dyaryusza. To jednakże nic a nic interesu nie odejmuje obrazowi wydanemu przez p. Plebańskiego. Mało tutaj o Polsce, więcej nieco o stosunkach panów polskich, towarzyszach podróży królewicza, ale ciągle nowe widoki, nowi ludzie, nowe kraje i ziemie. Dlatego rozumiemy przyczynę, dlaczego pan Plebański zmienił tytuł dany przez autora, bo tytuł być musiał; nazwał swoje wydanie *Obrazem dworów Europejskich na początku XVII wieku*. W istocie jestto obraz dworów, a więc dla historyi pol-

skiej o tyle mieć może wartości, o ile pokazuje usposobienia tych dworów w danej chwili dla Polski, o ile rozjaśnia historią osób towarzyszących królewiczowi w podróży. Jestto zresztą w każdym razie ważny pomnik obyczajowy wieku i ztąd ważność jego dla historii.

Władysław oddawna miał ochotę podróżować po Europie. Wiele słyszał o krajach obcych, ale żadnych nie widział, prócz Rosyi; żadnej zagranicy nie oglądał, a miał już lat przeszło dwadzieścia dziewięć: póki były wojny, wojował, teraz próżnować się znudziło. Ale walne przeszkody zwalczały w królewiczu tę chęć: macocha zdaje się że intrygowała. Władysław umiał ująć za serce ojca, i chętkę swoją do podróży złożył na ślub: w czasie wyprawy Chocimskiej, w niebezpiecznej chorobie ślubował jechać do Loretu. Król namyslał się i wahał, wreszcie puścił to na zdanie senatu, w którym prymas ksiązę arcybiskup Gębicki, stanowczo przeciw żądaniom królewicza wystąpił z powodu, że nie chciał nadziei państwa narażać na niepewne drogi, na trudy i niebezpieczeństwa przejażdżek, a Rzplite na ciągłą tęsknotę. Upadł więc projekt i dopiero we dwa lata go wznowiono. Władysław wtenczas już poważne instancje wnosił do ojca; prosił za nim arcyksiązę Karol biskup wrocławski, z którym królewicz żył jak najpoufalej, prosił sam cesarz. Cesarz dowodził: że wypadło aby się królewicz dał poznać krewnym i znajomym po Europie. Pisała i arcyksiężna infantka hiszpańska, gubernatorka Niderlandów. Robiono Władysławowi jakies nadzieje i widoki świetnego małżeństwa. Wtedy król Zygmunt ustąpił i zaczęła się ta podróż, którą Pac opisuje. Wskazano Władysławowi główne kierunki téj wędrówki: miał odwiedzić biskupa wrocławskiego w Nissie, potem cesarza, potem arcyksięcia Leopolda, potem księcia bawarskiego, Niderlandy i Włochy; Francją i Hiszpanią wyraźnie polecono królewiczowi ominąć. Są historyczne odrazy: do Francyi odraza nieraz się i w późniejszych czasach odezwała.

Pac jest wstrzemięzliwy i trzyma język za zębami: ostrożnie bardzo wydaje się z czémś tajemniejszym, waży każde swoje słówko w tym względzie. Dlatego nie wypowiedział całej prawdy i ledwie tylko napomyka, że króla skusiła do téj odwlekanej podróży i ta uwaga, że będzie to z pożytkiem i przyczynieniem fortuny królewicza samego; (stron. 31). Inni świadkowie téj epoki nietyle są delikatni i wstrzemięzliwi. Bawiło wtedy w Carogrodzie poselstwo angielskie, które baczne bardzo zwracało oczy na dwór warszawski, i dowiadywało się o wszystkim, co się u króla Zygmunta dzieje. Była to epoka traktatu zawartego przez sławnego księcia Zbaraskiego po wojnie chocimskiej, po licznych zwycięstwach polskich; było to w czasie, kiedy czajki kozactwa ruskiego w rozmaitych kierunkach prze-

rzynały morze Czarne i hałasowały pod samym Konstantynopolem. Był czas jakiś, że Rzplita imponowała Turcyi. Otóż pan Roe i pan Wake czuwają i donoszą rządowi swojemu o każdym fakcie głośniejszym z Polski, o każdej drobnostce z dworu polskiego: oni nam w części roztwierają tajemnice podróży królewicza. Roe pisze w depeszy z dnia 26 listopada 1624, że Władysław podróż przedsięwziął dla zaślubienia cesarzownej lub królowny hiszpańskiej. Łatwoby to małżeństwo królewiczowi przyszło, bo któżby za niego córki nie wydał? Ale znalazły się jednak przeszkody. Przeszkody te stawiała pasierbowi macocha Konstancya austryacka. Zazdrościła Władysławowi sławy i stanowiska jakie już zajął, dla syna swego ulubionego, którego na tronie polskim po ojcu chciała osadzić, dla Jana Kazimierza. Dlatego nie chciała, żeby Władysław nowe stosunki i znajomości zawierał w Europie, dlatego nie sprzyjała jego uprojektowanemu małżeństwu: w oczy chciała, by się królewicz żenił z córką cesarską, a za oczy pisała do cesarza, żeby robił trudności, nawet do Rzymu trafiła z prośbą, żeby papież odmówił dyspensy królewiczowi, dla blizkiego pokrewieństwa. Władysław zdrezczony, nie kontent sam z siebie, rad się był chociaż na chwilę wydarł z tego piekła, w jakim go osadziły intrygi macochy. I rzeczywiście musiało tam wielkie być rozdrażnienie umysłów, kiedy na tém właśnie Betlem Gabor opierał swoje nadzieje względem korony polskiej. Gabor rozumował bardzo logicznie. Władysława zgubi macocha, myślał, a Janowi Kazimierzowi nic to nie przysporzy widoków; bo gdzież Polacy mogą Jana Kazimierza niewieściucha, przłożyć nad rycerskiego Władysława? Inni królewicze pozostawali księżmi albo przeznaczeni do stanu duchownego; więc są dla obcego książęcia nadzieje, które potrzeba skłonić ku sobie. I w tym celu działał i szeroko napiął sieci, nie bez najpewniejszych widoków pomyślności. Depesze panów Roe i Wake są wydrukowane w 5 tomie Zbioru pamiętników o dawniej Polsce (pierwsze wydanie str. 448 i dalej).

Roe już po wyjeździe królewicza z Warszawy, donosił swemu rządowi, że nie wie naprawdę, jakie są zamiary królewicza. To rzecz pewna, że wyłącznego celu tam nie było. Jechał próbując szczęścia, pokazać się światu. I świat rzeczywiście zajmował się wiele jego osobą. Książę młody, czynny, bardzo odważny, wielce kochany od panów polskich, którzy w nim upatrywali nadzieje dla Rzplitej; książę którego historia już tyle rozgłosu miała po Europie, dzieckiem obrany na władzcę udzielnego państwa, potem zwycięża pod Chocimem: wódz wyprawy pod Moskwą, lat 30 jeszcze nie miał, a miał wiele sławy. Panowie nasi zazdrośni o wpływ Austryi, a królewicza przyjaciele, odradzali mu małżeństwo z cesarzówną, bo nie było księżniczki w Europie, którejby nie dostał, gdyby po nią rękę wyciągnął. Do-

wodów tutaj mamy tysiące w dyaryuszu Paca. Wszędzie najświetniejsze na jego przyjęcie czyniono przygotowania. Nim wyjechał, już wszyscy wiedzieli o projektach podróży; a kiedy już wyjechał, dniem i nocą na królewicza czekali, wysilali się na przyjęcie jakiego był godzien księżę waleczny, postrach wrogów chrześcijaństwa.

Ciekawe są szczegóły, jakimi drogami królewicz werbował swój dwór podróżny. Księżę kanclerz litewski Radziwiłł przyjął starszeństwo nad orszakiem, Pac go zastępował; i jeden i drugi niechętnie jechali, ulegali tylko życzeniom królewskim: jeden i drugi znali już Europę, i te kraje mianowicie, przez które miał teraz przejeżdżać Władysław. Radziwiłł miał swoje sprawy, Pacowi żona była na złączeniu. Wreszcie wybrano orszak. Niegromadno jednak wyjechał królewicz, dla uniknienia kosztów, i dlatego, że chciał zachować ściśle incognito, bo nie lubił żadnych parad, żadnych wystąpień, jako mąż rycerski, przywykły do życia obozowego, a jechał dla własnej, nie dla cudzej przyjemności. W całym orszaku miał tylko dwóch dyssydentów (Denhoff i Rozen).

Wyjazd z Warszawy nastąpił 17 maja 1624 r. Królewicz lubił niespodzianki, więc lubo po drodze stawały na niego czaty od książąt i królów, zawsze te czaty omylał, wpadał nagle jak piorun: prawda, że przez zdradę przewodników niezawsze mu się to udawało. Tak do Nissy wpadł nagle do arcyksięcia biskupa wrocławskiego Karola: z początku myślano w mieście, że to jaki podjazd Gaborowy. Szlążk podczas przejazdu królewicza miał jeszcze wcale polskie wejście. Nazwiska miast, wsi, obywateli, ziemian, były czysto polskie. Po wioskach siedziała szlachta polska nazwiskiem, polska pewnie jeszcze duchem. Byli jeszcze magnaci na Szlążku swojscy, miejscowi, pokazujący, że życie narodowe w tej oderwanej od ojczyzny prowincyi, jeszcze tlało. Pan Pruszkowski dostatkami przechodził kilku książąt szlązkich, którzy już na obywateli przechodzili, jak na Rusi niegdyś udzielnicy np. kniaziowie Ostrogscy. Pruszkowski ochotnie podejmował w domu swoim królewicza. Do ożywienia polskiego życia na Szlążku i to jeszcze się przyczyniało, że w początku trzydziesto-letniej wojny, prawie ciągle tam plądrowali nasi Lisowcy, i teraz w czasie przejazdu królewicza było ich tam pełno, chcieli nawet gdzie po drodze spotkać Władysława i arcyksięcia Karola: pierwszego, żeby łącznie przebaczenia dostąpili u Rplitój, która tylko co przeciw nim surowe napisała konstytucye; drugiego, żeby zapłaty swój u cesarza doszli (str. 18).

Bawiąc się w niespodzianki tak dalece, że nawet poprzyjaźnili się we Wrocławiu królewicz i Denhoff z jakimś kapitanem Szlązakiem, który strasznie był z niemi bez ceremonii, zjechał

orszak polski niespodzianie kardynała Dietrichsteina w Mikulowie (Nikolsburg w Morawii) i cesarza pod Wiedniem. W stolicy serdecznie przyjęty, bawił dłużej cokolwiek, bo zachorował, a do tego arcyksiążęta zjechali się tłumnie, poznać królewicza. W chorobie brał dary, bo taka etykieta była na dworze niemieckim, że nawet odwiedzający chorego, zawsze coś w upominku mu przynosili. W Austrii królewicz zrzucił polską suknię a przebrał się po niemiecku, i teraz dopiero każdy go poznał, bo wszyscy wprzód wiedzieli, że nadzwyczaj do cesarza samego i do arcyksięcia Leopolda był podobny (o tém podobieństwie stronica 31 i 79).

Gdybyśmy chcieli dalej iść za królewiczem w podróży po Europie, musielibyśmy albo dyaryusz Paca przepisywać, albo się ciągle powtarzać. Na główne jednak ustępy jego pochodzenia wskazujemy.

Dosyć powiedzieć, że najserdeczniejsze przyjęcie wszędzie po drodze spotykało mały orszak polski: to dowód, jak jeszcze wielkiego szacunku podówczas Rplita doznawała pomiędzy narodami. To zacny arcybiskup salzburski (stron. 30, 32); to poczciwy i zacny książę Müncheński staruszek (stron. 37—41) silili się jak mogli, żeby uczcić naszego Władysława. W Kolonii od niejakiego czasu podwojone biło życie. I samo miasto i książę elektor, według wyrażenia staropolskiego, sforcowali się dla królewicza; miasto z elektorem kłóciło się, arcybiskup przywłaszczał sobie nad niem władzę, której miasto nie uznawało. Ztąd na wyścigi do królewicza lecieli, miasto i elektor: każde chciało ufetować, przyjmując gościa. Gdyby królewicz przyjął od miasta gościnność, elektor byłby skompromitowany; gdyby od elektora, miasto. Władysław pośrednią wybrał drogę: płynął do Kolonii Renem, więc przez figle po kilku statkach rozrzucił swój orszak, i kiedy spiskowi zgrabnie się znaleźli, jakby kontrabandą dostał się w sam środek Kolonii. Tłumy ogromne obległy jego hotel, zgłęb, zbiegowisko było po ulicach: każdy tak chciał widzieć znakomitego księżęcia! Raduje uczucie polskie ta serdeczność ludu kolońskiego (stron. 47—52); królewicz umiał się kręcić, samozwańców rozesał po mieście, a gdy lud szukał wszędzie jego, on tymczasem obejrzał kościoły i osobliwości, wreszcie wymknął się z Kolonii podziękowawszy i miastu i kommissarzom elektorskim, i kazawszy swemu szafarzowi, co był winien za postój w gospodzie, zapłacić.

Osobnym ustępem w tej epopei był przejazd królewicza przez Belgię. Arcyksiężna infantka przeszła wszystkich serdecznością i wystawnością. Już w Kolonii układała się z Władysławem o ceremonial przyjęcia, i pomimo najusilniejszych nastawian nic a nic nie wskórała. Królewicz chciał wjechać do Bruxelli incognito. Ale niebezpieczna była droga przez Bei-

gią od Holendrów: ztąd co chwila nowy przystaw, nowy orszak po drodze spotykał Władysława; wreszcie niecierpliwi książęta i grandowie hiszpańscy, zabiegali mu drogę. Książę d'Aumale wychodźca francuzki, przez zbytek szacunku dla królewicza i niecierpliwości zobaczenia go prędkiej, siadł nawet gwałtem mu do karety. 6 września królewicz wjechał do Bruxelli. Sześć niedziel tutaj spędził na samych uroczystościach (wyjechał w dalszą podróż 14 października). Odbył przez ten czas wyprawę do obozu hiszpańskiego nad granicę, gdzie grzmiało niebezpieczeństwo z powodu wojny z Maurycym Orańskim; oglądał przekopy, wojska, które mu przedstawiał sławny generał Spinola.

Kilka szczegółów charakterystycznych znowu tego pobytu królewicza w Bruxelli, nie może ujść uwagi czytelnika. Uderza wyższością cywilizacji ówczesnej polskiej nad hiszpańską; charakter szlachecki, otwarty narodu wyrobił się, czystsze pojęcie i zasady u nas, lepsze pojmowanie życia, piękniejsze uczucie dumy i godności narodowej. Nasi szczycili się sobą i swymi wolnościami; Hiszpanie nadymali się arystokracją i głupotą. Chociaż Pac i Radziwiłł nie ustępowali pewnie ani starożytnością rodu, ani bogactwami, ani związkami najdumniejszym panom hiszpańskim, jednak co za różnica jednych od drugich! Nasi osobistą zasługą, a tamci tytułami się pyszną, jakby już wszystkie rozumy pojedyli, jak gdyby przy dostojności rodu, człowiek mógł już być bezkarnie ograniczonym, niedołącznym, nawet nikczemnym. Śmieszni wydaliby się ci grandowie hiszpańscy Pacowi. „Miał swe w tém dobre konsyderacye królewicz Jegomość, powiada w jedném miejscu Pac, że się nie chciał z temi panami grandami ceremonizować, którzy się wysoko noszą al pari udziałem książętom i synom królewskim, a nie masz nic, jedno próżny wiatr, którym ich król hiszpański nadyma, chcąc ich tém przyciągnąć do oddawania wiernego poddaństwa, temi próżnymi tytułami zatrzymywając ich w posłuszeństwie. Nie udało się tedy temu, który jest samą rzeczą grande di Polonia, stowarzyszać się, a tém mniej konkurować z temi pany grandi di Hispania” (stron. 61). Doskonała antyteza! markotni byli grandowie z królewicza, mianowicie z tego, że im nie kazał czapki włożyć w obecności swojej, bo „król hiszpański, kiedy ich grandami czyni mówi im: covred vos, to jest nakryjcie głowę” (stron. 64). Innego dnia kiedy królewicz z infantą siedział w pokoju, fraucymer go wszystek „witał pojedynkiem, chodząc do niego i kłękając przed nim na kolana, jak przed Bogiem jakim, a to jest rewerencya, którą Hiszpanie czynią panom swym” (stron. 65). Sliczny powód do żartów Pacowi z cudzoziemskich zwyczajów.

Wprzejeździe przez Belgię i księstwo Luxemburgskie królewicz przypomniawszy sobie Polskę. Jest to wprawdzie nasz

domysł, ale nie fakt podany przez Paca, uzasadniony tém przecież, że tutaj wszędzie po drodze widzieli nasi wędrownicy wioski i karczmy ladajakie, a w gospodach zimno, dymno, i chłodno; czasy nie zmieniły się odtąd. I dziś wjeżdżających do Belgii ze strony Niemiec uderza sielskość obrazów, ubóstwo nasze, chałupki wiejskie słomą pokryte, czego wcale od Odry aż po Ren nie widać (porównać nasz artykuł: „Tegoczesna podróż pana Maciejowskiego, w Dzienniku Warszawskim 1853 grud. i 1854 styczeń). Nie omyliliśmy się: Pac przypomina sobie ojczyznę nad Renem: „jużto księstwo Luxemburgskie, powiada, gospody w niém nasze własne, polskie”... (stron. 77).

Przejdziemy do Włoch. Królewicz nasz i tutaj był celem owacyi. Chciał zachować incognito, chociaż Pac nie był za tém, i postawił Wład. na swoim; ale mu to się niezawsze udawało. Gubernator np. Medyolanu Hiszpan hispanissimus (str. 93) aż klękał przed królewiczem, żeby pozwolił się wspaniale przyjmować. Chciał stawać królewicz po karczmach i zawsze go ktoś wydał. W Genui trafił nawet na jakiegoś szalbierza Włocha, który nazywał się konsulem, protektorem cudzoziemców wszystkich, jakoto: Anglików, Niemców a mianowicie Polaków (str. 100). Włochy w ogóle oddawna przysposabiały się na przyjęcie znakomitego królewicza: Urban VIII powitał go listem, w którym jasno wyłożone są przyczyny tego zajęcia, jakie królewicz podróżą swoją wzbudził po Europie (stron. 118). W państwie rzymskiem wszystkie honory robił Władysławowi kardynał protektor Polski de Torres (str. 121—2). Na posłuchaniu papież poznał Paca, bo kiedy był jeszcze legatem w Bononii, bawił i Pac tam wtedy, i kortezyował mu, to jest służył (stron. 123). Kardynałowie o Polaków w ogóle nie dbają, mówi nasz autor, ale mimo to rozpływali się w grzecznościach dla królewicza; przed jego przyjazdem narady trwały w Rzymie o sposobach, jak go przyjąć dostojnie. Różne były zdania; Władysław teraz dla ukarania dumy kardynałów oświadczył im, żeby sobie nie zadawali niewczasu wizytami u niego, gdyż czasu mało ma, a przyjechał do Rzymu gwoli nabożeństwa; królewicz więc przestawał tylko z dwoma kardynałami, to jest z synowcem i z bratem papieża. Urban VIII mianował umyślnie Władysława kanonikiem świętego Piotra, żeby mógł widzieć św. Weronikę (relikwie); kanonicy gniewali się troszkę na to, mówiąc: że królewicz zamała figura do tego; że po Karolu V nikomu papieże ieszcze tej łaski nie czynili. Na to papież odparł „że kto tyle bitew wygrał przeciwko poganom jak królewicz, nie jest wcale mniejszym od Karola V“. I Władysław kanonikiem będąc, włożył komżę, wszedł do kaplicy św. Weroniki, wziął ją w ręce, wyszedł na ganek, z którego w Wielkie Piątki zwykle relikwie te ludowi pokazywano; „toż uczynił trzykroć benedykcyą dając; myśmy na

dole z drugimi patrzali na to, powiada Pac, bo z nas żaden ani Karolem V nie był, ani tak wiele bitew jak królewicz z poganami nie wygrał" (str. 129). Naturalnie potem królewicz rezygnował kanonią. Papiież dał mu potem poświęconą przez siebie czapkę i miecz ze zwykłemi ceremoniałami, jedno bez assystencyi kardynałów, bo o to królewicz prosił (stron. 135).

W orszaku królewicza dwaj dyssydenci w Rzymie u papieża niebardzo byli na miejscu. Są tu też ciekawe a charakterystyczne o nich anegdotki (stron. 123, 137).

We Florencyi z powrotem do Polski, ciągle musiał królewicz bywać na komedyach. Grano tam między innymi sztukę „Ruggiero i Alcyna“, którą wytłumaczył potem na polskie Jagodyński, na pamiątkę pobytu królewicza we Florencyi. W. książę ustanowił wtedy nową fundacyą rycerską, którą Geralda przezwano (str. 141—4). Geraldi był to szlachcic włoski zasłużony osobiście Zygmuntowi III: dla niego stała ta fundacya. Ale miłsze królewiczowi było zdarzenie, kiedy książę na jego prośbę udarował wolnością „8-miu Rusniaków naszych, powiada Pac, którzy między więźniami na galerach byli w Liwurnie, właśnie w tym czasie, kiedy królewicz tę nadmorską fortecę zwiedzał“ (stron. 144). Szczegółu charakterystycznego nie pominiem. We Florencyi przy królewiczu odbywała się gra piłek, połączona z bitwą na kulaki i pięści. Musiało coś być wielkiego w tej grze, kiedy panowie florencey prosili naszych, żeby tój gry do Polski nie zaprowadzali.

W Wenecyi najświetniejszą na cześć królewicza wyprawiono regatę (stron. 161). Bawiący podówczas w Wenecyi jako poseł czy rezydent angielski, Wake, pod dniem 18 marca 1625 donosi swemu rządowi, o przybyciu królewicza do tego miasta, i szerszy nieco daje opis przyjęcia, jakie w Wenecyi zgotowano Władysławowi; widać, że polecenie było dane wszędzie ajentom angielskim, ażeby mieli na widoku osobę królewicza. Anglia wyraźnie się niepokoiła tą podróżą. Wake pisze, że królewicz wydawał się w Wenecyi smutnym, że go żadne przygotowania uroczystości nie bawiły, co niemało zmartwiło szlachtę wenecką, która nie szczędziła wcale zabiegów ku temu, żeby królewiczowi okazać uszanowanie swoje i radość (J. U. N. Zbiór pamiętników T. V, stron. 452).

Zaledwie napomknęliśmy tutaj o uroczystościach, których celem był królewicz polski, aleć to dosyć, żeby przekonać, jak dalece Polskę, jak osobiście Władysława szanowano. Piękneto były czasy sławy i potęgi narodowej, jeszcze nie nachylenój do upadku.

W Wiedniu z powrotem królewicz zajął się szczerze sprawą brata swego Karola Ferdynanda, względem biskupstwa wro-

clawskiego. Szczegóły które tutaj podaje Pac są nowe i ciekawe, bo świadczą o resztkach wpływu polskiego na Szląsku.

Powróciwszy z Neapolu, w Rzymie 17 stycz. dowiedział się Władysław o śmierci arcyksięcia Karola, która nastąpiła w Hiszpanii 28 grud. „z nieszanowania znać i z niepomiernego jedzenia i picia trunków mocniejszych, co tam jest śmiertelne“ (str. 135). Biskupstwo wrocławskie obiecane po nim królewiczowi polskiemu. Dojeżdżając do Wiednia, spotkał Władysław po drodze Przerębskiego kasztelana sieradzkiego, który tylko co przyjechał w poselstwie do cesarza z żałami ze śmierci arcyksięcia i z doniesieniami też o śmierci królowej siostry Zygmunta III. Ale głównie (tamtó wszystko było pozorne) z prośbami o biskupstwo wrocławskie. Koadjutorem arcyksięcia był już wprawdzie od niejakiego czasu królewicz, ale że „instrumentum to coadjutorii nie z tym dozorem i dokładem jako potrzeba było sprawowane było“ (stron. 165), ztąd kapituła wrocławska zadawała instrumentowi niepewność, domagając się wolnej elekcji, chcąc jednego z siebie wynieść na biskupstwo. Dużo było i o to kłopotu, ale królewicz w Rzymie jeszcze zabezpieczył się; nadrobił z papieżem, tak, że na wszystkie niepewności i obawy kapituły, mógł zwycięzko odpowiedzieć. Zresztą cesarz, który ciągle z wielką grzecznością był dla Władysława, oświadczał się za dawnemi układami, a Zygmunt naglił. Takięj przemocy oporu stawić nie mogła kapituła. 4 kwietnia stanął królewicz w Wiedniu. Opuszczali go tutaj Polacy, przodem książę Radziwiłł odjechał, zleciwszy rządy swe przy królewiczu panu sieradzkemu, zanim Żółkiewski starosta kałuski pospieszył. Chciał i Pac ich naśladować, ale niebardzo mu się godziło królewicza odbiegać. 18 grudnia dopiero Władysław wyjechał z Wiednia, jak najserdeczniej przyjmowany przez cesarza i cesarzową. Na Szląsku ledwo co nie umarł w drodze z konwulsyi, które go nagle napadły. W Nissie dla sprawy brata zatrzymał się cokolwiek. 26 kwietnia nie było już tutaj tego serdecznego przyjęcia, jakiego doznał przed półrokiem; nowy pałac od arcyksięcia biskupa zbudowany, kanonicy wrocławscy opanowali. Ztém-wszystkiém Władysław postanowił w Nissie czekać na konie i wozy z Polski, a tymczasem brał lekarstwo i łowami się bawił. W dwa dni po przybyciu do Nissy odebrał wiadomość z Wrocławia. Długo spierali się kanonicy, wreszcie ulękli się, królewicz polski miał za sobą prawo, a do tego gromady Lisowczyków po granicy polskiej wieszaly się; nie cieszyła też ich bytność królewicza. Złękli się o siebie, o Wrocław, o cały Szląsk. Jednomyslnie więc brata Władysławowego obrali biskupem. Zaraz do Władysława do Nissy ślali, żeby za to Lisowczyków od granicy odsunął: to największy strach był. Wdzięcznato była królewiczowi nowina, ile, że nie spodziewał się zwycięstwa bez walki,

a wiedział co kanonicy odpisali Zygmunutowi ojcu, z czém posłali do cesarza i Rzymu, jak opierali się na prawie swém; jak aż do gardła chcieli bronić wolnej elekcyi. Sprawa Boża to była. Więc królewiczowi w Nissie zdało się zaraz wyprawić kogo do kapituły wrocławskiej, wdzięcznie przyjmąc elekcyą brata, wszystko pożądane po nim i po wszystkiój Rzplitej obiecywać, swoje téż chęci szczególnie ofiarować, a ludzi swawolnych polskich od Szlązka wstrzymać. Pac pojechał z tém poselstwem. Publicznie odprawiał je w kapitule, i odpowiedź otrzymał pełną podziękowań i poddania się. Więc 2 maja opuścił Nissę pan sieradzki, rządy Pacowi zdawszy; więc 8go pan Kazanowski starosta kokenhauski przyprowadził konie i wozy; więc 11go wyjechał królewic z Nissy, stanął 22 maja w Warszawie, przyjęty z największą radością od króla, królowej i braci.

Królewicza Władysława widzimy w tej podróży wesołym, lubiącym niespodzianki, grzecznym, uprzejmym. Byłto rycerski, prosty, szlachetny, otwarty charakter. Nie lubił żadnych wystawności, zgiełku i parad. Niedumny, nic sobie nie robił z pochlebstw, z tytułów, z grzeczności, jakimi go obsypywano. Wszędzie mu wyrządzano honory, mimo prośb, mimo obietnic. Śmiertelny wróg etykiety, miał w sobie wiele z tych cech, któreto stanowią typ szlachcica polskiego. Byłto więc nie pan, nie magnat na cudzoziemską stopę, byłto prawdziwy królewicz polski. Musieli go téż serdecznie kochać młodzi jego towarzysze podróży téj i spraw rycerskich. Światły, znał się na sztukach pięknych. W Antwerpii oglądał pracownię różnych malarzów, a mianowicie Rubensa; podziwiał malowidła kościelne i w ogóle budowę kościołów (stron. 67.) W Bononii zwiedzał pracownię drugiego artysty Guido Reniego, który przy nim nawet malował „z wielką politessą i prędkością“ (stron. 116). a muzyki co się królewicz nasłuchał! Przeszłością swoją, powierzchownością, obejściem się, światłem, mógł królewicz w istocie oczarować społeczeństwach. Rzeczywiście mało mu równych było książąt w Europie. I dlatego podróż ta, którą Pac opisał, wiele po sobie, po różnych krajach zostawiła wspomnień.

Głęboki znawca historii narodowej i trafny o niej sędzia, który w Dzienniku Warszawskim (1855 kwiecień) pisał o książce pana Plebańskiego, wytknął główne jej zalety i wady, i zachęcał pracowników do obrobienia téj ciekawej podróży, krytycznie i porównawczo. Nie mamy co dodać do jego uwag, tak są trafne, prawdziwe; ale kiedyśmy tyle o samój podróży i dyaryuszu jej napisali, słów kilka nie będzie nikomu od rzeczy o samym jej autorze. Charakter Paca interesuje historią. Był później podkanclerzem i wielki wpływ wywierał na sprawy narodowe. Charakterystyka tego człowieka stanu, którą w prywatnej korespondencji skreśla nam autor artykułu w Dzienniku Warszawskim, jako dopełnienie samego artykułu, nic nie pozostawia

do życzenia. Dajemy ją tutaj dosłownie, gdyż w Dzienniku już być drukowaną nie mogła.

„Stefan Pac, natenczas pisarz W. ks. lit., mowibezimienny a zdolny spostrzegacz dziejów narodowych, w orszaku królewicza po Stanisławie Radziwille był drugim z rzędu, co do znaczenia i powagi, równie jak ksiązę kanclerz, człowiek młody, bywały i dobrze uczony, ale od niego wolniejszy w obyczajach i wierze. Do rzeczy więcej zajmujących, należą postrzeżenia własne autora i te szczegóły, z których o nim samym cośkolwiek wniesć można; zapiszę ich kilka zasługujących na uwagę.

„We Wrocławiu królewicz znajomi się za stołem z jakimś Szlązakiem; jako żołnierz z żołnierzem uczynił z nim przyjaźń, z kąd przyszło do dalszej konfidencyi i do odwiedzin pewnej nadozobnej wdowy w klasztorze (Obraz str. 15 i 16). Pac mówi o tém bez żadnej wstecznej myśli, któraby go mogła w tém postępowaniu urazić; tak samo i o gospodyni pod złotym gryfem w Lincu, której przeplacili za to, że była młoda i gładka (tamże kar. 27 i 28), na co nasi nabożniszkowie nie patrzali, dodaje, odnosząc to, jak mi się widzi, do Radziwilla. Podobą mu się zwyczaj w Baden, gdzie się kobiety (panny nawet) z mężczyznami kąpią pospołu, ale powiada, podobnoby się tém nasze święcice gorszyły (tamże kar. 26). Dalej żartuje z pustelnika, który uciekł z ogrojca ks. arcybiskupa salzburskiego, chociaż mu podostatkiem żywności i dobrego wina dodawano, a z delicii i dewocji grę słów układa (tamże kar. 33). W ciągu podróży mówiąc o jednym noclegu, przeziera w tym rodzaju myśl jeszcze mniej skromna (tamże kar. 164). Tańcuje u kanoniczek niwelskich (tamże kar. 75), pije wino u zakonnic św. Daniela (tamże kar. 161); a kiedy Wenetowie zagrozili galarami i wypędzili z miasta Kapucyna, który ich strofował o przyjmowanie królewicza z zapomnieniem wielkiego postu (tamże karta 162) nie widać ze słów autora, aby im o ten brak pobożnego skrupułu bynajmniej przyganiał.

„Podobnych rysów znalazłoby się więcej, ale są i takie, które im wyraźnie zdają się zaprzeczać. Wpływ dworu, któremu służył, pieczęć swoją i na umyśle Paca odcisnął. W Alzacyi, kraju wesółym, smutno mu, że mało katolików (tamże k. 81). Przyczyna świętego Władysława ratuje pakunki od grabieży (tamże kar. 86). a odświeżenie krwi świętego Januarego, jestto jeden cud, jaki w życiu swém widział (tamże k. 132); to téż ksiązę Radziwilla, wspominając o jego śmierci, nazywa go mężem gorliwością wiary pałającym (Pamiętniki pod rokiem 1640, listopad).

„Wiara polityczna autora jest mniej wątpliwą: jestto szlachcic rzeczypospolitej, która się w możnowładztwo przerażać zaczęła. Grandów hiszpańskich nadętymi próżnym wia-

trem być mieni (Obraz k. 61); podług niego kardynałowie wysoko się noszą (tamże k. 114), bo cóż oni dbają o Polaki (tamże k. 123), dodaje z niechęcią. O Szwajcarach mówi, że im wszystko uchodzi favore ebertatis (czytaj libertatis dla sensu), które to chłopstwo, wybiwszy panów sobie uzurpowało (tamże k. 86). W drodze, mówi dalej, minęliśmy pomnik ich pierwszej rebellii, o której historia bajce podobna; łacno jej zkąd inąd zasiądz ja pisać nie będę (tamże k. 87). Nie przypadała mu do smaku gra niemiecka z rozdawaniem urzędów dla mieszaniny, w której dostawało się panom być woźnicami, masztalerzami i t. p. (tamże k. 81) i niebardzo się przyznawał do Paców w Florencji, gdzie się szlachectwo bardzo z kupiectwem przymieszało (tamże k. 142).

„Dziennik Paca jest dziełem dobrej wiary, i nie myślał go pewnie wydawać; kiedy królewicz odmówił stanąć w Monte Cavallo, uważa to być błędem, ale ten (prawi) niech przejdzie z innymi błędami (tamże k. 123), pochlebiać przeto nie miał zamiaru, a kiedy trochę niżej o przewagach Władysławowych nad pogany nadmienia (tamże k. 129); sam sposób wyrażenia żartobliwego pokroju tłumaczy jasno, co o tém sam u siebie rozumiał“.

Piszemy się na te wszystkie wywody i wnioski, ale jednak do tych rysów dodamy kilka innych, których może nie zauważał szanowny nasz korespondent.

Że Pac był satyrykiem, to zaraz widać. Jeżeli przymawiał królewiczowi, Radziwiłłowi i kardynałom i rycerstwu polskiemu za wyprawę pruską (str. 72), przymawiał i w ogólności Polakom, gdy narzekał, że u nas kuchnie większe niż dom, i że wszystkie intraty idą na brzuch (stron. 102). Rozmowny bardzo nie był, umiał się trzymać na ostrożności, często mówił pół gębkiem, w podróż się wybrał przez uczucie powinności dla króla, gdy go oto prosił; to znowu szlachetnie z jego strony, bo nawet żonę rzucił. Notował sobie dyaryusz podróży dla pamiętki gdzie był i co widział, ale nie myślał o sławie literackiej; rzeczywiście zostawił bogaty materiał, z którego już korzystał Kobierzycki i Wassenberg. Materiał to obyczajowy, doskonały, rzadki. W opisy miejscowości Pac się nie wdaje, bo mówi tylko o przygodach podróży, zresztą tłumaczy się zawsze, że są księgi z opisami, więc i tutaj z gadulą się nie popisuje. Co zaś do jego wiary, szczególnie charakterystyczny jest o księdzu Dominiku karmelicie, który miał o sobie opinią świątobliwości, „i znać cuda czyni“ powtarza Pac (str. 129), ale zaraz zwyczajem swoim żartuje i przytacza anegdotę, że cesarzowa niebardzo dowierza ojcu Dominikowi, bo dwa razy jej obiecywał syna, ale napróżno. Pac nie widział krwi ś. Jana Chrzciciela w Neapolu, ale za to widział jak się inna krew ś. Januaryusza spiekła i twarda jak kamień, rozpuszczać począła. Pac troszkę filozof, troszkę racjonalista,

powiada jednak przy tém zdarzeniu „jam nigdy na świecie cudu nie widział żadnego, jedno ten” (str. 135). Z największym szacunkiem mówi wszędzie o papieżu, i żartuje z Denhoffa, który raz na obiedzie w Rzymie musiał klękać przed Urbanem VIII. Kilka razy Pac, ojca św. w nogę z pobożnością całuje; Urban mu prawi komplementa, cieszy się, że Pac pochodził z rodziny florenckiej, „a jam téż niezapierał” (stron. 138 143). Chociaż Pacowie florency naówczas kupcami byli, ale to nie psuło ich szlachectwa, jak wszystkiój szlachty florenckiej; więc zawsze nasz Stefan mógłby się szczyścić związkami rodzinnymi z Florencyą, ile, że Pacowie emulowali niegdyś długo z Medyceuszami: nie robi tego przecież, nie sprzeciwia się, kiedy mu o tém mówią, ale prawie tym związkom rodzinnym nie wierzy, nie dlatego, jak sądzim, że to kupcy dzisiaj, jak utrzymuje autor artykułu w Dzienniku Warszawskim. Przeszłość Paców florenckich za świetną była, żeby się jój wyrzekać miał jaki pan dumny. My więc w tém zapieraniu się naszego Paca widzim dowód nowy, jego niepospolitego rozsądku i jasnego widzenia rzeczy, iż nie gonił nigdy za cieniem.

D. 19 maja 1855 r.

Julian Bartoszewicz.



ROZMAITOŚCI.

Słowo o przyczynach upadku miast w dawniej Polsce.

Stan miast naszych za czasów Piastowskich, a poniekąd i za czasów Jagiellońskich jeszcze, był bardzo kwitnący. Świadczy o tém nietylko historia, ale nadto i wiele innych niemylnych dowodów, jakoto: przywileje odnoszące się do założenia lub rozszerzenia rękodzielni i fabryk; szczątki bruków ciągnących się długim promieniem wokół niektórych, dzisiaj lichych miasteczek; dalej, zwałiska zamków i murów otaczających niegdys miasta; znachodzone tu i owdzie ślady urządzeń dotyczących porządków miejskich, jako: utrzymania bruków, dróg, mostów, wodociągów, grobel; wreszcie częste wzmianki o istniejących niegdy w wielu miastach woskowniach, tartakach, młynach, cegielniach i t. p.: słowem, wszystko przekonywa, że stan miast naszych był dawniej wcale odmiennym od tego, w jakim się one znajdowały w wieku XVII i XVIII.

Chylenie się miast do upadku następowało zwolna, długim lat ciągiem, a następowało skutkiem wielu nieprzyjaznych okoliczności; zbadać je bliżej i wykazać, zadaniem jest właśnie niniejszego pisma.

Wiadomo, że miasta polskie były albo królewskie, albo duchowne, albo szlacheckie. Z tych pierwsze jako najdawniejsze, służyły dla innych pod względem organizacyi niejako za wzór.

Miasta królewskie początkowo całkiem wolne, przypuszczone były do udziału w obradach krajowych, i krom własnej jurysdykcyi, zależały jeno od najwyższych magistratur sądowych. Miasta duchowne i szlacheckie, jakkolwiek podlegały zwierzchnictwu swych właścicieli, miały sobie jednak po wielkiej części nadane prawo magdeburskie, które ich zastrzaniało od

wszelkiego rodzaju nadużyć i prywatnej przewagi. Kiedy atoli nastał w Polsce rząd elekcyjny, a szlachta przyjęła władzę prawodawczą, sądową i wykonawczą, i tym sposobem stała się wyłącznym uprzywilejowanym stanem w państwie, garnąc w siebie poniekąd i duchowieństwo, jako po większej części także ze szlachty złożone: wtedy interes pojedynczych właścicieli jał brać górę nad dobrem ogółu, i poczał się ucisk miast.

Wprawdzie królowie troskliwi o byt i pomyślność miast, potwierdzali nadane im dawniej przywileje posiadania własnego sądownictwa i odnoszenia się dopiero w drugiej instancyi do wyższych władz krajowych; potwierdzenia te jednak mało już mogły skutkować, gdyż mieszczenie coraz to bardziej tracili na znaczeniu, a podpadali wpływowi i supremacyi szlachty. Starostowie w miastach królewskich, a dziedzice w miastach prywatnych, umieli sobie coraz więcej przywłaszczać władzy, jużto wpływając na obiór urzędników miejskich, którzy bez ich potwierdzenia obowiązków swych sprawować nie mogli, jużto nie dopuszczając apellacyi i rozstrzygając sami zaszle spory; jużto w razie poniesienia sprawy przed sądy wyższe, kaptując sobie sędziów będących także szlachtą i po większej części miast właścicielami, a więc niebardzo za mieszczanami obstających; już wreszcie w przypadku wygranej mieszczan, tamując exekucyą zapadłych wyroków.

Obok tego zaprowadzone różnego rodzaju opłaty, szkodliwie oddziaływały na stan przemysłu, ubożąc i tak już niezamożnych mieszkańców miasteczek. Nie było prawie procederu albo rzemiosła, któregoby w tém lub owém mieście, krom podatków, danin kościelnych i składek cechowych, nie obciążono nadto jakimi opłatami starościńskimi lub dominialnemi.

I tak naprzykład: rzeźnicy w Kaliszu musieli płacić od rzezi złp. 1000, a rzeźnicy w Stawiszynie złp. 600 rocznie, na rzecz miejscowych starostów. W Słupcy piwowarowie wnosili do dworu złp. 1000 rocznie. W Kole, starostowie pobierali dość znaczne opłaty od szewców. W Krotoszynie każdy rzeźmieślnik opłacał do dworu złp. 8 rocznie, a mydlarze złp. 60 rocznie; a prócz tego dominium ciągnęło zyski z monopolu sprzedaży wina i śledzi, co i w wielu innych miastach, jak: w Rączkowie, Pleszewie i t. p. miało miejsce. W Jutroszynie, każdy kramarz płacił dworowi złp. 16 rocznie. We wszystkich zaś prawie miastach kupczący solą wnosić musieli roczną opłatę do dworu albo starostom.

Nader téż dotkliwie uczuć się dało miastom uszczuplenie lub odjęcie im niektórych dochodów, co lubo na pozór nie zdawało się w szczególności ukrzywdzać pojedynczych mieszkańców, w skutkach jednak okazało się być bardzo uciążliwém, bo zwaliło na karb ich opędzanie potrzeb miejskich, zaspokajanych

dawniej z owych upadłych dochodów, i pozbawiło miasta możności zaprowadzania nowych porządków i ulepszeń, a nawet należytego utrzymania tych, jakie już pierwój istniały. Niektóre dochody uszczuplone zostały miastom w skutek uchwał sejmowych, jak naprzykład w skutek uchwały, pozwalającej szlachcie dostawiać i przeprowadzać swoje produkta bez opłaty myta grobelnego, mostowego, brukowego; co naturalnie zrzędało znaczny uszczerbek w funduszach miejskich.

Czytając dawne przywileje lokacyjne, dziwić się zaiste należy, jak dalece miasta ogołcone później zostały z służących im praw i dochodów; i jak umiano przywłaszczenia te utrwalić, jużto wniesieniem ich do lustracyi, jużto zyskaniem przysądżających dekretów, albo drogą przymusowych układów. Mówimy przymusowych, bo trudno przecież przypuścić, ażeby miasta zrzekać się miały dobrowolnie swoich praw i dochodów, bez otrzymania odpowiedniego wynagrodzenia, i brać jeszcze na siebie przywiązane do nich ciężary. A jednakowoż że się tak działo w istocie, objaśni kilka następujących przykładów.

Miasto Kalisz posiadało od niepamiętnych czasów własne młyny, do których starostowie wielkopolscy urościli sobie później prawo, i takowe im téż uchwałą z r. 1616 przysądżone zostały, z tém atoli zastrzeżeniem, iż młyny te pozostaną nadal w wieczystém posiadaniu miasta, za opłatą rocznego czynszu złp. 1700 na rzecz starostw. Nie poprzestając na tém wszakże, nie omieszkali następnie starostowie tak pokierować sprawę, iż wbrew powyższemu zastrzeżeniu, ustanowiony z młynów czynsz roczny, czyto skutkiem zmiany wartości i stopy monetarnój, czy z innych powodów, uległ kilkokrotnemu podwyższeniu. Ostatni zaś starosta, Kazimierz Nałęcz Raczyński, dokazał wreszcie tego, że w r. 1786 miasto Kalisz zobowiązało się nietylko opłacać czynsz w ilości rocznej złp. 5500, ale nadto ponosić w znacznej części podatek kwarty do intrat starościńskich przywiązany; co wszystko po wliczeniu nawet dochodu z młynów, czyniącego zaledwie tyle, co i sam czynsz wynosił, przymnożyło miastu kilka tysięcy rocznego wydatku prócz kosztów, jakie utrzymanie i reparacya młynów za sobą pociągały.

Miasto Koło miało sobie przywilejami zapewnione prawo poboru myta mostowego, i otrzymywania z lasów starościńskich bezpłatnie drzewa na reparacye mostu potrzebnego. Tymczasem wbrew temu przywilejowi, uchwałą sejmową z r. 1768, prawo poboru myta powyższego przyznano miejscowemu staroście, wkładając nań obowiązek utrzymywania swym kosztem mostu. Wszelako nawet i temu ostatniemu obowiązkowi nie stało się zadość, i miasto, niedosyc że postradało dochód z mostu, ale

nadto musiało go jeszcze własnym kosztem utrzymywać i naprawiać.

Miasto Krotoszyn posiadało z mocy przywileju własną cegielnię, którą sobie następnie dominium nie wiedzieć z jakiego tytułu przywłaszczyło.

Sledząc dalej przyczyny upadku miast, do rzędu ich zaliczyć także można uszczuplenie dochodów konsumpcyjnych, spowodowane tém, iż niemal we wszystkich wsiach w pobliżu miast leżących, praktykowałą się rzeź bydła; przez co rzeźnicy miejscy, jako obciążeni opłatami, nie mogąc wytrzymać konkurencyi, bardzo wiele szkodowali: albowiem mieszkańcy zamiast co by u nich mięso kupować, kupowali je po wsiach gdzie było tańsze. Podobnież i prawo propinacyjne służące miastom, uległo później naruszeniu. Pominąwszy bowiem przywilej miłowego, zapewniony niegdy wielu miastom, jak naprzykład Wieluniowi, Zagurowu i t. p., a uchwałą sejmową następnie uchylony; to prócz tego, główny uszczerbek propinacyi miejskiej zrzędały karczmy szlacheckie coraz gęściej tuż przy miastach stawiane. W karczmach tych sprzedawano piwo i wódkę taniej niż w mieście, bo szlachta mając własne zboże, drzewo i pańszczyznę, a przytém nie ponosząc czopowego i zyskowego, mniejszym tóż kosztem mogła browary i gorzelnie swe urządzać. Cała gawiedź miejska biegła hulać w pobliskich karczmach szlacheckich, a mieszczenie pozbawieni odbytu, obarczeni ciężarem opłat, ujrzeni się z czasem w smutnej konieczności zamykania swych browarów i gorzelnii, marnowania własnego mienia.

Z miastami prywatnemi jeszcze gorzej się stało: tym bowiem prawo propinacyi z mocy uchwały sejmowej z r. 1775 całkiem odjęto, przelewając takowe na korzyść dziedziców. O ile skutkiem tego mieszczenie ucierpieli, łatwo sobie wyobrazić. Zabudowania i aparaty browarne i gorzelane, albo za bezcen przyszło im spieniężyć, albo zniszczeniu zostawić.

Sród takich okoliczności musiał naturalnie i przemysł doznać stagnacyi, zwłaszcza, że się ku takowemu naród nasz nigdy nie garnał zbytecznie, zostawiając raczej obcym przybyszom otwarte pole działania, a miłując nad wszystko ziemię i powołanie rolnicze. To tóż i mieszczan polski rzadko bawił się rzemiosłem lub handlem, a żył głównie z pracy około roli; w znaczniejszych zaś miasteczkach rachował najwięcej na dochód z domostw najmowanych szlachcie, zjeżdżając liczenie na sejmiki, sądy, odpusty, jarmarki. Do tego stanu rzeczy przywiodło wprawdzie głównie to, że przemysł i handel miast naszych w samych niemal początkach swego rozwoju zachwiany został, skutkiem nadzwyczajnego napływu żydów, którzy prześladowani i wygnani nawet ze wszystkich prawie krajów zachodniej Europy, znajdując w jednej tylko Polsce przytułek i tolerancją, co-

raz liczniej tu osiadali. Wynalazek wexli obmyślony przy końcu XV wieku przez żydów, i przez długi czas im samym tylko znany, posłużył im dzielnie do zmonopolizowania w swym ręku całego ruchu handlowego. Stan mieszczański nie mogąc przemieścić cisnącej go rywalizacji, usunięty od handlu, chwiał się, upadał; aż wreszcie znikł niemal całkiem, stracony do rządu gminu, albo przeobrażony w klasę rolniczą. Żydzi obcy mową, religią, zwyczajami, zawistni chrześcijaństwu, kładący pieniądź jedynym celem swoich zabiegów, stłumili żywioł mieszczański, nie posiadając sami bynajmniej przymiotów, ażeby go mogli godnie zastąpić.

Odtąd wprawdzie namnożyło się miasteczek, bo zamożniejsza szlachta prześcigała się w przemienianiu swych wiosek na miasta, osiedlając je skwapliwie przybywającymi żydami; ale właśnie samo to zbyt liczne namnożenie miasteczek, bez względu na potrzeby kraju i jego ludności, sprawiło: że miasteczka nasze górowały raczej ilością a nie jakością; i że nie mając już prawie żadnego odbytu, wadziły jedne drugim i grzęzły coraz bardziej w biedzie, zaniedbaniu i opuszczeniu.

Kłęski wojenne dokonały reszty. Zniszczenia mieczem i ogniem przez Szwedów zrzędzone, przywiodły do ruiny prawie wszystkie nasze miasta. Późniejsze zaś wypadki nie były zaiszte tego rodzaju, ażeby je mogły być z upadku podźwignąć.

Odezwa redakcyi Roczników Gospodarstwa Krajowego do Obywateli ziemian ().*

Na doroczném św. Jańskim r. b. posiedzeniu, odbytém, jak zwykle, pod przewodnictwem JW. Gubernatora Cywilnego gubernii warszawskiej, zebrani akcyonaryusze, właściciele Roczników Gospodarstwa Krajowego, jednomyślnie przyjmując projekt jednego z pomiędzy siebie, upoważnili redakcyą do następującego ogłoszenia:

Zważywszy, że jak każdy człowiek przez cały ciąg życia uczyć się powinien, tak w szczególności w kraju rolniczym, rolnik, aby powołaniu swemu odpowiedział, w usiłowaniach postępowych zalegać nie może; rolnictwo bowiem, w ostatnich zwłaszcza czasach, silnie, znakomitym rozwojem nauk przyro-

(*) Odezwę niniejszą najchętniej redakcyja Biblioteki Warszawskiej zamieszcza w swém piśmie; uważa bowiem, że doprowadzenie do celu tak pięknego pomysłu, zbawienne dla kraju naszego zapewni owoce.

dzonych poparte, stało się umiejętnością, wymagającą wielu specjalnych, tak teoretycznych, jako i praktycznych wiadomości.

Zważywszy, że sama teoria rolnicza, jako z natury swjej ogólna. lubo podaje nam zasady na doświadczeniu oparte, nie jest wszakże zdolną przewidzieć rozlicznych względów, z okoliczności miejsca i czasu wpływających;—głównie zaś praktyki rolniczej zadaniem jest, trafne i umiejętne stosowanie zasad teorii do klimatu, gatunku ziemi, potrzeb i usposobienia mieszkańców, oraz wszelkich innych okoliczności, których należyte uwzględnienie, rolnikowi możliwe maximum zysku zapewnia.

Zważywszy, że kraj nasz, opiekuńczym Wysokiego rządu rozporządzeniom, już oddawna zawdzięczając istnienie Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Marymoncie, z którego corocznie znaczna liczba usposobionych rolników na Królestwo się rozchodzi, posiada pośród siebie wielu ziemian, zdolnych i gotowych śledzić ciągle dalsze postępy nauk rolniczych, a tém samém korzystnie wpływać na wzrost własnego naszego rolnictwa.

Zważywszy, że do zaprowadzenia ulepszonego gospodarstwa, dobry praktyczny przykład najskuteczniej rolników zachęcać jest mocen, a pojedyncze usiłowania, któremi w téj mierze kraj nasz szczyścić się może, wyjątkowe tylko i w nader ograniczonym zakresie skutki przynoszą: należałoby więc te rozstrzelone usiłowania, w pojedynczych miejscowościach jaśniejące, w jedno zebrać ognisko, któreby, jak pochodnia, przyświecając postępowi rolnictwa całego kraju, prawdziwie było dla niego praktycznym gospodarstwa wzorem.

Zważywszy nareszcie, że aby taki wzór gospodarstwa odpowiedział powyższym użyteczności publicznej warunkom, powinien być jawnym, zostawać poza sferą indywidualnych względów i nie być ścieśnionym warunkami nieoznaczonego czasu istnienia; to wszystko mówimy, zważywszy, niniejszém projektuje się:

Zawiązanie Spółki rolniczej, bezimiennój, na lat 40, z kapitałem mniej więćej 45,000 rsr. mającym się zebrać z rozsprzedaży odpowiedniej liczby akcji, każda po rsr. 30;— a to w celu założenia i prowadzenia w bliskości Warszawy, na odpowiednią skalę, gospodarstwa wzorowego, oraz odbywania stosownych prób i doświadczeń, pod kierunkiem Zarządu, złożonego z osób, najpraktyczniej z istotnemi potrzebami krajowego gospodarstwa obeznanych, a do których wyboru i wyznaczenia, sami akcyoncryusze powołanemi będą.

Skoro redakcja zyska pewność zebrania połowy wspomnianego tu kapitału, to jest kwoty 22,500 rsr, już poczyta się

za upoważnioną do przedstawienia spółki pod zatwierdzenie Wysokiego Rządu; a następnie samymże akcyonaryuszom nie omieszka przelożyć dalszego rozwinięcia myśli zasadniczych projektu, który niniejszą odezwą w treści podaje.

Dla doprowadzenia tego zamiaru do skutku, szanowni Ziemianie, myśl powyższego projektu dzielający, raczą redakcyi Roczników Gospodarstwa Krajowego, do dalszego użytku, nadsyłać podpisane przez siebie deklaracye.

Warszawa, dnia 25 sierpnia, 1855 r.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

Glin (Aluminium). Professor Dumas przedłożył 20 czerwca r. b. Akademii umiejętności paryzkiej w imieniu p. H. S. C. Deville, pierwsze okazy glinu, wyrobionego przez tego chemika kosztem cesarza, w zakładzie wyrobów chemicznych towarzystwa z Javel. Metal tą razą przedstawiony nie stanowi tak jak dawniej cienkich blaszek, ale jest w kształcie walców w liczbie około 12, długich blisko na 30 centymetrów, a szerokich 3 do 4 centymetrów. P. Dumas zrobił uwagę, że pomiędzy własnościami odznaczającymi ten metal stopiony, nie uważano dotąd jednej, to jest dźwięczności; dla przekonania zaś o niej, zawiesił jeden z walców na sznurku, a uderzając go, wydobył dźwięk najwyraźniejszy metaliczny. Co się tyczy sposobu otrzymywania tego pierwiastku, w następnych słowach p. Deville go opisuje:

„Otrzymywanie pod względem przemysłowym materiałów, które podług mnie były potrzebne do utworzenia glinu, to jest chlorku glinu i sodu; zdaje mi się być rzeczą rozwiązana, wyjąwszy chyba zmiany aparatów z postępowaniem fabrykacyi na wielką skalę“.

„Chlorek glinu wyrabia się przez działanie chloru na mieszaninę glinki i smoły z węgla kamiennego, poprzednio wspólnie wypalonych w retorcie zwyczajnej, jakiej się używa do otrzymywania gazu. Z doświadczeń moich okazało się, że chlor działa na warstwy mieszaniny grube na 1 do 2 najwięcej decymetrów. Zgęszczanie chlorku skutecznia się w izbie murowanej, wyłożonej wewnątrz kafkami fajansowemi. Tym sposobem otrzymany chlorek glinu przedstawiony Akademii, był w postaci ciała zbitego, znacznie ciężki, i składał się z kryształków barwy

żółto-siarkowej. Chlorek ten mało zawierał żelaza, ale przy otrzymaniu glinu, w zupełności się oczyszczał, ponieważ jego para przechodziła przez rozpalone żelazo w cieple około 400°. Półtoro-chlorek żelaza, równie lotny jak chlorek glinu, zmienia się w zetknięciu z żelazem w chlorek pierwszy, i staje się względnie mówiąc, nielotnym. Para chlorku glinu wychodzi z przyrządu, i tworzy kryształy bezkolorowe i przezroczyste“.

„Sód zaś otrzymuje się dzisiaj w wielkich i małych naczyniach z nadzwyczajną łatwością, i to zapewne w cieple blizkiem topiącego się srebra, bo rzeczywiście walce do powyższego celu użyte nie były nawet tak ogrzewane, jak tego potrzeba przy wydobywaniu cynku“.

„Już dzisiaj nie przepędzam powtórnie sodu, ale odrazu otrzymuję czysty“.

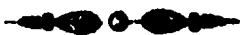
„Oddziaływanie chlorku glinu na sól, uskutecznia się w rurkach metalowych, ale ani ich kształt, ani też sposób postępowania nie odpowiadają przemysłowości, i dlatego przy tej robocie otrzymany wydatek, może być powiększony: spodziewam się, że okoliczność powyższa wkrótce zostanie przezemnie usunięta“.

W takim położeniu rzeczy, każdy zapytać się może, czy jest nadzieja, że glin otrzymywany będzie po cenie, któraby pozwalała zastosować go do rzeczywistych użytków: ponieważ cena dzisiejsza jest jeszcze wysoka. Zapytany w tym celu p. Dumas przez jednego z członków Akademii, odpowiedział, że tego spodziewać się należy, gdyż sól, którego kilogram kosztował 1000 franków w tych czasach gdy zaczęto robić próby dla wydobywania glinu, może być dziś otrzymany za 10 franków kilogram. Co się tyczy chlorku glinu, tego kilogram kosztuje franków 1 i 25 centymów. Ponieważ zaś potrzeba 3 kilogramów sodu, do otrzymania 1 kilograma glinu, cena więc dwóch pierwszych materiałów koniecznych dla wydobywania 1 kilograma glinu, wynosi tylko 31 franków i 25 centymów. W rachunek ten nie wchodzi koszt inne otrzymywania, oprócz materiałów pierwotnych, które jakkolwiek dziś dosyć znaczne, z czasem obniżone być mogą (Treść z pisma *L'Institut*).

* *Falszowanie olejów.* Do wykrycia zafałszowań olejów, liczne podawano środki połączone z rozmaitemi niedogodnościami; następny sposób zalecany przez p. Mailho zasługuje na uwagę, jakkolwiek tylko służy do wysledzenia bytności oleju z nasion roślin krzyżowych w innych olejach, jak np. lnianym, orzechowym, makowym i t. p. Dotychczas chemia do powyższego celu nie podała żadnego czułego środka; p. M. przedsięwzięwszy mnóstwo dochodzeń z olejem lnianym, przypuściwszy że do niego dodano innego oleju, przekonał się, że olej z roślin krzyżowych za dolaniem do powyżej dochodzonego alkali gry-

zającego, wydziela z siebie małą ilość siarki, przez którą naczynie srebrne, służące do doświadczenia, zostanie zczernione. Powtarzając dalej powyższe dochodzenia z olejami i roztworem potażu gryzącego zupełnie czystym; przekonał się stanowczo, że olej roślin krzyżowych ustępuje alkaliom taką ilość siarki, iż siarczyk alkaliczny ztąd powstały, doskonale da się oznaczyć odczynnikami zwyczajnemi, to jest solami ołowianemi, srebrnemi i t. d. można zaś z nim bez zmiany gotować oleje innych roślin, jakoto lniany, makowy i t. p., a żadne oddziaływanie nie okaże bytności siarki. P. Mailho każe więc następnie postępować dla wykrycia w oleju danym, oleju roślin krzyżowych, np. rzepakowego. Gotuje się w parownicze porcelanowej 25 do 30 gramów oleju danego do dochodzenia, z roztworem z 2 gram potażu gryzącego czystego, rozpuszczonego w 20 gramach wody, przepędzonej. Po kilku minutach gotowania, wlewa się wszystko na cedzidło poprzednio zwilgocone, a woda alkaliczna wyciekająca, po zanurzeniu w niej papierka zmaczanego w octanie ołowiu, lub saletranie srebra, okaże czyli w niej znajduje się siarka. Gdyby zamiast parowniczkę porcelanowej, do gotowania oleju z alkali, użyto naczynia srebrnego, nastąpiłoby widoczne zafarbowanie go na czarno. Tym sposobem mowi p. M. można rozpoznać jedną setną oleju z roślin krzyżowych, we wszystkich innych gatunkach olejów. (*L'Institut z r. b.*)

J. B.a...



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1854.

78. Chata za wsią. Powieść przez J. I. Kraszewskiego. 3 tomy. 16ka. Petersburg i Mohilew. Nakład B. M. Wolffa (druk Jaworskiego w Warszawie). Tom I. r. 1854. Str. 138. II, 1854. Str. 198. III. 1855. Str. 254. i w każdym kart 2. Rub. sr. 3.

79. Nomenklatura architektoniczna czyli słowomiennik cieśli-
czych polskich wyrazów. Wydanie powtórne, przez Karola Podczaszyń-
skiego prof. Arch. w b. Uniw. Wileń. 8ka. Warszawa. 1854. (nakład
autora) druk J. Jaworskiego. Napisów i przedmowy str. VIII i 154.
Spisu wyrazów str. XXXV.

80. Obrona Sokołowa. Śpiew bohaterski w IX pieśniach. Przez
Alexandra Morgenbessera. 8ka. Lwów, 1854. Nakład H. W. Kallenba-
cha, (druk E. Winiarza). Kart 2 i str. 151. Kop. 80.

81. Powieści domowe: *(na okładce dodano przez autora Bigosu*
hultajskiego). Seria (y) druga, tom drugi. 12ka. Wilno. 1854. Nakład
i druk T. Glücksberga. Kart 2 i str. 125.

82. Reszty rękopismu Jana Chryzostoma na Gosławcach Paska,
deputata z powiatu Lelowskiego na koło rycerskie za króla Michała
Korybuta, a pierwiej towarzysza pancernego. 1656—1688. Z egzempla-
rza w Cesar. Publ. bibliot. w Petersburgu znajdującego się, spisane
i wydane w r. 1843 przez Stanisława Augusta Lachowicza. (Nowe
przejrzane z 6 rycinami wydanie). 8ka. Wilno. 1854. Nakład i druk T.
Glücksberga. Napisów, przypis. przedmowy i rejestru kart 4. i str. 398.

83. Szkice historyczne. Skreślił Karol Szajnocha. (z ryciną). 8ka.
Lwów. 1854. Nakład Karola Wilda (druk P. Pillera). Kart 4 i str. 282.
Omyłek karta 1. Rsr. 2.

84. Znajda. Powieść Józefa Dzierzkowskiego. 8ka. Lwów. 1854.
Nakład H. W. Kallenbacha, (druk E. Winiarza). Kart 2 i str. 192.
Rsr. 1 kop. 20.

1855.

30. Dwie siostry (.). Obrazek z powszechnego życia nakreślił A.
(Antoni) Nowosielski. 2 tomy. 12ka. Kijów i Wilno. 1855. Nakład i druk
J. Zawadzkiego (w drukarni Uniwersytetu św. Włodzimierza). Tom I
napis. i przypis. Wł. Syrokomli kart 3 i str. 250, II, 332 i rejestru
karta 1.

31. Elżbieta Drużbacka. Powieść z końca XVII wieku Seweryny
z Żochowskich Pruszkowój. 16ka. Warszawa. 1855. (Nakład Ig. Klu-
kowskiego i Rafalskiego), druk Gazety Codziennój. Napisów kart 2, wstę-
pu str. XXI i 245. Kop. 90.

32. Historyczne-statystyczne opisy miast starożytnych w ziemi
Sandomierskiej leżących. Z dodaniem powieści z rzeczywistych wyda-
rzeń pod tytułem: Pustelnik w iłżyckiej puszczy przez Jana Nepomu-
cena Chądzyńskiego. Dzieło ozdobione trzema mappami i rycinami. 3 to-
my. 8ka. Warszawa. 1855. Nakład F. Blumenthal (druk S. Orgelbranda).
Tom I str. 226. II. 203. III, 182. Rub. sr. 3 k. 60.

33. Katalog duplikatów biblioteki książąt Radziwiłłów niegdyś
w Królikarni, oraz innych książek w różnych językach, wystawionych
na sprzedaż publiczną w dniu 2 lipca 1855 roku i dni następnych za
pośrednictwem księgarni Zygmunta Szteblera w Warszawie... 8ka. War-
szawa. 1855. W drukarni Gazety Codziennój. Kart 2 i str. 24.

34. Katalog książek polskich znajdujących się w księgarni Hen-
ryka Natansona w Warszawie. Krakowskie-Przedmieście 442. N. 5. 16ka.
Warszawa. 1855. Druk Gazety Codziennój. Karta 1 i str. 27.

35 Państwo młodzi. Kawalek powieści Józefa Augusta Skalki. Z godłem:

Szczęśliwy, czyja dusza nadzieją spowita,
A nadzieja z miłości i wiary wykwiła!
(z poematu, Duchy, A. S.)

2 tomy. 12ka. Kijów. 1855. W drukarni Uniwersytetu świętego Włodzimierza. Tom I, napisów kart 2, przypis. studentom kijowskiego i moskiewskiego uniwersyt., przedmowy kart 2. i str. 236, II. str. 215.

36. Pierwsze zasady sztuki położniczej, które do potrzeb początkujących w tej umiejętności kobiet zastosował, a dla łatwiejszej nauki przez pytania i odpowiedzi ułożył Julian Albin Moszyński Doktor Medycyny.... z 9 tablicami figur na miedzi rytých. 12ka. Wilno. 1855. Nakładem Rubena Rafałowicza (druk M. Zymelowicza). Str. 280.

37. Powieści poetyczne Seweryny z Żochowskich Pruszkowej. 4 tomy we 2ch. 16ka. Warszawa. 1855. Nakład W. Rafalskiego (druk J. Jaworskiego). Tom I: Dwa dwory, kart 2 i str. 102. Tom II: Zagroda wiejska, str. 146. Tom III, str. 114. Tom IV, str. 108.

38. Powieści ludu i dumy Alexandra Grozy. (2 tomy w jednym). 16ka. Warszawa. 1855. (Nakład Ig. Klukowskiego i W. Rafalskiego), druk Gazety Codziennój. Tom I, kart 2 i str. 195. T. II. kart 2 i str. 136. Rsr. 1 kop. 20.

39. Rotmistrz bez roty. Powieść przez Aleksandra Niewiarowskiego. 3 tomy. 12ka. Warszawa. 1855. Nakład G. L. Glücksberga (druk Jaworskiego). Tom I str. 195. II, 203, III. 242, i w każdym kart napisowych 2. Rub. sr. 3.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Wyszły w Berlinie u Schlesingera dzieła pośmiertne Szopena, wydane podług oryginalnych rękopismów za upoważnieniem rodziny, przez Juliusza Fontannę. Zawierają następujące dotąd nieznanne utwory Szopena. Nr. 1. Fantaisie impromptue. 2) Cztery mazurki. 3) Cztery mazurki. 4) Dwa walce. 5) Trzy walce. 6) Trzy polonezy. 7) Nocturne: Marche funèbre; Trois ecossaises. 8) Rondo na dwa fortepiany. Dzieło to ozdobione jest portretem kompozytora z oryginału A. Scheffera, z facsim. Szopena. Nadto pierwsze dwie stronnice poświęcone są życiorysowi zmarłego, w języku niemieckim i francuzkim, przez Fontannę. Z niego się w końcu dowiadujemy, że wkrótce ogłoszonych zostanie 16 melodij Szopena, dotąd zupełnie nieznanych.

— Zakład litograficzny M. Fajansa przygotowuje najdokładniejszy rysunek wnętrza całej kaplicy Częstochowskiej z ołtarzem, w którym jest obraz cudowny Matki Boskiej.

— Powieść Miss Cummig: The street-lamps-ligter: (latarnik) głośną w świecie literackim, tłumaczy p. Seweryna Pruszkowa; przekład ten ma być umieszczonym w jednym piśmie peryodycznych naszych.

— Żnany badacz Alexander Przędziecki wynalazł nowe szczegóły do życiorysu Jana Chryzostoma Paska. Obszerniejsze sprawozdanie przyrzekł podać do naszego pisma.

— Nakładem księgarni Bernsteina, wyjdzie w końcu r. b. Książka do nabożeństwa dla kobiet ks. Dumina, w poprawnej i powiększonej edycji, a nadto ozdobnej. Tytuł chromolitografowany i staloryt Matki Boskiej dołączone zostaną.

— Historyi powszechnej kościoła Jana Alzoga w przekładzie pani Belejowskiej, wyszedł tom IV, i obejmuje okres do czasu Reformacji (1517).

— Henryk hr. Rzewuski przygotował do druku w 3 tomach rękopism: „Pamiętniki Michałowskiego“, które co do wartości swojej, mają stać obok Soplicy i Listopada.

— Nauczyciel rysunków w gimnazjum gubernialnym w Suwałkach, Alojzy Mysiorowicz, zamierza wydać Przegląd Augustowski. Przygotowane do litografii widoki mieszczą: ulicę Warszawską w Suwałkach, Suwałki od strony Warszawy, i zamek Dospuda.

— Wiktoryn Zielński znany z wydanych dawniej poezyj, ułożył wypisy z poetów polskich od Jana Kochanowskiego do Syrokomli, i zamierza je wydać jako książkę pożyteczną dla naszej młodzieży.

— Dwaj nasi młodzi chemicy pp. Adam Wiślicki i Stanisław Loewenhard, zajęli się ułożeniem bardzo ważnego dzieła, p. n. „Wykład chemii organicznej“, z jej zastosowaniami. Ważna to praca, gdyż ta część nauki chemii u nas prawie zupełnie nietknięta, zastosowania zaś jej są bez wątpienia bardzo obszerne: piwowarstwo bowiem, gorzelnictwo, cukrownictwo, farbiarstwo, i t. p. użyteczne fabrykacye, opierają się na zasadach chemii organicznej. Pierwszy tom tej pracy już jest na ukończeniu; składają go: wstęp szczegółowo obrobiony; opis materij roślinnych ogólnych, fermentacya winna, cztery grupy alkoholowe. Zastosowania mają być umieszczone na końcu każdego tomu w osobnych zeszytach, tak, iż tym sposobem utworzą całość oddzielną. Pragnąć należy, aby znalazł się nakładca na tego rodzaju dzieło: gdyż przynieść może zarówno znakomite korzyści tak dla księgarza, jak i dla nauki.

Lwów. Karol Szajnocha skończył w druku tom 2: „Jadwigi i Jagiełły“: tom 3ci i ostatni oddał pod prasę. Dwa te tomy równocześnie mają się ukazać w handlu księgarskim. Znakomity ten historyk, którego prace zwracają uwagę każdego pracownika na polu literackim, zaczął teraz rok 36 życia.

Tom 1szy Rysu dziejów narodu polskiego przez Henryka Szmita, kończący się na Krzywoustym, wyszedł tu od dość dawnego już czasu z druku. Tom drugi idzie pod prasę. — Wykład popularny sztuki malowania farbami wodnymi z pism Jerzego Barrot, przełożony przez Karola Balickiego wyszedł z druku nakładem Wojciecha Manieckiego, który wydaje zarazem historią Ormian przez księdza Sadoka Baracza napisaną.

— Dyrekcyja zakładu imienia Ossolińskich we Lwowie, przy ukończeniu pierwszego tomu Słownika języka polskiego S. B. Lindego w drugim wydaniu, poprawnym i pomnożonym, następnie wydała ogłoszenie, które tu dosłownie zamieszczamy: „Wielka użyteczność tego najlepszego dotąd i najznakomitszego polskiego słownika, spowodowała Zakład narodowy imienia Ossolińskich do zajęcia się wydaniem jego powtórnem: pierwsze bowiem, przed 40 laty skutecznione, wyszło już oddawna z handlu, a z powodu wysokiej ceny swojej niełatwo było dostępne. Główny tedy cel, jaki wydaniem niniejszem osiągnąć sobie zamierzono, jest dzieła tego upowszechnienie. Obok tego atoli zamiaru, starano się oraz według możliwości, aby wydanie to było poprawniejsze i zupełniejsze od pierwszego. W tej mierze użytkowano z Lindego rękopismów, tak tych, które rodzina autora świeżo Zakładowi darowała, jako też z notat jego w bibliotece Zakładowej dawniej już znajdujących się; porównywano też w wielu miejscach przykłady w Słowniku tym przytaczane, z dziełami samemi, i według nich takowe prostowano; nakoniec ilekroć się okazało, że autor wyraz jaki albo źle objaśnił, albo go zgoła bez objaśnienia zostawił, w takim razie starano się obok słów autora dodać między nawiasem sprostowanie lub objaśnienie, odznaczając takowe dobitnie od właściwego textu Lindego. Z dyalektów pobratymczych zwrócono szczególną uwagę na język starosłowiański czyli cerkiewny. Ponieważ Linde wyrazy jego mieszał częstokroć z staroruskiemi i rosyjskiemi, a tak jedne jako i drugie czcionkami grażańskimi drukował; w wydaniu przeto niniejszem użyto różnicy, jaka między głoskami kiryjskiemi a grażańskimi zachodzi, do ostrzeżenia

czytelnika przed usterkami: tylko więc słowa właściwie cerkiewne drukowano kiryliką, zaś staroruskie i rossyjskie słowa, przez autora mylnie za cerkiewne podane, drukowano piśmem grażdzańskim. Tym sposobem nienaruszając w niczem organizmu i właściwości dzieła Lindego, sprostowano w tém wydaniu niemało jego myłek, i nastęrczono obliczany materyał dla przyszłego polskiego słownikarza.

Pisownia Lindego zmieniona została na tę, jaką podała Deputacya Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego, w dziele swoim: Rozprawy i wnioski o ortografii. Warszawa, 1830. Koniecznym następstwem tej zmiany było inakże uszykowanie bardzo wielu wyrazów, co też ściśle dopełnić starano się.

Całe dzieło w sześciu ogromnych tomach w 4ce, na pięknym, czepanym papierze, czcionkami wyraźnemi drukowane, kosztować będzie 20 złr. m. k. Dla zabezpieczenia się atoli od strat przez zdefektowanie dzieła wyniknąć mogących, rozkłada się powyższa cena na pojedyncze tomy w następujący sposób:

Tom I., który właśnie prasę opuścił, obejmujący 102 arkusze druku, z tablicą litografowaną powinowactwa głosek, kosztuje 6 złr. 40 kr. m. k. (Rsr. 4).

Każdy z tomów następnych, począwszy od 2go aż do 5go włącznie, przedawać się będzie po 3 złr. 20 kr. m. k. (rsr. 2). Ostatni zaś tom rozdany zostanie bezpłatnie wszystkim tym, którzy tom pierwszy w Zakładzie Ossolińskich kupią; dlatego też lista dokładna osób w Zakładzie dzieło to kupujących będzie starannie zrobiona, i przy drugim, tudzież następnych tomach, wydrukowana.

Z powodu bezprzykładnie niskiej ceny dzieła, która przy najlepszym nawet jego odbyciu, zaledwie sam czysty nakład wrócić może po długich latach Zakładowi, nie może tenże ustępować żadnych rabatów pp. księgarzom; dla ułatwienia jednak hurtowego odbytu, daje tym, którzyby większą ilość nabyć chcieli, dziesiąty procent. Ktokolwiek tedy kupi za gotowe pieniądze 10 egzemplarzy, otrzymuje jedenasty daremnie.

Przedaje się w samym Zakładzie zwykle od 9 godziny zrana, do 2 po południu. Osoby na wsi mieszkające, mogą się zgłosić listami frankowanemi do dyrekcji Zakładu, a po otrzymaniu należytości, egzemplarze posłane im będą pocztą, na ich koszt, który wynosi tylko 5 kr. m. k. od mili, dodanych do 10 kr. m. k. na wszelką odległość.

W pierwszym tomie oprócz poprawek ze sprawdzania tekstu wynikłych, i usunięcia myłek w wykazie źródeł przez autora popełnionych, dodane zostały sprostowania lub nowe objaśnienia przy wielu głoskach i wyrazach.

Tom drugi znacznie już w druku postąpił; o wyjściu jego, równie jak i każdego z dalszych tomów, uwiadomiona będzie publiczność przez dzienniki."

Lwów. (Wyjątek z listu) „Publiczność lwowska zawdzięczając starania, jakie dla sceny i literatury polskiejłożył zmarły niedawno Jan Nepomucen Kamiński, zamysła wybić mu medal, około czego krząta się Wiktor hr. Baworowski.—Alexander Batowski, wielki znawca rękopismów polskiej historii, przygotował do druku trzy tomy in folio Tynecyanów. Szkoda, że tego nie czyni ze swemi obszernemi studjami nad rokoszem Zebrzydowskiego, któreby wielu pracującym w tym ciekawym ustępie dziejów naszych wielce przydatne były.—Literatura zrekrutowała w klasztorze Dominikanów nowego zwolennika: ks. Sadok Barącz wydał w tych czasach trzy pisma: Pamiątki o Żółkwi; różne materyały historyczne, wyjęte z archiwum magistratu lwowskiego i rzecz o Ormianach w Polsce. Jest to pilny zbieracz, lecz niestety słabego zdrowia który sławę uczoneści, dawniej domową Karmelitom, teraz swemu zakonowi windykuje."

— Dowiadujemy się, że w Lignicy na Szlązku, dwa kamienne posągi przedstawiające bożków pogańskich, o których istnieniu wspomina

kronikarz szlązki Tebeziusz, dotąd się dochowały. Zostały wmurowane w jednej ścianie gmachu, służącego na zebrania stanów prowincyi.

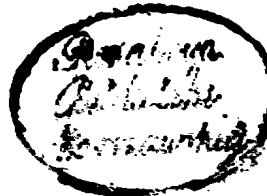
Kraje Słowiańskie. W Lublanie za staraniem Antoniego Wolfa, drukuje się wielki słownik słowiański, który na wydanie tego dzieła 15000 zr. m. k. przeznaczył. W Skalicy, Jan Cówerdoń Dr. medycyny wydaje niemiecki przekład: „Córka sławy” J. Kollara.—Dnia 28 paździer. r. z. było w teatrze w Zagrzebiu pierwsze przedstawienie w języku serbskim dwuaktowego dramatu p. n.: „Gospodar i rob.” Publiczność to przedstawienie w narodowym języku przyjęła z wielkim zapalem.

Poznań. „Tytus hr. Działyński przygotowuje do wydania: zbiór pieczęci polskich tak urzędowych jak i prywatnych od najdawniejszych czasów.—Księgarz Żupański wykończy w druku nowe wydanie poezyi K. Miaskowskiego. Dziwna rzecz! że mamy kilkorakie edycje późniejszych pisarzy, a o dawniejszych jak Kochowski, Grochowski, Twardowski i w. i. dotąd nie pomyślano. Zbiór taki dawnych poetów stanowiłby piękny oddział biblioteki podręcznej.”

— W 13 zeszytach zaczną wychodzić z dniem 1 b. m. i r. dzieło p. n. „Kościoły Warszawskie rzymsko-katolickie. opisane pod względem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. Wizerunki kościołów z cenniejszymi nagrobkami rytowane na drzewie i wydane przez Michała Starkmana.” Zeszyt pierwszy obejmuje opis kościoła katedralnego św. Jana z drzeworytami czterech nagrobków: Małachowskiego Woronicza, ostatnich książąt mazowieckich i braci Wolskich; i opis kościoła Panny Maryi z dwoma nagrobkami: Jagodowicza i Mateusza Zachniewicza.

— Nakładem księgarza Lesmana wyszedł z druku Słownik niemiecko-polski, ułożony podług najlepszych i najnowszych źródeł, przez Henryka Liebkind. Autor tego słownika niejedną pracą przysłużył się piśmiennictwu naszemu. Przekład Obrazu historii powszechnej Levi Alvaresa odznacza się czystością języka i jasnością. Tłumacz sprostował ważne błędy oryginału, tyżące się dziejów polskich, i obszerniej takowe wyłożył, trzymając się najlepszych źródeł i planu samego dzieła. Przygotował drugi słownik polsko-niemiecki, który wkrótce pod prasę drukarską pójdzie. Wydawca ustanowił niesłychanie niską cenę wspomnianego słownika, bo za tom złożony ze str. 766 ścisłego druku, tylko kop. 75 czyli złp. 5.

— Obraz dramatyczny w 4 aktach Deinhardstejna p. n. „Jan Sachs czyli szewc poeta,” pełen życia i kolorytu dawnych czasów. przetłóżony został z niemieckiego. Znanym jest cech w Niemczech owych Meistersängrow, co się poświęcali poezyi. Rządząc się wszakże pedantycznymi przepisami, miał więcej na celu formę, aniżeli prawdziwą poezją: cech ich przez to zamiast zbawiennie wpływać na sztuki piękne, zamieniał takowe niemal w rzemiosło, i byłby się przyczynił do upadku poezyi i muzyki w Niemczech, gdyby się nie był pojawił Hans Sachs (Jan Sachs), właśnie bohater tego dramatu. Urodził się w Norymberdze 1494 i umarł tamże w r. 1576. Obdarzony niepospolitemi zdolnościami Hans Sachs, szewc z professyi, będąc jednak członkiem Meistersängrow, zrzucił nałożone przez poprzedników jego jarzmo czczych form, krępujących zapal i natchnienie: jemu winna poezya niemiecka swe odrodzenie. Przekład o którym piszemy ściśle zastosowany do oryginału, dokonany naprzemiennie to wierszem rymowym, to miarowym, odznacza się wielkim wdziękiem, naturalnością, i wybórnym językiem. Tłumaczem jest p. Borys Halpert, a jego przekład, który wkrótce na scenie naszej ujrzymy, okaże, że potrafił doścignąć dzielnością języka, potocznością i wdziękiem tłumaczenia nieodżałowanego ś. p. J. D. Minasowicza.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Sierpień, 1855.

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.461	27	9.119
Najwyżej barometr dochodził d. 30 o g. 10 r.	758.55	28	0.264
Najniżej — — — d. 15 o g. 4 w.	744.08	27	5.847
Średnia zmiana dzienna barometru	2.299		1.019
Największa zmiana dzienna barometru d. 5—6 o g. 10 wiecz.	6.49		2.877
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	1.973		0.875
Średnia temperatura sierpnia wynosi:	749.488	27	8.244
i ta jest niższa o	+ 17°.89 C.	+	14°.31 R.
od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	0.19 „	„	0.15 „
Największe ciepło było d. 12 o g. 4 w.	+ 18.08 „	+	14.46 „
Najmniejsze — — — d. 18, o g. 6 r.	29.9 „	„	23.92 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	9.2 „	„	7.36 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 13—14 o g. 4 wiecz.	2.343 „	„	1.875 „
Termometrograf wskazał:	14.1 „	„	11.28 „
Maximum: +25°.1 R. d. 3 po połud.			
Minimum: + 6°.4 „, d. 18 rano.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 74.0, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 11.28 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest prawie równa normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 78.9 mil. czyli 34.30 lin. par.; ilość ta wody jest o 0.36 lin. par. większa od normalnej.

Dni pogodnych było 10, napół pogodnych 10, pochmurnych 11.

— deszczu 10 (d. 5, 6, 11, 12, 14, 15, 16, 17, 18, 26).

— mgły 1 (d. 19).

— grzmotów 3 (d. 5, 11, 26).

— błyskawic bez grzmotów 7 (d. 3, 4, 5, 10, 11, 12, 26).

Wiatr panujący: zachodni, częste były północno-zachodnie.

Sierpień r. b. był pogodny i dość suchy, w pierwszych trzynastu dniach (wyjąwszy trzy dni: 6, 7, 8) był nader gorący, w następnych osmнадцати chłodny, osobliwie w nocy i z rana; w ogóle o jedną czwartą stopnia R. chłodniejszy niż zwykle. Najcieplejsze dni były: d. 2, 3, 4, 10, 11, 12, 13; najchłodniejsze d. 6, 7, 15, 16, 17, 18, 19, 23, 28, 29, 30, 31. Pod względem stanu nieba, wilgotności powietrza i wody spadłej z deszczu, miesiąc ten zbliżał się do stanu średniego. Albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 7.0:13.1:10.9; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 10:10:11 co pokazuje że stan nieba w sierpniu, zbliżał się do stanu średniego.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Pośmiertna cześć oddawana zastudze, jest jedną z najgodniejszych jój nagród. Mąż o którym mówić mamy, do téj czci niezaprzeczone nabył prawo, żywotem pełnym cnót obywatelskich i pracami naukowemi, które imię jego chlubnie potomności przekazały. Hołd winny pamięci Konstantego Tyzenhauza, złożył dawny i stały przyjaciel jego czcigodny Dr. Adamowicz b. Prof. Uniw. wileńskiego, a wiadomość o życiu i pismach zmarłego, skreślona pełném wdzięku piórem, którą umieścił w jednym z biuletynów Imperatorskiego towarzystwa badaczy natury w Moskwie (1), oddawna zwiastowała tę dotkliwą stratę uczonym obcym słowarzyszeniom. Życiorys Tyzenhauza był już wprawdzie ogłoszony w Gazecie Warszawskiej z r. 1853; sądząc jednak, że żywot tego męża tak ściśle wiążący się z historią nauk przyrodzonych u nas, najwłaściwsze znajdzie miejsce w Bibliotece Warszawskiej, tudzież powodowany potrzebą serca, łączyły mnie z nim bowiem zamiłowanie wspólnie ulubionój nauki i wdzięczność za względy, któremi mnie zaszczycał: mam zaszczyt przestać szanownój redakcyi Biblioteki Warszawskiej z upoważnienia autora, przekład biograficznój wiadomości o Tyzenhauzie.

Gustaw Belke.

(1) *Notice sur le Comte Constantin Tyzenhauz* w *Bulletin de la Société Impériale des Naturalistes de Moscou* 1853. N. IV, p. 517—529. Towarzystwo badaczy natury w Moskwie, ma stosunki ze wszystkimi uczonemi stowarzyszeniami Europy a nawet Ameryki; rozsyła im prace swoje i wzajemnie odbiera wydane przez nie pisma.

WIADOMOŚĆ O ŻYCIU I PISMACH
KONSTANTEGO TYZENHAUZA.

Czterdzieści lat upłynęło od pamiętnej burzy politycznej 1812 r., kiedy wirem jęj uniesiony młodzieniec znakomitego rodu, opuszczał w Wilnie rodziców i ojczyste progi, dążąc w liczbie innych współziomków za błędniejszą już wówczas gwiazdą oręża Francyi.

Szlachetne i miłe rysy oblicza, piękne błękitne oczy, bujnemi okolone brwiami; spojrzenie żywe i pełne wyrazu, w którym obok wdzięku rzewności przebijała się dusza ognista; postać wyniosła i okazała, ozdobiona mundurem granatowym z białemi wyłogami: taką była odznaczająca się powierzchowność tego młodego oficera.

Stanął on pod chorągwiami świeżo utworzonej wówczas piechoty litewskiej (16 paździer. 1812) jako dowódca 19^{go} jęj pułku. Losy wielkiej armii zaprowadziły go następnie do Sedanu, gdzie go znów widzimy szefem 3 kompanii gwardyi honorowej polskiej, a później już pułkownikiem wojsk księstwa warszawskiego, walczącego mężnie w szeregach księcia Poniatowskiego, w pamiętnej trzydniowej bitwie pod Lipskiem.

Tym młodym wojownikiem był hrabia Konstanty Tyzenhauz, syn szefa gwardyi litewskiej Ignacego hr. Tyzenhauza i Maryi z Przeddzieckich córki podkanclerzego w. ks. litewskiego.

Pełne poświęcania się męztwo, sprężystość w działaniach, zamiłowanie porządku, ścisłe pełnienie obowiązków służby, bezstronność w wymierzaniu sprawiedliwości, hojność dla swego pułku w którym służył, jedynie dla miłości sławy, bez wszelkiej pensyi; zjednały mu imię ojca żołnierzy i order legii honorowej, odebrany za pośrednictwem księcia Bassano, 10 sierpnia 1813 r. W 6 miesięcy później, spełniwszy w Charleville w styczniu 1814 r. kilka ważnych zleceń danych mu

przez generała Dąbrowskiego, pułkownik Tyzenhauz otrzymał uwolnienie od służby i osiadł w Klermoncie; ztamtąd zaś, korzystając z amnestyi wspaniałomyślnie udzielonej Polakom przez cesarza Alexandra, udał się do dóbr swoich w Litwie.

Stanąwszy zaledwo na ojczystej ziemi, młody hrabia wnet powrócił do dawnych, a tyle mu ulubionych zatrudnień: pałasz i szlify zamienił na książki i pióra, na ołówki i wiolonczełę.

Lecz odtąd głównym celem prac jego były nauki przyrodzone, a następnie stał się jednym z najznakomitszych krajowych naturalistów. Oddając się im z całym poświęceniem i zupełnym zaprzaniem siebie, jak przystało na prawdziwie uczonego męża, imię swe po raz drugi zapisał chlubnie w dziejach sztuk pięknych i nauk Litwy. Przed nim bowiem, stryj jego podskarbi litewski Antoni Tyzenhauz, Colbert swojego kraju, którego stał się godnym współzawodnikiem w wielkich przymiotach umysłu, wstawił się już był założeniem w 1775 r. akademii medycyny ludzkiej i weterynarniej w Grodnie, do zarządu której, wezwał wówczas z Lugdunu nieśmiertelnego Giliberta.

Hrabia Konstanty Tyzenhauz pobierał początkowe nauki w Warszawie, później kształcił się w uniwersytecie wileńskim, gdzie z rzadkiem zamiłowaniem słuchał kursów nauk fizycznych (1). Wtenczasto właśnie objawił się w nim szczęśliwy i nigdy niezmienny smak do nauk przyrodzonych, których wiernym zwolnikiem wytrwał do ostatnich chwil życia, unikając zgiełku i zabaw wielkiego świata, pomimo, że go do nich wzywały wysokie położenie towarzyskie i wielkie bogactwa które posiadał. Majątek był owszem dla Tyzenhauza obfitym zasobem środków, za pomocą których mógł rozprzestrzeniać pole swych badań i doskonalić się w nauce, gwoli pałającej w nim szlachetnej żądzy umiejętności i sztuk pięknych. Temuto szczęśliwemu zjednoczeniu rzadkich darów i obfitych zasobów materialnych, pałac jego w Postawach winien bogate mu-

(1) W tym starożytnym uniwersytecie wykładali wówczas medycynę Piotr i Józef Frankowie, matematykę Langsdorf, literaturę starożytną Grodeck, chemią Jędrzej Sniadecki a historią naturalną ks. Juudzkił pijar, następca Giliberta i Forst era.

zea, które go zdobią. Jako gorliwy naturalista, Tyzenhauz zostawił jeden z najważniejszych zbiorów przedmiotów historyi naturalnej w Polsce, osobliwie pod względem ornitologii.

Sam pięknie rysując i gruntownie znając sztukę malarską, wzbogacił salę swego mieszkania 300 przeszło malowidłami wysokiej wartości pędzla znakomitych mistrzów, które wybrał, i nabył w czasie swych podróży za granicą. Nakoniec jako literat, w licznej bibliotece zgromadził wszystkie arcydzieła dawnego i nowożytnego piśmiennictwa, archiwa familijne od roku 1260. dziwnie piękny zbiór wizerunków i rycin, a szczególnie najkosztowniejszych tablic historyi naturalnej ptaków, począwszy od Gesnera, Aldrowandego, Raja, Pallasa, aż do Buffona, Demurs'a i świetnego Audubona, które studyował z zapałem niewypowiedzianym, robiąc nad nimi często własne uwagi. Ze wszystkich gałęzi historyi naturalnej najwięcej miał upodobania w ornitologii i uprawiał ją z największym powodzeniem, do czego mu dzielnie dopomagał dar rysowania, w którym się ćwiczył od dzieciństwa, a później doskonalił pod sterem Norblina i Orłowskiego w Warszawie, a Rustema w Wilnie. Świadczą o tém zamiłowaniu przeszło 100 kolorowanych wizerunków ptaków litewskich wielkości naturalnej, znalezionych w tekach jego i godnych wyjścia na widok publiczny; tudzież gabinet zawierający około 3,000 ptaków wszystkich części świata, przez niego samego lub pod okiem jego jak najstaranniej wypchanych, i ułożonych według systematu Temmincka; nakoniec, zupełny zbiór rycin jaj wszystkich ptaków Litwy i Noworossyi, świeżo wydany w Paryżu. Nawet krótki przeciąg czasu poświęcony zawodowi wojskowemu, nie zaniedbał obrócić na korzyść ornitologii; będąc bowiem w Paryżu, starał się nauczyć nowego wówczas sposobu wypychania ptaków przez gardło, za pomocą lnianych pakut, i nie omieszkał udzielić go potem (1) znakomitemu Bojanusowi professorowi weterynaryi i anatomii porównawczej w Wilnie, który przewodniczył (1822—24)

(1) Odtąd wszystkie przedmioty przybywające do muzeum ornitologicznego w uniwersytecie wileńskim, urządzano według tej metody aż do czasów Brunnera, który wypychanie uczynił prawdziwie sztuką plastyczną.

reorganizacji muzeum zoologicznego tamtejszego uniwersytetu.

Badając pilnie i z największym zamiętowaniem tajniki natury, Tyzenhauz nie przestawał na prostej zastudze umiejętnego i niezmordowanego zbieracza. Obdarzony nadzwyczajną pamięcią, umysłem bystrym i badawczym, zawsze umiał pochwycić i zastosować na korzyść ulubionej nauki odkrycia, które mu nastroczały jego wycieczki i spostrzeżenia zoologiczne; dziwną posiadał też zdolność determinowania mnóstwa znajdujących przedmiotów, objaśniania natrafianych w nich wątpliwości, tudzież oceniania wartości naukowej, jaką przywiązywali do nich uczeni Europy, pod sąd których poddawał swoje badania.

To też wiadomości i prace jego zoologiczne same zjednały mu prawo do sławy, o którą się ubiegał.

Znalazłszy w lasach dóbr swoich postawskich sowę lapońską, Tyzenhauz nadał jej nazwę sowy mszarnej (*Strix microphthalmos*), opis zaś jej i wizerunek przestał Towarzystwu przyjaciół nauk w Warszawie, którego członkiem mianowany został w 1830 r.

Wielkie dzieło jego w języku polskim „Ornitologia powszechna”, tudzież znajomość sztuki lekarskiej, zjednały mu tenże zaszczyt w wileńskiej akademii medycznej i w towarzystwie lekarskiem tegoż miasta (1839 i 1848).

Współdziałaniem swoim dopomagając stowarzyszeniu istniejącemu w Paryżu, celem przyczynienia się do postępu zoologii i wydawania przeglądu zoologicznego, został członkiem towarzystwa Kiuwierowego (*Société Cuvierienne*) 1843 r. We dwa lata później towarzystwo naturalistów w Rydze, zaszczytiło go takimże tytułem za uczone spostrzeżenia nad deszczem owadzi (Mittheilungen über einen Insekten-Regen), a towarzystwo rolnicze lwowskie (1847) za rozprawę „o gąsienicach zbożom szkodliwych.”

Jako członek honorowy towarzystwa naturalistów w Dreźnie, wystąpił w 1851 r. dla muzeum historii naturalnej tej stolicy, całkiem prawie zniszczonego przez pożar rewolucyjnej majowej, sto ptaków litewskich pięknie wypchanych. Nakoniec, towarzystwa naukowe kra-

kowskie i berlińskie imię jego również w poczet swych członków wpisały.

Przepędzając w ten sposób większą część życia na wsi, w swój pracowni i bibliotece, Tyzenhauz utrzymywał ciągle stosunki z uczonymi Europy, odznaczając się już jako autor (1), już jako korespondent sumienny i zajmujący, już nakoniec jako hojny mecenas kilku uczonych, których dzieła o historyi naturalnej winne są swe wyjście na świat jedynie jego szczodrobliwości. Wdzięczni autorowie poświęcali też niekiedy imieniowi Tyzenhauza, nowe swoje odkrycia (2).

Oprócz tych stosunków niejako obowiązkowych, Tyzenhauz miał równie korespondencyę literacką z muzeami brytańskiem i cesarskiem w Wiedniu; z pp. de La terre podróżującym po Kalifornii, z E. Varreaux, Lichtensteinem, Reichenbachem, Grube, Eichwaldem i Heckelem w Wiedniu (ostatniego z nich pragnął widzieć jeszcze na trzy dni przed śmiercią); tudzież z wielu innymi znakomitymi uczonymi. Pisywał zaś do nich w języku francuzkim, niemieckim i włoskim, które posiadał tak dobrze jak język ojczysty. Ta biegłość w językach bardzo mu była przydatną w częstych jego podróżach (3) które przedsiębrał zawsze w celach naukowych i artystycznych, starając się śledzić postęp nauki, a także zbogacać swoje zbiory ornitologiczne i malarskie. Ostatnia jego podróż w 1851 r. była zwróconą do Odessy (4).

(1) Zobacz przegląd prac jego literackich na końcu tego życiorysu umieszczony.

(2) Przykładem tego są: Owad dwuskrzydły z rodziny pszczołkowatych znaleziony pod Wilnem, *Tyzenhauzia vespiformis* (Analecta Entom. Gorski), rośliny, *Potamogeton* i *Chara Tyzenhauzii* Gor., dotąd nie ogłoszone.

„Ostatnim już podobno, lecz niemniej znakomitym dowodem szczodrobliwości jego, jest wspaniałomyślna pomoc okazana darem tysiąca rubli na wydanie przekładu *Historyi nauk przyrodzonych*, które wraz z Drm. Alexandrem Kremerem otrzymaliśmy. Lecz ta praca nasza, przypisana dostojnemu hrabiemu, dopiero po jego zgonie ukazać się mogła!

(Przyp. tłum.).

(3) T. był w Wiedniu 1829, w Warszawie 1840. w Dreźnie, Lipsku i Berlinie 1842, w Wiedniu, Medyolanie i Wenecyi 1844 r. i t. d.

(4) Jadąc do Odessy wstępował do Kamieńca i był w domu moim 20 czerwca 1851 r., gdzie mi zostawił kilka pięknych okazów zwierząt ssących. Najniepomysłniejszym zbiegiem okoliczności, w tym właśnie czasie śpieszyłem do Postaw, aby go odwiedzić i poznać osobiście, nie wiedząc jaka przyjemność i szczęście spotkać mnie miały, gdyby się listy nasze nie były rozminęły. Na uczczenie pamiątki pobytu jego w Kamieńcu, przypisałem mu przekład rozbioru dzieł Jerzego Cuvier'a,

Lecz wiek podeszły i niepomyślny stan zdrowia nie pozwoliły mu już wówczas zająć się poszukiwaniami, które sobie zamierzył w tej wycieczce uczynić. Niezrażając się jednak żadnym niepowodzeniem, obmyślił przy tej zręczności potrzebne środki do przyszłej w te strony wyprawy zoologicznej. Niestety, rok 1852 nie był dlań pomyślniejszym od zeszłego, widział się więc zmuszonym, przewodnictwo tej wyprawy zdać na p. Skindera, konserwatora swoich muzeów. Otrzymał z niej 500 ptaków i 300 jaj bardzo rzadkich, zebranych w Bessarabii i Krymie. Lecz była to już ostatnia naukowa podróż, wykonana pod sterem i opieką uczonego hrabiego.

Jeżeli dotąd w tym pobieżnym opowiadaniu staraliśmy się skreślić wizerunek Tyzenhauza, głównie jako żołnierza i naturalisty, to nie dlatego bynajmniej, aby życie jego i charakter nie przedstawiały nam z innej strony i pod innymi względami szczegółów godnych pamięci. Tyzenhauz posiadał zadziwiającą zdolność nabywania najróżnorodniejszych wiadomości, i odznaczał się świetnie prawością charakteru. Najgorliwiej pełniąc obowiązki swego powołania, znajdował uprzyjemnienie chwil pracowitego życia w zasobach szczęśliwych przymiotów ciała i umysłu, któremi nieba hojnie go obdarzyły. Muzyka i malarstwo były mu tarczą od owych ponurych usposobień duszy, którym podlegają zwykle uczeni, zajmujący się bez przerwy i wyłącznie pracami umysłowymi. Pięknym udarowany głosem, grywał też na kilku instrumentach, szczególnież zaś na ulu-

wydany w Wilnie u Zawadzkiego tegoż roku, pod napisem: „*Jerzy Cuvier i jego prace*,” on zaś przysłać mi raczył wizerunek swój z własnoręcznym podpisem. Drogi upominek, dowód względów i życzliwości nigdy niezapomnianego męża! O podróży zaś odeskiej, w liście do mnie z dnia 25 lipca 1851 r. tak pisze Tyzenhauz: „Projekt podróży mojej w złą godzinę pomysłany, wszędzie mi stawi przeciwność i zawód: pana w Kamieńcu nie zastałem, w Odessie spodziewałem się poznać Nordmana, lecz ten od lat dwóch przeniósł się do Helsingforsu.... Nieznośne upały nie pozwalają mi odbyć pożądaną podróż po Krymie; tu codziennie doświadczamy niemniej jak + 26 do 27° ciepła w cieniu, a przeszło 50° na słońcu; w nocy zaś minimum 20—22°. Mieszkańcowi północy, wiekiem zwątlonemu na siłach, trudno jest wytrzymać pod dachem, a cóż dopiero w otwartym polu zapuszczać się w badania. Piękna to rzecz step, a jakie na nim nieprzebrane bogactwa przyrody? z tych jednak nie wiele skorzystać mogłem bo nie mając obeznanego z miejscowością przewodnika, wiele się traci czasu.....
(Przyp. tłum.).

bionej mu wiolonczeli. Biegłe władał pędzlem, i oprócz widoków które zdejmował wodnemi farbami, umiał pochwycić z pamięci i rysować ołówkiem, a niekiedy od razu piórem, wizerunki znajomych sobie osób, zaprawiając je czasem odcieniem niewinnej a dowcipnej satyry.

Oddany po większej części pracom naukowym i prowadząc życie samotne, aby zapobiedz mogącemu złądy wyniknąć osłabieniu sił fizycznych, szukał rozrywki w łowach. Często, jednak z ofiarą wytropionego zwierza, polowanie kończyło się na zajmujących poszukiwaniach zoologicznych i botanicznych, lub też na zdjęciu pięknego jakiego widoku. Z takiéjto raz wycieczki przywiózł szkic bardzo pocieszny, wyobrażający z najtrafniejszém podobieństwem, myśliwego—malarza, całkiem zajętego rysunkiem, podczas gdy lis niecnota nie postrzeżony, podsuwa się do niego, i wyciąga mu ukradkiem z torby zapas wędliny. Niemniej jednak dzielnie zażywał broni jak umiał władać ołówkiem: dowodem tego ogromne niedźwiedzie i wilki poległe z jego ręki, których wypchane skóry, część jego muzeum składają.

Skoro przeminął czas łowów i rozjechali się myśliwi, między którymi widziano często wielu zaproszonych przyjaciół, wnet pałac postawski, stawał się znów cichą i samotną siedzibą nauk. Antypatycznie nie lubił Tyzenhauz szumnych zabaw i wystawy wielkiego świata, równie jak zniewieściałych salonowych towarzystw. Przepych i wystawę cenił tylko w rzeczach nauki i zdolnościach umysłu; tylko ludzie uczeni i utalentowani, z którymi wszędzie starał się zabierać stosunki, towarzystwo jego składali. Prostota obyczajów, jednostajność umysłu, stodycz charakteru, czyniły go przystępnym i miłym; w potrzebie okazywał nieugiętą moc woli, wzywającym pomocy jego nie odmawiał opieki. Szczęście nie robiło go wyniosłym, ani też nieszczęście trwożliwym; niepomyślne koleje życia znosił z godnością i z poddaniem się religijném. Takim zaś obdarzony był hartem duszy i umysłu, że w dni kilka po uratowaniu go zaledwo od napływu krwi na mózg, wdział się jak niecierpliwie powracał do swych naukowych zatrudnień, zajmując się czytaniem w berlińskich Archiwach historyi naturalnej, sprawozdania p. Hartlau-

ba o postępie ornitologii, tudzież nowo wydanych dzieł księcia Karola Bonapartego (1).

Do tych wszystkich przymiotów umysłu i serca łączył zalety dobrego obywatela, i równie mądrego jak szczodrobliwego pana. Wysokie zdolności, których dał dowody jako członek komisji sądowej edukacyjnej litewskiej i kurator gimnazjum mińskiego (1839—41), tudzież członek zarządu więzień w Dziśnie i Kownie (1834); umiał Tyzenhauz obracać na korzyść obszer-nych dóbr swoich, a usiłowania jego w tym względzie, uwieńczone zostały najpomysłniejszym skutkiem. Wło-ści jego zaludnione dwudziestu tysiącami mieszkańców, wybornie urządzone i utrzymane, stały się wzorem dla całej okolicy. Postawy słynęły kiedyś z pięknego sta-da koni. W Rakiszkach, których Tyzenhauz w młodo-ści swój jeszcze, ułożył uczone opisanie statystyczne i fizyczne, uprawa lnów, doprowadzoną została do sto-pnia takiej doskonałości, że ich wziętość dała poznać imię Tyzenhauza handlowym miastom Anglii. Niepospo-lity i pełen smaku budowniczy, Tyzenhauz, według wła-snego planu wznosił piękny dom w Rakiszkach; obzna-jomiony z rzemiosłami wszelkiego rodzaju i z mechani-ką, szczególnie w jej zastosowaniu do rolnictwa, sam nawet niekiedy wynajdował nowe kombinacje machin; jemu też powiast dobra jego obejmujący, winien wprowa-dzenie niektórych nowych narzędzi i machin rolniczych. Naostatek, obeznany z nauką lekarską i weterynaryą, nie będąc nigdy zwolennikiem szkodliwych metod specyfi-ków powszechnych, udzielał rad zbawiennych mieszk-kańcom całej okolicy i włościanom swoim, którzy się do niego o pomoc udawali.

Wiek podeszły nie zmienił bynajmniej wyrazu nie-pospolitej mądrości i męskiego wdzięku szanownych

(1) O wyzdrowieniu i zajęciach swoich w tym czasie, pisał do mnie T. w liście z dnia 14 lutego 1850 r. „Przyjazna jego troskliwość o zdrowie moje, wzajemne wzbudza we we mnie uczucie sympatii a ra-zem i wdzięczności. Owoż na żądanie pospieszam z odpowiedzią abym mu doniósł, że chwala Bogu stan mego zdrowia codziennie się pole-psza, siły acz zwolna się krzepią; a nawet pozwalam sobie z umiarko-waniem rozkoszy naukowych, bo właśnie w tych dniach otrzymałem ostatnie poszty: *The genera of Birds G. R. Gray'a*, i potrochu prze-glądam to olbrzymiej pracy ornitologiczne dzieło.” Z jakąż radością czytałem wówczas ten list T. nie przeczuwając, że tak prędko skon je-go oplakiwać mi przyjdzie! (*Przypis. tłum.*).

rysów jego oblicza, pociągających do siebie każdego, kto go ujrzał. Lata wszelako nadwątlily mocne jego zdrowie; i ostatnie miesiące życia były dla niego pasmem dotkliwych cierpień. Często, złożony chorobą w swém krześle, już tylko za pomocą szczęśliwej i żywej jeszcze pamięci, gonił myślą za przedmiotami, które tak lubił w ciągu długiego naukowego zawodu. Filozof do ostatniej chwili, pomimo trapiących go boleści zdołał zachować pogodę umysłu, oddając się głębokim rozmyślaniom. Nie bez żywego żalu spoglądał na swoje książki, paletę i wiolonczelę, jako na dawne towarzyski, które miał wkrótce opuścić na zawsze. Jeszcze na dni kilkanaście przed śmiercią, widząc jednego ze swych przyjaciół przejętego głęboką boleścią na widok jego cierpień, znalazł dość siły, aby dla rozerwania go zagrać na fortepianie, jedną z ulubionych melodyj, wtórując wdzięcznym swym głosem. Lecz było śpiew łabędzia, śpiew pożegnania!

Pomimo życia wstrzemięźliwego i czynnego, uparta choroba, oddawna podkopywać zaczęła silną jego budowę. Kilka długich i dotkliwych przystępów podagry i częste cierpienia dychawicy, uderzyły wreszcie na płuca. Napływ krwi do mózgu, o którym mówiliśmy, pogorszył ten stan zatrważający, i Tyzenhauz, skutkiem wynikłej złąd puchliny wodnej zakończył żywot chwalebny 28 (16) marca 1853 r. otrzymawszy pomoce religii, o udzielenie których sam prosił.

Urodzony w dobrach swoich Żołudku pod Grodnem 22 maja (3 czerwca) 1786 r. Konstanty Tyzenhauz, oddał Bogu ostatnie westchnienie na rękach dzieci swoich w Postawach, by się połączyć z cieniami małżonki i pierworodnego syna, co go do grobu poprzedzili. Miał lat zaledwo 67.—Pokój jego duszy!

Wyliczenie prac literackich Tyzenhauza, drukiem ogłoszonych i pozostałych w rękopismach.

1. Rozprawa o *Sowie mszarnéj* znalezionej w Litwie (rękopis polski) 1830, z 1 tablicą kolorową, znajdującą się teraz w bibl. ces. w Petersburgu. *Revue et Mag. Zool.* 1851. p. 57. *Archiv für*

Naturgeschichte v. Troschel. Berlin 1852, p. 18. Tyzenhauz odsyłał jaja tej lapońskiej sowy p. Gray znakomitemu naturaliście londyńskiemu, który zrazu wziął je był za należące do gatunku amerykańskiego *Syrnium cinereum*. Sowa lapońska z lasów postawskich, nazwana przez Tyzenhauza po polsku *sową mszarną*, jest według niego młodą sową brodatą (*S. barbata*) Pallasa. W wyżej pomienionych pismach peryodycznych, T. dowodzi różnic zachodzących między gatunkami *Strix laponica* Retziusza i *Strix cinerea* Gmelina Ameryki północnej.

2. Ogólne postrzeżenia o gąsienicach zasiewom szkodliwych, mianowicie *komorzycy* (*Tipula*). W Warszawie 1838 r. w Tygodniku Rolniczo-technologicznym Kurowskiego Nr. 41. Już w 1823 r. Mielżyński ogłosił w języku francuzkim w Genewie rozprawę o szkodliwych liszkach.

3. Wiadomość o niektórych rybach Litewskich, umieszczona w Zoologii Kumelskiego i Gorskiego. Wilno 8-ka u Glücksberga 1837, str. 843.

4. Artykuły monograficzne z podpisem autora o niektórych ptakach, umieszczone w czterech początkowych tomach *Encyklopedyi powszechnej* polskiej, która zaczęła być wychodzić w Wilnie u Glücksberga w 1838 r. 8-ka.

5. *Zasady Ornitologii* tom I. w 8-ce większej; po polsku, w Wilnie 1841, z tablicą barw i pięcią tablicami zootomicznymi. W tém dziele zawiera się historia literatury, taxonomia, glosologia i terminologia ornitologiczna polska. Ostatnia jest najznakomitszą częścią jego. Rozbiór w Tygodniku Petersburskim 1844 r. Nr. 23. Ob. Bibl. Warsz. 1842. III, 677.

6. O motyłu znalezionym w Postawach na oleandrze, zwanym *Sphinx nerii* (*Deilephila*?). Rękopis posłany do Berlina dla umieszczenia w piśmie peryodyczném: *Zeitschrift der Naturforschenden Gesellschaft* 1842.

7. *Ornitologia powszechna*, w 8-ce, w 3 tomach po polsku. W Wilnie 1843—46. Dzieło nader ważne i jedyne w języku polskim. Dwa początkowe tomy wymagają dopelnień z powodu pomnażających się codzień odkryć (1); te dopelnienia już po części przygotowane przez autora, oczekują godnego wydawcy. Rozbiory dzieła tego mamy w Tygod. Petersb. 1844, N. 23: w Bibliotece Warszawskiej 1846. maj. *Revue Zoologique* 1845 nr. 8 p. 295. T. 3-ci jest najzupełniejszy i odpowiada postępowi nauki, pisał go bowiem autor po zwiedzeniu muzeów zagranicznych.

8. Notice sur le *Myoxus dryas* reconnue comme une espèce européenne, suivie de quelques observations sur le loir d'Europe en

(1) Życzeniem ś. p. hr. Tyzenhauza było, abym się zajął uporządkowaniem dodatków przygotowanych przez niego do ornitologii powszechnej. Przeszkody, których usunąć dotąd nie mogłem, a mianowicie odległość miejsca mego mieszkania od Postaw, nie pozwoliły mi odpowiedzieć tak zaszczytnemu wezwaniu. (*Przypis. tłum.*)

état de domesticité. Wyciąg z Revue et Magaz. de Zoologie, Juillet 1850. N. 7 p. 13, Paris.

Zobacz również w Bibliot. Warszaw., kwiecień 1848. N. 88 str. 158—167, o *koszatkach w lasach litewskich*. Rozprawa bardzo zajmująca (*Myoxus nitela et muscardinus*, ob. Belke Mast. III, 326).

9. Sur une pluie d'insectes en Lithuanie. Revue zool. 1849. Bibliothèque universelle de Genève Novembre 1849. Frorieps Tagesbericht, 1850. N. 35. Toż samo po niemiecku w *Correspondenzblatt* wydawanym w Rydze 1849. N. 12, i oddzielnie pod napisem: *Mittheilungen ueber einen in Wilnaischen Gouvernement beobachteten Insekten-Regen* 1850. p. 1—7, z tablicą wyobrażającą owad *omomilka* (*Telephorus fuscus* Degeer). Biblioteka Warsz. 1849, kwiecień, II, 189 i dodatek tamże III, p. 188: o *dżdżu owadzi*.

10. O mannie spadłej w Litwie pod Smorgoniami w 1846 r. Rozbiór chemiczny p. Seetzen w Rydze, wskazuje w niej amydon ze śladem kwasu benzoicznego. Tygodnik Petersburski. 1846. Kuryer Wileński, 1846, nr. 44. Gazeta Gubernialna Wileńska po rosyjsku, 1847. Niektórzy uważają to za rodzaj krochmalu deszczem zaniesiony i zmieniony w swoich własnościach.

11. Wiadomość o Rubensie, w Bibliotece Warszawskiej zeszyt 91, str. 183. Jest tam wzmianka o testamencie Van-Dycka i Van-Eycka. Porównaj zeszyt 88, str. 193.

12. Catalogus avium et mammalium quae habitant in regionibus Europae, positus inter gradum 46—57 lat. sept. et 35—55 longit. a Ferro.

Spis ptaków i zwierząt ssących mieszkających w Europie między 46—57 szer. pół. i 35—55 długości geogr. In folio po łacinie; litografowany w Rydze, 1848. Wyliczono w nim nazwy 320 gatunków ptactwa.

13. Dostrzeżenia ornitologiczne. Sąto tablice porównawcze, czyli spostrzeżenia w ciągu lat 10 nad wędrówkami ptactwa, robione w Postawach. Biblioteka Warszawska 1844, IV, 162. Tyzenhauz w tym samym przedmiocie miał korespondencją z professorem Keslerem w Kijowie, i hrabią Adamem Platerem w Krasławiu.

14. Sur les aigles d'Europe, ou remarques sur quelques oiseaux de proie en Europe en reponse à Schlegel, auteur de la revue critique des oiseaux en Europe. Revue Zoologique 1847.

15. Sur la coloration du Canard, tamże 1847 r.

16. Planches ovologiques coloriées. Paris, 8-ka. 1850—53, avec la dénomination polonaise et latine.

Tablice owologiczne kolorowane (mogące służyć za atlas do dzieła Temincka); zeszytów 1—8, z 73 tablicami jaj kolorowanych, ptaków litewskich. Tablica I przedstawia ogólne kształty jaj. Wydanie to pod sterem p. Guerin-Méneville, dotąd nie jest jeszcze ukończone.

17. Ruines du chateau etc. Zwaliska zamku Kokenhauzen w Inflantach, należącego do kawalerów mieczowych z rodziny

Tyzenhauzów, rysowane z natury 1849, litograf. w Paryżu, wydanie Wilczyńskiego, fol. max.

Inny widok tegoż zamku, bardzo szczegółowy, dotąd nie wydany, pozostaje wraz z wielu innymi w album Tyzenhauza. Jest to praca artystyczna.

18. Sur la propagation du *Pyrrhula erythrina* (O mnożeniu się *gila dziwonu*). *Revue Zool.* 1851. Ten gil karminowy, gnieździ się na wiosnę pod Wilnem.

19. Observations sur la faune ornithologique des provinces de la Nouvelle Russie. Postrzeżenia nad fauną ornitologiczną prowincyj nowo-rosyjskich, położonych nad brzegami morza Czarnego, 1853 (w rękopismie francuzkim).

Postrzeżenia te ściąają się do obyczajów *sepów płowego i szarego* (*V. fulvus et cinereus*). Następnie T. radzi ustanowić nowy rodzaj *Clanga* o trzech gatunkach *C. naevia* (*F. maculatus* Gmel.): *C. fasciata* i *C. macrodactyla* (v. d. Muhle); tudzież opisuje niektóre sokoły, sowy, dzierzby, muchołówki, kruki; a także mówi o kawkach (*C. monedula*) bardzo pospolitych w Bessarabii; nakoniec gatunki: *Pastor roseus*, *Glareola Pallasii*, *Phaenicopterus antiquorum* etc. Ogółem są tam postrzeżenia nad 200 gatunkami ptaków.



ZOSIA ŻYTKIEWICZÓWNA.

POWIASTKA UKRAIŃSKA

PRZEZ

Tadeusza Padalicę.

(Dokończenie).

Tak jechali przez Medwedówkę, Subotowo, Czehryn, a trzeciego dnia już byli w stepach. Przejechawszy Nową Serbią, skierowali się ku ujściom Bazawluka, i już stepami kudackiej pałanki jechali do samej sicy. Zaporozie siedziało wówczas koszem przy rzece Podpilnej. Podczas podróży nie spotkał ich żaden wypadek, a chociaż spotykali tu i owdzie wałęsających się burlaków, to opowiadając się Małorusinami, żadnej nie spotkali przeszkody. Nie mieli wprawdzie przewodników ani *piernacza*, ale też uboga ich odzież i liche szkapy nie nęciły nikogo na zdobycz. Zatrzymawszy się u wrót siczowych, nazywanych basztą, postrzegli nasi podróżni kozaka stojącego na straży ze spisą w ręku, a przed szłasem tuż przy wrotach siedziało jeszcze kilku z fajkami w ustach. Żytkiewicz zatrzymał się we wrotach i uchylwszy czapki, rzekł:—*Zdorow kozacze!*

-- *Zdorow!*— odpowiedział strażnik mierząc ich spokojnym okiem.

— A gdzie wasz ataman basztowy?

— A tobie on na co?

— Żeby się opowiedzieć.

Kozak za całą odpowiedź spojrział na siedzących przy szłasie, i jeden z tych, otyły, pleczysty kozak, leżący na wojłoku

przed drzwiami, w dobrze już wytartym żupanie, z ogoloną głową, na której czerniała wijąca się jak pręga, czupryna, odezwał się, nie podnosząc z miejsca:

— *Oś win-no*, mów czego ci trzeba?

Żytkiewicz zsiadł z konia, oddał go Stanisławowi, a sam przystępując do atamana i powitawszy go rzekł:

— A co, panie atamanie, jakby wasza łaska, kazać mię przeprowadzić do pana pisarza koszowego?

— A tyż co za ptaszek?—zapytał ataman.

— At, tak sobie, siroma, taj hody!—rzekł Żytkiewicz.—Jak jadę, nie pytam o drogę; a przyjadę, zajeżdżam wprost we wrota; jak zamierzę się, to i uderzę; jak piję, to leję w gardło nie na brodę; na konia siadam od lewój strony i w dzień lepiej widzę, jak w nocy.

— *Tiu tiu! nawżeny!*—rzekł śmiejąc się ataman.—To jakiś gębaty wyrodek. No, więc czegoż ci trzeba?

— Co za dziwo!—odparł Żytkiewicz:—Czy wy blekotu najedliście się, czy co? Zaprowadźcie mię do pana pisarza koszowego.

— A na co on tobie?

— Ja to wiem na co.

— A nam nie powiesz?

— Ot, tak, jak nie powiem!—rzekł Żytkiewicz.—Nie mam coś ochoty, a przytém gardło mi zaschło od wiatru i trzeba je pierwój odwilżyć *sywuchą*.

— Jaremo!—zwołał ataman do kozaka siedzącego opodal z fajeczką—odprowadź ich do pisarza, taj niechaj im *didko!*

Od wrót zaczynały się zabudowania siczy. Byłto plac duży, obstawiony dokoła budynkami różnej wielkości i szalasami z tarcic, trzciny lub wojłoków. Każdy z tych większych budynków był miejscem zgromadzenia się kozaków, gdy dla ogólnych narad wezwani bywali z pałanek. Ile kureni, tyle było domów. W szalaszach zaś pomniejszych sprzedawano smołę, chleb, rzemień, rybę, wódkę i inne drobiazgi. W środku placu stała wysoka chorągiew z wyobrażeniem orła, a przy niej chodził szyldwach obok ustawionych szeregiem kotłów, za pomocą których zwoływano zebranych kozaków dla narad lub wysłuchania rozkazów hetmańskich. Wnet za kureniami stały domki starszyny kozackiej proste, niewielkie, różniące się od innych okiennicami pomalowanymi w rozmaite kolory. Gdy na-

si podróżni zatrzymali się przed jednym z takowych, który był mieszkaniem pisarza Artemy, przeprowadzający ich kozak zdjął czapkę, położył ją na ziemi w progu, a sam wszedł do środka. Po chwili wyjrzał przez drzwi, kiwnął palcem na Żytkiewicza, a gdy ten wszedł do izby, tam go spotkał niski, krępy, o zawieszonym wąsie staruszek, w granatowym żupanie, litym opasany pasem.

— *Zdorow buw!*, panie pisarzu!—rzekł Żytkiewicz, oddając pokłon i kładąc palanicę na stole.

— *Zdorow buw!*—odrzekł pisarz.— A co nam powiecie?

— Wszystko dobre.

— A po dobrém.

— Znowu dobre.

— Kto jesteś?

— Ja jestem szlachcic polski Onufry Żytkiewicz, jadę ze Śmilańszczyzny, a po co? to powie szczegółowiej ten oto papier—rzekł, dostając z za pazuchy pakiet i wręczając go pisarzowi.

— Szlachcic? a, więc proszę waszmości siadać—odrzekł pisarz po polsku.—To od gubernatora śmilańskiego—dodał, przeczytawszy adres.—Znamy się z nim; cóż on, zdrów?

— Zdrów, i kazał się kłaniać panu pisarzowi najuniżenięj.

— Dziękujemy. Jakież macie interes?

— Przeczytajcie, to się dowiecie.

— Waszmość nie znasz zapewne ustaw naszych: w przeciwnym razie wiedziałbyś, iż żaden papier nie może być czytany przezemnie samego. Udniosę go do pana koszowego, tam przeczytamy i zrobimy, jak powie rada nasza.

Nie wiedziałem tego i przepraszam— odrzekł Żytkiewicz.—Jaki już porządek macie przepisany, według tego postąpicie. Wy to już wiecie, a mnie do tego *zaś*. Moja rzecz zanieść prośbę i oddać pokłon.—Nareszcie rozpowiedział szczegółowie, że przyjechał odszukać tu syna, bo, jak się dowiedział od Mamaja, ma on się znajdować na siczy; a w końcu dodał—Panie pisarzu Artemy Bazylewiczu! Jak to powiadają: *kruty, werty, a nihae prawdy dity*. Wiemy przecie, choć nie mieszkamy z wami, że wasz tu rozum rządzi wszystkiém, i że bez waszjej rady nic się nie robi. Dopomóżcie mi, a ojcem rodzonym nazywać was będę!—I to rzekłszy pokłonił się mu znowu i wydobywszy zwitek karbowanów z zanadrza, położył go na stole.

Pisarz potarł czuba i zaczął rozpytywać się o szczegółach najmniejszych towarzyszących napadowi Mamaja na Moszny; a gdy się Żytkiewicz wypowiedział ze wszystkiego, rzekł nareszcie zdziwiony:

— I to już wszystko?

— A wszystko, więc nie wiem — odpowiedział Żytkiewicz.

— Ouwa! panie bracie, troszkę trudna sprawa. U nas 38 kureni, a każdy gdzieś w stepach lub na ostrowach, a chłopcy albo przy tabunach, albo zajmują się rybołostwem: więc prędzej odszukasz igłę w wozie siana, jak syna, nie wiedząc w którym on liczy się kureniu.

— Wiem to dobrze—panie Artemi Bazylewiczu—rzekł Żytkiewicz—że jak przyjdzie na mój głupi rozum, to nie dojdę ładu w niczém; ale wy bądźcie mi jak ojciec i radźcie.

Pisarz znowu potarł czuba: — Obaczmy, obaczmy!— rzekł, i namotując wąsy na palec, kazał sobie powtórzyć znowu szczegóły mogące rzucić pewne światło na rozwikłanie tajemnicy.—Już to prawdę mówiąc między nami—dodał nakoniec cicho, mybyśmy go odszukali i w susłej norze: ale nasi kurenni atamani jak gadziny sykają nam w oczy za to, że Kozaków wydajemy z kosza. Idźcież sobie z Bogiem i przenocujcie tu w którymkolwiek kureniu albo u znajomego, jeśli macie, tylkoż nic nie mówcie po co przyjechaliście, a jutro rano stawcie się przed koszowym.

Żytkiewicz dopytał się do znanego sobie kozaka Proskurki, który kiedyś w Smile handlował smołą, a teraz osiadł w sicy i założył kram drobiazgów, i przenocowawszy u niego, rano nazajutrz stawił się przed koszowym.

Mieszkanie koszowego nie różniło się niczém z powierzchowności od domów innój starszyny, wyjąwszy świetlicy, która przyozdobiona była w obraz i kobierce. Przed stajnią stało kilkanaście osiodłanych koni, uwiązanych do pik, wetkniętych w ziemię, i tyluż Kozaków w rozmaitych położeniach siedzieli lub leżeli przy nich. Przed samemi zaś drzwiami koszowego domu, jakiś podeszłego wieku Kozak w żółtych butach, bez zwierzchniej odzieży, umywał się parszkając silnie w dłonie, na które mu Tatarczuk lał wodę z ogromnego kufla.

— *Zdorow kozacze!* — rzekł Żytkiewicz — a czy doma *batko?*

Stary Kozak łupnął oczyma i ocierając wąsy, zapytał:

— A czego ci trzeba?

— Interes mam do pana koszowego. Powieǳcie, że chcę się z nim widzieć.

— A ty zkąd?

— Ze Smiły.

— Aaa... zaczekaj trochę stary — powiedział Kozak ocierając się ręcznikiem i huknął do stojących Kozaków:

— Hej, kozaki! a poproście tu pana wojskowego sęǳiego, pana pisarza i assaulę.

I to powiedziawszy wszedł do izby, a gdy po chwili Żytkiewicza wezwano do środka, postrzegł on nie bez zdziwienia, iż Kozak z którym rozmawiał przede drzwiami, byłto sam koszowy ataman, który już siedział na ławie za stołem, w żupanie, podpasany bogatym polskim pasem.

Żytkiewicz, znajomy obrzędów powitania, nasamprzód przeżegnał się ku obrazom, następnie położył palanicę na stole i rzekł:

— *Zdorow buw* panie atamanie! kłaniam się wam z chlebem i solą!

— *Spasybi*, z wami zdrowemi — odpowiedział koszowy. — Siadajcież. — Gdy Żytkiewicz chciał opowiedzieć interes w którym przybył, koszowy mu przerwał, mówiąc:

— Opowiecie nam wszystkim, jak zbierze się starszyzna na radę. — A tymczasem rozpytywał o gubernatorze śmilańskim, i napadzie Mamaja.

— Ja wiem, rzekł nakoniec, że pan Dobrzański musi tam psy wieszać na nas za tych przeklętych hajdamaków; ale żeby mi tak Pan Bóg pozwolił doczekać jutra jak prawdę mówię, że my ich tu ciągle karzem za te napady. Ale cóż poradzicie? Nie ma, jak to powiadają, rodu bez wyrodu. Kozaków u nas dużo, a między nimi są takie szalone głowy, że jak im nie ma zabawki z Tatarami, to ich czart ciągnie na rabunek.

Wtém wszedł sęǳia, wojskowy pisarz i assaula. Powitawszy się z koszowym i pokłoniwszy się Żytkiewiczowi, zasiedli oni ławę, i koszowy wręczając list gubernatorski pisarzowi, zapytał:

— A co tam panie Artemi Bazylewiczu pisze do nas pan gubernator śmilański.

Pisarz rozwinął papier i cały list przeczytał.

— Cóż zrobimy panowie bracia? — rzekł znowu koszowy.

I tu zaczęły się różne rady i uwagi, z których mógł wnioskować Żytkiewicz, że koszowy trzymał się na uboczu w miarę jak sędzia i assaula starali się przekonać Żytkiewicza, iż odszukanie syna jego jest dziś niepodobieństwem. Postrzegł nawet Żytkiewicz, iż assaula nieprzyjaznym okiem poglądał zawsze na niego, i w końcu nawet rozkrzyczał się na pogranicznych gubernatorów polskich, że ich zasyłają rekwizycjami, i ztąd tylko wywołują na nich oburzenie Kozaków. — Co my winni, wołał, że nam ciągle nie dajecie spokoju? Już nieraz odpowiadaliśmy wam, że hajdamaki nie należą do nas. Jak ich wieszacie i na pale wbijacie po drogach, to nie pytacie nas, czy można? A jak okradną kogo z Lachów, albo spalą karcznię, to zaraz z rekwizycją do nas. Cóż to, czy kosz nasz pokrywa ich, czy targuje z nimi na grosz jeden? Niedawno pan Suchodolski z Łysianki pisał do nas, żebyśmy mu powrócili pokradzioną u niego bieliznę! Alboż to kosz przechowuje co oni nakradną? A potem Kozacy nasi krzyczą na nas, że wydajemy swoich i przetrząsamy ich pałanki. I w tém np. zdarzeniu: gdzież my znajdziemy twego syna? Czy jeden u nas kureń? czy tylko dziesiętek Kozaków? Że Mamaj powiedział, to już ma być prawdą, już trzeba przetrząść stepy od Kałmiusu aż do Bugu. Co to za napaść taka!

Sędzia dodał:— Pan gubernator grzecznie pisze, ale krzywdzi nas zawsze, bo liczy nas za jedno z Mamajem. Jeśli ten hajdamaka powiedział, że wie o twoim synie, to jeszcze nie dowód, żebyśmy także wiedzieli o nim.

I wszyscy rozdąsali się, ponachmurzali czoła, skarżyli się na gubernatorów i łajali hajdamaków. Już Żytkiewicz chciał wypowiedzieć im słowa prawdy, widząc, jak zły obrót bierze jego prośba i klął w duchu pisarza, że siedzi jakby wody nabrał do gęby, gdy wtém po uciszeniu się chwilowém, rzekł pisarz:

— Panowie bracia, wszystko to prawda co mówicie i nie może nam być przyjemnie, że nas w Polsce posądzają o jedno z łotrami, którzy żyją krzywdą cudzą. Wszakże trzeba być sprawiedliwym, a wtedy przyznamy, że cała wina spadnie na hajdamaków. Za cóż oni w Polsce publicznie na rynkach nazywają

siebie Zaporozcami? Za cóż Mamaj namawia lud na Zaporozie? Czy kosz upoważnił go do tego? My wiemy że nie, ale jakże mogą o tém wiedzieć w Polsce? A jeśli będziemy jeszcze odprawiać z niczém tych, którzy naszej proszą opieki, nie sprawdzimyż tém domysłów, że trzymamy z złodziejami za jedno? Ale prośba pana Żytkiewicza jeszcze ważniejszej treści. On nie przychodzi do nas z wymówkami, nie chce odbierać kozackiego dobytku: on, biędny *siroma*, prosi nas ze łzami, ażebyśmy mu pomogli wynaleźć jego syna. On szuka go *serdeczny*, wszędzie, gdzie coś o nim zasłyszysz, i niech mu powiedzą, że syn jego w niewoli krymskiej, on i tam poniesie starą głowę, bodajby sam miał nie powrócić więcej. Za cóż my jego, panowie bracia, krzywdzić będziemy? Za cóż go wypchniemy z niczém, ażeby za progiem płakał na nas krwawemi łzami? Będziez to po bożemu, po chrześcijańsku? A jeśliby i odszukał syna, czyż to on z naszego towarzystwa pójdzie na szubienicę? Czy zgubimy przez to czyj żywot? Bynajmniej! Pocieszymy na starość tego starego, że do końca życia modlić się za nas będzie.

To odezwanie się pisarza wpłynęło stanowczo na zdanie rady. Koszowy nasamprzód odezwał się:

— Ehe, ehe, tak będzie do ładu, po bożemu; trzeba pomódz staremu. Jeśli syn pana Żytkiewicza jest u nas, to on pewnie w szcerbinowskim kureniu. Napiszcież panie pisarzu do kurennego atamana, żeby rozpytał się starych Kozaków o tym Laszku, i jeśli się znajdzie, niech go przyśle natychmiast do kosza. A wy tymczasem panie Żytkiewiczu, zabawcie u nas w siczy do jutra.

Ze łzami w oczach dziękował stary za ich pomoc, a najbardziej pisarzowi. Wnet posłano Kozaka z rozkazem do szcerbinowskiego atamana, a gdy nazajutrz stawił się przed koszowym Żytkiewicz, ten go spotkał temi słowy:

— No, panie Żytkiewicz, zguba twoja odszukała się, ale nowa zdarzyła się *karluczka*. Nie będziesz ty podobno miał z niego pociechy. Puścił się on na ladaco. Píše kurenni, że właśnie przed dwoma dniami złapał dwóch Zaporozców, którzy przed rokiem jeszcze bez pozwolenia wyszli z pałanki, i jak zeznali, grabili w Polsce z bandą Mamaja. Otóż panie Żytkiewiczu, jeden z tych hultajów nazywa się Paweł Lach, ma znak rodzimy na prawem ręku, zupełnie taki o jakim zaświadcza nam pan Dobrzański, i według zeznania starych Kozaków, istotnie

był przyprowadzony przez kramarza zaporozkiego Kuźmę Rosomachę, ze Smiły. Tu on go ochrzcił i trzymał do lat 18 przy tabunach w kałmiuskiej pałance, a przed dwoma laty wpisał do rejestru szczerbinowskich Kozaków.

— Cóż teraz będzie?—zapytał blady i drżący starzec.

— Ha, co rada powie mój hołubczyku!—odpowiedział koszowy.—A działo się to na dziedzińcu przed domem koszowego. Wkrótce przyszli znowu ciż sami ze starszyny i szeregiem usiedli na przyźbie. Żytkiewicz usiadł opodal i ukrywając twarz w obie dłonie, ledwie mógł powstrzymać się od płaczu. Wtém stawiono przed starszynyą zbiegów. Byli to dwaj silnej budowy Kozacy, ogorzali, zarośli, z wyrazem twarzy dzikim, o długich czuprynach, boso, i za całą odzież mieli brudne, całe w szmatkach szarawary i koszule. Ręce im były związane na tył, a końce od powrozów trzymali strażnicy, stojący obok nich z pikami i nahajkami.

Koszowy zapytał:

— Który z was Paweł Lach?

— Ja—odpowiedział jeden i spojrzał z podoba na koszowego.

— A czego ty *bratiku* uciekł z kurenia?

— Ot, tak, uciekł taj hody!—burknął więzień.

— A gdzie ciebie *didko* nosił?

— Już gdzie nosił, to nosił; a teraz mnie tam nie ma gdzie byłem.

— O, *suczuj synu!* jaż ciebie nauczę! A co panowie bracia—dodał zwracając się do sędziego i innych—jak wy sądzicie?

I po chwili narady odbytej półgłosem, gdy sprawdziły się badania o tożsamości więźnia, koszowy rzekł:

— Panie Żytkiewicz, przystąpcie tu bliżej: znalazła się twoja zguba, bierz sobie jego *k' czortu!* Choć on wasz syn, ale nie warto było jechać po niego tak daleko. Dajże mu pamiętnego i od siebie i od nas. A no, zbliż się *bratiku*,—dodał zwracając się do więźnia.—Widzisz tego Lacha, to twój ojciec. Pokłoń się jemu i het precz z siczy, żeby tu i kruk nie zaniósł twoich kości, bo jeśli wpadniesz drugi raz w nasze ręce, to źle będzie.

Biędny Żytkiewicz spodziewał się, iż w tej przynajmniej chwili obudzone uczucia synowskie i widok ojca, wzruszą w nim serce, i padnie mu do nóg ze łzami, zebrząc przeba-

czenia, obiecując poprawę; ale więzień nie ruszał się z miejsca i bezduszném okiem strzelał po wszystkich, jak złapany suseł.

— Durniu, ty, durniu!—odezwał się koszowy;—pokłoń się ojcu, wszak to twój ojciec!

— Kto? ten Lach?—zapytał zimno hajdamaka.

— Ten sam, Żytkiewicz.

— Niechaj jemu czart!—burknął więzień.

Na te słowa oburzyli się wszyscy, i koszowy błysnął gniewném okiem.

— Ou wa, bratiku, to ty taki? myż ciebie nauczymy i posłusznego oddamy w ojcowskie ręce.

Wnet powstali wszyscy i zabierając laski, mówili do koszowego:—Bywajcie zdrowi, wielmożny panie!—A koszowy odpowiadał:—Bywajcie zdrowi, a nie zapominajcie o nas.—Pisarz odchodząc wziął za rękę Żytkiewicza i pociągnąwszy za sobą, szepnął:

— Chodźcie do mnie panie Żytkiewicz! Nam tu nie ma czego pozostawać dłużej; da mu ład nasz ataman. A wy panie assaulo, przyślijcie potém tego Laszka do mnie.—Żytkiewicz zgryziony, sam nie wiedząc co robi, powlekł się za pisarzem.

Jak skoro oddalili się wszyscy, koszowy huknął:

— Stróże! a nokijów!—Na ten rozkaz stanęło kilku oprawców, a każdy z pękiem prętów łozowych. Koszowy rzekł:

— A teraz połóż się bratku: my tu ciebie nauczymy, jak to ty powinien słuchać starszych i szanować ojca.

— Wola wasza—odrzekł hajdamaka, i ponaglony przez Kozaków, położył się na ziemi. Stróże usiedli po dwóch na głowie i nogach, a dwaj inni zaczęli go smagać prętami. Paweł oparł się na łokciach i zacisnąwszy zęby, zniósł cierpliwie 50 kijów, nie wydawszy najmniejszego jęku.

— A co, będziesz teraz posłuszny?—zapytał ataman.

— Nie będę; wola wasza!—A, taki ty? dajcież mu jeszcze. Po 25, zapytał znowu:—A będziesz?—Nie będę!—A no jeszcze chłopcy zadajcie mu żaru, tylko dobrego. Gdy wyliczono 100, plecy więźnia pokryły się krwią, oblicze zaczęło blednąć i rzekł:

— Poczekajcie, nie bijcie! zmiłuj się baćku atamanie, tateczku mój, hołubczyku....

— A będziesz szanować starszych?

— Będę...

— I słuchać ojca?

— Będę...

— Ot tak należało z początku, wraży synu!—rzekł kozowy.—Teraz odprowadźcie go do Lacha, oddajcie mu na ręce i powiedzcie panu pisarzowi, ażeby wziął kwit, że go oddano z kosza.

Gdy stanęli przed mieszkaniem pisarza, Żytkiewicz siedział właśnie na przyźbie z głową spuszczoną, smutny, zamyślony. Kozacy opowiedzieli się przed nim i stary spojrzawszy na zbroję postać syna, załamał ręce i łzy mu potoczyły się gradem.

— O synu mój!—zawołał boleśnie—takiejżeto spodziewałem się z ciebie pociechy!

— Milcz tatu—burknął hajdamaka—będę już słuchał, tylko mi nie ćwiarkaj nad uszami i powiedz, niech mię nie trzymają jak psa na smyczy.

Tak dzikie obejście się hajdamaki w obec rozrzewniających cierpień starca, wzruszyło straż nawet.

— Pokłoń się ojcu, ucałuj mu rękę—szeptali Kozacy po-naglając go szturchańcami.

Paweł oglądał się, potem zbliżył się do Żytkiewicza i cmo-knął go w rękę; ale w tym ruchu i powitaniu nie było śladu synowskiego uczucia.

— A co tatu—rzekł po chwili—może pojedziemy?

— Dobrze, pojedziemy—odrzekł machinalnie stary i wlepiwszy weń wzrok rozpaczliwy, znowu załamał ręce i zapłakał.—O synu mój!—zawołał—jakże ty zaprzepaściłeś swą młodość! Wyrosłeś jak dzikie bydlę bez wiary, bez serca. I tuż są ludzie, mój synu, co pamiętają o Bogu i chodzą do cerkwi. Czemuż ich nie naśladowałeś? Czemu nie mówiłeś pacierza i nie żyłeś uczciwie? Alboż myślisz, że Bóg pozwala rznąć ludzi i zabierać im ich krwawicę? alboż nie odpowiesz za każdą kroplę łez i krwi na strasznym sądzie Jego? I cóż ztąd, że cię znalazłem i zabiorę z sobą? Ja nie hajdamaka, mój synu, i życie u nas nie hajdamackie. My modlitwą a pracą dorabiamy się kawałka chleba, a nie krzywdą ludzką. Jakże ja ciebie pokażę teraz między ludźmi? jakże pochwałę się tobą?... Widzisz teraz na sobie mój synu, że krzywdą ludzką nie bogaci się człowiek. Rozbijałeś i kradłeś, a nie mogłeś pokryć przed światem brzydkiej nagości ciała swego, i tylko duszę zaprzepaściłeś na wieki!..

Paweł milcząc wysłuchał słów ojca, zérkał tylko jak wilk, lub z podełba patrzył na Żytkiewicza. Stary wpatrzył się w to ogorzałe oblicze i jakby czekał, jakby prosił o łzę z tych kamiennych oczu, coby mu odwilżyła piersi; lecz oprócz zimnej obojętności i bezdusznój jakiejs głupoty, nie dostrzegł w niej żadnego wzruszenia.

— I jakże synu będzie?—rzekł z westchnieniem.

— Pojedziemy—odbaknął hajdamaka—a jeśli masz Lasze pieniądze, to kup mi konia i siodło, bo u mnie, do czarta, nie ma ani grosza!

— Lasze—powtórzył Żytkiewicz z boleścią.—Czyż nie masz w swém sercu drugiego dla mnie nazwiska?

— Zapomniałem... niech mię djabli wezmą, zapomniałem. Wybaczajcie tatu! Tylko nie chmurzcie się, i dajcie choć grzywnę na gorzałkę. Biesowe syny tak mię wyparzyli, że świerzbią całe plecy.

Stary Żytkiewicz o mało nie skonał z rozpacz i nie wiedział co począć. Serce się wzdrygało na samą myśl, że takiego łotra przywiezie do domu i pokaże matce jakiego ma syna, i córce jakiego ma brata!.. Jego zwierzęca dzikość i zupełna zatwardiałość uczuć robiły mu słabą nadzieję, ażeby je można było choćby w późniejszym czasie oświecić i uszlachetnić. I Stanisław nie wiedział jak ma radzić. Bolał więc w milczeniu patrząc na cierpienia ojca, a przewidując może okropniejsze... Pisarz kiwał głową i mówił:—Szkoda panie Żytkiewicz! nie będziesz miał z niego pociechy: nie przyswoisz tego wilczka, bo on już zaprawił się na ścierwie.

Ale nie było nad czém rozmyślać długo, i Żytkiewicz zmartwiony musiał zabrać z sobą odszukanego syna. Kupił dlań konia z rzędem, sprawił przyzwoitszą odzież, i nazajutrz, opatrzony świadectwem koszowego, wyjechał z siczy. Przez cały dzień piérwszy i następny, Paweł zdawał się być posłuszny, chociaż był ponury i milczący. Niechętnie jechał razem, lecz albo wyprzedzał Żytkiewicza i Stanisława, albo zostawał w tyle. Przed wieczorem zatrzymali się nasi podróżni przy jednéj ziemiance w stepie, żeby dać wytchnąć koniom. Paweł poskrobał głowę i rzekł:

— Tatu! daj mnie pieniędzy.

— Na co?

— Kupię wódki.

— Wypij sobie czarękę, ale więcej nie trzeba.

— Co czarka? głupstwo! — mruknął Paweł — nie chcę i ust paskudzić! — I gniewny usiadł na przyźbie. Ojciec udał że nie zważa na gniew jego, i wytchnawszy chwilkę, puścił się ze Stanisławem w dalszą drogę. Paweł zaczął przesiodływać konia i pozostał. Ile razy obejrzeni się, widzieli że Paweł stał przed szynkiem. Ale wkrótce i Paweł i ziemiarka znikli im z oczu; następował zmrok, a Pawła nie było. Co tu począć? Wracać po niego? — daleko. Zostawić? — nie wypada. Postanowili więc zatrzymać się na nocleg w jarze, do którego przybyli. Już późno przyleciał Paweł na zziąjaną szkapie, hajdamackie wyśpiewując dumy. Zapytany o przyczynę opóźnienia się, odbąknął hardo, nasadził biesów i czartów, i miotając się z koniem, okładając go nahajem, do późnej nocy spać im nie dał. Gdy podczas rozmowy zbliżył się do Żytkiewicza, wódkę mu z ust czuć było, i biedny ojciec przekonał się wkrótce, że Paweł był pijany. Nic mu wszakże nie powiedział, ale nazajutrz postrzegł na nim czapkę starą i wytartą zamiast nową, którą mu sprawił w siczy. Wtenczas wymówił mu zamianę, lecz Paweł nie tłumacząc się, przyzostał się znowu, i zasepiony jechał opodal za niemi przez dzień cały. Ale jakkolwiekby, jechali już bez przygody, i trzeciego dnia stanęli na popas w ziemlance pod lasem Czuta. Byłto las duży, leżący już w granicach Nowej Serbii, z kąd mil dziesięć najwięcej było im do Smiły. Stary, ślepy na jedno oko Serb, szynkował gorzałką i był jedyną żyjącą tu istotą. Izba do której weszli nasi podróżni była niska, ciemna, bez zédla i stołu. Wiązka siana rzucona w jednym jéj kącie, stanowiła łoże szynkarza. Żytkiewicz znający dobrze niebezpieczeństwo miejsc tutejszych, chciał wyminąć tę karcznię i popasać nad brzegiem Ingulu; ale Paweł uparł się, i tłumacząc, że koń jego zmęczony, pozostał. Jednooki Serb zaczął się przypatrywać po wszystkich, ale najciekawsze spojrzenia ciskał na Pawła. Chrząkał, kaszlał, krzątał się tu i owdzie, a tymczasem otarł się niby niechcąc o niego, i bąknął kilka niezrozumiałych wyrazów, na które Paweł równie nieznanemi odbelkotał. Po chwili Serb wyszedł na podwórze, natknął czapkę na tykę i podniósłszy do góry, jakby machał nią na kogoś. Wtém od lasu pokazali się jacyś trzej ludzie, weszli do izby, poukładali się na sianie, dobyli z kieszeń lulki na króciutkich cybuszkach,

i zapaliwszy je śledzili w milczeniu za każdym ruchem podróżnych. Potém zaczęli rozmawiać z szynkarzem po serbsku czy mołdawsku, wychodzili po kolei na podwórze, opatrywali konie naszych podróżnych i powracając znowu kładli się na sianie. Paweł nie mieszał się do ich rozmowy, ale w tak niezręczny sposób udawał że ich nie zna, iż postępowaniem swoim tém bardziej sprawdzał podejrzenia. Żytkiewicz więc mrugnął na Stanisława, i gdy obadwa wyszli do sieni, rzekł mu:

— To jacyś podejrzani szelmy.

— To hajdamaki—odpowiedział Stanisław.—Trzeba nam mieć się na ostrożności. A Pawełek, zdaje mi się, zna się z nimi doskonale?

— Bóg wie co mówisz!—odrzekł Żytkiewicz.—Przecież nie rozmawia z nimi.

Tymczasem Stanisław przyłożył oko do szpary we drzwi, i po chwili skinął na Żytkiewicza ażeby się zbliżył, i widzieli obydwa, jak Paweł korzystając z ich nieobecności wychylał czarke po czarce podawane mu przez owych włóczęgów, i jak im opowiadał o czémś prędko i pocichu; a nakoniec położył palec na ustach, jakby nakazując wszystkim głębokie milczenie.

Żytkiewicz zamyslił się i osnuwszy w myśli jakiś projekt, powrócił do izby niby wesóły, wdał się w gawędę z włóczęgami, rozpytywał ich o drogę, wymówił się niby niechcąc którądy ma jechać, gdzie nocować zamierza, i nie tracąc czasu, puścił się w drogę. Paweł przedtém ponury i małomówny, stał się teraz rozmowny i wesóły; ale gdy ubiegli mil parę, Żytkiewicz wstrzymał się nagle na rozdrożu i patrząc pilnie w oczy Pawełkowi, rzekł:—Rozmyśliłem się synu, już nie pojedę prosto, ale weźmiem się na lewo, na Cybulów.

Pawełek zmierzył ojca dużemi oczyma, i zaczął wmawiać że to zwrot niepotrzebny; że tamte szlaki pełne są hajdamaków, i Czuta dla podróżnych nigdy nie była bezpieczną odkad Mamaj przesiadywać tam zaczął. Ale gdy widział, że stary namówić się nie daje, pogroził jakby na pewno, dodając, że o grożącym im niebezpieczeństwie dowiedział się od owych hultajów, którzy byli w karczemce.

Żytkiewicz kiwał głową, pokręcał wąsa i z udanym śmiechem, jakby lekceważąc te strachy, rzekł:—Co będzie, to będzie; a będzie tak, jak Pan Bóg da! Wstydź się synu bać się jak dziecko: takizto z ciebie i Kozak! Nie piérwszyto raz będę

z nimi krzesał szablę, a wy także nie ułamki, Bogu dzięki. Takich jak my, trzech zuchów, opędzim się od dziesięciu i jeszcze nakarbujem im plecy.—Poczém zaciął konia i puścił się ze Stanisławem przyspieszonym klusem. Zdziwiony Paweł stał długo na rozdrożu, nareszcie splunął i rzekł:—Ot biesowe Lachy! ale to jak czart ich napadł...

— Gdzież ty tatu nocować myślisz?—zapytał, dognawszy Żytkiewicza.

— Na ziemi przeciwko nieba.

Paweł jakby domyślając się, iż obudził nieufność względem siebie, spojrział w oczy Żytkiewiczowi i rzekł:—Ty może tatu myślisz, że zmówiłem się uciec z hajdamakami, albo co? Ot żebym poczerniał jak ta ziemia, żebym jutra nie doczekał, żeby mię krzyż święty pobił, jeśli mam jaką złą dumkę w sercu. A wszakże gdybym chciał uciec, tobym uciekł kiedy zechcę, jak wypicie, albo jak zostałem się w karczmie.

Ale Żytkiewicz oświadczył, że nigdy go nie podejrzewał o ucieczkę, a tymczasem szłapał w raz powziętym kierunku. Tak ubiegli stepami mil ze dwie, i o zachodzie stanęli nad Ingulem. Przeciwko nich widniał *Las Czarny*, z prawej strony *Czuta*, a na jarze zieleniały ługi, długie taśmy oczeretów i tu i owdzie przebłyskały stawy. Żytkiewicz skierował się bez drogi w jar głęboki, i o kilkaset sążni od rzeki, w kotlinie pokrytej burzanem, zatrzymał się na nocleg.

Gdy rozsiadłano konie i przyszła pora ich napojenia, Paweł zebrał je wszystkie i chciał prowadzić do Ingulu; ale Żytkiewicz powiedział:—Zostań synu przy siodłach, bo ja je napoje ze Stanisławem.—Paweł już nie powstrzymał się w gniewie, zaczął wymawiać, że mu nie ufają, że go mają za wroga, że on pomandruje gdzie oczy poniosą, jeśli tak ojciec postępować z nim będzie. Nareszcie usiadł po tatarsku na ziemi, zapalił fajkę i milczał.

Ale gdy go zostawiono samego, nagle mu oczy zaiskrzyły się jak węgle, podniósł głowę, i w sprężystym susie, jak zwierzę, skoczył do siodła Żytkiewicza. Wydobył z sakiew flaszkę z gorzalką, drugą z własnej kieszeni, przekroił bochenek chleba, wydrążył jedną połowę z miękiny, i za pomocą tego prostego narzędzia, przelał gorzalkę swoją do flaszki Żytkiewicza a tamtą do swojej. Poczém znowu usiadł na stronie, i przez cały wieczór nie odezwał się ani słówkiem: nie wstał do czarki

i wieczerzy, ale podesławszy derę, nakrył się burką i zachrapał. Żytkiewicz tymczasem odmówił pacierz, Stanisław popętał konie, puścił je na paszę, i wkrótce obydwaj zasnęli snem twardym.

Gdy Żytkiewicz obudził się nazajutrz, już słońce świeciło nad głową, i południowemi promieniami paliło go niemiłosiernie. Porwał się więc na nogi przerażony, i żegnając się, krzyknął:

— Jezus, Marya! czyż to doprawdy już południe? Cóż to się stało, że spałem tak twardo i długo?

Budzi więc Stanisława, ale dobudzić się nie może. Bieży do Pawła, ale nie ma Pawła ani koni. Ogląda się dokoła i widzi, że nie ma burek ani siodeł. Szuka na piersi skórzanego *hamanca*, gdzie miał pieniądze, ale i tego nie znajduje. Poznaje nareszcie, że Paweł okradł ich ledwie nie do koszuli.

Natenczas Żytkiewicz wznosił oczy zalane łzami i zawołał.

— O Boże! jakże mię srodze karzesz! Syn mię własny okradł, a czemuż nie zabił!

Potem padł na ziemię i płakał jak dziecko.

Jego łkania obudziły Stanisława, który niemniejszą przejęty został boleścią, poznając co zaszło. Widocznie Paweł podsunął im z ręcznic wódkę zaprawną usypiającem zieleń, jakowy sposób był często praktykowany przez hajdamaków. Stanisław cieszył jak mógł starego, ale Żytkiewicz wciąż płakał i mówił:

— Oj, daj mi pokój chłopcze! nie ma już dla mnie pociechy w tym życiu! U ludzi dzieci są pociechą na starość: u mnie syn mój, syn jedyny, wyrodek, hajdamaka!

Gdy się spłakał stary i łzy ulżyły boleści, nagle potem powstał, jakby się opamiętał i rzekł mocnym głosem:

— No Stasiu, dokożakowaliśmy się, nie ma co mówić! Jedźmy teraz na ojcowskich koniach.—Przeżegnał się.—Boże! w imię Twoje! Błogosław nas Panie. A ty, synu—dodał grzmącym głosem obracając się ku stepom i podnosząc rękę, jakby przemawiał do pustyni—oby cię Bóg tak zasmucił, jak ty mnie zasmuciłeś! Oby cię odepchnął od swego łona, i występna głowa twoja nigdzie nie znalazła spokoju! Nie mam syna! nie mam! i oby ci Bóg też same słowa powtórzył na strasznym sądzie swoim! No, chodźmy teraz Stasiu, chodźmy!—dodał.—Teraz mi lżej na sercu: teraz nie mam syna i nie boję się rozboju...

I oblicze jego przybrało wyraz zupełnej obojętności. Stanisław tak był przerażony tą chwilą, iż słowa rzec nie śmiał.

Stary nałożył fajkę, jedyny sprzęt jaki mu pozostał w kieszeni, skrzesał ognia, zapalił ją i brnąc przez burzany, zaczął obojętną o czémś rozmowę, jakby żaden nie spotkał ich przypadek.

Nie będziemy powtarzali szczegółowie, jaką boleścią przejęci zostali wszyscy w futorze Brzozowskiego, gdy im Żytkiewicz i Stanisław opowiedzieli szczegółowie wypadki swój podróży; nie będziemy téż opisywać tych chwil szczęśliwych, których potem kosztowali kochankowie osłonieni wiosną, lasami i samotnością. Domyślicie się zapewne, że Stanisław nie mógł znieść dłużej nad dni kilka niepewności co do wyroku o jego losie; i upatrzwszy chwilę, padł do nóg rodziców Zosi, prosząc ze łzami o jej rękę. Stary Żytkiewicz tak go pokochał, iż wysłuchawszy prośbę, przywołał córkę i oddając mu ją, powiedział ze łzami:

— Wiém, że się kochacie, moje dzieci. Oddaję ci Stasiu mój jedyny skarb, jaki mi pozostał na świecie. Kocnaj i załuj ją chłopcze, bo to pocziwe dziecko;.. a ja już stary, jak tam da Pan Bóg, dohyrlam do grobu sam jeden....

— Zastąpię ci syna, najdroższy ojcie—wołał Stanisław— i nie opuścim cię do śmierci!

— Dziękuję ci Stasiu! dziękuję!—mówił drżącym głosem Żytkiewicz.—Durz mię chłopcze, durz mię starego czasem, jak mi się zrobi ciężko na sercu... a Bóg ci zapłaci za twą dobroć!

Po kilku tygodniach odbył się ślub młodej pary w śmiłańskim kościołku, i oboje wyjechali wkrótce na mieszkanie do Humania, gdzie obowiązki służbowe powoływały młodego Brzozowskiego. Staruszkowie obliczywszy swe szlacheckie fortunki, i zapewniwszy się, że w połączeniu posiadają piękną sumkę, za którą mogą otrzymać na zastawném prawie wioskę z humańskiego klucza, zaczęli o to instancjonować u Potockiego, i magnat ten posiadający je secinami w jednej z najżyźniejszych okolic Ukrainy, ustąpił jedną z nich na imię Stanisława Brzozowskiego. Tam się przenieśli na mieszkanie młodzi Brzozowscy i przestali już nawet myśleć o Mamaju, przekonani, że zapomniał o pogroźce, którą mu spełnić nie było łatwo, zwłaszcza w Humańszczyźnie, gdzie milicya czujnie strzegła granic; gdy wtém razu jednego, przed rocznym humańskim jarmarkiem na ś. Piotra, odebrał Brzozowski list przez umyślnego, od namiestnika narodowej kawaleryi Witosławskiego, zawiadamiający go, że Mamaj podzieliwszy swą szajkę na małe bandy, wałęsa się z nimi po

okolicznych lasach, i że jedną taką bandę posunął do Teplickich lasów, z kąd zapewne pociągnie na Granów. Żądał więc, ażeby mieć się na ostrożności i uzbroić Kozaków. Brzozowski natychmiast uzbroił 24 ludzi, porozstawiał strażę przy kołowrotach; i często podczas nocy, z kilkunastą Kozakami dosiadłszy koni, wałęsał się po okolicznych szlakach. Powracając raz do domu z takiej wycieczki, postrzegł przy blasku księżyca, iż postać jakaś zamajaczała przed nim na drodze, i wskoczyła w żyto rosnące bujnie po obudwu jęj stronach. Skoczono w tamte strony, i wytropiono chłopca lat 16, w którym, ku wielkiemu zadziwieniu Brzozowskiego, poznał on Ołeksę, własnego stajennego. Na zapytanie co tu robi? z kąd idzie? i czego się kryje? zmieszał się kozaczek, drżał cały, ale odprowadzony do domu i wzięty na ścisłe badania, wyznał: że był w lesie u Pilipona, który tój wiosny zakupił wszystkie sady leśne u Brzozowskiego; że on mu przyrzekł dać jesienią kilka worków jabłek, jeśli mu będzie donosił co się u pana robi w domu, i kiedy wyjedzie na jarmark do Humania; że nareszcie widział tam kilkunastu nie tutejszych ludzi, którzy go rozpytywali się szczegółowie o zabudowaniach, o zamkach, o izbach w których sypiają państwo, i gdzie stoją kufry; i że ciż ludzie namawiali go, ażeby uciekł od stajni, przyrzekając zaprowadzić go na Zaporozie, gdzie, jak mówili, będzie chodził w safianowych butach i nosił pełne kieszenie rubli. W końcu dodał, że tych nieznajomych nie widział nigdy dniem, ale że zawsze schodzili się oni z lasu na wieczerzę do Pilipona, i kładli się spać w szałas.

Powziąwszy taką wiadomość Brzozowski, nie tracąc ani chwili zebrał swoich Kozaków: uzbroił ich w fuzye i spisy, i puścił się drogą ku lasowi. Nie dojechawszy do wskazanego sadu, o jakie kilka sążni kazał wszystkim poziadać z koni, zostawić je w jarze na ustroniu, a sam z Kozakami pieszo, w największej cichości podchodził do futoru. Ale należało jeszcze zabezpieczyć się od psów, których tu trzymał Pilipon dla straży, i kozak Brzozowskiego, doświadczony Omelko, użył na nie tego sposobu, jakiego używają hajdamacy. Podkradłszy się naprzód zwołał je po nazwiskach, i każdemu cisnął kłębek wału pokrytego łojem. Kłębki te uwięzły im w pyskach, i już ani szczekać ani od nich uwolnić się nie mogły. A wtém podstępili Kozacy, przeleźli przez płoty i otoczyli szałas. Huknął natenczas Brzozowski, ażeby się pod-

dali, i spłoszeni hajdamacy, po chwilowém borykaniu się z Kozakami, bez najmniejszego krwi rozlewu, bez żadnego wystrzału, powiązani zostali co do nogi.

Owoce tej szczęśliwej wyprawy było dwunastu hajdamaków, licząc już w to i watażkę ich *Sycza*, tak nazwanego od uderzającego podobieństwa oblicza jego do głowy puszczyka. Brzozowski wnet ich pod mocną strażą odesłał do Humania, gdzie wyznali pod różgami, że są z bandy Mamaja, i spodziewali się co dnia jego przybycia, ażeby napaść i ograżyć dom Brzozowskiego. Ale wieść o ich pojmaniu rozniosła się wnet po okolicy, i Mamaj nie pokazał się w tych stronach. Po badaniu, którém, jak wiadomo, komendant i pułkownik humańskiej milicyi Gorzewski, nie zabawił się długo, wszyscy zostali wywieszani; a porucznik kawaleryi narodowej Wydzga, tropił tymczasem z oddziałem swoim uchodzącego Mamaja, omal go nie pojmawszy na granicy. Wszakże strażę rossyjskie zawiadomione o kierunku ucieczki owego rozbójnika, dośledziły go znowu aż przy Bohu, i tu, jak powiadają, schwytanym został na wyspie Mihei.

Dziwném zrządzeniem losu, stary Żytkiewicz już podczas jesieni wałęsając się po granicznych jarmarkach, był w Bohopolu tego samego dnia, kiedy rossyjski oficer pojmanego Mamaja, jako poddanego polskiego oddawał namiestnikowi Witosławskiemu, stojącemu nad granicą obozem. Osądzono go na pal, i gdy prowadzono na stracenie, spotkał się z nim oko w oko Żytkiewicz. Poznał go rozbójnik natychmiast i zawołał:

— Bywaj zdrów Lasze! ot, teraz już nie bój się, nie odbiorę ci dziewczki. Przekłete Lachy tropili mię całą jesień jak lisa. No, widać przyszedł czas odwetu. Doli, jak to powiadają, koniem nie objedziesz. Napatroszyłem ja i ich do woli, popamiętają czas jakiś Mamaja! Tyś tęgi Lach, *krot' twoju mater!* pamiętasz jak broniłeś się w Mosznach? Dajże lulki, choć raz smoknąć przed śmiercią...

Żytkiewicz podał mu fajkę, którą trzymał w ustach i rzekł:

— Przeżegnaj się Mamaju, a pożałuj za grzechy! Ej! zgubiłeś mi syna, Mamaju, bodajby ci Bóg nie pamiętał tego na strasznym sądzie swoim!


— Wiem, wiem wszystko—przerwał Mamaj z uśmiechem, przymrużając jedno oko.—Zuch, dalibóg zuch! Zaleje on wam za skórę sadła, obaczycie. A silny psiawiara jak niedźwiedź.

Kłaniaj się odemnie dziewczce swojej:... hoża z biesa Laszka! Nie uszlaby ona rąk moich, żeby nie te paciorki—dodał potrzęsając kajdanami.

Żytkiewicz zatrzymał się jak wryty pod wpływem zdziwienia, widząc taką spokojność zbrodniarza, który za chwilę miał wyzionąć ducha w najboleśniejszych męczarniach; a tymczasem więzień oddalał się i wołał:

— Bądź zdrów Lasze! zegnaj panie Żytkiewicz!

Po straceniu Mamaja, Ukraina na czas jakiś odetchnęła od grabieży, pożog i mordów. Młodzi Brzozowscy mieszkali zawsze w swojej wiosce pod Humanem; stary Żytkiewicz nie mógł się odzwyczaić od czynnego życia, i do późnej starości zajmował się handlem koni i bydła. Stary Brzozowski nie chciał za nic zostawić swego futuru i pasieki, i żył tam do późnej starości, odwiedzany corocznie przez syna, synowę i Żytkiewicza. Co zaś do syna Żytkiewicza, ten hajdamacząc ciągle, należał później do Koliszczyzny i zginął nakoniec pod toporem kata.



WYCIĘCZKA ARCHEOLOGICZNA

PO GUBERNII WILEŃSKIEJ,

PRZEZ

Jana ze Śliwina.

I.

Długo zarzucano u nas, że kraju własnego nie znamy, że chętniej wędrujemy za granicą i czytamy opisy państw obcych, a ziemi rodzinną nie zgłębiamy i nie opisujemy. Dziś, ten zarzut, dzięki nadzwyczajnemu prądowi, jaki się objawił w ostatnich czasach dla głębszego zbadania każdego niemal zakątka dawną Polskę i Litwę, nie może już mieć miejsca. Wszakże archeologia nasza, a szczególnie etnografia bardzo jeszcze uboga. Sądzę więc, że i kilka słów powiedzianych w tych gałęziach nie mogą być bez owocu. Co roku zwiedzam jakąkolwiek część kraju naszego w celu zgromadzenia materiałów etnograficznych i archeologicznych, a każda przejażdżka powiększa mój zapas do podobnych badań: każdy krok bowiem tyle ciekawych następcza podań, tyle uroku w rzewnej poezji ludu naszego!.. Pozwólcież, niech się podzielę z wami wrażeniami świeżo odbytej wycieczki po gubernii wileńskiej.

Na początku lipca ruszyłem starym połockim traktem ku Michaliszkom. Połocki gościniec należał do głównych w Litwie, i szedł na Michaliszki, Swir, Głębokie, do Połocka, a zamtąd do Moskwy i Kijowa. Po-

łockim gościńcem przybyła do Wilna Wielka księżna Helena córka Jana III Bazylewicza W. ks. moskiewskiego, małżonka króla Alexandra; taż droga pamiętną sławnym pochodem Batorego na Połock. W Wilnie, rogatka przez którą wyjeżdża się na tę drogę i dziś nosi nazwę Połockiej. Gościniec ten dotychczas dobrze utrzymany, z wygodnemi karczmami, znacznie skraca drogę dla tych, którzy unikając pocztowego gościńca na Oszmianę, Mołodeczno i Wilejkę, dążą swoimi lub najętymi końmi prywatną drogą.

Zaraz za rogatkami otwiera się panorama pięknych widoków, któremi słyną okolice Wilna; na lewo góry, lasy, piękne zarośla, dalej poetyczne Równe Pole, na prawo zachwycające Popławy. Ożywioną i urozmaiconą drogą zbliżamy się do papierni Pustowskiego, niedawno odbudowanej po pożarze. Należy ona do najlepszych tego rodzaju zakładów w Litwie. Położona nad rzeką Wilejką, odznacza się przytęm czarowną pozycją.

Daléj majątek Mickuny z dziwnie urozmaiconą okolicą, własność obywatela Pillera: ma 17 chat, młyn, tartak, browar piwny, kościółek filialny pod wezwaniem św. Jana; potém Ławaryszką puszcą, niegdyś bardzo znaczną, przez skarbowe miasteczko Ławaryszki z 10 chatami i karczmą, w którym kościół fundacyi Anny z Rudominów Pacowej podkanclerzyny Lit. w r. 1642. Puszcza Ławaryszka za czasów pogańskich była poświęcona wężom, których wybierano zład i utrzymywano po domach, jako bóstwa domowe. I dziś jeszcze mnóstwo ich w lesie i po domach włościańskich. Lud nie zabija je, poi mlekiem i jako świętych uważa. Mijając porządne karczmy Wiłojkiszki, Lipki i Słobodkę, zład na prawo prowadzi droga do Wornian, zbliżamy się ku Michaliszkom. Tu miejscowość znacznie się zmienia: zaczyna się płaszczyna, a oko przywykłe do ciągłych gór i pagórków, męczy się chcąc przedrzeć widnokrąg równin. Miasteczko Michaliszki niegdyś własność hr. Brzostowskiego, nad rzeką Wilią, zawiera w sobie 50 domów, ma piękny kościółek z cmentarzem i szpitalem, żydowską bożnicę, browar, dom zajezdny i 8 szynków. Kościół Michaliszki pod wezwaniem św. Michała, fundowany przez Cypryana Pawła Brzostowskiego w r. 1615, odnowiony w r. 1820 przez miejscowe-

go proboszcza ks. Józefa de Bloka. Wewnątrz kościół ozdobiony mistrzowską gipsaturą roboty Penzy, rodem z Florencyi, w r. 1620. Ztąd przez prom na Wilii idzie dalej trakt połocki, na prawo zaś drożyna do Dobrowlan, dokąd właśnie dążyłem. Przejechałem wieś Markuny z 31 chatą złożoną, należącą do majątku Czech Jana Kotwicza, nad rzeką Wilią pięknie położoną. O pół mili ztąd, czarowne miejsce. Po obu stronach Wilii las; przeryniają go łąny, niewielkie wzgórza, i wśród tego wszystkiego rzeczka Oszmianka łączy się z Wilią. Dalej przejechawszy mimo pięknego majątku Palestyny p. Xawerego Kotwicza, mającego służyć za wzór dobrego gospodarskiego urządzenia, przez las, przeprawiwszy się przez prom na Wilii w Rymszynin-tach, przybywamy do Dobrowlan. Już w lesie napotykamy ślady pobożności właścicieli, bo wszędzie krzyże, otoczone palisadą, osadzone w półkole drzewkami. Dalej zbliżając się ku domowi, po bokach szerokiej drogi widzimy wygodne łąwy: sądziłem kamienne, a jak później okazało się drewniane, ale bardzo zręcznie przez miejscowych rzemieślników pod dziuki skalisty kamień podprowadzone. Dwa szerokie kanały otaczają pałac i zabudowania gospodarskie, łącząc się z obszernym jeziorem poza ogrodem. Piękny kamienny most i brama gotycka prowadzą na dziedziniec. Tu z przyjemnością postrzegamy gustowne, nawet bogate zabudowania gospodarskie, z których każde ozdobione piękną gotycką bramką, w wybornym i gustownym stylu; lecz oto, mimo klombów, kwiatów, topoli, zarośli, jesteśmy pod pawilonem nader gustownie ubranym w kwiaty—przed pałacem. Pałac murowany o trzech piętrach wcale niezłej architektury.

Dobrowlany nazywały się dawniej Dubrowa, a otrzymały dzisiejszą nazwę w późniejszych czasach od wyrazów podobno Dobra-Wola. Jeden bowiem z naszych poetów widząc dobrą wolę właściciela w ulepszeniu bytu wieśniaków, dał tę nazwę, powszechnie przyjętą, a z czasem i na urzędową zamienioną. Dubrowa, czyli Dubrowlany w roku 1527 należały do Lwa Iwanowicza Roski Borejszy; później widzimy je własnością po kolei Stabrowskich, Żabińskich, Podbipiętych, Unichowskich, w roku zaś 1685 przeszły do Jakóba na

Skrzynnie hrabiego Dunina, którego córka Barbara wyszła za Pawła Karola księcia Sanguszkę w r. 1719, i przyniosła mu w posagu ten majątek. W roku 1774 przeszedł w posiadanie Abramowiczów, od których w r. 1818 kupił Adam hrabia Günther von Heidelberg, wraz z żoną swoją Alexandrą, urodzoną hrabianką Tyzenhauz. Rodzina Güntherów pochodzi z Pałatynatu. Graf Michał Günther von Heidelberg po świetnej wyprawie na Turków i zwycięztwie pod Wiedniem, jako pułkownik przeszedł do wojska Jana III i przeniósł się do Litwy. Niniejsze świetne urządzenie Dobrowlan, wzniesienie z byłych ruin zamku, podobno Sanguszkowskiego, pięknego pałacu, a co najważniejsza, założenie w nim gotyckiej kapliczki z archeologicznym zbiorem, winniśmy przed rokiem zmarłemu ś. p. Adamowi hr. Günther, gorliwemu zbieraczowi pamiątek wszelkiego rodzaju, zacnemu obywatelowi i najszlachetniejszemu opiekunowi swoich włości, których potrafił okrzesać, ulepszyć ich byt, nauczyć rozmaitych rzemiosł i przywiązać do siebie. Po śmierci jego Dobrowlany przeszły na własność córki jego Matyldy Buczyńskiej, pani pobożnej, umiającej oceniać piękne cele swojego ojca, i z wzorową troskliwością usiłującej zastąpić jego miejsce dla włości.

Kaplica Dobrowlańska umieszczoną jest na dole w samym pałacu. Fundowana i poświęcona pod wezwaniem św. krzyża przez XX. Missyonarzy: Józefa Kuzmickiego i Franciszka Zambrzeckiego 23 lipca 1828 roku. Wspaniałe gotyckie podwoje prowadzą do kaplicy. Ołtarz urządzono na wzór grobowca króla Kazimierza, a nad nim krzyż duży z drzewa hebanowego, obity bronzem wyłaczanym, wewnątrz zaś na błękitnej materii za szkłem relikwie ŚŚ. umieszczone. Cała kaplica w 25 miejscach ozdobiona starożytną zbroją i innymi pamiątkami, starannie zgromadzonemi przez ś. p. Adama hr. Günthera. Strzały, siekierki, ładownice, buzdygany, czekany, kirysy, przyłbice, bardysze, hallabardy, zbroje, porządnie ugruppowane, ciekawy i wspaniały przedstawiają widok. Dziś zbiór ten nie jest w zupełności, albowiem do 200 sztuk ręcznej i palnej broni, jakoto: szpad, pałaszów, pik, pistoletów, puginatów, kindżałów, karebel, kordelasów, fuzyj, przewieziono czasowie do Dyne-

burga. Była tam broń polska, francuzka, turecka, Templaryszów, janczarki, puginał japoński, pistolet generała Bielaka i t. d. Z obecnie znajdujących się pamiątek, szczególnie zwracają na siebie uwagę: włócznie fugowane z ostrzem żelaza, lance z poprzeczkami, kilka tarcz, z których jedna z herbem Sobieskich, druga Güntherów, 3 pełne zbroje rycerskie, z których dwie stojące, a jedna leżąca. Jedna z nich krzyżacka, bardzo ciekawa; ma kaszkiet z hełmem i przyłbicą, naszyjnik, karacnę, części pokrywające plecy i biodra, wszystko w karpią łuskę, naramiennik i rękawice, zbroja na nogi od bioder, w ręku miecz krzyżacki i tarcza, a na niej krzyż. Buława polska na drzewcu sandałowym osadzona, srebrem i złotem nabijana, pochodzi od rodziny Wołodkowiczów. Munsztuk na Turkach zdobyty z tejże rodziny pochodzący; druga buława polska 20 cali długa, z rękojeścią z kości słoniowej, gałką fugowaną i skówką stalową złotem w deseń grubo narobioną. Kolczuga tatarska, z kołnierzem klamrami złotconemi spinana, cała gwiazdkami upstrzona, kamieniami nasadzona na piersiach koło przerznięcia do wkładania, i ozdobiona półksiężycem, w którym profil mężczyźni twarży oprawiony. Zbroi piersiowych do 40, lecz z tych tylko 12 zasługują na uwagę. Piękny także zbiór pamiątek z r. 1812 z Berezyny, składający się z kul, krzyżów i broni rozmaitej. Z kurhanów wydobytych rzeczy niewiele. Znalazłem tu ciekawy spis osób ręką ś. p. Adama hr. Günthera sporządzony, którzy darami swoimi kaplicę wzbogacili. Między innymi są tu imiona Izabelli ks. Czartoryskiej, Karola hr. Przedzieckiego, Augusta hr. Brzostowskiego, Konstantego hr. Platara, Józefa hr. Korwina Kossakowskiego, Jana Gwalberta Rudominy, Napoleona Mirskiego, Stanisława Chomińskiego, Mikołaja Abramowicza, Edwarda hr. Mostowskiego, Adama hr. Chreptowicza, Ignacego i Dominika Chodzków i wielu innych.

O wiorst 4 od Dobrowlan położony drugi majątek ś. p. Adama hr. Günthera, Newstaniszki, z kościołem parafialnym, pierwiastkowie założonym w roku 1497 przez Bohdana Andrzejewicza, odnowionym przez księdza Wojciecha Kolczyńskiego w r. 1749, a w ostatnich czasach restaurowany przez miejscowych proboszczy: najprzód

ks. Antoniego Kuczewskiego kanonika inflanckiego, a później ks. Felixa Skaliszewskiego. Kościół obszerny, drewniany, bardzo porządnie utrzymany. Z podziału majątek ten dostał się drugiej córce A. hr. G. znanej w świecie literackim autorki w Imie Boże, Dalej w Świat i wielu innych poezyj, nacechowanych prawdziwym talentem i najszlachetniejszą dążnością, Gabrielli księżny Puzyninėj. O ćwierć wiorsty od kościoła założyła ona swoją nową rezydencją, wybudowała niewielki domek drewniany i nazwała to miejsce Potulinem. Nie można było znaleźć stosowniejszego nazwania. Prawdziwie, tak tu potulnie, tak dobrze: małe izdebki oddychają taką prostotą, a cóż tu kwiatów, drzew starych, książek, rycin, oprawnych w księgi nader ciekawych korespondencyj z najznakomitszemi naszymi autorami. A wszędzie prostota, pokój, najmiliej łączą się z gościnnością i szczerotą gospodarzy i prawdziwie otulają człowieka.

Trafiłem do Newstoniszek na rzewną uroczystość. Dziełko ś. p. ks. Nowińskiego o św. Izydorze oraczu, patronie chłopków, znalazło tu odgłos i zrodziło myśl wprowadzenia do kościoła uroczystości św. Izydora. Jakoż Tadeusz książę Puzyna z małżonką swoją Gabriellą, i pani M. Buczyńska uzyskawszy pozwolenie, wznieśli tu ołtarz zupełnie zastosowany do okoliczności. Ołtarz cały z drzewa, wsparty na snopach żytnich, po mistrzowski wyrzniętych przez miejscowego rzeźbiarza, ozdobiony po obu stronach grabiami, kosami, siekierkami, łopatami i mnóstwem innych narzędzi rolniczych. Obraz św. Izydora pięknie wykończony przez młodego wileńskiego artystę, niedawno przybyłego z zagranicy, Karczewskiego. Zarzucilibyśmy chyba, że u św. Izydora włosy za gładko i wymuskanie uczesane, i twarz z nadto obrócona do ludu od krzyża, przed którym modli się ze złożonymi rękami. Ale zresztą wyraz twarzy ma luje prawdziwą świętość i prostotę. Nie ma on cechy typu hiszpańskiego, z kąd był rodem św. Izydor, ale za to żywiej przypomina i wraża się w pamięć włościan wieśniaczą swoją fizyonomią, do naszych zbliżoną. Uroczystość poświęcenia ołtarza odbyła się jednocześnie z instalacją nowego proboszcza ks. Maczuka, dnia 10 lipca. Kilka tysięcy wieśniaków zaległo kościół i nie-

mal cały cmentarz przed kościołem. Dwudziestu kapłanów zgromadzonych na tę uroczystość, zaledwo mogli wystarczyć spełnieniu postug duchownych: tak wielka była ilość spowiadających się w kościele i na babińcu, pod gołym niebem. Ks. Lipnicki, kanonik koadjutor wileński, inspektor seminaryum, miał stosowne kazanie: opowiedział pokrótce życie św. Izydora oracza, wskazał obowiązki nowego proboszcza, stosunek włościan do panów i panów do włościan. Mówił treściwie, pięknie, zrozumiale dla ludu. Widziałem rozrzewnienie pocziwego ludu, widziałem i łzy nowego proboszcza, młodego kapłana, który potrafił zjednać zaufanie chłopków, umiał zagłębić się w wnętrze ich życia, pojąć ich potrzeby, nałogi, zwyczaje, a stosując i czyny i nauki swoje do nich, żyjąc prawie z nimi i nie odmawiając im pociechy w każdej potrzebie i przypadku, przywiązał do siebie i wzbudził cześć i miłość. A jakże to jest rzeczą ważną i wielką! Właśnie na takim postępowaniu kapłana oparta moralność wieśniaków, nawet ich byt dobry!

Gabryella ks. Puzynina ułożyła na ten festyn litanią i pieśń o św. Izydorze oraczu (1). Nie możemy sobie odmówić umieszczenia tu tej pięknej piosnki, którą po raz pierwszy kapłan z zgromadzonym ludem odśpiewali przed nowym ołtarzem św. Izydora:

I.

Wzorze pokory, patronie oraczy!
Tyś w pracy szukał powszedniego chleba,
Tyś swemi cnoty podniósł stan wieśniaczy,
A ziemię orząc, dostał się do nieba!
Ty nas wieśniaków pociecho i wzorze:
Módl się za nami, święty Izydorze!

II.

Grubą jak nasza była twoja szata.
Życie jak nasze złożone z prostoty;
Podobną naszej była twoja chata,
Lecz grzechy nasze, to nie twoje cnoty!
Wzmacniaj nas w wierze w pracy i pokorze:
Bądź nam przykładem, święty Izydorze!

III.

Jakże ubóstwo miłem było tobie,
Pomnąc, że Adam pokutował w pracy;
A gdy Zbawiciel narodził się w żłobie,
Pierwszy mu pokłon przynieśli wieśniacy.
Tą myślą tknięty, wyprzedzałeś wzorze:
Budź nas do pracy, święty Izydorze!

(1) Wydrukowana w Wilnie u Marcinowskiego, 1855 r. str. 13,

IV.

Niesie podanie, że gdy raz od pługą
 Bóg na modlitwę do siebie cię woła,
 A że w modlitwie jest także zasługa,
 Przy pługu swoim ujrzałeś aniola.
 Bóg dopomaga proszącym w pokorze:
 Ucz nas pokorę święty Izydorze!

V.

Po latach wielu pokory i pracy,
 Gdy na sąd straszny po wytrwaniu długiem
 Zbiegniem się wszyscy: wówczas my wieśniacy
 Staniemy śmiało za twym świętym pługiem.
 A tam nasz bracie, pociecho i wzorze,
 Wstaw się za nami, święty Izydorze!

Piosnka ta i litania rozeszły się w liczbie 1,000 egzemplarzy między włościanami, bo trzeba wiedzieć, że włościanie z dóbr Dobrowlańskich i Newstoniszskich niemal wszyscy umieją czytać i pisać, a ludzie dworscy, także poddani, prenumerują nawet dla siebie gazety.

Wracając do uroczystości św. Izydora, powiem, że zdaniem moim wprowadzenie takich ołtarzy po naszych wiejskich kościołach, przy dobrych i stosownych naukach kapłanów, mogłoby bardzo korzystnie wpłynąć na moralność chłopków naszych. Widok patrona, włościanina, takiegoż jak i oni oracza, krwawym potem zarabiającego chleb powszedni, podniosłoby ich godność własną, bliżejby im ukazało niebo, jedyną nadzieję i pociechę strapionych; widok i przykład św. patrona wieśniaków łacniejby wpływał do prostych, poczciwych serc wieśniaków, i zachęcał do cnot i pracy.

Po uroczystości, w następne dni, właściciele Dobrowlan i Potulina uczcili swojego nowego proboszcza obiadami. Dla mnie była tu nowa zręczność przypatrzenia się wielu rzeczom. Tak np. po obiedzie w Potulinie ruszyliśmy na dożynki do folwarku Zabłocia. Jechaliśmy ogromnym szarabanem przez las gęsty; upał, skwar był do niewytrzymania; wtém słyszemy śpiew święty: daleko wtórzony echem leśném, zmieszany z szumem drzew, tworzył dziwną i czarowną harmonią. Zbliżamy się, przez drzewa ukazują się widma w bieli; lecz oto Zbawiciel ukrzyżowany, a przed nim kilka osób z naszego towarzystwa, klęczących i śpiewających modlitwę do Boga za nowego proboszcza, który właśnie z nami jechał. Wjeżdżamy do wioski, a przed nią także krzyż otoczony dziatwą z całej wioski zgromadzo-

ną, klęczącą w półkole i głośno odmawiającą Ojciec nasz. Zatrzymaliśmy się, dziatwa skończyła pacierz, zbliżyła się do nas i razem wykrzyknęła: „niech żyje nasz pasterz!” W Zabłociu, z powodu dożynek, wieśniaczki, według zwyczaju przynoszą panom snop żyta. Widzimy zbliżającą się grupę, jedna z dziewcząt niesie snop hoży; lecz cóż to? wygląda ona jakoś kraśniej, ruchy i chód mimo odzież wieśniaczą zdradzają lepsze wykształcenie: podchodzi do proboszcza, oddaje mu snop i mówi:

Pierwszy snopek tutaj zżęty
Przyjął już Izidor święty;
A ten niech będzie dla ciebie
Pasterzu nam przeznaczony,
Aby na ziemi i w niebie
Plon nasz był błogosławiony.

Naturalnie, że tą wieśniaczką była przebrana jedna z panien, krewna gospodyni (p. Z. M.); że wiersz ułożony p. księżną Puzyniną; że proboszcz był serdecznie rozrzewniony. A wtém gorzałkę przyniesiono, dobry i zacny gospodarz wziął czarę do rąk, przypił do pierwszój z żniwiarek i czara poszła koleją. Z rozkoszą słuchałem śpiewu wieśniaczek. W téj nucie monotonnej, lecz rzewnej, w tych słowach prostych, lecz szczerych, Bóg wie kiedy i przez kogo ułożonych, a nieraz sięgających jeszcze czasów pogańskich, jest wiele uroku, wiele poezyi. Oh! bo prawdziwój poezyi daleko więcej tam, gdzie najmniej na pozór spodziewamy się jój znaleźć.

Strój tutejszych włościan różni się nieco od innych powiatów. U mężatek na głowach kaptury z kolorowój materyi, u niektórych błyszczącym szychem nabijanój; a na kapturach chustki białe, lub kolorowe, grubo zwinięte i związane na czole. U dziewcząt chustki kolorowe lekko zawiązane na głowie. Niektóre noszą długie, czarne płaszcze z peleryną z grubego sukna, z błękitnymi kapturami na głowie. Zachodziłem do chat niektórych: wszędzie prawie czystość, porządek i dostatek. Niemal wszędzie książka do nabożeństwa, biblia; a u introligatora miejscowego znalazłem całą szafeczkę napełnioną rozmaitemi książkami.

Z przejażdżek z Dobrowlan i Potulina najmiłszą była dla mnie nad jezioro Swirskie. Widok tu rozległy

i piękny. Przy drodze leży duży kamień. Księżna Puzynina wskazała mi go i powiedziała, że nosi nazwę Ignacego: tu bowiem nasz drogi autor Obrazów litewskich, przejeżdżając tą drogą, zatrzymuje się, siada i duma na tym kamieniu.

Jezioro Swirskie liczy się co do wielkości drugim w gubernii wileńskiej. Ma ono 7,000 sążni długości, 1,500 szerokości. Nad tém jeziorem położone miasteczko Swir, niegdyś rezydencya znakomitego rodu książąt Swirskich, dziś podupadłego. W Starożytnéj Polsce Balińskiego (1), mamy szczegółowy opis tego miasteczka, jak również wysokiej góry, jakoby posady dawnego zamku Swirskich. Jednakże żadnych śladów zamczyńska na téj górze nie znajdują, a nawet miejscowi tego są przekonania, że ta góra bynajmniej nie jest ręką ludzką usypana, lecz utworzona naturą, i tylko na wierzchołku zrównana. Kościół we Swirze fundowany w r. 1452. Staraniem administratora ks. Michała Skrobowskiego w latach 1848 i 1849 odnowiony.

Niedaleko ztąd, takż nad jeziorem Swirskiem, położony Zaświrz z klasztorem Karmelitów dawnéj reguły. W piękném położeniu wznoszą się mury kościoła z dwiema wieżycami i krużgankiem. Długość kościoła sążni 15, szerokość 7 sążni i 2 arszyny. Kościół ten pod tytułem Świętej Trójcy, założony w r. 1714 przez Krzysztofa i Jadwigę z Szwychowskich Zenowiczów, z nadaniem dwóch folwarków, Zaświrza i Pomosza.

Jezioro Swirskie oddziela niejako dwa plemiona: litewskie i słowiańskie, w dzisiejszym powiecie święciańskim zamieszkałe (2).

(1) Tom III, 241.

(2) Dociekanie osiedleń tych dwóch pokoleń, litewskiego i słowiańskiego, w gubernii wileńskiej, dziś nader jest trudne. Wieki i okoliczności znacznie wpłynęły na zniszczenie śladów prawdziwej litewszczyzny, tam, gdzie ona niezawodnie była. Przenarodowienie i przesiedlenia spowodowały, że w wielu miejscach śród samej Litwy znajdujemy osady słowiańskie i przeciwnie, śród Słowian wioski, gdzie mówią po litewsku. Wszakże i dziś cechy ich są dość wybitne: śledząc nazwania najdawniejszych osad, rzek, jezior, uroczysk, pól, łąk, lasów, można mniej więcej określić granicę podziału tych dwóch pokoleń, a szczególnie zwracając uwagę na cechy narodowe mieszkańców wiejskich; te bowiem zgodne są mniej więcej ze źródłami historycznymi, sięgającymi epoki najścia Mongołów na Rosyją, czyli pierwszej połowy wieku XIII. Przy pomocy zasłużonego historyka Litwy Teodora Narbutta, udało się nam dla Cesarskiego geograficznego Towarzystwa w Petersburgu zrobić

Wiadomo, że Stefan Batory idąc na wojnę z Iwanem Wasilewiczem, w r. 1579, czas jakiś mieszkał w Swirze. w plebanii do dziś dnia istniejącej, i zład właśnie, 12 lipca wydał manifest do wojska licznie tu zgromadzonego, pod dowództwem Radziwiłłów i Jana

określenie tych dwóch pokoleń w gubernii wileńskiej, które nie od rzeczy będzie tu umieścić.

Weźmy za punkt węgielny ujście rzeki *Rotnicy do Niemna*. W górę rzeką Rotnicą, do wsi Lot. ztamtąd linią prostą w stronę wschodu do wsi *Kiermuszy* i dalej granicą od gubernii grodzieńskiej, aż do jeziora *Duup* i wsi *Romanowo* czyli *Romumie*. Z tego punktu linią prostą przez puszcę do rzeki *Pielusy*, ujścia *do jeziora* tegoż nazwania, pod wsią *Dubiczami*. W górę rzeką *Pielusą*, czyli raczej zatopami grzązkiemi, jej koryto otaczającemi szeroko, aż do źródeł tej rzeki na błoniach majątności *Pielusy*; jakowe błonia błotniste łączą się z zatopami rzekę *Dzituę* otaczającemi. W ogóle biorąc granicę parafii *Zabłockiej* od *Raduńskiej*. Z tego miejsca od wsi *Druskienik*, nad prawym brzegiem *Dzituwy* położonej, w górę rzeką *Dzituwą*, do ujścia w nią z lewego brzegu rzeczki *Ossowki*. W górę tąż rzeczką do wsi *Podwaranców*. Ztąd na wschód lasami do wsi *Dajnowki*, niedaleko prawego brzegu rzeki *Zyżmy* leżącej. W górę prawym brzegiem *Zyżmy* aż do jej źródeł i miasteczka *Stok*, gdzie się schodzi granica trzech powiatów: *lidzkiego*, *oszmiańskiego* i *wileńskiego*. Z tego punktu do źródeł rzeki *Oszmianki*, pod *Grauzyszkami* i z biegiem tej rzeki na dół, lewym jej brzegiem, aż do jej ujścia do *Witii*. Lewym brzegiem *Witii* na dół ku *Michaliszkom*, gdzie się przelewają w nią wody płynące z jeziora *Swir*. W górę brzegiem tych wód, do samego jeziora, gdzie się w końcu jego północnym znajduje wypływ wód wymienionych. Następnie na wschód-północ, w górę biegu rzeki *Struny* i zatokami lesistemi ku miasteczku *Postawy*. Ztąd granicą powiatu *dzisnieńskiego*, aż do granicy gubernii *kowieńskiej*. Tąż granicą, do rzeki *Niemna*. W górę *Niemnem* napowrót do ujścia rzeki *Rotnicy* pod *Druskienikami*.

Taka jest obwodnica *Litwy właściwej*, w gubernii wileńskiej zawartej. Wprawdzie w powiatach oszmiańskim, wileńskim i święciańskim, w tym obrębie, ku wschodowi położone są niektóre parafie, gdzie dziś trudno znaleźć osadę, w którejby mówiono po litewsku, albo ten język rozumiano, z przyczyny przesiedleń ze Słowiańszczyzny, albo przeniarnodowienia się ludu wiejskiego; jednakże po większej części cechy fizyognomiczne, nazwania miejsc i stare podania, odnoszą lud do plemienia litewskiego.

W przedziale niniejszą obwodnicą określonym, mieściły się od najdawniejszych czasów dwie całkowite prowincye, czyli krainy litewskie: *Peluzya* na południe, *Neroma* na północ i część Górnej Litwy *Auxtete*. (Obacz Dzieje narodu litewskiego tom II. § 335 i dalsze).

Cała zaś ta obwodnica od południa i wschodu przytykała do ziem, przez ludy plemienia słowiańskiego zamieszkałe.

I tak część powiatu lidzkiego, granicą gubernii grodzieńskiej, od punktu nad jeziorem *Duup*, przy wsi *Romanowie*, aż do *Dziembrowa*, potem parafie *Łacką*, *Nowodworską* i *Zabłocką* zamieszkuje plemię *Czarno-rusinów*. Lud odzieżą, składem fizyognomicznym, obyczajami, zwyczajami, brzmieniem narzecza, wcale się różniący od innych Słowian. Nawet w stronach wschodnich tych parafii, będąc w znacznej części pomieszany z Krywiczami, daje się łatwo odróżnić. Szczególnie w zakątku lasami i zatopami okolonym, stanowiącym ruską parafią *So-*

Kiszki (1). Ślady pobytu królewskiego w tych stronach do dziś dnia istnieją: tak w lesie Komarowskim Napoleona Chomińskiego jest studnia zwana królewską, podług podania wykopana z rozkazu Batorego. Ciekawa rzecz, że wielu poddanych N. Chomińskiego od dziadów i prapradziadów nazywają się Batorowie i Bekieszowie. Niedaleko złąd w okolicach Straczy p. Paszkiewicza, mieszka szlachta Niedroszlańscy, niegdys zamożna i znakomita. Jeden z nich posiada własnoręczny list Batorego, pisany (po łacinie) ze Swirza do któregoś Niedroszlańskiego, w którym król zaprasza go do siebie na gawędkę.

II.

W Dobrowlanach znalazłem zacnego p. Dominika Chodzkę, niezmordowanego pracownika na polu literackim, którego staraniem i badaniom winniśmy wykrycie prawdziwego nazwiska protoplasty naszych archeologów Zoryana Dołegi Chodakowskiego czyli Adama Czarnockiego (2); którego tyle pięknych i sumiennych artykułów czytaliśmy we wszystkich pismach czasowych dawniejszych wileńskich i w Athenaeum, a z którego szlachetnej uczynności i życzliwej pomocy korzystał każdy, udający się jużto po radę i zdanie długoletnią pracą i doświadczeniem nabyte, już o zebranie wiadomości potrzebnych. Znalazłem go pracującego obecnie

bakińską, mieszka jądro tego pokolenia, zachowującego swój typ oryginalny, wart szczegółowego badania, nawet pod względem plastycznym.

Wschodnio-południowa część powiatu lidzkiego, a mianowicie parafie: część ossowskiej, żyrmuńskiej, mitlańska, lidzka i biało-hrudzka, składały po wiek XIV osobne niewielkie księstwo litewsko-ruskie, Dajnowskiem zwane, w którym lud mieszkający dotąd mówi narzeczem słowiańskim, dość wiele litewskich wyrazów zawierającym, złąd bardziej do polskiego przybliżonem.

Za prawem wybrzeżem dolnej Dzitwy mieszkają Słowianie do plemienia Krewiczów należący; toż samo w części wschodnio-południowej osmiańskiego powiatu po granicę z dzisieńskim, wilejskim, w którym, tak równie jak i w poprzednim, są Białorusini połoczańskiego szczepu.

(1) Odezwa ta wydrukowana w *Rerum Polonicorum* T. I, str. 223. W zbiorze Pistorjusza T. III, str. 118. O pobycie Batorego w Swirze obacz Albertrandego. wyd. Z. Onacewicza Panowanie Henryka Walezyusza i Stefana Batorego T. I, str. 196—199.

(2) Ob. Listy jego w Athenaeum.

nad szczegółowym opisem rzek, przerzynających w różnych kierunkach Litwę. Tak mało mamy dzieł statystycznych i etnograficznych, że ta nowa praca p. Dominika Chodźki, a nie wątpimy, że sumienna, będzie bardzo pożądaną i korzystną.

Razem z zacnym p. Dominikiem Chodźko i Tadeuszem księciem Puzyną ruszyliśmy pokłonić się znakomitemu autorowi *Obrazów litewskich*, p. Ignacemu Chodźko, w *Dziewiętni*, o której wspomniałem w przeszłej mojej wycieczce archeologicznej (1). Kraj, który przebywaliśmy żywo przenosił nas do czasów dawno ubiegłych, a tak wiernie, tak pięknie skreślonych przez autora *Obrazów litewskich*; i jechaliśmy właśnie brzegami pięknej naszej Wilii, która mu nastreczyła tyle wypadków do opisu, tyle razy przeniosta w krainę przeszłości. Byliśmy w *Żodziszkach*, grających ważną rolę w jednej z prześlicznych jego powieści; w *Wojstomie*, na kanwie którego snuje się dopióro nowa powiastka w dwóch tomach p. t. *Trzech pustelników*. *Żodziszki* położone nad brzegami Wilii, mają rozległy i czarowny widok. Sterczą tu mury klasztorne jezuitckie: kościół ubogi wewnątrz, wymurowany przez Krzysztofa Hieronimowicza Komara w r. 1612, restaurowany przez ks. Jana Stasiuniewicza proboszcza miejscowego, w r. 1778. W *Wojstomie* kościół bardzo starożytny; są bowiem dowody, że w r. 1404 niejaka Botowiczowa darowała już istniejącemu wtedy probostwu wojstomskiemu jednego poddanego. Obecny kościół drewniany, zbudowany w r. 1744 przez miejscowego proboszcza ks. Jana Twardowskiego, restaurowany w r. 1779 przez ks. Bonifacego Szymanowskiego (2). Dziś kościółek bardzo czysto, może nawet przesadnie elegancko utrzymany; bo pełno tu świecidełek i błyskotek, co jakoś nieprzyjemnie razi oko w wiejskim kościele, szczególnie po nagich murach żodziszkiego kościoła.

Jakże rozkosznie ubiegło nam dni kilka w *Dziewiętniach*! Jaką błogością napętnia serce widok szanownego weterana, otoczonego szczerze kochającą go rodziną, wnukami, przedmiotem najtkliwszej jego miłości,

(1) *Bibl. Warsz.* za czerwiec 1855.

(2) *Baliński T. III.* str. 249, powiada, że kościół wojstomski był uposażony przez Stefana Radziwiłła w r. 1491. Nie znaleźliśmy na miejscu żadnego stwierdzenia tego podania.

a mimo 60 lat styraanych na usługach obywatelskich i publicznych, pełnego życia i zapału! Dostatek, dobre i czerstwe zdrowie, uwielbienie rodaków, sława, ta wybredna kokietka, a która jednak okoliła go i zaliczyła do rzędu swych ulubieńców; spokój na tonie familii, szczęście jedynej ulubionej córki, której Bóg dał najzaczniejszego małżonka i pobłogostawił pięcioma aniołkami: wszystko zda się uśmiechać. A jednak czegoż nieraz tak głęboko się zamyśla; nad czém wiecznie pracuje ten czynny, ruchawy umysł; czego samotny błąka się po kilka godzin nad jeziorem; czemu nie może żyć życiem pełném sytości i samolubnego zadowolenia innych podkomorznych, prezydentów, dozorców szkół honorowych, czemu? Czego ci brakuje? Oj! boś poeta, a dla poety nie ma tu szczęścia na ziemi! Kochają, szanują cię, wielbią cię tu wszyscy, lecz czy wszyscy rozumieją?! Bolesnie znać ci jękło serce, kiedyś napisał niedawno do jednego z pojmujących i kochających cię przyjaciół:

I oby kiedyś na moim grobie,
Gdy w zimnej legnę pościeli,
Ziomkowie podobni tobie
Z miłością w duszy westchnęli!

Tak, prawdziwy, rodzony nasz poeta znad brzegów Wilii: nie tu dla ciebie szczęście! Ziemia i ludzie nie nasycą i nie zadowolą twoich marzeń o błogości; jest Bóg, jest niebo dla poetów! A tu, aż do kresu twojego żywota, wskrzeszaj nam w pamięci dni ubiegłe, dziel się z nami twoją wiedzą, twoją miłością ku ziemi rodzinnej; a w pracy, w miłości twoich ziomków, w szczęściu rodziny twojej znajdziesz wytchnienie i otuchę.

Pierwszy tom *Trzech pustelników* już ukończony i przeznaczony do *Gazety Warszawskiej*. Pisz się i druga powieść, już prawie ukończona: *Jesień w klasztorze* (w *Zaświrzu*, o którym wyżej wspomnieliśmy). I z jednej i z drugiej czytał nam autor niektóre ustępy. Opisać wam wrażenia nie potrafię: znaćcie przecie *Obrazy Chodźki*, a tu takie upostaciowanie, taka obrazowość, tyle prawdy żywotnej, jakich trudno gdziekolwiek znaleźć, a nawet u samego *Ign. Chodźki*.

Ogród w Dziewiętniach to żywa kronika pięknych dni naszej literatury z pierwszej połowy bieżącego stulecia. Każdy kamień (a tych tu wielka ilość, stoły,

ławki, wszystko kamienne), altana z wiekowych lip utworzona, nacechowane pamiątkami. Tu, w tym ogrodzie, w tej altance, nasze znakomitości: Julian Korsak, A. E. Odyniec i wielu innych, wiele pięknych chwil życia spędzili, wiele ich pieśni tu się wylało...

Zasłużony i utalentowany artysta dramatyczny sceny wileńskiej, dziś już w podeszłym wieku, mieszkający gdzieś w głębi Rossyi, Kazimiérz Skibiński, nadesłał do Dziewiętni pamiętnik z całego życia swego i zawodu dramatycznego. Naturalnie, pióro nie literackie, a jednak czyta się z wielką przyjemnością: bo tyle tu wypadków rzewnych i śmiesznych, wzniosłych i płaskich, wirując i płacząc się z sobą, tworzą oryginalną i zajmującą całość.

Z Dziewiętni razem z Ignacym Chodźko pojechaliśmy do Augustowa, majątku położonego w tymże powiecie święciańskim, a należącego do p. Henryka Święteckiego, zięcia zacnego naszego autora Obrazów litewskich. Jechaliśmy na Iłżę, gdzie bardzo starożytna cerkiewka; był tu starożytny kielich z herbem Przędzieckich, nabyty przez Alexandra hr. Przędzieckiego. Przerzynając się przez część powiatu wilejskiego, przebywaliśmy płaszczyznę, gdzie niegdyś była rozległa puszcza znana pod imieniem Iłżskiej, należąca do obszernego starostwa markowskiego. Na mocy królewskich przywilejów użytkowała z niej bezleśna wojstomska parafia; a jak to nieraz u nas bywało, nadużyto łask królewskich, i w wielu miejscach las wtrzebiono i pozakładano wioski. Zatwierdzono to wszakże późniejszymi nadaniami z zastrzeżeniem, żeby już na przyszłość nie robiono podobnych nadużyć. Markowskie dobra kupione były na początku bieżącego stulecia przez Jana Lubańskiego, który pozakładał tu kilka folwarków: tak, dziś piękny majątek Lubań, należący do syna jego marszałka powiatu oszmiańskiego Jana Lubańskiego; Teklenopol (od żony Tekli), drugiego syna Zenona Lubańskiego, b. marszałka wilejskiego, niedawno zmarłego. W okolicach tego majątku dużo kurhanów, podług podania miejscowego, jakoby szwedzkich. Zenopol, położony na niewielkiej kępie dokoła otoczonej trudnemi do przebycia bagnami, własność gościnnego p. Oleszy. Szanowny weteran siedząc na swój kępie, święcie dochowuje zwyczaje przodków co

do gościnności: bo nikt, znajomy czy nieznajomy, nie przejedzie jego Zenopola, żeby nie musiał wstąpić w gościnne progi, a przejeżdżać koniecznie potrzeba przez sam dziedziniec.

Parafie świrska, newstoniszka i wojstomska, z wyjątkiem tylko niektórych pięknych wybrzeży Wilii, przedstawiają obszerną równinę. Dopiero zbliżając się ku Augustowowi, w parafii miadziolskiej okolica ożywia się, widoki coraz rozmaitsze: ukazują się pagórki przerywając wybrzeża majestatycznego morza litewskiego, według nazwy ludowej, jeziora Narocz, nad którym właśnie położony Augustek.

Narocz uważa się za największe jezioro w Litwie: ma ono przeszło 7 mil obwodu, 11,500 sążni długości, 7,500 szerokości i 15 głębokości. Do pana Henryka Świąteckiego należy 12 wiorst brzegu tego jeziora, a znaczna część także do majątku Kobylnik obywatela Szyszki. Skorom przybył do Augustowa, uprzejmi właściciele zaraz nastęrczyli mi możność zapoznania się z miejscowemi podaniami. W wiosce Blizniki znalazł się włościanin mający koło 100 lat, ale czerstwy, choć mchem porośnięty, najprzytomniejszy i rzeźwy jeszcze. Z opowiadań jego i innych dowiedziałem się, że w jeziorze naroczkiem jest Czortowa hrebła, z dużych kamieni usypana przez diabła, który zamierzał połączyć wioskę Nanosy z Miadziołem, z przeciwniej strony położonym; ale przestrzeń była znaczna, diabeł nie pospieszył założyć całej drogi, kur zapał, i robota została przerwana i nieukończoną. Dnia 31 lipca, o godzinie 10 zrana popłynęliśmy z szanownym Ignacym Chodźką do wioski Nanosów, położonej nad samem jeziorem. Skwar był dokuczający, niebo jasne, wiatr wszakże dość silny i Narocz hulał: igrające fale z hukiem uderzały o brzegi. Bat był wygodny i duży, żadnego niebezpieczeństwa lękać się nie można było; lecz kiedy odpłynęliśmy na kilka wiorst od brzegu, rozhukane jezioro bito silniej i nieraz spienione bałwany z hałasem tłocząc łódź, pryskały na nas białą pianą. Przez perspektywę widzieliśmy jak na dłoni Miadzioł o mil 2 odległy, z wieżycami kościoła i klasztorem. Z jednej strony brzegi pokryte lasem z rozrzuconemi gdzieniegdzie chatkami rybaków, piękny przedstawiały widok;

z drugiej strony i przez perspektywę niepodobna było dojrzieć brzegu. Płynęliśmy do Nanosów aż 3 godziny. Tu nasyciwszy się czarującym widokiem z wysokiej górki dokoła oblanęj wodami, i pokrzepiwszy siły śniadaniem, wzięliśmy dobrze oznajomionego z miejscowością rybaka, i dalej dla obejrzenia diablęj sprawy. Wiatr ucichł, jezioro uspokoiło się, i o pół wiorsty od wioski w prostym od nięj kierunku, w jasnej i przejrzystej wodzie, z zadziwieniem postrzegłem rzeczywistą kamienną groblę, foremnie i fundamentalnie ułożoną. Niektóre kamienie zadziwiającej wielkości. Po wymiarze pokazało się, że głębokość wody nad powierzchnią grobli ma $1\frac{1}{4}$ arszyna, obok zaś kamieni głębokość 4 arszyny, a więc wysokość kamieni ma $2\frac{1}{4}$ arszyna. Szerokość grobli taka, że czterema końmi możnaby swobodnie jechać; długość zaś, o ile można było zmiarkować blisko $\frac{3}{4}$ wiorsty. Na przeciw téj grobli w znacznej odległości, ze strony Miadzioła jest wysepka, nazywająca się Ostrów; od nięj również na przestrzeni $\frac{3}{4}$ wiorsty jest podobna grobla, a na wyspie są fundamenta kamienne jakiegoś zamczyska. Co to wszystko ma znaczyć? — wytłumaczyć nie potrafię. Widocznie, że był projekt połączenia za pomocą téj grobli Miadziołu, czyli téż zamku na wyspie, z Nanosami; lecz kiedy i przez kogo? Czy ta robota nie była ukończoną, czy może kamienie były ułożone w miejscach bagnistych, kiedy jeszcze jeziora nie było? Ślady zamku na wyspie, o których wspomnieliśmy, należeć miały do Radziwiłłów za czasów Zygmunta Augusta; lecz dla bliższego zbadania nie mam historycznych materyałów. Jezioro Narockie mogłoby nastęrczyć wiele ciekawych badań nietylko dla archeologa, ale i dla naturalistów. Podaję tu dwa fakta, które może zwróca na siebie ich uwagę. W nieurodzajnym roku 1847, kiedy wieśniacy u nas cierpieli głód, a dla nadzwyczajnej drożyzny i właściciele dóbr nie wszyscy byli w możności zakupienia chleba dla wyżywienia włościan, jezioro Narockie stało się prawdziwie dobroczynnem dla mieszkańców swoich brzegów. Oto w miesiącu czerwcu nagle powstała burza; silny wiatr poruszył bałwany jeziora, i te z nadzwyczajnym pędem bijąc o brzegi, zaczęły wyrzucać niezmierne mas-

sy niewielkiej rybki, okleją zwaną. Rybki były żywe, ale jakby odurzone, i chociaż trzymały się na wodzie, nie uciekały, i wieśniacy wiadrami zabierali je w niezmierną ilość. Nazajutrz powtórzyła się ta sama scena, ale wiatr pędził bałwany, a zniemi i okleję. na brzeg przeciwny. Toż samo powtarzało się przez 10 tygodni i zawsze z zachowaniem pewnego porządku, tak, że mieszkańcy brzegów jeziora po kolei byli wspierani milionami rybek. Naturalnie, że wieśniacy uważali to za cudowną opiekę Boską nad sobą, jako widoczny ratunek podczas głodu; nie tylko bowiem mogli wyżywić siebie rybką, którą suszyli i gotowali, ale jeszcze pełne wozy mogli transportować do Święcian i do Wilna, gdzie zamieniali na chleb i sól. Rzecz godna uwagi, że ani przed rokiem 1847, ani potem nic podobnego nie było. Okleja poławia się ciągle, ale w ilości zwyczajnej i razem z innymi rybami (1).

W środku jeziora, w wodzie są wielkie góry. Rybacy znają je dobrze. Pewnej zimy czterokonny powóz ruszał przez jezioro; wtem lód się załamał, powóz i konie już były w wodzie, a kiedy przerażeni podróżni z rozpaczą wołali ratunku, rybacy, którzy opodal łowili rybę, zakrzyczeli im—stójcie na miejscu spokojnie, nie ruszcie się, bo jesteście na twardej ziemi. I w rzeczy samej trafili właśnie na jedną z gór, gdzie woda miała i lód na nich cienki; wydobyli powóz, konie skierowali w inną stronę, gdzie lód był mocny i podróżni ruszyli bez szwanku. Dlaczegoż na tych górach lód tak cienki? Wszakże gdzie woda miała, tam zwykle bywa grubsza warstwa lodu. Ten fakt, jak również i samo gwałtowne wyrzucanie rybek, powinnyby zwrócić na siebie uwagę naturalistów.

(1) Ileż podobnych wypadków zrząca Opatrzność dla ratowania nieszczęśliwych! Wypadek ten naturalisci potrafią wytłumaczyć jako rzecz zwyczajną, ale lud upatruje w tem widoczną łaskę Boską: bo dlaczegoż, mówią, ten wylew ryb przypadł właśnie wtedy, kiedy nad okolicą wisiała plaga głodu? Przypomnijmy, że po morowym powietrzu, po cholery i innych kłeskach, kiedy ludność znacznie ubywa, niepojętym sposobem liczba rodzących się w tym czasie zapelnia ubitych. Mam u siebie statystyczne tablice z lat 20 o liczbie rodzących się i umierających ze wszystkich parafij guberni wileńskiej. Tu liczba rodzących się prawie we dwójnasob przewyższa liczbę umarłych tak w r. 1830 i 1831, kiedy wojna i cholera niszczyły ludność, jak w nieurodzajnych latach 1846 i 1847, i po cholery 1848 roku. W stosunku zaś zwyczajnej liczby rodzących się jest podwójną.

W lesie niedaleko Augustowa jest kilka kurhanów. Tenże sam staruszek, który nam prawił o diabelskiej grobli, opowiedział następne podanie ludowe, które słyszał jeszcze od dziada swojego, a które inni okoliczni mieszkańcy tak samo powtarzają. „Dawno już, bardzo dawno, mówił staruszek, będzie temu lat 1,000, a może i więcej, grasowała tu dżuma. Wszyscy a wszyscy okoliczni mieszkańcy powymierali, został tylko jeden Chilimon z młodą żoną; bo on, kiedy zaczęła się dżuma, zrobił wotum, że kupi dzwon do miejscowej cerkiewki. Uratowany tak cudownie Chilimon z żoną, zakopał wszystkich trupów razem do kilku mogił, usypał te kurhany, poczem wykąpał się w Narockim jeziorze, osiadł w wiosce Blizniki i stał się protoplastą nowego pokolenia, które do dziś dnia zachowało jego nazwisko: w wiosce téj bowiem i obecnie mieszka 14 familij, z których każda nosi nazwisko Chilimona”. Przy cerkiewce znajdują się dwa dzwony: jeden większy, z napisem r. 1775, drugi mniejszy bez napisu; otóż właśnie na ten wskazuje staruszek i dowodzi, że ofiarowany przez Chilimona. Podanie to zapisane i w księgach miejscowego proboszcza, ale sama cerkiewka fundowana w przeszłym stuleciu. Kurhany, które jakoby miały przykryć nieszczęśliwych mieszkańców z dżumy pomarłych, należą do bardzo dawnych mogił pogańskich. Dwa z nich rozkopałem. Jeden miał 20, drugi 15 kroków wszerz i wzdłuż. O sążeń pod ziemią znaleźliśmy pojedyncze popielnice z gliny, których nie było sposobu wydobyć w całości, a w nich popioły i kilka kosteczek niedopalonych. Więcej zgoła nic. Straszne morowe powietrze grasowało w tych stronach w latach 1653—1659, i ostatni raz w 1710 r. Podanie sięga zapewne ostatniego, a bujna wyobraźnia ludowa dodała i te kurhany, sięgające bez porównania odleglejszych czasów. W bliskości cmentarza miejscowego, w lasku jest jeszcze dużo kurhanów, podług podania szwedzkich. Bardzo to być może, bo wojska Karola XII plondrowały tutaj, a sam Karol XII czas jakiś mieszkał w Kobylnikach, niedaleko złąd położonych.

Rzecz godna zastanowienia, że w parafiach rusińskich powiatów święciańskiego, wilejskiego i oszmiańskiego, zmarłe kobiety pozbawione są uczczenia pomni-

kami. Nad mogiłami mężczyzn stawiają krzyż, albo kamień; po kobietach zaś kładą gdziekolwiek na błocie przy drogach, albo przez ruczaj czy rzeczkę małą, berwiono, a na niem krzyż wyrznięty, i trzewik albo sierp; na niektórych postrzegam i rok. Zwyczaj ten trwa od czasów niepamiętnych. Napróżno badałem starców dlaczego to robią: jedna odpowiedź: naszym dziady tak dziełali. Każdy przechodzący przez taką kładkę obowiązany zmówić pacierz za duszę zmarłej, co naturalnie nie wszędzie może być wykonywanem: na przykład jadąc przez kilka-wiorstową groblę do kępy Zenopol p. Oleszy, gdzie po bokach całej drogi na przestrzeni kilku wiorst, po 5 i więcej takich kładek w rząd ułożono.

Z Augustowa udałem się przez Czeremicę, rzekę Narocz (która wypływa z jeziora Narocz i naprzód nosi nazwę Stok, a o pół wiorsty Narocz, i łączy się koło Kraśnicy z Wilią, przebiegłszy mil 7 i 1 wiorstę; największa szerokość jej 8 sążni, głębina 5 arszyn.). Dalej groblami przez las, rzekę i majątek Uzłę p. R. hr. Tyzenhauza, mimo Lubania, do Kassuty marszałka Tukatty, w powiecie wilejskim, a ztamtąd pocztowym gościńcem na Wilejkę, Mołodeczno, Smorgonie, Oszmianę do Wilna. O Kassucie i okolicznych miejscach powiedziałem już słów kilka w sprawozdaniu przeszłorocznej mojej wycieczki.

O! gdybyto nasi badacze z większym od nas talentem częściej zwiedzali nasze wioski, nasze kurhany, horodyszcza, gdzie na każdym niemal kroku znajdzie się coś godnego ich pióra: ileżby mieli i sami przyjemności i nauka korzyści! Bo wędrówka po naszej Litwie jestto piękna przechadzka, urozmaicona najpiękniejszymi widokami, wzbogacona tysiącami pamiątkami, wszędzie napotykanemi. Kto chce zajrzeć w wnętrze poczciwego serca Litwina, niech rusza po naszych wiejskich zagrodach, po naszych zacnych domach obywatelskich. Znajdziesz tu prawe, szczere, bratnie serce; znajdziesz cnoty, o których niektórzy z Słowian dawno już zapomnieli. Nasi poeci, badacze, byleby bez uprzedzenia, byleby chcieli zapukać do wrót gościnnych mieszkańców, jakżeby wzbogacili swoją wyobraźnię i wiedzę! Serca, kościoły, pałace, chałupy, tradycje

ludowe, wszystko otworem, do usług badacza: oświadczyć się tylko, wyciągnijcie dłoń bratnią, powtarzam, bez uprzedzenia. Otoczą cię gościnnością staropolską, otworzą ci wszystko co mają, z najszlachetniejszą i rzewną miłością uprzedzą żądanie twoje, pomyślą nad twoimi wygodami i nawet wygodkami nie tylko w domu, ale i w dalszej podróży. Pan serca i wiedzy będziesz rozkosznie zwiedzać domek za domkiem, bez troski i kosztu. A ileżto pociech wyższych, jakże ci serce rozraduje się postępowaniem widocznym we wszystkim: od dróg, mostów i karczem (tak okrzyczanych, a tak niesłusznie dzisiaj), do ulepszenia bytu chłopków, tego najważniejszego zadania wieku naszego. Któż dziś nie myśli o tém, i nie robi co może; w jakimże domu szlacheckim nie znajdziesz gazety której, dzieł nowych? A jeżeli są jeszcze gdzieś zaprzańcy, ludzie zbutwiałych idei i pojęć: jakże im ciężko i boleśnie być musi wśród postępu ogólnego, lawą przebijającego sobie drogę! Lecz gdzież nie ma zaprzańców: albowiem ich nie ma i w literaturze? Wielużto stariej daty literatów, a nawet i pisarzy, którzy nie wierzą w nowe inteligencje, nie uznają gwiazd naszego dzisiejszego horyzontu; a dlaczego?—bo w ślepej zarozumiałości nie czytali ich twórców, nie śledzą za rozkrzewiającymi się ideami i dążnościami, albo sądzą o nich po ramotach pierwszej młodości.

Zaleszczyzna, pod Trokami,
dnia 8 lipca 1855 r.

SAMUEL KORECKI.

PRZEZ

Zygmunta Komarnickiego.

Mais ce qui est imprimé dans tant de livres, ce que tant de professeurs enseignent, ce que tant de disciples répètent, obtient force de loi et prévaut contre les faits eux-mêmes.

Aug. Thierry—sur l'histoire de France.

Wywołany raz na jaśnią przedmiot niepospolity z dziejów, musi jako nić z kłębka być dalej rozwijany, dopóki wątku staje. Prace najnowsze Wł. Syrokomli (1) i innych, z powołania lub ubocznie dotykających tego przedmiotu, bezowocnymi pozostać nie powinny. Gdyby bowiem po nich milczenie znowu na dłuższy czas na tém polu zaledz miało, fragmenta historyczne, jako fragmenta, zdawałyby się zmierzzać jedynie do sprawienia chwilowego efektu; i przedmiot godzien obrobienia, jako ułamek, powiększyłby tylko masę innych, dotychczas w obieg puszczonech, a na kartach dziejów zostawałyby ciągle przerwy do zapełnienia, i błędne wieści do sprostowania.

P. Syrokomla schwyciwszy cegiełkę z budowy, nie zataił jój przed wiadomością publiczną: dzięki mu za to. Zamknął jednak swą pracę podziwieniem jedynie: dlaczego w takiej różnorodności imion głośnych, wziętych za przedmiot poematu lub romansu, z ważniejszych względów zasługujący na to uczczenie Samuel Korecki, piękna rycerska

(1) *Gazeta Warszawska* r. 1854. Nr. 221—228.

postać swojego czasu, nie znalazł dla siebie wieszczą w epoce odrodzenia poezyi? Bezwątpienia rzecz godna poezyi w dramacie przemian domu gospodarskiego w Multanach, który się poczyna od tryumfalnego pochodu Jana Zamojskiego, a kończy na fatalnym pogromie pod Żółkiewskim. Wyprawa Samuela Koreckiego jest ustępem pełnym życia i interesu, ależ i dzieje nie tracą, jeżeli przedmiot dotąd, o ile się zdaje z lekceważeniem przez historyków traktowany, okaże się w świetle różnostronném, i jeżeli przy tém zadaniu niejaki odblask padnie na epokę, rodzicielkę tylu wypadków znamenitych.

Niech więcéj pracowników na polu piśmiennictwa, w taki sposób jak Syrokomla z swemi odkryciami postępuje, a budowa nie spocznie; i może jeszcze w naszym pokoleniu pochlubimy się doprowadzeniem jéj do całkowitego wykończenia.

Korecki, o którym mówić zamierzamy, wliczany dotąd pospolicie do rzędu takich swawolników, jak Zaporozcy lub panowie ukraińscy, awanturniczo łamiący sojusze i przymierza kraju z sąsiadami, a wyrokami *contra perduelles modernos* w języku statutowym (1) okładani przez sejmy, oprócz społecznych *peanów* (czczęj chwalby) i pieśni ludu oplakującej „że już *Koreckich* niestało”, nie znalazł dotąd ani jednego głosu przychylnego, któryby przemówił, że mąż, rycerz niepospolity swojego czasu, piorun na Turków (jak go nazywał Twardowski), który zapewne nie bez zasługi doznawał tylu względów przyjaznych od króla, królewicza i hetmana Litwy; że ten mąż pomimo *niechrześcijańskiego efektu* hetmana korony, jak się Chodkiewicz w liście do księżny Koreckiej wyraża, musiał czémś wynosić się nad ową sicz za łupem goniącą, nad szwagrów nawet swoich, którzy do spół-

(1) Imię *perduelles* w prawach naszych noszą: „czyniący bunt przeciw rzeczypospolitej, porozumiewający się z nieprzyjacielem ku szkodzi koronnej, wydający tajemnice rzeczypospolitej nieprzyjacielowi koronnemu, poddający mu zamki na znowie, wzruszający *pacta et foedera* z postronnemi panj, i t. d.” Na takich ludzi swywołnych było postanowienie, iż starostowie, książęta, panowie, rycerstwo w swych starostwach, imionach, mieli je łapać i na gardle karać. Więcéj się jednak wyrazi prawa tyczyły plebejów i nieosiadłych, *swawoleństwem ukrainném i kulltajami* zwanych. Szlachcice osiadłe jak mówi ustawa, mają być sądzeni i karani statutem koronnym *de guerris* uczynionym; szlachcice nieosiadły miał być odesłan na sejm na wywołanie i publikowanie *bezecnym*, na których dawniejsze już były prawa.

nój gry, choć niejednocześnie występowali (1), i że wykazanie téj jego znakomitej wartości nie może być dla dziejów obojętne.

Zamiarem naszym jest zastanowić się znów nad charakterem tego wojownika, jego rodowitością, czynami, nie pomijając tego, jak go heraldycy nasi i życie-pisarze malują (to jest nie pomijając źródeł w obłąd wprowadzających), ażeby wykazać: dlaczego nie z lekceważeniem na kartach dziejów traktowany być winien.

Trzeba sobie wystawić pogranicze Polski od strony południowej wystawione na łup nieustanny i pożogę od hord rozmaitych, a pozbawione wszelkich środków obrony. Prywatni ojczyzny miłośnicy, już od początku ustalenia rzeczypospolitej, dank niepowszedni odnosili, gdy z własnych dochodów i dwornemi zaciągami, formując znaczne pułki, ratowali ją od zguby, i na orężu wroga trzymali! Zapęd ku Dniestrowi i w epoce terażniejszej, nie mógł być jedynie jako *pole do popisywania się* oceniony. Podnosimy to wyrażenie znamienitego historyka i za dobre pole zaiste do popisu uznać musimy, gdzie takie nawały tureckiej, wołoskiej i tatarskiej dziczy były do odparcia! U tego pogranicza „spływała jeszcze ciągle krwi rzeka w głąb ziemi, i łuna pożarów biła w strop nieba” (pożyczamy wyrażenie malownicze u *Naimy*, dziejopisa tureckiego, którego w świeżym przekładzie polskim poznajemy), a jak w epoce Koreckiego, czyhał u Dzikiego Pola pamiętny Kantemir, którego ślady przejścia tą barwą były znaczone.

Jeśli po Koreckich nie stało rycerzy, zdolnych hamować pohańca u tamtych granic: czyliż w téj dobie nie brakło także mężów z ramienia władzy, którzyby jak Zamojski po spotkaniu z Kaczygerejean, kraniec ten bezpiecznym czynili? Ma słuszość historyk, że wielki przykład Zamojskiego jaśniał tym młodym szermierzom przed oczyma. Lecz nie by-

(1) Połączenie zięciów Mohiły we wszystkich multańskich wyprawach, jest uchybieniem pospolitem u większej części naszych dziejopisarzy. Z lekceważenia pochodzi w szczegółach zamiedbanie. I tak: w wyprawie Potockiego, już działa Korecki, Przerębski według tego zdania. Następne wypadki to zbijają. To znówu tacy poważni pisarze jak *J. S. Bandtkie* i *Lelewel*, w swych elementarnych Dziejach polski, w jednymże zamku Wiśniowieckiego i Koreckiego do niewoli w Stambule zasylają. A byłoż to rzeczywiście? Czy Wiśniowiecki nie wprzód umarł, nim Korecki był zwyciężony? Jednak to potrzebuje sproś owania

łato jedynie ze strony tych śmiałków gra o lepsze: była raczej dopełniana cnotliwie powinność, i ten jej koloryt jest właściwy.

Pomówimy i o regulaminie wojennym, przeciwko któremu wszelkie kuszenie się prywatne może się zdawać wykroczeniem. Do téj ryzy prowadzą odezwy hetmana, który jako wojewoda ruski, już miał swęj pieczy całość tych granic powierzona. Żółkiewski ocenia wyprawy panów ukraińskich jako wykroczenia: cześć wielkiemu hetmanowi, który powinności swojej dopełnia; ale już wiekiem pochyłony, wszystko rozbiera i waży, nic na grę nie stawia. W wynikłości tego oględnego postępowania skłonił się w końcu do ustępstw, przeciwko którym król i stany reklamują (jak w traktacie z Skinderem pod Jarugą w r. 1617).

Zmuszeni jesteśmy co krok prawie w życiu naszego młodego wojownika, natrafiać na obrazy kamienia granicznego téj niczém nieporuszonej władzy. Wprawdzie surowość Żółkiewskiego wywiiera się nietylko na tego jednego śmiałka: nieugiętym chce on być bez wyjątku dla wszystkich, których regulamin wojny obowiązuje. To jednak rzecz szczególna, że jakby sprzeczne dwóch ludzi fata prowadziły, przeciw-położność tych dwóch postaci, w epoce, o której mówimy, do najdalszych kresów posuwać się musi.

Nie jestto łatwe bez ochyby zagadnienie w przeciwstawiennictwie takich dwóch przedmiotów, umieć miarkować światła i cienie; nic nazbyt nie ujmując jednemu, a nie przyrzucając drugiemu. Korecki zresztą ma być uczniem tego mistrza groźnego, który mu nigdzie i nadal o tém zapomnieć nie dozwoli....

Przebieżmy rys jego życia.

Niewiadomo z jakiego źródła Niesiecki w swojej *Koronie* piérwszy poczerpnął o nim podanie, iż „młodsze lata swoje to w szkołach, to w cudzych krajach przepolerowawszy, to zresztą na dworze królewskim będąc, gdzie z naj-sławniejszemi natenczas w ojczyźnie naszej ludźmi w ści-słej żył przyjaźni, pod Stanisławem Żółkiewskim hetmanem *marsowe założył początki.*” Nie byłoby to rzeczą nieprawdopodobną, gdyby zkądinąd przeciwko temu podaniu nie walczyły okoliczności, które tu przytoczyć chcemy. Ko-

recki marsowe zakłada początki pod Żółkiewskim; ale w jakichże wojnach, w jakich wypadkach stanowczych? Ze wszech miar podobniejszą do prawdy zdawałoby się rzeczą, że syn Joachima pana na Korcu i Anny z Chodkiewiczów, siostrzeniec hetmana Jana Karola, owego hetmana, który już od lat najdawniejszych w odmiennym zawsze od Żółkiewskiego walczył obozie, wówczas, gdy i ojciec jego był w sprawach wojennych towarzyszem Chodkiewicza, nie mógł bardzo przychylnie mieć sobie zaleconej tej szkoły. „Książę Korecki przyszedł do obozu Chodkiewicza pod Moskwę z kilkaset koni wojska smoleńskiego i stem piechoty. Gdy Chodkiewicz wyciągnął z obozu ku murom z żywnością, uszykowawszy wojsko, lewemu skrzydłu sam przewodził z Wasicyńskim rotmistrzem i księciem Koreckim.” Bez wymienienia księcia Koreckiego z imienia, wzmianki te w *Naruszewiczu* napotykamy. Owe wyprawę z żywnością maluje Maszkiewicz także w swoim *Dyaryuszu* pod 18 Xbris 1611 r. „Z żywnością do stolicy szliśmy. Książę Korecki pułkownikiem był. Ręce nam do pałaszów przymarzały. Sam książę Korecki palce u rąk i nóg natenczas odmroził.” Nikt nie rozróżni z tych świadectw, o którym kniaziu z imienia tu mowa. *Niesiecki* pod imieniem *Joachima* kładzie, iż własnym kosztem liczne rotty pod Moskwę sprowadzał.

Widzimy w latach późniejszych jeszcze zawiść serdeczną patrycyusza Jana Karola do swego spóldostojnika w Koronie, za wszystkie złe, oddawna jego krwi przyczynione (1). Nie może zapomnieć losu owego innego Samuela (2), który pojmany, jak wiadomo, przez Żółkiewskiego w domu Włodkowój, pod toporem katowskim dni swoje zakończył.

(1) Zob. w Bibl. Warsz. z miesiąca września r. 1854, artykuł Seweryna Gołębiowskiego, pod napisem: *Strona moralna J. K. Chodkiewicza*, a w nim listy, z których odkrywa tę stronę moralną, jeżeli nie słabą stronę właściwie.

(2) „Niedziw, że krwi pragnie (Żółkiewski), gdy się na krwi zaprawił w domu naszym na Samuele Zborowskim”, pisze do księżny Koreckiej, swjej siostry. Do domu swego liczy Zborowskiego, bo „matka jego była *Krystyna Zborowska*, wojewody krakowskiego córka, siostra braci onych, którzy wielkie dygnitarstwa w Koronie trzymali” (mówi Fabian *Birkowski* w kazaniu na pogrzebie J. K. Chodkiewicza w Ostrogu). Tym sposobem Chodkiewicz nie wchodząc w czyny Zborowskiego, widzi tylko przed sobą indywiduum, a nie wykonawcę pra-

Atoli wątpliwości téj szerokiemi dowodami popierać nie mamy potrzeby. Ktokolwiek był istotnie pierwszym jego przewodnikiem do rycerskiej sprawy, okres działań naszego Samuela nie przechodzi daleko za granice wiosny młodszej. W tym krótkim przeciągu czasu, w jakim kilka stronnic dziejów nam o nim wspominają, to widzimy na pewne, że najwyższe w hierarchii krajowej osoby, pomimo niesprzyjania hetmana, przyklaskują jawnie młodego wojownika *impresom* i jednogłośnie *progressów i skutku* mu życzą. Znać w jakiegokolwiek się szkole zaprawiał, myśl przedsiębiorcza widna już była wcześniej w jego działaniach; i nie oglądał się na wici dla innych rozsyłane, a biegł za pierwszym odgłosem surmy, która pole otwierała. Dojrzał w nim mściciel krwi przelanej, a jeśli ojczyzna ceniła męstwo, rycerska biegłość w tańcu tatarskim po większej części się odznaczała. Trzeba było połączeń rodzinnych, jak zobaczymy, aby cel wyraźniejszy owym *impresom* był nadany. Przy panującej więc dążności, korzystać tylko zdaje się z pogodnej pory, gdy w sprawie Mohiłów występuje do walki. Po zmianach jeszcze losu rodziny tułaczęj, wróci on zawsze do stanowiska, z którego przed daniem bodźca wychodził. Nie inną drogą chodzić umięją i ci, których jego naśladowcami, jeśli nie uczniami (jak podobnież pieśnią uczczony *Chmielecki*) nazywają.

„Zabiegi, tajemnice, rady, dowody, powiada historyk, są duszą dziejów; spełnione czyny samym tylko wrębem.” A gdyby téż po przeżyciu starego Mohiły, synowie niezaprzeczoném prawem do objęcia po nim gospodarstwa byli przypuszczeni: czyliż rozumieć mamy, że książę Korecki Samuel, jużby ognia z pohańcem skrzesać nie pragnął, a na mało spodziewającego się nie wyruszył, i zemsty chwalebnej nasycić nie starał się? Śpiewały mu zaiste od kolébki o tém gęśle narodowe, co robili Koryatowie, takąż

wa w Żółkiewskim, i w tém wykonaniu zawiści przeciw familij uważać się zdaje. Co do naszego przedmiotu, nie powinien być zdaje się Chodkiewicz w jednej kategorii stawiać Samuela z Samuelem. O całe niebo różnią się oni z sobą. Zborowski prawołomca i urągający się z wszelkiej powagi praw w kraju; Korecki działający, jak się ostatecznie pokazuje, nie bez wiedzy i pewnego pobłażania u steru rządu, naraża się przeciw ustawom karnym. lecz nie jest na bannicyą nawet skazany: walczy, ulega, wraca do swoich, i jeszcze niepospolite miejsce zajmuje w chwili stanowczęj, jak wiemy, pod Cecorą.

czysta krew Olgierda na Podolu, albo jakich to miało drzewo rodu własnego założycieli. Tak się łatwo nie odwyka i w młodości dalszej od przypomnień nęcących, które w uszach dziecka brzmiały. Tam jego świat, tam przyszłość zaczarowana. Cóż dziwnego jeśli bez obawy idzie na wroga, z którym już waleczni przodkowie rachunki nieukończone mieli? Widzimy w późniejszych wypadkach Samuela dowódcą lekkiej jazdy, i rycerzem, na rękę wyzywającym najodważniejszych z obrońców półksięzyca w boju; a takiem przywiązaniem otacza bohatera aż do zgonu jego Zaporozże nasze: że gdy już nie ma ratunku dla obciążonego łańcuchami w *Czarnej wieży*, jeszcze o mury tej wieży kołacze, i podobno przez podpalenie Edykuły, zemstę za mord na swym ulubieńcu popełniony wyraża.

Przeglądając komputy najrozlicniejszych chorągwi, które aż pod tę datę, przy rozmaitych sprawozdaniach z wojny mamy wyszczególniane, nie napotkasz w nich nigdzie imienia Samuela. Może to wyliczenie łączyło się wspólnie z imieniem ojca? może wieść publiczna pieśni tylko przekazała imię, a wielorakie czyny pojedyncze zniknęły w opisie ogólnym nagłych wojen, które u granic południowych wrzały ciągle?

Od czasu dopiero nieszczęśliwej wyprawy Stefana Potockiego do Multan, naraz wszystkich jego szwagrów imiona w komput wliczone, dają nam wiedzieć o istnieniu Samuela. Podówczas jeszcze niewłaściwie. Ale z mgły bajek wynurzyć się muszą wreszcie na jaśnią zdarzenia prawdziwe. Krytyka dziejopisarska rozpatruje się w datach i połączeniach. Z nieładu wprowadzonego przez latopisców, których bynajmniej to nie obchodzi, w jakim porządku ciąg jednej *tryady* uszykują, wchodzimy zwolna na widowieństwo prawdziwszą. Mnóstwo tych jednak poprawek wprowadzić się musi do dziejów. I tak: nie powiemy z powtarzaczami głosu Żółkiewskiego na sejmie: „dopiero w r. 1614 poganie się objętrzyli za oną schadzką naszych do Wołoch,” ale w r. 1611: bo po rok 1611 „były szczęśliwe ekspedycje J. K. Mości”, i od r. 1611, nie 14 „jak z pieca na głowę w tej stronie iść poczyną”. Już przed r. 1614 postanowione konstytucje sejmowe z powodu nierozsądnej wyprawy Potockiego, a w przerwie czasu między temi latami trwa

konfederacya żołnierska, rozwiązana w r. 1613 pod Lwowem. Wszystko to rzeczy dobrze wiadome w szczegółach, jednak bez względu na daty mieszają się jedne z drugimi. *Niesiecki*, jak uważać można, służy za podstawę *Siarczyńskiemu*, sam niewiele względu na krytykę mający; z tych inne przytoczenia się rozszerzyły. Przecież to źródła jak najbłędniejsze. Podług *Niesieckiego*, to właśnie Samuel Korecki zebrawszy z drugimi (szwagrami) niemałe wojsko, bez konsensu królewskiego i rzeczypospolitój na Turków uderzył, i szczęśliwie ich spędziwszy, Jeremiego na gospodarstwo przywrócił. Mowa tu o starym Jeremiaszu Mohi-le, który już w r. 1601 przywrócony, w r. 1608 żyć przestał; bajki téj, jak widzimy z pisma przytoczonego, ani *Syrokomla* nie poprawia.

Na *Niesieckim* żaden historyk opierać się nie może, ani co do dat, ani co do osób, w pewnym porządku chronologicznym po sobie następujących.

Dzisiejsi pisarze już dosyć mieliby linii gospodarów multańskich, ustalonej przy pierwszym dziele elementarném, jak w dodatkach *Lelewela* do *Historyi Wagi*.

Jeremiasz Mohiła od r. 1595, ustąpił 1599, powrócił 1601, umarł 1608.

Konstanty, syn jego, dopiero w r. 1611 i 1612.

Alexander, syn drugi w r. 1615—1616.

Późniejsze walki w imieniu Konstantego i Alexandra następnie się odbywają. Dwóch *Tomzów*, *Stefan* i *Michał*, pomiędzy nimi przemija. Nie trzeba poruszać zmarłych, ani wynajdywać (z *Siarczyńskim*) *Piotrów* lub *Bogdanów*, których w tych wypadkach nie znano. Nie trzeba również jednemu *Potockiemu* za drugiego przyznawać pewnych przedsięwzięć w téj sprawie.

Co przed jakimś czasem uczynił dzielny Jan Potocki starosta kamieniecki, zostawiony z ręki *Zamojskiego* do pomocy *Jeremiu*, czytamy następnie przez zamianę (*mutatis mutandis*) pod imieniem najmłodszego z braci, synów *Mikołaja*, generała podolskiego, *Stefana*; tego właśnie, który sprawę zgubił, a naraziwszy rodzinę *Mohiłów* na całą zemstę Turków, wystawił prócz tego kraj własny na straszny najazd tatarski: albowiem i załogę kamieniecką, nietylko młodzież z akademii i z szkół wywiódł na tę wojnę, o co, jak

powiada Maszkiewicz, płacz i narzekanie matek było nań wielkie w Polsce.

Tysięczny ledwie wrócił z wyprawy Potockiego w Multany. Czego nieprzyjaciel nie pokonał, reszta w Prucie albo Dzieży rzekach, gdzie bitwę zwiedli, potonęła. Otoż się zwiększał ów wieczny grobowiec (*Valachia tumulus Polonorum*). Po takim wypadku miał prawo Żółkiewski zawołać rzewnie: „Przeklinał niegdyś Job dzień narodzenia swego, przeklinam i ja dzień ten nieszczęśliwy. Były przedtém urazy Turków, ale ta największa. Po ten dzień były szczęśliwe expedycye W. K. Mości”.

Na tém stanowisku, można powiedzieć, i Żółkiewskiego po raz piérwszy dostrzegamy rozpaczającego o ocaleniu ojczyzny. Czy porażka kilku tysięcy ludzi u jednych granic, daje powód do takich myśli? Zapewne, podniesienie się w pychę wroga odwiecznego, i trudniejsze już odtąd wszelkie z nim traktowanie, jest wielkiem złem, przy którym długich lat korzyści szły w niwecz.

Ale nie z tego jedynie względu rozpaczał mąż dzielny. On był rękojmią prawa. Prawo ujmowało w tym czasie władzy samemu królowi, a zdawało się zwiększać władzę stanów. Ztémwszystkiem cóż mógł uczynić i dla tych stanów, polecających ukrócenie swawoli u pewnych granic, jeśli wbrew uchwał tych stanów mógł wystąpić bezkarny śmiałek, osłonięty cichém potakiwaniem najwyższej władzy: *Rege dissimulante?* jak mówi Kobierzycki. A przecież „on wiernie i szczerze służył królowi.”

Przeciwwstawiony nasz Samuel, musi po takim wypadku i swoje myśli wyrazić.

A tego, czy znowu stan domu powinowatego ma zasnuć jedynie, i widok przemian u steru władzy w Multanach? Gdyby sobie był przywiódł na pamięć podobnyż prawie stan rzeczy przed pół wiekiem w tym kraju, gdy ród Heraklida stracony, dawał sposobność Turkom do mianowania z swój ręki wojewody, i także *Tomczy*; możeby sobie przedstawić był winien smutny los wojaka, który także na waleczném ramieniu polegając, na haku skały zawieszony, kończył dni swoje okropnie, a naśladowcom swym przykład i naukę w językach nad Bosforem zostawiał? Nie był tajny natenczas nikomu ten zgon tragiczny Dymitra Wiśniowiec-

kiego, któremu może także nie chodziło o panowanie na tém rozdrożu multańskim, a nałóg ścigania pohańca był wszyskiem: wieść o postępku barbarzyńskiego mocarza nadto świeżą jeszcze była. Ale w tym zbiegu Prutu i Dzieży, pod tym *Sasowym rogiem*, sławnym już tylu bojami, dwoistą wzgardą bluzgał pohaniec: bo dla nieszczęśliwej rodziny tułaczój i dla narodu, pod którego ramieniem rodzina ta przychodziła do władzy. Wprzód nim Żółkiewski zwątpił o losie swego kraju, (głos jego bowiem dopiero na sejmie r. 1618 słyszymy, gdy już miał do usprawiedliwienia się z upokarzających naród układów), nie zwątpiła jeszcze drużyna, nie nawykła przypuszczać klęsk przed ich spełnieniem. Rozpoznane były błędy w przeszłej wyprawie popełnione przez Potockiego, które się przyczyną zguby jego stały. Jak tylko można było zgodzić się na to, iż cel jego w innym porządku byłby dopięty, iż winą było zbytne zaufanie w pomysłności, towarzyszącej niedawno jego poprzednikowi, i z tego wynikająca pogarda sił nieprzyjacielskich, nieostrożne furażowanie, brak szpiegów, brak straży przednich i czatów; owszem jakby pochód dla rozrywki i swoboda nieoglądająca się na żadne przygody wojenne: nagana więc nie była dla celu, ale dla pomocy i sposobów wykonania. Byłato raczej przestroga dla następców, jeśliby jacy znaleźć się mieli. Gdyby ci zatém rozważywszy błędy, obmyśliwszy siły i środki, uchwalili naprawę lub zemstę: czyje ramię wstrzymywać było powinno zuchwałych? Znowu *procerum vota*, i znowu król dwolistego zdania? A gdyby i hetman, czujniejszy po przestrodze, miał stanąć na przeszkodzie u granic? Bezwątpienia gdyby to z dostatecznym przewidywaniem uczynić był zdolny... Lecz już przemawia głos straszny, głos upadkiem zagrożający: *bezsilność*.

Zastanówmy się w tém miejscu nad środkami zaradczemi ze strony rzeczypospolitej.

Szarpana wewnątrz od straszniejszego wroga nad Turka i Tatarą, od własnych wojsk przeciw królowi skonfederowanych, którym żołdu zapłacić czém nie było; a na zaspokojenie, skarb widział dobra publiczne i prywatne zajęchane: nie mogła bezwątpienia piérwój rzeczpospolita przemyślać o złem zewnętrzném, i jedynój, jaką miała na-

tenczas pod ręką, zmuszona była użyć broni, to jest zreassumować prawa, na rokoshu podpalców sypnąć *infamią*, ma się rozumieć tym środkiem dotknąć jedynie przewódców, a grozą następstw postraszyć swawolę u granic. Jest pewna epoka, gdzie exkommunika z ambony naród dziesiątkuje: gdy teraz władza do szlachty, do rycerstwa się przenosi, taki sam skutek wywierać ma ogłoszenie *bezecnym*, w połączeniu z bannicyą, dla której już jeden przestępca možny dał głowę. Ale w tym czasie z ambony, równie jak przy buławie, dawał się słyszeć głos proroczego natchnienia, że tego mało; że bez wykonania praw, bez skuteczniejszego oczyszczenia z zarazy, kraj zginie. Przebrzmiał głos Skargi na kazalnicy i próżno Żółkiewski na sejmach widma nadchodzących nieszczęść okazywał. Gdy prawo upoważnia starostów do imania burzycieli pokoju pospolitego, daje im tylko do rąk uniwersały, by te do szlachty swego powiatu obesłali, oraz zapowiedzieli, iż każdy pod karą stu grzywien (*sub paena centum marcarum*), na takiego wroga z nimi ruszać, a bronić drogi do wykonania gwałtów powinni. „Gdy mało powiatu dla starosty, mówi prawo, tedy bliższemu staroście oznajmić ma, który także swój powiat ruszywszy, pomoc jemu powinien będzie.” Wszystko to starostowie czynić byli powinni *sub paenis legum*, a w cięższych razach jeszcze o pomoc hetmańską sięgać.

Nie nowe to były prawa. Konstytucye sejmowe już dawno wzbraniały wychodzenia za granice z chorągwiami, bez zezwolenia królewskiego. Czy je przestrzegano? W r. 1613 reassumowano prawa dawniejsze tejże treści (1), owszem, jak gdyby ktoś obaczniej nad środkami poprawy rzeczypospolitej przemyślał, na tym sejmie walnym stanęło prawo, ograniczające wolą królewską, tak, iż król ani za wiedzą senatu nie mógł wypowiedzieć wojny, nie rozesławszy wprzód po sejmikach powodów wypowiedzenia jój i całej szlachty zdania nie wysłuchawszy. W tym jednym względzie podołać mogło prawo, iż się przyczyniało do większego osłabienia władzy królewskiej, już i tak słabój przedtém.

(1) Zob. Volum. Legum II, fol. 1618. Vol. III, fol. 180 i 325.

Owoż gdy się uspokajał kraj wewnątrz, może za porę stosowną uznają powinowaci domu Mohiłów i z swoją wystąpić sprawą. Plac dotąd niesławnie przez Potockiego opuszczony, potrzebę odwetu wskazuje. W tejże stolicy, która już widziała chwile pomyślności rozmaitej dla swych gospodarów, zasiadł z tureckiego ramienia wojewoda, a nie równający się urodzeniem ani przeszłością znakomitą. Gdziekolwiek skarby, lub przychylnie stronnictwa dla sprawy Mohiłów odkryć był zdolny, jedne grabił, drugie potępiał i ścigał: owszem stawał się przewodnikiem hordy, której Ruś i Podole granice swoje otwierały. Panowie powinowaci mają go za wdziercę i inpostora. Przyjdzie czas, że i Rzeczpospolita nalegać zechce o jego oddalenie.

Wkrótce działających na tém obozowisku ujrzymy księcia Koreckiego z Michałem Wiśniowieckim, starostą owruckim. Nie przewidziało prawo, dające wskazówki działania starostom pogranicznym, co mieli czynić, jeżeli książęta i starostowie sami przeciwko tym artykułom wykroczą: zwłaszcza, gdy roszczenia ostatnich wychodzić mogły za obręb prywatnym zamiarom właściwy, a poruszać pytania, za słabo, jeśli wyrazem swawoli ochrzczone. Bez wątpienia to się nie nazywało swawolą. Widomie prawie dozwolone były zaciągi po kraju, oprócz porozumienia z siczą, która przez swe czarnomorskie wyprawy stawała się głównym przedmiotem oburzeń ze strony Porty. A łatwiej i o zaciąg było rzeczywiście. W tymto czasie, jak powiedzieliśmy, rozpuszczone związki żołnierskie ofiarować mogły licznych, jak ich nazywa Naruszewicz, *za wiatrem fortuny idących, walecznych awanturzystów*. Mamy ślad niejaki i w świadectwach społecznych, oprócz listów świeżo przez Syrokomlę ogłoszonych, jak to różnorodnie zbiorowe siły bywały. W tém może zasada niepowodzeń zawsze, jakie pretendentów naszych do Wołoszczyzny, od wieków spotykają. Bywa to najczęściej coś nakształt burzy wynikającej nagle, która się objawi w błyskach i piorunach, zahuczy, przerazi, a ledwie w dziele zniszczenia ślad przejścia swego zostawi. Nad odgłos orkanu, który porywa wszystko w przechodzie, okrzyknione bywa imię waleczne, a meteoryczna jego świetność zakreśla krąg swój

i znika bez powrotu. Tak, cóż za cel spólny i interes, oprócz zachcenia momentalnego, może mieć Zaporoziec z Wołochem, którego palił i gnębił świeżo, rozmaitych dworów prywatnych drużyna, ex-konfederat i ledwie na względ niejaki zasługujący hufiec pancerny, który jeszcze od ojców miał swoje po dworach zakłady, ale nie przeważał w liczbie? Jeżeli los boju wstępnygo posłużył, wzrastała zaprawdę siła z rozbitych stronnictw w Multanach, i okazałszy formował się szyk wojenny. Wabił dostatek pański pod chorągwie, ale nie rozbierał tego żołdak, jakiej miał służyć sprawie, albo jaka słuszność działaniom swych panów przewodniczyła.

Godzi się atoli w kilku przynajmniej wyrazach wspomnieć tu o położeniu wzajemnym dwóch krain ościennych, takim, w jakim je stawily traktaty w tej chwili, albo w jakim spadkobierstwo praw po Mohiłach, czyniło jedną względem drugiej prowincyą, ziemią hołdowniczą lub zależnością inną podobną: aby ztąd padło światło i na czyny tych panów.

Wiadomo, że Jeremiasz Mohiła, z ramienia polskiego na gospodarstwie osadzony, syn Despotówny, potomek dawnych panów multańskich, przypuszczony w r. 1593 przez stany polskie do indygenatu, poddawał na nowo kraj swój Polsce, z warunkiem, że odtąd dwa narody braterskimi się stawały. Nad domem jego rozpościerała się zwierzchność i opieka ze strony Polski, ale i progi domu stawały otworem dla związków niepospolitych z ludźmi tego kraju. Cokolwiek powiedzą obecni lub późniejsi dziejopisarze (jak *Łubieński w dziełach pogrobowych* o Potockich), o wzmożeniu się w dostatki rodzin, które się temi związki z domem gospodarskim łączyły, zwiększała się bezwątpienia i świetność tego domu przez powinowactwa nowe.

Tu się łągodzi pozór wykroczenia ze strony naszych domów książęcych, pod spólnymi chorągiewami wyciągających na to odwieczne pole nie popisu, ale krwawej walki. Rzeczpospolita, która przyjęła poddaństwo Multan z rąk Mohiły i pomoc ramienia swego zabezpieczyła, jeśli domowemi sprawami utrudzona, w obec poczętych zapasów z pohańcy, pozostać musiała na stronie: przez pamięć już przynajmniej traktatów, które sięgały jeżeli nie czasów Ka-

zimierza W., to niewątpliwie rodu Jagiełłów (1), za taką zbrodnię uważać była nie powinna, gdy prywatna pomoc gospodarom chciała być odcieniem jej woli nieobjawionój. Żółkiewski, który ważnym jest działaczem w tej sprawie, inaczéj to widział: da następnie dowód tego widzenia w traktacie z Skinderem. Ale w senacie zdania wyraźnie były rozdzielone. Są dostojnicy, którzy głośno pochwalają zamiar Koreckiego, jakkolwiek nie są niebezpieczeństwa nieświadomi. Niech tylko pomysłność posłuży, a powszechniejszemi może oklaski się stana. Do tej pomysłności może zamało będzie saméj rycerskéj dzielności i wprawy oręza: pewne skryte działania przeciwnie albo praktyki usunąć także potrzeba.

Kiedy napróżno wdowa po Mohile, dla syna ocalonego robi starania o chorągiew gospodarską, kiedy ani w odwołce czasu nie ma czynionéj nadziei pomocy od stanów: zaiste domy zięciów zamkniętymi przed nią być nie mogły. Wymagały tego prawa boskie i ludzkie. Rzecz głównie na tém zależała, że ci zięciowie już raz zawodzili nadzieje w sobie pokładane; miała słusność z niedowierzaniem poglądać rzeczpospolita: nie dziwnego zatém, jeżeli usiłowała wzbronić prawami wszelkie kuszenia się dalsze, zamiast wznawiać doświadczenia, grożące następstwem krwawém. Już bowiem rozjątrzeni byli poganie. Tlał pod popiołem ogień, mogący wybuchnąć w pożar, nieobliczony w skutkach. Alboż nie gorzał dom sąsiedni i nie nadymało hardości Bissurmana, jeśli nie powodzenie nad Prutem, to wciąż u Cissy i nad Dunajem? Wdowie po Mohile wypadało, albo jako prywatnéj obywatelce osiąść w majątności dziedzicznój nad Dniestrem, pod opieką indygenatu, i czekać pomysłniejszego zbiegu okoliczności; albo narażając się niecierpliwie na grę niebez-

(1) Przytoczmy *wywód* Łojka, w znanéj *odpowiedzi* z r. 1773.

„W r. 1359 Stefan, syn starszy innego Stefana wojewody albo księcia Multan, których miasto stołeczne było naówczas *Soczawa*, a teraz *Jassy*, wygnany przez brata młodszego Piotra, przybył do Polski prosząc o pomoc u Kazimierza Wielkiego, i obiecując mu hołd z tego księstwa: lecz ta sprawa nie wzięła skutku.”

„Od pierwiastków panowania Jagielly czterech książąt mołdawskich jeden po drugim oddał homagium temu królowi”....

„Podział Multan nie doszedł, tak jako i podział Prus. Alexander odmówił homagium Jagielle w r. 1419, i obiecał mu pomoc przeciwko królowi węgierskiemu. Ten król dopomniął się w r. 1429 o exekucyą podziału Multan, ale mu odmówiono. Obacz Długosza lib. II, col. 514—5.”

pieczną, widzieć narażoną bez nadziei prawowitość swęj władzy na utratę, i przyszłość swych dzieci, którym w niepomyślnym razie rzeczpospolita także byłaby zmuszoną odmówić pomocy.

Posepną mgłą w ogólności powlekał się widokrag polityczny, również jak to wiecznie mgliste, ołowiane niebo wołoskie, które szarą kopułą nakrywając, mieszkańcom swoim dawało zatrute wyziewy morskie w udziale: a jeśli się rozjaśniało, to chyba groźną błyskawicą.

Nie jak mający umrzeć wychodzili na plac obroncy upadłej sprawy, gdy żegnając przed wyjściem swém, ojczyznę pozdrawiali. Nie wlekła ich za sobą sama konieczność, z jakich zobowiązań albo praw powinowactwa wypływająca. Mieli żałobne przestrogi przed sobą, a występowali jednak z odwagą, i umieli natchnąć lepszymi wróżbami tych jeszcze, których albo stosunki domowe, przyjaźń, zażyłość, albo sama trudność przedsięwzięcia do wspólnego wystąpienia rycerskiego zachęcała.

Pogoń Koreckiego jaśniej wprawdzie na czele, obok niej idzie *księżyc z tarczą* Wiśniowieckiego; niemniej jednak znacząco połyśnie w owym taborze postępującym, znowu Potockich, albo Zborowskich, Sieniawskich, Tyszkiewiczów przybrane znamię. Buńczukom kozackim być łącznie i w rozsypce, według różnych zdarzeń, do wojny, podjazdów lub furazowania. Gdy za Dniestr przekroczyli, rachowano niemałe wojsko, podług niektórych do 6,000 głów wynoszące. I pochód ich musiał być szybki i pewny, gdy Tomża, wojewoda obecny, na wstępie zaraz widzi się w niemożności zebrania sił znaczniejszych. Ledwie się roztrzeźwił w nagłym napadzie, musiał przyjąć bitwę, a skutek jej wiadomy. Musiał się passować za prawdę przez chwilę, gdy przyprawia o straty i drugą stronę. O to chodziła rzecz właśnie, by nie nabrał otuchy, pamiętny jeszcze świeżych zdarzeń fortuny, która mu jednego z pretendentów w ręce oddała. Tą otuchą dla niego była jedynie horda zawsze, Kantemir lub inny mirza. Nie mógł jej zyskać przecież, dopóki by się nie przebrał na ów Szlak Czarny, albo na stępy Budziackie drogi nie utorował, dokąd trudniej iść było za nim w pogoń, mając zamiary na ustalenie się w stolicy, w intere-

się wracającego do gospodarstwa Mohiły, jak się to z pierwszych rozporządzeń boju okazywało.

Tomża, jako winny zdrad wielu względem rodziny, na przygody tułactwa skazanej, nie mógł liczyć do tyła na lud niestały i panom swoim niewierny, ażeby bezbronne Jassy za punkt oparcia sobie obierał. Jeszcze nie miała ta stolica dość czasu do podniesienia się z swych zwalisk i gruzów. Ocalały na początek panowania Jeremiasza Mohiły: zamek gospodarski z kamienia wzniesiony, trzy kościoły greckie, jeden ormiański, łaźnia, azyatyckim urządzona sposobem, od kozackiej pożogi, która na początku tego wieku miasto spustoszyła, nie przedstawiały jeszcze ciągle środka do stawienia czoła w porządku bojowym przychodzącemu nieprzyjacielowi. Tomża nie był człkiem wojowniczym, było raczej wdzierca, umiejący bić czołem w dywanie, i siła jego raczej polegała na postrachu szerzonym przez Turków i hordę krymską, jak na przymiotach łączonych z wyobrażeniem wojewody, jakich przykłady dzieje w poprzednikach jego wskazują. Więc stały zastępy przy nim z bojarów dwuznacznej wierności i ludu, co z jaskiń i zwalisk nagnany pod chorągwie, po pierwszej porażce gotów był służyć drugiemu, i według zwyczajów, gałązkami winnymi wchodzącym uścielać drogę. Nic, na takich obrońcach, ani na takich Jassach warownych polegać nie mógł Tomża.

Spędzenie przywłaściciela z stolicy, było przedniejszemu zamiarem wodzów, jak to wspomnieliśmy. Jest to też czyn rozgłośny, który na kartach dziejów pamiętne imię wznawia po raz pierwszy. Zналиśmy dotąd założyciela domu Koreckich, *Dymitra Olgierdowicza* w pochodzie Witolda przeciwko Edydze nad Worską; *Bohusza*, który pod Ułą i w polach iwańskich był z ludem swoim (1), *Joachima* w wojsku smoleńskim przy Chodkiewiczu. Mylnie widzieliśmy naszego Samuela w walce, która po napadzie Siedmiogrodzian na początku jeszcze stułecia, Jeremiasza Mohiłę do tronu książęcego wróciła: byłoby to bowiem zawczasie ze względu młodzień-

(1) Zob. w *Mowie Solikowskiego na pogrzebie Zygmunta Augusta* to opowiedziane: „*Acies, quae dicebatur ferrea, duce Radzivilo, Chodkevicio, Korecio, Tiskovicio caesa, fugata, dispersa.*”

czego wieku, i również mylnie w nieszczęsnej walce Potockiego, bo z téj pogromu nikt nie ocalał. Z wszelkich rozważań, pierwsze to jego pole na własną rękę być sądzimy, i to się przy oklasku walecznej sławy otwiera.

Dzięki ma złożyć Bogu matka takiego syna „że jęj dał doczekać podobnej uciechy z dziatki, którzy nie ujmują przodkom swoim i wszystkiemu domu swemu sławy, ale więcej jęj przymnażają.“ Tym językiem matki Spartanki się wyrażały, tym i Anna Korecka mówi do Mohylinęj. Posiłkując całą swą zamożnością syna, wdowa dożywotniczka, za największą ma ona sobie chlubę, że naprzód sławą przodkom dorówna. Jakoż ledwie po weźmie wieści o pierwszych zwycięztwach, już cała jest myślami w dalszych poruszeniach boju, niepomna przygód i niebezpieczeństw otaczających.

Żal, iż tak drobne okruchy, przeszłość nam z listów takiej matki pozostawiła. Poszlibyśmy ich śladem do miast, do zamków zdobytych, i w cieniu lasów, i w przesmyki błotne albo na step goły za Tatarami. Bo treści takiej echo dochodzi nas z zaniedbanych podań u latopisców, a nie w żywej prawdzie uczucia, które pomyślną lub mniej pomyślną dolę z rzewném przejęciem się rozważa. Lecz do nas doszły urywki, i w tych doczytujemy się szczegółów nieznanych. Gdyby liczniejsze podobne źródła, jakżeby historia mężów i narodów na tém zyskiwała.

Trudno nam krok w krok postępować za losem wojny. Wiemy, w jakim pustym kraju los pierwsze im pole nadarza. Od Dniestru aż do *Fokszan* jednakowe prawie zadanie. *Dniestr*, *Prut* i *Seret* przedniejsze rzeki, zresztą błot i zasadzek tysiące. *Jassy*, *Chocim*, *Soroka*, *Łopuszna*, *Orchel*, *Bender*, *Izmailów* za przedniejsze miasta z strony *Multan* liczone, zamożniejsze były niegdyś; teraz leżały w gruzach zwalone na ziemię. Wszędzie tylko mogił pełno. Niektóre pasma są na linii przejścia (Czarnym Szlaki) hordy, więc ogniskami w nocy oświecane. Pomnożyły ich liczbę czasy nowe, do liczby owych odwiecznych, które jeszcze może czasy *Decebala* pamiętały.

Przyjmujemy za fakt stwierdzony, że nie mógł czoła stawić wojewoda wdzierca ani w polu otwartém, ani w stolicy niedającej pewności. Ale już rozlegał się okrzyk napadu. Rozgromiony w piérwszém starciu, nie miał innego środka, jak biedz do hordy o pomoc, albo sprowadzać jakiego baszę dalszą Wołoszczyzną, bo i potem miał swych sojuszników.

Nie trzeba jednak losu Multan w téj chwili czynić stanowczo zawisłym od jednej potyczki szczęśliwej, albo i waleznego zwycięstwa na początek odniesionego. Gospodar z tureckiego ramienia był tylko pachółkiem na czatach w téj stronie: spełniał on namiestnictwo swe z okrucieństwem, godném panów, których stawał się narzędziem. Za nim następowała tłuszcza nawalna, ożywiona fanatyzmem. Czekala tylko hasła.

Nie zasną nasi wojacy na laurach. Od daty wtargnienia, do schyłku sprawy, rok z górą upływa, a rok płodny w rozliczne losu przemiany i wielki krwi rozlew z obojéj strony.

Z historyków naszych często nabywamy właśnie takiego wyobrażenia, jak gdyby całą treścią wyprawy dwóch wymienionych tu książąt było, wpaść, jednorazowym lub i powtórzonym kilkakroć bojem się zmierzyć, doznać klęski nareszcie. Podług tego przedstawienia, moglibyśmy zamknąć w ciasnych, jak wizerunki ich ramach, dramat wojny, albo raczej jedną część z tryady lat 20 z górą trwającej, w której następują po sobie nawzajem powodzenia i klęski, a gra w niéj ważną rolę męztwo bohaterskie, szlachetność, i zdrada, poświęcenie i niewiara: wówczas nawet, kiedy się spełnia odwrót fortuny, jeszcze pełen zajęcia obraz nieupadającego pod wysileniem przeciwności umysłu.

Innym, jak gdyby głównie chodziło o liczbę, wyliczają 15, 19, 21 bitew. Gdzie? kiedy? z jakimi okolicznościami? nie idzie im o to. Lub ogrom powodzeń zwiększają do tego stopnia, że na sta tysiący ludzi wywołują do bitwy, i tyleż tysięcy kładą na pobojowisku, w nurtach rzek topią (*Bzowski, Starowski, Niesiecki, Siarczyński*); lub gdy zwycięstwo odstępuje, porównywają bohatera z samotnym prawie Danielem w lwiej jamie, tylko go już ani cudem nie ocalają.

Przecież choćby z listów w najnowszym czasie ogłoszonych, można wyczytać, że dopóki sprzyjały zwycięstwa, sadowił się nowy gospodar pod zasłoną walecznej falangi w ojców swych stolicy; liczny dwór towarzyszył mu w pochodzie, a co nawet utrudniać wolny pochód mogło, już matka i siostra znajdowały się w jego obozach. Tu przeczuwające serce matki Koreckiej występuje z przestroga: „Panie Samuele! Domnę tę (t. j. matkę żony) odeślij do Polski, niech tam przy tobie nie będzie, gdyż słyszę iż siła jest na przeszkodzie; żona też twa co tam czynić ma w wojsku z tobą? czy nie lepiej jęj jechać do domu?... Nie daj Boże! kiedy w jakim gwałcie, jako ten orszak prowadzić będziecie?” Przestroga, jak widzimy z ciągu listu, spowodowana po uciechach ze zwycięstwa, nowinami o niebezpieczeństwie żałosnemi. A miała niestety! spełnić się według brzmienia.

W jakim sposobie dźiać się mogło rzeczywiście to postępowanie kobiet za wojskiem, nie mamy wyjaśniającego dopisku. Matce znać chodziło o reprezentacyą dla syna, który dla lat młodzieńczych mało imponował w stolicy: więc w Jassach możeby nie zawadzała jęj obecność. Trudniejby wytłumaczyć potrzebę znajdowania się żony Samuela. Musiał to zrzędzcać traf jakiś tę obecność, lub goszcząca przed udaniem się wyprawy do Multan w majętności matki (*w Uściu nad Dniestrem*) ośmieliła się z nią dalej, zwłaszcza, gdy zwycięstwo do rodzinnego miasta drogę utorowało. Może dramat rycerskiej barwy w ogólności, wymagał połączeń, które jeszcze na troistych godach w domu gospodarskim były obmyślone?

Ale księżnie matce doniesiono społecznie, że Tomza znowu się pokrzepił; znowu przy pomocy Turków stawał się panem stolicy; a nawet przy prowadzących go buńczukach widziano powiewającą chorągiew, znak dostojności gospodarskiej, której pomimo życzeń i oświadczeń radości odbieranych, dla swego protegowanego, do ostatniej chwili u króla Zygmunta doprosić się nie mogą nasi wojacy. W takim razie z trwogą musiała poględać na los kobiet przy nadchodzącęj zmianie. Co miały w rzeczy samej robić pośród taboru, przy huku dział, przy nagłych poruszeniach owęj lekkiej jazdy, z której po większej części był szyk wojenny księcia Koreckiego złożony? Było-

by to powtórzone lekceważenie wroga, jak w przeszłej rozprawie Potockiego, co go nakoniec zgubiło, jeśli, jak powiedziałem, obecności téj nie można było tłumaczyć koniecznością lub zrządzeniem trafu.

Co się z nimi stało po klęsce, która jak widzimy następnie taki popłoch pomiędzy przyjaciółmi Koreckiego rzucała, a zmuszała go do cofania się spiesznego pod wały Chocima?—nie objaśniają źródła nasze. Jednak za polepszeniem fortuny musiały obecne być znowu, albowiem następnie razem i los niewoli z księżciem, którego się ramienia trzymały, podzielić były powinny.

Trudno jest w ogólności w takiej rozsypanej wojnie, na jaką się zanosilo, i szczegóły innych okoliczności rozwikłać. Było raz taniec tatarski łukiem zataczający, to znowu jakaś obronna postawa w okopach; a wszystko największą różnicą przemian odcienione: postęp i cofanie się, napad nagły z ckrzykiem przy sprzyjającym uspieniu hordy, i ztąd pogrom wielki w massach przydybanych, *kumiszem* upojonych, albo nawzajem wpadnienia w zasadzkę, jak owa zdrada chyłrego Czausa, której wyjaśnionej w szczegółach nie mamy, a o której w liście swym u Syrocmli, kanclerz koronny *Kryski* wspomina.

Szczegół ważny nie jest do pominięcia, że zgon Wiśniowieckiego na początku téj wojny. cały jej ciężar już dawno zwał na barki samegoż Koreckiego. Wiśniowiecki pan możny i rycerz niepowszedni, którego dziedzictwo męztwa w synu Jeremiaszu pod następnemi panowaniami rozpoznamy; a mówiąc nawiasem, którego wnuk ma piastować berło kiedyś z wolnego okrzyknienia narodu: znać ważną byłby pomocą w kierowaniu losów wojny dalszych, jak był spółuczestnikiem owéj sławnéj wygranej z Tomzą, która zmuszała go do ucieczki ku hordom, do odstąpienia stolicy i panowania. Powiada heraldyk, że gorączką i trudami wojennemi zwątlony, długo tryumfu nie przeżył. Wiadomo, iż z właściwą niedokładnością latopiścom naszym, musielibyśmy zapomnieć o tém spełnioném fatum, owszem kazalibyśmy mu ożyć do skóńczenia sprawy; nawiasem ledwie wpada nam pod rękę jaki dowód, rzucający światło, i na pomieszane jedne z drugimi albo skrócone, jużto u heraldyków, już u poważniejszych pisarzy obrazy. I tak

w porę nam przychodzi co do owego zdarzenia, szanowny autor *Listów o Szwecyi* (Tyszkiewicz), który zwiedzając archiwa pomienionego kraju, natrafił właśnie między uwiecznionymi z Polski rękopismami, biblioteki rodziny Brahe w Skokloster, na *list Michała Wiśniowieckiego do króla, z d. 12 stycznia 1616 r.*, to jest na dwa dni przed zgonem; a wynalezienie tej daty wyjaśnia także co do rzetelności podań dziejopisarskich: przybywają bowiem potem listy przez Syrokomlę ogłoszone, a w nich daty jeszcze z lipca i sierpnia tegoż roku. Pod d. 22 kwietnia t. r. skarży się Samuel Korecki Chodkiewiczowi na niechęci doznane od Żółkiewskiego, jak w objaśnieniach do *strony moralnej* już nam znanej widzimy. Co robić z datami późniejszymi u autora tego artykułu, nie wiadomo; gdy już pod d. 27 lipca t. r. mówi Chodkiewicz o pojmaniu Koreckiego przez Turków, a w tym razie walczą co do dat listy przez Syrokomlę, ogłoszone z listami u *Gołębiowskiego*. Data kończącego się także panowania Michała Tomży w *letniku Lelewela* r. 1615, miałyby swe potwierdzenie.

Gdyśmy już w ciągu opowiadania wdali się w rozbiór szczegółów i porównanie dat latopisarskich, nie od rzeczy zwrócić uwagę i na sprzeczną z temi datę w *Dyaryuszu Maszkiewicza*, pod rokiem 1617, gdzie mówi o zwycięztwach Koreckiego przeszłorocznych; ztąd i na datę *traktatu pod Jarugą* u Naruszewicza, u innych zwanego *traktatem w Buszy* jak u Łojka, o którym jeszcze słów kilka następnie powiemy, to jest na dzień 26 września 1617 r.

Wszystko dowodzi, że wyprawa pod spólném dwóch książąt hasłem poczęta, na długo jeszcze przy imieniu samego Koreckiego utrzymać się musi; a temu jakich rozległych pomocy byłoby potrzeba, ażeby mógł w konieczności od Soczawy baczyć na Bukowinę, i w Jassach społecznie wyglądać gości od Budziaku, *ludzi wiatrolotnych*, jak ich kronikarze tureccy nazywają. Nie dziw, jeżeli siła drobnej garstki w porównaniu okaże się niedostateczną. Sama *ziemia nadolna* (tak zwane u starych naszych pisarzy *Multan*), z niestałą tylko i niewierną, jak zawsze i wszystkim przychodzi pomocą. Rozgromione pułki Tomży niktęły w rozsypce, wracając lud swój lasom i jaskiniom. A gdyby i część ludności ku uznaniu nowego hospodara się skło-

niła, przybytek ten, czyliż stawał się zdolnym do zastąpienia owych huców pancernych, które bój urywał; albo i lekkiej jazdy Niżowej, któraby ze zdziwieniem widziała swe przerwy zapełniane przez leśną drużynę; na której karkach niedawno, do miast jej otwartych i zamków pędziła?

Jak powiedzieliśmy, i Tomża za łotra wierutnego w listowaniu społecznym znany, zdolnym był znaleźć dla siebie sprzymierzeńców w sąsiadach, oprócz głównej zasłony z Muzułmanów. Kojarzyły się nienawiści w porę. Dla kogo każdy potoczek w dolinach Bukowin Dunajem się stawał, kto nie miał w tym przesmyku gdzie ognia nałożyć, bo i z góry leje i pod nogami plusk ciągły: dla Tomży nieprzyjaźń skorzystana, równie jak dla tamtych przyjaźń, może być płodna w sposoby przebycia najtrudniejszych szlaków. Donosi stronnik i klient księciu Samuelowi, aby miał baczność od tej strony, bo na Siedmiogród nie można rachować. Pomimo stosunków, jakie w swym kraju rodzinnym mogła Elżbieta z Ciamartów, ważną tu rolę grająca, zachować, nie radzi przyjaciel ufać *Betlem Gaborowi*, bo „on listami swemi ułapić chciał Alexandra Mohiłę i Koreckiego, a tymczasem gotował potęgę, ażeby swemi ludźmi do Wołoch wpuścił którego baszę.” Otóż się spełniała tajemna praktyka, przez niespodziane jawisko od flanku, pomimo trudnego przebycia Bukowin. Tomża ośmielony został do ruszenia na Jassy, Korecki się pomknął wstecznie; a do wrot Chocima o schronienie dla siebie i reszty huców ocalonych musiał zapukać. Nie ma już mowy o Soczawie, Łopusznie lub Batuszanach, jako najbliższych gór stanowiskach ponad Seretem. Stanowiska te na długo, może na zawsze niezajętymi pozostać miały.

Zalega z kolei milczenie na polu wojennym. Nieunoszony w powodzeniu fortuny wojownik, przy jej odwróceniu oddaje się zwątpieniu; aż zachęty przyjaciół, dodanie serca od orędowników u steru postawionych, muszą wpłynąć na umysł gorący pochłaniający wrażenia. Nie mamy dat następnych wyszczególnionych, ale ów Herkules albo Achilles, jak go pompatycznie wielbiciele społeczni mianują (1), występuje znów z namiotów: gromi, rozprasza nie-

(1) *Achillesami państwa Koreckich* w ogólności w swym *Świecie Polskim* Okolski mianuje: co do drugiej nazwy ciekawa jest zwrotka pieśni jednej z dziewięciu muz w *Peanie* Górczyna (Kalliope):

przyjaciół, póki nowemi klęskami z kolei wstrzymany nie zostanie.

Nie dostał przecież zasiłków od obozującego na pograniczu hetmana korony, do którego miał prawo udać się po nie, odesłany będąc do tego imponującego widza ze wstawiennictwem prawie od tronu; a Maszkiewicz, jednocześnie zapisuje w swoim Dzienniku: „*pan hetman spraktykował wojsko, sobie ten regiment przywłaszczając, do którego uprzedził go Korecki.*” I nie zataja okoliczności, że nie był p. hetman od tego, ażeby się wmieszać w sprawy multańskie, ale z swój ręki radby posadził był na gospodarstwie Hawryłuszkę, syna po Bogdanie, bracie Jeremiego. Czyli był należycie objaśniony Maszkiewicz, powiedzieć nie można, co do osób przynajmniej. Jest tu naprzód jakieś przekręcenie, gdzie Bogdana, zamiast Szymona wylicza; powtóre i sam to powiada, że całą rzecz o Koreckim ma ze słyszenia w obozie.

Wiadome z dziejów jest dalsze szamotanie się garstki malejącej przez straty w bitwach, przez usiłowania skrytych nieprzyjaciół i jawne namowy, aż do zwarcia się ostatecznego z bezporównania liczniejszym nieprzyjacielem; który garstkę tę ze wszystkich stron miał ścisnąć nareszcie. Nie chciano wierzyć w początkach, kiedy wieść niosła, że do Multan wchodzi z Skinderem baszą dwadzieścia kilka tysięcy Turków, a drugie tyle przez Dunaj jeszcze do niego się przeprawiało. Hetman Żółkiewski tylko stanął na straży z swém wojskiem pod Oryninem na Podolu, i okopawszy się dla bezpieczeństwa nad wązką, ale tak bystrą rzeką, że ją z trudnością przebyć było można, postanowił oczekiwać dalszych skutków, toczącej się poza tamtymi wodami od roku, rozprawy zaciętej; a znać przewidywał, iż w obec jego obozu niedługo buńczuki zwyciężkie się okażą. Aniby wspomnieć już odtąd sobie nie dozwolił, o projektowanej przed chwilą Koreckiemu pomocy. Może téj chwili jest właśnie zdarzeniem myśl gorzka odniesiona Chodkiewiczowi, którą z żółcią odkrywa w liście

Mąż to on wtóry

Co iwa zwałókl z skóry:

Co bił ogromne wieprze, byki, smoki,

I skrzepł mu olbrzym, gdy go wziął za boki.

swym do Anny Koreckiej, że hetman postanowiwszy Koreckiego wydać Turkom, nicby nie miał przeciwko temu, gdyby nawet na pal był wbity.

W jakkolwiek przesadnych zarysach wystawione mamy ostatnie te chwile boju multańskiego, widoczna jest mocna wola księcia, ażeby właśnie ani pomyśleć o powrocie. Mówią, że od posła do Carogrodu, Otfinowskiego, był ostrzegany już przedtém o niebezpieczeństwie. Jeśli nie usłuchał, tedy albo mało sobie cenił szczeróść ostrzegającego, którego raczej za popiecznika Żółkiewskiego, jak za bezstronnego doradcę uważał; albo postanowił także ostatecznie zwyciężyć lub umrzeć.

Jeszcze raz Jassy miały być świadkiem walki do tchu ostatniego za sprawą Mohiłów. Korecki dowiedział się w porę o nadciągających ze wszech stron ku tej stolicy tłumach fanatycznych. Zdawałoby się, że w walce tej nie miało iść o przeważenie protektoratu dwóch narodowości, i o postanowienie w myśl jednej z nich hospodara; ale raczej o podbicie kraju i zamienienie w poddaństwo wieczne.

Po raz pierwszyto na wybrzeżu multańskim jawił się ów złowrogi Skinder (Iskender basza), w którego ręce najwłaściwiej fanatyzm mógł powierzać swe dzieło; obok niego szedł Ibrahim, a Kantemir mirza, od r. 1605 już nam znane imię (1), w stadach ptastwa spłoszonego polatujących na przedzie, zwiastował przyjście barbarzyńskiej chmury. Czy mógł nasz wojownik chwalebniejszą śmiercią pragnąć umrzeć, jak widząc takie massy skupione przeciwko swój nazbyt nielicznej drużynie? Zapisaly dzieje, iż najpierwsi kozacy odeszli z bojowiska, czyto posłuszni rozkazom hetmańskim, czy przyzwyczajeni do lżejszych obrotów, czy wreszcie w celu zrobienia dywersyi na innych stanowiskach. Tabor Koreckiego w 800 ludzi tylko się okopał, a Turcy byli zmuszeni przeciwko niemu przywieść działa oblężnicze. I te nie pomagały jeszcze do zwalczenia. Powiadają, że Czausz wystąpił z propozycją zdradziecką, że

(1) Jako młodzieniec 18-letni pierwsze swe pole zwyczajem Tatarów otwierający, zgromiony był właśnie przez Żółkiewskiego (hetm. pol.) *pod Udyczą na Podolu*; zob. *Piasecii Chronica gestorum* str. 273. Może to w tych miejscach i z takimi przeciwnikami zakładając pierwiastki swe młodzież nasza pod Żółkiewskim, ślubowała ich dokonanie w życiu dalszém....

wszystko się stanie w myśl tak walecznie bronionego domu Mohiłów, byle Korecki zaprzestał rozlewu krwi bezużytecznego, a siły swe rozpuścił. Jestto czyste zmyślenie, że przezorny rycerz w boju, miał się dać uwieść sidłom polityki, i okazał się skłonny do przyjęcia propozycyj; a po rozpuszczeniu wojska dopiero ujrzał zdradę, w 50 ludzi jeszcze się ścierał, i wyczerpawszy wszelkie środki obrony, pałasz na znak poddania rzucił pod nogi baszy. Co do walki, charakter walczącego podobną do prawdy ją czynił; ale umierając nigdyby na to nie przystał, ażeby rodzina, której przybrany był członkiem, odbierała przywilej od psów bissurmańskich: rodzina, która z chrześcijańskiego ramienia postanowiona, z tego tylko ramienia władzę swą przyjmować mogła.

Objasnia tylekroć przytoczony Maszkiewicz, że się musiał Korecki dostać w ręce nieprzyjacielowi, i być więźniem cesarza tureckiego w Stambule, z tym gospodarczykiem, co go prowadził na państwo, i z matką jego, którzy śnać nie dotrwali za przykładem rycerskiego obrońcy swego i poturczyli się. Ale poszła zarazem w jassyr i Katarzyna, żona Samuela; albowiem rozsyпка była powszechna, a pohaniec szerokie zagony rozpuścił.

Gdy taki zapaśnik zszedł z pola, już widział hetman koronny na siebie idącą kolęj, do wstrzymywania nawały barbarzyńców. Wkrótce i przed jego wrota obozu przybył parlamentarz, wodą nieprzebytą nieustraszony, i wyzywał do przyjęcia groźnych warunków: że odtąd ziemia Nadolna raz na zawsze odpadała od władztwa Polski, a stawała się własnością mocniejszego przez walkę nabytą. Nie wytłumaczyły dzieje przyczyn zbytniej jakiejś ostrożności ze strony Żółkiewskiego, gdy dosyć mając żołnierza i rzeczywistą boju ochotę zapalonego, tam pokonanego szermierza na mięsne jatki wydawał, tu wołał znowu bez dołożenia się króla i stanów własną porządzić się powagą, i zezwolić na odpadnienie ściany, która przez dwa wieki z górą przedzielała Polskę od tureckiej potęgi, i na ruinę domu Mohiłów, wiernych Polsce hołdowników i chrześcijańskiej religii książąt, których teraz poganin zmuszał do wyrzeczenia się wiary razem z wolnością straconą. Takim sposobem dzieło Zamojskiego, przed 20 laty poczęte, uwieńczył Żółkiewski:

Ocalone Multany i Wołoszczyzna przez tamtego od podziału na baszalki tureckie, ujrzały swój koniec w chwili, gdy nic jeszcze prawie usprawiedliwiać nie zdawało się kroku słabości i zwątpienia tak strasznego ze strony wodza, który przez wiek cały umiał należycie traktować nieprzyjaciół, i aż do téj chwili prawie dotrwał niepożyty.

Wymawiał się ze swego postępuku przed senatem Żółkiewski, a ciężkim miał być mu ten senat, i sejm, na którym w srogim głosie Chodkiewicz wyrzucał mu tę plamę wodza i narodu; dowodził, że trzeba było, unikając większych następności które zagrażały, uczynić coś z swéj strony i rozżartemu psu, jak się wyrażał, paszczę zatkać: nie byliśmy znać, według jego relacyi, przygotowani do przyjęcia godniejszym sposobem nieproszonych gości. Skutek okazał, mówi Piasecki, że pies ów pogański i strawę połknął, i zgłodniałą paszczą począł jeszcze ziajać za większą zdobyczą. Spełnić się to miało niedługo.

Korecki z tryumfem zaprowadzony do Stambułu, gdy się ani poturczyć nie chciał, ani zuchwałego jego postępowania położenie w obcych rękach nie uspakajało; wtrącony został do Czarnej Wieży, gdzie zapadać się nad nim zdawała fatalność, i wszelkie środki ocalenia już odtąd niepodobnemi się stawały. Wyrzekał się go hetman, wyrzekały poselstwa krajowe. I te poselstwa znieważone były, pomimo roli upokarzającej, jaką odegrać były zmuszone. Taka ostateczność nakoniec wróżyć tylko zaiste musiała kres złego: alboż upadł już tak naród z swym wodzem na męztwie dawném, ażeby bezkarnie pohaniec mógł się urągać z jego sławy i wielkości w tylu bojach zyskanéj, i sądził nie móż znaleźć już mężów do pomszczenia hańby swojej zdolnych? Poza granicami takiej ostateczności, albo już leżeć musiał grób powszechny, albo popamiętać musiał wkrótce wróg tryumfujący, jak sroga czeka pokuta, nie w pierwszym, to następnym boju, wcześniej uradowanych. Nie uprzedzajmy zdarzeń. Jeszcze przed odebraniem kaźni zasłużonéj, za kołem fortunném dla sprośnego ciemiężcy, biegło dopełnienie powodzeń, które do ostatniej pychy doprowadzić go miały.

Żaden z dziejopisów aż do listów Syrokomli, nie pominają téj okoliczności, że Korecki w tryumfie przez Stambuł

prowadzony, nietylko ducha nie tracił, ale jeszcze towarzyszący mu niewoli go dodając, na *kobzie* (t. j. rodzaju gitary ukraińskiej z dróćnianymi strunami) przegrywał. Fantazyjne to widowisko, znać nie oznaczało w swym wieku dziwactwa i pospolitości. Korecki niezwyčajny śmiałek w narodzie, był też duszą i ciałem, panem zrodzonym do wywierania wpływu na Rusi.

W ogólności traktując przedmiot w kilka set lat od zdarzeń, pod nader wielu względami musimy z innego stanowiska zapatrywać się na tryb życia mężów; na obrot polityki władzącej światem i stosunki wewnętrzne kraju, niżeliby o tém sądzić należało z terażniejszości. Wówczas jeszcze rycerskość tchnęła duchem owych *Pretwiców*, owych *Goślickich*, których krwią pohańce, jakby dla uroku, szable i szaty sobie mazali, ciałami się ich dzielili po małej sztuce rozdzielając (1). Przynajmniej takie podania wyznajdujemy w zarysach kronik i w *gniazdach cnoty* naszej: towarzyszyła w postępowaniu tęskność pól podolskich i nuta żałobna pieśni, ludowi z jednym wieczyście wrogiem wojującemu właściwej. Znał się też na wartości tych mężów lud wierny, który o mądrość sądzącą w książkach nie pytał.

Nie pisząc tu żywota męża, dodajemy szczegóły wiadome jego uwolnienia. Opowiada Niesiecki: „że od księżnej żony suplement pieniężny otrzymawszy (i w tém błędzi, bo księżna żona była z nim w Stambule niewolnicą razem; nie rozróżnił zapewne księżny matki od księżny żony, albo o szczegółach autentycznych nie wiedział) i od Sieniawskiego, podczaszego koronnego, wierny i poufały Greczyn mu przybył, który swoją industrią w flaszy, w której mu wino zwyczajnie nosił, i powróż z piłką żelazną poddał. Podarunkami tedy, powiada, straż sobie ująwszy, że go nie z takim jak przedtém rygorem na oku mieli, trzy kraty żelazne przerznawszy, i straż winem w długą noc pojąc uspiwszy, z wieży po owym powrozie się spuścił.”

(1) Była jeszcze znana w czasach *Paprockiego* mogiła na Podolu, która od *Frańca Goślickiego* otrzymywała nazwę na górze w polach, gdzie rozsiekany został od Tatarów ów rycerz, który ich w niezliczonych bitwach za *Pretwicą*, za *Herburłą*, starostów barskich, porażał.

Zamek, z którego uchodzi Korecki, nie przedstawiał bezwątpienia ani kształtem i warownością budowli, ani odaleniem bezpośredniem od Konstantynopola, więźniowi łatwości sposobów ucieczki. Było jeszcze zawsze ów *arx munitissima*, jak go nam opisuje w swym czasie Marinus Barletius, kapłan Skodryjski, biograf *Jerzego Skanderberga*, posuwający się z owej strony Konstantynopola, która do Gallipoli dąży ku morzu, siedmiu wieżami znamienity, i od tego *Jadikula* zwany. Należało przedewszystkiem odkryć miejsce uwięzienia bohatera naszego, o czém jak widzimy z listów Chodkiewicza, własna familia przez czas długi nic pewnego nie miała; owszem troszczyli się, ażeby dowiedziawszy się nawet o nim, nie dozwolić wyjść na jaw tajemnicy przed Żółkiewskim, którego aż do téj ostateczności obawiali się prześladowania. Czy jednak sposobem *Blondela*, jak niegdyś Ryszard Lwie Serce z geślą narodową w rękę był wynaleziony, czy saméj głośności pochodz z jeńcem, przypisać należy głośniejszą wiadomość o miejscu jego uwięzienia, w mieście tak rozległym: raz odkryty, nie mógł zaiste tracić chwili, ażeby wnet nie począł przemyślać o pogodzeniu gotowości swojej z lisiemi przebiegi, jakie chytróść Greka nastęrczała. Musiał tego dokonać zręcznie, choćby w sposobie jak powyższy opis podaje. Wracca zbieg jednak do miejsca niebezpieczeństwa. Ocalenie jego nie byłoby zupełnem, gdyby wśród Konstantynopla nie miał wyszukać żony chrześcianki, która zapewne ucierpieć musiała wiele; w wierze jednak męża swego dotrwała, pomimo, iż patrzeć mogła, jak o tém mówiliśmy, na niedotrwanie w niej matki i brata. Niesiecki mówi nam dosyć o przejściu Samuela na łono kościoła katolickiego, o ślubach jego pobożnych, fundacyi i pielgrzymki do Loretu; ale o pociągnięciu za przykładem swoim żony Mohilanki, dopiero za powrotem do gniazda rodzinnego powiada. Nie uważał jęj bowiem za spółniewolnicę w Stambule, czyli o tém nie wiedział. A jednak Dyaryusz Maszkiewicza i to dodaje: „Korecki dziwnym sposobem z tego niepodobnego uwięzienia wyszedł, i żonę wyswobodził.”

Przecież nie wypadalo samemuż Niesieckiemu inaczéj rozumieć wracania zbiega wewnątrz grodu, bez wyraźnej

i ważnej przyczyny. Po to właśnie przebrany w inne szaty, do Konstantynopola mógł jedynie się udać, ażeby sam był sprawcą wyzwolenia żony, na nikim w tym względzie nie polegając. Zostawiamy dalej pole inaginacyi powieścio-pisarskiej, do przedstawienia ucieczki dalszej, jak się dostał do Raguzy, rolę kupca, czy inną odgrywając; jak osobę tę na sobie zmyślał jeszcze, gdy potem do Sycylii odpłynął; na morzu z rozbójnikami tureckimi walczył: jak i o wędrówce dalszej do Neapolu, do Loretu, do Rzymu, dla otrzymania błogosławieństwa z ręki Pawła V papieża.

Wszakże Niesiecki już dawno był w rękach wszystkich, a żadna zdolność powieścio-pisarska ani poetycka, nie jęła się z upodobaniem tego przedmiotu...

W istocie zmyśloném przez poetów zdawałoby się spełnienie w jednym człowieku tylu zmian szczęścia: i pęt, i cudownego oswobodzenia, i pojenia się wiarą u samej krynicy, i wreszcie osiągnięcie najpożądańszej zręczności do zemsty na wrogu; albowiem wtenczas, gdy zwiedzał domek Maryi w Lorecie, gdy błogosławieństwo papieżkie na niego się zwracało: już był pewny, że za przybyciem do kraju nowa potrzeba wojenna go czeka, a podług myśli, bo znowu nad Dniestrem i Prutem, gdzie rachunek z swym wrogiem miał nieukończony.

Wychodził niedawno pyszny, szczęśliwy, na krwawę harce z poganinem. Podobieństwo Dymitrów, Bohuszów, sławnych antenatów, żyło w nim na każdym kroku z poświęcenia i wytrwałości; a gdy los zasmucił, gdy towarzysza sprawy pogrzebał, już tylko na sobie samym musiał spełnić odwrotnej fortuny pociski. Opłakany przez ziomeków i pokrewne domy, gdy się dowiedziano o jego niewoli, z najżyczliwszemi powitaniem przyjęty był znowu. Poeci brząknęli w liry, lud się ucieszył widokiem z poza gór dalekich i mór obcych wracającego pielgrzyma. Oto co nam opowiada bard jego domowy, *Gorczyn*, w swoim *Peanie*, gdzie mowę zwraca na wstępie do bohaterów:

..... gdyś pod Akwilony
 Nazad się wrócił z ottomańskiej strony,
 Wszystkęś Koronę radości nabawił
A naprzód Kraków: gdyś się tu wprzód zjawił.
 Gdzieś się obrócił, lud gminem za tobą
 Chodził.

Musiał niestety zmienić niedługo ton swojej pieśni, chwalny poeta, gdy po przebyciu tylu trudów i niebezpieczeństw, opłakał wkrótce księżę zgon towarzyski niewoli, którą po to prawie do progów domowych na nowo wprowadził, aby zapłaciła śmiercią za tyle wstrząśnień dotkliwych od losu doznanych. Gorczyn w duchu wieku swego *dyaloguje* mocowanie się księżny z wyrokiem skonu, który ją kwitnącą młodością zabierał. Odtąd nasz wojak, więzień i pielgrzym, miał sam pozostać na świecie, i zamykała linią jego domu *córka jedynaczka*, którą w tym czasie kołysał dziecięciem, mającém wzrastać w sieroctwie. Mężka nadzieja i przyszłość domu była już cała w linii brata, Jana Karola; a ten niedawny więzień także w pętach Sudermana, wrócił w istocie z ciężkiej niewoli, ale już od powrotu z Sztokolmu zdrowia styranego w okowach. nie odzyskał.

Rozlegający się głos surmy po kraju, z oznajmieniem potrzeby nowej, i otrzymany *list przypowiedni* od króla do czynienia nowych zaciągów żołnierskich, jakże się w porę jawiły, ażeby ocalić krajowi męża, którego ramię doznane, jeszcze pożytecznym być mogło! Jeśli nie podołał tyle z losem niefortunnym, ażeby rodzinę tułaczą pokrzepił, ażeby wrócił jój prawa, które z takim Nielitowaniem krwi na zawsze traciła: nie przepominał nigdy powinności syna ojczyzny. Na pierwsze hasło biegł znowu do szranków: a z taką gwałtownością mężowie tylko wieków dawnych się rodzili. Miał słusność przemawiać do niego w swym liście król Zygmunt, gdzie miał do niezatajenia wzgardy posłowi swemu okazane w Stambule, pisma swe odrzucone, przymierza wykładem podstępny obrócone w niwecz: „znana nam dzielność i męstwo wielmożności twojej, któreś po wielekroć dla nas i rzeczypospolitej, z całym i nieociągającym się sercem okazał, ośmiela nas zachęcać cię, byś był w gotowości do nadchodzącego boju”. Będzie miał słusność i po przeżyciu nieodżałowanego wojownika zawołać: „gdyby takich Koreckich Polska więcej miała!”, bo nigdyby ta Polska tak częstych nie cierpiała najazdów od Turków i Tatarów.

Bodźcem zbierania się pod chorągwie bez zwłoki, byli właśnie na nowo ordynce, którzy już Ruś i Wołyń dla zaczepki splondrowali. Chmury niszczące nad głowami, opaść

nareszcie krwawym strumieniem musiały. Daremnemi były wiadome oględności hetmańskie, i czyniona otucha, że paszcza psa rozżartego została zatkana. Bez oporu poczynione ustępstwa, tylko tém bardziej barbarzyńców ośmieliły. Już i Żółkiewski nie był od wojny... Niestety: rozumiano iż dosyć się stało, gdy Tomza wreszcie z gospodarstwa multańskiego stracony został, a wstąpił na jego miejsce Gracyan, skrytą dla narodu kłamiący przyjaźń. Hetman nie objawia z początku przekonania o fałszywości przyjaźni Greczyna, aż skutek zapóźno dostrzeżony okaże przyszłość w najzgubniejszych rozlewającą się farbach.

Oznaczone zostały miejsca obozów. Zdawało się, że wraca pewność znowu do postanowień hetmańskich, zachwianych na chwilę. Bogdaj to nie było ostatniem oddziaływaniem życia, którego brzemień poniekąd już się nieznośnym stawało.

Cóż pisze w liście pożegnalnym do króla, przed wystąpieniem z Baru do wojska? „Wiém o tém, że nadeszła chwila dla mnie stawienia się przed trybunałem boskim.” (*Conscius mihi sum, ad tribunal Dei mox compariturus*) (1). Jestże to głos obiecujący mężną obronę i pochód widokiem niebezpieczeństwa niezrażający się? Smutno wspomnieć. Tak chyba *morituri salutabant* męczennicy Pańscy, gdy do walki ze zwierzętami w Rzymie występowali.

Ażeby nie wychodzić z obrębów naszego zadania, o wojnie téj, pod imieniem *Cecorskiej* znanéj w dziejach, tyle tylko powiemy, iż gdy było wolą Opatrzności dotknąć boleśnie naród ciosu niespodziewający się, może u innych granic mniejszemi przestrogi dotknięty, a przez to ani świeżemi potrząśnieniami u granicy południowej nie ockniony: dotknęła jego właśnie w porażce mężów, którzy przez długi czas zdawali się ulubieńcami fortuny, w odjęciu sternika, któremu uciążliwym stawał się rudel u nawy państwa i w potrząśnieniu samejże nawy, o której całość może iść wkrótce miało. Albowiem wszystko w tym czasie składać się zdawało na naukę dla narodu, który w podstawach chwiać się zaczynał.

(1) List z Baru, pod d. 25 sierpnia 1620 r.

Nie dozwolić było naprzód skołataniu umysłu objawiać się w obec obozów, w których pogodna rezygnacya wodza jest tak znaczącą rękojmą powodzeń.

Wspomnienie *bitwy Warneńskiej i bitwy Cecorskiej*, na jeden ton żałobny z dwóch stanowisk przeszłości do nas się odzywa. Dosyc je porównać z sobą, jakkolwiek wypadki przedziałem dwóch wieków od siebie są oddalone, ażeby na równej szali położyć świętość sprawy obojga, z wyjątkiem dwóch takich ostateczności w wykonaniu dzieła okazujących się: jak zapal młodości, która nie rozbiera niebezpieczeństw ukrytych przed sobą, i cofająca się rozwaga sędziwego wieku, która te niebezpieczeństwa zbliża i mnoży. Jest jakaś tajemnica podniety niezwyčajnej, ilekroć dzielna młodzieńcza siła rycerskich postaci w naszych dziejach, ma z wschodniem barbarzyństwem potykać się na ostre. Jakby tradycyjne z średnich wieków pozostało lekceważenie dla czerni niewiernej. W tymto wyborze imiona *Warneńczyków, Zawiszów* albo i w najnowszym zdarzeniu *Koreckich* jaśnieją. Starość zdaje się walczyć z konieczności dopiero na takim polu: rzadkie zaledwie wyjmiemy przykłady z pod tego odcienia. Jakoż gdy z kolei *wojnę choćimską*, dla złagodzenia dwóch wrażeń posepnych wyżej przytoczonych wywołamy, jeszcze tu starość z młodzieńczą siłą się objawia, kiedy np. w owém kole rycerskiem wezwaném do rady z uniesieniem się odzywa: „znowu siły biore, znowu żyję, gdy się odmładza kwiat rzeczypospolitej mojej. Polski i litewski żołnierzu mój! pierwój mię duch mój odbieży, a niż odbiegę zamysłów twoich” (wiadomy ustęp w kazaniu Birkowskiego o zmarłym Chodkiewiczu). I co mówił starzec, to jawnie jaśnie rad czynił, dopóki zupełnie duch go nie odbieżał.

Nasza wyprawa cecorska o której mowa, da się porównać do spłoszonego czworosprzęgu w cyrku olimpijskim. Wabi wzrok widzów, i dobozem rumaków zdolnych iść z wiatrem na wyścigi, zdumiewa; ale gdy się nie porozumieją siła woźnicy i siła wiatronogów, wkrótce widzimy ów ponętny zaprzęg rozbity: jeździec w pyle i rydwan przewrócony w biegu. Nie tak liczna siła, albowiem 5,000 ćwiczonego rycestwa i 2,000 Zaporozców ją stanowiły; ale w drobnej téj garstce dobór młodzieży się zalecał niewąt-

pliwie. Okazały lata poprzednie, że prywatni panowie byli zdolni z takimiż prawie siłami występować w swoich przedsięwzięciach, i dorównywali w liczbie... Ale pod Cecorą konronni ochotnicy i panięta ukraińscy, jakby okazać chcieli, że tu o życie lub śmierć z narodem idzie, do gry niebezpiecznej i żwawiej i z większym przysposobieniem wystąpili. Niestety! pod tą pokrywą gotowości, niedowierzanie ciągle swoje nasiona podsypywało. Trzeba najmniejszej pobudki, wnet wojsko się oburza na wieść złapaną, i gotowe jest do buntu. Raz wodzowie potajemnie uchodzą do Polski, znowu inna wieść podobna płoszy, i o zgon w Prucie przyprowadza. Nie było zaiste karność, ale i nieufność warzyła oczywiście sztucznie budzone zapęły.

Jak wiadomo, utraciła Polska w tej wojnie kwiat najpiękniejszej młodzieży. Odwrót ósmiodniowy z pod Cecory ku Dniestrowi, naprzód częściowo narażał na straty dotkliwe: tabor uchodzący nie dotrwał wreszcie w swoim obronnym spojeniu. Wódz potrafił umierać stojąc, nakształł hetmanów rzymskich. Barbarzyńcy młodzieżą zerwaną jak szatę narodu się dzielili.

Na ten dział poszli Koniecpolski, Korecki, Farenbach, młody Żółkiewski i tylu innych. Do przewidzenia były następstwa dla jeńców, ale i dla narodu, który takich obrońców całości swęj tracił.

Na polu cecorskim zaiste Samuel nasz, już nie w pojedynczej rodziny potykał się obronie. Wybitne tu są rysy odwagi i męstwa, które go w starciu się z wrogiem wyszczególniają. Pomimo rzekomych swych przewinień w przeszłych działaniach nad Prutem, starszyzna zwrócić musiała na niego uwagę, i jako godnego zaufania do takiego stopnia, zaszczyć komendą jednego skrzydła. O! gdyby nie ta konieczność, że wkrótce dostrzeżone multańskiego wojewody zawodne sprzyjanie, ufność przed nim zamykało, i zamiast śmiałego pochodu, jak przystało na wybór rycerstwa, zniewalało nagle do naprawy okopów dawnego hetmana i zachowania obronnej tylko w nich postawy: były pod chorągwiami zdolności, dla których obszerniejsze szranki właściwie się należały. Co jeździec lekki uczyni, gdy pod nim rumak kształcony rwie się do wyścigu w polu, a łańcuchy taboru bieg ten uśmierzają, i stać musi nieru-

chomy, i dozwalać urągania dziczy wieszającej się u flanków, a nie móżdż skoczyć do rozprawy i tłumi pierzchliwe rozpraszać? Niechno okoliczność wyglądana się poda, już pierwszy u starcia: głos jego panuje w okręgu, wyzywa na rękę i walczy. Wówczas jak gdyby nagradzać chciał siebie przymus, może zapędza się zbyt. Jest chwila, że najmężniejszych popłoch ogarnie paniczny. W tym razie chłostany jest nasz śmiałek słowy cierpkiego szyderstwa ze strony wodza. Ten wyrzuci na oczy ślady ucieczki jawnej, w szacie ociekłej, podczas usiłowanego przebycia Prutu. Zaprzeczyć nie może chwilowej słabości na uczynku prawie przydybany: ale mężka jego postawa, i odwaga, która go nigdy stanowczo opuścić nie zdołała, z całą gotowością na pięknym obliczu jaśnieje.

Powtórnie wzięty do niewoli z łanemi, jako zbieg poznany, może się spodziewać tym sroższego obchodzenia ze strony nieprzyjaciela. Jakoż pod d. 19 stycznia 1621 r. donosi już ze Stambułu poseł angielski *Roe* w relacji do Lorda admirała: „Korecki zostaje w niebezpieczeństwie.”

Niebezpieczeństwo było do przewidzenia; nie w tejże chwili jednak spełnić się miało. Wiadomo bowiem, iż od daty pomienionej, aż do ostatniego jego spełnienia upłynęło kilkanaście miesięcy. Może chorągiew proroka wywieszona w tym czasie przez Osmana, z zapowiedzeniem zagłady narodu sąsiedniego, oddziaływała przez umysły fanatyczne na los jeńców; może szczególnym powodem zaostrzonej srogości przeciw Koreckiemu było wypłynienie Kozaków na Czarne morze, i usiłowane powtórne jego oswobodzenie. Lecz strącony on tylko został do głębszej turmy i podwójnemi łańcuchy został przykuty: chwila męczeństwa, dla jakichś przyczyn nieznanych została odroczone. Nie było zapewne w onej zwłóce okres cierpień mniejszych. Wszakże gdy inni, nawet Koniccpolski (jak to podaje nam w Pamiętnikach o nim), mają prawo obcować z drugimi, odbierać odwiedziny i żądać ich nawzajem (1): Korecki siepaczami otoczony, słyszy obelżywe słowa, zmuszanym jest

(1) Na dzień godzin dwie; prócz tego wolni byli, jednak w okowach, na banię, to jest na salę nad morzem wychodzić; na noc wszystkich nogi w kłodę, rzędem ich położywszy podle siebie na wznak kładli Bissurmanie.

do obelg wzajemnych; a zapalczywość może go posuwać za granice, jakie do zachowania się więźniowi są określone.

Przedstawialiśmy w całym obrazie poprzedzającym bohatera naszego, jak otwartym był przeciwnikiem wiary Mahometa, w jakiejkolwiek sprawie godła jój występujące mógł napotykać: w młodzieńczych doświadczeniach na polu wojenném w sprawie Mohiłów, za którą walczył; i w dalszych potrzebach, w których półksiężyc z groźnemi zastępy swemi był widny. Korecki posuwał się prawie do fanatyzmu w tym względzie. Był to jego patryotyzm najczystszy, i wiara jaka przez wiek cały jego ożywiała: jakże sprzeczną, jak boleśnie do głębi wzruszającą było dlań rzeczą, nastawianym być od pohańców do przyjęcia téj nieprzyjaznej sobie wiary, do wyrzeczenia się bohaterskiej przeszłości swojej, i splamienia reszty dni wyznaniem, któremu się tylko uczył złorzeczyć zawsze, a ile możności najcięższe nieść krzywdy. Otóż niebezpieczeństwo dla niego najprawdziwsze, nie już w tych grubych murach i pętach, w których po dwakroć już widział dnia światło sobie odjęte, ale w pokusach apostazy, w bluźnierczym języku.

Rzucamy tę myśl nie bez przyczyny. Jeszcze przy pierwszém pojmaniu, gdy ostatni z Mohiłów wraz z matką poturczyć się musieli, widzieliśmy, że Korecki przeniósł pęta w Czarnéj wieży nad wolność w zawoju renegata. Nie wychylił znać kielicha goryczy do dna, gdy w powtórnej niewoli, już mu za warunek bytu, przyjęcie wiary Mahometa jest kładzione. Zapominać nie należy, że skutkiem niefortunnéj wyprawy Osmana pod Chocim, zgraja zbuntowanych spahów i janczarów, owładnąwszy wodze państwa, rozporządziwszy tronem Padyszacha, sięgnęła po życie samegoż Osmana: miałaby względniejszą była zostać na życie jednego więźnia i dozwolić mu wytrwać w oporze?—owszem, z bluźnierstwa na ustach dla swego proroka.

Zdaje więc powtórna w tym czasie relacyą o Koreckim, przytoczony wyżej poseł angielski *Roe*, w liście z d. 27 czerwca 1622 r. w następnych słowach:

„Nie mogę wysłać niniejszego listu, żebym w nim nie doniósł o nowym okrutnym postępku barbarzyńców. *Dziś rano* książę Korecki jeden z panów polskich przez J. Kr. Mość (Jakóba I) zaleconych, który przedtém wymknął się

był na wolność po dwuletniej znowu niewoli, w więzieniu zamordowanym został. Wszystkich to nas srodze oburzyło; ani celu w tém, ani polityki nie widzę, oprócz popędu dzikiej zapalczywości. Pragną tu zgody, a nową dają przyczynę do zerwania pokoju, gdyż uwolnienie więźniów jest jednym z jego warunków (*w traktacie Zbaraskiego*). Czy sądzili, że przez bojaźń o pozostałych przyspieszą zawarciu traktatu lub czy nie mieli jakiego o nim podejrzenia (*wspomnieliśmy wyżej o wypłynieniu Kozaków na Czarne morze*), albo też czy go nie zdradzili swoi daniem do zrozumienia, że jego burzliwy umysł nie ścierpi długo pokoju; trudno odgadnąć... Chciej panie rozważyć, kończy swój list do lorda admirała, i przedstawić to J. Kr. Mości, który także skrzywdzonym został: *raczył bowiem wstawiać się za Koreckim i już miał dane przyrzeczenie; ale tu nikt nie myśli o dochowaniu wiary*" (1).

Na rozmaite, jak widzimy myśli, co do tego strasznego mordy w więzieniu naprowadza nas nader wiarogodny świadek, albowiem prawie katastrofie obecny. Trzeba było rozjątrzenia do najwyższego stopnia, ażeby odjęcie to życia nie miało się być stać pogroźką jedynie, dla wymuszenia tém pędzszego zawarcia pokoju. Pomimo dumy więźnia i pogardy okazywanój strażnikom swoim, jeszcze owi siepacze bez skazówki z wyższego miejsca, bez wyraźnego hatyszeryfu nawet, w prostym popędzie dzikiej zapalczywości, nie mogliby popełnić czynu samowolnego. Jeśliby to było dziełem żołdactwa, które na kilka tygodni przedtém (d. 7 maja 1622 r.) szukało w tych siedmiu wieżach Osmana, już ten szal fanatyzmu mijał; zresztą nie na jedynym wyjątkuby poprzestało, w swój mocy mając tylu innych. Trudnoby znowu którego z ziomków Koreckiego (z liczby których wiemy o niezgodzie jego z *Wolnarem Farenzbachem*, ale jeszcze w turmach Sylistryi, gdy oba razem siedzieli, przez hetmana Koniecpolskiego uspokojonój), o tak czarny charakter posadzać, by podniecać miał barbarzyńców do wykonania tak krwiożerczego postępku; gdyby nawet w zapomnieniu gniewu odezwał się z podobną myślą,

(1) Zbiór Pamiętników J. U. N. T. V, (*wypis z instrukcyj danych kawalerowi Sir Thomas Roe*).

albo nie dowierzał, że mogliby się posunąć do takiej ostateczności. Z owego miejsca wszakże, z którego dawano rozkazy, chociaż krwawy *Giurdzi* był wielkim wezyrem na oną dobę, nie mogły być pominięte tak wysokie wstawiennictwa, o których w listach świadków obecnych jest wzmianka; jeżeli inne okoliczności nie byłyby dostatecznymi wstrzymać od popełnienia czynu, który obrażał prawa wszystkich narodów. Za wezystwa Mere-Hussejna zapewneby do tego nie przyszło.

O podnięciach do odjęcia życia mężowi burzliwemu, który nie miał ścierpieć długiego pokoju, podniętacli, mówię, ze strony własnych rodaków, natrąca nieco wprawdzie nowy wezyr *Hussejn* w traktowaniu ze Zbarazkim; ale przypisuje raczej obyczajem wschodnim ten wypadek fatalizmowi: *że Korecki nie żyje, znać przeznaczenie tak chciało* (1)!

Smutne przeznaczenie: w przeciągu lat kilkudziesięciu, ponowił się jeden po drugim sztraszny widok kaźni, domierzonej przez barbarzyńców na dwóch bohaterskich niewolnikach z naszego narodu. *Dymitr* mocuje się z życiem przez dwa dni na haku u skały zawieszony: *Samuela* zgon miał być krótszy, lecz w niemniej okrutny sposób na nim domierzony. Opisuje nam jego szczegóły *Niesiecki*, wsparty zapewne na takich źródłach, jak odwołanie się do *Janczyńskiego*, co do bytności *Koreckiego* w Rzymie; któryto *Janczyński* osobistą miał się zalecać znajomością z bohaterem. Szczegóły te są, iż był ciągniony z dolnej wieży na górę; iż gdy na zaduszenie jego postronki zarzucić chciano, bohater nasz miał tyle przytomności i odwagi, iż umknąwszy się na bok, wydarł nóż (attagan czy kindżał?) jednemu z oprawców, bronił się długo, kilku śmierć nawet zadał, dopiero przemocy w końcu uleż był zmuszony. Czerpał zapewne wiadomość swą *Niesiecki* wprost z podań miejscowych, które się do dni naszych w ustach wołyńskiego ludu powtarzają. Szkoda, że nie w każdym względzie zgodzić się możemy na charakterystykę tego pisarza, na jaką u współczesnych swych zasługiwał.

Określa go np. *Albertrandi* w swoim przekładzie *dziejów polskich* ze Szmita r. 1766: „Kasper Niesiecki S. J. ge-

(1) Tychże *Pamiętników T. II, (poselstwo Krzysztofa Zbarazkiego, przez Samuela Kuszewicza).*

nealogista sławny i krytyk doskonały, jako się z pierwszej części jego ksiąg pokazuje † 1743” (1). Wytłumaczyliśmy się z niedowierzania w doskonałość jego krytyki historycznej już wyżej. Tu co do rzetelności opisu ostatnich chwil męża byłoby do nadmienienia, iż gdy mu ułatwił znowu przez przekupienie straży, widzenie się z kapłanem katolickim i przygotowanie na śmierć, musiał mieć przekonanie: iż śmierć ta nie była skutkiem napadu nagłego i mordu, ale raczej na mocy jakiegoś wyroku, o którym nikt w Stambule nie wiedział, wymierzyć się mająca. Są przykłady w dziejach Turków, iż przeznaczonym na śmierć pozwalali dzień jeden przed zgonem przepędzać na wolnej stopie pomiędzy strażą; ale tu znowu walczy z tém opis gwałtownego obejścia się i jakby nierozmyślnego postanowienia. Jak można poprzestać na takich objaśnieniach z sobą sprzecznych?

Przychodzi nam w pomoc daleko prawdziwsze świadectwo, albowiem w teje ciemnicy uwięzionego hetmana polnego *Konieczpolskiego*. Ten przed wykupieniem jeszcze swoim był świadkiem, jak Turcy udławili Koreckiego na sali więźniów w Jedykule, założywszy mu ręczniki na szyję. „*Deus parcat* tym, mówi opowiadacz rodu Konieczpolskich (2), co tego przyczyną. Ta *fama* była, że go praktyka polska zjadła: na szwagry szemrano... Ciało jego za staraniem Stanisława Konieczpolskiego, na Galacz wzięli ojcowie Franciszkanie; a gdy już był na woli tenże, kazał Włodkowi (*studze swemu, który przybył z poselstwem Zbarazkiego do Carogrodu*), „aby nałożył z Franciszkanami o ciało nieboszczyka księcia Koreckiego, ażeby je w wóz włożył i do Polski wywiózł.” Przyłożono je namiotami, kobiercami w wozie, co ich w Stambule nakupiono, i pod imieniem Ormianów polskich wywieziono w karawanie. Turcy dostrzegli to, że ciało Koreckiego wzięto, donieśli to Hussejnowi; on uśmiechnąwszy się, rzekł: „Wszak on z nami i żywy mieszkać nie chciał (bo będąc

(1) Str. 331, pomiędzy uczonemi i wstawionemi ludźmi za Augusta IIIgo.

(2) W dziele *Pamiętniki o Konieczpolskich* wydaném przez Stanisława Przyłęckiego r. 1842 we Lwowie, oddział III pod napisem *Rodowód Konieczpolskich*, opowiadany przez Zygmunta z tego rodu, sędzię województwa sieradzkiego, jest źródłem do którego się odwołujemy.

przedtém w témże tam więzieniu, uciekł był ztamtąd) niech i po śmierci trup jego tu nie leży." Opowiadanie to zgadza się z pieśnią Twardowskiego:

..... za dziwną fortuną,
Koreckiego w obiciu ulajono z truną:
Kości się użaliła niezbędna i ciała,
Gdy żywemu ojczyzny oglądać nie dała.

Wersya co do uwiezienia ciała Koreckiego w *Niesieckim*, różni się tэм, że nie wspominając mu posług przez Koniecpolskiego oddanych, wysyła je ukradkiem w worku smołą oblanym, pod czujnością Włodka, o którym coby zasz był nie powiada. A tak rzecz jakby piąte przez dzieśiąte zasłyszana, traci u niego jeszcze na tym kolorycie wiernym, że przyjaźń takiego męża poza grobem nawet wielkiemu wojownikowi towarzyszyła. A nie rzuca to bynajmniej cienia na sprawę, której bronił Korecki. Przypuśćmy, że, jak tam inni tłumacza, przegrózkami zemsty, nieostroźnie wymawianemi w obec Turków, którzy u nich w wieży bywali, ściągnął na siebie tę wściekłą ich zajądłość, kończącą się spełnieniem morderstwa. Lecz w ogólności obszerne jeszcze do domysłu zostało pole: czy za surowo odparł na projekt poturczenia się, i dał powód do barbarzyńskiego okrucieństwa; czy inna tego może być naznaczona przyczyna? Na tym jednym z mnogiej liczby jeńców kara śmierci wymierzona, każe się domyślać, że ciężkim był wrogowi powszechnemu taki mściciel jeszcze żywy. A gdybyśmy tэм utrzymywać za rzecz niewątpliwą mieli z *Naruszewiczem* (1), że Kozacy wpadłszy r. 1621 około Białogrodu, gdzie się ściągała ciężka artylerya turecka i rozgromiwszy lub wysiekłszy Turków, udali się potém ku Stambułowi, po części z wojsk wypróznionemu: nie rzucaloby to także pewnego światła na fakt rozmaitym tłumaczeniom ulegający? Dodaje wszakże historyk, że wpłynawszy na Bosfor *zburzyli Jedykulę*, w tэм rozumieniu, że księcia Koreckiego, wziętego dawniej po cecorskiej klęsce, oswobodzą. W tэм świadectwie Naruszewicza mozebyśmy zakwestyonować mogli datę (r. 1621): byłoby to albowiem w czasie, kiedy Korecki żył jeszcze (zamordowa-

(1) W przypisku do księgi V *Historji J. K. Chodkiewicza*.

ny dopiero d. 27 czerwca 1622 r.). I o zburzeniu Jedykuły z żadnych się innych świadectw nie potwierdza. Jest w tém coś niedokładnego, jakby rodzaj wieści bez dalszego rozbioru w obieg puszczonej. Jeśli co właśnie tak trwalego najpóźniejszych czasów Muzułmanie mieliby w swęj stolicy do przytoczenia, to jedną z dwojga sławnych rzeczy—Jedykułę. Możemy tu właśnie powiedzieć z podróżnikiem obecnej pamięci, co do tego przedmiotu; „zwycięzcy Paleologa, jak gdyby chcąc zostawić dowód piśmienny swojej cywilizacyi, przyswoili tylko i zachowali od wstrząśnienia czasu przybytek ś. Zofii i Siedm Wież: *kościół i więzienie!* Oto co mówiącego zostało jeszcze z miasta Konstantyna w Stambule”! (1). Więc ani w dacie wspomnianej, ani później, ta zemsta ludu przywiązanego do wsławionego w swym czasie wojownika literalnie spełnioną być nie mogła. We wszystkich naszych domysłach, zdajemy się wpaść na przyczyny prawdopodobne: ale śmierć ta gwałtowna została zagadką, wyjąwszy, że może nieco zawiść społeczna, której doświadczał aż do tego momentu, uśmierzyła. Ostatnie téżto jest imię prawdziwie znamienite w rodzie Olgierdowiczów na Korcu. Za panowania Jana Kazimierza połyśnie jeszcze jako gwiazdka schodząca z widokręgu, ostatni potomek męzki z tego domu po Janie Karolu, Samuel Karol. Słusznie oddadzą mu pochwałę dzieje, czyto za waleczne odznaczenie się pod Korsuniem, czy pod Zborowem. Ale jak powiedzieliśmy, jestto już gasnące światło rodziny. Odmiennie wreszcie są czasy: pułki zadnieprskie, które stanowiły siłę jego stryja, już teraz po stronie przeciwniej walczą. Ostatni z książąt Koreckich od własnych poddanych obleżony na zamku w Korcu, zaledwie z życiem uchodzi (2).

W gruzach téż dzisiaj leży i zamek korecki, dzieło pięknej architektury ze schyłku XIV wieku; w r. 1834 pogorzały, który swą wieżą panującą w okolicy, przypominał powołanie swych panów, stania na czatach przeciwko wrogom, co kraj ich ojczysty aż u tych granic pustoszyli.

Przy zamknięciu pracy naszej, gdy to, co się dotąd powiedziało, obejrzymy, czujemy jeszcze ciągle potrzebę

(1) Alphonse Royer: *Aventures de voyage* 1837. Tom I. p. 234.

(2) *Historya panowania Jana Kazimierza z rękopismów nieznanego*, wydana w Poznaniu r. 1840, zawiera te szczegóły.

rozwiniecia naszego zarysu. Tu zwrócić staraliśmy się uwagę, jak częste w niepewnym i prawdziwym świetle przedstawione fakta na kartach dziejów naszych napotykaemy; ile błędów znajduje się ciągle w przytoczeniu imion, ile nieporządku w następstwie lat i zdarzeń; jak wreszcie z lekceważeniem dotknięty przedmiot przez jednego z pisarzy, przechodzi łatwo bez poprawki w prostém przepisaniu do innych i w pyle się poniewiera. Zachęty godni ze wszech miar artyści, bądźto pisarze na tle powieści, bądź twórcy poematów, bądź malarze do wydostania z niepamięci drogocennych przedmiotów. Nie pomijam i malarzów. Wszakże nie mamy nawet dochowanych rysów tego księcia, wyjąwszy portret dawny w kościele niegdyś Franciszkanów w Korcu znajdujący się, na którym napis w otoku:

Clara ducum soboles, Olgerdi sanguine cretus, ect.

Fizyonomia marsowa, rysy wyraziste, okrągłe, wąs tylko mały, pokrętny, oczy czarne, włosy postrzyżone; na zbroi wstęga i płaszcz gronostajami podbity, w ręku buława, godło dowództwa, jakie miał powierzone.

I oprócz postaci męża, jeden zaledwie z naszego czasu malarzów dotknął widoków Korca, między temi ruin zamku i klasztoru Bazylianów (rysował do *Album Wileńskiego z natury* Józef Wilczyński, lith. par J. Jacottet, fig. par Bayot).

Nie masz w tém wierności wprawdzie, jakkolwiek w widoku robionym niby z natury. Zamek np. stoi tu nad jakąś rzeką spławną, a flisy z tratwą u stóp jego w podróż się wybierają. Byłaby to mała rzeczka Kurczyk, nigdy od wieków za spławną nieznaną? Góra zamkowa od farniej góry, o ile wiemy, stawem jedynie była przedzielona. Mur otaczający stanowił siłę.

Pierwój jednak w ogólności nauczyciele nie powinni w obieg puszczać wiadomości nieprzetrawionych, uczniowie ślepo na wiarę mistrzów powtarzać. Choćby powagi prawa dosięgły błędne podania, dlatego, że przez poważnych historyków były ogłoszone, faktami zwalczone być powinny. Idzie tylko o wydostanie na jaw jak największej liczby faktów, i w oczach krytyki ściśle ich z sobą zestawienie.

PIEŚNI UKRAIŃSKIE (*).

I.

DUMA O PIETRZE KONASZEWICZU SAHAJDACZNYM.

*Tę dumę o słynnym na Ukrainie hetmanie pod nazwiskiem Sahajdacznego, udzielił mi p. Szew...
W poprzednim moim zbiorze (w Athenaeum J. I. Kraszewskiego) stawilem pod Sahajdacznym
inną dumkę, która wszakże z życiem tego wodza Kozaków związku nie miała.*

Proszczaj bat'ku Atamane!
Proszczaj miłyj Pane!
Oj! ty Petre Sahajdaczny
Zaporozkyj hetmane!
Na szczoż ty nas pokydajesz?
Czym śia ty nużdajesz?
Umremo my wsi za tebe,
Sam to dobre znajesz.

Czyż ty szcze nas ne zaznaw
Jak hetmaństwo tryczy brow:
Wiw nas w more, w suchoput!
Szczob po switu sławu maw.
Spohlań, spohlań Sahajdaczny!
Na tamtoj czas neopaczny;
Kilkyś to bid perebryw,
Jakeś wywiw dywo z dyw.

Hlań na more, czorne more,
Czajka jomu hrebet pore;
W czajci Kozak piśń śpiwaje,
Na hetmana spohladaje.
I wesolo Kozakowi,
Hladyt w oczy hetmanowi,

(*) Udzielone przez księdza Erazma Izopolskiego z Białej-Cerkwi.

Szczo de swoich powode,
 Sława, dobycz tam bude.
 Nechaj basza Ibrahim,
 Wede na nas wsich wrabiw,
 Werne nazad neobaczny
 Skoro z namy Sahajdaczny.

Spohlań pane! w kraj Mołdawy,
 Aż po Dunaj step krowawy,
 Tam ty pane Petrusieńku!
 Krow turecku rumianeńku,
 Po wsim stepu polywaw,
 Szlach Turkamy zastelaw,
 Jak do domu powertaw.
 Oj! spohlań no Sahajdaczny!
 Na toj to czas neopaczny,
 Koły wsiujuś Ukrainu,
 Wiw za Lachiw w Tureczczynu,
 Ponad Dnistrom pid *Chotin* (1):
 Ta nech sobi Laćki pany
 Senatory i korol,
 Na czwaniatśia do woli,
 Pobiduju Bisurman.

U nas sława ne takaja,
 Zaporozka, kozackaja,
 I my z swoim hetmanom,
 Czwanityśia ne stanem:
 Turok o nas dobre znaw,
 Czerwińciamy na daraw,
 Smerteju lakaw,
 Do sebe manyw!
 A na piskach Chotima,
 Spisał naszi imena
 Krowiu swoju *Karakasz*,
 Zaporozkyj suwsid nasz!

II.

Łynu w sokil, łynu w chmary.
 Ta kraczut worony.
 Ne zaznaje Kozak szczastja,
 Ta czerez worohy.

Łynu w sokil, za nym w chmary,
Halycz (2) nezibjetśia;

(1) Pod Chocim 1621 r..

(2) Kawki, gawrony.

Ne zaznaje Kozak szczastia,
Mołod wik mynetsia.

Ne żury sia kozaczeńku!
Harazd (1) tobi bude.
Ne wsiz tobi woroneńky,
Oj! ta ne wsiz lude.

I sobaki choć wsi breszut (2),
No ne wsi kusajut,
Ne wsiz lita mołoděnki
Marne propadajut.

Zakraczały za sokołom
Worony, ne orły;
Szcej do tebe kozaczeńku!
Szczastia sia prychorne.

Szczo po kwitci koły jeju
Prymorozyt hołod,
Szczo wże meni po tym szczęści,
Jak myne wik mołod.

(1) Dobrze, wesoło.

(2) Szczekają.



PRZEGLĄD MUZYKALNY.

PRZEZ

M. K.

I. Muzyka u nas i przyczyna powolnego jój wzrostu. — Postęp muzyki w Niemczech. — Historya rodziny Bachów. II. Rys historyczny muzyki w dawnéj Polsce.

I.

Ktokolwiek tylko śledził bieg życia społecznego w naszym mieście, ten zapewne dostrzegł, iż jedną z główniejszych sprężyn nadających nieraz większy popęd temu biegowi, jest *muzyka*.

I nic dziwnego: muzyka wsiąkła w obyczaje dzisiejszego społeczeństwa tak dalece, że nawet stała się warunkiem koniecznym wychowania, zajmąwszy niepoślednie miejsce pomiędzy innymi umiejętnościami; a które w swój pysze mając się za coś większego i poważniejszego do niedawnego jeszcze czasu, nie dopuszczały jój do swego grona. Proszę mi pokazać choć jeden dom w Warszawie, w kraju nawet, gdzieby muzyka nie była uprawianą, obok innych nauk wykładanych młodemu, kształcącemu się pokoleniom, nie wyłączając nawet i szkół publicznych.

Do niedawnego nawet czasu uważano u nas muzykę jako zabawkę, jako środek służący raczej za chwilową rozrywkę, niż przedmiot poważniejszego zatrudnienia kształcący serce, rozum i obyczaje. Dopiero wielcy artyści pojawiający się w naszych czasach, dokonali tego, działając bezpośrednio siłą swego talentu na społeczeństwo, i rozbudzając w ludziach sztukę doprowadzoną do najwyższej potęgi, nowe dotąd dla nich uczucia.

Brak zupełny zakładów naukowo-muzycznych jest najważniejszą przyczyną, że dotychczas tak mało postąpiliśmy w wy-

kształceniu muzykalném. Zbyt krótko trwające konserwatorium warszawskie, nie było w stanie ziścić nadziei, jakie od téj instytucji sobie obiecywano. Nawet nadzwyczajne talenta wielu rodaków, nie mogą przynieść stanowczych korzyści: gdyż wszystko to jest rozpierzchnięte lub pod wpływem trudnych zostające okoliczności. Zresztą, my nie mamy rodzin, w których łonie muzyka idąc od pokolenia do pokolenia, tradycyjnie się przechowuje, jak to się dzieje w Niemczech. Dlatego nawet i burze polityczne przechodzące ponad krajem, a przed którymi sztuki piękne kryją się spłoszone, nie mogą tyle szkody wyrządzić tam, jak w innych miejscach. Dla przykładu przytoczę tylko familią *Bachów*, która przez lat dwieście prawie, wydała wielu bardzo artystów pierwszego rzędu. Głową téj sławnej rodziny był *Veit Bach*, piekarz w Presburgu, lecz zmuszony opuścić to miasto w połowie XVIgo wieku z powodu protestanckiego wyznania, udał się do Sax Gotha, i osiadł w wiosce nazwanej Wechmar: tam się trudnił młynarstwem. W chwilach wolnych od zatrudnień śpiewał przygrywając sobie na gitarze. Miał dwóch synów, w których zaszczepił zamiłowanie do muzyki, i od nichto poczyną się szereg znakomitych muzyków tegoż imienia, którzy w Turyngii, Saxonii i Frankonii przez dwa wieki prawie, piastowali berło muzyki. Każdy z nich był albo kantorem parafialnym, organistą, albo w mieście trudnił się muzyką. Lecz rozrodziwszy się, trudno im było wyżyć tak blisko siebie; więc rozeszli się na różne strony Niemiec, ułożywszy pomiędzy sobą, iż dla zachowania węzła patryarchalnego, bez którego ta rodzina obejść się nie mogła, raz na rok, w dzień oznaczony, zbiorą się wszyscy razem w miastach Erfurt, Eisenach lub Arnstadt. Zwyczaj ten trwał do połowy XVIII wieku, i wiele razy widziano aż do stu muzyków imienia Bach, mężczyzn, kobiet i dzieci zebranych w jednym miejscu. Jedyną rozrywką ich były exercycya muzyczne: zaczynali zwykle jaki hymn religijny na chór, poczem brali śpiewki powszechnie znane, i robili z nich warianty, improwizując na cztery, pięć lub sześć głosów. Takimto improwizacyom dawali nazwę *Quolibetów*. Mieli oni także zwyczaj zbierać w jedną kolekcycę kompozycye wszystkich członków rodziny, i to się nazywało *Archiwum Bachów*. Charles - Philippe - Emmanuel Bach, posiadał ten ciekawy zbiór, ku końcowi XVIIIgo wieku: przeszedł on później w ręce Jerzego Poelchau w Berlinie

w roku 1790. Wiele innych rodzin lubo nie tak sławnych, przyczyniło się wielce do rozwoju sztuki muzycznej w Niemczech, jakoto: Benda, Kellner, Kleinknecht; i taką jest jeszcze dzisiaj familia Bohrerów, znana po części i w Warszawie.

Tymto sposobem muzyka uprawiana, opiera się w postępie swoim najnieprzyjaźniejszym nawet okolicznościom.

U nas lubo muzyka także przez niektóre rodziny lubioną i pielęgnowaną była, nigdy jednakże długo zamilowanie do niej nie przechowało się w jednej familii.

Uboga szlachta, która zwykle trudniła się muzyką w miastach lub po dworach możniejszych panów, zajmowała się nią więcej z potrzeby jak z zamilowania prawdziwego. Ubogi szlachcic wstydził się trudnić rzemiosłem, gdyż to w przekonaniu ówczesném, ubliżało klejnotowi szlacheckiemu; więc brali się do muzyki i nie źle na tem wychodzili. Bo czyto w miastach przygrywając w kościołach, czy mieszczanom możniejszym, którzy lubili i uprawiali muzykę, czego dowód znajdujemy w Skarbnicze Archeologicznej Ambr. Grabowskiego, łatwo było o zarobek: a bogaci panowie utrzymujący kapelę, starali się o najlepszych muzyków krajowych i zagranicznych (1). Lecz rzadko syn po ojcu trudnił się tym kunsztem: już syn lub wnuk wracał do roli, gdy tylko z uzbieranego przez ojca grosza mógł sobie kawał gruntu nabyć; a wielkie kapele z ogromnym kosztem po dworach utrzymywane, najczęściej przez spadkobierców rozpuszczane były.

Ażeby dać choć małe wyobrażenie szanownym czytelnikom o muzyce w dawniej Polsce, ośmielę się, chociaż bardzo niedokładny i w drobnym zarysie szkic historyczny, ich uwadze przedstawić.

II.

Nim muzyka została tém, czém jest dzisiaj w naszym społeczeństwie przez pośrednictwo obcego, a szczególnie włoskiego na nią wpływu, mieliśmy ją własną, czerpaną w czystém

(1) Liczne są dowody, iż muzyków z wyższymi zdolnościami królowie nasi przyjmując do swój kapeli, obdarzali licznymi dobrodziejstwami, nadając im pewne przywileje, własność lub dożywocie; i tak na przykład Stefanowi Heraud (S. R. Maj. organarius....) król Stefan Batory naznaczał mu dożywotni dochód z młyna królewskiego w Wilnie i t. d. (Skarbniczka arch.).

źródle pierwiastku narodowego, a który i do dnia dzisiejszego pozostał prawie nieskazitelny w swój pierwotnej prostocie pomiędzy ludem.

Wszystkie niemal zwyczaje i obrządki sięgające nawet czasów przedchrześcijańskich, dochował nam lud w swych pieśniach; każdy ważniejszy wypadek krajowy, czyto smutku, czy radości, miał zaraz swoich śpiewaków; po każdym znacznieszym meżu, którego czyny, cnoty lub zbrodnie napełniały kraj rozgłosem, lud przechowywał pieśnią przechodzącą z ust do ust, z pokolenia do pokolenia. Wiele z tych pieśni przechowało się mniej więcej w pierwotnej swój prostocie aż do naszych czasów (1). Naród polski przyjąwszy wiarę chrześcijańską, zaprowadzał zakony Cystersów i Benedyktynów; a że duchowni tych zakonów byli cudzoziemcami, i pod ich kierunkiem przez długi czas wszelka oświata zostawała: przeto w szkołach przy klasztorach pozaprowadzanych, uczono także i pieśni nabożnych. Pieśni te, tak jak i oni z obcych stron do nas przybywszy, śpiewane były po łacinie, nim tekst ich później przerobiono na język ojczysty: ponieważ znaczna liczba księży była pochodzenia czeskiego, przeto ich pieśni dla blizkiego powinowactwa języka, łatwiej się popularnemi stawały. Pieśń o Boga Rodzicy, śpiewana przez rycerstwo polskie, aż do Zygmunta III czeskie ma pochodzenie; i do dnia dzisiejszego jest śpiewaną przez lud pobożny przy niektórych kościołach w Wielkiej Polsce (2).

Kraj nasz przebiegały tłumy pątników, rybaltów, lirników, dudziarzy, żaków szkolnych i t. d. Onito chodząc od strzechy włościanina do chaty szlachcica, a ztamtąd na dwory i zamki potężnych panów, wtórowali swym instrumentom pieśnią nabożnej lub światowej treści. Imto winni jesteśmy dochowanie najdawniejszych pieśni historycznych i najpiękniejszych ówczesnych poezyj. Byłito, jak Wójcicki powiada (Gawędy str. 228) „prawdziwi apostołowie, co przychodzili ode wsi do wsi, od dworu do miasta nauczając pieśni i nuty” (3).

(1) Dziwna nieraz piękność tych melodyj wprawia w zachwycenie i zdumienie. Zdarzyło mi się słyszeć na Ukrainie śpiew mający nadzwyczajne podobieństwo do znaniej Romaneski z XVI wieku wydanej na wiołonczellę przez Servai'go, a może, jak mnie się zdaje, pięknnością nawet ją przewyższa.

(2) Po bliższe w tym przedmiocie szczegóły odsyłam czytelnika do artykułu p. Sikorskiego, drukowanego w Księdze Świata pod tytułem: Splecenie muzyki z życiem dawnych Polaków.

(3) Byłoby to rzeczą nadzwyczaj interesującą, gdyby można wszystkie pieśni dzisiaj jeszcze przez lud nasz śpiewane, ułożyć sposobem

Starowolski w piśmie swém *Contra obrectat Pol.* mówi, iż starzy nasi przodkowie Sarmaci we zwyczaju mieli, podczas biesiad opiewać mężne bohaterów czyny i siebie do nich zachęcać. Na dworach królów naszych utrzymywano muzykę z wielkim kosztem, a i sami monarchowie nią się zatrudniali. Trzymając się pewniejszych śladów w tym względzie, widzimy iż Zygmunt August w muzyce był biegłym niepospolicie. Ztąd też w Krakowie już w XV wieku muzyka była bardzo upowszechnioną. Księga *Liber juris civilis*, jak nas zapewnia Ambroży Grabowski, „od r. 1493 pokazuje wielu przyjmujących prawo miejskie przy których imieniu chrzestném dodane jest *Cithareda*. W pierwszej połowie tegoż wieku mieszka na Kazimierzu wielu takich grajków, do których imion dodają *Lutnista*.” Widać, iż liczba muzyków później musiała być bardzo znaczną, gdyż stanowili osobny cech, a nawet posiadali bramę w Krakowie, nazwaną bramą Muzyków. W lada szlacheckim domku bywał trzymany bandurzysta lub do lutni Węgrzynek; a panowie oprócz tego utrzymywali na swych dworach kapellę, do której aż z Włoch sprowadzali muzyków. Niektórzy z nich, zwłaszcza symfoniści (tak zwano tych, co więcej nad tańce grać umieli) prócz żywności rocznie do 6,000 talarów płatnemi byli (1).

Myszkowski Zygmunt marszałek N. K. miał wyborną kapellę, ile iż sam był biegły w muzyce, a za odstąpienie królowi kilku z swych włoskich muzyków, starostwo otrzymał. Mikołaj Wolski marsz. nad. kor. miłośnik nauk i sztuk wyzwolonych opiekun, ściągnął do kraju najlepszych w owych czasach muzyków na dwór Zygmunta III. Kochał się ten poważny monarcha w muzyce, bo i sam ją umiał, a nawet drogo sobie za nią kazał płacić. Razu jednego, gdy król grał w swym pokoju na klawicymbale, mając przed sobą tak urządzone zwierciadło, iż wszystko mógł widzieć co się poza nim działo; przysłuchiwała się dworska młodzież w drugim otwartym pokoju. Z tej jedno

chronologicznym z wykazaniem i odróżnieniem nuty ludu prostego od nuty biorącej swój początek w stanie szlacheckim i t. d. Niezawodnie wiele obcych, a mianowicie czeskich pieśni światowych upowszechniło się między ludem co dowodzi tożsamość nuty niektórych w jednym i drugim narodzie; jako też i odmiennosc stylu, jakiego zwykł lud używać do swoich, a szlachta do swoich pieśni. Zapewne byłaby to praca nadzwyczajna, i wymagająca wiele zdolności od człowieka chcącego się jej poświęcić lecz przysługa na niwie muzyki i literatury narodowej byłaby również ogromną. Zdaje mi się, że Oskar Kollberg, niezmordowany zbieracz pieśni ludowych, byłby do tego najzdolniejszym.

(1) Siarczyński *Obraz wieku Z. III.*

pacholę zacnego domu, mimo iż mu to drudzy odradzali, do dźwięku grającego króla ciszkiem skakał. Zygmunt III, który był obyczajów nadzwyczaj poważnych i surowych, nie mógł znieść najniewinniejszej nawet pustoty; więc gdy w zwierciadle to spostrzegł, nic nie mówiąc grać przestał. Wkrótce gdy ten młodzieniec króla o dzierżawę prosił, i otrzymać ją spodziewał się: „Nie, rzekł król, mieć jój nie będziesz. Trzeba abyś nią zapłacił muzykowi, który ci niedawno do wesółych skoków przygrywał.” Tak królewsczyznę za skoki utracił (1). Z instrumentów używanych pospolicie w owe czasy, były kobzy, dudy, lira, gęśl, bandura, teorban, i t. d.; lecz z wprowadzeniem do kraju obcych muzyków, weszło z nimi i wiele instrumentów, które pomalu zgubny wpływ na swojskie wywierały. Już w XVII wieku skrzypce i cymbały doszły pierwszeństwa pomiędzy innemi. Górnicki wymaga, ażeby dworzanin jego, oprócz języków i pisma był muzykiem: iżby albo śpiewać albo grać na lutni umiał. A jak w inném miejscu tenże pisarz powiada, (Rozmowa) młodź slano do Włoch dla uczenia się dobrego grania na tymże instrumencie.

Szanowna i poważna Akademia krakowska, posiadała w swym gronie nauczycieli i mistrzów do nauczania muzyki (2). Za Zygmunta III zaczęło się rozmnażać w wielu miejscach tak nazwane *bractwo literackie*, a szczególnie w Krakowskim i na Rusi Czerwonej: stowarzyszenie to, którego ślady już w XIV wieku napotkać można, zawiązała pobożność; do niego zaś przypuszczanemi byli tylko ludzie pismienni, umiejący czytać, *literati*; dlatego tak nazwane było. Bartłomiej Zimoricz, który lwowskiemu związkowi literatów dzieło swe: *Viribus illustribus civitatis Leopoliensis* przypisał, mówi o niem: iż trwał za jego czasów związek ten ku rozmnożeniu światła i pobożności; iż w tém gronie połączeni najznakomitsi obywatele dowodzili, że razem dobremi i uczonemi ludźmi być można. Oni zwłaszcza w zimie wykonywali muzyczne na rozmaitych narzędziach ćwiczenia. Oni wyżsi nad ciemny lud pospolity, kształcili obyczaje współziomków, wspierali ojczyznę radami, miasto budowlami zdobili. W rękopiśmie Komonieckiego, *Chronographia Żywca* jest pod r. 1608, iż do tego miasteczka bractwo

(1) Siarczyński Obraz wieku Z. III.

(2) Siarczyński tamże.

literatów wprowadzone było; a iż nie inny był jego obowiązek, jak tylko aby w święta i niedziele msze ranne chorałem śpiewane były (1). Ten sam zwyczaj i do dzisiejszego dnia jest w Warszawie zachowany, i te msze literackimi są zwane. Z owych czasów Mikołaj Gomulka zostawił nam melodye pisane na cztery głosy, do 150 psalmów, tłumaczenia Jana Kochanowskiego: musiał ten znakomity muzyk wiele innych dzieł pisać, bo po wydaniu wzmiankowanego Psalterza żył jeszcze lat 29; lecz gdy w owym czasie nie było tak upowszechnione sztycharstwo nut jak dzisiaj, po upadku przy kościołach i klasztorach utrzymywanych bursów, czyli szkółek śpiewu, a z temi i kościelną muzyką, zapewne w niepamięci zaginęły (2). Mikołaj Gomulka urodził się około roku 1564, a zmarł dnia 5 marca 1609 r. w Chorawli, jak świadczy napis grobowy w Jazłowcu.

Na teatrach w dawniej Polsce, a których ślady już w roku 1194 znajdujemy, śpiewano pieśni z chórami; czego dowodem, iż w 1296 roku na publicznym teatrze wystawiono sztukę dramatyczną w obec Przemysława, o śmierci Ludgardy żony jego, i śpiewano mu na hańbę, jakim ją sposobem zamordował. Pod panowaniem następnych królów, teatr, w którym pomimo zakazu i duchowni wielki udział brali (później tak nazwane dyalogi przez nich głównie, zwłaszcza przez Jezuitów dawane były); wzrastał w świetności i znaczeniu doskonaląc się stopniowo. A już za Władysława IV wystawa sceniczna doszła do wysokiego stopnia okazałości i przepychu. Za tego króla, dano w r. 1637 po koronacji pierwszej jego żony *Cecylii Renaty*, dnia 23 września na zamku, z świetną wystawą po raz pierwszy operę włoską (*Recitativa* zwaną) o świętej *Cecylii*. Wszystkich dziwiła szybka odmiana dekoracji, gdy teatr nagle zmieniał się, to w pałac, to w grotę, już w pokoik świętej *Cecylii*, gdzie ona gra na organach; to znów w morze, w piekło, a na końcu w niebo (3). W owym także czasie znajdujemy pierwszy ślad baletu, podany przez Adama Jarzemeskiego muzy-

(1) Śiarczyński Obr. W. Z. III.

(2) Śpiewy kościelne dawnych kompozytorów polskich, wydane przez Józefa Cichockiego. Psalmi te drukowane są na sopran, alt, tenor i bass, różnemi kluczami odmiennymi od dziś używanych, i bez podziału taktu: chociaż takowy przy początku każdego psalmu jest oznaczony cały; lub trzy-ćwierciowy.

(3) Teatr starożytny. K. Wł. Wojcickiego.

ka nadwornego Władysława IV, w jego opisie o zamku warszawskim: tak on o nim mówi „Następują sceny rozmawiających z sobą, potem po włosku drgają nogami i skaczą, to wszystko przy muzyce i klawicymbałach.” Zaraz po wyż wspomnioną operze o świętej Cecylii, dano świetny i kosztowny balet *żołnierski*, w którym występowały wozy posrebrzane. Kosztował 35,000 złp. ówczesnych, o czém naoczny świadek książę Albrycht Radziwiłł powiada, iż nie podobał się wszakże tyle, co opera, chociaż ta ani połowy tego nie kosztowała. W rok później, przedstawiono sztukę pod tytułem „*Il ratto d'Ellena. Damma Musicale di Virgilio Puccitelli segretario della Maesta di Polonia e Suezia. Reppresentato in Vilna, e di nuovo in Varsavia Nel Carnavale del 1638.*” Drukowane w Warszawie (jak Wójcicki powiada) u Jana Trelpińskiego in 4to; całe dziełko kursywą drukowane.

Tenże sam Virgil. Puccitelli napisał wielką operę, którą w Gdańsku na przyjęcie Maryi Ludwiki Gonzagi, drugiej żony Władysława IV dawano w r. 1646, wraz z baletem pięciu orłów na powietrzu w takt latających; na każdym z nich siedział Kupidynek. Tymto sposobem za przykładem monarchów i dworu, naród rozlubował się w sztukach teatralnych; świetne ich powodzenie trwało aż do czasów Augusta II. Lecz nieszczęśliwe wojny tego króla z Karolem XII i bezustanne zawieruchy miotające narodem, stłumiły teatru nie tylko dworskie i przenośne, ale i po kollegiach. Mała bardzo liczba doszła z tych czasów dzieł dramatycznych. Dopiero August III, wielki miłośnik muzyki, nadał nowy popęd do tego rodzaju widowisk narodowi. Nie od rzeczy będzie przytoczyć w tym względzie słowa Andrzeja Kitowicza: „Kochał się ten król wielce w orkiestrze, czyli kapeli, do której dobierano wirtuozów, śpiewaczek i śpiewaków, w całej Europie najslawniejszych. Ta orkiestra grała często królowi na jego pokojach w dni galowe, po kościołach, w których się król na nabożeństwie znajdował, i na operach, dobierając do siebie na wspomniane opery i kapele różnych panów, mianowicie Wielhorskiego kuchmistrza litewskiego i księcia Czartoryskiego kanclerza W. Lit.; tak, iż liczba muzykantów grających operę przenosiła sto osób. Te opery wielkie odprawiały się dwa razy w tygodniu; we wtorek i piątek. A lubo dla wielkiego kosztu w odmianie, jedną operę grano

przez pół roku; po staremu, król bywał na każdej punktualnie, nie tęskniąc sobie w widoku jednej półrocznej reprezentacji. Siedział w łoży nieporuszenie przez trzy godziny, a czasem i dłużej trwającej opery; i gdy widział operhaus (teatr opery) nienapełniony spektatorem, dziwował się niegustowi polskiemu, iż się nie ubiega do widzenia rzeczy tak wiele delectującej ucho i oko, darmo, to jest bezpłatnie; której widzenie w innych krajach, lud najpospolitszy opłacać nie żaluje. Trzeba bowiem wiedzieć, iż te opery zawsze darmo dawane były: podczas sejmów, lub innych zjazdów za biletami dla dystyngowańszych osób, prócz sejmów lub innych zjazdów, bez biletów dla wszystkich jakiegokolwiek gatunku ludzi.

W dziele pod tytułem „Kraków i jego okolice” jest wzmianka, iż w katedrze krakowskiej w kaplicy N. Panny, za pomnikiem Kazimierza Wielkiego, jest napis ku pamiętce księdza Grzegorza Gorczyckiego penitencyarza kapeli zamkowej, majstra i kompozytora, zwanego perłą kapłanów, który zmarł roku 1734. Twory jego muzyczne w pięknym stylu kościelnym nigdy sztychem nieogłoszone, są tego rzędu, że obok najlepszych dzieł nowych mistrzów utrzymać się mogą, i w katedrze krakowskiej dotąd wykonywane bywają. Z poszukiwań dokonanych na miejscu przez Józefa Cichockiego, okazało się, że zostało sześć mszy pisanych na cztery głosy w partyturach tego kompozytora, a z tych dwie dostały się Cichockiemu, i takowe wydał w drugim poszycie *Śpiewów kościelnych dawnych kompozytorów polskich*.

Pod panowaniem Stanisława Augusta, tego protektora sztuk i umiejętności, wzrosło zamiłowanie do muzyki. W uroczystość świętego Stanisława, biskup Sołtyk odprawiał wielkie nabożeństwo na Skałce w Krakowie, gdy wtém na Benedictus, rozległ się ponad głowami ludu pobożnego piękny głos bassowy, z niepospolitą umiejętnością śpiewając wspaniale solo ze mszy Hejdena. Zdziwiony i zachwycony biskup natychmiast rozkazał jednemu z assistujących księży, udać się na chór, i po nabożeństwie sprowadzić do zakrystyi śpiewaka. Był nim niejaki Kratzer, urzędnik przy salinach Bocheńskich, który zajmując się skromnym swym urzędowaniem, był zarazem biegłym muzykiem. Odbił on nauki w uniwersytecie wiedeńskim i tam uczył się śpiewu. Biskup poznawszy go bliżej, wyjawił mu myśl, jaką miał oddawna, założenia Instytutu śpiewaków; jemu

téż polecił to uskutecznić, wyznaczwszy znaczne fundusze na utrzymanie młodzieży, mogącej pobierać wszelkiego rodzaju nauki, a mianowicie muzykę. Mianował Kratzera dyrektorem tego zakładu, i zarazem dał mu zarząd główny wszystkich chó-rów dyecezyi, z tytułem *Regens Horum* przy katedrze krakowskiej, z pensją 12,000 złp. Znakomity ten kapłan miał na celu wykształcenie zdolnych śpiewaków dla muzyki kościelnej, i do tego zakładu przypuszczone były wszystkie dziatki, posiadające odpowiednie temu wymaganiu zdolności. Instytut ten rozwijając się pod troskliwym zarządem Kratzera, kształcił znaczną liczbę śpiewaków, i w czasie pobytu króla Stanisława w Krakowie, młodzież popisywała się przed tym monarchą: gdyż oprócz kościelnych śpiewów, i światowych się uczyli. Grywano podówczas operetkę pod tytułem: *Filozofowie wrzekomi*; otóż Kratzer wyuczył chłopczyków jednego z niej numeru, i ci gdy w togach doktorskich występowali śpiewając przed królem, król tak się tém ubawił, iż przez czas jego pobytu w tém mieście, chłopczyki kilkakrotnie wykonywali tę krotosfilę.

Za panowania tego monarchy pierwsza opera polska napisaną została pod tytułem *Nędza uszczęśliwiona*. Twórcą muzyki był Maciej Kamiński, a słowa skreślił Fr. Bohomolec. Występowali w niej panna Dezner, pani Gronowic, pp. Bogusławski, Bagiński i Harasymowicz. Na oryginale egzemplarza tejże opery, takie jest przypisanie: „Do Najjaśniejszego Króla Jego Mości Stanisława Augusta, Pana mojego miłościwego.

„Panowanie Waszój Królewskiej Mości oprócz poprawienia rządu, wskrzeszenia nauk i wprowadzenia różnych kunsztów do kraju, będzie w kronikach narodowych najpięrszą epochą otworzenia teatru polskiego. Zachęcone protekcyą Waszój Królewskiej Mości dowcipy poddanych dokazały tego, że teatrum polskie co do komedyi, z najprzedniejszemi w Europie równać się poczęło. Niedostawało mu jeszcze opery muzyki. JW. książdz Fr. Bohomolec, jako piérszy w Polsce komedye oryginalne pisać zaczął, tak téż najpiérszy wydał operetkę pod tytułem: *Nędza uszczęśliwiona*. Doświadczając sił swoich przydałem do niej muzykę. Powodzenie onéj tak było pomyślne, a co większa dla mnie, iż Waszój Królewskiej Mości aprobacyą pozyskałem; chcąc tedy wieczną zostawić pamiątkę tak oświadczonej mi w tém łaski Waszój Królewskiej Mości, jako i przysługi mojej, najpiérszej narodowi uczynionéj, odważam

się też samą operetkę z jak największą pokorą ofiarować Waszej Królewskiej Mości, i mnie samego najtłaskawszej oddać protekcji”.

„Dla dopełnienia tej autobiografii, (powiada Wójcicki) dodamy tylko niektóre szczegóły. Słusznie uważanym jest dotąd za ojca opery polskiej Maciej Kamiński. Słowak rodem (1) wprowadził w swoje utwory muzyczne nie tylko słowiańskie melodie, miłe a dźwięczne, ale i narodowe polskie śpiewy i tańce. On pierwszy ośmielił i ukształcił śpiewaków opery polskiej; i słusznie z tego mógł się chlubić”.

Zostawił on jeszcze wiele innych oper, jakoto, *Zoska czyli wiejskie zaloty*, *Prostota szczęśliwa*, *Balik gospodarski*, *Słowik*, *Tradycy*, i kantatę na odkrycie pomnika Jana Sobieskiego.

Po Kamińskim, Antoni Wejnert członek kapeli dworskiej królewskiej pisał muzykę do następnych dzieł oryginalnych: *Skrupuł niepotrzebny*; *Donerweter*, *kapral na werbunku*; *Diabeł alchimista*. Po nim Stefani, także z królewskiej kapeli komponował muzykę do opery *Krakowiaków* i *Drzewo czarowane*.

Gajetano dyrektor tejże kapeli, przysłużył się muzyką do polskiej opery: *Żołnierz czarnoksiężki*.

Nakoniec Kurpiński, Elsner i Stefani (syn), w swych operach treści narodowej, przyłożyli się wielce do rozwoju muzyki krajowej. Ich to już torem idą wszyscy dzisiejsi kompozytorowie, uprawiając, jako kto może, niwę muzyki narodowej; i chociaż mało jeszcze bardzo na tej drodze postąpiono, lubo jeszcze nie mamy swęj własnej szkoły jak Włochy, Niemcy i Francuzi; przecież i to co dotychczas zrobili: Kurpiński, Elsner, Stefani, Chopin, Moniuszko, Dobrzyński, Nowakowski, Komorowski, Kolberg i t. d., uważając jako nagromadzenie różnorodnych materyałów do przyszłej ogólnej budowy, jest już niepoślednie, a okoliczności i jaki genialny talent dokonają reszty.

(1) Urodził się w miasteczku Oedymburgu w Węgrzech d. 13 października 1734 r.; zmarł d. 25 stycznia 1777 r. w Warszawie (*).

(*) Cmentarz Powąskowski, Wł. Wójcickiego.



KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

WYSTAWA POWSZECHNA.

V.

Wystawa przemysłowa: rotunda, powozy, zegary. — Produkta Algeryi.
Wystawa sztuk pięknych: Ducamps, Conture, Glaize, Gérôme, Cogniet,
Rodakowski, Müller.

Pomiędzy arcydziełami zgromadzonemi w pałacu wystawy przemysłowej, wiele znajduje się takich, które pomysłem, wykonaniem, samą nawet niepraktycznością swoją, całkowicie zdają się należeć do rzędu dzieł sztuki. Spotkawszy je w dziale przemysłu niejeden sądzi, że się przypadkiem zabłąkały, i z zadziwieniem dowiaduje się, że te utwory nie przez rozlargnienie, ale przez zbyt pedantyczną klasyfikacyą tu umieszczono.

Wszelkie niemal klasyfikacye bywają dowolne; określone z góry, wyjątków nie uznają: ztąd owo zamieszanie między produktami, które nazwą i przeznaczeniem jeszcze do przemysłu, a formą i wykonaniem już do sztuki należą. W pałacu kryształowym nie wdawano się w podziały: wszystkie płody pracy ludzkiej bez różnicy zebrano pod jeden dach, ochrzczone ogólną nazwą powszechnego przemysłu. Francuzi chcieli poprawić Anglików, i obok świątyni przemysłu postawili świątynią dla sztuk pięknych, nie rozstrzygnąwszy pierwszej pytania, gdzie się kończy przemysł, a gdzie почина sztuka? Nie zważając na ogromny postęp przemysłu, który daleko już wystąpił poza granice zakreślone

przed niewielką jeszcze laty, trzymano się starego porządku, z kąd wynikły dziwne sprzeczności. Tak na przykład galerya sztuk pięknych przyjęła malatury na porcelanie, a nie przyjęła malowanej porcelany; każdemu choćby miernemu posągowi z gipsu otworzyła gościnnie złote podwoje, ale nie dopuściła w swe progi żadnej z figurek Pradiego, Froment-Meurica lub Fauchera prześlicznie z kości lub złota wykonanej, dlatego, że przykute do wazonów, puharów, waz, lub jakichbądź naczyń do użytku służących. Rozwiesiła chętnie po ścianach rysunki ołtarzy, okien kościelnych i tym podobnych rzeczy skreślonych przez biegłych architektów, ale skoro tylko który z tych projektów przemienił się w rzeczywistość, został pracowicie wykonany z marmuru, kamienia, drzewa, lub szkła kolorowego, tracił natychmiast prawo obywatelstwa w dziedzinie sztuk pięknych i został odesłany między utwory przemysłu. Do przemysłu policzono przepyszne porcelanowe wazony sewrskie, do przemysłu gobelinowe obrazy, dlatego, że igłą nie pędzlem malowane; czary kosztowne, żłobione, z ametystów, lapislazuli i górnego kryształu; do przemysłu nakoniec wspaniałe makaty jedwabne z Beauvais, Aubussońskie dywany krasne jak kwieciste łąki, dyamentowe bukiety i girlandy, srebra Christofla: słowem wszystkie te przedmioty niezrównanej piękności, przepychu i gustu, rozłożone w czarownym salonie Rotundą zwanym.

Nie zastanawiając się atoli dłużej nad niestusznoscą podziału, przypatrzmy się szczegółowo tym szczytnym wysileniom pracy ludzkiej, których godłem jest utile dulci.

Rotunda, jako jej nazwa wskazuje, jest sala okrągła, którą później do głównego gmachu przystawiono; równie jak cały pałac oświetlona jest z góry. We środku, na kilka-stopniowym podwyższeniu stoi rodzaj meczeciku czy altanki z chińskim daszkiem, pod którym na okrągłym stole leżą dyamenty do korony francuskiej należące, jak niemniej te, które są prywatną własnością cesarzowej. Na czarnych aksamitach rozłożone, błyszczą jak gwiazd krocie, dyadema, misternie ułożone z brylantów wielkości ziarenek grochu mniejszych lub większych, stosownie do deseni; rywiery gładkie do

obszywania sukien; zausznice ogromne, napierśniki jak brylantowe kirysy, przeznaczone na ozdobę stanika, wielkie guzy z jednej sztuki; grzebienie w kształcie korony do zapięcia włosów, bransolety, łańcuchy, spinki wielkie i małe: słowem nieprzeliczona ilość kosztowności, pośrodku których, w srebrne uchwycony szczypczyki, świeci jak słońce, największy brylant koronny: Regent. Nie oprawny ten kamień ma formę okrągłą, nieco owalną, wielkością dorównywa włoskiemu orzechowi (1). Brylanty tutaj złożone szacują na 32,000,000 franków.

Bogactwa te niestychane opasują wieńcem, jakby droga mleczna gwiazdzisty firmament, srebra Christofla, na przyległych stołach rozstawione, zalecające się wykwintnością formy, nie realną wartością: wszystkie bowiem są posrebrzane tylko za pomocą galwano-plastyki, co piękności ich bynajmniej nie ujmuje. Serwis cesarski złożony z kilkuset sztuk, sam jeden kilka stołów zajmuje. Największa sztuka przeznaczona na ozdobę środka stołu, przedstawia wóz Cerery wołami ciągniony, oraz liczny poczet bogini, złożony ze srebrnych statue-

(1) Saint-Simon tak opisuje historią tego kamienia w *Pamiętnikach* swoich:

„Dziwnym i nader rzadkim trafem, urzędnik w kopalniach dyamentów wielkiego Mogoła, potrafił mimo kontroli, ukryć jeden z nich nadzwyczajnej wielkości; a co dziwniejsza, przebrać się z nim aż nad brzegi morza i odpłynąć bez dopełnienia zwyczajnych formalności, którym bez względu na godność ani nazwisko, wszyscy bez różnicy podróżni z państw wielkiego Mogoła wyjeżdżający, poddawani byli; a które to formalności zasadały się na rozmaitych środkach wydobycia z ich ciała dyamentów, jeżeliby takowe połknęli, lub inną drogą w sobie ukryli. Urzędnik o którym mowa, zrećnie wywinął się celnikom. i z dyamentem swoim przybył do Europy.

„Pokazywał go rozmaitym księżetom przebywając ich państwa. w końcu przybywszy do Anglii zaniósł go królowi. który podziwiał rzadki kamień, nie zdecydowawszy się atoli do nabycia go. Zrobiono w Anglii zupełnie podobny egzemplarz z kryształu, poczem, właściciela z dyamentem i kopią odesłano do Francji z listem do pana Law, który zaproponował regentowi, żeby go nabył dla króla. Cena atoli tak odstraszyła regenta, że kupna odmówił.

„Law niezrażony odmową, przyszedł do mnie i przyniósł mi kryształową kopią dyamentu, którą zobaczywszy, sądziłem, że król francuzki ubliżyłby swojej wielkości, zrażając się drogocnością tego niezrównanego kamienia; oraz, że im więcej mocarzy nie śmiało myśleć o jego kupnie, tem konieczniej wypada, ażeby go nabył król francuzki. Law uszczęśliwiony z mego zdania, prosił mnie, żebym o tem pomógł z księciem Orleańskim.

„Regent długo się tłumaczył stanem finansów, obawiał się ściągając na siebie naganę, że tak wielkie czyni wydatki w chwili, kiedy

tek, na ośm do dziesięciu cali wysokich. Przy powyższej grupie stoi mnóstwo pojedynczych allegorycznych figur, jakoto: pół-bogów, faunów, satyrów, geniuszów, kupidynków, nimf i tam dalej; stopy półmisków, koszyków na ciasta, wazy i kubły do zamrażania szampańskiego wina, dopełniają tę prawdziwie cesarską zastawę.

Srebra Christofla znowu kołem okrążają sewrskie porcelany, krasne jak girlanda różno-farbnych kwiatów. Wszystkie porcelany innych fabryk i innych narodów poblady, pogasty zupełnie: berlińskie nawet bez sprzeczki musiały wyrobom sewrskim ustąpić pierwszeństwa. Tutaj dopiero niewyczerpana kopalnia piękności i wybór niepodobny! Dwieście wazonów przeróżnych form na dwa przeszło łokcie wysokie, naśladują najczystsze wzory naczyń starożytnych. Jedne szeroko u góry rozwarte jak Etruskie wazy surowe, czarne, pokryte białymi bóstw wizerunkami; inne zamknięte jak urny greckie jednokolorowe, lub posypane kwieciem miękkim jak puchy, świeżym jak jutrzemka; inne wysmukłe opasane kołem tańczących bachantek, podobne do pompejańskich dzbanów: inne nakoniec pomalowane w chińskie dziwołagi. Wszystkie majowe i czerwcowe kwiaty wiecznie kwitną na tych porcelanach: tu bzy chińskie i perskie

tak trudno zaradzić najgwałtowniejszym potrzebom i tylu ludzi cierpi bez pomocy.

„Pochwalając jego wahanie, zwróciłem atoli uwagę księcia, że te względy słuszne, gdyby chodziło o partykularnego człowieka; za niskie są, jeżeli chodzi o sławę największego króla na świecie; że tu potrzeba zważać na honor korony i nie wypuszczać z ręki jedynej sposobności nabycia za bezcen dyamentu, który zaćmi wszystkie europejskie; że to kupno będzie wieczną chlubą dla jego regencyi; że jakkolwiek jest stan finansów, ta oszczędność ich nie polepszy. Koniec końcem, dopóty namawiałem księcia Orleańskiego, aż mi przyrzekł że dyament kupi.

„Law po długich targach z właścicielem, przedstawiwszy mu ile straci, jeżeli dla braku hurtownego nabywcy będzie musiał swój dyament potłuc i cząstkowo takowy sprzedawać, skłonił go nareszcie, że przystał na 2,000,000 franków i zwrócenie mu cząstek kamienia przy szlifowaniu odpadłych.

„Ugoda stanęła w ten sposób: Rząd zobowiązał się płacić procent od 2,000,000 dopóki takowych nie wypłaci, a tymczasem dał w zastaw właścicielowi za 2,000,000 klejnotów.

„Książę Orleański zamiast przygany ściągnął na się powszechnie pochwały za nabycie dyamentu, który został nazwany *regentem*.

„Jest on wielkości śliwki renklody, prawie okrągły, bez skazy, biały, przeslicznej wody, waży przeszło 500 gram. Chlubię się, że potrafił skłonić regenta do tak świetnego kupna.”

blado-lilia zwieszają pachnące bukiety, na białą szyję wazonu okulego bronzowemi sznury; tu konwalie wilgotne, pochowane w jasno-zielone liście, obrastają spód innego smukłej formy a koloru parmeńskiego fijołka; inne hiacynty i narcyzy stroją; ten blado-różowy zda się zarumieniony blaskiem opasującej go girlandy centyfolij; ten barwy żonkila, zda się przezroczystry jak z bursztynu; inny szkarłatny jak kaktus; ten turkusowy pokryty siatką maurytańskich deseni; inny znów oszyty prawdziwemi koronkami skamieniałemi w porcelanowej massie. Ten kolorem, ten kształtem wabi; ten piękny, ten jeszcze piękniejszy; ten... Ale deremnieby się silić na odmalowanie piórem tych utworów jaśniejących wszystkimi kolorami tęczy: kolor jest ich duszą, a kolor trzeba widzieć tak, jak słyszeć muzykę, żeby ją sobie wyobrazić.

Pomiędzy wazonami rozłożono mnóstwo drobnych wyrobów z porcelany, statuetek postrojonych w prawdziwe koronki, skamieniałe za pomocą moczenia w ciekłej porcelanie, co ich wykonaniu niepojętą nada je misterność; bukiety kwiatów z największą dokładnością naśladowujące naturę, serwisy poukładane w podróżnych szkatułkach, składające się z tacy, filiżanki, herbatniczki, imbryka, garnuszka, cukierniczki i talerza. W innych szkatułkach zgromadzono naczynia potrzebne do kawy, czekolady, podróżnego obiadu lub śniadania. Prócz tych, jest mnóstwo zastaw do użytku domowego nader bogatych i wykwintnych; wykonaniu tych rzeczy przewodniczył gust najlepszy, któremu równego w produktach wszystkich narodów nie znajdzie.

Całe ściany rotundy zawieszono są gobelinami, makatami i dywanami z trzech sławnych na całym świecie fabryk cesarskich: G o b e l i n, A u b u s s o n i B e a u v a i s.

Fabryka gobelin zajmuje tysiące rąk i mnóstwo warsztatów; należy do ciekawości stolicy i przez wszystkich cudzoziemców zwiedzana bywa. Położona na przedmieściu Mouffetard, zamieszkałem przez najbiedniejszą klasę ludzi sławnych z ciemnoty i nędzy, tak zwanych chiffonierów, trudniących się zbieraniem śmieci po mieście, ta fabryka zbytku tam tylko swoich

werbuje robotników. Dziwna igraszka losu: ludzie najbiedniejsi, wyrzuci ze wszystkiego co życie osładza, pracujący kiedy śpią inni, żyjący tém, co inni odrzucają, trawią jeszcze schyleni nad krosnami resztę marnego żywota, tkając makaty przeznaczone na ozdobę najwykwintniejszego zbytku! Ileż być musi instynktowego poczucia piękności w tych wydziedziczonych dzieciach Paryża, kiedy go ostatnia nędza nie zatrze; kiedy bez żadnego wykształcenia, po większej części nieumiejący nawet czytać, potrafią jednak tak zręcznie naśladować najtrudniejsze olejne obrazy, przenosić wiernie na kanwę nie tylko kontury przedmiotów i złudzenie perspektywy z całą poprawnością rysunku: ale nadto, malować całość tak miękkim i żywym kolorytem, że znawcy słusznie porównywają te wełniane obrazy do dzieł najświetniejszych mistrzów weneckich.

Pomiędzy gobelinami oprawionemi w złote ramy, najwięcej uderza obraz podłużny, wizerunek zdjętego z krzyża Chrystusa, wedle Filipa de Champaigne. Kto raz widział ten obraz, niełatwo go zapomni. Zbawiciel leży umarły na białej bieliźnie, głowę ma zwieszoną na ramię, a prawą rękę złożoną jak do błogostawieństwa. Obraz ma ten sam układ, co biały marmurowy posąg Chrystusa, wykonany w Rzymie przez polskiego rzeźbiarza hr. Oskara Sosnowskiego, twórcę znakomitej statuy Sprawiedliwość, którą był tamże dla b. p. Cesarza Mikołaja wykonał.

Matowe cienie wełny niekaleczone zwykłym polskim olejnym malowidłem, nadają twarzy Chrystusa wyraz smutku i powagi, jakiego nie spotyka się na płótnie; a rzadka prostota kompozycji świadczy o tak głębokim poczuciu świętości, że nazawsze w myśli pozostaje.

Obraz kwadratowy zdjęcie z krzyża, wedle Michała Caravagio, jest największy z wystawionych gobelinów; koloryt daleko tu żywszy niż na olejnym oryginale: szkoda tylko, że wełna prędzej płowieje niż malowanie. Obok niego na półtrzecia łokcia wysoka gobelina przedstawia św. Pawła i Barnabiasza, wedle wzoru Rafaela; obraz ten jest kopiowany z Watykańskiej makaty. Dalej Matka Boska, Półów cudowny, i Psychę przedstawiana bogom Olimpu, także wedle Ra-

faela. Daléj portret Colberta wedle Lefebvra, portret Lebruna otoczony symbolami, wedle Largilliera, Zwierzenia wedle Bouchera i wedle tegoż Sylwia wyzwolona od napaści potwora przez Amyntha. Oto wszystkie obrazy, jakie wystawiała fabryka gobelinów.

Naprzeciw nich, na odpowiedniej wielkością ścianie, rozwiesiły swoje produkta dwie fabryki: Aubusson i Beauvais; pierwsza ogromny dywan ceny 12,000 fr., druga dywan przeznaczony do pawilonu Marsan w Tuileryach, wykonany wedle wzorów dwudziestu biegłych rysowników francuzkich. Resztę ścian pokrywają całkowicie pomniejsze dywany i pokrycia na meble, pochodzące z tychże samych fabryk, haftowane sposobem gobelinowym, po największej części w kwiaty lub owoce.

Fabryka gobelinów, prócz obrazów, głównie produkuje dywany; fabryka Aubusson pokrycia na meble, ściany i t. d. Pierwsza prawie wyłącznie używa wełny, druga jedwabiu lub włókien okręconych jedwabiem, i dlatego wyroby ostatniej są bez porównania droższe od zwykłych gobelinów.

Przy główném wejściu do rotundy stoją dwie marmurowe kolumny, a na nich dwie prześliczne czary roboty paryzkiego złotnika Duponcheł'a. Jedna jest z lapis lazuli, druga z górnego kryształu; obiedwie liczą się do najkosztowniejszych wyrobów złotniczych tak z powodu rozmiarów bryły kamienia, który nader rzadko téj wielkości się napotyka (sam wyrób ma do 10 cali średnicy), jako téż nadzwyczaj pięknej oprawy. Pierwsza opiera się na zwoju liści złotych misternie emaliowanych, z których wywiązuje się wieniec formujący ucho; a z niego na cztery cale wysoki posąg Neptuna z trójzębem w dłoni i koroną na głowie. Jestto dzieło niepospolite, do którego by się pewnie sam Benvenuto Cellini chętnie przyznał.

Druga czara na pozór nieuderzająca, bo do zwyczajnego kryształu podobna, dla znawców wielkiej jest wartości. Owalna, wielkości łyżki wazowej, wykuta z jednej sztuki rodzimego kryształu bez skazy, opiera się na głowach trzech srebrnych aniołków; czwarty na okuciu zachaczony, wygięty naprzód jakby zagładał

do środka, tworzy ucho. Trudny byłby wybór między niebieską a białą: tamta bogatsza, ta oryginalniejsza; pierwsza podoba się wszystkim, druga tylko znawcom. Duponchel ocenił obie 12,000 franków. Co do nas przekładamy każdą z nich, nad wychwalony olbrzymi wazon srebrny Rudolphiego, wyobrażający w wypukłej rzeźbie fortunę, ciągnącą za sobą rozpustę i nędzę. Myśli i wykonaniu tego dzieła nie ująć nie można, jednakowoż forma jego ciężka i zwyczajna, daleką jest od wyborowego smaku, jaki obiedwie czary Duponchela cechuje.

Przy tychże samych drzwiach głównych prowadzących z rotundy do głównego gmachu, znajduje się niewielki, ale nader piękny obrazek w sewrskiej fabryce wykonany. Jestto malowidło na porcelanie przedstawiające wjazd Franciszka I do Paryża. Monarcha wspaniale ubrany i uśmiechnięty, pozdrawia prawą ręką tłum ludu cisnący się do stóp swoich; lewą hamuje zbytnią żywość białego rumaka, który rozwarłszy nozdrza zda się parskać skrami. Rysunek tu bardzo poprawny, a ubiory figur, których do stu naliczyć można, odmalowane z historyczną wiernością. Obrazek ten musi być bardzo znakomity, kiedy ma przywilej zatrzymywania wychodzących z rotundy widzów, którzy mimo zmęczenia, mimo olśnienia, jakie sprawia koniecznie oglądanie tyłu nagromadzonych przedmiotów, pominąć go obojętnie nie mogą. Dopiero oddawszy tę cześć ostatnią jednemu z najwyborniejszych dzieł fabryki sewrskiej, i rzuciwszy zdaleka jeszcze raz okiem na słonecznego regenta i gobeliny, każdy, żeby na nowo nie być porwanym i nie krążyć wiecznie jak Iksion w tém czarowném kole, zamyka oczy i ucieka, gdzieś na miękkiej ławeczce, pod szmerzącą fontanną nowych sił do dalszej nabrać wędrówki. My zaś, zastrzegając sobie powrót do rotundy, do której teraz zaledwie zajrzeliśmy, nie chcąc cyframi przerywać ogólnego poglądu na ten przybytek gustu i przepychu, prowadzimy czytelnika, jeżeli nam towarzyszyć zechce, na przyległe podwórze, gdzie w szataśach, pomiędzy drzewami, zgromadzono francuzkie, angielskie, belgijskie i holenderskie powozy.

Jakież tu wymysły, jakie wygodki, jaki zbytek, jakie bogactwo! Ktoby powiedział, że ten przemysł nie sięga trzech wieków; że nie dawniej jak za Franciszka Igo

istniały w całym Paryżu tylko dwie karety: jedna królowej, druga księżniczki Dyanny córki Henryka II! Ale jakież to były karety? Żaden szlachcic na zapadłym Polesiu, których uprząże, landary i tłumoki uwiecznił malowniczy pędzel Kraszewskiego, nie ośmieliłby się podobnym gołębnikiem jechać z jójmością do kościoła. Byłyto istne domy na czterech ogromnych kołach, połączonych z sobą belką na ośm stóp długą; zamiast dzisiejszych resorów stały 4 pnie, do których przybijano 4 surowcowe pasy, mające dźwigać tak zwaną łódź, czyli pudło powozu, do którego wchodziło się po schodach jak na pierwsze piętro. Nad nim sterczała ogromna buda skórzana rozpięta na krokwiach, jak słomiane poszycie na dachu, a po obu stronach owój budy wisały dwie fałdziste firanki skurzone mające chronić podróżnych od deszczu, a które od czasu do czasu podnosić trzeba było, żeby się nie udusić.

Takto jeszcze przed trzystu laty jeździli królowie francuzcy. Dobrze jest wchodząc na wystawę powozów, mieć powyższy obrazek w pamięci: postęp tej gałęzi przemysłu wtedy dopiero uderza w całej rozciągłości.

Widząc na jak wysokim stopniu stoi obecnie sztuka robienia powozów, mianowicie téż we Francyi i Anglii, ciekawe byłoby porównanie roboty tych dwóch narodów. Ale na nieszczęście wystawa bardzo jest w tym względzie niekompletna. Najbieglejsi powoźnicy francuzcy nie wystawili dzieł swoich; z paryzkich fabrykantów brakuje dwóch głównych: Bindera i Ehrlera; z Londyńskich także dwaj najstawniejsi: Hobson i Berker nie przystali. Ci zaś z francuzkich exponentów, których dzieła widzimy, wystawili rzeczy tak dziwne, tak niepraktyczne, tak grzeszące przesadą, że z nich o rzeczywistym postępie tej sztuki wyobrażenia mieć nie można. Zamiast powozów we właściwém znaczeniu tego słowa, takich, jakimi ludzie jeżdżą: złożyli, jakby popis z rzeźby, snycerstwa, bronzownictwa, a nawet szklarstwa, (jest jedna landara paryzka mająca cały spód ze szkła, czemuż nie z czekolady)?

Obok wspomnionój stoją dwie karety od góry do dołu złotobione, wybite materyą oślepiającego koloru, przetykaną złotem; zaprzężone są parą wypchanych ko-

ni, które z kózta pogania ogromnym biczem także wypchany woźnica. Oba te powozy w zmniejszeniu byłyby zapewne ładną dziecinną zabawką, ale takie jakie są, ludziom dorosłym na nic się nie przydadzą.

Takich jest najwięcej. Kilku zaledwie rozsądnych fabrykantów tutejszych wystawiło powozy gładkie, prawdziwie dobrego gustu, mogące służyć do użytku. Pomędzy temi zauważyliśmy rodzaj kocza zwany Wiktorya z ruchomymi siedzeniami, mogącemi się przekładać w tył dla służby, a naprzód dla pana, jeżeli sam chce powozić. Kilka kabrioletów do polowania, tak lekkich, że jednym palcem pociągnąć je można, zalecają się elegancją i praktycznością.

Jeden z fabrykantów tutejszych wystawił parę takich powozów rozkładanych, z których wedle woli, złożyć można odkrytą karoce na cztery osoby, lub koczek także na cztery, z małym koczykiem z tyłu na dwie osoby. Na ten elegancki wyrób wynalazca nałożył stosunkowo bardzo niską cenę 3,000 franków: sam jeden z fabrykantów paryzkich odpowiedział programowi komisyi wystawy, która exponentom zalecała przedewszystkiem użyteczność i taniość wyrobu.

Tak pod tym, jako i pod względem gustu, prowincya zakasowała tą razą stolicę. Mianowicie téż odznaczyły się miasta: Lille, Lyon i Bordeaux. Dwie karety, jedna przystana z Lille, druga z Bordeaux, byłyby doskonałe, gdyby pierwsza zbyt długa, mogła ustąpić trochę drugiej, która jest zakrótką. Ale to błąd drobny, który przy pięknem wykonaniu szczegółów nie każdemu wpadnie w oko. Przy wyrafinowanych potrzebach wygody, elegancyi, a częstokroć i zbytku, dzisiejszy fabrykant powozów już się nie obejdzie bez dokładnej znajomości rysunku; mając zawiesić pudło powozu na ruchomej podstawie, potrzebuje znać nie tylko fizyczne prawa o środku ciężkości, ale potrzebuje matematycznie obrachować siłę i sprężystość resorów. Sama praktyka, lub po ojcu odziedziczone prawidło już tu nie wystarczy, bo zmienna moda, nowe dyspozycye miejsc lub nowe formy wymyślając, wymaga téż nowych sposobów zawieszania, czyli nowéj konstrukcyi.

O ile wniesć mogliśmy z rozsądnych utworów, wystawionych przez powoźników francuzkich, nie naśla-

dują oni teraz wcale wzorów angielskich i belgijskich; fabryki tych dwóch sąsiednich narodów przestały dostarczać Francji modelów na powozy i resorów, które niedawno jeszcze ztamtąd sprowadzała. Powoźnicy tutejsi mają teraz metodę własną; zarówno wszystkie części konstrukcyi i ozdoby powozu wykonywają na miejscu: drzewa, materyj, skór, ozdób, szyb, bronzów, okucia i resorów, słowem wszystkich części, z których powóz złożony, dostarczają francuzkie fabryki. Co do mocy, powozy tutejsze wyrównywają zupełnie angielskim i belgijskim, ale, rzecz szczególna, nie dorównują im wykwiutnością formy.

Belgia wystawiła przepyszny powóz królewski: ogromny, dosyć kształtny, mimo drobiazgowych wygód, jakie w sobie mieści; także kilka lekkich, małych, dwumiejscowych karet. Holandia przystała nader lekkie kabryolety o dwóch kołach do połowania, całe żelazne; sanki bardzo ozdobne, ale niepraktyczne; karete dworską i udoskonalone siodła dla konnicy. Szwecya, troje sanek bogatemi futrami obitych, i karete króla Oskara; Hamburg, wielki kocz na cztery osoby; Norwegia, podróżne karykle (rodzaj bryczki); Sardynia powóz amerykański o nowym systemacie resorów.

Najstawniejsze fabryki londyńskie przystały tylko fotografowane portrety swoich powozów, w bogate ramy oprawne. Tym, które osobiście przybyły z Anglii na wystawę, zarzucić można w ogóle nieproporcjonalnie małe koła przednie, a zawysokie koła, z wyjątkiem tak zwanych Dogcart (szkockich bryczek), robionych z krajowego zielonego dębu, których proporce są doskonałe. Dwa najszczególniejsze powozy pomiędzy angielskimi są: irlandzki Diorophe i londyński Cottage Phaeton; obadwa niezmiernie skomplikowane. Z pierwszego można złożyć odkryty powóz z czterema siedzeniami na 16 osób, landarę i karete. Z drugiego, nie ujmując ani dodając, tylko wysuwając lub wsuwając składowe części, robi się albo kocz otwarty, albo powóz zamknięty z naprzód zachodzącą budą, zamkniętą oknami. Powóz ten lekki i wybornie zrobiony, jedyny jest do letnich spacerów, bo przy pogodzie i widoki dowolnie z niego oglądać można, i zamknąć się w mgnieniu oka przed nadchodzącą burzą.

Wystawiono także liczne uprząże, urządzone tak, żeby w razie przypadku ódrazu konie odprządz można od powozu, rozbierając je z szorów sposobem łatwym, zawistym od woli woźnicy, który w takim razie nie potrzebując zeskakiwać z kozła, powóz niezależnym czyni od szkodliwej fantazy rumaków. Sposoby te atoli wydają nam się nadto skomplikowane i wykonalne łatwo na spokojnych, ale trudno na rozhukanych koniach.

Liczny jest zbiór siodeł angielskich wykończonych jak cacka z wybornego materiału, którego sekret przyrządzenia tylko Anglicy posiadają. Damskie mianowicie siodełka daleko mniejsze i leksze od niemieckich, są przecież nierównie bezpieczniejsze i wygodniejsze: najprzód dlatego, że zrobione ze skóry miękkiej i kosmatej jak aksamit; powtórę, tak urządzone, że się nigdy przekręcić nie mogą, bo naciskanie strzemięcia w przeciwną stronę chyli siodełko; potrzebie, że brak wszelkich zawadzających w złym razie podpór, koniecznie na własnych siłach polegać każe, zatem wywołuje przytomność i odwagę, która sama jedna rzeczywiście od przypadku chroni.

Jest także na wystawie powozów kilka wagonów, których ulepszenia podziwiają znawcy, a ogół wykwinne niektórych urządzenie. Wagon belgijski mieści, prócz siedzeń, wygodne łóżka; wagon szwajcarski jest rzeczywistym pomieszkaniem, umeblowanym kompletnie. Zadaniem francuzkich i angielskich wcale niefilantropijnych konstruktorów, jest lekkość, oraz pomieszczenie w małej przestrzeni jak największej ilości ludzi; w czem bez względu na członki podróżnych, fabryki obu narodów prześcigają się wzajemnie.

Odetchnąwszy nieco na wolnym powietrzu, powróćmy do pałacu, gdzie przy w nijsćiu napotyamy zegary.

Żadna może gałąź przemysłu nie jest tak kompletnie reprezentowana na wystawie, jak zegary. Wszystkie sposoby mierzenia czasu, począwszy od klepsydry piaskowej i wodnej; od tak zwaney kukułki, która do dziś dnia połowie ludzkości godziny ogłasza, aż do wzorowego hronometru i regulatora elektrycznego, zgromadzono tutaj wszelkie rodzaje zegarków, zegarów stołowych, ściennych i wieżowych.

Najważniejsze i najnowsze zastosowanie w tej sztuce jest użycie elektryczności do przesyłania godziny jednego zegara wielu innym cyferblatom, jakkolwiek bądź od rządzącego zegara odległym. Zegar elektryczny nastawiony w Paryżu, wedle paryzkiego południka, połączony jak telegraf z zegarami wszystkich kolei żelaznych francuzkich, sprawia, że wszystkie też samą, co on, pokazują godzinę; dlatego wszystkie godziny odjazdu pociągów w całej Francji naregulowane są na południk paryzki. To akuratne a zwłaszcza też na każdym punkcie kraju jednakowe oznaczenie czasu, oprócz wielu innych korzyści, ułatwi urządzenie służby kolei żelaznych, przez co niejednemu przypadkowi zapobieży. To też ważność tej aplikacyi tak pojęli zegarmistrze tu-tejsi, że prawie bez wyjątku wszyscy, regulowanie i chód zegarów wystawionych, powierzyli elektryczności.

Dwa wielkie cyferblaty umieszczone na dwóch przeciwnych końcach wielkiej nawy, znaczą godziny za pomocą zegara, który jest w środku wyższej galeryi, a z którym łączą je metalowe druty.

Więcej niż zegary elektryczne, które mimo ważności odkrycia, na pozór niczem się nie różnią od innych, zajmuje uwagę powszechną zegar monumentalnych rozmiarów, obstalowany przez kardynała Mathieu do arcybiskupiego pałacu w Besançon. Jest on dziełem robotnika rodem z tegoż miasta, pana Bernardin, który na wykonanie go poświęcił pięć lat całodziennej pracy. Zegar ten niemający dotąd równego pod względem komplikacyi i zręczności, z jaką zastosowano i wykonano trudne pomysły, pokazuje zarazem godziny, jakie są obecnie we wszystkich główniejszych miastach świata; zmiany księżyca; czas przyptywu i odptywu morza we wszystkich portach europejskich; godziny wschodu i zachodu słońca; posty; święta: słowem, wskazuje sto rozmaitych rzeczy na 72 cyferblatach, za pomocą 22 statuetek i 24 dzwonek poruszanych przez 13,628 rozmaitych sztuczek, wykonanych z miedzi, żelaza i stali, ręką tegoż samego robotnika.

Żeby dać poznać czytelnikom, jak niejedna gałąź przemysłu nawet handlowego, może być scyntyficznie traktowaną, dosyć będzie przytoczyć, że jeden zegar-

mistrz paryzki, usunawszy na bok wszelką chęć zajmowania wyrobami swemi nieznawców, dał na wystawę same wahadła czyli penduły. Obok kompensatorów (wahadła z różnorodnych metali, aby wydłużanie się jednych neutralizowało skracanie się drugich) wystawił jeden ulepszony przez użycie aluminium, które pozwala zbliżyć środek ciężkości wahadła do środka oscyllacyi, przez co daje ruch więcej jednostajny, a miarę czasu czyni pewniejszą.

Szwajcarya jak przedtém, tak i teraz wyrabia najdoskonalsze sztuczki do wszelkiej wielkości zegarów, ale już nie sama jedna dostarcza ich światu. Kilka fabryk francuzkich z wielkiem powodzeniem oddaje się temu przemysłowi. Kuźnia Beaucourt robi sposobem mechanicznym miliony zegarkowych kótek, które tym sposobem wykonane fabrykanci mogą sprzedawać po franku i taniej. Kuźnia Saint-Nicolas trudni się wyrobieniem kótek do zegarów, wieżowych, które niecc opracowane przy składaniu, przydają się do najlepszych zegarów. Pierwszém staraniem każdego przemysłu jest rozpowszechnienie swojego wyrobu: to téż postęp sztuki zegarniczéj sili się dzisiaj na udoskonalenie mechanicznych sposobów produkcji cząstek, bo niewiele jest zysku w pojedynczém wykonaniu choćby najdoskonalszego zegara przez jednego człowieka, który pracowawszy nad nim bardzo długo, koniecznie bardzo drogo sprzedać go musi. Wnętrza przeto zegarków wykonane sposobem mechanicznym, jako świadczące o rzeczywistym postępie téj sztuki, na daleko większą zasługują uwagę, niż arcydzieła genewskich zegarmistrzów i samego nawet Patka, który na wystawę nadesłał wielką ilość kosztownych swoich wyrobów. Zapatrując się atoli na zegary nie ze stanowiska praktyczności, ale jak w tym razie z nieco fałszywego stanowiska sztuki, utwory Patka otrzymają nad wszystkie pierwszeństwo. Nie ogranicza on się na dokładném ułożeniu mechanizmu, na akuratności z jaką zegary jego czas mierzą, ale z artystycznym gustem corazto nowe dla nich obmyśla formy: pomniejszone do rozmiarów pięcio-groszówki osadza w bransoletach, wachlarzach, lornetach, cygarniczkach, korkach od flakoników i oprawie książek do nabożeństwa; jeszcze mniejsze na pier-

ścionkach przytwierdza. Sztukę zegarniczą powiązał tak ściśle z sztuką złotniczą, że na pierwszy rzut oka wyrobów jego od złotniczych odróżnić trudno; obejrawszy zbliżka te klejnoty, spostrzegasz dopiero umieszczony gdzieś misterny zegareczek, idący zazwyczaj bardzo dobrze.

Zważywszy objętość takiego zegarka, pojąć nie można, jak ręce ludzkie potrafiły przygotować i złożyć cały jego wewnętrzny mechanizm; jak wykonawszy te wszystkie części, człowiek był w stanie ruch ich skombinować i nakryć wszystko razem cyferblacikiem, na którym trudno gołym okiem rozpoznać godziny. Zaprawdę, natura nie musiała mieć tyle pracy nad stworzeniem Święto-Jańskiego robaczka!

Zegarki angielskie zalecają się, jak zwykle, wybor-
nym mechanizmem i nadzwyczajną poprawnością kótek; o formę zegaru mało dbają Anglicy, ale za to marynarskie ich chronometry są niezawodnie najlepsze ze wszystkich.

Obok zegarów pp. Smith i Beck, biegli optycy wystawili mnóstwo termometrów i mikroskopów; a dyrektorowie obserwatorium Greenwich ogromny zbiór instrumentów fizycznych i meteorologicznych, które po większej części same za pomocą zastosowania fotografii, notują jednocześnie swoje obserwacje. Z tych fotograficznych regestrów dojść można w każdej sekundzie stopień temperatury, podskoczenie barometru, dyrekcyą wiatru: słowem wszystkie skazówki stanu powietrza zapisane przez same elementa.

Gdzież teraz obrócimy kroki nasze? Wszystko jedno w którą stronę, bo wszystko tu warte widzenia, i wszystko nie tych, to owych obchodzi. Więc do najbliższej przechodzę zagrody, i kończąc to sprawozdanie tak mozajkowe, jak wystawa, na której co krok spotykamy zestawione z sobą najróżniejsze przedmioty, powiem jeszcze słów kilka o produktach Algiieryi.

Zbiór produktów algierskich na wystawie, przypomina zupełnie układem afrykańskie bazary, w których kupcy rozwieszają w malowniczym nieładzie i równouprawnieniu: babucze, bronie, instrumenta muzyczne, kaftany, spodnie, pasy, dywany, buty, koralowe naszyjniki, gazowe koszule, długie cybuchy, szale, pachnidła,

tytón, burnusy: słowem wszystko, czego wschodni mieszkanięc potrzebować może. Jak paryzki tandeciarz, co obok nabytej wczoraj paradnej sukni panicza, lub kaszemirowego szalu jakiej zbankrutowanej piękności, zawiesza z włók umarłego z głodu poety, topielca, lub podszarzany kostium z ostatniej reduty; tak żyd lub Maur, właściciel bogatego sklepu na Wschodzie, miesza gałgany ze złotem, klejnoty ze skorupami, zostawiając kupującemu staranie wyszukiwania w tym chaosie czego mu potrzeba.

Powyższy układ, a raczej rozkład, jako koloryt miejscowy, starannie zachowano wschodnim towarom na wystawie. Chcąc okazać korzyści i zapoznać metropolię z produktami, których jej własna a blizka kolonia dostarczyć może, zebrano tu wszystko, na co tylko zdobyć się może produkeya i przemysł Algiieryi, nie pominawszy nawet wyrobów murzyńskich. Widzimy ich roboty rogoże, koszyki, kobiałki wszelkich rozmiarów szczelnie się zamykające, ozdobione kutasami z żółtej wełny i kokardkami z czerwonego sukna, bardzo oryginalne i mocne; dalej, także roboty Negrów, nieprzemakające kapelusze z kolorowej słomy, plecione w kształcie parasola, ozdobione strusiami piórami, które noszą mieszkańcy pustyni i karawaniści; oraz mnóstwo ze słomy i trzciny plecionych drobiazgów.

Negrzyca Zahra, rodem z Tombuktu, zamieszkała w Algierze, przystała na wystawę własnej roboty pas z wełny i jedwabiu, przetykany wiszącymi koralami, muszlami, amuletami z safianu, kośćmi z ludzi i małp, ziarnkami złota, i dzwoneczkami. Pas taki bardzo drogi, niezbędna część ubioru elegantek z Tombuktu, przy każdym poruszeniu osoby dźwięczy; w tańcu zaś nieustanny brzęk wydaje, podobnie jak krakowskie chomonta: w czém właśnie Negry główny powab tej ozdoby upatrują. Ten pas oryginalnością swoją nieustannie przyciąga widzów i bardzo się podoba; szkoda, że Zahra dzienników nie czyta, hoby w nich niejedną pochlebną wzmiankę o swojej pracy wyczytała.

Bankierstwem i złotnictwem wyłącznie żydzi zatrudniają się w Afryce. Umiejąc zręcznie korzystać z rycerskiej pogardy Arabów dla mamony, zajęli tak dobrze strategiczne pozycye finansów, że każda okru-

szyna złota lub srebra musi przez ich ręce przechodzić. Jak wszędzie, tak i tu żydzi są istnemi kapłanami mamony: zbierają skrzętnie złoto dla złota; nie używając go, noc i dzień strzegą mozolnie. Mimo nieustannych zabiegów rzadko do wielkich przychodzą majątków; tymczasem francuzcy starozakonni wkładają miliardy w koleje, kuźnie, młyny, maszyny, kolosalne robią fortuny i nie gardzą już zewnętrzną oznaką dostatku.

Algierscy złotniki wystawili pugilaresy i portmonety aksamitne, bogato złotem haftowane; bransolety szerokie z bardzo czystego złota; pierścienie z wersalami Koranu lub poetycznemi dewizami; łańcuchy, zapinki do kobiecych burnusów, ciężkie bransolety emaliowane na nogi, ogromne zausznicze z pereł i koralu, przepaski złote, i tym podobne rzeczy. Zbytecznie mówić, że robota tych kosztowności jest gruba; bo sztuka jeszcze w kolebce. Narzędzia do roboty żyda złotnika, nietylko w Algierze, ale na całym Wschodzie składają się z młotka i dłutka; maszyny jego: piecyk żelazny i mieszek skórzany. Sklep i pracownia zarazem mieści się w cztero-łokciowej budwie, której całym sprzętem na środku rozpostarła rogoża, służąca za stół, krzesło, warsztat i łóżko. Wiedząc powyższe szczegóły trudno wiele wymagać. Przeciwnie, podziwiać potrzeba zręczność tych ludzi, co bez żadnych narzędzi potrafią między innemi zrobić rzecz taką naprzykład, jak biureczko z perłowej macicy, wysadzane koralem w bardzo ładne desenie.

Arabowie poświęcają się dwom tylko gałęziom przemysłu: wyrobom z wełny i skóry, na których wyszywają desenie złotem, srebrem, lub jedwabiem. W tym rodzaju roboty ich zalecają się wielką fantastycznością rysunku i bogactwem haftu. Wszystkie desenie ku ozdobie tkanin czy budowli służące, od Arabów, arabeskami przezwane, w ogromnym dzisiaj będące użyciu, zasilają się prawie wyłącznie u tego źródła fantazyi. Bujna imaginacya rozłącza przed oczyma Araba nieskończony zwój coraz to nowych kształtów, które on nie patrząc prawie, znaczy w chwilach natchnienia, a potem zamysłony o siódmym niebie, machinalnie wyszywa z wrodzoną cierpliwością. Bogate ich materye, pokryte najdziwaczniejszym labiryntem deseni

o niespodzianych zwrotach, zawsze błyszczące, kolorowe, przypominają poemata wschodnie, w których sam przedmiot znika pod zbytkiem nagromadzonych ozdób.

Ahmed-ben-Ali fabrykant algierski, wystawił kilka malowniczych materyi z wełny, niezmiernie cienkich i wybornie farbowanych; oraz burnusy z długimi frendlami, śnieżnej białości, a tak miękkie, że je przez pierścionek przeciągnąć można. Mohammed-bel-Arbi z Oranu przysłał grube burnusy męskie z szarej wełny i pasy różno-kolorowe także wełniane; oraz ogromny, złotem wyszywany burnus ponsowy zwany bach-Agha: takie płaszcze noszą wodzowie arabscy, kolor ponsowy będąc u Arabów oznaką dostojęstwa.

Wyrabianiem tkanin wełnianych w Algii trudnią się prawie wyłącznie kobiety; robią je na warsztatach ręcznych jak nasze wieśniaczki płótno. Pod każdym prawie namiotem stoi taki warsztat zrobiony z grubiej trzciny, przy którym od rana do wieczora pracują żony Araba. Skoro wyrobią kilkanaście łokci materyi, mąż kraje z niej burnusy i haftuje takowe przy pomocy mężczyzn. Prócz cienkich tkanek, kobiety arabskie wyrabiają na tychże warsztatach rodzaj samodziału z pstrój wełny, którym bogatsi wykładają namioty; robią oraz grube burnusy męskie. Prócz tego robią także materye z jedwabiu i koziej wełny, i szyją z nich tak zwane gandury, rodzaj koszuli bez rękawów, które w wielkie upały noszą. Mieszkanki Sahary głównie słyną z doskonałego wyrabiania burnusów, i podobno największą ilość takowych produkują.

Jest także pomiędzy temi wyrobami całkowity ubiór maurytański; składają go następujące przybory: koszula gazowa z haftowanemi rękawami; szerokie pantaliony z muselinu; kamizelka sztywna od złota; kaffan ponsowy aksamitny, na szwach bogato haftowany złotem; szarfa muselinowa, wyszywana srebrem i jaskrawym jedwabiem; futa (sztuka materyi, którą się opasują biodra, spadająca aż do ziemi) z wełny białej bardzo cienkiej z frendlami; chustka na głowę w pasy; krymka wyszywana koralami i perłami, i także trzewiki. Kobiety do tego stroju dodają tylko zastonę krepową, którą okręcają naokoło głowy, i okrywają się jak płaszczem.

Jak z powyższego wyszczególnienia sądzić można, jestto ubior, co się zowie skomplikowany, w którym żaden z nas ruszałby się nie potrafił. Do tego stroju jest jeszcze mnóstwo drobnych przyborów, jakoto: spiniki do kaftana, małe zwierciadełka, które zawieszają się u pasa, równie jak woreczek z piżmem niezbędny dla eleganta; kobiety wieszają nadto flakonik z różannym olejkiem, i wachlarz z piór strusich; na nogi i ręce kładą bransolety i pierścionki, na szyję bogate naszyjniki. Bogate Maurytanka dumne z tych wszystkich świecideł, jak paw z ogona swego, spędzają czas na przeglądaniu i perfumowaniu się, gładzeniu włosów, zaplataniu i rozplataniu długich warkoczy, fałdowaniu powabnie drogich materyi, mających podwyższać wdzięki, przymierzaniu nowych sukien i klejnotów i t. d.; słowem, zajmują się nie czém inném, jak mniej więcej wszystkie kobiety na świecie, dowodząc prawdy włoskiego przysłowia: *Tutto il mondo é fatto come la nostra famiglia*.

Wracając do produktów algierskich wymienić należy liczny zbiór siodła bogato haftowanych, i jeszcze liczniejszy obuwia rozmaitej formy i nazwy, jakoto: *belghi*, rodzaj żółtych bucików; *gorgi*, trzewiki arabskie głębokie, sznurowane srebrnymi taśmami; *sabbaty*, pantofle z zadartymi nosami, niektóre bardzo piękne z aksamitu i safianu; w końcu sandały z wołowej skóry, które noszą plemiona koczujące. Obuwie to po większej części przywieziono z Oranu.

Siodła przeładowane ozdobami, ogromne, po większej części aksamitne, podobne są raczej do foteli, niż do siodła. Kulbaka wygięta z przodu i z tyłu, do pasa zakrywa jeźdźca; w strzemionach szerokich na ćwierć łokcia, stoi się jak na ziemi: do nich przykute są ostrogi ostre, proste, z jednej sztuki w formie szpady, któremi konia na śmierć zakłuć można. Wszystkie te rynsztunki niepraktyczne ale wspaniałe, cechują przepych wschodni.

Kabyle trudnią się wyłącznie w Algii kowalstwem, puszkarstwem i garncarstwem. Pałasze ich zwane *flissa*, oraz fuzye długie, mają być bardzo dobre. Te, które przysłali na wystawę, z pozoru nieźle wyglądają; chociaż sądzić z nich o przemyśle tamtej-

szych rzemieślników nie można, bo są to sztuki ozdobne, widocznie z wyjątkowém wypracowane staraniem.

Garncarskie wyroby Kabyłów już tylko pod względem miejscowego kolorytu zajmować mogą. Po większej części grube i niezgrabne, żadnej nie mają wartości. To téż Kabyłowie przemysł ten uważają jedynie za sposób zarobienia sobie trochę grosza, na kupienie konia, fuzyi i kobiety; skoro uzbierają potrzebną na to sumę, natychmiast uciekają napowrót w pustynią, z której przybyli. W takich warunkach nic dziwnego, że przemysł rozwinąć się nie może.

Jakoż w każdéj gałęzi przemysłu, Arabowie nie utrzymali się na wysokości swoich przodków, którzy w wiekach średnich zarzucali świat cały bogactwem swego przemysłu, i znani byli powszechnie jako najlepsi tkacze, snycerze i puszkarze. Dzisiejsze pokolenie Arabów, Europa zdala za sobą zostawiła. Jednakowoż gdyby im środków swoich użyzyć chciała, i zajęła się ich przemysłowem wykształceniem: nie ulega wątpliwości, że wytrwały i artystyczny ten naród, wkrótce dorównałby, a może prześcignął Europejczyków.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH.

V.

Ducamps, Couture. Glaize. Gérôme. Cogniet, Rodakowski. Müller.

Trudno byłoby oznaczyć, do jakiej szkoły należy Ducamps. Ingres trzyma się tradycyj Rafaelowskich; Delacroix mimo swojej niezaprzeczonej oryginalności, jest w prostej linii potomkiem antwerpskich i weneckich mistrzów; każdy inny z nowoczesnych malarzy francuzkich mniejwięcej naśladuje jakiegoś poprzednika: sam tylko Ducamps nie ma przodków.

Kształcony w szkole mistrzów grzeszących zbyt-kiem manieryzmu i przesady, znakomity ten artysta za pierwszą zadanie położył sobie prostotę: mniemał, że aby lepiej malować od nauczycieli, dosyć mu będzie powrócić do czystych wzorów natury. Porzuciwszy przeto ubitą drogę szkolnej teoryi, poszedł sobie własną

ścieszka nieprowadzącą ani na Parnas, ani pomiędzy klassyczne ruiny, ani na bohaterskie rozłogi ubi Troia fuit: ale szerokiem kołem przez morza i lądy, tam, gdzie najhojniejsze skarby rozlała przyroda; gdzie słońce najjaśniej oświeca zielone oazy i morza błękitne; gdzie ludzie zachowali pierwotną piękność i malownicze stroje, a zwierzęta pierwotną siłę i nieskażoną jarzmem formę.

Pierwszy Ducamps pokazał Zachodowi rzeczywisty Wschód. Przed nim artyści malowali te strefy jak poeci zeszłego wieku naturę: w sentymentalnych sielankach, tak podobnych do prawdy, jak owe pasterki w różach i atłasach, lub pasterze w aksamitach, przeznaczeni na ozdobę ścian salonowych.

W téj czarownej stronie świata, zamieszkałej przez ludzi, którym religia zabrania wszelkiej reprodukcji cudów natury, widząc wkoło siebie nieprzebrane bogactwa nigdy pędzlem nietknięte, Ducamps z zapałem chwycił paletę, i niezadługo przestał do ojczyzny prawdziwe wizerunki Wschodu, na które patrzano z podziwem, jak na nowo odkrytą ziemię.

Chmara naśladowców puściła się zaraz w pogon za artystą do odkrytych przez niego źródeł; pielgrzymki były nieustanne. Malarz przez powracających kolegów coraz to nowe dzieła przysyłał do francuzkich muzeów, ale sam nie powrócił. Nigdy tęsknota za ojczyzną nie zakłóciła mu pogody wschodniego życia: ów jasnowłosej Turek zupełnie, zda się, zapomniał pod błękitem wschodniego nieba o pochmurnym Zachodzie. Już dwudziesty piąty rok mija, jak zamieszkał pod namiotem u stóp Balbeku; i tam, ukryty w lekkim obłoku tytuniowego dymu, przypatrując się ciągnącym karawanom, kobietom czerpiącym wodę glinianemi dzbany z pobliskiej krynicy, gwiazdom rozsianym na przezroczyśnym niebie; podstuchując ryk lwa, wrzaski szakalów, szmer palmy, plusk morza: słowem wszystkie tajemnicze dźwięki nocy wschodniej, żyje szczęśliwy uwieczniając na płótnie doznane wrażenia.

Ducamps posiada rzadki dar zainteresowania widza jakim bądź przedmiotem; pędzel jego jak natura nie wyraża myśli, ale je nasuwa. Któżby naprzykład nie rad usiąść pod wystawką i pokrzepić zwątlone siły fili-

żaneczką mętną ale wyborną mokki, którą w tej tureckiej kawiarni roznoszą. Na obrazie widać tylko kawał dachu podparty kolumną, pod nim ławy, a na nich kilku poważnych Turków z fajkami; więcej nie ma nic: a przecież tak wierny jest ten obrazek codziennego życia, tyle w nim spokoju, taki miły chłód tu wieje, że nie tylko przez oczy, ale jak żywa natura przez wszystkie zmysły na człowieka działa.

Nie inny jest powód powszechnego uwielbienia, jakie wywołuje mała aquarella tegoż artysty: chłopcy wychodzący z tureckiej szkoły, którą do jego najlepszych liczą utworów. W tym orszaku żaczków, wysuwającym się przez odemknięte drzwi szkolne, Ducamps zgromadził wszystkie typy wschodnich dziecięcych fizyonomii. Radzi chwilowej przerwie w nauce, malcy wypadają w zamieszaniu na podwórko, daremnie przywoływani do porządku przez starego bakalarza w długiej kapocie, z wielkim nosem, na sposób zachodni mocno ściśniętym ogromnymi okularami. Każdy z nich kułakiem lub kolaniem drogę sobie toruje, każdy chciałby wybiedz pierwszy; słabsi przyparci do muru nie mogąc się oprzeć prądowi, przepuszczają naprzód mocniejszych. Główki jasne, ciemne, oczy wesole lub smutne, śmiejące lub płaczące usta, wysokie lub niskie czoła zakończone turbanem, z uderzającą tu oddaną prawdą. Ubiory, gesta, wyraz twarzy, postawa, wszystko jak żywe.

Nie ujmując zalet temu tak bardzo chwalonemu obrazkowi, nie uważamy go przecież za najlepsze dzieło Ducampa. Szkic przedstawiający przegraną Cymbrów, który artysta miał powiększyć do wielkości natury, jak niemniej historią Samsona w dziewięciu obrazach, świadczą jak daleko mógł być zejść Ducamps, gdyby swój talent na poważniejsze skierował pole. W obec otrzymanych rezultatów trudno żałować, że pędził swego wyłącznie nie poświęcił historii; wszelako nie ulega kwestyi, że tą idąc drogą, Ducamps stałby wyżej w hierarchii malarskiej, chyba że większe trudności, jakie wykonanie przedmiotu poważnego koniecznie za sobą pociąga, byłyby krępowały oryginalność pomysłów i dowolność, która jest główną jego cechą.

Przegrana Cymbrów jest zapewne najznakomitszém dziełem Ducampa. W swoim czasie obraz ten sprawił wielkie wrażenie, bo dziwnie odbijał od obrazów bitew oficjalnych, na których malarz uszykowawszy żołnierzy w szeregi wyciągnięte podług cyrkla i linii, w środku sadowił wodza z licznym sztabem. Rzecz prosta, że przy takich kompozycjach bitwa Ducampa, której jedynym bohaterem jest tłum walczących, musiała zwrócić uwagę. Jakoż śmiały pędzel jego niecofający się przed żadną trudnością, w bardzo szczęśliwe oblókł formy owe potężne starcie barbarzyńców z Rzymianami, które nam historia w olbrzymich ukazuje zarysach.

Nieprzeliczone tłumy roją się na polu bitwy, wyglądającym jak cyrk ogromny przez naturę przeznaczony na teatr walki dla tytanów. Ciężkie chmury nagromadzone w górze znaczą cieniem, jakby bruzdy po tych łanach głów ludzkich. Miejscami piki, hełmy i puklerze walczącej nawały błyszczą oświecone przedzierającym się przez chmury słońcem. Na czele Rzymian, siedząc na spinającym się rumaku Maryusz, wydaje rozkazy; wyciągnął rękę i gestem w którym znać dumę rzymskiego pół-boga, nakazuje kohortom w pień wycinać pierzchających Cymbrów. Dziec na głowę pobita, szerokim szlakiem płynie w dolinę, prowadzając wozy ciągnięte przez postraszone woły, konie poległych, kobiety co swe dzieci pod koła rzucają, wojowników krwią zlanych i kapłanów przeklinających swe bóstwa. Na pierwszym planie leżą stosy trupów. Sine światło przedzierające się przez burzliwą atmosferę oświeca tę rzeź straszną; cały krajobraz dziki, przynięta pełne piorunów niebo, do którego daremnieby wznosić ręce, bo zeń tylko stada sępów spadną na ziemię.

Mimo szczupłych rozmiarów, Przegrana Cymbrów wielkością przedmiotu, kompozycji i wykonania zjednała sobie piękne miejsce między celnymi dziełami sztuki.

Jakby wysilony powyższym obrazem, Ducamps po jego ukończeniu rzucił się wyłącznie w przedmioty lekkie, wesołe, i długi czas samą tylko stroną śmieszoną z życia ludzi lub zwierząt malował. W tej seryi obra-

zów, małpa-malarz i małpy amatorowie pierwsze zajmują miejsce. Na pierwszym obrazie małpa siedzi przed pulpitem w postawie, którą od pana swego przejęła i wykończy pejzaż; prawą nogę wyciągnąwszy niedbale, pochyla się na przód, cała zatopiona w pracy, którą mniema być arcydziełem. Przez odemknięte drzwi widać drugą małpę rozcierającą farby dla czworonożnego artysty. Przybory malarskie: farby, pędzle, paleta, butelka z olejem, stół na którym to wszystko rozstawione najstaranniej, zamykają ten buffo obrazek.

Drugie płótno, które za pendant służy poprzedniemu, przedstawia małpy naśladowujące komiczne obyczaje niektórych znawców oglądających obrazy. Jedna z nich w ogromnej zielonej umbrelli, siedzi naprzeciw pejzażu i kiwa głową na znak zadowolenia; w jednej ręce trzyma lornetkę, drugą gładzi kosmatą nogę, z gracją założoną na lewe kolano. Za nią inna stoi o krzesło oparta i patrzy przez perspektywę. Trzecia w siwym paletocie i czarnym czepku jedwabnym czeka, żeby z kolei sąd swój wypowiedzieć mogła; tymczasem przygotowując przystąpienie do rzeczy, kapelusz i laskę trzyma z tyłu, żeby móżdż bez przeszkód zbliżyć się do obrazu. Przy drzwiach służący tejże rasy, stoi w butach ze sztylpami, trzymając pod pachą parasol. Niniejszy obrazek jest satyrą na paryzkich sędziów przysięgłych, którzy z nieubłaganą surowością zwykli krytykować młodych artystów.

Do tejże seryi należą: dziad rachujący dzienną kwestę; Hiszpanie grający w karty; małpa piekarz; psiarczyk z psami; kogut na śmieciisku i wiele drobnych utworów tego rodzaju, które artysta przed wyjazdem na Wschód wykonał. Po tych idą już same wschodnie obrazy.

Pierwsze przedstawiają widoki zdjęte w Smyrnie, jakoto: patrol, wypoczynek arabskiej karawany i wielki bazar turecki: rzecz bardzo znakomita. Artysta przedstawił jedną z wązkich ulic Smyrny, nakrytą z góry matami i deskami; pod ich cieniem przerywanym gdzieniegdzie jaskrawym pasem słońca, krąży tłum różnobarwny, targując rozłożone towary. Tu i owdzie twarz Turka odbija bladością i spokojem od gwałtownych i ogorzałych rysów Greka.

którego oczy niespokojne latają wciąż jak jaskółki przed burzą. Tu żywo gestykulująca kramarska grupa żydów lub Armeńczyków uderza patrzącego, owdzie kobieta z zasłonioną twarzą targuje drogie materye; środkiem postępują wolno objuczone osły. Tu i owdzie przy nodze przechodnia pies się przemyka, ów uprzywiliowany mieszkaniec wschodniego miasta, niosąc sobie do nory jakąś podstępem czy prośbą uzyskaną przekąskę; w głębi, daleko, widać niebieskie morze i białe żagle kaików.

Wyborny ten obraz odrazu wtajemnicza widzów w życie wschodnie; rzeczywistość niewieleby go więcej nauczyła, a może mniej nawet, bo oczy Ducampa widzą za tysiące. Przedmioty zaś: ludzie, zwierzęta, architektura, powietrze, woda i ziemia tak prawdziwie i bez najmniejszej oddane przesady, że najsurowszy krytyk, co widział rzeczy na miejscu, żadnej w nich poprawki nie wymyśli.

Wspomnienie Turcyi Azyatyckiej, krajobraz Anatolii, kordegarda turecka i rzeźnik turecki, niemniej się zalecają kolorytem miejscowym. Do téj seryi widoków azyatyckich, z których ledwie kilka wymieniłem, należą trzy obrazy biblijne: Józef sprzedany przez braci, Eliezer i Rebeka, Mojżesz ocalony z toni, oraz dziewięć kartonów przedstawiających ważniejsze ustępy z historii Samsona.

Te dziewięć kartonów, które miały służyć za wzory do obrazów olejnych naturalnej wielkości, są rzeczywistą rewelacją talentu Ducampa; patrząc na wyborny ich rysunek, dorównywający mocą i czystością linii utworom pierwszych mistrzów, pojąć nie można, czemu artysta zaniechał wykonania dzieła, któreby go postawiło w rzędzie najświetniejszych malarzy.

Historią żydowskiego Herkulesa Ducamps rozpoczyna od zwiastowania. Anioł Pański oznajmia Manoa-howi i żonie jego, że narodzi się z nich syn, który będzie postrachem nieprzyjaciół Izraela. Klęczącą parę otacza dziki skalisty krajobraz.

Drugi ustęp przedstawia już dorosłego Samsona. Obdarzony nadziemską siłą, bohater rozdziera lwa na dwie połowy jak kawał szmaty; straszliwe zwierze da-

remnie ku obronie wydłuża szpony, chcąc je we krwi wroga ubroczyć: zginie nie zadrasnąwszy nawet stalowych jego członków.

Na następnym kartonie widzimy, jak Samson dla igraszki puszcza w zboża Filistynów 300 szakali z przywiązanymi do ogonów płonąciami pochodniami. Łany kłosów mocnym kołysane wiatrem, zajmują się z szybkością błyskawicy: za chwilę całe pola jeden wielki przedstawia pożar. Sprawca pożaru siedząc na odłamie kamienia, z uśmiechem przypatruje się swemu dziełu.

Daliej widzimy go jak sam jeden zabija osłą szczęką tysiące Filistynów; podobny do Rolanda, co mieczem rozcinał skały, Samson 100 wrogów jednym uśmierca zamachem: wkoło niego leży wał poległych, w rękę trzyma jednego za włosy, używając go zamiast maczugi. Postawa bohatera i gest jego z nadzwyczajną oddane są polegą.

Piąta kompozycja przedstawia Samsona wyłamującego bramy Gazy. Jestto widok nocny. Gwieździste niebo ostania pogrążone we śnie miasto na wzgórzu; Samson wypartą z zawiasów bramę unosi na plecach obok uszpionej straży; wkoło zalega tajemnicza cisza. Pan Ducamps, co tak pięknie słoneczne dnie Wschodu maluje, niemniej dobrze i noc przedstawił.

Daliej podstępna Dalila silnemi sznury krępuje śpiącego przy swym boku kochanka, ale na okrzyk Filistynów, ten budzi się i jak Guliwer powiązany pajęczyną przez liliputów, targa bezwiednie prawie opasującą go siatkę z lin konopnych.

Skoro pobiwszy wrogów powraca znowu na łożo i zasypia, Dalila obcina mu włosy. Lew Judy pozbawiony grzywy utracą moc swoją, bezsilny daje się pojąć i uprowadzić przez czyhających na swą zgubę nieprzyjaciół. Niecna kobieta z szyderstwem pokazuje mu fatalne nożyce, a on jak prosty śmiertelnik ze spuszczoną głową opuszcza ten dom, do którego przybył wszech potężny.

Po tej scenie widzimy Samsona z wydartymi oczyma krążącego jak lew poza żelazną kratą, która go przedziela od Filistynów, pojących się nieszczęściem zwyciężonego wroga.

Ale niedługo cieszyli się wygraną; w miarę jak odrastały włosy, wracała dawna moc Samsonowi. Aż w końcu na ostatnim obrazie widzimy go, jak jedném wstrząśnieniem kolumny burzy gmach cały i pada pod nim.

Ta ostatnia scena najpiękniejsza ze wszystkich, przenosi widza w świat biblijny. Nieinaczéj musiały wyglądać pałace starożytnej Gazy, razem w egipskim i fenickim guście budowane, nieinaczéj ubiory możnych Filistynów: płaszcze oszywane frandzlą, któremi ich przyodził artysta, przypominają nieco zwykłe ubiory jakie przywdziewają rabinowie do modłów w bożnicy, ozdoby zaś w które ustroił kobiety: naszyjniki, bransolety, kolce, dyadema, podobne do tych, jakie nam przechowały starożytne granity, gdzieś z egipskich wygrzebane piasków. Ducamps celuje między wszystkiemi w oddawaniu miejscowego kolorytu; jeżeli mu go wieki zatarty, odgaduje takowy przez intuicyą, i wierny obraz owego wieku, tylko odmłodził o lat tysiące, przedstawia zdumionemu oku. Nie będąc realistą jak Courbette, nie jest idealistą: przedstawia naturę jak ją widzi, chociaż ze stanowiska artystycznego; uwydatnia w niej piękności ukryte zwyktemu oku, niepoprawiając jej atoli nigdzie, jak to często się zdarza malarzom, i to jest właśnie zaleta, której zawdzięcza wysokie miejsce, jakie pomiędzy malarzami francuzkiemi zajmuje.

Zdarzają się geniusze objawiające się światu jednym tylko utworem; stwarzają jedno dzieło, poemat, symfonią, statwę lub obraz, bo ten tylko a nie inny przedmiot zrozumieli. Piérwsze ich słowo jest zarazem ostatniém, mają tylko jeden kwiat i ten dają; lub może umysł ich odrazu cel osiągnąwszy, już na inne rzeczy nie patrzy, jak strzelec co potężnego orła ugodziwszy w obłokach, syt łupu, na wiatr wypuszcza strzały. Do liczby takich geniuszów, jak naprzykład Rouget de Lisle, który się uwiecznił jedną tylko pieśnią, należy Couture malarz Orgii Rzymskiej. Szkoda tylko, że po ukończeniu tego obrazu nie połamał palety. Couture od niechcienia wymalował jeszcze kilka obrazów, jakby na dowód, że go na jedno tylko arcydzieło stać było.

Orgia Rzymska wystawiona piérwszy raz na wystawie paryzkiej 1849 roku i zakupiona wtedy do

galeryi Luxemburskiej, powszechnie jest znaną: mimo to sumienny sprawozdawca nie może pominąć tego obrazu, bo nadto ważne na wystawie zajmuje miejsce. Następne słowa Juvenalisa posłużyły za treść malarzowi:

.... „Obarcza nas, mówi historyk, plaga nierozłączna od długiego pokoju; straszniejszy od wojny zbytek przyszedł na nas, i mści się za świat ujarzmiony”...

Orgia Coutura mieści się w sali korynckimi podpartej kolumnami, które uwydatnia niebieskawy brzask świtu; posągi dawnych Rzymian sławnych z mężstwa i cnoty, ustawione rzędami, patrzą na sromotę potomków: rzekłbyś, że marmurowe ich źrenice ciskają chwilami błyski oburzenia... a kamienne usta wykrzywia uśmiech pogardy. Jeden z biesiadników urągający cnotcie jak Don Juan Komandorowi, staje na piedestale Brutusa i podaje mu winem nalaną czarę.

Na wspaniałym łożu okrytym drogą materją, leżą starożytnym obyczajem uczujące grupy mniej więcej powalone rozpustą; malarz bowiem obrał chwilę, w której rozkosz przestaje być rozkoszą, a nektary i ambrozye nie pragnienie, ale wstręt budzą: ciało niczego już nie pragnie tylko spoczynku, język kołoczaje, powieki otłowiany sen przyciska, słowem cały organizm człowieka wypowiada mu postuszeństwo, i jak rumak nad przepaścią spina się, niechcąc czynić zadość woli szalonego jeźdźca. Potężni Rzymianie, których dziec pójnocy nieprzeparta, panowie świata, leżą tutaj bezduszni, bezwładni... pozbawieni woli lub owładnieni szatem pijaństwa. Owe czoła, których stalowe nie ugięty przyłbice, gną się pod ciężarem kwiatów; silne ich dłonie co ogromnym mieczem miliony głów ścinały, nie mogą unieść czary. Wino, i silniejsza niż Attylla rozpusta, zwyciężyły rzymskich bohaterów.

Główną figurą obrazu jest leżąca we środku kobieta, którą możnaby wziąć za uosobienie Rzymu. Odziana białą tuniką lekką, karbowaną, w drobniuchne fałdki, sama jedna pośród powszechnego rozstroju spokojna jest i twarz ma pogodną. Dwa długie sploty krucznych włosów spadają po obu stronach bladego jej oblicza; pałające oczy jak dwa czarne dyamenty podnoszą białość jej cery; w całej rozkosznej postaci rozla-

ny jakiś powab potężny a zgubny. Taką musiała się przedstawiać Armida w myśli Torquata, kiedy w poemacie swoim kładł na nią trudną missyą obłąkania Bogu poświęconych rycerzy. W oczach téj marmurowej Messaliny czytasz nigdy nienasyconą żądzę zbytku, krwi i złota. O jakiej nowej rozkoszy duma teraz owa piękność, zwiesiwszy niedbale toczoną rękę, złotym opasaną węzłem, jakie nowe a niepodobne do urzeczywistnienia roi przedsięwzięcia:—trudno wiedzieć... a kto by wiedział, pewnieby nie napisał.

Za nią kobiéta napót naga przeciąga się znużona całonocną hulanką. Niżej u nóg Armidy, inna przykryta płaszczem z rozpuszczonych włosów, sięga po nalany puchar, który jéj jeden z biesiadników podaje. Rozwieszane na pierwszym planie różnobarwne girlandy kwiatów dodają blasku téj wspaniałej sali. Z boku stoją dwaj ludzie oparci o kolumny. Prosta ich odzież i twarze surowe, zdradzają stoików; przyszli tu pewnie nie po to, żeby się bawić, ale żeby widzieć i sądzić, gdyż nie biorą żadnego udziału w biesiadzie.

Wiele scen śmiesznych, tu i owdzie rozsianych, przerywa surową myśl obrazu: w czém malarz naśladował Rembrandta, Andrzeja del Sarte i innych mistrzów, przekładających prawdę nad piękno, a rzeczywistość nad ideały. Téj atoli realności Coutura zawdzięczyć należy oddanie Orgii rzymskiej z całą potęgą ziemskich namiętności; idealista byłby się zapewne z ubliżeniem prawdzie cofnął nie przed jednym z nieuchronnych podobnej sceny ustępów, przez co obraz zyskałby wiele na estetyczności, ale zarazem przestał być dagierotypem rzymskiej rozpusty.

Pręgiarz, obraz pana Glaize jest jednym z najważniejszych utworów w galerji francuzkiej, a rozmiarami obojętnych nawet widzów przyciąga. Na szczęście, co się rzadko zdarza, myśl obrazu odpowiada proporcji. Artysta z dziejów całego świata wybrał kilkunastu ludzi należących do rzędu tych ofiar, co światu myśl nową przynosząc, siebie na prześladowania lub śmierć męczeńską narazili.

We środku obrazu Chrystus niepoznany w ludzkim ciele, lżony, bity, nareszcie ukrzyżowany, zwiesza głowę w cierniowej koronie; za krzyżem anioł biało-

pióry trzyma wstęgę z napisem: „Pater, dimitte illis non enim sciunt quod faciunt.” Pod rusztowaniem stoją cztery potwory od wieków prześladowające ludzkość: nędza, ciemnota, gwałt i obłuda: wszystkie cztery znakomicie oddane. Nędzę uosabia kobieta wychudła i otyślała, z wyschniętą piersią, którą ssie zagłodzone niemowle; opasła ciemnota z niskim czołem i ogromnymi uszama, wiernym jest obrazem głupstwa; gwałt uosabia kat z potężnym karkiem i krwawymi oczyma; obłuda trzyma w dłoni maskę, którą stosownie do okoliczności twarz obrzydłą przed ludźmi zakrywa.

Po lewej stronie Chrystusa, Sokrates w jednej ręce trzyma truciznę, drugą wskazuje niebo. Obok niego bajczarz Ezop, którego Delficy kapłani ze skały strącili, obawiając się jego rozumu; dalej mądra i piękna Hypatya, którą chrześcijańscy fanatycy włóczyli po ulicach Alexandryi, a w końcu zamordowali; dalej Keppler który odkrył ruch ciał niebieskich i umarł z głodu nie mogąc się doprosić kawałka chleba; dalej Galileusz ofiara inkwizycji świętej; przy nim Palissy uczony poprzednik Cuviera, ogrzewający zmarzłe członki przy meblach swoich, palących się zamiast drzewa.

Obok Chrystusa na prawo, Homer o którego po śmierci siedm miast się dobijało, a za życia ślepemu o żebraczym kiju, rzadko kto kawałkiem chleba za nieśmiertelne zapłacił pieśni. Przy nim Dante prześladowany i wygnany z ojczyzny; Cervantes więziony, nędzny, niezrozumiany; Joanna D'Arc, której za ocalenie Francji dostał się stos roueński w nagrodę; Kolumb za odkrycie nowego świata otrzymujący kajdany; Salomon de Caus najpierwszy wynalazca maszyny parowej, zamknięty jako waryat w Bicêtre; Pepin łamiący w rozpacz model swego parowca; na koniec Stefan Dolel, wolny myśliciel, powieszony i spalony za dzieła swoje.

Oto ofiary, których malarz użył jako liter do wypisania myśli swojej. Ileż imion męczenników można było zapisać obok wymienionych, a może zamiast wymienionych? Ale trudno między męczennikami zaprowadzić hierarchię; każdy z nich zarówno godzien współczucia, a imiona ich nie potrzebują pomników ani obrazów, żeby nie zaginęły, bo je sam Bóg w złotej zapisuje księdze.

Gérôme, młody artysta, stojący na czele dość licznej szkoły, nie poszedł za przykładem najznakomitszych tutejszych malarzy, którzy spoczywając na laurach, zamiast nowych dowodów talentu, zgromadzili na wystawie swoje najlepsze w ciągu pół wieku stworzone obrazy, jakby dla pokazania światu tytułów nadających im prawo figurowania w poczecie sławnych mistrzów. Młody malarz chociaż miał się także z czém pochwalić, żadnego ze swoich dawniejszych dzieł nie pokazał, ale wykończył umyślnie na wielki jubileusz sztuki trzy obrazy, z których wiek Augusta na szczególną zasługuje uwagę. Jestto obraz historyczny w wysokiem znaczeniu tego słowa: wyobraża on owę zenitową chwilę rzymskiej potęgi, którą Bossuet temi opisuje słowa:

.....„Ostatki rzeczypospolitej giną z Brutusem i Cassiusem; Antoniusz i Cezar zrujnowawszy Lepida, obracają się przeciw sobie: cała potęga rzymska wylewa się na morze. Cezar wygrywa bitwę Aktyacką; siły Egiptu i Wschodu, które wiódł z sobą Antoniusz, rozbite; wszyscy przyjaciele opuszczają go, nawet Kleopatra dla której się zgubił.... Wszystko ustępuje fortunie Cezara: Alexandria otwiera mu swe bramy, Egipt staje się prowincją rzymską. Kleopatra zwątpiwszy o oporze, zabija się wkrótce po Antoniuszu. Rzym wyciąga ręce do Cezara (Oktawiana), który przybrawszy imię Augusta a tytuł imperatora, staje się wyłącznym władcą państwa rzymskiego. Pod Pirenejami poskramia zbuntowanych Kantabrow i Asturyjczyków; Etyopia o pokój go prosi; przestraszeni Partowie odsyłają mu zdobyte na Krassusie chorągwie i wszystkich rzymskich niewolników; Indye chcą z nim zawrzeć przymierze; Pannonia go uznaje, Germania go się lęka. Zwycięzki na morzu i lądzie Cezar-Augustus zamyka świątynią Janusa. Świat cały żyje w spokoju pod jego berłem, i Chrystus się rodzi”...

Ogromny obraz Géróma wysnuty z powyższych słów Bossueta, wyobraża syntezę stuletnich dziejów całego świata.

Pod pogodnym niebios błękitem widać zamkniętą trzeci raz od założenia Rzymu świątynię Janusa; poza nią tonące w złotej kurzawie miasto nieśmiertelne.

Przed świątynią siedzi ubóstwiony August na złotym tronie, na którym napis: Cezar Augustus imperator. Victor Cantabrorum, Asturum, Parthorum, Rhoetorum et Indorum, Germaniae, Pannoniaeque dominator, Pacificator Orbis, Pater Patriae.

August, jak bogowie Olimpu ma obnażone piersi; biała draperya przerzucona przez ramię spada mu na nogi, czoło jego wieńczą laury zwyciężkie, w lewej ręce trzyma berło, a prawą opiera na ramieniu kobiety w hełmie, w czerwonej todze i z puklerzem w dłoni, która jest uosobieniem Rzymu. Obok imperatora stoi posąg kapitolńskiego Jowisza i orzeł rzymski.

Głowa Augusta wspaniale jest narysowana; oczy jego jako śmiertelnika, co już wie wszystko, nie patrzą wcale, na milczących ustach igra niby pół-uśmiech... Na co mu słowa? dosyć brwi zmarszczyć, żeby za sobą świat pociągnąć! Pośród całej kompozycji blada i nieruchoma postać Augusta wydaje się jak posąg, przed którym cała ludzkość czołem bije.

Rzym, pod postacią kobiety, sam jeden śmie się oprzeć o tron ojców. Podobna do zwyciężkiej Kloryndy bohaterka w ponsowej todze, patrzy na Augusta jak żona na ukochanego męża. Rysy jej wiecznie trwałej piękności uosabiają tajemniczą nazwę Roma Aeterna.

Po prawej stronie tronu stoi dorastający Tyberyusz w białej todze; za nim senatorowie i konsule, pomiędzy którymi widać Agryppę założyciela Pantheonu.

Tę gruppie dostojników rzymskich odpowiada na przeciwniej stronie obrazu stojący poczet literatów, poetów i artystów. Na ich czele stoi zadumany Virgiliusz, cisnący do piersi swe księgi, jakby dla pokazania, że najlepsze myśli z serca płyną. Przy nim Horacy, Tibull, Tytus Livius, Vitruvius, rzeźbiarz z dłutem w ręku, aktor z maską, malarz z paletą, i rozmaici artyści uosabiający kwitnącą epokę sztuk pięknych.

Na ogromnych schodach świątyni, poniżej wymienionych figur leżą zwłoki zamordowanego Juliusza Cezara. Brutus z Kassusem, sprawcy morderstwa, oddalają się szybko: pierwszy z nich odwraca głowę ku zmarłemu z wyrazem głębokiego bólu, jakby mu brzmiał

ciągle w uszach wyrzut konającego: „Et tu Brute contra me?”

Niżej Kleopatra, ów wąż Nilowy, jak ją Szekspir zowie, opasuje ostatnim uściskiem zimne zwłoki Antoniusza.

Jeszcze niżej na ostatnich schodach, niezmiernie tłumy ludu cisną się całując proch, po którym stapały imperatorskie koturny. Widać tu ludy całego świata: rozmaite plemiona wschodnie, Partów odnoszących zabrane orły, kobiety prawie nagie przybyłe z głębi Azji, Greków, Gallów okrytych skórami drapieżnych zwierząt, wreszcie Indyan z nad brzegów Gangesu, przywożących na ogromnym słońiu kosztowne dary dla Augusta.

Na przeciwniej stronie obrazu, (zapewne dla symetrii ze słońiem), jadą na wielbłądach Arabcy w białych burnusach, z boku stoi stary rudo-brody, okryty gałganami żyd, wydający się jak plama pośród otaczającego go zbytku. Jestto zapewne ojciec żyda wiecznego, przeczuwający dolę swego potomstwa. Z kijem pielgrzymim w dłoni i dziadowską torbą na plecach, przypatruje się z szyderstwem temu orszakowi pogardzających nim ludów, które pierwój niż on zaginać mają.

Pośród tych tłumów w samym-środku obrazu, błyszczy jasna grupa, którą anioł rozpostartemi ościana skrzydłami. Podczas tryumfów Augusta, w ciemnej stajence rodzi się Dzieciątko, zarodek nowego wieku na łonie starego poczęty:—Chrystus przychodzi na świat.

Malarz dla żywszego kontrastu pomiędzy pogańskim a chrześcijańskim światem, światem materji a światem ducha, gotyckim sposobem wymalował św. rodzinę: Maryą Józefa i Dzieciątko starał się oddać z Rafaelowską prostotą. Jestto bardzo szczęśliwa myśl, dodająca wiele efektu obrazowi. Prócz téj jest tam jeszcze inna, niewyraźna, ale zrozumiała dla tych, co uważnie obejrzą tę kompozycją. Widząc Augusta na złotym tronie, który sam jeden przeważa napływające tłumy, koniecznie myśl się nasuwa, że ta wezbrana rzeka zaleje w końcu ową jasną wyżynę, na której pokój, poezya i sztuki do siebie się uśmiechają.

Cały układ wieku Augusta niezmiernie jest wysoki i filozoficzny. Ogromny ten obraz wykonany lekko, bez przesady ani wyszukanych efektów, dla historyków równie jak dla artystów jest niewyczerpaną kopalnią

spozrzeżeń. Chętnie dłużejbyśmy przy nim pozostali, gdyby smutny a wymowny pędzel Cognieta nie pociągał nas w inną stronę. Heż bo obrazów stawy lub szczęścia porzuca człowiek, pociągniiony bolesnym jękiem ludzkiej niedoli, którą Cogniet tak żywo, tak gorąco oddał w swym Tintorecie malującym umartą córkę.

Tintoret nieutulony w żalu po śmierci młodej żony, całą miłość swoją przelał na córkę, którą mu zostawiła. Młodziuchna Marya Tintoretta była radością, uśmiechem, jedynym kwiatkiem kwitnącym w ojcowskiej pracowni; malowała równie pięknie jak ojciec i tak go kochała, że go nie chciała opuścić, chociaż świetne nastroczały jej się zameścia. Ale śmierć nieubłagana przerwała jasny wątek wspólnego ich życia. W roku 1590 dwudziestoletnia Marya umarła.... Czy Tintoret miał odwagę, jak to przypuszcza Cogniet, malowania swęj jedynęj, ukochanęj, rozciągniętęj na śmiertelném łożu córki, patrząc nań łzami zaćmionemi oczyma: tego nie powiada biograf; czy był więćej artystą niż ojcem? także nie mówi. Cóżkolwiekbaż, nie psychologicznie, ale artystycznie na nią się zapatrując, kompozycya Cognieta rozdzierający ma powab.

Dziewica leży martwa na postaniu, które wkrótce trumna zastąpi. Piękna jej głowa w marmur śmiertelném zimnem przemieniona, spoczywa na poduszce oparta. Stary ojciec w poszarpanej odzieży, starganym włosem, z wyrazem niemęj rozpaczy, przenosi na płótno drogie rysy, zanim mu je grób zakryje. Błada lampa umarłych, czerwonym blaskiem oświeca bolesną scenę.

Obraz ten ogromne sprawił wrażenie na wystawie tutejszëj 1843 roku, na której piérwszy raz pokazał się światu. Najdawniejszy utwór Cognieta, Rzeź niewiniątek, wykonany jeszcze w 1824 roku nie może iść w porównanie z córką Tintoretta, która jest arcydziełem. Portret markizy odzianęj w szkarłatny aksamit i koronki, jest jeżeli nie najlepszy, to jeden z najlepszych portretów na wystawie. Sztukę robienia portretów Cogniet nietylko sam w bardzo wysokim posiada stopniu, ale umie udzielić jej drugim. Dowodem portret matki, który wystawił uczeń jego pan Rodakowski. Dzieło pana Rodakowskiego natchnione gorącym matki uściskiem, dorównywa najlepszym utworom Cognieta: obaj malują pędzlem pełnym uczucia i wdzięku, który dzieła

ich zdaleka we francuzkiej galeryi rozpoznać dozwala. Oprócz portretu matki, Rodakowski wystawił portret dyrektora muzeum Luwru pana Villot. Wielkiego obrazu jego bitwy chocimskiej (z wielu względów znakomitego dzieła, o którym szczegółowo mówiliśmy czytelnikom naszym w Kronice zagranicznej), zapewne z powodu miejscowych i czasowych okoliczności na wystawę nie przyjęto.

Największe dwa obrazy w największym salonie galeryi francuzkiej są pędzla Mullera. Jeden powszechnie znany przedstawia „Apel ostatnich ofiar terroryzmu;” drugi „Wejście do Paryża 30 marca 1814 r. rozbitków wielkiej armii. Pan Muller znakomity malarz swojej epoki, same nowoczesne przedstawia wypadki. Nie szuka on po kronikach zaćmionych legiend, ani z zapadłej przeszłości wydobyte dziwadła przedstawia oku żyjącej generacyi. Malować figury Achillesów i Agamemnonów epoki naszej, ubranych jak my, odtwarzać typy nie uczczone posągami, a posągowe: oto założenie artysty śmiałe i trudne, ale dowiódł, że dla niego całkowicie przystępne.

Pierwszy z wymienionych obrazów, jeden z najpiękniejszych w luxemburskiej galeryi, przedstawia zgromadzonych w Consergerie więźniów skazanych na śmierć. Urzędnik rzeczypospolitej w trójkolorowej szarfię czyta nazwiska tych, których głowy najpierw spaść mają pod gilotyną. Nieszczęśliwi, dech wstrzymując słuchają czyje wypadnie imię z ust czytającego. Wymienionych krępują katy.

Jestto scena całkowicie prawdziwa: prawie wszystkie na obrazie zgromadzone figury (a jest ich sto przeszło) są portretami nieszczęsnych ofiar owych dni strasznych, kiedy „gilotyna ręką machała stalową, a ilekroć skinęła, lud umniejszał głową.”

Na przodzie siedzi Chenier blady jak chusta. Wyraziste oczy jego zdają się napróżno silić na przeniknięcie mgły, która mu nie już jego, ale los pozostających krwawą łuną zakrywa. Oparty na krawędzi krzesła, niespokojną myśl zwraca znów ku sobie: uderza ręką w czoło i zdaje się mówić słowa, które wyrzekł kładąc głowę na fatalnej desce: „Przecież tam musi być coś!”

Rozdzierające sceny wokoło otaczają młodziana: bezsilni pasują się z przemocą, gwałt, niema i głośna

rozpacz, prośby, przekleństwa, modlitwy i ztorzeczenia, jednym chórem płyną w nieubłagane niebiosa... A wszystko tu konwulsyjnie żywe, przerażające, straszne...

Piękne kobiety pełne powabu i dostojności, których ubiór wykwintny jest jakby ostatnią protestacją arystokracji przeciw gwałtom frygijskiej czapki, widne tu i owdzie pośród szarego tłumu, jak białe lilie wśród chwastu, łagodzą nieco krwawy ten dramat, na który patrzeć bez dreszczu nie można.

Dzień 30 marca 1814 r. krwawemi zapisany literami w kalendarzu historii francuskiej, odpowiada formą i duchem poprzedniemu obrazowi. Nad bramą Saint-Denis wiszą szare, jednostajne niebiosa, ciężkie jak dach ołowiany. Z otwartych okien nieruchomi patrzą widze, bezlistne drzewa nagie wyciągają gałęzie, środkiem drogi, jakby rzeka niosąca szczątki sławy cesarstwa, płynie długi szereg rannych wszelkiej broni i rangi: bohaterowie stariej gwardyi, artylerzyści, woltyżery, strzelcy, kirasiery, utany, i proste piechury, postrzelani, pokłuci, porąbani, ledwie się wloką żalując, że nie polegli, kiedy tyle męztwa nie ocaliło Francyi. Wchodzą ze ściśniętym sercem i gorzką łzą w oku w te same bramy, które opuszczali pełni radośnej otuchy. Paryż przyjmuje ich ze smutnym współczuciem i pomoc im niesie na wyścigi. Ten oto oślepty oficer już znalazł swoją Antygone, tutaj kobiety opatrują nogę starego wiarusa, tego pod ręce prowadzą, temu krew z rany ciekącą tamują. Z tych wszystkich ludzi nie złożyłby jednego całego człowieka, a jednak te kaleki niepomne własnej nędzy i bolu, tu i owdzie rzucając w górę czapki, krzyczą: „Niech żyje cesarz!”

Niełatwo było oddać gorąco ten dzień bezstoneczny, te zropaczone twarze 200 ludzi, zabłocone i podarte odzieże: słowem ten zboczony łachman, który kiedyś był armią; dać uczuć, że pod tą w strzępach odzieżą, pod krwią co zalała szlachetne rysy i zamazała czerwone wstążeczki, jeszcze żywo bije serce Francyi.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).



KRONIKA LITERACKA.

Osann, o fragmentach Troga, wydanych przez Bielowskiego.

Wyszle przed rokiem we Lwowie Pompeja Troga ułamki, nie znalazły w Polsce krytyka, któryby ich zalety i niedostatki ze stanowiska naukowego wytknąwszy, okazał, czém są właściwie między dzisiejszemi na polu filologii klassycznej pojavami. I nie dziw: nauka, jak wszelki plon, potrzebuje właściwego pola i odpowiedniej sobie uprawy. W krajach sąsiednich, gdzie mnóstwo posad wyłącznie naukowych, zdolności narodowe wokoło siebie gromadzą, pozwalając zaprowadzić na wielki rozmiar podział pracy, dla wzrostu umiejętności tyle zbawienny, i oddawać się całe życie, pewnych, odrębnych nauk pielęgnowaniu. Góruje w tym względzie Niemcza w wielomilionowym ogromie swoim na liczne kraje i kraiki rozdrobniona, a której sam skład polityczny w innych względach mniej może dogodny, okazał się nader przyjazny pewnym naukowym usposobieniom, a przedewszystkiem filologii. Jakoż mnóstwo jest w Niemczech mężów, co usilnie a w skromności ducha około odgrzebywania i wyjaśnienia bądź starożytnych, bądź średnio-wiekowych pomników pracując, zasłużyli się wielce naukom, i imię swoje obok tychże pomników do potomności przesłali. Są między nimi i tacy, co wzrok swój na wzorach starożytnych zaprawiwszy, przeniknęli z bystrością nowsze źródła dziejowe i samém zamięłowaniem umiejętności kierowani, wnoszą światło i w dzieje nasze ojczyste, a ich imiona spominane są u nas z uwielbieniem. Nie będzie przeto rzeczą dla ziomków naszych obojętną, dowiedzieć się, jakie jest zdanie tychże Niemców o książce, która z dwojakiego względu nas najbliżej tyczy się: raz, że zawierające się w niej ułamki historyka starożytnego głównie w polskiej, Ossolińskich bibliotece były wykryte; powtóre, że we Lwowie i przez rodaka wydane i objaśnione zostały.

Zpomiędzy znawców, jacy się dotąd ze zdaniem o dziełku pana Bielowskiego w Niemczech odezwali, zasługuje na największą uwagę *Fryderyk Gotthilf Osann*, tak przez swoje stanowisko jakie między filologami zajmuje, jako też ztąd, że w sprawozdaniu swoim nie ogranicza się na jednym lub drugim z ważniejszych szczegółów, ale przechodzi krok za krokiem całe to dziełko: wytacza starannie dowody mówiące tak za jednem zdaniem, jak za drugim; a wyrokuje oględnie i z wielką sumiennością. Recenzją jego w piśmie lipskiem: *Neue Jahrbuecher fuer Philologie und Pädagogik, Band LXX, Heft I*, stron. 54—69 umieszczoną, podajemy tu w wiernym przekładzie. Jeżeliśmy się atoli odważyli, obok zdan takiego znawcy, dołączyć tu i owdzie w przypisku naszą uwagę: uczyniliśmy to nie w celu ubliżenia w czémkolwiek tak znakomitemu mężowi, lecz że rzecz przez niego rozbierana, była przez czas długi takż i naszych studyów ulubionym przedmiotem; żeśmy się z jej widokami oswajali już wtedy, kiedy jeszcze w rękopismach leżała. Skoro w tych naszych uwagach nie ograniczamy się na gołym wynurzeniu zdania, ale zarazem wyluszczamy powody, które nas do takowego skłoniły: czynimy przeto, jak się nam zdaje, rzecz pożyteczną dla tych, którym na wszechstronném obejrzeniu przedmiotu i wyświeceniu prawdy zależy; i tém mniej może nam to wziąć za złe uczony sprawozdawca, z którego biografii podajemy tu kilka szczegółów dla polskiej publiczności.

Fryderyk Gotthilf Osann urodził się w r. 1794 w Wajmarze, nauki pobierał w Jenie i w Berlinie. od r. 1813 oddając się głównie filologii. W tém ostatniem mieście habilitował się roku 1816. Robił potem podróże w celach naukowych po Niemczech, Anglii, Francyi i Włoszech, od r. 1817 do 1819; wróciwszy, uczył czas jakiś w Berlinie, a w r. 1821 został professorem w Jenie. W roku 1825 przeniósł się do Giessen, gdzie zostaje dotąd, i jest zarazem dyrektorem filologicznego seminaryum, którego sam jest założycielem. Z licznych dzieł jego, które wszystkie niemal do wydziału filologicznego należą, wymieniamy tu następujące:

Analecta critica poesis Romanorum scenicae reliquias illustrantia. Berl. 1816.

Ueber des Sophocles Ajas, Berl. 1820.

Auctuarium lexicorum graecorum. Darmst. 1824.

Beitraege zur griechischen und roemischen Litteratur-geschichte, II. B. Darmst. 1835—1839.

Commentatio grammatica de pronom. tert. personae is, ea, id, formis. Gotting. 1845.

Anecdotum romanum de notis veterum criticis imprimis Aristarchi Homericis et Iliade Heliconica, Giess. 1851. Prócz tego wydał:

Sylloge inscript. antiq. Graecor. et Roman. Darmst. 1822, 1834.

Apuleii de orthographia fragmenta. Darmst. 1826.

Taciti dialogus de oratore. Giess. 1829.

Ciceronis de republica librorum fragmenta. Gotting. 1847.
Suetonii Tranq. de grammaticis et rhetoribus libelli ex ejusd.
opere de viris illustr. superstit. Giess 1854; i wiele innych.

Gdy po odkryciu palimpsestu Cyceronowych ksiąg *de republica*, zwrócona została uwaga tak na to dzieło, jako i na wszelkie wzmianki o niem. a w sangwiniicznych uniesieniach, inne jeszcze rękopisma dzieła tego wykryć się spodziewano: odżyła na nowo powieść o polskim dzieła tego kodexie. Jakoż dobrze obeznany z polską literaturą Wilhelm Munich professor krakowski, starał się za pomocą swój rozległej nauki, wszelkie pośrednie lub bezpośrednie ślady jego wytropić w dziełku: „*Ciceronis libri de republica illustrati, Goettingae, 1825 r.*” Poszukiwania jego nie odniosły innego skutku, jak tylko ten, że przez nie wieść o znajdowaniu się niegdyś w Polsce kodexu tego stwierdzona została. Natomiast książka pana Bielowskiego, o której tu mówić zamierzamy, nietylko nadaje owój kwestyi całkiem nowy i niespodziany obrot, jak to na końcu niniejszego artykułu wskażemy; lecz wyciąga na jaw drugie podobne dzieło, mianowicie Pompeja Troga Historyą Fillipicką, dotychczas tylko ze skrócenia jakowegoś Justyna nam znaną; a wyciąga je z większym skutkiem, albowiem nie tylko stara się udowodnić, że pomienione dzieło Troga znajdowało się w Polsce, i było wielokrotnie wypisywane, ale podaje nawet ułamki z niego, które w skutek takowego użytkowania przechowały się. Jakkolwiek rzecz ta sama w sobie uważana, nie jest niepodobna do prawdy, zwłaszcza gdy sobie przypomnimy, że mimo wszelkiego zkadinał w krajach owych barbarzyństwa. literatura starożytna tu i owdzie znachodziła przytułek, w którym szczątki literatury Rzymian uszły zniszczenia, czego dowodem jest naprzykład Kodex polski Kwintyliana; przecież wymaga ona najsurowszój krytyki, témbardziej, że nie chodzi tu już o sprawdzenie głuchój jakowejś wieści. ale o wzbogacenie saméjże literatury rzymskiej niepoślednią liczbą fragmentów z dzieła owego, aczkolwiek po większej części w nowszym przestroju. Stwierdzą się te odkrycia, tedy winni będziemy panu wydawcy tém większą wdzięczność za to niespodziane wzbogacenie nas materyałem naukowym do dziejów starożytności, że wynalezienie tych fragmentów niemało pracy i badań wieloletnich wymagało; w przeciwnym zaś razie jest obowiązkiem niezbędnym, czystość literatury starożytnéj od wtretów jak najsurowiej ochraniać. Zamierzając tu sąd nasz w téj mierze wynurzyć, opieramy nasze ku temu uprawnienie na sumienném wszystkich w dziełku tém zawartych fragmentów badaniu; musimy atoli wyznać, żeśmy jedną okoliczność, dla istoty rzeczy nieobojętną, zupełnie pominąć musieli, mianowicie kwestyą o wiarogodności i pewności polskich pisarzy, z których część największa fragmentów została wyjęta. Gdy jednak biegły w ojczytój swojej literaturze i dziejach p. wydawca,

żadnej w tej mierze nie podnosi wątpliwości, mnie więc jako sprawozdawcy, z mojego stanowiska, nie zostało nic innego, jak przyjąć podania te bez żadnego podejrzywania; i w rzeczy samej, o ile sądzić w tym mogę, nie ma tu żadnych do podejrzywania powodów (1).

P. August Bielowski od roku 1845 bibliotekarz przy lwowskiej Ossolińskich bibliotece, ile się zdaje, bardziej literat i historyk jak filolog, chociaż obeznany dobrze z tą okolicznością, że pisarze późniejsi z Justyna czerpając, powoływać się zwykli na Troga; postrzegł imię tego ostatniego na jednym kodexie Ossolińskich przy wypisie, który u Justyna zgoła się nie znachodził. Tym pobudzony został do dalszych śledzeń, a wsparty odkryciem kilku innych małych fragmentów w rękopismach tejże biblioteki, przyszedł do przekonania, że „Pompeja Troga dzieje Filipickie, jeżeli nie całe, tedy pojedyncze ich księgi, albo przynajmniej inne jakies oprócz Justyna wyciągi z nich, krążyły w Polsce aż do wieku XVII.” W tym celu zwrócił następnie uwagę swoją na kronikarzy polskich tak w rękopismach zostających, ile mu takowe były dostępne, jako i drukiem ogłoszonych; a poszukiwania jego nie były bez skutku

Do najważniejszych źródeł, które pan wydawca w przedmowie dokładnie wyluszczył, a których treściwego wymienienia sam przedmiot wymagał, należy kronika Wicentego Bogusławicza, (którego Kadłubowiczem lub poprostu Kadłubkiem zowią, przełożywszy imię ojca jego Bogusława, na odpowiednie niemieckie *Gottlob*). W roku 1207 podniesiony on został do godności biskupa krakowskiego, a w roku 1223 jako mnich umarł. Kronikę zmarłego w roku 1166 biskupa krakowskiego Mateusza, przerobił Wincenty w dyalog na wzór Cyceronowych ksiąg „*de republica*”; i takową na trzy księgi podzieloną uzupełnił księgą czwartą własnego utworu. Obaj ci kronikarze znani są jako wiarogodni świadkowie i znawcy literatury klassycznej. P. wydawca kronikę Wicentego przytaczając, wziął wprawdzie za podstawę wydanie warszawskie *Res gestae Principum et Regum Poloniae per Vincentium (Kadłubkonem) etc accidit chronicon Polonorum per Dzierzswam (Miersuam)*". Atoli obok tekstu drukowanego radził się raz po raz rękopismów, których mnóstwo miał na swe zawołanie, i niemal z nich wyniósł pożytek. Dostarczyły mu też kilku ważnych fragmentów dwie kroniki Bielskiego w Białej, w województwie sieradzkim urodzonego, a zmarłego pod koniec wieku XVI, mianowicie jego *Kronika świata i Kronika polska*: obie acz drukowane, dziś jednak bardzo rzadkie. Nakoniec oprócz kilku rękopismów biblioteki Ossolińskich, o których powie się ni-

(1) Ostrożność z jaką tu sprawozdawca dotyka pytania o wiarogodność polskich pisarzy, może zastanowić niejednego czytelnika i wydać się zbyteczną; atoli nie zadziwi ona nikogo z tych, którzy wiedzą, jakiego potwarze na kronikarzy polskich rozsiewał po Niemczech na początku tego już wieku H. L. Schlözer i inni. (*Przyp. tłum.*).

żej, posłużył p. wydawcy do tego celu Długosz, roku 1415 urodzony, a zmarły w 1480, jako nominat arcybiskup lwowski. Został on *Historią polską* w dwunastu księgach, i wyciągi różne z klasyków dla uczniów swoich, a synów Kazimierza Jagiellończyka króla polskiego robione.

Z tych tedy źródeł cokolwiek przydać się mogło do Troga, i miało bądź wyraźnie położone jego imię, bądź prawdopodobieństwo za sobą, że z niego wzięte zostało: ułożył p. wydawca na księgi według porządku dzieła Justynowego, nie gardząc i temi ułamkami, które zgodne są z Justynem; a przeto niekoniecznie potrzebują być uważane jakoby bezpośrednio z Troga były wyjęte. Postępowanie takie, jako obejmujące wszelki materiał przydatny tak dla Justyna jak Troga, ze wszelkich miar na pochwałę zasługuje. Do Justyna należą fragmenta następujące: 9, 12, 17, (1) 18, 19, 23, 26, 27, 28, 34, (z Justyna XXXVII, 2 nie XXVII. 2). Do tych ułamków dodał wydawca tymże samym porządkiem takie, które bądź wskazane już były przez wydawców Justyna, bądź niepostrzeżone przez nikogo, acz w dziełach drukowanych znajdujące się. Mamy więc teraz, odpowiednio dzisiejszemu stanowisku, zbiór fragmentów Troga tak zupełny, że do niego tylko drobny z jednego wyrazu *rectes* składający się fragmencik dodać możemy; któryto wyraz przez Troga w rodzaju męzkim użyty, podany jest jako osobliwość przez autora dzieła: „*De generibus nominum*,” na stronnicy 59, wyd. Otta, a dawniej już przy Owidego *Halieutica* przez Haupta wydany. Ogół fragmentów ogłoszonych przez wydawcę wynosi 53; między temi trzy są z ksiąg niewiadomych, zaś ośm z dzieła: *De animalibus*.

Wracając do głównego zadania, zasługuje przedewszystkiemu gorliwość i wytrwałość p. wydawcy w wysledzeniu fragmentów, równie jak starannie i uczone ich opracowanie, na najzaszczytniejsze wspomnienie. Usiłowaniom tym oddać trzeba sprawiedliwość tém większą, że w skutek tychto usiłowań musimy dziś uważać za rzecz udowodnioną, iż w Polsce dawniej (czy i teraz? wątpliwość) znajdował się rękopism zawierający bądź całe dzieło Troga, bądź jakoweś z niego pozostałki. Jakoż przyjmujemy z wdzięcznością podany nam plan téj pracy, chociażby jego objętość przy ściślejszym każdego fragmentu roztrząśnieniu zmniejszyć się miała. Jakkolwiek bowiem panu wydawcy, przy wyborze pojedynczych fragmentów, na przezorności krytycznej nie brakło; przecież uniesienie dla swego wynalazku, aczkolwiek słuszne i dające się zupełnie usprawiedliwić, mogło tu i owdzie przytępić w téj mierze jego wzrok. Okoliczność ta wszakże nie zmniejsza wartości jego zasługi, albowiem większa i znakomitsza część danych nam przez niego fragmentów jest tego rodzaju, że albo z wielką pewnością,

(1) Jeżeli u Wincentego nie masz drugiego *apud*, można to przyjąć jako bardzo przydatny wariant, gdyż bardzo łatwo mógł je przepisywacz dodać dla dopełnienia parallelizmu. *Insultare aliquem* mówi Justyn także XLII. 4. 8.

albo z wielkim prawdopodobieństwem Trogowi przyznana być musi. Do usprawiedliwienia naszego twierdzenia, zdaje nam się, że przy względnej różnicy wiarogodności każdemu z przytoczonych świadków należnej, obierzem drogę najlepszą, jeżeli pojedyncze fragmenta roztrząsać będziemy według kolei ich pochodzenia, nie według kolei, w jakiej są nam podane; chociaż i w takim razie jak to z natury rzeczy wypływa, sąd nasz od pewnej indywidualności zapatrywania się zupełnie wolnym być nie może.

Widoczny dowód pomylenia się p. wydawcy postrzegamy zaraz w pierwszym fragmencie z Kroniki Wincentowej zaczerpniętym i przypisywanym Trogowi. Jakkolwiek bowiem fragment ten starożytnym kolorytem i językiem aż do pewnego stopnia klasycznym odznacza się, (oprócz konkluzji, w której nieklassyczne *principandi* przychodzi), przecież można go uważać za nic więcej, jak tylko za przerobienie słów Trogowego Epitomatora, jak to zestawienie obu tekstów jasnie okaże.

• WINCENTY.

JUSTYN 1, 3 (1).

„Vir muliere corruptior Sardanapalus. Hunc namque Arbactus praefectus ejus,

cum inter scortorum greges muliebri habitu et lascivia,

pensa virginibus vidisset dispensantem:

indignum esse, inquit, viros ei parere, qui se feminam esse malit quam virum. Ergo a suis et bellum infertur,

qui victus, extracta pyra et se et divitias in incendium mittit, hoc solo imitatus virum. Arbactus vero imperio potitur:

„Postremus apud eos regnavit Sardanapalus, vir muliere corruptior. Ad hunc videndum, quod nemini ante eum permissum fuerat, praefectus ipsius, Medis praepositus nomine Arbactus, cum admitti magna ambitione aegre oblinuisset: invenit eum inter scortorum greges purpuras colorentem et muliebri habitu cum mollicia corporis et oculorum lascivia omnes feminas anteiret, pensa inter vixines parcientem. Quibus visis, indignatus tali feminae tantum virorum subjectum tractantesque (2) ferrum et arma habentes parere; progressus ad socios, quid viderit refert; negat se ei (3) parere posse, qui se feminam malit esse quam virum. Fit igitur coniuratio: bellum. Sardanapallo infertur; quo ille audito, non ut vir, regnum defensurus, sed, ut menu mortis mulieres solent, primo latebras circumspicit: mox deinde cum paucis et incompositis in bellum progreditur. Victus in regium se recepit, ubi extracta incensaque pyra, et se et divitias suas in incendium mittit,

(1) Udzielamy ten ustęp według wyborzonego rękopismu Senkenbergskiego, ze wszystkimi jego myłkami pisarskimi.

(2) *Lanam* opuszczono niezgrabnie w rękopiśmie.

(3) Tak z drugiej ręki, zamiast: *et*.

laude potius quam vituperio dignior, qui non principandi appetit potestatem; sed miserabilem patriae ruinam miserantibus humeris potentius suffulsit."

*hoc solo imitatus virum. Post hunc rex constituitur interfecto-
r ejus Arbactus, qui praefectus Medorum fuerat. Is imperium ab Assyriis ad Medos transfert.*

Jak można wierzyć, żeby Epitomator tak jedyny i zwięzły tekst, w ten sposób rozwlekał, albo poprostu wodnistym uczynił? (1). Co się zaś tyczy większego fragmentu 3, uznajemy słusność dowodów przez p. wydawcę na str. 51 wyluszczonych, i zgadzamy się na to, że fragment ten, takż w Wincentowej kronice znaleziony, jest istotnie wzięty z Troga. Odnosi się on do królowej Skityjskiej Tomyris (2), którą Herodot i inni, królową Massagetów nazywają, a cała treść jego, podaje nam zdarzenie zupełnie dotąd nieznanne.

Taką samą myłkę p. wydawcy postrzegamy w fragmencie 7, w którym użytowanie ze słów Justynowych II. 5, jest jeszcze widoczniejsze. Dodatek Wincentego: *ut hos vel illas nec poena dissimiles nec dispares fecerit sceleris immanitas*, na który wydawca główny przycisk kładzie i o którym nie ma śladu w Justynie, nie zawiera żadnego nowego faktu, lecz tylko rozumowanie, które wyśmienicie przyznać można skoremu do podobnych wniosków Wincentemu. tak samo jak np. w fragmencie 18, przyczepiona uwaga moralna: *decet enim* i t. d. jest podobnymże samego Wincentego dodatkiem. Tak téż ma się z fragmentem 12 porównanym ze słowami Justyna III. 4. Kiedy przy tym fragmencie o wyimku przytoczonym z Bielskiego p. wydawca trafnie uważa, że go Bielski pośrednio tylko z Troga zaczerpnął, tedy twierdzeniu jego nadają zupełną pewność słowa *matribus non salutatis*

(1) Tu zaszło nieporozumienie między wydawcą a szanownym recenzentem. Przytaczając ten fragment wydawca, wskazał na względne miejsca u Justyna, był bowiem tego przekonania, że Wincenty tak samo jak Justyn wyjął rzecz z Troga; ale żeby taki sam tekst był w Trogu, to jest aby tylko to się w nim znachodziło, co podał Wincenty, tego bynajmniej nie twierdził. Przeciwnie, jeżeli weźmiemy na uwagę tę okoliczność, że Trog historiją Assyrow głównie za Klezjaszem opowiadał, tedy potrzeba przyznać, że ani Justyn nie wyjął z Troga nawet głównych szczegółów o Sardanapalowym upadku, albowiem takowy poprzedziła uparta kilkoletnia wojna. Obacz Diodora II, 23—28. Jakoż za mniemaniem tém, że Wincenty zajrzał tu do samego Troga i powieść jego skrócił, mówi ta okoliczność, że nic nie powiedział, jakoby Arbactus przeniósł władzę od Assyrow do Medów, jakto robi Justyn. I rzeczywiście państwo Assyryjskie zostało w całości, a nawet wzniosło się na szczyt potęgi, rozszerzywszy swoje granice aż ku Egiptowi, i tylko dynastia została zmienioną. Medya zaś prawie o sto lat później pod Dejokiesem oderwała się od Assyrii (Herod. I. 96—102) za rządów Assyryjskiego króla Sanacharyba albo raczej dopiero pod Fraortesem (Arfaxadem); który wszakże przez Assyrow jako uzurpator uważany, zginął w bitwie pod Ragami (Jud: 1—6). Te wszystkie okoliczności w tak krytycznym historyku, jakim był Trog, nie mogły być pominięte.

(Przyp. tłum.)

(2) W rękopiśmie Giessenńskim Justyna, zawsze *Tamyris*.

z Justynowemi: *nec salutatis matribus* porównane. Fragment 20, którego treść raczej nauk przyrodzonych niż historii tyczy się. Jakkolwiek zdaje się stać w związku z fragmentem 19, pomijamy tu, albowiem źródło z którego Wincenty go wyjął, wymienione nie jest. Przeciwnie zasługuje na uwagę wariant: *ultra Istrum et citra*, który pan wydawca do fragmentu 27 w szląsko-polskiej *Chronicon Polonorum* przytoczył (1). Przy fragmencie 40 jedną tylko okoliczność uwzględniając, mianowicie że Justyn XLIII. 3 i 4 wzmiankuje o królu Segobrygiów *Nanusie* (u Wincentego *Nannides*), zawiązuje p. wydawca pośpiesznie, że opis obszerny śmierci króla tego, zabitego przez syna, z Troga, którego imię tu nie wymienione, jest wzięty.

Chociaż przy fragmencie 21 odnoszącym się do Antygona, źródło także wymienione nie jest, z porównania go jednak z Justynem XIV, 4 widoczna, że lub z niego lub z Troga został wyjęty. Jeżeli p. wydawca oświadczył się za tym ostatnim, a to z przyczyny podanego tu zupełnie nowego faktu: *perfidiae cauterio frontibus impresso*, którego nie ma Justyn, chociaż go wypuszczać był nie powinien: tedy nie ważymy się przeciwieć się w tém jego zdaniu. Przypuściwszy tedy bezpośrednio w tém miejscu użytkowanie z Troga, ukazuje się tu zarazem ta ważna okoliczność, że Justyn chociaż był Epitomatorem, zatrzymywał mowy tak, jak je Trog bohaterom swoim kładł w usta; tymczasem oto Wincenty mowę Eumenesa, którą sposobem ukośnym był podał Trog (ob. Justyn XXXVIII 3), zmienił tu na mowę prostą. Tę ostatnią okoliczność możnaby właśnie podnieść przeciw twierdzeniu p. wydawcy (2). Taki sam stopień prawdopodobieństwa ma za sobą fragment 45, tyjący się dziejów macedońskich, przy którym także

(1) Dodatek ten jest dlatego ważny, że w Justynie miejsce jego zastępuje niedorzeczny wtęt: *velut rer sacrum*. Niedorzeczny mówię dlatego, ponieważ wychodztwo Celtów było spowodowane przeludnieniem (Liv. V. 34). Tymczasem *ver sacrum* jest instytucją Sabelów, z którą łączyło się zajmowanie osadniczych stanowisk, które nawet nie miały znamion podboju, a nie walne wychodztwo w nieznane dalekie kraje.
(Przyp. tłum.)

(2) Szanowny recenzent zdaje się tu przypuszczać, że Justyn podał mowę Eumena nie prosto, ale ukośnie; to jest, zwracając się z nią głównie do czytelników nie do słuchaczy; w skutek takiego to przypuszczenia nasuwają mu się tu niektóre wątpliwości. Otóż winniśmy oznajmić, że rzecz ta ma się inaczej. Justyn bowiem, który w księdze XXXVIII, obszerną mowę Mitrydata, ulubionym Trogowi sposobem ukośnym przytoczył, mowę Eumena podał wprost, nie ukośnie. Wypływa ztąd naturalnie, że i takie mowy musiały się tu i owdzie w dziele Troga znachodzić. Jakoż krótka i gwałtowna do żołnierzy mowa Eumena, jest tego rodzaju, że w sposób ukośny oddana, utraciłaby całą swą piękność. Kiedy więc tym samym sposobem znachodzimy ją wyłożoną i u Wincentego, okoliczność ta nietylko nie osłabia twierdzenia p. wydawcy, iż źródłem Wincentego musiał być ten sam Trog, ale je nawet popiera; skoro wiemy, iż nawet w samej mowie Mitrydata, Trog nie trzyma się niewolniczo przyjętych przez siebie przepisów, ale niekiedy ku słuchaczom się zwraca, co już jego objaśniaczy niemało zdziwiło.
(Przyp. tłum.)

źródła nie wymieniono. Treścią jego jest wdarcie się na tron macedoński niejakiego Ipandra (1). Tak samo ma się rzecz z fragmentem 32m, chociaż i w nim Trog wymieniony nie jest. Wspomniony tu król getycki *Roles*, czyli *Oroles*, ściągnął już na siebie był uwagę Municha, który o nim w przytoczonym dziele, str. 121, nadmienia. Podzielamy też zdanie p. wydawcy i co do fragmentu 38, którego początek aż do słów *abiici iussit*, ma Justyn XL. 6; żąd słuszny wniosek, że i część dalsza tego fragmentu przez Justyna, jako za szczegółowo w rzecz wchodząca, wypuszczona została: ale bezwątpienia Wincentego wymysłem nie jest, lecz wiadomością z Troga, aczkolwiek nie co do słowa wypisaną. Ustęp ten jest zanadto interesujący i ważny dla niewyjaśnionych dotąd dziejów baktryjskich władców, abyśmy tu o nim zamilczeli. Opiewa on tak:

„Regem siquidem Bactrianorum Eucraditem filius, iam regni socius a patre factus ambitu interjecit; qui quasi hostem non patrem occidisset, per sanguinem ejus, et corpus inhumatum abiici iussit, sed non sine ultione. Hujus enim parricidae unicus parvulus avi morte anxius, ignavis custodibus nemus ingreditur, dolorem anxietatis morsibus ferarum optat finire. Qui per dies aliquot per lustra vagabundus, fungis et radicibus latranti stomacho succurrit; novissime cuiusdam gustu radicis pestiferae in languorem prosternitur, quo fatigatus, quasi animam exhalaturus oscitare coepit. Oscitantis ori serpens illabitur, cognata forsitan sue pestilentie radice illectus, hic introreptans, herbas crudas et indigestas ad os stomachi revocat et ad vomitum impellit. Pater interea venatibus indulgens, diutissime quaesitum et desperatum, sic tandem vomitantem invenit: qui cum rugitu super adolescentulum provolvitur, lacrymis effluit, ad os moribundi os applicat et hiantem osculis fatigat. Illico serpens osculantis labio morsum inpingit, quo laesus pater ac territus repente resiliit, et serpentem vix cum parte labii abstrahit et obterrit (obterit?), parvulumque semianimem ad suos reportat. Et in brevi redditur sospitati adolescens, omni veneno evomito. Patrem ex vulnere serpentis infusum virus in vesaniam vertit: qua saevissime agitato, cum alios appetere non posset, linguam, labia mordicantim sibi detruncans, absorbet. Sic propria membra dimordicans vix tandem exspirat. (2). Jeżeli to zdarzenie za wiarogodne uznamy,

(1) W niektórych rękopismach Wincentego, imię to brzmi *Ipsander*. (Przyp. tłum.).

(2) Trog opowiadając o zbrodniach Ptolemeja Kerauna króla macedońskiego (Just. XXIII, 3), dodaje: *nec Ptolemaeo inulta scelera fuerunt*. I w przytoczonym fragmencie znajdujemy to samo zdanie. Z czego widać, że był to pisarz przejęty głębokim uczuciem religijnym, i zapatrywał się na historią jako na sąd Boży. Jeśli zaś ten szczegół potwierdza owo mniemanie, że fragment ten z Troga jest wyjęty, słuszną więc wnosić, że i fragment 40, w wątpliwość podany przez p. sprawozdawcę, należy Trogowi przypisać, tém bardziej, że o ile wiadomo, on jeden w języku łacińskim dzieje Celtów opowiadał.

(Przyp. tłum.).

tedy mamy w niém dowód niepośledni do rozstrzygnięcia kwestyi o bytności Eukratydesa II, króla baktryjskiego, którą Raoul-Rochette z taką gorliwością pod dyskusyją wytaczał; o czém jednakże nie tu jest miejsce do mówienia.

Przystępujemy do wypisów z Bielskiego. Fragment 10 tyżący się złupienia świątyni delfickiej zamierzonego przez Xerksa, możnaby uważać za obszerniejsze nieco rozrobienie wiadomości wziętej z Justyna II, 12. Wszelako można się zgodzić i na to, że kronikarz wyjął go z pierwotnego źródła, skoro porównamy z nim dwa inne fragmenta przez p. wydawcę pod 33 i 35 przytoczone, o których nie masz wątpliwości, że z Troga były zaczerpnięte. Pierwszy z nich w języku polskim opiewa tak:

„Starzy historykowie, jako Trogus Pompejus, Korneliusz Tacytus, pisali o żydziejach inaczej niż w Piśmie Świętém stoi: iż je miał Faraon król wypędzić dla ich zarażenia, iż byli zarażeni rozmaitemi plagami od Boga. iż nie chcieli tego Boga chwalić, którego Egipcycy chwalili. Takież o wodę na puszczy, iż ją Aaron za koniami idąc znalazł, a ona z góry zawždy szła; a żydowie balsamem kupczyli, którego tam dość było na górze Synai, i tym się żywili; a temu narodowi i bogowie i ludzie nieprzyjaźni byli: lecz królowe dziewczkami pięknymi zawždy ublagali, które się u nich rodzą nad inne gładkie.“ Według słów powyższych powinny się znaleźć zdarzenia tu opowiedziane u Justyna XXXVI, 2, lub też w Tacyta Histor: V, 2. Atoli p. wydawca słusznie uważa, że nie wszystko co tu Bielski mówi, znachodzi się tak w jednym jak w drugim. Nie zapuszcza się jednak w wykazanie różnicy. Pominąwszy okoliczność tę, że u Tacyta Mojżesz wymieniony jest w miejscu Aarona, a Justyn ani o jednym ani o drugim nic nie wie, zwracamy tu uwagę na to, że w tej części powieści, Tacyt ma osłów zamiast koni; mimowolnie więc nasuwa się wniosek, że Bielski nie z Tacyta, ale z Troga to czerpał. Szczególnie zaś tu należy wzmianka Bielskiego o pięknych dziewczkach, która w obu pomienionych historykach zgoła się nie znajduje. Nierównie jednak ważniejszy i rzecz stanowczo rozstrzygający jest fragment drugi, który opiewa tak:

„Walczyli Roxolanie i z Mitrydatem, królem pontskim, czego dotknął Trogus Pompejus, historyk dawny, i tenże to pisze o nich: że z surowych skór wołowych kaftany sobie działali, a to zbroja ich była; temiż i pawęże albo tarcze swe powłaczali; i tak na koni z szablą, z rochatyną i z łukiem wsiadali; jakoż i dziś tych broni Rus używa.“ Nic o tém nie wie Justyn, który nawet wzmianki o Roxolanach nie czyni, a choć Strabo, VII, 306, jak to p. wydawca słusznie zauważał, wie o tém, przecież nie można tu dopuścić tej myśli, żeby Bielski Troga zamiast Strabona powołał; a to z przyczyny tej, ponieważ na inném miejscu tenże najwyraźniej powiada, iż o Roxolanach tak geograf Strabo, jako i historyk Trog podali wiadomość. Prócz tego p. wydawca przytacza jeszcze jedno miejsce o Roxolanach z Bielskiego, ale tak pomieszane z własnymi tego kronikarza dodatkami, że prawie niepodobna oddzielić je od słów Trogowych.

O innym wypisie Bielskiego przez p. wydawcę w przypisku udzielonym, mówiliśmy przy Wincentym.

Z Długosza, do którego teraz przystępujemy, wyjęty jest fragment 30. Znalazł się on w kodexie biblioteki Ossolińskich I, 601 (w którym pomiędzy innymi są także satyry Persyusza). Fragment ten jest wielce zajmujący i tém ważniejszy, że w nim właściwe słowa oryginału Trogowego przechowały się. Z innego jeszcze względu zasługuje on aby go tu całkowicie podać. Oto są jego słowa:

„*Trogus Pompejus de bello Getarum. Etsi mihi longe iucundius fuisset Italiae felicitatem quam clades referre, tamen quia tempora sic tulerunt, sequemur et nos fortunae mutabilitatem, Getarumque invasionis describemus dolorosam profecto manum, sed pro cognitione illorum temporum necessariam. Neque enim Xenophontem Atheniensem, summo ingenio virum, cum obsidionem et famem ac diruta moenia Athenarum descripsit, non dolentem id fecisse reor; scripsit tamen, quia utile putabat illarum rerum memoriam non deperiri. Neque Livius noster cum urbem a Gallis captam et incendiis conflagratam refert, minorem meretur laudem, quam cum Pauli Aemilii triumphum illum praeclarum de Macedonibus, aut Publici Africani victorias enarrat. Historiae quippe est tam prosperas quam adversas res monumentis literarum mandare: itaque optanda quidem meliora, scribenda vero quaecunque contigerunt. Civitates in Italia ornatissimae magnis opibus magnaque auctoritate viguerunt hactenus hodieque vigent, quarum gloria ac imperium longe lateque extenditur. Taceo morum elegantiam humanitatemque praecipuam ac bonorum artium disciplinas, in quibus parens scilicet et alumna incomparabilis Italia reperitur. Sed commendationis aliud fiat tempus.*“ Wstrzymujemy się tu od uwag obszerniejszych, do jakich słusznie ten ustęp, pełen treści, podać może sposobność. Podnosimy tę tylko okoliczność, że według prawdopodobnego wniosku p. wydawcy, wtargnięcie Getów do Italii, o którym tu jest wzmianka, zaszło podczas bitwy pod Akcyum (1), i że wówczas, gdy to pisał Trog, Liwiusz dzieła swego jeszcze był nie ukończył, albo przynajmniej tej części jeszcze nie wydał; bo że Trog jakiś oddział Liwiuszowego dzieła znał, to rzecz wiadoma z Justyna XXXVIII, 3. Następnym fragment 31 wypłynął z tego sa-

(1) Sarnicki, Annal. II. 2. mówi, jakoby wyjaśniając wiadomość Długosza: „*Huc refertur incasio illa Gothorum (powinno być Getarum) duce Comosico, qui fuit rex et sacerdos gentis.* Tak więc nie ulega wątpliwości, że najazd ten wydarzył się podczas bitwy pod Akcyum, i był na wielką skalę przedsięwzięty. Jakoż nawet podobno Komosik o Rzym się kusił, ponieważ podczas oblężenia Rzymu przez Totyle, znosili się patrycyusze z wyrocznią sybilijską, która według Prokopa. B. G. I. 24. p. 312 opiewała: „*Quintili mense.... Roma nihil tristi a Getis metuet.*“ Rzecz dziwna, że Bähr w recenzji utamków Troga zamieszczonej w *Heidelberg, Jahrbuch der Literat.* 1854. nr. 16. stron. 248. powątpiewał ażali zdarzenie opowiedziane w tym fragmencie, od Troga pochodzić mogło. (Przyp. tłum.).

mego źródła, i od poprzedniego tylko zaczęciem nowego wiersza jest oddzielony w rękopiśmie. Nie przytaczamy go tu, bo zagólniej jest treści, ale ma on z poprzednim jeden i tenże sam charakter i styl, tak, że bynajmniej nie bierzem tego za zle p. wydawcy, iż go stanowczo Trogowi przyznał; a tylko podał w wątpliwość tę okoliczność, ażali w tém lub téż inném miejscu dzieła Trogowego znajdował się. Pozwalamy sobie nawiasowo zwrócić tu uwagę filologów na wyraz *permaximus*, który to sposób składowania przymiotnika w wątpliwość podawany, otrzymuje nową podporę. Że takimi wyrażeniami zwyczaj pospolity w wysokich czasach już nie gardził, widzimy to z ostrzeżenia, które u Charisyusa, na str. 207, daje Palemon, mówiąc: „*peccant vero qui dicunt peroptimus*.” Równie téż fragment 43 z kodexu Ossolińskich I, 601 można słusznie przyznać Trogowi, chociaż bezpośrednio dowodu na to nie mamy. Przeciwnie fragment 41 z Długoszowej historii, jest widocznie z Justyna XLIII, 14, i to dosłownie wypisany (1). Jeżeli wyrazy jego początkowe: *ab uno regulatorum*, spowodowały p. wydawcę do naznaczenia mu innego źródła, tedy zapewne nie dojrzał on że wyrazy owe powstały z wyżej nieco umieszczonych słów Justynowych: *adfirmante regulo quodam*.

Teraz przejdziemy do reszty fragmentów, wyjętych częścią z rękopismów, częścią zaś z ksiąg drukowanych. Do najznakomitszych, i jeżeli nie jest umyślném oszukaństwem, (o jakie jednak podejrywać nie mamy tu żadnego powodu), najpewniejszych szczątków dzieła Trogowego, należy niezawodnie fragment 22, z kodexu Ossolińskich I, 336, wyjęty. Zawiera ten kodex różne mieszaniny w języku polskim, a obok nich: *Variae variorum autorum sententiae per alphabetum conscriptae*, które mają częstokroć przytoczone swe źródło, jako to: Herodota, Polybiosą, Sallustego, Liwiusza i innych. Między temi zdaniem, jest następujący ułamek w języku polskim:

„*Salauces w Kolchach królując zwycięstwo znaczne odniósł z nieprzyjaciela. Kolchowie zawdzięczając prace i trudy królowi, oddali za upominek Statuam Honoris ulanego z srebra, tylko złotą rękę mającego, w której obeliszek złoty trzymał, na obelisku różne korony wisiały. Król wdzięcznie przyjął; wszakże alludując do ręki i do złotego obeliska rzekł: (co następuje, oddano w rękopiśmie po łacinie, zapewne umyślnie, aby wyrazy oryginału zachować:) „Si totus hic Honor suae manus naturam induisset, principem locum in*

(1) I ten fragment jest niezawodnie wyjęty z Troga, skoro bowiem Długosz dzieło jego miał pod ręką, niepodobna przypuścić, aby tu imię Troga podał zamiast Justyna. Także zachodzi dość znaczna różnica w przytoczonym fragmencie między słowami Długosza a Justyna, co także potwierdza, że pierwszy czerpał bezpośrednio z Troga; i tak Justyn mówi: *in quo pareret* (u Dług. *in quo partum effunderet*) *iterato petiisse* (Dług. *iterum sollicitasse*) *catulos liceret* (Dług. *teneros partus liceret*), i *proprietaem loci, sibi vindicasse* (Dł. *proprietaem loci, hero suo excluso, vindicasse*).

(Przyp. tłum.)

nostro thesauro habuisset.“ Trogus. Kiedy p. wydawca odniósł wymienione tu zdarzenie do Seleuka I, i miejsce fragmentu w księdze 15 wskazał, tedy zdaje się tém niestosowniejsze to jego twierdzenie, że Trog nie mógł Seleuka nazywać królem Kolchów, jakkolwiek sam fakt mógł się do tychże odnosić. Ale i sam wydawca postrzegł się i wyznaje w dodatku: że prawdopodobnie tyczy się to zdarzenie innego Seleuka, i raczej do księgi 37, w której Trog o królach Kolchickich rozprawiał, odniesione być powinno. Jakoż że to jest istotnie Seleuk późniejszy, którego bliżej oznaczyć dziś nie jesteśmy w stanie, mamy tego pewność w tém, że znachodzi się tu wzmianka o posągu Honoru, który w czasach pierwszego Seleuka, to jest podczas wpływu greckiego, był rzeczą całkiem niesłychaną. Uosobienie honoru jest Grekom zupełnie obce, nie mają oni nawet wyrazu na to; a że Trog nie dopuściłby się takowej pomyłki, więc wypada koniecznie odesłać się z tém znaczeniem w czas taki, w którym znajomość z Rzymem czyniłaby możliwym takie zjawisko (1). Opis ten Honoru jest zresztą dość zajmujący, i przypomina podobne starożytne wizerunki stojącej figury, która w wyciągnionej ręce trzyma bożyszcza, lub tym podobne przedmioty. Jak na przykład na jednej baktryjskiej monecie w dziele Raoul-Rochettego: *Notice sur quelques medailles des rois de la Bactriane*. Nro 2 i *Deuxieme suppl. Pl. II*, Nro 1 i 15.

Fragment 13 z kodexu Biblioteki Ossolińskich I, 160, jest bezwątpienia Trogowy. Opiewa on tak: „(*Lex Moysi data est in tabulis lapideis*), *lex vero Romanorum in duodecim tabulis ebneis (eburneis) scripta erat, ut refert Trogus Pompeius libro III de Lycurgo: quae omnia significant legis durationem et stabilitatem perpetuam*”. To uboczne napomnienie o jakości tablic dwunastu, na

(1) Jakkolwiek trafna jest uwaga p. recenzenta o posągu Honoru, ztémwszystkiém wnioskiem przez niego zrobionym, iż wspomniany tu Saluces do czasów późniejszych należy, mylny jest. Właśnie bowiem w 37 Trogowej księdze na którą się p. B. z tym fragmentem w przypisku dodatkowym odesłał, opowiedziane były najdawniejsze dzieje kolchickie, jak to widzimy ze słów prologu: „*Dictaeque regum Rosporanorum et Colchorum origines et res gestae.*” Jakoż znachodzimy w Pliniuszu ustęp, który wybornie objaśnia fragment przez p. B. wynaleziony, i rzuca światło na czas Seleucesa. Z niego widać, że król ten żył nie później jak przed drugą wojną punicką. Oto są słowa tego ustępu: „*Equidem miror, populum romanum, victis gentibus, in tributo semper argentum imperitasse non aurum: sicut Carthagini cum Hannibale victae, argenti 12 millia intenerat, praeter vasa aurea, aurumque factum, et in eo folia ac platanum ritentque.... Jam regnauerant in Colchis Salomees et Eusubopes (czytaj *Aetae soboles*) qui terram virginem nactus plurimum argenti aurique ernisse dicitur in Suauorum gente, et alioqui relleribus aureis inclyto regno. Sed et illius aureae camene et argenteae trabes narrantur, et columnae atque parastaticae, vido Sesostre, Aegypti rege, tam superbo, ut prodatur annis quibusque sorte reges singulos e subjectis jungere ad currum solitus, atque ita triumphare.*” *Plin. H. N. XXXIII. 15.*

(Przyp. tłum.).

których prawo rzymskie było spisane, musiało się znajdować przy opisie tablic prawa Lykurgowego. Ale o tych, a tém bardziej o tamtych tablicach nie znajdujemy ani słowa w Justynie, który o wieczystości praw Lykurgowych zupełnie inne rozumienie podaje. Z dodatku: *quae omnia significant* i t. d. zawiązuje p. wydawca, że autor musiał napisać *aeneis*, który to wyraz kopista na *eburneis* przekreślił. Twierdzeniu jego tém mniej możemy zaprzeczyć, że takie czytanie istocie rzeczy odpowiada. Ob. Pomponiego *de origine juris*, str. 27 (1).

Fragment 37. z Mierswy kroniki jest widoczném przerobieniem Justyna XXXIX. 5. O przytoczonym tu ubocznie wyimku z Wincentego, jakoby on także miał być wzięty z Troga, a tyczy się bogactw jakowegoś króla Arabów; sąd nasz zawieszamy dlatego, ponieważ Wincenty nie powołał się w tém miejscu na Troga, i wątpliwa jest, czy król ów jest z Erotynem jedną osobą.

Dłuższy fragment 11 z Jakóba de Cesolis: *Liber de moribus hominum et officiis nobilium super ludo scraeorum*, z różnicami trzech kodexów wrocławskich do lwowskiego Ossolińskich kodusu I. 1 dobranemi, nietylko nie zawiera nic takiego, coby się u Justyna III, 2 i 3 nie znachodziło; ale dosłownemi w kilku miejscach wypisami tego Epitomatora wskazuje, że z niego został zaczerpnięty.

Tak samo ma się rzecz z fragmentem 16, znalezionym u Jana Sarisberskiego; jedna bowiem część jego znachodzi się dosłownie w Justynie VII. 2. Więcej na uwagę zasługiwałby ustęp z Bielskiego kroniki, przez wydawcę tu w nocie przytoczony, tylko że Bielski nie powołał się z nim na Troga (2).

Podobnie téż nie zasługuje na uwzględnienie fragment 39, składający się z dwóch wypisów w dziele Mateusza Westmona-

(1) Recenzent Troga, Bähr, w *Heidelb. Jahrb. der Literat.* 1854 nr. 16, str. 246, znalazłszy w Pomponim *de origine juris: eburneis*, wyjaśnia, że Rzymskie ustawy były pierwotnie spisane na tablicach z kości słoniowej, a dopiero po spaleniu Rzymu przez Gallów, wryto je powtórnie na tablicach miedzianych. Atoli wyjaśnienie jego jest dlatego mylne, że tablice te należały do rzędu tych pomników, które ocalone zostały podczas spalenia Rzymu; Liwiusz bowiem VI, 1. podaje: „*In primis foedera ac leges (erant autem eae duodecim tabulae et quaedam regiae leges) conquiri, quae comparerent, jusserunt*”.

(Przyp. tłum.).

(2) Ustęp ten w Bielskim: *Kron: Świat: Krak: f. I. 100, v.* opiewa tak: Kranaus macedoński książę albo hetman, ręki prędkiej, myśli sprawnej, rozumu dośpiałego, wiódł walkę z pogranicznym narodem, z Illiryki i Tracjami. A gdy go porazili, iż uciekał, wstydził się tego. Wziąwszy syna z pieluch króla umarłego, zebrali się znowu na nieprzyjaciół swoje, położył dziecię na swém miejscu z kolebką, potkali się około niego silnie, porazili Illiriki i Traces Macedonowie, posławszy do nich, iż pierwszy raz nie przez moc upadli, ale przez niebytność króla.“ Zwracamy uwagę czytelników na wyrażenia łacińskie: ręki prędkiej, myśli sprawnej, rozumu dośpiałego, a szczególnie na nazwy ludowe: *Traces* i *Illiryki*; co niezaprzeczenie dowodzi, że autor miał pod ręką oryginał łaciński, może Troga. (Przyp. tłum.).

sterskiego *Flores historici* dostrzeżonych. Piérwszy z nich, jak to sam p. wydawca zauważał, składa się z Justynem XLIII, 1 i z niego téż barwę swoją otrzymał. Drugi więcéj właściwéj treści, opiewa tak:

„*Anno divinae incarnationis nono, Caesare Augusto imperii sui quinquagesimum primum agente, Trogus Pompejus chronicam suam terminavit, in quibus quasi mundi praeteriti cursum ad memoriam posterorum reduxit. Ita namquam Romanorum rempublicam, et arma, quae gens illa late per orbem terrarum circumtulit, ab initio usque ad praesens tempus prosequitur ut qui res eius legerit, ad construendum Romanum imperium virtutem et fortunam discat contendisse.*“ Gdyby kto z drugiego w tym fragmencie okresu, mianowicie ze słów: *ad praesens tempus*, chciał zrobić wniosek, że Trog dzieje rzymskie najobszerniej i w ciągłym związku opowiadał. tedy twierdzeniu temu zadalby fałsz sam Justyn, albowiem on opowiada tylko początki dziejów rzymskich i to w krótkości, tak samo jak je miał Trog; a obraz obszerny tych dziejów, jeźliby się był w dziele Troga znajdował, byłby tém mniej pominięty, że sięgając aż do wieku Augustowego miał tém samém więcéj jeszcze interesu w wieku Justyna niż Troga. Owszem Trog postępował tak, że w miejscach stosownych, mianowicie ilekroć Rzymianie z obcemi narodami stykali się. dzieje Rzymu jednéj lub drugiéj epoki opowiadał. A że od piérwszego wystąpienia Rzymu w swojej potędze, oręż rzymski przeciw obcym państwom nieustannie był czynny; przeto téż dzieje rzymskie zostały objęte w dziejach powszechnych. Same tylko początki Rzymu nie mogły być opowiedziane w ten sposób, dlatego uznał Trog rzeczą stosowną tę część dziejów rzymskich oddzielić i opowiadać ją w związku, co téż, jak z Justyna widzimy, na początku XLIII księgi skutecznił. To tedy, co tu Mateusz o czasie, w którym historia Troga napisana była, powiada, nie jest wyjęte z jednego miejsca Troga, lecz raczéj z rozpatrzenia się w dziele Justynowém wywnioskowane (1).

Do fragmentu 5 którego dostarczył Orosius, dość będzie wskazać na zdanie Becka w rozprawie: *de Orosii fontibus et auctoritate*, § 3 str 5 i 7 wyrzeczone, że pisarz ten nie znał Troga. Co do Jordanesa (p. wydawca pisze go Jornandes), ośmielam się to samo zdanie wynurzyć. Z obu ustępów, które p. wydawca z niego przytoczył, piérwszy (fragment 4). z *Get.* 10 widocznie nie podaje dosłownie Trogowego textu, który prócz tego musiałby być więcéj niż o połowę krótszym jak u Epitomatora, ale jest właściwie suchym tylko wyciągiem z Justyna I. 8, u którego tylko braku-

(1) Przeciw temu zdaniu szanownego recenzenta, pozwalamy sobie zrobić uwagę: że w całym Justynie nie znajdujemy ani słowa, z któregooby tak ściśle oznaczenie czasu, w którym Trog swoją historię ukończył, wywnioskować się dało. A przecież Mateusz podał to nam z takim prawdopodobieństwem, iż mimowolnie nasuwa się myśl, że on to mógł zajrzeć w Trogu, i przy zupełnym braku wiadomości odmiennych, odrzucać tego podania nie można. (*Przyp. tłum.*)

je w końcu téj jednéj uwagi: *ibique primum Getarum gens serica vidit tentoria*. Ta jednak uwaga raczėj za dodatek samego Jordanesa, niż Troga uważana być może, tak samo jak wiadomostka o ptakach fazyjskich w Get. 6 jest Jordanesa dodatkiem; a że on z Justyna nie z kogo innego użytkował, okazuje się szczególniej z porównania tych słów: *quae non muliebriter adventu hostium territa transire tamen permisit*. Atoli całkiem innego rodzaju jest drugi ustęp Get. 6. Jeżeli w nim znajdują się niektóre wiadomości z kąd inąd nieznane, tedy nie można jeszcze do tego bardzo wielkiej wagi przywiązywać, albowiem ze związku tekstu nie dość jasno okazuje się, że wszystko to z Troga, którego dopiéro pod koniec powołano, zostało zaczerpnięte. Ale jest w nim mowa o wojnie Tanausysa (tak Jordanes, Justyn zaś Tanaus go zowie), króla Gotów, i Wezozego króla Egipcyan. a dalej o Getach po podbiciu Azji przez pierwszego z tych królów tamże zostawionych. Ze słów ostatnich Jordanesa na to zdarzenie ściągających się: *ex quorum nomine vel genere Trogus Pompejus Parthorum dicit extitisse prosapiam* nie znajdujemy i śladu w Justynie; przeciwnie mówi on tylko: „*inde reversi (Scythae) Asiam perdomitam vectigalem facere, modico tributo magis in titulum imperii quam in victoriae praemium imposito*”. Nawet Dübner (którego tylko wydanie z roku 1836 mam pod ręką:) zauważał przy księdze I, 1. gdzie mowa o Tanausysie i Wezozym (1), że Jardanes w miejscu przytoczonym podobno z samego Troga użytkował. Jeżeli się zgodzimy na to twierdzenie, w takim razie nie można nie przyznać słuszności p. wydawcy, że i trzeci ustęp z Jordanesa Get. 10, przy którym wprowadzie Trog imiennie powołany nie jest, ale który mimo to widocznie z Troga lub Justyna został wyjęty, pierwszemu z nich przyznaje, albowiem odpowiednie miejsce Justyna II, 5. samém ubóstwem podanych okoliczności okazuje, że jest skróceniem.

Fragment 42 z Luitpranda *Advers.* nr. 200 (Opp. ed. Antwerp. 1640 p. 490) nie podpada żadnej wątpliwości. Opiewa on tak: „*Memini me legisse in bibliotheca Fuldensi, in libro Trogi Pompeii, Augustum dedisse edictum de describendo orbe Tarracone, et idem edictum in libro illo dicebatur datum Tarracone, dilata tamen executio propter negotiorum multitudinem diu.*” A więc jeszcze w dziesiątym wieku był w Niemczech rękopism Troga.

Ten przegląd ogółu fragmentów przez p. wydawcę podanych, z których jak nam się zdaje, żadnegośmy nie pominęli, będzie w stanie okazać w prawdziwém świetle ważność odkryć przez p. wydawcę zrobionych, a zarazem sprowadzić je do właściwych swych granic. Aczkolwiek, jakeśmy widzieli, nie wszystkie z obudzonych nadziei zostały spełnione, wszelako wiele nowe

(1) Na obu miejscach Justyna także i Dübner przyjął, niezna-
chodzące się w żadnym rękopismie, o ile mi wiadomo, imię *Sesostrysa* zamiast nateraz jeszcze niepojaśnionego imienia *Vesosisa*. Że to ostatnie należy do odległej starożytności, dowodzi Jordanes, i ja dodaję jeszcze niedostrzeżony wariant jego z kodexu gisseńskiego: *Vezosis*.

go i ważnego wydobyto na jaw, za co wydawcy wielką wdzięczność winniśmy. Jeżeli rzucimy jeszcze raz okiem po sobie, aby się dokładniej wynikającej zład korzyści naukowej przypatrzeć, tedy widzimy, że z wyjątkiem może jednego tylko fragmentu, korzyść ta nie na dosłownych wypisach z dzieła Trogowego, lecz raczej na wyciągniętej z nich z mniejszą lub też większą wiernością treści historycznej zasadza się. Ale już i te wyciągi dozwolą nam swobodniej rozglądać się w objętości zatraczonego dzieła, i wzbogacają dzieje starożytne niejedną wiadomością, która długoby jeszcze w niezważanych prawie i mało komu dostępnych pomnikach leżała ukryta, gdyby jej był p. wydawca do użytku publicznego nie podał. Oprócz nich, aby dać zupełniejsze o całym dziele wyobrażenie, nie zaniedbał dołączyć we właściwych miejscach wszystkie dawniej znane fragmenta według przytoczeń Pryscyana (fragm. 14 i 15, które z powodu szczęśliwie dokonanego odbudowania swego, na wyszczególnienie zasługują); i innych pisarzy. W tymże samym celu dołączył także znane prologi, których tekst, potrzebujący zawsze jeszcze krytycznej około siebie pracy, polepszony został tu i owdzie; o czém właśnie w tém miejscu kilka uwag dołączamy. Grauerta wydanie tychże było, jak się zdaje, p. wydawcy nieznanne.

Prol. I; forma medyjskiego imienia *Arbactus*, którą na powadze rękopismów przywrócił był już Dübner, a w miejscu której Grauert wbrew Justynowi I, 3 zatrzymuje *Arbaces*, poparta została przez pana wydawcę licznymi kodexami Wincentego kroniki i krakowskim kodexem prologów. Gdzieindziej znachodzimy zwyczajną formę *Arbaces*, jak naprzykład w Euzebiusza *Chron. epit.* u Maja Coll. Vat. T. I str. 7. W słowach: *imperium Assyriorum a Nino rege usque ad Sardanapallum* (tak), wyrzuca p. wydawca „*usque*” jak się zdaje, na powadze pewnych rękopismów oparty.

Prol. II; trafne czytanie *originesque*. *Scythiae res usque* zostało stanowczo przyjętém. Dübner zezwalał na nie, ale do tekstu nie przyjął. Zatwierdza je, niepowołany przez p. wydawcę w tém miejscu, kodex krakowski.

Prol. III: *ut bella inter ipsos orta sint*. P. wydawca dał się tu uwieść Dübnerowi, i położył *sint*. Grauert, a przed nim jeszcze Gronoviusz, zostawiają *sunt*, a mają za sobą tę okoliczność, że autor prologów dość często trybu oznajmującego po przysłówku *ut* używa. Taki sam sposób mówienia za Bondamem *Var. lect.* I, 4, str. 38 według wskazówek Vorstyusza i Freinsheima, należy także niezawodnie przyjąć w prol. XXII, gdzie czytamy: *et a Sicilia reversus in Italiam, victus proelio a Romanis revertit in Epirum*, a Dübner nawet *et ut* dodaje; tylko należałoby jeszcze prócz tego czytać *victusque* według lepszych kodexów, i według kodexu Giseńskiego. Używanie trybu łączącego w takim frazesie znachodzimy tu wprawdzie także często, ale dziwna rzecz, że dopiero jakoś od prologu dziesiątego począwszy. Prol. XIV słowa: *et*

captam ad favorem populi, które po wyrazie *obsessam*, w niektórych rękopismach znachodzą się; p. wydawca przeciw Dübnerowi bierze w obronę, wszelakoż nie znachodzą się one i w kodexie Giessenkim.

Prol. XXIV; w słowach: *bellum quod Ptolemaeus Ceraunus in Macedonia cum Monio Illyrio et Ptolemaeo, Lysimachi filio,, habuit*, poprawił p. wydawca wybornie *Monio* na *Monunio*, wskazując na monetę tego króla illirskiego u Eckla, które to imię jeszcze Grunert i Dübner niepoprawne zostawili. Na większe poparcie tej niezawodnej poprawki, możnaby jeszcze przypomnieć, że imię tego króla w różny sposób przekręcone znachodzi się takż u Polybiosa XXIX. 5 7 i Liwiusza XLIV, 31, jak to już inni zauważali; porówn. Droysen: *Zeitschr. fuer die A. W.* 1836 nr. str. 833.

Prol. XXXII; imię króla Dackiego jest poprawione z wielkiem prawdopodobieństwem *Burobosten* zam. *Rubobosten*. Już Vossyusz radził, aby tu przyjąć Strabonowego *Boerebistan*.

W chwalebnym zamiarze zgromadzenia razem wszystkiego co nam starożytność pod imieniem Pompeja Troga podała, przyłączył p. wydawca do fragmentów historycznego dzieła, takż inne z dzieła pod tytułem: *de animalibus* na str. 49, zebrawszy je z wiadomych źródeł. Ostatni z nich jednakże pod I, 53 umieszczony, jak to sam p. wydawca przyznaje, należy raczej do historii filippickiej. Wszystkie inne są po większej części z Pliniusza *Hist: nat.* gdzie autor ich nazwany jest po prostu Trogiem, i tak samo w spisie autorów przez Pliniusza użytkowanych. Aleć słusznie są one uważane za ułamki Pompeja Troga, albowiem nie jest znany inny pisarz, któryby się Trogiem nazywał. Nadpis dzieła tego uratował nam Charisius na str. 79, i miejsce to z niego p. wydawca przytoczył; zapomniawszy jednak przytoczyć drugie podobne miejsce tego grammatyka, które daje nam zarazem wyobrażenie o objętości całego dzieła. Znajduje się ono na str. 110 i opiewa tak: „*Itaque Trogum de animalibus libro X parium numerorum et imparium non recte dixisse, sed parum et imparium.*”

Po przedmowie pełnej treści, w której podana jest wiadomość o użytych źródłach, następuje niedostatecznie rozwinięta: *Notitia literaria de Pompeio Trogo*”, w której to, co w Justynie powiedziano, nie zadowalnia. Co się tyczy wieku tegoż, p. wydawca idzie za mniemaniem powszechném, że Justyn miał żyć około roku 161 po narodz. Chryst., nie zważając na to, że już dawniej Wetzel (wyd. Justyna str. 1) wystąpił z twierdzeniem, że Justyn należy raczej do III wieku; a teraz zdanie Niebuhra (*Vortrage ueber alte Geschich.* I str. 12), który już przez Vossyusza uznane imię M. Julianus Justinus, jako właściwe przyjmuje, twierdzenie owo poważnie podpira. Nie jest tu miejsce do bliższego rozbioru tego jeszcze nie rozstrzygniętego pytania, zwłaszcza że takowe bez wyraźnego świadectwa, zostanie zawsze tylko prawdopodobnym: to wszakże możemy teraz dodać, że jeżeli byłby lepiej uzasadniony dodatek znachodzący się w dawniejszych wyda-

niach *Imperator Antonine*, także poparty nadpisem z tegoż samego źródła... *exordium ad Antoninum*, albo *Antonium* (ob. Fischera wyd. str.449) możnaby w tém upatrywać potwierdzenie Niebuhrowego mniemania, gdyby pod wspomnionym Antoninem był raczej rozumiany Karakalla. Także co się tyczy rodowości Justyna, nie od rzeczy będzie przypomnieć dotąd nieuwzględnioną wiadomość, że tenże w jednym wiedeńskim rękopiśmie, jest nazwany *Hispanus*; ob. Endlichera *Catal.* str. 153.

Nie możemy rozstać się z tém dziełkiem, nie zwróciwszy uwagi miłośników literatury klassycznej jeszcze na dwa odkrycia, tyczące się dwóch innych starożytnych pisarzy, o których p. wydawca doniósł na końcu swojej przedmowy, w której o rozmaitych szczątkach historii starożytnej w polskich kronikach i rękopismach opowiada. Pierwsze z tych odkryć tyczy się Walerego Maxyma o którym przypisnik Wincentego ma te słowa: „*de isto refert Valerius Maximus in libro de vita Caesaris.*” Wiadomość, z którą tu pomieniony przypisnik na Walerego zsyła się, odnosi się do króla Getów Kotysa, o którym powiada Wincenty: „*qui Julium Caesarem, primum monarcham, tribus fudit proellis; qui ducem Romanorum (Bebium), cum omnibus copiis delevit.*” P. wydawca wskazuje przy wiadomości téj na Appiana *Illyrica* c. 12 i 13, tudzież na Cyclerona *Epist.* V 11. (W piśmie *Philologus*, VIII str. 384, zwrócono niedawno uwagę na to, że Walerego dzieła: *Dicta* i t. d. księga 9ta była zupełniejsza, niż ją dziś mamy).

Drugie odkrycie tyczy się ksiąg Cyclerona *de republica*, mianowicie wskazówek na wstępie tego doniesienia dotkniętych, że rękopism ich znajdował się niegdyś w Polsce. Na usiłowania w téj mierze Municha wstrząsano wprawdzie niejednokrotnie głową, a przecież zdanie nasze, któreśmy o tém przy wydaniu fragmentów polityki Cycleronowej na str. XXXII, z oględnością wyrzekli, zostało teraz zatwierdzone. Rozumié się wszakże o tyle, o ile okoliczność, że w Polsce nieznanne dotąd ułamki z dzieła Cyclerona o polityce wykrywają się, upoważnia do wniosku, iż dzieło to znachodzić się tamże musiało. Byłoby jeszcze zawczasie wyrokować stanowczo o tém odkryciu, którego ważność pobudzi zapewne znawców literatury polskiej do dalszych w téj mierze poszukiwań, i takowe prawdopodobnie uwieńczone zostaną skutkiem pomyślnym, jak tego mamy przykład na Trogu. Nateraz dość będzie wykryte przez p. wydawcę dwa fragmenta dosłownie tu przytoczyć. Pierwszy z nich wyjęty jest z dziełka *Paradoxu koronne*,” którego rękopism w roku 1603 pisany, wydał po raz pierwszy drukiem p. wydawca, roku 1853 w Krakowie. Opiewa on tak:

„*Cicero prawdziwie w księgach swoich o Rzeczypospolitej napisał: „Którzykolwiek uctami i biesiadami i utratami, zachowanie sobie u ludzi jednają, ci nieomylnie pokazują, że prawdziwej ozdoby, która z cnoty i godności pochodzi, nie mają.*” To samo zdanie przytoczył autor i w drugim miejscu, wyraźnie powoławszy się

na Rplitą Cyceronową. Drugi fragment znachodzi się w rękopiśmie biblioteki Ossolińskich, I, 458, w tych słowach: „*Cycero de Republica leniter atque placide fides, non vi et impetu concuti debere.*” Należy on jak się zdaje do czwartej księgi według wskazówki u Noniusa s. v. *fides*, (w naszym wydaniu fragmentów *de republica Ciceronis*, str. 321.)

Na tém kończy sprawozdanie swoje p. Osann. My z naszej strony winniśmy tu dołożyć uwagę, że bezimienny autor Paradoxów koronnych oprócz powyższego wyimku z Cyceronowej Rplitéj, okazał także w kilku innych miejscach. mianowicie na str. 58, 59, 60 i 61 że mu dzieło to jest znane; mówi bowiem w owych miejscach słowami odpowiadającemi zupełnie tym, jakie się w fragmentach Rplitéj po raz pierwszy ogłoszonych przez Angelego Maja z palimpsestu Watykańskiego, znajdują.

Tak więc ma się rzecz z dziełem *Cycerona libri de republica*. Że się one w wieku XVI i później nietylko znajdowały w Polsce, ale że z nich pisarze polscy użytkowali, to jest już dziś dostatecznie udowodnione.

Zaś co do Troga, winniśmy tu jeszcze podnieść okoliczność następującą. Wydawca jego fragmentów, jak to sam powiada w przedmowie, założył sobie cel dwojaki: objąć w swém dziełku naprzód ułamki takie. w których zdarzenia zupełnie nowe, lub częściowo tylko przez Justyna dotknięte znajdują się; powtóre podać do wiadomości fragmenta nieróżniące się wprawdzie od Justyna pod względem treści, ale pod względem wykładu dostarczające wariantów do krytycznego jego wydania; a któreto fragmenta dotąd niepostrzeżone, tak w drukowanych księgach jako i w rękopismach ukrywały się. Użyteczność obu tych celów uznał w zupełności p. Osann; jeżeli więc w uczoneń sprawozdaniu swoim okazuje, że ten lub inny ułamek nie z Troga, lecz tylko z Justyna był zaczerpnięty; tedy nie wypływa z tego bynajmniej, iż takowy w dziełku p. Bielowskiego znajdować się nie powinien. I ta to jest przyczyna, dla której w uwagach naszych ograniczyliśmy się na fragmenta głównejsze, i niejedno coby się na obronę przeciwnego zdania powiedzieć mogło, a do fragmentów podrzędnych odnosiło się, zupełnie zamilczeliśmy. Jest to z resztą przedmiot tego rodzaju, że w nim z pewnością matematyczną wyrokować nie można, i przy uderzających nawet na stronę jedną dowodach, daje się częstokroć dojrzeć okoliczność, która jasnego w téj mierze przekonania mieć nie pozwala. Wskażemy tu na jeden z takich przykładów. Fragment II o prawach Lykurgowych, wyjęty z Jakóba de Cessolis, ma dość liczne od textu Justynowego różnice w opowiadaniu, a powierzchwność taką, która bardzo sprzyja mniemaniu, iż z samego Troga został zaczerpnięty. Tymczasem p. Osann powiada poprostu, że źródłem jego jest Justyn, nie Trog; a zdanie to jego nietylko nie jest do odrzucenia,

ale owszem okazuje, że szanowny sprawozdawca zastanawiał się głębiej nad tym przedmiotem. Do powodów, które za tém zdaniem przemawiają, zaliczyłbym i ten, że w ułamku tym brak owój jędrności i dobitności mowy, jaka nawet pomniejsze niektóre ułamki przez Wincentego podane cechuje, a która właściwa była Trogowi. Jakkolwiek atoli co do mojej osoby, zdanie pana sprawozdawcy pod tym względem zupełnie podzielam; przecież nie mogę tu pominąć szczegółu, który za przeciwném zdaniem przemawiać się zdaje, mianowicie: że Jakób de Cessolis był wielce odczytany w pisarzach starożytnych, i miał niewątpliwie pod ręką dzieła, które dziś do zaginionych należą. Oto jest ile wiemy, niepostrzeżony przez nikogo dotąd, ułamek z Kurcyusza pierwszej księgi, która jak wiadomo zaginęła. Znajduje się on w pomienioném dziele Jakóba de Cossolis na karcie 245 str. odwrotna, według rękopismu Ossolińskich biblioteki. „*Refert Quintus Curtius libro primo, quod Godates magno Alexandro ait. Natura mortalium hoc modo prava et sinistra dici potest, quod quisque in suo negotio vel iudicio hebetior est quam in alieno*”.

Lwów. d. 20 listopada 1854 r.

D. J. Wagilewicz.

Słownik języka polskiego przez M. Samuela Bogumiła Linde. Wydanie drugie, poprawne i pomnożone staraniem i nakładem Zakładu narodowego imienia Ossolińskich. Tom I. A.—F. Lwów. W drukarni Zakładu Ossolińskich. 1854 r., w 4ce wiel. Przedmowy str. 39. Wstępu LXIV. Samego Słownika 681.

Słownika tego wydaniem zajmuje się, jak widzimy, Zakład Ossolińskich we Lwowie, i własnymi funduszami koszty pokrywa. Dziwne koleje Zakład ten przechodził. Założyciel jego pozostawił znakomite fundusze na dalszy rozwój i wydawanie dzieł i rękopismów, już własnych, już innych pisarzy: tymczasem powierzony w nieumiejętne ręce, nie tylko że właściwemu celowi położonemu wyraźnie przez J. M. Ossolińskiego nie odpowiedział, ale przez długie lata niedoleżnej administracyi, fundusze Zakładu zagrożone utratą zostały.

„Należy to w naszym kraju do zdarzeń nader szczęśliwych (mówi A. Bielowski w przedmowie), że Zakład narodowy imienia Ossolińskich, przed laty pięćią w zupełnej niemocy znajdujący się, i ku upadkowi pochylony, potrafił w krótkim czasie nie tylko zabezpieczyć się od upadku, ale wzmódz się do tyła, że już

z początkiem r. 1852 mógł przeznaczyć niemały nakład na cele naukowe, i wydać tom IV Ossolińskiego Wiadomości historyczno-krytycznych, a w roku następnym zająć się nierównie ważniejszym jeszcze przedsięwzięciem.“ Mowa tu o obecnie wydającym się Słowniku.

Dlaczego znakomity fundusz na przedruk słownika Lindego obrócono, kiedy zapowiedziane oddawna Pomniki dziejowe, więcej zapowiadały dla literatury korzyści? —daje następne objaśnienie A. Bielowski.

„W wyborze dzieła, którym Zakład tą razą najstosowniej przysłużyć się mógł narodowi, ważne względy przemawiały za Słownikiem Lindego. Słownik ten układany był niegdys w myśl i z pomocą J. M. Ossolińskiego: układał go Linde podczas domownik jego i bibliotekarz; z jego skarbów bibliotecznych powstał; jego postrzeżeniami umyślnie na ten cel spisyanemi zasilal się; jego datkami pieniężnymi w znacznej części na świat wychodził, i gdy z dokonanego już dzieła, cały naród chlubę i pożytek odniósł, nad uzupełnieniem go tomem dodatkowym przemyślał sam Ossoliński. Atoli powodem nierównie ważniejszym nad stosunek autora i pracy jego do założyciela, była dla Zakładu sama użyteczność i potrzeba dzieła tego dla polskiej publiczności.”

Następnie A. Bielowski wskazując wysoką wartość samego dzieła, jego już rzadkość, w końcu daje do zrozumienia, że przeważnym głosem swoim wpłynął na ten przedruk J. E. Agenor hr. Gołuchowski, namiestnik królestw Galicyi i Lodomeryi; który położył niemałe zasługi dla Zakładu Ossolińskich, używszy swój pomocy tak na wydobytcie dawnych zaległości tego Zakładu, jako też na regularne wypłaty dochodów bieżących.

W przedmowie téj znajdzie ciekawy czytelnik rozwinięty następnie obraz dokładny całej oględności, przy nowym przedruku Słownika.

Zastępca kuratora Zakładu hr. Maurycy Dzieduszycki, zażądał przedewszystkiém zezwolenia na to pozostałej rodziny Lindego. Ta pomna, ile autor Słownika doznawał przyjaźni i pomocy od J. M. Ossolińskiego, nietylko jak najchętniej udzieliła żądanego pozwolenia, ale nadto, ostatnią pracę ojca swego, obejmującą materiały do Słownika porównawczego wszystkich dialektów słowiańskich, dla Zakładu ofiarowała.

Nastęrcza się teraz pytanie: czém się różni przedruk od pierwszego wydania, i w czém udoskonalony został. Odpowiemy więc na nie.

Po przejrzeniu uważnie ostatniej pracy Lindego Słownika porównawczego języków słowiańskich, dostrzeżono, że w oddziale polskim przytacza on wypisy z autorów te same, jednakże sta-

ranniej częstokroć i poprawniej niż w polskim swoim słowniku, i że trafniej je objaśnia. Podaje też z większą oględnością niż dawniej, pierwiastki niektórych wyrazów, w skutek lepszego rzeczy zglębienia. Te poprawki równie jak dodatki na karteczkach osobnych znalezione, jako od samego autora pochodzące, wcielone zostały do tekstu. A. Bielowski wyraża, że ten dodatek uważa: „za istotną korzyść“ nowego przedruku.

Wydawcy prócz tego, zostawując wszędzie tekst Lindego nietknięty, wyrazy czy nieobjaśnione przez niego, czy źle wytłumaczone, sprostowaniami swojemi uzupełnili oznaczając je nawiasami. Te wszakże poprawki zastosowali wyłącznie i jedynie do samej polszczyzny. Nadto udoskonali przedruk tém, że gdy Linde drukował tak cerkiewne jako i rossyjskie wyrazy pismem rossyjskiém rządowém czyli grażdzańskim; w nowém wydaniu mamy wydrukowane kiryliką te tylko słowa, które istotnie, podług dzisiejszych pojęć są cerkiewnemi: słowa zaś staroruskie, rossyjskie i t. d., przez Lindego mylnie za cerkiewne podane, drukowali typami grażdzańskimi. W druku całego Słownika zaprowadzono zmianę w pisowni, trzymając się zasad przez b. Towarzystwo Król. Warszaw. Przyjaciół Nauk podane w dziele: Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej.

Otóż w treści podaliśmy, co przedmowa w nowym obejmuje przedruku, na czele 1go tomu Lindego zamieszczona. Następuje po niej: Żywot Samuela B. Lindego, skreślony także piórem A. Bielowskiego. Do ułożenia tego żywota posłużyły mu następujące źródła: 1. Lindego autobiografia, przeciąg dwudziestu kilku lat obejmująca, umieszczona na początku VI tomu Słownika. 2. Listy własnoręczne jego, w bibliotece Ossolińskich znajdujące się. 3. Wiadomość o życiu Lindego, świeżo w Paryżu wydana p. n. Notice nécrologique sur S. Linde, par E. Saint-Mauriae Cabany. 4. Życie domowe Lindego, któreśmy wydawcy posłali, jako wyjątek z tomu 2go „Cmentarza Powązkowskiego.“

Obszerny ten życiorys autora Słownika, obejmujący trzy arkusze przeszło druku, daje najdokładniejszy obraz całego żywota i prac naukowych Lindego. Nie powtarzając rzeczy znanych, nie możemy puścić mimochodem szczegółów biograficznych, po raz pierwszy ogłoszonych.

W autobiografii swojej wspomniał Linde o swoich podróżach naukowych po kraju przedsiębranych, w celu zbierania rzadkości bibliograficznych ojczystych, dla biblioteki tworzącej się dopiero J. M. Ossolińskiego. W nichto poznał się z ks. Juszyńskim i innemi znawcami, wynachodził tak zwane kruki białe tam, gdzie ich nawet Juszyńskiemu z Czackim wynaleźć nie powiodło się. Otóż w tych zabiegach Lindego o pomnoże-

nie skarbów biblioteki Ossolińskich znajdujemy nową a nieznaną kartę nam podaną.

„Między papierami (pisze A. Bielowski), które, jak się domyślać można, ze stolików niegdyś i komód ociemniałego J. M. Ossolińskiego zgartywano, zachowało się kilka ćwiartek na prostym krajowym papierze dorywczo zapisanych. Próby atramentu i pióra różnej ręki po brzegach, i rachunki domowe to ołówkiem, to czernidłem po wyblakłym już piśmie dawniejszym w rozmaitych kierunkach pokreślone wskazują, że przechodziły przez ręce osób, którym były zupełnie obojętne, i do użytku powszechnego służyły. Są to listy własnoręczne Lindego, pisane do Ossolińskiego z tych oto podróży, o których tu napomknął.

„Niewielki oddziela nas przeciąg czasu od ostatnich lat wieku zeszłego: wiele jednakże zmieniło się w nim pod względem wyobrażeń. Dziś nie ma prawie klasztoru w całej Polsce, w którymby nie znalazł się jeden przynajmniej, a często i więcej światłych księży, co nietylko swoje, ale i sąsiednie biblioteki przepatrzywszy, spisują, bądź sami dzieła użyteczne dla kraju, bądź też wiadomość o ważniejszych pisanych lub drukowanych pomnikach do użytku publicznego podają. Każdy niemal posiadacz zbioru ksiąg jest dziś znawcą lub nawet bibliografem. Nie tak było po klasztornych lub domowych bibliotekach przed laty pięćdziesiąt i więcej: właściciele ich częstokroć nie pamiętali, gdzie były umieszczone. Pyłem kilkowiekowym okurzone księgi nie nęciły do siebie nikogo ze swoich, a lenistwo lub obawa zawstydzienia zasłaniały je jak tarczą siedmioskorną najrozmaitszemi pozorami, przed ciekawym okiem obcych natrętwów. Bibliografowie więc i bibliofile wieku zeszłego znaleźli się, pod tym względem, w osobliwszym położeniu. Z jednej strony instynkt jakiś przemawiał silnie do ich duszy, że czas już ostatni, aby ratować te szczątki naukowej przeszłości naszej od zagłady, i wydobywać na jaw wszelką naukę, jaka się w nich ukrywała: z drugiej strony, nie chciano zgoła rozumieć tej potrzeby, i na niezaprzeczalnym prawie własności polegając, stawiano częstokroć opór nieprzelamany wszelkim tego rodzaju poszukiwaniom. To dało przeciwnikom pochop do podniesienia zasady, na którą trudno dziś zgodzić się: że cel uswięca środki, a która, ile się zdaje, była powszechnym przekonaniem bibliografów i bibliofilów wieku zeszłego. Nadużycia tego rodzaju wiążą się poniekąd z najzasłużeńszymi z owej epoki imionami. Wiadomo, co w tym względzie rozpowiadają o czcigodnym Tadeuszu Czackim. Rewersa jego, już tylko jako autografy figurują dziś po niektórych z naszych klasztorów, ulżywając miłym wspomnieniem straty foliantów dawnych ich właścicielom, a bardziej jeszcze opróżnionym pułkom, które niegdyś pod ich ciężarem stękały. O dwóch innych czcigodnych mężach obiega

powszechnie znana powiastka, że razu jednego po Krakowie przechadzając się, opowiadali sobie w głos bukinistowskie swoje sprawy. Nagle staje przed nimi mężczyzna poważny, i mówi z miną urzędową: „proszę panów pójść za mną.” „Dokąd?” zapytali zdziwieni. „Do policyi, jesteście ludzie podejrzeni.” Szczęściem dla nich, stało się to o parę kroków tylko od sklepiku księgarza i powszechnie poważanego obywatela krakowskiego, który dniem pierwój zacnych tych gości, dla pokazania im swoich niektórych nabytków do siebie zaprosiwszy, właśnie ich w progu oczekiwał. Dane więc przez niego wyjaśnienia i rękojmię urzędnikowi, wybawiły ich z kłopotu.

„Linde nie był bibliomanem: na księgach znał się gruntnie, a cenił ich dla treści. Jak każdemu niemal z swoich zatrudnień, tak i poszukiwaniom rzadkich ksiąg oddawał się z namiętnością: ale ich dla siebie nie zbierał. Poznawszy zacne Ossolińskiego dla narodu zamiaryłożył wszystko, co mógł ze swój strony, aby je wesprzeć, i jak najświetniej przyprowadzić do skutku. Ostateczności w nabywaniu ksiąg używał tam tylko, gdzie żadne inne srodki nie pomagały. W takim razie nie brakło mu przebiegłości i dowcipu, a wynurzenia się jego w tój mierze w listach przed Ossolińskim, są pełne humoru i serdeczności.“

Wydawca cztery listy zamieszcza Lindego z tych wycieczek bukinistowskich, już całe, już w urywkach, jak je znalazł. Wszystkie pochodzą z 1799 roku. Na czele zaś mówi:

„Umieszczając tu te listy poufne, odstawiamy wprawdzie niezbyt poważną stronę jego charakteru; wszakże bez niej nie mielibyśmy prawdziwego jego obrazu. To, co się w nich rażącym dziś wydać może, nie weźmie żaden rozsądny czytelnik inaczej, jak tylko w stosunku do panujących wówczas wyobrażeń; a bynajmniej nie posądzi nas o chęć ubliżenia zacnej Lindego pamięci.

Otóż z tych listów widzimy, z jakim zapalem i jakimi drogami zbogacał bibliotekę Ossolińskiemu. W Sandomierzu, jak wyraża, zemknął *Victoria deorum* Klonowicza, wraz z innemi: pisał na wiele wziętych książek rewersa na imię Ossolińskiego, lubo te rewersa do niczego nie służyły, bo raz księga jak się dostała do biblioteki Ossolińskiego, już więciej nie powróciła. W listach tych mamy spisy dokładne rzadkości bibliograficznych, które zdobywał. Splondrował bibliotekę Kuczowskiego w Woli, za zezwoleniem właściciela, i ogromne zabrał ztąd paki, a widać nad zezwolenie dane, bo zaraz dodaje:

„Niech się szambelanisko żali na moją niedyskrecyą, ja jój nie znam, gdzie idzie o kochaną naszą bibliotekę.“

W następnym liście skarży się Linde na zakonników. „Panbyś nie uwierzył (pisze), jak ciężkie są negocyacye z mni-

chami: trzeba więcej niż ministrowskiej głowy. aby cośkolwiek wskórać. “

Strach padł na Lindego, gdy długo nie odbierał odpowiedzi od Ossolińskiego, sądząc, że listy jego przejęte zostały, w których zdobycze swoje i sposoby opisywał. Odetchnął swobodniej, gdy w końcu sierpnia 1799 otrzymał list Ossolińskiego z doniesieniem o doszłych listach.

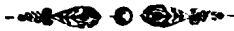
Cała ta wędrówka bukinistowska, ciekawy dodaje ustęp do życiorysu Lindego. Kto żył, lub zapamięta owe czasy, ten łatwo pojmie i wytłumaczy ten zapal do zbierania dawnych pomników literatury naszej. Te to wędrówki i zdobycze *per fas i ne fas*, złożyły znakomite księgozbiory w kraju naszym, i przyspieszyły poznanie literatury starożytniej.

Życiorys Lindego znakomitym piórem A. Bielowskiego skreślony, obejmuje wiele nadto jeszcze nieznanych dotąd szczegółów żywota uczonego męża. Po nim już się rozpoczyna właściwy przedruk Słownika.

Wydawca zajęty dopełnieniami z rękopismów Lindego, oraz dodatkami, o których na początku wspomnieliśmy, w korekcie wyręczony został przez p. Jana Wagilewicza znanego literata i filologa. „Jemuto (jak pisze) zawdzięcza niniejsze wydanie to, cokolwiek w niém poprawniejszego w języku cerkiewnym, a niekiedy i w innych dyalektach słowiańskich znajdzie się.”

Wydanie całe staranne, druk nowy, wyraźny i czysty, odbicie piękne i jednostajne; papier choć mniej biały, ale gruby, mięsisty, nieprzebijający, czerpany. Słowem, wszystkie warunki zachowano, ażeby przedruk ten, przy obniżonej znacznie cenie, zalecił się pięknością i trwałością wydania.

K. Wł. W.



ROZMAITOŚCI.

JAN LIPNICKI.

(Wspomnienie).

Jan herbu Hołobóg Lipnicki, w drugiej połowie XVIgo stulecia urodzony, szlachcic, dziedzic skromnego majątku i poddanych po swych przodkach odziedziczonych, wychowuje się bogobojnie w zasadach ewangelickiego wyznania. Nie sposobi się do wojennego rzemiosła, ani posług publicznych, choć zdolny do nich, i gotowy jak każdy szlachcic polski; poświęca się wyłącznie bogobojności, pracy rolniczej i szczęściu kmiotków: żyje pośród nich lat kilkadziesiąt, wspiera, wspomaga, łagodzi dolę, a Bóg błogosławi cnotliwym jego pracom, obdarza długim życiem i hojnie opatruje dostatkiem. Lipnickiego mijają godności i urzędy nietylko krajowe, ale nawet ziemskie; nie ubiega się za nimi, ambitniejszym je zostawując: jego zagroda domowa, jego ojcowskie włościami rządu, wystarczają dla jego obywatelskiej dumy. Nie szuka szczęścia w związku małżeńskim, ani w widoku potomstwa; familijne uczucie swoje zlewa na dzieci brata i siostry, a sam poświęca się wyłącznie dla dobra ukochanego ludu wiejskiego.

Lecz śmierć ma przeciąć pasmo szlachetnych jego czynów; późny wiek i słabnące zdrowie, blizki skon przepowiadają. Lipnicki jak żył, tak umiera: ostatnie chwile, ostatnie myśli, ostatnie uczucia serca, ulubionemu chłopstwu poświęca: widzi, że mało jeszcze w życiu swém do szczęścia jego przyłożył się; przeczuwa; że gdy go wkrótce zabraknie, zaginę jego dobrodziejstwa; przebiega uciski chłopka, i widzi, że obciążony obowiązka-

mi dla pana, nie jest najczęściej w stanie potrzebnego zebrać grosza na opłacenie podatków; zna uciski poborców (exactores regii), trudniących się wybieraniem podatków, fantowania, zabory, łzy i rozpacz biędnych włościan. O! dla Lipnickiego całe życie stracone, wiek blisko jego pracy i abnegacyi zmarnowany; chociażby całe swe mienie oddał, to mało, to zbyt mało! A tu i bratunek, i siostrzeńcy; jego krew, krew jego ojca, wyglądają wsparcia z stygnącej dłoni, i gorzką kładą tamę najlepszym, najszlachetniejszym chęciom! Ostatnie chwile cnotliwego starca ciężko zatrute! Ale nakoniec Bóg zsyła mu błogosławioną myśl: mało możesz, szepcze mu z nieba natchnienie, uczyn co możesz, a twój czyn stanie się przykładem, zachętą, plennem ziarnem w żyzną rolę rzuconem. Nie waha się Lipnicki: blizki zgonu, zwołuje swych pokrewnych i sąsiadów, zaklina. by święcie wolę jego wykonali. Na nich, jak na przedstawicielei wszystkiój braci szlachty wkłada obowiązek spełnienia ostatnich życzeń swoich, objawia myśl swoją, i drżącą ręką skreśla ją i wiecześnie; rodzinę i przyjaciół bierze za świadków, a całemu narodowi urzeczywistnienie zamiarów swoich porucza.

Działo się to dnia 20 kwietnia 1646 roku, we wsi Wysokach, dawniej i dzisiaj w powiecie sandomierskim położonej. Lipnicki blizki zgonu, nie pozostawia na piśmie żadnego majątkiem swym rozporządzenia; przekazuje go w dostatniej ilości spadkobiercom prawnym, z pewną goryczą mówiąc: że znajdą dosyć, więcej, niżli on po ojcach odziedziczył; nie nakazuje co i komu z pokrewnych ma się dostać, bo pragnie, aby każdy prawną swą część otrzymał; mniej zajmuje się nimi, a całą myśl swą i zmysły stygnące zbiera i skupia ku wielkiemu zamiarowi, mającemu na celu dobro i pomysłność w długie wieki wieśniactwa. Posiada on skromną sumnę ówczesnych złp. 15 tysięcy w gotowiznie u Joachima Wolfowicza; tę kwotę ofiaruje Rplitej powiatu sandomierskiego; błaga, aby który z braci szlachty przyjął ją do siebie, a procent $\frac{8}{100}$ obracano corocznie na zastąpienie podatków skarbowych za ubogich zagrodników, komorników i chałupników dóbr prywatnych powiatu sandomierskiego.

Takimto czynem zacny ten mąż dokonał bogobojnego życia, takim czynem mądrze obmyślanej na wieczne czasy dla ubogich kmiotków pomocy, w chwili, gdy siliły się umysły nad ich uciążeniem, chciał dać przykład prawdziwój miłości bliźniego, bo miał (tę długo zawiedzioną) nadzieję, że ziomkowie zwrócą uwagę na nędzę wiejskiego ludu; że powstaną jego naśladowcy; że dla innych ziem Polski zrobią przynajmniej to, co on dla sandomierskich chłopków, o ile mógł, przy ograniczonych swych środkach uczynił. Postępkiem tym Lipnicki zajął miejsce w liczbie najcnotliwszych rodaków, nabył prawa do wdzięczności długiego szeregu pokoleń sandomierskich włościan, zasłużył pię-

kne imię przyjaciela ludzkości, i pełne czci i szacunku wspomnienie.

Życiorys takiego jak Lipnicki człowieka, powinien być skreślonym wiernie i dokładnie, bo może mieścić w sobie ważne dla potomności i piękne dla jego sławy pamiątki; lecz gdy upływ dwóch wieków zatarł ślad ich i wspomnienie, gdy mi brak najpotrzebniejszych ku odkreśleniu jego czynów źródeł: ograniczyć się muszę tém jedynie wspomnieniem, zostawiając bogatszym w zasoby zeszłości, i środki uzupełnienia mojego rysu.

Niesiecki, Siarczyński i testament czcigodnego Lipnickiego, oto wszystkie wskaźniki moich poszukiwań: podstawy, na których osnowałem powyższe życia jego wewnętrznego i zewnętrznego wspomnienie. Ostatni szczególnie akt był mi główną pomocą; a jako dwóchset-letni zabytek i wieczny pomnik cnót i dobrej woli naszego Sandomierzana, uważam być godnym zamieszczenia tutaj w całości, na potwierdzenie zarazem tego wszystkiego, co o tym pamięci godnym mężu wspomniałem. Jestto wyimek z akt grodzkich sandomierskich, wiernie, dosłownie i bez żadnych odmian wypisany:

„Iż nad śmierć nic nie jest pewniejszego, a nad czas i godzinę jej nic niepewniejszego, a przeżywszy lat niemało szczęśliwie wedle woli Pana Boga mego, w téj chorobie acz niebardzo ciężkiej, ale nademdloną czując siłę natury mojej, obawiając się, iż Pan mój dni moich skracać raczy, co ja wszystko pod wolę Jego świętą poddavam, a o kilku rzeczach, tę moją ostateczną wolę na piśmie zostawuję. A najprzód o depozycie moim, którego w schowaniu u pana Joachima Wolfowicza być ma złp. 15 tysięcy we złocie i srebrze; widząc tego wielką słusność i sprawiedliwość, i mając do tego pozwoloną facultatem, by dyspozycyą taką dać ludziom, jakiém mię mój Pan mieć chciał *disponendi liber de rebus suis*. Tedy oświadczając chęć ku ojczyźnie méj miłej, daję i konferuję te 15,000 złp., które w schowaniu są u tego pana Joachima, Rplitéj powiatu sandomierskiego. Aby ichność moi moiści panowie i bracia to odemnie i z tą barełką wdzięcznie przyjęli, i one pro sua prudentia et dexteritate tak obrócili, żeby od tych pieniędzy pożytek szedł po złp. 8 od 100 na rok. Wziąwszy te pieniądze Rplita, na pewnej majątności, u jegomości którego z panów braci dobrze osiadłego i niezawiedzonego, a z procentu tego interesu, aby był płacon pobór od zagrodników, komorników, chałupników, z dóbr, miasteczek i wsi, szlacheckich tylko. A jeźliby co zbywało, chować na potomne czasy, staranie uczyniwszy na sejmie, aby się na to aprobacya stała na sejmie, i pod takim warunkiem, jaki jest *de terra Sandomiriensi*, aby tego nie wzruszać *perpetuis temporibus*, i o to się starawszy, aby był urząd skarbniczy na to fundowany. Zdarzy Pan Bóg, że się

ludzie utriusque status pobudzić mogą ad praestanda majora, ażeby takie pobory zniesione być mogły. Ten mój był zamysł samemu tę beneficentią, która się obraca na poddane ichmość panom oddać; ale iż się inaczéj Najwyższemu rządcy podoba, teraz tém pismem przez synowca mego pana Przeclawa Lipnickiego oddaję i konferuję; onego i domek mój w miłościwą łaskę waszmość panów zalecając. Proszę przytém uniżenie jegomości pana wojewody krakowskiego (1), jegomości pana starosty sandomierskiego: aby tę sprawę pod protekcyą swą raczył mieć pro sua autoritate, aby się ten pobożny uczynek w niczém nienaruszony, do swego efektu przyszedł: i byłaby wola którego z ichmościówtę sumnę na majątności swój mieć, bardzobym się tém ucieszył, a Pan Bóg swoim świętém błogosławieństwem i sławą nieśmiertelną nagradzać będzie raczył. Nie dzieję się nikomu krzywda, w dziesięć razy więcéj zostawia się majątności panom successorom moim, niżlim ja wziął po rodzicu swoim. Daj Boże, aby tego umieli chwalebnie używać! W Wysokach die vigesima Aprilis, anno Domini millesimo sexcentesimo quadragesimo sexto. Co ręką swoją piszę i podpisuję.

Jan Lipnicki mp." (pieczętka).

Daléj następują podpisy obecnych spisaniu tego aktu: sąsiada obywatela i trzech siostrzeńców Lipnickiego, któremi to podpisami, wolę jego święcie wypełnić zobowiązali się.

„Jan Dębicki z Dębice na Krzyżowicach ręką swą przy bytności jegomości pana Przeclawa Lipnickiego i jegomości pana Durusza Daniela doktora.

„Jan Jagoszewski ręką swą przy bytności jegomości pana Przeclawa Lipnickiego, jegomości pana Daniela Durusza doktora.

„Alexander Chocimowski, woli i rozkazaniu dobrodzieja mego dosyć czyniąc, przy bytności braci moich, Jegomości pana Przeclawa Lipnickiego i jegomości pana ichmość Jana Jagoszewskiego, mp.

„Nie będąc nigdy woli jegomości pana wuja dobrodzieja mego sprzecznym, przy bytności ichmość panów braci, na tę podpisuję się kartę. Chocimowski Jarosz mp.“

Wkrótce potém czcigodny Jan Lipnicki żyć przestał, a synowiec jego Przeclaw, wypełniając wiernie wolę stryja, stał się przed urzędem grodzkim sandomierskim, i przywiedziony wyżej testament oblatował: feria secunda post Dominicam Jubilate proxima (tojest dnia 27 kwietnia 1646 roku.) Nakoniec zapis ten, zupełną sankcyą otrzymał: zatwierdziły go

(1) Stanisława Lubomirskiego wojewody krakowskiego, starosty sandomierskiego, spiskiego i dobczyckiego.

bowiem w całej mocy stany rzeczypospolitej, przez konstytucją z roku 1647, w voluminie praw czwartym, na karcie setnej jedenastej zamieszczoną.

Pozostaje mi teraz skreślić koleje, jakim uległa fundacya cnotliwego Lipnickiego, aż do naszych czasów.

Stosownie do woli zapisodawcy, święcie, jak widzieliśmy wyżej, przez synowca jego wniesieniem do ksiąg grodzkich i wyjednaniem zatwierdzenia sejmu, spełnionej: włościanie powiatu sandomierskiego zabezpieczeni zostali przed najgwałtowniejszą potrzebą. Z dobrodziejstwa tego korzystali najubożsi, lub dotknięci losowemi wypadkami: nieurodzaju, gradobicia, wylewu i t. p., a zawsze przez zastąpienie ich w opłacie przypadających od nich podatków. Spadkobiercy Lipnickiego, i wezwani przez niego na opiekunów funduszu, wojewoda krakowski, starosta sandomierski i w ogóle obywatele, szanowali poczciwe dążenia zmarłego, obmyślali korzystną i pewną dla kapitału lokacyą: słowem. zamiar jego szlachetny jak najściślej urzeczywistnionym został.

Lecz gdy tych wykonywaczy woli jego nie stało, interes i chciwość późniejszych wydarł wieśniakom sandomierskiej ziemi i tę pomoc, jaką im cnotliwy starzec na wieczne czasy chciał zapewnić. Już bowiem od końca XVII wieku, przez czas długi, procenta od summy piętnaście tysięcy złotych polskich z zapisu Lipnickiego, pobierali dystrybutorowie solni, a włościanie od korzystania z nich odsunięci zostali. Sama summa od roku 1680 mieściła się na dobrach Janowice górne. przez Łukasza Podłęskiego wniesiona.

Po zniesieniu urzędu dystrybutorów solnych, procenta zalegać zaczęły; wówczas Adam Łodzia Poniński marszałek konfederacyi generalnej. w dniu 16 kwietnia 1773 roku ogłoszonej, przez sancitum dnia 18 marca 1774 roku wydane, samowolnie rozporządził procentami od legatu Lipnickiego, przeznaczając zaległe Gabryelowi Popielowi ówczesnemu pisarzowi granicznemu województwa sandomierskiego, a następne, na zawsze do tegoż urzędu przywiązał. Niedość procenta, ale i sam kapitał 15,000 złp., tenże sam marszałek Poniński, wbrew słuszności i postanowieniu sejmowemu, przez powtórne sancitum swe z dnia 9 kwietnia 1775 roku, przeznaczył na własność Adamowi Łackiemu kasztelanowi sandomierskiemu, tytułem wynagrodzenia za utracone przezeń dobra do krzesła sandomierskiego należące, które w pierwszym rozbiorze do Austrii przyłączone zostały.

Takim sposobem włościanie utracili i kapitał i procenta, a następne aż do naszych czasów dzieje tego legatu, stały się czysto prywatnemi. Dla ciągu jednak powtórzę je tutaj.

Obdarowany przez Ponińskiego własnością publiczną, Łącki, dochodzić ję zaczął na ówczesnym Janowic górnych właścicielu, Wojciechu Jawornickim, i tegoż przed sąd grodzki sandomierski o zapłacenie 15,000 złotych pols. zapozwał. Lecz w sprzeczności dwóch Ponińskiego sanciów, sąd grodzki nie mogąc wyrokować, spór do stanów Rzplitej odesłał, wyrokiem z dnia 28 kwietnia 1777 roku.

Jawornicki korzystając z tęg przewłoki, którą i nastąpiona około tego czasu śmierć kasztelana Łąckiego przedłużyła, układem w dniu 14 grudnia 1786 roku z Stanisławem Rzczyckim właścicielem dóbr Brzezia zawartym, i na mocy obligu w tym samym dniu w grodzie sandomierskim zeznanego, summę złp. 15,000 przeniósł ze swych dóbr, na dobra Brzezie. Ale po tęg przerwie, spadkobiercy Łąckiego o kapitał, a Stefan Grudziński ówczesny pisarz graniczny sandomierski, o procenta, na mocy sanciów Ponińskiego, wytoczyli przed trybunał lubelski przeciwko Jawornickiemu procesa; w skutku których, zapadł tegoż trybunału w d. 4 czerwca 1789 roku wyrok, przyznający Grudzińskiemu procenta od roku 1774 zaległe, Łąckim zaś kapitał 15,000 złotych polskich.

Na zasadzie takiego wyroku, Łąccy i Grudziński odnieśli się do sądu grodzkiego sandomierskiego o zobowiązanie Jawornickiego do zapłacenia przyznanych przez trybunał pretensyi. Jawornicki w obronie swęj przypozywa spadkobierców Rzczyckiego, opierając się na układzie i obligu z r. 1786; a sąd grodzki dwoma wyrokami swemi z dnia 5 listopada 1789 roku, zobowiązał Jawornickiego i Rzczyckich do solidarnego zaspokojenia Grudzińskiego i Józefa Łąckiego syna kasztelana sandomierskiego. Ten ostatni w r. 1791 zajął dobra Brzezie, i z tych podług kwitu z dnia 31 grudnia tegoż roku, w grodzie lubelskim zeznanego, summę złp. 15,000 podniósł.

Ale w lat dwa po tym ostatnim czynie, tojest w r. 1793, sejm grodzieński inaczęj widział tę sprawę jak trybunał lubelski; i uchylając nieprawne marszałka Ponińskiego sanciata, wspomnioną wyžęj konstytucyą sejmową z roku 1647 zatwierdzisz, fundusz Lipnickiego do pierwotnego na korzyść włościan powiatu sandomierskiego przeznaczenia przywrócił.

Zajaśniała więc dla ubogich chłopków nadzieja otrzymania pomocy; lecz ją nastąpione zmiany polityczne w samym rozświecie nadługo przyćmiły. Konstytucyą sejmu grodzieńskiego, ani do Voluminów legum wniesioną, ani w wykonanie wprowadzoną nie została; i znów sandomierscy włościanie na długo od zapewnionego im przez Lipnickiego dobrodziejstwa, odsunięci zostali.

Pod opieką dopiero dzisiejszego rządu, Prokuratorya Królestwa, od roku 1828 aż po rok 1837 zajmując się odzyskaniem

należnej włościanom summy, i przez wszystkie instancje sądów cywilnych proces przewiodłszy, wyjednała ostateczny wyrok sądu Najwyższej Instancji, w dniach 2 i 3 marca 1837 roku zapadły, na mocy którego summa złp. 15,000 przez Lipnickiego przeznaczona, do celu przezeń zakreślonego przywróconą została: zaległe procenta w ilości złp. 15,373 gr. 10, do kapitału wcielono, i włościanie dóbr powiatu sandomierskiego od roku 1847 otrzymują procent rocznie złp. 1,518 gr. 20, na zaspokojenie podatków. Trzech obywateli ziemskich tamiecznego powiatu, wraz z naczelnikiem powiatowym, zajmują się zaproponowaniem włościan do udziału z tego procentu, który im następnie każdemu po szczególe w stosunkowej do potrzeb ilości, bądź do rąk, bądź przez zastąpienie w podatkach skarbowych, doręczonym bywa.

Tak więc zaledwie po dwóch wieków upływie, cnotliwe zamiary naszego ziomka Sandomierzanina, urzeczywistnione w zupełności zostały; wieśniacy tutejsi, mając za siebie zaspokajane podatki, najznakomitszą w potrzebach swoich otrzymują pomoc, a imię Jana Lipnickiego większej i zasłużonej nabywa świetności.

Nie jest nam wiadomém miejsce wiecznego spoczynku ziemskich szczątków tego twórcy pomysłności sandomierskich włościan; może je późniejsze poszukiwania odkryć zdołają: ale duch jego w swych dobrodziejstwach dotąd pomiędzy tym ludem przebywa, zyskując błogosławieństwa i słodkie lzy wdzięczności obdarowanego ubóstwa.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1855.

40. Chatka w lesie. Dziwactwo dramatyczne, w pięciu ustępach, przez Władysława Syrokomlę. 12-ka. Wilno. 1855. Nakład A. Assa (druk A. Marcinowskiego). Kart 4, przedmowy str. VI i 88. Rsr. 1.

41. Córa Piastów. Powieść wierszem z dziejów litewskich, przez Władysława Syrokomlę, z muzyką St. Moniuszki. 8-ka. Wilno. 1855. Nakładem Rubena Rafałowicza (druk Zawadzkiego). Str. 54. Kop. 90.

42. Książeczka dla Stefcia przez Stanisława Jachowicza. (Z ryciną). 12-ka. Warszawa. 1855. (Nakład autora) druk A. Ginsa. Str. 84. Kop. 50.

43. Niewiasta przez Walerego Wielogłowskiego. (Wydanie drugie). 16-ka. Kraków. 1855. W księgarni i wydawnictwie dzieł katolickich. (W drukarni Czasu). Str. 102. (do str. VI znaczone rzymskimi liczbami). Kop. 40.

44. Poezyje Wincentego Pola. W Krakowie. 1855. (Na odwrotnej karcie) Mohort. Rap-sod rycerski z podania. 8-ka. (Nakład autora, w drukarni Czasu). Str. 176. Objasnień XLV. Rsr. 3 kop. 30.

45. Życie Mikołaja Kopernika przez Dominika Szulca, członka kor. Towarzystwa naukowego krakowskiego..... 8-ka wielka. Warszawa. 1855. (W drukarni Gazety Codziennój). Napisów. przedmowy i rejestru str. XV. i 102. Rsr. 1.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

J. F. Dobrzyński zamierza ogłosić polonezy ojca swego Ignacego. W czasach, gdy nasi kompozytorowie zatracili niemal właściwy charakter tego narodowego tańca, niemalą wydanie to przyniesie korzyść: gdyż w tych utworach ujrzemy zachowane nieskazitelnie i owę dziar-skość, i duch staropolski prawdziwie naszych polonezów.

— Nakładem S. Orgelbranda drukują się następne dzieła i wkrótce wyjdą z pod pra-sy: ks. Osińskiego: Żywy biskupów wileńskich, wraz z bibliografią o życiu i pracach autora przez H. S. (Hippolita Skimborowicza), z portretem autora, 3 tomy.—Jana Prusinowskiego po-ezye. Dr. Teodora Tripplina: Lekarz w Szwajcaryi, 4 tomy. Historji powszechnej Cezara Kantu tom IX. F. Eberharda: O chowie i ulepszeniu ras koni, z poglądem na chów koni w Anglii. „Ach! co za prześliczna książeczka.” przedstawiająca w obrazkach kolorowanych wszelkie przedmioty łatwe dzieciom do pojęcia.—Zwierciadelko dziecinnego wieku, czyli zbiór powiastek nauczających i zajmujących z rycinami: dziełko to ma dwa oddzielne jeszcze wy-dania: polsko-francuzkie i polsko-niemieckie.

— Romuald Zienkiewicz zamieszkały w Wilnie, znany w literaturze naszej jako wy-dawca pięknego zbioru Pieśni ludu pińskiego, wraz z przekładem na polskie, oraz jako autor rozprawy: O uroczyskach i zwyczajach ludu pińskiego oraz o charakterze jego pieśni, któ-rąśmy drukowali w naszym piśmie oddawna uległ nieuleczonemu kalectwu ślepoty. Pozba-wiony wzroku, nie przestał pracować na literackim polu; niemożąc piórem władać, nauczył się wprawnie pisać ołówkiem. Takie listy otrzymujemy często, w których nam o coraz nowych pracach swoich donosi. Zaczny ten literat ogłosił teraz prenumeratę na nową pracę swoją p. n. Próbkę rymowe Romualda Zienkiewicza. Dziełko to wyjdzie przed końcem r. b. w drukarni J. Zawadzkiego w Wilnie. Pisarz ten liczy na współczucie społeczności naszej, i my o nióm nie wątpimy. Prenumerować można w redakcyi Biblioteki Warszaw.; cena egzemplarza rsr. 1.

— Pani Alexandra Petrow, zatządzająca zewnętrznymi interesami Domu schronienia Opieki N. Maryi Panny, ogłosiła w naszych pismach codziennych uwiadomienie o zamiarze wydawania pisma peryodycznego dla ludu miejskiego. Cel piękny i wzniosły wyrażnie mamy

oznaczony. „Oddawna w kraju tutejszym (pisze pani Petrow) czuć się dawała potrzeba wpływu na poprawę moralną domowników obojęj płci i młodzieży, zajętej przy warsztatach; aby taka poprawa stawała się możebną, potrzeba współdziałania nie tylko pań i panów, majstrów i właścicieli zakładów przemysłowych, rodziców i opiekunów młodzieży, ale nadto oprócz przykładu i zachęty, potrzebaby podać do rąk wspomnianej klasy osób pisma stosowne do ich wieku i pojęcia, do rodzaju zatrudnień i stopnia kształcenia, które obok wpajania moralnych zasad rozwijać się powinno. Pismo to ma mieścić w sobie: 1) Opowiadania lub powieści moralne w zastosowaniu do warstwy właściwej czytelników. 2) Wiadomości o szczególnych odkryciach, ulepszeniach w naukach, sztukach i rękodzielach. 3) Tłumaczenie przystępne do pojęcia zjawisk natury, i fenomenów przyrodzonych. 4) Wiadomości o zakładach dobroczynnych i miłosiernych.“ Taką treść czytamy w ogłoszonym prospekcie: dowiadujemy się teraz z pewnego źródła że ma mieć napis: „Czytanie niedzielne,” że ma wychodzić tygodniowo w zeszytach arkuszowych. Nie tajemy, jak wielkie przewidujęm trudności w redagowaniu tego rodzaju pisma, wyłącznie poświęconego klasie rzemieślników miast naszych, a głównie Warszawy. Potrzeba bowiem, aby kierujący tęp pismem umieli się zastosować nie tylko do pojęcia swoich czytelników, ale dając obrazki i powieści, połączyć wyższy cel moralny z zajęciem, aby zyskać współczucie, i prawdę objawioną głęboko w serca wpoić. Spodziewamy się, że pierwsze numera Czytań niedzielnych ujrzymy około Nowego Roku 1856, jeżeli nie prędzej.

— Drukarnia J. Zawadzkiego w Wilnie ogłosiła prospekt na dzieło Jana Sikorskiego p. n. „Ziemianin czyli łatwy sposób powiększenia dochodów za pomocą wiejskiego gospodarstwa. Praktyczne podręczne dziełko, obejmujące treściwe wiadomości o rolnictwie, o hodowli wszelkiego rodzaju domowych zwierząt, ich chorobach, leczeniu, o pszczołach i t. d., tudzież zbiór mało dotąd znanych, lub zupełnie nowych zaradczych w domowym gospodarstwie środków.“ W jednym tomie do 20 arkuszy ścisłego druku obejmujących. Cena przedpłaty rsr. 2, po wyjściu z druku znacznie będzie podwyższoną.

— Nakładem G. Sennewalda wyszła: „Biblia dla dzieci albo historia skrócona Starego i Nowego Testamentu, opowiadana dzieciom od 8 do 12 lat, przez ks. Marcina de Noirlieu, przekład z francuzkiego przez J. H. str. 220, 8ka. Dziełko to w wychowaniu domowym wielce użyteczne, celem dania pierwszego wyobrażenia historii świętej. Przekład dokonany językiem czystym, jasnym, a pełnym prostoty, umiejętnie zastosowanym do dzieciennego wieku.

— Z drukarni Gazety Codzienniej, wyszła zpod prasy ważna praca naukowa znanego badacza: „Życie Mikołaja Kopernika“ przez Dominika Szulca, członka kor. Towarzystwa naukowego krakowskiego, połączonego z Uniwersytetem Jagiellońskim, 8ka, str. 102. Rozprawa ta, pierwotnie była przeznaczoną do dzieł ogłoszonych Mikołaja Kopernika w pysznym wydaniu: gdy jednakże na czas oznaczony nie mógł autor wyspieszyć, wezwano profesora Juliana Bartoszewicza, i przez niego skreślony życiorys Kopernika, wydawcy na czele pomienionego dzieła umieścili. Prof. Szulc wykończył tymczasem rozpoczętą biografią wielkiego astronoma, i w odcinkach Gazety Warszawskiej ogłosił. Ale i ta praca uległa zmianie: posłuchajmy, co pisze uczony badacz w przedmowie swojej. „Przerobiwszy zupełnie pismo ogłoszone w odcinku Gazety Warszawskiej, wydaję je obecnie w obszerniejszej treści i odmiennej postaci. Wiem, że nie tak wartością swoją jak raczej wielkim imieniem rodaka pozyskało sobie przychyłność oświeconych osób i serc poczciwych: jednak nie mogę zamilczeć wdzięczności dla tych mianowicie, którzy przed ukończeniem jeszcze druku w odcinku, pospieszyli z chęcią przełożenia dziełka na język francuzki, i w tym celu zaczęli zbierać podpisy. Ludzie ci, czystą miłością nauki i słuszności tchnący, pochodzili z różnych zawodów życia publicznego. Taki popęd wyborowych umysłów włożył na mnie konieczny obowiązek troskliwego przetworu pierwotnej pracy, i nadania jej wybitniejszej barwy: do czego tym bardziej byłem powodowany, że nieco później rzadki zasób materyalny, połączony z rzadzą jeszcze skłonnością do szerzenia wszelkiego postępu, nie znając osobiście autora, przyjął na siebie pokrycie kosztów pięknego wydania polskiego. Warszawianie zatem upowszechniwszy już dzieła Kopernika w kraju i zagranicą, okazali powtórne zajęcie się wyrazem sprawiedliwości dla uczuć najdroższych sercu nieporównanego myśliciela, pomysłem sięgającym granic wszechświata i podstawą, dobrze przez siebie pojętą narodowego pismienictwa. Winienem tu jeszcze nadmienić, że pracę moją oparłem na czynach nie zaś powiastkach, i odrzuciłem szczegóły pozabawione rzeczywistej zasady. Takim jest na przykład wodociąg frauenburski, daleko późniejszy podług sprawozdań Voigta, od czasów Kopernika; takim zegar włocławski niemający ogłoszonych dowodów autentycznych swojego pochodzenia: taką wieść o chorobie, zrzędzonej przez zburzenie drukarni w Norymberdze i zniszczenie dzieła, niezgodna ani z listem Gizego, pisanym wkrótce po śmierci astronoma, ani z istnieniem autografu w bibliotece pragskiej hr. No-

stitz. Zakres ściślej umiejętności innym jest od dziedziny, w której się fantazyja porusza.“ Znakomita praca prof. Szulca wyszła w ozdobnej i nader starannej edycji. Rzadko znaleźć książkę polską tak pięknego wydania. Druk, papier, odbicie, tak wyborne, że śmiało może iść o lepsze z wydaniem paryzkimi i londyńskimi.

— Znany w literaturze naszej pod pseudonimem Padalicy p. Zenon Fisch obywatel ukraiński, drukuje w 2 tomach u Zawadzkiego: „Wędrowki po Ukrainie.“ Wyjątki które znamy już z pism codziennych, już z naszego (jak Zosia Żytkiewiczówna) zapowiadają, że w dziele tém znajdziemy obrazy pełne życia i barwy, oddane bieglem artysty piórem.

— Zapowiedziane dawniej dzieło: „Archiwum domowe do dziejów i literatury krajowej, z rękopismów i dzieł najrzadszych zebrał i wydał K. Wł. Wojcicki, 8ka, str. 558, z dwiema litografowanymi tablicami, już wyszło z druku. Cena rsr. 3.

Dzieło to można podzielić na 3 części. W pierwszej wydawca zamieścił: „Rękopisma do panowania Stanisława Augusta“ wyjęte po większej części z tajnego archiwum króla Stanisława. W drugiej mieszczą się przedruki dwóch pism najrzadszych Marcina Bielskiego, to jest: Sprawy rycerskiej (z r. 1569) i mającego z tém dziełem łączność poematu: Sejm niewieści (1595 r.). W trzeciej z rękopismu Józefa Gluzińskiego: Włościanie polscy uważani pod względem charakteru, zwyczajów i przesądów, z dołączeniem przysłów powszechnie używanych: gdzie głównie pod uwagę zostali wzięci włościanie z okolic Zamościa i Hrubieszowa.

— Stanisław Jachowicz ogłosił prenumeratę na „Nowe śpiewy dla dzieci“ z melodyami. Dołączone do tego zostaną śpiewy Betleemskie i dramacik liryczny p. n. „Jasełka.“

— Dr. Teodor Tripplin pracuje obecnie nad dalszym ciągiem Asmodeusza; wykończy także Hygienę.

— Nakładem i drukiem S. Orgelbranda wyszła w jednym tomie: „Ekonomia domowa, czyli przepisy dotyczące się gospodarstwa wiejskiego i domowego.“ Autorem téj Ekonomii jest Tomasz Bartmański, znany z podróży do Hiszpanii, z której wyjątki drukowaliśmy w naszym piśmie.

— Nakładem Żupańskiego wyszedł tom IV dzieła: „Polska, dzieje i jej rzeczy“, zawierający: o urządach, dostojenstwach, godnościach, herbach; dalej o pojedynkach w Polsce i t. p.

— Zapowiedziany zeszyt Iszy dzieła: „Kościoły warszawskie rzymsko-katolickie, opisane pod względem historycznym“ przez J. Bartoszewicza, z drzeworytami Michała Starkmana, już wyszedł z druku. Wydanie ozdobne, drzeworyty wedle rysunków starannie wyrobione, i pięknie odbite w zakładzie typograficznym S. Orgelbranda. Należy życzyć, ażeby nagrobki mające wartość czy to pod względem sztuki, czy przywiązanego do nich ważniejszego wspomnienia, były większych rozmiarów. Grobowiec St. Malachowskiego wiele stracił w oddaniu miniaturów w drzeworycie: równie jak pomnik Woronicza.

— W drukarni Gazety Codziennej postępuje dalej druk 3-go tomu Dyplomatarjusza. Po śmierci dwóch dawniejszych współpracowników tego dzieła, Antoniego Muczковского i Stanisława Lisowskiego, zajął ich miejsce w redakcyi Julian Bartoszewicz, i jak dawniej Leon Ryzszewski. — W tejże drukarni wkrótce opuszczą prasę, między innymi następujące dzieła: „Romedyanci“ powieść J. I. Kraszewskiego 4 tomy (nowe wydanie, powiększone o dwa tomy: nakład B. M. Wolffa). — „Powieści dla dzieci“ ze Starego i Nowego testamentu, podług tłumaczenia J. Wujka, 2 tomy, (nakład J. Klukowskiego i W. Rafalskiego). — „Różne różności“ J. K. Gregorowicza. 2 tomy, (nakład A. Nowoleckiego). — „Chata Wujka Tom.“ Powieść dla dzieci przez panią Stowe, z rycinami Dietrycha: po polsku i po francuzku. — „Historia Powszechna Kościoła“ przez Alzoga, przekład pani Belejowskiej, tom V. — „Życie na żart“ powieść A. Niewiarowskiego 3 tomy. — „On perły szuka.“ powieść tłumaczona z francuzkiego, przez J. Badeńskiego. — Powieść Dr. Teodora Tripplina w 2 tomach, drukowana w odcinku Gazety Codziennej p. n. „Kobieta z Głową,“ wyszła w oddzielnym wydaniu.

— Tłumacze dzieła Stöckhardta: „Wykład chemii“ świeżo wydanego w Wilnie, przygotowali obszerną rozprawę z bacznym względem na dotychczasową terminologią naszych chemików, a szczególnie na jej reformę podaną w projekcie do słownictwa chemicznego (Warszawa, 1853) przez 12 naszych uczonych. W niej usprawiedliwiają zmiany, jakie poczynili w polskiej nomenklaturze, w ogłoszonym przekładzie Stöckhardta. Rozprawa ta ma być wkrótce oddaną pod prasę drukarską.

— 0 0 —

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.
Wrzesień, 1855.

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	753.464	27	10.008
Najwyżej barometr dochodził d. 26 o g. 10 w.	764.56	28	2.927
Najniżej — — d. 5 o g. 4 w.	739.41	27	3.777
Dotąd ani razu barometr w tym miesiącu nie miał tak znacznej wysokości.			
Średnia zmiana dzienna barometru	4.331		1.920
Największa zmiana dzienna barometru			
d. 6—7 o g. 10 rano	13.75		6.095
Średnia wysokość barometru jest wyższa o	2.512		1.114
od stanu normalnego z 29 lat			
poprzedzających	750.952	27	8.894
Średnia temperatura września wynosi:	+ 11° 94	C.	+ 9° 55 R.
i ta jest niższa o	1.69	„	1.35 „
od stanu normalnego z 29 lat			
poprzedzających	+ 13.63	„	+ 10.90 „
Największe ciepło było d. 4 o g. 4 w.	24.2	„	19.36 „
Najmniejsze — d. 27 o g. 6 r.	0.2	„	0.16 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.259	„	1.807 „
Największa zmiana dzienna temperatury			
d. 24—25 o g. 10 rano	7.8	„	6.24 „
Termometrograf wskazał:			
Maximum: +20° 3 R. d. 4 po połud.			
Minimum: + 0° 1 „ d. 27 rano.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 78.1, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 8.51 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.01 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 32.2 mil. czyli 14.27 lin. par.; ilość ta wody jest o 6.80 lin. par. mniejsza od tej, jaka zwykle u nas we wrześniu spada.

Dni pogodnych było 11, napół pogodnych 8, pochmurnych 11.

— deszczu 10 (d. 2, 4, 5, 10, 13, 14, 15, 16, 17, 24).

— mgły 3 (d. 19, 27, 30).

Wiatrów mocnych było 1 (1 PnZ).

Wiatr panujący: zachodni, częste były także południowo-wschodnie i północno-zachodnie.

Wrzesień r. b. w ogóle był pogodny, suchy, lecz o półtora stopnia R. chłodniejszy niż zwykle. Pierwsze pięć dni były pogodne, suche i ciepłe, następne pięć pogodne lecz chłodne; dziesięć dni od d. 10 do 20 to jest od nowiu do pierwszej kwadry księżyca były słotne i chłodne; ostatnie dziesięć dni pogodne lecz znacznie chłodne. Średnia temperatura całego miesiąca wynosi tylko 9.55 stop. R. gdy w stanie normalnym też temperatura wynosi 10.9 stop. R. Najcieplejsze dni były: d. 2, 3, 4, 5, 20, 21, 23; najchłodniejsze d. 8, 17, 19, 25, 26, 27, 28, 29. W skutku znacznego zniżenia się temperatury osobliwie w nocy, rośliny wiele ucierpiały. W ciągu 29 lat upłynionych, wrzesień dwa razy tylko był tak chłodny jak w r. b. to jest w r. 1832 i 1850. Barometr utrzymywał się wysoko, osobliwie w dziesięciu dniach ostatnich. Pod względem stanu nieba miesiąc ten pogodniejszy był niż zwykle. W stanie bowiem normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 6.9:10.7:12.4; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 11:8:11 co pokazuje że liczba dni pogodnych w r. b. była większa niż zwykle.

D. 17 nad ranem był mróz siwy.

D. 8 o godz. 9 min. 10 rano, koło białe otaczało słońce.

KSIĄDZ WINCENTY SANTINO NUNCYUSZ W POLSCE

1722—1728 (*).

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Ksiądz Hieronim Grimaldi (Argento) z hrabiów Milańskich arcybiskup Edessy, miły królowi i rzeczypospolitej, zapadł na ciężką chorobę w Warszawie. Ważyło się długo na tę i na ową stronę: w styczniu miał się nieco lepiej i król bawiący wtenczas w Saxonii szczerze się z tego ucieszył, ale w lato pogorszyło się i ksiądz Grimaldi w początkach jesieni zakończył życie na dniu 1 października. 1721 o pierwszej z rana, nazajutrz po swoich imieninach. Byłto pierwszy nun-

(*) W numerze sierpniowym Biblioteki Warszaw. 1853 r. jest długi ciąg wypisów p. Tymoteusza Lipińskiego z gazet pisanych. Szanowny ten uczony przytaczając szczegóły o sporze księdza Santiniego z marszałkiem wielkim koronnym Mniszchem, nie umié ich objaśnić. Nasz artykuł ma właśnie ten brak zastąpić. Oddawna powziéliśmy już myśl wystawienia w historycznej opowieści stosunków Polski z Rzymem, a mamy ku temu przygotowane dosyć obfite materiały. Jako szkic, kanwę téj roboty napisaliśmy przed kilką laty rozprawkę, którą wydrukował Przegląd Naukowy z roku 1848, tom IIgi, str. 114 i 151 z potwornemi błędami druku. Tam już pomiędzy innemi jest wskazany za nuncyusza rzymskiego w Polsce Krzysztof Szembek biskup płocki (którego obszerniejszy życiorys w Pamiętniku religijno-moralnym 1850 r.), co pan Przędziecki podaje za osobliwość w r. 1850 (patrz jego Wiadomości i t. d. str. 170). Artykuł niniejszy niech nateraz zostanie wyjątkiem z onego dzieła, które mamy zamiar kiedyś, jak mówimy, jeżeli Bóg zdrowia pozwoli, wygotować o stosunkach Polski z Rzymem.

cyusz który umarł w Polsce; piérwszy który spoczął u nas w grobach u Teatynów. Bawił w Polsce lat blisko 9 (1).

Nuncyatura w Polsce była widać piękną posadą, kiedy znalazło się wielu kandydatów, którzy starając się o wakans, oblegli zaraz tron papieżki. Pomiedzy innemi gorliwie zabiegał o tę posadę ksiądz Passini nuncyusz w Szwajcaryi; ale jak na złość dla niego, ksiądz Santini znalazł przyjaciół na dworze rzymskim, którzy jego naprzód wysuwali, polecając łasce papieża. Innocenty XIII wahał się długo, to jest dłużej jak zwykle: wreszcie po miesięcznej przeszło zwłoce, oświadczył się za Santinim (nominacya nastąpiła w listopadzie 1721 r.).

W Polsce mało znano księdza Santiniego, który zdaje się, dotąd żadnych publicznych obowiązków nie sprawiał. Wiedziano tylko u nas, że był arcybiskupem Trepezuntu, a skoro zaraz po nominacyi zaczęła się nim coraz więcej zajmować Rplita; latały wieści, że to ksiądz dostojny, grzeczny, łagodny: więcej téż niczego nie potrzeba było dla Rplitéj.

Zanim jednakże przyjechał jeszcze do Polski Santini, audytor zmarłego nuncyusza chciał na małą skalę udawać wielką powagę i przywłaszczał sobie juryzdykcyą, która mu prawnie nie należała. Być może, był taki zwyczaj w Rzymie, że audytorom poruczano władzę nuncyatorską gdzie w innym kraju, pomiedzy śmiercią lub wyjazdem a nastaniem następnego nuncyusza; ale tego nie było jeszcze nigdy w Polsce: wszelka więc nowość raziła w kraju szlacheckim, który przywykł do szanowania swoich świętości i zasad rządu. Bądź co bądź, jakkolwiek tam było; dosyć, że audytor księdza Argento zgłosił się do kanclerza koronnego Szembeka (w grudniu 1721) i oświadczył mu, że ma władzę od Rzymu sobie nadaną, wykonywania dalej w Polsce sądów nuncyatorskich aż do przybycia księdza Santiniego. Chciał więc odrazu zafundować swoją juryzdykcyą i o tém uwiadamił kanclerza jako ministra spraw zagranicznych. Ale Szembek człowiek bardzo pobożny jak wszyscy podówczas Szembekowie, który sam nabudował wiele klasztorów i hojne rozdawał jałmużny, a więc ślepo stolicy

(1) Datę śmierci wzięliśmy z księgi bractwa Pięcio-Rańskiego przy kościele Po-paulińskim w Warszawie.

apostolskiej oddany, nie śmiał jawnie zaprzeczyć téj władzy audytorowi i zwrócić jego uwagę na to, ile podobny krok byłby źle uważany od biskupów i szlachty. Poszedł zatem pośrednią drogą, i czyniąc zadość powinnościom urzędu dał do zrozumienia audytorowi, żeby wprzód postarał się o pozwolenie królewskie, jeżeli chce władzę nuncyatorską wykonywać, a bez wiedzy pańskiej nie radził mu przywłaszczając nawet cienia powagi wyższej nad stopień. Audytor poprzestał na tém ostrzeżeniu, bo nie ma śladu, żeby się potem o mniemane prawo swoje dopominał.

Czekali więc wszyscy w Polsce na nuncyusza, ale że król bawił podówczas w Saxonii, Drezno prędkiej jak Warszawa ujrzało księdza Santiniego. Szalony był podówczas karnawał w Dreźnie: nuncyusz miał nagle spaść między bale, karuzele, assamble, teatra, muzyki, które wszystko aż do Polski ogłuszały (w styczniu 1722). Z biskupów Rplitej czekał na niego w Dreźnie jeden Hozyusz, który pozyskawszy sobie łaskę królewską, tylko co został inflancim, a za chwilę już i kamienieckim biskupem.

Pierwsze wrażenie po przyjeździe nuncyusza musiało być zawsze nijakie: ni złe, ni dobre, bo dopiero czyny jednają człowiekowi stałych przyjaciół albo nieprzyjaciół. Owszem to pierwsze wrażenie musiało być pomiędzy biskupami przychylnie dla księdza Santiniego. Ledwie króla powitał w Dreźnie, zaraz wyjechał do Warszawy. To pokazywało, że chce się zająć gorliwie obowiązkami swego urzędu, bo nie był nuncyuszem w Saxonii, ale w Polsce i do spraw duchownych Rplitej. Inni nuncyusze dworacy, całe życie przepędzali z królem: August do Polski, oni do Polski; król do Saxonii, oni do Saxonii: chyba, że w czasie wojny szwedzkiej bawili się długo na Szlązku. Ale Santini przyjechał sam do Warszawy. Zaraz podług zwyczaju wyprawił dosyć świetne exekwie za duszę swojego poprzednika w kościele Teatynów. Trzy dni trwało to nabożeństwo (w poniedziałek do środy przed 20 marca). Znajdowały się na niem wszystkie zakony, a celebrującemu na zakończenie nuncyuszowi assystowała kollegiata i dyakonie; kazanie miał ksiądz Zachniewicz kanonik warszawski. Drabanci królewscy stali przez trzy dni na straży u wrót kościelnych. Na Wielki Tydzień święcił oleje ks. nuncyusz u Teatynów.

Od października więc, aż do lutego, kiedy się wreszcie nowy nuncyusz pokazał w Rplitej upłynęło pięć miesięcy.

W lipcu nadjechał i sam król do Warszawy, dał posłuchanie przy ministrach prymasowi i nuncyuszowi, przyjął go potem ks. Santiniego u siebie. Wszystko szło dotąd jak najlepiej. Nastąpił w październiku sejm, na którym znajdował się także nuncyusz.

Po niejakiem czasie charakter księdza Santiniego zaczął coraz więcej objawiać się na zewnątrz. Ten człowiek pragnął rzeczywistej władzy i znaczenia, i choć miał jej dosyć w Polsce, więcej jak gdziekolwiek indziej mieli jej nuncyusze, jednakże dla jego dumy było to jeszcze zamało. Ksiądz Santini był bardzo czynny i lubił wdawać się we wszystko. Przyjechał z tém przekonaniem, że całe duchowieństwo polskie woli jego ulegać powinno jako reprezentującemu głowę widomą kościoła. Mieszał się więc w nie swoje rzeczy, do władzy i rządów swoich pociągał świeckich, wglądał w prawa królewskie patronatu i opactw, jakby chciał wszystko objąć pod siebie. Taka władza mogła się udać w małych Rplitych włoskich, albo elektorstwach niemieckich, ale nie w Polsce, gdzie duchowieństwo i biskupi mieli swoje przywileje szlacheckie, którychby za nic w świecie nie poświęcili nikomu. Jakże dziwnie jeszcze odbijały pretensye księdza Santiniego do rozdawania beneficjów i opactw, przez co już naruszał prawo samego majestatu! Pełno świadectw jest o tém, że arcybiskup Trapezuntu przechodził wszelką miarę i wszystkich swoich poprzedników w chęci rozszerzenia swojej władzy. Nieraz z tego powodu miał nuncyusz zajście z samym pobożnym kanclerzem Szembekiem, którego protokoły zajęte są skargami, sądami i wyrokami różnych stron przeciw nuncyuszowi. Konsystorz Santiniego wdawał się nareszcie w rozsądzanie spraw ziemskich i dopuszczał do siebie z owych sądów apelacye od duchowieństwa (1).

Zkądinąd ksiądz Santino było człowiek bardzo rozumny i rozsądny. Papiież miał wielkie wyobrażenie o jego zdolnościach i trafności w postępowaniu. To też tém dzi-

(1) Protokoły Szembeka przeglądał Czacki: patrz dzieło *O litewskich prawach*, nowe wydanie T. I, str. 325.

wniej świadomym rzeczy i znającym bliżej osobę arcybiskupa Trapezuntu wydawać się mogło, że sobie przywłaszczył tyle powagi z ujmą praw Rplitéj. Za jego np. wyrokiem, zakonnicy wdzierali się na opactwa i różni duchowni obejmowali beneficya bez prezent królewskich. Nie było tego jeszcze nigdy w Polsce, by ktoś obcy rodzinne dostojności rozdawał: dotąd na jedne wakanse mianował król, na drugie panowie, na inne wreszcie głosów braterskich, to jest elekcyi było potrzeba. Tak w opactwach, tutaj król mianował, tam znowu zakonnicy wybierali opata, ale za potwierdzeniem królewskim, tak dalece, że król miał zawsze wiele prawa wpływać na te elekcyje, które się odbywały pospolicie według jego woli i życzenia. Juścić kiedy król zniszczył w kapitułach elekcyje biskupów i sam rozdawał wolą swoją infuły, samo z siebie wynika, że mniej dbał o jakieś tam przywileje klasztorne, tém bardziej, że w klasztorach moc była zakonników nieszlacheckiego stanu. Ale co do opactw, jeszcze to się wahało pomiędzy stronami: sama zasada nawet była niepewną kto ma prawo wybierać opatów. Prawo to zakwestyonował Zygmunt III, który piérwszy stanowczo z królów polskich zaczął swoim sekretarzom, zasłużonym na dworze panom duchownym, rozdawać niby starostwa, bogate opactwa i klasztory. Bronili się mnisi, ale nadaremnie. Mnożyło się w Polsce coraz więcej komendatoryjnych opatów, to jest świeckich księży i biskupów, a lubo i klasztory wybierały sobie opatów tak nazwanych klasztornych, piérwsi pobierali z dóbr dwie trzecie, a ostatni jedną trzecią dochodu. Łatwo teraz rozumieć, jak musiało razić w Polsce, kiedy nuncyusz dawał to, czego król zupełnie jeszcze dawać nie mógł. Santini popierał opatów klasztornych i wdawał się za nimi, by pobierali całe dochody, jak było kiedyś przed reformą Lutra; a więc tém samém odrzucał opatów komendatoryjnych, obrażał wysokie duchowieństwo Rplitéj i samego króla, przez ten wyskok szalonej dumy gwałcił prawa kardynalne narodu.

Zdarzyła się téż innego wcale rodzaju sprawa w województwie krakowskim: na jakichsiś dobrach był wyderkał, z którego płaciła się prowizya dla kościoła. Szlachcie zaległ w świętym podatku, jak to nie nowina: tak to bywało, bywa, i będzie zawsze. Zamiast być powodem i stroną,

nuncyatura stawała się sędzią: wytaczano przed nią sprawę, a Santini kazał nieopłacającego się szlachcica zapoznać przed swoje sądy. Było to to samo co naraz zamącić wszystkie rozumy szlachty polskiej, która pojąć niemogła takiej kollizyi władz i prawodawstwa.

Nic dziwnego, że Santini miał w Polsce stronników, bo wszelka sprawa, zła i dobra, znajdzie zawsze dla siebie stronników. Kto liczył na łaski nuncjusza i Rzymu, garnął się chętnie do niego, świadczył i podzegał. Rozsądniejszy byłby nauczył nuncjusza, że to dziwne jego postępowanie przysporzyć mu tylko mogło liczbę nieprzyjaciół i nie więcej; ale widać Santini nie miał takich szczerych doradców, tylko takich którzy spekulowali na niego. Może pod zasłoną kościoła i urzędu myśleli o własnym interesie i probowali czy się co nie uda.

Trafiła kosa na kamień: najzaciętszym przeciwnikiem Santiniego pokazał się książę prymas Teodor Potocki. Kiedy nuncyusz przyjechał do Polski, Potocki był jeszcze biskupem warmińskim i umizgał się bardzo pięknie o Kraków, który miał zawakować, gdy Szaniawskiego chciał król przesadzić na Gniezno. Ale gdy Szaniawski podziękował za arcybiskupstwo i Potocki musiał się rozstać z myślą o Krakowie, która w nim od czasów wojen szwedzkich bezustannie jak mara nocna gościła; został sam zato arcybiskupem gnieźnieńskim. Był więc już przez to samo legatem w Polsce i posłem stolicy apostolskiej z urzędu (legatus natus), a korzystając z okoliczności chciał upokorzyć Santiniego i nowym blaskiem przyodziać infułę gnieźnieńską. Już poprzednio kilka razy zachodziły spory prymasów z nuncyuszami o tę prerogatywę władzy, i nieraz przychodziło do nowych o to sporów: walczono o zasadę, czy w Polsce prymas nad nuncjusza, czy nuncyusz nad prymasa jest wyższy? Rzym oczywiście trzymał stronę swojego, ale gorliwy i ambitny prymas był silniejszym na swoim gruncie. Takim właśnie prymasem był Potocki. Człowiek w samej sile wieku, dumny do wysokiego stopnia dlatego, że arcykapłan narodu i że Potocki, lubiący się także nasuwać każdemu i mieszający wszędzie swoje trzy grosze, ruchliwy, przekonany wysoko o swoim rozumie i zdolnościach, impetyczny nawet aż do zapomnienia się, gorączka: w każdym

razie prymas był bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem dla Santinięgo.

Zamiast więc łagodzić samemu i być pośrednikiem, jak to wypadało z jego urzędu w zawikłaniach, jakie pokazały się z powodu mieszanja się we wszystko nuncyusza; prymas jeszcze więcej rozdmuchiwał niechęci. Jego widocznym planem było: przyprowadzić rzecz do ostateczności, potem urząd nuncyatury stanowczo do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego przeciągnąć, ile że do tego prymasi mieli prawo w samym tytule swoim i przywilejach. Potocki trafił przez to w słabość narodową, w myśl ograniczenia władzy nuncyuszów, a nawet pozbycia się całkiem téj władzy; rodziła się kilka razy, i ledwie ucichło cokolwiek, znowu po niej jakim czasie ta myśl powracała i nurtowała z większą jeszcze siłą. Tak naród pobożny, religijny i *per excellentiam* katolicki, nie mógł się długo oswoić z nuncyuszami, będąc o siebie zazdrosny.

Niezaraz jednakże przyszło do otwartego zerwania. Nuncyusz przejeżdżał się z królem po Saxonii i Polsce. Długi czas z nim razem przesiedział w Dreźnie (1724—25), owszem był dosyć mile widziany na dworze: ciągle Augustowi celebrował to w Dreźnie, to w Pilnitz. Miał udział w uroczystościach familijnych pana, np. na weselu hrabiego Friese, który się żenił z siostrą najukochańszą Maurycego de Saxe. Kiedy celebrował, baldachim nad nim unosili panowie tacy jak np. marszałek wielki koronny Mniszech i książe podkanclerzy litewski, Fryderyk Czartoryski; jeździł nuncyusz z królem i po jarmarkach lipskich, jedném słowem, zdawało się pozornie, że nic pomiędzy niemi zgody nie zakłócało.

Od kilku już lat ciągnęły się często bardzo przerywane konferencye wyznaczonych przez Rplitą panów, ze wszystkimi ministrami zagranicznymi, którzy przy dworze polskim bawili: z każdym z nich umawiano się o warunki dobrego sąsiedztwa i przyjacielskiego porozumienia się; z jednym tylko nuncyuszem układała się Rzplita o prawa patronatu królewskiego, chcąc przy zdarzonej okoliczności i tę sprawę, wywołującą tyle kłopotów, ostatecznie załagodzić. Nie zdało się wszystko na nic, bo na konferencyach panowie rozprawiali więcej o potocznych rzeczach i częstowali się nawzajem, jak

mówili seryo o sprawach kraju. A zresztą trudno było trafić do ładu z księdzem Santinim, wszyscy nuncyusze zawsze mocno stawali za prawami stolicy apostolskiej, i stosownie do tego mieli instrukcye, ale arcybiskup Trapezuntu był jeszcze więcej od poprzedników wymagający...

Wtém nastąpił wypadek, który zwichnął cały ten stosunek tajnych niechęci a pozornych grzeczności. Ni ztąd ni zowąd stała się owa znana katastrofa w Toruniu (w lipcu 1724), a w ślad za nią kommissya i krwawe wyroki. Oskarżają króla, że sprawy toruńskiej chciał używać za pozor, aby wyrobić sobie to, czego pożądał tak gorąco, to jest dziedzicność tronu w Polsce ze zmianą rządu monarchiczną. Przewidując los Toruńczanów, mocarstwa dyssydenckie ujmowały się za niemi i pisały noty do Rplitej. Król zaś był kontent z tego nawarzonego piwa: powiadają, że chciał, by w tej sprawie przyszło do ostateczności i do pogroźek wojennych, a nawet może i do samej wojny. Byłby miał zrzeczność wprowadzić wojsko swoje do kraju, niby na obronę Rplitej, a potém pogodziłby się z mocarstwami; stosownie do ich życzeń urządziłby sprawy religijne i położenie dyssydentów w Polsce, a potém pozawierałby z niemi związki i przy mierza gwarantujące mu dziedzictwo tronu i większą władzę, dlatego, żeby mógł utrzymać prawa dyssydentów według woli mocarstw. Niewiadomo jak wiele w tém wszystkiém było prawdy, ale że królowi do ostatnich chwil nie ufała szlachta, na to dowody wynajdujemy prawie codziennie. W tym celu król sejm warszawski limitował na czas nieograniczony do Grodna, chcąc przez ten czas wyrabiać, jak mówiono, swoje praktyki.

Roku 1725 zaczęła się krwawa exekucya wyroku na Toruń. Hetman Sieniawski przysłał do tego miasta zbrojną assistencyą; podług prawa kommissarze zjechali, z niemi pan Flemming tajny doradca królewski, który był t-am dlatego, żeby sędziowie nie spuszczała z surowości, niby to się ujmował za wiarę, a w rzeczy samej chciał rozdać więcej dyssydentów. Nad wszelkie spodziewanie nuncyusz Santini ujął się za Toruniem przeciw królowi. Nie robił tego, broń Boże, przez żadne dla dyssydentów przywiązanie, ale przez dobrze pojęty interes własny, to jest kościoła. Santini miał przenikliwość z natury, i bystro pomiarkował

o co to idzie w tój sprawie: dla nasycenia chwilowej zemsty, niewarto było podług niego, narażać w Polsce przyszłość katolicyzmu. Zresztą sprawiedliwości i tak zadosyć się stało, że przywrócono kościół farny św. Anny i Bernardynki katolikom: pocóż się tyle znęcać, jeszcze rzeź wyprawiać? Jeżeli ocali się życie winnym czy niewinnym sprawcom zamachu toruńskiego, przetnie się przez to samo, myślał nuncyusz, droga do utyskiwań, do rozinazywań żalów za granicą, zamknie się usta państwu dyssydenckim, które pi-sały noty do Rplitój, a w spokojnym załatwieniu sprawy widziały swój honor i osobistość: otóż dlaczego nuncyusz posłał do Torunia nakaz (czyli jak wtenczas mówiono w języku urzędowym, inhibicyą) żeby się z wykonaniem wyroku śmierci kommissarze wstrzymali. Żeby zaś upozorować lepiej swoje wdanie się nuncyusz utrzymywał, że to jest sprawa czysto kościelna i duchowna, i że ostateczny wyrok do sądów duchownych należy. Nie tłumaczył się obszerniej, bo tutaj szło mu jedynie o zwłokę. Ksiądz wiozący ten nakaz przyjechał pod samą chwilę traceniał winowajców, nie-spóźnił się więc, ale bramy miasta zastał zamknięte. Czy kommissarze wiedzieli o tём że ksiądz przyjedzie, czy też dla innej jakiej przyczyny, ale nakazali na czas exekucyi zamknąć bramy. Ksiądz upomniał się; odpowiedziano mu: że wpuszczą go po spełnieniu wyroku, więc nie myśląc wiele, posłaniec nuncyusza powrócił sobie spokojnie do domu.

Nie udało się więc, ale czyn ten śmiały podniósł znakomicie w oczach drobniejszej szlachty powagę nuncyusza. Mało tam ona wiedziała o jego pretensjach, mało rozumiała prawne spory, ale to ostatnie wystąpienie jój się spodobało. Za to podnieśli wrzaski w niebogłosy panowie duchowni i świeccy i cała w ogóle szlachta wyższa, która dotąd wyłącznie spierała się z nuncyuszem. Postępek jego ochrzczono wdaniem się w prawa królestwa, a przez to dano wrogom Santiniego hasło do zbierania na niego jak można tylko było, najliczniejszych zażaleń.

Nie chciało niebo błogosławić zamiarom elektora saskiego. Jeden z jego sprzymierzeńców umarł, drugi był za-daleko, inni za słabi; nareszcie Francya coraz więcej występowała z planem swoim względem Leszczyńskiego: zamiast

coś zyskać, mógł król wiele stracić. Otóż dlaczego król znowu powoli zapomniał o nadziejach, jakie się przed nim tak nagle otworzyły i rad nie rad musiał kończyć sejm zaczęty. Ale już wyjechawszy w roku 1724 do Saxonii, ciągle tam siedział po całych prawie latach, znowu nadużywając władzy, gdy prawo kazało mu siedzieć w Rplitej. Niby to czyniąc zadosyć swojej powinności wybierał się raz-wraz do Warszawy. Ciągle to w listach, to w ustnych zapewnieniach twierdzili panowie bawiący się w Saxonii, że król się wybiera, że lada chwila wyjedzie. Już nawet ogłaszali dzień rozpoczęcia sejmu, już uniwersały wydawali, już sami się wybierali z powrotem do Polski, albo wyprawiali dworskie powozy, a tutaj ani widać było spełnienia tych częstych obietnic. Nuncyusz ciągle bawił się w Saxonii, zawsze pozornie z grzecznością przyjmowany. Było mu nawet, zdaje się, różniej jakoś w Saxonii, gdzie miał daleko mniej nieprzyjaciół jak w Rplitej, gdzie co najgłośniejsza nie widział ani na oko prymasa, z którym w Warszawie co chwila spotykać się musiał. Nareszcie wieści że król powraca na sejm do Warszawy, tyle nabrały znaczenia, że mówiono już głośno o wyjeździe nuncjusza z Drezna: Santini miał tylko poprzedać króla. Już nawet dzień wyjazdu nuncjusza oznaczono w gazetach pisanych, był to dzień 8 lipca 1725. Nie zawiodła tą razą nadzieja: powrócił nuncyusz i król i zaraz rozpoczęły się na nowo tyle razy przerywane konferencye z ministrami.

Burza na seryo zaczęła się dopiero na sejmie przypadającym z limity w Grodnie r. 1726. Poprzednio nazbierawszy jeszcze moc dowodów na nuncjusza, posłano je do Rzymu ze skargami do hrabiego Lagnasco, który sprawy Rplitej tam wyrabiał. Król pisał stanowczo, i natarczywie żądał odwołania nuncjusza, którego położenie oczywiście nie do pozazdroszczenia było. Że zaś jednocześnie Rplita dała się na rezydenta angielskiego Fincka, który jak to mówią, dobrze zalał sadła za skórę katolikom: nie robiły te skargi na Santiniego tyle wrażenia co zrobiłyby pewnie inną razą. Mógł ktoś posadzić albowiem Rplite, że chce się kłócić ze wszystkimi wtedy państwami. Fincka także chcieli ministrowie, żeby odwołano, ale król angielski się wzbraniał i otwarcie oświadczył, że o tém wcale nie myśli.

Toż samo jeżeli nie powiedział, to myślał papież i Santini, na którego nikt wtenczas nie zważał: siedział ciągle w Polsce i czekał sejm, ciekawy co sejm powie na to wszystko.

Przed samym sejmem hr. Lagnasco z Rzymu powrócił.

Obrady zagajono w Grodnie na dniu 28 września 1726 r. Naprzód inne materye zajęły senat i posłów, a dopiero kiedy z kolei przyszło do sprawy wszystkich żywo zajmującej t. j. nuncyusza Santiniego, burzliwe posiedzenia naprawdę się zaczęły. Dnia 17 października złożono izbom połączonym rapport o konferencyach mianych z nuncyuszem względem prawa patronatu z tą oczywiście uwagą: że konferencye z nim do żadnego nie doprowadziły rezultatu. To było zagajenie zemsty królewskiej i panów obrażonych w swojej dumie. August II skrył się za kulisami, a głównym powodem na téj scenie był książę prymas polski.

Przeczytano naprzód w izbach list królewski do papieża, nastający na odwołanie nuncyusza; ale nie przeczytano odpowiedzi papieżkiej i nie wiadomo nawet było, czyli jest jaka odpowiedź. Ztąd odzywały się ogólnie głosy, żeby marszałek sejmowy upomniał się o ten list, albo wyrozumiał hrabiego Lagnasca i doniósł stanom, jak rzeczy stoją. Nastroszeni posłowie zaczęli się szeroko rozwódzić o nadużyciach nuncyatury i nieprzyzwoitościach tego urzędu: prawili, że dwie są władze w Rplitej najwyższe i dwóch nuncyuszów, bo jeden legat z urzędu; że nuncyusz z legatem zawsze muszą być w sporze, że nuncyatura niepotrzebna wcale i że wartoby ją skassować; że w Polsce dobrze zastąpi papieża arcybiskup prymas, a króla w Rzymie poseł Rplitej kardynał protektor i t. d. Przygawka ta trwała dosyć długo i całe posiedzenie zajęła.

Dnia następnego znowu wrzaski o list papieżki, który Lagnasco musiał przynajmniej przywieźć z sobą; nareszcie na trzeciej sessyi (19 października) stoczono walną bitwę. Posłowie jeden przez drugiego zaczęli przymawiać się, żeby od stanów Rplitej prosić papieża o odwołanie księdza Santiniego, a dla zakończenia sprawy o patronat, wnosili: żeby posła pełnomocnego Rplitej natychmiast wyprawić do Rzymu. W Rzymie łatwiej będzie, powiadali, skończyć raz z tą sprawą, bo w Polsce tylko daremna przewłoka: nuncyusz odwołuje się zawsze do swoich instrukcyj, obiecuje pisać do

Rzymu, a odpowiedzi długo nie odbiera. Tymczasem poseł wielki będzie mógł zaraz na miejscu utrzcć wszystkie trudności. Na to powstał Karwowski podczaszy bielski, sławny mówca sejmowy i podał stosowny projekt dlatego, żeby ubić sprawę odrazu. A dla pewniejszego skutku podniósł głos przeciw kortezanom tojest księżom, którzy bawiąc się w Rzymie tam prosto u stolicy apostolskiej zabiegali o łaski i posady duchowne. Zręczny to był środek, bo w konstytucjach koronnych bardzo wiele praw stoi przeciw kortezanom. Projekt przeczytany spodobał się, zaraz nastąpiła na niego zgoda ogólna, wpisano go pomiędzy konstytucye sejmowe, a potem pomieszczono w Voluminach legum. Stany oświadczały w téj konstytucyi, że szanują równie jak przodkowie najwyższych pasterzów kościoła, tojest zwierzchność stolicy apostolskiej, że i teraz dają tego dowód, wyznaczając wielkie poselstwo, a to (i tutaj już następowały przymówki na seryo), żeby papież nam wolnym narodom *in juribus cardinalibus majestatis et Reipublicae nec non patronatus* ubliżać nie pozwalał i t. d. Dalej następują zażalenia w ogólnych wyrażeniach, o wdzierających się opatach i beneficyatach, o pociąganiu do sądów nuncyatorskich szlachty, o zakazach i apelacyach od sądów świeckich do nuncyatury i t. d. Są to nadużycia władzy, które wzruszały pokój królestwa, więc domagały się stany opisania nuncyatury polskiej na wzór innych nuncyatur w państwach katolickich; prosiły, by stolica apostolska zniosła wszystkie nadużycia i exorbitancye teje nuncyatury dokonane z krzywdą świeckiego i zakonnego duchowieństwa i powagi prymasa, jako legata rzymskiego. A dalej dopominały się stany o odwołanie terażniejszego najprzewielebniejszego w Bogu księdza nuncyusza, stanowczo i bez zwłoki (*serio et indilate*). Przy zdarzonej sposobności stany zatwierdzały uroczyście wszystkie prawa, któremi patronat królewski warowany był w Koronie i Litwie od czasów Olbrachta i Alexandra, wyliczając wszystkie te prawa. Stanowiły téż, że opactw i beneficyów duchownych nikomu bez prezenty i nominacyi królewskiej dzierzcć nie pozwolą, i do exekucyi to prawo ministrom i hetmanom przywozdic nakazały: aby jeżeli będzie potrzeba do usunięcia przywłaszczycieli i poskromienia nadużyc

nuncyatury, ludzi hetmani dodawali, a nieposłusznych więzili i dobra ich zawładnięte sekwestrowali: siła na siłę.

Konstytucya nastąpiła więc w tak szorstkich i mocnych wyrazach, że ubliżała prawie Rzymowi. Biskupi dla samej przyzwoitości starali się osłabić silniejsze wyrażenia i rzecz całą złagodzić. Znaleźli też sprzymierzeńców pomiędzy senatorami. Dwaj Czartoryscy, ojciec i syn, Kazimierz kasztelan wileński, i Fryderyk Michał podkanclerzy litewski wiele zabiegali o poprawę tekstu konstytucyi: ojciec może przez pobożność, syn przez politykę, chcieli nawet punkta pewne całkiem wyrzucić. Ale nie udało się: stany Rplitej myślały, że cofając wyrażenie, osłabią przez to samo znaczenie konstytucyi, a tutaj szło głównie o to, żeby wygryźć Santiniego i tryumfować nad nim.

Komu powierzyć poselstwo do Rzymu, żeby zawiózł tę konstytucyą? Naradzano się także na sejmie w czasie trwających nad tą sprawą, obrad. Wnosili jedni, by jechał Franciszek Maxymilian Ossoliński podskarbi nadworny koronny, drudzy żeby Jan Tarło wojewoda lubelski. Ci, co nastroczali podskarbiego, mieli także myśl polityczną na celu: przed stą laty jeździł do Rzymu z hołdem od Władysława IV także Ossoliński, pamięć jego zbyt jeszcze była świeża w stolicy chrześcijaństwa, bo pan ten roztoczył wielki przepych i gubił po mieście złote ostrogi. Otóż myśleli jedni, że posyłając teraz Ossolińskiego z wymówkami, zatrą dawne dobre wspomnienie o nich w Rzymie i że ta zmiana stosunków będzie naturalnie tém boleśniejszą kardynałom. Widocznie politycy polscy chcieli więcej kogoś ukłuć jak samego nuncjusza. Dla pobożnej Polski, która długo jeszcze wiarę ojców zachowała, były to już zaczątki owego XVIII wieku i filozofii, ale po wierzchu tylko przepływały te wpływy ponad duchem i ciałem narodowém.

Rzucono myśl o podskarbie nadwornym koronnym, żeby tém mocniej ucześcić się Tarły. Biedny wojewoda lubelski długo się bardzo opierał, i nie chciał przyjąć poselstwa, a robił to z przezornej myśli: jużto ambicyi zarzucić mu nie można było. Tarło się wypierał, bo lękał się, czy wydoła kosztom podróży i poselstwa. Luboto Rplita wspierała zwykle panów jadących w jej sprawach po dworach zagranicznych, przecież zawsze oni tam więcej swoją

światnością jak hojnością Rplitój błyszczeli. Wspomnieliśmy Ossolińskiego, ale Rzym pamiętał jeszcze drugie świeższe poselstwo księcia Radziwiłła, który był szwagrem Jana III. Jechać w podróż z taką jak oni wystawnością, nie pozwalały Tarle dochody, a ustępować znowu tym panom nie chciał. Dawano mu znaczną summę ze skarbu Rplitój, ale wojewoda wciąż jedno powtarzał: że cała fortuna jego nie wystarczy, bo oszczędzać się nie myślał. W istocie był to twardy orzech do zgryzienia: kto zechce powieźć konstytucyą grodzieńską do Rzymu. Ambicya łechtała, ale koszta wiele odstraszały. Wreszcie biskup krakowski Szaniawski, który w zażyłej zostawał przyjaźni z Tarłą, zaczął namawiać wojewodę i głaskał go imieniem poświęcenia się dla kraju. Tarło już się zgadzał, ale potrzebował gotówki. Kiedy więc ministrowie nalegali, aby gotów był na każde zawołanie, zaraz i podskarbi wielki koronny Przebendowski przez księcia biskupa krakowskiego oświadczył mu, że chętnie ile możliwości do kosztów się przyłoży. Stańło na tém ostatecznie, że ponieważ skarb nie ma wiele pieniędzy, a potrzeba ich, Tarło na dobra swoje pozaciąga długi, a procent od nich regularnie wierzycielom podskarbi ratami będzie opłacał.

Ostatecznie zatem posłem mianowanym został Tarło, i wpisany w konstytucyą, miał się niezwłocznie wybierać w podróż do Rzymu.

Samo z siebie wynika, że po tém co się stało na sejmie grodzieńskim, ksiądz Santini lubo urzędownie przez dwór rzymski nie odwołany, przestał być nuncyuszem, bo w skutku zapadłej konstytucyi stosunki z Rzymem przerwały się i miały dopiero wtenczas się odnowić, gdyby papież ustąpił, a następcą Santiniego więcej umiarkowany, przybył do Polski. Takim sposobem nuncyusz siedział nieczynny w Warszawie, czekając przyszłości. Nuncyatura *de facto* jeżeli nie *de jure* wakowała; ktoby rozpoczął sprawę jaką z Santinim jako reprezentantem stolicy apostolskiej, już tém samém narażałby się na ciężką przed narodem odpowiedzialność: mógł być sądzony za nieposłuszeństwo prawu. Nad wykonaniem konstytucyi czuwał teraz z obowiązku w Warszawie marszałek wielki koronny Mniszech, do którego ta rzecz z urzędu należała.

Tymczasem na sejmikach relacyjnych województwa ruskiego w Wiśni, znalazł się niespodziewanie obrońca nuncjusza. Umyślnie napomkniono szlachcie o tej sprawie, chcąc ją zgrozą napoić i wywołać przez to zgorszenie albo fanatyzm. W Wiśni macał za puls szlachtę Cetner wojewoda smoleński (4 lutego 1727); w mowie napojonej oburzeniem utyskiwał wojewoda, że sejm zazbyt spiesźnie sobie postąpił, że nie rozsądziwszy, nie przekonawszy się czy jest za co, karę na niewinnego wymierzył (supplicium ante iudicium); dowodził dalej, że punkt względem odwołania, dotyczący prosto dworu rzymskiego i nuncjusza, powinienby z konstytucyi być wymazany. Wreszcie zaprzeczał, żeby na sejmie mówiono o zawieszeniu w juryzdykcyi księdza Santiniego i utrzymywał: że we władzy tylko stolicy apostolskiej jest zawieszać i odwoływać nuncyuszów, że Rplita nie ma do tego żadnego prawa, bo to poprostu jest wmieszanie się do spraw zupełnie obcych, jest to kollizyja i władz i pojęć. Słuchała szlachta dosyć uważnie pana Cetnera: mowa jego wywarła wpływ, ale żeby cofnąć artykuł potępiający Santiniego z konstytucyi, na to nie było zgody ogólnej.

A w Warszawie nuncyusz bronił się jak mógł na wyłomie, nie ustępując jeszcze przed nawałnicą.

Marszałek wielki widząc, że Santini zabiera się do pełnienia swoich obowiązków jakby nic nie było, formalny posłał rozkaz do nuncyatury: że mu władzy fundować nie wolno i groził użyciem środków stosownych.

Z początku ksiądz przerwał czynności, bo musiał, gdy odstrychnęła się od niego cała palestra i mecenasi polscy, obawiając się prawa. Więc rad nie rad Santini milczał, ale zaraz poradził sobie. Zagaił sądy, otworzył juryzdykcyą swoją, zaciągnąwszy do pomocy aż patronów rzymskich. Ile sądzim nie sprowadził ich z Włoch, ale sam pewnie nadawał tytuły patronów rzymskich zręcznym prawnikom, którzy za zyskiem lecieli, i takim sposobem osłoniwszy ich powagą stolicy świętej, już tém samém zabezpieczył winnych (jeżeli to byli Polacy) przed surowością prawa. Inna rzecz, czy miał sprawy jakie do sądenia: fakt przecież zawsze zostawał: nuncyusz sądził i pełnił swoje obowiązki mimo konstytucyi. Jednocześnie nic nie zmieniając w swoim postępowaniu, bywał jak wprzód tak i teraz na zamku

w czasie uroczystości królewskich, celebrował na nabożeństwach, płątał się z biskupami polskimi razem u św. Jana w kościele. Tą razą Santini dawał wzór uniarkowania panom.

W Rzymie te zatargi dwóch władz, duchownej i świeckiej w Polsce, najsmutniejsze wywarły wrażenie. Nie było to wrażenie żalu albo nagłej boleści, ale gniew długo tłumiony, niechęć do najwyższego stopnia, oburzenie. Pojąć nie mogli, żeby coś podobnego kiedy zajść miało i to jeszcze w Polsce. Nie było tu prośby ze strony Rplitej, ale prosta napaść, rozkaz, groźba, urąganie się. Tak przynajmniej krok ten rozumiał papież i kardynałowie, którzy gwałt nuncyuszowi przez marszałka wyrządzony najwięcej wzięli do serca (w lutym 1727). Kiedy ochłodły namiętności, rada w radę co robić, jak tu się znaleźć, żeby ocalić godność i nie narazić się więcej, a osłonić nuncyusza. A na-przód był głos ogólny w Rzymie, żeby za karę dać poznać Rplitej całą szorstkość jej postępowania i nie przyjąć wcale posła wielkiego pana Tarły. Dalej zapaleńcy, którzy niczego ustąpić nie chcieli krzyknęli w jeden głos, że Santiniego odwołać nie należy się, i że nuncyusz ten musi pozostać na swoim miejscu, że nie będzie na jego miejsce inny przysłany, dopóty, aż juryzdykcyi zakwestyonowanej Santiniemu marszałek Mniszech nie powróci. Zadosyćuczynienie musi być zupełne, inaczéj Rplitej nie być w zgodzie ze stolicą apostolską. Tak więc zanosilo się na to, że ani ta, ani druga strona nie ustąpi.

W Polsce znowu sprawiła wrażenie wieść o tych gniewach w Rzymie. Nadzieja cała była w konferencyach, które się rwały ciągle i zaczynały z limitą, i na które już panowie zjeżdżali do Warszawy. Tą razą król zwołał do stolicy samych senatorów Rplitej; miało to być coś więcej jak prosta dotychczasowa rada senatu, a mniej jak sejm. Rplita chciała urządzić na nowo swoje stosunki z państwami, rozerwane od katastrofy toruńskiej. Zdawało się, że tutaj jakieś pomiarkowanie wzajemnych nieporozumień nastąpi, a przynajmniej że będą podane jakie środki i nowe wnioski Rzymowi. Samo z siebie wynikało, że nuncyusz jako pozbawiony przez Rplitej władzy, układać się nie mógł, bo ktoby z nim rozpoczynał prace dyplomatyczne? Otóż

właśnie gorączka i tę nadzieję zniweczyła. Nie wytrzymał książe prymas: kiedy raz przyjechał do Warszawy na konferencye, po przywitaniu króla, udał się zaraz do Santiniego i półtóry godziny z nim rozmawiał żwawo a z przekąsem. Miał mu np. doradzać, by pofolgował cokolwiek ze swojego religijnego zapału; dowodził, że to już nie te czasy, kiedy tyra trząsała światem, że ostygła pobożność w massach i ludzie już nie są tak *zelosi pro ecclesia* (gorliwi o dobro kościoła), że trzeba się obchodzić teraz z wiarą ostrożnie jak z ogniem, bo zbytnią surowość nie sprawi wrażenia, owszem samą władzę nuncyatorską, a więc i stolicę apostołską poda w pogardę. Trzeba było to wszystko połknąć w milczeniu od najstraszniejszego a najwięcej interesowanego w tém wszystkim co się działo nieprzyjaciela (w początkach marca).

Zły początek. W dzieńznaczony zjechali się panowie do pałacu królewskiego, ale konferencyi nie było, bo brakowało kilku z najcelniejszych panów, jakoto np. hetmana Rzewuskiego, nie było też pana krakowskiego i dwóch biskupów. Czekano dzień za dniem, jeden przyjechał, drugi się wybierał, o trzecim ani słyhu. Tymczasem król się leczył, a po medycynie zaraz prosto miał jechać do Saxonii i wszelkie starania około dalszego prowadzenia konferencyi z panami i ministrami zagranicznymi zlecił księciu prymasowi. Z jedną tylko sprawą rzymską jakotako poszło, a przynajmniej postawiono w niej dalej krok jeden naprzód. Rplita nie ustępowała nic ze swoich żądań. Napisano zatem w kancellaryi królewskiej listy wierzytelne wojewodzie lubelskiemu na drogę do Rzymu, napisali mu też instrukcyą, dalej wydano rozkaz skarbowi, żeby wypłacił posłowi wielkiemu koszta jakie się potrzebne okażą. Ale to król zamilczał o dwóch okolicznościach: naprzód ile wypłacić Tarle, i powtóre nie oznaczył czasu, kiedy wojewoda ma się udać w zamierzoną podróż. Zdaje się więc, że w tém wszystkim więcej było postrachów jak rzeczywistości. Pokazywano Rzymowi wszelką gotowość do prowadzenia dalej tego, co się raz już zaczęło, ale razem lękano się nowego ubliżenia. Już pół roku upływało od sejmu, a poseł jednak nie ruszał w drogę; teraz tém bardziej spieszyć się nie było czego, kiedy wiedziano w Warszawie z pewnością, że panuje w Rzymie wielkie oburzenie, kiedy były

odgrożki, że posła nie przyjmą. Trzeba było naprzód wy-
miarkować ile w tych wszystkich wieściach było prawdy
i niebezpieczeństwa, a potem postanowić coś pewnego. Dla
tęj to właśnie przyczyny, nie było nic powiedziano w in-
strukcyi, kiedy Tarło ma się udać do Rzymu.

Wręczono też list wojewodzie od króla do papieża,
którego treść mniej więcej była następująca: „odebrałem
odpowiedź na list mój napisany po sejmie grodzieńskim i by-
łem z niego kontent, bo zanosilo się na zgodę między nami.
Aż tu nagle spadły dwa brewia na głowy nasze. Zmartwi-
łem się z tego serdecznie, bo widziałem, że wasza święto-
bliwość jesteś w błędzie i łajesz nas niesprawiedliwie. Na-
gadano tam waszej świętobliwości wiele fałszów o narodzie
polskim, że go już wiara święta nie obchodzi, a naród to
jednak polski, nie który inny od niepamiętnych czasów naj-
więcej broni wiary świętej i władzy doczesnej papieża. Ta-
kiż sam zapał dla niej panował na ostatnim sejmie, w owęj
nawet chwili, kiedy stany wyznaczały posła wielkiego do
Rzymu: nic tam broń Boże nie mówiono o władzy papiez-
kiej, nie ubliżano jej i nic przeciwnego jej nie postanowiono.
Polska chce być zawsze jak była dotąd przedmurzem chře-
ścianstwa od barbarzyńców” (1).

Tarło w całej tej sprawie był stanowczo przeciwny
Rzymowi. Możeby wojewoda w swoim czasie nie obudzał
dumy narodowej, ale kiedy raz już krok postawiła Rplita
na tej drodze, honor sam doradzał mu ażeby iść dalej.
Przyjąwszy poselstwo, szczerze się niem zajął. Polegając
zatém na słowie podskarbiego, zastawiał swoje dobra, po-
życzał, spieniężał, zabiegał, a przyjaciele szczerze mu do
tego pomagali. Nie żałował wydatków dla dobra kraju
i ztąd gromadzić chciał miliony, by się poprzednich po-
selstw polskich w Rzymie nie powstydzic i utrzymać go-
dność narodową. Żał mu było Widachowa dziedzicznej
majątności po dziadach i pradziadach w województwie san-
domierskiem, ale sprzedał ją księciu biskupowi krakow-
skiemu za 200,000; dalej zaciągnął tyleż długu u pani or-
dynatowej Zamojskiej starościny grodeckiej na procent, na-
stępnie dożywocia i summ swoich, które miał na Sośnicy
i Wielkich Oczach odstąpił księdzu Łaszczeniowskiemu wielkiemu bo-

(1) List ten datowany d. 30 marca 1727 z Warszawy; znamy go
z rękopismu.

gaczowi i staroście halickiemu, na które wziął 350,000 złotych. Za dziedzictwo Markuszowa i Czemiernik wziął od wojewody podolskiego 30,000. Z Kurowa podniósł summę od podkanclerzyny litewskiej 40,000. Z Sulejowa i z Wałowic 60,000. Tursko majątność swoją wypuścił w dzierżawę trzyletnią Żelisławskiemu wojskiemu urzędowskiemu i wziął za nią 90,000 złotych. Za starostwo grabowieckie i miączyńskie, królewszczyny, wziął 80,000. Zebrał więc ogromną summę 1,500,000 złotych, oprócz tego co wziął poprzednio z intrat. Wszystkie oryginalne kontrakty i transakcye, które zawierał Tarło odsyłał do podskarbiego koronnego, dlatego, żeby pan minister gotów był do expedyowania poselstwa, kiedy czas nadejdzie, i prosił zaraz, aby regularnie Przebendowski wypłacał procent od tych pozaciąganych na długi kapitałów. Wszystko to było powinno przestrzedz stolicę apostolską, że jakkolwiek poselstwo się opóźnia, ale dojdzie do skutku, bo Rplita nie pozwoliłaby na te okropne nakłady, i na to, żeby się dla niej rujnował jeden z zacnych bardzo obywateli. Bądź co bądź, Tarło był na wylocie i czekał tylko hasła do wyjazdu albo pomyślnego wiatru z Rzymu (1).

Wśród tych przygotowań do drogi, kiedy księdzę nuncyusza i kilku gości, pomiędzy którymi było najwięcej cudzoziemców, jak posłowie francuzki i cesarski (ale był i marszałek nadworny koronny Stefan Potocki brat rodzony młodszego księcia prymasa) częstował na kępie wiślanej Poniński sekretarz artyleryi koronnej; nagle wieści się po Warszawie rozniosły, że Santini ma być z Polski odwołany, i że to niby już zapadło w Rzymie (w czerwcu i lipcu 1727 r.). Rozpowiadano, że do tego kroku znaglił papieża ostatni wypadek, z którego wziął miarę o gwałtowności nuncyusza. Był zaś taki wypadek.

Zbrożek dworzanin księcia kasztelana wileńskiego przykrzył sobie świeckie życie i wstąpił do zakonu bernardynów w Warszawie. Nuncyusz czy widział w tém jakie przepuszczenie formy, czy też na czyje prośby albo prosto dla widzimisię jakiego, kazał Zbrożkowi natychmiast wystąpić z zakonu. Gdy Zbrożek wzbraniał się tego zrobić

(1) Te finansowe szczegóły wzięte są z mowy Tarły, którą miał na sejmie konwokacyi d. 22 maja 1733 r.

stanowczo, Santini posłał po niego podkanclerzego nuncyatury z nakazem, żeby pod karą wykroczenia przeciw karności zakonnej, zaraz do niego przyszedł. Wtenczas nowy mnich stanął przed surowym sędzią razem z definitorem, i w nuncyaturze zmuszono go dopięro zdjąć habit i ubrać się zaraz po świecku. Definitor zaraz na miejscu mocno się na to żalił. A co do Zbrozka namawiano go powtórnie, żeby wstąpił do zakonu, ale nie chciał: pozostał dalej w służbie księcia kasztelana wileńskiego.

Zdaje się z tego wszystkiego, że pan Zbrozek odegrał tylko sztukę; może téż był to jaki fantasta, w każdym razie krok nuncyusza był gwałtowny i niczém nie usprawiedliwiony. Co go wywołało?—rozdrażnienie i wpływy cudze najprędzej. Ale arcybiskup Trapezuntu powinien był szanować się, bo czasem jednej kropli dosyć, żeby miarka się przebrała. Tak było przynajmniej tą razą. Bernardyni zaczęli się skarżyć bardzo głośno na gwałt przed generałem zakonu. Swoją drogą memoriał od Rplitéj posłano do Rzymu. Papiész kazał natychmiast, skoro się o tém dowiedział, wołać generała bernardyńskiego, aby się od niego dowiedział prawdy. Potém się zadumał i rzekł: *nunquam tam prudentem virum putaveram haec fecisse* (nie myślałem nigdy, by tak rozsądny człowiek mógł takie głupstwo zrobić).

Tak więc przeważyła w Rzymie dobra rada i Santini upadł; ale sprawa jego nie upadła, bo stolica apostolska cofnąć się nie mogła: taka już była jéj polityka od wieków. Odwołać nuncyusza a nowego przysłać, było to ustępować, przyznawać się do przegranej; z drugiej strony trzymać dalej Santiniego w Polsce, przy rozdrażnieniu, jakie tam na niego było, niepodobna, bo wtenczas trzeba było na długi czas może ryzykować dobre stosunki z Polską. Zatem dwór rzymski wybrał drogę pośrednią: nie myślał odwoływać nuncyusza, a jednak nowego na missyą czasową postanowił przysłać, żeby sprawy bieżące i nieporozumienia załatwił, żeby postarał się o usunięcie ostatniej konstytucyi grodzieńskiej, żeby potém pogodził arcybiskupa Trapezuntu z duchowieństwem polskim, ministrami i całą Rplitą i wyrobił to, żeby władzę jego jak wprzódy uznawano. Legat nadzwyczajny miał wtedy po ułatwieniu tych trudności powrócić do Rzymu, a Santini napowrót objąłby swoje urzędowanie.

Wieści o tém wszystkiém nabierały coraz więcej pewności, kiedy gońcem z Rzymu powrócił do Drezna Dąbski wojewodzie kujawski (7 lipca). Miał on zaraz u króla posłuchanie. Przywiózł z sobą trzy brevia apostolskie: jedno do króla, drugie do księcia prymasa, trzecie do ministrów Rplitej, a przedewszystkiém do marszałka wielkiego koronnego. Treść tych pism wszędzie była jedna: że papież przysłał do Polski nuncyusza nadzwyczajnego, że poselstwa Tarły przyjąć nie może wprzód, aż póki prawo sejmu grodzieńskiego przez drugi sejm zwalone nie będzie. Niebawiac dalej Dąbski wyjechał do Polski na Przygodzice, żeby o wszystkiém zawiadomić pana Przebendowskiego podskarbiego, ważną podówczas figurę.

Jednakże zeszło lato i jesień, a obiecanego nuncyusza jak nie było, tak nie było. Tarły poselstwo wstrzymano, na co pan wojewoda bardzo się uskarżał, bo podskarbi od wszystkiego umył ręce i procentu za niego od summ pożyczonych płacić nie chciał. Santini ciągle siedział w Polsce i nie odjeżdżał do Rzymu; mówiono, że czeka następcy swego, żeby mu zdał władzę: te bajki powtarzano jeszcze w listopadzie i w grudniu 1727. Mówiono, że Santini otrzymał stosowne ku temu instrukcyje i że jak tylko następny nuncyusz przyjedzie, zaraz arcybiskup Trepezuntu opuści Polskę i uda się wprost do Rzymu, że skazany na niełaskę widocznie, bo nie przenoszono go z nuncyatury na nuncyaturę, nie okrywano purpurą kardynalską, nie powoływano do świetniejszego urzędu, ale poprostu, zalecano siedzieć w Rzymie i czekać sposobnej chwili, na zdarzyć się dopiero mający wakans.

We wszystkich tych baśniach nie było i słowa prawdy, bo Rzym, jak mówiliśmy, li tylko dla ułagodzenia sprawy i zatarcia nieporozumień wysyłał chwilowo nuncyusza i całą władzę zostawiał jak dawniej, Santiniemu. Ale tajemnica ta dopiero być miała jawną dla Rplitej za przyjazdem nowego pełnomocnika, którego Rzym długo nie wyznaczał: czy namyślał się względem wyboru osoby, czy dla innych jakich powodów, dosyć, że ledwie późno, późno już nadbiegła wiadomość do Polski, że na nową missyą do Rplitej wyznaczony został ksiądz Kamil Paulucci, człowiek młody, mający dopiero 35 lat wieku.

Paulucci, z tytułem internuncjusza, przed samymi świętami Bożego Narodzenia stanął w Dreźnie (r. 1727). Jechał prosto z Pragi czeskiej. 27 grudnia miał posłuchanie u króla w Dreźnie, rozmawiał z nim przez półtora kwadransa, ztąd udał się do królewicostwa, a na obiad pojechał do hrabiego Lagnasco. Znajdował się podówczas w stolicy saskiej wojewoda lubelski, który już od dwóch przeszło miesięcy deptał progi królewskie i umizgał się o łaski. Chciał zostać generałem artyleryi koronnej, i nibyto nie o to mu chodziło, nibyto niechcący pojawił się w Dreźnie. Król, który niebardzo był jego przyjacielem, pytał się księdza podkanclerza Lipskiego, po co przyjechał wojewoda? Odpowiedziano mu, że przyjechał od panów z punktami do rezolucyi królewskiej w sprawie poselstwa rzymskiego. Król nie dowierzał, bo po rezolucyą mógł ktoś mniejszy przyjeżdżać; niedługo w istocie odkryła się tajemnica, kiedy przyszło doniesienie o śmierci generała artyleryi. Odwołując więc z dnia na dzień postanowienie swoje, król zatrzymał w Dreźnie Tarłę aż do grudnia, kiedy nadjechał Paulucci.

Internuncysz nie spieszył się z odwiedzinami do wojewody, chociaż najwięcej dla jego poselstwa on przyjechał. Już sam jego tytuł dyplomatyczny wskazywał, że Paulucci nie jest następcą Santiniego; wykryło się zaraz, że nowy ten poseł rzymski nie miał nadanej sobie żadnej władzy w Polsce i że przyjechał dla dwóch rzeczy, miał traktować o prawo patronatu królewskiego do opactw i o złagodzenie konstytucyi grodzieńskiej. Paulucci dawał do zrozumienia panom, że Santini odwołany być może, ale nie na skutek żądania Rplitéj; że naturalnie pełnić dalej obowiązki swoje musi, a on sam nic się nie ma prawa mieszać do jego robót. Jeżeli więc dla układów o patronat przyjechał Paulucci do Polski, przedewszystkiém winien był mówić z Tarłą, którego znowu do tej sprawy głównie wyznaczyła Rplita. Ale umarła wtenczas w Dreźnie wdowa księżna Lubomirska wojewodzina krakowska, Tarłówna z domu, i poseł wielki polski do Rzymu, nie doczekawszy się generalstwa artyleryi, chciał towarzyszyć zwłokom księżny do Częstochowy. Paulucci był grzeczny dla wojewody, bo mszę odprawił za jój duszę przed podróżą (24 stycznia 1728). Tak się obadwaj dyplomaty dobrze z sobą rozstali.

Ale i Rplitéj i Rzymowi widać niesporo było do zgody. Przez cały ten rok 1728 sprawa ani na krok jeden dalej się nie posunęła. Król znowu wybierał się do Polski na sejun, który miał niby złożyć w Grodnie dla kolei litewskiej, która przypadła. Panowie zamiast naglić króla do tego, raz wraz chmarą przez rok cały przejeżdżali do Dreznia, zabiegając o wakanse, a tą razą o najlepsze z wakansów—o buławy. Paulucci ciągle siedział w Dreźnie; czekał to niby sejmu, bo na sejmie tylko można było znieść konstytucyą grodzieńską: więc wszyscy czekali, a sejun był pierwszym i ostatnim słowem dyplomatów owéj chwili. Po zniesieniu dopięro konstytucyi mógł Paulucci otworzyć rokowanie o prawo patronatu, i Tarło jechać do Rzymu. Ale król nieszczerze ciągle myślał o tym sejmie.

Arcybiskup Trapezuntu nie doczekał się końca sprawy, którą sam wywołał. Czy znękany przeciwnościami, czy zmartwiony niepowodzeniem, czy téż przewidując rychły swój upadek, który jednakże był daleko, zapadł na ciężką słabość i w Warszawie dnia 5 lipca 1728 r. o 3ciéj godzinie z południa zakończył życie. Pogrzeb jego uroczysty odłożony został na kilka miesięcy i odbył się dopięro w końcu września: trwał trzy dni, od czwartku do soboty. Z kolei było drugi nuncyusz, który w czasie urzędowania swojego umierał w Polsce. Pochowany został jak i poprzednik u Teatynów. Śmiercią swoją otworzył wakans, który naturalnie zajął Kamill Paulucci. Nuncyuszem Kamill urzędował w Polsce przez ostatnie lata panowania Augusta II, bezkrólewie całe i pierwsze lata panowania nowego króla. W roku 1736 urządził ostatecznie prawa patronatu królewskiego; ale to już nie należy do dziejów Santiniego. Tutaj dodamy tylko, że Paulucci opuścił Polskę w r. 1738, po 10ciu latach urzędowania, gdyż był przeniesiony na nuncyaturę wiedeńską, dalej że kardynałem został w konsystorzu d. 9 września 1743, i że umarł w Rzymie 70-letnim starcem, d. 10 czerwca 1763 r.

O Pauluccim i dalszym ciągu sprawy Santiniego kiedyś indziej.



PASTERZ I RYBAK.

(Z PODAŃ LUDOWYCH).

Czyto tak woda szemrze w strumieniu?
Czy ptastwo śpiewa ukryte w cieniu?
Ani to chłodne strumienia grają,
Ani w gaju ptacy śpiewają:
Lecz Święci Pańscy w rajskiej ustroni,
Gwarzą ze sobą w cieni jabłoni.

Święty Mikołaj staruszek siwy,
O ludzką nędzę wielce troskliwy,
Co ma w opiece nasze bydła,
O każdej wiejskiej krowce pamięta,
Wraca do trzody zblakana w boru,
Chroni od wilka i od pomoru:
Wsparty na krzywym kiju pastucha,
Pod gałęziami siedzi i słucha.
Łagodny wietrzyk rajskiej dąbrowy,
Rozwał mu brodę na dwie połowy,
A wonne zioła, perłową rosę
Strzęsły dziadkowi na nogi bose.

Przy nim Piotr święty przyrządza sieci,
W którą gdy złotych rybek naleci,
Zaniesie Panu przez jasne pole,
I złoży w niebie na srebrnym stole.

Obadwaj siwi—gołębki prawe,
Obudwu serca wiece łaskawe,
Gorliwi stróże około ludzi.
Lecz się i święty na świecie strudzi.

Trzy dni powraca Piotr bez połowu,
Co sieć wyciągnie, to spuszcza znowu:

Nie ma i nie ma, sieć pusta prawie,
 Posnęły rybki w tym świata stawie.
 Więc się okrutnie sturuszek smuci,
 Co powie Panu, jak próżno wróci?

Może mu Jezus sieci odbierze,
 I sam założy wielkie wężcierze,
 A jak nie znajdzie nic w mętnej fali,
 To spuści ogień i wody spali.

I drugi święty ma swoje troski:
 Do nieba skargi przychodzą z wioski,
 Że wiley krówki z przed chaty biorą,
 Że wczora zdechło jagniąt kilkoro,
 Że spiekłej ziemi deszczyk nie rosi,
 Że święty pasterz Boga nie prosi....
 Niby to prawda.... lecz na tej ziemi
 Trudno się spierać z ludźmi grzesznymi.

Gdy tak biadają schyliwszy czoła,
 Słyszą zdaleka skryпки anioła.
 Oj, to nie była anielska skrzyпка,
 Jeno wieść dobra, co leci szybka:
 Że tam na ziemi, na chmurnym świecie,
 Powiła matka ubogie dziecko.
 „A dziękiz Tobie, łaskawy Boże!
 Toż mi zakładać niewód pomoże.”
 A drugi rzecze: „Chwała na niebie,
 Ja go do trzody wezmę dla siebie.”

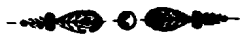
Na święte głosy Matka królowa,
 Gdy usłyszała dalekie słowa,
 Z brylantowego zamku wychodzi,
 I miłościwém spojrzeniem godzi;
 I rzecze do nich: „Dla tej sieroty,
 Nie miecz skrwawiony, ni laur złoty,
 Nie kij pastuszy, nie sieć rybaka,
 Jeno uboga skrzyпка tułacka.
 W odwiecznej księdze ona wryta,
 Cieniem żalobnym cała pokryta,
 A na niej będzie pod niebem brzmiała
 Wiernego ludu cicha pochwała.
 Samotny pójdzie smętną doliną,
 Dni jego łzami, pieśniami spłyną.”

— „Niechże więc idzie! — rzekli żałośnie —
 Niechaj mu serce w boleściach rośnie,

Niech mu na oczy w cichém uśpieniu
Przychodzą męże w stalném odzieniu,
Niewiasty święte w śnieżnej bieliźnie,
Wszystko co wielkie w jego ojczyźnie;
I niech mu czasem w noc lazurową
Twoje oblicze błysnie królowo!”

I wyciągnęli swe dłonie drżące
Trzy święte duchy, potrójne słońce!
A w biednej chatce, wtedy schylona,
Pieściła matka dziecię u łona:
Pełna miłości, sercem bogata,
Patrzała w dziecię, w swe skarby świata.

T. L.



KŁOPOTY

STAREGO KOMENDANTA.

PAN MARSZAŁKOWICZ.

Opowiadanie.

(Dokończenie).

VIII.

Do dnia jeszcze było daleko, gdy zdesperowany porucznik zerwał się na nogi. Pan Tomasz spał sobie w najlepsze, więc ubrawszy się cichutko, wyszedł przed dom, zasiadł na ławce około gruszki, i zaczął medytować. Snać że tajemnica o marszałkowiczu musiała mu dolegać niepomału, bo zerwał się teraz gwałtownie, biegał tu i tam machając rękoma, a klnąc na czém tylko świat stoi. Patrząc na tę twarz mocno zarumienioną, oczy krwią zasze i uśmiech dziwnego szyderstwa igrający na ustach, zdawało ci się, że tu gniew i obraza, najdrażliwsze ze wszystkich miłości własnej, przebierają miarkę pospolitości. To groził ręką zacisnąwszy palce, to stąpał gwałtownie jakby nacierając na przeciwnika; a ogniste spojrzenia i palące słowa towarzysząc każdemu ruchowi, przypominały jakieś dawne walki, gdzie krew młoda i żądza sławy popychały nim wśród gradu kul i szczęku świecącej broni.

— Tak być nie może!—krzyknął tupnąwszy o ziemię i stawając wyprężony o ile wiek na to pozwalał.—Dość tego panie Jędrzeju, dość głupstw w tém życiu! Darmo, ruszaj

w świat, szukaj ludzi, bo to wszystko, to, to... zwierzęta! Świat się spodlił, świat ten... bezecny!—I gdy tych słów domawiał patrząc zaciekłym wzrokiem na niebo, promyk purpurowego słońca trysnął ponad horyzontem, strzeliwszy wprost na twarz zagniewanego starca. Jak piorunem rażony spuścił oczy ku ziemi, zawisnął głową na piersi, a ręka machinalnie podniosła się ku czołu, i kreśląc znamię krzyża, powitała ze skruchą tę wspaniałą latarnię Boga.

— Nie—wyrzekł z pokorą po chwili—nie, świat ten, to cud nad cudami. Nie, ludzie to moi bracia, a winy ich są wszystkim nam wspólne! Kto dał im takie słońce, takie światy, takie rozkosze, kto czuwa nad nimi, ten i o ich zbawieniu zapomniećby nie mógł. Tylko trzeba mu ufać i kochać go trzeba! Tak, pójdźmy do Niego, On nam poradzi.

I zwrócił się ku bramie, potem koło ogrodu w uliczkę, ztamtąd pod kościół; a że był zamknięty, więc klęknął na progu i modlił się goręcej niż zwykle, bo czuł, że dzisiaj więcej potrzebuje hartu duszy, więcej górnej pociechy, niż za dawnych lat swojej młodości.

Tymczasem pan Tomasz trzymając się jeszcze dawnych reguł warszawskiego życia, odmówiwszy pacierze, wziął się do ubierania; i właśnie piątą brzytwą odbywał ostateczną rewizyją swój brody, gdy porucznik nieco zaspokojony wchodził do pokoju.

— Dzień dobry Tomaszku!

— A dzień dobry, dzień dobry!—odrzekł tenże spoglądając nań litościwie.

— Jakże się spało?

— A dobrze; tylko poczekajno niech skończę.

Więc założywszy ręce za siebie, nasz komendant rozpoczął zwyczajną kołową przechadzkę. Ułynęło kilka minut, pan Tomasz wciąż rewidował, suwając palcem po brodzie i zmiatając jak kosą wystające kępki; porucznik zajrzał mu w oczy, uśmiechnął się litośnie, machnął ręką i znowu chodził. Ale gdy pomimo tego wszystkiego golenie nie ustawało, ośmielił się przemówić:

— No, bójże się Boga Tomaszku, skończ raz przecie; skrobiesz i skrobiesz, aż mrowie po mnie przechodzi.

— Mój drogi—odrzekł odwracając głowę z błagalnym spojrzeniem—dajno mi też mości dobrodzieju pokój!

— Ależ bo to strasznie nudno: jabym chciał z tobą pogawędzić....

Emeryt nic na to nie odpowiedział, tylko wyciągnąwszy szyję, posuwał dalej brzytwą.

— Eb! trzebaby cię do wojska mój Tomaszku; jakbyś się tak codziennie sztafirował przed apelem, to powiadam ci mosanie, z kozybyś nie wychodził....

— A dajże mi téż choć raz pokój! — krzyknął zagniewany emeryt, rzucając brzytwę i zrywając się z krzesła. — Ja tu mości dobrodzieju gołę w najdrażliwszym miejscu, a ty mi jak na zdradzie stoisz. Niechby téż przypadkiem, czego Bóże uchowaj, brzytwa się zesunęła, toby było...

— Chlast — dokończył porucznik, przesuwając palcem po szyi i wychodząc z pokoju.

W domu wszystko jeszcze spoczywało, tylko zaspana Małgorzata rozniecała ogień w kuchni, przygotowując dla gości ranne śniadanie. Więc téż nasz komendant uchyliwszy drzwi lekko, zapytał:

— A prędko tam będzie kawa?

— O! proszę pana, dopiero rozpalam.

— Co wy dziś tak długo spicie, mosanie; tu dzień jak wół, a wam się zdaje że to północek!

— Ale proszę pana jeszcze piątą nie ma.

— Co mi ty gadasz nie ma, nie ma; ja lepiej wiem która, dość że kawa powinna być i basta!

— Ale zegar...

— Co tam zegar; on tak głupi jak i ty: słońce lepiej pokazuje. Zbudź kobiety!

— Kiedy pani słaba.

— Masz tobie znowu z chorobą. A czy téż skaranie Boskie z temi babami? Całe życie tylko przekwękają; a to ją ząb boli, a to głowa boli, a to kości bolą. Tfu! do milion furbeczek z takim życiem; żeby to na mnie przyszło, jużbym sobie ze sześć razy w łeb wypalił z niecierpliwości.

— Bo téż pan taki....

— No jaki, jaki? — powtórzył naśladowując jej mowę i ruchy.

— Eh... ja-ta nie śmiem powiedzieć, jak pani pana nazywa.

— Gadajże mi zaraz, co to za zmowy, mosanie; no jaki?

— Ooo.. gorączka...

— A tak, ma się rozumieć, gorączka, nie mazgaj jak wszystkie baby: one tylko lelum polelum, wolniutko.... U mnie mosanie raz! i kwita! Ale słuchajno, list wczoraj wysłałaś?

— O! jeszcze o piątój poszedł Duszak.

— Kto, Duszak?

— A no, bo nie było innego, a pan mówił że pilne.

— Kobieto! słuchajno czyś ty nie warta, żeby cię tu, tu.. Tak, i tyś śmiała tego starowinę wysyłać, co? — krzyknął nad nią wyciągając w tył ręce.

— Cóż ja tam winna, proszę pana: obleciałam wszystkich, Gawlik był w polu, bo pilnuje ziemniaków, Kaczorowski pijany, Włodarczyk w lesie na rydzach; stary się naparł i poszedł.

— Ot znowu jak dziady torbiaste moja komenda! Nie, dalibóg ja sobie z tém tałałajstwem rady nie dam. To wszystko napróžno: bij, katuj, więź, zamykaj, oni zawsze po swojemu. No i mój ty Boże kochany—mówił już do siebie wychodząc przed sień—co się z temi ludźmi zrobiło!? A toć ja pamiętam owego Litwina Gawlika; bestya chłop jak lew, nocy nie spał, a pucował konie i lederwerki, a teraz kijem go z pola nie wypędzisz. Oczywiście baba go wodzi za sobą jak jakie ciele, i kwita! Tak to mosanie żenić się wojskowemu; a to jemu do milion furbeczek na co? Ja mosanie, żeby to odemnie zależało, anibym sobie dał gadać o tém. Żołnierz jesteś, to się bij mosanie! Pałasz—to żona. Albo np. i ta moja: dobre to wprowadzie, uczciwe, no i niegłupie, ale zawada. Niby jabym tu siedział jak zgniła pieczarka za piecem, he? Czybym to miał takie kłopoty, jak teraz z dziećmi; jedno poszło jako tako, a z drugim ani weź. Co przyjdzie jaki gach mosanie, to go przyjmij, to go paś, to go głaskaj, chociaż Bogiem a prawdą na rekruta jeszcze nie wygląda! Żebym ja to miał worki pieniędzy, ha! to co innego. Ale tak.... to tylko bieda! A i ten, ten stary galant, oszust, marszałkowicz; widzisz go lisek, biczownik, mnie starego zdurzył mosanie, żem w niego uwierzył, jak w Pana Boga. Oho! poczekaj bratku, zjész mi ty milion furbeczek, okrętów, batalionów, jeżeli ci to płazem puszcze... Ot kto jeszcze może, to mój Wolisio zuch całą gębą! Ale bo téz żony nie ma. Tylko mosanie straszny szalawiła: nie mi się nie utemperował; ta sztuka już takim umrze. No, ależ warto dać mu buzi: ze wszystkiego

sobie drwi mosanie, nic go nie obchodzi, dziś tu, jutro tam, jak ptaszek leśny... Ale kiedy znowu i on mi skrewił: niewinnie może, bo i niewinnie, ale skrewił: wytrę też kapitulę na wszystkie strony.. Zwyczajnie, łatwowierny, okpili to, otumanili listami, winem, cygarami i zwiózł tu na moje utrapienie tego wołyńskiego grata. Dajno mi go tu teraz, dajno—mówił zagarniając ręką przed sobą, i szedł dalej a dalej, posuwając się w stronę, z kąd spodziewał się przyjazdu majora.

Ruch w miasteczku stawał się coraz żywszym: wszystko to dążyło na pole zabierać resztki kartofli, prosa lub tatarki. Przechodzący pozdrawiali porucznika uprzejmie, on dziękował nie wiedząc o tém, a patrzył, czy tam nie wznosi się jaka kurza-wa, zwiastująca przybycie upragnionego gościa. Lecz jak na złość, węzowata wstążka drogi bielila się wyraźnie pośród zielonej łąki, słońce podnosiło się wyżej dopiekając łysinie porucznika, a on zakrywszy ją dłonią, postępował zwolna w opłotki.

— Ha! widać pan major kochany per pedes apostolorum wizytę mi oddaje! —zawołał ujrawszy jakąś szarawą postać zbliżającą się po ścieszcze do miasta.—Eh! to Duszak marudera—mówił dalej rozpoznawszy starego, a wstydząc się że idzie bez czapki, zawrócił ku domowi. Ale pocziwe żołniersko spostrzegł go nawzajem, przyspieszył więc kroku utykając na kiju i wołając:

— Panie kapitanie, z przeproszeniem panie kapitanie!

— No, a co chcesz?—odrzekł tenże odwracając niechętnie głowę.

— Z przeproszeniem łaski pana kapitana, ale ja wczoraj oddałem.

— Co?

— A list.

— Prawda, toś ty chodził i głupstwoś zrobił.

— Jakie? proszę pana kapitana.

— Bo od tego są młode rekruty, a wasan powinienes jak grzyb siedzieć za piecem i chwalić Pana Boga, mosanie, rozumiesz!

— Ec! co tam, co tam, ja się przeszedłem, to mi i zdrowiej: zwyczajnie człeku to pomaga, kiedy się przewietrzy. Ale że pan kapitan tak rano, bez czapki....

— No i cóż wielkiego, przecie mi jój nikt z karku nie zdejmie. A cóż, Wolicki jest w domu?

— Nie ma panie kapitanie, dziś rano go się spodziewa Strzemierz i list odda.

— A ten tam nie był przypadkiem?

— Kto?

— No, ten niby mój zięć dawny, marszałkowicz?

— A cóż to się już rozchwiało z panną Julią?

— Samo się nie rozchwiało mosanie, tylko ja rozmiotłem to het na cztery wiatry.

— Chwałaż tobie Panie Boże!—krzyknął uszczęśliwiony starowina składając ręce.

— I cóż to ciebie tak cieszy mój stary?

— Eh! że też to pan kapitan jeszcze się o to pyta—odrzekł śmiejąc się serdecznie.—Alboż my to nie kochamy panny Julci jak własnego dziecka naszego, albośmy ją to nie piastowali, nie wychuchali; bo to widzi pan kapitan, tak tedy ja to nie śmiałem występować z moją perswazyą, zwyczajnie chudy pacholek, żołnierz, ale jabym mu dał, dał,... no no!.... Bo to on tedy, wie pan kapitan, świece ludziom daje...

— Jakie świece?—przerwał komendant.

— A tak świece, szczerę, lojowę, jak Pana Boga kocham; bo powiada, że okrasa do jedzenia dużo kosztuje, i że mu kradną, więc lojem, świecą—dokończył trzęsąc się z gniewu i oburzenia, a oczy mu zabłyśły żywszym ogniem, lica zarumieniały, ręka zaś machinalnie szukała czegoś przy lewym boku.

— Ale mój Duszaku, bo ty jeszcze nie wiesz wszystkiego—powiedział porucznik siadając na płocie, i obracając się na wszystkie strony, czy go kto nie słyszy.

— I cóż to takiego?—wyrzekł nieśmiało.

Porucznik więc przybliżył się do jego ucha, szeptał przez chwilę z całą gorączkowością swych ruchów; Duszak znów mrugał oczami coraz to częściej, wypręzał się jak struna, a gdy usłyszał ostatni wyraz jego „biczownik” skoczył jak oparzony, wywijając laską: „zabić, jak Pana Boga kocham zatłuc! Co to taki oszust! A nie mówiłem hę, nie mówiłem, i pani kapitanowa.

— Cicho, bój się Boga, ja się boję, żeby nas te drzewa nie usłyszały, bobym oczu na nich podnieść już nie mógł. Ale przyznasz Duszaku mój kochany, że ja sobie jestem porządnie głupi kapitan.

— Eh! nie, nie — odrzekł napół śmiejąco — nie kapitan.... nie...

— To porucznik?

— Ale i to nie.

— No, to cóż u kaduka mosanie?

— A! o o.... o...

— Ojciec?

— Tak—dokończył kiwnąwszy głową.

— Masz racją: chcesz ty żołnierz, ale rozsądny; teraz pójdz ze mną do domu, nikomu ani słówka o tém; major pewno przyjedzie, więc naradzimy się wspólnie. Niech to będzie sąd wojenny: dobrze?

— A! dobrze.

Nie doszli jeszcze do bramy, gdy porucznik obejrzawszy się jakby instyktownie dostrzegł posuwający się ku miastu tłum kurzawy; zatrzymał się więc na miejscu, oczekując przyjazdu majora. W istocie lekka bryczka ciągniona dwoma większej rasy konikami, suwała się coraz to bliżej. Porucznik omal oczu nie wypatrzył, kierując je w tamtą stronę; lecz jakże się zawiódł i zgniewał zarazem, gdy ujrzał w burym habicie i białym słomianym kapeluszu, siedzącego wysoko kwestarza.

— To ojciec Bernard!—zawołał splunąwszy gniewnie— pójdzmy!

Pan Tomasz tymczasem ustroiwszy się w swój urzędowy mundur, w białej chustce z dużemi podkrawającemi uszy kołnierzykami, i z ogromnym plastrem na brodzie, zapijał w najlepsze kawę, chwalać sucharki i śmietankę, a trzymając się wszelako za brodę, bo od ruchu ust i plaster się odlepił.

— Ot i on—zawołał spostrzegłszy wchodzącego porucznika—wie też pani dobrodziejka, że ja ranny jestem z jego przyczyny?

— To też prowadzę ci felczera, mosanie—przerwał popychając przed sobą kaszłącego Duszaka.—Wierz mi, jak ci urobi maść wojskową z prochu i kartaczy, to choćby się wiadrem krew lała, zatamuje; a tymczasem przedstawiam ci perłę mojej komendy, zucha z pod Saragossy i Samo-Siera, człowieka, który mówi ci szczęściu językami mosanie, pitrasi szuwaksy i czernidla na wąsy dla całej komendy, a dla siebie tabakę: słowem niedoszłego wachmistrza drugiego pułku, Tymoteusza Duszaka.

— *Laudetur Jesus Christus!*—odezwał się w tej chwili wchodzący kwestarz.

— *In secula seculorum amen!* — odrzekli prawie razem pan Tomasz i porucznik, który zadrżawszy nieco, obrócił się z całą żywością spoglądając badawczo w twarz przybyłego.

— Przepraszam bardzo, że przeszkodziłem śniadaniu łaskawych i wielmożnych państwa; ale i jabym też upraszał w imieniu zgromadzenia OO. Reformatów o jakie małe wsparcie—mówił dalej braciszek kłaniając się bardzo nisko.

Porucznikowa i Julka powstały szybko z krzesel, szukając w swój pamięci kogoś z dawnych znajomych: bo jakkolwiek pulchna twarz braciszka i delikatna jej cera szczególnie po obu bokach nie potwierdzały ich zadziwienia, wszelako głos ten był tak dobrze znany, że lada chwilę mogły go poznać.

-- A z kądże to ojciec dobrodziej?—spytał porucznik zapraszając go do stołu— bo coś, coś, mi znane.

— Z klasztoru N. powolny sługa boży, laik Hiacenty.

— Tato!—krzyknęła rozpromieniona Julka—to pan Wolicki.

— A a a a!...—powtórzyła ciszej śmiejąc się lekko porucznikowa—prawda, on. No—przemówiła—proszę do kawy, i czém mam służyć panu, czy bułeczką, sucharkami, może chleba z masłem? Oj figlarzu! figlarzu!—i pogroziła mu palcem.

— Dziękuję bardzo łaskawej pani mojej dobrodziejce, dziś piątek, ja suszę; i jeżeliby można prosić o kapkę wódki, ot i dla człeka kawałek chleba....—odpowiedział z całą pokorą i powagą, składając ręce braciszek.

— To jak Wolicki, ale nie Wolicki—mówił do siebie porucznik poruszając głową.—No, mój bracie—wyrzekł głośniejsze jeszcze niepewny z kim rozmawia—powiedz prawdę, czyś ty Wolisio, czy nie: bo jak Pana Boga kocham ja tu głupieję... No, nie żartujno.... no...

— Jak żyłem na świecie nazywano mię pono tém nazwiskiem, ale dziś w murach klasztornych, jestem braciszek Hiacenty, do usług mojego porucznika.

— A! on, dalibóg on! Niechże cię ukoronuje majorku z twojemi facecyami mosanie!—zawołał obracając go i ściskając w objęciach.—Że też jemu te figle jak z rękawa się sypią: to drugi Kaniowski. No, zdejmnio tę rewerendę ojeze dobrodzieju, bo ty tam masz inne ubranie; no, nie zwłóczno mój drogi. Widzisz, to mój przyjaciel kolega szkolny, pan Tomasz Rygorski z Warszawy, a to, oto panowie ci. Ale... cożes też ty zrobił

najlepszego w świecie?—krzyknął po chwili odskakując na bok. — Tfu! do milion furbeczek, dla głupich figlów wąsy zgalać! a pfe panie majorze, takie sumiaste; a szkoda mosanie, i faworyty. No patrzajże Tomaszu co to za świszczypała! to nie do darowania, jak Pana Boga kocham, nie do darowania: wygląda jak kolano....

— Za pozwoleniem pana dobrodzieja — wyrzekł jeszcze z powagą braciszek, zawiązując napowrót sznury, które porucznik już poodpinał — pan się mylisz: ja nie dla żadnych facecyj ten strój przybrałem: ja jestem braciszek Hiacenty, do usług..

— Ale fe! co znowu?—przerwała zadąsana porucznikowa.

— Eh! kpij sobie z takich ot sześćcio-letnich dzieci, ale nie ze mnie mosanie!—zawołał czerwony już porucznik.

— Ależ dlaboga, ja szczerą prawdę mówię.

— Idź sobie do milion furbeczek z taką prawdą! Cóż ty myślisz całe życie mię za nos wodzić! co? Dość tych żartów, rozbieraj się i kwita; bo inaczej to zwołam moją wiarę, mosanie, i gwałtem rozbiore: słyszałeś, he?

— Dajno pokój Jędrusiu, mości dobrodzieju—przerwał pan Tomasz ciągnąc go za rękę—to widać tak jest.

— Co mu ty wierzysz? ale, ale, tak jest! Powiadam ci to jest taka sztuka filuterna, że onby samego luecypera okpił. No Wolisiu, nie nudź!

— Mój kochany — wyrzekł powolnie braciszek — wolno wierzyć lub nie wierzyć; ale jest tu nasz człowiek z klasztoru, który moje słowa potwierdzi: zresztą, jam ci już dawniej wspominał o mojem postanowieniu, teraz dodaje to tylko, że już od dwóch tygodni chodzę w habicie, z czego niech będą wiekuiste dzięki Bogu Wszechmogącemu, a ludziom na ziemi pożytek.

— Ot! masz tobie, sfiksował naprawdę; a niech ze cię... Eh! dalibóg świat się przewraca do góry nogami. No, mój ty Duszak, patrzajno co się to z tego człowieka zrobiło: mnich, czysty mnich. Może tabakę jeszcze zażywasz, co?

— Jeżeli mogę służyć, to proszę — odrzekł śmiejąc się nieco braciszek, i wyciągając z za rękawa dużą lubową tabakierkę.

— Idźże sobie ty do milion kartaczów, bomb, furbeczek, batalionów z twoją tabaką! Niedosć że mię zirytował jak nieboskie stworzenie, jeszcze swemi drwinami przyprowadza do ostateczności! Wiész co!—zawołał gwałtownie ciągnąc go za

habit—tych kpin już zawiele: gadaj mi tu zaraz pod słowem honoru, czyś ty ksiądz, czy major, czy diabeł jaki?

— No, słowo honoru ci daję, mój Jędrusiu—odpowiedział z flegmą Wolicki—że tak jest.

— Żeś diabeł?

— Kiedyś może, ale dziś jeszcze braciszek reformacki.

— A to już darmo!—krzyknął machnąwszy obiema rękami i odskakując na bok.—Darmo, świat zwaryował na piękne. Zosiu! Zosiu, każ mi szyć habit: niech co chce będzie i ja pójdę na laika!

— Jędrusiu, uspokój się, mości dobrodzieju! — przerwał pan Tomasz.

— Co ja się tu będę spokoił, kiedy wszystko się już spiknęło na moje biędę! No i cóż ja też tu nieszczęśliwy człowiek będę teraz robił na świecie! Ostatnią moje podporę, ostatnią przyjemność Bóg zabrał do klasztoru. Dla mnie tu już nie ma życia, o! nie ma!

— Słuchajno Jędrusiu—odezwał się rozczulony Wolicki—czego się ty tak rzucasz i desperujesz, jakbyś mię już żywcem pochował do grobu. Wierz mi, uczucia moje choć pod tą zakonną suknią, są takie same jak dawniej: serce bije silniej jeszcze niż pod pancerzem wojskowym. Tam chroniła go sława, a tu Ten, co sławę daje i nią rządzi. Nie bój się, ja tu częstszym teraz będę gościem u ciebie: wszak to trzy małe milki od klasztoru, a i ty zajrzysz tam przecie czasami. Ja się przywlokę choćby piechotą, tylko już nie darmo—dodał żartobliwie—dar jakiś musisz uczynić za każdą razą.

— No, no—mówił dziwnie zafrasowany porucznik—no, no jakie to przewroty dzieją się po głowach ludzkich. Kto byto powiedział, kto przewidział, patrząc na tego wcielonego diabła, że tak nagle przejdzie w baranka? Ale kiedy się już tak stało i bez mojej wiedzy, kiedyś się już zdecydował nawet zażywać tabakę, powiedz mi, co cię do tego skłoniło, z kąd ten wiatr bogobojny ciebie zawionął?

— Oho! to dawny zamysł, to lata się nań składały — wyrzekł braciszek ze łzą w oku.—Zresztą towarzystwo marszałkowicza...

— A nie gadajże mi o nim, jeżeli chcesz, bym po ludzku mógł z tobą pomówić...

— No! cóżeś tam znowu upatrzył do niego? to człek świątobliwy.

— Tra la la, tra la la, świątobliwy!—przerwał już zaperzony komendant—piękna mi świątobliwość kazać się biczować ze skąpstwa. Mój kochany bracie, jeżeli i ty chcesz iść taką drogą jak twój świątobliwy marszałkiewicz jakiś, to piekło będzie dla was za ciasne.

— Ale pozwólno Jędrusiu, uprzedziłeś się.

— Już aby tego nie mów, bo mię do wściekłości doprowadzasz! Na twoję rekomendacją przyjąłem tego trutnia do mego domu, traktowałem jako człowieka honoru, uczciwego, pobożnego: a ta gadzina wpiła mi się za skórę i chciała ostatnią kroplę krwi wysączyć z biednego ojca, porywając mu w swoje diabelskie szpony jedyne dziecię. Oho! już mię drugi raz nie zwiedziesz bratku!

— Ależ koniec końcem co to było?—zapytał zdumiony Wolicki.

— Pójdź! pójdź a powiem ci wszystko. Panie inżynierze łaskawy, proszę z nami; chodź i ty Duszak. A może i ty Tomaszu radbyś usłyszeć?

— Uwolnij mię, uwolnij; jam-ta nie ciekawy.

Więc wprowadziwszy ich do sypialnego pokoju, drzwi zamknął na zasuwkę, mówiąc:

— Widzisz, ja nawet żonie nie śmiem tego powiedzieć, bo dalibóg wstydzę się samego siebie: ona miała przecucie, ciągle odradzała, ale ja głupia sztuka nie i nie, nie i nie; szczęście, że się jeszcze nic złego nie stało.

— No, ale cóż on zrobił?—przerwał niecierpliwy Wolicki—czy okradł kogo, czy co?

— Jeszcze gorzej bratku, jeszcze gorzej!

— To może zabił?

— Jeszcze gorzej!

— No, to i cóż u dia....—i ugryzł się w język nasz braciszek niedokończywszy zwyczajnego wojskowego wyrażenia.

— Mój łaskawy panie inżynierze, powiedzno co wiész—odezwał się porucznik zwracając do niego mowę.

Młody człowiek zmieszał się nieco na taką propozycją, zwłaszcza, że usłyszawszy to Wolicki, spojrział nań wcale nie po zakonnemu.

— Żebym ja był przewidział, ile moja wczorajsza wiadomość zrobi panu przykrości, bądź pewny, anibyśmy wspomnieli o niej; bo jakkolwiek zwykłem prawdę mówić zawsze i wszędzie, jednakże tą razą mogło się stać inaczej.

— Ale fe! co pan mówisz!?!—zawołał porucznik — wyświadczyłeś mi taką łaskę, jakiej się nigdy nie zapomina; ochroń mi dom od hańby, i dlatego proszę cię mów otwarcie: tolerować czyjeś podłości to jeszcze gorzej, niż o nich zamilczać.

— Nie przeszkadzajno Jędrusiu: słuchamy pana.

— Ale wiész Wolisio—przerwał znów komendant — on nie żaden marszałkiewicz.

— Eh! dajno pokój....

— No, no, już ani pisnę.

— Istotnie—mówił wciąż zarumieniony pan Stanisław — znam pana Kozłowicza bardzo dobrze, gdyż stryj mój graniczył z nim na Podolu.

— Aha, widzisz! on powiedział że z Wołynia...

— Albo ty mów, albo pozwól temu panu; jak będziesz tak przerywał, to się nic nie dowiem—wtrącił Wolicki.

— No, już ani mrumru...

— Więc ten pan Kozłowicz—ciągnął dalej inżynier — od lat dziesięciu słynął w okolicy ze swych nieustannych konkurrów do panien posażnych; ale że jakoś nie zdołał się podobać żadnej, więc za swojej bytności już kapitulował zupełnie, a natomiast stał się niezmiernie nabożnym, że cała okolica miała go za świętego....

— A więc cóż chcesz?—przerwał Wolicki.

— Czekaajno braciszku, czekaaj—odrzekł porucznik trącając go po ręce i przybierając poważną minę—słuchamy panie.

— Jeden wypadek owego świątobliwego żywota zmusił go do opuszczenia tamtejszej okolicy, a ten był następujący: pan Kozłowicz wyrządził jakąś krzywdę żonie jednego ze swych służących, jakiego ona była rodzaju, tego już nie pamiętam; dość że rozmyśliwszy się potem, uczuł pewien żal i postanowił jakim bądź sposobem takową wynagrodzić. Lecz że był skąpym, więc wszelkie możebne środki owego wynagrodzenia kieszeń jego nadwężyć mogące, nie trafiały do jego przekonania. Udaje się więc do sąsiedniego klasztoru na rekolekcyje: tam modli, pości, suszy, płacze, i wreszcie zasięga rady pobożnych

ojców, którzy jednoznacznie oświadczają, iż grzech póty nie będzie odpuszczony, póki krzywda nie zostanie wynagrodzoną. Więc wróciwszy do domu, w swój prostoduszności sądząc, że za występkami zwyczajnie idzie kara, a gdy kto zostanie ukaranym już i winę maże: woła męża owój kobiety a swęgo poddanego, zamyka drzwi, i tak bez ceremonii każe sobie palić pięćdziesiąt oblewanych nahajów nie mówiąc za co, dlaczego i po co. Służący się wzdraga, on rozkazuje; i koniec końcem odebrawszy wyznaczoną dozę, płaci mu parę złotych za fatygę, z poleceniem zachowania jak najgłębszej tajemnicy.

Szczęśliwy że wynalazł tak łatwy, a zarazem tani sposób zadośćuczynienia własnemu sumieniu, odleżał jakie kilka dni w domu, bo sługus wcale ręki nie żałował; i znów powrócił do dawnego trybu swego życia. Ale poddańczyk nie potrafił utrzymać zapowiedzianego sekretu: w zaufaniu powierzył go żonie, ta znowu pokryjomu sąsiadce, owa rozpowiedziała go w karczmie; dość, że nim pan dziedzic pokazał się po wyzdrowieniu, już cała wieś była zawiadomioną o tym wypadku. Za kilka dni wieść ta przeniosła się w sąsiedztwo, szlachta się śmiała biorąc za boki, a w tydzień pan assessor był we dworze Kozłowicza wyprowadzić śledztwo o gwałcie popełnionym przez włościan na osobie samego pana. Ma się rozumieć wypierał się z początku: lecz gdy ten zabrał się do sporządzenia protokołów, musiał podobno dobrze się prosić pana assessora z nadwężeniem gospodarskiej szkatuły. Ale opinii i żartów publicznych opłacić nie było sposobu: przyjeżdża do jednego z sąsiadów, a tu w bramie stoi lokaj z nahajką, ofiarując się sto wyliczyć za złoty nawet. Staje w miasteczku na popasie, a tu dwa baty nakrzyż ktoś maluje kredą na drzwiczkach powozu.... potem ja już wyjechałem do Warszawy, a wuj jeszcze pisał mi kilka razy o figlach jakie mu płatano. Nareszcie jak dał gdzieś nurka, tak dopiero wypłynął w Krakowskiem jako marszałkowiec i człowiek świątobliwy....

— No, i cóż ty na to, he?—zapytał z ognistym wzrokiem porucznik stawając przed ex-majorem.

— A i cóż, brzydka sprawa do d... — odrzekł machnąwszy ręką—ale znowu tak bardzo wielkiego....

— Jakto! nie wielkiego: człowiek oszust, mosanie, jakiś, biczownik, bigot....

— Ale on ma dobre serce, wierzaj mi Jędrusiu; Bóg każe przebaczać...

— Idźże ty sobie ze swoją nauką do Reformatów i ucz owieczki kwestarskie, a nie kpij sobie ze starego żołnierza. I ty, były major Wolicki, człek honorowy, mój przyjaciel, śmieś mi to powiedzieć? Ach! bójże się ty ran Boskich: to niegodnie, a toć jabym wolał dziś, natychmiast, widzieć moje dziecko na marach, niż żoną tego obrzydłego kutwiarza. Słuchaj, jak mi ty nie dasz satysfakcyi i nie zmusisz go wyjechać natychmiast z naszej okolicy, to go zasiekam w drobniutkie kawałki.

— Tak, tak, panie kapitanie, tedy, wedle rozkazu zasiekamy, het!... — dorzucił Duszak wywijając z ciężkością białą swą laską.

— A za co?—krzyknął Wolicki.

— Jakto za co?—powtórzył jeszcze głośniej porucznik— za wstyd dla mego domu, że taki człowiek w nim bywał, i mnie podszedł.

— To mu nie daj córki.

— Jakto? ty jeszcze myślałeś, że ja trwam przy swoim?

— Ale, ale, panie kapitanie, dowiedziałem się jeszcze— wtrącił Duszak— że on tę szlifę, pamięta pan kapitan...

— No, co? pamiętam.

— Kupił od Włodarczyka za czterdzieści groszy, tę, co miała być księcia Józefa.

— Nie może być? kto ci mówił?

— O o o! wczoraj my się zgadali z Włodarczykiem, że miał starą szlifę jeszcze z dawnych czasów, i ten oto... ten ten, dał mu za nią czterdzieści groszy....

— No! widzisz... no, patrzajże. Ach podła sztuko.... poczekał, dam ja ci drwić ze mnie mosanie! Otóż masz twego przyjaciela, otóż szlachetny i bogobojny oszust. Duszak, przyprowadź tu Włodarczyka zaraz, a o tém coś tu słyszał ani mru-mru.... Ja tu krótko ten interes załatwię: szach mach palnę w łeb jak psu i kwita!

— Ale Jędrusiu bój się Boga....

— Co tam, bój się nie bój się, ja swoją zrobię. Panie inżynierze, pojedziez ze mną jeżeli łaska.

— Szalenicze! daj pokój, — krzyknął Wolicki biorąc go za rękę.

— Idźże sobie do sto par diabłów, a odczep się odemnie raz na zawsze. Ty mnich, ja wojskowy; co mi tam, raz kozie śmierć i basta, ubiję, ubiję!

— Ależ panie kapitanie,—przerwał inżynier—to me wolno.

— Mnie wszystko wolno, a zresztą niech się dzieje co chce: ja już nie mogę wytrzymać z tą jędzą.

— Przecież to nic tak wielkiego?

— Co! pan się na tém nie znasz; wy inni ludzie niż ja mosanie—mówił prędko i gwałtownie latając po pokoju.—On mię zbezczescił, on mię na śmiech wystawił; ja wszystkim gadałem i dałbym sobie głowę urznąć, że to szlifa księcia Józefa, a ten batożnik kupił od mego żołnierza: to nie do darowania!!

I porwał fuzyą ze ściany, otworzył gwałtownie swą szafkę, wydobył pulwersak z zamiarem nabijania.

— Człowiecze wstrzymaj się! - krzyknął Wolicki wyrwijając mu broń z ręki.—Coś ty oszalał, czy co? chcesz być zabójcą?

— Tak, tak, zabójcą, proszę wasana.

— To pójdziesz w kajdany.

— To pójdę, a zabiję.

— A żona, a dzieci, a sąd Boży; ja na to nie pozwolę, żebyś miał wprzód mnie tu zamordować! Czekaj, ja to załatwię sam, krótko...

— Może mu kazanie powiesz, he?

— Ależ pojedę z tobą.

— A to po co? czy go dysponować na śmierć, he? Obejdzie się bez waszój wielebności; i tak go diabli wezmą jak swego. Nie fatyguj się. No, oddaj broń, przedźej, czas ucieka...

— I wieczność czeka!—dokończył śmiejąc się Wolicki, a chowając fuzyą za siebie.

— Tak, tak czeka,—powtarzał szukając kul w szufladzie.—Ot ta, jak raz. Nie, to mała—mówił do siebie—wpakuje drugą. Ha! gadzino poczekaj, zobaczysz co to ze mną zagrywać bratku. Dam ja ci szlify księcia Józefa!

— Księżu dobrodzieju—szepnął przestraszony inżynier,—ratuj go, bój się Boga, reflektuj, bo on gotów...

— Bądź pan spokojny, ja go znam, to minie, tylko poszukaj pan żony.

Inżynier wybiegł, a rozszrożony komendant przewracał jeszcze szufladki szukając przybitki do fuzyi. Ręce mu dygotały

tak widocznie, że nie mógł w nich rożka od prochu utrzymać. Twarz, owa łagodna twarz starca, przybrała burakowy kolor, włosy się najeżyły, oczy wyskoczyły błyszcząc przeraźliwie z wyrazem jakiejś dzikiej żądy; a pomimo to że silił się zachować zimną powierchowność, widać było że furja piekielna wstrząsała nim bezustanku. Zmarszczki i rumieńce planetami przebiegały po ogorzałém licu, pierś się nadęła, a konwulsyjne wstrząśnienia rzucały nim co chwila.

Wolicki trzymając oburącz fuzyą, stał jak posąg przykuty na jedném miejscu. Oczy bezwładnie wlepił na porucznika, i poruszywszy kiedyniekiedy ramionami, uśmiechał się litościwie, jakby żałując tego człowieka, którego nieszczęść był mimowolnym sprawcą.

Zostawmy więc obydwóch przyjaciół w opisaném wyżej położeniu, a zobaczmy co robi reszta towarzystwa znajdująca się w téj dobie pod gościnnym dachem porucznika.

Pan Tomasz zafrasowany wielce gniewem Jędrusia, spytał porucznikowój:

— I proszę ja mojej pani dobrodziejki, ten człowiek to ani na jotę się nie zmienił; ta sama krew żywa, mości dobrodzieju, jak w szkołach. Powiadam pani dobrodziejce bywało, w klassie spleta mu kto figła, ehe! mój Jędrus już ma pod ręką odwet; a niech go kto sobie ujmie, już mu przyjacielem na całe życie. Ale widzę, że i pani zajęta, więc nie przeszkadzam; ot zajrzę do kościoła, tylko proszę téż tam zważać na męża, bo to....

— Niech pan będzie spokojny—odrzekła szukając kogoś oczyma po pokoju—to przeminie. Wolicki ma nad nim władzę, zresztą i ja go tamudobrucham...

Zapewniony tą odpowiedzią skinął na Julka i kazał iść za sobą.

— Pójdźno tu kawalerze, trzeba się Panu Bogu pomodlić, o szczęśliwą przyszłość poprosić, a przytém pogadamy sobie przez drogę.

I wyszli w ulicę postępując zwolna: stary emeryt zażywał tabakę coraz częściej, wydobywał chustkę od nosa, chował, pukał w tabakierkę, przystawał, a pomimo to nie wiedział jak zacząć. Julek znów czy przeczuwając przedmiot obiecanéj gawędki, czy téż czém inném zajęty, szedł ze spuszczoną głową nie patrząc przed siebie.

— No i czegoż się tak nasrożyłeś?—odekwał się przecie emeryt,—przywiozłem cię, mości dobrodzieju, do raję, a ty mi tu markotniejesz, hę?

— Tak sobie myślę—odrzekł Juliusz — czybyto jaż nie czas wracać do Warszawy.

— Widzisz go jaki słuźbista mości dobrodzieju! Ze téż-to teraz tym młokosom dogodzić nie można! Wstyd panie w takim domu, w takiém towarzystwie; a toć ja w twym wieku latałbym tu przesiedział, i chybabymię kijem wypędzano. No, powiedzno Julku co ci na sercu? nie wstydz się; ja ojciec twój, ja, mości dobrodzieju znam się na tych smutkach młodości: to się jakoś połata, gdyby tego wypadła potrzeba. No, i nic nie mówisz? Pewno to panna Julia zapruszyła oko; co, nieprawda?—dodał uśmiechając się figlarnie.

— Nie, proszę ojca, wcale nie.

— Otóż źle mości dobrodzieju, powiadam ci źle, że nie; bo cóż wacpana może innego zajmować teraz? A dalibóg śliczne dziecko: a jakie to gospodarne, a rozumne, a dobre, a skromne. Szkoda panie dobrodzieju lat dawnych, ho! ho! co-bym ja tu nie nawyrabiał?!

— Proszę ojca, kiedy ja się z nią nie mogę dogadać.

— Boś kawaler z przeproszeniem głupiutki sobie, a to dziewczyna do pocałowania!—krzyknął rozgniewany zatrzymując się w miejscu.—To pod słońcem nie znajdziesz drugiej takiej kawalerze, i ty śmiesz to mnie mówić, co?

— I cóż ja temu winien proszę ojca, ale ona sobie widocznie żartuje ze mnie: prześladowe Warszawę, wielkim światem, elegancyą; ale to tak jakoś zręcznie, że ja się nie mogę wytłumaczyć.

— Ha! widzisz kawalerze, sprytna; ot w takie mi graj. Ha! ha! ha! ma go już, dalibóg ma.

— Ale nie ma, proszę ojca.

— Co ty wiiesz? ma! ja ci zaręczam, ma. To zwykle miłości tak się rozpoczynają.

— Kiedy nie myślę, ani przypuszczam....

— Ciekawym ja mości dobrodzieju....—ciągnął uradowany emeryt myśląc o czém inném—mości mój dobrodzieju.... tak.... dobrze.... O! cóżem ja to chciał powiedzieć?

— Nie wiem, proszę ojca.

— Aha! zaraz, ot tak będzie: kawaler się oświadczyz dzisiaj pannie, nie ma co zwlekać; ranne ożenienie, wczesne wstawanie, widzisz mości dobrodzieju nie zaszkodzi.

Julek zaczerwienił się jak wiśnia, chciał coś odpowiedzieć, lecz stary mu nie pozwolił; a biegnąc przed nim uśmiechał się dobrotliwie machając rękoma, przechylając głowę, i szepcząc do siebie urywane słowa.

— Proszę ojca, proszę ojca ja nie mogę; niechno ojciec będzie łaskaw zatrzymać się chwileczkę!—wołał prawie w rozpaczy nasz młodzieniec ciągnąc za surdut starego emeryta.

— Dobrze, dobrze, to potem, a teraz do kościoła. *Te Deum* za pomyślność; kto od Boga zaczyna, mości dobrodzieju, dobrze zaczyna.—I nie czekając jego odpowiedzi wsunął się we drzwi, przeżegnał wodą święconą, usiadł w ławce roztwierając zwyczajną swą książkę do nabożeństwa.

Tymczasem porucznikowa po odejściu pana Tomasza skinęła na Julkę, i wprowadziwszy ją do ostatniego pokoju, kazała usiąść przy sobie i tak się odezwała:

— No, moja Julko, powiedzże mi tak szczerze, jak mię kochasz, podoba ci się ten pan?

— Który? inżynier?—zapytała nieśmiało rumieniąc się potężnie.

Matka spojrzała nań przenikliwie, dziewczyna jeszcze bardziej poczerwieniała, i kręcąc się na krześle chciała powstać.

— Poczekajno kochanie, ja się pytałam o młodego Juliusza.

— A dlaczegoż to mama się pyta?

— Ooo! jaka ty jesteś ciekawska: zaraz ci objaśnię, tylko powiedz tak, czy nie?

— Nie—wyrzekła cicho.

— Hm! to szkoda, musi to być niezły chłopiec: ależ trudno—mówiła jakby do siebie.

— Proszę mamy, to takie dziecko jeszcze: ja się z nim nie mogę w żaden sposób porozumieć.

— To téż widzisz nie zaraz.... No, powimy jeszcze, możecie czekać. Idźno téż zobacz jak tam obiad stoi, boto już południe za pasem—przemówiła zabierając się do wyjścia.

— I mama nic nie powie?—pytała całując ją w rękę i przymilając się po swojemu.—Od niejakiemu czasu w takim

żyjemy chaosie, że doprawdy sama nie wiem, co z tego rozumieć; a nie mogę znaleźć chwili na pomówienie z mamą.

— To potem dowiesz się o wszystkiém.

— Moja kochana mamó teraz, teraz, choć słówko jedno, bo widzi mama ja taka jestem ciekawa....

— To bardzo źle, Julciu.

— Ale kiedy ja się dorozumiewam troszeczkę: nieprawdaż, że ojciec coś się dowiedział o marszałkowiczu. Ach! żeby mama wiedziała, jaka ja jestem wdzięczna temu panu inżynierowi!....

— Jak uważam — odezwała się uśmiechnięta matka — ta wdzięczność trochę zapędko się wyrobiła w tobie.

— Eh! nie, moja mamó — mówiła zarumieniona. — Ja wiem co mama myśli; ale to nie, wcale nie. Jestto człowiek bardzo ukształcony, miły; uwolnił mię od takiego zameżcia: czyż nie można być wdzięczną za to?

— Dobrze, bardzo dobrze: tylko żeby ta wdzięczność....

— Niechno mama się nie boi: oho! ja się pilnuję bardzo! — dokończyła poruszywszy figlarnie główką. — Boto, widzi mama, ja taka szczęśliwa teraz, że przecie ojciec dał się przekonać o tym marszałkowiczu; odetchnęłam swobodniej, i gotowam na złość rozkochać się w kimbądź, aby nie w nim.

— Eh moja Julciu, coś ci się tak plecie dzisiaj, że doprawdy ja cię nie poznaję. Strasznieś jeszcze roztrzepana; a byłby już czas zastanowić się nad sobą.

— No, no, nie gniewaj się mama; to ja tak sobie tylko — mówiła śmiejąc się w oczy i całując ją po rękach. — To tak w pierwszej chwili tylko, niedługo znów będę poważna: ot wezmę chustkę od nosa, tak, złożę na środku, i zasięde na kanapie jak jaka matrona, z taktem....

— Idź już swawolnico, idź, a nie trzpiotaj się zwłaszcza przy obcych; gotowi sobie Bóg wie co o tobie pomyśleć. Dobrze być żywą, ale tam, gdzie to przyjmą za dobrą monetę; nie znając ludzi i ich upodobań, można się najniewinniej narazić...

— Dobrze, dobrze, proszę mamy — przerwała zbliżając się razem z nią do drzwi wychodowych, i patrząc jęj błagalnie w oczy — ale mamó mi jeszcze powie o tém, co mi mama obiecała?

— O czém? nie pamiętam.

— O tém wszystkim co się to robi teraz: bo ja przeczuwam coś, ale się w żaden sposób domyślić nie mogę.

— No np. cóż chcesz wiedzieć?

— Najprzód co to marszałkowicz zrobił, że ojciec tak się gniewał?

— Nie wiem—odrzekła wydzierając się jój matka z pewnym uśmiechem.

— Nie wie mama, naprawdę?

— Jak cię kocham tak nie wiem, tylko puścno mię, bo jak widzę wzięłaś mię tu w oblężenie, czy co?

— Jeszcze troszkę, zaraz pójdziemy. A o tém, dlaczego mama mi się pytała czy mi się podoba pan Rygorski?

— No, tak sobie, z prostěj ciekawości....

— Ale nie, mama żartuje: ja widzę, oho! ja zaraz poznam! Moja mameczko kochana, serdeczna, niechże mi téż mamusia powie, bo ja się rozchoruję z ciekawości.

— Ale co ci tam będzie? nie bój się, będziesz zdrowa jak ryba....

— A czy on przypadkiem nie ma jakiej pretensyi?

— Co za pretensyi?—powtórzyła seryo matka.

— Bo ja tak sobie myślałam... że to...—bąkała spuściwszy oczy ku ziemi wyraźnie zakłopotana.

— No, i cóżeś myślała? mówże!.

— Eh! to wolę już i nie wiedzieć—odrzekła wybiegając do drugiego pokoju.—Kiedy mama mi nic nie chce powiedzieć, to i ja nie powiem.

— A! widzisz kochanko, że ja miałam racją. Wstydzisz się swěj ciekawości: dobrze ci tak, nie dopytuj się nigdy o to, o czém chcą starsi żebyś nie wiedziała. Cóż nie prawda?

Lecz dziewczyna nie słyszała już tego moralu, bo zakrywszy oczy, jak młoda sarna pierzchnęła z pokoju. We drzwiach od sieni, jakby na dobitkę jój utrapienia spotyka się oko w oko z powracającymi z kościoła Juliuszem i ojcem. Stary rozgniewany czegoś, trzymając syna za guzik, upominał, rozkazywał, groził palcem i tabakierką; a pochmurzony synek milczał dając się trochę i poruszając przecząco głową.

— Ot, i panna Julia!—zawołał pan Tomasz uśmiechając się doń mile. O wilku.... nie, nie, mości dobrodzieju, o aniołku mowa, a on tuż.

— Czy to do mnie ma się stosować?—zagadnęła jeszcze cała zapłoniona stawając ze spuszczone mi oczyma.

— A tak, o panie Julii, o panie.

— O! to się pan omyliłeś—mówiła już przytomniejsza z figlarnym uśmiechem.—Gdzie mnie tam do anioła. Mój Boże, jakabym ja była szczęśliwa, żebym prawdziwą kobietą być mogła!?

— No, alboż to co brakuje panie Julii? Rozumiem ja to dobrze: skromność mości dobrodzieju, skromność; to tak samo jak Urszulka nieboszka.

— Ale cóż za mowa była o mnie? nie mogłabym się o niej dowiedzieć?

— Już co o tém, mości dobrodzieju, to Julek najlepiej opowie. Zostawiam tu państwa, tłumaczcie się jak możecie—mówił śmiejąc się pociesznie.—Ja tam zajrzę do starych, bo nie wiem co się z porucznikiem dzieje.

— Kiedy jabym wolała, żeby sam pan był tyle dobrym i w tém mię objaśnił; bo pan Julian....

— A cóż pan Julian?—powtórzył pytająco stary.

— Tak.... widzę... że nie ma ochoty.

— Musi mieć, proszę mojej panny dobrodziejki. On zawiął, niech się wymawia; to darmo! każdy za siebie odpowiada—i nie czekając odpowiedzi czmychnął żwawo do sieni.

Julka tak nagle zostawiona sam na sam z młodym człowiekiem, nie śmiała odejść bojąc się go obrazić; stanęła więc na progu bardzo zafrasowana, i bawiąc się pierścionkiem na palcu, czekała wyzwania. Minęła chwila, Julek się nie odzywał, ani spojrział na nią; a stał pochmurzony z tym samym wyrazem twarzy, z jakim go ojciec zostawił.

— No, jakże panie Julianie?—odezwała się spojrzawszy nań swemi dużemi oczyma—nic mi pan nie powie?

— Kiedy przyznam się pani—bąknął jeszcze patrząc w ziemię—ja nie mogę...

— Więc to musi być coś bardzo ważnego, lub tajemniczego—dodała nieco śmieliej.—A wiesz pan jak to kobiety są ciekawe, więc témbardziej radabym usłyszeć....

— Widzi pani, w drażliwém jestem położeniu: ojciec mię przymusza....

— Do czego?

— Eh!.. nie mogę powiedzieć.

— Ale przecież cośkolwiek niech pan powie: no, dopomogę panu—mówiła naprawdę zaciekawiona z figlarną minką.
—Czy do wyjazdu?

— Nie.

— To może do klasztoru?

— Ale nie, owszem przeciwnie.

— To się już nie domyślę—odrzekła rumieniąc się lekko.

— Oto proszę pani, ojciec chce żebym się ożenił.

— Naprawdę?

— Niezawodnie tak.

— Więc cóż to mnie może dotyczyć? Eh! pan żartuje, musi to być co innego!?

— Słowo honoru pani daję, że tak.

— A pan zapewne nie masz ochoty?—badalo ciekawe dziewczę z pewnym zajęciem.

— Właśnie że mam, tylko że.. Otóż niech się co chce dzieje powiem pani otwarcie, co tam ceremonie. Wiem, że pani się nie obrazisz, przecież serca przymuszać nie można?

— O, prawda prawda, zupełnie się zgadzam z panem—wyrzekła dorozumiewając się wszystkiego.

— A więc, zna pani pannę Helenę Lińską?

— Znam bardzo dobrze: i to pan w niej się zakochałeś?

— W niej.

— A to bardzo stosownie: śliczna panna, bardzo dobra, bogata; istotnie winszuję panu takiego wyboru. I z nią ma się rozumieć ojciec pana każe mu się żenić?

— Właśnie że nie z nią.

— To chyba nie wie o tém, że pan ją kochasz?

— Otóż to że nie wie, ani się domyśla.

— No, to jakżeż pan chcesz żeby zezwolił, kiedy nic nie wie; trzeba mu to wyznać.

— Ależ to niepodobna: on ma wcale inne zamiary. zgniewałby się, zresztą ja się nie mogę odważyć.

— To, czekajże pan, ja mu powiem.

— Ale...

-- Nie bój się pan, ja to tak zgrabniutko, ładniutko wszystko ułożę; a przytém poproszę grzecznie, i jakby trzeba było innej pomocy, to mama się wstawi. My to umiemy dobrze takie interesa załatwiać; a zresztą i pan Wolicki się przyczyni, który, wie pan, bardzo lubi kojarzyć małżeństwa.

— Dziękuję pani bardzo za tę nadzieję — odrzekł mocno zakłopotany Juliusz — ale kiedy ojciec kazał pani co innego powiedzieć.

— Jakto? jeszcze co nowego? mnie?

— Tak pani, bo jak mówiłem już, ojciec chce żebym się pani oświad...

— A z czemże takiem? — przerwała z pewną obojętnością, choć widoczném było, jak rumieńce występowały na lica.

— Z tém, co dla panny Heleny czuję — szepnął cicho Juliusz odwracając oczy.

— Eh! kiedy pan żartujesz sobie ze mnie!

— Słowo honoru daje, że nie.

— Więc to niby z miłością, której pan, ma się rozumieć nie czujesz — odważyła się zapytać nieśmiało.

— To jest ja panią szanuję, wielbię, poważam, ale...

— Rozumiem, rozumiem — zagadnęła Julka nieco obrażona — nie potrzebujesz mię pan objaśniać. Naturalnie, kto kocha pannę Helenę, inna mu się podobać nie może.

— Ale nie tak, proszę pani; ja przeciw pani nic nie mogę powiedzieć, tylko że...

— Nie jestem podobna do panny Heleny, prawda?

— I to nie... tylko że pani jakkolwiek jesteś piękną..

— Daruj pan, ale ja komplementów nie lubię.

— Wszakże to nie komplement, ale najświętsza prawda.

— No, to dobrze, to dobrze, tylko pomimo tego nie podobam się panu i kochaćbyś mię nie mógł. Wierzę bardzo i nie dziwię się wcale, bo przyznam się, że co do mnie zupełnie tak samo jestem względem pana uprzedzona. Ale jeżeli pan chcesz przyjąć tą razą *choć* przyjacielską usługę, to całym sercem dopomogę panu; bo bardzo lubię Helenkę, i wiem, że z panem byłaby szczęśliwą.

— O stokrotne dzięki ci pani — przemówił z zapalem młodzian — do śmierci wdzięcznym ci będę. Przepraszam najmocniej, że ją może czém obraziłem, ależ staw się pani w mojem położeniu, że ja ją tak kocham, tak uwielbiam, że ona również mi życzliwą.

— Nie masz pan za co przepraszać, owszem odemnieby się ono panu należało, żem taka była ciekawa i zarazem natrętna. Co mogę, to zrobię, żeby pana kontrolera skłonić do ży-

czeń pańskich. Szczeróć za szczeróć, prawda! Po co tu te ceremonie, przymusy; powiedzieliśmy sobie o tém, o czém poprzednio wiedzieliśmy oboje: bo jużci pan przyznasz, żeby to było bardzo niewłaściwém, to nasze małżeństwo? Ja sobie prosta parafianka, brunetka, a pan Warszawiak, i lubisz blondynki.... No, no, nie obrażaj się pan, ja to rozumiem zdrowo, a że czasem się trzpiotam jak dziecko, to tylko jak jestem w dobrym humorze; ale gdzie trzeba być poważną, oho! ja potrafię!

— Aha! patrzno pani dobrodziejka, patrzno pani, jak się ściskają za ręce—szeptał uradowany pan Tomasz, uchyliwszy drzwi od pokoju, i pokazując porucznikowój dwoje młodych ludzi z wesołemi twarzami. Co, nie powiedziałem mości dobrodzieju, że tak będzie? Ho! ho! znam ja młodość pani dobrodziejko, to ogień: pociągniesz, ot i pali się zaraz.

W rzeczy samój zbliżyła się doń młoda para, a z oczu ich patrzyła radość niezwykła. Julian jeszcze się kłaniał, Julka uśmiechała mile szepcząc pocichu słówka pociechy: jedném słowém złudzenie było tak upozorowane, że porucznikowa nie wiedziała co o tém sądzić.

— Mam téż do pana kontrolera maleńką prośbę—odezwiała się wesoło Julka stawając przed nim w błagalnej postawie.

— Ale to później—przerwał zatrwożony Julek.

— Bądź pan spokojny, lepiej odrazu—odpowiedziała potrząsając głową.

— Tak, tak, odrazu mości dobrodzieju—powtarzył stary. Po co tu zwlekać, patrzaj jaki mi sensat się zrobił. Słucham kochanej mojej panny dobrodziejki: choćby worek prósb, to wysłucham najpokorniej—dokończył z dziwnie rozkoszną miną i jakimiś ruchami nie do opisanania.

— To prosiłabym samego pana o chwilkę rozmowy.

— Jako pani porucznikowa dobrodziejka nie mogłaby tego słyszeć?—zapytał ciekawie.

— Owszem, miałam zamiar i mamy prosić; tak we dwie prędzój uprosimy.

— A Julek nie mógłby....

— Oh nie, nie, on tu jest winny, i nie powinien słuchać oskarżenia.

— A więc proszę moje panie dobrodziejki: służę—mówił prędko ustępując im miejsca, a na syna skinąwszy żeby się oddalił.

— Nie będzie się pan kontroler gniewał na pana Juliusza, jak ja wszystko opowiem — przemówiła, skoro wszyscy troje stanęli przy oknie bawialnego pokoju.

— Tego nie wiem, moja panno Julio, jak zasłużył: to darmo.

— On nic nie winien, ale jego serce....

— No, jeżeli serce mości dobrodzieju, to z góry przebaczam, bo to i ja byłem młody. Ho! ho! wiem ja o tych wszystkich figlach serduszek!

— Ale pozwoli na to pan kontroler o co będę prosić, bo to wielka, o! bardzo wielka prośba.

— A cóżbym ja mógł odmówić takiemu szczebiotkowi, mości dobrodzieju — zawołał emeryt trącając ją po ręce, jako zadowolniony ze swego wyrażenia. — Tylko chciałbym już raz dowiedzieć się o co to idzie! No, jakkolwiek nazywają mnie starym pedantem, ale teraz mościa dobrodziejko moja, jestem ciekawszy niż wszystkie na świecie kobiety.

— I słowo pan mi daje, że nie odmówi?

— Ależ Julko nie nudź — przerwała matka — tak nie można nadużywać grzeczności pana.

— Daję słowo, daję....

— Otóż powiem panu kontrolerowi ważną nowinę: pan Julian się zakochał!

— Ba! — wtrącił śmiejąc się serdecznie emeryt — ja o tém dawno wiedziałem.

— A jak dawno? — zapytała filuternie Julka.

— No, przecież to łatwo obliczyć; od czasu jakieś tu przyjechali, mości dobro....

— Otóż przepraszam pana, bo to już od trzech miesięcy.

— Otóż i ja przepraszam — powtórzył energicznie pan Tomasz — ale to być nie może, bo jakże to mógł zrobić nie znając takiego jak pani aniołeczka.

— A widać że znał herubinka innego — wyrzekło figlarne dziewczę.

— Eh! wolne żarty panny dobrodziejki, ale gdzieżby on go znalazł, chyba we śnie?

— Nie we śnie, ale na jawie w osobie panny Heleny Lińskiej.

— Co? kogo? jak mości dobrodzieju? nie słyszałem.

— Helenki Lińskiej—powtórzyła dobitniej Julka.

— Eh! to być nie może! czy onby śmiał bez méj wiedzy, mości dobrodzieju. Nie, to żarty! Hej Julek, pójdźno tu!—krzyknął otwierając drzwi od pokoju. — On tu sam powie, on się wytłumaczy.

— Ależ dajno pan pokój—przerwała porucznikowa odsuwając mu rękę.—Cóż to dziwnego, wszak dopiéro sameś pan mówił, że znasz wszystkie figle serduszek.

— I że się pan nie będzie gniewał—dorzuciła Julka.

— To być nie może, mój ty mości dobrodzieju, to jemu się zdaje; ale gdzież znowu, hę? nie, nie.

— Kiedy tak jest w istocie, sam mi to powiedział.

— Jakto? i on śmiał, ten, ten nicponi: wszak ja mu kazałem co innego....

— Owszem lepiej zrobił że to wyznał—przemówiła znów porucznikowa.—Zdaje mi się szlachetniej jest powiedzieć komuś prawdę, niż zmyślając to, czego się nie czuje, sprowadzać w przyszłości nieszczęście.

— Jakie nieszczęście?—krzyknął rozgniewany już dobrze ex-kontroler wiewając chustką, trzęsąc tabakierką i spluwając co chwila.—Z takim stworzeniem miałoby być nieszczęście?

— Może nie dla niego, ale dla niej....

— Otóż moja niedola, moja zawada, mości dobrodzieju, że nie mogę z tym chłopcem dojść ładu! Ha, trudna sprawa. ma pani dobrodziejka racją, ale żeby téż jeszcze z kim inném.

— A cóż pan chcesz od niej?—zagadnęła seryo porucznikowa—panna bardzo przystojna, dobra i nie biédna...

— Znamci ja ich znam aż nadto dobrze, moja pani dobrodziko! Skaranie boskie, widoczny cios na mnie biédnego ojca, ale poczekaj nicponiu, dam ja ci za to, bez mojej woli, no proszę ja....

— Kiedyż serce rozkazów nie słucha, proszę pana—dorzuciła Julka.

— Eh! co mi tam serce, mości dobrodzieju, on nie powinien był tego robić. Ho! ho! amory mości dobrodzieju; nie będzie nic z tego, nie, nie jakim....

— A moja prośba jeszcze panie kontrolerze, a obietnica? pięknie nie dotrzymywać słowa.

— Jaka obietnica, jaka prośba?—zapytał ciekawie.

— Wszakżem nie dokończyła....

— Więc to jeszcze coś nowego?

— Prośba, prośba wielka, na którą dał mi pan słowo.

— Może, żebym tam pojechał, i zezwolił, i prosił? O! z tego moja mości dobrodziko nic nie będzie; i wolę zasłużyć na imię niedotrzymującego, niżeli widzieć tę, tę pannę moją synową. Nie pozwolę, nie, nie: albow to nie ojciec mości dobrodzieju, nie kontroler, nie emeryt?!

— Moja mameczko — szepnęła Julka całując ją z przymileniem w rękę — niechże się mama przyczyni za nim, on ją tak kocha. Ja wyjdę....

— Panie kontrolerze, uspokój się pan, pomówimy rozsądniej trochę — odezwała się porucznikowa wskazując mu krzesło. — Naprawdę ja tu nic zdrożnego w tym związku nie widzę, owszem wszystkie korzyści. I to nawet powiem panu, że wątpię, czyby ją za pana Juliusza wydali. Są to ludzie majątni, a przytém sama pani dumna nieco.

— Ot to właśnie, że i ja dumny jestem mości dobrodzieju, i znam ich jak złamany szeląg: skąpe, próżne...

— Nie nie, uprzedziłeś się pan do nich, jest tam trochę śmieszności, ale wierz mi pan w gruncie serca poczciwi ludzie. To co było przeminie, panna jak będzie u siebie, wszystko się inaczej urządzi. Po co tu się sprzeciwiać, kiedy i skłonności ich łączą i piękna.... No pozwól pan, pozwól — nalegała widząc że mięknie stary. Masz pan jedno dziecko, dlaczegóż mu zagradzać drogę do szczęścia: to byłoby okrucieństwem...

— Ale kiedy to chwilowe, potem jeszcze będą wieki niezgody...

— Zapewniam pana, że tak nie będzie skoro się kochają szczerze, a i pan będziesz spokojny o jego przyszłość, i chłopiec się ustatkuje.... Jesteś pan w tych stronach, można pojechać... No pozwól pan, pozwól, bo doprawdy zgniewałabym się serdecznie....

— A... i cóż mam robić, niech i tak będzie, bo ja pani dobrodziejce tak ufam jak, jak... samój Urszulce mojej nieboszce.... Tylko przykro mi, żem panią prosił o rękę...

— Ależ to zwyczajny wypadek, bo i Julka przyznam się panu nie miała doń głębszej sympatii.....

— Skoro tak jest, to niech się dzieje wola Boska, jadę....

Przywołano potem Juliusza, nastąpiły wyrzuty, przeprosiny, błagania i dziękczynienia, jedném słowem powiodło się wy-

bornie jego zamysłem, i za kilka dni uradzono pojechać do państwa Lińskich z zamiarem oświadczenia młodego zakochanego.

* * *

Kiedy się to działo w bawialnym pokoju porucznikostwa, kiedy sercowa tragedia Juliusza zbliżała się ku końcowi: konferencye w sypialnym pokoju również na umiarkowaną przechodziły drogę. Komendant choć niezupełnie uspokojony, wszelako powiesił fuzyą na ścianie, która powiedziawszy nawiasem brandki nie miała, i całując serdecznie braciszka Hyacentego, pytał niespokojny:

— Ale ty mi słowo honoru dajesz, że go wykurzysz!

— Słowo, nawet żołnierskie słowo! — odrzekł z zapalem Wolicki—i jeszcze ci powiem, że na ten dzień zdejmę i habit.

— Jakto... tyś nie ksiądz?

— Nie ksiądz i nie laik, tylko ubrałem się po zakonnemu, ot z dobrej woli; mieszkam w klasztorze, mam celę, ehodzę na pacierze i modlitwy, ale ślubu żadnego nie robiłem, i przyznam ci się, dziś piérwszy raz jestem w habicie, który niezadługo będzie jedynym strojem byłego majora.

— Ej figlarzu! ty sobie widzę żarty stroisz z téj sukni: to nieładnie mosanie, to nieuczciwie.

— O! o! nie bój się, nie—odrzekł seryo Wolicki—ja wiem co robię i bądź pewny, żebym go nie zdjął już nigdy, gdyby nie ten wypadek. A mówię ci pytałem go się kilka razy, czy panie Antoni nie masz co na sumieniu. A on jak świętoszek skruszony, sumitował mi się że nie, broń Boże, coby znowu. A tu tak inaczej: i tę szlifę, a pfe nieuczciwie, niehonorowo: poczekaj bratku, dam ja ci chleba!

— Eh! bobyś powiedział!—przemówił prosząc go porucznik—co ci to szkodzi.

— Nie mogę, jak cię kocham: lepiej, żebyś ty nie wiedział o tém, tylko ot siadajmy i piszmy bilety zapraszające na niedzielę. Dziś mamy co? piątek, prawda, no to się jeszcze pojeżdżają. Dając wieczorek, uczcisz pana Tomasza i jak nas więcej będzie tém lepiej. A wina mi nie żałuj: im więcej go będzie, tém sprawa głódziej pójdzie, to konieczne.

— Dobrze dobrodzieju, u mnie w piwnicy znajdzie się jaka beczułka, a resztę się dokupi; siadajmy tedy i piszmy. Ot poproszę i tego inżyniera: on to pismak, biuralista...

Wkrótce potem cała sypialnia przemieniona została w najzupełniejszą kancelaryą: pióra skrzypiały, papier szeleścił, piszący tarli czupryny sadząc się na koncepta, a pan porucznik jako dyrektor chodził od jednego do drugiego, czytał, podpisywał, składał pieczętując wojskową pieczęcią, i adresując szumnie wedle tytułu i godności zaproszonego.

Na to weszła porucznikowa ciekawa dowiedzieć się z jakiego powodu taka cisza zaległa pokój, a zobaczywszy piszących, chciała się cofnąć napowrót.

— A prosimy, prosimy! — zawołał porucznik powstając z krzesła.

— Czy masz jaki interes do mnie?

— Tak, tak moja Zosiu, ot widzisz w niedzielę daję bal.

— Jaki bal?

— Ot, że to imości tak długo trzeba się tłumaczyć: bal wielki i kwita! To jest spraszam gości, którzy będą jeść, pić, tańczyć i hałasować.

— A na jakąż to uroczystość?

— Bez uroczystości, tak sobie z dobrej woli i kwita. Przyszła mi myśl oto...

— A kiedy z dobrej woli, to dawaj sobie, ja nie zabraniam.

— O, ba! to niedość że imość nie zabraniasz, ale tu trzeba dopomódz; przecież ja ci w kuchni pitrasić nie będę, mosanie!

— Jak ja nie wiem na co, to równie nie będę.

— Kiedy bo imość jesteś taka ciekawa, że zaraz na co, po co, za co? Proszę mojej imości, mnie się zdaje, że ja panem domu, to...

— A ja panią...

— No, to jakże ja ci tu powiem, żeby ci się pozbyć; ot chcesz, to np. Julki będą zaręczyny.

— A może ja nie chcę? — odrzekła zimno zabierając się do wyjścia.

— Ale ja chcę i kwita: co to znowu bunt, czy co?

— Nie bunt, tylko powinnam wiedzieć jako żona i matka.

— Masz tobie, zaraz mi imość wyjeżdżasz z tą żoną! A czy skaranie boskie czy co z tą ciekawością babską: jak ci się uczepli, to trzyma rękami i nogami. Mój Wolicki powiedzno jój o co to idzie, bo dalibóg ja sam nie wiem.

Na tę prośbę Wolicki szepnął kilka słów do ucha porucznikowej, ta się zrazu rozśmiała, lecz potem przemówiła poważnie:

— Spodziewam się, że pan nie zrobisz nic takiego, co by nam ubliżyć mogło?

— O nie, nie, bądź pani spokojna, to tylko prosty figiel, za który ja biorę całą odpowiedzialność.

— No, kiedy tak, to powiedzże mi mężu ile to osób prosisz?

— Ze czterdzieści—odrzekł zamyślony—ale wiiesz imość, ta niewiara mi się nie podoba. Jak on szepnął, to nic nie mówisz, a jak ja mówiłem, to się dąsasz.

— Bo mów po ludzku, nie tak: ja chcę, ja pan domu. Na grzeczności nikt nie traci, a zdaje mi się że i nazwisko męża od niej nie uwalnia.

— Ot masz ją, jaka mi elegantka! Cóż to imość chcesz, żebym jak fireyk jaki nadskakiwał ci jeszcze i całował po rękach mosanie: a moja droga, a moje życie, a mój gołąbku, a zrób, a bądź tak łaskawą...

— Tak, tak—powtarzała uśmiechnięta poruszając twierdząco głową.

— Nic z tego moja imość; wyperswaduj sobie, żeś już mosanie stara baba, a ja nie ten podporucznik z trzeciego pułku ułanów. Szukaj babka latka...

— No, no przestańno z temi żartami, przestań!

— A będzie wszystko dobrze?

— Zdaje mi się że nigdy jeszcze źle nie było.

— Ale bo ty zaraz w dąsy: widzisz Zosiu, to nie ma o co: no nie gniewajno się nie, a ja za to walca z tobą wywinę, ale jakiego!

— Obejdzie się, obejdzie—mówiła wychodząc.

— Gadaj mi tam obejdzie, jeszczebyś mię w obie ręce ucałowała, żebym cię wziął: ale nic z tego nie będzie: znajde ja sobie młodsze od ciebie!—dokończył zamykając drzwi za wychodzącą.

W dwie godziny już rozestano listy. Wolicki odjechał, przyrzekając solennie stawić się wioczorem w niedzielę; na odjeździe jeszcze za bramą dziedzińca, coś szeroko i głęboko rozprawiał z inżynierem, a porucznik chociaż widział to wszystko i nie mógł się dorozumieć wątku intrygi, wszelako nad podziw zachował krew zimną i bawił jak nigdy swych gości.

IX.

Ledwo że summa się ukończyła w klasztorze OO. Reformatów, gdy niespokojny pan marszałkiewicz pukał do celi Wolickiego, prosząc o pozwolenie wejścia.

— Zaraz, zaraz—dał się słyszeć głos majora, a potem jakiś szelest papieru, potem zasunięcie szufladki: dopiero drzwi się otworzyły i wszedł znajomy nam pan Antoni.

— Co ci to jest?—krzyknął niby zadziwiony major—takeś mi zmizerniał?

— Eh! zdaje ci się chyba—odrzekł spoglądając zniecacka w zwierciadło i głaszcząc faworyty—zdrow jestem jak nigdy. Tylko chciałem ci się zapytać, czy dawno byłeś u porucznika?

— Zdaje mi się że w piątek.

— No, i jakże tam: zdrowi wszyscy?

— O! zdrowi, zasyłają ci ukłony i dziwią się żeś o nich zapomniał.

— Dziękuję bardzo za pamięć—przemówił zadowolony—ale widzisz miałem tyle zatrudnień: stawiam nowe stodoły, przytém mają gości z Warszawy...

— Eh! cóż to im przeszkadza, ot już jeden wyjechał.

— Kto taki?—zapytał ciekawie.

— Ten młody jakiś inżynier.

— Tak, hm! dobrze zrobił. Proszę cię powiedz mi, czy go ty nie znałeś dawniej?

— Nie, piérwszy raz go tam widziałem—odrzekł niby obojętnie Wolicki—ale cóż on ciebie tak obchodzi?

— Co mię ma obchodzić? tylko przyznam ci się, jego *fizys* ma w sobie coś tak odrażającego....

— Spodziewam się, że się go nie boisz; ty, co tak sławnie w Paryżu odbyłeś kilka pojedynków, co....

— No wiem, wiem; ależ nie idzie tu o bojaźń, tylko że mi się nie podobał, i uważałem jakoś, że...

— Brał się do Julki, co? Oj zazdrośniku, zazdrośniku! Ale bądź spokojny, już ty zagłęboko siedzisz w jój serduszk, żeby cię miał ktoś wysadzić.

— I to wiem—wyrzekł od niechcienia skrzywiwszy nosem;—bagatela serce kobiety: mój Boże! cóżto łatwiej zdobyć, jak tę bezbronną forteczkę?

— A i piękną, dodaj.

— Chyba biędną, chciałeś powiedzieć.

— No, no, nie żartujno panie Antoni; wiemy o tém, że ty nie gonisz za bogactwami... Co tam że biędna, ale ładna i uczciwa; tylko trzeba kończyć.

— Jabym téż chciał, widzisz, ale nie wiem kiedy?

— Ot najlepiej będzie dzisiaj: porucznik zaprosił kilka osób z sąsiedztwa *in gratiam* przybycia swego przyjaciela z Warszawy, i ja będę, i ciebie się spodziewają; ot o szóstęj przyjadę do ciebie, bo mam nawet interes w tamte strony odwieźć beczki z kapusty do Granicznej, o które się upominają.

— Więc ty na beczkach pojedziesz?—zapytał ironicznie pan Antoni.

— Nie, ja pojedę bryczką, a fura z beczkami pojedzie za mną. Ci państwo byli tak łaskawi na klasztor, że przysłali kapusty; prosili o odesłanie beczek, więc wypadaloby komuś podziękować...

— A! chyba, to dobrze; ja czekam cię o szóstęj i skończymy interes, co?

— A skończymy— powtórzył Wolicki.

— Więc do widzenia miłego.

— Upadam do nóg!

* * *

Już blisko była siódma godzina po południu, pan Antoni zupełnie ubrany, aby nie mieć napróżno nowego fraka z prawdziwego francuzkiego kortu uszytego, zapalił cygaro także prawdziwe hawańskie, i chodząc wolnym krokiem wzdłuż i wszerz pokoju, zaglądał niekiedy do okna; czy tam nie widać nadjeżdżającego majora. W téj chwili i tak uroczyście przybrany pan marszałkowicz, wcale jeszcze nie źle wyglądał: świeża peruka z nieco szpakowatym włosem przylegała gładziutko do jego małej główki; zmarszczki się jakoś wyrównały na twarzy, nawet lekki rumieniec czy spodziewanego szczęścia, czy téż więcej pewnego różu, ożywiał tę maskę wiecznej obojętności i znizycia. Siwe kiedyś oczki a teraz bez koloru prawie, świeciły radośnie; frak leżał doskonale rysując wyraźnie zgrabną figurę starca; znać, że artysta krawiec znał dobrze wszystkie ułomności grzesznego jego ciała, bo i piersi się znalazły i owo sztuczne wypełnienie pustych miejsc na plecach tak było natu-

ralném, jakby szanowny marszałkowicz dopiero 25 rok życia mógł liczyć. To téż wyprostowawszy się ile możności, chodził z miną pełnego zadowolenia: spoglądał w zwierciadła, poprawiał włosy peruki, pocierał białą i ubrylantowaną ręką wypogodzone czoło; a różowe myśli przyszłości jak czarowna ambrozya bogów, owiewała jego głowę i serce, sprawiając pewien rodzaj miłego chaosu i odurzenia.

No — mówił do siebie — nienajgorzej wyglądasz panie Antoni! Jeszcześ nie tak bardzo stary, żeby cię kochać nie można; ot i siła jest i żywość jest—przebąkiwał uśmiechając się wesoło i dając nieco większe i szybsze kroki.—Jak bądź tak bądź, ale będziemy mieli żonę, panie Antoni, oh! będziemy. A ślub trzeba przyspieszyć, bo to może się wydać; ten młody człowiek mię niepokoił, tak nie myślę się, on sam; ale musiał mię nie poznać. Gdy zaś będzie po ślubie, no to i porucznik bronić mię musi; moja niestawa jego będzie także niestawą. Dobry interes, słowo honoru daję, dobry—dokończył rzucając resztkę cygara i zacierając ręce. A! chwała Bogu że i Wolicki jedzie!—zawołał spojrzawszy w okno i wybiegając na ganek.

— A! przepraszam za niesłowność, przepraszam cię bardzo: ot beczek nie mogli wynaleźć, ale to nic, będziemy na czas—przemówił nasz major już po cywilnemu przebrany w zwyczajnym granatowym fraku i łokciowych żabotach u gorsu.

— No, proszę do pokoju, może co pozwolisz: jaką przekąskę, ale małą z góry ostrzegam, bo mi się spieszy bardzo, i konie już zaprzężone.

— Jeżeliś tak łaskaw, to wiész, herbatybym się napił; czuję, że mi niedobrze, a tam jedzenia będzie po uszy: porucznikowa na wieki wieków zagniewałaby się na mnie, gdybym wszystkiego choć nie pokosztował. Więc każ nastawić samowar—herbata wytrawi.

Zawołano służącego, dano mu stosowne rozkazy; koni Wolicki nie kazał wyprzęgać, tylko furman, który wiozł dwie ogromne beczki z kapusty, wy dostał obrok i odprowadziwszy same konie w drugi kąt dziedzińca, rozpoczął w najlepsze swój popas.

— W pół godziny dano herbatę, pan major był w najlepszym humorze: żartował, śmieszył, chwalił, prześladował biędnego gospodarza, a pił tak powoli, że ósma wybiła, a oni jeszcze ani myśleli wyjeżdżać.

— Mój majorze, zlituj się kończ, bo to już mroczy się i późno zajedziemy.

— Eh! bagatelka półtory mili, będziemy na czas — odrzekł filuternie nalewając sobie już trzecią szklanę. Widzisz, lepiej tak późno, to w dobrym tonie; zresztą wszyscy już będą, a my zajedziemy sobie siarczystą czwórką, szumnie; tylko każ palić z bicza co siły.

— To wiesz co, niech z twoją bryczką jedzie naprzód, a my pojedziemy razem.

— Zgoda.

— Hej! Paweł! Paweł! — krzyknął pan Antoni. Służący się ukazał w progu.

— Idźno i powiedz furmanowi tego pana....

— Niepotrzeba!, — przerwał Wolicki — ja sam pójdę, a ty ot, każ mu przynieść lepiej jaką butelczynę starego węgry: co?

— To już późno.

— Co tam późno! palniemy sobie na *kuraż*. My wojskowi, to bez tego ani rusz: a że i ty wchodzisz do naszej ligi, więc ciągnij bratku.

— No, to dobrze; ruszaj Paweł do piwnicy i tego weź jednę, co w samym kącie stoi, bez litery.

Gdy sługa się oddalił, Wolicki powstał zbliżając się ku drzwiom na ganek wiodącym, a wtém odzywa się zdaleka trąbka pocztarska.

— Co to? zapytał pan Antoni.

— Widać extra-poczta!

— Zkądżeby w téj stronie?

— Bo ja wiem: pewno kto ze znajomych jedzie do porucznika i wstępuje do ciebie — odrzekł najobojętniej w świecie. Ale, ale, masz téż pierścionki?

— Ach! prawda, byłbym zapomniał: zaraz wyszukam. — I pobiegł do drugiego pokoju, gdy Wolicki wyszedłszy przed ganek, kazał słuzącemu jechać, a furmanowi szepnął parę słów do ucha.

— No, w twoje ręce, nie mamy czasu — przemówił Wolicki wróciwszy do pokoju i wychylając duży kieliszek wina. — Jeszcze drugi — mówił nalewając znowu — dobre wino nie zaszkodzi; no pijże prędzej.

Wtém trąbka odezwała się tuż poddworem, marszałkowiec zadrzał, a Wolicki śmiejąc się najserdeczniej wpakował

mu trzeci kieliszek nagląc, by się spieszył, bo kto nadjedzie i muszą się z nim dzielić.

— Eh! do diabła, to ktoś nieznajomy!—zawołał przylepiając twarz do szyby, aby ukryć gwałtowny śmiech swój.—Nie może trafić do drzwi: panie Antoni, każno poświecić!

Lokaj skoczył ze świecą do sieni, i za chwilę wprowadził już nie pierwszój młodości mężczyznę w urzędowym mundurze.

— Czy tu pan Antoni Kozłowicz mieszka?—zapytał tenże kłaniając się lekko obydwom.

— Tu, albo co?—odrzekł niedbale major, widząc że pan gospodarz zapomniał języka.

— Czy ten sam co się przeniósł z Podola, gdzie miał dziedziczne dobra Skrzypiec?

— Tak jest: ale cóż pan chcesz od niego?

— Mam rozkaz zawieźć go natychmiast do powiatu—wyrzekł obojętnie wydobywając jakiś papier z bocznej kieszeni. Chciój pan zaprowadzić mię do niego.

— Mój drogi! mój przyjacielu—szepnął drżący pan Antoni, szarpnąwszy za frak Wolickiego—bój się Boga broń mię!

— Ja nim jestem mój panie!—wyrzekł poważnie Wolicki podnosząc się z krzesła.—Proszę mi pokazać rozkaz.

Urzędnik podał, Wolicki czytał z największém zajęciem, ale zarazem i krwią zimną.

— Tak—wyrzekł obracając się do pana Antoniego—ma ten pan racyą: istotnie wzywają do jakiegoś tłumaczenia o pobicię mię przez dawnego poddanego. Ależ proszę pana ja nie mam z tego tytułu żadnej pretensyi: skoro mię wybili, to moja szkoda.

— Daruj pan, ja nic nie wiem jak było, co było: kazano, wypełniam rozkaz.

— Ale bo widzisz pan... no niechże pan siada; może czém służyć: wódeczką, herbatą czy winem? rozkazuj pan.

— Dziękuję bardzo, mnie nic nie wolno przyjmować; dziękuję....

— Ale bo to, czyby nie można jutro tego dopełnić; ja mam dzisiaj być na wieczorze....

— Ha! ha! ha! jakiś pan zabawny!—odrzekł śmiejąc się urzędnik—ja mam czekać?

— A gdybym ja nie pojechał?

— No, to są ludzie przy bramie, którzy wsadzą pana na bryczkę; a gdy wypadnie potrzeba, to i przytrzymają....

— Tam do diabła!—krzyknął skrobiąc się w głowę Wolicki. — Kiedy tak, to zatrzymajże się pan trochę, ja się wybiorę.—A do stojącego obok marszałkowicza szepnął:—bierz płaszcz i zmykaj, moja furmanka pewno daleko nie ujechała, więc goń. Prawda panie—mówił zwracając się do urzędnika—że masz rozkaz żywego mię dostawić?

— Tak—odrzekł śmiejąc się nieco.

— Więc jeżeli chcesz ten obowiązek wiernie wypełnić, to pozwól mi zjeść kolacyą; a i sam może będziesz łaskaw dopomódz, gdyż w przeciwnym razie umrę ci z głodu na drodze.

— Jeżeli niedługo...—wyrzekł zagadnięty—to dobrze.

— A może i koniom obroku? bo to parę mil do miasta i droga nietęga.

— Można—odpowiedział lakonicznie i zasiadł przy stole.

Tymczasem pan Antoni drżący i bezprzytomny, porwawszy płaszcz z drugiego pokoju, tak bez kapelusza wybiegł drugimi drzwiami na podwórze, i dalejże ku bramie.

— Kto tu?—krzyknął stojący wieśniak zastępując mu drogę.

— Ja, no, puść mię człowieku.

— Nie wolno—wyrzekł zwracając go niezbyt grzecznie.

— Ależ to ja dziedzic; ot masz tu na piwo—szepnął wciśkając mu w rękę dwuzłotówkę.

— Idźże sobie do milionset tysięcy!... skoro nie wolno, to nie puszczę!—krzyknął jakimś znajomym głosem pilnujący. I gdyby pan Antoni nie wypił kilku kieliszków wina, i nie drżał ze strachu, to możeby go i poznał. Lecz on widząc niepodobieństwo ucieczki, prawie zrozpaczony przybiegł napowrót do pokoju, a mignawszy na Wolickiego, z płaczem mu szepnął:—Bój się ran boskich, ratuj! stróż stoi przy bramie i nie puszcza.

— Oh! do diabła, głupi interes.... co tu począć. Ale wiesz co, nie ma innego tu wyjścia?

— Nie ma.

— To biegnij do kuchni, włóż kobiece suknie i probuj wyjść; może kobiecie puszczą....

Pan Antoni skoczył, nadzieja zaświtała, przytém strach dodał mu siły; krzyknął na lokaja w kuchni, i w minutę już przywdziewał gwałtownie spódnice, a gorset na frak; zawiązał

głowę chustką i dalejże do bramy. Ale i tą razą wybieg się nie udał: stróż jeszcze niegrzeczniej się obszedł, bo poznał go odrazu i zastraszył, że doniesie prezydentowi do dworu, że pan chce uciec, a wtedy może i zwiążą delikwenta.

Marszałkowicz tedy znowu wraca do sąsiedniego pokoju, staje zdaleka, mruga na Wolickiego; lecz ten częstując urzędnika, ani widzi tych znaków, tylko zapija w najlepsze.

— A zdejmże pan płaszcz, przecież u diabła teraz zmarznąć nie można—woła rozochocony major powstając z krzesła.

— Ale dziękuję panu i przepraszam: ja już tak przywykły, a zresztą niedługo pojedziemy.

Pan Antoni patrzy się na to: mruga, bojąc się nawet krząknąć, i gdyby popatrzył dobrze, toby dostrzegł, że pod płaszczem ów urzędnik ma frak cywilny, lampas czapki tylko czerwoną kitajką obciągnięty, a faworyty widocznie przyprawne, bo ciągle je przyciska do twarzy, żeby tak widocznie nie odstawały.

— Panie! panie!—odważył się szepnąć Antoni.

— A co to? jakaś kobiéta, czego ty chcesz?

— Proszę jegomości, mam prośbę — wyrzekł płaczliwie nasz marszałkowicz udając głos kobiety.

— Zaraz: pozwolisz pan na chwilę?—zapytał Wolicki obcierając twarz chustką dla ukrycia gwałtownego śmiechu.

Urzędnik tylko skinął ręką, nachylając się również pod stół, i zaczął chrząkać głośniej nie mogąc się powstrzymać.

— No, a cóż, jeszcze tu? uciekajże do diabła, bo ja już dłużej wytrzymać nie mogę; on się dorozumiewa że to nie ja, ma rysopis twój, koniecznie chce sprawdzić.

— Ale jakże uciekać — przerwał z płaczem, kiedy nie puszcza?

— Jakto i kobiety?

— I kobiety.

— No, to się schowaj gdzie pod strych?

— To oni znajdą.

— Może do piwnicy.

— Jeszcze gorzej: tam woda stoi.

— Ot do stu diabłów kiepsko! Co tu robić? i ja już dali-pan głupieję — wyrzekł zafrasowany Wolicki.

— Mój drogi, jakieś mój przyjaciel, ratuj na miłość Boską, ratuj! — błagał składając ręce marszałkowicz — ja tego nie przeżyję...

— No, ale cóż ja ci zrobię?

— Pomyśl, pomyśl, ja ci już dam co zechcesz: człowieku miej litość w sercu!

— Ależ fe! cóż ty chcesz? nie płacz znowu.

— Nie, nie, mój drogi! ale pomyśl: tyś wojskowy, wam na konceptach nie zbywa, ja umrę jak mię on weźmie, jak Pana Boga kocham tak umrę.

— Eee! ciężka sprawa: coby tu, coby tu... tak źle, tak niedobrze—mówił pukając w czoło i trąc czuprynę. — Ot wiesz, chyba wleź do beczki....

— Panie gospodarzu proszę!—zawołał urzędnik—coś tam zadługo te narady; czas jechać i chciałbym zaraz sprawdzić rysopis.

— Zaraz służę: no, wleź w beczkę; nie ma rady!

— W jaką? gdzie, mówże!—szeptał trzymając go za poły nasz bohater.

— Ot, w tę z kapusty, co stoi przed gankiem; biegnij tamtemi drzwiami, ja się tu wymknę to cię wsadzę. No nie ma co dumać, posiedzisz trochę, jak wyjedziemy, to i wyjdiesz.

— Ale jakże ja tam... to czuć kapustą?

— Co tam, wybieraj wóz albo przewóz! No spiesz się, bo słyszysz, woła... beczki dobrze wymyte.

— Ja nie trafię, jak mię kochasz pójdź ze mną.

Cichaczem tedy sunęli się na dziedziniec; wóz stał z beczkami tuż pod oknem, konie się pasły zdaleka, a przy nich spoczywał woźnica. Sprytny Wolisio, uchyliwszy delikatnie wieko beczki, wpakował doń drżącego ze strachu marszałkowicza w kobięcy stroj jeszcze przybranego, i zakładając szybko kliniki toż wieko przytrzymujące, szeptał: „bądź spokojny, siedź cicho, ja cię niedługo uwolnię. A nie kaśnij téż, bój się ran boskich, boby cała sprawa w łeb wzięła!

Niebardzo to i wygodnie było w owój kapuścianej beczce naszemu paniczowi, lecz trudna rada: strach wielkie ma oczy, a potrzeba najtwardszy orzech do zgryzienia; więc ułożywszy się w nowój siedzibie jak można najdogodniój, nie rozpaczal, nie narzekał, ani rozmyślał nawet o obecném położeniu; tylko przyłożywszy ucho do wyrzniętego z boku otworu, słuchał z całym wytężeniem, coto dalój będzie. Lecz mimo takiej usilności i dobrego słuchu, tylko urywane słowa, a czasem i głośnie śmiechy dolatywały niefortunnego więźnia. Od czasu do cza-

su pies zaszczekał we wsi, konie parsknęły bijąc kopytami o ziemię, a paw' siedzący na poblizkiej szopie zawrzeszczał po swojemu, zwiastując niedaleką słotę.

Tymczasem furman pana dziedzica zaprzągnąwszy czwórkę do nowego koczyka, ubrawszy się w błyszczącą liberyą i zamaszycie rękawem ocierając usta dopiero co po spożytej kolacyi, zajechał z hukiem i trzaskiem przed ganek. Usłyszawszy to woźnica z klasztoru, i sądząc, że czas wyjeżdżać, porwał się z leżenia, i zaczął szybko zakładać konie do wozu, klóćąc się z niemi i przeklinając podług zwyczaju wiejskich furmanów. Kiedy już ukończył to wszystko, zbliżył się do furmana dworskiego pytając ciekawie:

— A rychłota pojedziewa?

— Bo ja wiem?—odrzekł wąsaty dworak nie spojrzawszy nawet w stronę kolegi.

— O o o.. dokądże ja tam będę czekał! Wam we cztery to lekko pójdzie, a moje koniska choć to klasztorne, ale takie hebety że pozal się Boże!

— To jedźta kaj wam pilno—bąknął niechętnie forszman.

— Ale widzita' nas pan kazał czekać, i czybyto nie można iść do niego...

— Nie można, bo kto wie czy i ja pojedę: jest tam jakiś urzędnik z powiatu, a Paweł mi gadał, że pono chce *harestować* naszego dziedzica.

— A za co?—spytał ciekawie klasztorny.

— Bóg ich ta wie za co: targują się-ta, klóćą, tego urzędnika poją...

— Kiedy tak, to ja pojedę, ino powiedźcie naszemu panu, zem ja się nie mógł doczekać, a konie się wystaly...

— Dobrze, dobrze, my was dogonimy.

Przez cały czas tej rozmowy, pan Antoni aż potniał ze strachu tamując oddech, żeby się nie zdradził; i gdy furman ruszył, choć trząst beczką niemiłosiernie, choć w niej huczało jakby w małym piekle, on najdelikatniej przekładał pod głowę ręką po ręce, poprawiał się cichutko, i szepcąc „*pod Twoję obronę*” jechał nieco już pewniejszy.

Tymczasem w domu porucznika, gości jak nabił pełniuteńko po wszystkich pokojach. Co tylko żyło w okolicy, pospieszało na ten dzień do niego: raz z życzliwości, jaką się cie-

szył stary i poczciwy nasz wojak, powtóre z ciekawości, co mogło spowodować tak nadzwyczajną uroczystość, gdyż do imienin jeszcze kilka miesięcy czekać było potrzeba. Młodzież zabierała się już do tańca, część starych zasiadła do kart w sypialni, druga na czele pana Tomasza gawędziła dość hałaśliwie w pierwszym pokoju, bo stary emeryt wystroiwszy się w nowy frak mundurowy, z przypiętą sprzączką na boku, jakoś prędko zaznajomił się z przyjaciółmi porucznika; i popijając co chwila, rozповідаł o wielkich zdarzeniach warszawskich tak biurowych, jako też i politycznych. Właśnie w tej chwili podeszłego wieku kobieta, snąc żona jednego z sąsiednich dzierżawców zbliżyła się doń nieśmiało pytając skwapliwie:

— Czy to prawda, panie dobrodziejku, że tam w jakimś szpitalu w Warszawie, brat z umarłego brata chciał zdjąć śmiertelną koszulę?

— Pierwszy raz o tém slysze pani dobrodziejko moja— odrzekł nieco zadziwiony emeryt, zrywając się z krzesła z pewną galanterią.

— Ach! prawda, prawda—dorzucił tłusty z zadartym nosem małżonek.—Pan nam najlepiej o tém powie: bo to trzeba panu dobrodziejowi mojemu wiedzieć—mówił dalej machając mu rękoma przed nosem, i odpychając żonę za siebie—przyjąłem tu karbowego na św. Jan, który służył gdzieś koło Warszawy, i ten huncwot, panie mój kochany, niestworzone rzeczy wygaduje o tém, a Jadwisia trzeba także wiedzieć z przeproszeniem, boi się tedy strasznie, i po nocach tedy świecić każe w pokoju...

— Nie tak proszę pana!—zawołała znów imość wsuwając się naprzód, a męża popychając za siebie—to nie ja, widzi pan, ale on sam, tak się boi: ot, i wczoraj Jacuś jak krzyknie hu! a mój Józef—*dluboga!* Bo to proszę pana, mówią, że niedawno się stało, i że ten umarły jak chwycił za rękę owego brata, to slysze nie można było oderwać.

— A tak, tak, przyrosła—dorzucił mężulko oglądając się ze strachu na wszystkie strony.

— I jak doktorzy chcieli piłować tego umarłego rękę, to slysze, panie, żywy w niebo głosy krzyczał...

— No, i jakże się skończyło?—zagadnął poczthalter.

— Jak się wypowiadał, ksiądz pokropił, pobłogosławił—rozpowiadała dalej owa imość—to i sama się ręką odjęła.

— Dziwne rzeczy! — wtrącił poczthalter spoglądając na stojące butelki z winem.

— Aha! to ja sobie coś przypominam, mości dobrodzieju — wyrzekł uśmiechnięty emeryt — że przed kilkoma laty rozeszła się pogłoska po Warszawie...

— Ale kiedy to, widzi pan, przed świętym Janem się stało; ja się umyślnie wypytywała.

— Nie wtrącajno się tutaj do nas moja Jadwisiu, ot do kobiet sobie lepij....

— Cóż to znowu! idź sobie sam; ja taka dobra jak i ty — fuknęła obrażona, a potem zwracając się do emeryta, spytała: — No i cóż to było?

— Bajką jak wszystkie temu podobne wieści.

— Ale nie, to prawda, ja wierzę; bo przecie i u nas jak umarł nieboszczyk kasztelan Siwicki, to proszę pana taka była zawierucha, tak pioruny biły, deszcz lał, że aż strach; świece gasiło...

— No idźże imość, jeszcze sobie głowę strachami nabije, i w nocy znowu świece pał, a tu łój, panie mój, drogi.

— Zdrowie naszego zacnego pana Rygorskiego! — krzyknął z całego gardła poczthalter odsuwając krzesła.

— Niech nam żyje, wino pije!

— Zdrowie!!! — powtórzyli zgromadzeni, i wychylając duszkiem całowali na wszystkie boki emeryta, który dziękując o mało że nie pocałował nawzajem ciekawej dzierzawczyni, uciekającej z krzykiem do pokoju bawialnego.

— Hej! ktoś zajeżdża! — zawołał przebiegając porucznik — może Wolicki?

— Zdrowie Wolickiego naszego poczciwego majora! — zaintonował poczthalter już nalawszy kieliszki. Lecz zbił go z tropu porucznik wróciwszy z oświadczeniem, że to beczki klasztorne przywieźli.

— Co się z nim dzieje? — szeptał sobie zakłopotany komendant — już blisko dziesiąta a jego nie ma....

— Bądź pan spokojny — odezwał się na to młody inżynier.

— A z kąd pan wiész, mosanie?

— Już ja wiem z pewnością, i marszałkowicz będzie; tylko jeszcze prosimy o wino.

— Zaraz, zaraz — powiedział zafrasowany gospodarz i wybiegł do kuchni.

Wrzawa i hałas pijącej gromadki wzrastały co chwila: zapalono cygara, zaczęto już i śpiewać przy rzesistém towarzystwie całusów, gościom oczka się mglily, nosy czerwieniały, a nogi wymawiały jakoś posłuszeństwo, bo pan prezydent słynny na całą okolicę z mocnej głowy, już nie mógł przejść po jednej desce.

W pokoju bawialnym młodzież również nie siedziała bezczynnie: gorąco było duszące, otwarto okna, panny przechadzały się trzymając pod rękę, kawalerya prześladowała ich nieustannie, a ztąd wyradzały się panieuskie klapsiki po rękach natrętników. Juliusz nawet się rozruchał, chustki nie trzymał przy oczach, gdyż Bogiem a prawdą pomiędzy krakowskimi rumianami twarzami, wyglądał wcale jeszcze interesująco.

Porucznikowa z Julką uwijały się na wszystkie strony: trzeba było myśleć o kolacyi, a tu jak na złość mężczyźni zasiedli w pierwszym pokoju, i ani sposób proponować im jakie bądź ustąpienie. Dzięki szczeremu dozorowi poczthaltera, kolej za koleją szły daleko porządniej niż na drodze żelaznej; głos ginał w tysiącznych wykrzykach serdecznych uczuć bawiącego się kółka, więc zakłopotana gospodyni, nie mogąc się dopytać i doprosić, skinęła na inżyniera mówiąc:

— Ulituj się téż pan nademną, i pomóż.

— Słucham: co pani rozkaże?

— Chciałabym kazać nakrywać do kolacyi w tym pokoju, a tu ci panowie ani myślą wychodzić.

— Bo nie mogą?—odrzekł śmiejąc się inżynier.

— To cóż ja tu zrobię, w tamtym pokoju jeszcze ciasniej będzie.

— Hej! panowie!—zawołał odwracając się do gości Stanisław—pani gospodyni prosi, żebyśmy się ztąd przenieśli gdzie indziej, bo tu będzie kolacya!

— A! kolacya!—krzyknął poczthalter obcierając usta.

— Co, kolacya? — zapytał taczający się burmistrz — dawaj ją tu!

— Ależ trzeba wyjść, bo jakże nakryją.

— Trzeba wyjść—powtórzył ów ciekawy dzierzawca.

— No, to wyjdźmy—dodał pan Tomasz, a wszyscy siedzieli jak przykuci nie mogąc się ruszyć z miejsca.

— Ha! widzisz Zosiu, mosanie, jak ich spoilem! — mówił uszczęśliwiony porucznik zwracając się do żony—choć głowę utnij nie pójdą.'

— A gdzież ja nakryję? potrzebne to było tak wcześnie.

— Najlepiej moja imość z kopyta!— zawołał z rozkosznym umizgiem komendant.— Tak imość, jak bele, jak bele spoilem.

— Nie ma rady—wtrącił inżynier—tylko niech pani każe nakryć przed domem. Noc prześliczna, zaręczam wszyscy się zgodzą, a ci się nawet przetrzeźwią, bo tu taki zaduch z wina, tytuniu...

— Kiedy ja nie mam stołów takich, i nie wiem czy kobiety się zgodzą; można się zaziębić.

— Ale gdzie! wszak i teraz okna otwarte; zresztą ja to biorę na siebie. Niech pani będzie spokojna: tylko gdzie są blaty lub deski jakie, my to sami urządzimy.

I nie czekając przyzwolenia, pobiegł do sali, szepnął parę słów Juliuszowi, ten poprosił trzech jeszcze młodych ludzi, potem wszyscy wysunęli się na podwórze, i dalejże do roboty. Ale że stołów nie było tyle, więc do szukania desek: ta długa, ta krótka, ta prawie, ale znów nie ma na czém oprzeć. Młódzież biega po różnych kątach, znosi, próbuje, nie zważając wcale na strój balowy i na to, że panny śmiejąc się z nich dogadują przez okna.

— Co to za beczki?— spytał inżynier przyskakując do fury.

— To z klasztoru puste z kapusty, które odwozimy tu do jednego dworu.

— A czego ty tu stoisz człowieku z niemi?

— Bo pan Wolicki kazał cekać, póki nie przyjedzie.

— To dawaj je tu, na nich położymy deski; tylko czy mocne?

— O dębowe, proszę wiel: pana.

— Więc rzucili się młodzi robotnicy do fury, ten za jedną, ten za drugą, zepchnęli na ziemię; a biędny marszałkowicz słysząc to wszystko, i czując silne razy wraz z ruchem wirowym toczonego więzienia, ani pisnął, czekając zmiłowania bożego.

W minutę urządzono stoły: służący nakryli, dano półmiski, i całe towarzystwo z gwarem nie do opisania zasiadło do kolacyi. Ponieważ beczkę w której siedział marszałkowicz ustawiono z samego brzegu, więc porucznikowi z tytułu gospodarza, wypadło obok niej miejsce. Wieczór był prześliczny, najmniejszej

chmurki na niebie; wiatery ani dmuchnął, bo świece paliły się najspokojniej. Tylko gwiazdy milionami ocz swoich patrzyły na tę szczególniejszą ucztę, a liście gruszki, które ją osłaniały, łamiąc w tysiącnych kształtach odbite podwójne światło, przybierały fantastyczną zieloność, dziwne formując załamki.

Kolacya trwała z jaką godzinę, przy której i młodzież tą razą więcej sobie pozwoliła spełniając tyloiczne zdrowia, zwłaszcza płci pięknej. Porucznik choć podchmielony, wszelako niepokoił się o Wolickiego; ale jak to mówi stare przysłowie, że bywa *in vino veritas*, to też powoli, powoli, rozwodząc się o swoich kłopotach zeszedł na marszałkowicza.

— A wiecie wy? co to za oszust, mosanie!—krzyknął uderzając pięścią w stół tak silnie, że biedny delikwent aż krzyknął w beczce ze strachu.

— Co, jak?—odezwało się kilka głosów nadstawiając ciekawie ucha.

— *Primo*—że nie marszałkowicz żaden!

— A ja mówiłem—przerwał ów dzierzawca—to panie hamska sztuka tedy.

— Tak, tak, musi być prawda, bo kiepskie miał wina!—bąknął poczthalter.

— A jaki hardy?—dodała któraś z kobiet.

— *Secundo* że biczownik!

— Jaktó, co za biczownik?—powtórzyli chórem powstając z miejsca.

— Bo mosanie kazał się obić swemu służącemu, nie chcąc mu wynagrodzić krzywdy!

— Nie może być! to farsa!—zawołał burmistrz.

— O! jak Pana Boga kocham, słowo honoru daję—sumitował się porucznik czerwony z gniewu i oburzenia.

— *Tercio*, że mię okpił, kupując starą szlifę od mego żołnierza, a dając mi ją jako księcia Józefa.

— Którą, tę białą coś nam kapitan pokazywał?

— Tak, tę; tę—powtórzył smutnie.—Ale ja jemu zapłacę; ha! poczekaj ptaszku, niechno ja cię dostanę w moje ręce!

— A to truteń, a to oszust, a to niegodziwiec!—odzywały się zewsząd głosy oburzonych przyjaciół.—Więc co panie Jędrzeju, jedźmy do niego zaraz—krzyknął jakiś zawadiak—skroimy mu kurtę: co zgoda?

— Zgoda! powtórzyło kilku.

— Nie, nie, poczekajcie; ja sam tę sprawę załatwię.

— Tak, tak—powtórzył burmistrz, aby bez krwi rozlewu, bo ja z mego urzędu....

— Idź spać z urzędem! — wrzasnął poczthalter — jedźmy: ja dam bez pretensyi dwie, trzy, ile potrzeba extrapoczt!

— Oho! to już po kolacyi! — odezwał się za uchem porucznika Wolicki — takeście to czekali?

— Wolicki, major, reformat! zdrowie jego, zdrowie! — zawołali chórem — i nim miał czas przemówić nasz dowcipniś, już wpakowano mu kilka kielichów jeden po drugim.

— No, siadaj jédz! — mówił komendant robiąc mu miejsce. — A cóż ten konkurent?

— Zaraz powiem, tylko daj mi jeść przez Boga żywego; wiesz nie ma gorszej istoty nademnie wtedy, gdy mi się jeść chce.

— Nie chodźmy już do pokoju, tu nam dobrze — zaproponował inżynier, kiedy powstano od stołów.

— Ależ tu ciemno, świece pogasną? — odpowiedział młody obywatel.

— To zrobmy fajerwerk.

— A z czego?

— O! ze słomy, tak jak sobótki, na kijach — wtrącił trzeci.

— Eh! toć lepiej z beczek — mówił żywo inżynier.

— Ciekawym jakim sposobem?

— O o o! wylać smołą?

— Prawda, prawda. Hej Bartek, Tomasz, Walenty! — krzyczała szlachta na swych furmanów — dajcie sam maźnice!

— Ale z kąd beczek?

— Może gospodyni ma stare — dodał inżynier i zbliżając się z błagalną miną do porucznikowój.

— Dajcież mi święty pokój, moi panowie. Na co to, jeszcze może być wypadek.

— Tak, tak — dorzuciła burmistrzowa — sześć złotych kary policyjnej, niechno mąż zobaczy.

— Ba! kiedy chrapi pod gruszką; dalej, palcie! — krzyczał ów dzierzawca.

— Ależ ja beczki nie mam! — tłumaczyła się porucznikowa, widząc że trudna sprawa z pijanemi.

— Są tu klasztorne.

— Co znowu klasztorne! — wtrącił Wolicki.

— Beczki z kapusty—krzychał młody obywatel przeciskając się do niego.—Ot zrobimy fajerwerk; beczki nie ma, a te czyje co tu furman przywiózł?

— A czy on to tu przywiózł?—spytał zadziwiony Wolicki.

— Wszakże pan koło niej siedzisz, bo stoły na nich oparte.

— Ależ to nie można, co znowu, jakie pomysły, idźcież wy sobie do sto par kaczek! Cóż to, klasztor na wasze waryacye będzie łożyl?!

— Dobrodzieju, dwie ci przyślę daleko lepsze—wołał dzierzawca.

— A ja dziesięć, ile chcesz! No bracia łać smołę—zagał obywatel.

I mimo protestacyi, odpychań i krzyków Wolickiego, rzucono deski, i dalejże otworem łać smołę do beczki.

— Pardon! stójcie!—dał się słyszeć jakiś głos podziemny.

— Co to? gdzie — zapytali wszyscy odskakując na bok — kto tu jest?

— Ja—mówił głos z beczki—na miłość boską zaklinam was otwórzcie!

Całe grono biesiadników częścią strwożone, częścią zaciekawione, kobiety starsze, panny, pijani i mniej pijani otoczyli beczkę, a trzymając się jedni drugich, wysuwali naprzód swe głowy sposobiąc się w razie wypadku do odwrotu.

— Ależ odbijcie denko! bo mię smoła zaleje!—powtórzył już z płaczem głos z beczki.

— No, odbić!—krzyknął porucznik.—Co to za strachy mosanie? Choćby i djabeł sam siedział, to dalej go za kark. Dajcie no jakiego młotka!

Po kilku uderzeniach wypadły kliny, komendant zerwał gwałtownie wieko, a zobaczywszy wychylającą się głowę kobiety polaną smołą, cofnął się szybko szepcąc: „wszelki duch Pana Boga chwali!”

— Ratujcie! na rany boskie, bo się zaleje smołą!—krzychał ochryptym głosem pan Antoni, próbując wyskoczyć z beczki.

— Kto wasani jesteś?—pytał zdumiony porucznik zbliżając się powoli, gdy cała gromada potrwożonych kobiet drapnąwszy do pokoju, wychylały głowy z okien, spinając się po krzesłach, lub stawając po framugach.

— Ja nie kobiéta!—wyrzekł marszałkowicz napół wyglądając z beczki.

— To kto u diabła? gadaj, bo lejemy smołę: dalej—krzyknął zaiskrzony porucznik.

— Nie mogę powiedzieć teraz! Bójcie się Boga wydostaniecie!—molestował dalej zmieniając głos uwięziony.

— Panie kapitanie, panie kapitanie!—szepnął inżynier ciągnąc go za rękę—zdaje mi się że to pan Kozłowicz.

— Kto?

— Ten marszałkowicz!

— Czybaś wasan sfiksował, a cóż onby tu robił?

— Niezawodnie on, poznaję po głosie—i przybiegłszy do beczki, choć z silnym zamachem, jednakże przewrócił takową dość lekko, a przygnębiony, zawstydzony i drżący ze strachu Kozłowicz, wygramolił się na ziemię.

— To pan marszałkowicz!—zawołał dzierzawca.

— Co pan Kozłowicz?—powtórzyły kobiety.

— Co u Boga! prawda, on; patrzcie państwo—szepnął śmiejąc się porucznik.—To diabeł nie człowiek ten Wolicki. Hej! majorze, jesteś?

Ale majora nie było w kółku, tylko pan Antoni w stroju pół kobiécem, pół męzkim, bez peruki, obłany smołą, stał pośród nich spuszczać oczy ku ziemi.

— Eh! do milion okrętów furbeczek batalionów!—fuknął spluwając głośno porucznik—to zanadto mosanie! Pójdź pan ze mną, każę cię obmyć. Złośliwa sztuka, o! brzydko; fe! to zanadto, zanadto. No, proszę za sobą—mówił ciągnąc delikwenta za rękę.

— Dziękuję, nie pójdę!—szeptał opierając się pan Antoni—Panie poruczniku, jeżeli masz isierkę litości w sobie, każ mi natychmiast odwieźć do domu, a przysięgam noga moja tu już nie postanie; jutro się oddalam z tych stron: ja wszystko wiem i slyszalem.

— Przepraszam cię hardzo, mój panie Antoni, słowo honoru ci daję, jak pragnę zbawienia, tak nic o tém nie wiedziałem. No, przebacz, nie miej do mnie pretensyi, mosanie!

— Dobrze, dobrze—tylko koni, bo ja tu umrę.

Wtém jakby umyślnie rozległ się po dziedzińcu trzask bicia, i szumna czwórka pana Antoniego zajechała przed gruszkę.

Zobaczywszy swój ekwipaż, marszałkowicz skoczył na stopień, porwał leżący płaszcz w siedzeniu i nie zważając na to, że furman niby przez pomyłkę zaciął go parę razy batem po plecach, krzyknął na całe gardło: »jedź, co konie wyskoczą!»

Dopiero też gdy powóz zniknął za bramą, a całe towarzystwo ochłonęło z pierwszego zadziwienia, powstał ogólny śmiech i ściskania Wolickiego. Podpita szlachta nosiła go na rękach, całowała, dziękowała bez końca. Tylko jeden porucznik nie dzielił ich serdecznej radości, bo zachmurzywszy czoło, pociągał węża, machał rękoma i szarpnąwszy za frak Wolickiego, odprowadził na stronę mówiąc:

— Wiész co, panie majorze, głupi figiel, jak pana Boga kocham głupi, mosanie! Myślałem, że coś dowcipnego wynajdziesz, a to stare rzeczy i płaskie, to zanadto!

— Ależ bój się Boga, jam tego nie przewidział: to się samo zrobiło mimowoli...

— Gadaj mi tam, gadaj, bratku, nie w ciemną ja bity; ale koniec końcem przykro mi, że w moim domu, ten, tego...

— Bajdurzysz stary, aby bajdurzyć: com zrobił dobrzem zrobił i basta! To moja zemsta i za mnie; on mnie otumaniał, jam się skompromitował, mało ci, to szukaj sobie innej satysfakcyi. Nie bój się, jak on tu nam da nurka, to go już oko ludzkie nie dojrzy... Proszę cię za takie błazeństwa, za ową szlifę, to jeszcze lekka kara. Cóżto, my to znowu trutnie jakie czy co, żeby nas jak dzieci okpiwano?

Lecz porucznika nie potrafiła uspokoić taka perswazyja: i jakkolwiek udawał później wesołego, pił jak nigdy, wszelako znać było przymus i żal dręczący jego poczciwe serce. Nad ranem goście się rozjechali: cisza zwykła zaległa spokojne mieszkanie porucznika, pan Tomasz wybierał się do państwa Lińskich, a młody inżynier wysłuchawszy sąznistój perory komendanta, że pomagał Wolickiemu w wczorajszej rozprawie, odjechał na miejsce przeznaczenia, zapraszany najsolenniiej przez obojga gospodarstwo, żeby o nich nie zapominał.

* * *

A teraz pozostaje mi jeszcze wspomnieć o owój miłości Juliusza i Helenki. Stary pojechał, przyjęto go grzecznie, nawet zanadto uprzejmie. Wieść o wypadku marszałkowicza już doszła uszu zazdrosnych państwa Lińskich, i chociaż cieszyli się

nią skrycie, wszelako porzucili zamiary, dla jakich wyjeżdżała sama pani kiedyś do Warszawy.

Pan Ludwik kontent z tyle gadającego usposobienia pana Tomasza, i sam nie szczędził rozlicznych opowiadań; a że obaj mieli ten zaszczyt liczyć się do rzędu ludzi powolnych, więc wkrótce pokochali się wzajemnie i projektowany związek najdroższych dzieci nie znalazł ze strony rodziców panny Heleny owych niebotycznych przeszkód, o których wspominała porucznikowa. Po trzech dniach pobytu w miasteczku wrócił uszczęśliwiony emeryt pożegnać się z komendantem. Przyszła synowa nadzwyczaj mu się podobała, bo rozpatrzywszy się bliżej, odkrył w niej wiele dobroci, łagodności, i najważniejszej według niego w pożyciu małżeńskim—rządności.

— Bo co to, panie dobrodzieju, zakożuszek bywał tam na kawie, to z przeproszeniem nigdzie tego nie obaczysz, wyjąwszy—mówił dalej w zamiarze nie obrażenia przytomnej porucznikowej—u godnej i szanownej pani dobrodziejki.

— Eh! dziękuję za komplement, dziękuję; ale i to mię cieśzy, żeś się pan dał przekonać, i zapewnił szczęście dwojga drogiech mu istot.

— Tak tak, bardzo pani dobrodziejce wdzięczny jestem: to będzie wyborna żona. Oho, to nie warszawskie dziecko, pani dobrodziejko; nie, nie, to jak moja nieboszka Urszulka, z prowincyi, mości dobrodzieju, z prowincyi. I sama sobie upierze, i uszyje, i dopilnuje w kuchni: bo to my niewielcy panowie, na sługi nie mamy funduszów.

— A jakże wyprawa? kiedyż ślub i gdzie?—wtrąciła ciekawie Julka.

— Przyjadą do Warszawy, tam się wszystko ułatwi; potem marsz koleją mości dobrodzieju do Częstochowy, i mój Jullek ma żonę, a ja synowę.

— To ślicznie, bardzo panu winszuję: a nie zapominaj pan nam donieść jak tam wszystko się powiedzie, bom ja bardzo ciekawa.

— Dobrze, dobrze, tylko ja się tyle nie znam na tych matterklasach kobiécych; ot Helenka, mości dobrodzieju, wszystko opisz.

— Kiedy oni są zagniewani na nas.

— Nie, nie, broń Boże: właśnie opowiadali nam całe to zajście, i wie pani dobrodziejka, tak się stary dąsał, że go musiał hamować, mości dobrodzieju.

— Jakto na nas?—wtrąciła żywo porucznikowa.

— Nie, broń Chryste Panie: na żonę swoją; i kazał mi oto powiedzieć, że oni tu wkrótce razem przyjadą, przeproszą uroczyscie, a panny do panny Julii będą miały wielki interes.

— Jakiz, jakiz? powiédzże pan, proszę?

— Nie panno dobrodziejko, to sekret, o! wielki sekret!

— Ależ ja umrę do jutra z niecierpliwości.

— Mają panią prosić za druchnę—szepnął jój do ucha Juliusz.

— At, papla, panie dobrodzieju! Fe, człowiek co się ma żenić, brzydko...

— Owszem bardzo dobrze, bardzo grzecznie...—mówiła zadowolniona Julka zegnając się z niemi.

— No, mój Tomaszku!—krzyknął porucznik ściskając go w objęciach—prędko się téż zobaczymy?

— Może na tamtym świecie, drogi Jędrusiu—wyrzekł smutnie emeryt ocierając łzę z oka.

— A! prawda, nam to już niedługo, mosanie, przyjdzie kościasta pani: fiut za szyję, pojedź Kuba do wójta, pójdź!...

— Ależ da Bóg.

— Kto to wie.

— No, dajcież pokój tym prognostykom: na wiosnę, jeżeli Bóg nam pozwoli dożyć, to my tam z Julką przyjedziemy odwiedzić nowożeńców.

— Ta, ta, ta przyjedziemy—powtórzył naśladując głos żony porucznik—a z kąd pieniędzy?

— Nie bój się, może wygramy na loteryi—odrzekła śmiejąc się porucznikowa.

— Obiecanka cacanka, a temu to... radość. Bądź zdrów kolego, niech cię tam Bóg prowadzi, a pisz!—dokończył całując go już raz dziesiąty może.

Bryczka pomknęła zwawo, wszystko troje stali jeszcze przed domem póty, póki dojrzeć ją można było; a gdy gęsty tuman kurzawy powoli zaczął opadać, i nic prócz pól, lasu i nieba widać nie było: wrócili smutni do pokoju, jakby część ich dusz poczciwych odjechała wraz z sercami starych i dobrych przyjaciół.

No, to jak nateraz i koniec przygód komendanta, bo odtąd życie jego przybrało charakter tak pospolity, wypadki następowały po sobie tyle zwyczajnym trybem wiejskiego zacisza,

że opis ich nie wzbudziłby zajęcia łaskawych moich czytelników. Marszałkowicz zniknął, wieś przez plenipotencyą sprzedano; Wolicki przywdział zakonną suknię, i dziś jest jednym z najprzykładniejszych braciszków zgromadzenia OO. Reformatorów. Drażni się jeszcze kiedyniekiedy z porucznikiem, częstując tabaką, ale te kłótnie są umiarkowane, bo i porucznik modli się coraz goręcej. Rany mu się odnawiają, więc skubiąc szarpie i paląc ulubioną fajeczkę, wzdycha i wzdycha: czy tęskniąc, czy żalując czego, trudno odgadnąć.

A panna Julia? zapytacie jeszcze. Panna Julia odpowiem wam szczerze, jest dotąd panną Julią. Zawsze wesół, zawsze szczebiotliwa, choć zmizerniała trochę na twarzy i zeszczupłała, wszelako zdrowa jak rybka i zapewne szczęśliwa po rozchwianiu się dwóch małżeństw tyle niezgodnych z jej sercem, a może i marzeniami. Młody inżynier bywa regularnie co niedziela, zostaje na obiedzie aż do późnego wieczora; razem chodzą do kościoła i po spacerach, bawią się dobrze, śmieją jeszcze lepiej, ale czy z tego co będzie, trudno także odgadnąć. Bo to i panna Julia posagu nie ma, a młody urzędnik niewielką pensyjkę: więc może czekają, a może i nie. Bóg to jeden wiedzieć raczy.

Jednakże gdyby który z młodych czytelników, ujęty takim, acz niezbyt dokładnym opisem, uczuł w sobie pewien nieokreślony pociąg do naszej bohaterki, i swoje idealne marzenia znalazł tu również idealnie urzeczywistnione; to chcąc poznać na jawie ową pannę porucznikową, niech tylko popatrzy śmieliej wokoło siebie, niech przymknie oczy na drobne wady, a spojrzy całą mocą na wielkie przymioty, to znajdzie ich wiele, o! wiele na świecie: zwłaszcza téż w naszej pocziwój ziemi, gdzie dobre Julki jak kwiaty polne wschodzą skromniutko a wdzięcznie, i choć nie błyszczą, jednak umilają ciężki trud życia doczesnemu wędrowcowi.

USTĘP Z OPISU PIOTRKOWA.

PRZEZ

Władysława Wieczorkowskiego.

DOMINIKANIE.

Pusto było w Piotrkowie w połowie XIV wieku. Ponad domostwami młodego grodu górowała ledwo że jedna świątynia Pańska, a i ta nie marzyła jeszcze wówczas, że jej progi przestąpią kiedyś królowie polscy, że przez jej sklepienia przebijają się będzie modlitwa polskich i litewskich panów, żeby Bóg dobry szczęścił Rzeczypospolitą. Małe miasteczko ani śniło o tym, że za chwilę oddźwięknie o jego mury odgłos narad polskiego rycerstwa; małe miasteczko nie wiedziało, co za świetna karta zabłyśnie mu w dziejach krajowych. Ale Kazimierz Wielki przewidział bystrym okiem, albo może przeczuł przyszłą dolę Piotrkowa: bo oto patrzmy; na jego skinienie co chwila wyrastają jakby z pod ziemi nowe budowle. Piotrków ozdobniejszą, a nawet wspanialszą przybiera postać; król opasuje go dookoła grubym murem obronnym, a pośród tego muru stawia zamek także obronny: więc Piotrków tym samym nabiera większego niż dotąd znaczenia. Niedosć na tym: król Kazimierz nową jeszcze miastu przyczynia ozdoby i buduje w niemi klasztor i kościół dla księży Dominikanów, pod wezwaniem świętej Doroty panny i męczenniczki. Bóg raczy wiedzieć, kiedy założony ten klasztor. Jedni mówią, że w r. 1340, inni, że w r. 1370; a jak tu wybierać, kiedy oba podania równą są wiarygodności, bo jedno zapisał ksiądz

Dominikan Nowowiejski historyk swego zakonu; drugie ksiądz Siejkowski także Dominikan i autor dzieła podobnejże treści. Wprawdzie Dominikanie piotrkowscy mieli kiedyś w swych rękach starożytne pergaminy z pieczęciami królów, i strzegli zapewne swego skarbu jak oka w głowie; ale cóż, kiedy zaraz w XVI-m wieku pożar nawiedził klasztor i spłonęło wszystko z kretesem. Ze starych, może Kazimierzowskich dyplomatów, tylko popiół pozostał.

Ale nim nastąpił ten pożar, już wybiła szczęśliwa dla Piotrkowa godzina: został miejscem sejmów narodu. Więc wnet zagrało w jego obrębie niesłychane dotąd życie, a iskra tego życia przeniknęła w każdy kąt niegdyś milczącego grodu. Chcecie wiedzieć co wtedy znaczył kościół księży Dominikanów, to przenieście się chociaż na chwilę w czasy Kazimierza Jagiellończyka.

Oto właśnie początek wiosny roku Pańskiego 1488, cała natura się odradza, więc i w naród wiosenne wstępuje życie. Z pierwszym ciepłego wiatru powiewem spieszy on tłumnie na sejm do Piotrkowa, niby roślina, co potrzebowała tylko złotego słońca, aby ją ocuciło z zimowego letargu i przywróciło życie uspione. To też gdzie spojrzysz, wszędzie szlachta i szlachta, wszędzie wielkopolscy i krakowscy panowie; dalej pasterze duchowni rzeczypospolitéj; ba! i sam król z licznym dworem zajął już mieszkanie na zamku. A ważne dla narodu sprawy mają się tentować na tym sejmie: Kazimiérz Jagiellończyk ma potwierdzać stare swobody ziem wielkopolskich.

Przy boku królewskim bawi syn jego ksiązę Fryderyk Jagiellończyk, dziewiętnastoletni rozpieszczony przez matkę młodzian, którego jeszcze przed wyjazdem do Piotrkowa polecił ojciec kapitule krakowskiej, jako swego kandydata na biskupstwo osierocone przez śmierć Rzeszowskiego. Nadzieje Kazimierza uwieńczył pomyślny skutek, dzięki staraniom poczciwej matki, pobożnej królowy Elżbięty, która pozostała w stolicy.

Zaraz w drugiej połowie kwietnia nadciągnął do Piotrkowa świetny orszak kanoników katedry krakowskiej, pod przewodem księza Pawła z Główni, dziekana katedralnego, głosząc radosną wiadomość, jako ksiązę Fryderyk jednomyślnie wybrany został biskupem krakowskim.

Skoro tylko wieść o elekcyi rozeszła się po mieście, rozkazał król Uryjelowi Górcę, żeby dopełnił ceremonii poświęcenia Fryderyka na kapłaństwo w kościele księży Dominikanów. Czekał umyślnie ojciec na to poselstwo kapituły, bo chciał, żeby akt odbył się z wielką wystawnością; chciał, żeby Górcę poświęcił już biskupa nominata.

Dnia 20 kwietnia napełniły kościół dominikański tłumy ludu, który zbiegł się widzieć niewidziane dotąd w Polsce obrzędy; bo pierwszy raz jak przodkowie nasi przyjęli wiarę chrześcijańską, miał zostać biskupem stolicy na Wawelu młodzian niedojrzały. Kościół zajaśniał tysiącem świateł, i tysiącem świetnych szat panów polskich. A zaraz nazajutrz po tej uroczystości odprawionej w kościele Dominikańskim, 19-letni książę Fryderyk Jagiellończyk został ogłoszony rzeczywistym biskupem rozległej dyecezyi, która trzy najpiękniejsze województwa dawniej Polski: krakowskie, sandomierskie i lubelskie obejmowała swém pasterskiem ramieniem; miał zostać bogatym udzielnym księciem siewierskiem, i do tego kanclerzem akademii krakowskiej (1).

Takato uroczystość święciła się przed ołtarzami kościoła Dominikańskiego w Piotrkowie, a był on zapewne widownią niejednego jeszcze równie świetnego, i równie ważnego obrzędu, jak owo przyjęcie pierwszych święceń kapłańskich przez młodocianego królewicza w r. 1488. Toć przecie sejmy piotrkowskie stami liczyć można, a to pewna, że żaden taki zjazd nie obszedł się bez wystawnych, gwarnych a ludnych uroczystości. Tylko że echo o nich już dawno przebrzmiało, a kilka wieków przygniotło wyrywające się o nich wspomnienie. Pozostało podanie, ależ z podaniem jak z ogniem powinien się obchodzić historyk, bo ono nieraz nic nie nauczy i jeszcze na manowce wywieździe. Tak naprzykład imię ruchliwej Włoszki królowej Bony dziwnie jakoś przylgnęło do wspomnienia o kościele księży Dominikanów; ale co znaczy to imię małżonki starożytnego Zygmunta, przykute do murów Kazińierzowskiego klasztoru?—jestto już dzisiaj niewyjaśnioną zagadką (2).

(1) Według dzieła Juliana Bartoszewicza: *Królewicze biskupi*.

(2) W dziele F. Nowowiejskiego (*Phoenix decoris et ornamentum provinciae pol. S. Ordinis praedicatorum.....* wydaniem w Pozna-

Już wiemy, że pierwotne przywileje naszego klasztoru pożarł ogień ze szczeniem. Zdarzyło się to mniej więcej przed rokiem 1531. Ognista powódź rozlała się wtedy ponad znaczną częścią miasta, i nie sam tylko klasztor Dominikański zaświecił zgliszczami pożaru: popiół i gruzy zaległy bodaj połowę Piotrkowa, a w płomieniu przepadł dobytek niejednego z mieszkańców. Król Zygmunt starał się ulżyć nieszczęściu sejmowego grodu, i zmniejszył mieszczanom niektóre opłaty (1). Księża Dominikanie piotrkowscy jeszcze pierwiej dostapili łaski królewskiej.

Na sejmie w Piotrkowie roku 1531, ksiądz Maryan przeor, przedstawił królowi jako w ostatnim pożarze Piotrkowa spłonął przywilej nadający klasztorowi młyn i łąki. Zygmunt wysłuchawszy wprzód świadectw poważnych ludzi i zeznań samychże księży Dominikanów, wydał klasztorowi nowy przywilej (2). Młyn o którym tu mowa leżał pomiędzy Świerczowem, a owym historycznym Bugajem, gdzie był letni dworzec, z którego wyruszały myśliwskie wyprawy w gęste sąsiednie lasy.

Tymże przywilejem zyskiwali księża Dominikanie niezaprzeczone prawo własności na innym krańcu Piotrkowa, bo aż na przedmieściu Bykowskiem. Dyplomata przyznawał im w tej stronie dwóch zagrodników i ogród po drugiej stronie *Strawy* leżący, która w dyplomacie szumnym nazwiskiem *rzeki* jest tytułowana. Nadto ogród z dwoma zagrodnikami między folwarkami rokszyckimi leżący.

niu 1752 r.) imię królowej Bony jest zanotowane przy opisie klasztoru piotrkowskiego. Ale Nowowiejski sam nie wiedział co z niem zrobić, i popełnił fatalny błąd w chronologii (str. 237). Co szczególniejsza, wpadł nam pod rękę egzemplarz Nowowiejskiego, który był kiedyś własnością księży Dominikanów w Piotrkowie. Na egzemplarzu tym zrobiono przypisek że „królowa Bona dawała konwentowi Pabianice, ale konwent chcąc żyć w ubóstwie nie przyjął: dlatego dała je katedrze krakowskiej.” Mamy więc i drugie napomknienie o królowej Bonie, szkoda że także błędne. Sam autor przypisku własną ręką go przekreślił i słusznie; bo Pabianice, dawniej Chropy były stolicą kasztelanii, którą Władysław Herman na ubłaganie niebios płodności dla żony swojej Judyty kapitule krakowskiej darował. Z powodu zniszczeń jakich w następnych czasach ta okolica doznała, kapituła zamieniła je z księciem Kazimierzem na inne dobra. Poczem znowu odzyskała je na mocy przywileju z r. 1189.

(1) Metryka koronna (nr. księgi 46, fol. 63). *Diminutio exactio-nis alias szos civibus Piotrcoviensibus*. Mieli jednakże płacić po 50 marek. Przywilej ten wydany w Krakowie 1531 r.

(2) Metryka koronna nr. 44, fol. 841.

Tak więc strata zakonników piotrkowskich zarządzona pożarem nie była zbyt wielką, tém mniej uczuli oni tę klęskę, że szczęśliwie jakoś zdarzyło się, iż wkrótce po tym wypadku prowincyałem polskich Dominikanów został ksiądz Melchior Mościcki, spowiednik Zygmunta Augusta i ostatni inkwizytor w Polsce, człowiek wywierający wielki wpływ na umyśle ostatniego z Jagiellonów. Toć przecie po całej Polsce rozpowiadano sobie wypadek, jako ksiądz Melchior na sejmie w Piotrkowie wytrącił Zygmuntowi Augustowi pióro z ręki, kiedy ten chciał podpisywać pozwolenie na drukowanie książki anty-katolickiej, której autorem był Brentius (1). Ksiądz Melchior przyszedł w pomoc klasztorowi piotrkowskiemu.

Było to na owym sławnym sejmie piotrkowskim (r. 1563) co tak przeważnie wpłynął na dalsze losy Rzeczypospolitej. Poważne grono senatorów z Wielkopolski i Małopolski, z Czerwonéj Rusi, Mazowsza i Prus otaczało króla Zygmunta, składając jego radę przyboczną. Bawił tam książę prymas Jakób Uchański i trzech jeszcze innych polskich pasterzy: krakowski, kujawski i chełmiński; na czele zaś panów rady wymieniony Marcin Zborowski kasztelan krakowski i Spytek Jordan z Melsztyna. Stanął ksiądz Melchior przed królem i radą, i opowiedział jaki los spotkał przywileje księży Dominikanów piotrkowskich, a potem prosił o odnowienie starych praw, nadanych im przez pobożnych przodków króla Zygmunta. Ksiądz Melchior żądał od króla przywileju na place i grunta, których zresztą nikt nie zaprzeczał Dominikanom piotrkowskim, chociaż nie posiadali w ręku silnych dowodów na poparcie swego prawa własności. Więc król i rada wysłuchali prośby księdza prowincyała i wydali przywiléj, który miał na wieki zapewnić Dominikanom Piotrkowa wolne używanie pomienionych gruntów. Królewska pieczęć zawisła u dyplomatu, a obecność około 40 dostojników polskich dodała żelaznej powagi pargaminowi ostatniego z Jagiellonów (2).

(1) Siarczyński T. I, 332.

(2) Podług dyplomatu, którego kopia znajduje się w klasztorze Dominikanów. Przywiléj ten wydany d. 1 marca. Oprócz posiadłości o których mowa w powyższych dwóch przywilejach, mieli księża Dominikanie dochód z prowizyi od summ lokowanych na wielu dobrach szlacheckich. (*Foenix Nowowiejskiego*, str. 231).

Nie dziwno nam, że się dobrze działo piotrkowskiemu klasztorowi świętej Doroty, że mu tak łatwo przychodziły przywileje. Czasy Zygmunta Augusta byłato zaprawdę świetna epoka dla polskich Dominikanów. Jeszcze wówczas nie zatarł się w Polsce tradycyjny urok, rzucony przez świętych mężów Jacka i Czesława Odrowążów; jeszcze nie zapomniano o mnichach św. Dominika, co paleni świętym ogniem, śmiało rzucali się na oślepi, tam kędy ich wiodła żarliwa miłość dla wiary i opowiadali słowo Boże w Prusach i Inflantach. Nie zapomniano o Dominikanach Polakach, którzy przemknęli daleko poza granice Polski, aż nad brzegi sinego Dunaju, do kraju Wołochów, w którym założyli dominikańskie biskupstwo (w Serecie). Może pamiętano i o tém, że dawniej, kiedyto jeszcze akademja krakowska wegetowała w pieluchach niemowlęctwa, od polskich Dominikanów rozlewała się na kraj całą szeroką strugą oświata, bo i oni podobnie jak i inne zakony uczyli polską młodzież jak służyć Bogu i kościołowi. I jeśli zakon kaznodziejski szczyił się powagą w narodzie, to tysiące było do tego powodów: ten szacunek i zachowanie należał mu się prawem zasługi.

Teraz za Jagiellonów, kiedy zmieniły się okoliczności i Dominikanie inną mieli rolę do odegrania, natychmiast odważnym czołem stanęli do walki w obec narodu owianego tchnieniem niewiary. Walczyli zaś z przekonania, bo w tej zgrai sekciarzy przybyłych z Zachodu i wylęgłych na własnej ziemi, widzieli oni siedmio-paszczą hydrę, którą koniecznie trzeba było zwalczyć, gwoli własnemu i swych braci pożytkowi, i nie dozwolić jej, aby zapuściła zbyt głęboko swego jadu w serce poczciwego ludu. A naród mógł ich słuchać lepiej i lepiej wierzyć niż komu innemu: bo, jak powiedzieliśmy, polscy Dominikanie za czasów Zygmunta Augusta świecili jeszcze strzępkami dawnego znaczenia... Jeszcze w ich rękach był inkwizytoryat, i jeszcze sumieniem ostatniego z Jagiellonów opiekował się żarliwy aż do fanatyzmu katolik, ksiądz Melchior z Mościsk Mościcki.

Nawet po śmierci Augusta nie tak prędko nikt nie w narodzie uwielbienie dla mnichów św. Dominika; długo jeszcze olśniewają oni ogół owym blaskiem bijącym od znakomitych mężów, jakich ciągle wydawało ich zgromadze-

nie. Bo między polskimi Dominikanami zawsze znaleźli się ludzie surowej nauki, co wartością umysłową wybiegali poza sferę klasztornych spół-braci. To pewna, że na klasztor piotrkowski spada przeważna część zasługi należnej zakonowi Dominikanów, bo przy tym klasztorze był nowicyat i szkoła duchowna, co wydawała owych wielkich ludzi swojego wieku; a zresztą klasztor Dominikanów w Piotrkowie mając czas jakiś w swym ręku przywilej na ambone parafialną (1), już tém samém zasługiwał się okolicznej szlachcie, i żywém słowem wywalczał poważne stanowisko dla swojego zgromadzenia.

Jeżeli zaś o imiona idzie, to i klasztor piotrkowski może się pochlubić, że przyczynił się do złożenia owego potężnego zastępu uczonych Dominikanów, otoczonych aureolą przez klasztornych rocznikarzy.

Ksiądz Wojciecha Lawdańskiego przeora piotrkowskich Dominikanów wymieniamy na pierwszym miejscu. Imię księdza Lawdańskiego przywiązane jest do wspomnień o synodzie piotrkowskim w roku 1621, na którym nasz przeor zabierał kilkakrotnie głos. A trzeba wiedzieć, że na tym synodzie złożonym pod przewodem Wawrzyńca Gębickiego, nader ważne roztrząsały się sprawy: uchwalono tam, ażeby biskupi popierali po dyecezyach zachowywanie ustaw soboru trydenckiego; nakazano sporządzić nową redakcją ustaw synodalnych. Mówiono tam wiele o stosunkach biskupstwa wrocławskiego do metropolii gnieźnieńskiej, bo Wawrzyniec Gębicki arcybiskup prymas, odzywał się otwarcie o swoich prawach do biskupstwa wrocławskiego; rozprawiano także szeroko o dyssydentach. Między innemi wzięto także pod rozwagę bieżącą kwestyą *subsidium charitativum* i t. d. (2).

Ksiądz Wojciech Lawdański występuje na synodzie jako obrońca swobód duchowieństwa przeciwko uroszczeniom, jak je nazywa, rycerskiego stanu. Rozumuje sobie nasz przeor piotrkowski, że duchowieństwo nie dlatego posiada obszerne dochody, ażeby niemi opłacało żołnierzy rzeczypospolitej, ale dlatego, ażeby lepiej mogło bronić swęj

(1) Z dopisku przy egzemplarzu Nowowiejskiego.

(2) *Synodus provincialis Gneznensis... Petricoviae, A. D. 1621 celebrata. Cračoviae in officina Andraae Petricovii. A. D. 1624.*

pasterskiej powagi i wspierać biędnych, ażeby mogło ojco-
wać swym wiernym i być w poważaniu u błędzących.
„Na mocy praw przyrodzonych, praw boskich (utrzymuje
ksiądz Wojciech)... stan duchowny powinien być wolnym
od wszelkich podatków, chociażby nawet i nie posiadał ta-
kich przywilejów, jakiemi się cieszy duchowieństwo pol-
skie.” Twierdzenie swoje popiera ksiądz Lawdański arcy-
przekonywającymi cytacyami, czerpanymi z dziejów; mię-
dzy innymi przytacza, że nawet w pogańskim Egipcie, kiedy
za rządów Józefa ściągano z całego kraju podatki dla Fara-
ona, nie tknięto jednak ziemi będącej własnością egipskich
kapłanów. Słowem, ksiądz Lawdański był to wyborny
pro domo suo orator. Z kilku jednakże zwrotów widno,
że ksiądz Lawdański kochał swój kraj, a że jako ducho-
wny bronił sprawy duchowieństwa, nie można mu brać
tego za złe (1).

Innego rodzaju znakomitością jest niejaki Jan Paweł
Czarnkowski Dominikan w Głogowie, potem w Piotrkowie.
Jest on autorem kilku dziełek religijnych, skierowanych
przeciwko różnowiercom, które w swoim czasie mogły mieć
nawet wysoką wartość (2). Dziś charakteryzują nam one
księdza Pawła jako człowieka, co żywo brał do serca spra-
wę wiary swych przodków, jako duchownego co spełniał
gorliwie a suniennie swoje posłannictwo, a tém samém za-
służył sobie na jakie takie wspomnienie. Czarnkowski
obraný był prowincyałem w klasztorze piotrkowskim roku

(1) Oratio tertia in sinodo provinciali Petricoviensi praesidente
Illustrissimo et reverendissimo Domino D. Laurentio Gębicki Archiepis-
copo Gnesnensi, Primate Regni, Legato nato, primoque principe. ha-
bita a F. Alberto Lavdantio S. Th. L. priore Petricovien. Ord. Praed. in
Ecclesia parochiali S. Stanislai Marti. Die 28 Aprilis Anno D. 1621.—
Superiorum permissu. Cracoviae, ex Officina Typogr. Mathiae Andreo-
viensis. Na drugiej stronie dedykacja: „Illustri ac Magnifico Domino
D. Paulo Szczawiński de Magno Szczawin Castellano Konariensi, Sira-
diensi etc. benefactori suo colendiss. hunc ipsum qualem qualem operae
suae factum Idem qui et orationis Autor merito lubensque D. D. D.”

(2) Wymieniamy tu pisma Czarnkowskiego:

1) Annus Jubilei quem Ecclesia Romana fovet et retinet, Luthe-
rana fugit ac persequitur. Glogovie. 1625. 4to.

2) Sacra mensa corporis et sanguinis Christi Dni. pretiosissimis epu-
lis ... repleta. Glogovie. 1626. 4to.

3) Fidelis persuasio de Lutherana Religione fugienda. Glogo-
viae. 4to.

4) Nulla fidelis admonitionis victoria. 1627.

(Wszystkie są w bibl. Okr. Nauk. Warsz.)

1662, ale że generał zakonu nie potwierdził nominacyi, nastąpił na jego miejsce Jan Chryzostom Palewicz (1).

Ksiądz Mikołaj Oborski doktor św. teologii, przeor piotrkowski, widno, że był także przyjacielem nauk. Zostało się po jego śmierci sporo książek, które wzbogaciły krakowską bibliotekę księży Dominikanów. A że był pobożnym kapłanem dowód w tém, że starał się ciągle, o ile możności, przyozdabiać kościół krakowski swego zakonu; więc sprawiał ciągle to obrazy, to chorągwie, to jakie inne sprzęty kościelne. Zakon ocenił jego zasługi. Ksiądz Oborski umarł w Krakowie prowincyałem r. 1716 (2).

Obok trybunału piotrkowskiego musiał się wyrodzić między miejscowém duchowieństwem jeszcze jeden rodzaj znakomitości: a mianowicie szereg oratorów i kaznodziei.

Aż kipiał cały Piotrków od gwaru trybunalskiego, całe miasto oddychało przyspieszoném życiem. A co się tam działo, jak ucztowano, jakie tam były zabawy i dziwowska, a jaka fantazyja..... tego ani opowiedzieć, ani sposobu opisać. I niechby powstał z grobu który z naszych ojców, co żył pośród tego życia, i widział wszystko na żywe oczy, i niechby nam odmalował dawny trybyunał: tobyśmy może z niedowierzaniem zapytali, ażali on prawdę mówi? W tych wspomnieniach ważną rolę odgrywają panegiryki: nie mi niemy się z prawdą jeśli powiemy, że cały Piotrków odbywał generalny popis z retoryki przed obliczem jaśnie oświeconego trybunału. Była to już taka doba w dziejach rzeczypospolitéj, że myśl i uczucie narodu wylewało się na zewnątrz w tysiącach drobnych broszur, w milionach drukowanych i niedrukowanych oracyj. Więc niejako z obowiązku uświęconego powszechnym narodowym zwyczajem, rokrocznie pijarscy i jezuitcy dyscyplowie i pięć konwentów piotrkowskich, występowało regularnie na ów retoryczny popis. Gradem sypały się oracye na uczczenie prześwietnego parlamentu rzeczypospolitéj: Jezuici i Pijarzy aż skarżą się, że nie mogą wydołać robocie. Ani wątpić, że i księża Dominikanie porwani tym ogólnym panegirycznym wirem,

(1) Świątnica Pańska.... M. Siejkowskiego, str. 337.

(2) Obszerniej o nim u Siejkowskiego: Świątnicy Pańskiej str. 25, 339, 356; i w *Phoenixie* Nowowiejskiego str. 94.

umieli także górnie a kwiecisto wyrażać swe serdeczne affekta, dla panów polskich przybyłych na sądy: ile że zgromadzeniu piotrkowskiemu godziło się podtrzymywać starą a ustaloną sławę kaznodziejskiego zakonu. Tém bardziej, że na kościół Dominikański zwracały się przedewszystkiém oczy pobożnej szlachty polskiej, bo w nim w kaplicy różańcowej znajdował się wielkimi cudami wsławiony obraz Najświętszej Maryi Panny, a w innym ołtarzu obraz cudowny Przemienienia Pańskiego... (1). Więc najprzód co niedziela i święto występowało się z kazaniem, i to nie byle jakim kazaniem; boć to przecie mądre głowy miały słuchać słowa Bożego, głoszonego z kazalnicy: trzeba było szlachcie zaimponować erudycją. Już nie mówi się tu o odpustach święconych w kościele Dominikanów, a przypadających w czasie kadencji piotrkowskiej, jako na św. Sebastyan, na świętą Dorotę, i na święty Tomasz z Akwinu (2).

Kiedy kaznodzieja zwracał swą mowę do sędziów trybunalskich, to nie zawsze sypał samemi tylko pochlebstwami; nie zawsze ograniczał się na pochwałach herbownych klejnotów i wyliczaniu familijnych procedencyi i kolligacyi panów deputatów. Owszem, nieraz płynęła z ambony gorzka a szczerza prawda, i aż do głębi poruszała serca z gruntu poczciwej szlachty.

Czy ksiądz Floryan Istubowicz Dominikan piotrkowski był takim kaznodzieją, nie umiemy powiedzieć, bo nigdzie nie natrafiłszy na jaki pomnik oratorskiego talentu księdza Floryana. Spółcześni nazywają go sławnym kaznodzieją na wielu ambonach, i rzeczywiście musiał to być człek niepomalu wymowny, kiedy mu zakon powierzył forytowanie swych spraw przed kratkami *areopagu* piotrkowskiego, jak zwano inaczéj trybunał. Tak ważnej funkcji nie było w zwyczaju powierzać byle komu; trzeba było dać wprzód jawne dowody swego rozumu i talentu, zanim się zostało takim prokuratorem *causarum* (3).

(1) Michała Siejkowskiego *Dni roczne* i t. d.

(2) Okrom tych trzech, przypadał jeszcze odpust na św. Rocha; ale zdaje się że to nie wszystkie jeszcze odpusty. Podczas takich uroczystości zwykle przychodziła do Dominikanów processya z kościoła farnego „z panami, mieszczanami w wielkim konkursie ludzi” (Siejkowskiego: *Dni roczne...* i t. d.)

(3) Siejkowskiego *Świątnica Pańska*, str. 385.

Ale wróćmy już do kroniczki naszego klasztoru, przerwaną na chwilę małym ustępem o uczonych Dominikanach, który z konieczności musiał się nam podsunąć pod pióro.

Rozmaicie działo się zakonowi kaznodziejskiemu w Piotrkowie: raz dobrze, to znowu źle; i tak ciągle naprzemiany..... W roku 1588 uzyskali Dominikanie potwierdzenie znanego już nam przywileju, nadanego im kiedyś przez króla Zygmunta Starego (1). Zjawili się także i dobrodzieje klasztorów. Takim dobrodziejem był Maksymilian Przerębski niegdyś starosta piotrkowski, potem wojewoda łęczycki (2); takim dobrodziejem był i Stanisław Jaxa z Kossowa Bykowski kasztelan Konarski, wreszcie wojewoda sieradzki, który w r. 1624 kaplicę przy kościele dominikańskim w Piotrkowie wystawił (3).

Potem w roku 1640 dotknął naszych zakonników nader smutny wypadek: cały Piotrków się spalił, a w tej ogólnej pogorzele niszczał także kościół i klasztor Dominikański; ksiądz Piekarski przeor musiał odbudowywać stare zniszczone mury (4).

Pocieszeniem po tym niszczącym pożarze było potwierdzenie dawnych nadań, udzielone (w r. 1642) przez króla Władysława IV-go, a w parę lat potem przez Jana Kazimiérza w r. 1650 (5).

Wypadki obchodzące całą Polskę ocierały się bardzo często i o miasto Piotrków. Nie tu miejsce wspominać o pobycie Szwedów. Ale nie możemy pominąć dość humorystycznego wypadku, który bez zaprzeczenia należy do kroniczki księży Dominikanów w Piotrkowie. Jest to sobie mała historyjka o generale Flemingu.

Króla Augusta Mocnego lubiła szlachta polska, a tej miłości dała jawne dowody, bo nie opuściła go, nawet w najkrytyczniejszej chwili; ale za to nie cierpiała wojska

(1) Lustracja z r. 1662 znajdująca się w archiwum głównem nr. księgi 64, fol. 236, wydana w Krakowie d. 28 lipca.

(2) Niesiecki.

(3) *Miechovia* Nakielskiego fol. 24, (ma być pochowany w ufundowanej przez siebie kaplicy).

(4) Pamiątką po tym pożarze jest napis na tablicy wmurowanej w zewnętrznej ścianie kościoła Dominikańskiego: napis ten dziś niezupełnie czytelny. O pożarze w r. 1640 wspomina także Święcki w *Opisie Star. Polski*.

(5) Lustracja przywil. Władysława IV w Warszawie d. 4 kwietnia, Jana Kazimiérza, także w Warszawie d. 5 stycznia.

saskiego, przybyłego z królem. Zdawało się szlachcie, że ono zagraża odwiecznym jej swobodom.

Więc dnia 20 listopada 1715 stanęła konfederacya w Tarnogrodzie, której marszałkiem obrany był Leduchowski: i natychmiast rozpoczęła się po całej Polsce gonitwa za Sasami. Zdarzyło się, że w Wielkopolsce stał właśnie generał Ecksztet ze swojemi Saksończykami. Wobec téj siły zbrojnej jakoś trudno było złożyć konfederacyą. Dla przyspieszenia rzeczy posłał pan marszałek do Wielkopolski 2,000 ludzi lekkich chorągwi pod dowództwem Gniazdowskiego: Gniazdowski gracko się uwinął; pobił najprzód kilkaset Sasów w Ryczywole i dotarł aż do Wolborza. Tu dowiaduje się, że właśnie na godzinę przed przyjściem jego generał Fleming wyjechał do Piotrkowa; więc dalejże za nim w pogoń.

Fleming widząc niebezpieczeństwo, porzuca ludzi, których miał z sobą, i co tchu ucieka do Piotrkowa; wpada do klasztoru księży Dominikanów, i tam chcący niechcący poddaje się niemiłej operacyi: „ogoliwszy brodę, którą był zapuścił i łeb po dominikańsku“, przebiera się w biały habit zakonny, i wsiadłszy na powóz z jednym księdzem ucieka do króla bawiącego w Poznaniu. Tym tylko sposobem wyróżniła się Gniazdowskiemu zdobycz.

Z téj okazji był potem Fleming przedmiotem przyćinków i żarcików.

„No, chwała Bogu, już interesa królewskie w Polsce uspokojone, bo się generał Fleming ogolił“ odezwał się w obec Fleminga jeden z generałów.

A na to Fleming:

„Jedźno ty tam, to nietylko wąsów albo brody, lecz i łba pozbędziesz, gdyż tam dobrze Polacy gola“ (1).

* * *

A teraz powiedzmy słówko o krotofilach, jakie się wyprawiały w klasztorze księży Dominikanów.

Zwyczaj przedstawiania po kościołach pobożnych obrazów, mających przypominać mękę i śmierć Chrystusa, lub też jakie ustępy z Pisma Św. znany był powszechnie w ca-

(1) Pamiętniki do panowania Augusta IIgo. str. 278.

łej Polsce. Zwyczaj ten coraz to odmienne przybierał cechy: pobożne sceny przeradzały się powoli na zabawne komedye, które dały początek prawdziwie narodowej scenie; mówimy prawdziwie narodowej, bo to pewna, że dawny polski dyalog tak dobrze przystawał do pojęć naszych ojców, jak kontusz i karabella godziły się do ich butnej postawy i sumiastego wąsa. Jakiż-bo humor tryska nieraz z owych starych dyalogów, co za dowcip świeży, jędrny, nieużyty; ani też zapożyczony u obcych; dowcip, co się mógł jeno na polskiej glebie narodzić. Dopiero później, kiedy cała literatura przyodziła się w jakąś dziwną togę, utkana z frazesów, wtedy i dyalogi więcej bezmyślny przybrały wyraz. W owe czasy, cała zaleta widowiska gruntuwała się na wspaniałości wystawy. Forma zastąpiła rzecz. Księża Jezuici byli osobliwemi protektorami teatralnych przedstawień: Pijarzy poszli za ich przykładem. Otóż i przyczyna, dla której w Piotrkowie pijarscy i jezuiccy wychowawcy od czasu do czasu występowali z podobnemi krotofilami.

Za pierwszego i drugiego Sasa (między rokiem 1728 a 1747) księża Pijarzy wystawiali takie reprezentacye sceniczne, to w kościele, to na korytarzach klasztoru księży Dominikanów. Szereg tych oryginalnych w swoim rodzaju przedstawień, rozpoczęła scena teatralna, napisana w języku łacińskim p. n. *Abdolonimus Cultor virtutis et horti* (w r. 1728), do której dostarczył wątku starożytny Kurcyusz. Musiała to być arcy ciekawa sztuka, skoro nie uprzykrzyło się widzom słuchać jej pośród największej ciżby przez całe 8 godzin: od 4-tój po południu, aż do północy. Inna scena teatralna: *Serce Jezusa*, przedstawiona w r. 1738 była może ostatnim hołdem oddanym staremu polskiemu dyalogowi przez piotrkowskie collegium księży Pijarów. Zaraz w następnym roku (1739) wysadzili się Pijarzy na wielce efektowną scenę teatralną: *Światopełk król Morawski*, w 3-ach aktach, w której szczególnież zadziwił widzów taniec bohaterski, wykonany z dobytymi szablami. Treść widowiska dziwnie prosta: król Światopełk zwyciężony od nieprzyjaciół ucieka na puszcze, ale zaraz w 2-gim akcie wyszukują go na owej pustyni posłowie i na tron wzywają; w 3-cim akcie król abdykuje i znowu chroni się na pustynią.

W tymże roku przedstawiono w kościele Dominikańskim *Sztukę geograficzną* w reprezentacji scenicznej: wywołała ona niesłychany zapał; rozległy się głośne oklaski. Szczególnie w czasie owój sztuki *geograficznej* podobał się taniec po *linie* przez kościół wyciągnionój, wykonany przez jednego z uczniów *filozofii*.

Kiedy w r. 1741 przedstawiano *Jakóba Stuarta*, reprezentacją sceniczną w 3 obszernych aktach, takie mnóstwo zebrało się ludu, a szczególnie szlachty zgromadzonój na trybunał i na sądy grodzkie, iż cały kościół Dominikański nie mógł ich objąć. Dla natłoku powstało straszne zamieszanie i tumult taki, że go i gwardya rzeczypospolitej powściągnąć nie mogła. W zebranych tłumie powstał zgielek: już nawet porywano się do szabel; deputaci i inni dystyngowański usunęli się na podwyższenie teatralne. Nader szczupłe pozostało miejsce na reprezentacją. Professor kierujący wystawą chciał na inny dzień całą zabawę odłożyć, ale mocne nalegania, żądania i prośby deputatów zniewoliły go do rozpoczęcia sztuki. Gdy więc zamieszanie nieco się uspokoiło, kazał przedstawić dwie sceny: jedną w której było obleżenie miasta, zdobycie go, wymordowanie mieszkańców, wzięcie króla w niewolę i t. d. i drugą zawierającą taniec hohaterski z laurami zwyciężkami. W tańcu tym uczniowie 63 sztuk wykonali. Pozostało jeszcze scen 13, ale powtórnie wszczął się taki rozruch, iż pomimo najszczerszych chęci sami deputaci na przestanie zezwolili.

Tragedya p. n. *Wojna Jugurtyńska*, napisana przez ks. Reginalda a S. Onuphrio Pijara (w r. 1746) niezmiernie podobała się słuchaczom; osobliwie dlatego, że autor zręcznie poprzeplatał wiersze łacińskie polskimi. W tymże roku odegrano tragedya: *Prusyjasz*, napisaną wierszem polskim, do której rzecz wzięta z Justyna. Niekiedy wyprawiali księża Pijarzy w kościele dominikańskim tak zwane Deklamacye sceniczne, mające za przedmiot rzeczy święte. Deklamowano np. jaki ustęp z historyi świętego Józefa (w r. 1729) i t. p.

Na professorze retoryki zwykle ciężył obowiązek układania reprezentacyj szkolnych i kierowania ich wystawą; niekiedy jednak zdarzało się, że i nauczyciel poetyki podejmował się tego trudu.

Każdą sztukę przypisywał autor jakiemu dobrodziejowi, i dlatego nigdy nie było kłopotu o znalezienie mecenasa dla sztuk dramatycznych szkolnych, któryby dał nakład potrzebny na wystawę. Panowie deputaci trybunalscy niesłychanie rozlubowali się w studenckich dyalogach, które czasami wyprawiano umyślnie na ich uczczenie. Szlachta posuwała nieraz swój zapał aż do przesady. I tak np. kiedy w roku 1746 księży Dominikanie kościoła pozwolili nie chcieli, marszałek trybunału Ignacy Sapięha skarbnik litewski, uważał za stosowne odstąpić sali trybunalskiej, zawiesiwszy na dni kilka sądy. Pan marszałek dla dodania świetności przedstawieniu, udzielił także swęj nadwornej kapeli i ozdób (1)..... I ktoby to pomyślał, że w tym samym klasztorze w którym zabawiała się szlachta studenckimi dyalogami, zasiadali także w refektarzu poważni sędziowie i odprawowali grodowe sądy województwa sieradzkiego.... (2).

W ostatnich czasach podupadł klasztor księży Dominikanów w Piotrkowie; była nawet chwila, że cały konwent składał się zaledwo z dwóch zakonników. Z tego powodu za księstwa Warszawskiego chciano przenieść Dominikanów piotrzkowskich do Gidel, sławnych cudownym obrazem Najświętszej Maryi Panny, (wraz z przekazaniem funduszów); był wtedy przeorem ksiądz Liberkowski. Ale jakoś projekt nie przyszedł do skutku, bo ludność Piotrkowa oparła się temu. Poprzestano więc na rozebraniu części klasztoru, który był kiedyś daleko obszerniejszy, składał się bowiem nie z jednego pawilonu jak dzisiaj, ale z wielkiego czworoboku.

Nagrobki w kościele księży Dominikanów w Piotrkowie.

I.

(r. 1586).

F. Sta. Słupski Con. Petric.

Ane. Hel. Kristi. natis suis

(1) Cały ten ustęp o reprezentacjach scenicznych ułożony po większej części podług znakomitej rozprawy księdza Gackiego, zamieszczonej w programacie pijarskim na r. 1830.

(2) Dni roczne i t. d. z opisaniem kościołów i klasztorów prowincyi polskiej... przez ks. Michała Siejkowskiego.

chari minora moris ergo
posuit Anno D. M. D. L. XXXVI.

—
Hodie mihi
Cras tibi.

II. (r. 1607).

Sophiae Isabellae de Paniów consorti
charissimae adhuc viventi vivens
Martinus Drzewicky connubii XXXII
aetat: eius XLV A° pesuit 1607. Obiit
MDC... (zostawione miejsce puste) Vixit An:
(także puste miejsce).

III. (r. 1657).

Magnifici Martini Trzebicki de Trzebiczna Castelani Vielun-
nen: qui timore Dei ac justis rectique amore divinam in omni-
bus operibus suis benedictionem humanitate ac observancia
in amicos, omnium benevolentiam meruit nactusque est—
tandem plenus dierum anno aetatis suae LXXXV natae sa-
lutis MDCLVII die 2da Februarii turbulentissimo cheu rei-
publicae tempore pie mortuus patri amantissimo in hac
ecclesia sepulto memor paternorum Beneficiorum filius
Andreas Trzebicki episcopus Cracoviensis dux Severiae
posuit censumque perpetuum ad Deum orandum pro piis
animabus parentum, fratris et consanguineorum constituit.

IV. (r. 1667).

D. T. O. M.

G. Helisabeth de Osuchów
filia

G. Gaspari de eadem Osuchów Osuchowski
terreae sochacoven: succamerarii
ex C. olim Gnosa Catharina de Trziana procreata
consors autem
primarum olim G. Christopheri de Bądków Spinek
ad praesens autem secundarum nuptiarum

G. Samuelis a Dmenin Kobierski legitima,
pietate foundationis suae ducta in Deum
qua sibi
marito atque G. olim Evae de Bądków Spinkówna
G. Nicolai de Dmenin Kobielski consorti
atque filiae suae vitae funetis
Hanc ad aram devote supplicaret
hoc perenne superstes
mortalilitatis erexit monumentum
Anno reparatae salutis
M. D. CLXVII
Mens. Sembris Die 1° (1).

Warszawa, d. 28 września 1854 r.

(1) Ciała osób o których mowa w nagrobku, spoczywają pod posadzką prezbiterium.



KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

WYSTAWA POWSZECHNA.

VI.

Wystawa przemysłowa: Wyroby złotnicze. — Kauczuk i gutta-percha. — Wystawa sztuk pięknych: Chassériau, Iwon, Horacy Vernet, Hamon, Chenavard.

Wyroby złotnicze zajmują tak obszerne miejsce na wystawie przemysłowej, że chociaż w poprzednich sprawozdaniach wymieniliśmy nawiasem niejedyn taki utwór, który nas uderzył w przechodzie, nie możemy atoli tak ważnej gałęzi handlu do prostej ograniczyć wzmianki, i nie poświęcić rzeźbiarzom drogich metali kilku przynajmniej osobnych kartek. Przegląd zacząć naturalnie wypada od ich mistrza Froment-Meurica. Chociaż pawilon w wielkiej nawie nie gromadzi wszystkich dzieł jego, jest dosyć kompletny, ażeby z niego powziąć można dokładne wyobrażenie o rozciągłości talentu tego sławnego złotnika. Nadto, zgromadzone tutaj wszelkiego rodzaju roboty, wyobrażające wszystkie gałęzie złotniczego kunsztu, począwszy od najprostszego do najsztuczniejszego wyrobu, najlepiej wykazują całkowitą rozciągłość tego rzemiosła.

Główną zaletą Froment-Meurica jest jasność, z jaką powziętą myśl na dziele swém uplastycznia, rozlewając ją nawet na najpodrzedniejsze szczegóły przedmiotu. Każda ozdoba, którą inni tylko dla symetrii kładą, u niego ma swoje znaczenie i swoje miejsce właściwe. Ściśle trzymając się naturalnej hierarchii, w rzeźbach swoich zawsze ludzi na pierwszym stawia

planie; zręcznie wprowadzone zwierzęta, drzewa i kwiaty, grają rolę podrzędną, lub tylko za tło obrazu służą.

Wszystkie roboty Meurica zalecają się prawdziwie artystycznym układem: pierwsze atoli miejsce pod tym względem przysądzić wypada czterem puharom, które artysta krótko przed śmiercią dla księcia de Luynes wykonał.

Wyobrażają one cztery pory roku. Wiosenna czara spoczywa na pełnym kwiatów kasztanie, u stóp którego troje dzieci bawią się gołąbkami. W koronie drzewa fruwa tysiące majowém słońcem rozweselonych ptasząt. Wspaniały dąb podpięra letnią czarę: troje dzieci już nie ptaszkami, ale kłosami się bawią; u góry kuropatwy przemykają się w zbożu. Jesień uosabia rozłożysta latorośl winna okryta owocami, które obrywają dzieci, a dziobią ptaki. Świerk dźwiga puhar zimowy, u stóp jego troje dzieci chuchają w przeziębłe paluszki, u góry zwierzyna biega po odartych z liścia lasach. Dwa kandelabry w podobnym guście należą do tejże zastawy.

Obok dwa piękne wyroby z kości słoniowej i srebra zwracają uwagę widza: po lewej stronie *Leda* wedle wzoru Pradiego, po prawej *Rodząca się Wenus*, wedle Feuchera; śnieżny łabędź, Leda, równie jak bogini miłości i jej kolebka z muszli, nie mają sobie równych dzieł na wystawie. Smutném zrządzeniem losu żaden z trzech twórców tych pięknych wyrobów już nie żyje, żaden z nich ani szczerze sobie sypanych pochwał nie słyszy, ani w tej wspólnej sławie o część przyjaciela się nie upomni.

Daléj widzimy ładną grupę umieszczoną na pokrywie wazonu, wyobrażającą w miniaturze słynny utwór Dawida: *Pierwsze kroki dzieciństwa i pierwsze prace młodości*. Daléj zegarek myśliwski, arcydzieło wielkości dwuzłotówki, na którym w płaskorzeźbie roztacza się cały pejzaż ze strzelcami, końmi, psami, zwierzyną, lasem, wioską i nieskończoną masą szczegółów, widzianych tylko za pomocą mikroskopu. Daléj kufereczek srebrny emaliowany, przedstawiający wizerunki sławnych kobiet francuzkich.

W tymże rodzaju szczególnie piękny jest puhar Moliera. Cały z czystego złota ulany, podobną ma formę do lilii zamkniętej wypukłą pokrywką; wszystkie ozdoby są z epoki Ludwika XIV. Wokoło puhara na owalnych medalionach misterna emalia przedstawia różne sceny z komedyi Moliera, a na po-

krywce stoją dwie figurki tyłem do siebie odwrócone: są to kłócający się z sobą Marinetta i Gros-René, z wyborniej komedyi *Dépit Amoureux*.

Dzieła sztuki tak wyłączny miały powab dla Froment-Meurica, iż możnaby mu zarzucić zbyt zaniechanie zwyczajnych wyrobów złotniczych, a mianowicie sreber stołowych, w których wykonaniu widocznie żadnego nie brał udziału. W pawilonie jego uważaliśmy ciężkie i niesmaczne łyżki, noże i grabki tak niezgrabnej formy, że gdyby nie pochodziły z fabryki sławnego złotnika, pewnoby ich na wystawę nie przyjęto.

Dziwny ten kontrast mocno uderza w oczy, tém więcej, że obok niezgrabnych noży leżą przepyszne pałasze. Jeden z nich wykonał 1849 roku dla generała Cavaignaca; drugi obstawiony dla Changarniera podziwiano na wystawie londyńskiej; ostatni zrobił dla księcia Napoleona.

Pomiędzy drobnostkami, których tysiące zgromadzono, są prześliczne ramki złote emaliowane, przeznaczone do portretu cesarzowej; kilka małych zwierciadełek rzadkiej piękności, galki do lasek misternie wykonane i niemniej ładne pieczętki. Uważaliśmy także wspaniałe naszyjnik ze szmaragdów, na których jak na kameach wyrzynane są starożytnie głowy: jest to zbytek niesłychany tak kruszyć drogie kamienie, ale przyznać trzeba, że te szmaragdy połączone dyamentami, stanowią najpiękniejszy naszyjnik, jaki tylko wyobrazić sobie można.

Do powyższego naszyjnika należy zapinka, czyli napierśnik w guście starożytnych florenckich klejnotów; wyobraża on cały poemat pod tytułem: *Wenus przy gotowalni*. Środek zapinki stanowi girlanda emaliowanych kwiatów, pomieszana ze złotymi ósówkami, wyobrażającymi Wenus z całym dworem; każda z tych figurek przez mikroskop widziana przybiera doskonałe rozmiary posągu. Rzadki ten klejnot posiada tylko cztery brylanty i pięć pereł, ale uwikłanych w oprawę, która królewskie przenosi kosztowności, a gustem wyrównywa utworom najznakomitszych złotników XVI-go wieku. Jest to najświetniejsze dzieło Froment-Meurica, szkoda że ostatnie!

Przejrzeliśmy szczegółowo wystawę Froment-Meurica: raz dlatego, że uważamy go za najpiérwszego złotnika naszych czasów; powtóre, iż stał na czele licznej szkoły. Wprowadziwszy wielkie reformy w swoim rzemiośle, tak we Francji

jak za granicą licznych miał naśladowców: w Paryżu zaś wykształcił wielu bardzo zdolnych uczniów, którzy wraz z synem mistrza dalej sposoby jego rozwijać będą.

Wyroby paryzkiego złotnika Rudolphiego pierwsze po Froment-Meuricie zajmują miejsce. Oprócz srebrnego wazonu nadzwyczajnej wielkości, wychwalanego powszechnie, którego opis znajdują czytelnicy w poprzedniem sprawozdaniu, i artystycznych cacek na ozdobę kominków i etażerek przeznaczonych, Rudolphi wystawił wspaniały kłęcznik w byzantyńskim guście, błyszczący od złota, drogich kamieni i emalii, oraz liczny zbiór klejnotów damskich, pomiędzy którymi znajduje się wielka liczba drogich kamieni rzadkiej wielkości i brylantów, dorównywających dyamentom koronnym, z wyjątkiem atoli *Regenta*.

Byłoby rzeczą zbyteczną opisywać zbiór ten wykwintnego smaku, gdyż jakkolwiek jest świetny i przednią robotą się zaleca, to przecież nic w nim nie ma nadzwyczajnego, a wyroby tego rodzaju powszechnie są znane.

Obok Rudolphiego rozłożył swoje klejnoty Lebrun, oddawna znany i poważany jubiler paryzki, który na chwilę zaćmiony przez innych, znowu wszedł w modę, przyjmawszy za współpracowników braci Fanniere, dwóch wybornych majstrów, których mnogie dzieła są ozdobą wystawy.

Dalej widzimy zbiór pana Rossigneux twórcy zwierciadła rzadkiej piękności, które upodobał i kupił książę Albert, oraz czary ofiarowanej przez mieszkańców doliny Doubs naczelnemu inżynierowi dróg i mostów panu Parandier, w nagrodę ważnych tamże uskuteczionych robót. Czarę otacza dokoła płaskorzeźba, wyobrażająca malowniczą dolinę Doubs.

Za tą następuje wystawa Callota i Wiesa, dwóch pomocników Froment-Meurica; dalej Hayeta sławnego z biegłości i akuracności w pomniejszaniu wzorów, którego najpiękniejszy wyrób kupił cesarz. Jestto żardinierka złocona galwanicznie: kosz przeznaczony na kwiaty podpierają nadobne aniolki. W tymże zbiorze uważaliśmy piękny sztylet, którego rękojeść stanowi szkielet śmierci w całun odziany, a gardę sowa z rozpostartemi skrzydłami.

Morel ulubieniec Paryżanek, które jego klejnoty przekładają nad inne, wystawił wazon jaspisowy, oprawny w ażurową płaskorzeźbę, wyobrażającą Andromedę przykutą do skały; ma-

jący ją rozszarpać potwór, rzuca się w bok na widok Perseusza, którego groźna postać niechybną śmierć mu rokuje. U spodu podpierają wazon geniusze i Najady. Wszystkie figury mocno odstające i emaliowane, są wedle znawców szczytem złotniczego kunsztu. Ostatni ten utwór sprzedany za 80,000 fr. wyniósł Morela z pomiędzy jubilerów w poczet umiejętnych rzeźbiarzy drogich metalów.

Daléj widzimy ogromną wystawę pana Dafrique, najbogatszego z paryzkich złotników, nie dbającego wcale o elegancją ani artystyczność, ale jedynie o jak największe znizienie ceny, skutkiem czego wyroby jego znajdują ogromny pokup i rozchodzą się po całym świecie.

Daléj pan Lepage, znany puszkarz, będący zarazem niepospolitym złotnikiem, rozłożył swoje wyroby, pomiędzy którymi wielki wazon srebrny zwraca powszechną uwagę. Przy nim Rouvenat twórca *massyf* złotéj monstrancyi, ważącój 16 funtów, wysadzanéj brylantami, rubinami i szmaragdami. Kilku złotników należało do ogłoszonego na to dzieło konkursu, na którym pierwszeństwo przysądzono Rouvenatowi. Kompozycya jest bardzo ładna: anioł wiary zajmuje środek; u spodu stoją czteréj ewangelisci z oznakami swemi, a na podstawie spoczywa Baranek Boży, cały z brylantów, otoczony rubinowemi promieniami. Ta monstrancya jest obstalowana dla Meksyku.

Do sławnych złotników francuzkich należy także pan Maurycy Mayer, którego wystawa jest nader liczna i rozmaita. Zalecają się w tym zbiorze: taca srebrna otoczona tłumem figurek; bogaty serwis do herbaty srebrny pozłacany, wedle wzorów indyjskich, i zastawa do kawy złożona z filizanek rozmaitéj, a zawsze wykwintnéj formy.

Wystawy fałszywych klejnotów są nader liczne i piękne. Francuzi doprowadzili tę sztukę tak wysoko, że dawniej rzeczywistość wartość drogich kamieni stała się dziś urojoną, bo sekret rozróżniania prawdziwych od fałszywych posiadają sami tylko jubilerowie, a i oni nawet bez próby prawdy się nie dowiedzą. Co do patrzących, ci oceniają klejnoty wedle tego, na kim je widzą: z czego nie omieszkując korzystać bogate damy do tego stopnia nadużyły brylantów, że ta ozdoba prawie zupełnie dawny postradała urok. Nic zapewne słusniejszego nad ubieganie się za rzadkością, ale to gust tak wrodzony człowiekowi, iż

prawie zaręczyc można, że gdyby rzeki płynęły szampanem, a wodę drogo sprzedawano w butelkach, każdy wolałby wodę.

Pewni siebie fałszerze dyamentów, jakby na urągowisko, obok prawdziwych wyroby swoje rozłożyli, dając każdemu sposobność porównywania, jako najwymowniejszą dla siebie pochwałę; i rzeczywiście bezstronny badacz przyznać musi, że gdyby nie fatalny napis „*Imitation*”, który tam przybito jak wyrok potępienia, ani przez myślby mu nie przeszło, że te prześlicznie oprawne naszyjniki, bransolety, zausznice, i t. d. nie są z kamienia, ale ze szkła poprostu.

Mówiąc o fałszywych, wspomnijmy jeszcze słów kilka o brylantach koronnych. Skarby te pierwszy raz dopiero wystawiono na widok publiczny; dotychczas zamknięte w szafach, od których klucze powierzano intendentowi generalnemu listy cywilnej, ukazywały się tylko w razie jakiej nadzwyczajnej uroczystości na dworze. Naród znał je jedynie z tradycji: za to dzisiaj z nadzwyczajną ciekawością ogląda skarbiec swoich monarchów. Składają go następujące przedmioty:

Regent wedle dzisiejszej ceny brylantów szacowany na przeszło 5,000,000; korona dyamentowa; garnitur do sukni z porzeczkowych liści i takąż zapinką; pas z kokardą; bukiet brylantowy; dyadem, który miała na głowie cesarzowa w dzień otwarcia wystawy; naszyjnik z szafirów w którym ślub brała; sznur złożony z 1,500 brylantów osobno oprawnych; dyamentowy garnitur na głowę; zbiór wszelkiego rodzaju orderów; pałasz sadzony brylantami, ceniony na 246,000 franków. Wachlarz; strój rubinowy; grzebień dyamentowy przepyszny; naszyjnik perłowy nie mający sobie równego na świecie; nakoniec strój turkusowy i ubiór z szafirów i rubinów, teraz na nowo oprawiony. Obok koronnych rozłożono klejnoty prywatne cesarzowej.

Wedle listy spisanej z marca 1832 roku przez jubilerów królewskich, panów Bapst i Lazare, liczba drogich kamieni koronnych wynosi 64,812 sztuk, ważących 18,751 karatów, których wartość wynosi 20,090,260 franków. Znaczniejsze klejnoty oceniają jak następuje: korona (5,206 dyamentów białych, 146 różowych i 39 szafirów) 14,702,708 franków. Miecz (1,569 dyamentów) 261,165 fr. Zapinka (217 brylantów) 273,119 fr; guzik do kapelusza 240,700 fr.; opal jeden 37,500 fr.; cztery stroje, 1,165,163 fr. 293,758 fr. 283,816 fr. i 130,820 fr. Następne cyfry drobnieją.

A teraz nie zatrzymując się dłużej przejdźmy do wyrobów złotniczych angielskich, chociaż z góry ostrzegam, że jest to przejście z tortów na łazanki, w którym tylko głodni towarzyszyć mi mogą.

Z najlepszym usposobieniem przystępując do oglądania angielskich klejnotów, a mianowicie wyrobów sztucznych, mało upatrzeć można rzeczy gustownych; ale za to droższych kamieni i większej masy złota nie obaczy nigdzie. Przytém jest jeszcze moralny powód do pobłażania: sumiennosc większa niż gdziekolwiek każe im przebaczyć wiele niedostatków. Następujący przykład najlepszym jej dowodem:

Najpiękniejszy z ogromnej wystawy złotniczej angielskiej jest puklerz bardzo misternej roboty, nadesłany przez dwóch możnych londyńskich złotników: Hunta i Mortimera. Otóż pierwsza rzecz którą spostrzegamy obok tego puklerza jest karta, na której wielkimi literami napisano: „pp. Hunt i Mortimer oświadczają, że do wykonania tego dzieła nietylko przewodniczyły im wzory przywiezione z Francji, ale biegli rzemieślnicy Francuzi, których imiona wymieniamy, nie chcąc sobie przywłaszczać ich sławy.” (następują imiona robotników).

I jakże tu krytykować prace takich ludzi, którzy z kwiecistego pola artystyczności spychają człowieka na ciemny manowiec psychologicznych dociekań, i nie dzieła swoje, ale siebie podziwiać każą.

Puklerz o którym mowa, składają trzy medaliony wyobrażające trzech najgenialniejszych ludzi, jakich wydała Anglia: Newtona, Szekspira, i Milтона. Około Newtona trzy allegoryczne figury uosabiają mądrość, prawdę i czas. Słońce otoczone planetami wyobraża siłę atrakcyi dostrzeżoną przez wielkiego fizyka; płaskorzeźba otaczająca wokół medalion, przedstawia jakim przypadkiem wpadł na odkrycie prawa ciężenia ciała. Przy Szekspirze stoi geniusz poezyi, Apollo i Minerwa; nad nim unosi się orzeł, uosobienie polotu myśli jego, dokoła otaczają go syreny i siedm figur przedstawiających rozmaite porę wieku ludzkiego. Milton dyktuje wiersze swoje córkom; przy nim religia z poezją trzymają się za ręce; płaskorzeźba brzeżna wyobraża jako wspomnienie *raju utraconego*, Adama i Ewę, wypędzanych z boskich ogrodów przez zagniewanego Stwórcę.

Z teŝże pracowni nadesłano trzy srebrne wazony mitologicznej treści: na jednym płaskorzeźba przedstawia bitwę Centaurów z Lapitami, druga strącenie Tytanów, trzecia Thetisę niosącą synowi zbroję ukutą przez Wulkana. Robota tych wazonów nadto wymęczona, nie posiada prostoty konturów, stanowiącej główną zaletę kopii starożytnych.

Wszystkie przedmioty nadesłane z angielskiej fabryki Hunta mają cechę zupełnie francuzką, dla tej prostej przyczyny, że je robili Francuzi; najmniej wprawne oko odróżni je odrazu na wystawie Wielkiej Brytanii, jak Żuawa w angielskich szeregach. Jakoż opis powyższych wyrobów uważamy za przejście od francuzkich do angielskich złotników.

Jubilerowie królowej Wiktoryi zwieźli niesłychane bogactwa, mogące służyć jako typ czysto albiońskiego gustu. Przed rozpoczęciem atoli ich przeglądu włóżmy niebieskie okulary, gdyż bez nich możnaby łatwo wzrok postradać od niczém nieprzycmionego blasku tej masy złota i srebra.

Brak harmonii jest tutaj tak rażący, dążność robotnika tak wyłącznie ku połyskowi zmierza, unikając wszelkich matowych robót, jako zamało wzrok uderzających, iż każdy z kontynentalnych znawców na widok tego prześwieznego zbioru, marszczy brwi i gotów jest wydać o nim *in petto* wyrok bardzo surowy, mianowicie też jeżeli dzień jest słoneczny; jeżeli przeciwnie, chmurami zasute niebo rzuca nań cień lekki, którego zapomniał mu nadać robotnik: natenczas kosztowności angielskie obejrzeć bierze ochota, bo w narodowém świetle daleko lepiej się wydają.

Widzimy najprzód wielki serwis wystawiony przez kompanią jubilerską, złożony z pięciu sztuk: główna wyobraza Ryszarda II dającego kompanii prawo stowarzyszenia. Dwa należące do tej zastawy świeczniki, otaczają statuy najznakomitszych złotników włoskich i angielskich. Czwarta grupa w której figurują *Przezorność* i *Miłosierdzie*, uosabia cel moralny stowarzyszenia, które niesie pomoc ubóstwu, daje opiekę wdowom i wychowuje sieroty. Piąta wyobraza *Naukę* i *Sprawiedliwość*, przydujące pracom kompanii i podające rękę *Przemysłowi*, za którym idą *Handel* i *Pomyślność*.

Jestto, pożyczając wyrazu z rzemieślniczego słownika, najgrubsza sztuka wystawy angielskiej; chęci znać tu najlepsze, szkoda, że intencya niezawsze za uczynek staje.

Obok niej rozłożono dary ofiarowane przez rodaków admirałowi Napier i lordowi Ellenborough, o których piękności jak ów o Ryczywole zamilzczyć wolę. Dalej widzimy przejście Napoleona przez górę świętego Bernarda, wedle obrazu de la Rocha: wyrób ten byłby jeden z najlepszych, gdyby nie naśladował gipsu tak wiernie, iż dopiero po ścisłym egzaminie dowiedzieć się można, że to srebro.

Złotnik Garrard wystawił złoty kiosk, około którego negry przeprowadzają arabskie konie z królewskiej stajni. Rzecz ta waży przynajmniej z pięćdziesiąt funtów złota. Watherton przysłał oryginalny kleinot: bryłę rodzimego złota za 60,000 fr., na której wykłuł w bardzo wypukłej-rzeźbie rozmaite obrazy, jakoto: Saksonów odpierających obce najazdy, święte wizerunki patronów Wielkiej Brytanii; połączone królestwa Anglii, Szkocji i Irlandyi uosobione w trzech allegorycznych figurach, oraz nieodłączną od wszelkich albionskich kompozycji *Mądrość*, *Prawdę*, *Przemysł* i *Silę*; Szekspira, Newtona i Wellingtona. Wszystkie te statuetki stroją emalie, perły i szafiry. Aczkolwiek wykonanie téj kosztownej fraszki nie zaleca się poprawnością, pomysł nader dziwny nadaje jęj wiele powabu i każe żałować, że myśl ta i ta bryła złota nie dostała się pod czarodziejskie dęłto Froment-Meurica.

Osady indyjskie Wielkiej Brytanii przysłały także kilka wyrobów złotych, ale prócz kosztownej szkatuły po ostatnim królu Ceylanu, nic tu na szczególną nie zasługuje uwagę.

Wystawy złotnicze austriacka, szwedzka i holenderska bardzo podrzędne zajmują miejsce. Austriacy jubilerowie nadesłali same prawie wyroby z granatów: granaty na szyję, głowę i ręce, granaty oprawne w złoto, srebro, rzniete i gładkie: słowem wszędzie granaty. Niewdzięczny ten kamień być musi ulubionym strojem dam austriackich, inaczęj trudno wytłumaczyć zamilowanie, z jakim mu się wyłącznie poświęcają tamtejsi złotnicy. Z przysłanych atoli probek nie można wyrokować o gęście ani stanie przemysłu jubilerskiego w Niemczech: dwaj najslawniejsi złotnicy dwóch stolic niemieckich: Hossauer z Berlina i Mayerhofer z Wiednia nie dali nic na wystawę.

Prusy nadesłały kilka pięknych rzeczy. Pan Wagner wspinałą płaskorzeźbą srebrną emaliowaną; Wilm wielki wazon zrobiony dla księcia pruskiego; Haussmann z Berlina puklerz w starożytnym stylu. Płaskorzeźba otrzymana sposobem galwani-

cznym z pomocą gutta-perki, przedstawia miasto Berlin składające powinszowania następcy tronu z okazji jego małżeństwa. Aczkolwiek nie Prusom, ale Francji należy się chluba z ważnego zastosowania guttaperki do zdejmowania wzorów, bez czego srebrzenie galwano-plastyczne pozostałoby podziśdzeń tylko chemiczną zabawką, przyznać należy, iż berlińska płaskorzeźba jest najdokładniejszém i najśmielszém dziełem tego rodzaju, jakie wyszło dotąd nawet ze sławnych francuzkich pracowni, oraz rzeczywistą próbką ważności wynalazku pomniejszania posągów i reprodukcji onychże za pomocą form guttaperkowych.

Gdańskie bursztyny ważną grają rolę w jubilerskiej wystawie Prus; niektóre do znacznej dochodzą wielkości, bardzo ładnie opracowane służą nietylko na ubiory kobiece, ale na rozmaite cacka, czary i figurynki ze starożytnych przerabiane wzorów. Wyroby te po większej części opracowane w złoto są bardzo kosztowne i piękne.

Wielkie księstwo Oldenburskie odznacza się licznymi wyrobami wykuwanymi z jednej sztuki drogiego kamienia; są tu wazony, puławy, kamee z jaspisu, lapislazuli, agatu, kornaliny, onyksów, tak zwanych reńskich kamyków, i innych kamieni, których obrabianie zajmuje bajeczną liczbę rąk na tak mały kraik, a wyroby sprzedawane na lipskich i frankfurckich jarmarkach, rozchodzą się po całym świecie.

Jednego z najpiękniejszych wyrobów zagranicznych dostarczyło niespodziewanie królestwo würtemburskie: jestto wielka płyta srebrna na której złotnik Groeber przedstawił w płaskorzeźbie polowanie na jelenia. Zwierzęta, drzewa, liście, oddane tutaj z nadzwyczajnym talentem, przypominającym dzieła Kirchsteina, sławnego strazburskiego złotnika, który szczególnie sceny myśliwskie miłował.

W duńskiej wystawie zauważyliśmy dwa półmiski rzadkiej piękności, wystawione przez barona Schlick. Fryza otaczająca je tak pod względem układu, jako i wykonania liczy się do najdoskonalszych tego rodzaju wyrobów na wystawie. Francuzi utrzymują, iż oba te półmiski są dziełem ich ziomka pana Poux osiadłego w Danii. Jeden zdobi wieniec z dzikich zwierząt: lwy, pantery, wilki, tygrysy, hieny, niedźwiedzie, lamparty powikłane razem, zadziwiają wiernością naśladowania; drugi otacza girlanda z ptaków przeplatana owocami. Kogut srebrny naturalnej wielkości, nadesłany przez Michelsena z Kopenhagi,

zasługuje na szczególną uwagę; misterne jego wykonanie i lekkość z jaką wstrząsa napuszone pióra i spina się na palce, jak to zwykle czyni mając zapisać, godne są podziwu. W ogóle wystawa duńska jest bardzo znakomita.

Do złotnictwa policzyć także należy przepyszny zbiór wyrobów koralowych, nadesłanych z państwa papieżkiego i Neapolu, jak niemniej rzymskie mozajki ze sławnych pracowni Micheliniego i Gallanda. Są tu rzeczy wykonane przedziwnie: mnóstwo kamei przedstawiających głowy starożytne lub włoskie ruiny, z którymi wyborne godzi się mozajka; stoliki okrągłe także mozajkowe, zwykle czarne, zdobione wieńcami z liści, owoców, lub kwiatów. Ale ze wszystkich tych rzeczy najwięcej uderzający jest widok Campo-Viccino, ułożony tak wyborne z drobnych kamyczków (pietra dura), że zdaleka zupełnie jak obraz olejny się wydaje. Pan Galland pracował nad nim lat dziesięć.

Oto podobno i wszystko, co w szybkim pochodzie udało nam się wyłowić z tego złotego morza pełnego dyamentów, drogich kamieni, emalii, mozajek, koralu, pereł, muszli, bursztynu i t. d.; morza, co zdumiewa bogactwem, oślepia blaskiem, zalewa wystawę po brzegi, a na którym tak trudno się orientować, bo pełne uludy co chwila stawia zasadzki i postępować dalej wzbrania.

Po tak błyskotliwym przeglądzie zużone oko z przyjemnością na ciemnych wypoczywa przedmiotach: przeto mieszukając daleko obejrzymy wyroby z kauczuku i guttaperki, których liczny zbiór nadesłała Ameryka.

„Przyszłość, powiedział Heine, wydaje mocny odór kauczuku.” Trafność humorystycznego horoskopu najlepiej ocenić można na wystawie, zwłaszcza przystąpiwszy do oglądania produktów nowego świata. Od kalosza aż do wanny i łodzi na kilkunastu ludzi, wszystko tu z kauczuku lub siostry jego guttaperki. Przemysł ten, ze wszystkich nowych pomysłów do największego doszedł rozwoju w ciągu ostatnich lat kilku.

Jeszcze w początku XIX stulecia użytek kauczuku był prawie żaden. Przywożony do Francji w formie butelki, w której stęzał, sok ten drzewny pokrajany w kawałki służył pod nazwą gummy elastyki do wycierania ołówka, lub pocięty w taśmki i w kłębek zwinięty, na piłki dla dzieci. Dzisiaj kauczuk

na rozliczne używany potrzeby dzieli się na trzy odmienne gatunki: pierwotny, giętki i twardy. Sprowadzają go do Francji z Pary, Jawy i Gabonu; Kartagina dostarcza go także, ale w drobniej ilości. Kauczuk parański jest najlepszy ze wszystkich, przychodzi do Europy w butelkach lub cegiełkach, jest tak czysty, że prawie nie potrzebuje czyszczenia; z tego powodu sprzedaje się trzy razy drożej niż kauczuk z Jawy, pomieszany z obcymi częściami, jakoto: ziemią, drzewem, mchem i t. d. Trzeci gatunek z Gabonu uważany jest za najgorszy z powodu zbytnej wodnistości.

Rzeczywiste zużytkowanie kauczuku datuje się dopiero od roku 1820. Główny postęp tego przemysłu zawdzięczyć należy panu Mackintosh w Anglii, a Rattierowi we Francji: pierwszy niezmordowany w pracy, przez ciągłe próby na coraz nowe wpadał pomysły; drugi, pilnie rozpowszechniał wynalazki jego ważne, czyniąc w nich ulepszenia.

Kauczuk surowy ulega licznym przemianom zanim wchodzi do handlu. Sposób czyszczenia go, obmyślony przez pana Nikes zasada się na zupełnym rozmięczeniu takowego za pomocą pary i płókanu go wodą, dopóki nie pozbędzie wszelkich nieczystości. Kauczuk tak oczyszczony skoro znowu stężeje, jest mielony na proszek w młynku umyślnie na ten cel sporządzonym, który porusza maszyna parowa o małej sile. W ten sposób przyrządzony dopiero do wyrobów użyty być może.

Najpożyteczniejsze użycie kauczuku dotąd jest wyrabianie z niego nieprzemakających materyj. Fabryki Rattiera przyjmawszy pierwotny sposób robienia tychże materyj od Mackintosha z Glazgowa, posunęły bardzo daleko ich wyrabianie. Główne ulepszenie Rattiera zależy na smarowaniu materyj ciastem kauczukowem po jednej stronie; w Anglii zaś maczają materyję w ciekłym kauczuku, co sprawia, że taka suknia brudzi odzienię, bo po obu stronach jest zaprawiona masą.

Wyrabiając w powyższy sposób, fabryka francuzka szła daleko wolniej niż angielska (wyrabiano w fabryce Rattiera za ledwie 150 metrów dziennie), ale wyrób uznano powszechnie za daleko lepszy. Anglicy korzystając z ulepszenia Rattiera wkrótce go wyprzedzili: za pomocą nowo wynalezionych przyrządów doszli do takiej szybkości w robocie, że dziennie produkować mogą nie 150, ale 1,000 metrów materyj nieprzemakającej. Jednakowoż przyznać trzeba, że wyroby ich są gorsze

od francuzkich, bo grubsze a mniej trwałe, z powodu nadto grubej warstwy kauczuku, która w użyciu pęka i odpada.

Prócz powyższego sposobu fabrykowania nieprzemakającej materji, jest jeszcze drugi, wynaleziony podobno w Wiedniu. Płótno robione z kauczukowych nici okręcanych jedwabiem zdawało się początkowo daleko lepsze od gumowanej tkaniny, bo miało ciągliwość, której taż nie posiada; doświadczenie atoli pokazało, że kauczukowe płótno mniej dobrze się nosi: najprzód dlatego, że jest ciężkie, łatwo się psuje z powodu nietrwałości jedwabnej przędzy, a nadto wydaje mocny i niczém nie wywabiony odór, bardzo przeciwny noszącemu taką suknią.

Nowe odkrycie nie wiadomo przez kogo dokonane, bo kilku ludzi naraz do niego się przyznaje tak uporczywie, że sprawa o własność wynalazku aż przed trybunały się wytoczyła, nader ważne pociągnie skutki dla kauczukowego przemysłu. Chcę mówić o tak zwanym *Caoutchouc Volcanise*, giętkim i twardym.

Do kauczuku naturalnego dodawszy małą ilość siarki, dwudziestą część naprzykład, i tak pomieszana masę wystawivszy na 150 stopniową temperaturę, otrzymuje się kauczuk *wulkaniczny*, którego własności różnią się zupełnie od zwyczajnego. Dwa arkusze tak przyrządzonego kauczuku złożone razem, nie skleją się w najgorętszej nawet temperaturze, a w najzimniejszej zachowują jednostajną elastyczność, którą zwyczajne tracą. Kauczuk wyleczony tym sposobem z dwóch głównych wad swoich, w tym stanie wyłącznie w użycie wprowadzony będzie.

Zdaje się, iż Amerykanin Goodyear znacznemi pieniędzmi, jakie łożył na doświadczenia, najwięcej się przyczynił do powyższego rezultatu; w każdym razie nie ulega wątpliwości, że ten wynalazek z Ameryki przywieziony został do Europy.

Dwie są fabryki kauczuku *wulkanicznego* we Francji, założone temu trzy lata przez dyrektorów kompanii kauczukowej, Hutchisona i Andersona. Jedna z nich w departamencie Loary, pod dyrekcją pana Langlet, jest ogromna. Maszyny jój są o sile 250 koni i zajmują siedmuset robotników. Druga fabryka w Paryżu zatrudnia dwustu robotników; obie po największej części wyrabiają obuwie. Fabryka pana Langlet wyrabia 6,000 par na 24 godzin, a paryzka 2,000, co razem czyni bajeczną summę trzech milionów par obuwia rocznie, wyro-

bionego w samą Francji. Niezadługo produkcja będzie znacznie większa; fabryka paryska zakupiona przez zasobniejszego właściciela ma potroić swoje maszyny.

Pomiędzy wystawionemi produktami uważaliśmy skóry i płótna kauczukowane. Skóry te miękkie i błyszczące, wejdą zapewne w powszechne użycie, mianowicie też przydatne się wydają na potrzeby wojska, rynsztunki, pokrycie furgonów i t. p. gdzie wielkie przysługi oddać mogą. Kauczukowany papier pokryty po lewej stronie grubą warstwą, nieprzemakającej masy, nader użyteczny będzie na obicia we wilgotnych pomieszkaniach.

Jeżeli zamiast dwudziestą częśći przymieszamy do kauczuku pół napół siarki, i tak pomieszany włożymy w kocioł parowy, po krótkim parowaniu otrzymujemy kauczuk *twardy* nie ulegający stłuczeniu. Ta trzecia transformacja odda zapewne największe przysługi. Wszakże dotąd jest jeszcze na drodze doświadczenia. Jednakowoż widzieliśmy już z tej masy meble, rękojeści do rozmaitych broni, instrumenta muzyczne, grzebienie i wiele innych drobiazgów; ale wszystkie te pożyteczne wyroby na oko wcale niepowabnie się wydają. Pierwszém staraniem fabrykantów powinno być nadanie jakiego koloru twardemu kauczukowi, gdyż bez tego, wszelkie zeń wyroby będą podobne do gumowego kalosza.

W roku 1843 doktor Montgommery pierwszy zwrócił uwagę przemysłowców na masę zwaną gutta-percha. Jestto sok wielkiego drzewa tegoż nazwiska z wyspy Singapore. Gutta-percha podobna powierzchownie do kauczuku ma odmienne własności. Mniej elastyczna, topi się łatwo przy pięćdziesięciu stopniach ciepła. We Francji jest używana powszechnie na rury do prowadzenia wody pod ziemią. W tém zastosowaniu materiał ten nie ulegający rdzy, może oddać wielkie usługi. Odtąd przemysł gutta-perki wyszedł już z kolebki, i domyślać się każe swój wagi w przyszłości.

Pominąwszy już telegrafy podwodne, które zapewne nie mogłyby wejść w wykonanie bez guttaperkowego pokrowca, takąż łódź nadesłana z Ameryki i urządzona tak, że się nielato przewrócić może, a obok tego nadzwyczaj lekka, nie ulega ani gniciu ani rdzewieniu, najlepszą jest skazówką, że ten materiał nie na drobnostki, ale na roboty większe i ważniejsze od natury był człowiekowi dany. Łódź ta ulana jest z jednéj

sztuki jak kalosz; boki jój tworzy wydęty powietrzem okrągły wał, który statek czyni prawie niepodobny do zatopienia lub przewrócenia, a przytém siedzącemu wewnątrz daje miękkie oparcie. Ławki we środku zrobione są z twardego kauczuku i takież same wiosła, które mając własność fizbinu, przy najsilniejszym nacisku gną się, ale nie łamią. Amerykanie myślą już o budowaniu czyli laniu guttaperkowych okrętów, do czego raz sporządziwszy potrzebne formy, potężną flotę jak woskową świecę ulać będą mogli. Taki okręt używać będzie jeszcze téj korzyści, że elastyczne jego boki niełatwo kula prze-strzeli, a skała nie tak prędko przedziurawi jak drewniane, a nawet żelazne statki.

Przy maszynach gutta-perka jest nadzwyczaj dogodną: rury z miedzi i żelaza, przez niegiętkość swoją, modyfikowały częstokroć cały układ maszyny; rurka z gutta-perki nie będzie zawadzać ruchowi, bo do pewnej granicy może się rozciągać; może np. łączyć części w ruchu będące z częścią, która jest w spoczynku. Pasy ruch odsyłające, resory, rury do sikawek, krążki z gutta-perki są trwalsze i lepsze, niż skóry.

Przeczuwając tak wielostronne użycie tego materiału, z którego nowe pokolenia ciągnąć będą nieobliczone dziś pozytywki, miał słuszość Heine, mówiąc, że w przyszłości poczuwa mocny odór kauczuku.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH.

VI.

Chassériau, Iwon, Horacy Vernet, Hamon, Chenavard.

Teodor Chasseriau uczeń Ingra, młody malarz niepospolitych zdolności, którego dzieła na poprzednich wystawach paryżkich już kilka pierwszych nagrod otrzymały; prócz czterech dawniejszych obrazów wystawił *Obronę Gergovii*, ustęp z wojen rzymsko-gallickich, którego treść wziął z komentarzy Cezara.

Wódz Gallów Vercingetorix (co znaczy dosłownie *Wielki wódz tysięcy głów*), bohater niezrównanego męstwa, chcąc stawić opór rzymskiej potędze, wpada w nocy z garstką żołnierzy do Gergovii, skłania do obrony zagrożone miasto i stacza z Rzymianami bitwę, w której Cezar, jak sam powiada, cudem

prawie uniknął śmierci. Ale ta bohaterska obrona i dotkliwa klęska jaką ponieśli Rzymianie pod murami Gergowii, na krótko przedłużyła niepodległość Gallów. Vercingetorix niezadługo obleżony w Alezyi, pojmany i odprowadzony do Rzymu, sześć lat czekał w wilgotnym lochu na tryumf Cezara, w którymto dniu wyzionął wielkiego ducha pod toporem kata, nie zostawiając innego historyka, któryby pamięć jego czynów przechował światu, prócz swego wroga Cezara.

Nic dziwnego, że przedmiot tak podniosły i postać rycerza uwieńczonego jak drugi Winkelried aureolą zapалу i poświęcenia dla ojczyzny, jawiąca się u kolebki dziejów francuzkich, wysoko natchnęła artystę, znanego miłośnika historii starożytnej. Jego pędzlem oddana obrona Gergowii, jest prawdziwą apoteozą gallickiego wojownika.

Na ciemnym tle obrazu rysują się poszczerbione mury twierdzy, a na nich rozczochrane kobiety miotają przekleństwa wrogom, a błogosławieństwa odchodzącym mężom, których Vercingetorix na spotkanie Rzymian prowadzi. Waleczny zastęp pędzi naprzód niechronny zbroją przed pociskami nieprzyjaciół: nagie piersi i nagie czoła idzie zetrzeć o stal rzymskich pancery i rzymskich hełmów. Nieustraszeni żołnierze patrząc śmierci oko w oko, jedną ręką odgarniają z czoła wiatrem targane włosy, co im wzrok zaciemniają, drugą napinają strzały, co pewną śmierć poniosą najeźdźnikom.

Chassériau z przenikającą prawdą maluje starożytne rasy; z oschłego szkicu historycznego umie odtwarzać całe wymarłe pokolenia owych dziwnych i strasznych ludzi, których rysy odrębne i dzikie uderzają nas jakby przypomnienie z przeszłego życia. Z niemniejszą sztuką artysta umie odróżniać te ludy pomiędzy sobą, nadawać im charaktery sprzeczne, które się nigdy w zestawieniu nie pomieszają: co czyni jego obrazy bitew tak zrozumiałe i zajmujące, gdyż tłumaczy odrazu, czemu ci ludzie walczą ze sobą. Główną piękność *Obrony Gergowii* stanowi właśnie kontrast Gallów z Rzymianami. Jasne włosy pierwszych i rumiane ich twarze nacechowane szaloną odwagą, dziwnie odbijają od śniadego oblicza, lodowatej dumy i rozważnego męstwa Rzymian. Pieszny zastęp wybiegający z twierdzy, po mistrzowski narysowany: czujesz, że to garstka wybranych mająca się poświęcić za ojczyznę. Wódz jedzie przy nich na koniu. Żywe światło pada na błyszczące oczy i twarz bohatera pełną świętego zapalu. Grupy kobiet zgromadzone na murach fortecy rozta-

piają się w cieniu: postawy i ruchy ich są nadzwyczaj wymowne. Jedna z nich jakby przypomnienie zagrożonego przez wroga rodzinnego szczęścia, podnosi w górę i pokazuje obrońcom Gergowii nowo narodzone niemowlę; inna, siwo-włosa, trzyma w objęciu konającą dziewicę śmiertelnie ugodzoną rzymskim pociskiem. Żołnierze Vercingetorixa ostatniem spojrzeniem żegnają drogie istoty, a podnosząc w górę ręce, przysięgają na wzór świeżo poległych braci, że nie powrócą do domu, nie uściskają żony, ojca, dzieci, dopóki szyków rzymskich nie przeprą. Rzadkie zalety wykonania, wielkość stylu, pewność rysunku, żywość kolorytu, wymownie oddają wysoką myśl i znaczenie moralne tego wspaniałego obrazu.

Nietylko wojowników umie malować Chassériau; pędzel jego szorstki, w potrzebie znajduje miękkie cienie i wdzięczne farby na oddanie rysów niewieścich; więcej powiem, mimo świetnego powodzenia na polu epiczném, Chassériau malując kobiety zdaje się iść za wrodzonym talentem: zdaniem naszym lepiej oddaje piękność niż grozę. Dowodem *Tepidarium*, obraz tak powabny i wdzięczny, że na opisanie jego trudno znaleźć wyrazów.

Artysta przedstawił salę znalezioną w Pompei, która jak motyl w bursztynie przechowała się w wulkanicznym popiele nienaruszona. Freski, rzeźby, meble, farby, złoto, materye, wszystko tu pozostało prócz życia... Widząc tę okazałą i świeżą formę, myśl o śmierci odbiega daleko: złudzenie jest tak silne, że najmniej poetyczna wyobraźnia zaludni te gmachy gronem dawnych mieszkańców, poeta zaś lub malarz przysięgnie, że ich widział nie we śnie, ale na jawie. Kto o tém wątpi, niechaj spojrzy na obraz pana Chassériau.

W starożytnych łaźniach zwano *Tepidarium* salę, gdzie kąpiący osuszali się, ubierali i odpoczywali. We środku sali jakby krater bronzowy na lwich łapach stawiano *brazero*, ogromne naczynie napełnione żarem. Takie *brazero* od ośmnastu wieków zagaste, Chassériau rozpałił na nowo, i otoczył wieńcem przesłicznych kobiet, które oświeca z góry prostopadły promień światła, wciskający się przez otwarte okno, a z dołu zarumienia czerwony odblask ogniska. Pompejanki napół nagie w powabnym nieładzie, napełniają salę gwarem i ruchem: jedna, długie warokocze zaplata przeglądając się w metalowém lusterku; inna wyjmuje z kufereczka klejnoty w które się ma ustroić: ta przeciąga

się podnosząc ręce w górę, ta się do ognia przybliżyła, inne rozmawiają o wczorajszym igrzysku i dzisiejszych plotkach. Na pierwszym planie tyłem odwrócona blondynka schylająca się po niebieską draperyę, okryta strumieniem złotych włosów, co jej spadają na śnieżne ramiona błyszczące jeszcze kroplami pachnącej kąpieli, i druga czarno-oka dumna i wyniosła, w biały płaszcz uwinięta, są dwie najwydatniejsze figury obrazu, zapelnionego aż po brzegi głowami tak czysto starożytniej piękności jak te, które na ówczesnych medalach i kameach aż do naszych dożyły czasów.

W tymże rodzaju, któryby intuicyjnym nazwać można, Chassériau wymalował jeszcze kilka obrazów: *Trojańskie niewolnice płaczące nad morzem*; *Andromedę na skale*; *Dyannę i Akteona*, ale żaden z nich nie może się równać z *Tepidarium*, który zdaniem znawców jest nietylko najpiękniejszy z dzieł pana Chassériau, ale nieskończenie wyższy od licznych obrazów, naśladowujących w Pompei odkopane malatury.

Afrykańskie obrazy tegoż artysty także zasługują na uwagę. Zwiedzających te strefy malarzy najwięcej zwykle uderza różnica światła, błękit nieba, metaliczna zieloność drzew figowych i kaktusów, malowniczość ubiorów, dziwactwo broni i rynsztunków; mało który zważał na piękność rasy arabskiej: malowali ich obyczaje i ubiory nie starając się oddać idealnego typu ich piękności. Chassériau pierwszy może, kosztem szczegółów cały swój talent zwrócił w tę stronę, i starał się oddać te blade i ściągłe twarze, rozjaśnione namiętnie smętnymi oczyma i wązkiemi usty, co zda się drzą i palą jak kwiat szkarłatny rozwity pod gorącym tchnieniem pustyni. Pierwszy uchwycił i rozlał na wizerunku Araba wrodzoną szlachetność i tajemniczy spokój, cechujący wyznawców proroka. Przejęty ich pięknnością Chassériau znalazł farby na oddanie tych spojrzeń, co straszą lub zachwycają; potrafił skupić w nich iskry płonące w źrenicy lwa gniewnego, albo je przyćmić welonem smutku i tęsknoty. Niemniej wiernie odmalował fałdziste ich odzienie, które najuboższy Beduin nosi z poważną prostotą, nie domyślając się wcale, że do greckiego posągu podobny.

Wodzowie arabscy wyzywający się do boju Homeryczne przypominają kształty; jakoż w istocie sposób życia wodzów arabskich najwięcej podobno dzisiaj zbliżony do obyczaju bohaterów *Iliady*: Hektora lub Achillesa jeszcze pod arabskim bur-nusem napotkać można. Nieznajomość nowoczesnej strategii każe

im wyłącznie polegać na własnej sile i odwadze osobistej. Chassériau wystawił dwóch przeciwników chwilę przed rozpoczęciem boju: obaj na szerokich strzemionach podniósłszy się, posyłają sobie wzajemnie pełne obelg i przechwałek przemowy, których klasyczne wzory licznie podaje Iliada. Dawnemi czasami ludy południowe zazwyczaj tym sposobem zagrzewały się do walki; arabskie zaś plemiona do dziś dnia rozstrzygają pojedynczo publiczne zwady: jak niegdyś Rzymianie i Sabinowie, kilku z pomiędzy siebie wybierają wojowników, na których mężtwie polega los całego plemienia. Obraz ten zdjęty wiernie z żywych wzorów, odznacza się kolorytem miejscowym. Z postawy i twarzy dwóch wojowników czytasz nieomal każdy wyraz miotany przez gniewne ich usta; bronie, siodła, konie i rynsztunki kopiowane są z natury, nie, jakto często bywa, z drewnianego rycerza, ustrojonego w zakupione na tandecie przybory.

Powyżej wymienione zalety stosują się całkowicie do drugiego obrazu *Arabowie zbierający swych poległych na pobojowisku*, który rozmiarami i duchem odpowiada poprzedniemu.

Zakończając wyliczenie dzieł pana Chassériau wspomnieć jeszcze należy o jednej z pierwszych prac jego: *Zuzannie wypatrzonej przez starców*. Styl tego obrazu zupełnie odrębny od późniejszych, przypomina surowością szkołę gotycką Ingra. Zuzanna okryta lekką draperyą stoi zanurzona po kolana w przezroczystej wodzie, ocienionej dokoła drzewami. Piękne jej ciało zda się zarumienione wstydem pod spojrzeniami dwóch starców, którzy z za drzewa pożądliwie jej się przypatrują. Przeczując podejście jak spłoszona sarna odwraca głowę, nagłym ruchem odpięte włosy opadają jej na plecy, po których igra promyczek słońca, przesiany przez drżące liście drzewa.

Biblijno-hebrajska piękność Zuzanny, której plastycznego wzoru nie mógł nigdzie napotkać artysta, jednym więcej jest dowodem, jak Chassériau umie odgadywać wygasłe pokolenia znane mu zaledwie z historycznej wzmianki, legiendy, lub poematu. Mieliliśmy sposobność przekonać się o tém dokładnie na wystawie paryzkiej 1853 roku. Prócz kilku innych, Chassériau wystawił wtedy mały obrazek przedstawiający na nieżywym koniu konającego Mazepę, którego ukraińska dziewczyna napotyka i od śmierci wybawia. Otóż, prawda z jaką cudzoziemiec po-

trafił oddać energiczny wdzięk i nieśmiałość ukraińskiej dziewczyny, nigdy jój w życiu nie widziawszy, uderzyła nas niezmiernie i kazała ślepo polegać na intuicji, z jaką artysta inne nieznanie nam typy odtwarza.

Iwon silny i wyrazisty swój pędzel prawie wyłącznie poświęca Rossyi. Obrazy jego pełne życia i energii ściągają tłumy ciekawych, bo każdy z tych obrazów jest jak aktor wyborony, który chociaż niezrozumiałym mówi językiem, z giestów i wyrazu twarzy każdy myśl jego odgadnie.

Prócz wielu drobnych ustępów z życia wieśniaczego i wojskowego Rossyan, Iwon wystawił epizod z kampanii 1812 roku: marszałka Ney'a zasłaniającego odwrót armii francuskiej z Rossyi.

Pod mroźnym niebem jak okiem dojrzysz, ciągnie się śnieżysta przestrzeń zasłana trupami koni i jeźdźców napół zagrzebanymi w śniegu; tu i owdzie ciemna sosna sterczy jak widmo pogrzebne; ciężkie dymy z popalonych włości wloką się nisko duszącą miazmą napelniając powietrze; kruki ostrzą dzioby i zwolują się na biesiadę: natura straszna, zagniewana, jednym podmuchem tysiące ludzi zgładza... a lodowatą rękę położywszy na szalach, zwycięstwo na stronę Rossyi przechyla.

Przy wzgórkowi naprzeciw nadciągającej rosyjskiej armii, kilkunastu ludzi a raczej upiórów, tylko moralną trzymanych siłą, stoi w ponurym milczeniu; przez podarte mundury widać wychudłe ich ciała, napół zmarzłe nogi pookręcali szmatami; a z ran źle opatrzonych krew im się sączy. Pomiędzy nimi nieustraszony Ney sam jeden rozjaśnia uśmiechem męzkie oblicze, jak gdyby mówił: gardzę śmiercią. Przy jego boku młody oficer niezdolny wytrzymać tak ciężkiej próby, pada, spoglądając martwym wzrokiem na pałający na palcu brylantowy pierścionek, zapewne drogi upominek miłości. W głębi i na przodzie widać ciągnących w rozsypce żołnierzy: silniejsi ostatkiem życia starają się rozgrzewać padających kolegów, których mróz na śmierć usypia.

Ta scena rozpaczy oddana ze świadomością miejscowego kolorytu, przestraszająca prawdą, zjednała Iwonowi wielkie pochwały tutejszych artystów. *Bitwa pod Eylau Grosa*, w której usilnie śnieżnych szukał efektów, wydaje się jak dziecinna zabawka obok *Odwrotu Iwona*. Trzeba atoli przyznać, że tyl-

ko północne typy i północne obrazy genialnie przedstawiać umieć: na inném polu udaje mu się mniej szczęśliwie; chyba, że wybierze przedmiot okropny, jak naprzykład: siedm obrazów z Dantejskiego piekła przedstawiających potępieńców, karanych za każdy z siedmiu grzechów śmiertelnych.

Trzymając się ściśle Dantejskich opisów, tych, co za życia złością grzeszyli przedstawia Iwon płynących po mętnych wodach Styxu, na łodzi mającej lada chwila zatonać pod gwałtownym naciskiem potępieńców, którzy się biją, gryzą i włosy sobie wrywają wzajemnie. Rozpusznicy płci obojęd szamotani wiatrem latają w powietrzu, paleni nigdy nienasyconą żądzą. Skąpcy dźwigają ogromne wory upadając pod ich ciężarem. Żarłoków błotnisty deszcz moczy nieustannie. Na dumnych ogień z nieba pada: mąż napoły strzaskany piorunem przyciska do piersi herby przodków, a obalona niewiasta wstrzymuje oburącz chwiejący się na czole złoty dyadem. Zazdrość z węzami na głowie trzyma dwie nieszczęsne ofiary, które dwie jędze, Megiera i Alekto biczą żmijami. Leniwi wiecznie chodzą bez celu. Potrzeba było dokładnej znajomości rysunku, żeby wystawić tyle grup odmiennych, nadać każdej kształty i ruchy odpowiednie bujnej wyobraźni Danta; a przecież nic niepodobne ludzkiemu ciału. To też malarz przejęty trudnością zadania nie dosyć polegał na własnych siłach, i nietylko pilnie studyował Michała Anioła, ale kilka figur z *sądu ostatecznego* żywcem przeniósł na swoje płótno.

Horacy Vernet ze wszystkich malarzy francuzkich najlepiej znany światu, zajmuje jak Ingres jedną całą salę na wystawie; zgromadziwszy wszystkie dzieła swoje, z łatwością mógłby ich kilka zapelnąć, bo żaden artysta szybciej nie włada pędzlem, ani z większą płodnością większej nie łączy pracowitości.

Nic trudniejszego dla malarza, jak przedstawiać artystycznie sceny z historii bieżącej; wzory sztuki konieczne potrzebują perspektywy. Wypadki dokonane w naszych oczach są oznaczone tak pewno, tak rzeczywiste, że ich idealizować prawie niepodobna. Porównanie obrazu z oryginałem żyjącym nadto jest łatwe, żeby w nim pozytywna krytyka nie odkryła różnicy, bez względu na to, że oko artysty nie jest szkłem dagierotypowej maszyny, i że prawdziwy malarz musi koniecz-

nie mieszać uczucie własne do kopii zdjętych z natury. Pilne studyowanie starożytnych arcydzieł nie mało się przyczynia do lekceważenia rzeczywistości: co wreszcie jest rzeczą bardzo naturalną. Nic dziwnego, że artysta narysowawszy wedle starych mistrzów tysiące idealnych bogów, pół-bogów, bohaterów, nie upatruje piękności w sztywnym pod szyję w mundur opiętym żołnierzu, lub symetrycznie wyciągniętym szeregu kawaleryi, gdzie koń przy koniu, a chłop przy chłopie stoi nieruchomy, jak rząd samowarów.

Vernetowi należy się przeto słuszną wdzięczność, iż może z uszczerbkiem miłości własnej chciał i potrafił być malarzem swojej epoki: że wyrzekłszy się wojowników w stalowych pancerzach i klasycznych hełmach; wyrzekłszy się puklerzów złotych i wiatronogich rumaków, zstąpił na tegoczesną ziemię i maluje poprostu żołnierzy w czakach lub bermycach; ładownice, kamasze i mundury wszelkiej broni takie, jakie każdy obaczyć dziś może w koszarach lub na paradzie. Konnica jego nie jeździ na marmurowych rumakach Fidiasza, ale na zwyczajnych pułkowych mierzynach, okulbaczonych po formie, czasem nawet nie po formie, nędznych i wychudłych.

Zdaje się z pozoru, że nic łatwiejszego, jak takie rzeczy malować; a rzeczywiście oddać je najtrudniej, bo poezya nowoczesna nie jest skończona ani określona jak poezya starożytna: trzeba ją odgadnąć i obmyślić dla niej nową formę. Vernet nie miał, jak starożytni artyści pewnych wzorów, uświęconych tradycyj, wytkniętych reguł; ażeby malować wojsko, tego zbiorowego bohatera, który wart pewnie Achillesa i Hektora, wszystko sam stworzyć musiał: rysunek, kolor, układ; a chociaż pod względem stylu i kolorytu nie dorównywa włoskim, flamandzkim i hiszpańskim mistrzom, to wielbiciele znajdują nierównie więcej, bo jest wesół, zrozumiały i dowcipny.

Bitwy pod Jemmapes, Valmy, Hanau i Montmirail zajmują całą jedną ścianę sali. W pierwszej widzimy na przodzie Dumuriera ze sztabem, któremu oficer przynosi raport z pola bitwy; na prawo płoną chaty wieśniacze, na lewo żołnierze niosą konającego, niżej wóz pełen rannych posuwa się zwolna; w głębi pośród dymu od wystrzałów widać walczące szeregi. Bitwa pod Valmy odróżnia się od innych malowniczością

układu. Na przodzie stoi młyn i domostwo przemienione na lazaret wojskowy, przed nim nieprzyjacielski granat pęka i zabija konia pod Kellermanem; dalej widać grenadierów francuzkich w bojowym szyku i ogromną przestrzeń wojskiem zasianą. Drugie dwie bitwy żywo narysowane, żadnym szczególnym nie odznaczają się ustępem.

W ogóle w tych obrazach podziwiać trzeba sztukę, z jaką Vernet umie zatrudnić wszystkie wprowadzone figury: żadna z nich nie próżnuje, każda przyczynia się do akcji ogólnej: ci atakują, ci się bronią, ci zabijają, ci umierają, a każdy inną ma pozę i inny wyraz twarzy, co nadaje całości zadziwiającą różnorodność. Do téj zalety Vernet łączy doskonałą znajomość ubiorów wojska francuzkiego; od roku 1792 aż do dziś dnia wie jakie każdy pułk nosił i nosi mundury; prędzej krawiec wojskowy niż on się omyli ubierając swoich żołnierzy. Jak maluje konie, o tém mówić zbytecznie, boć z tego słynie po całym świecie.

Pominąwszy inne obrazy bitew powszechnie znane ze sztychów, jakoto: *Rogatka Clichy*, *Oblężenie Rzymu* i t. d. przechodzimy do seryi obrazów, na które materyi dostarczyły Vernetowi kampanie afrykańskie. Z tych na pierwszym miejscu należy położyć *la Smalę*. Jestto obraz podłużny nadzwyczajnych rozmiarów, rozwijający się jak ogromna panorama, którąby niemal można całe wnętrze jakiej okrągłej sali otoczyć. Ażeby obejrzeć tę olbrzymią kompozycyą, potrzeba przejść długą galeryą, której jedną ścianę zajmuje: całości objąć naraz nie można. Gotycecy artyści malowali podobnie na jednem płótnie rozmaite ustępy tejsze samój legiendy: Vernet jeden i tenże sam dramat przedstawił jak się roztaczał na szerokim horyzoncie.

Trudno było napotkać więcej malowniczy przedmiot. Jestto napad strzelców afrykańskich na obóz arabski. Nagłe zjawienie się nieprzyjaciela cały obóz wtrąca w nieopisany popłoch i trwogę. Namioty, które jak huragan wywraca nagle parcie nieprzyjaciela, walą się odkrywając najrozmaitsze sceny: tu kobiety i dzieci przywalone płóciennymi ścianami swych domów silą się z pod nich wydobyć; tu przelęknione trzody i oswojone sarny pierzchają w pustynię; tu żyd pospiesznie gromadzi worki z pieniędzmi, tu negrzyce korzystając z okazji dojadają pańskie łakotki, tam eunuchy wsadzają

na wielbłądy żony emira: wszędzie pośpiech, zamęt i przestkach. Uparta walka Arabów z Francuzami na całej linii trwa bez przerwy. Dokoła walczących błyszczą porozrzucane różne sprzęty, drobiazgi i bogactwa wschodnie, które koczujący Arab wlecze za sobą wraz z namiotem i żoną, jakoto: yatagany, filizanki, drogie materye, perłowe naszyjniki, nargihle pookręcane na mosiężnych butlach, długie cybuchy z pachnącej wiśni, cedrowe kuferki wysadzone perłową macicą, marokańskie skrzynie pokryte arabeskami jak mury Alhambry, aksamitne siodła, strzelby, burnusy, dywany i t. d., wszystko odmalowane żywo, jasno, z efektem łatwym, który uderza i podoba się powszechnie. Z całego obrazu najznakomitsza jest szarża francuzkiej kawaleryi: ogniste rumaki potrójnym galopem pędzące wprost na widza, są arcydziełem w całym znaczeniu tego słowa.

Jeden z lepszych utworów Verneta jest *zdobycie Konstantyny*. Żuawy z niezrównanym zapędem uderzają na bramy miasta, nie zważając na gęste pociski, któremi z góry prażą ich Arabcy, jawiące się na wałach jako białe widma.

Piękny jest także ustęp z kampanii przeciw Kabilom, podobno ostatni obraz Verneta. Wśród nieprzejrzaną okiem pustyni wznosi się ołtarz ustawiony z bębnow, a na nim krzyż drewniany uwieńczony kwiatami; biskup odprawia mszę; żuawy pokłękali wkoło ołtarza, a kilku Arabów stojących z boku z powagą przypatruje się katolickiemu obrzędowi. Opodal widać armaty, które przy *podniesieniu* potrójną grmią salwę.

Ustępy z życia rodzinnego Arabów także są dobre; mianowicie *powrót z polowania na lwa* zaleca się wesołością i dowcipem. Odartą z króla pustyni skórą przykryty potulny osioł, stąpa drobnym krokiem, prowadzony przez uradowanego chłopca; po obu stronach idą dumni zwycięstwem strzelcy.

Obrazy biblijne wcale się nie udają Vernetowi. *Rebeka u studni* mniej niż mierna; *Judyta ucinająca głowę Holofernesowi* daleko lepiej przez wielu innych malarzy przedstawiana była.

Ze wszystkich wystawionych obrazów Verneta, *Mazepa* podoba nam się najwięcej. Malarz koni jakim jest Vernet, nie mógł lepszego obrać sobie przedmiotu. Stado dzikich ukraińskich rumaków zbiegające się do konia Mazepy, co wy-

cieńczony biegiem pada nieżywy, dotarłszy do rodzinnego stepu, z nieporównaną oddane mocą. Artysta rozwinął tu całą swą sztukę, całe znanstwo konuskiej anatomii, którą w tak wysokim posiada stopniu. Jestto obraz niewielki, który gołym okiem widziany traci połowę wartości, bo ciemne tło jego chłonie mnóstwo ciekawych szczegółów; ale przez powiększające szkło nań patrząc w zdumienie wprawia widza. Konie nieomal do naturalnej powiększone formy, wydają się jak żywe; na wyciągniętych szyjach zda ci się że widzisz drgające mięśnie, rozwiane grzywy i ogony igrają z wiatrem, rozwarłte nozdrza chciwie chwytają powietrze lub zieją ogniem, kopyta prawie nie tykają ziemi, w oczach iskrzących i ciekawych błyszczy jakby promień czucia i inteligencji.... To wiatronogie stado w tysiącnych zwrotach, skokach i płasach w lot schwytane i przeniesione na płótno, samo jedno jużby poniosło Verneta do nieśmiertelności.

Przeciwstawieniem męskiej siły Verneta są naiwne, miękkie i nieokreślone obrazy Hamona, na których wzrok zatrzymawszy wydaje się, że nie malowidło, ale otwarte okno masz przed sobą zasłonięte krepową firanką, poza którą żywe przedmioty jak przez mgłę spostrzegasz. Hamon jest przede wszystkim poetą: podaje myśl do obrazu, ale niezawsze ją urzeczywistni. Nakreślone przez niego postacie naśladują greckie freski wiernie, ale waporycznie i blade jakby odbicie w krynicznej wodzie. Wszakże formy te choć nie oznaczone i drzące, narysowane są z wdziękiem i elegancją, zdradzają rzadkie poczucie dobrego smaku.

Kogóż z przebiegających salony wystawy nie zachwyciły dwa obrazki Hamona, przedstawiające dwa ustępy z życia dziecinnego, tak płodnego w pocieszne epizody. Jeden nosi tytuł: „*Mój siostry nie ma*”, drugi „*To nie ja*”. Obydwóch przedmiot niewyszukany. Pierwszy przedstawia stolik pełen dziecinnych zabawek ustawiony wśród ogrodu; na czterech jego rogach konają cztery motyle osadzone na śpilkach, we środku chrabąszcz na długiej nici przywiązany za nogę, pewnej czeka zguby. Przed stołem czteroletnia dziewczynka i chłopiec z miną złośliwą, zasłaniają, rozszerzywszy koszulki, starszą siostrę, której przyjaciel podrostek przynosi dwa ptaszki w klatce, i odpowiadają mu: „nie ma siostry”. Figlarna

dziewczyna schylająca się za parą malców, żeby jej z poza nich dojrzeć nie można, oraz zafrasowana twarz chłopca, który ją widzi doskonale i to przyjęcie niepochlebnie sobie tłumaczy, oddane są z rzadką naiwnością i prawdą.

Na drugim obrazku dzieci stłukły porcelanową figurkę; nie mogąc zaradzić szkodzi, jeden z malców porywa się za włosy z okropnym wyrazem rozpacz, drugi zaczyna krzyczeć przeraźliwie: siostra tylko nie traci fantazyi. Wtém przywołana krzykiem wchodzi matka i pyta kto stłukł figurkę? Chłopcy odpowiadają chórem „to nie ja,” a dziewczyna pokazuje lalkę jako sprawczynią złego, i wylicza jej na kolanie kilkanaście dyscyplin.

Otóż w tego rodzaju obrazkach celuje Hamon. Jest ich kilka na wystawie, ale żeby je ocenić trzeba je widzieć koniecznie, bo prostota to ma do siebie, że się łatwo z pod pióra wymyka.

Ludzka komedia, roboty tegoż artysty, grzeszy zbytkiem mistycyzmu. Co znaczy teatr marynetek, gdzie zamiast diabła, żyda i czarownicy, występuje Bachus, Kupidyn i Minerwa? Co znaczy ten tłum w nowoczesne ubrany suknie, otaczający Homera, Sokratesa, Eschyla, Danta i Szekspira? Obraz ten powabny a ciemny jest lamigłówką dla patrzących. Na pierwszym planie małe dzieci siedzą rzędem przypatrując się marynetkom. Scena przedstawia Kupidyna wiszącego na szubienicy, pijanego Bachusa z czarą pełną wina, i tryumfującą Minervę w złotym hełmie; we środku widać fantastyczną postać poruszającą tych niemych aktorów, na których patrząc Dante pisze swoje Boską komedię. Homera ślepego prowadzi dziecko, Diogenes z latarnią szuka człowieka, Eschyl i Sophokles zasłaniają twarze tragiczną maską: dokoła ciągnie orszak złożony z ludzi, którzy zdają się jedni drugich przedrzeźniać. Niezrozumiały ten obraz pobudza do myślenia i zaostza ciekawość jak trudna do rozwiązania szarada; w końcu chociaż umysłu nie zadowolni, to ubawi oko tłumem rozmaitych ludzi, których fizyonomie po większej części są bardzo wyraziste.

Wielbiciele obrazów Hamona, i ci, co talentowi jego oddają sprawiedliwość, słusznie domagają się od niego nieco więcej precyzyi i koloru. Na płótnach jego prawie nie pokrytych

farbą, przedmioty snują się jak cienie, a co najwięcej trwoży widzów to to, że pędzel jego coraz blaknie; uważaliśmy, że ostatnie utwory są najbledsze. Jeżeli artysta pójdzie dalej tym trybem, niezadługo zapewne wystawiać będzie białe płótno. Nieprzeładowanie farbą i lekkość wykonania są niezawodnie zaletami obrazu, ale istnienie jest warunkiem wszechrzeczy. Nawet duchy jeżeli chcą być widziane, muszą się wcielić w materialną formę.

Paweł Chenavard twórca panteistycznej historii ludzkości, złożonej z 53 ogromnych obrazów, które z polecenia rządu wykonał był na ozdobę nieistniejącego już Panteonu, wystawił kilka ułamków z tego olbrzymiego dzieła, które skutkiem zmiany okoliczności chybiło swego przeznaczenia. Z oderwanych od całości obrazów, jak z wydartych kart książki, ani ogólnego poglądu na dzieło wyrobić, ani wyrokować o niém nie można: obrazy przeto Chenavarda o tyle tylko zajmują, o ile same w sobie stanowią całość.

Jako taki na szczególną zasługuje wzmiankę ustęp z historii Cezara: *Przejsie Rubikonu*. Jestto utwór zupełnie oryginalny: malarz nie trzymał się w układzie jego ani podań Suetona, ani Plutarcha; nie przedstawił ani gallickiego pasterza z fletem, głośzącego czarem muzyki głos sumienia w żołnierzach Cezara, o którym mówi pierwszy, ani przyjaciół Cezara namawiających legionistów do zbrodni, o których wspomina Plutarch. Sam, zdala od obozu strzeżonego przez wspartych na dzidach sztyldwachów, przyszły dyktator wjeżdża konno w głębokie nurty Rubikonu, który państwo jego ogranicza. Z wolnego chodu konia zgadujesz wahanie jeźdźca. Cezar choć oddawna nakreślił w myśli plan nieodzowny, waha się w chwili stanowczej, i zadaje sobie pytanie: iść-li na Rzym, czy nie iść? Na pięknej, marmurowej twarzy jego widać przecieź wyraźnie, iż go wstrzymuje nie cnota, ale obawa przegranej; tylko nad niepewną szansą zwycięstwa duma w noc czarną, stojąc już jedną nogą w zakazanej wodzie, ten, co zwykł był powtarzać z Eurypidem: „Jeżeli pogwałcić słuszne prawo, to tylko na to, żeby panować: zresztą we wszystkiém stosujemy się do prawa”. Powyższy obraz jest bardzo znakomity; postawa Cezara przypomina bohaterów Jules-Romaina, na którego Chenavard zwykle się zapatruje.

Ogrom galeryi francuzkiej zmuszający do pośpiechu, nie pozwala dłużej zastanawiać się nad dziełami tego znakomitego

artysty; dodamy więc tylko, że filozoficzny pędzel jego należy raczej do niemieckiej niż do francuskiej szkoły. Wbrew przyjętej tutaj modzie zwykł on poświęcać szczegóły dla myśli ogólnej, nie myśl dla szczegółów.

A teraz porzucając z żalem obrazy Jalaberta, Heberta, Pujola, Boulangerera, Flaudrena, Lehmana, Wintherhaltera, Bariasa, Bellangerera, Meissonniera i tysiąca innych malarzy francuskich historycznych lub pół-historycznych, tak zwanych *de genre*, których mnogie dzieła zaledwie w kilku tomach opisaćby można: przechodzę do znakomitszych pejzażystów, z którymi porzucając galeryą francuską, jeszcze koniecznie zaznajomić się wypada.

(Dalszy ciąg nastąpi).



MAJ.

POEMAT KAROLA IGNACEGO MACHY,

PRZEŁOŻONY Z CZESKIEGO

PRZEZ

Bronisława Maleckiego.

Dalekat cesta mà!
Marné wolànj!

Słóvko tłumacza.

Gdy za błogosławieństwem Assarmota rozrosło plemię słowiańskie, w gniazdowych swoich nie mieszcząc się już posadach, nowe przyswajało sobie siedliska: szczep jeden ulubiwszy sobie staréj Laby i Moldawy wybrzeża, rozsiadł się potężnie na obszernéj powierzchni w czworobok górami obwarowanéj, i oddzielnym silnie zakwitnął bytem.

Język, ten symbol w który się powoli wszystkie dzieje narodu wcielają, uległ i tutaj wpływom samodzielnego narodowości rozwoju, a na przyniesionych z domu wspólnych słowiańszczyźnie podstawach, wyrobiła się wkrótce oddzielna mowa czeska.

Starato mowa, jak stare są dzieje chwały czeskiego ludu. Rozgrzmiawszy niegdyś w pniach Lumira, zasłynęła wczesniejszą oglądą i bogactwem, wylała się za granice swego narodu, Piastowskiéj Polski licznemi dosięgła stosunkami, przybyła z Dąbrowką, upowszechniła się z Waclawem, a w domu z bogacana

pracami zaginionych dzisiaj pisarzy, przewodniczyła przez chwilę innym słowiańskim językom; lecz po kilkowiekowym rozkwicie zasnęła gdzieś w zwojach Krółodworskich rękopisów, rozwionęła się z dymem klasztornych bibliotek, ścichła wśród długich wojen przed szczękiem morderczego oręża i przeważnym głosem nowych téj ziemi władców. W ustach tylko ludu do naszych czasów dobrzmiała; ale upokorzona, nieśmiała, przy pługu i radle pocichu stare podania szeptająca, nie dosięgała już literackiego stanowiska: bo niedawno jeszcze Czech oświecony, w niemieckich księgach czerpiąc naukę i po niemiecku myśli swe tłumacząc, wstydził się gminnej mowy Przemysławów, Waclawów i Podiebradów.

Franciszek Palacky nawet po niemiecku zaczął pisać swoją historią czeską, która jego imię obok Naruszewicza i Karamzina postawiła; dziś sami Niemcy go tłumaczą: Wentzig w lot uczone jego prace dla Niemców przyswaja; bo Palacky pisze teraz po czesku, bo iskra jakaś elektryczna przebiegłszy olbrzymie ciało słowiańszczyzny, i Czechów niedawno z letargicznego obudziła odrętwienia.

Hanka, Szafarzyk, Dubrowski, Purkinie, Kollar, Czelakowski.... ileżto imion znakomitych na tak długo zaniedbywaném pojawia się polu, ileżto usiłowań wynagradza kilkowieczne uśpienie!....

Ruch ten umysłowy szybkim postępuje krokiem. Dwa pracowite towarzystwa: Muzeum czeskie, przez organ swego Czasopisma; i Czeska matica przeszło już tysiąc członków licząca, przewodniczą na drodze nowego kierunku. Katedry pragskiej wszechnicy brzmią uczonemi odczytami badań historycznych i naukowych Tomka, Haubka, Wocela i Hawliczka.

Słowem, rozbudzone tyłą usiłowań czeskie piśmiennictwo, dziś domaga się już miejsca obok literatury polskiej i rossyjskiej, tych siostr starszych w liczném słowiańskim rodzeństwie: i my z rosnącym zajęciem zaczynamy śledzić dojrzewające owoce umysłu naszych przyrodnych braci. Nowiny o literaturze czeskiej coraz więcej nas obchodzą i coraz szersze w dziennikach naszych znajdują miejsce.

Kiedy rzucimy okiem w tę stronę, widzimy Czechów na dobrej drodze: w spólném słowiańskim źródle szukają oni żywotnych do udoskonalenia swojego języka pierwiastków. Czelakowski rozpoczął był porównawczą grammatykę języków sło-

wiańskich i chrestomatyą ich literatur; niespracowany Szafarzyk wsparty znajomością sanskrytu, hebrajszczyzny i arabskiego, gotuje historią literatury słowiańskiej i porównawczy słownik pobratymczych narzeczy układa; Podstrański, Waniczek i wielu innych na tejsze samęj pracują drodze; Tomek w badaniach dziejowych współzawodnik Palackiego, ważne dzieło o polskich pisze elekcjach. Wiele polskich utworów w czeskim pojawia się przekładzie: Zap, Volak, Vlasek, Stefan, zapoznawają swych ziomków z cenniejszemi pisarzami naszymi; krakowiaki przez Hankę przełożone na korzyść pogorzalców Krakowa, dwa razy już były w Pradze drukowane; Korzeniowski i Fredro podziwiani są na tamtejszój scenie, a my, za tyle dowodów współczucia, czyliż się niczém nie odplacimy?

Oprócz mnogich przekładów Królodworskiego rękopisu, tego skarbu niejako wspólną wszystkich Słowian własnością będącego, kilku pieśni i oderwanych kawalków, nic prawie z czeskiej nie znamy literatury. Czeska książka rzadkością dotąd jest u nas, a przecież wartałoby odwrócić na chwilę uwagę od Dumasa i Sue'go, i popytać się, co téż tam w tak blizkiej nam mowie dobrego napisano?...

Wprawdzie niewiele jeszcze oryginalnych czeskich utworów naliczyłby można: i tam mania francuzkich romansów przeważnie panuje; ale pomimo tego, czeska poezya się rozwija, i oddzielną, sobie właściwą nosi cechę: jedrność opisów i bogate obrazowanie w nięj przeważają.

Ażeby choć jeden krok uczynić do zapoznania się z tą obcą nam dotąd literaturą, ośmieliłem się na próbkę przyswojenia nowoczesnych utworów czeskich, wytłumaczyć poemat pod tytułem „Maj”, przez Karola Ignacego Machę napisany.

Nie sądzę bynajmniej, ażeby mój przekład był doskonały: uroniłem w nim nawet może dużo z téj dzielności, która mię w oryginale uderzyła; téj śpiewności, która liczne przejścia w jednym temacie jakby kompozycją muzyczną utrzymuje.

Nie ręczę nawet za trafność wyboru jaki uczyniłem: nie podaję mojego autora za wzór poetów czeskich; znam słabą stronę jego poematu, przewiduję zarzuty, lękam się krytycznej anatomizacji, lubo może napróżno, bo któż wie, czy ten poemacik będzie kiedykolwiek czytany.

Jednakże, pomimo tego wszystkiego mam trochę nadziei, że niezupełnie napróżno pracowałem; choć wiem, że przeznacze-

niem mojej pracy jest zamierchnąć przed lepszymi przekładami znakomitszych utworów, jakich w terażniejszym stanie między-literaturnych stosunków tych dwóch języków, mamy prawo co chwila oczekiwać i całym sercem oczekujemy.

Wtenczas pocieszę się godłem, jakie Antoni Sowa na swoim Jordanie położył.....

Radom, d. 5 Maja 1853 r.

DO EDWARDA MROCZKOWSKIEGO.

Ty wiesz najlepiej, kochany Edwardzie,
 Jakim sposobem Machę w rękę wziąłem;
 A prędko w czeskim rozkochany bardzie,
 Śpiewny Maj jego w polski wierz nagiąłem.
 Pierwszy raz język słysząc ten pobratni
 Może mój zamiar powziąłem zbyt hardzie;
 Jeślim w trudności nie ugrzęznał matni,
 Jeślim się zbytnim nie zraził mozołem,
 Jeślim na środku téj pracy nie zginął,
 Jeślim spełniając całe przedsięwzięcie
 Do końca jakoś szczęśliwie dołynął:
 Tobiem to winien i twojej zachęcie.

Chciałbym, by tobie było przypisaném,
 Co pod twym wpływem zeszło i dojrzało;
 Ale rozrządzać dziełem pożyczaném
 Tłumacz ma prawa i zasługi mało:
 Jednak na przyjaźń pamiętając starą,
 Nie pogardź, proszę tą drobną ofiarą.
 Przyjmij mój przekład słowiańskiego Maju
 Jak pierwszą próbę nowego rodzaju:
 Bo u nas dotąd, któż temu zaprzeczy,
 Nowością utwór z' pokrewnych narzeczy.

Jakkolwiek słabe me siły być mogą
 To pewna, nową że poszedłem drogą.
 Nie wiem czy kogo mój przykład uderzy,
 Czy kto podniesie moją rękawicę,
 Czy kto z mocniejszych piśmiennych szermierzy
 Uda się za mną w nowe okolice,
 I w przedsięwzięciu wyzwaném sprzymierzy:
 Chociaż, by tylko ochota a wola,
 Wiele wśród tego zebrać można pola.

Warto, by wreszcie dzieci Assarmota
 Poznać się wzięła wzajemna ochota;
 Język ich w różną roztrysnął się mowę,
 Jedna od drugiej bierze światło nowe,
 I wielkim mogło zostaćby pożytkiem
 Bratnich się skarbów wzbogacać przybytkiem.
 A myśl, co dzisiaj oddzielnie się roi,
 Złączona razem swe blaski podwoi.

Nie za jakiegoś pragnę ujść Kolumba
 Co głosi światów nieznanych odkrycie;
 Lecz gdy odwieczna pękła kutakumba,
 Powstało w Czechach umysłowe życie:
 Warto zaiste przypatrzeć się zblizka,
 Jakim się nurtem ten nowy zródź ciska;
 Jako się w rzekę powoli rozplywa,
 Jako ta fala codzien sił nabywa.
 Bo piśmiennictwo czeskie rozbudzone
 Bujnie się w każdą rozlewa już stronę;
 Byle go jaki nie powstrzymał zatór,
 Dosięgnie wkrótce innych literatur..

Lecz to horyzont dla mnie za rozległy,
 Ledwo widzialny z mojego zakątka;
 Zbyt się daleko me myśli rozbiegły,
 Zbyt obszernego dotknąłem się wątką.
 A więc spokojny znowu ład pozdrawiam,
 Żegnam się z mojem skończonem pisaniem.
 Ofiarę-ć z niego Edwardzie ponawiam,
 Niech się przyjaźni ozdabia wezwaniem.

Bronisław Malecki.

M.A.J.

POEMAT.

I.

Był późny wieczór, pierwszego maja,
 Wieczór majowy, pieszczoty pora.
 Głos synogarlic w ciszy wieczora
 Do pieszczot wabił w ustronie gaja;
 Cichy mech szeptał pieszczot pragnienie,
 I kwiat na drzewach lubość roznosił,

Słowik dla róży piosenkę głosił,
 Ona mu słała wonne westchnienie.
 Jezioro gładkie w swych głębiach ciemnych
 Dźwięczało jękiem bólów tajemnych;
 Brzeg je utulał w swoje objęcia.

Słońce do innych przeszedłszy światów,
 Barwiło jeszcze chmurek zagięcia
 Różowym błyskiem zgasłych szkarłatów:
 Jakby miłości dawniej wspomnieniem,
 Jakby ostatniem żalu spojrzaniem.

Piękna twarz luny (1) zwolna powstała,
 Tak blado-jasna, tak jasno-blada,
 I świt białawy na brzegi pada;
 A we zwierciadle wody szerokiém,
 Luna z pieśczętą się przeglądała,
 Goniąc swą postać łagodniém okiem.
 A dworców ściany w oddali bledną,
 A brzeg się zwięża, topnieje, zbiega
 Jakby drugiego chciał dobiedz brzegą;
 Aż wszystko w szarość zlewa się jedną:
 Brzeg, domy, drzewa, wszystko to tonie
 Na gór dalekich zamgloném łonie.
 A fala z falą, i drzewo z drzewem
 Pieści się lubo z każdym powiewem;
 I wszystkie twory w takiej godzinie
 Samą miłością dyszą jedynie;
 A noc, miłości tajni namioty
 Na drżące żądzą spuszcza istoty.

Wpośród lubego tego wieczora
 Pod dębem piękna siedzi dziewica.
 Z samotnej skały, z brzegu jeziora,
 Smętna jój w dali błądzi źrenica;
 To modro fala ku niej się wspieni,
 To dalej błysnie znów zielonawo,
 Zielenięj jeszcze dalej się mieni,
 Aż blado-jasno ginie w dal mgławą.
 Po tej szerokiej, gładkiej płaszczyźnie
 Dziewica wzrokiem omdlałym toczy;
 Lecz wzrok ten mętny choć się prześliźnie,
 Znać, że nie patrzają błądzące oczy.
 Dziewica piękna, anioł upadły,
 Lecz tak jój piękne lica poblądły,

(1) „Piękna twarz luny.“

Księżyc w czeskiej poezji jest niejako uosobionym, a nawet ubóstwionym w formie żeńskiej; wszystkie niemal do niego porównania i zastosowania są tak koniecznie żeńskie, iż potrzeba było zostawić w przekładzie czeski wyraz „luna”. Sam nawet Lucyan Siemiński w tłumaczeniu Królodworskiego rękopisu tak postąpił. (Przyp. tl.).

Jak blednie róża młodo zwiędniała.
 Jedna jój chwila wszystko zabrała.
 A żal i smutek wydają oczy,
 Lecz żal powabny, smutek uroczy.

Tak jój dwudziesty dziś wieczór mija.
 Kraina cicho do snu się zwija,
 Ostatni odblask szybko ugasa
 I mierzchnie nieba różowa krasa.
 „Nie ma go! nie ma! już się nie wróci,
 A opuszczonej żal życie skróci”!

Głębokiem wzniosła pierś się westchnieniem,
 Serce się wzdeło bolu nawałą,
 I z tajemniczym fali jęczeniem
 Gorzkie się łkanie dziewczicy złało.
 A w łzach jój gwiazdy dwojąc się drżaco,
 Jak płynne iskry tak się wydają:
 Wrzące te iskry, gwiazdą lecącą
 Jedna po drugiej bystro znikają,
 Po nieruchomej ściekając twarzy.
 Gdzie która padnie, tam kwiat się zwarzy.

Na kraju skały postać jój miga,
 Nad głuchą falą śmiało napięta;
 Wiatr włos jój wznosi i szatą śmiga,
 Ale źrenica wciąż w dal napięta.
 Wtém lzy ciekące nagle ociera,
 Nad okiem białą rękę opiera,
 Ażeby lepiej przebić głębinę;
 Bo gdzie jezioro w bory się kłoni,
 Iskra za iskrą po falach goni:
 Plusk lekki nocną zmącił ciszynę.

Jak gołąbeczek śnieżysto-biały,
 Coś w mrocznej głębi nagle zaświta,
 Jakby lilia wodna zakwita:
 Wkrótce jak łabędź buja wspaniały.
 Tam gdzie jezioro w bory się zniża
 Rośnie i rośnie, coraz się zbliża,
 Nie już gołąbkim, wodną lilią,
 Ani łabędzia swobodną szyją,
 Ale wyraźnym żaglem wyrosło,
 W nurtach się kąpie pośpieszne wiosło
 I szybko porzuc prądy błyszczące,
 Zatacza bruzdy kręgiem niktące:
 „Bystre czółenko!—o! leć co chyżej!
 To on! ach to on! to jego pióro,
 Kołpak, i oko jak błysk pod chmurą.
 Ten płaszc!” — Już czółno do skał się zbliży.

W górę po skale, lekko, cichutko,
 Zbliża się żeglarz ścieżką wąziutką.
 Zadrży dziewica, twarz jój tak blada!
 Za dąb się kryje, lecz niewstrzymanie
 Poskoczy, biegnie w jego spotkanie,
 I długim skokiem na pierś mu pada:
 „Ha!.... kóżto?... biada”. Wtém blask księżyca
 Twarz jój znajomą nagle oświeca;
 Zgroza jój w żyłach krew lodem ścina:
 „Gdzież jest mój Wilhelm”?

Żeglarz zaczyna

Cichym poszeptem straszne powieści:
 „Tam przy jeziorze wieża się dźwiga,
 Białemi ściany wśród zmierzchu miga;
 U stóp jój fala głucho szeleści,
 I z ciągłym gniewem spód jój podmywa,
 Co się w jezioro klinem zarywa.
 Gdzie wąskie okno błysnie czasami
 Przez gęstą kratę lampy płomykiem,
 Tam się twój Wilhelm bawi myślami,
 Że straci życie z zorzy promykiem.
 O hanbie swojej, o twojej winie
 On się dowiedział: w twym zwodzicielu,
 W nienawidzonym swój zemsty celu,
 Własnego ojca spotkał nieznany,
 I w krwawym zemstę nasycił czynie.
 Umrze haniebnie: wyrok wydany.
 Twarz co mu różą teraz zakwita
 Straszna bladością, na kole wbita,
 Postrachem będzie do długich czasów;
 I członki jego zmięte, skruszone
 Jak witka będą w koło wplecione;
 Tak skonać musi straszny pan lasów!
 Za hanbę jego, za winę swoją
 Miej wzgardę świata, i klątwę moją”!

Wtém się odwrócił. Ucichła mowa.
 Śmiało się spuszcza skały krawędzią,
 Gdzie lekkie czółno załamek chowa.
 Plusnęło czółno, szybko odpływa,
 Jeszcze bieleje szyją łabędzią,
 Mniejsze, i mniejsze jak lilii kwiatek,
 Jak drobny puszek miga w ostatek;
 Aż się w pomroku i dali skrywa.

I milczą fale—wody ciemnieją,
 Coraz to grubszy nocą płaszcz mroczny;

Jeszcze na skale szaty bieleją,
 I kształt dziewicy jeszcze widoczny.
 Cała kraina szepce: „Jarmiło”
 I w głębiach wody: „Jarmiło! Jarmiło”!!

Późny jest wieczór pierwszego maja,
 Majowy wieczór—wszystko tak miło!
 Głos synogarlic wabi do gaja:
 „Jarmiło! Jarmiło!! Jarmiło”!!!

III.

Spadała gwiazda z niebios sklepienia;
 Martwa to gwiazda, połysk sinawy
 W nieskończoności leci przestrzenia,
 I leci wiecznie; wśród téj przeprawy
 Żałosnym płacze wiecznie sposobem
 Za jakim celem, za jakim grobem:
 „Kiedyż dopadnę końca swojego?”
 Nigdy, i nigdzie, celu żadnego.

Z białą wieżycą wiatry igrają;
 U stóp jój mętne fale szeptaają,
 A księżyc twarzą bladą i czystą
 Rozlewa z góry światłość srebrzystą.
 A na dnie wieży ciemność głęboka:
 Przez wąskie okno jeśli się wciśnie
 Promień księżycy, jasno nie błysnie,
 Lecz się wpół szara robi pomroka,
 Słup koło słupa, ramię z ramieniem
 Dźwigają głazy zwarte sklepieniem
 W ciemnościach nocy. Lekki wiatr wieje,
 Więżnia lzy suszy, włosami chwieje.
 On na kamienną rzucony ławę
 Głowę na rękę ciężko opiera,
 I napół siedząc, klęcząc napoły
 W głębinie duszy swe myśli zbiera,
 Wciąż nieruchomą chowa postawę;
 Ale w nim walczą sprzeczne żywioły:
 Jakby obłoki przez twarz księżycy,
 Tak myśl mu każda płynie przez lica.

„Głęboka nocy! ty płaszcz swój szary
 Na méj dziedziny spuszczasz obszary,
 A ona, biedna! o mnie truchleje,
 Truchleje? o mnie?—próżne nadzieje.

Ona już dawno mnie zapomniała.
 Jutro powstanie zorza wspaniała,
 Oświeci naszych lasów ustronie.
 Ja koniec znajdę w haniebnym skonie,
 Ona, jak w naszych pieśczoł zakwicie
 Wesolą piersią pić będzie życie!"

Umilknął; echo po sklepie dzwoni,
 Dzwiga nad słupy, w oddali goni;
 Po załamaniach i łukach różnych
 Lecą odgłosy coraz zciszone,
 Aż wreszcie jakby zgrozą zmrożone
 Usną w ciemnicy otchłaniach próżnych.

Głęboka cisza, w takiej ciemności
 Wabi na pamięć czasy minięte;
 I więzień marzy dni swęj młodości,
 W przeszłość niecofną już zapadnięte;
 I więźnia oko lżą się zrosiło,
 I dawnym bytem serce odżyło.

Gdzie za jeziorem góra za górą
 W zachodnie kraje ginie łańcuchem,
 Tam on ucieka marzącym duchem:
 I widzi borów ustronń ponurą,
 Co mu tak lubo w dzieciństwie grały,
 Gdzie jego młode lata spływały,
 Kiedy wygnany z pod dachu ojców
 W łupieżkiem kole wyrastał zbójców;
 Gdzie potem wodzem został nad niemi
 I rozgrzmiał czyny niesłychanemi;
 Gdzie z srogich bitew, krwawych zapasów,
 Wyniósł przydomek: „Straszny pan lasów!”
 Gdzie go miłości szczęście poilo,
 Gdzie mu zawiścią serce zabiło,
 Gdzie zwodziciela, współzalotnika,
 Pomście oddając, ojca spotyka;
 Oh! i dlatego więzami brzeka,
 Dlatego koła czeka go męka,
 Skoro jutrzenki piérwszych promieni
 Blaskiem widnokrag się zarumieni.

I na kamienną rzucony ławę
 Głowę na ręku ciężko opiera,
 Napoły siedząc, klęcząc napoły
 W głębinie duszy swe myśli zbiera.
 Choć nieruchomą chowa postawę,
 Ale w nim walczą sprzeczne żywioły:

Jakby obłoki przez twarz księżycą,
Tak myśl mu każda płynie przez lica.

„Ha! syn i ojciec, śmiertelne wrogi!
Przezeń dziewicę moję straciłem:
Ja go nie znałem, czyn mój był srogi,
Obu nas jednym ciosem zgubiłem.
I czyjaż winą dzień pomsty błyska?
Czyjaż mię winą klątwa przyciska?
Nie winą moją, przez jego winę
Złą śmiercią tutaj i wiecznie ginę!
Tutaj i wiecznie, czas, życie, wieczność”.

I głos mu zgroza w piersiach zapiera,
A oddźwięk ściany znów odbijają;
Aż echo w nocy niemej zamiera.
Burzy się marzeń w duszy mu sprzeczność,
I znów obrazy nowe mu stają.

„Ach! ona, ona! Anioł mój duszy!
Przecz nie upadła nim ją poznałem?
Przecz na mój drodze ojca spotkałem?
Klątwa nademną”. Żal słowa zgłuszy.
Wstrząśnie się więzień, nagle się zrywa,
Brzęk się łańcuchów grzmotem odzywa.
I przez okienka wąską szczelinę
Wzrok więźnia leci na wód równinę.
Czernią się góry, a tajemnicze
Chmurki zakryły luny oblicze;
I tylko gwiazdy bez ruchu w górze
Na falującym drżą wód lazurze;
I więźnia oko z niemi się pławi,
Piękność widoku serce mu krwawi:
„Jak noc ta piękna! jak świat ten cudny!
Jakże tych światła blask jest uludny!
Lecz jutro, jutro, me zgasłe oczy
Zasłona śmierci wiecznie zamroczy;
A jak tam w dali gęstnieją cienie,
Tak”... Skoczył więzień, znikło widzenie;
Brzękły łańcuchy grzmotnym łoskotem
I wszystko w ciszy zamiera potem.

Od gór ku górom cienie się ścielą,
A ptak ogromny długimi pióry
Przeleciał szybko, pociągnął w góry,
Czarną się mroków przykrył pościelą.
Wtém za górami dźwięki tajemne
Przenikły nocy milczenie ciemne;

Leśnej to trąby nuty ochotne,
 Czyste jak srebro, jak wiatr polotne.
 Więziń zapomniał na swe męczarnie
 Chwilę go jakaś lubość ogarnie:
 „O jakże miłe są dźwięki życia,
 Jakież w mych piersiach mają odbicia!
 Lecz jutro rano gdy mgły rozdmuchnie,
 To moje ucho wiecznie zagłuchnie.”

Znowu więziń pada, znowu kajdany
 Rozgłośnym grzotem uderzą ściany,
 I znowu cisza; w bólu poprzednim,
 Znowu się serce więźnia zawiera;
 A trąba w echu gór odpowiedniem
 Konając zwolna, w dali zamiera.

„Przyszłość?—zagadka! Jutro?—pytanie!
 Czyliż bez marzeń będzie to spanie?
 Nie snemże żywot jest terazniejszy,
 Więc żyję tedy?... a dzień jutrzejszy
 Do snu nowego ściele mi łożę?
 Ha! on mi przecie objawi może
 Coś, za czém dusza zawsze tęskniła,
 Czego szeroka ziemia skąpiła;
 Coś, przeczuwane w tajnym spodziewie.
 Kto wie?—ach! tutaj nikt tego nie wie.“

I znowu mileży. Nocy opony
 Kryją dokoła ten świat uśpiony.
 Księżyc się zmroczył i gwiazdy pierzchły,
 Wszystko dokoła cień zalał zmierzchły;
 A ciemna próżnia jak grób bezdenny
 W szeroką puszcę chłonie świat senny;
 Wiatr nawet umilkł, fala nie chlusta,
 Cicha pustynia i cichość pusta.
 „O jakże straszno! o jakże ciemno!
 Ale ciemniejsza noc jest przedemną!
 Precz ciężkie myśli!” I nocy siła
 Nawet myślenie w nim przytłumiła.

Cicho.—i tylko ze ścian wilgotnych
 Kropla za kroplą spadała wolno,
 W przestankach długich, równo powrotnych;
 A plusk ich głuchy ciszę okolną
 Za każdym razem równo rozderzył,
 Jak gdyby nocy minuty mierzył.

„Jakże noc długa, nieprzeczekana!
 Lecz jeszcze dłuższa mi zgotowana!

Precz ciężkie myśli!" I zgrozy siła
 Nawet myślenie w nim zwyciężyła.
 Głęboka cisza, kropel upadek
 Upływu czasu jedyny świadek.

„O tak! przedemną noc nieprzebyta!
 Tam żaden, żaden połysk nie świta,
 Tam jedna całość nieogarniona,
 Żadnym podziałem nieoznaczona,
 I chwil tam nie ma; tam wieczne trwanie:
 Noc nie przeminie, dzień nie powstanie,
 I nigdy czasu tam nie ubywa!...
 Żadnego kresu! otchłań bezdenna!
 Tam pusta próżnia, jedna, niezmienna.
 Cisza bez końca, żadnego słuchu,
 Miejsce bez końca, żadnego ruchu;
 I to się „nicość” zatém nazywa!
 I ta to nicość zanim dzień skona
 Ma mię pochłonać do swego łona!”

Więzień upada, i głos omdléwa,
 I znów milczenie w wieży więziennój:
 U stóp jój fali pryska zwierciadło.
 Więzień usypia, lecz w chwili sennój
 Straszne go jakieś dręczy widziadło.

Straszliwy łoskot zbudził strażnika
 Jakby łańcuchów ciężkie spadnięcie.
 Wstąpił ze światłem, lekko pomyka;
 Więzień pozostał w swych snów odměcie.
 Od słupa światło miga do słupa,
 A ciemność zaraz nazad się zwierza.
 Strażnik wznosił lampę; bladą jak trupa
 Twarz więźnia oblał blask czerwonawy,
 Jak wśród kamiennój rzucony ławy.
 Zwieszoną głowę ręką podpira,
 I wpół siedzący, klęcząc w połowie
 Napoły szepce, napoły chrapi,
 A w przerywanych szeptów osnowie
 Widać jak ciężko zły sen go trapi.

„Duch mój! o duch mój, dusza, ma dusza”!
 Te jednostajne płyną mu dźwięki
 Przez ścięte usta. Sen resztę zgłusza
 I w niewyraźne zamienia jęki.
 Przystąpi strażnik, kaganiec zniża;
 Okropny widok więźnia oblicza

Dreszczem go przejął, włosy mu zjeża.
 A oko więźnia, moc tajemnicza
 Otworem trzyma, lecz mglisto, szklisto,
 Jakby się patrzył w przestrzeń wieczystą.
 Łzy, pot, krew, razem po licu płyną,
 Śpiewy czy szepty w ustach mu giną.

Do ust mu strażnik nachylił ucha,
 Łowi szept cichy, uważnie słucha:
 A jakby lekki wietrzyk powiewał,
 Więzień swą powieść wciąż dalej śpiewał.
 A strażnik ciągle niżej i niżej
 Nad nim się schyla, ucho przykłada,
 Do ust mu coraz bliżej a bliżej,
 Chwyta wyznania te senno-śpiewne,
 Aż głos umilka, niknie—zapada
 W głębinę piersi. Usnął zapewne.

Strażnik jak wryty w zadumie stoi,
 Łza mu się w oku natrętna roi,
 Serce litością w piersiach się kraje.
 Stoi tak długo, jak przymarznięty;
 Aż wzmógłszy siły, pośpiesznie wstaje,
 Szybko opuszcza ten loch przeklęty,
 I nigdy w życiu on nie powiedział
 Co się w tę straszną chwilę dowiedział.
 Zatlumił w sobie tę tajemnicę,
 Lecz śmiech mu nigdy nie siadł na lice.

Uszedł, i znowu urok milczenia
 W ciemnicy swoje władzę rozszerzył:
 I tylko odgłos kropel cieczenia
 W głębokiej nocy martwy czas mierzył.

A więzień ciągle w jednej postawie,
 Wpół na kamienną klęczący ławie,
 Otworem trzyma źrenicę szklistą,
 Jakby się patrzył w przestrzeń wieczystą.
 Łzy, pot, krew, razem po licu płyną,
 I głuche jęki w piersiach mu giną;
 A spadek kropel wciąż jednobrzmiennie
 Minuty czasu mierzy niezmiennie.
 A kropel, fali, i wiatru tony
 Głoszą więźniowi zgon przybliżony,
 Sowa gdzieś w dali krzyk swój rozszerza,
 A nad nim zegar północ uderza.

INTERMEDIUM I.

PÓŁNOC.

(WIEJSKA OKOLICA).

Na rozległych równinach księżyc prostopadle
 Jakby drzemiąc rozlewa bladą światłość swoją;
 Dokoła ciemne góry; w jeziora zwierciadło
 Cicha noc się odbija i gwiazdy się dwoją.
 Nad jeziorem pagórek wznosi płaskie czoło,
 Nad nim słup w ziemię wbity straszne dźwiga koło,
 A nad nim trupia głowa białem widmem stoi:
 Wokoło larw straszliwych groźny tłum się roi.

Chór duchów.

W północnej cicho jest dobie,
 Ognik mży z grobu po grobie;
 A jego płomyk modrawy,
 Po licu trupa się żarzy;
 Ci śpią sobie, on na straży (1)
 Bez ruchu, kamień z postawy.
 Ostatni to z pogrzebionych
 Pilnuje braci uspiionych;
 O własny krzyż się opiera,
 Jak straszna postać strażnika,
 Jak szklisto oko rozwiera,
 Jak twarz jego sina, dzika.
 A z nie domkniętej mu gęby
 Przyskrzypnięte świecą zęby.

(1) „Ci śpią sobie, on na straży.”

W tém miejscu autor daje następujące objaśnienie:

„Było już późno w noc, gdy przy pogrzebie jednego ze swych przyjaciół znajdowałem się na cmentarzu staromiejskim. Grabarz spuszczoną trumnę ziemią przysypując: „Dziś już żadnego nie przywiozą” mówił, „musisz stać dzisiaj na straży.” Na dopytywanie się moje takie otrzymałem objaśnienie:

Jest między prostym ludem wiara, że ostatni z pogrzebionych na cmentarzu przez noc na straży jego stać musi, a to po wszystkie nocy przez cały ten czas, aż póki inny tamże pochowany nie zostanie, który znów na jego miejsce następuje. Tak, iż żaden cmentarz nigdy bez strażnika nie zostaje; a tym sposobem na cmentarzach małych osad, zmarły po kilka lat na straży stoi.

(Przyp. tł.).

Jeden głos.

Witajcie duchy!—dobrego czasu,
 Niechaj się radość odzywa,
 Bo jutro, jutro, straszny pan lasu
 W nasze tu grono przybywa.

Chór duchów.

(podnosząc trupa głowę)

Z martwego kraju wystąp wraz (1)
 Nabądź żywota—przyjmij głos,
 Stań między nami—witaj nam,
 Bo już upłynął straży czas.
 Długoś wartował tutaj sam,
 Innego tenże czeka los.

Trupia głowa.

(Taczając się między niemi):

Jakże mi członki stężały,
 Jak mi pilno spocząć sobie;
 Mój następca opieszały,
 Kiedyż legnę cicho w grobie?

Jeden głos.

Gotujcie się, bo wkrótce czas,
 Gdy jutro północ nastanie,
 Wicher znów przywionie nas,
 Sławne sprawim pogrzebanie!

Chór duchów.

Gotujmy się, bo wkrótce czas,
 Gdy jutro północ nastanie,
 Wicher znów przywionie nas,
 Sławne sprawim pogrzebanie.

(1) „Z martwego kraju wystąp wraz“ i t. d.

Te sześć wierszy ściśle na miarę oryginału są wytłumaczone. Różność iloczasu, mnogość krótkich wyrazów przez wyrzucanie samogłosek powstałych, wielką stanowi trudność dochowania w przekładzie form czeskich, które zresztą nienajkorzystniej w polszczyźnieby się wydały.

Oprócz tego niektóre czeskie metafory w naszym języku wcaleby inny charakter przybrały, jak np. opisując dumającego w więzieniu Wilhelma, oryginał mówi: „Po księżycu twarzy myśli jak obłoki mu idą.“

Zdaje mi się, że to po polsku zbyt trywialnie pucołowatą twarz bohatera poematu wystawiałoby; i dlatego miejsce to wyłożyłem:

„A jak obłoki przez twarz księżycu, tak myśl mu każda płynie przez lica.“

Gdzie metaforę zamieniłem na porównanie.

(Przyp. tł.).

Jeden głos.

Rozległém polem niech mój głos leci:
 Jutro w północ pogrzeb szumny,
 Wszyscy na pogrzeb złożmy się dzieci.

Topór z kołem.

Ja posłużę w miejsce trumny.

Żaby na bagnie.

My żałobne wzniesiem pienie.

Wicher po jeziorze.

Ja ogłoszę zaproszenie.

Księżyc na zenicie.

Ja baldachim biały zwieszę.

Mgła po górach.

Ja wszystko otulę w krepie.

Noc.

Ja z całunem wraz pospieszę.

Góry okólne.

Katafalkiem będziem w stepie.

Rosa.

Ja go łzami memi skąpię.

Wyziew łąki.

Dym kadzidla ja zastąpię.

Obłok zapadający.

Ja trumnę deszczem pokropię.

Kwiat zlatujący.

Żałobny wieniec uwiję.

Lekkie wiatry.

My go na trumnę zaniesiem.

Świętojańskie muszki.

Przy trumnie świecić będziemy.

Burze z głęboka.

My jęki dzwonu rozniesiem.

Hret w ziemi.

Ja mu zatém grób wykopię.

Czas.

Ja go nagrobkiem przykryję.

Nocne ptastwo.

My na stypę się zlecimy.

Jeden głos.

Sławny mu pogrzeb wyprawim,
Ale już księżyc zamiera,
Świt rozprasza nocny cień;
Zadługo tutaj się bawim,
Jutrzenka bramy otwiera,
Już dzień! już dzień!

Chór duchów.

Już dzień! już dzień!

(znikają).

III.

Nad ciemne góry wstał blask różowy,
Czysty, pogodny wszedł dzień majowy;
Nad lasy jeszcze panuje cisza,
Po drzew wierzchołkach mgła się rozwiesza,
Kapie w jeziorze, aż coraz rzedsza,
Wśród majowego niknie powietrza.
I widać brzegi, drzewa i domy,
Sterczące góry i skał odłomy
I głaz ogromny, co wzniosłem czolem
Na tle różowém słup krając siny
Sterczał ku niebu groźnym wierzchołem,
Jakby król władny nad gór dziedziny.

Nareszcie słońce nad ciemne góry
Ognistém okiem zwolna wyrzało.
Wszystko co żyje radości chóry
Wszechwładcę światła wraz powitało.
Bieli się ptaków na wodzie stado.
I lekkie czółna pławią gromadą,
Spiesznemi wiosły modrą toń prują.
Wonny gaj szumi z brzegu jeziora.
Zmieszane głosy wskroś dolatują.
Sivy drozd gwizdże, płacze sikora;
A ptaków śpiewy z dziewcząt głosami
Razem niesione wiatru skrzydłami,
Jedną melodyą szerzą dokoła.
Sznur dzikich gęsi ciągnie nad gajem,
Cała kraina życiem wesoła,
Wszystko młodzieńczym cieszy się majem.

Lecz widok jeden ten urok kala:
 Gdzie wążki przesmyk w jezioro wbiega,
 Gdzie gniewna wiecznie tłucze się fala,
 A biała wieża sterczy u brzegu,
 Tam się rozlega krzyk niespokojny:
 Z miasteczka zastęp wychodzi zbrojny.
 I lud zdaleka napływa tłumem,
 Tłoczy się, rośnie stek z każdej strony,
 Z coraz to większym krzykiem i szumem,
 Nieszczęsny zbrodniarz ma być wiedziony.

Wtém z bram miasteczka poczet wykracza,
 Gęsty mur broni więźnia otacza,
 A on w pośrodku śmiały, spokojny,
 Pyszny jak zawsze, jak zawsze strojny.
 Ucichła cizba—zwolna szeptała,
 Aż znowu nagle w grzmot zawołają:
 „To on! to on! tak! to jego pióro,
 Kołpak i oko jak błysk pod chmurą,
 I płaszcz to jego—to on: pan lasów!
 Straszny w dzień śmierci jak lepszych czasów.”
 I rosną krzyki jak szum powodzi,
 Lecz ciekawością powódź szumiąca
 O zbrojną tamę w tył się odtrąca.

I zastęp wolnym szlakiem przechodzi.
 Jak czarny obłok mknie się powolnie;
 Więzień nieskwapno, lecz równo kroczy,
 W głąb duszy patrzą spuszczone oczy.
 Z miasteczka dzwonów brzmienie dolata,
 Za pokój duszy schodzącej z świata,
 I lud i dzwony modlą się wspólnie.

Nad jeziorem pagórek wznosi swoje czoło,
 Na nim słup w ziemię wbity straszne dźwiga koło
 W pobliżu stroméj skały podwójny wierzchołek,
 A na wyższym małeńki bieli się kościółek.
 Wolnym pochodem orszak u jego podwoi
 Staje—cofa się w okrąg: złoczyńca sam stoi.
 Raz mu jeszcze ostatni, jeden raz jedynie
 Pozwolono przyrody oglądać świątynię,
 I w ciemne góry puścić dumające oko,
 I wolném ich powietrzem odetchnąć szeroko;
 I raz jeszcze popatrzeć na niebios błękity,
 Na kolebkę dzieciństwa, skał sinawych szczyty,
 Przed nieba, światów panem zgiąć korne kolano.
 Okupić mnogie błędy jedną łzą wylaną.

I wszelki zgiełk umilknął, lud chowa milczenie,
 I każde serce zdjęło jakieś tajne drzenie,
 I w każdym piersiach smutek współczucia panuje,
 Bez ruchu każde oko w więźnia się kieruje;
 Gdzie zachwycon przyrodą, ukorzon przed Bogiem
 Modli się uroczyście przed wieczności progiem.

Wzniosło się słońce i jarką łoną
 Oblewa więźnia twarz wybledzoną:
 Łzę na źrenicy tęsknej mu ściera,
 Co w oddaloną przestrzeń spoziera.
 Pod nim głęboko krasna dolina,
 Ciemnych gór łańcuch wkoło ją spina,
 I wieniec lasów w krąg obejmuje.
 Środkiem dolina się rozstępuje,
 I na pościeli brzegów kwiecistych
 Jezioro drżmie w głębiach przejrzystych.
 To modro czasem z brzegu się wspieni,
 To dalej błysnie znów zielonawo,
 Zieleniej jeszcze dalej się mieni
 Aż blade-jasno ginie w dal mgławą.
 A nad niem wkoło domy się bielą,
 Drzewa wieszają ponad topielą,
 Na wodzie ptaków kąpie się stado
 I lekkie czółna pławią gromadą,
 Aż gdzie jezioro w bory się kloni,
 Cały ten obraz po wodzie goni:
 Łódki i ptaki, domy nadbrzeżne,
 Zielone drzewa i żagle śnieżne,
 Wzgórki okólne, dalekie góry
 I ciemnych lasów okrąg ponury:
 Wszystko jak gdyby wspak zatopione
 W zwierciadle wody widać zdwojone.

Tam w mgławej dali stercząca skała,
 Ponad głębiną zwiesza się śmiała;
 A na niej drzewo tkwi rozłożyste,
 Znany dąb stary. Już uroczyste
 Nie wrócą chwile, co w jego cieniu
 Gdy noc spuszczała tajni namioty,
 Głos synogarlic zwał do pieszczoty,
 W słodkim miłości mkły upojeniu.
 Najbliżej wzgórek wznosi swe czoło,
 Na nim słup wbity, na słupie koło;
 Wonny gaj boki wzgóрка ustraja,
 Młode listeczki smutnym drżą stękiem.
 Słońce się wznosi, wszystko lśni wdziękiem,
 Skapane rosą—ranek to maja.

Wszystko to jeszcze piękniej, uroczej wygląda
 Temu, co raz ostatni napaść się tém żąda.
 I więźnia serce schwycił żal gorzki, gwałtowny,
 Tajny, lecz łzą gorącą, westchnieniem wymowny;
 Płacze—lecz mężka duma, i wola, i siła,
 Ostatniem wysileniem te łzy przytłumiła.
 Znowu w niebios sklepienie wznosi oczy łzawe,
 Na przejrzystym błękitcie giną mgły białawe,
 Z niemi leciuchny wietrzyk w różny kształt swawoli.
 Wyżej, dalekiem niebem obłoki powoli
 W odległe płyną kraje szeregi długimi:
 Więzień do nich przemawia słowami smutnemi:
 „Wy, co w dalekosięgłym swój wędrówki locie,
 Obejmujecie ziemię w tajnym ramion splocie,
 Wy gwiazdy rozplynięte, modre nieba cienie.
 Wy całuny żałobne, w nagłe rozsmutnienie,
 Co się w ciche łez strugi całe rozplywacie;
 Wy najmilszemi posły zawsze mi bywacie.
 Więc gdzie płyniecie w długim oddalonym biegu,
 I tam gdzie już do swego dopłyniecie brzegu,
 W bystrzej pielgrzymce swojej pozdrówcie mą ziemię,
 Mą kolebkę, grób, matkę, o! pozdrówcie niemie!
 Ach tę ziemię tak piękną, ziemię ukochaną,
 Mą ojczyznę jedyną w dziedzictwo mi daną;
 Szeroką moją ziemię, mą ziemię jedyną,
 Aż bieg wasz, nad jeziora zobaczy głębina,
 Na wzniosłym złomku skały dziewicę splakaną.”

Umilkł;— i znowu we łzach oko się splawiło.
 Wtém znak ostatni dano—wojsko się ruszyło;
 Orszak szeroką ścieżką wskroś młodego borku
 Idzie—dalej—i dalej—już są na pagórku.
 Tłum w niemém nateżeniu odetchnąć się boi;
 U kresu z gołym mieczem kat gotowy stoi.
 Jeszcze raz, raz ostatni więzień podniósł oko,
 I z westchnieniem dokoła powiódł niem szeroko,
 I nagle spuścił w ziemię—śmierć w obec stanęła.
 Kłęknał—kat w tył się cofnął—stał w górze błysnęła:
 Straszna chwila... jak gdyby grom nad tłumem zwisnął.
 Kat szybki krok dał naprzód, i razem miecz świsnął;
 Spadła głowa—i drgnęła—i ciało się kłoni,
 Ach w tę ziemię tak piękną, ziemię ukochaną,
 W swą kolebkę, grób, matkę—oh! w ziemię jedyną,
 Szeroką tę tu ziemię w dziedzictwo mu daną,
 W matkę swą, w matkę swą; krew syna ciecze po niej (d).

(d) „W matkę swą, w matkę swą, krew syna ciecze po niej“.

Dźwięk tego wiersza po czesku jest zupełnie tenże sam. Wszędzie gdzie spotykałem charakterystyczne obroty, starałem się je zachować nienaruszenie. Choć tutaj średniówka nie jest dostatecznie wybitą.

(Przyp. tł.).

Po członku łaman członek, aż ciało skruszone
 Jak witka między koło zostało wplecione;
 W środku głowa zatknięta w postrach długich czasów:
 Tak skończył dni żywota straszliwy pan lasów.

Niezmierne mnóstwo długo na pagórku stało,
 W twarz wiecznym snem drzemiącą z podziwem patrzyło,
 Aż póki do zachodu słońce się skłoniwszy
 W martwy wzrok ściętej głowy blask rzuciło żywszy.
 Nad góry dalekimi zagasły pożary,
 Straszne miejsce znów puste mrok przykrywa szary.
 Wpółśród ciszy głębokiej wstała tarcz księżycy,
 Srebrnym promieniem bladą, martwą twarz oświeca,
 I samotny pagórek stał nad brzegiem wody:
 I wskroś przez ciche nocnej powietrze pogody
 Zatkniętej na pól głowy osłupłe źrenice
 W dalekie się patrzyły martwo okolice;
 W kraj, gdzie on żył dziecięciem.—O! wiek to szczęśliwy!
 Daleko już go uniósł bieg czasu skwapliwy,
 Dalekie sny dzieciństwa jako cień zamierzchły
 Obrazów, co na wodzie dawno się rozpierchły.

Czém zmarłych myśl ostatnia, czém są ich imiona,
 Chwała bogów pradawnych głucho zatracona,
 Dawna zorza północna, wygasła jej łony,
 Starganej struny dźwięki, zbitiej harfy tony,
 Zaszłego wieku dzieje, blask gwiazdy spadniętej,
 Ślad błędnego ognika, woń róży zwiędniętej;
 Czém nieżywej kochanki znikłe serca bicie,
 Czém jest grób zapomniany, miniętych burz wycie,
 Dym zgasłego ogniska, przeszłości byt inny:
 Tem również jest umarłych piękny wiek dziecinny.
 Późny jest wieczór—już drugi maja,
 Majowy wieczór, pieszczoty pora;
 Głos synogarlic w ciszy wieczora
 Do pieszczot wabi w ustronie gaja,
 „Wilhelmie! Wilhelmie!! Wilhelmie”!!!

INTERMEDIUM II.

Stoją góry przeciw sobie,
 Jedna drugą cieniem mroczy;
 Tu i owdzie szczyt wysoki
 Przebijając dolne mroki,

Na tło nieba gdzieś wyskoczy.
 W tej pustyni w późnej dobie,
 Cicho, ciemno jakby w grobie;
 Tylko w dali gdzie w pomroce
 Góry w bok się rozskakują,
 Trafem nieznanj zagadki
 Spodem rozwarte szeroco
 Dwie strome skały sąsiadki
 Wierzchami się zestępują,
 I tak wyglądają w dali,
 By olbrzymi się ściskali.
 Wzajemne to uściśnienie
 Kształtuje dzikie sklepienie.
 Pod niem brama się roztwiera
 W zachodnią stronę wyziera;
 Gdzie tło nieba wśród cieni
 Ciemną barwą się czerwieni,
 Jak daleki pożar pała.
 Nocnego ptastwa gromada,
 Co się z rozpadlin zerwała,
 Naksztalt potępieńców stada,
 Przez tę bramę płomienistą
 Skreślając drogę kolistą
 Nagle z szumem wyleciała.
 Ale pożar gaśnie, gaśnie,
 Coraz się pali mniej jaśnie,
 I brama coraz ciemniejsza,
 Noc wkoło coraz czarniejsza,
 Aż posmutniałe niebiosy,
 Rozplakaly się łzą rosy.

A w najgłębszym tam wąwozie,
 Gdzie noc w całej cięży zgrozie,
 Pod odwiecznymi dębami,
 Pootulanych płaszczami
 Siedzi w kole ludzi wiele;
 Są to nocy przyjaciele.
 Każdy w ziemię patrzy smutno,
 Każdy bez słów, zamyślony,
 Jak gdyby zgrozą okrutną
 W kamień został przemieniony;
 Tylko ciągle, nieprzerwanie
 Ciche szepty, ciche łkanie
 I głos jeden ciągle płynął:
 „Wódz nas zginał! wódz nasz zginał!”

Wiatr w szczelinach smutnie dźwięczy,
 I bez przerwy głos ten jęczy:

„Wódz nasz zginął! wódz nasz zginął!”
 Jak liści nocne szemranie
 Wciąż pod skałą głos słyszany,
 Ciche jęki, ciche łkanie,
 Jedno dźwięcznie bez przemiany:
 „Wódz nasz zginął! wódz nasz zginął!”

I zajęczał las rozrosły
 Echa daleko rozniosły:
 „Pan nasz zginął!—zginął!!—zginął!!!”

IV.

Piękny maj już upłynął, znikło młode kwiecie,
 Lato żarem wsplonęło, aż wkrótce po lecie
 Jesień i zima przyszła, znów wiosna nastala;
 I tak mnogich lat kolej zwolna przeleciała.

Był zasię już rok siódmy, ostatni dzień w roku;
 Głęboka nocy cisza, wkoło sen panował,
 Już rok nowy z północą prawie następował,
 Gdy się rozległ nad brzegiem odgłos konia kroku.
 Krok to konia mojego. Z miasta w noc jechałem,
 Pierwszy raz trupią głowę Wilhelma ujrzałem,
 I sławny ów pagórek, lecz z dawnego czasu
 W prochy się już rosypał przestraszny pan lasu.
 Północ, całą krainę zabieliły śniegi,
 Dolinę, góry, lasy, i pola i brzegi,
 Wszędzie się biały całun równo rozpościerał;
 Błady księżyc przez grube mroki się przedzierał,
 Białą czaszkę na kole oświecał srebrzysto,
 Wiatr dziko poświstywał w jej próżnię kościstą,
 Czasem sowa huknęła z dalekiego cienia;
 Mnie i konia strach przejął nagły, mimo chcenia,
 Aż do miasta napowrót wróciłem się czwalem,
 A gdy o to zjawisko nazajutrz pytałem,
 Stary gościnnie rzeczy prawil mi ciekawe,
 I o dziejach com spisał, smutną zdał mi sprawę.

I znowu mię bieg życia rzucił w świat szeroki,
 W burzliwy wir mię zchwycił znów smutek głęboki;
 Ale smutna ta sprawa w pamięci została,
 Aż znowu mię na wzgórkku raz wiosna ujrzała,
 I o słońca zachodzie pod słupem usiadłem,
 Nademną, koło, kości, czaszka tkwiła blada.
 Smutniem patrzył w dal kraju, aż gdzie na zapadłem
 Tle gór, w mroku niknących szara mgła osiada.

Był znowu wieczór, pierwszego maja;
 Majowy wieczór, pieszczoty pora,
 Głos synogarlic w ciszy wieczora
 Do pieszczot wabił w ustronie gaja;
 Cichy mech szeptał pieszczot pragnienie,
 I kwiat na drzewach lubość roznosił;
 Słowik dla róży swą piosnkę głosił;
 Ona mu śłała wonne westchnienie.
 Jezioro gładkie w swych głębiach ciemnych
 Dźwięczało jękiem bólów tajemnych;
 Brzeg je utulał w swoje objęcia
 Jak w grach dziecinnych brat pierś dziewczęcia.
 Czaszkę wieńczyły ostatnie blaski
 Jakby różanej kołem opaski,
 I twarz koścista dziwnie pałała.
 Jak gdyby życia siła w niej grała.
 Wiatr w niej tak dzikiem poświślał echem,
 Jakby się martwiec śmiał własnym śmiechem;
 Nad białą czaszką długi włos płynął,
 Co siłą czasu jeszcze nie zginął.
 A w jamy oczów wskroś wylupane
 Rosy majowej krople zebrane,
 Ściekając zwolna jak łzy błyszczwały:
 Zda się, że martwe oczy płakały.

I długo tak siedziałem, aż promień księżycy
 I moje, i tej czaszki zbledził jeszcze lica.
 Jak zasłona gazowa białość się rozlewa
 Na doliny, i góry, jezioro i drzewa.
 W okolnych dworach czasem słychać psów szczekanie,
 Niekiedy się spóźnione odezwie wołanie;
 To sowa gdzieś tam stęknie, żabki rzechotają,
 Lekkie wiatry kwiat z drzewa jak śnieg rozwiewają,
 Wyziew łączny jak wonne kadzidło się wznosi,
 Obłok przelotny czaszkę lżą wilgotną rosi.
 Mgła jak krepą się ściele niesiona wietrzykiem;
 Nocne ptastwo złowrogiem odzywa się krzykiem:
 Nad jeziorem przelata światło tajemnicze,
 I wiatr jakieś jęczenia roznosi zwodnicze;
 A muszki świętojańskie, gwiazdy latające
 Uganiając się, kreślą jasnych kół tysiące;
 Czasami zajdzie która w czaszki głąb kościstą,
 I oczami wylaząc, tworzy lżę ognistą.

I w smutnych oczach moich dwie wrzące łzy stały,
 Jak te iskry jeziora po twarzy mi grały.
 Bo gdzież moje dzieciństwo? O wiek to szczęśliwy!
 Daleko już go uniósł bieg czasu skwapliwy,

Dalekie sny dzieciństwa jako cień zamierzchły
 Obrazów, co po wodzie dawno się rozpiezchły.
 Czém zmarłych myśl ostatnia, czém są ich imiona,
 Chwała bogów pradawnych głucho zatracona,
 Dawna zorza północna, wygasło jej łony,
 Starganej struny dźwięki, zbitej harfy tony,
 Zaszłego wieku dzieje, blask gwiazdy spadniętej,
 Ślad błędnego ognika, woń róży zwiędniętej;
 Czém nieżywej kochanki znikłe serca bicie,
 Czém jest grób zapomniany, miniętych burz wycie,
 Stary wulkan wyziębły, przeszłość zapadnięta,
 Śpiew martwego labędzia, wieczność niezgadnięta,
 Stracony raj ludzkości po straciu piękniejszy:
 Tém jest moje dzieciństwo! ..

A czas terażniejszy

Jakże mię przeinaczył, jak w tym poemacie
 Życie jeszcze w majowej jawi mi się szacie,
 Lecz cisza to majowa wśród nocnej pomroki,
 Na ustach lekki uśmiech, w sercu żal głęboki.

Widziszli tam pielgrzyma? długim kijem wspiera
 Pospieszne kroki swoje, szybko się wydiera
 Śledzącym go spojrzeniom; gdy tę skałę minie
 Przed waszemi oczyma już na wieki zginie,
 I nigdy go już, nigdy, więcej nie ujrzycie!
 To moje przyszłe losy, to me dalsze życie,
 I któż serce podobne napoi do syta?
 Szczęście, miłość, trwa wiecznie! Mnie już nie zaświta.

Późny jest wieczór, pierwszego maja,
 Majowy wieczór, wszystko tak miło!
 Głos synogarlic wabi do gaja:
 „Ignacy! Wilhelm!! Jarmilo!!!



KRONIKA LITERACKA.

Dziejopisarstwo krajowe.

Piękne przedsięwzięcie Wolffa, żeby dać czytającej powszechności w przekładzie polskim wszystkich dziejopisów krajowych, ma dla nas osobliwie to jeszcze znaczenie: że przywykłym gawędzić o dawnych ludziach i czasach, daje nam sposobność całkowitego przejrzenia raz jeszcze czytanych niegdys źródeł historii narodowej, i co ważniejsza, wypowiedzenia sądu o historykach i kronikarzach. Wprawdzie już nieraz sąd ten był wypowiedziany publicznie. Zaczął go Braun, potem naśladował Brauna autor *Mysli o pismach polskich*; wypowiedzieli sąd swój wszyscy historycy literatury, a mianowicie Wiszniewski, o ile rozwinął obraz, który u niego niecały; osobne dzieło wreszcie temu przeglądaniu poświęcił Łukasz Gołębiowski. Mimo to sąd nasz nie będzie zbyteczny, i nie będzie, spodziewamy się tego, ostatni, bo dzieje literatury, kronika przeszłości, zawsze będzie żywotnym zatrudnieniem dla dzisiejszych i przyszłych pokoleń. Cóż jest historia? Jestto albo opowiadanie, albo sąd. Opowiadać ludzie wiecznie będą, a każdy inaczej, rozmaiciiej, im więcej innych źródeł wynajdą. Sądzić będą wiecznie póki żyją, a nic to nie szkodzi, że sąd może wypaść tutaj inny, tam inny; zawsze gdzieś będzie więcej sprawiedliwości, zawsze w końcu musi wyjść górą z walki stronniczej, i zapatrywać się rozmaitych na przedmiot, prawda dziejowa. Tak więc możemy się zgadzać albo nie zgadzać z Gołębiowskim, ale gdzie jedno i drugie? — czytelnik się sam przekona.

Z kolei rzeczy powinniśmy naprzód powiedzieć słów kilka o samym przedsięwzięciu. Myśl trafna charakteryzuje Wolffa, jednego z najczynniejszych naszych księgarzy; człowieka, który najlepiej może pojął potrzeby nasze, który pracuje nie na dzień, nie na chwilę, ale na pokolenia. Chciał rozpowszechnić historią polską, dotąd niedostępną dla ogółu, bo zakłętą w ła-

cińskie księgi. Od lat niewiele więcej czterech, pięciu, mówiono i pisano o tym przedsięwzięciu, które dzisiaj dopiero przywodzi się do skutku. Najdawniejszy artykuł, ile pamiętamy, był drukowany o tym w Dzienniku Warszawskim 1851, Nr. 221, w epoce gotującego się dopiero przedsięwzięcia. W ten zbiór wejdą Kochowski, Hajdensztajn, Jakób Sobieski, Kobierzycki, Fredro, Solikowski, Rudawski, biskup warmiński Załuski, Łasicki, Górecki, Wassenberg, i t. d. Kronika Piaseckiego znana w skróceniu i w przerobieniu polskiem Wojcickiego, z wydania pod tytułem „Pamiętników do panowania Wazów” nie wchodzi jeszcze do tego zbioru. Znalazł się gdzieś na Wołyniu czy na Podolu całkowity rękopism przekładu tej kroniki, który właściciel chce wydać osobno, ale bardzo ozdobnie, tak, że cenę znaczną będzie musiał ustanowić. Pan Wolff wchodził w układy, bo chciałby skompletować swój zbiór; ale że celem jego dać wydanie dostępne wszystkim i nie drogie, bez ozdób, ale porządne: być może, że ksiądz Piasecki będzie wyłączony z tej biblioteki historycznej. Wolff jak nam rozpowiadał, myślał wydawać wielkie tomy w ósemce, w dwie kolumny na stronicy, drukiem ścisłym, tak, że np. cały Kochowski pomieściłby się w jednym tomie. Ale skończyło się na zwyczajnej ósemce i na odbiciu w jednej kolumnie, każdy tom jednak zawierać ma od 300—400 stronic, jak obiecuje wydawca; kilka mniejszych urywków zbije się łatwo w tom jeden. Mamy już w taki sposób wydane 4 tomy: jeżeli Rudawskiego materiałów starczyło na dwa grube tomy, za to Sobieski z Solikowskim pomieścili się w jednym, a Fredro z Góreckim i Łasickim też w jednym; każdy z nich dostał osobną paginację jak gdyby oddzielne broszurki. Tomów dzisiaj obiecuje Wolff 12 do 15. Jestto rzeczywiście mało, bo historyków naszych mamy ogrom; spisał ich wszystkich Gołębiowski. Ale Wolff chce ogłowi dać najpopularniejszych. Cena umiarkowana: prawie wszyscy historycy wytłumaczeni zostali, i dzisiaj zupełnie gotowi są do druku. Dzieła ich poprzedzone będą wiadomościami bibliograficznymi i życiorysami, których wzór dał Malinowski w życiorysie Strykowskiemu, zamieszczonym przy jego kronice ostatniego wydania dziejopisów narodowych. Należą do tego wydania między innymi Ludwik Kondratowicz, Michał Bohusz Szyszko, i sławnego jezuitę imiennik nawet kolligat, ksiądz Piotr Skarga; dalej Michał Gliszczyński, Onacewicz synowiec, Michał Baliński. Nie będą to luźne urywki. Wydawca chce po skończeniu druku „Dziejopisów” dołączyć do nich jeden index i wskazać na porządek w jakim po sobie dziejopisowie w jego zbiorze następować mają. Okładka też i tytuł dotąd tymczasowe są, zawierają albowiem tytuły szczegółowe; ogólnego nie ma jeszcze. Dla zaprowadzenia tej jedności, naczelnej redakcyi podjął się Mikołaj Malinowski; on przynajmniej powyznaczał

autorów oryginalnych i porozdzielał ich na tłumaczy. Na końcu już, jako dopełnienie wielkiego zbioru, wyjdą oddzielnie w czterech tomach pamiętniki Jędrzeja Chryzostoma Załuskiego, biskupa warmińskiego. Wiadomo, że ten uczony mąż stanu i kanclerz rzeczypospolitej, zostawił pięć grubych woluminów dzieła, które jest jakby encyklopedyą swojego czasu, i obejmuje zakres od roku 1668 do 1711. Dzieło to nosi tytuł listów poufnych (Epistolae historico-familiares). Jestto ogrom lat i wypadków, rudis indigestaque moles, jak powiedział poeta starożytny. Z tego ogromu wyjmą się pamiętniki biskupa, opowie się wszystko, co on słyszał i na co patrzył, ile być może jego własnymi słowami. Będzie to żywcem historia, która czytać się będzie jako powieść historyczna, bo wszystko w niej się zmieści, czego wymaga ten rodzaj literatury, przy najświętszej prawdzie.

Przedsięwzięcie to wybornie charakteryzuje naszą nową epokę literatury historycznej. Mielśmy dotąd kilka zbiorów podobnego znaczenia: Sommersberg, Załuski, Bohomolec, Mizler dawniej o takich rzeczach myśleli. Przedrukami bawili się później Mostowski i Bohomolec. Dzisiaj w epoce dyplomatarjuszów, we Lwowie powstała myśl wydania dzieła: „Monumenta Poloniae historica.“ Dzisiaj Roepell postanowił drukować „Scriptores rerum polonicarum mediti“. Nareszcie Wolff zjawia się ze swoim zbiorem i popularyzuje naukę.

I.

Historja polska od śmierci Władysława IV aż do pokonu oliwskiego, czyli dzieje panowania Jana Kazimierza od 1648 do 1660 roku, przez Wawrzyńca Jana Rudawskiego szlachcica polskiego, kanonika katedry ołomunieckiej i radcy Jego Cesarzkiej Mości arcyksięcia austriackiego Leopolda Wilhelma.

Przełożył z łacińskiego, życiorysem i objaśnieniami uzupełnił Włodzimierz Spasowicz. Petersburg i Mohylew. Nakładem Bolestawa Maurycego Wolffa. 1855. W 8ce. Str. 11 i 310. Tom IIgi. Str. 459. Rejestrów w tomie I str. X.

Niedługo rozprawiał Gołębiowski o Rudawskim: kilkadziesiąt wierszami zbył wszystko. Zauważył w nim głównie tylko skłonność ku Niemczyźnie i formalną miłość dla Austrii. Jedno i drugie prawda, ale nie zgodziłibyśmy się nigdy na to, że

Rudawski jest znakomitym, pełnym zasługi i wyższego polotu historykiem. Już dlatego samego sąd Gołębiowskiego o Rudawskim sprostować musim, więcej szczegółowo skreślając charakterystykę tego pisarza.

W istocie, kto tylko zajrzał do Rudawskiego, niepotrzeba nawet, żeby się w niego wczytał, ujrzał zaraz że to Niemiec, Austryjak całym sercem i duszą. Polskaby nie żyła, gdyby nie było na świecie Austrii. Polsceby się tylko uczyć i brać wzory w Wiedniu. Wszystko co tylko w Polsce pięknego i wielkiego, to wszystko niemieckie albo naśladowane, albo pożyczone z niemieckiego: jedno, albo drugie, ale coś zawsze. Wypisywalibyśmy całe stronnice Rudawskiego, gdybyśmy chcieli pokładać dowody słowom naszym. Jan Kazimierz pamiętał zawsze na swoją wrodzoną nietylko Jagiellońską, ale i austryacką dobroć (T. I, str. 180). Święty też był to dom panujący na Rakszach; wszystkie usiłowania Ludwika XIV nie mogły go nigdy obalić, bo jego władza była wieczna nad światem (T. 2 — 19). Austrya tylko heretyków i ich sprzymierzeńców może mieć za swoich nieprzyjaciół. Fałszem jest wszystko, co tylko złego kiedykolwiek o Austrii historycy popisali. Grammont, Kobierzycki, a nawet wielki Zamojski śmieszni są i dziwaczni, kiedy oskarżają o co Austryę (str. 2 — T. 19). Najpoczeiwsza, najszlachetniejsza, najpiękniejsza była zawsze, jest i będzie Austrya.

Biskupowi Piaseckiemu kilka razy przymawia Rudawski za Austryę; jeżeli kogo, to jego strawić nie może (1. 78); cesarz pan Austrii ma z prawa nad wszystkimi królami pierwszeństwo i powagę (2. 39); Kraków okazałość budowli swoich jedynie tylko Niemcom zawdzięcza: toż inne miasta polskie (2. 24). Rudawski to człowiek zupełnie wynarodowiony, nie umie czuć i myśleć po polsku. Wmieszaniu się Austrii przypisuje to, że Polska wyszła cało z wojny szwedzkiej: umarł cesarz Ferdynand, a więc nastąpił i ostateczny prawie upadek Polski (2. 230). Wierzy na oślep elektorom niemieckim, którzy utrzymują, że Polacy są niewdzięczni względem Rzeszy (2. 230). Wojskom polskim ciągle wyrzuca to i owo, wtenczas kiedy niemieckie są wzorem męstwa, odwagi, poświęcenia się i zapału (2. 238). Polacy łamią u niego prawo narodów (2. 301), a cesarz tymczasem za bezcen ofiaruje im pomoc. Pułk jeden polski więcej zje, jak te pieniądze, które Rplita cesarzowi za pomoc zapłaciła (2. 231). Aż nikiemnością trąca jego rozumowania, że Polacy zgwałcili traktat wiedeński, i że Austryaków, co wdzięczność im byli winni, przed całym światem potwarzami obrzucali (2. 260). Ale bo też w istocie, Polacy nie świętego nie uznawali: oto np. ktoby zgadł, że przez łaskę Austrii posiadali Prusy, to jest najpiękniejszą część Niemiec, która bezpośrednio od wieków do cesarstwa należała; Niemcy tam mieszkali i po niemiecku wciąż mówili,

i uznawali się za część Niemiec (2. 18). Gdyby nie pokrewieństwa rakuskie królów polskich, cesarz dawnoby wziął co swoje. Rudawski jednak mniej szlachetny od cesarza, bo dziwił się ministrom domu austriackiego, że dotąd tak mało na Prusy zwracali baczenia (2. 18). Prusy to okrasa Niemiec (T. 1. str. 85 86, i 2gi str. 17). Rudawski jest tak wynarodowiony, że fałszuje nawet stosunki Rplitéj, wprowadza do nas rzeczy i pojęcia nigdy niebywale. Każdy pan polski jest grafem u niego i tak ich zowie: nie zapomni nigdy o kanclerzu Ossolińskim, o Radziwille, i o którymkolwiek z utytułowanych Polaków, dodać, że to książę świętego cesarstwa; i ten tytuł nawet więcéj u niego znaczy, jak wszystkie dostojności i zaszczyty. Na Polaków więc patrzy jak na poddanych i urzędników austriackich, jak na sztandesherów; nie rozumie praw naszych, to jest patrzy na nie ze stanowiska zbyt cudzego. Kto za prawem ob staje, u niego nazywa się gwałtowny (1. 180). Wreszcie nawet wojsko polskie zaciągu niemieckiego jest niezwycięzone: przymiotnik, jaki się hussarzom i pancernym naszym nigdy nie dostał (1. 31). Byłoby wszystko śmieszne, gdyby nie było bolesne, gdyby Rudawskiego nie przychodziło nam uważać za przeniewiercę.

Jakiż będzie kunszt jego historyczny, który tak wysoko cenić się zdaje Gołębiowski? Podług naszego widzenia rzeczy, kunszt ten wcale niewielki. Rudawski głównie żyje materyałami, które in crudo wciąga do swojego dzieła. Są w nim wszystkie mowy, a przynajmniej wiele z nich, które posłowie miewali na sejmach konwokacyjnym i elekcyjnym po śmierci Władysława IV. Jest nawet przysięga Jana Kazimierza przy koronacji z akt wypisana, a raczéj z księgi praw; przysięga, która naturalnie nic nowego w sobie nie zawiera do historyi swojego czasu, bo była zwyczajną aryngą, rotą (1. 62). Cała obrzędowość koronacji i sejmów tutaj wpisana. Są całe krom tego akta. Z początku to jeszcze dosyć Rudawski opowiada, ale widać się zmęczył pod koniec: bez żadnego skrupułu wpisuje do swojej historyi wszystkie urzędowe akta, układy w Welawie, w Lubece, albo w Oliwie, tak że cały tom 2-gi w wydaniu Wolffa, przepelniony temi rzeczami, jest więcéj kodexem dyplomatycznym w rodzaju Dogiela, jak prawdziwą historyą. Mało sympatyczna jest dla nas ta jego praca. Rudawski pisał téz głównie dla Niemców, nie dla Polaków: ztąd te częste w nim objaśnienia, te ustępy, np. co to znaczy sejm (1. 45); co to są starostwa? (1. 106). i. t. d. Nie podobają się mu sejniki polskie i sejmikowanie w ogóle. Sejmu wcale niepoehlebny skreślił obraz. Czasem przez drażliwość, którój się w nim dziwimy, nie rozwija szerzej swoich pomysłów; instrukcyj sejmikowych nie przytacza w całości, gdyż się boi obudzić śmiech w cudzoziemcach (1. 171). Stawi się zatem na ogromnej względem rodaków swoich wysokości,

pojadł wszystkie rozumy; wolno mu cenzurować, lajać, sprawdzian sądu ma w samym sobie. W inném miejscu wyraził się więcej stanowczo: nie przytacza tych a tych postanowień, aby nie sądzono, że spisuje głupstwa (1. 198). Takie docinki większém jeszcze złem były jak może naga prawda, która tylko w oczach uprzedzonego człowieka, tak strasznie głupio i śmiesznie wyglądała. Zresztą jako nowy dowód braku historycznego kunsztu w Rudawskim i to zapiszem, że raz wraz przechodzi dziejopis nasz od rzeczy do rzeczy, nie troszczy się o związek, o logikę; opowiada tak jak mu wypada, jak ma zebrane wiadomości, jak bogate są jego materiały. Od wojny przejdzie nagle do spraw domowych, z Krakowa jednym razem przeskoczy do Torunia. Dla cudzoziemców téż bawi się w częste ustępy, które mają na celu opisywanie miast polskich. Tak opisał np. Lwów, Łowicz, Halicz, Poznań, Warszawę i t. d. W opisie Warszawy zastanowiła nas jedna rzecz. Historyk opowiada, że przed wojną szwedzką liczyła 200,000 mieszkańców: a więc kiedy nam się zdaje, że stolica królestwa dzisiaj najświetniejsze chwile swojego życia liczy, że dzisiaj jest tak ludną jak nigdy, świadectwo Rudawskiego jawnie pokazuje, że Warszawa miała kiedyś przed wieki czasy swoje od dzisiejszych jeszcze świetniejsze (1. 307).

Erudycją ma Rudawski wielką: lubi porównania faktów historycznych polskich z historią i literaturą grecką i łacińską. Persy, Macedony, Pyrrus, Antygon, nawet Olimp, wychodzą na scenę w jego dziele. Jużto rzeczywiście człowiek uczony. Nie żałuje epitetów ludowi polskiemu; każdemu z większych osób, głośniejszych życiem lub wpływem, coś się zawsze z tych okrucich erudycyi dostało. Każdy otrzymał tytuł i nazwisko jakiego sławnego bohatera. Są i tacy, co po dwa nazwiska podostawiali: np. ksiązę Hieremi. Nie idzie Rudawskiemu o trafne porównanie, ale o styl, o powagę; lepiej się mu wydaje bohater w togę przybrany, napuszony z rzymska. Do tego ma i ten zwyczaj fatalny nasz Rudawski, że nazwiska ludowe bohaterów gmiennych, tłumaczy na język łaciński. Tu zasada historyka winna. Może historia podług niego prawić o książętach i hetmanach, którzy grafami, herzogami w cesarstwie świętém byli; ale jak może tknąć się tych stref niskich, tego błota, co przy ziemi? Dlatego zamiast powiedzieć coś o Poltorakożuchu, watażce kozackim, Rudawski rozprawia o jakimś bohaterze, którego nie zna żadna historia. Pod piórem urodził mu się Sesquipellis, tak jakoś zgrabnie, tak niechący.

Są to wszystko wady Rudawskiego, ale ma téż autor nasz i swoje zalety. Nie mogło być inaczej. Napisał dwa ogromne tomy (w obecném wydaniu Wolffa) o siedmiu, ośmiu latach politycznego żywota Rplitéj. Był świadkiem wypadków, na które

patrzył: na dworze polskim Jana Kazimierza miał stosunki; przechwała się też swoją rodziną i z wpływami, które naturalnie rozciągał poza kulisami Rplitéj w gabinetach, w intrygach Maryi Ludwiki. Sam cel pisania żeby wypadki i pamięć o nich przechować do odległej potomności, dowodzą, że Rudawski był zkadynąd człowiekiem dobrej wiary; i że chciał się o ile go na to stać było, wywiązać się z długu, jaki zaciągnął względem swojego społeczeństwa. Głównie mu chodziło o spisanie wypadków wojny kozackiej, od niej zaczął; ale opowiadanie swoje dociągnął aż do pokoju Oliwskiego. Starał się widać skrupulatnie o dowody, o akta spóczesne. Obfitość tych aktów jest powodem, że płała rzeczy obce do historii polskiej: prawi np. o stosunkach Danii ze Szwecją. Wiele jest innych takich wtrętów, ale to dowód, że chciał być dokładnym, lubo przez to wygląda jak naszpikowany zając; prócz tego czerpał wiadomości swoje z listów prywatnych osób (cytuje np. list biskupa krakowskiego o klęsce pod Batowem T. 1 str. 191). A co grunt, dostarczają mu materiału plotki dworskie. Pomimo tego jednak, Rudawski jest prawdomówny: nie oszczędza Maryi Ludwiki; jawnie owszem wyznaje, że małżeństwo Władysława z nią było nieszczęśliwe dla narodu polskiego (1. 61.) W aktach też, które cytuje, mamy dowody, jak królowa spiskowała z elektorem brandeburskim w czasie wojny szwedzkiej, dlatego, żeby ulubioną sobie elekeją przyprowadzić do skutku. W ogóle Rudawski, wszędzie gdzie tylko nie wchodzi na plac interes austriacki, broni Rplitéj i ujmuje się dosyć żywo za nią. Nie darował też Rudawski i panom polskim i surowo ich karcie: wyrzuca im, że przewaga drobniejszej miernego urodzenia szlachty i rządu króla cudzoziemca są dla nich nieznośne, złe i podejrzane; że cnota szlachecka, w ich przekonaniu szeląga niewarta; radby nawet widział pod tym względem pewną reformę w Rplitéj: dowodzi, że cnoty obywatelskie powinnyby ludzi wynosić (1. 35). Chce, żeby lepiej było w kraju polskim pod każdym względem. Oburza się więc na marnowanie starostw, które idą na młokosów, niewiasty, lub najnędzniejszych ludzi. Opisuje bezprawia jakie się dzieją przy wydzieraniu koronie tych starostw (1. 107). Ztąd wyrosła w Polsce rozrzutność. Charakterystyczną jest anegdotka, którą Rudawski z tego powodu przytacza: podskarbi wielki (nie przywodzi nazwiska) na sejmie ubolewał raz za jego czasów, że skarb królewski 300,000 złotych na swoje wydatki zebrać nie potrafi, a tymczasem on sam, pan podskarbi, rocznie kosztował Rplité 400,000 złotych (1. 108). Widzielibyśmy w tych wszystkich rozumowaniach Rudawskiego dowód odwagi, gdyby już wtedy potrzebował czego od panów polskich, mając utrzymanie w Austrii. Bądź co bądź, zawsze będzie to wszystko dowodem prawdomówności jego i szlachetności serca.

Historya polska Rudawskiego jest więc nietylko zbiorem ciekawych faktów i pełno ma rzeczy nieznanych, ale jest do tego jeszcze niby kursem moralności publicznej. Zasluguje na czytelników w każdym razie. Historya wojen kozackich nie obejdzie się, gdyby ją kto chciał spisać, bez Rudawskiego. Historya wojny szwedzkiej także. Rozsypana tam moc w całym dziele spostrzeżeń, zbliżeń, szczegółów. Materiał to bardzo cenny. Z drugiej strony, notując błędy ówczesnego rządu, wady w urzędzeniu społeczeńskim, ciekawa jest ta historya podwójnie, bo rozbiera i krytykuje; rozważa to raz, a drugi raz pokazuje nam co społeczeństwo o formie rządu polskiego myśleli, i zdradza te myśli reformy, które wtedy po głowach się snuły. Nie miał celu Rudawski pisać traktatów politycznych. Słabości narodowych dotykał mimochodem, a jednak wszystkie te rady, które podaje, zdają nam się daleko praktyczniejsze nad intrygi elekcyjne Maryi Ludwicy, które miały doprowadzić do celu; a jednak jego utyskiwania na bezrząd, pewno prędzej miały szlachetniejsze pobudki, jak pobudki Maryi Ludwicy. Żeby zreformować rząd, chciał Rudawski podnieść naprzód moralność narodu szlacheckiego, a królowa wielkie złe mnożyła jeszcze siejąc intrygami i psując tego i owego sama; każąc charakter narodowy chciała, by ślepi opatrzyl się a byli mędrsi. Były to marzenia z jednej i z drugiej strony: fakta rozwijały tylko życie, które być miało; ale patrząc na pobudki działań ludzkich, oceniamy też szlachetne ich strony.

Historyk cywilizacyi wiele znajdzie w Rudawskim. Nie mówim już o faktach zewnętrznego życia narodu, ale wewnętrznego. Fakta te poczerpnięte są z zapatrywania się bezstronnego na ludzi i czasy. Chociaż nie lubi Piaseckiego za Austryą, oddaje mu sprawiedliwość za charakter i za prawdę, jakimi biskup słynął. Powiada też, że oskarżony przez panów o potwarz, uległ wspólnej dla wszystkich prawych historyków w narodzie polskim obeldze (1. 78). Przyznając to, że Polska chorowała na prawa (1. 95.), nastęrczał myślącemu zaraz zdanie mówcy rzymskiego, że w zepsutych Rplitych najwięcej jest praw. Nasze prawa rozlewały się szeroko po świecie. Widział sam Rudawski konstytucye nasze sprzedawane w Paryżu, a podobno sprzedawano je za jego czasów i w Carogrodzie. Polskę nazywał Rplitą magnacką, a króla sługą panów (1. 99). Potocki hetman umawiając się w obozie z Kozakami, bał się na siebie ściągać, chociaż sam panem był, oburzenia magnatów. Panów nie obchodziła wojna i klęski Rplitęj, aby im było dobrze. Tajemnica stanu żadna w Polsce utrzymać się nie mogła. (Tu naturalnie Rudawski z zasady nie mógł być zwolennikiem jawności polskiej). Widział już upadek zupełny Polski i powiadał, że cudem jego ojczyzna egzystuje (1. 100). Nowy stan rzeczy no-

we téż wyradzał formy. Opowiada Rudawski jak raz na sejmie opierał się uchwałom pewien możnowładca, bo dbał przede wszystkim o własne korzyści: ale gorliwi o Rplitę szlachta przeciwni i wtedy sejm szczęśliwie doszedł (1. 127). Światło są téż bardzo uwagi Rudawskiego, w których cenzuruje pozory szwedzkie, jakie Karól Gustaw miał do wojny, nareszcie pomysły Oxenstierny względem Prus; jak radził swojemu królowi panować po obudwu brzegach morza Bałtyckiego, północnym i południowym, coby Szwecyą na pierwszego rzędu mocarstwo wyniosło. Bardzo to są rzeczy ważne jako fakta do cywilizacji Rplitej za czasów Zygmunta Wazy (2. 18). Massy tutaj rzeczy nie dotknęliśmy, które znajdują się li tylko wyłącznie w Rudawskim.

Dotkniemy tylko kilku jeszcze szczegółów:

Radziejowski z Rudawskiego pokazuje się wcale niewinnym: namiętność chwilowa zabardzo oczerniła tego człowieka. Złe robił Radziejowski, że na kraj prowadził Szwedów i że szczerze im służył. Ale są takie charaktery, są takie zaslepiające czasem pewne usposobienia moralne, namiętności. Winien ten, kto dał pierwszy do upadku niewinnym ludziom powód; tutaj król był winien najoczywiściej: Rudawski spółczesny tym rzeczom, choć na panów się gniewa, na Radziejowskiego nie rzuca piorunów. Do tego wniosku, że podkanclerzy nie tyle był winny, ile sądzono dotąd, przychodzi Stanisław Lisowski, który jego żywot chciał pisać i zebrał ile wiemy obszerne ku temu materyały. Gdzie są? Szkodaby ich było dla nauki, gdyby się rozproszyły znowu gdzie po rękach. Ciekawy mamy szczegół w Rudawskim, że król dawał Radziejowskiemu na niewiele dni przed ową główną sprawą, która podkanclerzego zgubiła, kasztelanią krakowską (1. 178), a więc nie tak źle go widział, kiedy go pierwszym krzesłem senatorskim chciał ułagodzić. Podkanclerzy odmówił, i to może jedna więcej przyczyna, która rozdmuchała ogień wojny pomiędzy Radziejowskim a królem. Nie rozwikłany téż jest dobrze stosunek Radziejowskiego z kozakami. Wieści były, że do nich ze Sztokolmu pisał; że ich do buntu i do poddania się Szwecyi nakłaniał; wymagał po nich nawet, żeby posłów swoich do Sztokolmu co prędzej nadesłali. Listy te Radziejowskiego przejęto, kiedy złapano sługę jego Jasińskiego, który wioził listy do Kozaków. Ale Radziejowski zapierał się tych układów i dowodził w uroczystym manifestie, że to nowa przeciwko niemu intryga stronnictwa dworskiego, żeby go więcej przed szlachtą ohydzić. Bądź co bądź, nie wiemy jak o tém sądzić. Wprawdzie w Pamiętnikach, które wydała Kommissya archeograficzna kijowska (a o których w Bibliotece Warszawskiej na czerwiec r. b. pisaliśmy), pomiędzy papierami Swidzińskiego wydrukowano list Radziejowskiego z d. 30 maja

1652 do Kozaków ze Sztokolmu (T. 3. str. 10), ale kto zaręczy że list ten prawdziwy? Swidziński nie miał autentyku i jedynie tylko dwie kopie z biblioteki szchorowskiéj i krzemienieckéj: list ten kursował pewnie w licznych odpisach po ówczesnéj Polsce, więc niedziw, że znaleźć się tu i owdzie może; ależ czy to dowód że niezmyślony? Oryginał jeden tylko mógłby rzecz podnieść do godności niezaprzeczonego faktu, ale tego dotąd nie znaleziono. W Rudawskim ciekawe rzeczy o tym Jasińskim (2. 212), ale to nie jednakże nie objaśnia rzeczy.

Materyały zebrane przez Lisowskiego do życiorysu sławnego ministra, rozjaśniłyby niezawodnie głębię jego duszy. Nie mówim tego stanowczo, bośmy wyłącznie za nim nie śledzili, ale przecież czytaliśmy o nim dosyć; dlatego mamy téż pewne poszlaki, po których o charakterze Radziejowskiego sądzić możemy. Król najwięcej w téj oplakanéj sprawie zawinił: ważne są dla nas świadectwa Rudawskiego, który panią Radziejowską nazywa złośliwą kobietą, drapieżną tygrysią; który króla jawnie o intrygę oskarża, nawet wymienia jakiegoś Tyzenhauzena domownika dworskiego, młodego człowieka, a bezczelnego w mowie, który zwykł klócić stadła małżeńskie w interesie dworu, że tutaj rolę bezecną odgrywał (1. 171). Król oskarżył najniewinniej człowieka, potem shańbił go i na śmiech wystawił; potem krzywo i nikiennie potępił. Król popełnił wielką niesprawiedliwość: jakto dziwić się, że Radziejowski stracił cierpliwość? Człowiek do wysokiego stopnia namiętny, w gruncie mógł najlepiej życzyć ojczyźnie. Uniesiony gniewem, chciał się zemścić na królu, a nie mogąc tego dopiąć inaczéj, wojnę szwedzką rozpałił. To był jeden fałszywy krok jego, za którym potem poszły inne. Ale Radziejowski chciał tylko upokorzyć króla i tronu go pozbawić. Kiedy Jan Kaz. ustąpił na Szląsk, Radziejowski pracuje na nowo dla ojczyzny. Należał on także, zdaje się, do rzędu tych ludzi, którzyto o reformach zbawionych dla Rplitéj marzyli. Nagle myśl mu błysnęła, że Polska może być szczęśliwą w połączeniu ze Szwecyą; że może w sojuszu tym naprawi niejedno złe, które miała w sobie. Otóż wszystkie czyny Radziejowskiego ku temu celowi wyłącznie skierowane. Taka unia dwóch narodów byłaby tylko w osobie monarchy: dla Polski jako zasada, nie byłaby to żadna nowość. Tak się Rplita unią wiązała z Węgrami i Czechami, tak potem splotła się z Litwą, nareszcie Zygmunt III był jakiś czas królem polskim i szwedzkim razem. Co się nie udało Zygmuntowi, mogło się udać Karolowi Gustawowi. Polska nie byłaby przez to wcale prowincyą Szwecyi, jak Szwecya Polski; i byłyby te dwa państwa rządziły się osobno, tylko jednego pana władzęby uznawały nad sobą. Jeżeli nie pojmował dobrze tego nowego położenia, które się wyrabiało na północy Karól Gustaw,

pojmuwał go dobrze Radziejowski. Zręcznie téż napiął sieci. Szlachta wielkopolska uznaje Szweda opiekunem swoim, konfederuje się, opuszcza Jana Kazimierza; nie była to klęska z jednej strony, a z drugiej zwycięstwo, ale fakt czysto dobrowolnej ugody. Tak samo i Litwa z hetmanem Radziwiłłem odszczepia się od jedności i konfederuje się obok Wielkopolski ze Szwecyą. Pobudki Radziwiłła mniej są czyste, owszem hetman ten wiele winien i musi odpowiadać za to przed potomnością: osobistością oddycha, stroi się w tytuły feldmarszałkowskie, w Polsce nieznane; przywłaszcza sobie dyktaturę w Litwie, ale trudno w samym fakcie ugody jego ze Szwecyą nie widzieć podobieństwa do faktu, jaki miał miejsce pod Ujściem. Litwa w tém jedynie wykracza, że zrywa jawnie jedność Rplitéj, łącząc się ze zwycięzcą szwedzkim i że uważa się już za odrębną całość od Korony; ale warowała sobie jednak w faktach poddania się, że nigdy król szwedzki nie użyje jéj do wojny z Polską. Litwa zmieniała sojusz wieczysty; miała go dotąd z koroną polską, i teraz go ma także z koroną, ale już ze szwedzką. Kiedy Wielkopolska oddała się pod opiekę Szweda, przykład dawała reszcie Rplitéj i pociągała za sobą do naśladowania inne dwa kawaly kraju polskiego. Litwa zdzierła historią, zabijała się sama przez intrygę hetmańską. Myśli Radziejowskiego nie pojął, jak powiedzieliśmy, dumny Szwed, i był uznany za protektora chwilowego Polski (nowa godność w kraju naszym, ale pospolita wtedy, bo i elektor brandeburski ogłaszał się protektorem Prus, z zasady, że w mętnej wodzie najlepiej łowić ryby), a jemu się zdawało, że był zdobywcą i zwycięzcą. Szlachta domagała się wolnej elekcji króla, a król na pałasz wskazał i rzekł szlachcie, że ten go wybrał na tron polski. Więc bardzo naturalnie, Polska, która się jeszcze wtedy czuła na siłach, nie dała sobie w kaszę dmuchać, i Szweda na karkach swoich do Szwecyi wyniosła.

Radziejowskiego gniew po niewczasie minął. Chciał być pośrednikiem pomiędzy Rplitą a Szwedem, nie udało się; więc po długich latach wygnania zatęsknił do ojczyzny. Przywrócony do praw obywatelskich pragnął winę swoją przejścia do wrogów zagładzić, chociaż to na dobre Polsce wyszło, że był czas jakiś razem z jéj wrogami, bo niejedno dobre wpływem swoim sprawił u Karola Gustawa. Wrócił i został, jedni powiadają wojewodą lubelskim, drudzy że inflanckim. Prosił zaraz króla o pracę. Jan Kazimierz wyprawił go posłem do Turcyi. Mamy właśnie przed sobą relacyą jego poselstwa, relacyą, którą już zdawał po jego śmierci Wysocki sekretarz, cześnik sochaczewski (1668). Radziejowski ujmował się z energią i z godnością, która wyraźnie wskazuje na charakter i serce dobrze dla ojczyzny usposobione; upominał się za prawami Rplitéj. A nie taka to łatwa rzecz była wtedy rokować z Turcyą. Porta stała jeszcze na samym szczy-

cie swojej wielkości, jeszcze groziła Europie; jeszcze nie złamały jej Chocim, Wiedeń i Karłowice. Było to na lat kilka przed ową pamiętną chwilą, w której Porta zwała się na Rplitę i zabrała jej Ukrainę i Podole, a rozpościerała się po Zadnieprzu. Dumą i fanatyzmem rozzłoszczonym świeżo dyszała. Radziejowski umawiał się tedy z barbarzyństwem wśród obozu pod Adryanopolem, pod bokiem sultana, z ludźmi, którzy żadnych praw ludzkich i boskich szanować nie umieli i nie chcieli. Wiedział czém to pachnie. Grozili mu Turcy. To nie męża wielkiej duszy nie zachwiało. Szedł śmiało na niebezpieczeństwo, aby ojczyźnie usłużyć. Pewno za błąd swój chciał odpokutować. Głos jego śmiały, otwarty, szlachetny był. Turcy go uwięzili, ale rozważa po chwili im wróciła. Już Radziejowski był bliski zwycięstwa, kiedy zdrczony, zbolący przyszłemi klęskami ojczyzny, które przewidywał, po krótkiej chorobie zakończył życie w obozie tureckim dnia 8 sierpnia 1667. Charakter to zacny i wyższy, co się do błędów przyznaje i z upadku się dźwiga.

Z okoliczności jeszcze Czarnieckiego, którego plany wojenne cenzuruje Rudawski, powiemy słów kilka o taktyce i strategii polskiej.

Uważaliśmy obronę Krakowa w r. 1655 przeciw Szwedom za czyn wysokiego poświęcenia się i męztwa: listy Desnoyersa w Portofolio Maryi Ludwiki pokazują, że nie tak obronę tę pojmowali spółcześni, kiedy przypisywali Czarnieckiemu zdradę i nieczułość na losy kraju. Domyślano się wtedy, że Szwedzi kochali za coś obronę Krakowa, co naturalnie trąci potwarzą. Ztémwszystkiém nie zawadzi jednak wiedzieć, że spółcześni robili zarzuty Czarnieckiemu za boje krakowskie ze Szwedami. W 1656 r. Czarniecki rozwija męztwo i budzi z odrętwienia naród. Rudawski jak pod każdym względem tak i tutaj razi bogactwem faktów: ale nie o tém rzecz. Uważaliśmy w Czarnieckim dotąd dzielnego tylko partyzanta, awanturniczego najazdnika. Wszyscy wieley wodzowie nasi z epoki królów obieralnych, najazdami tylko walczyli. Taktyka, strategia była to dla nich rzecz obca. Nie tworzyli planów, nie układali z góry wielkich wypraw wojennych. Walczyli z dnia na dzień, na chybił traf. Męztwo ich zadziwiało, poświęcenie się nie miało granic. Ale po większej części, prowadzili dorywcze tylko wojny. Nie dojrzeć w nich wojennego gieniuszu. Inaczej być i nie mogło prawie: dowodzili szlachtą sobie równą, więc bezkarną. Ale wielki wódz i z tą szlachtą poradziłby sobie i ją do zwycięstwa umiałby poprowadzić. Cóż? kiedy nasza metoda wojowania była czysto polska, i jakeśmy się wyrazili, z dnia na dzień służyła. Takiemi byli hetmani nasi. Z ich liczby ledwie kilka imion wyliczylibyśmy zdołali, co stanowią wyjątek. Winni byli temu i królowie, bo dawali często buławy zasłużonym obywatelom

kraju, ale nie wojownikom. Buława była w Polsce najpięrszym zaszczytem: hetman piastował po królu może pięrszą godność w narodzie. Desnoyers serdecznie ubolewa nad niskim stanem sztuki wojennej u nas. Powiada, że generał francuzki dokazałby tu cudów i prędko skończył ze Szwedami wojnę. Wierzym Desnoyersowi. Szwedzi od siebie całemi morzami kraju poprzedzielani, bez zasobów, bez sprzymierzeńców, jak mogli całe dwa lata burmistrzować w kraju, od Poznania do Witebska, od Gdańska do Krakowa i Chocima? Mogli, ale to dlatego, że Polacy mieli zły sposób wojowania. Żadne zwycięztwo nasze nie miało skutków. Karol Gustaw pobity w jedném miejscu, podnosił się w drugim, jakby nic. Generał ze szkoły Turena, Condé, i Vaubana, nie pozwoliłby tak wrogowi rosnać po zwycięztwie.

Czarneckiego, powiadamy więc, mieliśmy także za najezdnicę, za dzielnego partyzanta; Desnoyers przekonał nas inaczej. Miał Stefan pomysły swoje, które pokazywały w nim wodza, ale zawsze dorywcze walki, to było jego pole. Ślicznym fortelem zamknął on króla szwedzkiego w cyplu pomiędzy Sanem a Wisłą: przeprawy wszystkie na obudwu rzekach były w ręku polskim, i król się w żaden sposób wysliznąć nie mógł. A tymczasem od Lublina z Litwinami nadciągał Paweł Sapieha; od strony Mazowsza, kierując się także ku Lublinowi, Alexander Koniecpolski z kwarcianami, którzy porzucili służbę szwedzką; sam zaś Czarniecki od południa przed czołem Gustawa ze strony Rusi nadstawiał pierś, a od zachodu Jerzy Lubomirski, Wojniłowicz, Żegocki i konfederaci wielkopolscy. Szwed był otoczony i głodemby zginął, bo odsieczy spodziewać się nie mógł: nieumiejętność zepsuła wszystko.

Ale te pomysły cechujące wielkiego wodza, raz się tylko objawiły w Czarnieckim nad Sanem. Później plany jego i wyprawy tak były niezręczne, że je, jak powiada Rudawski, surowo ganiła cała Europa (2. 91).

Powiemy jeszcze słów kilka o samém tłumaczeniu. Tu przyjdzie nam ocenić pracę pana Spasowicza.

Imię młodego uczonego znane nam oddawna, ale spotykamy go dopiero pięrszy raz pracującego dla nas i na polu historii polskiej. Zawód uczonego rozpoczął nawet pan Spasowicz nie w naszej literaturze. Było to dnia 23 listopada 1851 r. kiedy bronił rozprawy swojej na stopień magistra prawa narodów, w uniwersytecie petersburskim; 24 grudnia tegoż roku zatwierdzony na tym stopniu przez ministra oświecenia narodowego. Dla tego aktu napisał wtenczas rzecz o prawach pawilonu neutralnego. Wprawdzie każde państwo morskie ma swoje osobne pod tym względem przepisy, które stanowią polityczną stronę przedmiotu, ale dlatego rzeczą jest niemniej ciekawą i ważną poznać teorię pawilonu neutralnego. Ztąd naszego

uczonego rozprawa jest dokładnym streszczeniem trzydziestu celniejszych dzieł w tym przedmiocie; młody autor studyował poprzedników swoich i rozwijał własne pomysły, dowody i wnioski. Rozprawa ta dzieli się na trzy części: pierwsza mówi o neutralności i zdobyczy wojennej na morzu; druga przedstawia historią i rozwój zasady, to jest dzieje swobody pawilonu neutralnego. Ta ostatnia część zawiera trzy poddziały: a) od początku średnich wieków aż do XVII wieku; b) od początku XVII wieku aż do chwili, kiedy pierwszy raz ogłaszano zasadę neutralności zbrojnej, to jest do roku 1780; c) aż do naszych czasów. Bardzo wielki interes autor potrafił przelać na dzieje neutralności zbrojnej, na zasadę, której w ciągu trzech lat niespełna, zgodziło się ośm morskich państw Europy. Ciekawy też jest przegląd traktatów morskich różnych mocarstw, nawzajem pomiędzy sobą, aż do roku 1843 włącznie. Nakoniec w trzeciej części mieści się zakończenie, w którym autor z powodu, że traktaty te są rozmaite i niezupełne, i że autorowie bardzo się różnią w zdaniach co do tego przedmiotu, szuka w abstrakcyjnych zasadach nauki rozwiązania dwóch ważnych zagadnień: najprzód, jakiemu losowi winny podlegać rzeczy nieprzyjacielskie, znalezione na okręcie neutralnym? I wyprowadza wniosek, że zajęcie ich tak samo ubliża jak prawom państwa neutralnego, tak i prawom prywatnej własności neutralnego kapitana. Powtóre, jaki los winien być udziałem neutralnych składów, które znalezione na okręcie nieprzyjacielskim? Autor dowodzi, że cały skład powinien być wolny i że w żadnym razie nie ulega konfiskacie, chyba że stanowi kontrabandę. Rozprawa pana Spasowicza wyszła niedawno w Petersburgu po rosyjsku pod tytułem: „O prawach neutralnego flaga i neutralnego gruzu. Raszuzdenje na stepen magistra, Władimira Spasowicza.“ Wyszło z drukarni departamentu handlu wewnętrznego, w 8-ce, zawiera stronnic X i 114. Kosztuje rsr. 1. Dając sprawę o tém dziełku Zbornik morski, który wydaje z urzędu uczony komitet pod prezydencją admirała Rikorda (Nr. 12 z r. 1851), powiada, że rozprawa pana Spasowicza stanowi zupełny i piękny summaryusz faktów i rzeczy o neutralności na morzach. Pan Spasowicz prócz tego znany jest naszej publiczności z artykułów pomieszczonych w Pamiętniku Podbereskiego.

Pierwszą tę pracę ojczystej poświęconą literaturze musimy przyjąć ze spółzuciem i zachętą. Chcielibyśmy, żeby pan Spasowicz i dalej na tém polu pracował i zbierał wawrzyny. Dlatego trudno nam wstrzymać się od kilku życzliwych przestroóg. Język jego niedosyć czysty: są russyzmy (chartia, biskup Wałachii i t. d. ale i Syrokomla Wołoszczyznę Wałachią nazywał). Są wyrażenia i słowa całkiem łacińskie, na których oznaczenie mamy swoje lepsze: np. immunitaty. Ale błędy języka,

to błędy formy: nauce samój nie szkodzą. Przykrzój więc nam widzieć błędy tłumaczenia, które widać mają podwójne źródło: raz płyną z samego tłumaczenia, drugi raz z niebardzo starannój korekty. Biorąc się do przekładu Rudawskiego winien był p. Spasowicz obeznać się nietylko z autorem, ale i z przedmiotem. Niedosyć umieć po łacinie, żeby kroniki łacisko-polskie tłumaczyć. Celem wydania Wolffowskiego jest przecie rozpowszechnić historią, to jest naukę, ale nie rozpowszechnić błędów. Człowiek fachowy łatwo postrzeże błąd w złém zacytowaniu np. jakiego nazwiska; dla niego więc książki te nie stracone, lubo uczony prędkiej się do oryginału ucieknie jeżeli go ma pod ręką: ale kto się ma uczyć np. z Rudawskiego historyi Jana Kazimierza, przez błędne tłumaczenie wiele z niego nauczy się błędów. Clara tumba np. jestto Mogiła pod Krakowem i opat jój nie będzie, jak to p. Spasowicz tłumaczy opatem jasnogrobskim, jakiego nigdy w Polsce nie bywało, ale opatem mogińskim. Parczewski nie był przełożony nad biskupstwem wileńskim (co to jest?), ale praepositus tłumaczy się poprostu proboszcz, był więc proboszczem katedralnym wileńskim (1, 78). Książd Starczewski, referendarz nie został wielkim pisarzem, ale wielkim sekretarzem; pisarstwo było urząd mniejszy od referendaryi i secretarius po łacinie nie jest to po polsku pisarz (t. I. — 221). Lubomirski żaden nigdy nie był kanclerzem (1. 183). Myłek w nazwiskach jest ogromnie wiele. Nie wylczylibyśmy ich nigdy i próżna to byłaby praca i niepożyteczna. Starosta kaliski bierze się tutaj za kałuskiego (1.—73). Za Mszczonów powtarza się Mszanów (1.—178); przekręconych takich nazwisk wiele. Danielowicze zamiast Daniłowicze, za Dowgiałło jest Borajgąło (2.—164). Dziwne wreszcie losy biédnego Jewłaszewskiego kasztelana smoleńskiego, autora traktatów hadziackich; nikt go dobrze wymienić nie potrafi, okropnie wszyscy przekręcają jego nazwisko. W Jerliczu drukowanym są aż cztery warianty jego nazwiska, w Rudawskim także ten kasztelan jak Prometeusz ciągle się zmienia i t. d.

Za to artykuł wstępny pana Spasowicza o Rudawskim i jego kronice pokazuje, że literatura historyczna może się spodziewać od niego sumiennych prac, pociągających czasem obrazowoscia, czasem nawet głębszą i poważniejszą myślą, aby tylko dłuższe studia na téj drodze otwały młodemu, pełnemu zdolności i dobrej chęci autorowi, wejście do świętego przybytku nauki.

Dnia 7 czerwca 1855 r.

Julian Bartoszewicz.

Jan III pod Wiedniem.

.....Jeśli miecz wzniosą ludzie święci,
To nie z dobczy, nie złej chęci,
Lecz aby brzmiały świata strony
Niech będzie Chrystus pochwalony.
T. L.

P. Ciemniwski wydał temi czasy poszyt rysunków a u *trait*, litografowanych przez Fajansa, składający się z sześciu podłużnych małego formatu tablic. Wyobrażono na nich wjazd Jana III pod Wiedeń, po sławném zwycięztwie d. 13 września 1683 r. Dwie główne grupy przedstawił twórca tych rysunków: jedna stanowi poczet niejako tryumfalny — Sobieskiego; druga reprezentuje Wiedeńczyków idących na spotkanie swego zbawcy. Choć nie było przeznaczeniem niniejszego zbioru, aby doskonałością artystyczną celował, bo i pomysł sam niecałkiem dokładnie zrozumieć się daje, i wydanie téż tak skromne. że zaledwo zdobyto się dotąd na zwykle o niém w „Kurjerze“ doniesienie; to jednak ze względu na sam temat w litografiach tych rozwinięty, winniśmy bliżej z niemi się zaznajomić.

Ogólną cechą rzeczonych rysunków jest, zdaje się, emblematyzm. Pracę wydawcy możnaby wziąć za jakiś projekt do płaskorzeźb; ale gdyby tak rzeczywiście być miało, pewne zmiany stałyby się tu koniecznymi.—Kolo namiotu, którego kawałek widzimy na rysunku, przeciąga konwój Jana III. Zabity Tatar z włosami po chińsku w kosmyk zwiniętymi, odarty z wszelkich szat, leży nieżywy na ziemi. Dalej potoczyła się kula kalibrowa; dokonała ona już przeznaczenia swego: zniszczyła co zniszczyć miała, a teraz leży spokojnie, i przechodnie bez szwanku ją potrącają. Jeździec jakiś, niedającój się określić narodowości, w czapeczce o wiewającém z cudzoziemska piórku, z szablą w rękę, w kurtce czy we fraku, bo trudno to rozeznąć, harcuje na wspinającym się rumaku. Przed nim, idący pieszo kontuszowiec, prowadzi objuczonego wielbłąda. Cztery muły także prowadzone, ciągną wóz z trofeami. A trofeów tych snadź dużo być musiało, skoro na jednej osadzie pomieszczono trzy armaty, paize, dziryty, kołczany, łuki, zbroje, topory, sztandary, zakrzywione szable i zawoje, co wszystko osłonięte jest zdobytym na Turku namiotem, a w układzie nie najlżej wygląda. Przed wozem znów jeździec wyprzedza konia wezyrskiego, ze wszystkim ryszunkiem, przez giermka prowadzonego. Poczet pieszych pędzi przed sobą Turków w niewolę wziętych. Następnie konno widzimy kopijników, surmaków, chorążego, hussarzy, przyłbicą zakrytego rycerza w zbroi, dwóch widno przedniejszych z drużyny, gdyż blisko króla jadą. Wyprzedza ten cały

zastęp młodzian w czamarce pod szyję spiętą w rogatywce z piórem, a tuż przed nim sam bohater, Jan III. Pod bok ujął się monarcha; pancerz pierś mu osłania, hełm zakończony skrzydlatym zwierzątkiem, okrywa jego głowę, u boku spada prosty, krótki miecz starożytnego kroju; koń, którego dosiadł, po fantazji poznajesz że turecki, bogatym czaprakiem, napierśnikiem i uździennicą zdobny.

Przed królem idzie naród oswobodzony: niewiasty, starcy, młódź i pacholeta. Stargane pęta które jeden z tej grupy w górę unosi, wskazują, że już im nie zagraża jassyr turecki, że zostali „*liberi in libera patria*“.

Tu się poczyna zastęp stanowiący drugą część rysunków. Duchowienstwo z krzyżem idzie na spotkanie pogromcy muzulmanów; dostojnik jakiś kościoła z pastorałem, toż i mnichy zakonne. Tuż za nimi niemieckie pany z odkrytą głową, chleb a sól niosąc postępują, dalej kilku konno; w znak danku takż unoszą w górę kapelusze i czapki, więc ludu czereda za ich przykładem podobnie czyni. Baszta jakas, musi być do wiedeńskich należąca fortyfikacyi, jest ostatnim, niemym tej uroczystej chwili świadkiem. W końcu, symboliczny anioł, atletycznej postawy, ma się rozumieć *in naturalibus*, podnosi wieniec dębowy prawicą, w lewej zaś ręce „*nobilem palmam*“ godło zwycięstwa dzierży; a sława w postaci siedzącej niewiasty, zapisuje w księdze dziejów przesławne one zwycięstwa, wraz z imieniem jego sprawcy. Aniołek małoletni klęcząc u stóp bogini, podtrzymuje tę wiekopomną księgę.

W rysunkach tego rodzaju, co niniejszy p. Ciemnowskiego zbiorek, dwojakiej, zdaje nam się, należałoby się trzymać drogi: albo wiernie kopiować postaci osób historycznych, stroje, przybory i t. p. słowem przedstawiać na rysunku rzecz daną tak, jak się ona iście według dziejów miała; albo też wszystko emblematyzując, poubierać rycerstwo w starożytne togi i koturny, zachowując tylko celniejszych figur podobieństwo twarzy, i wtedy przyzwać w pomoc całą grecką lub rzymską mitologią, dla zupełnego uwieńczenia wyobrażonej ważnej jakiej, pewnego bohatera na rysunku chwili. P. Ciemn. pomieszał z sobą to oboje, przez co mniemamy, praca jego wiele straciła. I tak np. skoro na przyjęcie Jana III występuje duchowienstwo chrześcijańskie z godłem zbawienia, dość to już chwały i zaszczytu dla zwycięzcy; obejdzie się więc więc tym samym bez owej do kronik imię Sobieskiego zapisującej bogini. Sam król w liście, (1) z namiotów wezyrskich do najukochańszej Marysienki pisanym, wyraża się: „*Bóg i pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięz-*

(1) *List 9-ty* w zbiorze wydania Edwarda Raczyńskiego. Warszawa, 1824 r.

two i sławę narodowi naszemu, o jaki wieki przeszłe nie sły-
szaly.“ Te słów kilka najlepszym są tłumaczem, jak przodkowie
nasi wszystko na chwałę Bożą i w imię Boże przedsiębrali; jak
więc tém samém myśl święta, a nie czczego rozgłosu pycha, ser-
ca im krzepiła, gdy w boju potykać się mieli z niewiernymi.
Skoro tak było w życiu, tak téż powinno być i w poezyi i w sztuce.
Nasze starodawne poezye ugodziły nieraz w ten sens, dla-
czegoż zaś w wizerunkach ma on być z uwagi opuszczonym?
Przypomnijmy sobie uaprzykład, jakto stary Chodkiewicz
w chocimskiej potrzebie zażywał przemowy do rycerstwa
swego (1).

„A ty o wielki Boże! który jedném słowem
Wodzisz wojsk miliony, przeto obozowém
Panem się słusznie zowiesz;

Pokaż swoją moc w naszej niedoładze lichiej,
Zepchnij nieprzyjacioły swoje dzisiaj z pychy.
Oni liczbie tak wielkiej, wozom, koniom, a my
W tobie tylko jedyny Boże nasz ufamy.
Racz podrzć wielkich grzechów naszych katalogi,
Wéź im serca, a nam daj; pokrusz im ostrogi;
Niech się im łuki łamią, niech im szabla ztępie,
Daj cześć swemu imieniu, w tym ludzi zastępie.“

Kochowski w dziele: „Commentarius de bello con-
tra Turcas apud Viennam a. 1683“ nadmienia, że w świe-
tnym dniu zwycięstwa dla monarchy i narodu, król nosił kontusz
sukienny niebieski, a żupan biały jedwabny, i na dzielnym ru-
maku płowej maści jeździł. Poprzedzał króla giermek, puklerz
w kształcie herbownej tarczy (Janiny) noszący, i chorąży,
który dla oznaki, gdzie się król znajdował, przymocnił był do
proporca swego, pióro sokoła. Królewic Jakób, nieodstępny oj-
ca w krwawej potrzebie towarzysz, a jak sam Jan III do żony
pisał: „Fanfanik brave au dernier point“, miał szyszak
na głowie, zbroję na piersiach, szpadę u boku, a pod udem,
zwyczajem przodków naszych, szablę krótką i szeroką. W opi-
sywanych zaś rysunkach nie ma nic tego wszystkiego: Sobieski
w zbroi, a Fanfanik w czamarce i rogatywce. Zdaje nam się
bowiem, iż nim to właśnie ma być ów młodzian zaraz za królem
na koniu pędzący. Koń królewski najlepiej udał się w rysunku;
inne są fatalne: nogi, karki, wysokość ich, nieproporcjonalne.
Nie zachowano cechy, któraby po pierwszym rzucie oka dała po-
znać, że karty te wjazd Jana III pod Wiedeń wyobrażają. Odej-
mijmy tu naczelnego wodza wyprawy, a nikt po reszcie nie zga-
dnie, co to za ludzie są, co z sobą tureckie trofea wiozą. Choć
się tu i owdzie znajdują wąsacze z wylotami; choć niby karabele
trzymają w ręku, a skrzydła jeden z jezdnych ma z tyłu przy-

(1) Wojna Chocimska, poemat bohaterski. Lwów, 1850, str. 197.

pięte: to wszystko jednak nie jest wyobrażone tak, żeby się bez komentarza obeszło. Baszta nawet dziwacznie wygląda; ani w niej blank, ani strzelnic nie ma.

Zbyt surowo sędzimy może te litografie; ależ wypowiedzieć szczerą prawdę za obowiązek sobie poczytaliśmy. Intencya dobra w dokonaniu jakiego przedsięwzięcia pewno wiele znaczy, aleć wszystkiego jeszcze nie stanowi. Nie potrzebujemy obszernie rozwodzić się tu nad tém, coby to za piękne rysunki na tenże sam temat potworzyć można było, przeczytawszy uważnie chociażby same tylko listy Jana III. Najwięksi mistrze sztuki mieliby nad czém z chlubą pracować. Czemuż nie mamy swojego Kaulbacha, któryby nam na podobieństwo sławnej jego „bitwy Hunnów“ rozprawę pod Wiedniem odmalował. Czemu o tém nie pomysłeli dotąd nasi młodzi artyści?...

I. Z.

Volksliederquellen in der deutschen Litteratur, von Kertbeny.
(Halle. Druck und Verlag von H. W. Schmidt. 1851).

Choć upłynęło już lat kilka od czasu wydania broszurki pod powyższym tytułem, gdy atoli takowa przed niedawnym dopiero czasem w księgarniach się warszawskich ukazała, a do tego w nader szczupłej liczbie egzemplarzy: ze względu więc na to, jak również i na przedmiot w pismku tém traktowany, uznaliśmy właściwem, bliżej z niém badaczy i miłośników poezyi ludowej zaznajomić.

Z przedślowia dowiadujemy się, że wieloletnie zajmowanie się pieśniami ludu, dając z jednej strony poznać dokładnie autorowi tę gałąź piśmiennictwa, ukazało mu zarazem z drugiej na zupełny brak bibliograficznych spisów, któreby badaczowi poezyi ludowej całą pełnię téj dziedziny ukazać zdołały, a tém samém stanowiły wskazówkę, czego jeszcze na tém polu nie dokonano. To skłoniło p. Kertbeny do osobistych szperań i poszukiwań, których początkowy owoc dla pożytku literackiego w opisywanej zgromadził broszurce. Chociaż autor uważa swój wskaźnik za nader niedostateczny, dosyć jednakże znajdujemy w nim spisów dzieł bliżej piśmiennictwo polskie obchodzących, a zapewne nie wielom znanych. Zbiorek ten na dwa główne rozpada się działy. Pierwszy wymienia pieśni ludu albo oryginalnie niemieckie, albo téż na niemiecki tłumaczone; drugi zaś, wydania poetycznych ludowych zbiorów, w kilku obcych narzeczach. Kertbeny w pożytecznej swéj pracy dotyla jest sumiennym

i ścisłym, że gwiazdkami odróżnia tytuły książek, które mu z napisu tylko są znane; co do innych zaś, to jest takich, które sam miał w rękę, zupełną na siebie przyjmuje odpowiedzialność za niemyślność wiadomości, jakie o nich podaje. Główne oddziały tego katalogu są następujące: Giermański, Romański. Słowiański. Magyarski, Nowogrecki, Baskijski, Celtycki, Arabski, Mongolski, Chiński, Czerkaski i Malajski. Wszędzie niemiecki porządek i systematyczność godna naśladowania w naszych niepoprawnie i bezładnie prawie wydawanych dotąd katalogach.

Nie miejsce potemu, abyśmy tu wiele nęcących dzieł zagranicznych literatur, z nadpisów wymieniali; ograniczamy się tylko wyliczeniem słowiańskich i litewskich. Samych wydań Królodworskiego rękopisu aż cztery wymienia Kertbeny: 1) Przekład W. A. Swobody (wyd. w Pradze, 1829); 2) hr. Leon Thun (tamże, 1845); 3) drukowane w r. 1846 w Lipskim zbiorku poezyj Maurycego Hartmana, 4) pragskie z r. 1843 w językach polskim, czeskim, rosyjskim, iliryskim, kraińskim, serbskim, niemieckim i angielskim. Nie oglądaliśmy tego wydania, Kertbeny oznaczył je gwiazdką, a zatem z wieści tylko znać je musi. Jeżeli zaś takowe rzeczywiście istnieje, to przez wzgląd na połączenie tytułu pokrewnych sobie narzeczy, i porównawcze przedstawienie różnorodnych tłumaczeń, dla filologów nader byłoby ważnem i ciekawem. Zbiór poezyj czeskich p. t. *Blüthen neuböhmischer Poesie*“ przekładu J. Wenziga, wyszedł w Pradze r. 1833. Narodowe pieśni czeskie przełożono także na jęz. niem. i drukiem ogłoszono w Pradze r. 1845. Znana zaś niemiecka autorka Ida von Dürengsfeld, wydała w r. 1851 w Wrocławiu, narodowe czeskie pieśni: p. n.: *Böhmische Rosen*.“

Z małoruskich i polskich zbiorów wylicza Kertbeny dzieła:
„Die poetische Ukraine“ małoruskie pieśni ludu, tłumaczone p. Fr. Bodenstedta, Stuttgart, 1845.

„Balalaika“, polnische und kleinrussische Volksweisen, tłum. W. Waldbrühla. Lipsk 1848;

„Volkslieder der Polen“ tłum. W. P. Lipsk, 1833.

„Krakowiaken“ (Krakauer Tanzliedchen?) F. A. Märkera; przy tym zbiorze Kertbeny odsyła czytelnika do dzieła *Dioskuren*, wydanego w 2 t. w Berlinie (1836—37) przez Teodora Mund'a.

Serbskie narodowe pieśni, tłumaczyli na niem. i wydawali:

P. von Goetze w Petersburgu (1827), Gerhard w Lipsku (1828 t. 2), Teresa v. Jakobs zamężna Robinson, znana pod pseudonimem Talvi, w Halli (1835 t. 2), A. Benedickt, z komentarzami, w Wiedniu (1851), F. Uhl w Lipsku (t. r.). Pieśni p. t. *Gusle* A. Frankl w Wiedniu (1851); Serbskie sagi bohaterkie p. t. *Marko Kraljewitsch*, Dr. J. N. Vogl w Wiedniu 1851, wreszcie pieśni weselne. E. E. Wesely, w Peszcie r. 1826,

Do oddziału Słowian, Kertbeny zalicza Litwinów, Letów, Estów, Finnów, Wendów, mieszkańców Krainy i Wasser-Polaków. Podobne pomieszanie z sobą oddzielnych szczepów, najlepiej przekonywa, jak mało dzieje Słowian znane są jeszcze reszcie Europy. Ale mniejsza o te omyłki, idźmy dalej za śladem spisów. Z litewskich zbiorów na niem. tłumaczonych, wspomniane tu są: *Dainos*, czyli pieś. lud. litewskie. przez Rhesa. Berlin, 1843. *Lith. Volkslied*. W. Jordana, Berlin 1844; także Filipa Rhugisa i Michaelisa, pierwsze wyd. w Królewcu w roku 1745 w zbiorze: „*Betrachtungen der lithauischen Sprache*“, a drugie w Giessen r. 1780, pomiędzy: „*Michaelis scherzhafte Lieder*“. Ale znów natrafiamy tu na wątpliwość: Kertbeny bowiem oznacza gwiazdką tytuł: „*Lithauen, seine aelteste Geschichte, Einrichtungen, Sitten, Volkslieder. u. s. w. von J. I. Kraszewski. Iter. Bd.*“ rok i miejsce wydania nie podane. A tak możemy co do tego punktu dwojaki zrobić przypuszczenie: albo Kertbeny słyszał o tłumaczeniu dzieła Kraszewskiego, wydanego w r. 1850 w Warszawie, p. t. „*Litwa, Starożytne dzieje, ustawa, język, wiara, obyczaje, pieśni, przysłowia, podania*“ i t. d. t. 2; albo też pod niem edycją polską chce rozumieć.

Pod Lettami wypisano tytuły dwóch pism, w których zamieszczane były poezye ludowe tego plemienia: 1. „*Magazin, herausgegeben von der Lettisch-Litterarischen Gesellschaft.* (t. 5 Mitawa, 1835) i „*Ueber lettische Volkslieder von C. C. Ulmann, w piśmie „Dorpater Jahrbücher tom 2 (Dorpat i Ryga 1834).*

„*Volkslieder der Wenden*“ w wyższej i niższej Luzacyi, tłumaczyli i wydali wraz z oryginałem L. Haupt i J. E. Schmalzer, t. 2 (Grimma 1841—44).

„*Volkslieder aus Krain*“ wydał w przekładzie Anastazy Grün (Lipsk, 1850).

„*Wasserpolarische Volks-Lieder*“ tłum. Max. Waldau, i zamieścił w *Deutsches Museum*“ piśmie wydawaném przez R. Prutza i W. Wolfsohna, poszyt 7 (Lipsk, 1851).

Z ogólnych zbiorów o poezyi ludowej słowiańskiej, wymieniono tu wreszcie trzy;

„*Slavische-Volkslieder, z rosyjskiego, czeskiego, słowackiego i bułgarskiego przełożył J. Wenzig. Halle, 1830.*

„*Slavische Melodien*“ opracowane p. Siegfrieda Kapper, Lipsk 1844. i „*Volkslieder aller Slaven*“ oryginały wraz z przekładem Chelakowsky (Czelakowski) t. 3. Praga, 1821—27.

Okazuje się z szeregu wymienionych powyżej tytułów, że Kertbeny nic a nic prawie nie wie o polskich zbiorach poezyi ludowej.

W odezwie swój do miłośników badań ludowych, uprasza on o nadsyłanie sobie wszelkich uwag, poprawek i nowych wska-

zań do tego przedmiotu odnoszących się. Szczególniej obchodzą go zbiory takie, które już w niemieckim jęz. drukiem ogłoszono. Pośrednikiem do podobnych literackich znoszeń, autor katalogu wyznacza nakładową księgarnię F. L. Herbiga w Lipsku. Ciąg dalszy swęj pracy przyrzeka wkrótce znowu wydać; użala się wreszcie nad zbiorami poezyj ludowych, które dotąd w rękopisach pozostają i łatwo przez to zatraceniu uleż mogą. Pomiedzy niemi nadmienia także o zbiorze pieśni słowiańskich z melodyjami w posiadaniu Dra Kopetschei w Wiedniu i Wasserpolskich, z których niektóre wyjątki Hauenschildt ogłosił, lecz gdzie, niewiadomo.

Z prac literackich samego Kertbenego o jednej tylko wiemy; jest nią przekład wyboru pieśni ludowych węgierskich, w Darmstad, r. 1851 drukiem ogłoszony.

Kiedy przy dzisiejszém rozgałęzieniu naszego piśmiennictwa niejednokrotnie pracownicy nasi do obcych źródeł udawać się muszą, bądź to dla poznania literatur cudzoziemskich, bądź téż dla czynienia nam z nich sprawozdań lub porównawczych poglądów: podanie do wiadomości publicznej o katalogu Kertbenego, może być niejednemu przydatném. Zresztą chociażby nikt nie miał korzystać z rozproszonych po nim wiadomości o obcych poezji ludowej zbiorach; to sam wzgląd na to, że tam także mowa o słowiańskich, zniewala nas do niniejszego wspomnienia.

I. Z.

Kościoly warszawskie rzymsko - katolickie, opisane pod względem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. Wizerunki kościołów i celniejsze w nich nagrobki, rytował na drzewie Michał Starkman. Zeszyt I. Warszawa. W drukarni S. Orgelbranda. 1855 r.

Tak jak niedawno autor niewiadomy w „Czasie” krakowskim, wyliczając rozmaite źródła do dziejów polskich, słuszne wielce uczynił postrzeżenie: że cudzoziemcy po większej części pierwszą przykładali rękę do gromadzenia naszych materyałów historycznych; tak téż niemniej prawdziwém byłoby wyrzeczenie: że każda nieomal zbiorowa publikacya nasza, czy to wyłącznie literacka, czy téż literacko-artystyczna, ba! nawet pojedyncze powieści, dramata i inne tym podobne utwory, dokonywają się na normę takich samych wydań zagranicznych niemieckich lub francuzkich. To naśladownictwo w pomysłach, na-

szym edycjom bynajmniej nie uwłacza, i żadnego wpływu na ich wewnętrzną wartość mieć nie może. Niepodobna jednak mimochodem chociaż, by nie zwrócić uwagi na fakt często się powtarzający, a w zasadzie przynoszący to dwojakie przekonanie: 1) że albo nam własnych nie starczy pomysłów do innowacji; 2) lub téż, że w ucywilizowanym Zachodzie taka już mnogość pism w każdym zakresie wiedzy ludzkiej i nauki, że gdzie się tylko ruszmy, do czego się tylko tchniem, nie sposób, abysmy w tym rodzaju czegoś podobnego u obcych już nie znaleźli. Nie będę stawiał na to przykładów, każdy łatwo i podostatkiem takowe znajdzie; powiem tylko, że do téj samej kategorii zaliczyć się również daje, dzieło obecnie wydawane w Warszawie, „Opis kościołów katolickich“ z drzeworytami. Mamy właśnie pod ręką książkę pod napisem „Les eglises de Paris“ (Paris 1843). Edycja ozdobna z pięknymi rycinami na stali. Tekst składkowy. L'abbé Pascal napisał wstęp do dzieła w duchu religijno-historycznym. Zastanawia się on w nim nad znaczeniem kościoła w społeczeństwie; żywymi barwami skreśla wpływ zbawienny religii na ludzkość; z radością spogląda na przebyta przez naród swój epokę niedowiarstwa i odstępstwa od świętych katolicyzmu przepisów; przechodzi następnie do kształtowania się religijnej władzy i hierarchii; wykazuje jej stosunek ze świeckimi; rozbiera znaczenie wyrazów: proboszcz, parafia; dotyka nawet architektury kościelnej; wykazuje przeważające w niej te lub inne pierwiastki ducha, i ogólnem skreśleniem podziału i atrybucyi probostw i kościołów paryzkich rzecz swoją zakończy. Opisy kościołów są po większej części przez kapłanów dokonane.

Nie będziem tu wyliczać pojedynczych nazwisk, które się na to dzieło składały, bo to rzecz dla nas mniejszej wagi. Chcielibyśmy tylko wskazać, jaka znakomita łatwość i prędkość w wydawnictwie dzieł treści zbiorowej, wtenczas osiągnąć się daje, kiedy nie jeden, lecz kilku lub kilkunastu nawet uczonych nad niemi pracują. U nas Kościoły będą wydawane dłużej niż przez rok cały; za granicą, kompletne dzieło w jednej chwili prawie ukończone i w obieg puszczone. Przewlekłe ciągnięcie się wydawnictwa dzieł, korzystnie na ich rozpowszechnienie wpływać nie może. Wié to doskonale każdy, chociażby niewiele tylko z księgarskim ruchem obeznany. Ale u nas inaczej być nie może: o powodach tego niżej powiemy. Jeśli tu stawiamy porównanie naszego wydania z dziełem obcym, to nie dla czego innego, jak tylko dla wskazania, żeśmy właśnie lepiej a nie gorzej krzątać się około tego powinni, w czém już mamy pewien wzór, pozwalający nam z łatwością przyswajać sobie pomysły dobre a poprawiać gorsze. Przejęci szczerem współczuciem dla publikacji zakresem i treścią u nas zupełnie nową,

podjętej i dokonywającej się za popędem zacnej i do szlache-nych celów dążącej myśli, wyrzekniem tu o niej to, co szczere nakazuje przekonanie. A ponieważ po codziennych pismach naszych zamieszczono już niektóre nad „Kościółami warszawskimi” uwagi: obowiązkiem więc naszym dotknąć głównie tej strony, która w nich najmniej rozwinięta została, A naprzód co do samego tekstu.

Zestawienie w jedną całość rozproszonych Bóg wie gdzie wiadomości, odnoszących się do kościołów naszych, materyałów, stanowiących rudim et indigestam molem, jest już wielką zasługą, godną wdzięczności miłośników rzeczy krajowych. Cóż dopiero, kiedy do nich przybywa obfity plon poszukiwań własnych, zupełnie nowych, tak jak to właśnie w obecnym razie ma miejsce. Bartoszewicz należy do rzędu tych sumiennych pracowników, co czytelnikowi odrazu wskazują, z kąd jaki fakt wyjęli; gdzie szukać anteryorów do obrabianego przez nich przedmiotu, i czego się po ich dziele czytelnik spodziewać może. Powiedział autor w samym prospekcie, że nie daje zupełnej historii kościołów warszawskich, iż więcej to szkice jak całkowite obrazy, dlatego właśnie, że zakres pisma ograniczony. Rzecz więc naturalna, że tu fakt po fakcie się tłoczy; że nie miejsce na krasomowcze okresy, na sceny opisowe, które wprawdzie mogą bardziej podnieść opisy, ale im rzeczywistiej, to jest historycznej wartości nie przydadzą. A tego właśnie zdawało się wymagać po B. jedno z pism warszawskich.

Najprzód uprzątnąć nam się należy z tém, co główniejsze, a dopiero czas będzie pomyśleć o przystrojeniach. Jednemu trudno podolać w takim przedsięwzięciu.

Bartoszewicz mógłby postępować w pracy swój wolniej, a dwa razy obszerniej pisać; ale w takim razie kiedyżbyśmy się całego dzieła doczekali? Niewielu dotąd naszych kapłanów odznacza się dbałością o zbieranie historycznych krajowych pamiątek, chociażby tylko z samemi świątyniami Pańskimi wiążących się; tych zaś, co wyjątek w tej mierze stanowią, na palcachbys policzył. Do Bartoszewicza zatem słusznie można tym razem przystosować zdanie: bis dat, qui citto dat.

Ponieważ jak najmocniej jesteśmy przekonani, że autorowi miłym będzie, każdy chociażby najdrobniejszy szczegół z jego przedmiotem wiążący się: dzielimy się przeto z nim kilka drobnych faktami dotyczącemi kościoła św. Jana, a nigdzie dotąd nie wspomnianemi. Szukając kiedyś potrzebnych nam wiadomości w archiwum wydziału kontrolli przy Kommissyi rządowej przychodów i skarbu, natrafiliśmy na wolumen, w którym między innemi znajdowały się trzy dyplomata pargaminowe, dobrze zachowane z pieczęciami i podpisami:

1) Obejmował zatwierdzenie bractwa miłosierdzia przez Łukasza Kościeleckiego biskupa poznańskiego. Nastąpiło to na prośbę Jana Kochlera, kustosza; Tomasza Hori kanonika warsz.; Baltazara Stanisławskiego kuchmistrza J. król. Mei.; Franciszka Szeligi burmistrza i Klemensa Apotekariusza rajcy warszawskiego. Bractwo tegoż nazwiska ustanowioném było poprzednio w Krakowie przez kardynała Aldobrandiniego, który od Syxtusa V papieża do Zygmunta III w poselstwo przyjechał. W Warszawie bractwo to odbywało nabożeństwo w kaplicy Wniebowzięcia N. M. Panny przy kollegiacie św. Jana. Zatwierdzenie wydane w Warszawie d. 16 sierpnia 1590 r. w przytomności Alberta Obronickiego, Skora de Gaj kanclerza, Łukasza Widziorzewskiego kano. kol. katedr. pozn., Jerzego Osieckiego, Mateusza Jasińskiego i Wawrzyńca Słupskiego. Podpis biskupa kontrasygnował Tomasz Kopiński J. U. D.

2) Drugim przywilejem Andrzej na Szóldrach Szóldrski. takż poznański biskup daje feria quinta ante festum s. Francisci conf. Mensis Octobri r. 1641 jus patronatus praesentandi ad Altare B. V. M. bractwu miłosierdzia. Przywilej wydany w skutek prośby znanego kanonika warszawskiego Jędrzeja Chawłoz, obojga praw doktora, członka bractwa. Fundatorem ołtarza B. V. M. był Kasper Wilk wójt warszawski, a wspomniane jus praesentandi przywiązane było kiedyś do Marcina Podgórskiego, skarbnika Anny Jagiellonki; ostatnio zaś do Honorata Piotra Doroszewskiego starszego ławnika Starego Miasta Warszawy, „praedictaeque confraternitatis amantissimi confratris et conciliarii”. Przywilej kontrasygnował Michał Hebdowski.

3) Dyplomata króla Jana Kazimierza wystawiony w Warszawie d. 20 grudnia 1649 r. przez króla, i jego sekretarza Tomasza Ujejskiego podpisany, zatwierdzający przywilej Zygmunta III, którym dom wspomnionego wyżej bractwa z sąsiedztwa i położenia oznaczony, od ciężarów publicznych uwolnionym zostaje.

Ani wątpić, że przy skrzętném i systematyczném poszukiwaniu, w témże samém archiwum znalazłoby się daleko więcej ważniejszych dokumentów, mających jakową z kościołami naszego miasta łączność.

Co się tyczy drzeworytów, pociesza nas ta okoliczność, że w czasie w którym jedyny nasz dotąd drzeworytnik Wincenty Smokowski opuścił Warszawę, i przeniósł się w zaniemeńskie okolice, przybywa nam drugi, Warszawiak rodem, za granicą w sztuce kształcony, p. Starkman. Illustrowane Kościoły rozpoczynają szereg prac, któremi nas obdarzyć zamysła. Illustracje te, o ile pod samym drzeworytniczym względem zadawalniająco są wykonane, o tyle znów pod względem rysunkowym

grzeszą. Szczególniej w wizerunkach Kościołów brak perspektywy linearnéj widoczny; ten, który kościoły rysował, nie zdołał uchwycić najlepszego ocznego punktu, z którego całość korzystniej wydawać się może; nagrobki jedne niepokojone, inne znów zbyt małe: te i tamte nie zdolne wyobrazić rzetelną piękność, która je w rzeczywistości odznacza.

Jeśli p. Starkman dba choć cokolwiek o powodzenie swego nakładu, jeśli pragnie żeby jego pożyteczna praca, i jemu i nam obfite przyniosła owoce: niechaj jak najrychlej wyszuka sobie zdolnego rysownika. Nietrzeba bowiem o tém zapominać, że nasza publiczność wcale pobłażliwą nie jest; że sądzi wszystko surowiej może, aniżeli by należało: szczególniej zaś, że zwykła wiele wymagać od artystów, co powrócili z za granicy, i ufni w ten rekomendacyjny tytuł a priori uwielbianemi być pragną. Niechno p. St. zechce tylko spojrzeć, choćby na okładkę Biblioteki starożytnej pisarzy polskich, która z pod ręki Smokowskiego wyszła. Kontury może tam niezbyt delikatne, ale charakter właściwy zachowany wszędzie. Ow zadumany kmiołek z młotem w ręku, u stóp starodawnych zwalisk, jaki malowniczy; stary bandurzysta przygrywający dziatwie, jaki poważny, a dzieci jak pociesznie gapiowate; hussarz, kopijnik i wąsaty szlachcic wyglądają zamaszycie: znać, że rysunek z biegłej pochodzi ręki. Publikacya p. Starkmana, jako późniejsza, winna znamionować zupełny postęp w krajowém drzeworytnictwie. Pragnęlibyśmy téż z serca, aby go ona w dalszych poezytach okazała.

I. Z.



ROZMAITOŚCI.

Wspomnienie Juliana Korsaka.

Literatura i społeczność nasza poniosły nader dotkliwą stratę w osobie ś. p. *Juliana Korsaka*, zmarłego po kilku-miesięcznej chorobie, dnia 30 sierpnia w Nowogródku, gdzie czasowie dla kuracji przebywał. Zaslugi jego jako pisarza, poety, znane są i uznane powszechnie; krytyka i czytająca publiczność oddały jednozgodny hołd wysokiemu jego talentowi, wzniosłym polotom myśli, wykształconemu na wzorach starożytnych smakowi, i mistrzowskiemu władaniu formą wiersza i językiem. Ale ktokolwiek znał go osobiście, przyznać musi, że mimo wszelkich artystycznych swych zalet, poezye jego nie odbiły jeszcze w sobie tych wszystkich promieni, jakimi serce jego i dusza jaśniały. Z najtkliwszą czułością serca połączony, stateczny i niczém niezachwiany charakter, z obszerną i głęboką nauką; ujmująca prostota i skromność, ze szczerą i żywą wiarą, niemniej szczerą i żywą miłość bliźniego, której czynem we wszystkich swych rodzinnych i społecznych stosunkach dowodził:—oto są charakterystyczne cechy, znamionujące całe jego życie, które mu ogólny szacunek i przychylność ziomków jednały, a żal po nim w sercach bliższych przyjaciół, czynią zarówno gorącym i stałym, jak była ich przyjaźń za życia. Urodzony w roku 1807, po odbyciu nauk szkolnych w Szczuczynie, a uniwersyteckich w Wilnie, przez kilka lat następnych (1826—1830) przebywał częścią w Warszawie, częścią w St. Petersburgu, gdzie się z nięzmordowanym zapalem dalszemu naukowemu kształceniu oddawał. Powołany przez śmierć ojca do zarządu odziedziczonego po nim w powiecie słonimskim majątku, i wkrótce potem zaufaniem współobywateli wyniesiony na urząd prezydenta powiatowego granicznego sądu, spełniał go gorliwie i chlubnie przez oznaczony prawem przeciąg czasu; po upływie którego, wymówiwszy się od dalszych zaszczy-

tów, wrócił do swój wiejskiej zaciszy, i zawarłszy szczęśliwe śluby, odtąd już resztę życia poświęcił wyłącznie obowiązkom gospodarza i opiekuna swych włości, tudzież literackim zajęciom. Dzieła jego ogłoszone drukiem są: *Poezye*, tom jeden, (St. Petersburg, 1830); *Lara*, poemat Lorda Byrona, (Wilno, 1836); i *Nowe poezye* tomów dwa, (Wilno 1840), zawierające: przekład tragedyi Szekspira *Romeo i Julia*, *Twardowski Czarnoksiężnik*, *Dyalog dramatyczny*, *Kamoens w szpitalu*, i różne poezye ulotne. Najważniejszém atoli jego dziełem, najpiękniejszym pomnikiem życia jego, talentu i sławy, jest przekład *Boskiej komedyi* Danta, nad którym około lat dziesięciu pracował, i który całkiem przygotowany do druku w rękopiśmie po sobie zostawił. Przejęty i uniesiony duchem wielkiego arcy-mistrza poezyi chrześcijańskiej, nie samą tylko literacką swą chwałę miał za cel w sumiennój swój pracy. Oto jest, co w tym przedmiocie sam w przemowie swojej powiada: „Czytanie *Boskiej komedyi* Danta z przejęciem się i miłością, rozmyślanie nad jój zewnętrzną poetyczną pięknnością i nad wewnętrznym jój duchem religijnym, pomimowoli w czytelniku rozwija uczucie piękna, prawdy i dobra; a że te jedne tylko zdolne są uduchowić ziemskie życie człowieka, podnieść go do godności wewnętrznej doskonałego chrześcianina; téj przeto myśli, temu chrześcijańskiemu współczuciu, ażeby te trzy boskie idee: piękna, prawdy i dobra, rozbudzić w sercach czytelników moich, winienem piérwszy bodziec tłumaczenia *Boskiej komedyi* i wytrwanie, za łaską Bożą, w tak wielkiej pracy”. Słowa te najwidooczniej sprawdziły się na nim samym: duch jego, w zetknięciu się z gieniuszem Danta, wyraźnie nową siłę, i jakoby bierzmowanie otrzymał. Wszystkie pojęcia i myśli, wszystkie zgoła potęgi duchowe wzmogły się w nim i rozwinęły na skalę i w kierunku śpiewaka wieczności. Niezbadana wola Opatrzności nie dozwoliła mu stosować ich długo w życiu tego świata; lecz zastosował je w ostatniem przedśmiertném cierpieniu, znosząc je z niezachwianą cierpliwością, słodyczą i pokorą; lecz zastosował je w ostatnich godzinach życia, gdy po przyjęciu świętych Sakramentów, z całą jeszcze przytomnością umysłu patrzył w oblicze nadchodzącej śmierci, a żalem i skruczą przejęty, z chrześcijańską zarazem odwagą i pokojem duszy, gotował się i poszedł stanąć na sąd Miłosierdzia.

A. E. O.

Wspomnienie o Janie Bazylim Tomickim.

W rzędzie ludzi, co już należą do przeszłości, wielu rozgłośniej i świetniej odbywało pielgrzymkę żywota, ale mało kto sumiennie od s. p. Tomickiego wywiązał się z zadania życia

i ściślejszą zachował równowagę pomiędzy zdolnością i siłą do pracy a jej rezultatem. A nie są słowa nasze czczą formułą nekrologową: bo zaświadczą ci wszyscy, wśród których on żył i umarł, że w tém szlachetném życiu nie było ani chwili daremnie straconej, zużytej na bezowocnej vegetacyi; ani chwili, któraby odrywała myśli nieboszczyka od dobra ogółu, rękę od dobrych uczynków. Zapisał się on niestartemi głoskami w pamięci tych, co z nim jakiegokolwiek przyjaźni, czy interesu, blizkie, czy dalekie miewali stosunki; ztémwszystkiém, i dlatego właśnie sądzimy, że im przyjemnie będzie dowiedzieć się niektórych o nim szczegółów, tém bardziej, że zmarły należał do tych, co radzi milczą o sobie, a jeśli mówią, to tylko czynami.

Urodził się on w r. 1780 na Czerwonój Rusi, w miejscu gdzie wody Stryju i Oporu zbiegają się razem. Po odbyciu kursu nauk elementarnych udał się do uniwersytetu krakowskiego, gdzie skończywszy wydział lekarski, uzyskał stopień doktora medycyny w roku 1808; o czém zaświadcza wydany mu po ukończeniu patent i duplikat tegoż, wyjęty umyślnie przez Tomickiego wówczas, gdy Kraków należał już do księstwa Warszawskiego, datowany 20 kwietnia 1813 r. W lat dwa po wyjściu z uniwersytetu, tojest w r. 1810, Tomicki zaciągnął się do służby wojskowej, jako urzędnik zdrowia klasy 1 w wojsku byłego księstwa Warszawskiego, i odtąd po różnych krajach i w różnych kolejach dzielił losy tegoż wojska nieodstępnie, aż do roku 1815, w którymto roku posunięty naprzód na sztab-lekarza w pułku 4tym ułanów b. wojska Królestwa Polskiego, otrzymał następnie w dniu 31 maja żądane z powodu słabości zdrowia uwolnienie. Rezultatem więc jego pierwotnego, a obfitego we wrażenia i pełnego poświęceń zawodu, było nadwerężone zdrowie i krzyż złoty wojskowy, otrzymany w czasie najgwałtowniejszych burz r. 1813 w Niemczech. Po opuszczeniu służby wojskowej i odzyskaniu sił, Tomicki przedsięwziął oddać się wolnej praktyce, na odbywanie której w obrębie Królestwa Polskiego uzyskał pozwolenie od władzy lekarskiej w r. 1817; i odtąd, stale osiadłszy w Chełmie, oddał się cichój usłudze współmieszkańców. Jako lekarz z równém poświęceniem biegł i pod strzechę słomianą i do pałacu; jako człowiek, nietylko w preparatach aptecznych szukał sposobów ratunku bliźniego, ale wzmacniał je środkami ze swego uczciwego serca wydobytemi: to téż łzy wdzięczności i błogosławieństwa towarzyszyły mu do ostatniej chwili, a dzień 12 maja 1855 r., w którym odprowadzono zwłoki jego na miejsce wiecznego spoczynku, był dniem boleści całej tamecznej okolicy, która po blisko 40 latach traciła w nim przyjaciela, opiekuna, aniola pocieszyciela.

Każdemu zarówno nauką swą w pomoc przychodził, każdemu zarówno serca swego uchylał; ale przedewszyst-

kiem troskliwości jego doznawał ubogi. Takiego, Tomicki nie pozbywał suchą receptą, ale po napisaniu jęj pytał czy ma środki na jęj sporządzenie; a jeżeli było przeciwnie, to się o nie postarał; i lecząc chorego przyjrzał się jego wszystkim potrzebom, i niespokojnym był póty, póki niedostatek tych potrzeb nie przestał być robakiem toczącym spokój domowy jego pacyenta. To, co tu wspominamy jest dziś zapewne tak rzadkiem, że może zdawać się przesadzoném; ale odwołujemy się jeszcze raz do świadectwa okolicy, czyli było inaczej. Tomicki jako lekarz nie poprzestawał na samęj praktyce, ale studyując teorię, szedł za postępem nauki: czytał wiele, i własny pogląd popierając zdobytemi na polu teoretycznych badań wiadomościami, wydał kilka dzieł treści lekarskiej, które w rozmaitych czasach drukiem ogłoszane były.

Lecz nie tu koniec zasług czcigodnego nieboszczyka.

Wszechstronny umysł jego nie mógł poprzestać na pracy odnoszącęj się do jedynejo, i to jeszcze empirycznego przedmiotu. Nie znając innęj rozrywki jak pracę, chwile wolne od głównych, codziennych zajęć poświęcał naukom zupełnie od głównego jego zawodu różnym, a mianowicie badaniom historycznym i literackim. Z prac, które po nim pozostały, wnosić należy, że gdyby się był pierwiastkowo tym tylko przedmiotom, albo jednemu z nich wyłącznie poświęcił, mógłby, jako historyk lub literat znakomite w kraju zająć stanowisko; ale i tak, chociaż Tomicki naukami temi dodatkowo tylko się zajmował, nie powiemy iżby ztąd żadnej korzyści dla ogółu nie było; i zaraz o tém czytelników będziemy się starali przekonać. Z drukowanych dzieł jego w przedmiocie historyi najbardziej znajomém jest: Przetor do rozgmatwania plemion osiedzibiających Sarmacyą i Germanią starożytną. Oprócz dzieł osobno wychodzących, umieszczał także jego rozprawy Przegląd naukowy, którego Tomicki był stałym korespondentem.

Ale najważniejszą pracę jego stanowi właśnie dzieło, które dotąd zostaje w rękopiśmie, a tém jest Słownik polski, mający stanowić dodatek, a raczej uzupełnienie Słownika Lindego. Zamierzył autor, jak się z samego pokazuje dzieła, objąć w niém nietylko te wyrazy, które Linde wcale w swęj pracy pominął, ale nadto i te obszerniej wyjaśnić, których znaczenie jest niedostatecznie w Lindem określone. Jako badacz dziejów starożytnych Tomicki należał do stronnictwa tych, co pierwiastków narodu i języka słowiańskiego poszukują w sanskrycie; to téż dążność ta i w słowniku jego jest przeprowadzoną. Długi on czas tęg pracy poświęcał, bezustanku poprawiał, dodawał, zmieniał, w miarę postępu wyobrażeń; i chcąc właśnie Słownik swój o ile można uczynić dokładnym, tak długo zwlekał z jego wydaniem, mimo zachęty przyjaciół i propozycye czynione mu

przez bibliotekę Ossolińskich: aż oto śmierć przeszkodziła mu ostatecznie wykończyć go, i wydać dla ogólnego pożytku. W Słownik Tomickiego wchodzi wyrazy nietylko używające się w mowie potocznej, ale nadto wszelkie prowincjonalne, historyczne, geograficzne, wszelkie archaizmy i nazwy specjalne. Słowem jestto dzieło wielkiego użytku, dowodzące rozległej wiedzy i niezmordowanej pracy. Aby dać czytelnikom choć cząstkowe o tej pracy wyobrażenie, przytaczamy z niej kilka wyjątków.

Drzewice. Z drzewa wydłubane i ociosane trzewiki, których w czasie słoty, oszczędzając obuwia, używają do obory: są to sandały. Nasi nowozaciężni żołnierze za czasów księstwa Warszawskiego, dawane im skarbowe obuwie nazywali *trzewicami*. Zdaje się, że nazwisko *trzewiki* utarło z nazwy: *drzewiki*; albo téż przeistoczono z wyrazu *trzebiki*, od słowa *trzebić* lub *trzewić*.

Dzielnica. W tych okolicach Polski, w których gromada co drugi rok ogradza caszynę, czyli zasianą część gruntu, wyznacza wójt z radnemi gdzie który gospodarz grodzić ma. Wyznaczona przeto część płotu na jednego kniecia, jest częścią wydzieloną czyli *dzielnicą*.

Gajda (biegus, włóczęga): „Nie można mu dawać chałupy i dworskiej zapomogi, bo to *gajda*; nie osiedzi się na gruncie, strwoni zapomogę i ruszy dalej“. Jak widać, różno-prowincjonalna wymowa z wyrazu: *gajda*, utworzyła używane przez nas: *hajda* (idź precz!); ztąd téż zapewne zniemczonych Lechitów między Elbą i Odrą wyraz *gajen* (iść, chodzić), przeszedł na *gehen*. W sanskryckim języku: *ga*, *gajati*, *hajati*, oznacza iść, chodzić (Majewski. Słownik sanskrycki r. 1816). Do sanskrytem trącającego słowniczka naszych mamek i nianiek należące: *hajty* (pójdziem *hajty*) jest oczywiście sanskryckim *hajati*.

Gaj. U osadników w Germanii starożytniej nazwa *gau* znaczyła obwód, miejsce zjazdu, rozmowy; odpowiadałoby tedy polskiemu *gawęda*. (Maciejowski t. II, część 1, str. 243). Ale ani *gawęda*, ani nawet *gawor* nie są tak zbliżone do znaczenia *gau* jak nasze *gaic* i *gaj*. W starowierstwie osadników Germanii naród był wcielonym bożyszczem. (Tacitus M. G. c. 2), a skład ten sięga odległej starożytności „*vox populi, vox dei*“. To wcielone w naród bożyszcze rozradzało się w potomstwo, to jest w powiaty; a w skutek tego tak u Egipcyan jak u nadwiślańsko-nadelbiańskich Lechitów, każdy powiat miał swego orędownika (wyobrażał w danym godle czczone główne bożyszcze). Jabłonowski, Dzieje starożytne, rok 1743, str. 115. Helmold str. 584. Dla tejże przyczyny w pelazgicznej łacinie trącającej słowianizmami, powiaty zwano

pagi (bagi, bogi), Tomicki, Przetor str. 106. Święty gaj, (bug, gaj), był głównym przybytkiem powiatowego bożyszcza, a tém samym był miejscem skupienia się powiatu, tak na główne uroczystości, jak na sądy i narady odbywane w jego obliczu. Przy takowém skupieniu się wzrastały targi, tworzyły się miasta z gaju, zgodnie ze świadectwem Jornanda roz. 5 „że Antom i Sclavinom gaje za miasta służą“, zgodnie zarazem z niezatartym jeszcze zwyczajem, że w byłej i obecnej Słowiańszczyźnie główne targi (jarmarki) odbywają się podczas głównego odpustu danego miasta. Że pierwiastkowo sądy głównie odbywały się w gajach, wnosić dozwala od gaju wzięty wyraz g a i ć s ą d, w dochowanej formule: „Mocą Pana Boga, króla i rady jego.... mocą panów przysiężników i całego pospólstwa gaję wam sąd wielki i przykazuję pokój.“ Nasze: g a i ć s ą d oddają Niemcy przez: Geriecht ha egen, któreto ha egen czytane ze staropolska hejen przypomina słowackie heg (gaj), serbskie haj (gaj). Tym sposobem nasze gaj, g a i ć, nietylko odpowiada niemieckiemu gau oraz haegen, lecz nadto wielkość rozkorzenia wyrazu gaj w naszym języku, na jakim niemieckiemu gau zbywa, pozwala wnosić, że go oni od zniemczonego prowincjonalizmu lechickiego otrzymali.

W tych kilku szczegółach czytelnik ma zaledwie małą próbkę całkowitej pracy, która jakkolwiek głęboko i sumiennie obrobiona, potrzebuje jednak, jak powiedzieliśmy, umiejętnego przejrzenia, aby mogła być na widok publiczny wydana; i tém zapewne zajmą się krewni nieboszczyka. Winni oni to jemu, winni ogółowi, iżby tak wielkie i pożyteczne dzieło nie zaległo w zapomnieniu.

Tymczasowo, po pierwszym tylko rzucie oka na tak pożyteczną przeszłość, tych kilka słów poświęcamy pamięci zacnego pracownika; gdy zaś zebranie i systematyczne uszykowanie drukowanych dzieł jego, listów i rękopismów wszelakiego rodzaju wyjaśni nam dostatecznie stanowisko jego na polu naukowej literatury: wtenczas postaramy się wyswiecić to stanowisko, ocenić każdą pracę poszczegóło, wskazać związek łączący je w jednę z góry powziętą i przez całe życie wiernie dochowywaną myśl: wtenczas dopiero z gotowemi w rękę materiałami przystąpimy do wykazania udziału, jaki nieboszczyk przyjmował w ogólnym ruchu piśmiennictwa, i zasług, jakie on dla postępu w rzeczach tak zbliżka nas obchodzących, położył.

K.

Madrygał.

Pan Ant. Ed. Odyniec, poeta tak znany w kraju z poezyj tkliwych, napisał obecnie mały wierszyk treści wesołej (madrygał) do znanego również w literaturze krajowej pisarza, a jednego ze współwydawców pisma niniejszego, p. Michała Balińskiego. Wierszyk ten oddychający szczerą przyjaźnią umieszczamy tu cały, jako odznaczony zarazem wyższym a wykończonym talentem wyrażania wesołej myśli. Tytuł tego wiersza uprzedza o jego charakterze i o powodzie, a brzmi razem z wierszem jak następuje:

Panu a Panu, na tym padole. Na Jaszunach i Ruczaju, Michałowi Balińskiemu, na parnasia. Na łopacie Szubrawskiej Auszlawisowi, strażnikowi jój i witajnikowi, sławnemu Madrygaliscie, Madrygał. Szczery przyjaciel i życzliwy sługa, niżej na podpisie wyrażony, ułożył i poświęca. Roku 1855, lutego 9, na Popielec, po przebyciu Zapust w Jaszunach.

Hej! stary Pegazie! raz jeszcze, dopóki
 Będiesz skrzydła i nogi podźwigał,
 Daj susa z kopyta, a pokaż twe sztuki,
 Z Parnasu uszczknijmy Madrygał!

A w tym Madrygale,
 Cny Panie *Michale!*
 Ku czci twój a chwale,
 Chcę w ziomków chorale
 I ja też głos mój wzniesć.

Boć to jest dział pieśni,
 Z pomroku a cieśni
 Wynosić naienne,
 Na światło promienne,
 Ludzi i zasług cześć.

Lecz gdzieżby, synu Klii!
 Był taki nieuk, w czyjój
 Myśliby już nie brzmiała
 Imienia twego chwala?

Kto nie wie twój zasługi,
 Żeś, jak Twardowski drugi,
 (Tylko że nie przez czary,
 Wskrzesał nam duch Barbary?

Że jako wódz duchowy,
Do świętej Częstochowy,
Przodkujesz każdej rzeszy
Pielgrzymów, co tam spieszy?

I że od Macedona,
Aż do Napoleona,
Żaden z bożków zniszczenia
Tyle miast nie rozwalił,
Peś ty ich ocalił
Z przepaści zapomnienia!.....

O tém wié Polska cała;
Lecz wiész, co mi się zdaje?
Że ci więcej ta chwała
Odejmuje, niż daje.

Bo któż nie myśli, gdy ciebie czyta,
Że ten pan *Michał*, taki uczony,
Taki antykwarz i erudyta,
Musi być mędrzec zatabaczony,
Co wciąż jak w todze stąpa z partesów,
Co marszcząc czoło, wznosząc powiekę,
Każdy z swych mądrych, górnych frazesów
Zaczyna pewnie od „iż tak rzekę“—...

Dzięki za łaskę! piękna mi sława,
Gwałtem ci biret sadzić na skronie,
Gdy całe Wilno, cała Warszawa,
Zna cię najniłszym gościem w salonie!

Gościem, któremu starzy i młodzi,
Mądrzy i prosc,i panny i panie,
Z krzykiem radości, gdzie tylko wchodzi,
Serca podają na powitanie.

A w nim, jak z śnieżnym włosem twarz młoda.
Tak z dojrzałością zapal młodzieńczy,
Tak z uczonością myśli pogoda,
Łączą się wzajem, jak barwy w tęczy.

A gdzie ta tęcza błysnie wśród gości,
Wszystkich rozjaśnia blask jój odbicia:
I jak twém piórem dzieje przeszłości,
Tak słowem żywych budzisz do życia!

Lecz ktoby już myślał, cny panie *Michale!*
 Że tu jest twych zalet limita;
 To ja mu wręcz mówię, że myli się wcale:
 A w czém? niechaj u mnie zapyta.

A ja mu odpowiem:—że jeśli pisarza
 Równego mu łatniej znajdziecie;
 Jeżeli gość taki choć czasem się zdarza,
 Toć pewnie takiego, jak on gospodarza
 Nie było, i nie ma na świecie!

Ale nie ten gospodarz,
 Co jak ciwun lub włodarz,
 Wciąż po błocie, po słońcu,
 Z kijem, w szarój kapocie,
 Z kluczykami za pasem,
 Z ciągłym fukiem, hałasem,
 Z kąta w kąta dybiąc, gdera.

Nie ten gospodarz sknera,
 Co przeto że skarb zbiera
 I jak gryf na nim siedzi,
 Sławią go wprzód sąsiedzi,
 Myśląc, że coś w potrzebie
 Wypochlebią dla siebie;
 Aż w końcu, zawiedzeni,
 W affektach do kieszeni,
 Zaczną, z kolei swojej,
 Lżyć go na czém świat stoi.

Nie ten gospodarz wreście,
 Co i na wsi, jak w mieście,
 Sadząc się na przepychy,
 Sam istny bałwan pychy,
 Chce i dom swój, przez zbytek,
 Zmienić jak w jej przybytek,
 By przyjmować—nie gości,
 Lecz koło dla swój wielkości;
 Aż się stanie za czasem
 Istnym królem Midasem,
 Między sprzęty złotemi,
 Sam z uszami nie swemi.

Lecz zkąd mi te myśli o szlachtach, ciwunach,
 O sknerach, o panach: bałwanach?
 Nie taki pan Michał gospodarz w Jaszunach:
 Wart słysząc nietylko na lutni méj strunach,

Lecz na całej Litwy organach!
 Boć skarb to jest wspólny, skarb droższy od innych,
 Skarb ducha narodu i kraju,
 Dom, arka, przybytek cnót starych, rodzinnych,
 I uczuć braterskich, i podań gościnnych.
 I nowego wzór obyczaju.

Zaprawdę, o ile ku temu niewieści
 I rozum i wdzięk się przykłada,
 Madrygał mój musi odstąpić od treści,
 I u stóp też pani Jaszuńskiej hołd czesćci,
 I córom jój równyż hołd składa.
 Lecz pana *Michała* wysławić zalety
 Jest cel Madrygału.

O! Febie!
 Ty, co sam twym blaskiem malujesz portrety!
 Cóż malarz lepszego ma być od poety?
 Poetę też wspomóż w potrzebie!

Dzień jeden daj tylko opisać najprościej,
 Jak stokroć w Jaszunach się darzy.
 A wtedy—Cóż wtedy?—tém większy tłum gości
 Najeżdżać je zacznie, aż z wielkiej miłości,
 Jak to mówią: zjé gospodarzy.

A nam co?—A prawda!—A zatém, niech na tém
 Madrygał mój koniec swój bierze;
 A służy świadectwem przed tobą i światem,
 Cny panie *Michale!* że sługą i bratem
 Twym jestem serdecznie i szczerze.

Antoni Edward Odyniec.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

O malowaniu krzemionkowém. P. Fr. Kuhlmann, w drugiej części swego Pamiętnika o wapnach hydraulicznych, kamieniach sztucznych, i różnych użytkach krzemianów rozpuszczalnych; wskazuje nowe zastosowanie następnego prawa przez niego w 1841 r. podanego. *Jeżeli sól uważana za nierozpuszczalną w wodzie, zmiesza się z roztworem takiej soli, której kwas może tworzyć z zasadą soli nierozpuszczalnej, sól jeszcze rozpuszczalniejszą; zawsze wtedy uskutecznia się w nich przemiana, lubo najczęściej tylko cząstkowa: co przypuszczać każe powstanie soli podwójnych.* Przez bezpośrednie zastosowanie tego prawa, doszedł on do nasycenia pewnym rodzajem krzemionką, cerusy, chromianu ołowiu, chromianu wapna, i wielu węglanów metalowych. Wypadki te naprowadziły go na myśl śledzenia, jak działają krzemiany alkaliczne gdy będą użyte do malowania na kamieniu, drzewie, metalach, szkle, porcelanie, papierze, tkaninach, i wreszcie we wszystkich przypadkach, w których można malować sposobem zwyczajnym: dochodzenia te, miały się powieść. Już przy odbudowaniu teatru w Mnichowie, używano krzemianu potażu i sody, dla utrudzenia palności ciał; p. Kuhlmann sądzi, że malowanie krzemionkowe zasługuje na upowszechnienie, bo krzemianka może przeniknąć każde ciało nieżywotne i żywotne. Wskażemy tutaj wogólności sposoby, za pomocą których uskutecznia on swe rozmaite prace.

Piérwsze próby wykonał p. K. w celu zastosowania za pomocą pęzla barw, a wszczególności mineralnych, na kamieniu, zastępując oleje i olejki przez roztwory stężone krzemianu potażu. Skoro przy tego rodzaju malowaniu rozciera się cerusę lub niedokwas cynku, z roztworem krzemianu potażu; zmieniają się wte-

dy obadwa powyższe ciała w krzemiany ołowiu lub cynku, i to prawie zaraz po zmieszaniu: dlatego nie pozostaje dosyć czasu do pociągnięcia przedmiotu pędzelkiem, bo barwa stwardnieje. Aby więc można w tym sposobie używać cerusy i niedokwasu cynku, potrzeba dodawać do nich siarkanu baryty sztucznego, na którą to sól roztwór krzemionkowy bardzo słabo działa. Nawet byłoby najkorzystniej, aby ułatwić malowanie, gruntować czyli używać na podstawę białą, tylko tego ostatniego siarkanu, który dobrze się miesza z roztworem krzemionkowym i zdaje się tworzyć z nim związek chemiczny. Ale tu jest niedogodność, że powstaje z tej soli barwa biała w pół przezroczysta, która stosownie do wyrażenia malarzy, nie dobrze pokrywa; i ztąd należy mieszać niedokwas cynku lub cerusę, z powyższym siarkanem baryty.

Co się zaś tyczy najlepszych tutaj barw mineralnych, za takowe uważa p. K. cynober, ultramarynę błękitną i zieloną, siarczyk kadmu, niedokwasy manganu, ochrę, niedokwas chromu i t. d. Różne ztąd powstają związki krzemowe, o czém tu mowy być nie może.

Wszystkie barwy, któremi malować można na kamieniu, drzewie, metalach, szkle, mogą również służyć do drukowania na papierze i tkaninach. Krzemian potażu zdaje się, że lepiej i oszczędniej użyty być może do utwierdzania ultramaryny na tkaninach, niż inne ciała do tegoż celu polecane.

Inne bardzo ważne zastosowanie krzemianów rozpuszczalnych, podane zostało przez p. K. do wyrabiania atramentu, który ma się wcale nie dawać wywabić środkami chemicznymi. Otrzymuje się ten atrament przez rozcieranie węgla miążkiego, takiego, jaki się używa do robienia tuszu chińskiego, z roztworem krzemianu potażu. Można także otrzymać atrament powyższy, rozkładając skórę przez wyprażanie jej z potażem (atrament Bracconota), i dodając do ciała czarnego węglatego alkalicznego tym sposobem otrzymanego, galarety krzemionkowej (krzemionki w postaci galarety), dla nasycenia potażu. Odwar koszenilli zmieszany z roztworem krzemianu potażu, wyda atrament czerwony, opierający się długo działaniu chloru i kwasów. (L'Institut 16 Août 1855).

W dniu 20 t. m. i r. jak donosi dziennik L'Institut z 22 t. m. p. Kuhlmann przedstawił Akademii umiejętności dalszy ciąg swój poprzedniej rozprawy, tyczący się napawania krzemionką kamieni. W części tej swego pisma, zastanawia się nad zastosowaniem malowania krzemionkowego do szkła, robieniem sztucznych kamieni litograficznych przez działanie krzemianów na kamienie dziurkowate.

Toż samo pismo L'Institut z 29 t. m. podaje dodatek do powyższych wiadomości, w następującej treści:

Zastosowanie krzemianów rozpuszczalnych w budownictwie. W trzeciej części swego pamiętnika czytanego w Akademii paryskiej, P. K. okazał, że dla utwierdzenia potażu w malowaniu krze-

mionkowém na kamieniu, najlepszym działaczem jest kwas wodorodno-fluorowo-krzemowy; przez stosowne płókanie tym kwasem, powiększa się znakomicie powinowactwo barw, i osiąga wreszcie to, że całkowicie stają się one nierozpuszczalnemi we wszystkich rodzajach malowania krzemionkowego, a szczególności w malowaniu na szkłe; ale potrzeba wtedy uważać, aby kwas powyższy był bardzo roztworzony, stężony bowiem posiada własność rozpuszczania wielu niedokwasów. Lecz chociaż kwas ten sprawia że malowidła na szkłe stają się zupełnie nierozpuszczalne, posiada jednak na nieszczęście tę niedogodność, iż zmniejsza nieco ich przezroczystość. Udało się także zastosować powyższy kwas do utwierdzenia potażu w kamieniu nasyconym krzemionką. Po stwardzeniu miękkich i dziurkowatych wapieniów, przez zmieniienie ich cząstkowe w krzemian wapna, robi się nierozpuszczalnym potaż jeszcze zatrzymany przez kamień po jego opłókanii; przez zanurzenie w roztwór w początku bardzo słaby, a potem coraz mocniejszy, kwasu wodorodno-fluorowo-krzemowego, który to kwas przenika kamień i tworzy z potażem związek nie dający się wypłókać. P. Kuhlmann nazywa *fluo-krzemionkowaniem* wszystkie w ogóle powyżej opisane czynności.

J. B...a.

F I Z Y K A.

Przewietrzanie budowli.

Pobył wielu osób w zamkniętém miejscu po pewnym czasie czyni powietrze prawie niezdatném do oddychania. Jego szkodliwy wpływ na zdrowie nie jest skutkiem braku kwasorodu, bo jak przekonują doświadczenia z powietrzem czerpaném z teatrów, sal i t. p., stosunek składowych jego części bardzo małej ulega zmianie; lecz głównie pochodzi od wydzielania się gazów szkodliwych, których źródła trudno usunąć; np. kwas węglany, wodoród węglowy podczas kombusty, wodoród siarkowy w czasie rozkładu materji organicznych, a co najważniejsza od wyziewów powstających z nas samych, od cząstek pochodzenia organicznego zwanych miazmatami. Pod tą ogólną nazwą pojmujemy wszelkie wyziewy zatrute, których jednak ani składu, ani natury w żaden sposób chemicznie oznaczyć i ocenić nie zdołano, z przyczyny nadzwyczajnej ich subtelności.

Główném ich źródłem w zwykłym stanie naszych pomieszczeń są płuca, które wraz z oddechem wyziewają znaczną ilość pary wodnej, mającej w rozpuszczeniu materją zwierzęcą, i nasza skóra z której stosownie do temperatury powietrza i stanu jego wilgotności, wydziela się znaczna ilość pary wodnej, obciążona

materyami zwierzęcemi. O ich bytności świadczy wyraźnie szczególny zapach w takich miejscach, gdzie znaczna liczba osób, nawet zdrowych, stale przebywa. Zresztą łatwo się można przekonać o unoszeniu się w powietrzu tych materyj początku organicznego zawieszając w miejscu zebrania wielu osób, szklany balon lodem napelniony, mający u spodu przytwierdzoną małą miseczkę: wtedy para wodna w powietrzu rozpuszczona skrapla się na jego powierzchni i wydaje wodę, która zebrana i w zamkniętej flaszeczce trzymana przy temp. + 20° R, szybko przechodzi w fermentacyą zgniłą, tak, że za odetkaniem wydaje odrażający zapach (1).

Do przytoczonych przyczyn psujących powietrze w niektórych szczególnych okolicznościach dodać należy zabójczy wpływ pyłków organicznych przymieszanych w znacznej ilości do źle odświeżanego powietrza, np. w przedziałniach wełny, jedwabiu (2).

Od szkodliwych zdrowiu wyziewów jedynie tylko przez ciągle odświeżanie powietrza oswobodzić się możemy. W naszych pomieszkaniach tę funkcją zwykle wypełniają lufciki, szpary około okien, drzwi i t. p. Lecz odnawianie powietrza za pomocą lufcików przedstawia wiele niedogodności; powietrze przez nie wpada z wielką szybkością, sprawiając cugi, przyczyny wielu przypadłości, a nadto powietrze napojone parami powstałymi z wyziewów płucnych i skórnych, jako gatunkowo cięższe zajmuje górne warstwy w pomieszkaniach, a więc tym sposobem trudno z tych miejsc usunięciem być może.

Dlatego dziś tak w małych jak i wielkich salach przewietrzanie odbywa się za pomocą osobnych przyrządów odprowadzających na zewnątrz ciepłe i nadpsute powietrze, które czerpią z pod pułapu, a natomiast wprowadzają do pomieszkań w lecie powietrze zimne, a w zimie świeże ale ogrzane przez kaloryfery lub wewnętrzne ściany pieców.

Przy obliczaniu ilości świeżego powietrza dla jednej osoby na godzinę przyjęto za zasadę ilość pary wodnej wydzielanej

(1) Miazmata są pozytywane za przyczynę wielu chorób. Skrofuliczni przyjmowani do szpitala św. Ludwika prawie wszyscy pochodzą z tych cyrkułów Paryża, w których mieszkają robotnicy gromadami w ciasnych stancijkach. Tyfusy biorą początek, według postrzeżeń Piorry, Andral, Bouillaud, Loris i innych lekarzy, w koszarach, gdzie śpi nieproporcjonalna liczba wojskowych, a nawet w pomieszkaniach oddzielnych lecz małych i nieprzewietrzanych. Naturalną jest rzeczą, że wyziewy z osób słabych, z wrzodów i t. p. muszą być jeszcze więcej szkodliwe: i tak w szpitalach przepełnionych mają się rozwijać choroby znane pod nazwiskami zgnilizny szpitalnej (pouriture de l'hospital) gangreny, fièvre noroconiale i t. d.

(2) Porównanie śmiertelności w różnych okolicznościach, szczególny wskazuje wypadek. Żołnierze w przykopach mniej są wystawieni na śmierć, aniżeli mieszkańcy niektórych miast fabrycznych: tak np. prawdopodobieństwo śmierci przy oblężeniu Anvers było 1:168, pod Waterloo 1:54, a dla rzemieślników w Liwerpool 1:19, dla tkaczy w Schieffield 1:14.

przez człowieka w ciągu godziny. I tak opierając się na doświadczeniach Seguin i Dumas, wypada, że cała ilość pary wodnej wyrzucana przez człowieka w ciągu doby wynosi 800 do 1000 gramów, co średnio na godzinę daje 38 gram; a że powietrze zwykłe w naszych pomieszkaniach ma 12° R. i w połowie jest już nasycone parą wodną: przeto objętość powietrza potrzebna do rozpuszczenia wszystkiej pary wodnej ulotnionej z jednej osoby wynosi 5,84 metrów sześciennych. Przyjmuje się więc najmniej 6 metrów sześciennych świeżego powietrza dla jednej osoby na godzinę za podstawę wszelkich obliczeń w wentylacyi, dotyczących średnicy otworów, rur przyprowadzających i oddalających zużyte powietrze.

Liczne sposoby wentylowania sal rozdzielić można na naturalne i sztuczne; do tych ostatnich należą sposoby za pomocą ognia, za pomocą wody, pary, lub mechanizmu.

Naturalne sposoby oparte są na rozpraszaniu się gazów, różnicy gęstości i sprężystości między powietrzem zewnętrznym i wewnętrznym ogrzanym promieniami słońca i ciepłem ludzkim lub przyrządami służącymi do oświetlania i ocieplania pomieszczeń. W większych salach prywatnych jako też szkołach, salach ochrony, spalniach, koszarach w grubości muru wybijają się otwory opatrzone siatką metalową, przez które wpada świeże powietrze, a u pułapu w kształcie lejka przewróconego robią otwory komunikujące z rurą ostrokągową, wystającą parę stóp nad dachem. Ten jednak sposób nie zupełnie odpowiada swemu celowi.

Ze sztucznych zasługują głównie na uwagę sposoby używane przez Leona Duvoir, Grouvelle, Peclet, Van-Hecke i Arnott.

Pierwszy z nich używa do ogrzewania i wentylacyi wody ciepłej, (lepiej nasyconej solą lub oleju), którą za pomocą rur rozprowadza po gmachu. Wentylacya odbywa się za pomocą rur kończących się pod dachem w izbie ocieplonej; z drugiej strony te rury łączą się z innymi pionowymi dochodzącymi do pomieszczeń przewietrzanych w których są dwa otwory jeden dolny przy posadzce przez który w zimie wyciągają chłodne i zużyte powietrze, drugi otwór blisko sufitu czerpiący w lecie powietrze najcieplejsze. Taki sposób usuwania dołem zimnego powietrza przedstawia tę główną zaletę, że zmusza ciepłe powietrze do ciągłego zniżania ku poziomowi naszych organów oddychania. Wyciągając powietrze zimne z pomieszczeń, czerpie jednocześnie świeże zewnątrz gmachu przepuszcza go przez powłokę otaczającą węzownią z ciepłą wodą, umieszczoną w każdym pokoju, i dopiero wpuszcza do pomieszczenia.


W lecie przewietrzanie i oziębianie powietrza zewnętrznego wchodzącego do pomieszczeń odbywa się przez ogrzewanie kotła górnego, wchodzącego do systemu ogrzewania pomieszczeń wodą ciepłą, po poprzednim zamknięciu rur rozprowadzających wodę do oddzielnych pokojów, jako też otworów, które zimą służyły do usuwania powietrza ciepłego. Natomiast zastana-

wia się komunikacja między izbą ogrzaną pod dachem a otworami znajdującymi się przy sufitach pomieszczeń, przeznaczonemi do wyciągania powietrza zepsutego. Jednocześnie wpuszcza się do mieszkania powietrze zewnętrzne, które jeżeli jest zbyt ciepłe, poprzednio przechodzi przez rury albo raczej piece napełnione zimną wodą ze studni.

Grouvelle, sposób ogrzewania pomieszczeń oparł także na krążeniu wody cieplej, którą ogrzewa za pomocą pary wodnej, powstającej w kotłach umieszczonych w piwnicach. Wentylacja urządzoną jest w ten sposób, że powietrze czerpane z zewnątrz, przechodzi przez zamknięte naczynie otoczone rurami, zawierającymi ciepłą wodę i dopiero ogrzane wpuszcza się do pomieszczeń i cel więźni (1); powietrze zaś zużyte wychodzi z pojedynczych izb rurami kończącymi się pod dachem w zamkniętej przestrzeni, w której mocny ciąg wywołany jest przez ciepłik dymu, pochodzącego z ogniska kotłów stojących w piwnicach, i przez ciepło ogniska w którym palisję koks.

Pełeta sposób łatwo dający się zastosować po szkołach, salach schronienia, i w ogóle miejscach gdzie mało jest przyczyn szkodliwie na psucie powietrza działających, polega na użyciu pieców o podwójnej powłoce. Chcąc zaś otrzymać wentylację używa małego przenośnego piecyka glinianego, który wstawia pod strychem w miejscu gdzie się schodzą rury odprowadzające nadpsute powietrze z pomieszczeń. W nim pali się albo koks, albo torf, albo drzewo, wtedy tylko, gdy temperatura powietrza zewnętrznego wyrównywa temperaturze powietrza w pomieszczeniach.

Zmechanicznych sposobów przewietrzania, których jest wiele, najwięcej godne uwagi są dwa następujące: doktora Arnott i Van-Hecka.

Arnott zastosował swój sposób do wentylacji szpitala w hrabstwie York, i doprowadził go do wysokiego stopnia doskonałości. Wpędzanie powietrza do izby w której się ogrzewa, i zkład dopiero płynie po całej budowlu odbywa się za pomocą ciśnienia mechanicznego. Pompa wpychająca powietrze urządzoną jest według systematu gazometrów; walec wydrążony bez dna (rodzaj gazometru) działający jako tłok pompy, ma 6 stóp średnicy, a $4\frac{1}{2}$ wysokości i porusza się w naczyniu walcowem zawierającym wodę, jednocześnie z dwoma szeregami klap przeznaczonych do wpuszczania pod tłok i do wypuszczania powietrza z pod tłoka. Za każdym ruchem wpędza machina 250 stóp  powietrza do budowli, a ponieważ takich ruchów odbywa 9 na minutę, ilość powietrza świeżego wtłoczonego wynosi stóp 2250 sześciennych. Mechanizm służący do wprawiania w ruch pompy jest nadzwyczaj trafnie pomyślany, na dowód czego to tylko przytoczymy, że pom-

(1) Ten sposób ogrzewania i wentylacji urządzonym został w więzieniu Mazas w Paryżu.

pa zasilająca cały szpital w powietrze, poruszana jest siłą wynoszącą zaledwie część siły jednego konia.

Sposoby użyte przez Dr. Arnott dla kierowania temperaturą powietrza wtlaczanego, są zupełnie niezależne od przewietrzania: ciepło może być zwiększane lub zmniejszane dowolnie, wtedy gdy strumień powietrza pędzony po budowlu pozostaje niezmiennym.

Co się tyczy kosztów, po obliczeniu wszystkich stałych wydatków, jako też procentu od kapitału zakładowego, wypada że zaopatrzenie 1000 osób w powietrze kosztuje według tego systemu tylko 2 złp. (schiling) dziennie.

Z poprzedniego widzimy, że sposób Dr. Arnott tém się głównie różni od innych, że zamiast wyczerpywania powietrza zużytego, wtlacza zbytnią jego ilość do pomieszkania, przez co unika wpadania zewnętrznego powietrza przez szpary, lub przypadkowe otwory, np. uchYLENIE drzwi, okien; a nadto nie usuwając z pomieszkań powietrza przez ciągi wywołane ciepłem, sposób ostatni obchodzi tę ważną niedogodność połączoną z poprzednimi sposobami wentyllacyi, że niepotrzeba w czasie lata używać ciepła sztucznego dla wypędzania zużytego powietrza.

Przejdźmy nakoniec do metody Van-Hecka. Jego przyrządy służą i do wyciągania i do wtlaczania powietrza, stosownie do życzenia; główną ich zasadą jest szybkie obracanie się śruby Archimidesa (170 obrotów na minutę) w rurze do której się zbiegają otwory komunikujące z różnemi częściami budowli. Wprawienie w ruch wentyllatora odbywa się albo siłą ręki, albo za pomocą przeciw wagi, a gdzie jest machina parowa rzemień założony na wał główny maszyny, np. w drukarni Monitora Belgickiego, wprawia w ruch wentyllator.

Według tego systemu urządzone przewietrzanie kopalni, i wielkiej fabryk odlewów w Anglii, pociągnęło za sobą koszta zakładowe około 2,000 fr. utrzymanie zaś w ruchu prawie żadnego stałego nie wymaga nakładu. Dotąd w Belgii w wielu miejscach wprowadzono aparata Van-Hecka, już to wyłącznie do przewietrzania np. na okręcie Louise-Marie, drukarni Monitora, więzienia des Petits-Carmes, już też w połączeniu z ogrzewaniem świeżo napływającego powietrza, jakoto w salach giełdy bruxelskiej.

Aparat dokładny składa się z kilku części które kombinowane między sobą służą do wyciągania zużytego, do wtlaczania świeżego powietrza, do kontrolowania, mierzenia, miarkowania lub zupełnego wstrzymania przewietrzania. I tak oprócz właściwego wentyllatora znajdują się: rozmaite kłapy i otwory umieszczone w różnych wysokościach sali, anemometr pokazujący ilość powietrza wpędzonego, dynamometr wskazujący stopień siły czyli prędkość ruchu wentyllatora i t. p.

Komissya wyznaczona z polecenia rządu belgijskiego dla zbadania i ocenienia użyteczności tego nowego sposobu przewietrzania przekonała się, że przyrząd Van-Hecka ustawiony w wię-

zieniu Petits-Carmes, poruszany za pomocą ciężaru podnoszonego (co 12 godzin) korbą, do czego wystarcza siła jednej kobiety, przewiewa wszystkie cele więźni, kuchnię, suszarnię i t. p. dostarczając na godzinę dla każdej osoby 48 metrów sześcienn. powietrza. Ta ilość powietrza przechodząca o wiele maximum ilości potrzebnego powietrza, może być jeszcze znacznie zwiększoną przez przyłączenie dodatkowego ciężaru (150 kilog.); tylko obawa wywoływania szkodliwych bo silnych cugów, nie dozwala przekraczać powyższej ilości wchodzącego powietrza.

Porównywając między sobą różne sposoby zaopatrywania wielkich budowli w świeże powietrze przekonywamy się, że sposoby mechaniczne mają pierwszeństwo nad sposobami wyciągającymi powietrze za pomocą ciepła: usuwają napływ powietrza przez szpary, łatwiej się dają regulować, a co także jest rzeczą ważną, wymagają bardzo małych albo prawie żadnych kosztów utrzymania.

S. P.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Księgarz H. Natanson wkrótce rozpocznie druk wszystkich powieści J. I. Kraszewskiego w wielkim formacie, podobnym jak w Paryżu wychodzą pisma znakomitszych autorów francuzkich. Powieści te rozpocznie „Kordecki“; każda osobną całość będzie stanowić. Zbiór ich złoży piękną całość z trzech lub pięciu tomów. W końcu autor da spis tych utworów chronologiczny, z którego czytelnik poweźmie przekonanie, jak się rozwijał i postępował ten potężny talent.

Nie możemy zataić naszego podziwienia, dlaczego p. Zawadzki, który wszystkie utwory tak dramatyczne jak i powieściowe J. Korzeniowskiego ogłasza, nie wpadł na tę myśl wydania razem pism tego pisarza. Przed kilkąlaty tu w Warszawie poddawano mu to wyraźnie nawet, ale widać nie trafiło do jego przekonania. Tymczasem wiele tak z dramatów jak i powieści Korzeniowskiego zabrakło zupełnie, a p. Zawadzki tak jest nie oględny, że drukując wiele mniejszej wartości dzieł, pomimo licznych żądań nie wydał np. Dramatów i komedii, seryi piérwszej, Mnicha i wiele innych. Toż mówić o ślicznych Obrazach litewskich I. Chodźki, które zasłużyły na ozdobne wydanie, w takim formacie, jak to zamierza H. Natanson. Czas już pp. księgarzom i nakładcom pomyśleć szczerze o tego rodzaju wydaniach, któreby z czasem mogły służyć za ozdobę księgozbiorów prywatnych.

— P. Henryk Hirszel litograf i właściciel ozdobnego składu materiałów piśmiennych i rysunkowych, urządził w magazynie swoim wystawę obrazów młodych naszych artystów. Wszystkich uwagę zwrócił obraz Gersona, przedstawiający pogrzeb chłopka, a uderzający prawdą i artystycznem wykończeniem. Żałować potrzeba, że Gerson zapomniał o chorągwi czarnej, która zwykle takim pogrzebom wiejskim towarzyszy: przydałoby to więcej efektu całej kompozycyi. Pilla-tego: wesele krakowskie, pokazuje tylko zdolność tego artysty: brak w niem wszelkiej prawdy. Krakowiacy i Krakowiaki, to ze sceny zdjęci z Wesela w Ojcowie; konie nawet nie polskie. Takie fantazyowanie już nie uchodzi.

— W liście Alexandra Przeddzieckiego z Kolonii z d. 14 października r. b. wyczytujemy, że ze spostrżeń i badań zabytków jakie oglądał, okazuje się, że lewek spiżowy, o którym pismo nasze umieściło wiadomość z ryciną, odkryty w Kruchowie w W. X. Poznańskim i podany za naczynie religijne z czasów przedchrześcijańskich, nie jest tak starożytnym. Naczynia bowiem tego kształtu służyły w piérwszych wiekach chrześcijaństwa, jako nalewki do nalewania wody na ręce kapłana, bądź przy ofertoryum na oltarzu, bądź przy piscinio w zakrystyi.

(Wyjątek z listu A. Tyszyńskiego do K. Wł. W.) „Odyniec ukończył Barbarę Radziwiłłównę, dramat w sześciu aktach. Syrokomla wydał Acerna; Michał Baliński drukuje Studya historyczne; Ignacy Chodźko gotową ma powieść: Trzej Pustelnicy. Zmarły Julian Korsak legował tłumaczenie skończone Danta, Odyncowi, który ma je do zbycia. Ma on i więcej ulotnych Korsaka poezyj. Syrokomla jest to miły i młody jeszcze bardzo człowiek; w całej Litwie jest bardzo admiringowany ze swych poezyj: sam Odyniec jest zdania, że „to jest poeta piérwszej wody.“ W ogólności ile słyzałem i słyżę, w całej Litwie od dam (bo téż czytają tu tylko prawie wyłącznie damy, a przynajmniej wszystkie damy czytają) najwięcej są admiringowani dwaj nasi pisarze: z litewskich czyli z poezyj Syrokomla; z warszawskich czyli prozaików T. Tripplina“.

— Znany z wielu prac znakomitych Józef Łukaszewicz pracuje obecnie nad ważnym dziełem: „Historya antytrynitarzy polskich i litewskich.“

— Maurycy Wolff wydaje powieść Tripplina pod napisem „Podróż po księżycu“. S. Orgelbrand drukuje tegoż pisarza dalszy ciąg Asmodeusza.—Cztery tomy poezyj Alexandra Grozy zapowiedziano.

(Wyjątek z listu Karola Szajnochy do K. Wł. W.) „Tom drugi Jadwigi i Jagielly oddawna skończony w druku. Teraz czeka mnie kilkotygodniowa praca

około uporządkowania rękopismu ostatnich arkuszy tomu trzeciego, który w obecnej chwili postąpił już do 10-go arkusza w druku. Po ostatecznym sprawieniu się z Jadwigą, uporządkuję rękopisma do 2-go tomu Szkiców historycznych; w znacznej części były już one drukowane w pismach naszych czasowych. W końcu zabiorę się do napisania kilku wcale nowych szkiców, a pierwszy z tych przesłany będzie Bibliotece Warszawskiej.

— Nakładem G. Sennewalda w pięknej i ozdobnej edycji wyszła książka do nabożeństwa p. n. „Wianek Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej“, ozdobiona kartą stalorytową tytułową, i obrazkiem w całej postaci Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus.

— Wyszedł zeszyt drugi dzieła: „Kościoły warszawskie rzymsko-katolickie“, nakładem i z drzeworytami Michała Starkmana. Zawiera dokończenie opisu kościoła Panny Maryi. Kościół parafialny Św. Krzyża (drzeworyt) z opisem. Pomnik Tarły. Pomnik Michała Radziejowskiego kardynała i prymasa. Kościół księży Augustyanów (drzeworyt) z opisem.

— P. Julian Bartoszewicz w Dzienniku Warszawskim z zeszłego miesiąca złożył obszernie sprawozdanie o rękopiśmie A. Magiera p. n. „Estetyka miasta Warszawy“. W tym sprawozdaniu podaje, że rękopism jaki miał sobie udzielony w kopii przez F. M. Sobieszczańskiego jest mniej dokładnym od tego, jaki w swoich zbiorach posiada K. Wł. Wójcicki, pisany ręką siostrzenicy Magiera, a poprawiany i dopiskami obszernymi zbogacony ręką samego Magiera. Prostujemy to podanie. F. M. Sobieszczański zrobił właśnie dokładną kopię nie z innego, ale z tegoż samego rękopismu, który teraz znajduje się w zbiorze K. Wł. Wójcickiego. Rękopism ten rozpada się na dwie części: na text i przypiski. Posiadacz dzisiejszy zamierza wydać ten rękopism zredagowany w ten sposób, aby i text i przypisy jedną całość stanowiły, z zachowaniem o ile być może stylu i barwy samegoż Magiera.

— We wsi Dębe pod Kaliszem odkryto grób murowany z kamienia i przykryty płaskimi kamieniami, w którym były dwie małe urny z czarnej masy, bronzowa czarka i miseczka szklana. Czara bronzowa podobna do łyżki wazowej z krótszą nieco rękajeścią, otoczona jest u wierzchu obrączką z deseniem delikatnej roboty, a na rękajeści mały Bachusek spoczywa na winogronach: miseczka jest z szkła mieszanego kolorowego; urny z delikatnej i lekkiej czarnej masy, dosyć polyskującej, z małym uszkiem, w którym przedziurawienie do drutu lub sznurka: zawierały spalone kości i popioły. Całe to wykopalisko obecnie jest w Kaliszu w ręku lubownika starożytności krajowych.

— „Nowomodne Zaloty“, komedia w jednym akcie, oryginalnie napisana przez J. K. Gregorowicza, i przedstawiana na Teatrze Rozmaitości w Warszawie, wyszła teraz w Kijowie w tłoczni J. K. Wallnera (w 16-ee str. 63) na dochód restaurującej się katedry kamienieckiej.

— Nakładem S. Orgelbranda kończy się w druku IX tom Historii C. Cantu.

— G. Sennewald rozpoczął druk dzieła Eihoffa: Literatura średnich wieków, przekład Seweryny z Żochowskich Pruszkowej. Dodatki i sprostowania przez W. A. Maciejewskiego zrobione, wartość przekładu nad sam oryginal przeniosą.

Kraków. Obraz olejny Januarego Suchodolskiego: „Obrona Częstochowy“, skopiowany przez profesora J. Wojnarowskiego, litografowany w Wiedniu, rozdany już został jako premium z r. 1854 akcyonaryuszom towarzystwa sztuk pięknych krakowskiego.—Nakładem księgarni J. Wildt'a wyszedł w Lipsku: „Wykład obrzędów i religijnych zwyczajów S. rzymsko-katolickiego kościoła“, przez ks. Lud. Lewartowskiego. Dzieło to napisane dla młodzieży gimnazjalnej, zyskało pożądaną aprobatę władzy duchownej i ministerjum oświecenia.—Zmarły niedawno we Lwowie J. N. Kamiński napisał z powieści H. Rzewuskiego dramat romantyczno-historyczny w 5-ciu oddziałach: „Listopad, czyli bracia Strawińscy“. Dramat ten był już grany na teatrze krakowskim.—W drukarni Czasu wyszła: „Pielgrzymka missyjna do ziemi świętej, Syrii i Egiptu; w latach od 1843 do 1849, odbyta przez ks. Felixa Laassnera zakonu Reformatów prowincyi wielko-polskiej“, staraniem i nakładem ks. L. F. Karczewskiego wydana (w 8-ce arkuszy 25 druku).

Wydano tu także: Wstęp na górę Karmelu.—Nowy Ekonom Wiejski, czyli szkółka porządnego wykonywania i t. d. przez Maxym. Żelkowskiego, profesora szkoły rolniczej.—Z drukarni Czasu wyszła oddzielnie rozprawa Henryka Rzewuskiego: „O dawniejszych i teraźniejszych prawach polskich”, drukowana w odcinkach Czasu. Okazała ona, że autor najmniejszego wyobrażenia o tych prawach nie ma, o których tak szeroko rozpowiada. Cała rzecz niewarta krytycznego rozbioru.—Wyszły tu kalendarze na r. 1856: Kalendarz dla rodzin katolickich, mieszczący w sobie część literacką i rolniczą, i Kalendarz powszechny J. Wildta księgarza, ozdobiony wielą drzeworytami i zajmującymi artykułami. Jest to już rok trzeci tego kalendarza. —W drukarni Czasu pod prasą są następne dzieła: Terapia ogólna przez Dr. F. K. Skobla profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Fizyka napisana przez Ludwika Zejsznera prof. uniw. Niewiasty Ewangeliczne. Homilia ks. Ventury de Raulica, tłumaczenia ks. Zygmunta Goliana.—W drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego kończy się druk Statutu Wiślickiego z objaśnieniami przez Zygmunta Helela.—Dr. prawa Michał Koczyński wydał dzieło p. n. „Versuch einer systematischen Darstellung der Gerichtsverfassung und der Französischen Civil-process Ordnung in Krakau”.—Cyprian Norwid, bawiący w Ameryce, wykonał rysunki do drzeworytów dzieła pod tytułem: Almanach of the Exhibition of all nations, wydane w New-York, a nadesłanego na wystawę paryżką.—W wydawnictwie dzieł katolickich wyszła książeczka w rodzaju Album pod napisem: Kościoły Krakowskie, wydane w stalorytach z treściwym ich opisem, i wspomnienie o Annie Maryi Taigi.

Lwów. „W drukarni Zakładu imienia Ossolińskich, nakładem Wojciecha Manieckiego, opuściły prasę: Miesiąc Maj, poświęcony Bogarodzicy i Niepokalanej Dziewicy Maryi.—Droga do szczęścia prawdziwego, książka do nabożeństwa i czytania duchownego. Wyszły tu prócz tego następne dzieła: Geografia L. E. Gauttiera obrobiona przez Hippolita Witowskiego. Gwido i dumki Henryka Jabłońskiego. Krzysztof Kolumb czyli odkrycie Ameryki, skreślone dla ciekawej młodzie p. H. Witowskiego. Paweł i Wirginia z 10 stalorytami. Bojar Orsza, poemat Lermontowa, przekład Gustawa Czernieckiego.—Nakładem księgarni Karola Wildta, wyszedł: „Skorowidz czyli opis porządkiem abecadłowym wszystkich miejscowości położonych w królestwie Galicyi i Lodomeryi, jakoteż w Wielkiem księstwie Krakowskim i księstwie Bukowińskim”.

Bochnia. Nakładem i drukiem Wawrzyńca Pizsa wyszedł „Wykład nauki wiary kościoła katolickiego dla użytku młodzieży szkolnej, p. ks. Jana Staroniewicza.—Kalendarz podręczny domowy i gospodarski na r. 1856.—Historja o domu Loretańskim Matki Boskiej i o jego cudownem przeniesieniu (z rękopisu Jana Przybylskiego z początku drugiej połowy XVIII wieku).

Sanok. W drukarni Karola Pollaka wyszło: „O wzajemnym zabezpieczeniu się od szkód przez K. J. T. (urowskiego).

Poznań. „Ś. p. Jędrzej Moraczewski, w wigilią śmierci oddał do druku tom 9 swęj pracy: Dzieje Rzplitej Polskiej.—Tytus hr. Działyński zamierza wydać: „Historję Polski w pieczęciach czyli kompletny zbiór pieczęci polskich.” Główną podstawą do nowego dzieła o pieczęciach będzie kilkaset rysunków, wykonanych piórem z znaną dokładnością przez ś. p. Kielesińskiego. Hr. Działyński odrytowanie na miedzi pomienionych rysunków powierzył młodemu a zdolnemu artyście. Pieczęcie te podzielone będą na wieki, i zaopatrzone textem polskim i francuzkim.—We wsi Łęgu w W. Ks. Poznańskim nad jeziorem Gopłem, w pobliżu zielonego kolistego wału, wyorano z pod ziemi kilka garści srebrnych pieniążków. P. Juliusz Kossarski jeden z poznańskich numizmatyków, zawezwany od właściciela Łęgu, odczytał na lepiej zachowanych następne daty. Pieniążki polskie są z czasów Mieczysława 1-go (960—992). Angielskie Etelreda (978—1016) bardzo czytelne, i Kanuta (1017—1035). Niemieckie Henryka Ptasznika cesarza (918—936). Na kilku stoi imię: Odalrych.—Ułamki popielnic należeć mają zdaniem p. Kossarskiego do dwóch odmiennych naczyń. Zdaje się, że większa część tych monet jeszcze się w ziemi znajduje, i zapewne zaborą się tam do dalszego kopania. Wał ten kolisty jest może ołtarzem pogańskim, albo też grobowcem jakiego wodza.

† Dnia 31 sierpnia r. b. umarł w Wilnie Stanisław Rosołowski doktor medycyny, członek Cesar. wileńskiego medycznego towarzystwa, znany wierszopis, który licznemi a dobornemi przekładami zasilał wszystkie pisma peryodyczne wileńskie od r. 1819.

† Dnia 7 (19) października r. b. umarł w Petersburgu w 48 roku życia ksiądz Ignacy Hołowiński arcybiskup mohilewski, metropolita wszech rzymsko-katolickich w Cesarstwie kościołów, tłumacz Szekspira, autor Pielgrzymki do Ziemi świętej, Pism Żegoty Kostrowca i wielu innych.

UWIADOMIENIE

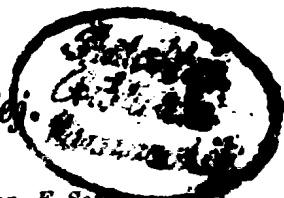
OD

REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie i w roku następnym **1856**.

Cena pozostaje taż sama: tojest w Królestwie rub. sr. **9** rocznie, lub rub. sr. **4** kop. **50** półrocznie, którą przyjmują wszystkie urzędy i stacye pocztowe. W Cesarstwie przedpłata roczna z przesyłką pocztową **w kopertach** wynosi rub. sr. **10**; z tym jednakże warunkiem, aby kwota ta była wprost nadesłaną **franko** albo do: „Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, przy ulicy Senatorskiej, Nr. 468 i 9”, lub téż: „do Expedycyi Gazet w Warszawie.”

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Październik, 1855.

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	746.208	27	6.791
Najwyżej barometr dochodził d. 23 o g. 10 r.	759.44	28	0.757
Najniżej — — — d. 11 o g. 6 r.	731.06	27	0.076
Średnia zmiana dzienna barometru	3.488		1.547
Największa zmiana dzienna barometru d. 16—17 o g. 10 rano	11.06		4.903
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	4.468		1.980
Średnia temperatura pazdziernika wynosi: i ta jest wyższa o	+ 10°.38 C.	+	8°.30 R.
od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	2.19 „	„	1.75 „
Największe ciepło było d. 7 o g. 4 w.	+ 8.19 „	+	6.55 „
Najmniejsze — — — d. 18 o g. 6 r.	+ 19.4 „	+	15.52 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	+ 1.9 „	+	1.52 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 18—19 o g. 6 rano	2.451 „	„	1.961 „
Termometrograf wskazał:	9.2 „	„	7.36 „
Maximum: +17°.2 R. d. 7 po połud.			
Minimum: + 1°.5 „ d. 18 rano.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 87.0, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 8.66 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 0.02 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 114.9 mil. czyli 50.93 lin. par.; ilość ta wody jest o 26.82 lin. par. większa od tej, jaka średnio u nas w październiku spada.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 7, pochmurnych 18.

— deszczu 16 (d. 2, 3, 7, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 19, 21, 22, 25, 31).

— mgły 6 (d. 2, 8, 18, 21, 23, 31).

Błyskawic bez grzmotu 1 (d. 8).

Wichrów było 1 (Z).

Wiatrów mocnych 7 (6 Z. 1 PdZ).

Wiatr panujący: zachodni, częste były także południowo-wschodnie. Październik r. b. przy bardzo niskim stanie barometru w pierwszych dziesięciu dniach był ciepły; w następnych dziesięciu chłodny, niepogodny i słotny, przy końcu dość ciepły i pogodny, w ogóle miesiąc ten pod względem pogody zbliżał się do stanu normalnego, był jednak wilgotny, bardzo w deszcz obfity i o półtora stopnia R. cieplejszy niż zwykle. Najcieplejsze dni były: d. 1, 2, 3, 7, 8, 9, z pomiędzy tych d. 5, 6, 7, 8, 9, były tak ciepłe i łagodne jak się rzadko u nas zdarza. Dzień 8 odznaczał się szczególnym stanem powietrza, był bowiem nie zwykle ciepły a nawet gorący popołudniu termometr w cieniu pokazywał 17.1 stop. R. ciepła, przytém powietrze było parne; w wieczór między godz. 7 a 10 dały się widzieć błyskawice bez grzmotu, poczem nastąpił deszcz ulewny połączony z wichrem. Pod względem ciśnienia atmosfery miesiąc ten znacznie się różnił od lat innych; średnia bowiem wysokość barometru miesięczna jest blisko o 2 linie par. mniejsza od normalnej; co wciągu 29 lat upłynionych dwa razy tylko miało miejsce, to jest w r. 1845 i 1850. W stanie średnim stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 5.1:9:16.9; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 5:7:18 co pokazuje że październik r. b. pod względem stanu nieba zbliżał się do stanu normalnego. Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości 2 cale 2.93 lin. par. o 26.82 lin par. więcej niż zwykle.

Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Ostatnia 17

60-102 Poznań

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82